

DOŁĘCZ DO
SOI
MP

IAN R. MACLEOD

OBUDŹ SIĘ I ŚNIJ

TCHOROSTY
I INNE WY-TCHNIENIA



UCZTA WYOBRAŹNI

...TWOJĄ
POMOCA
...TYCIĘŻYMY

BRYTAN
WIĘKSZ
ZBUDŹ SIĘ

Ian R. MacLeod

**TCHOROSTY
I INNE
WY-TCHNIENIA**



OBUDŹ SIĘ I ŚNIJ

PRZEŁOŻYŁ GRZEGORZ KOMERSKI

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2015

Tytuł oryginału:
Breathmoss and Other Exhalations. Wake Up and Dream
Copyright © 2004, 2011 by Ian R. MacLeod
Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii i opracowanie graficzne okładek:

Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:

Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-570-4

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 213 000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

TCHOROSTY i INNE WY-TCHNIENIA

Wielkie kłamstwa

Tchorost

Gołoledź

Fatalna lalunia

Południowa sadzawka

Nowe spojrzenie na równanie Drake'a

Isabel od jesieni

Wyspy lata

OBUDŹ SIĘ i ŚNIJ

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć
Dwadzieścia siedem
Dwadzieścia osiem
Dwadzieścia dziewięć
Trzydzieści
Trzydzieści jeden
Trzydzieści dwa
Trzydzieści trzy
Trzydzieści cztery
Trzydzieści pięć
Trzydzieści sześć
Trzydzieści siedem
Trzydzieści osiem
Trzydzieści dziewięć
Czterdzieści
Czterdzieści jeden
Czterdzieści dwa
Czterdzieści trzy
Czterdzieści cztery
Czterdzieści pięć
Czterdzieści sześć
Czterdzieści siedem
Czterdzieści osiem
Czterdzieści dziewięć
Pięćdziesiąt
Pięćdziesiąt jeden
Pięćdziesiąt dwa
Pięćdziesiąt trzy
Pięćdziesiąt cztery
Pięćdziesiąt pięć
Pięćdziesiąt sześć
Pięćdziesiąt siedem
Pięćdziesiąt osiem
Pięćdziesiąt dziewięć
Sześćdziesiąt

O Autorze



**TCHOROSTY
I INNE
WY-TCHNIENIA**



*Dla Valdy i Colina
Kocham Was*

WIELKIE KŁAMSTWA

Wśród całego zgiełku, z jakim rozmawia się o tym lub innym rodzaju literatury, często i łatwo zapomina się, o co tak naprawdę chodzi w pisaniu fikcyjnych opowieści. Owszem, można posługiwać się szufladkami, definicjami, lecz one nigdy nie dotyczą istoty rzeczy, zawsze stanowią pewnego rodzaju skrót. Fikcja, nawet ta najbardziej realistyczna, nawet taka, która stara się przedstawić coś zbliżonego do prawdy – przesłoniętej tylko cienkim całunem fantazji, lub wręcz ponoć nagiej – zawsze jest czymś zmyślonym. Jeżeli ktoś szuka rzeczywistości, powinien zwrócić się gdzie indziej. Niemniej, dziwną cechą nas, ludzi, jest to, że ciekawość mocniej pobudzają wydarzenia, jakie nigdy nie nastąpiły, niż te, które się istotnie wydarzyły.

Skoro wszystkie opowieści są ciekawymi kłamstwami i gdyby spróbować ustalić jedną, ogólną zasadę dla całego gatunku historii fantastycznych, mogłaby ona brzmieć: Jeżeli próbujesz kłamać, rób to na wielką skalę. Dlaczego osadzać wydarzenia we własnej wersji istniejącego miasta, skoro można wymyślić całe nowe miasto? a kiedy już zaczyna się sobie to nowe miasto wyobrażać, wydaje się niemal brakiem wyobraźni autora, jeżeli ograniczy się tylko do zwykłej architektury, tradycyjnych nazw ulic, tradycji i sklepowych witryn. Szkoda byłoby tak się zamykać. i gdy już raz pójdzie się tą drogą, zawsze – jak sądzę – istnieje pragnienie, by posunąć się nieco dalej. Być może potrzeba owa rodzi się po prostu z czegoś tak pospolitego jak naturalna, ludzka tendencja do przesady.

Dla mnie, najpierw jako czytelnika, potem także jako autora, ów paradoks

Wielkiego Kłamstwa zawsze był zjawiskiem fascynującym. Dlaczego tak często bardziej przejmujemy się losami fikcyjnych bohaterów, niż własnych kolegów czy sąsiadów? i dlaczego ta troska wybiega w nierealną przeszłość, tudzież nieznaną przyszłość? Myślę, że podstawowy powód jest ten sam, i sprawia, że w ogóle chcemy czytać jakiegokolwiek opowieści. Historie, ze swymi wielkimi i małymi kłamstwami, znacznie lepiej radzą sobie z przyczynami i skutkami, szczęściem i smutkiem, miłością, nienawiścią, odkupieniem i wszystkimi innymi rzeczami, których pragniemy i jakich się boimy. Lepiej niż nasze własne życie.

Zauważycie, że niektóre z kłamstw, jakie snuję w tej książce, opowiadają o przyszłości, a inne opisują dziwne wersje teraźniejszości lub przeszłości. Są tu miasta z pewnością daleko bardziej dziwne i odległe niż te, które możemy odwiedzać dzisiaj. Są tu również – mam nadzieję – cuda, wspaniałości i groza. Natkniecie się też jednak na rzeczy, uczucia i chwile, które z premedytacją miały przypominać nam miejsca, w jakich znajdujemy się sami, emocje przeżywane ledwie wczoraj i sny, jakie wyśnimy tej nocy, a ujrzemy jutro po przebudzeniu.

Opowieści są kłamstwami skomplikowanymi. Rozciągają wyobraźnię i proszą, byśmy uwierzyli i przejmowali się nieistniejącymi sprawami. a dla mnie najlepszymi historiami są te, które snują kłamstwa największe i posyłają naszą wyobraźnię jak najdalej. Nie dlatego, że każą nam skakać przez całe, niewiarygodne lata świetlne, ani dlatego, że poddają nas niebywałej dziwności bądź grozie, ani też – zwłaszcza – nie dlatego że przypominają opowieść czytaną w zeszłym tygodniu. Najlepsze opowieści, takie jakie staram się tworzyć, to te, które sprawiają, że zaczynamy myśleć, historie zaskakujące nie dlatego, że pokazują nam coś nowego, lecz dlatego, że w swoim krzywym zwierciadle kłamstwa ukazują nam coś, co – jak nagle zdajemy sobie sprawę w cudownym przeblýsku zrozumienia – wiedzieliśmy i znaleźliśmy od dawna. Zapomnijmy więc, przynajmniej na chwilę, o kategoriach, a nawet o tym, co jest lub nie jest prawdziwe. Nacieszmy się kilkoma Wielkimi Kłamstwami.

Ian R. MacLeod
West Midlands, Wielka Brytania
październik 2003

TCHOROST

1.

w dwunastym roku standardowym swego życia, w którym na Habarze przypadała Pora Mżawek, Działila wyruszyła z matkami przez góry, z płaskowyżu Tabuthal na wybrzeże. Podróż okazała się dla wszystkich niebezpiecznym odkryciem – kamaszyny już dawno ustały, świat był świeżo wilgotny, hajawany, na których kobiety jechały, zaczęły pokrywać się rdzą, a fioletowo-zielona roślinność szeleściła pod wielkimi i płaskimi jak talerze łapami tych wierzchowców. Działila oglądała klify i kasry, jakie odwiedzała przedtem jedynie w swym namiocie snów, i płynęła przez wysokie górskie rozpadliny po linowych mostach, skonstruowanych przez jej odległych przodków i ukazywanych przez wylęknioną wyobraźnię jako kruche i sypiące się ze starości, a w rzeczywistości okazały się mocne, choć delikatne; wielkie, ociekające wodą konstrukcje podnosiły się z mgły niczym cielska mądrych olbrzymów, cicho nucąc i zapraszając ją i jej hajawana – którego nazywała imieniem Robin – w kokony swych łatwych objęć. Wjechanie na nie, poza krawędź, prosto w szarozieloną nicość, równało się niemal lataniu.

Najdziwniejszym ze wszystkiego, podczas tej pełnej odkryć wędrówki, był fakt, iż w miarę jak zjeżdżały coraz niżej, teren jakby się unosił. Po zwinięciu każdego kolejnego obozu, po przebyciu następnego etapu drogi ku nizinie wzrastało w nich poczucie, że znajdują się wyżej. Powietrze na płaskowyżu Tabuthal było rozrzedzone – Działila wiedziała o tym z lekcji przyswojonych w namiocie snów – do gwiazd było stamtąd tak niedaleko, że Pavo tuż po narodzinach córki musiała założyć jej maskę na twarz, póki tchorost nie

zagnieździł się w jej płucach. i było tam bezchmurnie, obłoki nie pojawiały się na płaskowyżu nigdy, chociaż niezmiennie panował przyjemny chłód. Słońce świeciło przez cały dzień, mocne i zimne, zawieszone wśród błękitnej czerni, podobnie jak miliard gwiazd nocą, aczkolwiek Dżalila nigdy o tych sprawach nie myślała – nie, kiedy hasała pomiędzy kryształowymi drzewami, a jej matki uśmiechały się i od czasu do czasu przypominały, że pewnego dnia wszystko będzie się musiało zmienić.

i teraz właśnie ten dzień nadszedł, a okolica – gdy jej hajawan skręcił na ścieżkę wiodącą przez urziemski las obco wyglądających drzew o pomarszczonych brązowych pniach i miękkich zielonych liściach, a teren obniżył się gwałtownie i Dżalila ujrzała na horyzoncie pierwszy przeblysłk czegoś odległego i płaskiego – nigdy nie wznosiła się tak wysoko.

* * *

Góry na wybrzeżu były widoczne już tylko za nimi i dokoła zatoki. Mieszkało tu wiele ludzi. Być może nie tak nieprzebrane tłumy, o jakich Dżalila słuchała w opowieściach namiotu snów o Dziesięciu Tysiącach i Jednym Świecie, lecz wystarczająco wiele, by idąc po raz pierwszy ulicami miasta – w którym budynki tuliły się do siebie niedorzecznie ciasno – i spoglądając w twarze przechodniów, nabrała pewności, że nigdy nie zdoła poznać rodzin ich wszystkich.

Miasto nazywało się – z powodu swego położenia u podnóża gór – Al Dżanb i, ku uldze Dżalili, ich nowy haramlek znajdował się w pewnej odległości od niego, u kresu niemal niedostrzegalnej, bitej ścieżki, która odbijała wężowo od czarno-niebieskiej, wyłożonej nierównymi płytami, nadmorskiej drogi. Po długim czasie, na jaki jej matka więzi Lya porzuciła to miejsce, należało dokonać licznych napraw. Mury wzniesiono ze stopionego kamienia, lecz konstrukcję dachu zbudowano z tej samej dziwnej substancji, co rosnące w górach urziemskie drzewa. w wielu miejscach zapadał się, przeciekał i skłaniał w stronę chaosu, który dążył tu do ogamięcia wszystkiego dokoła. Także hajawany w swych prowizorycznych stajniach wciąż wymagały sporo uwagi, nadal przyzwyczały się do nowego klimatu. Matka Pavo już od dawna zajmowała się tworzeniem mikstur koniecznych do naprawienia krwawiących wiązań rdzewiejącego metalu i ciał wierzchowców, oraz do zwalczania pleśni zarastającej ich pociągłe, poważne twarze niczym powoli spływające lzy. w normalnej sytuacji Dżalila czułaby się głęboko zasmucona myślą o

cierpieniach, jakich nowy klimat przysparzał Robin, lecz była zbyt zaprzęgnięta własną chorobą i nie mogła się troszczyć o nic innego. Paradoksalnie – jako że w wonnym, morskim powietrzu było tak dużo tlenu – każdy oddech stawał się dla dziewczyny świadomym wysiłkiem, koszmarnym fizycznym wyzwaniem. Wdychanie wilgotnej, słonej, pełnej zarodników atmosfery przypominało wsysanie zupy przez słomkę. Na jakiś czas ogarnęła ją gorączka i odcierpiała też wyrazy atencji ze strony tej samej pleśni, która porastała Robin, chociaż atakującej w bardziej drażniących i wstydliwych miejscach. a jeszcze bardziej irytujące było to, że Ananke – jej matka krwi – pospołu z matką więzi Lyą i nawet z Pavo – wciąż zajęta oporządzeniem hajawanów – traktowały jej przypadłości i gorączkę z lekceważącym brakiem zainteresowania. Zapewniały ją tylko niejasno, że w młodości same cierpiały podobnie. Dodawały również, że tak czy inaczej, pogoda niedługo się zmieni. w uszach Dżalili, która całe życie spędziła w chłodnym i niezmiennie jasnym słońcu Tabuthal, gdzie wiatr wiecznie wiał z jednego kierunku, a drzewa pobrzękiwały niczym sople lodu, ta ostatnia uwaga mogłaby równie dobrze zostać ogłoszona w obcym języku.

Dżalili czuła się coraz gorzej. Deszcz bębnił o to, co w ich haramleku uchodziło za dach. Krople kapały i zbierały się kałużami na prowizorycznych markizach, które całymi wiadrami zalewały osoby nieostrożne na tyle, by je potraścić. Przez pozbawione szyb okna, ze wszystkich stron, wpływały pasma mgły, a góry przez większość czasu składały się jedynie z chmur, bądź przedstawiały istnieć zupełnie. Kaszłała. Na dłonie wypływała jej z ust dziwna substancja, śliska i zielona, zupełnie jak ten szlam, który próbował tutaj zarosnąć cały świat. Pewnego ranka obudziła się z przekonaniem, że pękła jakaś ważna część jej ciała. Wydostała się chwiejnie z namiotu snów i wyszła na zewnątrz pod rusztowaniem, które zdążyło już otoczyć haramlek. Ruszyła boso po błotnistej ścieżce i dalej, na drugą stronę cichej, czarnej drogi, aż na plażę. Nie powodowało nią nic poza pragnieniem ucieczki.

Ciężko dysząc, stanęła wśród zebranych między skałami sadzawek słonej wody. Włosy oblepiały jej twarz, skóra swędziała. Czuła coś na tylnej ściance gardła. Coś tkwiło też w płucach. Była przekonana, że to coś zapaściło tam korzenie i rosło. Zaczęła kasłać tak gwałtownie jak nigdy przedtem i wyrzuciła z siebie, na ręce i brodę, jeszcze więcej zielonej masy. Zgięła się wpół. Wypływała wielkie pajdy mazi wymieszanej z nitkami krwi. Gdyby

substancja nie była przede wszystkim zielona, miałyby pewność że to jej własne płuca. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie takiego cierpienia. Wreszcie jednak, po kilku momentach fałszywej ulgi, po długiej szarpaninie i spazmach, atak ustąpił. Wytarła dłonie w koszulę nocną. Na kamieniach dokoła widniały zielone plamy. Był to tchorost: rodzaj mchu pozwalający jej żyć i oddychać na płaskowyżu. a teraz? Patrzcie tylko! Działila zaczerpnęła ostrożnie tchu. i jeszcze raz. Bolało ją gardło. w głowie czuła pulsujący ból. Niemniej jednak, oddychanie stało się nagle niemal niedorzecznie łatwe. Dziewczyna wróciła z powrotem przez plażę i mgłę do haramleku. Matki spożywały właśnie śniadanie. Działila przysiadła się do nich bez słowa i zaczęła jeść.

Ten nocy przysłała do Działili Ananke. Usiadła obok córki, leżącej w ciemności namiotu snów i próbującej nie słuchać odgłosów deszczu padającego do wnętrza skrzypiącego, przeciekającego budynku. Muskające twarz Działili dłonie matki krwi nawet teraz pachniały płaskowyżem, przypominały go też w dotyku. Były szorstkie, czyste i ciepłe, niczym skały stygnące w blasku gwiazd. Kilka miesięcy wcześniej Działila zapewne zalałaby się łzami.

– Teraz być może już rozumiesz, dlaczego uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli nie opowiemy ci o tchoroście...?

Ananke opatrzyła zdanie znakiem zapytania, lecz Działila nie zwróciła na to uwagi. Wiedziały od samego początku! Wciąż była wściekła.

– Twoje ciało przejdzie wkrótce jeszcze inne zmiany. Zmiany niemające nic wspólnego z tym miejscem. Opowiem ci teraz o nich wszystkich, choć wiem, że powiesz, że już to wiedziałaś...

Szorstkie palce gładziły jej włosy. Słowa Ananke płynęły – mówiła o zmianach, obrzmieniach i rozrostach, o jakich Działila nigdy nie sądziła, że staną się udziałem jej ciała, i które te cuchnące niziny istotnie przyśpieszały – a dziewczyna myślała o wietrze podzwaniającym wśród kryształowych drzew Tabuthal. Myślała o wietrze owiewającym jej twarz, suchym i chłodnym. Tutejsze wilgotne powietrze dusiło. Chciała pobiec. Pragnęła uciec.

* * *

Al Dżanb było małe, lecz większego miasta Działila nie widziała nigdy i wkrótce zaczęła się chętnie zgłaszać do załatwiania rozmaitych sprawunków dla matek zajętych odbudową i remontem haramleku. Dotąd była przyzwyczajona do szerokich krajobrazów, rozległych horyzontów i do zaskoczeń niesionych przez bezkres pejzażu, podkradających się z wolna, widocznych od

wielu mil. Tutaj jednak zaskoczenia i gwałtowne zmiany czyhały za każdym zakrętem. Ludzkie oblicza były tak samo różnorodne jak akcenty, którymi się posługiwali. Mieszkanki Al Dżanb rozwieszały bieliznę do suszenia ponad ulicami, sprzeczały się ze sobą publicznie i publicznie paliły. Niektóre jadły obiema rękoma. Kiedy się je mijало, przyglądały się bacznie i najwyraźniej nie przeszkadzało im, jeżeli odpowiedziało się spojrzeniem. Wszędzie pojawiały się nieznajome widoki i wonie, a także targi rozkwitające w pewne dni, w myśl wskazań niezrozumiałego dla Dżalili kalendarza. Sprzedawano na nich – rozłożone na połyskujących, lśniących, cuchnących, odrażających i fascynujących straganach – rzeczy najprzedziwniejsze i najbardziej cudowne. Owoce spoza planety, przyprawy w kształcie owadów oraz owady, które po skruszeniu stawały się przyprawami. Były tam chmury kadzi pełnych towarów, dla których zastosowania Dżalila nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. I te jaskrawo ubarwione jedwabie, tak delikatne jak rozgwieżdżone powiewy, za którymi tęskniła i których pragnęła niemal fizycznie. Niekiedy też można było zauważyć obcych – przechadzali się ulicami Al Dżanb, lub wyglądali z okien na piętrach, przypominając dziwaczne, oprawione w wiekowe ramy portrety. Niektórzy nosili ze sobą własne powietrze zamknięte w bulgocących fajkach wodnych, inni turlali się wewnątrz wielkich szarych kul z morzem ich planet, niczym dzieci w sakwach porodowych. Część z nich wyglądała jak większe odmiany korzennych owadów, a jeśli podeszło się do nich zbyt blisko, w powietrzu rozlegało się wściekłe brzęczenie. Wszystkich obcych łączyło ze sobą jedynie to, że wydawali się beztrósko nieświadomi obecności Dżalili, gdy ta się im przyglądała lub za nimi chodziła. Po tym wszystkim wracała do matek, które posłały ją do miasta, niewybaczalnie spóźniona. Czasami zupełnie zapominała, co miała załatwić.

– Musisz się nauczyć przyzwyczajać do świata... – stwierdziła pewnego późnego popołudnia szczerze poirytowana Lya, jej matka więzi. Dżalila powróciła właśnie bez narzędzia, o jakie została poproszona jeszcze rano. Zapomniała nawet jego nazwy i zastosowania. – Ani ten, ani żaden inny świat nie stanie się nigdy twoim domem, jeżeli każda najmniejsza rzecz wciąż będzie cię zaskakiwać...

Dżalili jednak niespodzianki nie przeszkadzały w nawet najmniejszym stopniu; prawdę powiedziawszy, nauczyła się nimi cieszyć i gdy pojawiła się następna potrzeba wyprawy do Al Dżanb – tym razem po nowy kryształ na-

sienny do rusztowania – zaczęła błagać, by pozwolono jej pójść, i matki wreszcie ustąpiły, choć ostrzegawczo kręciły przy tym głowami.

Deszcz w końcu ustał, lub przynajmniej urządził sobie całodniową przerwę, aczkolwiek wszystko wciąż wydawało się Dżalili – idącej nadmorską drogą ku chaotycznemu, gwamemu Al Dżanb – mokre i zielone. Rozumiała, przynajmniej w teorii, że deszcz zapewne pojawi się z powrotem, po czym ustąpi i wróci raz jeszcze, lecz że będzie się to powtarzało coraz rzadziej, mniej więcej w ten sam sposób, w jaki stopniowo robi się coraz cieplej. Nadal jednak uważała za śmieszne, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy dokładnie nastanie na Habarze prawdziwa Pora Lata i jaka się okaże. Łodzie, które teraz widziała, rybaczki w swoich felukach, pływające poza białymi pasmami spienionych fal, wszystko to zależało od tej niepewności oraz od zwyczajów ławic białogrzbietów, które nadpływały i na powrót znikwały w oceanie i których następny urodzaj można było określić jedynie w podobnym co aurę przybliżeniu. w porównaniu z Tabuthal, świat na wybrzeżu okazał się okropnie nieprzewidywalny! Targi, ludzie, schnąca bielizna, słońce, deszcz, obcy. Nawet przyciągające i odpychające morskie fale Hajam i Walah, księżycy Habary, do których oglądania Dżalila przywykła już dawno, musiały się tutaj przebijać przez chmury niczym armatnie kule przez bawełnę. Dzisiaj jednak, przeskakując poprzeczne ostrogi na długiej, kamienistej plaży – ta trasa stanowiła podczas odpływu dogodny skrót do centrum miasta – zauważyła coś, co zdumiało ją bardziej niż wszystko dotąd.

Łódź, wyciągnięta z wody daleko na brzeg, dłuższa, bardziej czarna i wyglądająca na cięższą od feluki. Łódź, na której dziobie wznosiło się coś w rodzaju szopy bądź zgrzebnego domku oraz z dźwigiem na rufie tak masywnym, iż Dżalila zaczęła się zastanawiać, czy nie przewróciłby całości, gdyby statek trafił na wodę. Mimo wszystko, to nie łódź zwróciła w pierwszej chwili jej uwagę, a pracująca na pokładzie postać. Nawet stąd, gdy nieznajoma szarpała się z linami, widać było, że jest w niej coś innego, zarówno w sylwetce, jak i w sposobie poruszania się. Znowu obcy? Ale nie, wyglądała na człowieka. Była bosa, ubrana w wystrzępione szorty i z nagą piersią. Prawdę mówiąc, pierś miała jeszcze tak samo płaską jak Dżalila. Także wzrostu i wieku musiała być mniej więcej Dżalili. Dziewczyna wciąż nie przywykła do przedstawiania się nieznajomym, lecz postanowiła, że przynajmniej podejździe i uda zainteresowanie – lub zdziwienie – tą dziwną łodzią.

Nieznajoma przerzuciła ponad burtą kolejny zwój liny i wydała przy tym jęk, który doleciał Dżalilę wraz z wonną morską bryzą. Skórę miała brązową jak herbata. Gęste, upięte z tyłu włosy zwisały jej długim kucykiem na plecach. Miała szerokie ramiona i ruszała się w sposób, który nie był do końca dziwny, lecz nie był także całkiem normalny. Trochę jakby miała w grzbiecie jakiś dodatkowy staw. Kiedy Dżalila przeskoczyła ostatnią ostrogę i żwir zagrzechał pod jej nogami, postać uniosła wzrok i ukazała swą twarz. Twarz o wielkim nosie i mocno zarysowanej brodzie, oblicze dziwacznie płaskie i szerokie. Nawet dziecko lepiałe ludzką postać z gliny poradziłoby sobie lepiej.

– Przyszłaś mi pomóc?

– Możliwe. – Dżalila wzruszyła ramionami.

– Mówisz z zabawnym akcentem.

Stały przed sobą i mierzyły się spojrzeniami. Nieznajoma miała szare oczy, również wyglądające niecodziennie. Być może pochodziła spoza planety. To mogło wiele wyjaśnić. Dżalila słyszała, że niektórzy pozwalają sobie robić różne rzeczy z ciałem, by móc zamieszkać w innych miejscach. Domyślała się, że jednym z takich zabiegów jest przyjmowanie tchorostu, chociaż nigdy dotąd nie myślała o nim w ten sposób. i nie mogła sobie wyobrazić świata, na którym życie wymagałoby takiego oszpececia, jakie widziała przed sobą.

– Tutaj wszyscy mówią dziwnie – odparła. – Ale ty także.

– Nazywam się Kalal. a to nie jest żaden akcent, tylko po prostu mój głos.

– Kalal spojrzała na swe zatłuszczone ręce, być może zastanawiając się, czy nie wytrzeć jednej i nie podać jej do uściśnięcia, z czego po chwili zrezygnowała.

– Och...?

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? – Ten szorstki głos. i niezwykle sposób, w jaki skrzywiła się przy uśmiechu.

– a co tu jest do rozumienia? Jesteś po prostu...

– ...mężczyzną. – Kalal podniosła z kamieni splot liny i wskazała brodą inną, leżącą obok. – Więc jak? Pomożesz mi z tym czy nie?

* * *

Powróciły deszcze. Tym razem rozpoczęły się czymś, co nazywa się „dżdżem”, po czym rozrosły się do skali „ulewy”. Morskie pływy sięgały wyjątkowo daleko. Przyszły burze i białe trzaski błyskawic. Huczał wicher

zupelnie różny od kamaszina. Matki Dżalili kazały jej zachować cierpliwość, czekać i pamiętać – „Proszę, Dżalilalin, tym razem nie zapomnij, nie zmar-nuj dnia nam wszystkim” – o rzeczach, po które posłały ją wyłożoną nierów-nymi płytami drogą do Al Dżanb. Szła mozolnie na wietrze, ukryta pod pa-rasolem – jeszcze jeden nowy i bezużyteczny nadmorski przedmiot, wywraca-jący się na lewą stronę tyle razy, że ostatecznie cisnęła go do morza, po któ-rym popłynął radośnie, jakby właśnie dla tego żywiołu został zaprojektowa-ny. Niemal wszystkie feluki zostały wyciągnięte na brzeg i leżały po drugiej stronie drogi, bezpiecznie ukryte przed bijącymi szaleńczo bałwanami. Po większej łodzi, należącej do Kalala, nie było jednak śladu. Być może on – tak chyba brzmiało to starożytne określenie płci, prawda? – był teraz gdzieś tam, gdzie chmury zderzały się ze sobą, hucząc przy tym niczym głązy. a może po prostu wyobraziła sobie całe to spotkanie?

Do haramleku wróciła zaskakująco prędko i przynajmniej tym razem do-starczyła sprawunki, o jakie ją proszono. Wysuszyła się i zagrzebała w na-miocie snów, by dowiedzieć się od niego wszystkiego co tylko mogła na te-mat istot zwanych „mężczyznami”. Podobnie jak w wypadku wielu innych dotyczących życia kwestii w tym krępującym, ciekawym i trudnym okresie, jeszcze kilka miesięcy temu, na Tabuthal, Dżalila upierałaby się, że wie o mężczyznach wszystko. Teraz nie była już jednak taka pewna. Kalal – mimo swej brzydoty i dziwaczności, szorstko-piskliwego głosu oraz nieznacznie dziwaczności zapachu – nie bardzo przypominał te dzikie, wilcze istoty o włochatych twarzach, jakie pamiętała z dziecięcych bajek, i nie wydawało się, że żywi szczególne pragnienie, by krzykiem i przemocą zaciągnąć ją do swej cuchnącej jaskini, ani by zbierać dziwne i niepotrzebne przedmioty, któ-rymi potem by ją obdarzył. Namiot poinformował Dżalilę, że dawniej – z ta-jemniczych, związanych z biologią powodów, których nie udało się jej do końca zrozumieć – we wszechświecie występowało znacznie więcej męż-czyn; niemal tylu, ile żyło wówczas kobiet. Oczywiście wymarli. Następnie sprawdziła znaczenie słowa „gwałt” – chciała się przekonać, czy to naprawdę to, co sobie wyobrażała – i zadrzała, lecz mimo to obejrzała na niebywale szczegółowym hologramie organy, które Kalal ukrywał pod szortami, gdy pomagała mu związać liny. Nie mogła nie żywić wobec niego współczucia. Takie to brzydkie i bezsensowne. Czyżby przyszedł na świat wskutek jakie-go wypadku? a może klątwy? Zaczął ją morzyć sen. Temat ją nużył. Ostat-

nią informacją, jaką zapamiętała, było to, że Kalal wcale nie jest prawdziwym mężczyzną, tylko „chłopcem” – istotą na poły uformowaną; odpowiednikiem dziewczyny – jeszcze jedno stare urziemskie słowo. Wtedy zasnęła i znalazła się z powrotem w blasku gwiazd, wśród kryształowych drzew Tabuthal, gdzie, tańcząc z własnym odbiciem, zastanawiała się, która z nich naśladuje którą.

Następnego dnia rano słońce zaświeciło tak, jakby ani na chwilę nie przestało. Gdy Dżalila wyszła na nowo uformowane patio, obrzuciła jasny dzień takim samym oceniającym spojrzeniem – „Czyżbyś znowu coś knuła?” – jakim patrzyły na nią matki, kiedy wracała z Al Dżanb. Słońce już kilka razy wcześniej robiło tę sztuczkę. Najpierw wydawało się, że jest gotowe zostać z nimi na stałe, a potem, jeszcze przed obiadem, znikало w mokrym mroku. Dzisiaj jednak świeciło bez przerwy. Podobnie nazajutrz. i jeszcze w dzień potem. Gdy słońce nie zgąsło przez kolejne pół miesiąca, Dżalila nabrała pewności, że na Habarze nastała wreszcie Pora Lata.

* * *

Kwiaty oszalały, zwariowały także owady. Wszędzie pojawiły się kolory – pulsowały przed oczami, spływały rojnie po klifach ku morzu, które wyciągało się płaskie i spokojne, obrębione solą, niczym wielkie, wygrzewające się w słońcu zwierzę. w namiocie snów panował najczęściej chłód, a haramlek stał się teraz miejscem pełnym wysokich wiatrołapów zwanych malkafami, migocących wachlarzy i studziennych głębin. Gdy jednak wychodziło się na zewnątrz w południe, poza koronkowy cień muszaraby, wrażenie przypominało cios otrzymany gorącą żelazną patelnią w głowę. Horyzont się cofnął. Góry, wydały z siebie kilka ostatnich burzowych, mglistych pomruków – jakby odchrząkiwały – po czym objawiły się wreszcie wybrzeżu w pełni swego majestatu i wznosiły się wielkie swymi lesistymi zboczami, ponad które wzbijały się skaliste ramiona, ciągnące się nawet, gdy wzrok męczył się już unoszeniem. Wreszcie, nad nimi, niebo – zawsze o tej porze niebieskie – błękitne jak płomień. Nawet o północy widać było poblask tego wirującego ognia.

Dżalila nauczyła się słuchać porad matek i zmieniła rozkład dnia, dopasowując go do władczych wymagań niesłuchanie uciążliwej pogody. Jeśli wstało się wcześniej, wypilo dużo wody i dwukrotnie skłoniło w kierunku Al Toman, dopóki gwiazda wciąż była tylko punkcikiem na zachodzie, można

było dzień zaskoczyć – gdy rosa zalegała jeszcze na kamieniach i kolumnach, a powietrze było miękkie i jedwabiste niczym ramiona widmowych kobiet, jakie niekiedy nawiedzały noce Dżalili. Potem nadchodził czas na śniadanie i pracę oraz pora nauki. Ananke i Pavo przepytywały Dżalilę, by się upewnić, że córka dochowuje zaleceń Zakonów Wiedzy. Do południa jednak cienie się cofały, każdy najmniejszy ślad wilgoci parował, a w głowie zaczynały bzyzczyć roje much. Wówczas szukało się już tylko własnego towarzystwa, choć nawet i jego się nie chciało. Padając w namiocie snów, marzyło się o mrozie i ciemności. Raz bądź dwa – wyłącznie, by dowieść, że da się to zrobić – Dżalila poszła o tej godzinie do Al Dżanb, aczkolwiek oczywiście wszystko było zamknięte, a całe miasto falowało i cuchnęło w upale jak skwaśniała galaretka. Do haramleku wróciła umorusana kurzem i przepocona, niemal na czworakach, z dudniącym bólem w głowie.

Wieczorem, gdy właściwy porządek świata powracał, kiedy Al Toman wiślałaby już na wschodzie, gdyby nie połknęły jej góry, a żar – który nie ustawał nigdy – był mimo wszystko łagodniejszy i bardziej znośny, matki Dżalili znów zaczynały odczuwać brak towarzystwa, głód jedzenia i potrzebę dyskusji. Właśnie chyba owe wieczory były najlepszymi momentami, jakie Dżalila zapamiętała ze swego wczesnego życia na wybrzeżu jedyne, wielkiego oceanu Habary; z tego okresu, gdy zmieniała się z dziecka w osobę dorosłą i kiedy jedynym trwałym elementem świata wydawała się nieskończona, fascynująca zmiana. Jakże się spierały! Lya – jej matka więzi i najstarsza z rodzicielek, nosząca siwe włosy rozpuszczone niczym pajęczyny, dumna ze swego wieku – wymachiwała ramionami, mówiąc i pijąc, wiecznie spowita kłębam dymu. Drobna Pavo, o obliczu gładkim jak rzeźba z drewna muszkatołowca, z małymi, dokładnymi rękoma, która wiedziała wiele, lecz rzadko cokolwiek twierdziła stanowczo. i Ananke – matka krwi Dżalili – którą spośród wszystkich trzech dziewczyna darzyła od urodzenia najgłębszą i najprostszą miłością. Ananke, która zawsze dotykała, zanim cokolwiek powiedziała, i która potrafiła wszystko naprawić swymi pięknymi, smutnymi oczami, jakby dotyk i spojrzenia były o wiele ważniejsze od słów. Dżalila również dojrzała. Dołączała do dysput i sporów – oczywiście uczestniczyła w nich od zawsze, ale obecnie krzywiła się na myśl o bezmyślnych bredniach, jakich matki musiały wysłuchiwać przedtem. Teraz – nareszcie – dysponowała własnymi prawdziwymi, porządnymi, uwagami na temat życia, całymi no-

wymi filozofiami, o jakich nawet nie pomyślał nikt na Dziesięciu Tysiącach i Jednym Świecie... Matki najczęściej słuchały. Czasami zachowywały się nawet tak, jakby dały się mądrościom córki przekonać.

Na tych wieczornych posiedzeniach często pojawiali się goście. Na płaskowyżu Tabuthal goście przypominali rzadkie zwierzęta, którymi się zachwycało, które pieszczono i które niechętnie wypuszczano w dalszą drogę przez czarne, wspaniałe równiny. Tutaj, na nizinach, gdzie ludzie byli niemal tak samo pospolici jak żwir na plaży, podchodzono do wizyt swobodniej. Lya wydawała niekiedy oficjalne zaproszenia, skierowane do osób liczących się w mieście, lub – częściej – to Pavo przyprowadzała kogoś napotkanego na plaży, gdzie poszukiwała nowych form życia. Zdarzało się, że Ananke cicho sugerowała, że chciałaby „wpaść” (kolejne dla Dżalili nowe pojęcie) do nich „sąsiadka” (także). Al Dżanb jednak było miastem niewielkim i jego znamienitości nie były wcale tak znamienite; spotykane przez Pavo podróżniczki często okazywały się równie nieśmiałe jak ona sama, podczas gdy słowo „sąsiadki” stało się synonimem słowa „nudziary”. Niemniej, Dżalila lubiła większość spotkań towarzyskich, przede wszystkim te, na których mogła przedstawić z całą mocą i w pełnej rozciągłości rozwijaną akurat przez nią uniwersalną teorię życia.

Trzepot latami i dłoni. Powolny oddech morza. Dżalila jadła nadziewane chlebki i ful medames, skubała owoce, ssała cytryny i słodkie niebieskie rutta i machała palcami. Nocne owady, połyskujące zebrany pyłkiem, podlatywały ociężałe ku latarniom bądź siadały im na dłoniach. Zdarzało się, że szły potem na brzeg, gdzie Pavo pokazywała im dziwne istoty o okrągłych, błyskawicznie się zamykających paszczach, lub wskazywała szerokie, odległe zagony pływowych kwiatów otwierających się nocami, zgodnie z rytmem przyływów; srebrne, szkarłatne lub jaśniejące, ich pierzaste liście kołysały się w ciemności niczym nawołujące skinieniami palmy z wysp na bajkowych morzach.

Pewnej wolnej od gości nocy, gdy szły na północ, zostawiwszy za plecami światła miasta, a Pavo wypełniała srebrny worek przyszłymi mieszkańcami akwarium, które akurat urządziła – pozornie dla Dżalili, choć w rzeczywistości dla siebie – horyzont nagle zagrzmiał i trzasnął. Dziewczyna, wiedziona nowym odruchem, zerknęła na niebo, spodziewając się ujrzeć chmury przesłaniające nadmorską mgiełkę gwiazd. Powietrze wciąż jednak było nierucho-

me i przejrzyste; niebo miało barwę ciemnej, gorącej krawędzi błękitnego płomienia. Jednakże hurgot i dziwne gromy nadal toczyły się po morzu. Towarzyszyła im świecąca kolumna dymu, która z wolna wychynęła nad horyzont. Noc zamigotała i zapulsowała. Powiało niewiarygodnie gorącym i słonym wiatrem. Kolumna, kiwający palec o paznokciu z płomienia, wciąż pięła się ku górze. Kilka miw wzbilo się do lotu i opadło, hałasując i kracząc na dalekich skałach; czarne kształty w ciemności.

– To początek Pory Rakiet – oznajmiła Lya. – Ciekawe, kto przyleci tym razem...?

2.

Dżalila zdążyła już zawrzeć wiele własnych znajomości, poznała nowych przyjaciół. Młode dziewczęta były wśród długowiecznych Habaran-ludzi względnie nieliczne, a te, które mieszkały w pobliżu Al Dżanb, wciąż to się przyciągały, to wzajemnie odpychały, niczym wirujące magnesy. Starsze mahwagi, które wyszły już z okresu, kiedy potrzebuje się żon i towarzystwa haramleku, i mieszkały same, okazywały się często bardziej od nich zabawne i niemal stuprocentowo ekscentryczne. Wizyta w ich domach okazywała się ulgą i przyjemną ucieczką od małostkowości i seksualnej zazdrości, która zazwyczaj zarażała większość dziewczyn w wieku zbliżonym do Dżalili. Podobnie traktowała Kalala – stanowił dla niej możliwość ucieczki – i z radością pomagała mu przy łodzi, cieszyła się wspólnymi wycieczkami na drugą stronę zatoki, gdzie ponad górskimi grzbietami przelewał się wreszcie niemal chłodny wiatr, zlizujący pot z ich twarzy.

Pewnego gorącego popołudnia Kalal zabrał Dżalilę do portu raketowego. Znajdował się on tuż za horyzontem i była to najdłuższa podróż, jaką dotąd przedsięwzięli. Żagle wypełniły się wiatrem, a ocean, po którym sunęli, wydawał się niemal czarny, choć jednocześnie w pewien sposób przezroczysty. Wpatrzonyj w fale Dżalili wydało się, że dostrzega mgnienia białych, przemykających cielsk wielkich morskich lewiantów, które – jeśli wierzyć miejscowej legendzie – zamieszkiwały dawniej zniszczone skalne pałace, owe kasy, jakie zapamiętała ze swej wędrówki z płaskowyżu Tabuthal. Zmęczone blaskiem słońca, wróciły tłumnie ku morzu, w którym się narodziły, porzucając przy tym klejnoty i bogactwa. Te z kolei zabulgotały pod powierzchnią, po czym wynurzyły się ponownie pod bliźniacze księżycy Habary i stały się zagonami pływowych kwiatów. Ten fragment opowieści poznała z ust Ka-

lala. w przeciwieństwie do większości mieszkańców wybrzeża, Kalala ciekawiły wspomnienia Dżalili z rozgwieżdżonej ciemności Tabuthal i odplącał się jej własnymi historiami z oceanu.

Łódź bmeła naprzód, wyskakując w górę, pieniać fale. Zrobiło się tak cudownie, niemal chłodno. Ale jak daleko od brzegu mógł się znajdować rakietowy port? Dżalila była już wcześniej świadkiem kilku przybyć i odjazdów, oglądała je z nabrzeży Al Dżanb, lecz te odbywały się w lśniących, pozabawionych żagli pojazdach o srebrnych drzwiach, sprawiających wrażenie – gdy odwracały się od brzegu i unosiły na szczydłach ponad wodę – że samodzielnie są w stanie pokonać pół drogi do gwiazd. Kalal przykucnął na dziobie, za tą rozklekotaną szopą, stanowiącą – Dżalila teraz już to wiedziała – magazyn na feromony i liny z hakami, potrzebne do połowu pływowych kwiatów, do których zbiorów została ta łódź przystosowana. Na burcie nie widniała żadna nazwa, lecz Kalal nazywał swój statek rozmaitymi imionami; wymieniał je, nie tłumacząc historii ich powstania. Jeśli w Kalalu w ogóle było coś dziwnego – stwierdziła w duchu Dżalila – to z pewnością jego niezdolność prowadzenia przyzwoitej rozmowy czy wyjaśniania pewnych spraw. To odstręczało wiele innych osób, lecz ona sama odkryła, że większość rzeczy stawała się oczywista, jeśli tylko zostało się przy nim dłużej i nie zadawało bezpośrednich pytań.

Ludzie najczęściej darzyli Kalala współczuciem, lub przyglądali się mu w ten sam sposób, w jaki Dżalila wciąż gapiła się na obcych. Często też zadawano mu pytania, na które nie mógł odpowiedzieć inaczej niż wzruszeniem ramion. Teraz, kiedy poznała go lepiej, Dżalila zaczynała pojmować jak bardzo podobnego traktowania nie znosił – niemal w tym samym stopniu, w jakim nienawidził, gdy traktowało się go jak osobę przeciętną. „Wiesz, jestem mężczyzną” – przypominał niekiedy, gdy miał wrażenie, że Dżalila o tym zapomina. Ani razu nie podjęła ryzyka i nie wytknęła mu, że w gruncie rzeczy jest tylko „chłopcem”. Kalal bywał drażliwy i przewrażliwiony, kiedy zachowywała się przy nim, jakby pewne sprawy nie miały znaczenia. Trudno było również stwierdzić, jaki wpływ na ten jego charakter miała dziwaczna tożsamość płciowa, a jaki własna osobowość.

Nienaturalność Kalala powiększał dodatkowo fakt, że mieszkał z innym mężczyzną – jedynym prócz niego mężczyzną w Al Dżanb – po drugiej stronie plaży, w nadmorskim domku. Łączyła ich relacja krwi, którą Kalal okre-

ślał mianem „ojcostwa”. Ten drugi miał na imię Ibra i znacznie bardziej przypominał mężczyzn z opowieści namiotu snów Dżalili. Był bardzo wysoki, miał czarną brodę, nosił długie, barwne szaty lub przechadzał się z gołą piersią i mówił grzmiącym, głębokim głosem, jakby bez przerwy przemawiał do tłumów przez megafon. Ibra często się śmiał i pod tą jego włochatą maską białały wtedy zęby. Często też poklepywał ludzi po plecach i pytał, jak się mają, po czym – zanim jeszcze odpowiedzieli – wycofywał się i tracił zainteresowanie. Głośno gwizdał i śpiewał, a kiedy pracował przy naprawie feluk – co robił dla chleba – pozdrawiał przechodniów machaniem ręki. Ibra przybył na tę planetę, gdy Kalal był jeszcze dzieckiem, w okolicznościach, które niezmiennie otaczała mgła niejasności. Dżalilę darzył taką samą głośną i pełną uśmiechów przyjaźnią co wszystkich – przypominającą nieprzenikniony mur. Był co najmniej tak samo obcy, jak przywodzące na myśl rury stworzenia, które przyleciały z gwiazd wraz z nastaniem Pory Rakiet – te, które zajęły jeden z większych budynków w Al Dżanb, kazały go oprawić w przejrzysty plastik i zalać lodowatą szarą mazią, by mogły tam zamieszkać. Ibra – na mocy jednego z anonsowanych przez Ananke wieczornych „wpadnięć” – odwiedził kiedyś ich haramlek. Dżalila, rozwijająca wówczas teorię, że żadne inteligentne indywiduum nie może się obyć bez uznania istnienia jakiegoś bytu wyższego, boskiego, stwierdziła, że jej tezy i przykłady toną nagle w nawale kontrtez, przeciwstwierzeń i dziwnych faktów, które, jak na poły podejrzewała, Ibra – pijąc zdumiewające ilości niemal nierozcieńczonego zibib i tryskając na nią kropelkami anyżkowej śliny – wymyślał na poczekaniu. Potem, kiedy szli po plażę, odciągnął dziewczynę na bok, złożył jej ciężką dłoń na ramieniu i wyznał, że bardzo mu się podobała ta ich „szermierka”. Dżalila wiedziała czym jest szermierka, ale zupełnie nie pojęła jej związku z dyskusją. Nie była nawet pewna czy Ibrę lubi. Nigdy natomiast nie udawała, że go rozumie.

Żagle furkotały i trzaskały. Zmierzali ku raketowemu portowi. Kalal był zaabsorbowany, patrzył z dziobu przed siebie, woda rozchłapywała refleksy wokół gibkiego brązowego ciała. Dżalila zdążyła już niemal przywyknąć do jego wyglądu. w końcu oboje byli nieco dziwaczni: ona, ponieważ pochodziła z gór, on z powodu swej płci. i oboje lubili własne towarzystwo, oraz akceptowali się wzajemnie podczas długich okresów milczenia. Nigdy nie zadawali sobie pytania „o czym myślisz?”. Nie interesowali się tym po prostu i

cenili sobie prywatność.

– Spójrz... – Kalal podszedł do steru.

Dżalila ściągnęła kliwer. w wypełnionej furkotaniem wiatru ciszy, wraz ze swoją bezimienną łodzią o wielu nazwach, pohalsowali do celu wyprawy.

Kosmodrom był niemal tak wielki jak góry: oglądany z bliska nie pozwalał się obejrzeć dokładnie. Niemniej, mimo swych rozmiarów, okazał się rozczarowaniem; pusty i zabałaganiony, niczym rozdęta wersja doków Al Dżanb, podobnie cuchnący ropą i śmieciami, spełniający w zasadzie podobną funkcję. Same statki kosmiczne – o ile te potężne, przypominające cysterny obiekty, które majaczyły wiecznie w oddali, gdy zwinęli już żagle i powiosłowali przez labirynt oleistych kanałów, rzeczywiście były statkami kosmicznymi – stanowiły jedynie element tego olbrzymiego kompleksu unoszących się na falach wysp. Większą jego część zajmowały przystanie dla holowników i tankowców, które, spokojnie dysząc, pływały z lodowatego bieguna ku równikowi poprzez oceaniczne bezmiary Habary, odbierały lub dostarczały w hurtowych ilościach surowce bądź towary potrzebne w ludzkich osiedlach do prowadzenia w miarę cywilizowanego życia. Tankowce przypominały rdzewiejące zwierzęta, bestie tak gigantyczne, że gdy się do nich zbliżało, prawie nie rosły. Pomrukiwały i wydawały się dziwnie bezładne, a zarazem pozbawione jakiegokolwiek własnej inteligencji. w kosmodromie nie zobaczyli ani jednego obcego. Nie widzieli też żadnego człowieka.

Sama podróż – jak uznała Dżalila, kiedy w końcu postawili żagle i odpłynęli – była znacznie bardziej przyjemna niż jej cel. Powrót w stronę zaróżowionych słońcem szczytów wybrzeża, które uznała już prawie za własny dom, był naznaczony dziwną tęsknotą, jaka ustąpiła dopiero, gdy dziewczyna ujrzała zarysy przykurzonych, rozświetlonych zabudowań Al Dżanb. Czy mogła to być nostalgia? – zastanowiła się. a może coś jeszcze innego?

Nastało długie lato Habary. Nastąpiła Pora Rakiet. Gdy Dżalila wspomniała o swej wycieczce, Pavo surowo napomniła ją i pouczyła o konsekwencjach zbliżania się do kosmodromu w okresie, gdy w każdej chwili możliwy jest start. Dalej się jednak nie posunęła.

Teraz każdej nocy, i potem późnym porankiem, rakiety huczały na horyzoncie i pięły się ku niebu na swych humorzastych kolumnach, posyłając na brzeg nikłą woń siarki i róż, wzmagając i tak już palący upał. Nocą, na zewnątrz, jeśli spojrzano się w górę, można było niekiedy dostrzec jaśniejące

ogony komet powracających kapsuł, które wpadały gdzieś do odległego morza.

Rozrastały się także zagony pływowych kwiatów. Jeśli wspięło się na górskie zbocza, zanim poranny upał zdążył wszystko spłaszczyć, można było wyjrzeć w dół na te wielkie, mieniące się, poddane wiecznej zmianie kobierce, na których każdy wzór i wir wydawały się zarazem cudowne i niepowtarzalne. Nocami, w namiocie snów, Dżalila wyobrażała sobie niekiedy, że szybuje na nich, dokładnie jak w najstarszych ze starych baśni. Frunęła latającym dywanem ponad obcą krainą, a pod nią, niczym miękkie morze, unosiła się i opadała chłodną nocą pustynia. Oglądała majaczące w oddali pałace i kępy palm, otaczające niewielkie, spokojne jeziora, odbijające srebrzyste światło pojedynczego księżyca. a potem znów ta nieskończona sahara, mroźna i przestronna, wijąca się swymi pagórkami i dolinami, olbrzymia i różowawa w jej snach. Te pagórki, kiedy nad nimi przelatowała i zaczynała się dotykać, okazywały się udami i pierściami. Wiatry mierzwiące wierzchołki wydm stawały się rozedrganymi oddechami.

Nastało długie lato Habary. Nastąpiła Pora Rakiet.

* * *

Robin – hajawan Dżalili – pod czujnym okiem Pavo odzyskała już w pełni siły po zmianie otoczenia. z jej boków zniknęła rdza, połączenia metalu z pokrytym cienkim szarym futerkiem ciałem przestały krwawić i wyglądały należycie. Wyszczupłała i schudła. Nawet pachniała inaczej. Jak pozostałe hajawany, Robin stała się teraz żywiolowa, rześka i brązowooka i nie przeszkadzał jej upał ani nawet brak uwagi ze strony zapominalskiej Dżalili. Tutaj na wybrzeżu, hajawany uważano za drogie, niewygodne i niepewne. Dżalila jednak wraz ze swymi matkami dumnie jeździły przez plażę do Al Dżanb na swych wielkich, płaskostopych, sadzących długimi susami wierzchowcach, ciesząc się spojrzeniami i szeptami ludzi, oraz tą pełną szemrania przestrzenią, która otwierała się wokół nich, gdy wprowadzały hajawany na plac. Kalal, jak zawsze, okazał się jednym z niewielu mieszkańców wybrzeża, który wykazał chęć takiej przejażdżki, więc Dżalila z chęcią go nauczyła. Pokazała mu wszystkie cmoknięcia, zawołania i uderzenia, sposób, w jaki należy korzystać z zagłębienia grzbietu zwierzęcia, podobnie jak korzystało się ze szczytów i dolin morskich fal. Pokazała mu też, kiedy nie należy zbliżać się do ich przedniego ani tylnego krańca. Pamiętając doświadczenia na łodzi –

pierwsze pozostawione przez liny otarcia, rany na głowie i mdłości – zachwycała się teraz odwróceniem ról.

Na Tabuthal powiadają, że zanim ktoś nauczy się jeździć na hajawanie, musi spaść z jego grzbietu dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Kalal zadał owemu twierdzeniu kłam, spadając w ilościach wyrażanych liczbami trzycyfrowymi. Dżalila wybrała dla niego Abu – wierzchowca Lyi, ponieważ było to największe, najbardziej inteligentne i zwykle najspokojniejsze ze zwierząt, chyba że coś je rozdrażniło – a także dlatego, że Lya, bardziej niż inne matki zaznajomiona z panującymi tu obyczajami, jeździła na niej najrzadziej. Dżalila zauważyła, że zwierzęta domowe często dziwnie reagują przy pierwszym spotkaniu z Kalalem – na jego widok i woń. On jednak nauczył się z nimi obchodzić, a ponadto między nim a Abu wytworzyły się więź i swego rodzaju zrozumienie, aczkolwiek hajawan wciąż niekiedy próbował kąsać nogi chłopaka. Dżalila dokonała dobrego wyboru. Oboje, hajawan i człowiek, mimo że byli wyniośli i dumni, w gruncie rzeczy byli weseli i nigdy nie unikali wyzwań. Co prawda, przez cały okres pisanej historii wszystkie hajawany były samicami, lecz Dżalila zastanawiała się niekiedy, czy we władczych, rzucanych z góry spojrzeniach Abu nie kryje się co nieco z samca.

Teraz, gdy nastąpiło lato, a popołudnia rozpyływały się pod beznamiętnym okiem słońca, najlepszą porą na przejażdżki okazały się wczesne poranki. Na północ od Al Dżanb rozciągały się plaże, solne równiny oraz łąki, były tam płoty do przeskakowania i czekające zdziczałe psy – równie męskie jak Kalal – do drażnienia. Na południu jednak wznosiły się skały i rosły lasy, tam wily się prowadzące donikąd ścieżki, tam były przylądki i klify, które można było ujrzyć raz i nigdy potem nie odnaleźć. Najczęściej jeździli właśnie na południe.

– Co by się stało, gdybyśmy jechali cały czas dalej?

Odpoczywali właśnie na płaskim skalistym brzegu, gdzie pobłyskiwał spływający do oceanu strumień, w którym ugasili pragnienie. Hajawany przykucnęły w cieniu urwiska i sennie kiwały łbami, a podwójne powieki zasnuły im oczy. Gdy tylko tu dotarli i zsiadli z wierzchowców, Kalal ruszył z wyciągniętymi ramionami prosto do falującego pływowymi kwiatami morza. Dżalila weszła za nim, zanosząc się kaszlem, czując czepiające się jej ciała wąsy i muskanie płatków. Miała wrażenie, że brodzi w ukwieconej zupie. Kalal zanurzył się po barki i popłynął, co stanowiło umiejętność, jakiej Dża-

lila wciąż jeszcze do końca nie posiadała. Pluskał dokoła niej, drażnił się, rozchlapywał zasłony barwnego światła. Wróciwszy na brzeg, zdjęli ubrania i rozłożyli je na nagrzanym skałach, gdzie parowały teraz niczym świeże chleby.

– Cały kontynent to jedna wielka wyspa – odpowiedziała po dłuższej chwili Dżalila. – Ostatecznie wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Kalal pokręcił głową.

– Och, to przecież nie jest możliwe...

– Więc dokąd byśmy wrócili?

– Do miejsca nieznacznie odmienionego. Kwiaty pływowe stworzyłyby nowe wzory, a i my bylibyśmy już inni. – Kalal zmoczył palec i zapisał coś piśmem naskhi na płaskim, gorącym kamieniu.

Dżalili wydało się, że rozpoznaje słowa poety, lecz pierwsze znaki przemieniły się w parę, nim zdołała pojąć ich sens. To zabawne, lecz w domu, w rozmowach z matkami i ich gośćmi, a nawet z wieloma spośród rówieśnic, tego rodzaju twierdzenia, jakimi się właśnie wymienili, stałyby się zarzewiem długiej dyskusji. Przy Kalalu jednak słowa po prostu zawisły w powietrzu. Kalal wiecznie parł naprzód, szedł przed siebie. Nie zostawało nic. Jest w nim coś dziwnego, pomyślała Dżalila, coś w rodzaju zagubienia i pustki.

Siedział w pozycji ukazującej jej oczom większą część genitaliów, które wyglądały ze swego włochatego gniazda niczym małe zwierzątko. Do nich – podobnie jak do reszty dziwacznych odmienności Kalala – zdołała już prawie przywyknąć. Podrapała się w nos, zebrała ze skóry kilka wciąż przyklepionych płatków, czepiających się jej jak mokre konfetti. Nie czuła specjalnej ciekawości. o wiele bardziej niż zabawnego ciała chłopca, Dżalila wstydziła się własnego – zwłaszcza rosnących piersi, które wciąż były nieco asymetryczne. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zrównają się rozmiarami, czy już na zawsze pozostanie niepięknym dziwadłem, w rodzaju Kalala? Lepiej o takich rzeczach nie myśleć. Lepiej po prostu cieszyć się słońcem piekącym ramiona, rozplatającym loki włosów.

– Wracamy? – zapytał wreszcie Kalal. – Upał coraz większy...

– Czemu mielibyśmy się tym przejmować? Jeśli pojedziemy naprzód, wrócimy do punktu wyjścia.

– Założymy się? – Kalal wstał z miejsca.

Zatem pojechali dalej, pod górę, przez niezbadany las, w którym urziemskie drzewa plątały się z niebieskimi pierzastymi liśćmi rodowitych grzybów Habary; przez las, w którym ptaki milczały, a szelest wyschniętego poszycia stanowił jedyny wyraźny odgłos. Po jakimś czasie musieli schylać głowy pod konarami, wreszcie szli piechotą, zdezorientowani i gotowi w każdej chwili zawrócić. Wreszcie znaleźli ścieżkę i na powrót wskoczyli na grzbiety hajawanów. Drzewa zniknęły i okazało się, że wyjechali na wierzchołek urwiska znajdującego się o wiele wyżej ponad mrugającym morzem, niż sądzili. Wokół klekotał żar południa. Przed nimi, w miejscu gdzie klif wyciągał się ponad ocean niczym zaciśnięta dłoń, rozmigotany, a jednak solidny wznosił się jeden ze zniszczonych zamków lub formacji geologicznych, które ponoć zostały porzucone przez morskie lewiatany jeszcze przed przybyciem ludzi – kasr. Pojechali ku niemu z wolna. Łapy wierzchowców brodziły w pyłe. Budowla wyglądała jak z bajki – częściowo naturalnego pochodzenia, lecz zaopatrzona w dach i ściany, o szaroczarnych dachówkach i wielkich, zdobnych oknach rozmigotanych barwami morza. Kalal nakazał gestem milczenie, zsiadł z Abu, poprowadził ją z powrotem pod cieniste ramiona lasu i naciśnął przycisk pętający jej nogi.

– Ty znasz to miejsce?

Kalal przywołał ją skinieniem.

Dżalila, znając go na tyle, by nie zadawać dalszych pytań, posłuchała.

z bliska większa część kasru wyglądała na wykonaną z usianej kryształkami kwarcu odmiany tego samego stopionego kamienia, z jakiego wzniesiony został haramlek Dżalili. Jednakże inne fragmenty wyglądały na skały zrodzone mocą przyrody. Do wielkiej, łukowato sklepionej bramy z wybielonego przez słońce i wzmocnionego żelazem dębowego drewna wiodła po zwężającym się klifie ścieżka, lecz Kalal skierował Dżalilę w bok i pod górę, wokół ostro skręcającego, gorącego urwiska, które wydawało się, że jest gotowe w dowolnej chwili strącić ich do morza. Wciąż jednak mogli iść naprzód, bez przerwy mieli się czego przytrzymać. Sądząc po pewnych ruchach pokonującego tę urwistą trasę, potem przeskakującego już po rażących, czarnych dachówkach i wreszcie wskakującego w nagły chłód wąskiego korytarza Kalala, Dżalila domyśliła się, że odwiedzał ten kasr już wcześniej. Początkowo nie czuła, że wkracza na cudzy teren. Zamek wyglądał na stary i opuszczony, rzadko odwiedzany monument. Sufity pokrywały plamy. Na korytarzach śla-

ły się zeszlóroczne liście. Gdzieniegdzie na ścianach widniały fryzy i długie szeregami liter, starych i niewyraźnych, które Dżalila rozumiała nie lepiej niż tekst, jaki Kalal spisał wcześniej na gorących skałach.

Wtedy Kalal zatrzymał ją gestem i przystanęła blisko niego. Wyjrżeli przez skomplikowaną kamienną koronkę muszaraby prosto w słońce. Widoczne w dole urwisko wskazywało, że wciąż znajdują się bardzo wysoko. Poniżej, na centralnym dziedzińcu kasru, w pewnym sensie szokująca po całej tej pustce, igrała w ogrodzie fontanna. Woda wyciekała z jej misy i płynęła stalowymi palcami rynienek ku ceniom krążanków.

– Ktoś tu mieszka?

Kalal wypowiedział bezgłośnie słowo „tarika”. Dżalila w jakiś sposób zrozumiała natychmiast. w Porze Rakiet wszystko nabrało sensu, nawet mgliste sceny i hieroglify wyrte w dziurawych niczym plastry miodu kamieniach tego bajkowego zamku. Tariki były w końcu zwykłymi ludźmi, a w pobliżu znajdował się kosmodrom; gdzieś musiały mieszkać. Dżalila spojrzała na swoje zdarte sandały, nagle zawstydzona, że dotąd ich nie zdjęła – było już jednak za późno, gdyż pod nimi, poza siatką muszaraby, oderwała się z cieni jakaś postać. Tarika była wysoka i chuda, czarna i przygarbiona niczym wypalona zapalka. Kroczyła o lasce. Dżalila nie miała pojęcia, czego się spodziewała – od chwili spotkania z Kalalem zdążyła już dojrzeć i nie sądziła, że wie wszystko, tylko dlatego że uczyła się o wszystkim w namiocie snów. Niemniej jednak tarika nie wyglądała jak osoba zdolna prowadzić statki kosmiczne, pokonując niewiarygodne odległości między gwiazdami. Postukując laską, szła powoli wokół fontanny na dziedzińcu. Była znacznie starsza i o wiele bardziej krucha niż ktokolwiek, kogo Dżalila w życiu widziała. Przyjrzała się porośniętemu niebieskimi kwiatami krzewowi, dotknęła bulgocących, kamiennych ust fontanny. Miała łysą głowę barwy hebanu. Palce koloru grafitu. Jej oczy były równie białe i ślepe jak iskierki kwarcu w stopionych skałach budynku. w pewnej chwili zadarła ku nim głowę. Dżalili zrobiło się zimno. Przecież to niemożliwe, by ich dostrzegła. Poza tym, w jej geście było coś sugerującego, że uniosła wzrok z nawyku. Jakby dotykając fontanny i doglądając ukwieconego krzewu, tarika codziennie o tej porze spoglądała w górę, na to konkretne miejsce ukryte pośród wysokich kamiennych murów.

Dżalila poszła za Kalalem dalej przez korytarze, w dół po schodach i przez

kładki z pięknie przezrystego szkła, wiszące nad pryzmatycznym morzem. Znowu zauważyła tarikę – ta wciąż szła powoli, niczym stara żółwica wyciągnęła szyję, by powąchać kwiat. w tej części kasru pojawiło się więcej śladów świadczących o tym, że był zamieszkanym. Porozrzucane kartki i książki. Przeżarty przez mole gobelin, wydymający się w pozbawionym szyby łukowato sklepionym oknie, skąd rozciągał się widok na morze. Puste wieszaki na płaszcze, zrzucone w stosy niczym szkielety owadów. Działająca, choć wyraźnie rzadko używana chemiczna toaleta. Teraz, kiedy zniknęło już wstępne poczucie zaskoczenia, ta mieszanka niezwykłości i codzienności zaczęła się wydawać lekko zabawna. Tutaj kuchnia i na pół przeżuta pajda chleba aisz, leżąca na upstrzonym zaschniętymi nasionami talerzu. Pomyśleć tylko, że można podróżować wśród gwiazd i nadal jadać pieczywo z pomidorami! Oboje, Kalal i Dżalila, mieli zaczerwienione twarze i dławili się tłumioną wesołością. Gdy zeszli na poziom krużganków, kuląc się w cieniu, spojrzeli na przygarbione plecy tariki. Naprawdę wyglądała jak wymizerowana żółwica, przemocą pozbawiona muszli i przechadzająca się wśród krzewów. Miało się wrażenie, że lada chwila zacznie pożerać ich liście. Kierowała się bardziej dotykiem niż wzrokiem. Pośród nieprzebranych barw dziedzińca, między migoczącymi szklanymi dzwonekami wietrznymi, pobrzękującymi w odległych bramach, idąc po omacku, choć niekiedy obrzucając przedmioty spojrzeniem tych dziwacznych białych oczu, wydawała się naprawdę ślepa, a przynajmniej straszliwie krótkowzroczna. Wesołość Dżalili z wolna ustąpiła, zastąpiona współczuciem wobec starej istoty, którą do tego wieku, do tego uwiadu, do tego zniszczenia doprowadził dziwny proces międzygwiezdnych podróży. Ból Odległości – gdzie i kiedy usłyszała to wyrażenie?

Kalal nadal stał z wydętymi policzkami. Oczy mu łzawiły i zatkał usta zaciśniętą pięścią. Wciąż tłumił śmiech. Wreszcie wydał z siebie nosowy pomruk, który – Dżalila była pewna – tarika musiała usłyszeć. Nie poruszyła się jednak. Zupełnie jakby ich nie zauważyła, choć wiedziała już, że poza nią ktoś tu jest. w jej ruchach znać było smutek i rezygnację, w postukiwaniu laski... Kalal jednak zdołał się opanować i na oczach Dżalili jego palce zaciśnęły się na ukruszonym kawałku chodnika. Chwilę potem kamień zatoczył ponad słonecznym dziedzińcem łuk tak doskonały, że nie było najmniejszych wątpliwości, że zakończy lot pomiędzy ptasimi ramionami tariki. Tak się też stało – lecz wtedy oboje już biegli, a tarika, z niezmienną powolną rezygna-

cją, prostowała grzbiet. Tuż zanim wpadli na schody, Dżalila obejrzała się przez ramię i poczuła na twarzy gorący promień światła z jednego z wysokich okien kasru. Tarika patrzyła swoimi niewidzącymi, białymi oczyma prosto na dziewczynę. Kalal złapał ją za rękę, i znowu pobiegła.

* * *

Dżalila była zła na siebie i zła na Kalala. „To do niej niepodobne” – powtarzał głos przypominający niezbomy chór jej trzech matek – „by dręczyć biedną, starą mahwagę, nawet jeżeli owa mahwaga była przypadkiem również postarzałą tariką”. Dżalila jednak była młoda, a życie parło naprzód. Głos wkrótce umilkł. Tak czy inaczej nadchodził moulid i należało się do niego przygotować.

Organizacja festiwalu, tu, na wybrzeżu, jak i na całej planecie, zawsze stanowiła poważne wyzwanie. Rok astronomiczny na Habarze był tak długi, że trzymanie się tradycyjnego cyklu moulidów nie miało sensu, lecz jednocześnie nikomu nie było w smak czczenie tego samego świętego lub obchodzenie eid o niewłaściwej porze. Post przecież przynależał ziemie, a w środku wiosny nikt nie był w stanie sprostać zobowiązaniom wobec Wszzechmogącej, nie z tym samym poczuciem oddania i spokoju. Błędy również ludzkie wspomnienia o tym, jak wielbiło się konkretnego świętego jesienią, i nikt nie umiałby cieszyć się w koszmarnym upale oświeceniem celebrowanym dawniej walką na śnieżki. Dodatkowo pojawiały się problemy logistyczne, związane z zaspokojeniem potrzeb populacji nielicznej, lecz rozsianej po całej olbrzymiej planecie. Przybywali oczywiście wędrowni grajkowie, handlarze, podróżujący z miejsca na miejsce sufi i kapłani, lecz nie byli przecież w stanie znaleźć się wszędzie naraz. w rezultacie datę każdego moulid ustalono na Habarze lokalnie według ruchomego kalendarza i po wielu dyskusjach i spotkaniach wyszło na to, że rzadko wypadały dwukrotnie w tym samym terminie i równie rzadko obchodzono to samo święto jednocześnie w różnych miejscach. Lya angażowała się w tego rodzaju dyskusje z entuzjazmem osoby, której w samotnym życiu na Tabuthal brakowało podobnych komplikacji. To właśnie Lya była w Al Dżanb światłem przewodnim organizacji Moulid Pierwszego Zasiedlenia – upamiętniającego moment przybycia na Habarę błogosławionej Joanny, która wylądowała w miejscu pozostającym przedmiotem sporu kilku miast i która zasiała pierwsze nasiona z urzemi i przeżyła pierwsze pięć długich habarańskich lat, karmiąc się jedynie pływowymi

kwiatami i gwiazdną poświatą i czekając na Pię, swoją kochankę, pływała po oceanie na grzbietach morskich lewiatanów, jakby były hajawanami – a reszta haramleku miała ją w tym wspomagać.

Na jeden dzień i noc miało zostać odmienione całe Al Dżanb. Działała pomagała młotkiem i igłą, dostrajała kryształy i rośliny Pavo, których zadaniem było przekształcenie wyłożonej nierównymi płytami drogi między haramlekiem i miastem w połyskujący tunel. Jednakże jej myśli najbardziej były zajęte owymi farbowanymi jedwabiami, które to pojawiały się, to znikały z pewnego straganu na rynku. Była pewna, że wyglądałyby na niej idealnie. Pośród planowania i niepokoju, że wszystko obróci się w katastrofę, starannie urabiała kolejno każdą ze swych matek – aluzja tu, sugestia tam. Nakłanianie ich, by zaakceptowały tak wielką ekstrawagancję, stanowiło proces bardzo delikatny, niczym przyzwyczajanie nowego hajawana do noszenia siodła. Oczywiście pojawiały się opór i dzikie wierzganie, lecz przecież było się cierpliwym, było się silniejszym. Znało się cel. Nie zbaczało się z raz obranej drogi. Wracało się do sprawy chwila po chwili, nieustannie.

w dniu, gdy Ananke ostatecznie uległa, zerwał się niepokojący wiatr, szarpiący miękkie, na poły uformowane zarośla, które niczym srebrzysty śluz pojawiły się pomiędzy zwykłymi chwastami wzdłuż drogi do Al Dżanb. Pavo martwiła się losem swoich wytworów. Życie Lyi stało się jednym, bezustannym spotkaniem. Nawet Ananke wydawała się niespokojna, gdy wkroczyły do Al Dżanb, gdzie pod szarzącym niebem migotały już na budynkach i placach świeże, niedokończone jeszcze projekcje niczym preludium bólu głowy. Działała, przy każdym frustrującym przystanku, poganiała swoją matkę krwi. Była pewna, że targu już nie będzie, a jeśli nawet, to na straganie z wietrznymi jedwabiami nie będzie już towaru, a jeżeli nawet będzie, to że te konkretne, jakie sobie upatrzyła, okażą się wyprzedane...

Martwiła się niepotrzebnie. Co więcej, pojawiła się zupełnie nowa dostawa wietrznych jedwabi, jeszcze bardziej cudownych i kolorowych. Sprowadzono je specjalnie z okazji moulid. Powiewały i falowały niczym smugi barwnego dymu. Działała chwyciła je w dłonie i podziwiała.

– Myślę, że mogą na tobie wspaniale wyglądać...

Działała odwróciła się w stronę głosu. Ujrzała Nairę, dziewczynę starszą od niej około półtora standardowego roku, której matki należały do najbogatszych i najbardziej wpływowych osób w Al Dżanb. Sama Naira była jedno-

cznie piękna i inteligentna; sprytna i niekiedy druzgocąco okrutna. Zwykle znajdowała się w centrum uwagi, otoczona rozgadany, pełnym podziwu orszakiem zwykłych śmiertelniczek, w którym czasami pojawiała się również Dżalila. Dziś jednak dziewczyna była sama.

– Spójrz, Dżalilo. Ten szkarłat. Przy twoich włosach i oczach...

Uniosła jedwab do twarzy Dżalili i oplotła ją niczym jasmakiem. Tkani-
na zatańczyła dokoła jej oczu. Zamgliła ramiona. Ten konkretny kolor wyda-
wał się nieco zbyt śmiały. Spojrzenie Nairy jednak, rozmigotane i nawet na
moment nieodrywające się od oblicza Dżalili, oraz jej gładzące dłonie, za-
pewniały bardziej dobitnie, niż mogłoby to uczynić jakiegokolwiek lustro, że
strój jest twarzowy. a potem był niebieski – w tym ognistym odcieniu let-
niej nocy. Były też srebrne sprzączki do spinania wietrznych jedwabi, któ-
rych Dżalila nigdy przedtem nie zauważyła. Właścicielka straganu, wyczuwa-
jąc u klientki pragnienie wykraczające poza codzienne zakupy, wyciągała z
kufra kolejne niespodzianki. „Proszę tylko dotknąć! Takie robi się tylko w
jednym miejscu, na jednej planecie, o ściśle ustalonej porze roku. Proszę po-
patrzeć! Te pędraki wykluwają się tylko na dźwięk głosu szczególnego gatun-
ku ptaka, śpiewającego jedynie raz w życiu, tuż zanim odda swego ducha
Wszechmogącej...”. i tak dalej. Ananke, widząc, że Dżalila znalazła sobie
bardziej zainteresowaną i skorą do pomocy towarzyszkę, wsunęła córce w
dłoń sumę znacznie większą od obiecaną, po czym zostawiła ją z uśmiechem
i dziwnym, rzuconym przez ramię spojrzeniem.

Resztę tego szarego i wietrznego popołudnia Dżalila spędziła z Nairą. Wy-
bierały stroje i ozdoby na moulid. Obrączki na nadgarstki i kostki. a może
nawet – nie? tak? – jakiś skromny diadem. Bele materiału w kolorze dzisiej-
szego nieba rozwijały się na jej biodrach, równoważąc piękno wietrzego je-
dwabiu. Klejnot, wciąż jeszcze wypełniony szafirowym światłem odległego
słońca, zamrugał w jej pępku. Naira, ze swymi ciemnoblon włosami, jasno-
brązowymi oczyma, delikatnymi i silnymi dłońmi, które pod paznokciami
miały jasnorożową barwę wnętrza muszli, niemal nie potrzebowała poprawiać
swej urody. Dżalila jednak wiedziała z niekończących się studiów nad sobą,
prowadzonych przed lustrem w namiocie snów, że powinna być bardziej
ostrożna: niewłaściwy kąt patrzenia, złe oświetlenie, zarodek pieprzyka i
wszystkie starania mogły pójść na marne. Nigdy przedtem nie przejmowała
się podobnymi sprawami tak bardzo jak w to wietrzne popołudnie, spaceru-

jąc między straganami i sklepikami wśród zapachu paczuli. Być głównym punktem uwagi własnej i jeszcze innej osoby! Dłonie Nairy gładzące jej plecy i ramiona, unoszące włosy, pot stygnący na jej karku, chłodny dotyk i grzechot bransoletek zsuwających się, kiedy unosiła ramiona...

– Mogłybyśmy zostać bohaterkami bajek, Dżalilo. Wyobraźmy sobie, że jestem Szeherazadą. – Naira zarzuciła ślicznymi włosami. Płynne złoto. Muszelnikowe palce zagrały. – Ty możesz być Dinarzadą, moją siostrą...

Dżalila entuzjastycznie pokiwała głową, chociaż Dinarzada była – o ile dobrze pamiętała opowieść – znacznie mniej atrakcyjną postacią; jej rola sprowadzała się do tego, że budziła Szeherazadę w komnacie sułtana przed pierwszym pianiem koguta. Jednakże w kończynach i gardle poczuła coś dziwnego, jakąś miękkość i ociężałość. Przypomniała sobie – wkładając i zdejmując kolejne stroje – lalkę Tabathę, którą dawniej, jeszcze w Tabuthal, tak uwielbiała, a którą niedawno znalazła i z jakiegoś niezrozumiałego powodu zapragnęła pogrzebać...

Unoszenie, naciąganie. Oceniające dłonie Nairy i jej spojrzenia, jej oczy. Ta bezwolna ociężałość. Dżalila wróciła do haramleku oszołomiona, wyczerpana i szczęśliwa, a także bez grosza przy duszy.

* * *

Tego wieczoru podjęły na kolacji kolejnego gościa. Gościa, który musiał przybyć jakimś pojazdem, lecz do ich werandy podszedł pieszo, jakby całą drogę przebył w ten sposób. Dżalila, z głową wypełnioną myślami o tylu rozmaitych sprawach, nakrywała właśnie do stołu, gdy usłyszała szmer kroków. Dźwięki były tak powolne, że dopiero po chwili uświadomiła sobie ich obecność, podniosła wzrok i ujrzała chudą, ciemną postać kroczącą po piaszczystej ścieżce pomiędzy rozkołysanymi, świeżo wyrzeźbionymi krzewami Pavo. Jedną rękę opierała na lasce, drugą wyciągała przed siebie, jakby czegoś szukała. Wstrząśnięta Dżalila upuściła miskę. Odniosła wrażenie, że naczynie turla się po stole w nieskończoność, wesoło uciekając przed jej palcami, by w końcu stoczyć się z blatu i roztrzaskać na podłodze na kilka tysięcy białych kawałeczków.

– Ojej – odezwała się tarika, wspinając się wreszcie na stopnie obok przewiewnej kraty na pnącza, postukując laską. – Może lepiej pójdz i powiedz o tym któreś ze swoich matek, Dżalilo.

Dziewczynnie zapało dech w piersi. Przez cały wieczór czuła że tarika przy-

gląda się jej swymi białymi jak od jaglicy oczyma, wyglądającymi z poznaczonego bliznami oblicza, przypominającego wyrzucony na morski brzeg kawałek smolistego drewna. Jeżeli nawet pominąć dziwny fakt, że знаła jej imię, co zapewne dałoby się jakoś wytłumaczyć, Dżalila nabierała coraz większego przekonania, iż tarika wie, że to właśnie ona z Kalalem szpiegowali ją i rzucili kamieniem tamtego upalnego dnia. Zupełnie jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Niemniej, w pewien sposób miało. i to stanowczo większe niż powinno. Pogrążona w tych niezbornych domysłach i wspomnieniach z jedwabistego popołudnia z Nairą, Dżalila ledwie śledziła rozmowę. Pogoda wciąż była wietrzna, latanie wirowały, bawiąc się kształtami z cieniem, podmuchy pozwalały gobelinom oddychać. Głos tariki okazał się równie kruchy jak cała jej postać. Niósł się na tańczącym powietrzu niczym chrobotanie owada.

– Dżalilo, może wybierzemy się na przechadzkę po plaży?

– Co? – Drgnęła, jakby wyrwana gwałtownie ze snu.

Matki uprzętały już naczynia i zerknęły na nią z dziwnymi minami. Głos rozległ się wewnątrz jej głowy, a tarika siedziała, z wyciągniętą poparzoną, rozcapierzoną ręką, w nadziei – jak domyśliła się dziewczyna – że Dżalila pomoże jej wstać od stołu. Płaszcz staruszki zsunął się w tył. Jej ramię przywodziło na myśl oglądane kiedyś przez Dżalilę zdjęcia wyschniętego, ludzkiego truchła. z wysiłkiem, niemal tłukąc przy tym kolejną miskę, dziewczyna okrążyła nakryty falującym obrusem stół. Jeszcze więcej siły woli zużyła, by złożyć własną rękę na dłoni tariki. Spodziewała się, że w dotyku będzie przypominać wyprawioną skórę, i nie pomyliła się. Była też jednak gorąca, bardziej niż u powalonego febrą człowieka. Straszne palce zacisnęły się na dłoni Dżalili. Chwila bezruchu. Następnie tarika podniosła się z zaskakującą energią i sięgnęła po laskę, nie wypuszczając przy tym ręki dziewczyny, choć nie podpierając się na niej w najmniejszym stopniu.

a więc jest w stanie poradzić sobie sama, stara wiedźma, pomyślała Dżalila. Nie jest też ślepa. Przez cały wieczór jadła kofta, sięgała po figi...

– Co wiesz o gwiazdach, Dżalilo? – spytała tarika, kiedy szły wzdłuż plaży.

Rosnące przy drodze wytwory Pavo wciąż wyglądały surowo i dziwnie, na pół ukształtowane kołysały się na wietrze, niczym chwiejne, srebrne odnóża przewróconego na grzbiet owada. Fale biły i cofały się, wyrzucając pływowe

kwiaty daleko na żwir. Laska tariki strzelała daleko przed nią, niczym język węża.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Istnieją Wrota, tyle wiedziała od zawsze. Zatem Wrota istnieją i tylko one umożliwiają międzygwiazdne wędrówki, nikt bowiem nie przetrwałby eonów czasu potrzebnych na pokonanie choćby ułamka drogi na wskroś Dziesięciu Tysięcy i Jednego Świata za pomocą tradycyjnych środków przemieszczania się z miejsca na miejsce.

– Nie, oczywiście – mówiła tarika – że ludzie nie robią takich rzeczy. Są opowieści, one zawsze się pojawiają, o pilotowanych przez sufich statkach-widmach, dryfujących przez czerń czerni przez dziesiątki stuleci... Ale bogactwo, kontakty, wspólnota, wszystko to przepływa przez Wrota. Sama Wszchemogąca zapewniła środki do ich stworzenia w Dniach Kreacji, kiedy to wszystko, co było i kiedykolwiek będzie, wylało się w przestrzeń tak pustą, że nie była nawet próżnią. w tych pierwszych momentach sprzeczne ze sobą żywioły zderzały się, powstawały ograniczenia, wymiary pojawiały się i znikwały, choć nigdy do końca, niczym widoczne na tych skałach smużki soli, wyznaczające granice pływów... – tarika machnęła laską – ...których nawet słońce i eony nie są w stanie wywabić do reszty. Te ograniczenia nazywają się kosmicznymi strunami, Dżalilo, i nie mają końca. Muszą tworzyć małe pętle, lub rozciągać się z jednego krańca wszechświata ku drugiemu, po czym zwracać raz po raz w nieskończoność.

Dżalila popatrzyła na przypiętą do płaszcza tariki broszkę w kształcie pochłaniającego własny ogon robaka. Rozumiała, że fizyczne odległości pomiędzy gwiazdami są ogromne, lecz słowa staruszki w jakiś sposób sprawiały, że odległości, które pokonywała, by uniknąć zwykłych podróży, wydały się jeszcze większe...

– Musisz pojąć – ciągnęła tarika – że my, tariki, by przejść z jednej strony Wrót na drugą, przemierzamy coś znacznie bardziej przerażającego od nicości.

Dżalila skinęła głową. Była młoda i „nicość” nie wydawała się jej czymś szczególnie groźnym. Przeczuwała jednak, że w tym niemal ślepych spojrzeniu i szepczącym głosie kryją się odpowiedzi na zagadki, jakich nigdy nie otrzymałaby od namiotu snów ani od matek.

– Ale, hanim, co może być gorszego niż czysta nicość? – spytała z powątpiewaniem. Nie mogąc posłużyć się słowem „tarika” jak imieniem, uciekła

się do tego krótkiego, grzecznościowego zwrotu.

– Ach, przecież nicość to nic, Dżalilo. Wyobraź sobie zamiast tego przekraczanie wszystkiego! – Tarika zachichotała i uniosła wzrok ku niebu. – Gwiazdy są takie piękne, podobnie jak noc. Pochodzisz, jak słyszę, z Tabuthal. Tam niebo musi wyglądać zupełnie inaczej.

Dżalila przytaknęła. Doznała ulotnej wizji. Powróciło uczucie, którego doznaje się tam, w górze, w najczystsze, najzimniejsze noce – jakby stało się wśród otaczających ze wszystkich stron gwiazd. Nawet teraz, choć pokochała fetor i bezustanne zdumienia wybrzeża, wciąż czuła niekiedy ukłucia nieokreślonej tęsknoty. Brakowało jej zarówno miejsca, jak i samego wrażenia, uczucia, tym bardziej że podejrzewała, iż płaskowyż – gdyby na niego wróciła – wydałby się jej teraz ponury i jałowy. Domyślała się, że ma to coś wspólnego z końcem dzieciństwa. Zupełnie jakby znalazła się na statku, na bezimiennej łodzi Kalala i patrzyła na znikający brzeg – połową siebie ciesząc się z rozstania, a połową z jego powodu cierpiąc. Oba te sprzeczne impulsy toczyły w niej wojnę...

Ku swemu zaskoczeniu, Dżalila uświadomiła sobie, że nie tylko myśli, ale i wypowiada to wszystko na głos, i że tarika – idąca swym wolnym tempem, z grzbietem uginającym się pod ciężarem głowy, z laską wyszeptującą nierówną linię w piasku, z łopocącymi dokoła czarnymi połami swej dżiba – słucha. Dziewczyna pomyślała, że także tarika była kiedyś młoda, choć niełatwo to sobie wyobrazić. Morze pienilo się i szeleściło. Znalazły się w miejscu, gdzie, łagodnie brzęcząc, niemal zupełnie ukryta, jakby wstydliwie, czekała kolasa tariki. Była mała, filigranowa – pojazd równie stary, czarny i zdobny jak brosza na płaszczu. Dżalila pomogła starusze przejść przez las. Drzwi kolasy otworzyły się, skrzypiąc niczym żelazna brama, po czym zamknęły za tariką. Kilka świerszczy zagrało wśród nocnego upału. Wreszcie, z cichym szumem i elektryczną poświatą przypominającą iskry skaczące z potartego o ciało wietrznego jedwabiu, kolasa wzniosła się nad wierzchołki drzew i odpłynęła.

* * *

Nastał dzień, na który wyznaczono moulid. Festiwal okazał się dokładnie takim wydarzeniem, jakiego oczekiwała Dżalila, choć nie przykładła do niego zbyt wiele uwagi. Skomplikowana, przypominająca wydłużoną altanę konstrukcja, nad którą pracowała Pavo, przybrała ostatecznie zaplanowany kształt

– prawdę mówiąc, okazała się, pięknym zrządzeniem losu, nawet bardziej wdzięczna. Gdy niebo się oczyściło, słońce zaświeciło przez pryzmatyczne łuki. Kwiaty, wieczór wcześniej jeszcze przygaszone, rozwinęły zniecka swoje wyglądające jak wykute z mosiądzu płatki, a pręciki uformowały się w taki sposób, że wiejący nieustannie wiatr – którego Pavo obawiała się od samego początku – przelatywał przez nie, śmiejąc się, pogwizdując i trąbiąc. Człowieka idącego pod tymi łukami migotliwych cieni atakowały wonie i pobrzękiwanie niewielkich orkiestr. Uszy Dżalili były jednak głuche, a oczy pozbawione mocy patrzenia. w końcu była przecież Dinarzadą, a Naira była Szeherazadą z tysiąca i jednej nocy.

Odziana w wirujące wietrzne jedwabie, z mocno bijącym sercem, wkroczyła do Al Dżanb. Dzisiaj wszystko było tu odmienione. Zbyt wiele barw i dźwięków. Ludzie próbowali porwać ją do tańca, inni chcieli jej coś sprzedać. Niektórzy obcy przebrali się – prawdopodobnie – za ludzi. Niektórzy ludzie z całą pewnością przebrali się za obcych. Stopy Dżalili, w nowych szkarłatnych pantofelkach, pokryły się pęcherzami i stały się niezwykle wrażliwe. i była też Naira, ubrana w srebrzyste, przewiewne spodnie i bluzkę o prostocie tak wstrząsającej, że Dżalila poczuła, że serce jej dygoce i zatrzymuje się. Nairę otaczał niewielki wir jej zwykłych wielbicielek. Stojąc na skraju grupy, obrzuciła Dżalilę spojrzeniem, po czym przywołała ją skinieniem. Pomysł Dinarzady i Szeherazady, który Dżalila uważała za ich wyłączny sekret, znali już wszyscy. Pozostałe dziewczyny śmiały się i tłoczyły dookoła, podziwiając, żartując, dotykając i głaszcząc ją, jakby była hajawanem. „Dżalilo, to ty! Takie piękne klejnoty, takie jedwabie”... Dżalila niemal zamarła z rozedrganym sercem. „Takie to cudowne, przepyszne! i ty, taka za dbana”... Pomyślała, że bez tych wszystkich komplementów mogłaby przeżyć wiele długich i szczęśliwych żywotów.

w ten sposób płynął dzień. Wciąż w tłumku dziewcząt. Dżalila czuła się naraz przesadnie wystrojona i odsłonięta, w swoich szepczących, lejących się jedwabiach, które przesłaniały i jednocześnie ukazywały jej ciało. Czuła się jak dziecko wystrojone w paradny strój ze wstążeczkami, a kiedy podeszła do niej jedna ze starych mahwagi i wcisnęła jej w dłoń kleistą porcję basbusy, czara upokorzenia wreszcie się przelała. Odeszła samotnie i znalazła Kalala, który wraz z ojcem pracował na jednym ze straganów na nabrzeżu, w pobliżu rozkołysanych masztów większych trawlerów. Wokół mężczyzn gęstniał tłum

ciekawskich i kupujących. Ibra świetnie się bawił, wykrzykiwał swym potężnym, gromkim głosem zachęty i zanosił się śmiechem. w końcu udało im się zebrać pływowe kwiaty, do których połowu została zaprojektowana beziemienna łódź, i sprzedawali teraz wszelkie ich odmiany, wciąż jeszcze słone, prosto z oceanu.

– Przymierz... – Kalal odciągnął dziewczynę na skraj połyskującej oleście zatoki. w rękę trzymał tylko jeden kwiat, zabarwiony takim samym intensywnym szkarłatem i błękitem jak jej jedwabie. Wnętrze kielicha przypominało oko anemonu.

Działili zrobiło się przyjemnie. Niemniej zawahała się.

– Nie jestem pewna, czy powinnam nosić na sobie coś martwego.

Wiedziała, że już w tej chwili wygląda śmiesznie. Kwiat w niczym by jej nie pomógł.

– Nie jest martwy, żyje jak i ty.

Kalal uniósł kielich wyżej i przytknął go do ramienia dziewczyny, w miejscu gdzie zaczynała się jej pierś. Musnął płatkami jej jedwabie, gestem, który na moment przypomniał jej o Nairze.

– Poza tym, czy ta tkanina nie jest martwą tkanką jakiegoś stworzenia...?

Jego dłonie wciąż gładziły i Działila znowu pomyślała o Nairze. Przebrana jak lalka. Sutki zaczęły jej twardnieć.

– Jeżeli jutro rano zawieziemy go z powrotem na zagon i ostrożnie umieścimy wśród innych kwiatów, zdoła przeżyć...

Kielich przywarł już do niej, pod ramieniem, lepka substancja przeniknęła przez cienki jedwab. Przez chwilę zapiekło, gdy kwiat przywarł do jej ciała. a był rzeczywiście piękny, nawet jeżeli ona sama taka nie była. Nieuprzejmie byłoby odmówić. Działila wsunęła palec do kielicha i poczuła delikatne ssanie, jakby objęły ją wargi niemowlęcia. Podziękowała Kalalowi z uśmiechem i, czując się w pewien sposób lepiej i pewniej, odeszła.

Dzień trwał. Potem nadeszła noc. Sztuczne ognie strzelały, rozcapierały się na niebie, spływały kaskadami po górskich zboczach. Całe centrum Al Dżanb zostało odmienione nie do poznania i przeobraziło się w teatralną scenę. Teraz sama młoda Joanna przechadzała się szerokimi alejami Dżeziry – wyspiarskiego miasta leżącego w centrum wszystkich Dziesięciu Tysięcy i Jednego Świata, miasta rosnącego w podobny sposób co kryształowe rusztowania Pavo, lecz na niewyobrażalną skalę, wypełnionego lazurowym niebem,

pobłyskującego pod czarnymi niebiosami niczym olbrzymi brylant. Przechodząc wzdłuż pałacowych murów Dżeziry, błogosławiona Joanna myślała zapewne o planecie, która ukazała się jej w wizji; o miejscu pełnym pięknych mórz, zaginionych olbrzymów i tajemniczych, naturalnie powstałych zamków. Działila jednak – idąc za nią w szumnej, wiwatującej procesji i przyglądając się ogromowi projekcji, które przelotnie, na dziś tylko, przesłoniły zwykłe zabudowania Al Dżanb – zastanawiała się, dlaczego, nawet jeśli ta wersja Dżeziry była sztuczna i marna, Joanna zechciała opuścić takie miasto, by przybyć w miejsce podobne Habarze.

Potem kolejne fajerwerki. Gdy zagrzechotały na niebie, rozległ się nad nimi głębszy dźwięk, nadleciał jęklawie od strony morza i wszyscy zadarli głowy, kiedy słoneczna poświata przeniknęła tandetne wizerunki Dżeziry, wciąż spowijające całe miasto. Nie jedna ani dwie, lecz trzy rakiety pięły się jednocześnie ku górze nad kosmodromem. Potężne białe pióropusze energii rozpościerały się na niebie, tworząc chmurzaste, stylizowane lilie. I wreszcie – patrząc z wyciągniętą szyją na ostatni ze znikających jaskrawych ogonów – Działila poczuła radość z powodu moulid. Na głównym placu trwało przedstawienie. Kiedy znalazła miejsce na ławce i zaczęła śledzić rozwijające się intymne fragmenty sztuki – kochanka Joanny, Pia, błagała błogosławioną, by pozostała pośród błękitnych wież Dżeziry – ktoś zasiadł obok niej. Ku wielkiemu zdumieniu Działili, była to Naira.

– Masz taki piękny kwiat. Przez cały dzień chciałam cię zapytać... – Jej palce przebiegły po ramieniu Działili.

Gdy dotknęła płatków, dziewczyna poczuła pociągnięcie za skórę.

– Dostałam od Kalala.

– Ach... – Naira przez chwilę poszukiwała właściwego słowa. – Od... niego. Mogę powąchać? – Pochyliła się, przysuwając twarz do piersi Działili. Złoty deszcz jej włosów musnął przedramię, spowijając dziewczynę słodkim, delikatnie waniliowym zapachem ciała Nairy. – To miło. Pachnie jak morze w ładny dzień, kiedy wejdzie się na góry i spojrzy poza plażę...

Sztuka trwała. Czy Joanna naprawdę uda się na tę planetę, która pojawia się bez przerwy w jej wizjach? Działila nie miała pojęcia. Nie obchodziło jej to. Dłoń Nairy wsunęła się w jej dłoń i zaległa na udzie, ciężka i obecna bardziej niż cały wszechświat. Znowu poczuła się jak lalka. Oddech przyciągał, kusił. Przedstawienie trwało i nagle, gdzieś, kiedyś dobiegło końca. Działila

poczuła bolesne ukłucie smutku. z radością przyglądałaby się dłużej rozterkom Joanny i jej modłom, przyglądałaby się im przez cały czas trwania ludzkiej historii, po to tylko, by dłużej siedzieć na tej twardej ławce z Nairą, ręka w rękę, udo w udo.

Projekcje zamigotały i zgasły. Działila wstała bez słowa, rozczarowana. Cały plac zaczął nagle wyglądać jak wysypisko śmieci. Poczuła się w swym przepoconym, niedorzecznym stroju wymięta i zużyta. Nie warto było nawet spoglądać w stronę Nairy, by się pożegnać. Działila miała pewność, że jej towarzyszka już zniknęła i dołączyła do ćwierkających, rozgadanych przyjaciółek, otaczających ją ciasnym murem.

– Zaczekaj! – Dłoń na ramieniu. Ta sama woń wanilii. – Słyszałam, że twoja matka Pavo stworzyła na południowej drodze coś przewspaniałego... – Przynajmniej raz złote spojrzenie Nairy było nieśmiałe, niemal wycofane. – Miałam nadzieję, że mi pokażesz...

Obie razem. Szły, trzymając się za ręce, jak wszystkie pary kochanek w dziejach. Jak Pia i Joanna. Jak Romana i Julia. Jak Isabel i Genya. Dokoła nich wisiały duchy dymu z pióropuszy rakiet, które wdrapały się na niebo, wydawało się, że cały świat roztapia się w zapachu siarki i róż. Stara kobieta, która zamiatała porzucone papierki i patyki po kebabach, skinęła, kiedy ją mijaly, i na jej twarz wypłynął zmęczony, smutno-szczęśliwy uśmiech. Działila nie była pewna, co stało się z jej pantofelkami, lecz zarówno one, jak i jej stopy stały się nieważkie. Gdyby nie delikatne kołysanie i pociągnięcia dłoni Nairy, Działila nie wiedziałaby już nawet, że się w ogóle porusza. Nogi zakochanych nie dotykają ziemi! To kolejna rzecz, której nie wyjawily jej matki ani namiot snów.

Kryształowo-roślinne wytwory Pavo wyglądały przepięknie w przymglonych, podwójnych cieniach wschodzących księżyców. Działila i Naira szły między nimi, a reszta świata wydawała się pusta i odległa. Wiatr wciąż igrał w skałach i wśród fal, lecz jego zaśpiew się zmienił. Teraz był cichy, miarowo to wznosił się, to opadał. Pocałowały się. Działila zamknęła oczy – nie mogła nic na to poradzić – i zadrżała. Potem wzięły się za ręce i popatrzyły sobie w oczy. Zalane księżycową poświatą nagie ramiona Nairy, zgięcie jej łokcia i błękitny ślad żyły. Działila nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak pięknego jak tutaj, w tym magicznym miejscu.

Stajnia, w której dyszą hajawany. Działila przywitała się z Robin i z Abu.

Zwierzęta były sennie. Miały chłodne ciała, a stalowe płyty były ciepłe. Naira wyglądała na lekko przestraszoną. Tutaj, w pełnej westchnień ciemności, czysta woń paszy i słomy była naznaczona żarem ciał hajawanów i ich łajna. Nie był to już zgrzebny namiot, lecz budynek solidny i ciemny, kolejne dzieło Pavo; kamienne katakumby wieków. Działila powiodła przez nie Nairę, ocierała się ramionami o kolumny, czuła bicie serca, jej pantofelki szeptały wśród źdźbeł słomy. Poprowadziła towarzyszkę w przeciwny narożnik, gdzie niczym miękka chmura leżała nowa biała podściółka. Rzuciły się na nią, podświadomie spodziewając się, że przenikną ją na wylot. Utrzymały się jednak na powierzchni, splecione jedwabiami, zaplątane w nici własnych kończyn i śmiechu.

– Pamiętaj. – Spoczywająca na prawej piersi Działili dłoń Nairy przewinęła się nad ich głowami niczym stary zwój w geometrycznym blasku księżycy Walah, a potem przed siatką kamiennych łuków murqany. – Jestem Szeherazadą, a ty Dinarzadą, moją siostrą... – Kamyk sutka Działili uniosł się pod jedwabiem. – Ta stara, stara opowieść, Działילו. Pamiętasz ją?

„w dawnych czasach, w zamierzchłej przeszłości, żyła sobie królowa wszystkich władczyń Banu Sasan, na dalekich wyspach Indii i Chin, pani całych armii, królowa gwardzistów, sług i wasali...”

Znowu się pocałowały.

„Szcudre podarki, konie z inkrustowanego klejnotami złota, mameluckie lub białe niewolnice; piękne służki, dziewice o wznoszących się wysoko piersiach, przedmioty wspaniałe i drogie...”

Ręka Nairy przesunęła się z piersi na kwiat i objęła go. Pociągnęła lekko, potem mocniej. Coś się oparło, ustąpiło, zabolalo, aż wreszcie puściło zupełnie. Jedwabie opadły z powrotem. w zagłębieniu między piersią i ramieniem Działili wezbrał niewielki ciemny koralik krwi. Naira zlizwała płyn.

„w jednym z domów dziewczynka oplakiwała stratę siostry. w innym, być może, matka drżała o los dziecka; a zamiast błogosławieństw, które dawniej spadały hojnie na głowę sułtany, w powietrzu zaroiło się od klątw...”

Gdy usta Nairy zawędrowały niżej i zaczęły ssać pierś, Działila uniosła się w powietrze, szybowała.

„Wezyrka miała dwie córki, Szeherazadę i Dinarzadę. Starsza знаła księgi, annały i legendy opowiadające o poprzednich królowych i cesarzowych, a także opowieści, przykłady i precedensy z przeszłości. Szeherazada czytała

działa poetów i uczyła się ich na pamięć. Studiowała filozofię, nauki ścisłe i humanistyczne, oraz wszelkie inne umiejętności. Szeherezada była miła i uprzejma, mądra i bystra. Szeherezada była piękna i dobrze wychowana...”.

Lot ponad dalekimi, połyskującymi szronem saharami, pod bliźniaczymi księżycami, szybowanie poprzez chmury. Opadające i unoszące się wydmy. Minarety i kopuły odległych miast. Krzyki i rozedrgane westchnienia ukochanych. Wzorzysty blask księżyców przenikający przez murقانę czarno-białym gobelinem rozkładającym się w zakolach i pagórkach brzucha Nairy.

„As salam alejkum wa rahmatullahi wa barakatuh!”.

Pokój i miłosierdzie Boga z wami i wszystkie jego błogosławieństwa.

„Amen”.

* * *

Gdy Dżalila ocknęła się gwałtownie, nie było jeszcze słycać piania kogutów. Walał jednak zdążył już zejść, wraz z Nairą, a gorąca, błękitna kratka murqany rozcinała światło słońca. Dżalila przesłoniła twarz dłońmi i przyrzęła się sobie z uśmiechem. z całego jej stroju pozostał jedynie klejnocik w pępku. Pachniała lekko wanilią i resztą Nairy, a jej ciało jakby już nie należało do niej. Poruszając się w upalnej mżawce zebrała wietrzne jedwabie i pozostałe szmatki, które splątały się z runem legowiska. Znalazła należący do Nairy kolczyk, wygięty na słupku, i nie mogła nie uśmiechnąć się ponownie. a obok, w kącie, leżał pływowy kwiat, porzucony niczym odwrócony stary kubek. Dotknęła niewielkiego strupka na ramieniu, po czym podniosła kielich i powąchała, lecz jej dłonie tchnęły jedynie woniami Nairy. Zamknęła oczy, czując brylantowe iskierki gorąca i zimna zalewające jej ciało falami niczym morze.

Kiedy wychodziła przez stajnię, hajawany poruszyły się leniwie. Tylko Robin obrzuciła ją spojrzeniem, zupełnie wyzutym z ciekawości, gdy dziewczyna przystanąła, by pogłaskać twarde, szare spojenia na jej przyciśniętym do przętów boku. Otworzyła jedno ślepie – szare niczym dym z rakiet – i zaraz powróciła na sahary swych snów. Hajawany – Dżalili przyszło to do głowy po raz pierwszy – miały własne namiętności, którymi nie chciały się dzielić z dziwnymi dwunożnymi istotami innej rasy i z innej planety.

Poranek trwał jeszcze w swej świeżości, a droga, gdy po niej ruszyła, wydała się jej stopom ledwie ciepła. Zastawione wiatrołapami Al Dżanb i odległy haramlek wyglądały na opustoszałe. Nawet ramiona gór kuliły się w sen-

nej mgle. Tego dnia – nazajutrz po moulid – nie przebudził się jeszcze nikt poza miiwami. Na widok idącej po twardym żwirze plaży Dżalili wzbily się z krakaniem z zagonów pływowych kwiatów i zaraz potem wylądowały czerwonymi, rozłopotanymi stadami. Stopy dziewczyny napotkały chłodną, śliską wodę. Obmyła twarz. Zanurzyła się po ramiona i wietrzne jedwabie odewały się od jej ciała. Spojrzała pomiędzy piersiami na pobłyskujący klejnocik, wciąż trzymający się jej brzucha, wyjęła go i przyglądała się jak niknie, niczym latarnia tonącego statku.

Wracając przez plażę, wyzymając wilgoć z włosów, Dżalila zauważyła intensywnie zielone rośliny, mocno kontrastujące z wypełnionymi niebem słonymi sadzawkami pośród skał i oblepiającymi kamyki porostami. Popchnięta przez emocję przypominającą ciekawość Pavo, podeszła i przykleknęła, by lepiej się przyjrzeć, a wzmagający się żar dnia suszył jej plecy. Poznała to miejsce – aczkolwiek niejasno – po wzorze, w jaki ułożyła się żyła kwarcu, jaśniejąca, spływająca błękitnymi tlenkami. To tutaj wykaszła tchorost na początku Pory Mżawek. Przetrwał, odmieniony lecz niemożliwy do pomyleń z czymś innym – przetrwał i rósł. Niewielki splecieć tu, kilka większych połąci tam. Maleńkie włókienka zieleni, miniaturowy las, wznoszący swe gałęzie i konary ku słońcu.

Nucąc nieokreśloną melodię, ruszyła z powrotem do haramleku.

3.

Niebo straciło swą niebieską barwę. Nie było też białe. Oblało się rtęcią. Rakiety wzbijały się i wznosiły suchymi trzaskami letnich błyskawic. Przypominający rury obcy umknęli ze swego dziwnego domu o wypełnionych mazią oknach i kominach, które wciąż cmokały i pomrukiwały, aż wreszcie coś pękło i cała konstrukcja zapadła się w sobie, a paskudny płyn z budynku rozlał się po okolicznych ulicach. Pojawiły się ostrzeżenia przed zatruciami i dziwnymi epidemiami. Ścieki zatykały się i cuchnęły.

Dżalila pokazała tchorost swym matkom, wyraźnie zaintrygowanym i zachwyconym, chociaż Pavo oczywiście zauważyła go i skatalogowała znacznie wcześniej. Ananke musiała oczywiście dotknąć roślinek i pozostawiła na nich niewielki brązowy ślad, przypominający koniuszki jej trzech palców, trącony mech wysechł i przybrał w ciągu kilku następnych dni złotą barwę.

Niemniej, o tej gorącej porze roku, w te wieczory, kiedy słońce nie miało zamiaru zniknąć, tchorost okazał się zaskakująco wytrzymały...

Po nocy festiwalu Dżalila spędziła kilka szczęśliwych dni, zaabsorbowana i samotna, oglądając i wyglądając w duchu wspomnienie swej miłości z Nairą. Przechadzając się ponad i pod bezmyślnymi, rutynowymi, codziennymi czynnościami, zachowywała się niczym wytrawny rzemieślnik, przędący srebro, nadający kształt sandałowemu drewnu. Zmarszczki na plecach Nairy. Pot połyskujący w szachownicy księżycowej poświaty. Ta słodka żyłka w zgięciu jej ukochanego ramienia i pulsowanie krwi, przyśpieszonej nagłym rytmem bębnowej ekstazy. Wydawały się, że wspomnienia wystarczają Dżalili w zupełności. Prawie przestała żyć terażniejszością. Kiedy, być może sześć dni po zakończeniu moulid, Naira stanęła na jej progu z zaczerwienionymi oczyma, żując wilgotne końcówki włosów, Dżalila poczuła się niemal zaskoczona wizytą, oraz różnicami pomiędzy Nairą prawdziwą a zapamiętaną Szeherazadą. Kiedy się objęły, Naira pachniała łzami i kurzem, jak ktoś, kto odbył właśnie długą, bardzo długą podróż.

– Dlaczego do mnie nie zajrzałaś? Czekałam i czekałam i czekałam...

Dżalila ucałowała jej włosy. Dłoń zawędrowała pod letni szal i popieściła plecy Nairy, wilgotne i szorstkie. Nie miała pojęcia, w jaki sposób odpowiadać na pytania. Wyszły tego popołudnia razem i udały się w cień lasów za haramlekiem. w trakcie gorącego, długiego lata drzewa się odmieniły, porzuciły swój urziemski zwyczaj powlekania liści woskowatą, pachnącą lekarskimi substancjami. Ich konary kładły grafitowe, kredowe cienie. Wszystko dokoła milczało. Urziemskie ptaki wróciły do swej letniej hibernacji, z której miały je wyrwać dopiero jesienne mgły. Dziewczyny wspięły się na kamienne rumowisko i znalazły całe ich stada, uśpione w głębi jaskini; pierzaste kulki pośród ociekających wodą skał, z pozoru pozbawione oczu i dziobów.

Kiedy usiadły u wylotu pieczary i wyjrzały na dygocącą w upale zatokę, kiedy zaczęły ssać kawałki lodu i częstowały się daktylami, które wmusiła im na drogę Ananke, Naira wydała się osobą inną niż ta, za jaką brała ją Dżalila jeszcze przed dniem moulid. Także ona okazała się człowiekiem, nie była boginią. Miała swoje zmartwienia, targały nią wątpliwości. Ona również uważała otaczające ją dziewczęta za bezdennie głupie i prostackie. Nie była nawet pewna swej oczywistej urody. Znów zapłakała i Dżalila wzięła ją w ramiona. Objęcia przerodziły się w pocałunek. Wkrótce, zakurzone i wygłodniałe, tarzały się pośród rozgrzanych skał. Tego wieczoru, z powrotem w ha-

ramleku, matki Dżalili zaprosiły Nairę na kolację z miętową herbatą podaną w najlepszej porcelanie. Zaprosiły ją też do kąpieli. Dżalila siedziała obok niej, kiedy jadły świeżo przywiezione z odległego Ras figi oraz pomarańcze z drugiego w tym roku zbioru. Czuła się szczęśliwa. Życie wreszcie nabrało prostoty. Naira została jej kochanką oficjalnie i ta miłość miała odtąd stać się kanwą jej dni.

* * *

Teraz życie Dżalili było kompletne; uwierzyła, że jest dorosła i że potrafi mówić, rozmawiać, kochać i oddawać cześć jak dorośli. Wciąż wybierała się na przejażdżki z Kalalem na grzbietach Robin i Abu, nadal się śmiała, kradła i bawiła, lecz miała już świadomość, że wszystkie te czynności są łakociami życia, przyjemnymi, lecz mało pożywnymi, i że prawdziwe wspaniałości i zaskoczenia biorą się z przebywania z Nairą, z matkami i z życia w haramleku, który obie młode kobiety planowały pewnego dnia założyć.

Matki Nairy mieszkały po drugiej stronie Al Dżanb, na szczycie urwiska, w pięknym, wysokim pałacu – jednym z najstarszych w mieście – budynku obłożonym białym kamieniem i pełnym ozdobnych dziedzińców, zwieńczonym wspaniałym tądżo, wyglądającym znad ogrodów estragonu na całą zatokę. Dżalila świetnie się bawiła, zwiedzając ten haramlek, rozszyfrowując kruszące się teksty opasujące mury chłodnych krypt, ciesząc się towarzystwem matek Nairy, sprawiającymi w swym bogactwie, dobroci i mądrości, że jej własne matki wydawały się nieporadnymi prowincjuszkami, którymi zresztą najwyraźniej były. Rozmowy i dyskusje w jej własnym haramleku straciły urok. Pewnego dnia przyszedł do Dżalili okropny sen. Była w nim swą starą lalką Tabathą i naprawdę ją pogrzebano. Ziemia, do której została złożona, była miękka i wilgotna, jakby wciąż panowała Pora Mżawek, a nad nią, nad krawędzią grobu, kołysały się twarze wszystkich znajomych dziewczyn, mamrocące i wzdychające, podczas gdy czarne grudy nieubłagane zaklejały jej oczy i usta.

– Powiedz mi, jak to było, kiedy się po raz pierwszy zakochałaś.

Do tej rozmowy Dżalila wybrała Pavo. Ananke prawdopodobnie tylko by ją przytuliła, a Lya mówiłaby i mówiła bez przerwy, póki nie zostałyby już nic do powiedzenia.

– Nie wiem. Zakochanie przypomina powrót do domu. w zasadzie nie można tego zrobić po raz pierwszy.

– Ale w opowieściach...

– Opowieści zawsze spisuje się potem, Dżalilo.

Spacerowały po fosforyzującym brzegu. Zbliżała się północ, która ostatnio stała się najprzyjemniejszą porą doby. Słowa Pavo wydawały się jednak mylne; być może jednak Dżalila dokonała złego wyboru rozmówczyni. Dziewczyna była przekonana, że pokochała Nairę już w dzień poprzedzający molid, chociaż rozumiała, że teraz kocha ją w zupełnie inny sposób.

– Nie wierzysz, że założymy razem z Nairą haramlek, prawda?

– Myślę, że jest za wcześnie, by cokolwiek przewidzieć.

– Ty byłaś ostatnią z waszej trójki, prawda? Lya i Ananke żyły ze sobą, zanim je poznałaś?

– Właśnie to mnie do nich przyciągnęło. Wyglądały na szczęśliwe i doskonale się uzupełniały. Zresztą, to samo mnie także przerażało i niemal zniechęciło.

– Niemniej, zostałąście razem, a potem doszło do...

To był moment, który Dżalila nadal uważała za najtrudniejszy do zaakceptowania; myśl o tym, że jej matki łączył związek fizyczny, seksualny. Niekiedy, głęboką nocą, słyszała dolatujące z innych namiotów snów stłumione westchnienia, mokre pląsnięcia ciał. Dziewczyna podejrzewała, że podobnie jak w przypadku hajawanów, w życiu innych ludzi również są sprawy, których nigdy się w pełni nie pojmie, mimo że można być przekonanym, iż jest na odwrót.

Zdecydowała się podejść od innej strony.

– Dlaczego więc zdecydowałyście się na mnie?

– Ponieważ chcieliśmy zapełnić swój świat czymś, co nie istniało przedtem. Ponieważ poczuliśmy się egoistkami. Ponieważ chcieliśmy się poświęcić.

– To Ananke mnie urodziła, prawda?

– Tutaj, w Al Dżanb, powiedzieliby, że postąpiliśmy prymitywnie i szaleńczo. Być może takimi właśnie chcieliśmy być. Ale wszystkie te maszyny w klinikach służą przecież do odtworzenia środowiska ludzkiej macicy – głosów, poruszeń, dźwięku oddechu... Nie usłyszawszy najpierw tej Pieśni Życia, żaden człowiek nie może być szczęśliwy, a czy może istnieć lepszy sposób niż wysłuchanie jej w sposób naturalny?

Przebłyk obrazu z koszmaru o pogrzebaniu.

– Ale sam poród...

– ...okazał się czymś, czego chyba żadna z nas się nie spodziewała – Ton głosu Pavo powiedział Dżalili, że nie jest to temat, w który należy się zagłębiać z czystej ciekawości.

* * *

Pływowe kwiaty, całe ich zagony, zrosły się ze sobą. Można było po nich chodzić jak po stałym lądzie. Kalal, po kilku niedotrzymanych obietnicach i przełożonych terminach spotkań, zabrał pewnego dnia Dżalilę i Nairę, by im to zjawisko pokazać.

Dymiące latamie na dziobie i rufie jego łodzi. Woda ciepła niczym krew, przelewająca się między zanurzonymi do połowy palcami Dżalili. Malejąca pod gorącymi udami gór Al Dżanb. Kalal na dziobie. Siedząca obok Naira, jej ręka obejmująca ramię, dłoń błędząca po piersi, póki Dżalila jej nie odtrąciła, gdy żar dwojga ciał stał się już nieznośny.

– Ta pora dobiegnie wkrótce końca – zauważyła Naira. – Nie poznałaś jeszcze tutejszej zimy, prawda?

– Urodziłam się zimą. Tutaj żadna pora nie może być równie zimna jak najdelikatniejszy, wiosenny poranek wśród szczytów Tabuthal.

– Ach, góry! Musisz mi je kiedyś pokazać. Powinniśmy się tam wybrać...

Dżalila skinęła głową, usilnie starając się wyobrazić sobie podobną podróż. Już kilka razy próbowała zainteresować kochankę jazdą wierzchem na hajawanach, lecz Naira bała się do tych zwierząt nawet podejść. Prawdę powiedziawszy, nieśmiałość dziewczyny zaskakiwała Dżalilę pod wieloma względami. Dżalila, w chwilach zwątpienia, kładła się samotnie w namiocie snów i zastanawiała, wyliczała sobie zalety ukochanej: jej gibkie i chętne ciało; piękny haramlek jej cudownych matek; fakt, że tak wiele innych dziewcząt zazdrościło jej teraz i podziwiała. z Nairą wiązało się tak wiele dobra.

Kalal – kiedy łódź obrała już kurs ku dalej położonym zagonom – przyszedł i usiadł wraz z nimi. Twarz miał spoconą, czerwoną w świetle latami. Dzielili z Nairą wiele wspomnień i teraz, gdy gorący wiatr z gór rozdmynał żagle, zaczęli się prześcigać w opowiadaniu Dżalili o zaskoczeniach i rozkoszach zimy w Al Dżanb. Mgły niepozwalające dojrzeć nawet wyciągniętej ręki. Odurzające niebieskie jagody, wyrastające w prześwitach między skorupami śniegu. Dni poszczególnych świątecznych... Gdyby Dżalila nie wiedziała, że jest inaczej, powiedziała, że Naira i Kalal konkurują o coś znacznie bar-

dziej ważnego.

Zagony pływowych kwiatów były olbrzymie, świetliste, ciężkie od zapachów. Czerwono-czarne stada miiw zrywały się i lądowały to tu, to tam w blasku księżyców. Spacerowanie po tych krzykliwych dywanach okazało się najdziwniejszego rodzaju doznaniem. Gęsto splecione liście sprawiały wrażenie gumowej maty, lecz tonęły pod ciężarem człowieka i wyskakiwały z powrotem na powierzchnię, gdy się z nich zeszło. Dżalila z Nairą rozпалиły więcej świateł i rozstawiły je na polu porośniętym wielkimi płatkami barwy pierwiosnków i pomarańczy. Śpiewały i przewracały się, turlały i chwiały. Naira przywiozła ze sobą fajkę nabitą żywicą kif. Palenie i późniejsze próby tańca na kwiatkach były przezabawnymi momentami. Kalal odmówił, tłumacząc, że będzie musiał jeszcze poprowadzić łódź z powrotem, i zniknął w oddali, płosząc stada miiw.

Tak więc obie dziewczyny pływały w świetle wschodzących księżyców. Naira, z wirującymi jedwabiami, z rozłożonym wachlarzem włosów, robiła to z wdziękiem, a Dżalila wciąż stąpała po chlupiących kwiatkach niewprawnie. Gdy uniosła ramiona i wspięła się na koniuszki palców, kiedy zabłyśły jej bransoletki, wyglądała kusząco jak nigdy. Nieco odurzona – z lekkim wahaniem, gdyż lada chwila mógł wrócić Kalal – Dżalila podeszła i objęła ją. Dobrze było trzymać Nairę w ramionach, a jej usta smakowały pływowymi kwiatami i ssały równie zachłannie jak jej własne. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze chwile ich miłości nie były tak słodkie i powolne jak tej właśnie nocy, aczkolwiek, kiedy Dżalila podziwiała kształt piersi Nairy i wsłuchiwała się w odmienioną piosenkę jej oddechu, poczuła, że stygnie, cofa się i oddala, nie tylko od ciała kochanki, lecz także od tej niewielkiej zatoki otwierającej się przy małym miasteczku na jedynym kontynencie leżącym pośród wielkiego i samotnego oceanu Habary. Doprowadzając Nairę do małych ekstaz – gdy całowały się i tarzały po kwiecistym łożu – Dżalila poczuła wobec kochanki bezmiar współczucia. Współczuła jej, ponieważ Naira była piękna i ponieważ posiadała tak wiele umiejętności, i ponieważ już zawsze miała być szczęśliwa tutaj, wśród płynących z wolna pór roku tej małej planety.

Dżalila poczuła też współczucie wobec samej siebie, zrobiło się jej żal, ponieważ myślała dotąd, że zaznała miłości, i ponieważ zrozumiała, że była to jedynie śliczna ułuda.

* * *

Wiatry stały się zmienne, suche, szorstkie. Początkowo, przez krótki czas, witano je z ulgą, lecz potem stały się przedmiotem klątw, powodem do przesłaniania twarzy i zamykania okiennic.

Pośród matek Dżalili, jedynie Lya wydawała się zawiedziona jej rozstaniem z Nairą, bez wątpienia dlatego, że żywiła nadzieje na to, że związek córki doprowadzi do silnego sojuszu obu haramleków. Jednakże nawet ona robiła wszystko, by nie okazać rozczarowania. Jeśli chodzi o świat zewnętrzny – pozostałe młode kobiety z Al Dżanb wyrażały głębokie niedowierzenie – „Ach, gdybym to była ja, nigdy bym nie...”. Wkrótce jednak oddały się nowej nadziei, że przecież wkrótce to mogły być one. Naira, co trzeba jej oddać, zachowała nadzwyczajną godność wobec faktu, że to właśnie ona – akurat ona – została ostatecznie odtrącona. Ubierała się w proste stroje. Mówiła prostymi zdaniami i skromnie jadła. Oczywiście stała się przez to jeszcze bardziej wstrząsająco piękna, a niesiony przez wiatry piach czerwienił oczy wszystkim jednakowo, więc nie można było stwierdzić, jak często Naira płacze. Teraz – kiedy budynki Al Dżanb skrzypiały, gdy z głębi morza nadciągały pierzaste bałwany, a wiatr gwizdał na zębach gór – Dżalila ujrziała otaczające Nairę krzykliwe, konkurujące i starające się istoty w zupełnie nowym świetle. Naira nie miała nad nimi władzy – ani dawniej, ani obecnie. Spełniała raczej rolę skrzwawionych zwłok, o które te panny bez końca walczyły, szczerząc zęby, błyskając oczyma i wyciągając łapczywie pazury. Wiele razy, rozdarta smutkiem znacznie głębszym niż zaznała kiedykolwiek, dotknięta tęsknotą za czymś, czego nie potrafiła określić, spacerując samotnie lub leżąc w namiocie snów, niemal decydowała się wrócić do Nairy... Nie zrobiła tego.

Nastała Pora Wichrów i Dżalila poczuła, że ma serdecznie dosyć siebie samej, i Al Dżanb, i dziewcząt, i mahwag, i matek, i tej zmiennej, gwałtownej jak dżin pogody, która igrała z jej nastrojami. Zdarzało się teraz, że niebo wyglądało skończenie pięknie, przesyte wijącymi się wielobarwnymi sztandarami pyłu, który wiatr podnosił w odległych zakątkach kontynentu. Były szkarłaty i były szafiry. Dżalilę zaczęły nawiedzać odległe sahary ze snów. Opadały ją swym irytującym piachem – gdy łamały się drzewa, a farba odchodziła płatami z okiennic i runęło to, co zostało z łuków Pavo – który wciskał się w każdy otwór ciała i każdy zakamarek stroju.

Tarika opowiadała o bólu nicości, a potem o bólu wszystkiego. Wówczas Dżalila nie rozumiała ani jednego, ani drugiego, lecz teraz czuła, że z bólem

nicości zaznajomiła się aż za dobrze. Będąc wytworem połączonych genów trójki matek – kochającej Ananke, ciekawskiej Pavo, dumnej i rozmownej Lyi – zawsze z radością odnajdywała w sobie mieszkankę ich cech. Obecnie jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie wykluczały się one wzajemnie. Była tylko punktem wyjścia, zerem, nieporadnym, destrukcyjnym i niekochającym. Była Dżalilą i szła przez tę Porę Wichrów samotna i obojętna.

* * *

Pewnego ranka dzień wstał szczególnie surowy. Dżalila była w haramleku sama, aczkolwiek nie dbała o to, gdzie znajduje się ona i gdzie są inni. Musiała się obluzować któraś z okiennic. Ostatnio często się to zdarzało. Łomotała i waliła tak długo, że nawet ją zaczęło to irytować. Weszła po schodach i zatrzasnęła drzwi przed dobijającymi się tumanami miki. Wściekle zatrzepotała rękoma, poprawiając łopocące zasłony. Łoskot jednak nie ustawał. Wszystkie drzwi i okna były już zamknięte. Nie miała wątpliwości. Chyba że...

Ktoś stał u drzwi. Przez wysokie okienko z grubego zielonkawego szkła zobaczyła obracającą się okrągłą głowę. Mimo że gość musiał ją również zauważyć, dudnienie nie cichło. Dżalila zastanowiła się, czy chce, by przybysz okazał się Nairą; w końcu w podobny sposób kochanka przyszła do niej kilka dni po festiwalu, a jednak to tylko Kalal. Gdy drzwi odepchnęły Dżalilę do środka, zrobiła co mogła, by ukryć zawód.

– Nie możesz tego robić swojemu życiu!

– Czego?

– Tego, niczego. i w dodatku, cholera, nie otwierasz drzwi. – Kalal wszedł gniewnie do korytarza. Drzwi trzaskały, a gobeliny furkotały. Chłopak rozejrzał się, niczym detektyw w poszukiwaniu śladów. – Chodźmy stąd.

Wbrew pogodzie, Dżalila uznała, że jest to wina Robin.

Potem okazało się, że Kalal chce pojechać na północ, a ona uparła się, by ruszyć na południe. Nie była w nastroju na dyskusje. Podróż była dziwna, zupełnie odmienna od ich letnich wycieczek. Głowy i twarze owinęły rozłopotanymi howli i starali się jechać głównie przez las, lecz drzewa smagały i wymachiwały gałęziami, a ostre powietrze mimo tkaniny smagało im policzki.

Posilili się na płaskim skalistym brzegu, w czymś, co uchodziło za cichy zakątek, chociaż osłona była mama i wiatry wciąż szalały dokoła. Być może

znaleźli się w tym samym miejscu, gdzie zatrzymali się latem, lecz ciężko było to stwierdzić; tak bardzo zmieniło się światło; niebo pokryło się tak wieloma sińcami. Również Kalal był inny. Owinięte howli oblicze – gdy próbował zjeść chleb aisz, zanim dobierze się do niego zapiaszczone powietrze – wyglądało na starsze. Brodę miał teraz dziwnie podrażnioną i otartą. Działila domyśliła się, że wyrósł mu identyczny zarost, który Ibra – jego ojciec – nosił z takim upodobaniem. Domyśliła się też, że chłopak goli te włosy w ten sam sposób, w jaki podobno kobiety na niektórych dekadencjach planetach usuwają owłosienie z nóg i spod pach.

– Przysuń się bliżej – na pół krzyknęła, wciskając się głębiej w skalny załom, by ustąpić mu miejsca. – Kalal, chcę, byś mi powiedział, co wiesz o miłości.

Chłopak przykucnął tuż obok. Przez moment wciąż tylko odrywał i przeżuwał kawałki aisz. Przycisnął się do niej, a wokół szalały wiatry. Ciepło ich ciał niemal się zetknęło. Działila zastanowiła się, czy mężczyźni i kobiety, w czasach kiedy jeszcze ich życia i potrzeby były ze sobą mocniej splecione, znali odpowiedź na to pytanie. Czym bowiem jest miłość? Miło było pomyśleć, że w dawnych, niejasnych, mitycznych epokach, ludzie obojga płci dzielili się rozwiązaniem tej zagadki...

Potem przyszło jej do głowy, że Kalal nie dosłyszał pytania wyraźnie. Opowiadał bowiem o swym ojcu i o planecie, którą ledwie pamiętał, tej, na której przyszedł na świat. Tamtejsze niebo pokrywały fraktale wzorów o barwie złota i turkusy – kolory tak dziwne i jaskrawe, że każdego ranka ich pojawienie się witano ze zdumieniem i zachwytem. Był to świat licznych wysp i jednego, wielkiego miasta. Ojciec Kalala pracował jako rybak i szkutnik zarazem, podobnie jak tutaj, z tym że statki były tam dalece większe niż jakiegokolwiek w Al Dżanb, a ryby nie były pojedynczymi, samodzielnymi organizmami, lecz żyły w skomplikowanych ławicach i poławiano je nie dla mięsa, a dla ich wspólnego umysłu. Do Ibry zgłosiła się kobieta z innego świata. Chciała, by zbudował jej łódź, na której mogłaby samotnie przepłynąć wszystkie północne oceany. Tłumaczyła, że ma dość towarzystwa ludzi. Projektowanie i wykonanie odpowiedniego statku stanowiło dla Ibry czystą przyjemność, ponieważ sam od dawna marzył o podobnej wyprawie, na którą by się wybrał, gdyby tylko miał czas i pieniądze. Łódź ta była najwspanialszym dziełem jego życia, a kiedy nad nią pracowali, okazało się, że ani on,

ani kobieta nie mają aż tak bardzo dość innych ludzi, jak im się wydawało. Zakochali się, gdy kil i żebra rosły w miejskiej stoczni i gdy doglądano rozwoju umysłu statku. Jednocześnie, z wolna, odkrywali na powrót rozmaite ekspresje popędu seksualnego, jaki w dawnych czasach istniał między mężczyzną i kobietą.

– Chcesz powiedzieć, że twój ojciec ją zgwałcił?

Kalal cisnął w fale ostatni okruch chleba.

– Chcę powiedzieć, że się ze sobą kochali.

Po zwykłych w takich razach negocjacjach i zawarciu umów, po koniecznym zagnieżdzeniu odpowiednich komórek, Ibra i kobieta (Kalal nie wymienił jej imienia, podobnie jak nie podał nazwy planety) pożeglowali razem, z zamiarem spółzenia dziecka w dawny, baśniowy sposób.

– i ty jesteś tym dzieckiem?

Kalal się skrzywił. w tej kwestii nie można mu było zadać nawet prostego pytania, by się nie zirytował.

– Oczywiście, że tak! Jak myślisz, ilu może być Kalali? – Osunął się w milczenie. Piasek kreślił przed nimi wielobarwne helisy.

– Ta kobieta, twoja matka krwi. Co się z nią stało?

– Naturalnie, chciała mnie zabrać ze sobą, do jakiegoś haramleku na innym świecie. Planowała to od samego początku. Mój ojciec okazał się dla niej zwykłą zabawką. Gdy tylko ich statek powrócił, zaczęła knuć, spisywać umowy. Między nią a ojcem doszło do długiego, prawnego sporu. Mnie umieszczono w sakwie porodowej, w hipostazie.

– i ojciec ten proces wygrał?

Chłopak znowu się skrzywił.

– w każdym razie przywiózł mnie tutaj. Można to uznać za zwycięstwo.

Działila chciała zadać znacznie więcej pytań dotyczących tej opowieści, lecz czuła, że już teraz posunęła się za daleko. w końcu, co ta historia o sporze i oszustwie mogła mieć wspólnego z miłością? No i czy Kalal i Ibra naprawdę byli zbiegami? To by wiele wyjaśniało. Jej serce raz jeszcze wezbrało znajomym współczuciem. Mężczyźni są takimi dziwnymi, smutnymi istotami; wiecznie walczący, gniewni, zagubieni...

– Ja się cieszę, że tu jesteś – powiedziała, po czym, wiedziona impulsem, popełniła jedno z tych zwykłych, ludzkich głupstw. Ujęła jego szorstką i brzydką brodę, zwróciła jego twarz ku swojej i ucałowała go lekko w usta.

– a to za co?

– Alhamdulillah. To było podziękowanie.

Wsiadli na hajawany i powlekli się dalej. Po jakimś czasie dotarli na skraj urwiska tak wysokiego, że niebo i morze – ponad i poniżej – zniknęły. Dżalila, już kiedy jechali wzdłuż klifu, wiedziała, co wkrótce zobaczą, lecz widok i tak przyniósł ze sobą wstrząs: ten kasr, wciśnięty pomiędzy tłoczące się dookoła wstęgi piasku. Wichry świszczały i wyły, hajawany unosiły łby i odpowiadały im własnym skowytom. i właśnie dzięki temu ostremu, tnącemu powietrzu, Dżalila zrozumiała w jaki sposób kasry zostały wykrojone z naturalnie powstałych skał na przestrzeni długich lat. Zsiadli i ze zgiętymi plecami ruszyli z trudem zwężającą się ścieżką ku wysadzonej żelaznymi hufnalami bramie zamku. Dżalila uniosła zaciśniętą pięść i zadudniła.

Zerknęła w tył na Kalalą, lecz twarz chłopaka kryła się całkowicie pod kapturem. Czyżby od początku zmierzali właśnie tutaj? Znaleźli się jednak zbyt daleko od domu, by pojechać dokądkolwiek indziej; Robin i Abu były zmęczone i niemal oślepięte; wszyscy potrzebowali wypoczynku i schronienia. Dziewczyna ponownie uderzyła we wrota, lecz dźwięki ginęły w burzowym huku. Być może tarika odleciała wraz z końcem Pory Rakiet, podobnie jak odeszła większość obcych. Dziewczyna już miała się odwrócić, gdy drzwi, jakby szarpnięte powiewem wiatru, stanęły otworem. Po drugiej stronie nie było nikogo, a korytarz, jaki ukazał się ich oczom, był ciemny niczym dno wyschniętej studni. Gdy Dżalila wciągała swego hajawana do środka, Robin zadarła łeb i zawyla, próbując oporu. Potem weszli Kalal z Abu. Wrota, z potężnym trzaskiem, zamknęły się za nimi same. Oczywiście, odpowiedzialny za to był jakiś stary mechanizm budynku, lecz Dżalila poczuła, że włoski na karku stają jej dęba.

Spętali zwierzęta przy największym z wachlarzowatych łuków i ruszyli otwierającym się pod nim korytarzem. Wiatr wciąż ich nie odstępował, a kolumny przybierały kształt wirujących helis, usypanych z zestalonego piasku. Ciężko było stwierdzić, które fragmenty konstrukcji zostały wykonane ludzkimi rękoma, a które powstały w całkowicie naturalny sposób. Jeżeli w tamten upalny letni dzień kasr wydawał się rzadko odwiedzany, to teraz był już porzucony na dobre. Szklane dzwonki wietrzne leżały porozrzucane, strącone przez silniejsze powiewy. Kilka stłuczonych talerzy. Nieco łopocących pajęczyn gobelinów.

Kalal pociągnął Dżalilę za rękę.

– Wracajmy...

Przed nimi zaśniło jednak większe światło, cienie rozpedzonego nieba. a oto dziedziniec, na którym ujrzeli tarikę. Teraz nie było jej tu z całą pewnością – sucha i zatkana fontanna, krzewy przypominające kłębowiska nagiego drutu. Wyszli spod wyłożonych terakotą łuków i rozejrzeli się. Wiatr brzmiał niczym milion głosów, wznoszących się w chóralnym lamencie. Miejsce wydawało się dziwne i puste, w pewien sposób niebezpieczne... Nagle Dżalila odwróciła się na pięcie. Stała tam, w powiewającym płaszczu – tarika. Skinęła swymi owadziimi palcami.

– Wyjeżdżasz? – spytała dziewczyna. – Cały twój zamek jest...

Tarika powiodła ich pod osłonę wysokiej, pełnej echa wichrów komnaty, wyłożonej biało-niebieskimi kafelkami. Na posadzce leżało kilka kobierców i poduch, które jednak nie potrafiły przepędzić poczucia osamotnienia. Zupełnie jakby, pomyślała Dżalila, kiedy tarika zgięła się, siadając na podłodze, i zaprosiła ich gestem do siebie, tutaj znajdowała się jej ostatnia kryjówka.

– Nie, Dżalilo. Nie opuszczę Habary. Itfaddal... Siadajcie.

Zdjęli sandały i skorzystali z zaproszenia. Dziewczyna nie była w stanie przypomnieć sobie, czy Kalal poznał tarikę, gdy ta odwiedziła ich haramlek, aczkolwiek jego spojrzenia i sposób, w jaki odwzajemniały je szaro-białe oczy staruszki, wyraźnie wskazywały, że oboje nie są sobie obcy. w kącie, nad maleńkim niebieskim spirytusowym płomykiem, parzyła się kawa. Targany bezustannymi przeciągami ogieniek chybotął się na wszystkie strony i zapewne, żeby cokolwiek zagrzać, potrzebował wielu godzin. Niemniej dzióbek mosiężnego imbryczka parował. Były również daktyle, orzechy i nasiona. Tarika, przepraszając za swą niedoskonałość w roli gospodyni, zachęcała gości, by się częstowali. Skądś znalazło się też koryto wody dla hajawanów oraz kosz liści akram.

Niespokojni sączyli napój z filizanek, rozgryzali nasiona. Kalal wziął do ręki nadkruszony stary kamień i nerwowo się nim bawił. Dżalila nie widziała dokładnie, co to za kamyk.

– Więc... – zagaił, odchrząkując – latałaś wśród gwiazd, prawda?

– Podobnie jak ty. Być może mógłbyś podać nazwę swojej planety? Możliwe, że odwiedziliśmy ją oboje...

Kalal przełknął głośno ślinę. Jego stary kamyk zagrzechotał o podłogę.

Wrzeczono wiatru zakręciło się na karku Dżalili. i nagle – dziewczyna nie miała pojęcia w jaki sposób do tego doszło – tarika opowiadała już o Dżezirze, wspaniałym i opiewanym w baśniach mieście, leżącym w samym środku Dziesięciu Tysięcy i Jednego Świata. Dżalila nigdy nie spotkała ani nawet nie słyszała o kimś, kto odwiedziłby Dżezirę osobiście, takiej osoby nie znaly nawet matki Nairy – a jednak tarika snuła swą opowieść jakby poznała je dobrze. Wcześniej dziewczyna wyobrażała sobie tarikę jedynie podczas podróży z jednej odległej planety na drugą, wiozącą nudne ładunki rudy lub biomasy. Dżezira z kolei wydawała się jej bardziej niż tylko na poły mityczna – uważała miasto za miejsce, z którego rzeczywiście mogła wyemanować tak wątpliwie historyczna postać jak błogosławiona Joanna, lecz z pewnością nie za miasto składające się z solidnych, twardych ulic, po których mogły niegdyś kroczyć kościste, poskręcane stopy tej kobiety...

Dżezira... ujrzała ją teraz oczyma duszy, poczuła woń cienistych przedsiionków, zobaczyła wznoszące się płataniny antresol, niknących w niewiarygodnej zieleni Szybującego Oceanu. Jednakże za każdym razem, gdy wizja Dżalili nabierała konkretności, tarika mówiła coś innego, co sprawiało, że wyobrażona Dżezira drżała i się przeobrażała. a potem staruszka opowiedziała coś najbardziej dziwnego – otóż, wedle jej słów to Miasto u Kresu Wszystkich Dróg było prawdziwie żywe. Nie w tym prostackim sensie, w jakim każda osada jest obdarzona połowicznym życiem, lecz żyjące rzeczywiście. To miasto myślało. Rosło. Reagowało. Nie istniał żaden konkretny umysł czy punkt skupienia owej świadomości, gdyż to sama Dżezira, jej gwarne i tłoczne ulice, minarety, rzeki, kolasy i wiele milionów żywotów stanowiło ten umysł...

Dżalila oniemiała z zachwytu, lecz na Kalalu rewelacja nie wywarła większego wrażenia. Wciąż bawił się swoim starym kamieniem.

4.

– Dżalilanin...

Sposób, w jaki matka więzi Lya wypowiedziała jej imię, sprawił, że dziewczyna podniosła wzrok. Coś zapulsowało w jej gardle, jakiś nieufny nerw. Teraz jadały wewnątrz, na centralnym dziedzińcu haramleku, zaopatrzone przez Pavo w przezroczysty dach, przez który sączyło się słabiutkie światło wieczornego nieba i który powstrzymywał najsilniejsze poddmuchy wiatru. Mimo osłony, kiedy Dżalila upiła łyk dymiącego naparu z hibiskusa, na-

brała przekonania, że piasek dostawał się jednak do środka.

– Rozmawialiśmy ostatnio. Pojawiły się pewne sprawy i pomysły, co do których chciałybyśmy się Ciebie poradzić...

Innymi słowy, przemknęło Dżalili przez myśl, gdy powiodła wzrokiem po twarzach wszystkich trzech matek, podjęłyście jakąś decyzję. i teraz mi ją ogłosicie, udając, że szukacie rady. Tak samo było z postanowieniem o opuszczeniu Tabuthal. Zawsze tak było. Duch dawnej Dżalili wstał natychmiast od stołu, cisnął serwetkę na blat i odmaszerował z zadartą brodą do swego pokoju. Nowa Dżalila jednak wciąż siedziała. a nawet uśmiechnęła się, próbując przybrać zachęcającą minę.

– Widziałyśmy tak mało światła – podjęła Lya. – Żadna z nas nie poznała go dobrze. a zwłaszcza odkąd pojawiłaś się ty. To oczywiście cudowne doświadczenie, lecz także w pewnym sensie ograniczające... Och, nie. – Lya prędko zbyła myśl machnięciem, tak szybko, że nikt nawet nie zdążył pomyśleć. – Nie opuścimy haramleku ani Al Dżanb. Można tu robić wiele rzeczy. Zawarliśmy nowe związki i przyjaźnie. w każdym razie nie wyjedzie stąd Ananke, ani ja... Pavo jednak... – w tym momencie Lya, która nigdy nie potrafiła zrezygnować z roli przewodniczącej komitetu, skinęła w kierunku swej towarzyszki. – ...Pavo oświa... wyraziła życzenie, że chciałaby podróżować.

– Podróżować? – Dżalila pochyliła się nad stołem i wsparła brodę o splecione palce. – w jaki sposób?

Pavo obróciła swój talerz nieznacznie.

– Najlepszym środkiem do zwiedzenia Habary wydaje się łódź. Ocean jest tu tak wielki... – Znowu przekreśliła talerzyk, jakby chcąc podeprzeć swe słowa przykładem.

– Zresztą nie będzie to zwykła łódź – wtrąciła krzepiaco Ananke – tylko zupełnie nowy statek. Zamówiłyśmy go...

– Wydawało mi się, że nie podjęłyście jeszcze decyzji?

– Umowa, jak sądzę, wciąż jeszcze powstaje – wyjaśniła Lya. – Większa część statku będzie autorskim dziełem Pavo.

– To znaczy, że zbudujesz go w pojedynkę?

– Nie. – Pavo rzuciła jeden ze swych nerwowych uśmieszków. – Poprosiłam o pomoc Ibrę. Jest chyba najlepszym, najbardziej doświadczonym...

– Ibrę? Czy on ma w ogóle jakieś referencje?

– Działilo, to jest Al Dżanb – odparła Lya. – Znamy tutejszych mieszkańców i ufamy im. Spodziewaliśmy się, że akurat ty, zaprzyjaźniona z Kalamem...

– Oczywiście, że to Al Dżanb... – Działila wyprostowała się na krześle. – Jakżebym mogła o tym kiedykolwiek zapomnieć! – Oczy wszystkich matek były wpatrzone w nią. i wtedy coś pękło. Wstała z miejsca i wzburzona wyszła do swojego pokoju.

* * *

Długa wędrówka do kasru tariki, świst wiatru, trzykrotne łomotanie do starych dębowych wrót. Spętanie Robin i śpieszne kroki przez wyściełane kurzem korytarze, droga do tej wysokiej, wyłożonej terakotą komnaty, podświadome oczekiwanie, że nikogo tam nie będzie, chociaż Działila kilkakrotnie odwiedzała już to miejsce sama.

Tarika jednak zawsze była na miejscu. Czekala.

Miały sobie wiele do powiedzenia.

– Ta mrówka, Działilo, która pełźnie po kartce, stąd, tam. Przypomina nas, przemierzających powierzchnię tej planety. Nawet gdyby miała skrzydła jak niektóre inne mrówki, podobnie jak ja mam swoją kolosę, nie zmieniłoby się nic. – Maleńkie, kołyszące czułkami stworzonko było wyraźnie zagubione. Czarna punkcik. Dziewczyzna doskonale rozumiała, jak czuje się owad. – Spróbujmy jednak zwinąć tę kartę i złączyć dwie jej krawędzie w rulon. Wiesz, w jaki sposób porusza się teraz? – Mrówka, wciąż badając drogę, z wahaniem, lecz w końcu skoczyła w dół. – Jesteśmy w stanie podróżować z miejsca na miejsce o wiele szybciej, jeśli, zamiast pokonywać dzielącą je przestrzeń, zwiniemy ją samą.

– Wyobraź sobie teraz, Działilo, że ten wszechświat nie jest pojedynczy. Nie jest jedynie prostą serią następujących po sobie konkretnych wypadków, lecz rozgałęzionym w nieskończoność zestawem możliwości. Tak było od Dni Kreacji i tak jest teraz, widać to w dygotaniu tego szarpanego przez wiatr listka i w parze unoszącej się nad twoją kawą. Każda chwila upływa na wiele rozmaitych sposobów. Większość z nich to słabe, na poły uformowane byty, przelotne myśli i kaprysy Wszchemogącej. Pojawiają się i umierają, by nigdy już nie powrócić. Inne jednak wyrastają mocne i silne, konkretne niczym ścieżka, po której idziemy. Istnieją wszechświaty, w których ty i ja nigdy nie zsiadaliśmy razem w tym kasrze. Istnieją też i takie, gdzie nie ma Działili...

Mogłabyś mi to podać?

Tarika wskazała starą, leżącą w kącie księgę. Była oprawiona w splekaną skórę, wiatr przewracał stronicę. Gdy staruszka odbierała od niej tom, Dżalila poczuła dotyk jej gorącej dłoni.

– Teraz więc musisz sobie wyobrazić, że nie istnieje tylko jedna kartka wszechświat, lecz wiele, podobnie jak w tej książce. Tłoczą się niewidzialne ponad i obok i pod spodem karty, po której akurat pełzniemy. Prawdę mówiąc... – Mrówka na moment się cofnęła, wyczuwając dziwny żar palców tariki, lecz zaraz potem podjęła wędrówkę po otwartych stronach. – Musisz wyobrazić sobie półkę za półką, regał za regałem, piętro za piętrzem bezgranicznej biblioteki. i zobacz, jeżeli zwiniemy tę jedną kartkę, ani my, ani mrówka nie mamy ostatecznej pewności, co znajdzie się po drugiej jej stronie. a ta następna kartka może być równie dobrze dziurawa. Możliwe nawet, że rozdarła ją jakaś inna wersja nas samych.

Mimo swego nie najlepszego stanu, księga wyglądała na potencjalnie cenną – została spisana ręcznie, piękną płynną kaligrafią. Dżalila aż się skrzywiła, gdy palce tariki wydarły w niej otwór. Mrówka jednak zniknęła. Znalazła się gdzieś głęboko między stronicami książki...

– To właśnie, Dżalilo, jest Ból Odległości – doświadczenie wszystkich możliwości naraz. Aby gatunek kobiecy mógł przekraczać odległości pomiędzy gwiazdami, musi go poczuć każda tarika.

Wiatr powiał mocniej i zatrzaskał okładki księgi. Dziewczyna wyciągnęła rękę, lecz staruszka – niezwykle szybkim jak na nią ruchem – uprzedziła ją. Zamiast otworzyć tom i uwolnić owada, przycisnęła go tym samym nadkruszonym i starym kamieniem, którym podczas wizyty w zamku bawił się Kalal.

– Teraz może, Dżalilo, zacznasz rozumieć?

Kamień był wiekowy, wyszczerbiony, szarzielony. Widniały na nim wyryte zamknięte skrzydła żuka. Był to przedmiot ze świata tak niewiarygodnie dawnego i dalekiego, że księga, na której spoczął, wydała się przy nim równie nowa i świeża jak pączek na gałęzi – skarabeusz wyrzeźbiony dla królów Egiptu.

* * *

– Spójrz, Dżalilo. Widzisz, jak rośnie? Tchorost?

Rozpoczęła się Pora Jesieni. Drzewa wyglądały przepięknie; lasy płonę-

ły liśćmi. Działila spacerowała z Pavo, ciesząc się powrotem ptasiego śpiewu i zastanawiając, czemu ta nowa pora przynosi ze sobą smutek, mimo że wszystko dokoła zmieniało się i rozrastało.

– Spójrz...

Tchorost także oblał się rudawozłotą barwą. Gdy się nad nim pochyliła – pod pełnym spokojem niebem, odlanym z błękitu tak bladego, że wyglądał jak morze pochwycone w odbiciu na tafli wody w białej misce – poczuła się, jakby zajrzała w ramiona miniaturowego lasu.

– Myślisz, że uschnie?

Pavo pochyliła się obok niej.

– Działilo, tchorost powinien być umrzeć już dawno temu. To taki mały cud, inszallah. – Wśród małych roślinek widniały trzy martwe punkty, miejsca w których dotknęła go Ananke, w Porze Dawno Minionej. – Zobacz, jaki jest kruchy i delikatny, a mimo to...

– Przynajmniej nie rozprzestrzeni się i nie zarośnie całej planety.

– w każdym razie jeszcze nie przez jakiś czas.

Na innej skale rosła kolejna, niewielka kolonia. Także i tutaj, co dziwne, widniały owe ślady. Tym razem pięć sporych, martwych plamek, jakby pozostawionych przez czyjąś rozcapierzoną dłoń, aczkolwiek zbyt dużą, by mogła należeć do Ananke. Poszły dalej. Nadciągał wieczór. Cienie kobiet wydłużały się z każdą chwilą. Słońce co prawda świeciło, a fale mieniły się iskierkami, lecz Działila żałowała, że nie narzuciła na siebie czegoś cieplejszego niż szal.

– Ta tarika. Lubisz chyba jej towarzystwo...

Dziewczyna przytaknęła skinieniem. Przebywając ze starą kobietą, miała wrażenie, że udało się jej wreszcie uciec z ciasnego Al Dżanb. Doznawała poczucia wyzwolenia z okowów małomiasteczkowego życia w haramleku matek. Świadomość, że międzygwiazdna przestrzeń naprawdę istnieje, wczucie się na moment – gdy tarika rozprawiała o Wrotach – w tę mrówkę, nieskończenie małą, a jednak w jakiś sposób błądzącą, pełznącą przez nieskończone karty wszechświatów... Czy jednak istniał sposób, w jaki mogła to wyrazić? Nawet Pavo nie byłaby w stanie pojąć.

– Jak idzie praca nad statkiem? – zmieniła temat.

Pavo wsunęła dłoń w zgięcie ramienia córki i przytuliła ją.

– Koniecznie musisz przyjść i obejrzeć! Noszę projekt w głowie, lecz sama

nie uświadamiałam sobie, jak będzie wielki. i skomplikowany. Ibra jest pełen entuzjazmu.

– Wyobrażam sobie!

Morze rozbłysło. Kobiety zachichotały.

– Działilo, statek został pomyślany tak, by zmieściło się na nim więcej pasażerów. Ani przez chwilę nie planowałam wyruszyć w rejs samotnie, lecz Lya jest jaka jest, a Ananke zawsze...

Dziewczyna ścisnęła ramię matki.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Byłoby wspaniale, gdybyś ze mną popłynęła. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz. To taka piękna, cudowna planeta. Lewiatany... Wiemy o nich niewiele, lecz w oczywisty sposób cechuje je inteligencja, dokładnie tak, jak utrzymują stare mity.

– Zaraz zaczniesz mi opowiadać o kasrach...

– Te, które możemy oglądać w okolicy, to jeszcze nic! Na oceanie istnieją całe wyspy składające się wyłącznie z tych zamków. i wieje przez nie wiatr. Bez końca śpiewają. Znają rozmaite pieśni, na każdy nastrój i porę roku.

– Nastroje! Gdybym powiedziała coś takiego, kiedy uczyłaś mnie o Filarach Życia, stwierdziłabyś, że to nienaukowe!

– Nauka również opowiada o zachwycie, Działilo. Skoro nie udało mi się tego tobie przekazać, musiałam być mamą nauczycielką.

– Przekazałaś... – Dziewczyna ucałowała Pavo w czoło. – Przekazałaś.

* * *

Statek Pavo był piękny. Między pochylnikami i starymi słupami cumowniczymi, gdzie łopocące czerwienią miiwy spierały się o strzępki martwych pływowych kwiatów, łądz rosła i rosła. Żłoty kadłub. o wiele większy i bardziej wysmukły nawet niż promy, jakie niegdyś przewoziły gości Al Dżanb do i z kosmodromu i które leżały teraz, łągodnie rdzewiejąc, na pobliskiej plaży. o tej porze roku nie mówiło się o niczym innym. Ludzie schodzili się podziwiać postępy robót.

Gdy Działila oglądała żebra, wznoszące się ponad dachy ciasno stłoczonych domów rybaków, przypomniała się jej opowieść Kalala – historia jego ojca i bezimiennej matki, i tego statku, który wspólnie zbudowali w tętniącej życiem stoczni dalekiego miasta. Myśli dziewczyny zasnęła mgiełka. Ujrzała wysokie balkony hotelu dalece bardziej okazałego niż którakolwiek z gospód

czy pensjonatów Al Dżanb. Zobaczyła ciemniejszy, jaśniejszy ocean. Dziwne ciało na ciele, w pokoju z oknami otwartymi na pachnącą solą i ropą bryzę, białe, koronkowe firany unoszące się i opadające...

Statek rósł, a Dżalila odwiedzała tarikę, aczkolwiek, kiedy wracała do miasta, jej myśli ulatywały niekiedy do Kalala i zastanawiała się, jak to jest być mężczyzną, niczym ostatni ptak dodo, schwytanym w potrzask nieustannego, częściowego podniecenia, przypominającego dręczący niepokój. Biedny Kalal. Jego życie jednak z całą pewnością nie było samotne. Po raz pierwszy, gdy Dżalila dostrzegła go w środku podekscytowanego roju dziewcząt, które dawniej otaczały Nairę, pomyślała, że coś zmaćliło jej wzrok. Plotki jednak były głośne i nieustępliwe. „Kalal i Naira zostali parą” – po tym zdaniu zazwyczaj następował pełen oburzenia pisk, dłoni przesłaniała usta. Dżalila mogła się jedynie domyślać, co dumne matki z haramleku Nairy sądzą na temat podobnego związku, lecz oczywiście nikt nie wyrażał uprzedzeń otwarcie. Kalal był przecież po prostu człowiekiem. Delikatnie badając opinie własnych matek, stwierdziła u nich zwykłą, protekcyjną tolerancję. Seksualny związek z mężczyzną okazał się czymś w rodzaju palenia kif, picia alkoholu lub jakiegokolwiek innej formy nieco niewłaściwego zachowania dorosłych; należało owo zachowanie tolerować ze swobodnymi uśmiechami i współczuciem, o ile oczywiście rzecz nie przeciągała się zbyt dłużej w czasie. W zasadzie należało do tego podchodzić w ten sam sposób, w jaki jej matki traktowały obecnie regularne wizyty Dżalili w zamku tariki.

* * *

Dziewczyna wreszcie zrozumiała dlaczego ludzie uważają Porę Jesieni za czas smutku. Mroźne noce. Poranne mgły spowijające swym całunem zatokę. Liście ostatecznie opadające, zbijające się w butwiejące sterty. Także pływowe kwiaty usychały, a fale zabierały i mąciły to, co pozostało z ich wcześniejszych barw. Kielichy wypływały na brzeg, niosąc ze sobą ten sam smród co poruszona glina i podobnie zresztą wyglądając. Również miiwy umierały. Miasto kompensowało to sobie chorągiewkami i przygotowaniami do kolejnego moulid, lecz Dżalili ta jaskrawość wydawała się marna – ot, zwykły płomyk zapalniczki w powiewach wzbierającej, zimowej wichury. Niemniej, przechadzała się czasami z resztkami dawnej ciekawości po starych targach, nostalgicznie muskając palcami łopocące wietrzne jedwabie, przyglądając się ludzkim obliczom, pozdrawiając skinieniami swe liczne obecnie znajome,

aczkolwiek jej myśli znajdowały się często – zupełnie dosłownie – całe lata świetlne od Al Dżanb. Ból Odległości; czuła go. w duchu była naraz podekscytowana i wylękniona. Matki i wszyscy pozostali, zajęci festiwalem i zbliżającym się rejsem Pavo, sądzili po nastroju dziewczyny, że także i ona zamierza popłynąć. Kalala zwodziła w podobny sposób.

Noce stały się bardziej pogodne. Gdy pewnego wieczoru wracała z kasru, a w uszach wciąż dzwonił jej słaby głos tariki, gwiazdy wydawały się bliższe niż kiedykolwiek od dnia, w którym opuściła płaskowyż Tabuthal. Poczowała rozkwit nocy, jej pustkę i rozwijające się w nieskończoność możliwości. Miała jednocześnie ochotę zapłakać i wesoło podskakiwać. Podczas tej wizyty ośmieliła się zadać tarice pytanie, które układała w głowie od dawna, a odpowiedź, co prawda niebędąca prostym „tak”, nie była również odmowna. Gdy rachityczna, żółta plamka Al Dżanb rosła w oddali, zaczęła rozmawiać z Robin, na której grzbiecie się kołysała. „Musisz zrozumieć”, tłumaczyła hajawanowi, „że rdzeń Wszechmogącej przypomina owo puste miejsce pośród gwiazd, wokół którego wszystkie się obracają. Ono tam jest, istnieje, wiemy o tym, lecz nie jesteśmy go w stanie dojrzeć...”.

Śpiewała pochodzące z dawnych sahar pieśni o radości, jaką niesie samotność, i o samotności, którą przynosi radość. z tego miejsca – wysoko na stopniowo obniżającej się, krętej drodze do haramleku – horyzont wydawał się jeszcze na tyle odległy, że widziała światła kosmodromu. Przypominał wielki, zrosnięty zagon pływowych kwiatów, który przetrwał zmianę pór roku. a w samym jego środku wznosił się złoty, już wcale nie kłocowaty, tylko w pewien sposób piękny, obiekt – ostatnia z tegorocznych rakiet. Rakieta, która musiała wystrzelić ponad Habarę jeszcze przed nadejściem Pory Zim.

Gdy prowadziła Robin do stajni, zebrały się dokoła niej w świetle lamp zaniepokojone oblicza matek.

- Gdzieś ty była, Dżalilanin?
- Czy wiesz, która jest godzina?
- Już w tej chwili powinnyśmy być w mieście!

z jakiegoś powodu kobiety były odziane w swe najlepsze, najbardziej uroczyste szaty. Dłonie zabarwiły henną i wyperfumowały. Prędko zdjęły z Dżalili jej brudne ubranie, praktycznie same ją umyły i przebrały, po czym pognęły po wyłożonej nierównymi płytami drodze do miasta, gdzie rozpoczy-

nały się już procesje. Okazało się, jednak, że przybyły w porę, by obejrzeć błogosławienie statku Pavo. Miał nosić imię „Endeavour” i Pavo z Dżalilą wspólnie rozbiły na jego dziobie butelkę wina, po czym łódź z wielkim rumorem potoczyła się w czarne niczym noc wody zatoki, czemu towarzyszył ogromny biały plusk. Rozległy się wiwaty. Pavo wyściskała córkę.

Na przyjęciu po uroczystości pojawiło się wiele więcej butelek tego samego pianistego wina. Lya, ze swą zwykłą zapobiegliwością, zamówiła dużą skrzynkę, chociaż wielu gości pamiętało dawne napomnienia Prorokini i unikało upojenia. Ibra jednak przeszedł wkrótce samego siebie i chodził po wielkim namiocie z dwiema butelkami w rękach, tańcząc niezgrabnie z każdym, kto był na tyle niemądry, by się do niego zbliżyć. Alkohol okazał się słodki w smaku, lecz zarazem dziwnie ostry i gorzki. Dżalila napełniła kolejny kielich.

– Już od jakiegoś czasu zastanawiałem się jak wy, żeglarki, nazwiecie ten statek...

Kalal. Zatańczył już z wieloma dziewczętami, a twarz miał niemal tak samo czerwoną jak jego ojciec.

– Założę się, że nie masz pojęcia czym był pierwszy „Endeavour” – dodał.

– i tu się mylisz – odparła sztywno Dżalila, choć słowa, gdy próbowała je wypowiedzieć, potykały się o siebie i niemal przewracały. – Takie imię nosił statek kosmiczny kapitan Cook, jednej z najsłynniejszych na urziemi odkrywcyń.

– Różnie o tobie dotąd myślałem – warknął Kalal, nagle bez wyraźnego powodu roześlony – lecz nigdy nie uważałem cię za głupią.

Dżalila odprowadziła go spojrzeniem. Coraz więcej osób tańczyło. Ibra wycofał się i, posępny, usiadł w kącie, a środek parkietu zajęła Naira, z uniesionymi ramionami, pobrzękując bransoletkami, z opalem w pępku, kołysząc obleczonymi w wietrzne jedwabie biodrami. Dżalila patrzyła. Być może była to wina napoju, lecz po raz pierwszy od wielu pór roku poczuła na powrót tę lekką, erotyczną tęsknotę. Pożądanie wydawało się jej najprzedziwniejszym z uczuć. Gdy nie obejmowało w posiadanie, było tak bardzo trywialne, a jednak, kiedy nadchodziło, przekonywało, że tuż za rogiem czekają wszystkie tajemnice wszechświata... w tej chwili Naira stanowiła centrum uwagi, kołysała się wdzięcznie wśród tłumu z połyskującymi ramionami. Tańczyła przed Dżalilą, a jej senne spojrzenie zatrzymało się na moment na twarzy dziewczy-

ny, po czym odpłynęło dalej. Teraz tańczyła już z Kalalem, a on kołysał się wraz z nią. Naira trzymała dłonie na jego barkach, wszyscy klaskali. Stanowili piękną parę. Muzyka jednak grała coraz głośniej, podnosiły się też ludzkie głosy. Dżalila poczuła w głowie pulsujący ból. Wyszła z namiotu.

Ucieszyła się na surowość nocnego powietrza, na wyraźną obecność gwiazd. Nawet śwąd gnijących pływowych kwiatów wydawał się stosowny, kiedy ruszyła pomiędzy linami i pochylniami plaży. Tak wiele się zmieniło odkąd trafiła tu po raz pierwszy – przede wszystkim jednak przeobraziła się ona sama. Tutaj – kształt nieomylny niczym wschodzący Walał, rozpościerający swój niebieskawy blask na oceanie – czekała łódź Kalala. Dziewczyna przysiadła na burcie. Zimny wiatr kąsał jej ciało. Usłyszała grzechot kamyków i pomyślała, że obok przechodzi ktoś inny poszukujący samotności. Dźwięki jednak zbliżyły się i przybysz wkrótce usiadł przy niej. Nie musiała nawet unosić wzroku. Kalal zawsze pachniał inaczej, a teraz był dodatkowo spocony po tańcu.

– Wydawało mi się, że świetnie się bawisz – mruknęła.

– Och... bawiłem się. – Nacisk na czas przeszły był bardzo wyraźny.

Siedzieli tak przez dłuższy czas, w wietrznej, pełnej szumu bijących fal ciszy. Niemal jakby została sama. Niemal jak za ich dawnych, wspólnych dni.

– Więc wyruszysz, prawda? – podjął wreszcie Kalal.

– o tak.

– Cieszę się wraz z tobą. To świetny statek, a Pavo to moja ulubiona z twoich matek. Ostatnio nie wyglądałaś na szczęśliwą w Al Dżanb. i tyle czasu spędzasz w kasrze tej starej wiedźmy.

– Ona nie jest wiedźmą. To tarika. Wykonuje jeden z najważniejszych i najstarszych zawodów. Aczkolwiek dziwię się, że miałaś w ogóle czas zauważyć czym się zajmuję. Ty i Naira...

Kalal wybuchnął śmiechem, który na wietrze nabrał gorzkiego brzmienia.

– Przepraszam – ciągnęła Dżalila. – Mówię zupełnie jak jedna z tych plotkar. Wiem, że nie jesteś taki. Żadne z was nie jest. i bardzo się cieszę waszym szczęściem. Naira jest słodka, utalentowana i urocza... Mam nadzieję, że to przetrwa... Mam nadzieję...

Po kolejnej, długiej chwili milczenia odezwał się Kalal.

– Skoro oboje przepraszamy, przepraszam, że tak źle zareagowałem na nazwę statku, na którym popłyniesz. „Endeavour” to dobra nazwa.

– Dziękuję. Alhamdulillah.
– Prawdę powiedziawszy, sam mogę wymyślić tylko jedną lepszą i cieszę się, że ty i Pavo z niej nie skorzystałyście. Znasz to porzekadło. Dwa statki o tej samej nazwie mieszają wiatrom w głowach...

– o czym ty mówisz?

– o tej łodzi. Tej, na której siedzisz. Myślałem, że już zauważyłaś.

Dżalila spojrzała w dół na dziób, wyciągający się przed nią w blasku księżyców, mierzący prosto w srebrzone fale. z tego kąta i przez starą kaligrafię naskhi, jaką posłużył się Kalal, odczytanie nazwy zabrało dziewczynie kilka chwil. Poczula, że coś się w niej poruszyło.

Tchorost.

Białe, zalane poświatą księżyców litery.

– Jestem pewna, że można wymyślać dla statków jeszcze lepsze nazwy – stwierdziła ostrożnie. – Niemniej, to mi schlebia.

– Schlebia? – Kalal wstał.

Nie widziała jego twarzy dokładnie, lecz uświadomiła sobie nagle, że po raz kolejny powiedziała coś nie tak. Zamachał rękoma w dziwnym wzruszeniu ramion i przez moment wydawało się, że zaraz się ku niej nachyli – by zrobić coś nieprzewidywalnego i gwałtownego – lecz zamiast tego po prostu odszedł, zbierając po drodze kamyki i ciskając je w rozbudzone fale.

* * *

Pavo miała rację. Jeżeli nawet nie w kwestii miłości – co do tej, Dżalila wiedziała już teraz, że wciąż jeszcze jej nie zaznała – to przynajmniej w sprawie poważnych, życiowych decyzji. Nie mają prawdziwego początku, choć ludzki umysł często go poszukuje.

Kiedy kolasa tariki wychynęła zza zasłony deszczu – jaki świeżo i obficie się rozpadał pewnego ciemnego wieczoru, mniej więcej tydzień po chrzcie „Endeavour” – i wylądowała w światłach haramleku, po czym pojawiła się sama stara kobieta, w jakiś sposób wciąż sucha, i przeszła przez ogród, chlapiąc dokoła wodą z kałuż, podczas gdy trzy matki gorączkowo szukały parasolki, jaką powinny były znaleźć wcześniej, Dżalila wciąż nie wiedziała co myśleć. Wszystkie cztery, tak czy inaczej, musiały porozmawiać ze sobą na osobności; to dziewczyna rozumiała. Tym razem, po zwykłych, wstępnych powitaniach, z zadowoleniem usunęła się do namiotu snów.

Niemniej, jej umysł wciąż był wzburzony. Przeraziła się nagle, że jej mat-

ki naprawdę zgodzą się na tę dziwną propozycję i że potem – wiedziona poczuciem obowiązku, wstydem i niemal niczym więcej – zwiąże się na resztę życia z czymś, co tarika nazywała Kościołem Wrót. Tak mało wiedziała. Tarika mówiła głównie zagadkami. w zasadzie wciąż mogła okazać się oszustką – albo wiedźmą, jak utrzymywał Kalal. Myśli wirowały wokół dziewczyny niczym krople deszczu. By zabić czas, próbowała poradzić się mądrości namiotu snów. Leżąc w nim – nasłuchując podnoszących się głosów matek, które bez końca wymieniało jej imię – Dżalila pozwoliła osobowościom, które przeprowadziły ją już pomiędzy licznymi Filarami Mądrości, opowiedzieć sobie wszystko, co wiedziały na temat Kościoła Wrót.

Ujrzała czerń międzyplanetarnej przestrzeni, w której punkciki obracających się planet wirowały niczym okruchy miki. Niemal równie olbrzymia jak one – gdy zbliżyła się bardziej – choć rozczarowująco przypominająca wieloboczną odmianę kosmodromu, okazała się stacja kosmiczna, a w niej węzeł, dzięki któremu można było dostać się z miejsca na miejsce, bez konieczności pokonywania dzielącej oba punkty odległości. Wielkie rozdarcie w Księżdzie Życia, składające się z uwięzionej energii tego, co tarika nazywała kosmicznymi strunami, aczkolwiek one i same Wrota były widoczne tylko pod postacią pierścienia obracającego się w pobliżu środka ogromnej stacji, przed którym co jakiś czas zawisały i znikwały – Dżalila wszystko to zobaczyła – pojazdy wszelkich możliwych kształtów. Przestrzeń, którą dojrzała wewnątrz, nie wydawała się bardziej ciemna niż ta rozdzielająca widoczne za pierścieniem gwiazdy, mimo że przyglądanie się jej wywoływało dziwny ból. To zatem była istota tajemnicy; w pewnym sensie naraz zwykła i nadzwyczajna. Pełzamy po powierzchni tego wszechświata niczym mrówki, a każdy ze statków przeskakujących we Wrotach przez moment zniknięcia i nieskończonych możliwości swego dalszego losu pilotowany jest przez siłę świadomej inteligencji tariki, która musi wszystkie te ewentualności rozważyć, a następnie, w jakiś sposób zachowując zdrowy umysł, wychynąć w jednym kawałku po drugiej stronie wszystkiego...

Myśli Dżalili powróciły do znajomych woni i kształtów namiotu snów, do odgłosów deszczu. Wydawało się, że chwila należy do dawno minionej Pory Mżawek. Rozmowy na dole ucichły. Gdy wyszła z namiotu, podświadomie oczekując, że haramlek znów będzie dopiero na pół wyremontowany i wciąż przeciekający, przyszło jej do głowy to, czego tarika w zasadzie nie wyjaśniła

do końca – Wrota muszą przenosić przez czas z równą łatwością, z jaką przenoszą przez wszystkie pozostałe wymiary! Jednakże pokoje haramleku były już w pełni umeblowane, a trzy jej matki wraz z tariką siedziały w obmytym przez deszcze świetle świec na dziedzińcu. Czekwały.

Kiedy chodziło o prośby mniejszej wagi, Lya zawsze przed wyrażeniem zgody dokładnie wypytywała Dżalilę. Gdy zatem dziewczyna usiadła przed matkami i próbowała nie drżeć w ich obecności, zastanawiała się, w jaki sposób wyjaśnić swą ignorancję w sprawie tej czystej, bezgranicznej tajemnicy.

Lya jednak po prostu spytała Dżalilę, czy tego naprawdę chce – czy chce zostać akolitką Kościoła Wrót.

– Tak.

Dżalila czekała. Czyżby miało nie paść choćby „Jesteś pewna?”. Przecież nawet posyłając córkę po zakupy do Al Dżanb, obdarzały ją mniejszym zaufaniem... Deszcz nie ustawał. Wieczór był bezgwiazdny i ciemny. Wszystkie trzy matki uściskały ją, choć nie powiedziały przy tym wiele i odeszły do swych własnych namiotów snów i do własnego milczenia, pozostawiając Dżalili obowiązek pożegnania tariki. Żar starej dłoni nie zaskakiwał już dziewczyny, która pomogła tarice wstać z krzesła i odprowadziła ją spod dachu dziedzińca.

– Cóż – wychrypiała tarika – nie poszło tak źle.

– Ale ja tak mało wiem! – Stały na patio, na ociekającym wodą skrajuncy. Mokre chorągwie wichru szarpały ich ubrania.

– Rozumiem, Dżalilo, że chciałabyś usłyszeć ode mnie znacznie więcej, ale zastanów się, czy to zmieniłoby cokolwiek?

Dżalila pokręciła głową.

– Wybierzesz się tam ze mną?

– Nie. Muszę zostać na Habarze. Tak zostało zapisane.

– Ale będę mogła tutaj wrócić?

– Oczywiście, chociaż musisz pamiętać, że nigdy nie wraca się do miejsca, z którego się wyruszyło. – Tarika sięgnęła po broszę, tę wykonaną na kształt pożerającego własny ogon robaka. – Chcę, żebyś to wzięła. – Ozdoba została wyrzeźbiona z czarnej kości słoniowej i w dotyku wydała się Dżalili równie gorąca jak ciało starej kobiety. Tym razem, nie przejmując się, że może pogruchotać wiekowe kości, mocno uścisnęła małą, ptasią tarikę. Staruszka pachniała kurzem i metalem, niczym zabytkowe puzderko, zapodzione gdzieś

na słonecznym parapecie. Działila pomogła jej zejść po schodach, do zalanego deszczem ogrodu.

– Niebawem znowu przyjdę – powiedziała. – Do kasru.

– Oczywiście... Czeka nas wiele przygotowań. – Tarika otworzyła mokre, filigranowe drzwi kolasy i przyjrzała się dziewczynie na pół ociemniałymi oczyma. Działila czekała. Już w tej chwili zbyt długo stały na deszczu.

– Tak?

– Nie bądź zbyt surowa dla Kalala.

Zaintrygowana dziewczyna odprowadziła wzrokiem pojazd, który uniósł się i odleciał z dala od świateł haramleku.

* * *

Działila ostrożnie stąpała po okruchach szkła oczekiwać własnych i jej matki. Uzgodniono, że dotycząca jej wiadomość zostanie wreszcie posłana – oraz poparta pełnym, długim i ozdobnym formalnym nazwiskiem tariki – do ciała rzeczywiście noszącego nazwę Kościoła Wrót. Nadano ją za pomocą radiowego impulsu na krążącą po szerokiej słonecznej orbicie stację kosmiczną, która przejmowała startujące z Habary rakiety, a potem została przewieziona na pokładzie pilotowanego przez tarikę statku. i to nie wszystko, portem docelowym wiadomości była Dżezira! Jadąc wierzchem na Robin – ku urwiskom, skąd w świeżej przejrzystości jesiennego powietrza, pod szarym niebem, wśród szarpającego, mokrego wiatru, wreszcie mogła ujrzeć kadłub tej ostatniej, złotej rakiety – Działila czuła się niepewna i mała, wielka i mityczna. Uzgodniono też, że dla dobra wszystkich zainteresowanych – w tym samej dziewczyny, gdyby zmieniła zdanie – rozpuszczona zostanie plotka, że Działila wyrusza z Pavo w rejs dokoła planety na pokładzie „Endeavour”. Potrzebując, w momentach wolnych od posępnych rozmyślań, zajęcia, czekając na odpowiedź z (czy to naprawdę możliwe?) świadomego miasta Dżeziry, Działila rzuciła się w wir sporządzania list, prac przy załadunku i innych przygotowań z przekonującym entuzjazmem.

– Najtrudniejsze decyzje, kiedy się je już podejmie, często okazują się najlepszymi.

– w porównaniu z tym, do czego ty się szykujesz, moja mała wyprawa wydaje się niemal bezsensowna.

– Tak bardzo cię kochamy.

Wreszcie nadeszła odpowiedź: zgoda, potwierdzenie przyjęcia; kilka (wy-

dawało się, że zbyt mało) detali dotyczących organizacji i pozwoleń potrzebnych do odbycia takiej podróży. Wszystko to zawarte na mniej niż połowie zwykłej dwuwymiarowej kartki.

Teraz nawet Lya zaczęła dotykać i przytulać córkę przy każdej nadarzającej się okazji.

Działila zjadła obiad z Kalalem i Nairą. Zaskakując samą siebie, rozprawiała wesoło, najpierw o śpiewających wyspach i morskich lewiatanach, z przyjemnym wrażeniem, że poza konkretami dotyczącymi nadchodzącej podróży nie ukrywa przed dwójką swych najlepszych przyjaciół zbyt wiele. Uderzył ją jednak chłód panujący między nimi, pomiędzy parą kochanków. Naira – być może dzięki gorzkiemu doświadczeniu wyczuwając, że po raz kolejny zostanie odrzucona – pod powłoką oszalamiających uśmiechów i zalotnie zarzucanych włosów wydawała się bliska łez, a Kalal wyglądał... Działila nie miała pojęcia jak, lecz nie mogła pozwolić, by skończyło się to w ten sposób. Zmyśliła więc na poczekaniu kilka dotyczących „Endeavour” pytań po to tylko, by móc wyjść z nim samotnie z baru. Naira, zapewne obawiając się czegoś zupełnie innego, niechętnie pozwoliła im odejść.

– Zastanawiam się, co myśmy jej właściwie zrobili? – Kalal westchnął, patrząc na Nairę, która zamachała im po raz ostatni ręką, zamarła na moment, po czym obróciła się z wolna, opornie, i ruszyła alejką, co chwila obracając głowę w zupełnie niepodobny do niej sposób.

Korzystając z przerwy w deszczu, ruszyli ku zatoce, ku czekającemu „Endeavour”.

– Wspaniały, nieprawdaż? – mruknął Kalal, gdy stanęli i przyjrzeni się najpierw długiemu pokładowi, potem lasowi wysokich zeber. Pavo, która rozwijała właśnie swą więź z umysłem statku, pomachała im z bańki forkasztelu. – Jak myślisz, ile wasz rejs potrwa? Według moich obliczeń powinniście wrócić wczesną wiosną, o ile wyprzedzicie góry lodowe...

Działila musnęła palcami broszkę od tariki, którą nosiła ostatnio na ramieniu, w miejscu, do którego przytknęła niegdyś pływowy kwiat. Ozdoba przypominała czarną kość słoniową, lecz była usiana maleńkimi białymi iskierkami, wyglądającymi jakby rosły, gdy uniosło się je bliżej oczu. Dziewczyna nie miała pojęcia z jakiego świata pochodzi, ani jak się nazywa substancja, z jakiej ją wykonano.

– ...przegapicie tutejszą zimą. Ale może to nic złego, a tam, na oceanie,

będą inne pory roku. Także inne zimy. Cóż, szczerze mówiąc, Dżalilo, miałem nadzieję...

– Posłuchaj! – przerwała mu dziewczyna, która nagle poczuła, że ma dość życia w kłamstwie. – Ja nie płynę.

Obrócili się i stanęli na skraju zatoki, zwrócenii twarzami do siebie. Zdumienie skrzyło dziwne oblicze Kalala i po chwili zaskoczenie przerodziło się w zachwyt. Dżalili przemknęło przez myśl, że chłopak coraz bardziej przypomina swego ojca.

– To cudownie! – Chwycił ją za ramiona i ścisnął tak mocno, że aż zabolało. – Wszystko, co ci mówiłem o zimach w Al Dżanb, to zwykłe bzdury. To najpiękniejsza, najbardziej magiczna pora roku. Będziemy się rzucać śnieżkami! a kiedy nadejdzie Eid al-Fitr...

Jego dłonie oderwały się od dziewczyny i opadły.

– Dżalilo? Co się dzieje? o co chodzi?

– Nie popłynę z Pavo na pokładzie „Endeavour”, ale tak czy inaczej wyjeżdżam. Polecę do Dżeziry. Będę się uczyć w Kościele Wrót. Spróbuję zostać tariką.

Jego rysy znów się ściągnęły.

– Ta wiedźma...

– Przestań ją tak nazywać! Nie masz o niczym pojęcia!

Kalal zacisnął pięści i dziewczyna cofnęła się o krok, bojąc się przez chwilę, że to dzikie, dziwne stworzenie naprawdę może ją zaatakować. Odwrócił się jednak i biegiem uciekł z portu.

* * *

Następnego ranka znów padało. Dżalila, po niedokończonych rozmowach z Kalalem, czuła niepokój i martwiła się. Minął już także jakiś czas od odebrania wiadomości z Dżeziry, a owe kilka dotyczących jej podróży detali, jakie się w niej znalazły, okazało się poważnymi, skomplikowanymi i frustrująco trudnymi do załatwienia sprawami. Mimo niepogody, dziewczyna postanowiła pojechać do tariki.

Nastrój Robin był ostatnio niemal tak samo dziwny, jak humory matek. Gdy Dżalila weszła do stajni, hajawan zajęczał i prychnął. Dziewczyna odezwała się do niego i pogładziła długi nos, próbując uspokoić pobudzone zwierzę. Dopiero gdy sprawdzała uprząż, dotarło do niej, że zniknęła Abu. Lya kończyła jeszcze śniadanie w haramleku. Drugiego wierzchowca musiał

więc zabrać Kalal.

Wijąca się, wyłożona nierównymi płytami droga. Czarne, ociekające wodą drzewa. Poruszony ocean. Robin znowu zaczęła rdzewieć. Potrzebowała opieki Pavo. Tyle że Pavo również niedługo zniknie...

Zmieniała się cała planeta i Dżalila nie miała pojęcia co o tym wszystkim myśleć, a już najmniej wiedziała co sądzić o zachowaniu Kalala, choć fakt, że bez pytania pożyczył drogiego wierzchowca – mimo że Abu praktycznie należała do niego przez całe lato – przepełnił dziewczynę złowrogim przeczuciem, które okazało się niewygodnym bagażem, niezbyt ciężkim, lecz trudnym zarówno do noszenia, jak i odstawienia, nieporęcznym, kanciastym i bolesnym. Już dwukrotnie odwrócił się od niej i odszedł, pozostawiając niedomówienie. Miała wrażenie, że jakaś przepowiednia zaczyna się...

Zalany rześistym deszczem kasr pobłyskiwał głęboką czernią. Wzmacniane żelazem wrota, zmagające się z wilgotną opuchlizną, otworzyły się po trzecim stuknięciu Dżalili gwałtowniej niż zwykle. Powietrze po drugiej stronie zawirowało ciemne i puste. w miejscu tuż za gankiem, gdzie Kalal uwiązałby hajawana, nie było po Abu nawet śladu, choć podłoga tam była mokra i ubłocona. Robin zdawała się podenerwowana. Dżalila odwróciła się, lecz wraz ze swym wierzchowcem zatały już wszelkie ewentualne ślady obecności innego. Pomyślała, że w odróżnieniu od spostrzegawczego Kalala byłaby marnym detektywem.

w korytarzach jąkały się lodowate powiewy. Dżalila, zziębnięta i czujna, przywykła już do zwykłego w tym zamku poczucia opuszczenia, które sprawiało, że nie można było stwierdzić, czy kasr został porzucony na dobre. Obawiała się jednak, że tak się właśnie stało. Myśli i kroki dziewczyny podszepływały, że tarika, zniszczywszy jej życie i igrając z jej nadziejami, po prostu zniknęła we mgle niezrealizowanych możliwości. Rozgoryczona, zła, weszła żywym krokiem do komnaty o wysokim suficie, wyłożonej biało-niebieską terakotą, gdzie stwierdziła, bez większego zdziwienia, że porozrzućcane na posadzce poduchy są zimne i nawilgłe, ogień pod kawą nie płonie i że książka, przez którą przedzierała się cierpliwa mrówka, leży w bezładzie własnych przemoczonych i podartych stronic. Także po skarabeuszu nie został nawet ślad. Dżalila usiadła i zasłuchiwała się w wycie wiatru, w stukot kropel deszczu, zastanawiając się przez długie chwile, w którym dokładnie momencie życia utraciła umiejętność płaczu.

Wreszcie podniosła się i przeszła przez dziedziniec. Dziś było zimniej niż kiedykolwiek dotąd, ulewa zgęstniała i poszarzała. Zaczęła przypominać konsystencję żel i spływała z rynien pod postacią czegoś, co jak podejrzewała Dżalila, nazywa się „mokrym śniegiem” i co postanowiła znienawidzić na zawsze. Substancja wypełniła misę fontanny śluzową zawartością i wlokąc się ślimaczo, ciekła kanałami. w powietrzu niesły się zawodzenie i szloch. w narożniku dziedzińca leżał niewielki czarny stosik.

Martwa tarika spoczywała rozciągnięta, na pół pod dającym mamą osłonę łukowato sklepionym krużgankiem. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała ptaka nietola. Miała przemoczone ubranie. Wszelki żar z jej ciała zdążył już ulecieć, aczkolwiek w dzień taki jak ten potrzeba było do tego ledwie kilku chwil. Dżalila uniosła wzrok i poprzez padający wilgotny śnieg spojrzała ku czarnym śliskim kamieniom koronkowej muszaraby, zza której wraz z Kalalem po raz pierwszy podglądali starą kobietę. Wiedziała jednak, że jest tutaj sama. Martwi ludzie kurczą się niewiarygodnie – nawet istota równie stara i krucha jak ta. a jednak, gdy Dżalila spróbowała przenieść zwłoki tariki spod deszczu, okazało się, że to wyzute z ducha ciało nie chce posłuchać; bardziej nieporęczne i ciężkie niż kawał gliny. Głowa staruszki obróciła się obliczem ku dziewczynie. Jedna strona twarzy została wbita do środka i zniekształcona. Mrówki z pobliskiego mrowiska oblaży ją rojnie, zawzięcie ryjąc w wilgotnym i pożywnym cieple, które odnosiły w kawałkach po uwalanym krwią chodniku, zbierając zapasy na zbliżającą się długą zimą.

Po skarabeuszu nie było nawet śladu.

5.

Dla Dżalili i jej matek nastąpiła Pora Pożegnania. Nastąpiła Pora Wyjazdów.

Na cyplu, z którego rozciągał się widok na Al Dżanb, wznosiło się niewielkie, zwieńczone ładną cebulastą kopułą mauzoleum, a otaczające je łąki stanowiły w Porze Lata popularne miejsce pikników i schadzek kochanków, mimo że były usiane nagrobkami. To wiecznie dająca innym oparcie Lya zajęła się umyciem i spowiciem w całun zwłok tariki. Dżalila nie mogłaby się z tymi zadaniami zmierzyć za nic w świecie. Także Lya dopilnowała rozesłania przez zero-przestrzeń pomiędzy gwiazdami wszystkich koniecznych wiadomości. Dżalilę, która nigdy wcześniej nie była świadkiem załatwiania spraw związanych z ludzką śmiercią, zdumiewała prędkość, z jaką wszystko zorganizowano. Gdy stanęła wraz z resztą żałobników – w dzień przystrojony

szarfą chmur – przy wykopanym w ziemi prostokącie, do którego złożono to, co zostało z tariki, wciąż słyszała wiatr huczący ponad pustym kasem, nadal czuła nieposłuszny ciężar ciała staruszki i zimne iskierki mokrego śniegu na twarzy.

Wydawało się, że w zmierzającym wąską drogą z miasta kondukcje przybyła większość mieszkańców Al Dżanb. Rybaczki o stwardniałych dłoniach. Krzykliwie wystrojone handlarki. Nawet kilku wciąż pozostających w okolicy obcych. Pojawiła się także Naira, piękne wcielenie żałoby, otoczona mniej ważnymi, czarnymi akolitkami. a także Ibra. i nawet Kalal. Dżalila – o której wiedziano, że znała tarikę lepiej niż ktokolwiek inny – wygłosiła kilka słów. Sama ledwie je dosłyszała wśród zawrota wiatru. Następnie kapłanka przybyła specjalnie w tym celu aż z Ras, zmówiła zwykłe modlitwy opowiadające o duszy wznoszącej się na ramionach Munkar i Nakir, anielic niebieskiej i czarnej. Spoglądając w ziemię – usilnie starając się myśleć o ogrodach rozkoszy, jakie Wszchemogąca obiecywała swym błądzącym wiernym – Dżalila była w stanie jedynie wspominać koszmar o własnym pogrzebie: ciemne grudki spadające jej na twarz, oblicza przyglądających się jej z góry znajomych. Tarika, w jednej ze swych niedokończonych opowieści, opisała jej niegdyś świat, nad którym nie weszło nigdy słońce, lecz który był ciepły i obfity dzięki ciepłu czerpanemu spod powierzchni planety. Wszyscy jego mieszkańcy byli niewidomi i poruszali się wyłącznie dzięki wskazaniom słuchu i dotyku; było to miejsce pełne radości i wiecznego śpiewu. Być może – wbrew słowom Prorokini – także Raj jest miejscem ciepłym i pogrążonym w mroku.

Ceremonia dobiegła końca. Żałobnicy odeszli. Każdy z nich wrzucił do prostokąta okruch mokrej ziemi, lecz reszta pracy została pozostawiona obdarzonej tępym umysłem robociej istocie, którą Pavo musiała kiedyś ratować przed zbyt wieloma wyrazami uwielbienia ze strony dzieci, ujeżdżających automat przez całe długie habariańskie lato. Matki dziewczyny wyprawiły w haramleku niewielką ucztę. Ludzie spacerowali po dziedzińcu i z podziwem komentowali liczne zmiany i usprawnienia, jakie kobiety wprowadziły w swym mieszkaniu. Ibra wśród tego wszystkiego wydawał się wyciszony – jakby niechętnie przebywał we własnym ciele – Kalal z kolei zniknął zupełnie, choć Dżalila podejrzewała, że choćby z powodu pokuty nie mógł oddalić się zanadto.

Oczywiście, wiadomość o śmierci tariki okazała się szokiem dla wszystkich i Lya, będąca obecnie osobą, do której miasto często zwracało się ze swymi problemami, stanęła na czele dochodzenia. Składająca się z mądrych kobiet komisja została powołana jeszcze szybciej, niż zorganizowano pogrzeb. Działła została wezwana przed jej oblicze i przesłuchana. Czekając w zimnych korytarzach urzędowych budynków Al Dżanb, igrała z myślą, by nie wspomnieć o zniknięciu Abu i własnych podejrzaniach wobec Kalala, lecz Lya i inne zdążyły z nim już porozmawiać i chłopak przyznał się w zasadzie do wszystkiego. Pojechał do kasru na grzbiecie Abu, by zaprotestować tarice w oczy. Był zły, nie był w dobrym nastroju. w jakiś sposób, aczkolwiek lekko, popchnął staruszkę, która fatalnie upadła. Następnie wpadł w panikę. Kalal był odpowiedzialny za swe działania, to prawda, lecz uzgodniono, że incydent był w swej istocie wypadkiem. Działła, która zdążyła już sobie wyobrazić liczne wersje konfrontacji Kalala z tariką – choć ani jedna nie wydawała się jej prawdziwa – ze zdziwieniem stwierdziła, że mieszkanki Al Dżanb rozgrzeszyły go bardzo łatwo. Zastanawiała się, czy byłyby do tego równie skore, gdyby Kalal nie był wynaturzeniem – mężczyzną. a potem zaczęła się zastanawiać – choć nikt nawet słowem nie zasugerował czegoś podobnego – jak wiele w tym wszystkim było jej własnej winy.

Wyszła ze stypy i przeszła przez drogę ku plaży. Kalal siedział na kamieniach, plecami do brzegu i gór. Nie poruszył się, gdy dziewczyna podeszła i zajęła miejsce obok. Był to pierwszy raz od dnia poprzedzającego śmierć tariki, kiedy znaleźli się sam na sam.

– Będę musiał stąd wyjechać – odezwał się, wciąż wpatrzony w ciągnące się ponad horyzontem chmury.

– Nie ma powodu...

– ...nikt nie poprosił Ibry ani mnie, byśmy zostali. Nie sądzisz, że gdyby tego chcieli, właśnie to by zrobili? To przecież typowe dla was, kobiet.

– Kalal, nie jesteś „nami kobietami”. Jesteśmy ludźmi.

– Zawsze to powtarzasz. a całe Al Dżanb jest zapewne przerażone raportem, jaki musiały wysłać tej organizacji, do której wstępujesz – Kościołowi Wrót. Taka wielka, potężna klika, a tu, ojej, właśnie zabiliśmy waszą starą pracownicę...

– Proszę, nie bądź taki zgorzkniały.

Kalal zamrugał, lecz nie odpowiedział. Jego policzki pobłyskiwały.

– Ty i Ibra, dokąd się udacie?

– Na tym wybrzeżu jest wiele innych miast. Możemy popłynąć do któregoś naszą łodzią, zanim pojawi się lód. Na opuszczenie planety nas nie stać. Może jednak w Porze Fałszywej Wiosny, gdy stanę się dorosłym mężczyzną i dorobimy się wreszcie na zbiorach pływowych kwiatów prawdziwych pieniędzy – i kiedy pogłoska o tym, co zaszło tutaj, rozejdzie się już na całą planetę – może wówczas odlecimy z Habary. – Pokręcił głową i pociągnął nosem. – Nie wiem czemu w ogóle mówię „może”...

Dżalila przyglądała się falom. Zastanawiała się, czy to właśnie było przeznaczeniem wszystkich mężczyzn: wędrować bez końca z miejsca na miejsce, z planety na planetę, w ucieczce przed plotkami o niejasnych zbrodniach, które wydarzyły się nie całkiem z ich winy.

– Pewnie chciałybyś się dowiedzieć, co się tam stało.

Dżalila pokręciła głową.

– Wszystko jest przecież w raporcie, Kalal. Wierzę w to, co powiedziałeś.

Otarł twarz i przyjrzał się pozostałej na palcach wilgoci.

– Dżalilo, ja sam nie jestem pewien czy sobie wierzę. Tamtego dnia, ona... Ta starszka zawsze na ciebie czekała, prawda? a potem odniosłem wrażenie, że wiedziała. Nie do końca rozumiem jak to się stało i, przyznaję, byłem wściekły. Ale ona niemal się na mnie rzuciła... Jakby chciała umrzeć...

– Nie wolno ci się obwiniać. To ja cię do tego doprowadziłam, Kalal. Nigdy nie rozumiałam... – Dżalila pokręciła głową. Nie była w stanie tego powiedzieć. Nawet w tej chwili. Czy miała zimne i wyschnięte.

– Kochałem cię, Dżalilo.

Światy rozgałęziły się w milion różnych kierunków. Wszystko mogło potoczyć się inaczej. Tarika mogła nadal żyć. Dżalila i Kalal mogli być razem, zamiast doznawać tej na poły ukształtowanej emocji, jaką była miłość, którą oboje przez moment czuli do Nairy. Mogli razem wejść na pokład „Endeavour” i popłynąć przez morza tej planety; Pavo zapewne by im na to pozwoliła – lecz kiedy, lecz gdzie, lecz jak? Nic z tego nie wydawało się realne. Może tarika miała rację; istnieje wiele światów, lecz większość z nich to byty słabe, tylko na poły uformowane.

Dżalila i Kalal siedzieli tam jeszcze chwilę dłużej. Tchorost rozrastał się nieopodal, ciemniejąc i twardniejąc, tworząc sztywny, szary dywan. Żadne z

nich tego nie zauważyło.

* * *

z żadnego innego powodu poza zmianą pływów i gwałtownie nadciągającą zimą, Pavo, Jalikla Kala i Ibra opuścili Al Dżanb tego samego poranka. Przez kilka poprzednich dni w haramleku panował chaos. Ludzie krzyczeli, poszukiwali zaginionych rzeczy, obrażali się, popadali w małostkowość. Dżalila czuła się rozdarta pomiędzy zabranieniem wszystkiego i niczego; po wielu godzinach spędzonych na pakowaniu i przygryzaniu wargi, uznała, że równie dobrze mogłaby całość bagażu wyrzucić, a czas poświęcić na pobyt w stajni z Robin. Oczywiście, Abu także tam była, a nieuchronność zmiany i wyjazdu przeczuwała jeszcze wyraźniej niż hajawan Dżalili. Stała się już wierzchowcem Kalala w o wiele większym stopniu niż Lyi, a chłopak nie przyszedł się z nią pożegnać.

Dżalila gładziła ciepły filc zwierzęcych pysków. Wpatrując się w odpowiadające jej spojrzeniem ślepiec Abu, przypomniała sobie ich wycieczki w upalne, letnie dni. Przebywając wtedy z Kalalem, aczkolwiek zupełnie tego nie zauważywszy, znalazła się najbliżej w życiu pokochania drugiej osoby. Ostatniej nocy przed wyjazdem Ananke ugotowała jedną ze swych najbardziej ekstrawaganckich kolacji i cztery kobiety usiadły przed górami owej ekstrawagancji, piętząc się na stole, którego nakrycie zajęło cały dzień. Każda z nich zastanawiała się, co powiedzieć, każda z nich zastanawiała się, jak wiele cennych ostatnich wspólnych chwil zdążyła już zmarnować. Zmówiły długą modlitwę do Wszzechmogącej i ukłoniły się w kierunku Al Toman. Wydawało się, że nawet te matki, które nie opuszczały Al Dżanb, rozpoczną jutro nową i trudną podróż.

Potem nadszedł poranek, a wraz z nim pogoda obciążona mroźnym blaskiem słońca i wiatrem, który mocno szarpał ich płaszcze oraz próbował wypchnąć swymi kuksańcami „Endeavour” z zatoki, zanim postawiono żagle. Wszyscy odprowadzali statek wzrokiem, całe miasto wiwatowało i machało pozdrawiającej ich z pokładu Pavo, z każdą chwilą malejącej, schłodniejszej i ładniejszej. Za zakrętem, poza zasięgiem spojrzeń z portu, bez ceremonii i uradowani, ponieważ „Endeavour” odwrócił od nich uwagę, przygotowywali się do drogi Ibra i Kalal. Biegająca Dżalila złapała ich w chwili, kiedy zaczęli już spychać kadłub po rozpadającej się pochylni w morskie fale. „Tchorost” – dziewczyna zauważyła, że Kalal zachował nazwę, aczkolwiek oboje stanęli

na tej ostatniej plaży w pewnej odległości od siebie i rozmawiali jak para nieznanomych.

z Ibrą pożegnała się uściskiem dłoni. Kalala ucałowała lekko w policzek, pochylając się sztywno ku niemu. Poczowała szorstkość zarostu. Chwilę później łódź zaklinowała się na pochylni i musieli się wszyscy wspólnie natrudzić, by przepchnąć ją przez kilka ostatnich metrów do oceanu, aż wreszcie, z nagłą, uniosła się na falach. Ibra stawiał żagle, a Kalal zajął miejsce na dziobie, ukryty za osłoniętym brezentem ładunkiem ich dobytku. Działila zauważyła go tylko raz jeszcze, a potem „Tchorost” zakręcił i popłynął na spotkanie silniejszych prądów poza wylotem szarej zatoki. Stojący na dziobie chłopak wyglądał jakby był rzeźbą.

Kiedy wróciła do portu, matki przechadzały się niespokojnie.

– Gdzieś ty była?

– Czy wiesz, która jest godzina?

Działila pozwoliła im się łącać. Niemal spóźniła się na własną podróż. Aczkolwiek większa część gapiów już zniknęła, dziewczyna podświadomie spodziewała się zastać jeszcze Nairę. Działila na moment posmutniała, a potem ucieszyła się przyszłym szczęściem dawnej kochanki. Srebrny pojazd, który miał zabrać ją do kosmodromu, rozczarowująco cuchnął wyziewami z silników. Wdrapała się do niego wraz z kilkoma innymi kobietami i opuszczającymi Habarę obcymi. Głośno stuknęły zatraskiwane włazy, po czym nastąpiła długa chwila oczekiwania, podczas której nic się nie działo i dziewczyna mogła tylko machać Ananke i Lyi przez gruby iluminator, uśmiechając się do nich i wypowiadając bezgłośnie różne głupoty, dopóki nie rozboląła jej twarz. Wreszcie prom został odcumowany, skoczył, skręcił i uniosł dziób ku górze. Al Dżanb już teraz na poły zniknęło w pióropuszcach białej piany.

i wtedy poczuła to nagłą, wielką falą. Wrażenie niekompletności, poczucie, że nieodwołalnie pozostawia za sobą coś istotnego i nieznanego, poczucie będące załączkiem Bólu Odległości, z jakim w roli tariki będzie musiała się mierzyć przez całe życie. Zalał ją pot. Gdy wyglądała przez szybkę na to, co jeszcze było widać z zabudowań Al Dżanb i z wierchołków gór, emocja z wolna sprowadziła się do jednej myśli. Myśli jednocześnie potężnej i trywialnej. Kluczowej i głupiej. Ten skarabeusz. Nigdy nie spytała o niego Kalala, nie znalazła też kamienia w kasrze, a teraz ten starożytny przedmiot wirował w jej głowie, obracał się, tonął, wypełniał cały jej umysł, po czym

znów niktą, by wychynąć na powrót, kiedy, czując mdłości, wysiadła z promu i zmierzała po brzęczących pomostach kosmodromu ku ostatniemu wielkiemu złotemu statkowi, który parował w zimowym powietrzu. Broń mordercy? Nie. Kalal nie był zabójcą. a ona była mamym detektywem. a jednak...

Rakiety szarpnęły i zagrzmiały. Wcisnęło ją w tył, napało na jej oczy. Nie było czasu na myślenie. Ciężkie, straszliwe sekundy układały się na jej ciele w stos. Krew odpłynęła z twarzy. Stała się glinianymi zwłokami. Najważniejsze elementy jej zmysłów przestały działać. Potem wszystko załała cisza. Działła obróciła się do iluminatora i zobaczyła ją. w większej części błękitną i skończenie piękną: Habara, jej rodzima planeta. Dłonie dziewczyny uniosły się, choć wcale im tego nie nakazała. Rozległ się pisk, gdy dotknęła szyby i spróbowała obrysować kontur zielono-brązowego wybrzeża i brązowo-białych gór tego wielkiego, samotnego kontynentu, który wydawał się już tak mały i o którym tak niewiele wiedziała. Odniosła wrażenie, że tuż przed jej oczyma zawisają pobłyskujące klejnoty, to pokazując się, to ukrywając niczym zamglone gwiazdy, których wciąż jeszcze nie widziała. Intrygowały ją przez dłuższą chwilę te drogocenne kamienie. Gdy próbowała je złowić nieporadnymi, nieważkimi palcami, uciekały zręcznie jak ryby. Wreszcie poczuła słoną wilgoć na twarzy i zrozumiała, czym są te kuleczki.

Wreszcie zapłakała, po raz pierwszy od dawna.

6.

Gdy wiadomość ostatecznie nadeszła, Działła już jej oczekiwała. Pavo umarła względnie młodo, w wieku zaledwie stu dwudziestu standardowych lat. Korzystała jednak ze swojego życia w zawrotnym tempie, jakby od początku wiedziała, że jej czas jest ograniczony. Mimo że na Habarze wciąż kultywowano zwyczaj szybkich pochówków, Działła zdołała skorzystać ze swojej pozycji tariki i przeszła przez Wrota, by wrócić na ceremonię. Pogoda na jej rodzimej planecie była równie nieprzewidywalna jak zawsze. w jednej chwili padało, zaraz w następnej świeciło słońce. Tak samo było, kiedy płynęła promem z kosmodromu ku Al Dżanb, i podobnie, gdy stanęła w porcie i rozejrzała się w poszukiwaniu swych dwóch pozostałych matek. Objęły ją na powitanie. Zaprowadziły dziewczynę do haramleku, który z każdą wizytą wydawał się mniejszy, mimo wielu dodatków, przybudówek i usprawnień, jakich dokonały kobiety. Również spacer do Al Dżanb – dawniej, gdy posy-

łano ją po sprawunki, tak długi – okazał się znacznie krótszy niż zapamiętała. Po kolacji wybrała się na brzeg i zaczęła przetrząsać mrok w poszukiwaniu konkretnego kształtu i załamów kwarcu oraz symptomów rozrostu. Szczyt Pory Burz na tym wybrzeżu był jednak dzikim okresem i nic równie delikatnego jak tchorost nie mogło tu przetrwać. Tej nocy legła bezsenna w swym dawnym pokoju, w swym namiocie snów, z trudem oddychając intensywnym, gęstym i wilgotnym powietrzem. Słuchała dźwięków deszczu i wiatru.

Spśród twarzy wszystkich ludzi, jacy otoczyli następnego ranka grób Pavo, rozpoznawała jedynie oblicza matek. Dawniej Al Dżanb wydawało się niezmiennie, lecz nawet Naira miała już nowe życie – a Kalal mieszkał gdzieś bardzo daleko. Czas okazał się nieubłagany. Mroził Dżalilę do szpiku kości o wiele bardziej dojmująco niż wiejący znad zatoki wicher. Jedna z jej matek nie żyła, a dwie inne wyglądały jak mahwagi, którymi chyba się właśnie stawały. Ból Odległości. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem, z godziny na godzinę i z dnia na dzień życia, jakie sobie obrała, Dżalila rozumiała, co chciała jej przez to przekazać stara tarika. Wystąpiła naprzód, by powiedzieć kilka słów. Pavo wiodła żywot piękny i pełny. Przekazała całemu rodzajowi kobiecemu ogrom wiedzy na temat tej planety, podobnie jak dawniej przekazała Dżalili swą własną mądrość. Ludzie słuchali jej z szacunkiem, jakby była kapłanką. Kiedy modlitwy dobiegły końca, grudki ziemi zostały rzucone, a kobiety zaczęły grupkami wracać w dół zbocza, Dżalila pozostała przy grobie. Po chwili pojawiło się coś, co wyglądało na to samo co dawniej, częściowo metalowe zwierzę, i zabrało się do zasypywania dziury. Nabierało i zrzucało ziemię z pełną czcią, dziecięcą starannością. Dokładnie tak jak wbrew zdumieniu matek uparła się Dżalila, grób Pavo znajdował się tuż obok mogiły starej, pochowanej tak dawno temu, tariki. Dżalila od długiego czasu unikała tego miejsca, lecz kiedy ujrzała nagrobek – dawniej surowy i szorstki, teraz poszarzały i wygładzony przez deszcze i wiatry – nie poczuła spodziewanego żalu. Pociągnęła palcem wzdłuż skomplikowanego, zapisanego pismem naskhi nazwiska, którego niegdyś nie była w stanie zapamiętać, a które teraz recytowała mnóstwo razy podczas obrządków, uczestnictwa, jakiego Kościół Wrót wymagał od swych akolitek. Niekiedy, zwłaszcza w Wysokiej Świątyni Dżeziry, te cholerne fety potrafiły się ciągnąć całymi dniami. a mimo to żadna z członkiń Kościoła nie uznała za stosowne przybyć tutaj, na tę prostą

uroczystość pochówku staruszki. Dawniej to bolało dziewczynę, myśl, że nikt spoza planety nie przybędzie na jej własny pogrzeb. Teraz jednak rozumiała.

Już miała odejść, lecz przystanąła i zajrzała za kamienny nagrobek. w miejscu osłoniętym od wiatru zielenił się mały splącheć życia. Pochyliła się, by przyrzeć się roślinkom, grubym i zdrowym, porastającym kawałek gruntu większy niż była w stanie objąć rozpostartymi ramionami. Tchorost. Musiał rosnać już od dawna. Kto jednak mógł pomyśleć, by go tu przenieść? Tylko Pavo: przecież tylko Pavo mogła wiedzieć.

Gdy tłum zebranych w haramleku żałobniczek zaczął rzędnąć, Dżalila przeprosiła i poszła do sypialni Pavo. Większość zgromadzonych tu przedmiotów stanowiła dla niej zagadkę. Maszyny, nawozy i eliksiry, jakich nikt nie spodziewałby się znaleźć na takiej leżącej na uboczu planecie. Rośliny rosły. Przedmioty i dane domagały się uwagi, opieki, skatalogowania. Jeżeli dziedzictwo Pavo miało zostać zachowane, Dżalila musiała porozmawiać z matkami. Teraz jednak znalazła, czego szukała – nic bardziej szczególnego niż szklana próbówka. Schowała ją do kieszeni i wspięła się na cmentarne wzgórze, zmówiła kilka kolejnych modlitw i pochyliła się w zasłoniętym przed wiatrem miejscu, za tym starym nagrobkiem, obok świeżej mogiły Pavo i udało się jej zerwać niewielki kawałek tchorostu, nie niszcząc przy tym całej reszty.

Tego popołudnia od początku wiedziała, że będzie musiała się wybrać na przejażdżkę. Stajnie wydawały się prawie niezmienione, Robin już czekała. Prychnęła, poznając Dżalilę, i nie próbowała jej ugryźć, gdy kobieta podeszła, by założyć jej siodło. Upłynęło tak wiele czasu, że posłuszeństwo zwierzęcia wydawało się niewielkim cudem. Może jednak to również było dziełem Pavo: mogła coś zrobić, wpłynąć na jakiś obwód lub synapsę w mózgu hajawana, by zachowało się w nim wspomnienie odmienionej pani. Pochlipując, jednocześnie smutna i uwznioślona, a także nieco nieporadna, Dżalila ruszyła na swym wierzchowcu na południe, po starej, wyłożonej nierównymi płytami drodze, ponad urwiskami i pod ramionami urziemskiego lasu. Drzewa wyglądały inaczej; teraz miały grubsze liście. a ptasie piosenki płynęły wolniej i niżej niż zapamiętała. Być może tutaj, na Habarze, trwała jakaś pora, której nie zdążyła poznać. Kasr wznosił się jednak na swym klifie jak zawsze – wysoki, wyraźnie opuszczony. Teraz nikt tu nie przychodził, lecz

drzwi – podobnie jak Robin – pamiętały i stały otworem po trzech stuknięciach.

Wszędzie zaniedbanie. Wszędzie rozkład. Zamek był mroczny i pusty. Jeszcze zanim Dżalila natknęła się na starożytne oznaki swej przyszłej w tym miejscu obecności – poskręcany wieszak na płaszcze, wyszczerbiony talerz, kilka wyblakłych i przegniłych poduszek, nieco związanych z technologią Wrót urządzeń, dawno już nie działających i przypominających potłuczone muszle – poczuła się zagubiona i wystraszona. Być może była to – wreszcie – chwila ostatecznego objawienia, przed którym sama siebie przestrzegąca, czując, że może go na Habarze dostąpić. Ból Odległości. Równocześnie jednak wiedziała, że jest bezpieczna, pełnąc po tej konkretnej stronicy swego wszechświata, i wiedziała też, że gdy wreszcie wyruszy przez Wrota, poza którymi żaden zdrowy umysł nie będzie w stanie dotrzymać jej kroku, uczyni to z własnej woli i jako niewiarygodnie stara kobieta. Tarika. Doglądała kwiatów niczym stara żółwica wyciągnięta przemocą ze swej skorupy. Tutaj, w tamten odległy słoneczny dzień. Istnieją gorsze rzeczy. Zawsze jest coś gorszego. a życie jest dobre. i ból jest ceną, którą trzeba za nie zapłacić.

Stojąc na dziedzińcu, Dżalila poczuła na karku chłodny powiew przecucia, wyczuła coś za koronkową muszarabą, za którą stali kiedyś z Kalalem. Sposób, w jaki się w tamtą stronę obejrzała, przypomniał jej starą tarikę. Nawet wzrok miała gorszy niż dawniej. Oczywiście istniały sposoby, mogła kupić sobie nowe oczy na wielopoziomowych, oszalałymi targach Dżeziry, lecz niektóre fakty wołała przyjmować jako zrządzienia Wszeczmogącej. Dżalila pochylała się i, mamrocąc szahadę, ułożyła tchorost na zacienionym kamieniu pod kruźgankami. Spodziewała się, że w tym bezpiecznym miejscu rozrośnie się zdrowo. z powrotem na grzbiecie Robin, wracając z kasru, zatrzymała się i obejrzała za siebie. Być może rzeczywiście zawodził ją wzrok, gdyż wydało się jej, że starożytna budowla migoce i się przeobraża. Nad urwiskiem wznosił się teraz piękny zielony zamek, całkowicie spowity tchorostem; cud odległej, dalekiej epoki. Pojechała dalej, nucąc urywki starych piosenek, które dawniej znała tak dobrze, piosenek o miłości i rozstaniu pośród gwiazd. Matki w haramleku – jak zawsze – zaczęły wypytywać, gdzie była. Wysłuchując znajomych połajanek, Dżalila z wysiłkiem próbowała się nie uśmiechać. Tak bardzo pragnęła je przytulić. Tak bardzo chciała zapłakać.

Tego wieczoru, ostatniego przed opuszczeniem Habary, Dżalila znowu wy-

brała się samotnie nad morze. z jakiegoś powodu czuła, że tutaj znajdzie się najbliżej ducha Pavo. Gdy ciemność wezbrała spomiędzy kamieni, Dżalila ujrzała swą matkę – niewielka, sprężysta postać, bez przerwy pochylająca się, obracająca, oglądająca. Spróbowała ku niej ruszyć, lecz cień Pavo nieustannie, jakby nieśmiało, odlatywał. Dżalila odniosła wrażenie, że jest ku czemuś prowadzona, ponieważ nagle zobaczyła tę pokrytą żyłkami kwarcu skałkę z dawno minionej Pory Mżawek. Oczywiście nie rósł już na niej tchorost, zadbały o to burze i sztormy. Niemniej, kiedy Dżalila skłoniła się, by ją dokładniej obejrzeć, zauważyła coś obok. Coś migocącego w gasnącym świetle w jednej z kałuż. Zanurzyła dłoń. Kamień, niemal równie okrągły i gładki jak miliony innych na plaży, lecz ten konkretny był starannie obrobiony i rzeźbiony. Szarozielony.

Steatytowy skarabeusz, w jakiś sposób wyrzucony na ten brzeg przez sztormy możliwości, wywołane niewiarygodnymi podróżami tarik z Kościoła Wrót. Dżalila z zadowoleniem stwierdziła, że kamień jest w o wiele lepszym stanie niż przedmiot, który – jak pamiętała – Kalal obracał nerwowo w dłoni, rozmawiając z nią z przyszłości. Oto wreszcie znalazła kotwicę, która miała posłużyć jej w podróży przez stronice przeznaczenia. Zamachnęła się, cofnęła ramię, chcąc wyrzucić skałkę tak daleko w fale, by nikt nigdy już jej nie znalazł. Chwilę potem jednak opuściła rękę. Daleko przed nią, na tafli ciemnej zatoki, spokojnie lśniły pływowe kwiaty Habary.

Postanowiła skarabeusza zachować.

GOŁOLEDŹ

w ciągu pierwszego tygodnia po odejściu Marion i dzieci krzątałem się po bazie, sprzątałem tunele, porządkowałem komory, odkładałem rozmaite rzeczy na miejsce, chłonałem wielkimi haustami pamięć. Mimo wszystko wciąż jednak czułem niepokój. Jedno długie popołudnie spędziłem, kopiąc własnoręcznie ich groby; próbowałem się zatracić w ciężkiej pracy, pocilem się, wbijając gorące ostrze łopaty w pokrytą szarymi kępkami tundrę, starając się dostać do warstwy torfu poniżej. Następnie po raz ostatni zapieczetowałem ich ciała. Tak pięknie wyglądali, leżąc w na pół otwartych skafandrach sypialnych, z polem bezruchu widocznym przez ścianki ich żył pod postacią cieniutkich złotych nitek. Pocałowałem Marion w usta i w zimne białe piersi. Dotknąłem siniaka, który wciąż widniał na czole Robbiego. Nabawił się go w dniu lądowania, ścigając pseudokraby o srebrnych grzbietach. Przeczeszałem palcami jasne włosy Sary. Doznałem słabego, lecz wyraźnego wrażenia, że choć powoli i niemal niedostrzegalnie, to jednak wciąż oddychają. i wbrew wszystkiemu, co wiedziałem i na co się umawialiśmy, poczułem, że jakaś część dawnej rodziny wciąż pozostała ze mną. i trudno było mi uwierzyć, że cokolwiek zdoła przetrwać rozkład ich ciał w kwaśnej glebie Korai. Nie to, bym chciał cokolwiek zmienić czy cofnąć czas; nie to, że pożałowałem wspólnie podjętej decyzji – po prostu zrozumiałem, że nie jestem w stanie ich pogrzebać.

Następnego dnia – kiedy wyszedłem w tundrę, by przygotować ostatni szperacz do podróży poza góry, za którymi miał zbadać odległy, południowy

półwysep Korai – niemal wpadłem do jednego z tych trzech długich dołów. Całe popołudnie spędziłem, wypełniając je z powrotem ziemią. Strącałem ją łopata, po czym uklepywałem i ubijałem, aż wreszcie widać było już tylko zniszczoną darń i nieznaczące nierówności, które wkrótce miała zamaskować roślinność nadciągającego lata.

Tego wieczoru, jak zawsze, rozłożyłem świeże platy mięsa na spękany kamiennym stole u wschodniego wylotu kanionu. Wciąż jeszcze parujące i gorące po wyjęciu z robota, by było je wyraźnie widać w podczerwieni. Do-
tąd szczerze się spodziewałem, że Marion, Robbie i Sarah powrócą tutaj zaraz w którąś z kilku pierwszych nocy po ich odejściu. Gdy upłynął tydzień, stwierdziłem, że ich nieobecność jest pozytywnym sygnałem – oznaczała, że są w stanie polować i najadać się do syta. Mięso wykładałem więc już tylko z nawyku. Tutejsza wąska i głęboka rozpadlina pomiędzy górami stanowiła marne łowisko i Marion zawsze powtarzała, że będzie to dla nich dobre miejsce jedynie na początek, że powinni wyruszyć dalej i jak najbardziej oddalić się od swych ludzkich ciał.

Usiadłem na skale i, by się rozgrzać, rozkręciłem ogniwo prawie do maksimum, a wiatr z rozległego, widniejącego na wschodzie łańcucha górskiego szumiał dokoła w narastającej błękitnej ciemności. Bez większej nadziei czekałem na Marion, Sarę i Robbiego, wspominałem dawne czasy, cieszyłem się luksusem nieokreślonej i nieuzasadnionej melancholii. Bo przecież, tak naprawdę, nie miałem ich utracić w większym stopniu niż samego siebie. Niemniej oto ujrzałem Marion – obrazek z Ziemi – podrzucającą Sarę w kry-
stalicznej mgiełce leśnego stawu, brzuch miała błyszcząca i rozdęta ciałem Robbiego, który nie zdążył się jeszcze narodzić. i zobaczyłem noc, w którą postanowiliśmy go począć, poczułem zimno i śnieg, cudowny blask gwiazd przelewający się pomiędzy gałęziami drzew. Tak, Marion już wówczas kochała góry.

Deres, słońce Korai, już dawno zniknęła mi z oczu i pomalowała czerwie-
nią wierzchołki najdalszych szczytów. Nagle wyczułem szare bicie skrzydeł. Szybko podniosłem się z miejsca, ponownie czując mrowienie otaczającej mnie rzeczywistości, ostre powiewy wiatru przebiły się przez wymieszane smaki miłości i śniegu na skórze Marion. Tamte dni odeszły. Teraz znajdowałem się na innej planecie, a oczy i uszy informowały mnie, że z ziarni-
stych, białych klifów wymarłego płaskowyżu spływają trzy kształty. Wyda-

wało się, że szybują – tańczą – tuż na skraju pola widzenia, dryfujące półcienie bądź zwykłe płatki sadzy, wirujące w nielicznych prądach termicznych. Skala jest tu niczym. Gdy wychyciłem łopot skrzydeł i niemal ultradźwiękowe zawrodożenie – stanowiące dla nich po części mowę, a po części sposób na echolokację – pojawił się, zamglony i nieproszony, obraz Sary na białej plaży nad błękitnym oceanem. Włosy opadały jej na twarz słoną płataniną, pochylała się co chwila, zbierała rybie szkieleciaki i muszelki. Odepchnąłem od siebie tę wizję – niechciane porównanie – i skupiłem się na trzech sylwetkach na ciemniejszym niebie, teraz już wyraźniejszych na tle obrębionych czerwienią gór i o wiele bardziej prawdziwych. Jedna duża i dwie mniejsze. Wciąż nie umiałem zidentyfikować wszystkich tutejszych gatunków, lecz to musieli być Marion, Robbie i Sarah. Jedyńi w swoim rodzaju.

Pobiegłem przez darń, próbując wchłonąć wszystko, każdy dźwięk, każde najmniejsze doznanie. Chciwie pragnąłem zatrzymać tę chwilę – wiedziałem, że wkrótce dobiegnie końca. Raz przelecieli bezpośrednio nade mną. Sporych rozmiarów kształt Marion przyćmił ciemne już niebo. Zwolniła, zatoczyła krąg i zaczęła do swych młodych, by się nie zbliżyły, dopóki ona się nie upewni, że jest bezpiecznie. Pomyślałem, że działa już instykt samozachowawczy, a poza tym Marion pozostała sobą, mimo wszystkich zmian. To właśnie ona posiadała ten dodatkowy zmysł, informujący zawczasu o grożących dzieciom niebezpieczeństwach. i dlatego uznaliśmy, że powinna zrobić to pierwsza.

Przyglądałem się jej, gdy wreszcie wylądowała na kamiennym stole. Jej głowa zwróciła się w moim kierunku. Pochwyciłem błysk mozaikowych oczu. i nagle, rytmicznym podskokiem ruszyła do mięsa. Teraz o wiele łatwiej było mi zrozumieć przeznaczenie tego brzydkiego, metalicznie pobłyskującego futra, tych fałd pozwijanej skóry, tej szarawoczarnej maści; Marion stanowiła niemal część samego mroku. i poruszała się tak szybko; sposób, w jaki wystrzeliły naprzód jej ramiona, to, jak utrzymywała równowagę z wciąż rozpostartymi, napierającymi na wiatr skrzydłami, w każdej chwili gotowa wzbić się w powietrze i uciec. Jaskrawy, gorący błysk płynu, gdy jej pazury rozcięły mięso. Następnie, zyskawszy wreszcie pewność, że nie ma w pobliżu zagrożenia, dała sygnał dzieciom – KAK KARR KIK KARR – które niemal równie wdzięcznie wylądowały i przyłączyły się do matki. Wiatr wył i smagał. Pochyliły się i złożyły skrzydła. w oddali lśniły usiane lodowcami

góry.

Skończyła się szybko, ta chwila, na którą straciłem już niemal nadzieję. Fakt był jednak dla mnie wszystkim – to, że byli tu, wciąż żywi – a sam widok ich pożerających mięso sylwetek nie był niczym, czego nie oglądałbym tysiąc razy wcześniej w symulacjach, jakie prowadziliśmy na Ziemi. KI KIK KARR; dźwięk przypominający stukot zderzających się ze sobą kamieni, potem znowu łopot skrzydeł i ulotna, dzika woń ich ciał i sierści. Marion wzbila się do lotu pierwsza i – jak zawsze opiekuńcza – sprawdziła, czy powrót do ich nowo wybranego żywiołu jest bezpieczny. Potem, jednocześnie, unieśli się przyciągani przez wiatr, Robbie i Sarah. Ta prosta czynność skojarzyła mi się z poddawaniem się, z rezygnacją, z opadaniem ku niebu. Próbowalem śledzić ich wzrokiem, lecz niebo pomiędzy górami nabrzmiało ciemnością i już tylko na wschodzie widać było ostatnie przebliski blasku. Trzy iskierki, roześmiane, rozczwierkane, rozspiewane. Pikujące.

Wróciłem do bazy i zapaliłem światła. Sznur tuneli i namiotów rozłożył się jak wachlarz i rozkwitł w mroku jak papierowe latarnie. Teraz, gdy zostałem sam, to miejsce okazało się dla mnie zbyt przestronne. a miałem pewność, że zniknęło już nawet początkowe, niewielkie ryzyko. Integracja istot, w jakie przeobraziła się moja rodzina, przebiegła z powodzeniem. Przeszedłem przez pierwszą z barier powietrznych, wiatr osłabł. Wyczułem zadowolone z siebie emanacje maszyn myśli. Wybiegły już daleko ku następnemu stuleciu, węszyły na wietrze, badały powietrze, porozumiewały się ze szperaczami, rozwiązywały problemy, rozpatrywały bezlik ewentualności, sprawdzały reakcje na mało prawdopodobne lub nieistniejące anomalie ekologiczne. Ale Marion, Robbie i Sarah znaleźli swoje miejsce. Korai była dla nas idealna. Istniała na tej planecie nisza dla gatunku latającego drapieżnika, której miejscowa fauna nie zdołała zająć.

Noce na Korai są równie długie jak dni. Oś planety jest równoległa z osią Deres i zmiany pór roku biorą się tutaj jedynie z okresowych przejść pasów kosmicznego pyłu, który wypełnia przestrzeń pomiędzy gwiazdą a Korai. Lokalne zwierzęta w jakiś sposób nauczyły się pilnować złożonych cykli długich i krótkich zim, chłodnych lub dzikich lat, nieokreślonych półjesieni, niekończących się wiosen. Przypomniałem sobie, że z tego wyniknęło jedno z najdłuższych i najbardziej frustrujących opóźnień w pracach nad konfiguracją nowego gatunku. Również stała długość okresów ciemności okazała się

zaskakującą barierą, mimo że doba trwa tu praktycznie tyle samo co na Ziemi. Specjalizacja na stworzenia dzienne i nocne na Korai nie istniała; wszystkie stworzenia musiały równie sprawnie widzieć i funkcjonować w obu porach. Pseudokraby, przemykające co rano przez tundrę, obdarzone są po prostu mniejszą wersją oczu, których błysk zauważyłem u Marion, gdy zaczynała jeść. Wielościenne, z każdą fasetką posiadającą oddzielne połączenie z mózgiem, wyposażone w wymienne – skupiające lub filtrujące – warstwy spolarzowanych czopków. Jeśli jakiś projekt działa skutecznie, nie ma potrzeby go zmieniać.

Tej nocy przyszła do mnie Marion, dokładnie tak, jak się tego podświadomie spodziewałem. Trudno jednak było stwierdzić, jaka część tej osobowości jest naprawdę nią, jak wiele zostało po prostu przekazane do skafandra sypialnego przez maszyny myśli i jaka jej część stanowiła czysty wytwór mojej wyobraźni.

– Nie mogłem was pogrzebać – przyznałem. – Wciąż tu jesteście, to znaczy wasze ciała. Wiem, to dość makabryczne. i głupie. Wiem, że nie tak się umawialiśmy.

– Nie tak? – odparła, patrząc na mnie z roztargnionym uśmiechem. – Masz rację, chyba nie taka była umowa. Kiedy zajmujesz ciało, jest dla ciebie ważne. Ale kiedy już je opuścisz...

– Nie przeszkadza ci to?

– Oczywiście, że mi nie przeszkadza. Gdy nadejdzie właściwa pora, sam będziesz wiedział co zrobić.

– To już nie może potrwać długo – stwierdziłem. – Najnowsze prognozy są świetne. Nie mogliśmy spodziewać się lepszych.

– Wiedziałam – powiedziała. – Natychmiast. Pierwszego dnia, gdy tylko wzbijałam się do lotu. Kiedy ujrzałam góry i poczułam ryczące wokół powietrze. Zastanawiam się teraz, czy kiedykolwiek byłam naprawdę człowiekiem. Może w poprzednim wcieleniu byłam orłem lub czymś podobnym. Oczywiście nie wierzę w takie czary-mary...

– Nie.

Przyjrzałem się uważniej. Jej twarz unosiła się przede mną w ciemności. „Czary-mary”. Czy gdybym uformował ten sen tak, by nabrał więcej konkretności, byłoby lepiej czy może gorzej? Kogo właściwie chciałbym wyśnić? Marion siedzącą ze mną w tamtej kafejce przy hiszpańskich schodach? Ma-

rion na rafie, płynącą głęboko pod wodą, przyciągającą mnie ku sobie wśród rozmigotanych ławic, gdy mieszały się ze sobą dwie kolumny bąbelków powietrza? Czy Marion obecna – siedząca na górskim szczycie, mająca pod sobą cały świat i niebo?

– Jak to jest?

– Byłam pewna, że zapytasz – powiedziała. – Nie umiem ci dokładnie opowiedzieć. Ale to coś znacznie większego niż w symulacjach. To życie. Będziesz musiał sprawdzić osobiście.

– Chodziło mi...

– Oczywiście – ciągnęła, a w jej oczach zajaśniał dziki blask snu – jest też i strach. Robbie i Sarah nie chcieli niczego innego, a dla mnie była to jedna wielka niewiadoma. Dla ciebie jednak to z pewnością znacznie trudniejsze. Tak musiało być i dlatego nie byłam pewna, czy cię zostawić. Teraz już widziałeś na własne oczy. Obie strony. Nie pamiętasz, jak mówili, że najciężej jest temu, kto zostaje?

– Jak oni się czują? To znaczy, Robbie i Sarah?

– w porządku. Wszyscy mamy się dobrze.

– Nadal cię kocham.

Uśmiechnęła się. Obserwowałem ruch jej warg, ostrą klarowność szeroko rozstawionych oczu. Ta mina wydała się nagle wyrazem rozbawienia moimi staroświeckimi, ludzkimi słowami. Powiedziała to jednak tak samo jak zawsze – „kocham cię” – i w tej samej chwili sen uleciał, sypialny skafander zmiękł i owinał się wokół mnie, a maszyny myśli się wycofały. Dryfowałem samotny we śnie, przepaścistym, mrocznym.

* * *

Następnego dnia obudziłem się, wciąż czując znużenie. Śniłem dalej, nawet gdy Marion już się rozplynęła – śniłem sny spontaniczne i niewspomagane maszynowo – aczkolwiek wszystko rozplynęło się zbyt szybko, bym zdołał cokolwiek zapamiętać. To doprawdy dziwne, że umyka nam tak wiele życia, choć je przecież przeżywamy. Tak mawiała Marion. Tego właśnie najbardziej nie cierpiała w byciu człowiekiem. Leżąc w skafandrze, pod naprężoną powłoką komory, zwiewnie rozświetlonej szarym porankiem Korain, wezwałem śniadanie, czego pożałowałem, gdy tylko wszedł mój serwer. Kolejna czynność, którą mogłem wykonać samodzielnie, co pomogłoby zappełnić długi dzień, jaki już przeczuwałem przed sobą. Ta perspektywa sprawiła, że

zdałem sobie sprawę z tego, jak usilnie – choć przecież pozornie przestałem już czekać – trwam przy nadziei, że moja żona i dzieci pewnego wieczoru pojawią się znowu na niebie. Marion co prawda nie powiedziała tego wprost, lecz cały ton rozmowy jasno dawał do zrozumienia, że ani ona, ani Robbie i Sarah już nie wrócą, a przynajmniej nie poza moimi snami, choć nawet i wewnątrz nich – byłem pewien – wkrótce pojawią się ostrzeżenia. Maszyny myśli, w jakimś wspaniałym przebraniu, zaczną się wkradać do mojej pogrożonej we śnie głowy, by dać znać, że grozi mi popadnięcie w obsesję. Nie to, bym już zaczynał w nią popadać. w każdym razie nie na punkcie Marion. Wierzyłem w każde słowo, jakie mogła tamtej nocy powiedzieć. i wierzyłem, choć prawie o nich nie mówiła, że także Robbie i Sarah są na tej nowej planecie szczęśliwi. Perspektywa przemiany zachwycała ich od samego początku. Kiedy ja i Marion czuliśmy wciąż niepokój, oni oboje już byli chętni, a nie źli czy niepewni. „Jeżeli pozostaniemy ludźmi” – powiedziała mi pewnego dnia Sarah, gdy wróciła bosa z plaży ze swymi wędkami i sieciami – „podejmiemy po prostu tę samą decyzję, tylko na odwrót. Nie rozumiesz tego, tato? Zresztą pomyśl. Przecież ludzie nie są wcale tak wspaniali. Nie potrafimy latać, pływanie nie idzie nam najlepiej, mamy słabe kończyny, a nasze języki są zdolne odczuwać jedynie cztery smaki”. Oczywiście, Sarah wyglądała wtedy w moich oczach wspaniale – ze słońcem w oczach i solą we włosach – lecz oczekiwanie, że spędzą całe swoje życie jako zwykli ludzie, podczas gdy kusiła ich setka innych światów, wydało mi się niesprawiedliwe.

Tergo ranka, po śniadaniu rozważyłem przez krótką chwilę, czy dla zaoszczędzenia energii nie zwinąć wszystkich nadmiarowych komór i tuneli. Zdałem sobie jednak sprawę, że motywuje mnie po prostu chęć przykrojenia bazy do własnych potrzeb, uczynienia jej bardziej trwałym i swojskim domem. Poza tym rozumiałem – oglądając się ku bazie z tej płaskiej, spękanej skały, która dziś była zdumiewająco czysta (ledwie kilka fragmentów skóry i tłustych plam oznaczonych śladami pazurów, oraz nikły i ostry amoniakalny zapach stworzenia innego niż człowiek), przyglądając się stalowym ramom oraz srebrnym niciom pól i łopocącym powłokom komór i tuneli – że tutaj wszystko zawsze będzie tylko tymczasowe.

Zamiast tego spędziłem więc poranek z maszynami myśli – zgarbiony nad kryształowym emanatorem w rozdętej komorze, gdzie wiatr wiał sporadycz-

nie przez ostatnie z pól – chłonąc obrazy nadsyłane przez szperacze. Sygnały z najdalszego automatu docierały teraz dzięki dwóm satelitom, wiszącym daleko nad horyzontem. Korai to rozległa planeta, większa od Ziemi, lecz z zimnym jądrem i bez ruchów tektonicznych. Znajduje się na niej tylko ten jeden wielki, bezimienny kontynent; wykuta z kryształu mapa świata. To jeden z głównych czynników sprawiających, że życie jest tutaj w miarę jednorodne. Na Korai nie można spotkać dziwacznych torbaczy, żadnych dziobaków ani pływających ptaków, tudzież fruujących ryb czy też nadrzewnych kangurów. Nie wytworzyła się tu również prawdziwa inteligencja. Sprawy miałyby się pewnie inaczej, gdyby życie na Korai nie rozwinęło trybu replikacji obciążonego ogromną, wewnętrzną redundancją. Nawet białka pod mikroskopem wyglądały klockowato, miały kształt pudełek złączonych prostymi bądź łukowatymi mostkami, tego rodzaju geny mogłyby zaprojektować wiktoriański inżynier. Owszem, porządna katastrofa na skalę planetarną, taka jakiej Ziemia doświadczyła sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, mogłaby może popchnąć sprawy na inne tory. w okolicy Korai brakuje jednak komet, czy choćby pasa asteroid. To naprawdę zabawne, że my, ludzie – z DNA losowym jak wynik rzutu kośćmi, na naszej zmiennej, bombardowanej meteorytami planecie – uświadomiliśmy sobie własne szczęście dopiero po odkryciu życia na innych światach. Zmiana i niebezpieczeństwo to jedyne prawdziwe motory rozwoju gatunków.

Odkryłem, że najdalszy szperacz dotarł już na rozciągające się na wybrzeżu niziny. Na tamtych środkowych szerokościach geograficznych spotyka się głównie mokradła, choć i nad nimi dominują prądy powietrza miotane przez góry. z nieba spadają gorące deszcze, drzewa kołyszą się i chwieją, połacie wypełnionego czerwonym błokiem bagna połyskują i drżą. Huragany nekają tę krainę przez cały rok, a życie, które poznałem dzięki przekazom ze szperacza, było śliskie, przygarbione, czmychające. To stworzenie tutaj – obserwowałem je przez główny obiekt automat w omiatanym deszczem czasie rzeczywistym – nawet wyglądało jak zamknięty parasol. Dogoniłem je i schwyciłem szponami szperacza, by sprawdzić, czy da się je otworzyć. z rany, jaką wyszarpałem, trysnęła jednak poznaczona srebrzystymi żyłkami krew, która wraz z deszczem wsiąkała w błoto. Istota zginęła, zabita przez moją dalekosiężną ciekawość. Kazałem więc szperaczowi wykopać głęboką dziurę, która natychmiast wypełniła się słoną wodą. i nie. Nie chciałem uru-

chamiał procedur ANALIZY ani KONSERWACJI ani SEKCJI. Gdy coś umiera naprawdę, nie mam problemu z pochówkiem.

Obiad przygotowałem z kilku wciąż niezjedzonych surowych produktów, rarytasów, jakie przywieźliśmy ze sobą z Ziemi. Wyjmując z lodówki jajka i chleb, zauważyłem pod tylną ścianką ostatnią butelkę szampana. Co właściwie, zastanowiłem się, zamierzaliśmy świętować? Otworzyłem klapy komory kuchennej, pola ustawiłem na niską moc i pozwoliłem huczeć wewnątrz wiatrom i górcom. a przynajmniej poczuciu obecności gór. Żeby je zobaczyć, musiałem zadzierać głowę do góry i w bok. Gdy jajka zaczęły się ścinać, patelnia dymiała i pluła, a błękitne palce palnika tańczyły, uświadomiłem sobie jak bardzo to wszystko stało się atawistyczne. Niedługo pewnie zacznę rozpałać ogniska. Siedząc potem na dworze – postanowiłem bowiem do maksimum wykorzystać przelotne pojawienie się Deres na tym dziwnie zachmurzonym niebie – by się rozgrzać, włączyłem mimo wszystko ogniwo. Cóż, z tego rodzaju rzeczami można przesadzić. Po jedzeniu poleciłem talerzowi i widelcowi, by się zniszczyły, i przyglądałem się im, gdy, leżąc na skale, odegrały scenę z obrazu Dalego; rozplywały się i niknęły. Zniknęła też kolejna część moich zapasów, przeciekła mimo niczym dni i godziny. Marion nieco się martwiła tym, że zostanę sam; nie była pewna jak poradzę sobie z izolacją. Podejrzewałem nawet, że to właśnie dlatego po przemianie trzymała się wraz z dziećmi z daleka – by dać mi potrzebną przestrzeń – aczkolwiek teraz jej motywy nie były już łatwe do odgadnięcia. Prawda wyglądała tak, że przynajmniej w jakiejś części cieszyłem się samotnością. Pewnie, ciężko było brnąć przez kolejne dni. Było jednak również przyjemnie, po prostu być tutaj, po prostu być sobą.

Przeszedłem przez południowy tunel bazy i stanąłem pod kopułą, pod którą przechowywałem szperacze. Miałem niejasne wspomnienie, że znajduje się tutaj coś jeszcze – i ujrzałem to, przycupnięte w półmroku. Wyglądało niemal jak jeszcze jeden szperacz i zapewne wywodziło się ze wspólnego z nimi projektu. Zaskoczyło mnie, że nie zauważyłem tej maszyny w spisie inwentarza, ale przed wylotem z Ziemi miałem przecież tak wiele na głowie.

Urządzenie było wyraźnie skomplikowane – proste, myślowe wezwanie do aktywacji nie okazało się skuteczne. Wywołałem więc jego konkretną częstotliwość i kilka kolejnych minut spędziłem, zapoznając się z instrukcją obsługi. Aż do tej pory wydawało się niemal groźne, lecz kiedy przyswoiłem so-

bie frazeologię, zrozumiałem wreszcie czym są te sterzące do przodu i tyłu, przypominające lufy końcówki, a także do czego służą złowieszcze wypustki na torsie i długa szpila wystająca mu z brzucha, oraz po co miało jeszcze więcej nóg niż szperacz. w końcu szperacze zawsze wybierają najłatwiejszą trasę. To jednak była wspinarka. i podobnie jak my, ludzie, została zaprojektowana, by poszukiwać przeciwności.

Wszedłem do niej i kazałem zabezpieczającym bransoletom zamknąć się wokół mojej piersi i kończyn. Niewprawnymi ruchami rozdarłem tkaninę wokół wyjścia i ciężkim krokiem ruszyłem przez tundrę. Na poziomie gruntu przybrałem we wspinarce nachyloną pozycję, niemal siedzącą. Czułem wokół siebie trzaski pracującego metalu, lecz urządzenie zostało pomyślane tak, by nic nie przesłaniało widoku operatora. Przyśpieszyłem, pobrzękując ponad skałami, pluskając w bagnie przez całą długość zalanego półmrokiem kanionu. Zbadałem to miejsce już wcześniej, jego wąskie, ciasne cienie, ograniczone ze wszystkich stron rumowiskami i urwiskami. Prześliznąłem się po brzegu martwego jeziora i swobodnie, z wdziękiem wskoczyłem na spękany kamień stołu, z którego karmiłem rodzinę. *Tip, tap. Drap, drap.* Instrukcja była dobra, szybko i bez trudu dostępna. Pomocnicze menu pojawiały się w moim umyśle, zanim jeszcze stwierdzałem, że są mi potrzebne. Trick polegał na tym, by używać kończyn wspinarki, nie angażując do tego wyższych partii mózgu. By myśleć IDŹ tak, jakby się chciało iść o własnych nogach. Albo ZATRZYMAĆ lub BIEC, SIĘGNAĆ, PEŁZNAĆ. Już tego pierwszego popołudnia biegałem i skakałem.

Tej nocy czułem się zmęczony i szczęśliwy. z robota w swojej komorze wywołałem posiłek; kormę z kurczaka i chlebek nan, które przegryzłem ciasteczkami amaretti i popiłem kawą. Dobre, bogate i mało skomplikowane potrawy, na które w swojej opinii zasłużyłem. Dopiero sprawdzający wykonanie zaplanowanych zadań proces maszyn myśli – dokładnie w chwili gdy zacząłem się wgryzać w umoczone w curry pieczywo – przypomniał mi, że czas już wyłożyć mięso. Poszedłem na kompromis, kontaktując się z jednym z zewnętrznych sensorów, i zacząłem nasłuchiwać przez maszyny myśli niekończącego się, szeleszczącego wycia wichru. Tej nocy jednak moja rodzina się nie pojawiła.

* * *

Śniłem, że frunę poprzez jasne chmury, że czuję wiatr – który teraz stał się

żywołem złożonym, bogatym, niewidzialnym gobelinem utkanym ze smaków śniegu, powietrza i promieni słońca. Wszystko było tak przejrzyste, tak wyraźne. Unosiłem się, opadałem, wzbijałem. Wreszcie znalazłem się tutaj. Naprawdę tutaj. a Marion leciała w pobliżu, pikując ponad wielkim, obrębiowym zielenią nawisem, lód sypał się pióropuszem z jej skrzydeł, gdy pochwyciła powiew dobywający się z głębokiej gardzieli doliny.

– To właśnie to! – krzyknęła, kiedy skakaliśmy i spadaliśmy poprzez niebo. w mym śnie nadal posługiwała się ludzkim głosem, mimo bijących skrzydeł, szcęk, pazurów. – To jest wszystko. Zobacz...

Wzbiliśmy się o wiele wyżej niż sądziłem – szybowałem ku górze bez najmniejszego wysiłku. Powietrze rozrzedziło się, smakowało czystością i chłodem. Wiedziałem, że cały łańcuch górski – cała Korai – należy do mnie, że to przede mną się rozciąga. Poruszyłem szponami i runąłem w dół, wirując, śmiejąc się. Gęste, przetkane tęczą chmury rozsuwały się i płynęły poniżej. Barwy, jakich moje biedne, ludzkie oczy nigdy nie dostrzegały. Zmysły, jakich istnienia nie podejrzewałem. Marion zbliżyła się ku mnie, jej skrzydła były wolniej. i wtedy poczułem na grzbiecie jej pazury, uwolniony żar oddechu, ciężar ciała, sprowadzający mnie w dół poprzez jasne niebo.

– Kocham cię! – krzyknęła, gdy spadaliśmy.

Obudziłem się i leżałem, patrząc w górę ze swego skafandra, nasłuchiwałem ostrego zawodzenia, które było jedynie dźwiękiem wiatru Korain, wyjącego wśród kryształowych wierzchołków gór. „To jest wszystko. Zobacz...”. w symulacjach zawsze okazywało się, że, by zrozumieć, co miała na myśli, potrzebowałem dokonać jakiegoś ostatecznego skoku wiary. w życiu tak samo. Teraz jednak Korai stała się jeszcze bardziej cudowna, jaśniejsza. Ta planeta, jej wielkie zamrożone szczyty. Te góry.

* * *

Następnego dnia ochotczo wsiadłem do wspinarki. Po załadowaniu bardziej szczegółowych map okolicy i za pomocą własnej inteligencji urządzenia wybrałem trasę na południowy wschód. Aby ją przebyć, należało wspiąć się z wąwozu po białym krystalicznym rumowisku obok jeziora, a potem przejść dziesięć kilometrów wzdłuż wyschniętego koryta, którym dawniej płynęła woda z rozpuszczonego śniegu, ku wznoszącemu się na pięćset metrów szczytowi. w wyobraźni pięćset metrów nie wydaje się znaczną wysokością – nie, kiedy wędrówkę zaczyna się na trzech tysiącach – ale gdy już patrzy się z

dołu na skalną ścianę połyskującej na tle nieba góry, rzecz ma się zgoła inaczej. Obiektyw wspinarki powiększył obraz, przeczesał, wyszukując wśród splekanego kryształu ewentualne trasy, po czym wyświetlił je w moich oczach. Poziom trudności podejścia okazał się wyższy, niż sugerowały mapy satelitarne, lecz na mój rozkaz wspinarka ruszyła ukośnie ku głębokiemu kominowi, a potem pod górę przez pęknięcia, w których wyl i wrzeszczał wiatr. Wspinarka pracowała metodycznie, zmieniając kąty podejścia, wystrzeliwując przed siebie zwoje stalowych lin, wbijających się i wtapiających w skałę; parła naprzód, sprawdzając wytrzymałość punktów oparcia, kucając, by wbić za nami nity, mocując w pęknięciach liny, odpoczywając, sprawdzając, asekurowując się, ruszając dalej. Wreszcie wdrapała się na szeroką, osłoniętą półkę, gdzie blask Deres był nikły, lecz ciepły, jakby darzący świat niechętnym błogosławieństwem spoza pędzących chmur.

Gdy otworzyłem bransolety wspinarki i wyszedłem na skałę, coś zabręczało i trąciło mnie. Odruchowo machnąłem ręką i czystym przypadkiem pochwyciłem to stworzenie w powietrzu. Zamknąłem je w dłoni, czując niewiarogodną lekkość, szorstkie futerko, rozdęte i drżące pęcherze lotne. Rozwarłem palce i z uśmiechem popatrzyłem, jak zwierzę unosi się i, machając skrzydłami, znika wraz z wiatrem we wzbierającej mgłę.

Czułem zimno, czułem wiatr. Byłem odkrywcą, badaczem. Włączyłem ogniwo i sięgnąłem do upręży wspinarki po parę podgrzewanych rękawic. Następnie, trzymając się krawędzi, czując w brzuchu dziwne, łaskoczące ssanie, wychyliłem się i spojrzałem w dół urwiska. Cofnąłem się błyskawicznie, przyciskając obie stopy mocno do skały. Nie to, bym się przestraszył. Niezupełnie. Błękit gnającego powietrza. Po prostu nie byłem na coś takiego przygotowany. Połknąłem tabletki tlenowe, wdrapałem się z powrotem do wspinarki, wyłączyłem automatykę i instrukcję i przygotowałem się do dalszej drogi.

Migocące iskierki opalizującego światła. Przesłaniające Deres tęczowe pasy pyłu widoczne na bezchmurnym niebie. **PODCIĄGNIĘCIE**. Wspinarka zużywała wszystkie swe siły, silniki zawodziły. **WBIĆ NIT**. Skry sypiące się ze skał. **SZARPNAĆ**. Pionowo, potem przewieszka, rozwijają się liny, a ziemia jest równie odległa jak niebo: nierówna, mglista. Poruszyć prawym przednim szponem i **ZAKLINOWAĆ**. Potem w górę. i wyżej, wyżej. Solidny, nieustanny wysiłek. Teraz to ja kontrolowałem wszystko, moje własne

mięśnie prężyły się, gdy prężyła się wspinarka, to moje oczy przeczesywały każdy milimetr, każde pęknięcie, każdy maleńki okruch trwającej dwa miliardy lat lodowej erozji. Nagle coś huknęło mi nad głową – równie głośno jak wybuch, który natychmiast wbił nit w ścianę – i góra odleciała ode mnie wśród deszczu kamieni. Spadałem, potem szarpnęło i zatrzymałem się; zawirowałem. Przed oczami sunęły mi skały, szczyt, ziemia, horyzont, niebo. Lina, którą przypiąłem na górze, wciąż trzymała. Rozejrzałem się, czekając, by mój umysł przystosował się do sytuacji, by odnalazł górę i dół. Kiedy jednak spróbowałem poruszyć przednimi żuwaczkami wspinarki i podciągnąć się z powrotem, zadziałyły własne procedury maszyny, wypełniając powietrze dymem i siarką, wystrzelując liczne wstęgi świeżych nitów. Po chwili, nie poświęcając temu nawet jednej myśli, zawisłem w bezpiecznej kołysce.

Wreszcie wróciłem w ciemności do swego kanionu i wywołałem swoje światła bazy. Tej nocy zrezygnowałem ze zwykłej praktyki i nie przyzwałem z maszyn myśli książki ani filmu. Po prostu leżałem, wspominając wydarzenia dnia; po raz kolejny wspaniałem się na tę górę wraz z wiatrem, ze skałami i ze słońcem. Poczucie siedzenia okrakiem na ostatniej, wiodącej na szczyt grani i ta nieśmiała, rozłopotana ławica latających mieszkańców Korain. Ich maleńkie tępe pyski, wilgotne złożone oczy, nadęte pomarańczowe pęcherze, trzepoczące płetwy. Zupełnie jak migotliwe rybki na rafie koralowej, wśród których pływaliśmy kiedyś z Marion...

– To, co zrobiłeś, było niebezpieczne – powiedziała mi we śnie Sarah. – Rozumiem, że miałaś ochotę pobawić się wspinarką, tatusiu, ale jesteś nieodświadczony. Nie powinieneś być wyłączać automatycznych procedur.

– Nauka wymaga czasu – odparłem.

Siedzieliśmy wysoko. Pod nami rozciągał się w swej chwale jakiś nieznan, ten lub inny świat, zbyt piękny i mglisty by można go było prawdziwie zobaczyć. Uśmiechnąłem się do niej. Jaki sens miałoby podjęcie dyskusji? Sarah była jak wszystkie dzieci. Uwielbiała poczucie wyższości, uwielbiała mi tłumaczyć co jest słuszne, a co nie.

– Więć chodź i dołącz do nas, tato. Chodź od razu.

Podniosłem na nią wzrok. Mógłbym przysiąc, że jeszcze chwilę temu była człowiekiem. Teraz jednak jej oczy podzieliły się na fasetki. w jej gardle za-trzepotała szara błona, przez którą w jakiś sposób mówiła.

– Wydawało mi się, że was dzisiaj widziałem – powiedziałem. – Tam, z

ostatniej grani. Trzy punkciki na wschodzie. Wśród tych najwyższych gór: Mam rację? Tam teraz mieszkanie?

– Szukasz nas, tatusiu? To dlatego zacząłeś się wspinać? Nigdy się tam nie dostaniesz w tej ociężałej maszynie. Dobrze wiesz, w jaki sposób możesz nas znaleźć. Po prostu zmień się. Popatrz na mnie. To nic trudnego...

Spojrzałem na Sarę, która rozpostarła skrzydła i rozwarła wilgotne szczęki. Zastanowiłem się, czy ona w ogóle mogła zrozumieć moje niejasne, ludzkie potrzeby. Ale przecież tego od początku pragnęliśmy. Właśnie tego. Wolności na tej czystej, nowej planecie, radości z polowania i z nieba. Właśnie o to chodziło. Żeby tu dotrzeć. By się ziściło. Co więc się ze mną działo? Dlaczego zwlekałem?

* * *

Następnego ranka ponownie wybrałem się ze wspinarką w góry. Jedynym rozczarowaniem dnia poprzedniego był fakt, że szczyt – podczas wspinaczki tak prawdziwy i majestatyczny – okazał się w istocie ledwie progiem do łańcucha otwierającego się za nim, progiem niesięgającym nawet granicy śniegu.

Za pomocą wspinarki i satelitarnych projekcji, zdołałem zaplanować trzydniową trasę, która miała zaprowadzić mnie głęboko w góry. Zwinąłem kilka zbędnych komór, zamówiłem z robota jedzenie, płyny i ubrania, a także tabletki tlenowe i dodatkowe nosidło do wspinarki, by to wszystko pomieścić. Chciałem wejść dalej, wyżej. Dzień wstał ciepły, wiatr pachniał metalicznie żywicami Korain. Dienne kwiaty otwierały swe kielichy, ich połyskujące wiatraczki chwytaly bryzę.

w górę po rumowisku, potem wzdłuż wyschniętego koryta i wokół góry z pierwszego dnia w jasnym świetle przesłoniętego tęczami pyłu słońca. i dalej. Nie poszukiwałem kolejnego fałszywego triumfu na podrzędnym wierzchołku. Chciałem dotrzeć do tamtego drugiego łańcucha, ledwie widocznego za strzelistymi czarnymi fasetkami obsydianu, lecz przeczuwanego już w chłodnych podmuchach z lodowców, które mąciły klejnociki piachu zalegającego w starym korycie.

Obóz tej nocy rozbiłem pod osłoną grani tuż na granicy śniegu. Przed rozłożeniem sypialnego skafandra połknąłem tabletki tlenowe, lecz w gardle wciąż mnie drapało, czułem ucisk w piersi, bolały kończyny, serce waliło jak młotem. Czy to wpływ rozrzedzonego powietrza? Czy może strach? Chłód?

Ekscytacja? a jednak zbliżałem się, kamień za kamieniem, skała za skałą, grzbiet za grzbietem, do żywego serca tej kryształowej planety, do wielkiego łańcucha górskiego, który oglądany z kosmosu przypominał biały diadem oplatający talię Korai. Tak, dalej i dalej. Ku Marion, ku Robbiemu i Sarze. We śnie, choć bardzo oddalony od maszyn myśli, przywołałem ich do siebie.

Ujrzałem Robbiego, był śliski i świeży. Ujrzałem go przy piersi Marion, a potem zobaczyłem przelewające się ponad rafą śmietankowe fale. Ujrzałem zachodzące słońce, majaczące za palmowymi liśćmi.

– Musimy polecieć – stwierdziła Marion, siedząc w swym sarongu nad brzegiem.

Na oblewanej przez fale plaży tańczono do rytmu bębnow. Tutaj, wśród gwałtownie zapadającego mroku tropików, dzieci przypominały małych dzikusów. Wśród nich bawili się Robbie i Sarah.

– a co jest złego w tym wszystkim tutaj? – spytałem.

Marion spojrzała na mnie uważnie. Przejrzyste białka jej oczu. Jej rozświetlone w blasku księżycy palce przesunęły się niecierpliwie po stole, długie, zgrabne, smukłe. Na tych niekończących się wakacjach czułem się wypoczęty i w świetnej formie, aczkolwiek moje ciało w zasadzie nie należało do mnie; nie zasługiwałem na nie po wszystkim co zjadłem i wypilem, nie w wieku, do którego się zbliżałem, i z tak niewielką liczbą osiągnięć.

– Co ty na to, żebyśmy jutro popłynęli skimmerem na Shell Island? – zaproponowałem. – Sarah mogłaby zabrać swoje sieci. Wiesz jak uwielbia łowić ryby. Facet, którego spotkałem na kei, twierdzi, że tamtejsze niby-homary są...

Marion zbyła moje słowa machnięciem.

– Pewnie. Jutro. Ale co z przyszłym tygodniem? Następnym rokiem?

– Nadejdą.

– Właśnie o to chodzi – powiedziała i ciepły oddech morskiego wiatru poderwał włosy z jej ramion. Już wtedy zobaczyłem ją na pokładzie jakiegoś statku, morskiego, kosmicznego, odpływającą ode mnie. – Mam tylko jedno życie. Jedną Sarę, jednego Robbiego. Cholera, mam tylko jednego ciebie. Ale my umieramy, wiesz? Umieramy. Tego faktu nic nie zmieni. Nie chcę zmamować tego, co nam jeszcze zostało na zwykłe...

– Szczęście?

– Szczęście. – Skinęła głową. – Tak, szczęście. Czy naprawdę tylko na tym ci zależy? Przemysł to sobie. Posłuchaj tego, co powiedziałam.

w snach posłuchałem. Ale było już za późno. Tamta noc nad morzem zniknęła, decyzja zapadła. Szczęśliwy. Człowiek. Nie szczęśliwy. Nie człowiek. Śmierć. Zmiana. Czas... Następnego ranka zwinąłem obóz i zacząłem się wspinać. Szukać. Gdy wokół wyrosły czarno-niebieskie ściany lodowców, a wiatr zaczął kęsać mrozem, zapragnąłem, by ukazała mi się Marion.

Rozpadlina. Przy każdym kroku kolejna przeszkoda. Wydawało się, że cała ta planeta została przecięta siecią pęknięć, zawrotnie głębokich i czarnych, a przecież tak łatwych do pokonania za pomocą małych mostów ze stalowej linki, które przerzucała nad nimi wspinarka. Pod koniec drugiego dnia dotarłem wreszcie do głównej biosfery Korai, znalazłem się pośród tych marmurkowych chmur, które poruszały się nie całkiem tak, jak dyktował im wiatr. Mniejsi roślinożercy stali się teraz pospolitym widokiem, gdy wyszedłem na śnieg wielkiego łańcucha; zwierzęta zawisały bez lęku w powietrzu, trzepotały i szybowały, kiedy wstrzeliwałem nity w lód lub zmagąłem się w oślepiających tumanach śniegu z karabińczykami. Czerwone i niebieskie, tłuste i chude, niektóre obdarzone kolczastymi płetwami. Wspinałem się poprzez ich pastwiska, wielkie, pachnące szarością chmury, które nagle rozpościerały się dokoła mnie, smakując świeżą ziemią, miedzią i grzybami. Mniej często widywałem większe stworzenia, wyrte na tle tęczowej bieli. Przeważnie gatunki latające, stworzenia długie jak moje rozpostarte dłonie. Natknąłem się też na jedną istotę przytwierdzoną do skały – kiedy wciągnąłem się na kolejną skalną półkę, rozcapierzone usta, przypominające kształtem małża o niebieskich krawędziach, wydmuchnęły ku mnie obłok oddechu.

Na Korain trwał właśnie środek lata i Deres świeciła jasno. Ściekająca woda tworzyła ekstrawaganckie gzymsy i kolumny, zamarzając w solidnych połaciach cienia. Im wyżej wchodziłem, tym śnieg stawał się mniej biały. Początkowo uznałem to za sztuczkę marmurkowych chmur, lecz gdy podniosłem z ziemi garść puchu, zauważyłem, że niemal wszystkie zamarznięte kryształki są żywe, naznaczone zielenią, błękitem, barwą bursztynu.

w trakcie długiego popołudnia wspinaczki, stało się jasne, że wspinarka dociera powoli do granic swych możliwości. By dostać się na grań prowadzącą ku górze zębatym, lecz obiecującym podejściem, musiałem przejść traVERSEM długie urwisko, pod którym otwierała się wysoka na tysiąc metrów

przepaść – oczywiście, gdybym spadł, nawet dziewięćset metrów mniej nie sprawiłoby większej różnicy. Rozgrzana nieco, a następnie wystudzona przez wiatr wiejący znad leżącego poniżej lodowca skała pokryła się cienką powłoką lodu – gołoledzią. Było to dla mnie coś nowego i – jeśli wierzyć ostrzegawczym sygnałom, jakie rozległy mi się w głowie – niespecjalnie lubianego przez wspinarkę. w miarę jak posuwałem się naprzód, odrywały się całe wielkie płyty cieniutkiej zmarzliny. Rozpadały się na ostrza, które niemiłosiernie kaleczyły mnie w twarz i dłonie. *Tip, tap. Drap, drap.* Wędrówka była niebezpieczna i frustrująca. Ledwie kilka milimetrów pod przejrzystą skorupą czekała porządna, konkretna skała. a w niej pęknięcia i występy, które umożliwiłyby technicznie łatwą wspinaczkę. Po raz pierwszy, do wtóru ciężkich oddechów, górne rejonny mojego ciała zaczęły zwalniać i sztywnieć na wiejącym nieustannie wietrze, mimo że korzystałem z rezerw mocy ogniw. Zacząłem się naprawdę bać, wstrzeliwałem nity w na pół spękany lód, któremu wspinarka dawała pięćdziesiąt procent szans na utrzymanie mojego ciężaru. Wpatrywałem się gniewnie w ścianę urwiska, w tę cienką warstewkę patyny, oddzielającą mnie od twardej, solidnej skały, stanowiącą barierę pomiędzy mną a całą resztą rzeczywistości. Miałem ochotę rozbić, zniszczyć tę zdradziecką granicę. Gołoledź jednak stała się moim światem – była wszystkim. *Tip, tap. Drap, drap.* Po raz kolejny sprawdziłem wytrzymałość powierzchni i już miałem ruszyć w górę, gdy kątem oka pochwyciłem za sobą jakieś poruszenie. Obróciłem głowę i ujrzałem największą żywą istotę, jaką spotkałem dotąd na Korain – pomarańczową podwójną kulę, podskakującą na wietrze niczym boja na falach, poruszającą się za pomocą rytmicznego wssania i wydmuchiwania powietrza. To jakiś żart, kpina, że coś tak głupiego i sympatycznego mogło swobodnie wędrować po niebie...

Nagle poruszyło się coś jeszcze. Padł na mnie cień i spałem się, w oczekiwaniu deszczu lodowych odłamków. Ruch był jednak za szybki, cień za duży, pikował niczym czarna strzała. Pomarańczowe stworzenie nie miało czasu na reakcję. Jego obie kule zapadły się w jaskrawej mgielce, gdy drapieźnik uderzył z góry, po czym – tylko lekko spowolniony ciężarem ofiary – wzbił się natychmiast z powrotem, uniósł ponad klif i zniknął mi z oczu.

Pokręciłem głowę.

Marion, Robbie, Sarah.

To jest wszystko. Zobacz...

Powoli, bez przerwy czując zew przepaści, pokonałem pokryte gołoledzią urwisko i wreszcie z wdzięcznością wbiłem szczęki wspinarki w twarde kręgosłup górskiego grzbietu po drugiej stronie. Kilkaśmet metrów wyżej zauważyłem oznaczone krwawą czerwienią, wygrzebane w śniegu zagłębienie obiecujące osłonę na noc, oraz wiodącą tam trasę, którą automat wspinarki ocenił jako ŁATWA. Łatwą.

* * *

Gdy zbudziłem się następnego ranka, tkanina komory wydała mi się dziwnie ciemna. Na zewnątrz moje stopy zatonęły w miękkich kryształkach. Świeża biel pokryła cały świat – albo prawie cały. w powietrzu wisiała opalizująca mgła, spowijając zmiękczone przez śnieg granie, na które planowałem się wdrapać.

Zjadłem śniadanie, złożyłem i spakowałem komory i oczyściłem kończyny wspinarki ze śniegu. Wszedłem na zasy, by wyrzeć poza krawędź mojej niecki i rozeznac się w okolicy. Odetchnąłem powietrzem nieco słonawym od okrucich życia, które tego ranka rozpierchło się po całym zboczach. a nade mną, olbrzymie choć tylko na połę rzeczywiste, to wynurzające się, to kryjące we mgle, majaczyły granie i kominy, lodowe urwiska i źleby. Idąc wśród tęczowej bieli w ślad za czerwoną linią, jaką wyrysowała dla mnie wspinarka, rozpocząłem ukośną wspinaczkę na wznoszące się przede mną śnieżne zbocze.

Po przejściu godziny prostym szlakiem, zauważyłem przed sobą wylot jaskini, wyraźną cieniastą otchłań, otwierającą się w tęczowej pochyłości. Ruszyłem ku niej w bok, wbijając dla asekuracji stalowy pręt w grubą lodową kolumnę. Kiedy się rozejrzałem, mgła zaczynała gęstnieć, ale to nie wydało mi się istotne. Jaskinie to przecież tak rzadkie na Korai formacje skalne...

Gdy wspiąłem się kilka kroków wyżej, ujrzałem odcisnięte w śniegu ślady pazurów. Zewnętrzne palce były połączone błoną, lecz wewnętrzny szpon zagłębiał się wyraźnie. Gdy poszedłem za śladami ku pieczarze, wspinarka zostawiła własny trop. Odciski stały się rzadsze aż wreszcie zniknęły, w miejscu gdzie Marion, Robbie i Sarah wzbili się do lotu. Znów podniosłem wzrok ku mającącemu nade mną wylotowi jaskini, a za moimi plecami syczały pióropusze śniegu. w pieczarze było ciemno, lecz z symulacji wiedziałem, że w ciepłym – przynajmniej dla nich – sercu lata na Korain moja rodzina raczej nie powinna potrzebować schronienia.

Wchodząc do środka, wywołałem światła wspinarki. *Tip, tap. Kap, kap.* Żuwaczki dotykające nagiej, mokrej skały. Było tu ciepło, a dokoła unosiła się nika, lecz zdecydowanie obecna mgiełka, będąca czymś więcej niż tylko efektem naturalnej kondensacji bądź moim oddechem. Obok mnie połyskiwały wilgotne głazy. Droga wiodła stromo pod górę. Widziałem krystaliczne kształty, metaliczne barwy. Przystanąłem, zapierając się kończynami wspinarki o śliskie podłoże. Pomyślałem o parujących ustach przypominającego małża stwora i zastanowiłem, czy w tej pieczarze nie mieszka czasem jakaś jego zaskakująca superodmiana. Obawa jednak graniczyła z absurdem, a poza tym popychała mnie ciekawość.

Przednie żuwaczki wspinarki zahaczyły o coś zwisającego z sufitu. Spodziewając się stalaktytu, włączyłem światła, lecz ujrzałem substancję, która zaraz rozerwała się na śluzowate pasma, pokrywające, jak zauważyłem, również podłoże, ściany i powalę przede mną. a cóż to za nierówna kula tkanki, tak miękko pulsująca? Kryło się w tym wszystkim coś – i było to najdziwniejsze ze wszystkiego – co sprawiało, że scena wydała mi się znajoma. Gapiłem się. *Ahhh. Haaaaa.* Ciepły powiew to przyciągał mnie, to odpychał. Usłyszałem stłumione stuknięcia, przypominające bicie serca.

Zrobiłem krok naprzód, teraz już ostrożniej poruszając szczękami wspinarki. Poza tym punktem tunel był zbyt wąski, by urządzenie mogło się przecisnąć, lecz może gdybym poszedł o własnych siłach, gdybym wysiadł... Nagle zza pleców doleciał mnie przenikliwy wrzask; KRIIII KARRR, zupełnie jakby wichur rozłupał zbrocze na pół.

Obróciłem gwałtownie wspinarkę i straciłem równowagę. Wymachując rękoma, próbując wystrzelić w skałę stabilizujący nit, przewróciłem się. Utrzymała mnie ochronna klatka maszyny. Zakreśliło mi się w głowie. Zobaczyłem, jak coś dużego i czarnego przywiera do uniesionych przednich żuwaczek. Przez moment, w snopach światła z lamp mignęły złożone oczy, po czym na powrót zniknęły.

Wspinarka drgnęła, ześliznęła się i potoczyła w dół po zalegających w jaskini luźnych, mokrych kamieniach. Moją lewą nogę przeszył płomień bólu. Potem buchnęły tęczowe smugi i oślepiające światło, i suchy mineralny posmak koraińskiego śniegu wypełnił mi usta. Nakazałem maszynie CHWY-TAĆ. Wciąż jednak otaczała mnie tylko wirująca biel. a potem gwałtownie szarpnęła asekuracyjna lina.

Leżałem. Słyszałem cykanie pogiętych szczęk wspinarki i cichy plusk, kapanie jakiegoś płynu – zapewne z hydrauliki. Obróciłem głowę i okazało się, że domyśliłem się słusznie. Po części płyn rzeczywiście był żółtym olejem. Resztę jednak stanowiła krew, parująca i roztopiająca śnieg. Spojrzałem w górę na niebo i wydało mi się, że widzę na nim tysiąc czarnych, wirujących punkcików. Zamrugałem – lecz Marion zniknęła. Zostały tylko płynące marmurkowe chmury. Słyszałem jedynie to stłumione kapanie, świst wiatru i chrzęst gniecionego pode mną śniegu.

Poruszyłem jednym z wewnętrznych pazurów w LEWO, potem w PRAWO i zwolniłem linę. z wolna, po odkryciu, że główne szczęki z prawej strony zwisają bezwładnie, wciągnąłem wspinarkę z powrotem ku asekuracyjnemu prętowi. Gdy do niego dotarłem, zauważyłem, że przepiłował lodową kolumnę już niemal na pół.

Ośnieżone zbocze rozciągało się szerokie i jednolite nade mną i poniżej, ginąc wreszcie w tęczącej mgłę. WBIĆ, ZGIAĆ, RUSZYĆ. Zacząłem się przedzierać z powrotem ku niecce, którą opuściłem dziś rano. Musiałem dokonywać świadomego wysiłku, by odruchowo nie poruszać lewą nogą zgodnie z krokami maszyny – za każdym razem, gdy o tym zapominałem, czułem dojmujący ból. Zerknąłem na zegarek. Cztery godziny. Południe minęło dawno temu. Długie, nierówne połacie śniegu już teraz zaczynały ciemnieć. i nagle, wreszcie, wyraźnie podkreślone blaskiem tonącej Deres, ujrzałem stopnie, które rano wyciąłem w śniegu.

Ruszyłem po nich i w końcu ześliznąłem się do zagłębienia. Zadygotałem z ulgi i zacerpnałem wielką porcję ciepła z ogniwa. Tępy ból w nodze zaognił się i przerodził w coś bardziej dzikiego i palącego. Wyszedłem ze wspinarki, odczepiłem spod niej nosidło z zapasami i wywołałem wciąż działające światła. Ręczne rozkładanie komór wydawało mi się czymś absurdalnym, lecz tak czy inaczej zabrałem się za to, oddychając boleśnie i przykaszując ogniwu, by mi podało więcej opiatów. Gdy ból nieco zmalął, lewa noga znów była w stanie mnie podtrzymać. a krew, która zamarzała na spodniach, stworzyła bardzo zgrabne łubki.

Kiedy ostatecznie wtłoczyłem swoje ciało w ciepło węższej niż zwykle komory, sięgnąłem po nóż i rozciąłem nogawkę wzdłuż szwu. Na zewnętrznej stronie łydki ziała poszarpana, nierówna rana, w której pobłyskiwało białą coś, co mogło być lub nie kością. Nie wydawało się jednak, bym cokolwiek

złamał. Zagniotłem w rękę porcję sztucznego ciała i przycisnąłem je do rany. Poczułem przelotne bolesne pieczenie, gdy opatrunek przywarł i zlał się z moimi tkankami – a potem już nic, rozkosz.

Zmusiłem się, by coś zjeść i wypić, po czym przełknąłem tabletki tlenowe. Położyłem się. Wciąż czułem w głowie kolejne wydawane komendy WBIĆ, ZGIAĆ, RUSZYĆ i powolne, niechętnie ruchy wspinarki. Wróciłem myślami do jaskini. Teraz zrozumiałem, skąd się wzięło to poczucie znajomości widoku – coś podobnego oglądałem już na Ziemi, w jednej z symulacji. Jako obdarzony zdolnością lotu drapieznik – złożone, skomplikowane stworzenie – Marion nie mogła ani znosić jaj jak ptaki, ani dźwigać w swym ciele, pomiędzy lekkimi kośćmi, ciężaru dojrzewającego zarodka. Kompromisem było rozwiązanie pośrednie; zbudowanie w jakimś niedostępnym miejscu skrzyżowania macicy i gniazda. Gdybym miał dość rozsądku i wcześniej domyślił się, jaką funkcję spełnia pieczara, i gdybym wszedł do niej o własnych siłach, ludzkie mechanizmy, które wciąż miała w umyśle Marion, zapewne znacznie szybciej stłumiłyby jej instynkt. Ale obleczony szkieletem wspinarki – wchodząc tam niczym wielki, mechaniczny pająk – czego się mogłem spodziewać?

Leżałem w skafandrze i trząsałem się, choć nie było mi już zimno.

z zewnątrz doleciał mnie hurgot odległej lawiny – powoli wzbierający, grzmiący, zagłuszający nawet wycie wiatru. Przypomniałem sobie sen o lataniu z Marion, o jej szponach wpijających się we mnie w preludium do jakiejś obcej formy uprawiania miłości. Prawda jest taka, że przedtem rozmyślnie unikałem poznawania zbyt wielu szczegółów dotyczących procesów reprodukcji, które z mego ludzkiego punktu widzenia musiały wydać się dziwne – a już na pewno zupełnie wyzute z erotyki. Wiedziałem, że budowa gniazda następuje wkrótce po zapłodnieniu. Świetnie. Tyle że Marion, Robbie i Sarah powinni być tu sami – dojrzała samica z dwójką niedojrzałego płciowo potomstwa. Tak przynajmniej dotąd sądziłem. To naprawdę śmieszne – zwłaszcza w tej absurdalnej sytuacji, w którą wpędziły mnie własna niepewność i próżność – że poczułem się zazdrosny. a jednak – słysząc kolejne, tym razem bliższe lawiny, zmieniające brzmienie wiatru, wstrząsające kryształowym podłożem – tak właśnie się poczułem. Czułem się również zdradzo-
ny, oszukany. i zły.

* * *

Tej nocy, na skorupie wypełniającego moją nieckę śniegu wyrosły cienkie włókienka. Następnego ranka, gdy samodzielnie wdrapałem się na wydmy, by spojrzeć na horyzont, miałem wrażenie, że brodzę wśród oszronionej trawy. Spałem bez snów i byłem wypoczęty. Nogę miałem zeszywniałą, ale za to w lepszym stanie. Rana zaczynała się już goić. a tutaj było tyle światła, tak wiele chwały. Opalizujące wierzchołki, opalizujące chmury. i nawet śladu po trzech – lub więcej – sunących pod niebem punkcikach. Gniew, jaki zdjął mnie zeszłej nocy, wydawał się teraz niedorzecznością, efektem bólu i niepokoju. Miałem tylko nadzieję, że Marion nic się nie stało. a co do szczegółów tworzenia nowego, obcego życia, zrozumienie przyjdzie do mnie wkrótce.

Bo gdy tylko wrócę do bazy, pochowam te trzy puste ciała. Rozpoczne proces przemiany. Mój nowy kształt już czekał, bryła materii z Korain, która, by ożyć, potrzebowała jedynie woli maszyn myśli. Incydent w jaskini był właśnie tym, czego potrzebowałem, pomyślnym zbiegiem okoliczności – być może nawet czymś, co Marion przewidziała i zaplanowała w swej nowej, obcej mądrości. Tak pilno mi było do niej dołączyć. i do Robbiego. i do Sary.

Odetchnąłem głęboko. Powietrze smakowało solą, żywicą, śniegiem i metalem. Teraz wystarczyło już tylko zejść, co pod względem techniki wspinaczkowej musiało być przecież łatwiejsze niż droga pod górę. Przypominało to proces, który zaszedł w moim umyśle, poddanie się wezwaniom tego nowego świata, kwestia akceptacji i dostosowania. Głodny wróciłem na śniadanie, ześlizgując się po włochatym śniegu. Wspinarka wciąż czekała tam, gdzie ją zostawiłem, podobnie jak wszystko wokół pokryta miękką, błyszczącą warstewką kłaczków. Wydałem jej polecenie myśla. Nadal leżała w bezruchu. Zdziwiony podszedłem bliżej maszyny, stałem biel z jej ramion, zauważyłem zastygłą kałużę oleju pod jej klatką piersiową i grubszy naciek kryształu, pokrywający dziurę, z której wyciekł płyn. Otworzyłem klapkę sterowania ręcznego i spojrzałem na ekrany. One jednak także srebrzyły się włókienkami. Szytywne, zimne i bez życia.

* * *

Jedzenie. Tabletki tlenowe. Liny i karabińczyki, uprząż. Skafander sypialny. Woda. Szkielet i powłoka komór. Ręczne czekany lodowe i raki, których nigdy nie podejrzewałem o to, że ich użyję. i znowu jedzenie – tyle, by przetrwać przynajmniej dwa dni, dopóki nie znajdę się w zasięgu maszyn myśli.

Podgrzewane buty i rękawice. Apteczka. To dziwne, cały ten ciężar, jaki my – ludzie – musimy ze sobą taszczyć tylko po to, żeby utrzymać się przy życiu. Spakowałem wszystko do dodatkowej sakwy ze wspinarki i dopasowałem długość jej pasków do moich ramion.

Ruszyłem w dół grani. Lewą nogę miałem wciąż sztywną, ale działała. Chociaż popsuta wspinarka tkwiła bezużytecznie w niecce, bez przerwy zastanawiałem się, co jej menu powiedziałyby na temat wyboru na pierwszą lekcję wspinaczki akurat tego wietrznego grzbietu, położonego tak wysoko, że w dole nie widziałem nic poza jaskrawymi chmurami. Niemniej szedłem dalej, odpoczywałem i podejmowałem wędrownkę, trzymając się własnego rytmu i unikając patrzenia na cokolwiek innego niż miejsce, w którym zamierałem postawić nogę. Podzielone na małe porcje zadanie okazało się wykonalne, poza tym przecież wspinarka przeszła tędy bez zastanowienia, oznaczwszy trasę jako ŁATWA. Łatwo idzie, pomyślałem, wbijając kość asekuuracyjną w szczelinę między skałami, po czym zjechałem na uprzęży. Nic trudnego, w zasadzie prawie niczym się to nie różni od tych nadmorskich skałek, po których łąziliśmy z Sarą. Uwielbiała łapać kolorowe ślimaki, podkradała się i strącała je ze skał szybko ciśniętym kamykiem – mnie ta sztuka nigdy się nie powiodła. Polowała także w przybrzeżnych, słonych kałużach, ta nasza Sarah. Stojąc z gołymi rękoma w przejrzystej wodzie, wyczekiwała równie intensywnie jak różowe, pozbawione skorupy kraby. Potem coś łapała, unosiła migocące ku słońcu, wrzucała do wiaderka, a gdy wracała do domku, kazała terminalowi identyfikować zdobycz. Sarah zadawała zawsze jedno, jedyne pytanie: czy może to ugotować, zjeść – bez względu na to jak mała lub obrzydliwa była jej ofiara – czy może ją skonsumować do popołudniowej herbatki? Jeśli nie, traciła zainteresowanie. Mała łowczyni była – jest – z tej mojej – naszej – córki. a Robbie był identyczny, podziwiał swą starszą siostrę i jej wędkę, sieci i broń.

Lewa noga sprawiała mi teraz większy dyskomfort, choć ból wciąż się nie pojawiał. Czasami musiałem się pochylić i przekręcić ją, ustawić we właściwej pozycji. w takich chwilach nie trzymałem się w zasadzie niczego. Zastanawiałem się, czy nie przypiąć się do skały, lecz nadal schodziłem swobodnie, wiedząc, że trasa jest ŁATWA. Wolałem zachować sprzęt na to, co dopiero czekało przede mną.

Dotarłem do kresu grani. Sądząc po wysokości, na jakiej Deres płynęła po-

nad szczytami, niedawno musiało minąć południe. Odpoczywając na pochyłej skale, kuląc się przed wiatrem, wydychając smugi pary, rozmasowując obolałe mięśnie, czerpiąc z ogniwa rezerwy energii i ciepła, wywołałem godzinę. Wspinarka jednak nie działała, a maszyny myśli były zbyt daleko i w mojej głowie pojawiła się tylko zimna pustka. Zapomniałem zabrać ze sobą ręczny czasomierz.

Po jedzeniu i wypiciu jakiejś niedorzecznie wielkiej ilości płynów, ruszyłem poza skraj grani, by przyjrzeć się czekającej mnie drodze. Wielki, pokryty gołoledzią klif połyskiwał w półmroku. Wpinarka potrzebowała na przebycie tego urwiska większej części popołudnia, a ja miałem do zmroku około pięciu i pół, może sześciu godzin. Uznałem, że tyle wystarczy. Wspinarka i tak nie okazała się w tym fragmencie wielce pomocna, a alternatywę stanowiło czekanie tutaj, podczas gdy pot stygłby i zamrażał moje wierzchnie ubranie, lub próba zejścia inną trasą, może zjazd na linie prosto w zębate pustkowie szczelin pod oblodzonym zboczem. Ściana jednak była zbyt wysoka, by tę ostatnią możliwość rozważać poważnie, a parowy i granie na skraju lodowca poniżej – przypominające jakąś miniaturową krainę z szalonej baśni – nawet z tego miejsca wyglądały na niemożliwe do pokonania.

Gdy tylko wszedłem na urwisko, Deres zniknęła za skłębionymi, fioletoowymi chmurami. Wiatr stał się zimniejszy, jego obecność była teraz konkretna, fizyczna. Szarpał mnie soplami swych ramion i podnosił z przepaści mokre płachty różowawych płatków. Uświadomiłem sobie, że poranne zejście kosztowało mnie więcej energii, niż się spodziewałem. *Tip, tap. Drap, drap.* Chrzęst lodu. Stukot każdego kolejnego nitu, żar napiętych rąk, chybotanie się skorupy gołoledzi, która odpadała kawałami w dół. I wtedy, początkowo będący powolnym, narastającym stopniowo swędzeniem, powrócił ból lewej nogi. Na szczęście, w miejscach gdzie lód został już odrąbany, czekała odślōnięta skała. Łatwa technicznie ściana, powtarzałem sobie. ŁATWA.

Gołoledź. Wisiałem pod pięciostopniową przewieszką na ścianie z cienkiego lodu. Moje oczy przeczesywały otoczenie, a mózg dawał trasie w każdym kierunku jedynie pięćdziesięciostopniową solidność. Asekurował się podobnie jak wcześniej wspinarka. Gołoledź. Tak przezroczysta, tak gładka i śliska w dotyku. Nie widziałem już nic innego. Rozejrzałem się, szukając Deres. Przestałem się nawet spinać, gdy świeży lód zasypywał mi głowę. Niebo pociemniało. Spróbowałem wywołać czas, lecz wciąż istniały jedynie powstrzy-

muszący mnie lód i ból dygocących mięśni, i coś jeszcze, co wbijało się niczym rozgrzany sztylet w moją lewą nogę. Spojrzałem w dół, spodziewając się ujrzeć wyszczerzoną, rozcapierzoną jak muszla małża paszczę. Nie było jednak niczego, tylko bezkresna, wirująca przepaść.

w LEWO, w PRAWO, w GÓRĘ, w DÓŁ. z powrotem znalazłem się we wspinarce i przeklinałem jej głupotę, aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, iż nie mam powodu spodziewać się czegokolwiek więcej po zepsutej maszynie. Gapiałem się na ten obleczony w lód klif, wpatrywałem się w tę ścianę, przebijając spojrzeniem ciężką ciemność, chciałem, by zniknęła, rozpułyła się. Za nią czekało całe moje życie. Coś tak gładkiego i cienkiego i ledwie dotykającego udało w jakiś sposób odgrodzić mnie od wszystkiego, od szansy, by ŻYĆ. „Właśnie o to chodzi” – szeptał Marion doleciał do mnie ponad krzykiem wiatru. – „My, ludzie wiodący nasze słabe życie, na naszej miękkiej i wygodnej planecie, korzystając z naszych marnych zmysłów. Musisz rozbić tę gołoledź, kochanie. Musisz się PRZEBIĆ”.

Odchyliłem się, bez tchu, obolały, zły marznącym potem. Gdzieś dalej w górach zaszło wreszcie obce słońce. Uprząż piła mnie pod pachami i w kroczu. Asekuracyjny nit zaczął skrzypieć. To wszystko nie miało sensu. Wiedziałem, że nadal będę tu wisiał, gdy przestaną działać moje ogniwo i serce – z wolna zamarnę lub zostaną pożarty przez mieszkańców Korain, ich nowy przysmak. Spojrzałem w LEWO, w stronę, w którą powinienem zmierzć. Widziałem jedynie ścianę gołoledzi coraz bardziej i bardziej odchylającą się od pionu. Takiej przewieszki nie miałem szans pokonać, nie mogłem też po prostu wisieć tak przez całą noc. Trasa w GÓRĘ również była wykluczona. Podobnie w PRAWO. Pozostawało jedynie w DÓŁ, tam mogłem popfrunąć. Pomysł wydał mi się kuszący. Otwierająca się poniżej ciemność wyglądała przyjaźnie. Miękkie poduchy czerni. Spadając, mógłbym rozłożyć ramiona. Mógłbym poszybować, wzbić się. Dołączyłaby do mnie Marion z dziećmi, rozwrzeszczana, roześmiana. KI KIK KARR KARR. Unieśliby mnie. Ku gorze. To musiała być najłatwiejsza droga.

Czując, jak strzela rozedrgany, osłabiony mięsień, sięgnąłem po pozostałe nity. Miałem już tylko jeden. Zsunąłem z dłoni i wyrzuciłem jedną z rękawic, po czym przepłótłem pozostałą część liny przez ósemkę zjazdową. Przekręciłem ją i świat zaczął sunąć obok mnie, do wtóru syku sznura. Spadłem, zwolniłem, opadłem ponownie. Czarne, pokryte cienkim lodem urwisko za-

kołysało się i odsunęło, wróciło płynnie z powrotem. Odepchnąłem się stopami i krzyknąłem cicho, gdy biały płomień bólu przeszył mi lewą nogę. i dalej, w dół, wirując. Pomyślałem o baśniowej krainie rozpadlin, jaką widziałem wcześniej z góry, o tej trasie, na którą się nie zdecydowałem. Jak wysoko nad nią wisiałem? Tysiąc metrów? Przeszedłem jednak już w DÓŁ i w LEWO, a przecież gdzieś w tę stronę zaczynał się wznosić lodowiec. Pod moją dłonią przesunął się znacznik długości liny. Zwolniłem i poczułem szarpnięcie, gdy sznur skończył się grubym węzłem. Wciąż widziałem gołolędź; płaską, lodowatą, pionową. Wstrzeliłem w ścianę ostatni nit i przepłótłem linę, którą następnie zrzuciłem pod siebie w ciemność. Znów przekręciłem ósemkę i zjechałem po raz ostatni. Na mojej nagiej dłoni pojawiały się i pękały mokre pęcherze. Jak daleko dotarłem? Poczułem prześlizgujący się znacznik, uderzenie końcowego węzła. Zawisłem, kołysząc się wśród pustej czerni. To był koniec. Nie miałem więcej nitów, a tym razem nie wisiałem już nawet tuż przy oblodzonym klifie. Nie mogłem iść dalej. Nie dając sobie czasu do namysłu, sięgnąłem zdrową ręką po wiszący u pasa nóż i przeciąłem sznur.

Poleciałem.

* * *

Jakiś księżycowy poranek. Dokoła szarość i biel. Kratery i górskie szczyty. Uniosłem się na łokciach, przebijając sztywną pokrywę śniegu. We mgle majaczyła – wznosiła się – zielonkawa oblodzona ściana.

Położyłem się z powrotem, zaskoczony, że przeżyłem upadek, zastanawiając się, ile z tego wyniknie bólu i wysiłku. Pociągnąłem z ogniwa. Na moment pojawiło się migotanie ciepła i energii. Spróbowałem wywołać serwer, poszukałem maszyn myśli. Przynajmniej, pomyślałem, kiedy wyciągnąłem spod śniegu zdrową dłoń w rękawicy i zdziwiłem się brakiem czucia w pozostałych kończynach, mam ze sobą sakwę. w jakiś sposób udało mi się ją wydobyc z białych kryształków. Była pusta, podarta. Położyłem się i ujrzałem wśród bieli ładne bursztynowe płatki. Te bliższe jakby się poruszały. Kilka opadło na mnie i zabłyśły mi na oczach. Byłem spragniony więc obliżałem usta. Okazały się jednak suche. Smak soli, ziemi i metalu.

Jakiś czas potem stwierdziłem, że chodzę dokoła na czworakach i czegoś szukam. Sakwa była co prawda pusta, ale jej zawartość musiała przecież spaść niedaleko. Moja lewa noga szarpała tak, jakby rozcinał ją od środka ja-

kiś wściekły mechanizm, a śnieg był tu dziwnie lekki. Gdy posunąłem się naprzód, ustąpił pod naporem ramion. Zajrzałem do powstałego otworu i zrozumiałem, że wiszę ponad błękitną przepaścią. Rzuciłem się w tył i skuliłem w śniegu, pielęgnując swój ból i pragnąc, by mróz wreszcie mi go odebrał. Wpatrywałem się w szare, zeszywniałe palce obnażonej dłoni.

Mijały godziny. Promienie słońca nie docierały do mnie ani przez chwilę. Bólu prawie nie czułem, do chwili, gdy coś mnie gwałtownie dźgnęło. Nie w nogi czy ramiona, lecz w bok, który wciąż wystawał nieco ponad śnieg. Zignorowałem to, lecz uderzenie się powtórzyło, tym razem bardziej nagłące. Odwróciłem się z miną gderliwego, dopiero co wyrwanego ze snu człowieka. Wśród bieli ujrzałem ciemny kształt i zdrapałem sobie z powiek lodową skorupkę. To musiał być koszmara. Przysiadła nade mną istota z czarnymi skrzydłami, szarą sierścią, wydłużonymi szczękami i kończynami o trzech stawach. Monstrum pochyliło głowę, lecz nie odezwało się słowem. Zresztą, cóż mogło mieć do powiedzenia? Zaraz potem jednak rozwarło paszczę i coś z niej wypuściło. Spojrzałem na to coś, parujące na śniegu, prawie na równi z moimi oczyma. Wymięty kawałek posrebrzonego krwią ciała, wyglądający prawie jak ten czmychający parasol, który oglądałem oczyma szperacza i który tak niezdarnie zniszczyłem. Bił od niego dziwny zapach, kojarzący się raczej z cynamonem niż metalem. Podniosłem wzrok na istotę, która mi to przyniosła. Marion. Jej złożone oczy. Pulsująca w gardle błona. Porośnięte rzadkim futerkiem skrzydła. Czego się po mnie spodziewała? Że pogratuluje jej udanych łowów?

KAK KARR KIK KARR.

Coñąłem się przed jej zawołaniem, głośnym i ostrym, zwłaszcza w tym milczącym miejscu – taki sam skrzek wydała z siebie Marion, gdy wylądowała na kamiennym stole w bazie. Sygnał dla Robbiego i Sary, że mogą bezpiecznie przystąpić do jedzenia. Jej głowa wystrzeliła do przodu, wyciągając się na długiej szyi niczym wąż. Podsunęła padlinę bliżej mnie. Dotknąłem mięsa zdrową ręką. Czując na sobie baczne spojrzenie Marion – szczerze mówiąc, zdjęty obawą o to, co mogła zrobić, gdybym nie usłuchał – wcisnąłem sobie do ust pasemka słonego, smakującego miedzią poczęstunku, przeżułem i połknąłem.

Zatrzepotała gwałtownie skrzydłami i odleciała. Leżałem na miejscu, coraz bardziej senny, czując, jak to, co mi przyniosła, pali mnie w brzuchu. Potem

wróciła, w zasadzie nie zauważyłem, by nadlatywała, po prostu pojawiła się z powrotem. Po raz kolejny rzuciła mi jedzenie. Zdumiała mnie dziecinna prostota jej logiki. Fakt, że myślała, że może mnie nakarmić obcym mięsem. Nie miałem też pewności, czy nie śnię i czy moja wyobraźnia nie odzwierciedla raz po raz tego samego wydarzenia. KAK KARR KIK KARR. Lekkie kości, węzowa szyja, a dzień zaczął już ciemnieć. a może to mój wzrok słabł. Tak czy inaczej, stworzenie przede mną było teraz mniejsze. Robbie lub Sarah – nie umiałem ich rozróżnić. Luźny woreczek, który dostałem, eksplodował mi w ustach wilgocią. Wypiłem wszystko, wyssałem chciwie do cna. Położyłem się. Problem polegał na tym, że im więcej jadłem, tym bardziej bezwładny i zmęczony się stawałem, a śnieg robił się coraz wygodniejszy. Naprawdę bardzo się postarałem, by tutaj skończyć. w tym dającym zrozumienie miejscu. Gdy wezbrał czysty wiatr, głos Marion przyniósł mi pociechę.

– To nie jest kwestia wyobraźni – powiedziała tamtego ostatniego dnia, kiedy wybraliśmy się skimmerem na Shell Island. Słodkie promienie słońca i skrząca się woda. Tak przejrzysta. – Właśnie w tym rzecz, nie rozumiesz? Liczy się właśnie to, czego nie możemy sobie wyobrazić.

Skinąłem głową, trzymając rumpel wygładzony przez moją i cudze ręce.

– Zanim zamykasz się w tym, co widziałeś w symulacjach – podjęła. – To tak nie będzie. Symulacje przecież odbieramy swoimi zwykłymi umysłami. My, ludzie, po prostu nie jesteśmy odpowiednio wyposażeni, by stać się czymś innym. Nawet działania tak proste jak patrzenie, widzenie odbywają się w naszych głowach poprzez kanały neuronowe, które są zawodne choćby dlatego, że działają w czasie, a ich dane się wzajemnie mieszają. Informacje ulegają zakłóceniu zanim jeszcze dotrą do naszej świadomości. Nic nie jest czystym doznaniem...

Kryształowe morze. Krążące ponad falami mewy i fregaty. w pewnym sensie miała rację. Nawet gdy patrzy się na otoczenie, smakuje bryzę czterema rodzajami żalonych receptorów na języku, wrażenie umyka, natychmiast staje się wspomnieniem. Zacząłem szukać po omacku, obmyślać kontrargument. Ale Marion jak to Marion, zdążyła mnie uprzedzić.

– Poznałam już wszystko, co my, ludzie, zdołaliśmy stworzyć. To, co nazywamy cywilizacją. Ten skimmer. Znam Paryż, Wenecję i Acapulco. Ale pomyśl o naszych najpiękniejszych chwilach. Przypomnij sobie Ayers Rock,

Bhutan i Borrowdale. Zawsze poszukiwaliśmy tego co czyste i naturalne. Nie chcemy cywilizacji, chcemy tego. Chwili obecnej, nieskażonej. Zobacz, spójrz na nich...

Mówiła o Sarze i Robbiem, wychylających się przez dziób, rozplątujących sieć. Oboje brązowi, nadzy i ogorzali, zupełnie jak pokład skimmera. Słońce każdego dnia bardziej bieliło włosy Sary. Piegi Robbiego zlewały się na ramionach w jeden mahoniowy pas. Gdy do mnie podeszły, moje dzieci pachniały morzem, słońcem, rybimi łuskami, piaskiem, dymem z ogniska, kwiatami, krwią i palmowymi liśćmi. One już wtedy były w połowie drogi.

Zbliżaliśmy się do Shell Island. Widziałem biały płomień piasku na brzegu.

– Patrz! – Marion wskazała na wodę. – Tak właśnie będzie!

Pozostawiłem ster jego własnym urządzeniom i podszedłem do relingu. Stado delfinów o mokrych, połyskujących grzbietach, skakało w falach obok łodzi. Tak szybkie. Wzbijały się zaskakująco wysoko. Władcy wszystkiego, którzy dawno temu zrezygnowali z łądu i powrócili ku wolności morza...

Zapadała ciemność. Leżały na mnie ciężkie płatki, albo ciążyło mi wrażenie, że gdzieś wysoko łopoczą skrzydła. Dziwne było to, że gdy odwróciłem głowę, wydawało mi się, że śnieg świeci się, jarzy, żyje. Każdy wirujący, bursztynowy kryształek stanowił płomyk maleńkiej świecy. Podciągnąłem się na rękach. To naprawdę była jakaś obca, baśniowa kraina. Powoli – myśląc RUSZYĆ, w GÓRĘ – podniosłem się na kolana i zauważyłem, że lewa noga zostawiła za sobą ciemną kałużę wilgoci. Podwinąłem nieco spodnie, spodziewając się bólu. w słabej, lecz wszechobecnej poświacie, zobaczyłem łydkę wyraźnie. Opatrunek z syntetycznego ciała odpadł. Brzegi rany rozwarły się niczym usta, a wewnątrz ujrzałem białe futerko, niemal identyczne jak ta sierść, która wyrosła na dziurze ziejącej w brzuchu zepsutej wspinarki. Nie czułem niczego, nic mnie nie bolało. Spróbowałem oderwać lód i wtedy, nagle, ból się jednak pojawił. Ból, który wystrzelił poprzez wszystkie moje zmysły. Położyłem się w złotym śniegu, czując przesywające mnie drgawki mdłości. Mimo że po chwili odeszły, śnieg przestał już być wygodny. Zupełnie czym innym jest odejść powoli, z powodu hipotermii, a czym innym zostać pożartym przez jakiegoś obcego pasożyta. Niemniej, tak czy inaczej, poczułem się silniejszy – oraz bardziej chory – i postanowiłem, że trzeba się ruszyć.

Jakiś czas później stałem. Teraz miałem ze sobą tylko sakwę, w której brałem zapasy – obecnie pustą. Wszystko, co się w niej znajdowało, zostało pochłonięte przez rozpadlinę, która omal nie porwała także i mnie. Niemniej, oplotłem się tą sakwą i zacząłem iść powoli, powłócząc nogami. Na szczęście, w tym rozjaśnionym blaskiem świec śnieżnym polu głębokie paszczki urwisk były łatwe do zauważenia.

Poranek i wygaśnięcie śniegu nastąpiły razem, jedno światło zniknęło, pojawiło się drugie. Zobaczyłem tęczowe światem wierzchołki otaczających lodowców gór, a nawet mglistą nizinę za nimi. Niewiele myśląc, zatrzymałem się, upadłem wyczerpany, po czym podczołgałem się ku dającemu schronienie nawisowi. Ogniwko było wyładowane bez reszty, a buty oraz rękawica nie dawały już ani krztyny ciepła. Podniosłem odsłoniętą dłoń w rumieńcu wczesnego blasku i, pomagając sobie drugą, ostrożnie poruszyłem kolejno palcami. Wszystkie były szare i pozbawione czucia, wciąż widniały na nich wilgotne wgłębienia pozostawionych przez linę otarć. W zasadzie jednak powinny wyglądać gorzej, powinny już być kawałkami zamrożonego ciała, odłamującymi się niczym sople.

Poranek przedrzemałem, tęskniąc za skafandrem, w krótkich przeblyskach świadomości mając nadzieję, że Marion, Sarah i Robbie znajdą mnie po raz kolejny. Pożądałem tego oślizłego, miedzianego smaku obcego mięsa. Pożądałem go w sposób, który nie wydawał mi się całkiem zdrowy. Lepsze jednak to niż nic, świadectwo woli przetrwania. W półśnie, musiałem się uśmiechnąć na myśl o tym, że kryształowe futro, którego włókienka porosły moją nogę, zajmie mnie całego. Już widziałem samego siebie, jak bmnę po lodowcu niczym pokryty grzybami pniak, wołając: „Popatrz, Marion! Udało mi się! Przeobraziłem się, nawet nie próbując!”.

Ale dokoła nie było życia. Nie uderzały skrzydła. Nie jarzył się śnieg. Byłem tylko ja, były wiatr i zimna, bolesna cisza. Mimo wypicia płynu, który dostałem dzień wcześniej, wciąż umierałem z pragnienia. Język mi napuchł i rozpychał się w ustach. Wiedziałem, że muszę iść dalej.

Wyminąłem już najgorsze z rozpadlin, a lewa noga, wbrew niepokojącym, zewnętrznym symptomom, pozwalała teraz kierować sobą z większą łatwością. Schodziłem z lodowca, kuśtykając i gniotąc podeszwami odpryski lodu na skrzającej się morenie. Wciąż szedłem, gdy wreszcie zapadła ciemność, a niebo pokryło się roztańczoną opalizacją. Podniosłem wzrok, przewróciłem

się, wstałem i przypomniałem sobie zorzę polarną. Tyle że nad ziemskim horyzontem zorze zawisały niczym kurtyny, a tutejsze zjawisko ogarniało całość nieboskłonu. Zastanawiając się nad tym, brnąłem naprzód i poczułem się wielce z siebie zadowolony, gdy kilka godzin później uświadomiłem sobie, że ta poświata nie pochodzi zapewne z Korai, lecz z pasów pyłu, które wirowały pomiędzy nią a Deres, powstrzymując kosmiczny deszcz, który w przeciwnym wypadku uniemożliwiłby powstanie tu jakiegokolwiek życia.

i znów świt. Jeszcze jeden dzień. Udało mi się przejść poza rozmigotaną morenę na krawędzi lodowca – suchą, podczas gdy marzyłem o wodzie z topniejącego lodu – i zbliżałem się do pociętych przepastnymi wąwozami wzgórz. Bez przerwy obserwowałem niebo, pragnąc, by Marion przyniosła mi nieco więcej tego dziwnie smakującego ciała, tej kwaśnej wody. Jej plany jednak nie były moimi – podobnie jak jej sposób rozumienia. Nowy mózg Marion był nastawiony na czystą chwilę, czyste doznanie, wszystko wlewało się w nią niewiarygodnie szerokim strumieniem, jaki w mgnieniu oka spaliłby moje żalosne ludzkie synapsy.

Dotarłem do wąwozów, które wcześniej pokonałem we wspinarce. Stalowe liny, które wtedy wystrzeliłem, czekały wszystkie na miejscu, te nierdzewne pasy, wydające się bluźnierstwem, gdy zmierzałem w przeciwną stronę, teraz okazały się mym zbawieniem. Przyczepiłem uprząż karabińczykami i zawisłem nad pierwszą z przepaści. Zacząłem się powoli podciągać, korzystając ze zdrowej ręki. Droga była męcząca, mozolna, a rozpadlina otwierająca się pode mną sprawiała wrażenie, że nie ma dna. Zapewne sięgała daleko w głąb planety, tam gdzie zbierała się cała woda z topnienia lodów. Byłem też pewny, że na dole coś się porusza, jakieś migocące ławice.

Następny jar był szerszy. Musiałem się często zatrzymywać, rozkołysany, przeklinający sam siebie, podczas gdy dokoła zaczęła zapadać noc. Było równie ciężko jak na pokrytej gołoledzią ścianie. Nabrałem przekonania, że sobie nie poradzę. Migocące w otchłani poniżej, niepewne, ułudne światła jakby mi groziły. Wreszcie rzuciłem się jednak zdyszany na skałę po drugiej stronie, wpatrzony we wzburzone bezgwiazdne niebo. Wiedziałem, że musi istnieć jakaś okrzęzna droga, pozwalająca ominąć te wąwozy, ale mając do dyspozycji jedynie bezużyteczny umysł i bezużyteczną pamięć, nie miałem najmniejszego pojęcia, jak daleko musiałbym iść. Podejrzywałem jednak – przełykając suche powietrze ponad twardym jak głąz językiem, wpatrując się w

blask przebijający się przez moje podarte, inkrustowane grzybami spodnie – że tak czy inaczej został mi mniej więcej jeden dzień drogi. Wyciągnąłem rękę i odpiąłem karabińczyk. Skałę za mną rozciął parów, głęboki, lecz niewiele szerszy niż długość mego ramienia. Zajrzałem w głąb i nie miałem już najmniejszych wątpliwości – poruszały się tam światełka, rozmigotane ławice złotych rybek. Leżałem, spoglądając w dół, i pozwalałem się smagać powiewom wiatru. Ruchy były teraz bliższe, a kształty bardziej wyraźne, naprawdę wyglądały jak małe rybki. Uśmiechnąłem się na wspomnienie Sary, tych kałuż morskiej wody wśród skał, córki czekającej godzinami z gołymi rękami...

w nocy poczułem, że obie te myśli łączą się ze sobą. Wsunąłem zdrową rękę do parowu i zauważyłem, że ryby podlatują, niemal na tyle blisko, by oświetlić dłoń. Jednakże przy każdej próbie schwywania natychmiast umykały. Łowienie małych rybek. Po części zabawa jak ze snu, po części koszmar. Wówczas przypomniałem sobie o sakwie, odwiązałem ją z wysiłkiem i otworzyłem, po czym opuściłem pomiędzy roztańczone kształty w ten sposób, że rozwarła się niczym sieć. Szarpnąłem ku górze. Przeciągnąłem ręką po tkaninie, wyczułem wewnątrz ruch i ścisnąłem. Moja dłoń natychmiast stała się śliska i mokra. Wydobyłem stworzenie ze środka i skubnąłem zębami jego ciało. Wciąż jaśniejące, zupełnie nie rybnie i miedziane jak wszelkie żywe istoty na Korain. Kości miało cienkie jak nici, lecz niewiarygodnie ostre i twarde. Udało mi się odgryźć kawałek i przeżuć, przesunąć kęs ponad dziąsłami i przełknąć. Następnie znów pochyliłem się nad rozpadliną.

Tej nocy zdołałem złowić sześć tych małych rybek. Wycisnąłem z nich i wypilem płyn, prawdopodobnie pochodzący z pęcherzy. Okazał się słodki; to, co dla nich stanowiło zbędny odpad, dla mnie było źródłem życia. Perspektywa następnego ranka i pokonywania kolejnych wąwozów, aczkolwiek wciąż ponura, nie wydawała się już beznadziejna. Schowałem do sakwy dwie ostatnie ryby – okazało się przy tym, że w dziennym świetle są przezroczyste, a ich organy wewnętrzne przypominają mechanizm starego, analogowego zegarka – ruszyłem dalej wśród kryształowego krajobrazu.

Jakąś godzinę później moja lewa noga – którą od chwili, gdy przestała boleć, starałem się ignorować – wydała z siebie nagle czerwony wrzask cierpienia. Zachłysnąłem się, przetoczyłem po skałach i w zbolałym niedowierzaniu spojrzałem w dół. Biały grzyb poruszał się, falował. Zaraz potem mszysta

substancja rozdzieliła się i z mojego ciała wysunął się srebrzysty węgorz, długi na około sześciu centymetrów. Zaczął węszyć. Zbyt oszołomiony, by się choć poruszyć, patrzyłem tylko, jak stworzenie prześlizguje się błyskawicznie po kamieniach i zagrzebuje, znikając mi z oczu. Grzyb na mojej łydce zaczął wędnąć i kurczyć się niczym topniejący śnieg. Po kilku minutach pozostała już jedynie szara lepka maź i zupełnie czysta blizna. Wciąż dowierzając zmysłom tylko w połowie, dotknąłem śladu. Zwyczajna, zagojona rana. Tak normalna. Tak prawdziwa. Poruszyłem nogą, sprawdziłem ją. Wtedy zatrzęsły mi się ramiona. Zadarłem głowę ku tęczowemu niebu i zaniołem się śmiechem.

Tego wieczoru nabrałem pewności – po przejściu ostatnich spiętych linami wawozów i mimo że nadal nie wyczuwałem obecności maszyn myśli – że od bazy dzieli mnie już tylko dzień drogi. Zawisając na linie lub ześlizgując się po kolejnym zboczu z popękanego kryształu, pokrzepiałem się świadomością tego, jak daleko już zaszedłem. Byłem ogromnie wycieńczony, lecz poddać się w tej chwili byłoby grzechem. Tej nocy znów łowiłem w wąskiej rozpadlinie – udało mi się schwytać pięć napowietrznych rybek, w tej okolicy bardziej płochliwych i niebieskich – po czym schroniłem się pod starym osuwiskiem.

Wiatr uspokoił się do słabego pisku. Nie spodziewałem się już, że każdy dźwięk będzie zwiastować pojawienie się Marion, Sary lub Robbiego. Co więcej, nie nazywałem ich już w myślach tymi imionami. Przeszli przemianę, a w pewnym sensie zmieniłem się i ja. Wciąż byłem głodny, spragniony, zmęczony, lecz przynajmniej nie musiałem borykać się z kresem własnego istnienia. Ta planeta, tak dziwna i niebezpieczna, była również dobrotliwa w sposób nieznanymi ziemskimi górmi. Korai naprawdę była miejscem pełnym nadziei, tchnęła możliwością nowych początków. Nie czułem już lęku ani samotności, a kiedy wrócę do bazy, gdy do niej wrócę... Skrzywiłem się w ciemności i odsunąłem przesłaniającą światło skałkę, zbyt wyczerpany, by myśleć, spać lub śnić.

Ostatni fragment drogi powrotnej okazał się nieskończenie nużący. Co chwila oglądałem się na góry, pragnąc, by przybrały wreszcie ten drogocenny kształt, jaki zapamiętałem podczas samotnych, spędzonych w kanionie dni. w niemal zupełnej ciemności dotarłem do upstrzonego klejnocikami wyschniętego koryta i ruszyłem wzdłuż niego, zupełnie nie przejmując się ryzy-

kiem upadku w przepaść. Bolało mnie wszystko, a przekazy maszyn myśli, które powinny być już wyraźne, pozostawały dziwnie słabe. Wreszcie wdrapałem się na kolejny głąz i okazało się, że stoję na szczycie rumowiska ponad suchym jeziorem. Niewyraźna, lecz zdecydowanie obecna, odsłoniła się ponownie przede mną cała okolica mego więzienia. Ześliznąłem się w tundrę. Brnąc ku bazie, słabszy niż kiedykolwiek przedtem, wywołałem światła, wywołałem serwer. Nic się nie stało. Namioty pozostały ciemne. Maszyny myśli pomrukiwały bezcelowo. Rozdarłem powłokę swojej komory, padłem i przez chwilę wpatrywałem się w łopocącą, niechronioną polem tkaninę, aż wreszcie spadłem w ogromne pieczary snu.

Gdy się obudziłem, było jasno. Potem ciemno i znów jasno. Raz wygramoliłem się na zewnątrz, żeby się załatwić, i zwymiotowałem żółcią wymieszaną ze srebrnoniebieskimi łuskami. Nie byłem w stanie sobie przypomnieć, gdzie serwer przechowuje napoje, więc powłokłem się nad jezioro. Woda smakowała znajomo piachem, cuchnęła. Po raz kolejny ocknąłem się prawdopodobnie wieczorem trzeciego dnia. Jasność myślenia odzyskałem już do tego stopnia, że domyśliłem się, że brak odpowiedzi ze strony maszyn musi mieć coś wspólnego z uszkodzonym ogniwem. Pokuśtykałem do komory sterowania i ręcznie uruchomiłem światła i ogrzewanie. Zdołałem też przywrócić do życia serwer i robot kuchenny. Wciskając niezbornie klawisze, do których nie byłem przyzwyczajony, słaby i wygłodniały nagle jak wilk, wybrałem pierwszą pozycję z menu automatu. Dopiero gdy zjadłem szare, pajdowate grudy, zdałem sobie sprawę, co tak naprawdę zamówiłem.

Następnego dnia panowałem nad sobą już znacznie lepiej. Lewa noga wydawała się zupełnie zdrowa. Odmrozoną rękę wciąż miałem napuchniętą, lecz okazało się, że – przyjmując leki przeciwbólowe – jestem w stanie znośnie poruszać palcami. Słońce Korain świeciło ciepło i jasno. Wiatr ustał niemal zupełnie, nie trzeba było ustawiać pól. Długie godziny spędziłem, siedząc i obserwując wędrujące z charakterystyczną dla siebie determinacją pseudokrabby lub wpatrując się w ciepłe, przesyte turkusowymi pasmami niebo, wspominając Robbiggo i ten pierwszy dzień tutaj, kiedy przewrócił się i zranił w głowę. Sterowanie maszynami myśli bez odpowiedniego zasięgu mojego ogniwa okazało się żmudnym obowiązkiem, lecz w końcu przywykłem do ręcznego wprowadzania poleceń dla serwera – a wiele innych gadżetów, na których dawniej tak polegałem, wydało mi się teraz zbędnymi. Sny stały się

naprawdę moimi własnymi, nawet gdy spałem w skafandrze – i były tak bardzo wyraziste. Wszystkie działały się na Ziemi.

Nadal wiodłem dziwną egzystencję, na poły oderwany od zwyczajnej rutyny bazy – serwerowi przemykającemu dokoła, wykonującemu swe niejasne obowiązki, przypatrywałem się dokładnie tak samo jak pseudokrabom. Pierwsze ze szperaczy powróciły ze swej długiej podróży bez żadnego ostrzeżenia. Gdy srebrzysty kształt wychynął z półmroku, pomyślałem nawet w pierwszej chwili, że to wspinarka – lub jej duch – w jakiś sposób znalazła drogę do domu.

Tak wyglądały moje dni. Trwał proces fizycznego i psychicznego zdrowienia. Nie wykladałem już jedzenia dla istot, w jakie przeistoczyli się Marion, Robbie i Sarah. Nie przeczesywałem nieba spojrzeniem, w nadziei na ujrzanie swej rodziny. i czasami – aczkolwiek wzięwszy pod uwagę wszystko, co się stało, było to nieco dziwne – wdrapywałem się na ściany kanionu, posługując się przy tym wyłącznie rękoma i nogami, lub trawersowałem jakiś połyskliwy fragment urwiska, który wydał mi się szczególnie intrygujący. Wspinałem się o własnych siłach, delektując się prawdziwym, solidnym dotykiem skały, brakiem jakiegokolwiek bariery oddzielającej mnie od czegokolwiek, smakiem i zapachem tej planety, brakiem gołoledzi, poczuciem rzeczystwej obecności w tym świecie.

Pewnego dnia, być może trzy tygodnie od powrotu, odpoczywałem po szybkiej wspinaczce, stojąc na szczycie zielonkawej, spękanej ściany wznoszącej się nad białym, pochyłym ospiskiem; patrzyłem z góry na kanion i bazę, skąpany w promieniach słońca wyrównywałem oddech, myśląc sobie, że dziś wieczorem zabiorę się za ostatnią butelkę szampana, kiedy zauważyłem, że poszycie tundry w pobliżu bazy delikatnie zmieniło barwę. Wśród traw pojawiły się trzy podłużne prostokąty, którym przyglądałem się w zdziwieniu przez kilka minut, zanim wreszcie zrozumiałem.

Tego wieczoru, z powrotem w komorze, wypilem szampana. Dodał mi odwagi, której potrzebowałem, by pójść i obejrzeć ciała Marion, Robbiego i Sary. Po wszystkim, co się tu stało, wydawało mi się czymś niewłaściwym to, że wciąż tu były i wywoływały moje wspomnienia – unikałem ich przecież nawet w myślach. Niemniej stanąłem nad tymi trzema pięknymi ciałami, należącymi niegdyś do ludzi, których kochałem. Teraz zniknęli, pozostawiając po sobie tylko śpiące, przeszyte złotymi nićmi pola ciała...

Tej nocy wierciłem się z boku na bok, po raz pierwszy w życiu doświadczyłem bezsenności. Wszystko wydawało mi się szare, czarne. Co ja tu robie? Co zyskałem? Chciałem, by pojawiły się moje sny o Ziemi, bez skutku. Skafander stał się szorstki i niewygodny. Gdzieś w wyższych partiach tej planety żyły obce istoty, do których bałem się dołączyć, stworzenia, jakich nie byłem w stanie poznać ani zrozumieć. „Zobacz. To jest wszystko...”. White we mnie szpony Marion i upadek. KI KIK KARR KARR. i jaskinia. Nowe życie. Już nie trzy krążące postacie, lecz więcej. Więcej...

Wciąż czułem w ustach smak szampana – ostry i słodki, zupełnie taki sam jak tamtego ostatniego wieczoru, który spędziłem ze swoją ludzką rodziną. Przypomniałem sobie, że dzieci były tak podekscytowane nadchodzącą przemianą, że Marion musiała przeprogramować ich skafandry, by się wreszcie uciszyły na noc. Potem oboje usiedliśmy przed komorami, przy prawdziwym ognisku z drewna jabłoni, które przywieźliśmy ze sobą specjalnie na tę okazję. Przypomniałem też sobie jej uśmiech, sposób w jaki trzymała kieliszek, smugi dymu porywane i wynoszone poza granicę pola. Nie mówiliśmy wiele. Nie zostało prawie nic do powiedzenia. Nadeszła pora bezruchu i ciszy, która wtedy – gdy wiatr wył pomiędzy górującymi nad nami białymi szczytami tej odległej planety – wydawała mi się o wiele dziwniejsza. Milczenie zmiany, postanowienia. Przypomniałem sobie, że Marion ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do komory, rozebrała się i odrzuciła na bok skafandry. Tej nocy spaliśmy razem, nadzy, ciało na ciele. w pewnym momencie doszło do aktu, nie tyle namiętności, ile wspólnoty, na pamiętkę innych razów, korysaliśmy się razem, powoli, kochaliśmy się.

Usiadłem w rozedrganej ciemności i poszukałem po omacku włącznika świateł, który sam wykonałem. Poszedłem do maszyn myśli i przesiedziałem tam resztę nocy, zmagając się z kolejnymi ekranami obok bezużytecznych już emanatorów, próbując znaleźć jeden konkretny program wśród miliardów innych. Siedziałem tam dopóki promienie Deres nie zaczęły przeciskać się przez furkoczącą na wietrze tkaninę. a kiedy go wreszcie znalazłem, tę ukrytą plamkę, jaką mogły dostrzec jedynie zmysły silniejsze i dziwniejsze niż moje, musiałem raz po raz sprawdzać, raz po raz skanować niewyraźne obrazy. i nawet wtedy nie mogłem do końca uwierzyć.

* * *

Maszyny myśli stały się ostatnio zrzędlawe i obojętne. Być może wynika-

ło to z kłopotów, jakie miały teraz w obchodzeniu się ze mną, pozbawionym ogniwa człowiekiem – lecz byłem dotąd przekonany, że nie zdiagnozowałyby Marion, gdybym o to wyraźnie nie poprosił, lub przynajmniej poinformowałyby mnie, gdyby się jednak dowiedziały. Niemniej, jest też zupełnie prawdopodobne, że pozwoliłyby mi ją tak po prostu pochować. Wedle ich sposobu myślenia – zapewne – przeniosła ze sobą nowe życie podczas przeobrażenia, zabrała je, by narodziło się w tamtej pieczarze.

Lato odeszło i powróciło. Żyłem, oddychałem, chodziłem i wspinałem się. Dojrzewająca w ciele Marion grudka życia stopniowo rosła. Godzinami siedziałem przy polu bezruchu, pod niebem migocącym zielenią, czerwienią i błękitem. Czasem muskałem wybrzuszenie na jej sypialnym skafandrze, niekiedy gubiłem się w rozpacz lub szczęściu, lub pozwalałem umysłowi dryfować niemal zupełnie bezmyślnie. Zdarzało się też, że cierpiałem z powodu swojej decyzji katusze. Jakie miałem prawo, samotny na tej planecie, sprrowadzać na nią nowe życie? Ale ból odchodził wraz z ciepłym dotykiem i wonią oraz poczuciem bliskości tych trzech otaczających mnie ukochanych ciał. Wiedziałem, że teraz, kiedy rozwija się w niej życie, nie mogę Marion zniszczyć.

Roztyła się z nadejściem letnich upałów, gdy powietrze stało się naprawdę ciepłe, a świeża woda – zbyt bystra, by zdołała ją pochłonąć rozpadliny pomiędzy mną a górami – wypełniła z bulgotem moje wzbierające jezioro. Pojawiły się w nim także nowe formy życia. Barwne wstęgi i rozcapierzone, pierzaste liście. Powolne i szare, przypominające błoto skrzydło, które, łopocąc, pełzało po dnie. Pseudokraby wyprowadziły na świat swe młode. Pozbawione jeszcze muszli i różowe, niczym maleńkie dłonie, posłusznie, z poczuciem obowiązku przyglądały się rodzicom, przemykając od skały do skały wśród podmokłej tundry, nieporadnie napychając swe dopiero rozwijające się kieszenie owocami, po czym przewracały się lub gubiły. Satelita komunikacyjny krążący po wysokiej, słonecznej orbicie nawiązał kontakt z przelatującym w pobliżu Deres statkiem i odnalazł mnie krótką wymianą komunikatów. Poinformowałem, że mam się dobrze, i gęsto musiałem tłumaczyć słabość mojego sygnału. Następnie całymi dniami martwiłem się, że załoga pojazdu może zmienić trasę i złożyć mi wizytę. Nie zrobili tego. a ja w samotności czułem się bezpieczny.

Pewnego wieczoru, gdy siedziałem przed komorami, przyglądając się ska-

łom i ciepłemu, pokrytemu połyskliwymi wstęgami niebu, doleciał mnie – niemal tak, jak wolno się było spodziewać, skoro utraciłem wszelką nadzieję – szary łopot skrzydeł. Tym razem nadlecieli z innego kierunku, z innego skrawka nieba. Któż mógł wiedzieć, jak daleko w głąb tej planety zdążyli się już zapuścić Marion, Sarah i Robbie? Teraz jednak pojawiły się cztery kształty, nie trzy; jeden duży, dwa następne niewiele drobniejsze i wreszcie najmniejszy – małeńki punkcik, sunący w strumieniu powietrza rozrzedzonego przez ciało matki. Marion wylądowała pierwsza, chroniąc swoje najnowsze młode pod opiekuńczym łukiem skrzydeł. Gdy do niej podbiegłem, rozjrzała się dokoła. Zauważyłem błysk złożonych oczu.

– U mnie wszystko dobrze! – zawołałem. – Wspaniale cię widzieć, Marion!

Ludzki głos po tylu długich miesiącach milczenia zabrzmiał dziwnie, nawet w moich własnych uszach. Wzdrygnęła się przed tym dźwiękiem i zamachała skrzydłami, szykując się do natychmiastowego odlotu. Brzydka niczym gargulec mała istota obok niej zasyczała i zaskomlała. Robbie i Sarah wciąż krążyli w powietrzu. Popatrzyłem na Marion, pragnąc, by przywołała dzieci na dół. Tyle że teraz były już niemal dorosłe i zapewne nie zwróciłyby na nią większej uwagi.

Powolnymi ruchami wycofałem się od kamiennego stołu, po czym puściłem się biegiem do bazy, rozchlapując wodę w grząskim poszyciu tundry. Niemal bez tchu nacisnąłem kolejne klawisze w łopocącej komorze, chwyciłem gorące płyty, gdy tylko wynurzyły się z robota, po czym równie szybko wróciłem wśród pogłębiającego się zmierzchu. Kształty jednak zdążyły zniknąć. Nie było już słycać trzepotania skrzydeł. Przyjrzałem się ciemniejszemu niebu, lecz nie znalazłem na nim nic poza plamami gęstniejącej czerni. Nie został nawet jeden ślad. Zupełnie jakby nigdy nie istnieli.

* * *

Spadły pierwsze zimowe śniegi. Śnieg widywałem już niedługo po przylocie, potem oczywiście w górach, ale tamten nie był tak zielony. Zaczęło to mnie docierać, że pory roku na tej planecie przypominają rozbłyśki światła przeciskającego się przez tuzin rozmaitych splotów tkaniny. Brzuch Marion był już mocno napięty. Oglądałem na skanach poruszenia dziecka, pod rękoma czułem jego kopnięcia. Przestraszony myślą o tym, że musi dojrzewać w samotności i ciszy, zacząłem z nim rozmawiać, przechadzając się dokoła pola

bezruchu. a późnymi wieczorami, kiedy wiatr wiał, a jaśniejące pióropusze lodu wirowały nad kanionem niczym przyzywające dłonie, nawet śpiewałem.

w noc, gdy Marion powiła, zamówiłem dla niej środki przeciwbólowe. Maszyny myśli nie były w stanie pojąć, dlaczego nie pozwoliłem im skorzystać z ostrzy serwera, który po prostu wyciąłby dziecko z jej brzucha – nie rozumiały też, jak to możliwe, by opróżnione synapsy cierpiały z powodu utraconego pojęcia bólu. Tak czy inaczej, skurcze przebiegły bez trudu, wywołane przez bezmyślne, wciąż funkcjonujące sploty nerwowe kręgosłupa Marion. Mógłbym właściwie stwierdzić, że sam poród był łatwy, choć niby skąd miałbym to wiedzieć – a dla mnie, na którego oczach powieki Marion uniosły się, brzuch zeszywniał i szczęka zadrgała, a całe jej ciało pokryło się potem, zadygotało, na krótki moment ożyło – przeżycie było naprawdę trudne. Później, myjąc noworodka, czyszcząc go i odcinając pępówinę, zalałem się łzami. z uśmiechem i szlochem ułożyłem go w zgiętych ramionach Marion, która spoczywała wysuszona i zniszczona w rosnącej kałuży wód płodowych, a mały zaczął wysysać z jej piersi czysty, białawy płyn.

* * *

Przez wiele godzin siedziałem przy polu bezruchu, kołyszając śpiącego syna. Jak wszystkie dzieci, wyglądał dziwnie. Czerwone czoło, wielkie oczy o cienkich powiekach, te niewiarygodne paluszki u stóp i paznokcie na dłoni. To niesamowite, że przyszedł do mnie właśnie teraz. Tak ciężko w to uwierzyć – choć przecież właśnie na tym polega bycie człowiekiem, tak właśnie traktuje nas życie. Właśnie to trzyma nas razem i osobno.

Przez kilka dni pozwoliłem mu karmić się z piersi Marion, tuląc go do niej, w jej ugiętych, ciepłych, nieżywych ramionach. Złote żyłki pola bezruchu przesywały jednak też jej piersi i mimo że ciało zostało oczyszczone i odświeżone, po porodzie coś z niej uszło bezpowrotnie. Zniknęły ostatnie sugestie życia, które wiele miesięcy temu powstrzymały mnie przed pochowaniem jej. a Robbie i Sarah – aczkolwiek przytulałem małego również do nich i szeptałem im do uszu wszelkie tajemnice, jakie mogłem wymyślić – także wyglądali na mniejszych, odmienionych. o wiele bardziej wyraziści byli obecnie w mych snach i wspomnieniach niż we własnym ciele. Wydawało mi się też, że nieco dojrzeli, stali się bardziej takimi ludźmi, jakimi nie mieli się nigdy stać. i podobnie jak dla prawdziwie żyjących duchów, które szybowały z Marion ponad górami, nastąpiła dla nich pora odejścia.

Niepokoilem się, gdy dziecko płakało, nie mogąc przywyknąć do mleka z roboty. Martwiłem się o jego umysł, o to, że dojrzeje wewnątrz pola bezruchu, o to, w jaki sposób wpłynie na niego powietrze tej dziwnej, nowej planety. Niekiedy, gdy wiatr przycichał, wynosiłem go porządnie owiniętego z komór i mocno tuliłem do siebie. Wtedy, na jaskrawym mrozie gór, wiedziałem, że wszystko jest dobrze. Sposób, w jaki jego buzia rozświetlała się na widok rozmigotanych połaci wielobarwnego lodu i tego cudownego, zalewającego nas nieba. Już w wieku dwóch miesięcy zaczął wyciągać ku temu wszystkiemu swe rączki. a w oczach miał blask marzenia, który tak dobrze pamiętałem ze spojrzeń Marion.

Zima nieco złagodniała – aczkolwiek poznałem już Korai na tyle dobrze, by nie spodziewać się, że nastąpi zaraz coś równie trywialnego jak wiosna. Kiedy topniejące śniegi przemieniały się w kałuże, wychynęły z nich i wzbily się do lotu niebieskie, przypominające ćmy stworzenia. Cieszyłem się świeżym ciepłem – korzystałem z zapasów jedzenia dłużej niż przewidywałem. Zamierzając je uzupełnić, założyłem pewnego ranka nosidełko z dzieckiem na plecy i wyruszyłem z bazy. Wszedłem na skalne rumowisko, minąłem koryto wyciosane w skale przez polodowcową wodę i dotarłem do pierwszych rozpadlin. Ławice w otchłaniach były teraz wielkie, potężne i obfite. Gdy pochylałem się nad tymi huczącymi jarami, mój syn patrzył, uśmiechał się i spał. Kiedy jednak wyłowilem w końcu kilka wijących się i trzepoczących stworzeń, gdy podałem je dziecku, by ich dotknęło swoimi tłustymi, krótkimi palcami, po prostu pozwoliłem im wrócić do wąwozu. Teraz, skoro nie zależało już od tego moje własne życie, nie mogłem się zmusić do zabicia żywej istoty.

* * *

To było rok temu; zacisnąłem pasa i przetrwałem. Teraz na Korai przybyła kolejna ludzka rodzina. Zaraz po przylocie skontaktowali się ze mną za pośrednictwem satelity i kilka dni później pojawili się w swym wielkim pojeździe nad górami. Obserwowałem ich lądowanie, wyjące silniki spłaszczyły tundrę w pobliżu skalnego stołu. Przytuliłem synka, który zachichotał na widok owego nowego i dziwnego, srebrnego stworzenia oraz innych, mniejszych, które wyszły z jego wnętrza. Jednakże, gdy się zbliżyli, ściągnął brwi. Dwóch chłopców, mężczyzna i kobieta. Podejrzewam, że wydawało mu się dotąd, że jesteśmy jedynymi ludźmi na tym i na wszystkich innych świa-

tach.

Potraktowali nas niezwykle uprzejmie. Ich serwer rozładował świeże generatory, nowe komory i zapasy. Kiedy mój ruszył tamtemu na pomoc, zauważyłem, jak bardzo przeżarła go erozja. Przez te bez mała dwa ziemskie lata, jakie tutaj spędziłem, stał się prawie zielony. Także moje stare komory były pokryte ciemnymi plamami koraińskich grzybów. Przedtem nawet tego nie dostrzegałem.

– Jak mu na imię? – spytała kobieta, gdy usiedliśmy w chłodnym, lawendowym półmroku.

Pozwoliłem jej wziąć syna na rękę, choć samo w sobie stanowiło to dziwaczne doznanie. Staliśmy się obaj wzajemnie częściami siebie; poczułem się tak, jakbym pożyczył komuś własną rękę. Dziecko jednak wydało tylko krótki okrzyk zaskoczenia, po czym przestało narzekać. Wpatrywał się w nią intensywnie niebieskimi, pytającymi oczyma; taki to był dzieciak.

Powtórzyła pytanie. Zamrugałem gwałtownie. Nie pomyślałem o imieniu. Kiedy jeszcze było nas tylko dwóch, nie istniała taka potrzeba.

Kobieta pozwoliła niezręcznej chwili przeminąć, uśmiechnęła się i spojrzała na swe dzieci i męża. Spacerowali, nawołując się dziwnymi, głośnymi okrzykami, zagląдали pod kamienie, wspinali się na zbocza i dokonywali nowych odkryć. Znała całą moją historię nawet nie pytając. Miała ze sobą ogniwo, a zatem i dostęp do moich maszyn myśli.

– To taka piękna planeta – podjęła. – Ledwie wylądowaliśmy, wszystko inne wyblakło, wszelkie moje żale i zmartwienia. Nawet... – Spuściła wzrok. Mój syn zachichotał w jej objęciach. – On... To...

– Ja rozumiem dlaczego ludzie chcą się przeobrażać – powiedziałem. – Sam też się zmieniłem. To właśnie jest najdziwniejsze ze wszystkiego. Również przeszedłem przemianę. Po prostu nie musiałem z tego powodu rezygnować z człowieczeństwa.

– Zrobimy to razem. To znaczy, dzieciaki, ja i Mark. Już niedługo.

– Tak będzie pewnie najlepiej.

Wyciągnęła rękę. Odebrałem jej dziecko. „Ka-ku” – powiedział mały, a ja odetchnąłem słono-mydlanym zapachem jego włosów. Kobieta wstała i powiodła wzrokiem dokoła. Popatrzyła na jasnoczerwone szczyty, za które dawno temu zaszała Deres, chociaż całe niebo wciąż jeszcze lśniło.

– Tamte... – Wskazała na góry. – Tamta najwyższa. Jak ją nazwałś? Pa-

trząc na nią, codziennie musiałeś przecieź...

Pokręciłem głową i poszedłem za nią przez tundrę. Do kobiety podbiegł młodszy syn. Trzymał coś w rękach. Pseudokrab, którego chłopczyk próbował rozkręcić niczym mechaniczną zabawkę, ociekał marmurkową, koraińską krwią. Plamiła mu palce. Pseudokrab. To już jakaś nazwa. Dzienny kwiat podobnie. Co do reszty, co do wszystkich żywych istot oraz grani i rozpadlin tej planety, co do najwyższego, naznaczonego czerwienią szczytu, gdzie niemal zginąłem, co do stworzeń, którymi stali się Marion, Robbie i Sarah, nie pomyślałem nawet, by nadać im jakiegokolwiek nazwy. Tutaj rzeczy były tym, czym były – a przede wszystkim były bezgranicznie obce. i żadne imiona nie mogły tego zmienić.

– Samuel – powiedziałem.

– Co?

– Mój syn. Ma na imię Samuel.

– Ładnie. Znałam kiedyś jednego...

Pospacerowaliśmy nieco dalej. Wzmagał się wiatr. Niebo przystroiliło się w nici złotej ciemności. Ojciec zawołał starszego syna, kazał mu zejść z grzbie-tu nad jeziorem, na które chłopak próbował się wspiać. Serwery skończyły pracę. Wkrótce ta nowa rodzina miała odlecieć.

Ziemia była tu nieco bardziej miękka. Nawet zamknięte w nadciągającym zmrokuienne kwiaty pod naszymi stopami wydawały się większe, bardziej jaskrawe. Kobieta zerknęła w dół, na trzy ciemniejsze prostokąty, które wy-patrzyła pod nogami. Spojrzała na mnie.

– Wiesz, że statek kosmiczny, który nas przywiózł, zostanie na orbicie jeszcze przez miesiąc?

– Tak. – Skinąłem głową.

– Zastanawiam się...

– Czy nie zechciałbym wrócić? Nie jestem pewien. Tak bardzo kocham tę planetę. Ale kiedy was zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że mego... Że Samuela nie mogę wychować tutaj, w samotności. On ma własne życie.

– Musi nauczyć się radzić sobie ze wszystkim – powiedziała. – Będzie mu potrzebne ogniwo – oceny i nauczyciele, musi posiadać umiejętność rozumie-nia maszyn myśli. Powinien się nauczyć korzystać ze skafandra sypialnego...

– Nie mogę powiedzieć, by mi tych rzeczy brakowało.

– Ale musisz mu pozwolić na podjęcie własnej decyzji. Właśnie to wszy-

scy tutaj robimy. – Splotła ręce na piersi i rozejrzała się dokoła. – Ale polecisz? Wsiądziesz na statek i wrócisz na Ziemię?

– Tak. – Skinałem głowę, czując przelewające się wokół miękkie, koraińskie powietrze, czując prześlizgujące się mimo chwile mojego życia. – Polecę.

– Zobacz... – z uśmiechem dotknęła mojej ręki. Wskazywała na coś. – Tam, na górze... – Jej głos drżał wyczekująco. Ponad urwiskiem, odległe i ulotne, szybowały cztery czarne punkciki.

Uniosłem Samuela i pokazałem mu je. Zachichotał – „Ka ku” – i wyciągnął w ich stronę swoją tłusciutką rączkę.

FATALNA LALUNIA

Byłam fatalną lalunią – jasne, teraz już raczej nikt nie wie, co to znaczy. w końcu w rzekach zdążyło upłynąć tyle wody i krwi! w zeszłym tygodniu, kiedy wdrapałam się uliczką na wzgórze, by odebrać emeryturę, słyszałam, jak panienki na poczcie toczyły dyskusję o tym, ile właściwie było tych wojen światowych i kto je w zasadzie wygrał.

Do wojska zgłosiłam się na ochotnika, owszem, ponieważ pomyślałam, że dzięki temu ucieknę przed smrodem patelni, wypełniającym bez przerwy kuchnię na zapleczu naszej manchesterskiej herbaciarni. Trafiłam akurat do sił powietrznych i pomyślałam sobie, że jestem szczęściarą, wielką szczęściarą, bo przecież lotnictwo to splendor, no i ci chłopcy, cudowni chłopcy, najlepsi ze wszystkich, jak sobie wyobrażałam, mówiący pięknie niczym spike-rzy z BBC, grywający dawniej w rugby czy nogę w drużynach swych ekskluzywnych szkół i swych pięknych południowych hrabstw. i wiele z tego okazało się prawdą, mimo że sama skończyłam, stukając na maszynie w przybudówce kuchni polowej, gdzie wypełniałam zamówienia na musztardę i sos HP, ze względu na moje, cytuję „szerokie dotychczasowe doświadczenie w gastronomii”.

Tak to więc wyglądało – miałam ledwie skończone osiemnaście lat, należałam do WRAF i byłam szczęściarą, naprawdę wielką szczęściarą. Wciąż też ani trochę nie wiedziałam, co znaczy, że jestem fatalną lalunią, poza tym, że nie miało to nic wspólnego z jakością jagnięciny, bekonu ani wielkich bloków smalcu, jakie zamawiałam do smażenia frytek. Lotniska naszych bom-

bowców były wielkie i puste, i wszystkie nosiły dzikie i wietrzne nazwy otaczających je nizin. Wisbeach i Finneston i Witchford. Był alkohol i były potańcówki. Pieniędzy nikomu nie brakowało, ponieważ nie było sensu ich wydawać. w końcu nigdy nic nie wiadomo, prawda? Nigdy. Jednego dnia twoje łóżko jest jeszcze ciepłe, a już następnego ktoś inny narzeka na niezmienioną pościel, wciąż noszącą twój zapach. a te wielkie, przypominające brzydkie owady, maszyny wytaczały się ciężko pod koniec dnia, by stanąć w szranki z bijącym znad mokradeł słonym wiatrem, oraz ze światłami i snującym się po pasach startowych niebieskim dymem naftowych latarni. Wśród potężnego ryku unosiły się z trudem pod ciemniejące niebo, a cała reszta nas uwiązanych do ziemi, odprowadzała je wzrokiem. Pojawiała się plotka, że dzisiaj padło na Hamburg lub Dortmund lub Essen – jakieś miasto, które niejasno można było sobie przypomnieć ze spłowiełej, szkolnej mapy – rozświetlające się pod bezksiężycowym niebem lub pod gęstymi chmurami – im bardziej gęstymi, tym lepiej – gdy przelatywały nad nim pomrukujące bombowce, z których spadała śmierć zamknięta w długich, stalowych puszkach, prosto na ludzi, jacy – kiedy się nad tym przez chwilę zastanowić – byli prawie tacy sami jak my, gdyż jedyne różnice sprowadzały się do przypadkowych zrzędzeń historii. a potem z powrotem, z powrotem, kto pierwszy ten lepszy, dwójkami i trójkami, wypatrując odbłasku morza po wielu długich milach lotu w ciemności. Czarne plamki na przestronnym, porannym horyzoncie, które równie dobrze mogłyby być chmurami, stadami wron lub po prostu złudzeniem zmęczonych oczu. Hałas, dym i płomień. Gasnące silniki. Gdy słońce wreszcie wschodziło i zaczynały śpiewać słowiki, nad wszystkim zapadała niespokojna cisza. Tandetny, metaliczny posmak zmęczenia. a potem depesza o MG 3138, który ostatkiem sił doleciał do Brighthlingsea. i o CZ 709, który przeorał pole pod Theddlethorpe. i informacje o LK 452, widzianym ostatnio pod postacią płonącego krzyża nad Brukselą, i o starszym sierżancie Shanklinie, którego zakrwawione, żywe jeszcze ciało sanitariusze wyciągnęli z wieżyczki strzelniczej i który zmarł w drodze do szpitala. Wiadomości o umarłych. Wiadomości o zaginionych. Wiadomości o żywych.

Śmierć wisiała wszędzie dokoła, kryła się za szklanką piwa, w śmiechu towarzyszącym partiom kreggli, czyhała też na grających w nieskończoność w karty, rzutki lub krykieta. Wylatując na kolejną ważną misję, wiedzieli, że

część samolotów prawdopodobnie nie wróci. Wiedzieli, że połowa załóg nie przeżyje obliczonej na dwadzieścia lotów jednej zmiany służby. Dlatego też, oczywiście, wszyscy byliśmy szalenie przesądni. To się po prostu działo – nikt nie musiał tego za nas wymyślać. Kto postawił pierwszą kolejkę. Kto ostatni wsiadł do samolotu. Mężczyźni przestawali się golić, lub golili jedynie połowę twarzy. Całowanie ziemi, całowanie powietrza, śpiewanie, nieśpiewanie, sikanie na podwozie, plucie. Na własne oczy widziałam, jak pewien porucznik dostał białej gorączki dlatego, że dziewczyna w kantynie nałożyła mu na talerz tylko dwie kielbaski. Tej nocy, podczas wielkiego nalotu na Dortmund, jego lancaster zniknął w ciężkim ogniu wrogiej artylerii i pamiętam bezsenne noce, ponieważ to ja zapomniałam zamówić więcej kielbasek od hurtownika. Niemniej, wszystko było wtedy ostre i wyraźne. Czuło się własne stopy w butach, język w ustach, oczy w oczodołach. To oraz mdlącą, ropną woń bombowców. Dlatego też wszystko było ważne. Każde wydarzenie miało konkretność i liczyło się, o ile nastąpiło w jedynym istotnym czasie, czyli pomiędzy chwilą obecną a następną misją. Tak więc nasuwano na stopy skarpetki nie do pary, przeliczano kielbaski, pluto bądź nie pluto, noszono stare czapki lub nowe zakładano tył na przód, albo normalnie. Sikano na koła samolotów i gwizdano. i całowano się z dziewczynami.

Ja byłam fatalną lalunią i wieść o tym oplotła mnie swym szeptem niczym gorzka, poranna wiadomość o nieudanym nalocie. Nie mam pojęcia, od czego się zaczęło, ponieważ wybierałam się na tańce z wieloma chłopcami, a potem wychodziłam z nimi na zewnątrz, by się podotykać i pochichotać w ciemności. a czasami, ponieważ kochało się ich wszystkich i wszystkich ich było żal, pozwalałam im pójść niemal na całość, zanim ostatecznie się wycofywałam, wpuszczając między nas rozedrgane światło gwiazd. Pójście niemal na całość stanowiło umiejętność, której należało się nauczyć, podobnie jak trzeba było zapamiętać, kto nosi jakiego rodzaju mosiężne guziki i w jaki sposób maszerować w szeregu. a ja miałam szczęście. Rankiem, myjąc zęby, podśpiewywałam sobie: „szczęściara, szczęściara, szczęściara”. Później powtarzałam to wieczorem, chłopcom w kantynie, tym samym, do których wiecznie przegrywałam w karty.

Mogło się zacząć od starszego sierżanta Martina Beezly, który pewnego letniego po południa wszedł do naszej zadymionej, kuchennej przybudówki i beceremonialnie przysiadł na skraju mojego biurka z tymi swoimi jasnymi,

zaczęsanymi do góry włosami, po czym oświadczył, że ma ochotę wybrać się na piknik i udało mu się w tym celu załatwić dwa rowery. Ja po prostu wyciągnęłam kalkę z wałka i wyszłam prosto w słońce na oczach pozostałych dziewczyn, których maszynom opadły ze zdumienia szczęki. Tego popołudnia nic takiego się nie stało, nic ponad to, co zapowiedział starszy sierżant Beezly. Przejechaliśmy wzdłuż niskich grobli, nasze koła zastukały na drewnianych mostkach, a wreszcie usiadłam na kocu. Zajadałam herbatniki, a on opowiadał o swoim domu gdzieś na północnym wschodzie kraju, o interesie, jaki planował rozkręcić po wojnie – zamierzał dostarczać robotnikom do fabryk gotowe kanapki. Wszystko to wydawało się jednak równie dalekie jak wielkie błękitne niebo – tak samo odległe jak, biorąc pod uwagę niefortunną, bezchmurną pogodę, możliwość, że dziś wieczorem odbędzie się nalot. Byliśmy po prostu dwójką młodych ludzi, cieszących się konkretną pewnością owej chwili – do której wciąż jeszcze powracam za każdym razem, gdy czuję smak tych herbatników – a starszy sierżant Beezly nie zrobił nic więcej poza muśnięciem palcami mojego policzka, po czym wskoczyliśmy z powrotem na siodelka i rzuciliśmy niespokojne spojrzenia ku wschodowi, gdzie na horyzoncie szybko zbierały się gęste chmury. Zanim wróciliśmy do bazy, niebo zaciągnęło się całkowicie. Nasze rowery poganiał chłodny, zupełnie nie letni wiatr, szeleszczący krzewami w rowach. Rozkazy zostały już wydane, trwały odprawy, obsługa naziemna pracowała, w hangarach rozblęskiwały lampy łukowe mechaników. Gdybyśmy spóźnili się o kolejne pięć minut, gdyby ten wiatr spowolnił nas choć o chwilę, mielibyśmy poważne kłopoty, zarówno ja, jak i starszy sierżant Beezly, który – będąc nawigatorem, osobą kluczową w procesie podrywania pod ciemniejące niebo jednej z tych wielkich maszyn – zostałby zapewne zawieszony, a potem prawdopodobnie stanąłby przed sądem polowym. Zdążyliśmy jednak, wszedł do sali odpraw dokładnie w chwili, gdy oficer rozwijał mapę i – jak to sobie wyobrażam – usiadł w stojącej najbliższej drzwi szkolnej ławce, wciąż lekko zdyszany, z takimi samymi smugami rowerowego smaru na palcach, jakie potem znalazłam na swoim policzku.

Tej nocy padło na Amsterdam – niedaleki nalot, by jak najlepiej wykorzystać tę szybko płynącą, brudną chmurę, której spece od pogody nie wróżyli długiej przyszłości. Amsterdam. Jeden z tych celów, jakie nigdy nie wydawały się słuszne, mimo że znajdowały się pod okupacją nieprzyjaciela. Tej

nocy GZ 3401, z nawigatorem starszym sierżantem Beezlym na pokładzie, widziany był po raz ostatni, gdy z trudem leciał nad Morzem Północnym, pośród ciężkiego ostrzału wrogich baterii nabrzeżnych, z pełnym ładunkiem bomb w lukach. Wyglądał jak powolny, ciężki motyl przebity sześcioma szpilkami świateł szperaczy.

Być może więc o tym szeptano najpierw – o mnie wychodzącej z przybudówki, wcześniej niż powinnam, w towarzystwie starszego sierżanta Beezly, chociaż Bóg mi świadkiem, że to samo spotykało wiele innych dziewczyn. To i gorsze jeszcze rzeczy. Zerwane zaręczyny. Odwołane śluby. Wizyty na oddziale poparzeń i dzieci w drodze – kara za pójście na całość zamiast na tylko kawalek. Zniszczone nieodwracalnie życia, dryfujące. Jeśli się wie, na co i kiedy patrzeć, wciąż można je oglądać w okienkach na każdej poczcie. Potem, za tydzień, był podporucznik Charlie Dyson, którego otaczała reputacja mężczyzny hołdującego maksymie „raz dziewczynka, raz chłopaczek”. Jedynym, co ze sobą robiliśmy, były taniec i pocałunki w piątkowy wieczór w wiejskiej sali, aczkolwiek wydaje mi się, że tej konkretnej nocy po raz pierwszy coś mnie do niego przyciągnęło naprawdę. Pewna zmiana w jego oczach. Oraz fakt, że zgolił wreszcie stylizowane na Clarka Gable’a wąsy, z jakimi wydawał mi się zawsze próżny i komiczny. Skończyliśmy więc, całując się w tańcu, a potem piliśmy piwo i śmialiśmy się wraz z resztą jego załogi, przy ich stoliku w kacie. a kiedy orkiestra już się zebrała i kamienna ciemność ogamęła wioskę na zewnątrz, pozwoliłam, by oparł mnie o stary, wsuwający korzenie do rzeki dąb i pozwoliłam mu musnąć ustami swą szyję, dotknąć piersi i szeptać mej skórze słowa, które ginęły w szumie wody. Wsunęłam między nas rękę, opuściłam ją i dotknęłam go w miejscu, gdzie jak sądziłam chciał być dotykany. Podporucznik Charlie Dyson był tam jednak miękki jak dym, równie chłodny i pusty jak noc. Przytuliłam go więc po prostu i ukołysałam, a on zaczął szlochać. Poczułam nieznaczną ulgę, wiedząc, że nie pojawią się zwykłe nagabywania, bym poszła na całość. Gdy podniosłam wzrok i, słysząc szmer rzeki, spojrzałam pomiędzy dębowymi liśćmi, zobaczyłam jasny księżyc – malec miał zacząć za tydzień – a zimny powiew wiatru na skórze powiedział mi, że jutro samoloty zagrzmia po raz kolejny. Do tego nie trzeba było być szpiegiem ani wielkim fachowcem. i tym razem żaden Amsterdam, tylko daleka wyprawa. Hamburg. Dortmund. Essen. Okazało się, że zaplanowano trasę najdłuższą z możliwych. Berlin. i

gdzieś po drodze, podporucznik Charlie Dyson, wraz z całą załogą i ze swym lancasterem po prostu spadli z nieba. Rozpłynęli się w ciemności.

Fama o tym, że przynoszę pecha, opadła mnie, osiadła i oblepiła niczym dym z polowej kuchni. Choć byłam młoda, mimo że nigdy z nikim nie związałam się na stałe, ani wciąż jeszcze z żadnym chłopcem nie przekroczyłam tej ostatniej granicy, i choć nikt nie ważył się prowadzić w tych sprawach porządnych statystyk, już wówczas zmierzałam prostą drogą do miana fatalnej laluni. Później dowiedziałam się, że w większości baz był ktoś taki, oraz że – w podobny sposób, w jaki Kitty z magazynu była dla wielu załóg jak matka, a Sally Morrison nazywano obozowym rowerem – jest to swego rodzaju konieczność.

i uwierzyłam. Każdego z tych bardzo jasnych dni i we wszystkie te bardzo ciemne noce, załogi o dzikich spojrzeniach i my – kilka bezsennych, pogrążonych w żałobie kobiet, pod chmurami, w których kłębiły się pech i szczęście, pod zmiennym księżycem, kochaliśmy i żyliśmy w świetle, jaki wykroczył bardzo daleko poza granice normalności. Zatem oczywiście uwierzyłam.

Nie mogę wam przedstawić list i statystyk. Nie jestem też w stanie powiedzieć, kiedy po raz pierwszy usłyszałam plotkę ani kiedy pochwyciłam pierwsze naprawdę dziwne spojrzenie. Bycie fatalną lalunią stało się jednak samospełniającą się przepowiednią. Gdy wchodziłam do kantyny, otwierały się całe studnie milczenia. Krzesła w barze NAFFI zostały w dziwny sposób przestawione. Byłam fatalna i fatum spotkało starszego sierżanta Ronniego Fitfielda i porucznika Jackiego White'a i podporucznika Tima Reida, wszystkich w ciągu jednego, złego miesiąca pod koniec lata, tych mężczyzn, których prawie już nie pamiętam, nie licząc nazwisk i stopni, a także ich zagubionych spojrzeń i ciepłego, szorstkiego dotyku ich twarzy. Spędzane w pubie wieczory, zwycięstwa w cribbage przeciwko miejscowym; wyprawy do kina w Lincoln, a potem ciasne, brukowane, lśniące deszczem uliczki. Nie mogłam jednak zdecydować się na żadnego z tych mężczyzn, ponieważ wyzuwałam wpelzającą pomiędzy nas ciemność. Dotykając ich ramion, przyglądając im się, kiedy odwracali wzrok, wiedziałam, że oni także ją czują. Na potańcówkach i niezliczonych popijawach i przy kartach stałam się kimś więcej niż podpierającą ściany dziewczyną, drobnym kwiatkiem: byłam rozkwitającym sercem śmierci, jej żywym ucieleśnieniem. Drżałam od niej jak nała-

dowana elektrycznością. Jedno dotknięcie, jeden pocałunek, jeden taniec. Co raz trudniej było mi przekazywać pilotom pozdrowienia obsługi naziemnej, najczęściej zauważali kto idzie ku nim przez asfalt. Doszło do tego, że przestałam odprowadzać samoloty, nie wyglądałam też na nie przez okno. a pozostałe dziewczyny z przybudówki, stare panny z korpusu oficerskiego WRAF i nawet czerwonołice kobieciny z wioski, które przychodziły opróżniać nasze kosze na śmieci – wszystkie wiedziały, że jestem fatalna, wszystkie wierzyły. Mężczyźni, którzy teraz do mnie podchodzili, mieli pobladłe twarze, stali już na krawędzi. w zasadzie nie potrzebowali nawet mojego dotyku. Kiedy raz straci się szczęście, wigor, polot, i tak już go nie ma, i wtedy czarne niebo bombowców może zgnieść człowieka w garści.

Nie mogę powiedzieć, że było to straszne. Czułam, że jest niesprawiedliwe, ale sprawiedliwość była czymś, za czym już od dawna przestaliśmy choćby tęsknić. w świecie, w którym spadały bomby i bombowce, rozumiałam, że los fatalnej laluni to nic takiego, i nauczyłam się wycofywać do chłodnego i pustego miejsca, jakie dzięki temu zyskałam. Przecież żadnego z tych mężczyzn nie kochałam – a jeśli nawet, to jedynie w słodki, ogólnikowy, podniecający sposób, miłością wędnącą już w drodze powrotnej spod płotu, o który się opieraliśmy. Tłumaczyłam też sobie – zapewne tylko to utrzymało mnie przy zdrowych zmysłach – że to nie ja jestem fatalna. Tłumaczyłam sobie, że śmierć jest gdzie indziej i czyha na nich od dawna, że sama stanowię jedynie znak ostrzegawczy, jaki niektórzy lotnicy mijają po drodze.

Byłam fatalną lalunią.
i uwierzyłam.

Tak właśnie wyglądała groza i cierpienie życia jakie wówczas wiedliśmy.

* * *

Wraz ze zniwami pojawiły się wciornastki, przegnane z pół nadlatywały w przypominających sadzę, paskudzących okna chmarach. Przy czesaniu sypały się z włosów niczym czarny łupież. Także ćmy i komarnice przelatywały całe mile, zwabione iskrami i bijącymi z hangarów światłami. Pająki lgnęły do wspólnych łazienek, tchnących fetorem wybielacza i mokrych ręczników. Małe i złote słońce falowało na horyzoncie niczym upuszczona moneta, mrużąc jakby przez widmo oceanu.

Wraz ze zniwami pojawił się Walt Williams. Zaparkował swym dawniej

czervenym morrisem na zarezerwowanym miejscu przed biurem dowódcy eskadry i wysiadł z zamaszystym ruchem nóg, dźwigając podniszczoną torbę podróżną. Uśmiechnął się zimnymi, błękitnymi oczami, rozejrzał dokoła i popatrzył na ciągnące się w obie strony hangary, jakby nic nie było w stanie go zaskoczyć. Walt przetrwał szkolenie. Walt przeżył służbę w eskadrze rozpoznawczej. Walt odsłużył trzy pełne zmiany i większość czwartej, która zakończyła się dopiero, gdy zestrzelono jego samolot, a on sam został wyciągnięty z wód Kanału La Manche przez przepływający nieopodal kuter torpedowy. Wszyscy słyszeliśmy o Walcie, a przynajmniej tak nam się wydawało. z całą pewnością słyszeliśmy o ludziach takich jak on. Walt był jednym z tych staroświeckich pilotów, którzy latali od przed wojny, dla czystej przyjemności. Walt był trzydziestoletnim starcem, miał zmarszczki na ogorziałej od słońca twarzy, pasującej do niebieskich oczu. Walt zrobił już wszystko i wreszcie wyczerpał wszelkie szanse na śmierć, jakie podsuwało mu zdeprenowane dowództwo RAF. Walt był żywym ucieleśnieniem szczęścia.

Zebrałiśmy się dokoła, chcieliśmy go dotknąć, podziwiać i usłyszeć kilka wskazówek, dowiedzieć się, jak można dokonać czegoś tak niewiarygodnego – przynajmniej ci „my” z bazy, do których ja się zazwyczaj nie zaliczałam. Lotnicy, którzy zostali wytypowani do jego załogi, przechadzali się dokoła ze speszonymi minami osób, które wyciągnęły na loterii zwycięski los. Nagle pojawiło się mnóstwo historii o Walcie Williamsie. Opowieść o tym, że pewnego razu załadował do lancastera martwą krowę i zrzucił ją prosto do ogródka szczególnie nielubianego dowódcy eskadry. o kilku żonach oficjeli. o awaryjnym lądowaniu przeprowadzonym do góry nogami na tafli jeziora. o przelecaniu setek mil na dwóch silnikach, albo na jednym, bądź w ogóle bez napędu. o zbieraniu podwoziem suszącej się na sznurze kobiecej bielizny lub zrywaniu jabłek z sadów. Pośród całej tej ekscytacji, szumiącej na całym lotnisku niczym jesienny deszcz na betonie i rdzewiejących hangarach, zapomnieliśmy, że wiele z tych historii już kiedyś sobie opowiadaliśmy i że teraz nabrały nowego znaczenia, ponieważ byliśmy je w stanie przypisać do wychudłej twarzy konkretnego człowieka, który siedział w zadymionym barze NAFFI z uśmiechem i w tłumie, choć często wydawał się samotny.

Będąc starszym mężczyzną, będąc sobą, poza wejściem do lancastera i odbyciem lotu Walt nie musiał robić wiele dla poprawy swej reputacji. To i jeszcze parkowanie tego sportowego samochodu w identyczny sposób co

pierwszego dnia. Ponadto luźne mankiety i inne pomniejsze wyrazy braku szacunku dla sztywnej głupoty munduru, jego mrozące spojrzenia, nieregularnie przydługie włosy, fakt, że był niemal dziesięć lat starszy niż większość z nas i że zrezygnował z szansy na awans na stanowisko ludzi, którzy nim ponoć dowodzili. To wystarczało w zupełności. Natomiast fakt, że oświadczył się zdumiewająco milcząco i że jego długie brązowe dłonie trzęsły się, gdy wypalał jednego dunhilla za drugim, fakt, że uśmiech co prawda prawie nigdy nie schodził mu z twarzy, lecz ani razu nie rozświetlał oczu, i że powiadano – szeptano – iż zakwaterowany z nim podporucznik poprosił o przeniesienie, ponieważ Walt wydawał z siebie nocami nagłe, głośne okrzyki, to wszystko było równie nieistotne jak to, że Alan Ladd musiał stawać na skrzynce, by pocałować swoje ekranowe partnerki. w tamtych wzniosłych, jasnych dniach wszyscy nosiliśmy w duchu własną wersję Walta Williamsa.

Dla mnie, cienia w narożnikach barów i sal tanecznych, dziewczyny obdarzonej własną, przeciwstawną do jego mocą, lecz teraz przez większość ignorowanej lub darzonej współczuciem, Walt Williams stanowił obiekt szczególnie fascynujący. Nie mając w zasadzie prawdziwego towarzystwa, pomiędzy zmianami często nurzająca się w smętnej nudzie, dysponowałam znaczną ilością czasu na obserwacje i rozmyślania. Baza i jej okolica stały się tamtej zimy bardzo dziwną krainą. Spacerowałam po groblach. Oglądałam krew na śniegu w miejscach, gdzie rolnicy zastawiali sidła na lisy, i czułam przyplawy i odpływy mojej własnej krwi, uzależnione od faz księżyca bombowców. Łód na pasach startowych, łód zwisający niczym bożonarodzeniowe skarpety z radiowych masztów, co rano odbierających kolejne depeşe. Woń morza niesiona z wiatrem w głąb ładu. w snach widywałam postacie lotników wchodzących do NAAFI, zwęglonych, pokrytych pęcherzami, przesieczonych krwawiącymi dziurami lub szarych, napuchniętych w oceanie, ociekających słoną wodą. i tylko Walt Williams, wreszcie roześmiany, z płonącymi diamentami oczu, pojawiał się tam cały i nietykany.

Gdy nadeszło Boże Narodzenie, Walt odbył już połowę swojej kolejnej zmiany, a wszyscy wtajemniczeni zgodnie twierdzili, że jego sposób pilotowania jest prosty i mało popisowy. Zamiast szaleć, wpływał powoli nad cel, znajdował odpowiednie miejsce, właściwy czas, a potem odpływał. Stałam i przyglądałam się mu ze swoich cichych kącików w barze, niańcząc w dłoniach milczące drinki. Odniosłam nawet wrażenie, że znam Walta Williamsa

lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ ja go obserwowałam naprawdę – człowieka, nie legendę. Wydawało się, że zawsze wyprzedza wszystkie wydarzenia, lecz dostrzegłam, że spogląda na ludzi z pewną dozą rezerwy, a odpowiada im z odbitym wdziękiem, jakby do perfekcji opanował delikatny taniec człowieczeństwa, nauczył się wykonywania właściwych posunięć, lecz za kulisami, w mroku swej kwatery, w której ten pilot – już nieżyjący – słyszał krzyki, stawał się zupełnie czymś innym. Były też rzeczy – o tym, że nie musiał płacić za drinki, nawet nie wspominał – jakich Walt Williams nie robił nigdy. Sport, zakłady, karty, z podobnych sytuacji zawsze się wycofywał, tak gładko i bez trudu, że trzeba było przyglądać się mu z daleka, by to w ogóle zauważyć. Zupełnie jakby obawiał się wyczerpać swój zapas szczęścia na coś tak banalnego, podczas gdy większość pozostałych lotników, podminowanych i nerwowych w okresach wyczekiwania, bez przerwy uganiała się za piłką, pomyślnym rozdaniem, celnym rzutem do tarczy lub kośćmi. Zakładali się też o wszystko co tylko można, w tym o nas, dziewczyny.

Walt musiał mnie chyba zauważyć, przyglądałam mu się bowiem uważnie. Na pewno też o mnie słyszał, podobnie zresztą jak wszyscy w bazie. Niekiedy, przy drugim lub trzecim kieliszku porto z cytryną, po prostu gapiłam się na niego, pragnąc w duchu, wyzywając go, by odpowiedział mi spojrzeniem. Nigdy tego nie zrobił. Spojrzenie szafirowych, bystrych oczu nie musnęło mnie ani razu. Musi, myślałam. Musi spojrzeć w tej chwili. Ale nigdy, prze-nigdy. Tylko, gdy już wstawałam i wychodziłam, wyczuwałam jego obecność za sobą, niczym dotyk chłodnych palców na karku. Pewnej nocy to wrażenie stało się tak mocne i ostre – schodziłam akurat po drewnianych schodkach baru – że niemal odwróciłam się i weszłam z powrotem, by przecisnąć się przez tłum i zmierzyć z nim twarzą w twarz. Samotność była jednak już wtedy nawykiem, a ponadto usilnie dbałam o swoją reputację. Odeszłam więc, oddaliłam się od kwater i wyszłam w pustą czerń lotniska. Księżyc nie było, tylko bezkresne gwiazdne pole. Noc nie dla bombowców, a raczej taka, jaką widuje się na świątecznych pocztówkach. Po padającym przez tydzień deszczu i nagłym przymrozku ziemia pod moimi stopami chrzęściła i była śliska. Drzwi NAAFI ponownie stanęły otworem i wysypały się z nich ciała. Gdy ludzie skręcili pod schodami i ruszyli chwiejnie, ramię w ramię, do łóżek, usłyszałam trzask świeżego lodu i plusk wody, gdy weszli w wielką kałużę. Otrzepli nogi, śmiejąc się i miotając przekleństwa. Stojąc w mro-

ku, oglądałam tę samą scenę raz po raz. Plusk zimnej, brudnej wody. Jeden z facetów nawet w nią wpadł. Marzłam, lecz czerpałam dziwną satysfakcję z obserwacji tego powtarzającego się spektaklu. Teraz, pomyślałam, jeśli zobaczą mnie równie wyraźnie jak ja ich, jeżeli ujrzą, że stoję tu w nocy, patrząc na gwiazdy lśniące w błotnistej kałuży, zrozumieją, że naprawdę jestem dziwna. Fatalna lalunia. Wiedźma. Śmierć wcielona. Spalą mnie na stosie...

Już niemal zapomniałam o Walcie Williamsie, gdy i on wreszcie wyszedł. Rozpoznałam go natychmiast. Zatrzymał się na schodkach i spojrzął w niebo – podobny nawyk zauważyłam u wielu pilotów – oceniając, co może przynieść noc. Jego cień zdrzął. On sam jednak nadal poruszał się pewnym krokiem Walta Williamsa. Zszedł na zmarzniętą trawę, jak wszyscy inni, wydychał białe obłoczki. w jakiś sposób, tak wyraźnie jak nigdy przedtem, uświadomiłam sobie, że on nie wie, że tu jestem, i że przestał się pilnować. Nigdy go w takiej sytuacji nie widziałam. Następne wydarzenie było naprawdę głupie. Właściwie nie było nawet wydarzeniem. Walt Williams po prostu odszedł tym swoim luźnym chodem, z rękami w kieszeniach. Niemał już zniknął mi z oczu w blaszanym baraku, kiedy uświadomiłam sobie to, co się nie wydarzyło. Mimo że wybrał tę samą drogę co pozostali, nie wpadł do owej szerokiej, głębokiej kałuży. Nie dowierzając, podeszłam do niej i próbowałam sobie przypomnieć, czy słyszałam chrzęst jego butów na lodzie. Kałuża okazała się jeszcze bardziej ciemna, wielka i paskudna niż sądziłam. Takie kałuże pojawiają się tylko na terenach należących do wojska. Pochyliłam się nad nią, kostki i buty już miałam zabrudzone, a bar znowu się otworzył i nagle wyszła z nich cała grupa ludzi. Ktoś przytrzymał drzwi i światło z wnętrza popłynęło prosto na mnie.

Chociaż byłam pewna, że wszyscy mnie zobaczyli i poznali, wyprostowałam się i czmychnęłam.

* * *

Tak czy inaczej, była to dziwna zima. Przyzwyczajaliśmy się do zwycięstw aliantów, pojawiły się pogłoski o planowanej na lato inwazji na Francję, do której nigdy nie doszło. Wiedzieliśmy jednak, że atak nastąpi za rok, tym bardziej, że do wojny przystąpili właśnie jankesi, a Rosjanie nie ustawiali w postępach. Teraz koniec wojny stanowił już tylko kwestię czasu. Niemniej, nas to nie pokrzepiało, ponieważ rozumieliśmy, że do pokoju jeszcze daleka droga, a na niej czeka nas wiele ryzyka i śmierci, tym więcej, im bliżej kre-

su. Lotnicy bali się wybiegać myślami w przyszłość dalej niż do następnego drinka, następnej dziewczyny, następnej misji. Pokój był dla nich dziwnym białym bóstwem, jakiemu mogli oddawać cześć wyłącznie kosztem rozgniewania bardziej mrocznego boga, który wciąż dzierżył ich w swej mocy. Świętowanie zbliżającego się końca roku było więc dodatkowo dzięki i podszyte rosnącą świadomością, że bez względu na to, czy przeżyjemy, czy zginiemy, czy wyjdziemy z tego zniszczeni i kalecy, czy może cali i szczęśliwi, nikt nigdy tego nie pojmie.

Huczny, przedświąteczny jubel odbył się w stodole przy wielkim domu rodziny, która dawniej posiadała większość ziem, jakie było widać z okien wieży kontroli lotów. Oczywiście, sam dom zarekwirowano, aczkolwiek okna były zabite deskami lub powybijane i gdy przejeżdżaliśmy obok, okazało się, że nadal stoi pusty. Potem usłyszałam, że po wojnie nikt do tej rezydencji nie wrócił i padła ofiarą wandalii, a w latach pięćdziesiątych pochłonął ją pożar. Stodoła wznosiła się przy stajni, zwrócona frontem ku przestronnemu brukowanemu dziedzińcowi. Przynajmniej ten jeden raz, tutaj, wśród wiejskich ciemności, milion mil od pokoju czy wojny, nikt się nie przejmował zaciemnieniem. Dymiące lampy wisiały przy boksach, z których dawniej wystawiały swe łby piękne białe konie. Panował przeraźliwy ziąb, lecz nie czuło się go zupełnie, nie w tym słodkim, pomarańczowym świetle, nie, odkąd zabrzmiała muzyka i sam dowódca eskadry, śmiesznie wyglądający w fartuchu kuchcika, zaczął rozlewać do słoików po dżemie parujące grzane wino. Ja także czułam się szczęśliwa, mogąc tam być, cieszyłam się, będąc częścią tej imprezy, której przygrywał zespół rozstawiony na zbitej z drewnianych bali scenie. Walt przyjechał jak zwykle samotny, swoim rdzewiejącym morrisem, i jak zwykle zaparkował na najlepszym miejscu pomiędzy ciężarówkami i wyskoczył ze środka, tradycyjnie już zwinnie. Walt Williams stojący w blasku płomieni, współczesny księżę na tle sypiących się kominów pustego, starego domu wznoszącego się za jego plecami. Doskonały, naprawdę piękny obrazek.

Zatańczyłam raz lub dwa z innymi dziewczynami i kilkoma starszymi mężczyznami, którzy pracowali w bezpiecznych biurach księgowości lub w magazynach i którym zrobiło się mnie żal. Odbyłam nawet pięciominutową pogawędkę – zupełnie jak każdy, był w końcu uprzejmym człowiekiem, mimo że wojna sprawiła, że wychudł jak upiór – z dowódcą eskadry. Tutaj,

tak daleko od wszystkiego, ludzie uznali, że mogą się do mnie nieco zbliżyć. Mnie jednak trudno było zachować pogodny nastrój, głównie stałam lub siedziałam samotnie przez cały długi wieczór, bez szansy na powrót do bazy przed północą. Wykonałam więc swój stały manewr, wycofałam się, co tutaj było o wiele prostsze niż w barze. Udało mi się wypłynąć ze stodoły, przeszłam przez kocie łby dziedzińca, przeniknęłam przez warstwy dymu i wzbudzonego kurzu, aż stałam się częścią nocy. Przyglądałam się przez chwilę im wszystkim i przypomniała mi się ilustracja z „Piotrusia Pana”, na której Straceni Chłopczy wraz z Indianami tańczyli wkoło ogniska.

Teraz w ciszę za samochodami zaczęły wypływać pary. Próbowалам sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy pomiędzy dwojgiem ciał pojawia się nagłące wrażenie konieczności. Jednakże jedynym, co zdołałam sobie wyobrazić, była pewna część męskiego ciała, stercząca jak u psa. Odeszłam więc dalej w mrok, zdjeta obrzydzeniem. Spacerowałam wokół ścian rezydencji, pustej i wielkiej, wdychałam jej woń wilgoci i pokrzyw, na wpół świadoma przeszłam po schodach, wzdłuż balustrad, sunąc o tej późnej i jednocześnie wczesnej godzinie pośród białych cieni ogrodowych rzeźb. Nie było tu zupełnie cicho, tutaj, daleko od gwarnej stodoły. Nawet w samym środku zimy rozmaite istoty i rzeczy skradały się, skrzypiały lub pękały. Dźwięki malutkie i większe, które zaskakiwały dokładnie w chwili, gdy przestawałam się ich spodziewać. Pohukiwanie sowy. Popiskiwanie myszy. Szczekający lis...

Być może zasnąłam, gdyż nie słyszałam jego kroków, a przynajmniej nie oddzieliłam ich od swoich własnych myśli, które stały się na wpół tylko rzeczywiste, podobnie jak te niewyraźne posągi, zmienne, płynące. Zatem po prostu czekałam w ciemności, gdy jedna z rzeźb zaczęła się poruszać i, nie rozumiejąc, pojęłam, że to Walt Williams. Usiadł obok mnie na zimnej kamiennej ławce. Wciąż nosił na sobie woń tamtej stodoły, zapach żaru, alkoholu, dymu i blasku płomieni. Jedynym, czego od niego nie wyczułam, były kobiece perfumy. Szczerze, aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że to kolejny punkt, jaki powinnam była dopisać do długiej listy rzeczy, których Walt Williams unikał. w pewnym sensie był to fakt do tego stopnia oczywisty, że nie zauważyłam go nawet ja. Zresztą, to nie byłoby właściwe. Walt i tylko jedna kobieta. Nie, kiedy polegała na nim cała baza.

Zobaczyłam błysk zapalniczki i ujrzałam spiczasty zarys jego twarzy, kiedy pochylił się, by pochwycić płomień dwoma papierosami. Zaraz potem, gdy

mnie poczęstował, poczułam jego dotyk. Był to jeden z tych jego długich, ekskluzywnych papierosów, smacznych i słodkich, choć dziwnie się je trzymało w porównaniu z krótkimi, przydługimi, ponieważ żar wisiał tak bardzo daleko od twarzy. Nikt inny, pomyślałam, nie zrobiłby dla mnie czegoś takiego. Nie usiadłby i nie odpalił mi papierosa. Tylko Walt.

Po jakimś czasie zmiążdżył niedopałek podeszwą, wywołując niewielki deszczyk iskier. Zrobiłam to samo, niemal nie odrywając od niego spojrzenia.

– Rozumiem, że to ty jesteś dziewczyną, której wszyscy powinniśmy unikać?

w ciemności było to co prawda bezcelowe, lecz odpowiedziałam mu skiniem głowy.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam jego śmiech. Podobnie jak głos, ten dźwięk był lekki i miły.

– w co to ludzie nie uwierzą!

– Ale to przecież prawda. Tak jest, chociaż zupełnie nie rozumiem dlaczego. Możliwe, że tylko dlatego, że... – Urwałam. Nigdy jeszcze z nikim nie rozmawiałam o swoim losie fatalnej laluni, a chciałam powiedzieć, że może to sama nasza wiara sprawiała, że nią byłam.

Zaszeleściła paczka. Wyciągnął kolejnego papierosa.

– Drugiego?

Pokręciłam głową.

– i przyszedłeś akurat ty. Nie powinno cię tu być.

Zajaśniała zapalka. Poczułam na twarzy dym, ciepły i niewidzialny.

– Tu się właśnie mylisz. Ty i ja. Stanowimy idealną parę, i nie mów, że jest inaczej. Widywałem cię w NAAFI, noc po nocy...

– Na pewno nie codziennie.

– Wystarczająco często.

– a ja widziałam cię w tamtą noc. Widziałam, jak przyszedłeś po kałuży.

– o jakiej nocy mówisz?

Wyjaśniłam – przy okazji rezygnując z prób udawania, że go nie obserwo wałam.

– Naprawdę nie pamiętam – stwierdził, gdy skończyłam, choć nie wydał się wcale zaskoczony. Tym razem, nim zgniótł niedopałek, odpalił od niego następnego papierosa. – w sumie, dlaczego miałbym? To tylko kałuża.

Bóg wie, ile ich mamy w bazie.

– Ale ona tam była. Widziałam to. Przeszedłeś po niej.

Nie mam pewności, czy zakaszał, czy zachichotał.

– Nikt ci jeszcze nie powiedział, kim jestem? Nazywam się Walt Williams. Jestem farciarzem.

– Ale tu chodzi o coś więcej, prawda?

Walt zamilkł na dłuższą chwilę. Obserwowałam ognik papierosa, kreślący nerwowe łuki, w górę i w dół. a kiedy wreszcie się odezwał, nie mówił o wojnie, tylko o dzieciństwie. Walt – jak mi powiedział – urodził się w zamoznej rodzinie. Mieszkali pod Londynem, w okolicy, która zawsze kojarzyła mi się z BBC i ślicznymi alejkami, obsadzonymi wysokimi, kwitnącymi żywopłotami. Był jedynakiem, lecz od małego słyszał, że stanowi poważną inwestycję – czasu matki, fortuny ojca. Początkowo, słuchając opowieści Walta, wydał mi się dokładnie taki jak chłopcy, których wyobrażałam sobie, wstępując do RAF-u. Uczęszczał do odpowiednich szkół. i naprawdę grał w krykieta – choć tylko raz, gdy zachorował łapacz z podstawowego składu – w drużynie swojego hrabstwa. Rodzice zamierzali uczynić go księgowym. Walt jednak nie chciał o tym słyszeć i wtedy obraz jego dzieciństwa – pełnego rozmaitych odcieni złota i zieleni, pasiastych trawników i pięknych zachodów słońca – zaczął blednąć niczym fotograficzna klisza. Jego matka miała pewien zwyczaj, którego surowo pilnowała. Każdego popołudnia, gdy wracała do domu po dopełnieniu obowiązków tego konkretnego dnia, zasiadała w salonie z kieliszkiem i karafką sherry. Siedziała i czekała, póki zegar nie wybił piątej, po czym dzwoniła po pokojówkę i kazała sobie nalać. Powtarzało się to codziennie.

Kiedy Walt Williams opowiadał, staliśmy w ciemności. w pewnej chwili usłyszałam grzechot, który początkowo uznałam za brzęk jego kluczy lub monet – wielu pilotów nabierało nerwowego nawyku bawienia się drobnymi przedmiotami. Dźwięk jednak był jakiś inny, choć w tamtej chwili zanadto pochłaniały mnie jego słowa. Latanie, kiedy Walt już je odkrył, stało się jego sposobem na ucieczkę, aczkolwiek rodzice nie pochwalali tego nawet w charakterze hobby – ich cennej inwestycji czasu, dobrych szkół i pieniędzy groziło wszak poważne niebezpieczeństwo. Odebrali mu więc fundusze i resztkę swych uczuć. Walt pracował najpierw w warsztatach, potem na lotniskach, i latał, gdy tylko nadarzała się okazja. w pewnym okresie wędrował

nawet z objazdową trupą cyrkową. Grzechotanie nie ustawało i wyczułam powtarzający się, posuwisty ruch jego dłoni na kamieniu, na którym siedzieliśmy. Zupełnie jakby próbował delikatnie zetrzeć część tych wspomnień.

Potem wybuchła wojna i mimo że panujące w RAF-ie dyscyplina i ścisły regulamin były w zasadzie tym samym, czym pogardzał u rodziców, Walt ciągnął się niemal od razu. Szybko też polubił ludzi – przynajmniej większość – oraz nabrał podziwu dla dużych i często niezgrabnych samolotów wojskowych. Latając już poprzednio, często zabawiając się akrobacjami, był nawykły do ryzyka; teraz zaczął latać na bombowcach, ponieważ, jak wielu ludzi parających się niebezpiecznymi zawodami, poszukiwał sposobów, które jak sądził – błędnie, co się potem okazało – pozwalały zminimalizować zagrożenie. Tak więc w górze, pod niebem i na ziemi, płynął przez wojnę. Zrzucał bomby, a świat na dole zupełnie go nie wzruszał. w głębi ducha rozumiał, że jest jeszcze bardziej bezduszny niż maszyny, które pilotuje, lecz całą resztą siebie zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce przeżyć, musi latać po własnym niebie – zimnym, czystym i spokojnym.

Nikłe urywki melodii wygrywanych przez zespół w stodole ucichły już dawno temu. Teraz widziałam wyraźniej posuwiste ruchy dłoni Walta, widziałam też chmurki naszych oddechów, dym z jego papierosa zawisał dokoła w kłębach przypominających ogrodowe posągi. Bez kłopotu ujrzałam w Walcie takiego pilota, jakiego mi opisał – chłopaka, który uważał, że nigdy nie spotka go nic złego. Nie to, by już wtedy wierzył w szczęście – wyjawiał, że przesądnych rytuałów dochowuje tylko po to, by nie niepokoić kolegów z załogi – ale na głębszym poziomie, do czego nie chciał się przyznać, podobnie jak dla nas wszystkich – fart stał się dla niego czymś fundamentalnym.

Podczas potężnych nalotów, będących zemstą za ataki lotnictwa niemieckiego na nasz kraj, ponad ich miastami przelewało się tak wiele bombowców, że musiały lecieć warstwami. Jakiś geniusz wyliczył zapewne, że szansa, by bomba trafiła w samolot lecący poniżej, jest na tyle mała, że warto zaryzykować. a jednak, w trakcie zmasowanego bombardowania Frankfurtu, kiedy lecieli wśród gęstych ciemności, załoga poczuła nagle gwałtowny wstrząs i kabinę samolotu załało intensywne światło. Strzelec pokładowy z górnej wieżyczki zaraportował, że spadająca bomba zapalająca trafiła w prawe skrzydło. Spodziewając się, że ogień lada chwila dotrze do przewodów paliwowych, lub że – skoro świecili niczym latarnia – zestrzeli ich nocny myśli-

wiec, zrzucili ładunek i zawrócili w stronę domu. Myśliwce nie przyleciały, a silny wiatr zdławił płomień i bombowiec nie zajął się w pełni. Mijały kolejne godziny. Przelecieli nad wybrzeżem Francji i gdy noc zaczęła blednąć, znaleźli się nad kanałem La Manche. Wszyscy członkowie załogi zaczęli wierzyć, że szczęście ich nie opuściło, i w milczeniu zastanawiali się już, w jaki sposób dzisiejszego wieczoru w barze wycisnąć z tej przygody najwięcej dramatyizmu. Nagle cały samolot rozpadł się na dwie części – skrzydło, którego dźwigar został osłabiony żarem płonącego wcześniej ładunku zapalającego, odpadło oderwane ostatecznie przez prąd powietrza. w ułamku chwili bombowiec stał się stertą płonącego, wirującego w powietrzu żelastwa.

Zniknęło wszystko poza dzikim pędem spadania i morzem, niebem, falami migającymi poniżej. Wiatr wył, a kadłub samolotu obracał się i koziółkował. Lotnicy próbowali wyplątać się z pasów i wyskoczyć drzwiami lub przez ziejącą w poszyciu, pozostawioną przez skrzydło, dziurę. Walt powiedział, że wrażenie przypominało zakleszczenie na kolejce górskiej w wesołym miasteczku z piekła rodem i że jedynym, o czym mógł myśleć, były zasłyszane gdzieś słowa, że morze, kiedy się w nie uderza, jest równie twarde jak beton. i o tym, że nie chciał umierać, że potrzebował szczęścia. w chwili nieważkości ujrzał szybujące wokół siebie kulki krwi i zaraz potem zauważył drugiego pilota, na wylot przebitego stalowym prętem. Nie był w stanie mu pomóc. Wdrapał się pod górę spadającego samolotu, wbrew siłom, które nagle jednak szarpnęły nim, obróciły i zepchnęły w dół, ku otworowi w kadłubie. Zaklinował się, wbił pomiędzy poskręcane rury. Miażdżony energią bezwładności ledwie mógł oddychać. i właśnie wtedy przyszła mu do głowy ta myśl – myśl, jaka zapewne pojawiała się w umysłach tysięcy pilotów w podobnych momentach – że oddałby wszystko, oddałby cokolwiek, byle tylko ujść z tego cało. Wszystko, byle nie opuściło go szczęście...

Ciemność stała się zwiewna i cienka. Teraz, gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że Walt rzuca na ławkę dwie białe kości do gry. Rzuca, zgamia je i rzuca ponownie.

– i poszczęściło mi się – ciągnął. – Przed zderzeniem z wodą zdołałem otworzyć spadochron, zadziałała kamizelka ratunkowa i nie zabiły mnie spadające dokoła fragmenty płonącego wraku. Wciąż jednak byłem przekonany, że to jedynie okrutny żart i że przeżyłem tylko po to, by zamarznąć na śmierć w brudnym kanale. Wtedy jednak usłyszałem wśród szumu fal warkot silni-

ka i odpaliłem flarę. Po dwudziestu minutach odnalazł mnie torpedowiec. Nasz zresztą, z całej załogi przeżyłem tylko ja. Pozostałych odnaleziono, ale już nie żyli...

Teraz widziałam majaczące w porannej mgłę sylwetki drzew i posągów, które skojarzyły mi się z ofarami wojny owiniętymi w mgliste pasma bandaży, i zobaczyłam też oczka na kościach, którymi zabawiał się Walt.

Przeszył mnie zimny dreszcz, o wiele bardziej lodowaty niż chłód zimowego poranka. Walt wyrzucał szóstkę, szóstkę, szóstkę...

Znów wydał z siebie ten dźwięk. Raczej kaszel niż chichot.

– i tak to jest. Przechodzę ponad kałużami. Latam raz po raz i wracam bez szwanku. Jestem żywym wcieleniem fartu.

– Nie możesz wyrzucić niczego innego?

Pokręcił głową i znów potoczył kośćmi po ławce. Dwie szóstki.

– To nie jest sztuczka. w każdym razie nie taka, jaką pewnie podejrzewasz.

Znowu sześć i sześć. Grzechot toczących się kości. Szczękanie moich zębów.

– Sama spróbuj, jeśli chcesz.

– Walt, zapominasz kim jestem. Nie muszę próbować. Wierzę...

Schował kości do kieszeni, wstał i rozejrzał się dokoła. Uśmiechał się i jednocześnie nie uśmiechał. Robiło się coraz jaśniej. Przesunęłam dłońmi po ramionach. Płaszcz był śliski i wilgotny. z zimna zbielały mi ręce, a koniuszki palców przybrały niebieskawą barwę. i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że to pełne posągów miejsce nie jest wcale przydomowym ogrodem, lecz cmentarzem. a nasza ławka okazała się nagrobkiem. Otaczały nas anioły.

– Chodź... – Walt podał mi rękę.

Przyjęłam ją i pomógł mi się podnieść.

Spodziewałam się, że wróci do swojego rozklekotanego morrisa, ale ruszył między grobami, z dłońmi w kieszeniach, cicho pogwizdując. Odczytywał daty i nazwiska, należące w większości do członków rodziny, która dawniej mieszkała w wielkiej, widocznej poza drzewami rezydencji. Niedaleko obok wznosiła się kamienna kaplica. Walt napał na drzwi. Coś się ukruszyło, ustąpiło. Skinął na mnie.

Na tym cmentarzu, w tej kaplicy panowały cisza i pustka. Tak właśnie jest na wojnie. w jednym miejscu prawie zupełnie nie spotyka się ludzi, w innym jest ich stanowczo zbyt wielu. Dach kaplicy był dziurawy, na ławkach

leżały gołębie odchody i pióra, wewnątrz jednak zdołało zachować swą podniosłość. i wcale nie wydało mi się smutne, mimo że było ozdobione kolejnymi pomnikami. Nie wydało mi się takie, ponieważ wojna przynosi ze sobą smutek innego rodzaju, taki który wygasza codzienne smutki ludzkiego życia i śmierci. Nawet na twarzy tej biednej, mosiężnej kobiety, otoczonej zakutymi postaciami, które – jak wyjaśnił mi Walt – symbolizowały jej utracone dzieci, wciąż malował się wyraz świadczący o prawości i sile. Wiedziała przynajmniej, że dała życiu szansę.

– Nie rozumiem jednego – odezwałam się, kucając obok Walta, który wrzucił drewnianka do starego żelaznego piecyka w rogu. – Nie rozumiem dlaczego...

Zapałił zapałkę i cisnął ją na pokrytą pajęczynami kratkę. Płomienie natchmiasz zaczęły trzaskać.

– Tak samo jest z kartami. i ze wszystkim innym.

– Nie możesz...?

– Czy czego nie mogę? – Spojrzał mi prosto w oczy i po raz kolejny poczułam ten głęboki, lodowaty dreszcz, chociaż dotarło już do mnie słabe ciepło z paleniska.

Nigdy jeszcze nie widziałam tak błękitnych tęczywek, tak czarnych źrenic. Jak noc bombowców. Jak letnie niebo. Musiałam się odwrócić.

Wyprostował się i pogrzebał dłonią w kieszeniach, szukając kolejnego papierosa. Kiedy go zapalał, ponownie zauważyłam, że trzęsą mu się ręce.

– Walt, po wojnie mógłbyś zbić fortunę...

Znowu wydał z siebie ten dźwięk, prawie kaszel, który sprawił, że zatęskniłam do brzmienia jego prawdziwego śmiechu. Zaczął się przechadzać i mówić szybko, jego kroki odbijały się echem, piec syczał i dymił, nasączając mnie bólem swego żaru.

– Co powinienem zrobić? Wybrać się do kasyna? Ja? Największy szczęściarz ze wszystkich? Jak sądzisz? Ile czasu by to potrwało?

Następnie Walt powiedział, że nic nie przychodzi za darmo. Ani w życiu, ani na wojnie, ani nawet w bajkach. Aż do tamtej nocy nad Frankfurtem płynął przez wszystko spokojnie. Tam, na górze, na rojącym się od bombowców niebie, nie słychać krzyków ani odgłosów sypiących się murów.

Zwolnił i na powrót kucnął obok mnie, zapatrzył się w maleńki płomyk piecyka i przeszył go dreszcz.

– Teraz widzę wszystko – powiedział, a uśmiech, który nigdy nie sięgał oczu Walta, zniknął także z jego warg. – Każdy pocisk. Każdą bombę. Nie dają mi spokoju nawet we śnie...

– Walt, to nie będzie trwało wiecznie...

Jego ręka chwyciła moją, mocno i zdecydowanie, a spojrzenie sprawiło, że przestraszyłam się jeszcze bardziej. Kiedy się odezwał, uczynił to niemal niedosłyszalnym szeptem, głosem podobnym do głosu biednego martwego podporucznika Charliego Dysona, jakim przemawiał, przywierając do mnie tamtej odległej letniej nocy pod dębem.

Gdy Walt mówił, że widzi wszystko, miał na myśli to, że widzi dosłownie wszystko. Obrazy przychodziły do niego mgnięciami, dźgnięciami – koszarne wizje, nieco podobne, jak uznałam, do nękających mnie niekiedy nocami snów o martwych lotnikach. Widział krew, słyszał wrzaski, czuł potworny chaos niszczonego budynku. Przyznał szeptem, że całymi tygodniami dręczyły go krzyki kobiety podtapianej powoli przez pękniętą rurę wodociągową w zapomnianej piwnicy. i nie chodziło jedynie o bomby Walta, o jego własne czyny – oglądał również przebłyski, straszliwe przebłyski, jakim ledwie śmiał dawać wiarę. Widział wojnę w jej całości, to, co działo się obecnie, i to, co miało się jeszcze wydarzyć w przyszłości. Szeptał nazwy, których nigdy w życiu nie słyszałam. Belsen. Dachau. Hiro- i Nagacośćam. Opowiedział mi także o tym, że próbował już wejść do morza, by pozbyć się tej grozy, lecz fale nie chciały go przyjąć. Przyznał, że zastanawiał się nad wjechaniem swym morrisem w jakąś ścianę, tyle że nie ufał swojemu szczęściu – a może właśnie ufał mu aż za bardzo – by mieć pewność, że jakkolwiek wypadek czy próba samobójcza zdołają go zabić. i owszem, liczne opowieści o jego wyczynach były prawdziwe, lecz przecież RAF pozwalała swym najlepszym, najbardziej szczęśliwym pilotom na wiele. Bo przecież w końcu Walt wciąż był pilotem – niebo nadal go przyciągało, tak samo jak zawsze. i podobnie jak my wszyscy, wyczekiwał końca wojny, gdyż znał – o wiele lepiej niż mogłam to wówczas pojąć – zło, przeciwko któremu walczyliśmy. Dlatego więc raz po raz wsiadał do swojego bombowca i wzbijał się pod czarne niebo...

z wolna, bardzo powoli, Walt rozluźnił uścisk, wypuścił mnie. Odgarnął włosy do tyłu i przeciągnął dłonią po pokrytej zmarszczkami twarzy. Pochylił się i zaczął zbierać kolejne kawałki starego drewna i patyki do paleniska.

Po długiej chwili spędzonej na wpatrywaniu się w ogień, gdy wreszcie chłód nieco ustąpił, podniosłam się i przeszłam pomiędzy ławkami, dotykając drzazg i kurzu, przyglądając się ozdobom z mosiądzu i marmuru, pochodzącym z dawnych czasów, gdy ludzie nie uważali, że umieszczanie skrzydlatej czaszki obok pyzatej buzi aniołka jest czymś dziwnym...

Walt szedł przez kościół. Kiedy się ku niemu zwróciłam, zauważyłam, że próbuje swej zwykłej sztuczki, stara się odtańczyć słynnego Walta Williamsa, stara się być człowiekiem. Najpierw był figurą wykutą z zimowego światła i mdłego drewnianego dymu, po czym zadrżał i z powrotem stał się przystojnym mężczyzną, wciąż szczupłym i wdzięcznym, choć już niezupełnie młodym, obdarzonym charakterystycznym uśmiechem i oczyma przypominającymi lód i lato. Obrócił się, rozpostarł ramiona i zatańczył na obluzowanych płytach posadzki niczym Fred Astaire, postukiwanie jego butów poniosło się echem pod sklepienie, ku aniołkom i czaszkom. Musiałam się uśmiechnąć. Podeszłam do niego i przytuliliśmy się niemal jak filmowe pary. Pocałowaliśmy się jednak nieporadnie jak dzieci. Żadne z nas nie robiło tego od dawna, od bardzo dawna.

By przepędzić dreszcze, podeszliśmy do piecyka. Walt zdjął kurtkę i rozłożył ją w blasku. Spojrzeliśmy na siebie i nie było najmniejszej wątpliwości. Nie wątpiliśmy, że pójdziemy – jakież to głupie wyrażenie – na całość.

Tak się stało. Ja i Walt. i to akurat w kaplicy – w kościele. a potem, wciąż niespokojny, wciąż udręczony, ubrał się, zapalił i zaczął chodzić w tę i z powrotem. z tyłu kaplicy wisiał drewniany balkonik, tak zwany chór. Kiedy na dół siedziałam skulona przed paleniskiem, Walt wszedł tam po schodach. Posypały się drzazgi i kurz. Spojrzał na mnie z góry, uśmiechnął się nieznacznie i pomachał. Wyraźnie widziałam, że cała konstrukcja jest przeżarta przez zgniliznę i komiki. i nagle Walt znów zaczął stepować jak Fred Astaire, uderzając obcasami o deski.

Byłam pewna – przyglądając się mu w blasku dogasającego piecyka – że tańczy w pustce pozostawionej przez zniszczone drewno.

* * *

Walt miał się tego ranka stawić w bazie, ja także. Wszyscy mieliśmy. Już wcześniej pojawiały się telegraficzne sugestie, że dzisiejszej nocy, na kacu lub bez kaca, święta nie święta, odbędzie się wielki nalot, jeden z największych. Wychodząc z kaplicy, wracając pod wynędzniałymi drzewami ku za-

śmieconej i pustej stodole, gdzie cuchnęło moczem i niedopałkami, przez większość czasu milczeliśmy. Zanim Waltowi udało się przekonać samochód do podjęcia wysiłku, musiał skorzystać z klucza, otworzyć maskę swojego Morrisa i pogrzebać w silniku. Prowadził powoli, ostrożnie po płaskich drogach między groblami, ku lotnisku, na którym – na horyzoncie – niczym ważki czekały lancastery. Przy bramie nie zauważył nas nikt.

Walt musnął mój policzek, obdarzył mnie uśmiechem i odprowadziłam go wzrokiem, dopóki nie zniknął pomiędzy barakami i przybudówkami, po czym popędziłam się przebrać i przygotować do pracy. Mimo smugi oleju silnikowego, jaką pozostawiły na mojej twarzy jego palce, zdołałam sobie wmówić, że nic z tego nie wydarzyło się naprawdę, i udało mi się zacząć stukać w klawisze maszyny, składając zamówienia na świeże wanny musztardy, beczki dżemu, worki porzeczek, podczas gdy ciężarówki zaopatrzeniowe wiozły swój zabójczy ładunek długich stalowych pojemników po betonowych pasach, mechanicy przetaczali systemy z paliwem, lotnicy przyglądali się rozwijanym przed nimi mapom, na których wskaźniki oficerów pokazywały nazwę europejskiego miasta, nad którym część z nich miała spotkać śmierć.

Na zimową ciemność nigdy nie trzeba czekać długo, a tamtego dnia pokrywa chmur była bardzo gęsta. Lotnisko, gdy rozpalono światła wzdłuż pasów, wydawało się jedynym jasnym miejscem na świecie. Członkowie załóg, już teraz odlegli, miotali swą ostatnią rzutkę, kończyli ostatnie rozdanie, wciągali na nogi skarpetkę nie do pary i gwizdali lub nie gwizdali, dotykali swych talizmanów, całowali wonne listy, przyciskali palce do betonu i wchodzili do oczekujących lancasterów. Stojąc z dala od miejsca, gdzie zebrali się wszyscy pozostali, przyglądałam się tym rytuałom i bez powodzenia starałam się domyślić, która z niewyraźnych sylwetek gromadzących się wokół samolotów to Walt. Słuchałam wielkich silników marki Merlin, uruchamiających się najpierw jeden po drugim, potem już fala za falą. w takich momentach czuło się współczucie wobec Niemców. w chwili, gdy warkot stał się nieznośny, nad bazą zajaśniała i zamigotała zielona flara. Na ten sygnał zmienił się ton motorów, bombowce potoczyły się pod wiatr i z wolna, boleśnie powoli, ciężarowymi materiałami wybuchowymi i ropą, ruszyły po pasach i wzbily się do lotu.

Owej nocy było już o tej porze ciemno. Mogliśmy tylko słuchać – i czekać – by dźwięk ostatniego lancastera rozplynał się na czarnym niebie bom-

bowców bez żadnego wypadku.

* * *

Jak się okazało – dzięki tajnej wojnie radarów i radiowego naprowadzania – nalot był udany, skuteczny. Walt Williams jednak z niego nie powrócił, choć wrócił jego lancaster. Historia tego wydarzenia odsłaniała się powoli, mając przeciwko sobie niedowierzenie większości ludzi, niemogących sobie wyobrazić, że coś takiego mogło spotkać akurat jego.

Późnym popołudniem następnego dnia wybrałam się w zimną podróż przez lotnisko, by popatrzeć na jego samolot. Wiatr zdążył już przybrać na sile, szarpał chmury. Po gorączkowej krzątaninie poprzedniej nocy przez cały dzień panował spokój. Dokoła nie było żywej duszy, a maszynę pozbawiono resztek paliwa, ropy i amunicji. Stała zaparkowana w odległym zakątku wraz z resztą wraków i śmieci.

Przebywanie tak blisko tych potworów zawsze wiązało się z zaskoczeniem, bez względu na to, czy były całe, czy uszkodzone; zaskakiwały ich rozmiary i kruchość. Przeszłam w cieniu skrzydeł, wzdychających i skrzypiących na słonawym wietrze znad równin i jak nigdy dotąd wspierałam się po drabince załogi, przecisnęłam między grodziami, pośród kabli i rur, ku szaremu światłu kokpitu. Wokół unosił się mdlący gumowo-ropny fetor.

Reszta lotników z tego samolotu opowiadała o szarpnięciu i gwałtownym pędzie powietrza, które wdarło się do środka, gdy wracali do domu, lecz to, co zobaczyłam tego późnego, wietrznego popołudnia, snuło własną historię. Większa część przeszklonej kabiny pilotów i sąsiedni fragment kadłuba zostały oddarte – oderwane przez spadający element innego uszkodzonego samolotu lub przez niewybuch pocisku przeciwlotniczego. Walt także został wydarty na zewnątrz, wystrzelony do nieba tak błyskawicznie, że nikt nie zauważył dokładnie, co się stało. Gdy drugi pilot ostrożnie prowadził samolot wśród nocy, mieli jeszcze nadzieję, że Walt przeżyje – w końcu, będąc sobą, mógł nawet wrócić przez całą Francję, nie trafiając przy tym do obozu jenieckiego. Poranek jednak pokazał, że Walt – świadomie lub wskutek jakiegoś niesłychanego wybryku wiatru, który go porwał – odpiął wszystkie pasy fotela i wypadł bez spadochronu. Spadochron tkwił na swoim miejscu, bezpieczny. Pochyliłam się i dotknęłam go, słysząc pogwizdywanie powietrza w uszkodzonym samolocie, poczułam zawarty wewnątrz ciężar tych wszystkich warstw jedwabiu, który mógł Walta unieść.

i wtedy uwierzyłam.

* * *

Wiosną, kiedy moja sekcja została zreorganizowana w jednym z dziwnych spazmów wojskowej biurokracji, przeniesiono mnie do innej bazy. Tamtejsza fatalna lalunia popełniła kilka miesięcy temu samobójstwo, powiesiła się. Nowi koledzy w większości nie zwracali uwagi na otaczające mnie plotki. Zupełnie jakby ofiara tej biednej dziewczyny zdjęła ze mnie ciężar. Ofiara jej – i Walta Williamsa.

Niemniej, wszystko to bardzo mnie zmieniło. Pojawili się inni mężczyźni, z którymi chodziłam na randki, lub nawiązywałam bardziej długotrwałe romanse, były również inne wieczory, gdy szłam na całość, zamiast zatrzymać się w pół drogi. Zawsze jednak towarzyszył mi duch Walta. Ta jego mina. Te oczy. Pokryta zmarszczkami, przystojna twarz. Zawsze miałam kłopot z zatrzymaniem się u czyjegoś boku, z uwierzeniem, że naprawdę chce mnie kochać. a kiedy wojna dobiegła wreszcie końca, byłam już starsza i – po zawale ojca, ze złożoną przez artretyzm matką – wkrótce musiałam się zmagać z obowiązkami niemal samodzielnego prowadzenia herbaciami. Czas to jednak zabawna sprawa. w jednej chwili ma się osiemnaście lat, jest się szczęściarą – naprawdę wielką szczęściarą – wstępuje się do wojska i opuszcza Manchester na zawsze. Zaraz potem jednak trafia się do tego miasta z powrotem, kości bolą każdego poranka, twarz ma się czerwoną i opuchniętą od dymu i żaru gotowania, a ludzie zza kontuaru mówią do ciebie „pani” zamiast „panienko”, choć zapewne wiedzą, że nie jesteś – i nigdy nie będziesz – mężatką. Niemniej, rozkręciłam interes z powodzeniem, choć kosztowało mnie to zdrowie kręgosłupa, zniszczyło skórę na dłoniach, a twarz pokryło fioletem i żyłkami. Lokal zamknęłam dopiero dziesięć lat temu, gdy na tej samej ulicy otworzono McDonalda. Teraz moje życie stało się naprawdę moim własnym, w tym sensie przynajmniej, że nie należy do kogoś innego. Wciąż jestem aktywna i co tydzień wspinam się uliczką na wzgórze, by odebrać emeryturę, mimo że podejście z czasem wydaje się coraz bardziej strome.

Wciąż jednak powracają do mnie sny o wojnie i myśli o Walcie Williamie – prawdę mówiąc, są bardziej kolorowe niż ten dzisiejszy nudny, przykurzony dzień. Myślę czasem – na przykład – że gdyby wszyscy zobaczyli to, co widział Walt, gdyby wszyscy wiedzieli, co tak naprawdę dzieje się na

wojnie, i gdyby dręczyły ich takie wizje jak jego, na świecie byłoby o wiele spokojniej, a ludzie zaczęliby się zachowywać wobec siebie przyzwoicie. Ale teraz mamy telewizję, prawda? Wszyscy i tak widzimy głodujące dzieci i leżące na ulicach kawałki ciał. Może więc samemu trzeba być szczególnym człowiekiem, być obdarzonym wyjątkowym talentem do przeznaczonych sobie zadań i wypełniać je w dziwnym i wyjątkowym czasie. Trzeba być równie szczęśliwym i pechowym jak Walt Williams.

Sama teraz rozumiem – wcześniej nie śmiałam tego pomyśleć – że życie Walta stało się nieznośne. i chociaż droga jest mi pamięć o nim, dlatego że był Waltem, który pokochał mnie na te kilka krótkich godzin, to wiem, że odnalazł mnie, ponieważ byłam, kim byłam.

Fatalną lalunią.

Kwiatem śmierci.

Wiedźmą.

Zastanawiam się też niekiedy, co właściwie trafiło bombowiec Walta. Czy naprawdę był to jakiś spadający kawałek żelaza, czy może samo szczęście stało się wreszcie zimną ścianą, żelazną pięścią należącą do bóstwa tego ciemnego samolotu. w swych najmroczniejszych i najbardziej pogodnych chwilach, kiedy nie jestem w stanie stwierdzić, czy czuję smutek, czy może rozpaczliwe szczęście, myślę o nim. Wspominam, jak przechodzi ponad tą brudną kałużą przed barem. Wspominam go w starej kaplicy, chwilę po tym, jak się kochaliśmy, tańczącego jedynie na kłębach kurzu i promieniach słońca. i zastanawiam się, czy ktoś tak szczęśliwy jak Walt Williams, spadając bez spadochronu, mógł w ogóle dotknąć ziemi, bo może wciąż gdzieś leci po niebie, które tak ukochał. Może wciąż spada.

POŁUDNIOWA SADZAWKA

Peg usłyszała stukot kół nadjeżdżającego pociągu. Nocny ekspres.

Odgamęła włosy z oczu i osunęła się na ziemię. Przyklęła. Znajdowała się pomiędzy trzcinami i pokrzywami, nieopodal wzgórz, tam gdzie spotykały się ze sobą stalowe tory i wędrująca rzeka. Słyszała mroczny rytm wynurzający się z drgającej nocy, jękający się oddech lokomotywy. Czekąca. w rzece widać było gwiazdy, ich poświatę na torach.

Pociąg był szybki. Jego dźwięk stał się groźącym wzgórza murem. Długi szal dymu, wyszywany brylancikami iskier, ciągnął się po niebie. Światła z wagonów perliły rzekę. Peg opuściła rękę i przeczesała palcami mokrą strzechę trawy, zacisnęła je.

Szyny świstały i skrzypiały. Pociąg był już prawie przy niej. Światło i koła przemykały obok, niosąc miejski swąd ropy i węgla. Klęcząc na dygocącej ziemi, wyczekała na swą chwilę. Mocno zamknęła dłoń na błocie, póki długie mokre pasma wilgotnej gleby nie zaczęły się jej wić pomiędzy palcami. Podniosła to, co zostało jej w garści, i wzięła zamach. Przygryzła wargę i cisnęła pecyną mokrej ziemi w sznur świateł wagonu.

* * *

Dla sir Edwarda były to bolesne chwile. Ledwie kilka godzin temu płał w się w falach burzliwych oklasków. Któż w końcu śmiałby krytykować autorską interpretację jego własnej symfonii? Nawet jeżeli w głębi ducha zdawał sobie sprawę, że orkiestra odbębniła to aż nazbyt dobrze sobie znane dzieło z pamięci, oraz że druga waltornia niezgrabnie fałszowała w kluczowych i tęsk-

nych, początkowych taktach wolnej części.

Potem pojawiły się dłonie, które należało uściśnąć, a następnie członkowie zarządu orkiestry wraz z kilkoma innymi notablami zaprosili go do Armando's, jego ulubionej londyńskiej restauracji, gdzie cieszący się dwudziestoletnim doświadczeniem maitre'd od dawna znał wszelkie jego ekstrawagancje. Nie licząc tradycyjnie wyśmienitych dań, kolacja okazała się ogromnie nużąca. Notable stosownie śmiali się z jego żarcików i poważnie kiwali głowami, gdy opowiadał aż trzeszczące ze starości dykteryjki o spotkaniu Brahmsa z Joachimem, aczkolwiek był przekonany, że słyszeli je już wcześniej bez mała tak samo często jak on.

Wyszedł w porę, by złapać nocny ekspres zmierzający do środkowej Anglii. Nawet jeszcze zanim pojawiły się niedawne kłopoty z krzyżem – doktor Walters z Harley Street wciąż uparcie twierdził, że to zwykła rwa kulszowa – wielki człowiek wyrobił w sobie niechęć do nocowania poza domem. a kierownik pociągu – znali się niemal równie długo jak z szefem sali w Armando's – trzymał dla niego wolny przedział pierwszej klasy. Wielki człowiek opadł na pluszową kanapę i ucieszył się brakiem towarzystwa i łagodnymi szarpnięciami pociągu, który z rozświetlonej jaskini stacji wytaczał się już w ciemność.

Niemniej, po godzinie jego pęcherz – wypełniony tym, co pozostało po kilku kieliszkach wina, oraz, o czym właśnie sobie przypomniał, przynajmniej trzema filiżankami wyborowej kawy, jaką zwykle serwowano w Armando's – zaczął sprawiać wrażenie przesadnie nadmuchanego balonu. a kierownik pociągu, niezawodnie pamiętając o cechującym wielkiego człowieka pragnieniu samotności, przezornie zamknął na klucz łączące przedziały drzwi, blokując tym samym pasażerowi dostęp do toalet z obu końców wagonu. Pozostawało mu tylko ewentualnie pociągnięcie za hamulec bezpieczeństwa.

Tak więc sir Edward poruszył się tylko niespokojnie na siedzeniu i zaciśnął pięści. Pociąg toczył się z hurgotem przez noc, a nagłące doznanie w pęcherzu przeistoczyło się w ognistą kulę potrzeby. Poczucie dyskomfortu pogarszała dodatkowo myśl, że to właśnie on – człowiek, który jadał obiady w Balmoral i którego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskami genialnych Niemców – został sprowadzony do poziomu niespokojnie wierzącego się uczeniaka. Rzucił okiem na swój kopertowy zegarek ze złotą dewizką, prezent od Richtera: cierpienie miało trwać jeszcze tylko dwadzieścia minut.

Ta informacja nie przyniosła wielkiej pociechy. Nic jej nie przynosiło. Bębnął palcami o pusty kieliszek. Za oknem, poza pędzącymi barierkami, widział w światłach wagonu niewyraźny, szarawy poblask rzeki, tej samej rzeki, której nastroje i przemiany sportretował w licznych pieśniach, dwóch kwartetach i jednym wspaniałym poemacie symfonicznym. Rzeka... woda... nie... nagle coś martwego i szarego, nierównego i wirującego w ciemności wyleciało wprost ku niemu. Wylękniony, odwrócił wzrok. Chwilę później to coś uderzyło w szybę.

Brązowe macki zaczęły spływać i wyciągać się w dół okna. Zwykle błoto, a jednak szok prawie przeważył szalę. Pęcherz niemal ustąpił i przez moment ewentualna przyjemność podobnego aktu bez mała pokonała straszliwy, wiążący się z nim wstyd. Sir Edward powstrzymał się jednak i gdy błoto rozpląnęło się po oknie wykrzywioną gwiazdą, mocno zacisnął skrzyżowane nogi.

Minuta człapała za minutą. Pociąg rozpoczął hamowanie: wyłącznie dla niego, pozarozkładowy przystanek na małej stacyjce, specjalnie dla wielkiego człowieka. Gdy wagon znieruchomiał, sir Edward wyprostował się i ruszył powolnymi, zbolalymi krokami ku drzwiom wagonu. Kierownik, który nadbiegł wzdłuż pojazdu, otworzył mu i ustąpił na bok z niemal wojskowym pozdrowieniem. Wielki człowiek wysiadł na peron. Stacja, zauważył, była już zamknięta. Podobnie poczekalnia dla pasażerów pierwszej klasy, a wraz z nią i toalety. Nie inaczej rzecz się miała (a przecież nie był w tej chwili wybredny) z poczekalnią klasy drugiej: ostatni planowy skład odjechał kilka godzin temu. w ciepłym świetle wagonów twarze cisnęły się do szyb, szyje wyciągały się, by pochwycić choć przelotne spojrzenie. Zobaczyli go, jak idzie, niezgrabnie szurając, zgięty niemal w pół, i wymieniali się uwagami, jak błyskawicznie ten wielki człowiek się postarzał i że niedawne zdjęcia w gazetach nie mogły być mimo wszystko tak niedawne.

Szofer sir Edwarda czekał na przeciwnym krańcu peronu. Do domu – powiedział sobie, gdy pociąg ruszył wśród kłębow pary – nie jest tak daleko, wystarczy przejechać znajomymi, wiejskimi drogami. w jakiś sposób, zaciśkając wszystkie mięśnie, zszedł po kilku schodkach i wsiadł do obitej skórzaną tapicerką kabiny bentleya. Ból nie ograniczał się już tylko do pęcherza, rozsyłał nagłące igły na cały jego organizm i palił niczym zamię, wyraźniejszy niż rwanie w krzyżu.

Bentley ruszył. Światła reflektorów omiotły żywopłoty i drzewa, by wreszcie skupić się na wąskiej, zrytej koleinami drodze. Szofer, z którym w zwyczajnych okolicznościach sir Edward prowadził przyjemne, błyskotliwe konwersacje, otworzył okienko w dzielącej ich szybcie i zapytał, jak wypadł koncert, lecz jego pryncypał okazał się tego wieczoru lakoniczny i mało komunikatywny. Nawykły do zmiennych humorów pasażera kierowca prowadził dalej w milczeniu, a wielki człowiek nadal brodził w cierpieniu, w odróżnieniu od pociągu, samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni w nieregularny, niemożliwy do przewidzenia sposób, kołysał się miękko to w jedną, to w drugą stronę.

Kiedy od domu dzieliło ich około mili, sir Edward zrozumiał, że dłużej nie zdoła wytrzymać. z zaciśniętymi zębami nakazał szoferowi się zatrzymać, wymamrotał coś o przejściu reszty drogi spacerem i wywindował swe wrzeszczące ciało z samochodu prosto w noc. Przeszępując z nogi na nogę, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści, odprowadził wzrokiem odjeżdżającego powoli bentleya, po czym, zataczając się jak pijak, ruszył ku ciemnemu żywopłotowi. Cała noc śpiewała i chwiała się pod wpływem jego potrzeby.

Ostatnie czynności były niezwykle delikatne. w jakiś sposób udało mu się jednak, niczego nie rozchlapując, bez żadnych niefortunnych wypadków... i doznał błogosławionej ulgi. Przed oczyma zatańczyły mu jasne iskierki. Do jego ciała wtargnęła potężny powiew komfortu.

i nagle, kiedy operacja osiągnęła stadium stanowczo zbyt zaawansowane, by mógł ją przerwać, usłyszał za sobą lekkie, niespieszne kroki.

* * *

Peg wyraźnie czuła, że ta noc leży w samym sercu lata. Ze wszystkich stron, niemal odwiecznie, nie było niczego poza bezkresnymi, błękitnymi alejami migocącego listowiem nieba, poza nawoływaniem kukulek i gruchaniem gołębi, ciągnącymi się głęboko w zielony mrok; diadem ciepłych dni i nocy, przypominający opasujące niebo gwiazdy.

Lasy połyskiwały i falowały dokoła, zalane poświatą wschodzącego przybierającego księżyca. Powietrze dawało się niemal wyczuć dotykiem, tak było gęste. Wonne mchy i pochylone białe latarenki psianki wyznaczały ścieżkę. a teraz warkocze suchego poszycia, woń ludzkich zarodników i młodych. Ujrzała wodnisty przebłysk potłuczonego szkła i wygniecioną połąć trawy pod konarami starej, białej wierzby, gdzie przedtem obserwowała tarza-

jących się ze sobą, rozeseńmianych chłopca i dziewczynę. Paprocie trzaskały pod jej stopami. Gdyby zechciała, mogłaby poruszać się bezszelestnie, lecz lubiła szemranie i echo własnych kroków, gdy szła przez tę kłaniającą się, ociężałą od lata ciemność...

Nagle dokoła poniósł się jeszcze jeden dźwięk. Pochyliła głowę i się uśmiechnęła. Ów szum rozpoznawała bez trudu, chociaż brzmiał nieco inaczej niż ten, który wydawała sama. Skręciła w stronę dźwięku, przeszła przez płatanię zeschniętego ostrokrzewu i ujrzała drgający połysk drogi.

* * *

Sir Edward stał głupio, niezdolny przerwać – a nawet choćby ukryć – swej czynności. Pokrzywy i jeżyny syczały i grzechotały pod lecącymi niską parabolą kropelkami, gdy (jego pęcherz nie prokurował już młodzieńczych wodospadów) czekał, by natura dopełniła swego przewlekłego dzieła. Cieszył się, że przynajmniej ciemność przydawała mu nieco skromności; tym bardziej uradował się jej całunem, kiedy kilka szczegółów sylwetki zasugerowało, że intruzem jest młoda kobieta. Niemniej, przez wiele długich sekund poczucie ulgi było zbyt intensywne i jaskrawe, by mógł poświęcić nowej widowni rzeczywistą uwagę. Dopiero kiedy strumień wreszcie zmałał, skala incydentu rozbrzmiała mu w głowie niepokojącymi dysharmoniami. Co będzie, jeżeli to jedna z owych upiomych córek okolicznych ziemian, którzy od czasu do czasu zmuszali go do podziwiania talentu pianistycznego swych pociech? Co będzie – ewentualność w zasadzie jeszcze gorsza – jeśli nieznamoma była ledwie pokojówką u jednej z tych rodzin? Po dziewczętach z dobrych domów (o ile, dobry Boże, nie udadzą się prosto na policję) można się było spodziewać, że zachowają dyskrecję na temat podobnego incydentu, lecz te chichocące w służbówkach kobiety...? Gdyby się dowiedziały, wieść rozeszłaby się błyskawicznie po całym sąsiedztwie.

– Eee, hmm, nie sądzę byś wiedziała, kim jestem? – spytał z nadzieją, zapinając guziki spodni.

Ku jego miłemu zaskoczeniu, niewyraźna postać pokręciła głowę. Następnie od razu zepsuła efekt, mówiąc:

– Ale widywałam cię w okolicy.

Wciąż skąpany – wbrew zażenowaniu – w absurdalnie różowym poczuciu zaspokojenia i przyjemności (jak cudnie wyraziste były kształty drzew na tle rozgwieżdżonego nieba; jakże aksamitnie rozedrgana była droga!) sir Edward

wyprostował grzbiet i ruszył przed siebie krokiem, który – miał nadzieję – musiał wydawać się rześkim i pełnym charakteru. Krokiem osoby niepragnącej – poza własnym – absolutnie niczyjego towarzystwa.

Po chwili wyminął dziewczynę. Przydymiona, otwarta droga wzywała. Moment później nieznajoma się z nim zrównała.

– Wiem, gdzie mieszkasz – odezwała się. – w tym dużym domu za zielonym, bukowym lasem. Kiedy przysiadam na wzgórzu, w pobliżu miejsca, do którego lisica sprowadza na wiosnę swoje szczenięta, mogę zajrzeć prosto do pokoju, gdzie siedzisz wpatrzony w puste kartki...

i to by – w kwestii zachowania anonimowości – było właściwie tyle. Dziewczyna była w oczywisty sposób niestarannie wykształcona, lecz wiedziała o nim wystarczająco wiele, by rozpuścić o dzisiejszym wydarzeniu plotkę. Lewa dłoń sir Edwarda poderwała się ku górze i pociągnęła za końcówkę sumiastego wąsa – nigdy nie zdołał się wyzbyć tego nerwowego natręctwa. Zmusił rękę do powrotu na dół, gdzie zaczęła kołysać się w rytm kroków, i skupił się na utrzymaniu wartkiego, wojskowego tempa. Pam. Pam. Parapam. Byle się nie krzywić. Teraz, gdy pęcherz został już opróżniony, ten diabelski ból w krzyżu dawał się we znaki bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– a gdzie – zapytał – ty mieszkasz?

– Och, ja nie mieszkam nigdzie.

Zerknął na nią. Wątpił, by jej odpowiedź była dosłowna, lecz dziewczyna, to jasne, musiała być bezdomna lub zagubiona. w bladym świetle gwiazd leżącym się przez gałęzie wyciągających się nad drogą drzew nie mógł jej dojrzeć wyraźnie, lecz spostrzegł zarys tłustych, pozlepianych w strąki włosów, umorusanej czymś twarzy, poszarpanego stroju o niejasnej, szarawej barwie. Wyglądała na osobę, której przydałaby się ciepła kąpiel. Nie – poprawił się, gdy wyczuł słonawą woń jej skóry – wygląda na osobę, która stanowczo powinna z niej skorzystać.

– Jak się nazywasz?

– Peg.

– Czy nocne wędrówki to twój stały obyczaj?

– Nie wiem nic o obyczajach.

– a gdzie zatem, hm, sypiasz?

– Zeszłej nocy spałam pod wielkim ciemnym krzewem nad rzeką. Po

drugiej stronie stalowych torów. Nie lubię sypiać zbyt blisko Południowej Sadzawki, na wszelki wypadek... – Zadrżała.

Pokiwał głową. Peg była oczywiście bezdomna i obłąkana. Cóż, to jednak ulga. Nikt nie uwierzy, gdy dziewczyna powie, że widziała, jak załatwiał się pod krzakiem. Nawet jeżeli rzeczywiście spróbuje o tym komukolwiek opowiedzieć.

Dalej szli w milczeniu. Peg bez trudu dotrzymywała mu kroku, poruszała się z lekkością mocno kontrastującą z ociężałymi skrzypnięciami półbutów sir Edwarda. Wyglądało na to, że zmierzają w jednym kierunku. Trasą, która – teraz, kiedy już jakiś czas temu minęli ostatnią pogrążoną w ciemności farmę – jak uświadomił sobie wielki człowiek, prowadziła prosto do jego domu.

Wspięli się na grzbiet wzgórza i ujrzeli światło salonu jaśniejące w głębokiej niecce doliny niczym ostatni węgielek. Pani France, jego gospodyni, nie położyła się jeszcze spać, robiła na drutach, drzemała, czekała na jego powrót, by móc wreszcie zamknąć rezydencję. Pani France świetnie sobie radziła z bezdomnymi istotami. Koty, psy, a nawet wiewiórki – przygarniała je wszystkie...

Bezdomne istoty. Sir Edward rzucił jeden ze swych niebywale rzadkich uśmiechów – wiedział, że jest bezpieczny i w mroku nikt tego grymasu nie zauważy. Zwrócił się do Peg.

– Jeżeli nie masz gdzie spać – odezwał się – jestem pewien, że moja gospodyni coś dla ciebie wyszuka. o ile rzecz jasna – uniósł surowo palec – twoja uczciwość i przyzwoitość pozostaną bez zarzutu.

– a co to jest przyzwoitość? – spytała Peg.

Zachichotał. Ruszyli razem dalej, ku jaśniejącej latarni domu.

* * *

Następnego dnia, jak to czynił całe życie, sir Edward obudził się wcześniej rano. Przez kilka kolejnych chwil leżał nieruchomo, przyglądał się grającym na zasłonach promieniom świtu, słuchał dolatującej z ogrodu płynnej piosenki kosa. Ten sam ptak odzywał się w każdy piękny poranek, a dziś śpiewał właśnie kolejną wariację na temat swej zwykłej melodii – jak zawsze różniła się nieco pewnymi szczegółami. Cztery główne, wschodzące dźwięki – położone blisko A-H-C-A, po których następował dźwięczny tryl – wciąż się nie zmieniały, acz stworzenie ozdobiło je na dzisiaj rodzajem odwróconej kody –

nadał A-H-C-a lecz prawie w skali mol. Oczywiście, ptasi zaśpiew stanowił jedynie zwierzęcy wyraz panowania nad terytorium i równie daleko mu było do sztuki, jak melodyjce wygrywanej na fujarce przez dziecko w ogrodzie. Był też jednak czysty, nieskalany, pełen różnorodności i inwencji. Życia.

Sir Edward zsunął nogi z łóżka i usiadł, rozmasowując krzyż. Po chwili, gdy ból zmalął do tępego pomruku, a on mógł już wsunąć stopy w kaptcie, powróciły do niego wydarzenia poprzedniego wieczoru. Ta dziewczyna, Peg, musiała być w tej chwili w jego domu – niewątpliwie wciąż spała. o tej porze wszyscy byli jeszcze pogrążeni we śnie. Nawet posługaczki zaczynały rozniecać ogień pod kuchnią dopiero dobrze po piątej. Wielki człowiek ubrał się i dokonał ablucji, jak zawsze przy tym radując się dotykiem zimnej wody na twarzy i dłoniach, pociągnięciami brzytwy, chłodem czystej, białej kamizelki oraz spowijającą go, tykającą ciszą domu. Mógł, oczywiście, zorganizować wszystko tak, by już o tej wczesnej godzinie panowały gwar i ciepło, by rozlegał się brzęk naczyń i pachniało śniadaniem – w końcu był tutaj panem – ale jako notoryczny ranny ptaszek uwielbiał być tym, który wstaje z łóżka jako pierwszy.

Wyszedł na korytarz, zszedł po szerokich, wyłożonych chodnikiem schodach i dotarł do kuchni, gdzie Mina, jego suka, zerwała się na powitanie ze swego posłania. Podrapał spaniela za uchem i wiedząc, że nikt go nie obserwuje, przelotnie pocałował mokry psi nos. Ogień pod kuchnią prawie wygasł, palenisko wciąż jednak było ciepłe, a czajnik był napełniony i gotowy. Nucąc pod nosem kadencję A-H-C-A, postawił go na płycie, ukroił sobie grubą pajdę chleba, posmarował ją tłustym sosem spod pieczeni, po czym zasiadł przed węglami na trójnożnym stołku. Wysoko sobie cenił te wczesne chwile w kuchni, w otoczeniu nikłego pobłysku miedzi oraz zapachów sadzy, krochmalu i wczorajszych potraw, gdy – czując spojrzenie pełnych uczucia oczu Miny – słuchał cichego terkotania czajnika, szykującego się, by zaraz buchnąć parą i zagwizdać. Przypominało mu to mały domek rodziców w Worcester – już dawno temu zrównany z ziemią pod jakąś upiorną budowę – a także długie lata małżeństwa, kiedy to, gdy woda się wreszcie zagotowała, sir Edward podgrzewał i napełniał czajniczek, ustawiał go na tacy wraz z żółtą jak stokrotka filiżanką i spodkiem i niósł na górę przez tonący w półmroku, spokojny dom. Wiedział, że Caroline nie zawsze cieszyła się z tych pobudek, ale wczesne poranki były prawdziwie piękne i stało się to jednym z

rytuałów ich wspólnego życia.

Czajnik zaczął płuć parą. Małeńkie kropelki wody strzelały z dzióbka i wiorowały na płycie niczym derwisze, by po chwili rozplynać się w szarych smużkach. Gwizdek zawył i wielki człowiek chwycił ścierkę, by ująć przez nią metalowy uchwyt, zagrzał imbryk i nasypał do niego porcję herbaty. Teraz już tylko tyle, co dla siebie. Podobnie jak od wielu lat.

z drepcącą mu po piętach Miną, sir Edward przeszedł po posadzce holu, wspiął się na wąskie boczne schody i dalej, przez drzwi do gabinetu na piętrze. Odstawił czajniczek na biurko, pociągnął za frędzle odsłaniające aksamiitne zasłony i długie promienie wczesnoletniego słońca załyły pokój.

a tam, na zewnątrz... Wilgotny, cienisty ogród, miękkie lasy i widniejące za nimi wzgórza, wciąż na poły rzeczywiste wśród świtu. w pewnym sensie stanowiło to dzieło jego życia – było wszystkim, co próbował oddać w sztuce. Wielki człowiek odwrócił się z powrotem do wnętrza gabinetu, gdzie na ścianach wisiały oprawione w ramki nagrody, odznaczenia, dyplomy: te prostokąty wypolerowanego szkła, które – pod takim kątem padało akurat światło – były teraz wypełnione jedynie odbiciami błękitnego dnia i okiennych framug.

Usiadł przy biurku. Dochodziła już piąta, a wraz z nią jego zwykła pora rozpoczęcia pracy. Obyczaj ten sięgał pół wieku wstecz, do czasów z początku małżeństwa, gdy często, gęsto cierpiał niedostatek pieniędzy. w tamtych czasach na komponowanie mógł przeznaczyć najwyżej godzinę dziennie, potem zarzucał na ramiona płaszcz i wychodził, by przez cały dzień nauczać podstaw harmonii bogate, tępe i zupełnie niezainteresowane dzieci. Jego ostatnie, wieczorne lekcje, podczas których miał oświecać pozbawionych słuchu prawników i cuchnących bankierów, ciągnęły się często do dziewiątej lub dziesiątej w nocy. Do domu, do Caroline, wracał z twarzą zdrętwiałą od uśmiechów, z drżącymi dłońmi, z dzwoniącą w uszach fatalnie wykonywaną muzyką – cieszył się jednak z tych drogocennych poranków, one należały wyłącznie do niego. Teraz, już od wielu lat, wielki człowiek mógł uwodzić muzę aż do pory obiadu – a jeśli zechciał, nawet i przez cały dzień. Najbardziej jednak lubił pracować rano. Nawet w najmroczniejsze zimowe dni, w powietrzu o świcie wciąż wyczuwał obietnicę.

Sir Edward przekręcił kluczyk i otworzył szufladę z boku biurka. Wyjął z niej jeden z kilkunastu zeszytów. Na przyklejonej do okładki kartce widniały

rok i data, spisane jego odręcznym charakterem. Ten notatnik miał już – ile to? – pięćdziesiąt lat. Jednym ruchem przewertował pozótkłe stronice, odechnął zapachem kurzu. Wówczas pisał ładniej, bardziej schludnie. Jak wszystko inne – jak zdolność do oddawania moczu – charakter jego pisma stał się przez te lata nieporadny i zduszony. Ale patrzcie; tak, tego właśnie szukał. Odłożył otwarty zeszyt na blat i sięgnął po świeżą białą kartkę nutowego papieru z ryzy, która czekała w pogotowiu w rogu biurka.

w notatniku znalazł motyw, na którym mu zależało. Pamiętał nawet moment, gdy go zapisał. Wydarzyło się to niebawem po pierwszym porządnym wykonaniu jednego z jego oratoriów, przy okazji festiwalu w katedrze. Zebrał wówczas ekstatyczne recenzje i był pewien siebie. Ponadto był zakochany i zaczynał wreszcie zarabiać należyte pieniądze. Mokry poranek w zaparowanej kawiarni w Worcester, z ładną blondwłosą kelnerką trzepoczącą wokół niego i roztaczającym się za oknem widokiem na jasną, wezbraną rzekę. Motyw przyszedł do niego ot tak, po prostu, pomiędzy kolejnymi łykami kawy. Przemknął zbyt szybko, by dało się go prawdziwie usłyszeć, ale pojawił się na pewno, zdecydowanie zaistniał, gotowy i odpowiednio dojrzały, by porwać go z miejsca, w którym powstał, i przenieść do tego świata, by pochwycić go w zeszycie, nim zamkną się na powrót szczeliny w czasie. Sir Edward przyjrzał się mu teraz. Tej długiej, sprężystej melodii. Wznoszącej się, opadającej, meandrującej, lecz przez cały czas pewnej. Wiernej sobie. Podobnej brązowemu nurtowi, który oglądał przez mgliste okna tamtej kawiarni. Motyw płynął przed siebie, nie błędząc ani na moment. Da, da, di...

Odkręcił skuwkę wiecznego pióra. Tak, melodia była równie dobra i żywa jak ją zapamiętał. Idealna do roli tematu drugiej części jego z dawna wyczekiwanej, trzeciej symfonii. Da, da, di... By dodać nieco głębi, zaczynają wiolonczele. Trzeba zachować prostotę, niemniej, warto nałożyć na melodię trójdzwięki drugich skrzypiec. Jednakże pióro wciąż wisiało nad kartką. Warknął zły na siebie za własne lenistwo, prędko postawił klucz wiolinowy i rozpiisał skróty oznaczające główne instrumenty. Tak, kartka trwała już w pogotowiu. Nic wymyślnego, nie ma potrzeby zagłębiać się w zbędne szczegóły. Orkiestra. w pogotowiu. Oczekująca. Da, da, di...

Sir Edward podniósł na moment wzrok. w ogrodzie ponownie rozległa się piosenka kosa. A-H-C-A. Ten prosty, wznoszący się kwadrupelet, rubaszny i jednocześnie niewinny, po którym następuje tryl. Wschodzące słońce rozcią-

gało na trawniku cienie, rozniecało biały ogień na paciorkach rosy, kołyszących się w ciężkich gardzielach kwiatów. a kos śpiewał. Śmiał się.

Wielki człowiek pokręcił głową, próbując odzyskać skupienie. w jakiś sposób rozumiał jednak, że motyw z notesu nie jest jeszcze gotowy. Był pewien, że melodia brzmi dobrze – w końcu, czyż stronice tego konkretnego zeszytu nie wydały już na świat materiału, który wykorzystał do powolnego fragmentu koncertu wiolonczelowego, do tematu Judasza z ostatniego (choć nieukończonego) wielkiego oratorium? – nie miał jednak przekonania czy połączy się z innym motywem, który zamierzał wcielić do drugiej części. Obie melodie pochodziły z różnych notesów, z różnych lat. w zasadzie nie powinno to mieć znaczenia. a jednak miało. w miarę upływu czasu podchodził do swych notatek coraz bardziej przesądnie.

Da di di... Ale tak, problem z połączeniem tematów polegał na wznoszeniu się ku tonice. Pojawiała się w melodii zbyt wcześnie, kierując słuchacza najpierw w jedną stronę, by zaraz potem odciągnąć w inną. Ale poprawienie tego nie może być przecież trudne. Przepisać frazę...

Wreszcie, ze ściągniętymi wargami, wielki człowiek przyłożył pióro do papieru. Da, di di...

* * *

Dolatująca spomiędzy drzew, przez otwarte okno, piosenka ptaka podpowiedziała Peg, że pomieszczenie znajduje się w pobliżu dachu budynku. Świt minął już dawno – jak na jej zwyczaje trwał późny poranek – i całe jej ciało, spowite tym białym lnem, wydawało się dziwne i sztywne. Poprzedniej nocy uparli się też, by wzięła kąpiel. Niemniej, miło było przebywać w tym pokoju, wraz z ludzkimi zapachami kurzu, martwego drewna, starych pajęczyn i jakiejś dziwnej odmiany lawendy – tak blisko dachu i nieba.

Wstała i zaczęła się wić i szarpać swoją koszulę nocną, aż w końcu coś ustąpiło. Wyszła z niej i zajrzała w dół, do stojącej na stole pod oknem miski z wodą. Ujrzała własne odbicie. Czysta, biała twarz i ramiona, czyste rudoblonde włosy. Pochyliła się, musnęła wargami usta odbicia i zacerpnęła wody językiem. Następnie otarła grzbietem dłoni nos, otworzyła drzwi sypialni i zbiegła po wypaczonych schodach.

a na dole, w holu, natknęła się na panią France. Czerwona na twarzy, zarumieniona pod komicznym białym czepkiem gospodyni zaczęła gonić ją z powrotem na górę.

– Nie wiem, w co ty się bawisz, młoda damo – syknęła pani France – ale jestem pewna, że masz dość rozumu, by nie paradować po domu jak cię pan Bóg stworzył...

Oczywiście. Peg wiedziała czym są ubrania – nosiło się je, żeby ładnie wyglądać, lub by powstrzymać chłód – i uległa nawet, gdy pani France przywołała młodą dziewczynę imieniem Dziewucha, by pomogła się jej ubrać.

– Jesteś mniej więcej mojego wzrostu – stwierdziła Dziewucha, co było prawdą, choć spoglądała na Peg takim wzrokiem, jakby od urodzenia ani razu nie widziała różowego, zdrowego ciała.

Gdy Peg już się odziała, Dziewuczyna zaprowadziła ją przed wiszące w holu lustro i Peg ujrzała w nim młodą, ludzką kobietę, podobną do tych, które często obserwowała wysiadające z powozów i samochodów. Kobietę odzianą w błękit i biel, z całkowicie zasłoniętymi rękami i nogami. Nie mogła się nie roześmiać.

* * *

Drzwi gabinetu na piętrze stały otworem i pani France wniosła tacę ze śniadaniem sir Edwarda, składającym się z bekonu, kawy, dżemu i grzanek. Wielki człowiek zapewne nie zje wiele – nigdy nie jadał dużo – aczkolwiek ich wspólnym, choć przemilczanym sekretem pozostawał fakt, że codziennie rano ginęła z kuchni pajda chleba i nieco sosu spod mięsa.

Pani France ustawiła tacę na biurku, zabrała pustą filiżankę, lecz nie wyszła. Odchrząknęła.

Zmagając się z nieodpartym przecuciem, że zaraz wydarzy się coś dziwnego lub złego, sir Edward podniósł wzrok znad pustej pięciolinii, w którą wpatrywał się już od jakiegoś czasu.

– o co chodzi, pani France? Donieśli może pocztę?

– Owszem, ale nic od doktora Waltersa.

Skinął głową, niepewny, czy doznał rozczarowania, czy ulgi. Wszelka korespondencja stanowiła niepożądaną uciążliwość i rozpraszała go przy pracy, ale jakiś czas temu zaordynował, by listy z Harley Street przynoszono mu bezzwłocznie.

– Więc, hmm, ta młoda dama, którą pan, ekhem... – pani France gwałtownie zamrugła, jej twarz poczerwieniała jeszcze bardziej niż zwykle – ... raczył ze sobą zeszłej nocy przyprowadzić...

– Och, ma pani na myśli Peg. – Czyli nie stało się nic gorszego. – Chce

się pani zapewne dowiedzieć co z nią począć?

– Proszę pana, nie jestem pewna, czy u niej pod sufitem jest wszystko w porządku. Wydaje się bardzo... cóż... chętnie użyłabym słowa „dzika”. Nie sądzę, by była szkodliwa lub zła, ale zachowuje się jak młode zwierzę. Nie wydaje mi się, by odebrała jakiekolwiek wychowanie.

z wolna pokiwał głową. Młode zwierzę. Korciło go, by wypytać panią France o szczegóły, lecz pomyślał o zachowaniach właściwych młodym zwierzętom i – chcąc oszczędzić gospodyni dalszych rumieńców – zrezygnował.

– Czy powiedziała, gdzie ma jakiś dom?

Pani France obdarzyła wielkiego człowieka jednym ze swoich sławetnych, znaczących spojrzeń. Przez długie lata, podczas których dla niego pracowała, sir Edward stał się ekspertem w dziedzinie subtelnych i często niepokojących zawilości języka mimiki gospodyni. Ta konkretna mina, odczytał, znaczyła: „To pan sprowadził tutaj tę istotę – i to pan powinien odpowiadać na wszelkie dotyczące niej pytania”.

– Mówi, że nie ma w ogóle, proszę pana – odpowiedziała pani France po chwili. – Twierdzi, że mieszka w lasach, i skłaniam się ku temu, by dać jej wiarę, aczkolwiek nigdy wcześniej jej tutaj nie widzieliśmy.

– Nakarmiła ją pani?

– i umyłam. w kuchni zapanował przez nią niemały harmider. Wszystko się opóźniło. w takiej sytuacji nie mogę chyba pozwolić, by swobodnie chodziła po całym domu, prawda? Wszyscy mamy przecież swoje obowiązki.

– Rozumiem. – Wielki człowiek złożył palce w piramidkę i przytaknął ruchem głowy. – Widzę, że ma pani... – gospodyni ostrzegawczo ściągnęła brwi – ...to znaczy, że mamy problem. Ale chciałbym z tą dziewczyną jeszcze porozmawiać. Kłopot tylko w tym, że... – Popatrzył ponad ramieniem pani France na wiszący nad biblioteczką połączony zegar z mosiądzu. Już za kwadrans szósta. – Będę mógł się nią zająć najwcześniej w południe. Muszę się trzymać rozkładu dnia.

– Oczywiście.

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Może do tego czasu ulokuje ją pani w ogrodzie? Tam nie będzie w stanie niczego popsuć, nieprawdaż? Proszę jej dać płaszcz czy cokolwiek. i coś do jedzenia. Spotkam się z nią tam, gdy tylko skończę pracę.

– w ogrodzie... – Pani France znów zrobiła jedną ze swych min. – Rozu-

niem też, że mam porozmawiać z panem Grovesem i uprzedzić go, że ta dziewczyna będzie się swobodnie przechadzać wśród jego roślin i sadzonek?

– Jeśli byłaby pani tak uprzejma, pani France... – By uniknąć kolejnego karzącego spojrzenia, spuścił wzrok na leżącą przed nim kartkę. – Jeżeli byłaby pani tak uprzejma.

Pani France stała nad nim jeszcze przez chwilę. Wreszcie, z wymownym milczeniem, odwróciła się i wymaszerowała z gabinetu.

* * *

Peg wyszła do zalanego słońcem ogrodu. Zdjęła pończochy i buty, które dostała ledwie chwilę temu, ustawiła je na progu – tak pozostawione obuwie widywała wcześniej przy innych ludzkich siedzibach. Poza zasięgiem rzucającego przez dom cienia szeroka kamienna ścieżka była już sucha i ciepła pod jej bosymi stopami, a wysoki mur z czerwonej cegły, wyciągający się ku szklarniom, jaśniał prawdziwym ogniem w miejscach, gdzie nie przesłaniały go kołyszące się pasma kapryfolium, pachnącego groszku i bluszczu.

w powietrzu panował chaos ptasich piosenek. Gdzieś dalej przy ścieżce krzykliwie wytyczał granice swego terytorium kos, ukryty wśród zielonych i ciężkich konarów dębu. Dam di di... a w bliższym sąsiedztwie rozlegało się szybsze, lżejsze nawoływanie drozda. Chodziła tu i tam. w oszołomieniu, z podziwem. To był naprawdę cudowny letni poranek.

Zeskoczyła z chodnika, przykłękała i przeciągnęła dłońmi wśród mokrej trawy, po czym uniosła palce do ust i zlizwała klejące się do nich klejnociki rosy. Smakowały cieniem, zielenią i ziemią – wciąż dawało się w nich wyczuć gwiazdne tajemnice nocy. Mimo całego tego dżemu i masła jakie dostała od Dziewuchy i pani France, Peg znowu poczuła się głodna.

* * *

Po ponad sześciu godzinach od rozpoczęcia pracy sir Edward odłożył wreszcie pióro. Oczekująca na skraju blatu sterta czystego papieru nutowego nieco stopniała. Stojący po drugiej stronie biurka kosz na śmieci zapełnił się po brzegi. a pośrodku, na podkładce z oprawionymi w skórę rogami, leżała kartka, którą właśnie zapełnił.

Przyglądał się odmienionej melodii. Kuśtykała pomiędzy kluczami wiolinowymi, na przestrzeni kilku taktów zmieniała kierunek i ton trzy lub cztery razy. a oryginalny, wartki, nieskazitelny motyw, który odnalazł w zeszyt... Teraz, gdy mu się przyglądał, nie czuł już wcześniejszego przekonania. Zła

melodia? Może właśnie na tym od początku polegał problem.

Tak czy inaczej, teraz to wszystko minęło – kolejny poranek dobiegł końca, zmarnowany. i chociaż w gabinecie panował jeszcze chłód, na zewnątrz ptaki już umilkły, uciszone żarem południa. a trzecia symfonia wciąż czekała. Nierozpoczęta. Niewyśpiewana. Spojrzał na ścianę, na której, w późnoporannym słońcu, w ramach nie odbijał się już widok zza okna. Oto certyfikat potwierdzający jego tytuł szlachecki. Oto program koncertu zagranego w obecności Jej Świętej Pamięci Wysokości Królowej, składającego się wyłącznie z jego utworów. Oto doktorat honoris causa (jeden pośród wielu) z Oksfordu. Oto on sam – podaje przed obiektywem aparatu rękę swemu dawnemu przyjacielowi i wielbicielowi Richardowi Straussowi (który obecnie trwonił swe talenty na pompatyczną i haniebną muzykę pisaną dla tego nowego pompatycznego i haniebnego kanclerza Niemiec). Oto piękny złoty medal od Królewskiego Towarzystwa Filharmonicznego (niestety, nie pamiętał już, za co go otrzymał). Oto pierwsza recenzja z „Timesa” opiewająca utwór nazwany przez krytyków jego pierwszym wielkim arcydziełem (teraz dość często powtarzano, że było zarazem jego jedynym). Już wówczas zastanawiano się nad zagadką i pochodzeniem motywu przewodniego. i jeszcze coś i jeszcze. i jeszcze. Wszystko to oddałby bez wahania za jedną dobrą, nową melodię. Za kolejną tajemnicę. Za chwilę jak tamta dawno miniona, w ów deszczowy poranek spędzony przy kawiamianym stoliku w Worcester.

Przewracał kolejne strony zeszytu. Mijały miesiące i lata. Oto coś, co napisał w Wenecji, powolny, dostojny marsz stanowiący fundament jego pierwszej symfonii. Pamiętał, jak słońce igrało na starożytnych falach, gdy siedział na balkonie hotelu Daniela. Pamiętał dźwięk dzwonów Campanile rzeźbiący w rozwodnionym złocie powietrza. a tutaj, na kolejnej kartce, w ledwie dwóch taktach wyblakłego atramentu zobaczył sosny na szkockim wzgórzu, kołyszące się w ciepłym oddechu letniego powietrza. a tutaj pachnąca świecami ciemność katedry w Worcester. Melodie i motywy były wszystkie pośpieszne, naszkicowane bez jednej zbędnej szesnastki, spisane na kolanie, a jednak muzyka dawała się wówczas chwycić z łatwością i precyzją. w tym notesie zawierało się wszystko. Całe lata muzyki czekającej dawniej na rozwinięcie i odkrycie. Znowu obrócił stronicę i ujrzał ciemny zimowy zmrok. Skutą lodem rzekę. To także zostało wykorzystane. Koncert wiolonczelowy – ostatni prawdziwy i przyzwoity utwór, jaki wyszedł spod jego pióra. Każdy

porządnym fragmencie i chwila z zeszytu zostały już zużyte.

Zatrzasnął okładkę i wyjrzał przez okno. Zauważył na trawniku tę dziewczynę, Peg. Znajdę. Wirowała, tańczyła w niebieskiej sukience. Rudoblonde włosy rozsypywały się wachlarzem w promieniach słońca. Twarz uniosła ku niebu.

* * *

Pani France, ukończywszy swój południowy obchód domu – podczas którego sprawdzała, czy pokojówki zdążyły uporać się ze wszystkimi zadaniami, nim Jego Zręczliwość raczy wychynąć z gabinetu – zeszła tylnymi schodami i ruszyła obejrzeć swoje znajdy. Na moment przystanęła na dziedzińcu przed stajnią, zatrzymana bijącymi od bruku falami upału i powracającym gniewem na Jego Zręczliwość, za to, że miał czelność sprowadzić do domu takie stworzenie.

„Ona jest zupełnie jak pani znajdy, pani France” – oświadczył zeszłej nocy w holu, gdy ten jego pies szczekał i warczał, a owa Peg stała tuż obok, szczerząc się i zasmradzając cały dom. Jakby tego pokroju młodą dziewczuchę można było w jakikolwiek sensowny, rozumny, rzeczowy sposób porównać z biednymi, osieroconymi jeżami, ptaszkami o złamanymi skrzydłach lub rannymi królikami, jakich doglądała w klatkach w ogrodzie za murem...

Pani France nadęła policzki i przeszła przez podwórko, żywo skrzyła prosto pod łukowatą bramę, skąd wychodziło się poza inspekty i piwniczkę na ziemniaki. Cóż, całe szczęście, że w tej chwili ta bezwstydną, małą latawicę przebywała w ogrodzie, gdzie raczej nikomu nie mogła zaszkodzić. Gospodyni miała wielką nadzieję, że Jego Zręczliwość odzyska rozum i jeszcze przed wieczorem odeśle przybłądę precz. w końcu to do niego niepodobne. Ostatnio nie wykazywał większego zainteresowania nikim ani niczym – poza, oczywiście, swoim psem. z pewnością nie był też na tyle dumny, by pozwolić zamieszać sobie w głowie jakiejś taniej, małej uciekinierce ze wsi. Nie – uznała pani France – to wysoce nieprawdopodobne. Był na to zbyt wielkim snobem. Niemniej, bez względu na wszystko, nie miała zamiaru po raz kolejny znosić podobnych scen jak ta dzisiejsza w kuchni, przy śniadaniu. Nie dość, że dziewczyna nabierała masło i dżem palcami, to potem jeszcze wypuła smażone nerki jak dwuletnie dziecko i zaczęła narzekać na to, że są ugotowane, dacie wiarę?

Gdy pani France szła po zwirowej ścieżce wiodącej obok głównego ogro-

du, podbiegł do niej pies Jego Zręczliwości. Kucnęła i przez chwilę drapała zwierzaka za uszami, udając przy tym czułość, ponieważ obecność psiska najczęściej zwiastowała rychłe pojawienie się Zrzędy we własnej osobie. Spojrzała jednak w kierunku domu, następnie na rozedrgany trawnik, stwierdziła, że nikogo w pobliżu nie ma, i odepchnęła od siebie skomlącego, śliniącego się stwora.

Pies pobiegł z podwiniętym ogonem do domu. Pani France wyprostowała się. Akurat kiedy miała ruszyć dalej, tuż za szeregiem buków po drugiej stronie ogrodu ujrziała dwie postacie. Falowały w upale niczym zjawy, lecz nie można było nie poznać kapelusza i laski Jego Zręczliwości oraz tej dziewczyny. Spacerowali. Razem. Na oczach gospodyni przeszli przez furtkę w płocie, wkroczyli do lasu i zniknęli. Wtopili się w cień.

Pani France westchnęła, pokręciła głową i poszła dalej rozgrzaną, zwirową drózką. Jakie w zasadzie ma znaczenie co On robi teraz? i tak, kiedy wieczorem przeczyta recenzję w „Timesie”, którego egzemplarz właśnie wyprasowała, wpadnie w paskudny nastrój. „Utwór ciężki, bezładny, staroświecki”. Nie to, by się na tej jego sztuce znała – większość utworów trwała stanowczo za długo – lecz zawsze podobał się jej taki jeden marsz i kilka melodyjek, które nazywał swoją kawiarnianą muzyką. Niektóre z nich prawie dało się zanucić.

Jednakże ta pora dnia należała przecież tylko do niej i pani France postanowiła nie myśleć więcej o Jego Zręczliwości, ani o niczym co wiązało się z prowadzeniem domu. Za cisowym żywopłotem leżał otoczony murem ogród, a w nim, w cieniastym zakątku wśród tymianku i mięty, czekały zbudowane specjalnie dla niej przez pana Grovesa klatki ze znajdami.

Gdy tylko skręciła za mur, natychmiast poczuła, że coś jest nie w porządku. Drzwi klatek stały otworem, a wraz z wonią mięty i tymianku, w ciepłym powietrzu niósł się znajomy, słodko-kwaśny zapach – ten sam aromat, który panoszył się w kuchni w te dni, kiedy zajmowała się sprawianiem i rozwieszaniem dzicyzny. Gdy przykucnęła nad bezwładnymi kształtami, które leżały w rzadkiej trawie przy klatkach, rozległo się głośne brzęczenie chmar spłoszonych much.

Jej znajdy zostały brutalnie wypatroszone i oskórowane. Na pół pozarte. Martwe.

* * *

Sir Edward zamknął furtkę na haczyk i wszedł za Peg do mieniącego się

plamami światła lasu.

– Jesteś bardzo sławny, prawda? – spytała.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Niektórzy mogliby tak powiedzieć. – Nie skłamał. Wciąż byli i tacy.

– i bogaty?

– To też. Według wielu miar.

– Ile pokojów masz w tym swoim domu?

– Nie wiem. Wątpię czy kiedykolwiek odwiedziłem wszystkie.

– Gdybym miała duży dom – powiedziała Peg – zaglądałabym do nich bez przerwy, żeby się upewnić, czy nie zniknęły.

Wielki człowiek zachichotał, machnął laską ze srebrną główką i spojrział przez korony drzew na rozbłyskujące słońce. Często chodził tędy na spacer z Miną – która dzisiaj, co mało rozumiała, gdzieś się zawieruszyła – jednak przechadzka z tą Peg sprawiała, że wszystko wydawało się nieco inne, ździebko bardziej prawdziwe. Obrzucił dziewczynę przelotnym spojrzeniem. Miała oszałamiająco niebieskie oczy i niewiarygodnie czerwone usta. a jednak nie stosowała pudru ani barwników, żadnych tego rodzaju sztuczek. Jej długie włosy nie były ani blond, ani kasztanowe ani rude, lecz przetkane rdzą cieni, słonecznym blaskiem...

Wielki człowiek pociągnął za koniuszek wąsa i spojrział przed siebie na miłą, zieloną ścieżkę. Tracę na starość rozum – napomniał się. a ta cała Peg była po prostu jeszcze jedną ładną buźką z ładnym ciałem, obdarzoną ulotnym błogosławieństwem zdrowia i młodości. w końcu – ku zdumieniu się od czasu do czasu chwilom rozczarowania Caroline, swej żony – przez całe życie był konieserem tych spraw, wielbicielem i znawcą piękna. Piękna w muzyce. Piękna w przyrodzie. Piękna w kobietach. Zawsze tak było, nawet wówczas – co sobie właśnie przypomniał – dawno temu w tej pamej kawiarni w Worcester, gdy siedział z gazetą i filiżanką kawy. Tak, chwilę przed tym, jak przemknęła obok niego owa długa, miękka, śliczna melodia, przyglądał się uroczej, jasnowłosej kelnerce. Tak. Obejrzała się, rzuciła mu ponad gwarem stolików uśmiech swych oczu i w tym samym momencie uobecniła się muzyka. Musnęła go swymi palcami, naraz ciepłymi i lodowatymi.

– z czego jesteś tak bardzo znany? – podjęła Peg.

– z muzyki – odpowiedział i przeszedł ponad sterczącym korzeniem. Pomasażował się po krzyżu i spróbował sobie przypomnieć ostatni raz, gdy mu-

siał prowadzić podobną rozmowę. – Komponuję melodie.

– Mógłbyś mi jakąś zaśpiewać?

Życzenie nie było niewykonalne – miał niemal ochotę zaryzykować i poświęcić się swym wyschniętym, spękany głosem – ale jedyną pieśnią, jaką znajdował w tej chwili w głowie było „Jezusie, Maryjo, u bram śmierci stoję” – trudny, raczej niedoceniony utwór, który tutaj, w południe, w samym sercu zielonego, leśnego lata, okazałby się wysoce nie na miejscu.

– Może kiedy wrócimy do domu. Zagram ci coś na fortepianie. Wiesz co fortepian?

– To taka duża harfa.

i znowu się roześmiał. Przytaknął skinieniem. Wszystko, co ta dziewczyna mówiła, było wewnątrz i nieodmiennie prawdziwe, a mimo to zupełnie zaskakujące. Duża harfa! Być może, gdyby zaczął myśleć o fortepianie w ten sposób, zdołałby nawet coś na ów pokraczny, brzęczący instrument skomponować, co zresztą od zawsze doradzali mu wydawcy z Booseysy. Pomysł jednak zawisł gdzieś w cieniowym upale, poza zasięgiem. Przyszedł dziesiątki lat za późno.

Wielki człowiek rozejrzał się dokoła. Nie zauważył, że ścieżka odbiła w którymś momencie w bok. Ptaki milczały. Powietrze było tu rozgrzane i nieruchome, lecz światło falowało i tańczyło na pokrytej wzorem liści ziemi, gdyż wierzchołki drzew targał leciutki powiew. Przed nimi wszystko jakby się rozpląwało, traciło konkretność. Pomyślał, że tak musiałyby wyglądać serce zielonego płomienia.

– Czy ta droga prowadzi do twojego domu? – zapytał.

– Mówiłam ci. Mieszkam w tym lesie.

– w tym lesie? Czy on nie jest czasem, hmm, własnością prywatną? To znaczy, ja mam przyjemność znać lorda Shrewsbury, jest moim przyjacielem i pozwala mi tędy spacerować do woli. To jednak zupełnie co innego, niż mieszkać tu na stałe, nieprawdaż?

Poza tym, dlaczego nigdy wcześniej jej tu nie spotkał? To jednak byłoby o jedno pytanie za dużo. Zapewne chodziło jej o lasy w ogóle.

Peg jedynie wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie widziałam lorda, o którym wspomniałeś.

– Rozumiem. Tak też sądziłem.

– Ale pokażę ci moje ulubione miejsce.

- Chętnie je odwiedzę.
- Tylko że ono nie należy do mnie – dodała Peg niepotrzebnie.
- Oczywiście.
- Nazywa się Południową Sadzawką i nie należy do nikogo.
- Jeśli chcesz – sir Edward zachichotał i podkręcił lewy wąs – zaraz przy następnej okazji poinformuję o tym lorda Shrewsbury.

Szli dalej. Pod gałęziami i konarami pazury głogu pokrywały się białymi kłaczkami, a intensywnie zielone plamy paproci wyglądały jak artystycznie kute rzeźby. Niemniej, mimo wielu lat spacerów, tej konkretnej ścieżki nie znał zupełnie. Nie uznał odkrycia za niepokojące, raczej przyjemne. Tak już było z lasami – nigdy nie pozwalały się poznać tak dokładnie, jak otwarte pola. Tyle że ta działka obejmowała ledwie kilka akrów: wystarczyło pójść prosto w dowolnym kierunku, a po niedługim czasie zawsze trafiało się na ogrodzenie.

Tędy. Poszedł w ślad za Peg w dół łagodnego zbocza, w którym drzewa utworzyły coś w rodzaju schodów. Korzenie były grube i sękaty, unosiły się ponad porośniętymi mchem wykrotami. Same pnie z kolei – zauważył to, kiedy przystanął dla nabrania tchu, w miejscu gdzie zbocze stawało się bardziej strome i przechodziło w rodzaj wąskiego wąwozu – były wiekowe, pokryte guzami i żyłami pasożytniczych narośli. Nie widział wśród nich nowo przybyłych gatunków w rodzaju sykomorzy, orzecha włoskiego bądź kasztanowców. Tutaj rosły wyłącznie dęby. Kłaniające się ze starości.

– No chodź!

Peg wyprzedziła go już spory kawałek. Nawoływała i machała ku niemu spośród języków zielonego ognia. Jej białe ramiona, biała twarz, rozmigotane złoto włosów. Wielki człowiek podparł się na białej w załom korzeni łasce i, czując ponownie wzbierający w krzyżu ból, ruszył dalej w dół.

Kiedy wreszcie zrównał się z Peg, dziewczyna stała na brzegu wodnego oczka, aczkolwiek jeszcze przez pewien czas zmysły sir Edwarda były zanadto zmęczone, by w pełni wchłonąć całą scenę. Usiadł na wygodnym głazie i poszukał w kieszeni chusteczki do otarcia czoła. Tutaj, w tej zielonej niecce, panowała intensywna cisza, a powietrze było jeszcze bardziej rozgrzane i nieruchome niż na górze. Tak, trzeba zdjąć marynarkę. Zebrał konieczne do tego siły, rozpiął guziki i ściągnął szybko wilgotniejącą tkaninę z piersi i ramion. Och. Lepiej...

– Nie jesteś do tego przyzwyczajony, prawda?

– Nie. Już od wielu lat. Za młodościowych czasów chadzałem na wielomilowe wędrówki, ale...

Obrębione naparstnicą, wiązówką i jaskrawo żółtymi irysami masywne gałęzie dębów zwieszały się nad zajmującym środek polany stawem. Sir Edward odłożył płaszcz i laskę, dźwignął się z kamienia i ruszył, brodząc w dywanie mchów. Stał na wychodzącej w wodę skałce i zajrzał w toń. Lustro sadzawki było równie znieruchomiałe jak cały dzień. Ani jednej falki, ani zmarszczki. Woda była doskonale przejrzysta. Pod odbiciami jego twarzy, wyciągających się konarów, które próbowały dotknąć i objąć niebo, widział toń. Głęboką, bardzo głęboką. Miejsce, gdzie przejrzysta zieleń ustępowała błękitowi, potem srebrzystej szarości i wreszcie ciemnościom. Nie było śladu strumienia, źródła czy zdroju. Woda musiała tryskać w jakiejś niebywalej, niewidocznej głębinie.

Znowu usiadł. Tym razem na mchu. Był wystarczająco miękki i wcale nie mokry. Prawdę powiedziawszy, okazał się zaskakująco wygodny. Peg przysiadła obok.

– Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłaś – powiedział. – Wiesz, sam nigdy bym się nie domyślił, że jest tu takie miejsce.

Rozejrzał się ponownie, zacerpnął w płuca głęboki haust letniego powietrza. Ostry zapach kaliny. Chłodna, nieruchoma tafla stawu. Miętowa, leśna ciemność. Wrotycz i powój. i jeszcze coś dzikiego, niezidentyfikowanego.

– To miejsce zasługuje na poważne naukowe badania – usłyszał własny głos. – Druidzi, Rzymianie, Celtowie, wszyscy oni uwielbiali tego rodzaju zakątki. Muszę napisać do lorda Shrewsbury i poinformować go o możliwościach. Oczywiście, znany jest też obóz Malvern i tamtejsze źródła, wspomniane w pismach Juliusza Cezara. Może tu istnieć jakiś związek. Jestem pewien, że gdyby zainstalować odpowiedni sprzęt, z wielkim prawdopodobieństwem znalazłoby się tu...

Peg przyglądała mu się, siedząc jak Hinduska ze skrzyżowanymi nogami, bose stopy wcisnęła pod uda, rękawy miała podwinęte.

– ...znalazłoby się...

Rudozłote kaskady jej włosów. Oczy barwy odbijającego się w stawie nieba, błękitne, połyskujące jakimś odległym mrokiem.

– ...odkrylibyśmy...

Żyłka w zgięciu ramienia. Przypominające dojrzałe jabłka kolana, krągłe i nagie.

– Spójrz – powiedziała, sięgając tuż obok niego w trawę.

Ponownie wyczuł ten dziki zapach. Zerwała coś rosnącego w splątany poszyciu. Zauważył w jej dłoni czerwień. Wśród zieleni było takich czerwonych plamek więcej, skrzyły się niczym rozsypane rubiny. Jeden z tych klejnocików włożyła sobie do ust, ujrzał na jej wargach i zębach szkarłatny sok, zobaczył, jak przy przełykaniu drga jej gardło.

– Poziomki?

Skinęła głową i otarła usta. Gdy ponownie wyprostowała dłoń, widniała na niej smuga soku. Pod paznokciami miała czerwone półksiężycy.

– Są słodkie?

– Spróbuj.

Wyciągnął rękę, lecz ona ją ominęła i podała mu owoc prosto do ust. Poczł się ciężki, ciepły i zobojętniały. Jak powietrze. Rozchylił wargi i palce dziewczyny musnęły jego wąsy, dotknęły zębów, języka. Przyjął niewielką kulkę i smak rozlał mu się w ustach, a wraz z nim woń jej palców, futra, soli, siana i lnu. Zamknął usta i oczy. Poziomka była kwaskowata i słodka. Kropelka krwi lata.

– Smakuje?

Skinął głową i poczuł że oblewa się głębokim rumieńcem; zawstydzila go intymność chwili, zawstydzila, a jednocześnie niemal wzruszyła do łez. Peg zerwała i zjadła kolejną poziomkę, następną podała jemu. Sok, woń jej palców, milcząca polana w leśnej niecce...

Moment był – mimo całej swej niezwykłości – magiczny i wielki człowiek poczuł, że część jego umysłu zaczęła natychmiast obłąkańczo szukać, drążyć. Ciężko pracowała. Może jeszcze jedna serenada na smyczki? „Dziki poziomki”? „Ukryta polana”? Mógł nawet zaryzykować i zadedykować utwór tej dziewczynie, byle nie w nazbyt oczywisty sposób. Enigmatyczna dedykacja, by krytycy mieli się nad czym głowić. Już ich widział, siedzących w Royal Albert Hall, zdumionych gorącym, młodzieńczym nurtem kompozycji.

Peg położyła się na plecach. Włosy rozsypały się na mchu. Sir Edward spojrzał na nią z góry. w miejscu, gdzie spódnica odsłoniła prawą nogę dziewczyny, widział uroczy łuk nagiego uda. Próbował myśleć o nim w kate-

goriach marmurowej doskonałości, klasycznego ideału piękna – w sposób, w jaki mógłby o nim opowiadać artysta – lecz zdawał sobie sprawę, że jest to coś więcej.

– Czasami można w środku dnia zobaczyć gwiazdy – odezwała się. – Tam, w górze, pomiędzy drzewami. Tylko trzeba leżeć zupełnie nieruchomo. i bez słów...

Pokiwał głową. Czuł napierający mu na pierś i ramiona ciężar dnia. Ostrożnie zginając łokcie, złożył głowę obok Peg, na miękkim mchu, i popatrzył na wskroś wiekowych konarów, próbując dostrzec południowe gwiazdy. Przemknęło mu przez myśl, że to, co właśnie powiedziała, jest w zasadzie możliwe. Jakiś efekt optyczny wywołany przez cienie polany. Pisarze od czasów antyku – nieproszony rozbrykał się jego umysł – notowali podobne zjawiska, występujące podczas obserwacji nieba w bezchmurny dzień z głębi kopalnianego szybu lub ze studni...

Zrezygnował, nadal widział jedynie gałęzie i błękit południa, nie słyszał nic poza gwarem bezużytecznych faktów we własnej głowie i czuł wyłącznie tępy, palący ból pleców. Wielki człowiek zamknął oczy. Ach, jakże pragnął tworzyć, przebić się przez to, co nosił w sobie. Niekiedy, całymi dniami bądź nawet tygodniami trwał w złudzeniu postępów. w szufladzie poniżej tej, w której przechowywał zeszyty, zebrał pokaźną kolekcję szkiców i zarysów. Udało mu się nawet w pełni zorkiestrować jeden lub dwa pasaż, aczkolwiek już wówczas wiedział, że po prostu bawi się kompozycją, tworząc coś, co mógł pokazać gościom i wykorzystać do fortepianowych improwizacji.

Nie to, że muzyka kiedykolwiek przychodziła do niego bez trudu – zawsze jednak była obecna. Nawet przez owe długie lata, gdy musiał polegać na zapiskach z notesów, zawsze było coś poza ciszą, coś z czego mógł czerpać. a teraz, w tym podeszłym już wieku, w okresie, o jakim zawsze sądził, że okaże się czasem spokoju i spełnienia, potrzeba tworzenia płonęła bardziej intensywnie niż kiedykolwiek. Gorąca i jasna jak to południowe słońce, wszechogarniający ogień trawiący jego kości. Często siedział po prostu nieruchomo przy biurku, całymi godzinami drętwiejąc ze strachu, gniewu i zazdrości, gdy przypominał sobie dawne czasy, kiedy muzyka przelewała się przez niego równie swobodna i klarowna jak nurt jego ukochanej rzeki. Czerpał z niej wówczas, chwycił ją w potrzask, a pióro wprost tańczyło po kartce. Muzyka wypływała z niego, rozlegała się śpiewem w jego głowie, kiedy czekał na pe-

ronie na pociąg, tańczyła ze skrzydłami ciem, gdy rozmawiał ze znajomymi i z obcymi, rozbrzmiewała w wietrze, kiedy spacerował ze swoją Caroline, płynęła z oczu kelnerki, gdy siedział z gazetą wśród ciepłych oparów w kawiarniach w Worcester.

Całe jego życie, od wieku zbyt dziecięcego, by mógł te czasy pamiętać, podlegało dyktatowi owej potrzeby tworzenia, komponowania. Wszystko, każdy dźwięk, widok, każda emocja przechodziła przez filtr tej żądy. Nawet na ślubie pokonał zdenerwowanie, słuchając powtarzającego się raz po raz dysonansowego środkowego C rozstrojonych kościelnych organów. a potem dyscyplina i wymagania pracy rządziły czasem, jakim dysponował dla dzieci. Zawsze też istniały te wczesne poranki, świąty, praca, którą należało wykonać do południa, oraz listy i książki do przestudiowania. Wszystkie wrażenia, każde mrugnięcie, oddech i uderzenie serca były wtedy wchłaniane i miażdżone przez potężne tryby jego wielkiej, muzycznej maszyny. Podejrzewał wówczas, że Bóg w swej szczodrości obdarzył go w równych proporcjach zarówno popędem kreacji, jak i wrodzonym ku temu talentem. Teraz jednak maszyna wciąż mełła, trzecia symfonia czekała, lecz ich spazmy dręczyły go, rozdzierały. a Bóg – jeśli w ogóle istniał – śmiał się, rechotał.

Wielki człowiek otworzył oczy i ponownie spojrzął na słońce i niebo i kłaniające się wiekowe drzewa oraz na leżącą obok złotowłosą dziewczynę i spróbował przypomnieć sobie czasy, gdy zebrani na widowni słuchacze naprawdę słuchali, nim zaczęli klaskać, kiedy recenzje były przychyłne, a na salach koncertowych zapełniała się więcej niż połowa miejsc. Niemniej, nawet w tamtych dniach istniało pewne poczucie nierzeczywistości, niedowierzania – a ponad wszystko istniała wiedza, że to nie będzie trwać wiecznie. Cóż to za cecha mojej natury, zastanawiał się wielki człowiek. Dlaczego za każdym razem, gdy coś osiągam, mam od razu wrażenie, że spoglądam już wstecz?

Pytanie zawisło bez odpowiedzi w gorącym południowym powietrzu – na niebie ponad drzewami i pomiędzy gwiazdami, które przez jedną ulotną chwilę wydało mu się, że dostrzega. Potem jednak mrugnął i gwiazdy stały się mroczkami w jego oczach, a w zielonej niecce nie panowała już cisza, tylko rozległ się najpierw tupot stóp Peg, a potem coś zaszemrało, pociekło.

* * *

Kucając, by się załatwić na kamieniu wychodzącym w Południową Sa-

dzawkę, Peg przyglądała się staremu mężczyźnie, który ocknął się właśnie ze swej krótkiej drzemki. Podobały się jej jego sumiaste wąsy i oczy, i wielki orli nos. Przypominał jakieś zwierzę z arystokratycznego herbu. Był jednak smutny, to również dostrzegła i domyślała się, że to co najmniej część powodu, dla którego ją do tego człowieka ciągnęło, aczkolwiek wciąż nie miała pojęcia dlaczego.

Oto i on, podnosi się, wspierając na rachitycznych kościach, patrzy na nią, zauważa, co ona robi, odwraca się. Ta cecha ludzi wprawiała ją w największe zdumienie, ich bezustanne pragnienie, by znaleźć się gdzie indziej niż akurat są. a coś takiego było przecież niemożliwe, nawet dla niej, nawet kiedy fruwała jeszcze na cienkich jak pajęczyna skrzydłach, którymi obdarzały ją snute przy ogniskach opowieści przodków starego mężczyzny. Zmieniać można ciało, ono jest zbędne i wymienne, ale duch? Ach, ten może istnieć tylko w jednym miejscu.

Zielony las kurczył się – umierał – i Peg wiedziała, że wkrótce zamiast niego pojawią się tu pola, a potem, po niedługim czasie, powstanie tu zielony przestwór, na którym ludzie z kijami będą się uganiać za małą białą piłeczką. a jeszcze później zieleń zmieni się w brąz i wydarzą się rzeczy, których nie ukazywała jej nawet własna zdolność do oglądania przyszłości. Traktowała jednak tę perspektywę bez smutku. Bezruch Południowej Sadzawki pozostanie w niej na zawsze i na pewno pojawią się inne istoty, jakich kształt będzie mogła przybrać, inne mity do wchłonięcia...

* * *

Zaskoczony i skrępowany widokiem, wielki człowiek dźwignął się ze swego mszystego łoża i odwrócił. Ból szarpnął pazurem jego kregosłup. w oczach stanęły mu białe plamki i punkciki. Konary drzew migotały i falowały w gorącym powietrzu.

– Już – usłyszał za sobą głos Peg i szemranie bosych stóp w trawie.

Odwrócił się sztywno.

– Jak długo spałem?

– Czy to ważne? – Wzruszyła ramionami. Jej oczy, rozmigotane jak las, były pełne blasku i ciemności.

Rozejrzał się w poszukiwaniu płaszcza i laski. Wyminął dziewczynę i zauważył strumyczek wijący się po kamiennym, wyciągającym się ku sadzawce cypelku, a także nikłą żółtawą chmurkę w wodzie. Nie licząc tego, Południo-

wa Sadržawka była teraz jeszcze bardziej ciemna i przejrzysta. a jednak, coś tam...

Pochylił się i spojrział w głąbiny. Daleko poniżej coś szarego i martwego poruszyło się, wydłużyło, wywinęło niezborną pętlę, przygotowując się do wynurzenia. Zadrżał i cofnął się.

– Co widzisz? – spytała.

– Nic. Absolutnie nic.

Peg zachichotała i podskoczyła ku niemu.

– Kłamiesz.

Teraz miała we włosach pasemka mchu. Poczł, jak jej ramię zaciska się wokół jego ręki i usłyszał cichy, chytry szelest oddechu dziewczyny. Był zbyt zmęczony, by się opierać.

– Wychył się jeszcze raz – poleciła i podprowadziła go na skraj Południowej Sadržawki. Zachwiał się. Niemal stracił równowagę. – Spójrz w wodę. Powiedz, co widzisz.

Wielki człowiek pochylił się i zadygotał niczym pływak na moment przed skokiem w toń. Ujrzał zwierciadlane odbicie nieba, gałęzi i konarów drzew. Ujrzał starego, samotnego mężczyznę. Po chwili poczuł powiew wiatru, toń przecięły zmarszczki i obrazy poruszyły się, rozmnożyły i rozplynęły.

– Co widzisz?

Peg mówiła zza jego pleców, lecz nie był już pewien, czy dziewczyna go przytrzymuje, czy też popycha naprzód.

– Co widzisz?

Wiatr wciąż wiał przez niego, mącił lustro Południowej Sadržawki. Powiew pachniał znajomo – nie dzikością, ani nawet zielonym mrokiem starożytnego lasu, lecz kurzem, suchym atramentem i tanim papierem. Pachniał przewracanymi stronicami jego zeszytów.

– Co widzisz?

Wyteżył wzrok. Sadržawka nadal połyskiwała i ciemniała. Oczy kelnerki z tamtej kawiarni w Worcester? Nie...

– Co widzisz?

Pytanie doleciało z ciemności poniżej.

– Co widzisz?

Nie był to żaden wąż ani morski potwór. Nie jakaś kreatura z odmętów. Coś o wiele gorszego. Istota, której obawiał się najbardziej na świecie...

– Co widzisz?

Pokręcił głową, wyprostował się i cofnął.

Nic. Zobaczył nic.

* * *

Dochodząc do siebie w służbówce, gdzie pod czujnym okiem pana Grovesa sączyła już drugą filiżankę słodkiej herbaty, pani France raz jeszcze spróbowała przedstawić ogrodnikowi wirujące w jej głowie myśli. z jednej strony, była głęboko przekonana, że ta dziewczucha, Peg, ma coś wspólnego z dokonanym na jej znajdach morderstwem. z drugiej jednak, nie była w stanie nawet pomyśleć, by coś takiego zrobiła istota inna niż lis...

– Być może powinna pani powiadomić policję? – zasugerował pan Groves.

Pani France pokręciła głową.

– Sam pan wie, że ci wioskowi konstable to banda durniów.

– Ale powiada pani, że on jest teraz w jej towarzystwie?

– Mała ładniczka. Dziś rano nakryłam ją, jak schodziła ze schodów gołą jak oskubany kurczak. Jestem pewna, że gdyby nie ja, poszłaby prosto do Jego Zręczliwości...

Pani France aż zadrżała na to wspomnienie i upiła kolejny łyk herbaty. Pan Groves jednakże – zauważyła – uśmiechnął się, czy raczej próbował uśmiech powstrzymać, przegnać z oczu ten głupi błysk. Cóż, w końcu też był tylko mężczyzną. a mężczyźni, każdy bez wyjątku, tracą głowy w pobliżu wszystkiego, co młode i ładne.

– Coś pani powiem – odezwał się. – Dopiję herbatę i pójdę... – Urwał w pół zdania, gdyż zadzwonił jeden z zamontowanych nad drzwiami służbowych dzwoneczków.

– Frontowe wejście. – Pani France nie musiała nawet patrzeć. Tony wszystkich tych dzwoneczków znała doskonale na pamięć. Jego Zręczliwość znał się co prawda na muzyce, lecz to ona była ekspertką od prawdziwie ważnych dźwięków.

– Sally otworzy.

– Nie – odparła pani France i wstała. – Ja pójdę.

Nawet jeszcze za życia lady Caroline pani France starała się zawsze samodzielnie otwierać frontowe drzwi, co pozwalało jej utrzymać palec na pulsie domowego życia. Wyszła ze służbówki do holu, w którym unosił się ciepły

zapach używanej do pielęgnacji drewna pasty z pszczelego wosku i woń świeżego bukietu białych lilii. Otworzyła dokładnie w chwili, gdy dzwonek zakołysał się po raz kolejny, i ujrzała widowisko w postaci miejscowego listonosza, zdyszanego i zgrzanego wskutek długiej jazdy rowerem ze wsi. w dłoni dzierżył kopertę. Wyrwała mu ją i zmarszczyła nos w niemej naganie jego wyglądu i postawy. Nie, to nie był zwykły list. Telegram.

– Podpisze pani?

Pocztowiec podał jej pióro. Obrzydliwie ciepłe i oślisłe w dotyku, lecz przyjęła je z westchnieniem i złożyła ten sam podpis co zwykle. „P. P.”. Jego Zrzedliwość.

– Przy robocie pić się chce – podjął listonosz. – Zwłaszcza w taki...

– Dziękuję – ucięła pani France i płynnym ruchem zamknęła drzwi.

Podeszła do okna od południowo-zachodniej strony, przez które – ponad wazą z liliami – wlewały się teraz promienie wczesnego popołudnia. Mrużąc oczy, uniosła telegram pod światło. z tą przesyłką mogła sobie poradzić bez pary. Wiadomość okazała się wyraźna, napisana na maszynie wielkimi drukowanymi literami – była też krótka. Nadawcą był ten wymuskany konował z Harley Street, do którego chodził Jego Zrzedliwość. Chodziło o WYNIKI BADAŃ i NIEPOKÓJ oraz KONIECZNOŚĆ RYCHŁEJ WIZYTY.

Pani France w zamyśleniu wygładziła pogniecioną kopertę na blacie stołu, po czym wsunęła ją do kieszeni fartucha. z doświadczenia gospodyni wynikało, że medycy nigdy nie mówią wprost, że jest źle – od tego nie zwalniały nawet tytuły szlacheckie. Dostawało się jedynie ukradkowe uśmiechy lub podobne jak ta prośby o stawienie się na natychmiastowe konsultacje i jakąś bzdurną gadaninę o nierozbudzaniu nadmiernych oczekiwań. Tak przecież było w przypadku jej Arthura – a nawet z biedną lady Caroline Jego Zrzedliwości.

Cóż, to wszystko oczywiście bardzo smutne, lecz życie musi toczyć się dalej. Zatrzymując się tylko na moment, by wygładzić przed lustrem fryzurę, pani France ruszyła z powrotem do drzwi służbówki, za którymi czekał ten miły pan Groves i niedokończona, druga filiżanka słodkiej herbaty.

* * *

Kiedy wielki człowiek otworzył oczy, był sam. Drzewa na polanie wciąż wyciągały nad nim swe gałęzie, lecz nie stanowiły już ramy dla ślicznej twarzy Peg.

– Śniłem... – wychrypiął. Podniósł wzrok na ciemniejące niebo. – Która to godzina?

Podźwignął się z porośniętej mchem ziemi. w niecce już nie panowała cisza. Drzewa się kołysały, a słońce opadało za stadko wieczornych chmur. Czuł zapach stojącej wody i wiekowego, obumierającego lasu. w powietrzu poniósł się nieznaczny, chłodny powiew. Wszędzie dokoła gęstniały cienie, drgały, rosły. Dziewczyna zniknęła. Mijał kolejny dzień. a muzyka. Muzyka...

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? Po co to wszystko?! – zawołał. – Tylko po to, bym dostał... nic?

Odwrócił się. Przez mgnienie wydawało mu się, że to Peg wróciła – potem zrozumiał, że błysk rudozłotych włosów był w rzeczywistości ostatnim płomykiem południowego zielonego ognia, oplatanego teraz przez pnącza zmroku. Mógł to nawet być błysk w ciemnym ślepiu jakiegoś przemykającego ukradkiem zwierzęcia...

Sir Edward zadrżał. Zerknął z powrotem ku Południowej Sadzawce, pokrytej teraz wirującymi, czarnymi jak atrament żyłkami odbić gałęzi. Wreszcie ruszył pod górę. Ponad korzeniami i odłamanymi konarami, przez sterty liści dawno minionego lata. Jego stopy i dłonie ślizgały się na szlamie z wilgotnych mchów i porostów. Listek przywarł mu do podbródka. Szpony zeszłego krzewu uczepliły się marynarki, szarpnęły, próbowały go uwięzić.

Gdy podłoże zaczęło się wreszcie wyrównywać, wielki człowiek spojrział przez ramię i okazało się, że zielona niecka zdążyła już zniknąć. Poczuł lekkie ukłucie smutku, jakby ponownie stracił coś utraconego dawno temu. Arkady drzew wycofywały się w półmrok, rozjaśniane jedynie przez jarmarczne półki fosforyzujących słabo grzybów i migotanie łusek po ładunkach śrutowych pozostawionych tu po jesiennym polowaniu lorda Shrewsbury.

Bmąc dalej przez las, znalazł znajomą ścieżkę, drogę poza tę krainę. w końcu pojawiło się i ogrodzenie. Furtka. Trawniki jego domu. Stateczne mury z czerwonej cegły i cisowe żywopłoty, przeobrażone w zmieniającym się świetle. a w kałuży cienia pod bukiem stała biała, drewniana ławka, na której często dawał odpocząć nogom po powrocie z popołudniowych przechadek. Sir Edward powlókł się przez trawę właśnie ku niej. Usiadł ciężko.

* * *

Teraz, gdy dopełniła już wszystkich codziennych obowiązków, pani France

ponownie wybrała się do ogrodu za murem. Pan Groves był tak uprzejmy, że wysprzątał już dla niej klatki. Wiedziała, że to ważne, by ponownie odwiedziła miejsce rzezi – jeszcze tego samego dnia. w przeciwnym wypadku smutny widok pozostałby z nią na resztę życia.

Wieczór był mimo wszystko przyjemny. Powietrze nabrało połysku, ptaki wciąż wściekle wyśpiewywały swoje piosenki. Minęła cisowe żywopłoty, weszła na rozmigotaną jasnym żwirem ścieżkę i zatrzymała się ledwie na chwilę, by złapać oddech, po czym weszła przez łukowatą bramę do ogrodu. Spozrzęła, że pan Groves rozsądnie pozostawił klatki otwarte – dzięki temu mogły się wywietrzyć. Oczyszczył też ziemię przed nimi tak, że nie pozostał nawet ślad tego, co się tu stało.

Przyklękła przed nimi i poczuła nikłą zwierzęcą woń, która wciąż jeszcze nie do końca uleciała. i wtedy coś jakby się poruszyło. Pochyliła głowę, zbyt zaskoczona, by się przestraszyć. Czy to możliwe, by jedna z jej znaj, niezauważona przez nią i pana Grovesa, przetrwała masakrę? Mało prawdopodobne. Lecz przecież tak, z całą pewnością, z tyłu klatki zaszurały pazury, błysnęły ślepie. Coś się tam kryło. Coś żywego...

Po krótkiej chwili wahania wyciągnęła rękę. Pod palcami wyczuła miękkie futerko, zacisnęła dłoń i wyciągnęła stworzenie, po czym uniosła je do blasku cudownie gasnącego nieba. Lisie szczenię. Biedne, porzucone zwierzątko. Pogłodziła srebrzysty łebek, podziwiając jak zawsze doskonałość przyrody i stosowność faktu, że – akurat w ten wieczór – ta istota poszukała schronienia w jednej z opustoszałych klatek. Przemknęło jej przez myśl, że być może głośzce winowajcę, a nie ofiarę, lecz gdy poczuła bogaty, dziki zapach, kiedy spojrzała w te ciemne, niemal granatowe oczy, zrozumiała, że to niemożliwe.

Uniosła stworzenie wyżej, ucałowała je lekko w nos i już miała zacząć przygotowywać dla niego legowisko na noc, gdy zaszeleścił ukryty w fartuchu telegram. Raz jeszcze pocałowała liska, odłożyła go i zamknęła drzwiczki, po czym wyjrzała poza wejście do ogrodu, ponad cienistym trawnikiem i zobaczyła, że Jego Zrzedliwość wrócił do domu.

* * *

Siedzące na gałęziach ptaki nadal śpiewały, sprzeczały się i trzepotały skrzydłami, a las stawał się coraz bardziej miękki, płynny. Oto ten sam kos, którego słyszał o poranku, wciąż wygwizdywał wznoszącą się kadencję A-H-

C-A. Te dźwięki majaczyły w zakamarkach jego umysłu przez cały dzień. Słyszał nawet wartko, żywo grające skrzypce, wchodzące po tej krótkiej, początkowej frazie. A-H-C-A, po czym następował szybki wykwit inwencji. Wody wieczoru wpływające do sadzawek nocy. Nie była to jego własna muzyka. To kompozycja Mendelssohna – wstęp do „Snu nocy letniej”. Mendelssohna i – rzecz jasna – tego kosa.

Poczuł na dłoni muśnięcie. Spojrzał w dół z uśmiechem, na poły wyobrażając sobie, że palce Peg po raz kolejny splotły się z jego, i zobaczył małego pająka, który zjechał z drzewa na swej przędzy. Pajaczek umknął od jego cętkowanej ręki, wysnuł kolejną leciutko połyskującą nić i wtedy kos umilkł.

Nastąpiła cisza.

Wielki człowiek spojrział w zmierzch, gdzie w ostatniej chwili oddzielającej od siebie światło i ciemność, wydawało się, że skaczą i igrają żywe, niewyraźne kształty. Ławka wciąż była względnie ciepła, lecz ów przeklęty ból w krzyżu zaczynał narastać; nie mógł tu zostać na zawsze...

Zerknął w stronę domu, gdzie w oknach zapłonęły już światła. Nocne powietrze było tak gęste i tak rozgrzane latem, że na trawniku zaczął się formować martwy, szary kształt. I, tak, naprawdę związał się i dygotał, kręcił pętle z ciemności zmierzającej wprost ku niemu. Sir Edward przypomniał sobie Południową Sadzawkę i przeniknął go zimny dreszcz. w tej samej chwili jednak postać nabrała konkretności i przeobraziła się w panią France w jej granatowym fartuchu, zmierzającą szybkim krokiem przez trawę, wymachującą czymś w dłoni.

* * *

Następnego ranka pani France obudziła się wcześniej niż zwykle, na długo, nim zabrzmiał budzik. Drzewa już jednak szeptały, ptaki śpiewały, a i słońce wstało. To o wiele lepsze od zimnych i wilgotnych świtów grudnia czy stycznia. Popatrzyła na wyłożony boazerią sufit i przypomniała sobie wszystkie wydarzenia wczorajszego dnia. To dziewczynisko, Peg (na szczęście, już zniknęła, krzyżyk jej na droge), telegram, którego od dawna obawiał się Jego Zręczliwość, bezsensowną śmierć znajd. i oczywiście, lisie szczenię. Nowe zwierzę...

Pogrążona w przyjemnym letargu, pani France przeciągnęła się w gładkiej, białej pościeli, którą własnoręcznie wyprasowała. Na bladeżółtych zasłonach grała koronka cieni listowia. Czy to kukułkę właśnie usłyszała? Zazwyczaj,

nie będąc rannym ptaszkiem, zrywała się zaraz po dzwonku budzika i wygrzebywała czym prędzej, by włożyć ubranie, zejść na dół i posprzątać oraz przygotować kuchnię przed nadejściem pokojówek. Dzisiaj jednak...

z wolna wstała z łóżka. Rozgrzana plamą słonecznego światła drewniana podłoga miło popieściła jej bose nogi. Pani France poruszyła palcami u stóp, ziewnęła, po czym wysunęła spod łóżka duży nocnik z niebieskim uchwytem. Przykucnęła. Następnie obmyła dłonie i twarz. Ubrała się. Wciąż czuła się nieco niedospana, lecz w taki dzień była niemal w stanie pojąć, dlaczego Jego Zręczliwość wstaje tak wcześnie. Wyłączyła budzik i zeszła wąskimi schodami do kuchni.

Ach. Ten znajomy zapach płynu do czyszczenia mosiądzu i sadzy. Tradycyjny już bałagan – sos i chleb pozostawione przez Jego Zręczliwość na stole. Na pół przeżuty kawałek mięsa, którego nie dojadł ten Jego rozpieszczony, przeżarty pies. Na zmarnowanie. Podniosła go, wyrzuciła, przetała palemisko z żużlu i węglowego pyłu, powiesiła czajnik z powrotem na należnym mu miejscu, i roznieciła dogasający prędko płomień. Można by pomyśleć, że po wczorajszym dniu, po tym telegramie, Jego Zręczliwość zechce odpocząć. Ale nie, poderwał się o swej zwykłej porze i był już w gabinecie. Mozolił się. Bez rezultatów.

No cóż. Skoro i ona już zeszła i nie za bardzo wiedziała co ze sobą począć, postanowiła zająć się przygotowaniem Mu porządnego śniadania – raz mógł zjeść wcześniej, dla odmiany. Biedny człeczyna, naprawdę. Być może, po wczorajszym wieczorze, powinna też coś powiedzieć. Dotknąć tego sztywnego, przygarbionego ramienia, czego nie zdołała uczynić, stojąc obok niego w półmroku trawnika, dukając słowa telegramu, których Jego słabnące oczy nie zdołały odczytać.

Pani France zdjęła grzanekę z płyty, nim zdążyła się przypalić, przewróciła plaster bekonu i dokończyła aranżację tacy. Wiadomość przyjął doprawdy dziwnie. Dziwnie jak na siebie, z nietypową rezygnacją i nawet cieniem pokory. Dziś rano jednak prawdopodobnie powróci do swego zwykłego nastroju, zacznie o wszystko obwiniać Boga i świat. Jeżeli coś się zmieni, to pewnością na gorsze. w końcu go bolało. Biedaczysko, daję słowo. Wyszła tyłem przez kuchenne drzwi i wspięła się na schody. Oparła się o klamkę, pchnęła ją wyćwiczonym ruchem dłoni i jak co rano dokonała sztuki polegającej na otwarciu obitych sukmem drzwi bez wypuszczania tacy z rąk.

Zasłony w gabinecie były rozsunięte, słońce wlewało się do środka szerokim strumieniem. Ale co do Jego Zręczliwości... Nie było po nim śladu. Pani France sprawdziła za regałami, w małej niszy. Ale nie. Nie. Odstawiła tacę. Na biurku leżały pióra i papierzyska, lecz – choć było oczywiste, że już tego ranka pracował – wszystko wyglądało jakoś inaczej, dziwnie schludnie.

Nie otworzył na przykład szuflady, w której trzymał swoje stare zeszyty. Nie zauważyła też zwykłych świstków, bazgrołów i rysunków oraz skreślonych nut. Przyjrzała się uważniej – na moment zapominając nawet o historycznych konsekwencjach następujących za każdym razem, gdy przyłapywał ją na oglądaniu jego pracy – i zauważyła, że obramowany kwadratem słonecznego blasku leży na środku biurka równiutko ułożony stos nutowego papieru. Związał go nawet czerwoną wstążeczką, jak zawsze, gdy przygotowywał utwór do wysłania wydawcom z Booseys. Tyle że coś podobnego nie wydarzyło się od lat. Nowe, ukończone dzieło? Stos był strasznie gruby. Wielkie nieba, jak mu się to udało, skoro ledwie wczoraj był...?

Na pierwszej stronie widniał tytuł. Obróciła ryzę i przeczytała.

„Południowa Sadzawka”.

„Dla Peg? (jeszcze jedna enigma)”.

Słowa zostały spisane zamasyście, odręcznie, ze wszystkimi zawijasami i ozdobnikami, jakie rezerwował dla ostatecznych egzemplarzy. Jak to miło, pomyślała chcąc nie chcąc pani France, że wreszcie udało mu się coś napisać. Tytuł brzmiał raczej dziwacznie, ale może była to po prostu wydumana nazwa tej trzeciej symfonii, o której coś od czasu do czasu przebąkiwał. w wyglądzie papierów jednak zwróciło jej uwagę coś jeszcze...

Pani France obejrzała się przez ramię, upewniła, że nadal jest w gabinecie sama, po czym wzięła rękopis do ręki. Na pierwszej stronie, pod tytułem, nie było nic więcej. Puste pięciolinie. Przewróciła kartkę. Znowu pustka. Następna strona. Tak samo. Karta za kartą. Czyste, niezapisane stroniczki, aż po sam koniec. Nawet pani France rozumiała, że oznacza to ciszę.

Cóż... Mimo zafrasowania, jak zawsze zrećźnie ułożyła wszystko na biurku tak jak to zastała. Wczorajsza wiadomość musiała wywrzeć na nim silne piętno. Biedny człeczyna. Ale poza tym, dokąd się wybrał? Gospodyni wiedziała, że nawet gdyby coś naprawdę ukończył, nie było do niego podobne, by resztę poranka spędzał bezczynnie. a co do tego... Gdyby tylko wyszedł na korytarz odebrać telefon, z pewnością już by wrócił. a co do tego...

Pełna zawiązków poważniejszych i bardziej mrocznych przeczuć, pani France popatrzyła ponad biurkiem i wyjrzała za okno, na pokryty długimi cieniami trawnik. Jej dłoń podleciała do piersi i kobieta zachłysnęła się w zdumieniu. Na trawie, z rozpostartymi ramionami i uniesioną ku głębokiemu, letniemu błękitowi stała postać. Poza była tak dziwna i nietypowa, niepodobna do osoby, którą – jak dotąd sądziła – znała, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, na kogo patrzy.

Zaraz potem, furkocąc spódnicami i fartuchem, zbiegła po tylnych schodach, przemknęła przez kuchnię i bezruch cienistego dziedzińca, okrążyła dom i wpadła do ogrodu. Był tu: Jego Zręczliwość. Po prostu stał nieruchomo na trawniku.

Zdjęta paniką, obawą, że jego biedny umysł dał wreszcie za wygraną – lekając się, że utraciła go tak, jak dawniej straciła lady Caroline i swojego Arthura – podbiegła ku niemu po ciepłym chodniku i chłodnej, wilgotnej trawie.

– Sir Edwardzie, ja... Ja właśnie...

On jednak po prostu zamrugał i odwrócił się, jakby nagle rozbudzony. Uśmiechnął się jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

– Tak? – odezwał się radośnie jak nigdy.

Pani France patrzyła na niego z falującą pierśią. Poczowała przyływ dziwnego gniewu. Urządzać takie sceny! a jednak...

– Sir Edwardzie, śniadanie podałam w gabinecie. Jak zawsze.

Skinął głową. Uniósł dłoń, by podkreślić koniuszek lewego wąsa, zrezygnował i wyprostował rękę.

– Pomyślałem sobie... – podjął. – To taki piękny poranek... Zgodzi się pani ze mną, pani France?

Rozejrzała się, zmrzyła oczy na pół oślepiąca miękkimi, długimi promieniami słońca, które przenikały przez drzewa. Jej głowa wypełniła się niczym wyschnięty, głęboki staw wietrznym gaworzeniem liści, pieśnią drozda, kosa i kukułki.

– z pewnością... – zaczęła, odetchnęła głęboko i starła perlącą się na policzku kropelkę potu – ...można tak stwierdzić.

– Taki piękny poranek – ciągnął – że równie dobrze mogę zostać tutaj i wykorzystać go jak najlepiej...

Powiódł dokoła wzrokiem. Wciąż się uśmiechał. Mimo telegramu miał

dzisiaj mniej przygarbione ramiona. Nozdrza wielkiego nosa rozszerzały się w rytmie oddechów, z oczu sypały się skry. Pani France pomyślała, że Jego Zręczliwość zachowuje się tak, jakby pomimo wczesnego wstawania przez całe życie jeszcze nigdy nie oglądał letniego świtu.

– Sir Edwardzie, proszę przynajmniej usiąść. Musi pan...

Wielki człowiek skinął głową. Wskazał na ławkę pod drzewami i ruszył w jej stronę. Powłóczące stopy starego mężczyzny zostawiły w jasnej trawie ciemny trop. Pani France stała i przypatrywała mu się przez kilka chwil, myśląc jednocześnie o wielu wciąż niedopełnionych obowiązkach w kuchni, o swym niemal roztrzęsieniu, o prasowaniu, którego nie mogła odpowiedzialnie powierzyć nikomu innemu, i oczywiście o nowym szczenięciu lisa oraz pokojówkach, które miały niedługo wstać. Myślała więc o całej nawałnicy zadań i swym zabieganym życiu. Wtedy jednak wielki człowiek potknął się na kretowisku i lekko zachwiał. Gospodyni pośpieszyła ku niemu przez trawnik.

– Pomyślałem sobie, pani France – podjął, ujmując ją pod ramię – że pewnego dnia pokażę coś pani i lady Caroline... z drugiej strony jednak – rozejrzał się i popatrzył na zalaną słońcem ławkę pod drzewem, z którego dołatywała piosenka kosa – to może jeszcze zaczekać...

i poszli dalej razem, w blasku letniego poranka.

* * *

Peg słyszała stukot kół nadjeżdżającego pociągu. Nocny ekspres.

Dobywający się z jej pyszczka oddech rozplątywał się chmurką w powietrzu, gdy przemykała wśród ostrych od szronu gałązek poszycia. Zamarła i zaczęła węszyć. Jagody na krzewach już zeschły, a urodzone latem, nieostrożne młode stały się zbyt szybkie i mądre, by stanowić łatwy łup. Noc była jednak piękna, pogodna, a brzuch Peg był wciąż tłusty po długich miesiącach obfitości. Nie musiała się obawiać zimy.

Pociąg zbliżał się prędko, ciągnął za sobą długi, wyszywany brylancikami iskier szal dymu. Tym razem światło z przedziału zarezerwowanego zwykle dla wielkiego człowieka nie słało się na słodkim nurcie jego ukochanej rzeki. Okna były czarne, a wewnątrz rozbrzmiewała jedynie rozkołysana, skrzypiąca cisza i pobłyskiwał tam podłużny mahoniowy przedmiot, białe wonne wiązanki i kwiaty.

Ekspres parł naprzód. Wytoczył się z nocy. Jego nierówny oddech rozlegał

się echem ponad wzgórzami. Pociąg po raz ostatni wioził wielkiego człowieka do domu, ku początkowi podróży najdłuższej ze wszystkich.

Szyny poświstywały i jęczały. Dźwięk stał się ścianą. Peg opadła na nagą, hojną ziemię i czekała.

Od autora: Powyższe opowiadanie oparte jest na pewnych motywach z życia największego angielskiego kompozytora, sir Edwarda Elgara. Mój sir Edward jednakże – oraz Peg, pani France, pan Groves i Południowa Sadzawka – istnieją jedynie poprzez Ciebie, Czytelniku, wyłącznie na tych stronach.

NOWE SPOJRZENIE NA RÓWNANIE DRAKE'A

Podobnie jak to czynił w każdą pierwszą środę miesiąca, po dopiciu butelki wina, przy której wczoraj zasnął, oraz po osuszeniu z zaczerwienionymi oczami wysokiej na dwa palce porcji absyntu i dodatkowym łyku prosto z butelki, Tom Kelly wybrał się do St. Hilaire, by odebrać pocztę i uzupełnić zapasy. Czerwono-brązowe miasteczko połyskiwało na dnie doliny, upstrzone plamkami oliwkowych drzew. Widział je ze swej góry, z której zjeżdżał starym Citroënem. Na wschodzie, gdzie wznosiła się wspinała, krasowa grań, jeśli wystarczająco zmrużył oczy, dostrzegał kształty lotników, krążących na tle białego urwiska, odbłaski rzucające przez ich skrzydła wychwytyjące poranne, wznoszące się prądy powietrzne. Sam Tom również czuł się jak lotnik, zwłaszcza teraz, gdy w jego żyłach krążył absynt. Pozwalał się prowadzić bez końca w dół łaciętym oponom samochodu, poślizgom na żwirze i przyciąganiu góry. Biorąc zakręty na ślepo i po złej stronie drogi, do wtóru łopotania starego płóciennego dachu, znikając i wynurzając się z cienia, płosząc owce słodkim, gorącym rykiem wiekowego silnika, Tom Kelly zjeżdżał ze swojego szczytu prosto w dolinę.

w *bureau de poste* madame Brissac obdarzyła go uśmiechem, który dzisiaj wydał się jeszcze bardziej protekcjonalny niż zazwyczaj.

– Jakież wiadomości? – wychrypiał.

Zamrugła nieśpiesznie.

– Jedna, może dwie.

w powietrzu wirowały muchy plujki, czuć było woń gotowanych słodczy, gitanesów i samej madame Brissac. Tom zachwiał się lekko. Stał z nieogolonych policzków warstewkę kurzu, który oblepił go w trakcie jazdy. Strącił z koszulki jakiś paproch i spostrzegł przy tym, że na grzbiecie prawej dłoni wykwitła mu nowa plamka wątrobowa. Wiedział, że kobieta poczułaby się szczerze zawiedziona, gdyby po wszystkich tych latach skorzystał z fiołki językowej i zaczął się posługiwać płynną francuszczyzną – lub nawet gdyby, co obiecywał sobie od dawna, popracował nad nią za pomocą nagrań i płyt z podręcznikami. Pozbawiłby ją rozkoszy ich comiesięcznej batalii.

– w takim razie... hmm... *je voudrais...* – Zamachał rękoma.

– Chciałby pan...?

– Tak, proszę. *Oui*. Hmm. *S'il vous plait...*

i wciąż ta niezbyt ciepła cisza, pobrzękiwanie much. Również madame Brissac mogłaby nauczyć się angielskiego, pomyślał Tom, chociaż było raczej mało prawdopodobne, by zrobiła to akurat ze względu na niego.

– Za późno – powiedziała po chwili milczenia.

– To znaczy...

Wtedy z hukiem otworzyły się drzwi, do środka wtargnął tłum skłębionych cieni i hałasów. Za plecami Toma wyrosła grupka lotników. Powrócili z porannego lotu w prądach termalnych. Ich skafandry skrzypiały, koniuszki skrzydeł trącały brązowe zwoje lepu na muchy, skrupulatnie omijane przez plujki. Ci młodzi ludzie – Tom zerknął na nich przez ramię – sami przypominali wyraziście ubarwione, obce owady. Ubrani w krzykliwe kombinezony, z chudymi ciałami oblepionymi jarmarcznymi logotypami firm produkujących sprzęt sportowy, z cienkimi jak delikatny jedwab skrzydłami, rozciągniętymi pomiędzy skórzastymi kośćmi i złożonymi na plecach niczym kruche parasole. Oni także mówili po francusku – głośno, wysokimi głosami, przesadnie wymawiając każdą kolejną frazę, podkreślając je gestami, jak wszyscy ludzie posługujący się świeżo poznaną mową. Sądziли, że – ponieważ rozumieją siebie nawzajem oraz dogadują się z instruktorem latania i przewodnikiem, a nawet potrafią zamówić w barze drinka – władają francuskim sprawnie jak tubylcy. Tyle że nie natknęli się jeszcze na madame Brissac, która z pewnością wymyśli zaraz jakiś biurokratyczny trik lub powoła się na niezrozumienie, by odesłać ich precz bez formularza lub zezwolenia, po które się tu wybrali. Tom zwrócił się z powrotem ku kobiecie i wyszczerzył

do niej spoza rodzącego się właśnie, absyntowego bólu głowy. Nie kłopotala się odwzajemnianiem uśmiechu, za to wymamrotała coś, co zabrzmiało jak: *I'm Judy.*

– Co? *Voulez-vous repeter?*

– To jest czwartek.

– Ach. *Je comprends.* Rozumiem...

Oczywiście, nie do końca zrozumiał, lecz lotnicy niecierpliwili się i tłoczyli coraz bliżej. Skrzydła szeleściły porannym powietrzem, które jeszcze niedawno je wypełniało. Bił od nich zapach świeżej, czystej odwagi. Jak to możliwe, zastanowił się Tom, że z oddali wyglądają tak pięknie, a z bliska tak brzydko i głupio? Ale... czwartek? Był przekonany, że jest środa. Oczywiście, że spodziewał się środy. Inaczej nie byłoby go tutaj, w St. Hilaire, nieprawdaż? Był istotą żyjącą mocą nawyków, zrosniętych z nim niczym brud ze starą drewnianą ladą, za którą pracowała madame Brissac. Zapewne więc stracił rachubę, lub jeszcze na gorze zapomniał rzucić okiem na kalendarz, albo też popełnił oba błędy naraz. Przy jego trybie życia łatwo było o podobną pomyłkę. Chociaż, z drugiej strony...

– Potrzebuje ich pan? Tak?

– *S'il vous plait...*

i wreszcie madame Brissac odwróciła się do przegródek, w których przechowywała kartki do niego i do innych, posortowane wedle jej własnej, alchemicznej metody. Umieszczenie korespondencji w jednym miejscu – opatrzonym etykietką „Kelly, Tom”, lub na przykład „Amerykanin”, „Pijak”, „Staruch”, „Dureń” – byłoby dla tej kobiety stanowczo zbyt proste. Podobnie Tom nigdy nie zauważył, by segregowała wiadomości według nadawców – zazwyczaj przychodziły od tego czy innego z jego akademickich sponsorów, pojedynczo, grupkami lub tłumnie – choć zazwyczaj pojedynczo. Te stare półeczki z brązowego drewna, regaliki – wyglądające jakby dawniej przechowywały prawdziwe, staromodne listy i telegramy, być może też wiadomości i kondolencje z okresu wojen światowych, rewolucyjne proklamacje sankiulotów, dekrety Króla Słońce i może nawet niekiedy zbłąkanego gołębia – wypływały swą zawartość w zwinne dłonie madame Brissac zgodnie z porządkiem, jakiego Tom nigdy nie zdołał rozpracować. Mógł, rzecz prosta, zapytać, ale dałby jej w ten sposób jedynie kolejny pretekst do znaczącego uniesienia brwi i ramion, do demonstracji niezrozumienia. w końcu madame

Brissac była madame Brissac, a lotnicy za nim szeptali, trzepotali, dygotali niczym młode czaple, i to nie była ich sprawa.

Wzdłuż ścian Place de Revolution stały stragany. Ich obecność dziwiła Toma, gdy zmierzał do *bureau de poste*, lecz teraz już rozumiał. To świat miał rację, a on się mylił. Był czwartek, w jego zwykłej kawiarence zebrało się więcej ludzi niż zazwyczaj, aczkolwiek, kiedy do niej wszedł, para zajmująca jego ulubiony stół wstała i odeszła, trzymając się za ręce. Zniknęli za cienistymi ekspozycjami chlebów, owoców i serów. Dziewczyna postawiła na styl Audrey Hepburn, lecz chłopak demonstrował mięśnie spadochroniarza, pyszniące się pod koszulką bez rękawów. Ciało miał zielone i lekko łuskowate. Tomowi kojarzyło się to z chorobą skóry. Zaczął się zastanawiać – podobnie jak od niepamiętnych czasów samotni mężczyźni zastanawiali się, oglądając parki w kawiarniach – co ona w nim, do diabła, widzi.

Kelner Jean-Benoit był bardziej zajęty niż normalnie i po obrzuceniu Toma spojrzeniem, w którym pojawiło się coś bliskiego zdumieniu, przestał się śpieszyć. Tom przecież donikąd nie pędził, mógł poczekać. Miał też swoje odebrane z poczty karty – wszystkie sześć. Leżały grzbietami do góry na plastikowym obrusie: pokerowe rozdanie, które musiał rozegrać, z góry też wiedział, jakie karty najprawdopodobniej wyznaczył mu los. Jedna była niebieska, niemal gładka, pokryta wzorkiem przypominającym zmarszczoną toń – zapewne reklama. Inna wyglądała podejrzanie na rachunek za jakieś cyberustrojstwo, którego zapewne nawet nie używał, a reszta, niemal bez wątpienia, przysłała od jego ostatnich sponsorów. Na stole obok – niczym część pięknej martwej natury, jakiej on i jego karty stanowili niepożądane elementy – stała pusta karafka i kieliszki kochanków. Wino o dziesiątej rano! To jest Francja. To właśnie jest Francja. Zresztą jemu, Tomowi Kelly'emu, też by się przydał jakiś napitek. Może zwykły pastis. Likier przyjemnie by się skomponował z wypitym wcześniej absyntem – oczywiście tylko dla humoru. Tom westchnął, pomasażował skronie i rozejrzał się wśród porannego blasku. Podniósł wzrok na wznoszącą się ponad markizami rynku wieżę kościoła St. Marie, po czym opuścił go na ludzi, jarmarcznie kolorowych, modnie ubranych, o barwnych strojach, skórach, twarzach. Wydawało mu się niekiedy, że Francję, tę prawdziwą Francję żywych, odwiedza wyłącznie w środowe – dzisiaj wyjątkowo w czwartkowy – poranki. Przez całą resztę czasu mógłby równie dobrze być gdzie indziej – na górze z gwiazdami, przeczesując wiecz-

ność w poszukiwaniu coraz mniej prawdopodobnego, nietypowego pisku. Właśnie dlatego był, kim był – starym dziwakiem, którego ludzie pokroju madame Brissac i Jean-Benoita traktowali z góry, zupełnie przy tym nie znając. Właśnie dlatego nigdy nie zaczął się poważnie uczyć języka, który przelewał się dokoła syczącymi falami. Jean-Benoit wciąż był zajęty, wymachiwał swym ręcznikiem i podawał naleśniki z to znikającym, to pojawiającym się na jego obowiązkowo przystojnej twarzy uśmiechem i ze skrzydłami ukrytymi tak dobrze, że nikt nie mógłby się domyślić, że je w ogóle ma. Podobnie jak wielu zatrudnionych tutaj ludzi, wykonywał pracę po to, by w wolnym czasie móc wzbic się w powietrze. Tom ze swoim *trois diget pastis merci* nigdy nie stanowił dla niego priorytetu.

Tom podniósł jedną z kart i spróbował zdławić beknięcie, które wypełniło mu usta gorzkim posmakiem absyntu. Wiadomość nadeszła z uniwersytetu Aston, z angielskiego Birmingham. Akurat stamtąd. i to teraz, gdy zdążył już zapomnieć, że go sponsorowali. Przeciągnął palcem po pasku odtwarzania, po czym przymknął oczy i ujrzał młodego mężczyznę, którego widział po raz pierwszy w życiu. Nieznajomy siedział za imponującym wielkim biurkiem, dokładnie takim, jakie posiadali – wynikało to z dotychczasowych doświadczeń Toma – wyłącznie ludzie nieparający się prawdziwą pracą.

– Panie Kelly, to prawdziwa przyjemność móc pana poznać... – Młodziwiec był w oczywisty sposób nowy w swoim fachu, na czymkolwiek fach ten polegał, i ścisnął krawędź blatu niczym poręcz wagonika kolejki górskiej. – Jak zapewne przeczytał już pan w akademickiej prasie, objąłem stanowisko po doktor Sally Normanton. Nie znałem jej osobiście, lecz wiem, że wszyscy w środowisku wysoce ją sobie cenili, i sam także czuję smutek z powodu odejścia tak wspaniałego człowieka i fizyka...

Tom oderwał na moment palec od kartki i wrócił do Francji. Zetknął się z tą kobietą tylko raz. Zapamiętał ją jako ciepłą, pełną życia i sympatyczną. z powodu zaawansowanego artretyzmu poruszała się na autonogach – w tamtych przynajmniej czasach fiolki nie były w stanie tej choroby powstrzymać. Usiedli pod omszałymi drzewami i posągami na Centenary Square w Birmingham, w miejscu z jakim wiązały się zupełnie inne wspomnienia Toma. Sally westchnęła i z uśmiechem wytłumaczyła, że jej instytucja już kilkadziesiąt lat temu wprowadziła ścisłą politykę przeciwko uznawaniu jakiegokolwiek dodatniego wyniku równania Drake’a, aczkolwiek ona sama, Sally

Normanton zawsze miała do tego typu badań słabość, a poza tym zajęła się fizyką, ponieważ czytała Clarke'a i Asimova. Oczywiście nie sądziła, by Tom tych autorów znał. Tom jednak znał. Oczywiście. Należeli niemal do tego samego pokolenia. w dzieciństwie nabawił się alergii na kurz wskutek przesiadywania nad tymi fascynującymi, murszejącymi, analogowymi książkami. Gawędzili wesoło, a kiedy wracali już do kampusu, Sally Normanton – unosząc się z brzękiem na swych nogach – wyznała, że ma do dyspozycji niewielki fundusz. Pozostał po jakimś rządowym kontrakcie i Tom mógł z niego korzystać do momentu, w którym we wszystkim zorientują się księgowi. Rozmowa odbyła się ponad dwadzieścia lat temu. a teraz Sally nie żyła.

– ...fizyka. Kiedy jednak przejąłem i rozejrzałem się wśród jej obowiązków, zauważyłem pewną kwotę przeznaczoną na pański projekt, który, co z żalem przyznaję...

Tom przewinął wiadomość naprzód, do fragmentu pod koniec, kiedy młody człowiek – o jednym oku zielonym i drugim niebieskim, o paznokciach przypominających szpony, więc być może był lotnikiem, chociaż nie wydawał się odpowiednio chudy i wyglądał na zbyt strachliwego – oświadczał, że pozostawił na karcie symulakrum zawodowej strony swej osobowości, które z przyjemnością odpowie na ewentualne odnoszące się do sprawy pytania, aczkolwiek, niestety, decyzja o cofnięciu finansowania jest w zasadzie nieodwołalna. Symulakrum zostało umieszczone na karcie jedynie po to, by zaoszczędzić młodzieńcowi kłopotu, gdyby Tom zdecydował się mimo wszystko błagać o odroczenie wyroku. Tom jednak zdawał sobie sprawę, że i tak miał szczęście, że otrzymał z tego źródła jakieś fundusze, i jeszcze więcej szczęścia, że nie zdecydowali się pozwać go o zwrot wypłaconej dotąd sumy.

Uniwersytet Aston. Anglia. Zapach innego powietrza. Inne drzewa. Jeżeli jakakolwiek pora roku pasowała do tego miejsca, jeśli jakiś nastrój zawsze dawało się tam wyczuć w tle, nawet w najgorętsze lub najbardziej zimne dni, to musiała być jesień. Ile to już czasu minęło? Tom spróbował o tym nie myśleć – było to jedyne równanie, jakie zawsze dawało mu wynik zerowy. Zamiast tego zauważył, że na kieliszku, z którego wcześniej piła ładna dziewczyna, pozostał odcisk jej szminki. Pożegnał go niemal z żalem – a wraz z kieliszkiem wspomnienia lepszych czasów, jakie starał się wywołać – kiedy Jean-Benoit wreszcie się pojawił i z brzękiem postawił przed nim kieliszek mętnego żółtego płynu, co do którego Tom nie był już pewien czy ma

na niego ochotę. *Voilà. Merci.* Łamana francuszczyzna, gdy wpatrywał się w karty z niezrozumiałych przegródek madame Brissac. Wypił jednak. Pastis. Jednym haustem. Likier usunął przynajmniej smak absyntu.

a dzień był pogodny, na rynku roili się ludzie. Szkoda byłoby psuć ten kruchy, dobry nastrój wiadomościami zawierającymi prawdopodobnie wyrażenia typu „z żalem”, „wyczołać”, a co najmniej „musimy sprawdzić”... Na placyku widniały za to wypisane wielkimi literami słowa „bagietki” i „Edith Piaf”, po prostu wieża Eiffela w miniaturze. Ciepły zapach czosnku, nieco podejrzanej woni zawartości kanałów i aromatu świetnej czarnej kawy. No i te absurdalnie małe pudle, ciągnięte na smyczkach przez długonogie kobiety. Okrzyki i gesty. Czarne, stare wdowy, które w tej chwili były już zapewne młodsze od niego, mamroczące do siebie, torujące sobie drogę pasiastymi siatkami na zakupy niczym statystki z jakiegoś innego filmu, krzywiące się na ten czy ów sprokurowany przez fiolki cud. No i ksiądz w sutannie, wychodzący z kościoła, przystający u szczytu schodów, by rozejrzeć się dokoła, choć skrzydła na jego plecach rozpościerały się jakby do ziewnięcia, a jego włosy miały barwę szkarłatu. Również lotnik. Tom uśmiechnął się na myśl o tym, jak duchowny musi się dogadywać ze swoimi wiernymi, czyli przede wszystkim z owymi skrzywionymi, starymi kobieciami i pomyślał o zamówieniu – bo czemu nie? – jeszcze jednego kieliszka pastis...

Zaraz potem zauważył szczególną postać, przechadzającą się między straganami na skraju rynku, gdzie koronki tamosił wiatr zlatujący znad krasów i przepływający ciepłą bryzą pomiędzy obwieszonymi schnącą bielizną kamienicami. To oczywiście nie mogła być ona. Oczywiście, że nie. To po prostu ślad szminki na kieliszku przywołał pewne konkretne wspomnienie. To i wiadomość z Anglii i śmierć tamtej kobiety i strata kolejnego źródła finansowania. Wszystkie te fakty, gdyby im na to pozwolił, stworzyłyby smutno-radosną mieszankę pamięci. Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę bez rękawów i stała w plamie słonecznego światła. Promienie płonęły w jej jasnych włosach i utrudniały dostrzeżenie twarzy. Mogła być kimkolwiek, lecz w tej chwili mogła też być Terr i Tom poczuł dziwnie sprzeczne emocje – miał ochotę podbiec i przytulić ją, lecz także zapragnął wykopać w chodniku przed kawiarnią dziurę, w której mógłby się na zawsze ukryć. Zamrugał. Zakręciło mu się w głowie. Kiedy znów zdołał skupić spojrzenie, ta dziewczyna, ta kobieta, poszła już dalej. Obrót nagiego ramienia, mignięcie ślicznej

łydki. Dlaczego one muszą się teraz tak zmieniać? Kobiety są przecież doskonale w stanie naturalnym. Według Toma tak było od zawsze – a przynajmniej nie pamiętał czasów, by było inaczej. Zwłaszcza Terr była idealna. Choć z drugiej strony, to również mogło być złudzeniem.

Tom wstał, rzucił na stolik kilka franków i wszedł między stragany. Ta ciemnoniebieska sukienka bez rękawów, te nogi, te włosy. Serce łomotało mu gwałtownie, od lat nie biło tak mocno, pobudzone wysiłkiem dziwnego wspomnienia. Nawet jeżeli to nie była ona – a oczywiście nie była – to i tak chciał się przekonać, chciał zobaczyć. St. Hilaire jednak gęstniało czwartkowym tłumem. Gwamy rynek połknął go i wypułł na powrót w dole wzgórza, gdzie schody wiodły obok starych murów, a rzeka migotała pod wierzbami. Ruszył pod górę wzdłuż jasnych, drogich sklepów na Rue de Commerce, pełnych strojów od znanych projektantów, a także zaprojektowanych przez znanych dyktatorów mody fiolek i żyć. Piętnaście różnych marek potocznej francuszczyzny, w buteleczkach przypominających drogie perfumy i odpowiednio wiele kosztujących. Klient zginał je w zębach i szkiełka smakowały jak wata cukrowa, a maleńkie cuda niezwykłej inżynierii spływały w dół gardła, poprzez ścianki żołądka, prosto do żył, gdzie zrzucały swą ochronną powłokę i zawierały przyjaźń z układem odpornościowym, po czym łapały stopa do mózgu. Lekcje wciąż były konieczne (informowały o tym nagrania na opakowaniu), lecz wystarczały jedna bądź dwie, w dodatku polegające na siedzeniu w pełnej błysków ciemności, w stanie przypominającym medytację zen, w spokoju wywołanym przez rozmaite substancje w czopkach (to w końcu Francja), podczas gdy nanocząsteczki igrały z ośrodkami języka i nuki, do chwili gdy pacjent nie zaczynał *parlez vous* niczym tubylec. w podobny sposób można było wyhodować sobie skrzydła, chociaż fiołki ze sklepów sportowych osiągały jeszcze wyższe ceny. Manekiny za wystawowymi oknami szeptały i kiwały na Toma kusząco, trzepocząc przy tym radośnie skrzydłami; fluorescencyjne wróżki, zachęcające, by zainwestował w dwutygodniowe doświadczenie, które pozostanie mu na całe życie.

Tom dotarł do starego placu po drugiej stronie ulicy handlowej. Musée de Masque właśnie się otwierało, a na jego stopniach siedziała grupka ludzi wyglądających jakby kontynuowali zabawę z poprzedniej nocy. Wspólnie pili dobrego pemode z butelki. Kobiety ozdobiły swe skrzydła jedwabiem i klejnotami; teraz jednak wyglądały bardziej jak zmęczone wieszaki na kapelusze.

Mężczyźni – nie licząc pulsujących, przypominających tatuaże, wplecionych w ciała ozdób i stringów z wypchanym, wiele i wprost mówiącym krokiem – byli niemal zupełnie nadzy. Mieli heliotropową skórę. Tom domyślał się, że jest to ostatni krzyk mody. Jemu jednak kojarzyli się ze stadkiem niedożywionych gargulców po awaryjnym lądowaniu. Wrócił tą samą ulicą i znalazł swojego citroena w niemal tym samym miejscu, w którym pamiętał, że go zostawił, przed *alimentation generale*, gdzie zrobił już zakupy na następny miesiąc. Przekręcił pozostawiony w stacyjce stary, analogowy kluczyk i z wolna poterkotał po bruku. Zapasy grzechotały i chlupotały w pudełkach. Po chwili wściekle nacisnął gaz i z rykiem pojechał ku południu, ku upałowi, ku rosnącym z rzadka drzewom oliwkowym i szaro-białemu masywowi swej góry.

* * *

Zmierzch. Wschodzące gwiazdy. Jego pora. Jego góra. Tom stał przed swoją skromną drewnianą chatą, popijał kawę i czekał na moment, gdy słońce rozwieje ostatnią z jaśniejących na horyzoncie chmur. Wokół niego, na dużej, płaskiej, szerokiej na milę, nachylonej nieco ku zachodowi płycie wapienia, połyskiwała pajęcza sieć rozciągniętych nad ziemią drutów anteny, na których błyszczała rosa, gęstniejąca w miarę jak parowało ciepło, odbijająca umierające światło dnia. Czekał na gwiazdy.

Niekiedy zdumiewał sam siebie. Zdumiewał go fakt, że mieszka tu, na górze, i zajmuje się właśnie tym, że wciąż jeszcze czegokolwiek szuka w tym dojrzałym, niemal starczym wieku tuż przed siedemdziesiątką, że – co więcej – nadal poszukuje czegoś tak dziwnego i ekstrawaganckiego jak pozaziemska inteligencja. Od czego się zaczęło? Co go popchnęło ku tej właśnie misji? Czyżby naprawdę sprawiły to powieści i filmy SF – przekraczanie gwiazdnych wrót z Davem Bowmanem i przemierzanie zamieszkaných przez czerwie pustyni Arrakis u boku Paula Atrydy? Czy doszło do tego pod skałami w Eastport, gdy jako dziecko unosił do światła małe, przezroczyste kraby, czy może niewiele lat później, kiedy odwiedził którąś z nielicznych już stron internetowych poświęconych SETI? a może ujrzał swój cel na bibliotecznych ekranach podczas studiów, lub może dopiero teraz, gdy stał i oglądał coraz jaśniejsze gwiazdy ze swej samotnej, francuskiej góry? Albo jeszcze kiedy indziej? Może było to coś odległego, słodkiego i wspaniałego, zagadkowego i bezkresnego?

Większość ludzi, których znał, lub z którymi przynajmniej utrzymywał kontakt na odległość, zrezygnowała już ze swoich dawnych pasji; prawdę mówiąc, ci, którzy wydawali się obecnie najbardziej szczęśliwi, najlepiej urządzeni w życiu – i co za tym szło, mający z nim najmniej wspólnego – w ogóle nigdy się podobnymi kwestiami nie przejmowali. Jeździli na wakacje do miejsc takich jak St. Hilaire, hodowali sobie skrzydła lub skrzela jak ich własne dzieciaki, połykając fiołki, przyswajali nowe języki i wygląd, po czym nurkowali lub latali w swym nowym żywiole. Tom odstawił kubek z kawą, która zdążyła już wystygnąć i pokryć się kozuchem z mleka, i uśmiechnął się do siebie – nadal nie mógł się oprzeć – patrząc na wzbierającą noc. Może wzięło się to z tamtej sceny z „Fantazji”, którą obejrzał na wideo, gdy był niewiele więcej niż dzieckiem. Ze sceny, do której przygrywała muzyka, w jakiej później rozpoznał „Pastoralną” Beethovena. Rozbrykane cherubiny i centaury, a pod koniec, gdy Zeus schował już swe pioruny, zachód słońca i nadejście Morfeusza spowitego pysznym płaszczem nocy. Idea istnienia życia pośród gwiazd tkwiła w nim już wówczas, wypełniała go, kiedy kucał w transie przed ekranem, obojętny na dolatujący zza okna szum ruchu ulicznego Baltimore, przepęłniła go czymś przypominającym słodką chorobę, podobna objęciom matki, która tuliła go, myśląc, że już usnął, podobna dziecięcemu pragnieniu coli i lodów. Słodki ból, który – co stwierdził, podnosząc wzrok ku rozmigotanym gwiazdom, z gęsią skórką na całym ciele – nie opuścił go od tamtej pory już nigdy.

Tak więc Tom stał się stworzeniem nocy, istotą aktywną wieczorami i o świcie. Przypuszczał, że tak bardzo nawykł do samotnego życia na rozległym i pustym górskim zboczach, że rozwinęła się w nim lekka agora – czy może była to „klaustro-”? – fobia. Stąd właśnie wzięło się dziś poranne pragnienie absyntu, a przynajmniej jego dodatkowego łyku. Środowe, gwarne miasto stało się dla niego czymś niewiarygodnym, eksplozją światła i woni, dźwięków i kontaktu z ludźmi, czymś niemal równie dziwnym jak doznania w kostiumach wirtualnych, dzięki którym można się było przenieść do fortec na odległych planetach i strzelać do – jedynie wyobrażonych – obcych. Nie to, by Tom kiedykolwiek zmusił się do tego rodzaju postępuku. Gdy potwory unosiły nad nim swe złowrogie paszcze, kiedy rozwierały szczęki, ukazując ociekające kły, czuł tylko ochotę, by się z nimi zaprzyjaźnić, wypytać je o tradycje i religię oraz obyczaje godowe. Grał w te gry kilka razy i nigdy nie

udało mu się przejść więcej niż kilku poziomów. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, uświadomił sobie, że nie przebrał też przez zbyt wiele poziomów tej wielkiej gry w rzeczywistości wirtualnej, którą większość ludzi nazywała życiem.

Już niemal zupełnie ciemno. Pora tajemnic, kochanków i wiadomości. Pora brzęku kieliszków i cichych wystrzałów korków otwieranych butelek. Zachód był nikłym czerwonym rumieńcem chmur i szczytów, odbijającym się w jeziorze na znikającym górskim zboczu. Poruszały się tam niewyraźne, szare kształty. Na ile je widział sprzed swojej chaty Tom, mogły być jedynie błędzonymi rozbłyskami i impulsami coraz słabszych pręcików i czopków siatkówki jego zmęczonych oczu – losowe strzępki informacji. z doświadczenia innych nocy i poranków wiedział jednak, że są to płochy koziorożce, pasące się na płaskowyżu. Ściągały tu razem z innymi zwierzętami, pokonując niekiedy wiele mil, wyłącznie dlatego, że większość wilgoci, spadającej wraz z zimowymi deszczami i letnimi burzami, gromadziła się tutaj, przesączając się przez porowaty wapień. Czasami, w wyjątkowo pogodne noce, gdy Tom spoglądał w tamtym kierunku, dostrzegał migotanie gwiazd, jakby kilka z nich spadło na ziemię, choć podczas tych kilku nielicznych wycieczek, jakie odbył ku małemu jezioru, pokonując trudne zbocza, doznał rozczarowania. z bliska była to po prostu owalna kałuża brudnego, brązowego, pełnego ameb płynu, otoczona płacami splekanego, wyschniętego błota. Zupełnie nie przypominała słodkiej oazy, jaką sobie wcześniej wyobrażał, w której kolorowe ptaki, drapieżniki i zwierzęta roślinożerne wszystkie skłaniały łby, chęptały srebrzystą, chłodną wodę i zapominały – powodowane wspólnym, dręczącym pragnieniem – o swej zwykłej wrogości. Mimo zawodu był to jednak wodopój, a co za tym idzie miejsce ważne dla przedstawicieli miejscowej fauny. Oglądał jezioro nawet na mapie – wiele lat temu, kiedy szukał miejsca, w którym zamierzał rozpocząć to, co – był pewien – miało stanowić jego pracę do końca życia. Niebieska kropka, niewielka zmarszczka nadziei i życia. Uznał jej obecność za znak.

Tom wszedł do chaty i zdjął metalową zakrętkę z butelki jednego z tanich, acz przyzwoitych *vins de table*, jakimi zwykle rozpoczynał swe wieczory. Pociągnął z szyjki, rozejrzał się bez większej nadziei na znalezienie czystego kieliszka, po czym upił kolejny łyk. Wolną ręką nacisnął kilka klawiszy na swoich maszynach. Zamrugały niepewnie lampki, wentylatory zagrały ni-

czym świeższe lub zajęczały jak ranione niedźwiedzie. Wymęczone, staroświeckie obwody elektryczne wypełniały chatę gorącym powietrzem. Dokoła poniósł się swąd rozgrzanego kurzu i ciepłych kabli oraz nowy, słaby, syczący dźwięk, który mógł zostać wywołany przez iskrę, jakiej – mimo że kręcił głową w tę i z powrotem, równie czujny na zmiany w topografii wnętrza jak pasterz na zmianę nastroju zwierząt w stadzie – nie zdołał zlokalizować. Ale to nieważne. Większą część zeszej nocy zamomował na dłubaninie związanej z usuwaniem skutków zalania części urządzeń winem i nie miał ochoty tego powtarzać. w atmosferze dzisiejszego dnia, tej nie-środy znanej jako czwartek, było coś, co przepełniało Toma poczuciem pośpiechu. Był zbyt mocno zakorzeniony w gruncie nauki i logiki, by wierzyć w coś tak absurdalnego jak przecucia, lecz nie potrafił przestać się zastanawiać, czy podobnie jak on w tej chwili nie czuli się Hawkingowie i Einsteinowie i Newtonowie – oraz, skoro już o tym mowa, Cookowie i Kolumbowie – na chwilę przed dokonaniem Wielkiego Odkrycia, ostatecznego przełomu. Oczywiście, każdy z takich projektów, oglądany z perspektywy, nie mógł być niczym więcej niż wynikiem stopniowej akumulacji wiedzy, sugestią instynktu, że dany obszar nauki można owocnie uzupełnić, po której doznaniu następowały zwykle lata włożenia innym do tyłków, poszukiwania grantów, oglądania głów koleżeństwa kręcących się z politowaniem nad odrzuconymi tekstami oraz ciężkiej pracy, wskutek której wstępne przecucie okazywało się coraz bardziej i bardziej racjonalnym domysłem, mimo że wszyscy inni zmierzali w przeciwnym kierunku i sądzili – by posłużyć się wyrażeniem ukutym przez profesora, u którego Tom uczył się kosmologii – że wie, kurwa, że dzwonią, ale nie w tym, kurwa, co trzeba kościele. w gorszych momentach Tom zaczynał wątpić, czy jego kościół w ogóle istnieje.

Ale nie teraz. Dane, oczywiście, były przetwarzane automatycznie, zbierane dzień i noc według zadanych przez niego uprzednio parametrów i długości fal, za to z prędkością, jaka, nawet przy tych procesorach, pozwalała na przesiewanie i odrzucanie informacji po kilka gigabajtów na sekundę. Urządzenia ustawił w ten sposób, by piszczały, migwały światłkami i wszczynały wszelki inny dostępny rodzaj elektronicznego rwetesu przy każdej napotkanej anomalii. i chociaż raz po raz wyrывały go z rutynowych południowych drzemek – wskutek zakłóceń napięcia w sieci elektrycznej, pojawienia się w powietrzu drobiny kurzu lub królika podgryzającego druty anten albo nawet

zbląkanego promienia kosmicznego – jego największym koszmarem wciąż pozostawała myśl, że systemy niefrasobliwie zignorują ten jeden skok amplitudy, tę jedyną regularność lub nieregularność, które naprawdę mogły okazać się znaczące – albo że będzie tak senny, że sam to wydarzenie przeoczy. Poza tym, rzecz jasna, komputery nie mogły szukać wszędzie. Wszechświat ma rozmiary tak olbrzymie, że Tom i jego maszyny musieli coś przeoczyć w zasadzie z definicji. i to coś, prawdę mówiąc, było tak wielkie, że równe prawie wszystkim. i nie obawiał się tylko o wszystkie dane zebrane w licznych innych – astronomicznych i nieastronomicznych – celach, jakie regularnie ściągał przez swoje łącze satelitarne i zapisywał na dyskach, których srebrzysty stos wznosił się w rogu chaty już niemal po sufit, lecz także o niezliczone gwiazdy, jakie czekały przez cały czas, o gwiazdy i ich mieszkańców, wysyłających swe sygnały w czasie rzeczywistym. Bez końca.

Jak to więc posortować? Od czego zacząć? Gdzie na skali długości fal radiowych znajduje się najlepsze miejsce do poszukiwania wiadomości od małych zielonych ludzików? Pytanie to padło po raz pierwszy ponad sto lat wcześniej i spośród wielu udzielonych na nie odpowiedzi jedna konkretna wciąż wydawała się najbardziej rozsądną. Tom ustawił antenę z drucianej, rozciągniętej na krasie siatki na odbiór właśnie tej konkretnej częstotliwości, podkręcił głośniki i pociągnął kolejny łyk *vin de table*. Włączył monitor i siedział, nasłuchując, obserwując, pijąc. Niewyraźny szum mikrofal, chłód galaktycznej ciszy pośród gwaru gwiazd i gazowych obłoków oraz ryk wielkiego wybuchu i plujących dokoła kwazarów, nie wspominając o hałasie czynionym przez wszystkich ludzi na Ziemi i w całym Układzie Słonecznym. Przestrzeń pomiędzy emisjami międzygwiazdowego wodoru i rodnika hydroksylowego znajdująca się w okolicach 1420 MHz, znana była jako oaza – nazwa ta odzwierciedlała nie tylko związek ze składem chemicznym wody, lecz również ideę miejsca, w którym – zupełnie jak płocze koziorożce zbierające się u wodopoju o zmierzchu i świcie – wszystkie różnorodne gatunki mieszkańców wszechświata mogłyby spotkać się po pełnym wydarzeń dniu, by podzielić się cudownymi opowieściami.

Tom nasłuchiwał dźwięków oazy. Jaka była szansa, że cokolwiek wydarzy się właśnie teraz, przy nim? Piiiip, pip. Pip. Pip. Pozdrowienia z planety Zarg. Niemal zupełnie, ale to zupełnie wykluczone. z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę wszelkie możliwości konfiguracji wszechświata, jaka była

szansa, że on Tom Kelly, będzie siedział na tej konkretnej górze, w tej konkretnej chwili, z tym konkretnym sprzętem i tą konkretną, niemal już osuszoną, butelką *vin de table*, nasłuchując tej właśnie częstotliwości? To samo w sobie przyprawiało o zawrót głowy. i to taki – wciąż nie był w stanie nic na to poradzić – że dostawał gęziej skórki. Już życie stanowiło przecież niewiarygodny cud. Prawdę powiedziawszy, zapewne jedyny w swoim rodzaju, jeśli wierzyć liczbie podstawianej za symbolizującą je zmienną przez tych nielicznych ekscentryków, którzy wciąż zabawiali się równaniem Drake’a. i na tym właśnie polegał problem.

Zmusił się do wstania. Przeciągnął się i wyszedł przed chatę. Głośniki wciąż posykiwały cichym, morskim rykiem, monitor migotał, obraz skakał. Pewne było jedno. Przekaz nadejdzie akurat wtedy, kiedy odwróci się do urządzeń plecami. To przecież oczywiste. Wszyscy wiedzą, że gdy patrzy się na czajnik, woda gotuje się w nieskończoność... Nie chodziło o to, że Tom był przesądny. Wyszedł więc ponownie w noc, teraz już rozgwieżdżoną, cudowną, bezkسیężycową i kompletną. Wrzucił do kontenera pierwszą tej nocy butelkę, spojrzął w niebiosa i poczuł w piersi i brzuchu tę samą emocję, jaką poczuł ponad sześćdziesiąt lat temu, tęsknotę, która nadal przypominała dziecięce pragnienie coca-coli i lodów. Czy coś dzisiaj jadł? Nie potrafił sobie przypomnieć, aczkolwiek był w zasadzie pewien, iż parzył sobie kawę. Ta ciemność karmiła go wystarczająco, karmiła go wylewającą się z nieba potęgą gwiazd. To być może dziwna refleksja, lecz w nocie jak ta ciemność połykiwała niczym starannie wykonany, doskonale wypolerowany przedmiot, błyszczący i lśniący. Można było uwierzyć w Boga. Można było uwierzyć w cokolwiek. a siatka anteny wciąż była ledwie widoczna, rozplływające się smużki niby ślady maleńkich spadających gwiazd pokrywały prostopadłymi kreskami wyschnięty, wapienny płaskowyż, wciąż wchłaniały niekończące się kosmiczne przekazy. Antena spływała ku ciemnej misie ukrytej doliny, ku ci chemu wodopojowi, ku lotnikom śpiącym w swym łózkach w St. Hilaire, śpiącym z rozedrganymi skrzydłami o prądach termicznych. Tom zastanowił się, czy madame Brissac też już śpi. Trudno mu było wyobrazić ją sobie gdziekolwiek indziej niż przed przegródkami w *bureau de poste*, czekającą na kolejnego nieboraka, któremu będzie mogła utrudnić życie. a co do samych przegródek – bez względu na klucz, pod jakim je organizowała – to faktycznie warto będzie podjąć się wysiłku dowiedzenia się czegoś więcej, ponieważ

istniała niewielka szansa, że madame Brissac, jak to madame Brissac, sortowała informacje w sposób przeoczony przez Toma i jego komputery, bezustannie wyszukujące śladów porządku w ryku chaosu. Zastanowił się też, czy nie nadeszła już pora na drugą butelkę, jedną z tych plastikowych, litrowych. Zawarty w nich napój smakował obrzydliwie, jeśli się od niego zaczynało, lecz o ile wcześniej wypilo się coś na pół przyzwoitego, można było wytrzymać...

Coś – jakaś postać – zbliżało się ku niemu po ścieżce. Nie była to przypadkowa zbitka danych i z pewnością nie koziorożec. Nie była to również madame Brissac, przybywająca, by wytłumaczyć system organizacji przegródek i przeprosić za lata nieuprzejmości. Część Toma przyglądała się z niemym rozbawieniem całej reszcie Toma, którego przyćmiony umysł i zmęczony wzrok z wolna przetrawiały fakt, że nie był sam, a postać należała prawdopodobnie do kobiety i mogła niemal być – nie – wyglądała zupełnie jak, a w zasadzie nawet była, kobietą w ciemnoniebieskiej sukience, którą zauważył rankiem przy straganie z koronkami. i rzeczywiście była niebywale podobna do Terr, przynajmniej w tym tchnącym samotnością słabym świetle bijącym od mrugających w chacie monitorów. Jej kroki. Sposób, w jaki stąpała po nagiej ziemi wzdłuż drucianej siatki. Identyczna lekkość. No i jej twarz. a wreszcie głos.

– Tom, cholera, dlaczego musiałeś zamieszkać tak wysoko? Kobieta na poczcie mówiła, że to tylko kawałek...

Wzruszył ramionami. Szybował. Poczul lekkość w ramionach, pustkę w dłoniach.

– To pewnie madame Brissac.

– Tak mówisz? Tak czy inaczej, kit mi wcisnęła.

– Trzeba było zapytać po francusku.

– Ależ ja rozmawiałam z nią po francusku. Moje biedne nogi. Szłam tu, cholera, godzinami.

Tom musiał się uśmiechnąć. Za Terr jaśniały gwiazdy i lśniły w jej niedgdyś blond włosach, które upływ lat posrebrzył, i pobłyskiwały teraz jak druty jego anteny, na włosach, które przy każdym uśmiechu dotykały zmarszczek wokół ust. Miał ochotę naraz śmiać się i płakać. Terr.

– Cóż, to właśnie cała madame Brissac.

– i co teraz? Zaprosisz mnie może do środka?

– w tej chacie nie bardzo mam jakiś środek.

Terr wykonała kolejny krok naprzód. Szła bosą. Była prawdziwa. Tak blisko niego. Czuł zapach kurzu na jej słonym ciele. Czuł i słyszał jej oddech. Tak, to Terr. Nie był pijany, nie śnił, a przynajmniej jeszcze nie był pijany; wypił przecież – ile? – ledwie dwie butelki wina. i to przez cały wieczór. a ona zmieniała się i nie zmieniała zarazem.

– Cóż, to właśnie cały Tom Kelly.

* * *

Pomysł siedzenia w chacie w taką noc wydał mu się niedorzeczny. Poza tym, wewnątrz – po którym zaczął się chwiejnie krzątać, strącając ze stołu butelki, zrzucając śmieci z krzeseł – było w strasznym, opłakanym stanie. Wytaszczył więc w mrok dwa krzesła, pomiędzy którymi rozstawił stół. Znalazł gdzieś dwa niewyszczerbione kieliszki i przetaił je z pleśni. Pomyszkował również w kartonach i wytrzasnął samotną butelkę Santernay de Chenay, rocznik 2058, którą oszczędzał dotąd na okazję Pierwszego Kontaktu – lub też chwilę, gdy popadnie w odpowiednio ciężką depresję. Zapalił jedną ze świec, które trzymał na wypadek awarii generatora. Potem udał się na poszukiwania korkociągu. Przetrzęsał szafki i szuflady i kłął pod nosem na absurdalność sytuacji – osoba pijąca tyle wina co on nie może znaleźć akurat tego narzędzia. z drugiej jednak strony, butelki tańszych gatunków zamykane były zakrętkami, a te naprawdę tanie, plastikowe, miały korki tak słabe, że wyrwałoby je nawet dziecko, i to jedną ręką. Gdy wreszcie usiadł, ciężko dyssał. Bolało go serce. Twarz pulsowała. w uszach dzwoniło.

– Terr, jak mnie znalazłaś?

– Mówiłam ci. Zapytałam kobietę na pocztce. Madame Brissac.

– Chodziło mi... – nalał wino przytrzymując butelkę oburącz, by przestała się trząść – ...o to, jak znalazłaś mnie tutaj, we Francji, w St. Hilaire, na tej górze.

Zachichotała. Brzmiała zupełnie jak Terr z dawnych czasów, rozmawiająca z nim z oddali dzięki antycznej linii telefonicznej.

– Wyszukałam cię. Wiesz, wirtualnie, wysyłasz SI niczym dzina z butelki. Dasz wiarę, że musiałam temu automatowi tłumaczyć, że SETI to skrót od „Search for Extra-Terrestrial Intelligence”? w standardowym słowniku nie miał tego wyrażenia. Tak czy inaczej, jednak znalazł cię, gdy już to poprawiłam. Masz taką staromodną stronę sieciową z informacjami o projekcie i za-

chęciami dla nowych sponsorów. Zapowiadasz na niej, że z dnia na dzień będziesz opisywać porażki, niespodzianki i osiągnięcia. Można tam nawet kupić koszulki z nadrukiem. Sądząc po wyglądzie, aktualizowałeś tę stronę jakieś dwadzieścia lat temu. Prawie widać na niej kurz...

Tom się roześmiał. Czasami trzeba.

– Tak, pomysł z koszulkami faktycznie nie wypalił... – Spojrzał w swój kieliszek. Na alkoholu również unosiła się warstewka kurzu, podobnie jak na większej części jego życia. Smak tego dobrego wina, gdy tutaj siedział i w ogóle, wydał mu się trochę dziwny.

– Ach, i ta kobieta skierowała mnie na drugą stronę rynku, żebym porozmawiała z takim niesamowicie przystojnym kelnerem w kawiarence. Okazało się, że zapomniałeś je zabrać... – Terr sięgnęła do sukienki i wyjęła karty, które musiał zostawić na stoliku.

Wziął je do ręki. Były ciepłe, wypełnione poczuciem wibrującego życia. Wątpił, by podobne emocje oczekiwały go w samych wiadomościach. Terr: i jego własny system organizacji danych.

– a co z tobą, Terr?

– o co właściwie pytasz?

– o te wszystkie lata. Bo to, czym ja się przez ten czas zajmowałem, jest raczej oczywiste...

– ...zawsze to powiadałeś.

– Tak. Ale ty, Terr. Myślałem o tobie. No, raz czy dwa. Tak tylko, od czasu do czasu...

– Mhm... – Rzuciła mu uśmiech znad kieliszka, poprzez blask świecy. – Porozmawiajmy przez chwilę o terażniejszości, zgoda Tom? o ile w ogóle mnie tutaj chcesz.

– Dobrze.

Rozbolał go brzuch. Dłonie wciąż dygotały. Wychylił kolejny szczodry łyk wyrazistego, świetnego wina.

– Tom, nadal nie powiedziałaś tego, co przecież oczywiste.

– Czyli?

– Że się zmieniałam. Chociaż pewnie spotkało to nas oboje. Czas płynie tak samo dla wszystkich.

– Świetnie wyglądasz.

– Zawsze umiałaś prawić komplementy.

– To dlatego, że zawsze są prawdziwe.

– a jednak, w gruncie rzeczy, jesteś praktycznym człowiekiem. Przynajmniej byłeś. To też mi się w tobie podobało. Nawet jeśli nie zawsze się zgadzaliśmy...

Tom od zawsze był skupiony na jednym temacie, na jednej obsesji. Terr interesowało wszystko. Pragnęła całego świata, wszechświata. i nic się nie zmieniło. Tom wyczuwał to w drzeniu nocy między nimi, tę rozbieżność celów, stratę kontaktu, zupełnie jakby cofali się ku wietrznej rozpadlinie, jaka już raz się pomiędzy nimi pojawiła.

– Tak czy inaczej – odezwał się głupio, tylko po to, by przerwać milczenie – skoro nie jesteś zadowolona z obecnego wyglądu, wystarczy jedna fiolka.

– Co? Mam być śmieszna jak te wszystkie kobiety, które przechadzają się po Oxford Street i Fifth Avenue? Ze sztuczną sierścią, sztucznymi uśmiechami i sztuczną skórą? Młodość jest dla młodych, Tom. Zawsze tak było i będzie. Teraz im należy się szansa. Myśmy swoją już mieli. Zresztą, oni są w tym wszystkim o wiele lepsi od nas.

Terr odstawiła kieliszek na szorstki blat, odchyliła się i przeciągnęła na chybotliwym krześle. Włosy na jej ramionach rozblęły i przez chwilę wydawały się niemal jasne. Ciemność wydrążyła jej gardło.

– w moim wieku, Tom, w naszym... Zaczyna się wydawać, że spoglądanie wstecz jest ważniejsze niż patrzenie przed siebie...

– i dlatego właśnie tu jesteś?

Mniej wyraźne wzruszenie ramion, znów się przeciągnęła. Jej ciało zaszepotało. Wydawało się, że zbiera się długimi sznurami wokół szyi. Oczy Terr zajęła pustka, zgasł w nich blask świecy. Tom pożałował, że nie ma więcej światła; więcej lub mniej. Chciał ujrzeć Terr taką, jaka była naprawdę, lub spowitą w nieprzeniknioną ciemność. Nie tak jak teraz, drgającą i zmienną niczym koziorożec przy wodopoju o zmroku. Możliwe, że poświęca świeczek to kolejna rzecz, którą powinni zarezerwować dla siebie młodzi, podobnie jak fiolki, jak latanie, jak miłość, wiarę i entuzjazm. Zapomnieć o romantyzmie – teraz, w swoim wieku, potrzebowali już tylko wiedzieć. Chciało się pewności. Zresztą, sam Tom wyglądał – co stwierdził podczas nielicznych wycieczek przed lustro – jak szczególnie złośliwa karykatura Toma Kelly, jakiego pamiętała Terr; czas uczynił z nim to, co w zeszłym stuleciu Gerald Scarfe zrobił Ronaldowi Reaganowi i Margaret Thatcher. Spękane żyłki na policz-

kach i w oczach. Sińce i opuchlizny. Te przekłete plamy wątrobowe, które zaczęły się niedawno pojawiać – plamki grobowe, jak dawniej nazywała je jego babcia. Wyglądał jak Tom Kelly skacowany, po barowej bójce i dodatkowo cierpiący na grypę oraz nieprzyjemne poparzenie słoneczne, zmagający się z grawitacją jakiejś znacznie większej planety. w zasadzie, jeśli się nad tym zastanowić, to właśnie przypomina starość.

Grypę i zbyt silne ciążenie.

* * *

Nigdy nie był dobry w zagadywaniu dziewczyn. Miał dawniej, za młodu, rodzaj naturalnego i nie do końca przeciętnego wyglądu, jaki nie wymagał poprawek – i to dobrze, gdyż nie zabrałby się za to nawet gdyby było go stać – lecz cechowała go również nieśmiałość, która w rozmowach z kobietami sprawiała wrażenie lekkiego braku zainteresowania. Im ładniejsze dziewczyny, tym bardziej niezdecydowany i niezainteresowany stawał się Tom. Ta jednak konkretna kobieta czy też dziewczyna, z którą pewnego razu znalazł się na spacerze wzdłuż kanałów starego i dawniej przemysłowego miasta zwanego Birmingham, po jednej z imprez urządzanych, by mogli się poznać studenci z wymiany, ta konkretna dziewczyna okazała się inna. Po pierwsze, była Angielką, co Tomowi – niewiele podróżującemu Amerykaninowi, który niedawno trafił do obcego kraju – wydawało się naraz swojskie i egzotyczne. To, co mówiła, każdy jej gest, wszystko było naznaczone odmiennością – dziwną i intrygującą...

Zaprowadziła go nad Gas Street Basin. Oleista woda połyskiwała tam starą ropą, antyczną mgłą. Potem poszli nadbrzeżną ścieżką do Sealife Centre, gdzie podmorskie, głębinowe stworzenia, żywcem wyjęte z kart Lovecrafta, otwierały swe paszcze za potrójną szybą ciśnieniowych akwariów. Następnie przez żelazne mosty kanałów Worcester i Birmingham do pubu. Popijając wino z kieliszka, Terr opowiedziała, że pewien amerykański prezydent odwiedził ten lokal podczas jakiejś światowej konferencji i wypił szklanke piwa, czym zaskoczył miejscowych. Miała piękne, jasne włosy. Jej oczy były barwy burzowej zieleni. Zrzuciła z ramion wełniany płaszcz z kołnierzem, który musnął wykwintny zarys jej szczęki i szyi. Zrobiła to w taki sposób, że Tom zaczął kołnierzowi zazdrościć. Pod spodem nosiła ciemnoniebieską sukienkę bez rękawów, ciasno opinającą biodra i niewielkie piersi, odsłaniającą zgrabne nogi. Tom, oczywiście, zazdrościł również sukience. Na

krawędzi kieliszka pozostał czerwony półksiężyc, smuzka jej szminki. Terr studiowała wówczas literaturę, przedmiot sam w sobie ezoteryczny, a na domiar wszystkiego jako specjalizację wybrała opowieści o wyobrażonej przyszłości, które były popularne przez wiele dziesiątek lat, zanim wyparła je prawdziwa i często trudna do wyobrażenia teraźniejszość. Tom, który wprost pożerał tego rodzaju historie, gdy był nastolatkiem, niemal zapomniał o powściągliwości. Polecił dziewczynie Johna Varleya – nie słyszała o nim – i odradził czytanie późnego Heinleina, po czym przedstawił jej swoje ulubione lektury, do których zaliczały się przede wszystkim książki autorów Złotego Wieku – tak, tak, znała to wyrażenie – w rodzaju Simaka i Van Vogta, Wynghama i Sheckleya. Byli jeszcze Lafferty i Cordwainer Smith...

Wreszcie – po jakimś czasie spędzonym w górnej sali tego pubu, gdzie mógł kiedyś siedzieć amerykański prezydent, wyglądającej na kanał, na którym terkotały staromodnymi benzynowymi silnikami długie łodzie, broczące rozmaitymi barwami do wody – Terr odciągnęła Toma od fantastyki naukowej i nakłoniła, by opowiedział o sobie. Później dowiedział się, że SF zaczęła ją już wtedy nudzić. Odkrył również, że Terr zdążyła rozpocząć na studiach sześć kursów i znudziła się nimi wszystkimi. Była dostatecznie inteligentna, by szybko poznać zarys dowolnego przedmiotu i – wbrew świadectwu jej papierów – przekonać wykładowców, że wreszcie odnalazła swe powołanie w studiowaniu historii średniowiecza, filologii klasycznej lub ekonomii. Podobnie szybko – wedle standardów Toma, niewiarygodnie szybko – przyswajała sobie języki. w dowolnej innej epoce mogłaby dzięki temu zdobyć przyzwoitą pracę; nawet gdy siedziała w tym birminghamskim pubie w swojej ciemnoniebieskiej sukience, Tom umiał ją sobie wyobrazić obok tego anonimowego amerykańskiego prezydenta, szepczącą mu do ucha kolejne słowa. Tyle że już wówczas każdy przeciętnie inteligentny człowiek mógł poznać obcą mowę w ciągu kilku dni. Głęboka terapia. Biologiczne sprzężenie zwrotne. Nanoulepszenia. Technologie, o jakich Tom marzył w swych młodzińskich latach, ślęcząc nad zakurzonymi stronicami analogowych książek, rozwijały się w tempie wykładniczym.

Terr jednak przelatywała od fascynacji do fascynacji, z kwiatka na kwiatek, spijała nektar, po czym rozpościerała skrzydła i szybowała do innego wydziału. Podobnie było z ludźmi. Terr maksymalnie skupiała się na znajomych – a przynajmniej na tych, którzy ją zainteresowali. Starła się zrozumieć,

wchłaniała, dowiadywała się wszystkiego.

Tom stwierdził, że teraz również to robiła, teraz, gdy tyle lat później siedzieli przed jego chatą na zalanej blaskiem gwiazd francuskiej górze. Terr, która zmieniała się i przeobrażała w miękkiej powodzi światła świec po drugiej stronie odrapanego stołu, czytała w nim jak w książce. Każde słowo, każdy gest: zrozumiał już, że ta butelka wina, co prawda dobrego, nie wystarczy mu do przetrwania reszty nocy. Terr wyczuwała fale świata, które przyniosły go tutaj wraz ze wszystkimi jego nadziejami, dziwnym przypadkiem nienaruszonymi, niczym Noego w arce, a potem cofnęły się i zostały na brzegu, wyschniętego i tonącego.

– o czym myślisz?

Wzruszył ramionami. Tym razem jednak prawda okazała się bezbolesna.

– o pubie, do którego mnie zabrałaś, kiedy się poznaliśmy.

– o Malt House?

Terr była bystra, szybka. Nawet teraz. Oczywiście, że pamiętała.

– Bez końca mówiłaś o fantastyce... – dodała.

– Naprawdę? Cóż, pewnie tak.

– No, może nie do końca bez przerwy, ale akurat tamtego dnia przesiedziałam cały cholerny wykład o tych książkach i uznałam, że mam ich dosyć. Że mam dosyć fikcji w ogóle. Uświadomiłam sobie, że pragnę czegoś wspaniałego, ale prawdziwego.

– Cóż, znalezienie czegoś takiego nigdy nie było proste...

Terr była wtedy taka śliczna. Ta niebieska sukienka, odcisk ust na kieliszku, z którego piła wino. Te burzowe, zielone oczy. Wspaniałe, ale prawdziwe. Czy jednak nie było z nimi jak z tą parą dziś rano? Co ona w nim widziała?

– Potem opowiedziałeś mi, że zamierzasz dowieść istnienia inteligentnego życia we wszechświecie. Powiedziałeś to ot tak, po prostu. Nie wiem z jakiego powodu, ale zabrzmiało to tak cudownie. z jednej strony jesteś marzycielem, ale potrafisz być przy tym bardzo rzeczowy, konkretny...

Tom nieco mocniej ścisnął kieliszek i wypił do dna. Jego marzenie. Czuł, że następne, oczywiste pytanie zbliża się coraz bardziej.

– Więc jak? Udało ci się? – zapytała Terr. – Znalazłeś swoje małe zielone ludki, Tom? Chociaż pewnie bym o tym usłyszała. Pamiętasz, że obiecałeś dać mi znać? Podejrzewam, że co najmniej napisałbyś o tym na tej swojej

starej stronie. – Zachichotała zmienionym głosem, nieco przeciągając słowa.

Tom przypomniał sobie, że Terr była w stanie upić się połową kieliszka wina. Potrafiła się upić zupełnie niczym. Czymkolwiek.

– Przepraszam, Tom. To przecież całe twoje życie, prawda? Zresztą, co ja tam wiem. To była jedna z rzeczy, które zawsze mi się w tobie podobały. Umiejętność marzenia, i to marzenia na ten twój praktyczny sposób. Kochałam...

Kochałam? Czy naprawdę użyła tego słowa? a może to znowu szum danych, jakieś zakłócenia?

– Musisz mi powiedzieć, Tom. Jak ci idzie? w końcu wdrapałam się aż na tę górę. Opowiedz o sobie i swoim marzeniu.

Świeczka zaczynała się dopalać. Gwiazdy zalewały go blaskiem. Wino to za mało, potrzebował absyntu. Ale jego marzenie... Od czego zacząć? Od czego tu zacząć?

– Pamiętasz równanie Drake'a? – spytał.

– Tak, pamiętam – przytaknęła Terr. – Pamiętam równanie Drake'a. Opowiedziałeś mi o nim już tego pierwszego dnia, kiedy wracaliśmy z pubu... – Przechyliła głowę, przyjrzała się migocącej na zachodzie konstelacji Barana z taką miną, jakby próbowała przypomnieć sobie tekst ich piosenki. – Zaraz, jak to szło?

Aż do tego momentu cała ta sytuacja nie wydawała się Tomowi rzeczywista. Ta noc, odwiedziny Terr. Świeca migocąca wzbierającym pulsem i Terr zmieniająca się z każdym jej poruszeniem, przeobrażająca z osoby, którą pamiętał, w tę, którą była obecnie. Lecz równanie Drake'a, to dawało Tomowi punkt zaczepienia. a w ogóle, to jak ono właściwie brzmiało?

* * *

Tamto długie i mgliste popołudnie. Spacer z pubu po wąskich ścieżkach nad kanałami, pod ociekającymi tunelami i mostami, aż poza stare fabryki i eleganckie domy, aż – gdy zapłonęły uliczne latarnie – do drugiego uniwersytetu w mieście, do Edgbaston. Opowiedział Terr o radioastronomii nazwiskiem Frank Drake, który – po wszystkich zwykłych w tego typu sytuacjach fałszywych alarmach i problemach finansowych, jakie nękały SETI nawet w tej zarodkowej fazie, w połowie ubiegłego stulecia – spróbował zawęzić cały problem, sprowadzając go do logicznego zestawu parametrów, połączonych w równanie, z którego, po przeprowadzeniu poprawnych obliczeń, wyniknąć

miała elegancka liczba N oznaczająca mocne przybliżenie ilości inteligentnych i zdolnych do komunikacji gatunków zamieszkujących naszą galaktykę. Jeżeli rozwiązanie równania okazałoby się liczbą wysoką, oznaczałoby to, że przestrzeń jest aż gęsta od sygnałów nadawanych przez istoty rozumne, tęskniące do nawiązania ze sobą łączności. Gdyby natomiast obliczenia zwróciły wynik jeden, byłibyśmy praktycznie samotni we wszechświecie. Zmienne w równaniu Drake'a oznaczały liczbę gwiazd w naszej galaktyce, szansę na istnienie wokół nich możliwych do zamieszkania planet, liczbę tych planet, na których życie faktycznie powstało, średni odsetek zamieszkaných planet, gdzie życie rozwinęło się do postaci inteligentnej, liczbę owych inteligentnych gatunków, które w ogóle zechcą nawiązać międzygwiazdną łączność, oraz szansę, by taka komunikacja została nawiązana w okresie historii, w którym ludzkość uzyskała zdolność do odbioru obcych sygnałów – ów ostatni parametr sprowadzał się do mikroskopijnego teraz.

Tak więc nasłuchiwali, ci przynajmniej, którzy wierzyli, ci, którzy chcieli, by wieńczące równanie Drake'a N wynosiło dziesiątki lub setki tysięcy. Korzystali z jałowego czasu pracy radioteleskopów i procesorów, dręczyli swych akademickich pryncypałów, senatorów i podobnych sobie marzycieli, domagając się funduszy na działalność SETI. Niektórzy, jak na przykład pracownicy projektu w Arecibo, wysyłali nawet komunikaty w kosmos, choć przecież wiadomości z naszej planety rozchodziły się i tak – cały ten szwargot ludzkości w eterze rozprzestrzeniający się w przestrzeni z prędkością światła od chwili pierwszej transmisji Marconiego... Jesteśmy tutaj. Ziemia żyje. i nasłuchiwała. Wyczekiwali odpowiedzi. Wówczas, kiedy poznał Terr, Tom wciąż wierzył w równanie Drake'a z żarliwością bliską religijnej, mimo że wielu innych ogarniało zwątpienie, a zdobywanie funduszy szło coraz bardziej opornie. Gdy szedł z nią pod wieżę zegarową, przez mgliste światła drugiego kampusu Birmingham, jego komputer w wynajętym w Erdington studenckim pokoiku przeżuwał ściągnięte ze strony projektu SETI dane, a na ciepłej obudowie maszyny spał kot właściciela mieszkania. Tom był pewien, że wraz z coraz bardziej nowoczesną i powszechną technologią przetwarzania informacji i przy dostępie do przeszukujących szerokie zakresy fal radiosatelitów, odebranie pierwszej anomalii, nawiązanie Pierwszego Kontakt, jest jedynie kwestią czasu i determinacji. I – jeśli się nad tym zastanowić – to właśnie przekonanie bardzo mu się przydało, kiedy spacerował z Terr w tamto

mgliste, angielskie, jesienne popołudnie. Był to jeden z bardziej zawyłych sposobów na podryw w dziejach, ale za to – przynajmniej wtedy – okazał się skuteczny.

Wrócili do miasta pociągiem i wysiedli na New Street. Światła i samochody zasnuwały wieczór gęstym oparem. w pewnym momencie, kiedy szli do kampusu, mijając wielkie sklepy i sądy, Terr wtuliła się w niego, a Tom ją objął. Pierwszy kontakt. Napięcie między nimi rosło, słodkie i elektryzujące, a w jego gardle i brzuchu pojawiło się cudowne pragnienie. Wreszcie zatrzymali się i pocałowali w wilgotnej ciszy jednej ze starych stacji metra, podczas gdy z góry dolatywał ich – niczym odgłos dalekiego morza – szum ruchu ulicznego. Terr. Smak jej ust. Wreszcie udało mu się dotknąć miejsca pomiędzy jej brodą i szyją, miejsca, do którego tęsknił przez całe popołudnie. Terr, mroczna i żywa w jego ramionach, kobieca, angielska i obca. Terr, która zamknęła swe burzowe oczy, kiedy ją całował, i która uniosła potem powieki i spojrzała na niego z oszalałą szczerością. Od tego momentu zmieniło się wszystko.

* * *

Terr miała wielki apetyt na życie, do wszystkiego podchodziła z entuzjazmem. Miała też stary samochód jakiejś nieokreślonej japońskiej marki, z przeciekającymi drzwiczkami, popsutym GPS-em i felemym wodorowym ogniwem paliwowym. Tom często grzebał pod maską, by pojazd zechciał się uruchomić i powieźć ich na jedną z ambitnych, weekendowych wycieczek przez tę chłodną i mglistą krainę miłości i życia zwaną Anglią, w której tak nagle się znalazł. Na południe, do przypominających barwą herbatniki wiossek Cotswolds, na północ, ku szarym wzgórzom Peak District i dalej, dalej w górę mapy, gdy jesień strząsnęła już liście, zwinęła dymy swych chmur i nastąpiła zima. Całymi godzinami trzęśli się, jadąc po starych, publicznych pasach autostrad. Mijały ich nowe środki transportu, których pasażerowie zajęci byli telekonferencjami lub drzemką. Tomowi jednak podobało się poczucie wysiłku, wrażenie zbliżania się do celu, hurgot opon i opór scentrowanej kierownicy. Lubił co godzinę lub dwie zmieniać się z Terr za kółkiem i lubił sposób, w jaki wzgórze unosiły się i opadały, lecz wciąż rosły, w miarę jak jechali na północ. Wreszcie wysiadali i oglądali śnieg i plamy słonecznego światła na wysokich zboczach. Czuli czyste ukąszenia wiatru. Wspinali się w miejsca, gdzie ścieżki dawno już zarosły, a owce ze zdumieniem przyglądały

się ludziom, którzy dokonali inwazji na ich terytorium. Zgrzani i zdyszani zatrzymywali się w osłoniętych od wiatru miejscach i spoglądali w dół, na maleńkie szczegóły olbrzymiego, stworzonego przez siebie świata. Terr zmieniła już wówczas specjalizację z fantastyki naukowej na wczesnych romantyków, poetów w rodzaju Wordswortha i Coleridge'a i kiedy wspinali się na Scarfell, wyśpiewywała urywki z „Preludium”, a śnieg i jeziora migotały dookoła. Tom brnął bez tchu, próbując nie zostać w tyle, póki nie odpoczęli ponownie, spoceni i zmarznięci. Terr usiadła, uśmiechnęła się do niego i ściągnęła wierzchnie warstwy polaru i wełny. Zaczęła rozwiązywać buty. Wrażenie było niedorzeczne – czuć zmieszane ze sobą jej ciało i śnieg, słyszeć w uchu zaśpiew jej oddechu, ponagląjący, kiedy wiatr i jej palce i cienie chmur sunęły po jego nagich plecach. Było to również niebezpieczne. Gdyby – w środku zimy – osunęli się potem w sen, zapewne umarliby z wyziębienia. Gra jednak okazała się warta świeczki. Nigdy nie czuł się bardziej żywy.

Leżeli w niecce. Terr tuliła się do niego. Miała napiętą skórę, marzła w miarę jak parował spomiędzy nich pot. Jeszcze godzina, a słońce zacznie zachodzić. Już osuwało się przez chmury ponad Helvellyn, tworząc widok tak piękny, iż Tom uznał, że nawet Wordsworth miałby problem z jego opisaniem. Jego palce igrały z twardością prawego sutka Terr, kolejnego wspaniałego wierzchołka, którego uroku Wordsworth zapewne nie zdołałby oddać słowami. Było koszmarnie zimno, lecz ku swemu przyjemnemu zdziwieniu, Tom stwierdził, że sam również twardnieje. Przycisnął wargi do ramienia Terr, przeciągnął językiem po tym ślicznym wgłębieniu pod jej uchem. Drżała już wcześniej, lecz poczuł, jak zadygotała dodatkowo – dreszcz w dreszczu – kiedy przesunął palcami w dół jej brzucha i pomyślał o gwiazdach, jakie miały niedługo wejść, i może też o odszukaniu jednej z opuszczonych farm, na której mogliby spędzić noc, i o słodkiej wilgoci Terr i o lizaniu jej tam. Spięta się i znowu zadrżała, co uznał za zachętę, mimo że był pewien – jako że płaszcz zsunął mu się na cał z ramienia – że poczuł osiadający na nagiej skórze płatek śniegu. i wtedy, niemal gwałtownie, odsunęła się

– Tom, popatrz tam. Widzisz je? Te iskierki, te kolorowe?

Tom spojrział i rzeczywiście, w oddali, w ostatnim rozświetlonym słońcem miejscu, kilkoro ludzi wirowało niczym ptaki. Mogli co prawda używać mikrolitów, lecz w taki dzień odgłos ich silników przeciąłby lodowate powietrze jak nóż. Tom jednak przypomniał sobie mgliście lekturę artykułu o no-

wym szaleństwie, modzie wciąż uważanej za niebywale niebezpieczną – dla ciała i dla ducha – polegającej na poddaniu się genetycznej modyfikacji i wychodowaniu sobie skrzydeł. Zupełnie jak w bajce. Lub w fantastycznym opowiadaniu.

* * *

Tom wyśnił, doświadczył, wszystkich możliwości. Uwielbiał postacie z „Fantazji”, pół ludzi, pół fauny; te piękne, skrzydlate konie. Niedługo potem zapragnął gorąco, by zielonookie potwory i roboty, z jakimi zmagali się kreskówkowi superbohaterowie choć raz wcieliły w życie swe złowrogie plany. Później nastał czas starych odcinków „Star Treka” – im starszych, tym lepiej – i wszystkich innych seriali, w których załogi statków z napędami skokowymi, prowadziły spokojne konwersacje przy jasno oświetlonych stołach z generowanymi komputerowo obcymi i ludźmi w gumowych maskach. Gdy skończył osiem lat, był już świadkiem rozkwitu i upadku wielu galaktycznych imperiów, drążył tunele na wskroś lodowych planet, toczył potyczki z potężnymi i wciąż rozumnymi niedobitkami starożytnych konfliktów...

Stwierdził też, że obrazy, które tworzył we własnej głowie – w oparciu o zakurzone książki, jakie odnalazł w starym pudle po jabłkach, wystawione na sprzedaż, gdy zamykali miejscową bibliotekę – są o wiele lepsze niż cokolwiek, co powstawało za grube miliardy w Hollywood. Miał też wrażenie, że prawdziwa technologia, którą zaczął poznawać w szkole oraz w wolnym czasie, jest tylko o jeden lub dwa przełomy od osiągnięcia cudów, jakie urealniałyby przyszłość, tę prawdziwą przyszłość, której pożądał niemal fizycznie. Pojazdy międzygwiazdne będą niebawem gotowe do startu, mimo że NASA miała poważne kłopoty finansowe. Niedługo rozpostarte zostaną fotonowe żagle, choć większość krążących wokół ziemi satelitów przekazywała tylko informacje dotyczące wirtualnych zakupów i pornografii. Portale pozwalające podróżować przez czas i wymiary są odległe tylko o drobny kwantowy skok. a cudowne światy, przepełnione szmaragdowymi chmurami i rozumnymi, szkarłatnymi oceanami, rozległymi diamentowymi miastami i powolnymi, olbrzymimi chmurami gazu rozwierającymi swe ziejące na rok świetlny paszce, tylko czekają na odkrycie. Tak więc, jako bystry dzieciak, spacerując z matką po słonych nabrzeżach Baltimore i wpatrując się w dziwne, przypominające kształtem gwiazdy istoty zamknięte w jasnych akwariach National Aquarium, na długo zanim poznał Terr, zasypiał przy radiu włączonym, lecz

nastawionym na szum pomiędzy stacjami, na syk rozchodzących się dokoła fal radiowych. Jesteśmy tutaj. Ziemia żyje. Tom nasłuchiwał i czekał na odpowiedź.

w szkole radził sobie z nauką i egzaminami na tyle dobrze, że przechodził z klasy do klasy bez większego problemu. Bawił się pasjonującą fizyką kosmologii, cieszył się logiką gwiazd i przemierzał zawiłe ścieżki życia dzięki chemii i biologii i nasłuchiwał fal radiowych i majsterkował przy urządzeniach mechanicznych i elektrycznych, poznał dogłębnie komputery i inżynierię oraz zdobył dyplom wydziału fizyki stosowanej na uniwersytecie Nowej Kolumbii, gdzie przeżył pełen rozstań romans z doktorantką psychologii, w trakcie którego stracił wreszcie dziewictwo, nim – jak to ujęła następnego poranka, jakby, mimo wszystkich obietnic i czułych słówek, wyświadczyła mu przysługę – to dziewictwo straciło jego.

Po studiach dziwacy od kosmologii poszli w jedną stronę, matematycy udali się w inną, a komputerowi maniacy w jeszcze inną. Ześwirowani fizycy w rodzaju Toma rozpoczęli kariery w firmach zajmujących się nanotechnologią, które wtedy były głównymi aktorami na światowej giełdzie. Sam Tom jednak miał na rozmowach kwalifikacyjnych ten sam problem, który dręczył go często w kontaktach z dziewczynami, przynajmniej kiedy był trzeźwy – problem polegający na tym, że ludzie odbierali go jako osobę zupełnie niezainteresowaną. w tym jednak wypadku była to prawda. Nie miał do tego serca – nieważne, czym owo „to” było. Zrobił więc coś, co robi większość niezaradnych, młodych naukowców, którzy nie są w stanie wymyślić nic innego – wyjechał robić doktorat za granicę, którą to zagranicą okazało się maleńkie Aston w angielskim Birmingham. To właśnie tam po raz pierwszy związał się z miejscowym oddziałem SETI – oczywiście mocno partyzanckim i całkowicie niedochodowym. Udało mu się jednak otrzymać nieco wolnego czasu pracy radioteleskopu, który udostępnił jeden z kolegów z Jodrell Bank. Oczywiście, o samym SETI wiedział już od dawna. Równanie Drake’a poznał w tak wczesnym dzieciństwie, że nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy dokładnie zetknął się z nim po raz pierwszy, zupełnie jak z piosenkami Beatlesów i królową Śnieżką. Wreszcie jednak udało mu się zaangażować, stał się jednym z nasłuchujących. a potem zdołał przekonać promotora, by w jego pracy na temat przesunięcia fazowego pojawiły się dane z SETI. w końcu znalazł się wśród takich samych jak on marzycieli. Wszystko trafiło na

swoje miejsce. Tom Kelly robił to, co mógł robić na tej konkretnej planecie, orbitującej wokół tego przeciętnego słońca. Robił wszystko, co było w jego mocy. Mimo że ludzie nasłuchiwali już wiadomości z gwiazd od ponad pięćdziesięciu lat, a politycy i biurokraci oraz fundatorzy – nawet ogromnie cierpliwy promotor Toma – wciąż kręcili głowami i marszczyli brwi, był pewien, że to tylko kwestia czasu. Że wystarczy podjąć jeszcze jeden, ostatni wysiłek.

* * *

Był pewien sklep w Kendal, na skraju Lake District. Znajdował się na rogu, w miejscu gdzie wyłożona brukiem droga zakręcała i schodziła w dół. Nie tak dawno temu wyspecjalizował się w sprzedaży sprzętu alpinistycznego i skałkowego, a także ciasta miętowego, z powodu którego miasto było słusznie i szeroko znane i które smakowało – według pamiętnych słów Terr, skierowanych do Toma, gdy po raz pierwszy namówiła go na ów specjał – zupełnie jak mrożona pasta do zębów. Wciąż można dostrzec dawną nazwę sklepu – „Szczyt i wzgórze”, z szyldem przedstawiającym dwójkę wspinaczy – pod krzykliwie pomarańczową farbą, jaką wymalowano nową nazwę – „Ekstremalne jeziora”.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Stylowo ubrane pary pozowały na zewnątrz pod bąblowatymi maskami nieskazitelnymi, zielonymi, wyposażonych w baloniaste opony pojazdów terenowych. Nawet w dzień taki jak ten, gdy padał marznący deszcz, nie było najmniejszej wątpliwości, że nowe, oparte na cielesnych zmianach sporty, do których sprzęt sprzedawano teraz w sklepie, stanowią świetny interes. Właśnie to było oczywiste. Nikt już nie podnosił po prostu wzroku na jeden z tych zaśnieżonych, okrągłych szczytów, nie konsultował się ze starym wydaniem przewodnika Wainwrighta, by, stawiając nogę za nogą, ruszyć pod górę. Nikt poza Tomem i Terr, płoszącymi te zaskoczne, czarnonogie owce, umykające po oszronionych zboczach. Nikt poza Tomem i Terr znajdującymi porzucone farmy, kochającymi się słodko na mrozie, przeżywającymi ekstazy przypominające naraz jedzenie lodów i agonię na trzaskającym przymrozkowym skalnych niecek. i aż do tamtej pory Tom był bardzo za to życiu wdzięczny.

Sami ludzie także wyglądali dziwnie. Tom – który, zanim poznał Terr, rzadko robił cokolwiek poza przejazdami autotramwajem do i z kampusu lub swego pokoju, a gdy już ją spotkał, ledwie widział cokolwiek poza nią –

zaczął dostrzegać rzeczy, o jakich dotąd jedynie czytał – i to niewiele, gdy nie miał czasu na prasę. Zmiany na twarzach – nie tylko te subtelne, sprawiające, że ludzie bywali bardziej przystojni lub ładni, lecz także te, które sprawiały, że brwi stawały się niebieskimi graniami, a usta rozszerzały się w wielkie, miękkie niczym pierzyny twory, które zdumiałyby nie tylko Micka Jaggera, ale i Salvadora Dali. KobiECE piersi przypominające poduszki powietrzne, lub przeciwnie, stające się jedynie różanymi sutkami, rzecz jasna kusząco demonstrowane pod ubraniami z tkanin zmieniających stopień przejrzystości wedle stężenia wykrywanych feromonów. Jedna z takich istot – Tom był niemal pewien – miała zestaw potrójny, dwa dołki między piersiami, choć trudno było to stwierdzić po jednym zerknięciu, a nie chciał przyglądać się jej otwarcie, pełnokrwistym spojrzeniem, ponieważ najwyraźniej tego właśnie oczekiwała. Większość z nich jednak była bardzo chuda. To właśnie uderzało go najmocniej. Ludzie byli chudzi jak ptaki, a z pleców wystawały im krótkie, przypominające pióra wypustki. Byli aniołami lub diabłami, mitycznymi istotami, którym Bóg odciął skrzydła, gdy popełnili jakąś straszliwą, teologiczną zbrodnię, aczkolwiek same skrzydła można było po prostu nabyć w sklepie. Buty „Nike” i „Reebok”, Sharki i Microsofty i Hondy, dostępne po niewiarygodnych cenach. Czekwały w stalowych stojakach niczym kijki do nart.

Sprzedawczyni rzuciła się na nich zza szklanej lady. Miała zielone włosy, co nawet Tomowi wydało się mimo wszystko rozsądne – ot, wesoły sposób wykorzystania farby do włosów – z bliska jednak okazało się, że to nie zwykłe włosy, a dziwna, lśniąca zasłona z materiału przypominającego celofan. Gdy jej dotknęła, zaszeleściła, a dotykała jej często, jakby nie mogła jeszcze do końca uwierzyć, że ją ma, gestem podobnym do tego, którym mężczyźni bezustannie muskają świeżo zapuszczone wąsy i brody. Dziewczyna już po chwili wdała się z Terr w pogawędkę na temat marek i wytrzymałości na rozciąganie, rozmawiały o stosunku wagi do siły, o wychłodzeniu i chwytaniu dreszczy, o gwałtownych kominach wznoszących i o podniebnych dziewicach – Tom domyślił się, że chodziło o nich. Terr wchłaniała to wszystko identycznie jak wchłaniała każdą nową i ekscytującą dziedzinę. Obserwował jej odbicie w wiszącym nad kontuarem lustrze i pochwycił ów zdumiewający błysk burzowozielonych oczu. Wyglądała w tym stanie tak pięknie: skupiona i zaskoczona. Poczuł, że chce dotknąć miejsca, gdzie spotyka się jej szyja i

broda, tuż pod uchem – miejsca wciąż mokrego od deszczu i rozpaczliwie domagającego się pocałunku – poczuł to, mimo że pora nie była najbardziej sprzyjająca. i te oczy. Uwielbiał spojrzenie, jakim mu odpowiadała tuż przed orgazmem; sama ta mina wystarczała, by posłać go w przestwór, w otchłań cudownych zielonych mgławic, na wskroś rozrastającej się czerni jej źrenic, przypominających rodzące się gwiazdy.

– Oczywiście, samo podstawowe dostosowanie ciała zajmie kilka tygodni...

Czy ta sprzedawczyni mówiła do niego? Tom nie miał pojęcia i zupełnie go to nie interesowało. Podsunął się nieco bliżej, by ukryć żenujące wybrzuszanie erekcji i zapatrzył się na ciasto miętowe, które wciąż tu sprzedawano. Brązowa czekoladowa polewa i standardowo biały spód, który rzeczywiście smakował jak mrożona pasta do zębów, choć był znacznie od niej słodszy. Jakiś mężczyzna o skórze barwy jadeitu i okropnie chudych ramionach przecisnął się z przeprosinami obok Toma i wziął dwa wielkie kawałki. Fakt, że słynne ciasto miętowe z Kendal wciąż było w tej nowej epoce popularne, okazał się dla Toma swego rodzaju pocieszeniem. Na staromodnym opakowaniu widniały medale i nagrody, upamiętniające wyprawy i ekspedycje z czasów, gdy ludzie podejmowali fizyczne wyzwania za pomocą nieulepszonych ciał tylko dlatego – jak to ujął Mallory, zanim zniknął we mgłę na ostatniej grani Everestu – że istniały. Było też jednak zrozumiałe, że organizmy przechodzące transformację pozwalającą – w myśl reklam – latać jak ptak (lub przynajmniej łopotać jak latawiec) potrzebowały sporej dawki węglowodanów.

w tym nowym świecie sportów ekstremalnych, jeśli ktoś chciał dokonać czegoś, na co nie pozwalało mu ciało, po prostu przerabiał swój organizm. Przerzucając jakiś czas temu kanały w poszukiwaniu strony, na której mógł obejrzeć „Kosmos” Carla Sagana – ten cykl filmów stanowił dla Toma, w gorszych momentach, odpowiednik ciepłej słodowej whisky – natknął się na mecz koszykówki i zatrzymał wyszukiwarkę, wyobrażając sobie przez chwilę, że oto ogląda nową wersję „Fantazji”, po czym zaczął się dziwić niezwykle widokowi mierzących dziesięć lub dwanaście stóp gigantów, kołyszących się na patykowatych nogach, równie wdzięcznych i niezdamych jak świeżo narodzone jelonki. To jednak była przecież przyszłość. Tak wyglądał świat, w którym żył. i Terr miała rację, zachęcając go, by się z tym pogodził, by

wraz ze światem zaakceptował myśl o lataniu. Miała też rację, proponując, że pomoże mu finansowo, na co Tom się nie zgodził, mimo że koszty przedsięwzięcia były nedorzecznie wysokie. Przez większość czasu i tak nie wydawał wiele, a bank odczekał przystał na zwiększenie jego studenckiego kredytu, który Tom miał potem spłacać przez resztę życia. Poza tym nie poszli z Terr na całość. Pozostali na oślich łązkach, byli brzydkimi kaczątkami wciąż drżącymi w gnieździe, byli jak Dumbo chwiejący się na szczycie wysokiej, cyrkowej drabiny. Byli podniebnymi dziewczycami. Pominęli też ulepszenia układów krążenia i oddechowego, redukcję grubości kości i nadmiaru ciała, nowe kryształki wzrostu, wypełniające szpik kostny pajęczyną włókien węglowych, kewlarową skórę, z jakiej chętnie korzystali surferzy. Pominęli wszystko, na czym widniały ostrzeżenia ministra zdrowia, przy których teksty z paczki cameli wydawały się bajeczkami dla przedszkolaków. Zdecydowali się na podstawowy zestaw fiolek Hondy i klasyczne („klasyczne” oznaczało „zwyczajne i nudne”, nawet Tom obejrzał dostatecznie wiele reklam, by to rozumieć) skrzydła. „To wystarczy, przynajmniej na początek” – oświadczyła złowieszczo Terr pomiędzy nuceniem pod nosem i wywijaniem małą, elegancką torebką, w której spoczęła pierwsza partia ich fiolek, gdy wyszli ze sklepu na zimową ulewę.

Nastał już styczeń i na dworze panowała typowo niespokojna, angielska pogoda. Od wielu tygodni było paskudnie – zimno i mokro, pochmurno i wietrznie. Pora nawałnic i roześcianych rynsztoków i zalanych deszczem parków i zeschniętych liści, i psych kup na śliskich chodnikach Birmingham. Po raz kolejny nawalił też nissan, i to w sposób, któremu nie zdołał zaradzić sam Tom. Posłali więc po część, na którą czekali tak długo, jakby wysłano ją z Chin na niezbyt szybkim żaglowcu. Zostali uziemieni na całe dni i tygodnie i zaczęli pomieszkiwać wspólnie, to w pokoiku Toma, to w huczącym, zadymionym, rastafariańskim zaduchu domu, który Terr wynajmowała ze znajomymi w Handsworth. Tom mimo wszystko lubił rastafarian: przyjmowali staroświeckie substancje chemiczne, czcili staroświeckiego Boga i opowiadali niewyraźnymi, szybkimi głosami o mitycznej Afryce, która nie istniała nigdy poza mgłą ich snów. Tom palił czasami trawkę, pił sporo wina, a kiedy pierwsi ludzie wylądowali na Marsie, leżał z Terr na łóżku u siebie w Erdington. Wpatrywali się z mokrej i wymiętej pościeli w wiszący na ścianie wielki ekran, a kot właściciela spał na szepczącym komputerze.

– Hej, poczekaj... – Terr przysunęła się bliżej. – Odwróć się. Chcę zobaczyć. Jestem pewna, że coś ci stwardniało...

– No, mam nadzieję.

Terr zachichotała i Tom przekręcił się na brzuch. Wpatrzył się w rzeźbioną twarz widniejącą na starym mahoniu zagłówek. Dziewczyna zdjęła z niego kołdrę. Chłodne powietrze. Deszcz na szybie. Pomruki astronautów, którzy rozpoczęli ostatni, powolny etap lądowania. Jej palce na jego nagich ramionach, potem na kręgosłupie. Zabolą. Zupełnie jakby wbiła mu paznokcie.

– Hej!!!

– Nie, nie, nie, nie, nie... – Nacisnęła go tam, otaczając koniuszkami palców źródło bólu.

Pojawił się guzek. Zdecydowana narośl, która w innej epoce posłałaby człowieka pędem do lekarza z myślą o raku...

– Tom, jestem zazdrosna. Myślałam, że będę pierwsza. Czuję się jak wtedy, gdy byłam mała i z wytęsknieniem czekałam, aż wyrosną mi piersi. Skupiłam się na tym.

– i co? Wyrosły?

– Oczywiście... podły draniu... przynajmniej trochę.

Szczupła, ciepła i kobieca, przywarła nieco mocniej. Poczł jej oddech, usta na karku i poniżej na plecach, tam gdzie rosły mu pióra. Pocałowała go w to miejsce.

– Co rano sprawdzam w lustrze, obmacuję się... – Wyczuł jej szept. – To zupełnie jak magiczne zaklęcie, prawda? Czekanie na efekt działania fiolek. Tom, na mnie jeszcze niczego nie znalazłeś, co?

– Nie. – Odwrócił głowę i popatrzył na nią.

Również leżała na brzuchu, a czerwona poświata wschodzącego na ekranie Marsa lśniła na doskonałej skórze jej ud, pośladków, pleców i ramion.

– Pewnie czekałeś na to od bardzo dawna, prawda? – spytała.

– Na co?

Skinęła głową na ekran. Jasne włosy zafalowały w powietrzu.

– Na dzień, w którym ludzie wylądują na Marsie.

Skinął głową.

– Ile jeszcze czasu minie, nim staną na powierzchni?

– Myślę, że kilka minut.

– To świetna wiadomość... – Dłoń Terr zjechała wzdłuż jego kręgosłupa.

Knykcie musnęły pośladki, wywołując gęsią skórkę. Palce zaczęły go badać. Tam. – Prawda, że dobra...?

w ten sposób przegapili moment, w którym lądownik wzbiał rdzawy pył z powierzchni, lecz mniej więcej godzinę później pili już wspólnie butelkę asti spumante, gdy – po nieskończonym strumieniu reklam – pierwsza w dziejach ludzka istota zesłała na grunt nowej planety i w imieniu licznych sponsorów misji objęła we władanie wszystkie jej rudy, całość energii i tajemnic. Druga postać wygramoliła się na powierzchnię. Na jej skafandrze, pośród wielu innych, widniało logo Hondy, które posłało myśli Toma z powrotem ku rosnącej mu na plecach wypustce. Odkąd Terr ją zauważyła, czuł ją bezustannie, bez względu na to jak ułożył poduszki. Jak będzie teraz spać? Jak się będą kochać? Terr na górze, trzepocząc swymi skrzydłami od Hondy, niczym drapieźnik pochylający się nad nim – ofiarą? Myśl była niemal przyjemna, lecz nie do końca. Poza tym, astronauta na Marsie – mimo skafandrów – też nie wyglądali jak powinni. Same kombinezony były w porządku – szaro-białe i miały nawet nieco wydłużone szybki w kaskach, które kojarzyły mu się z 2001 i Halem, z niewiarygodną podróżą Franka Poole’a i Kubricka ku obcemu monolitowi – niewłaściwe były jednak same ich postacie: zbyt długie i chude. Zupełnie jak w tych kiepskich, starych filmach; podświadomie spodziewał się, że gdy wrócą do lądownika, z kombinezonów wyśliżnie się coś straszego i nieludzkiego, i okaże się, że obce istoty pokonały całe lata świetlne tylko po to, by zaspokoić potrzebę pożerania ludzkich mózgow...

Tom wlał do swojego kieliszka resztkę asti.

– Hej! – Terr żartobliwie trąciła go ręką. Nieco alkoholu rozlało się dokoła. – a ja? Wypiłeś prawie wszystko...

Począł od kredensu, który zastępował mu kuchnię, by sięgnąć po kolejną butelkę czegoś, pogłaskać kota i nacisnąć po drodze kilka klawiszy komputera. Procesor trawił właśnie dane z okolicy gwiazdozbioru Łabędzia, i to nie na zwykłej, „oazowej” częstotliwości. Ktoś miał przecucie. Nie to, by komputerowi udało się cokolwiek znaleźć; już wtedy miał na tę okazję przygotowane wszelkie możliwe alarmy. Coś jednak było z nim nie tak i Tom zastanowił się nad tym, gdy otworzył drzwi lodówki i przyjrzał się jej nader skromnej zawartości. Oglądał przecież pierwsze lądowanie człowieka na Marsie, w łóżku z nagą, piękną i gotową do seksualnych przygód kobietą, pod-

czas gdy jego komputer pilnie przeszukiwał międzygwiazdną przestrzeń w poszukiwaniu pierwszego świadectwa istnienia inteligentnego życia. Jeśli nie o takiej przyszłości marzył, to, u diabła, o jakiej? Nawet ta sztuczka z lataniem, na jakiej spróbowanie nalegała Terr, pasowała do całości, prawda? Technologia przymuszająca jego grzbiet do wypuszczenia z siebie koleców była pod wieloma względami wspanialsza niż naga siła, pieniądze i newtonowska fizyka, które przeniosły marsjański lądownik z jednej planety na drugą przez ten skrawek lokalnego kosmosu.

Problem z tym lądowaniem ludzi, jak Tom podsłuchał niedawno w czyjejś rozmowie w uniwersyteckiej stołówce, polegał na tym, że doszło do niego o cztery dekady za późno. Zapewne nawet później. NASA mogła przecież przejść od projektu Apollo do misji marsjańskich od razu, jeszcze pod koniec szalonych lat sześćdziesiątych dwudziestego stulecia. Nawet wówczas kłopot polegał głównie na braku funduszy, nie na niedostatku technologii czy wiedzy. w porównaniu z polityką, w porównaniu z potrzebą odpowiedniego uzasadnienia projektu i przekonania do niego opinii publicznej, a następnie przepchnięcia całości przez kongres, zanim powszechną uwagę zajmie ktoś inny, lub nadejdą recesja czy kolejne wybory, kwestie naukowe i techniczne były w zasadzie proste. Pierwsze lądowanie powinno nastąpić najpóźniej w 1995 – co kiedyś wydawało się rozsądnym terminem – ledwie kilka lat po założeniu pierwszej stałej bazy na Księżycu. Tyle że przecież udało się wówczas wystrzelić – w owych czasach nadziei i dużego budżetu NASA – sondy Mariner i Viking: technicznie udane automatyczne pojazdy, które zdemistyfikowały i usunęły z powszechnej wyobraźni wellsovskich Marsjan, księżniczki Edgara Rice Burroughsa oraz kanały Lowella i które – wbrew odważnej gadaninie Sagana na temat marsjańskich żyraf, przechadzających się akurat wtedy, gdy nie obserwują ich kamery – zniweczyły wszelkie pomysły dotyczące istnienia na Marsie dużych i złożonych istot żywych, czekających tylko, by podjąć z nimi walkę, by je przesłuchać, przebadać i poddać sekcjom, by mogli zacząć się o nie spierać teologowie, lub by można się w nich zakochać. Niemniej, istniały pewne wskazówki, że życie mogło na czerwonej planecie trwać w formie mikroskopowej; te zwodniczo sprzeczne dane z wcześniejszych lądowników Viking oraz mikrobakterie, jakie podobno odnaleziono na Ziemi, w pochodzących z Marsa meteorytach. Niemniej, w miarę jak próbniki stawały się lepsze, a organiczne testy bardziej dokładne, nawet ta ewentu-

alność umarła. Mars stał się na oczach Toma planetą martwą, zarówno w świecie rzeczywistym, jak i w książkach, które tak uwielbiał czytać. Marsjanie o wypukłych, wydatnych czołach zostali kolejno zredukowani do prymitywnych jaskiniowców, następnie do płochliwych, przypominających kangury stworzeń zamieszkujących bezdeszczowe równiny, aż wreszcie stali się owadami zasiedlającymi otwory termiczne sięgające głęboko pod nieprzyjazną, marsjańską glebę, następnie beztlenowymi glonami, by ostatecznie wyginąć zupełnie.

Mars był martwą planetą.

Tom otworzył butelkę śliwowicy, która była jedynym trunkiem, jaki zdołał znaleźć, wrócił do łóżka i wraz z Terr zaczęli się przyglądać postaciom spacerującym wśród marsjańskiego krajobrazu, w przerwach pomiędzy wiadomościami od sponsorów. Sami ci astronauta byli już na pół Marsjanami. Nie to, by mogli oddychać w tamtejszej mamej atmosferze czy przetrwać bez skafandrów, niemniej, zostali radykalnie przeobrażeni jeszcze przed startem. Tam, w kosmosie, w warunkach zerowego ciężenia, ich kości, ciała i wymagania żywieniowe zostały zmniejszone w celu redukcji masy ładunku, po czym zwiększone nieco na powrót, gdy półtora roku później zbliżyli się do Marsa, odpowiednio do mniejszej grawitacji planety. Byli niemal bezpłciowymi stworzeniami o wąskich głowach, oczach wyłupiastych niczym u osób z niedomagającą tarczycą i palcami równie długimi i kościstymi jak u E.T. Tom pomyślał, że przy tym ich wyglądzie, o wiele gorszym niż u najbrzydszego lotnika, naprawdę nie trzeba robić nic innego poza włączeniem telewizyjnej transmisji, by na Marsie znaleźć obcych. Albo ofiary obozu koncentracyjnego.

Śliwowica i cała sytuacja wkrótce się do niego dobrały. Pamiętał niejasno, że w pewnym momencie wyłączył ekran, że kochał się z Terr, że dotykał jej wygiętych pleców i wyczuł pod skórą coś maleńkiego i ostrego; nie był jednak do końca pewien, czy naprawdę, ani tego, czy rzeczywiście powiedział jej potem cokolwiek o hodowaniu większych piersi, co przecież i tak miało być żartem. Rankiem, kiedy dziewczyna wyszła, odkrył również, że stłukł zakupione wcześniej fiolki Hondy i spuścił je w toalecie. Kawałki szklanej przedzy wciąż w niej pływały. Gdy poganiał je sikami w dół rury, niemal zapomniał o śliwowicowym bólu głowy. Była to jedyna rzecz, jaką zrobił po pijaku, i miał pewność, że nigdy jej nie pożałuje.

Zima odeszła. Terr wybrała się latać. Tom nie. Kolce na jej plecach okazały się wcale nie takie straszne; w tamtych czasach same skrzydła wciąż były nieorganiczne. Niemal jak stare mikrolity, składały się z włókien węglowych i inteligentnych tkanin, tyle że mocowało się je do rosnących na barkach duktek organicznym superklejem tuż przed samym skokiem, by pod koniec dnia odczepić je i złożyć na dachowym bagażniku samochodu. Terr mocno reagowała, kiedy Tom dotykał tych wyrostków, gdy je liżał, kiedy ryzykował, pocierając ich ostre końce penisem, by dodać nowego, zaskakującego smaczku do ich miłości. Gdy jednak stawał się zbyt gwałtowny, poruszał się ze zbyt dużą energią, zarówno on, jak i one zaczynały krwawić.

Terr zupełnie się jego decyzją o nieprzyjęciu reszty fiolek nie zmartwiła. w końcu to jego życie. „Dlaczego miałbyś robić coś, czego nie chcesz, jedynie po to, by sprawić mi przyjemność?” – rzuciła w charakterystyczny dla siebie, logiczny sposób. Dziewczyna jednak znalazła sobie nowe towarzystwo, lotników, i w ich związku – wraz z początkiem wiosny, gdy na zboczach Skiddaw i Helvellyn i Ben Nevis pojawiły się świeże prądy wznoszące – pojawiła się owa szczególna swoboda i roztrzepanie, w których Tom, mało co prawda zaznajomiony z sekretami życia uczuciowego, rozpoznał sygnały początku końca. Przecież Terr od zawsze była osobą często zmieniającą obiekty swych pasji. Jeśli chodzi o uczelnię, mówiła teraz o podjęciu studiów kreatywnego pisania, lub może o całkowitej rezygnacji z literatury na rzecz badań nad kulturą, czymkolwiek, do diabła, były. z pewnością jednak były po prostu jednym z wielu przedmiotów zmiennej fascynacji Terr, zupełnie jak – co zaczął sobie uświadamiać – sam Tom Kelly.

Jeszcze przez jakiś czas wciąż się często widywali, choć raczej w towarzystwie. Słuchał z nią jazzowych koncertów u Ronniego Scotta i siadywał przy fluorescencyjnych stolikach w modnych barach na Broad Street, wraz z ludźmi, których twarze często przypominały mu owe istoty w gumowych maskach, jakie występowały w „Star Treku”. Świat się zmieniał – podobnie jak Terr. Nie należał już do niego, choć wciąż mógł wyciągnąć dłoń i dotknąć, posmakować, powąchać. Raz czy dwa pojechali razem nad jeziora i przyglądał się jej, gdy wykonała ten pierwszy, niewiarygodny skok sponad sosen na Skiddaw i poszybowała w falującym na wietrze szarym bezmiarze Bassenthwaite Lake. w tamtej chwili czuł jedynie radość i dumę, i zaczął niemal żało-

wać, że sam nie może się wzbić pod niebo, lecz Terr wkrótce stała się kolejną barwną plamką, kołującą, wirującą w cytrynowych promieniach wiosennej słońca na swych skrzydłach z logiem Hondy. Nie była już podniebną dziewczicą. Mógł ją całą przestłonić jednym palcem.

Tak więc ich drogi się rozeszły i część Toma pogodziła się z tym faktem – wydawało się to procesem naturalnym, organicznym; spotykacie się, wymieniacie sygnały świadczące o wzajemnym zainteresowaniu, zakochujecie i przez jakiś czas pieprzycie się do nieprzytomności, stajecie się jednym ciałem i włosami, a potem poznajecie znajomych partnera oraz jego dziwactwa, po czym wchodzić na cieplejszy i prostszy etap uczucia, badając jednocześnie nowe hobby, pozycje, fetysze, aż wszystko staje się nieco nieświeże – a druga jego część wrzeszczała i buntowała się przeciwko stracie. Miał wrażenie, że tonie, a dźwięki, rozpaczliwe błagania, jakie chciał z siebie wydać, nie są w stanie dotrzeć na powierzchnię. w końcu od zawsze był w kontaktach z kobietami nieśmiały i niepewny siebie. Zwłaszcza jeśli chodziło o te ładne. a teraz zwłaszcza wobec Terr.

Doktorat – oparty na pracy w SETI – obronił pod koniec letniego semestru, a Terr nie obroniła niczego. z Aston University postąpiła podobnie jak z Tomem, wykorzystała go, badając oferowane przezeń drogi i szlaki ze swą wyjątkową determinacją. w następnym roku musiała przenieść się wraz ze swym entuzjazmem na inną uczelnię, taką, która zgodziłaby się ją przyjąć, pod warunkiem odpowiedniej wpłaty czesnego. Kochankami przestali być kilka miesięcy wcześniej – Tomowi wydawało się, że minęły całe lata. Od dawna nie widywali się regularnie. Po raz ostatni spotkali się przypadkiem. Tom postanowił, że musi zająć się własnym życiem, i miał już nawet zarezerwowany bilet na samolot do Stanów, gdzie zamierzał odwiedzić rodziców i rozważyć na czym właściwie ma polegać owo „zajmowanie się własnym życiem”.

Było to już po oficjalnym zakończeniu roku akademickiego i w winiarniach w centrum miasta roili się wyjeżdżający studenci, a restauracje gościły dziwnie poważne rodziny, które zjawiły się, by odebrać krewnego wraz z dobytkiem i zawieźć do domu. Egzaminy przyszły i odeszły, wygasło zamieszanie związane z dysertacjami, ocenami i prezentacjami. Panowało poczucie podniecenia i ulgi, z domieszką smutku i przyprawiającego o ból w kościach zmęczenia, skutku zbyt dużej – lub zbyt małej – liczby nocy spędzonych na

powtarzaniu materiału, pieprzeniu, picciu... Wielu, bardzo wielu ludzi już wyjechało i korytarze w północnym skrzydle rozbrzmiewały pustką, a biura były w większości opustoszałe, gdy Tom zajął tam, by odebrać tymczasowy dyplom – jesienią, podczas oficjalnego zakończenia studiów i tak miało go tutaj nie być, a poza tym nie cierpiał takich nadętych uroczystości.

Terr nie miała żadnego powodu, by się tu pojawiać. Jej obecni przyjaciele byli w większości lotnikami, nie studentami, i nie miała też wyznaczonego niczego, co choćby w przybliżeniu przypominałoby egzamin. Pora także – jak stwierdził Tom – była do niej niepodobna. Późne popołudnie, ciepłe i wilgotne jak ścierka do naczyń, niewygodne i mało angielskie, gdy koszulka lepiała się do pleców, a nad miastem wisiał niebieskawy smog, któremu nie zaradziło nawet przejście z silników benzynowych na wodorowe. Jeśli zgromadzi się razem tylu ludzi – uznał w duchu, trzymając czubkami palców brązową kopertę, by nie poplamić jej potem – oraz tyle murów i przemysłu, zawsze otrzyma się miejskie powietrze. Nawet teraz, w tym świecie przyszłości. Pochwyił zapach gotowanych potraw z curry i przesiąkniętych wonią piwa dywanów, bijący z otwartych drzwi dusznego Yate's Wine Lodge. i zapach gorących chodników i ciepłej smoły i psiego łajna i cuchnących kanałów, i pomyślał o tym, że nie skończył się jeszcze pakować, i o północnym locie powrotnym do Stanów i o ostatniej porcji danych z SETI, którą jego komputer zdążył już zapewne przetrawić. Pomyślał, że będzie za tym miejscem tęsknić.

Co znaczące, Terr zmierzała w jedną stronę New Street, podczas gdy on szedł w przeciwną. Co znaczące, Terr była w towarzystwie jaskrawej grupki ofiar pogoni za modą, chuderławych dziewczyn i dziwaków o taliach osy. Wielu z nich wyglądało na Japończyków, aczkolwiek Tom zdał sobie sprawę, że nie powinien się do tej myśli przywiązywać – rasę zmieniało się równie łatwo jak buty na nowy sezon, o ile tylko zainteresowany dysponował chęciami i pieniędzmi. Prawdę powiedziawszy, Terr wyróżniała się spośród nich tym właśnie, że nie przeprowadziła na sobie żadnej równie wyuzdanej przemiany, choć jej strój – co zresztą sensowne, biorąc pod uwagę pogodę – był poprzecierany i skąpy, odślaniający dutki skrzydeł. Miała czerwone włosy. Nie w odcieniu naturalnego rudzielca, ani nawet nie czerwone jak u kogoś, kto pofarbował je sobie staroświeckimi barwnikami. Były po prostu szkarłatne; Tom przez moment myślał, że dziewczyna krwawi. Poznał ją jed-

nak natychmiast. Terr – ponieważ Tom był Tomem, zatem nie zmienił się ani o jotę, być może nie zmienił nawet koszulki – także poznała go w jednej chwili.

Oderwała się od idącej ramię w ramię grupki. Tom zatrzymał się i stanął z nią twarzą w twarz w cieniu sądu, podczas gdy wokół tłoczyły się stada gołębi, a zza wysokich budynków dolatywał szum jadących po obwodnicy samochodów, brzmiały zupełnie jak ryk morza. Przygotowywał się do tej chwili starannie. Poczul się tak, jakby siedział na egzaminie. Miał tysiąc rozmaitych gotowych scenariuszy, z których, niestety, żaden nie pasował. Za Terr zawsze trudno było nadążyć, za tematami, na jakie lubiła rozmawiać, za ciuchami, jakie nosiła. a widok tych burzowozielonych oczu, które – miał nadzieję – będą jedyną rzeczą, jakiej dziewczyna nigdy w sobie nie zmieni, poruszył go do głębi.

Jak zawsze.

– Byłam pewna, że mnie nie zauważysz, Tom. Chyba dokądś pędzisz...

– Tylko z tym... – Zamachał wiotką brązową kopertą, jakby stanowiła powód wszystkiego. – No i muszę jeszcze złapać samolot.

Skinęła głową, nie spuszczając z niego spojrzenia. Tom odpowiedział własnym – prosto w te zielone mgławice – i natychmiast zaczął spadać, szybować.

– Słyszałam, że wyjeżdżasz.

– a co u ciebie, Terr?

Wzruszyła ramionami. Ludzie za jej plecami gawędzili w języku, którego nie znał. Powiódł po nich przelotnie wzrokiem, zastanawiając się, która z tych osób pieprzy teraz Terr, i którzy są mężczyznami. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Przecież Terr była Terr...

– Cóż, prawdę mówiąc, to w zasadzie tajemnica i w dodatku jest to zapewne nielegalne, ale zamierzamy wejść na dach jednego z tych wysokich akademików i...

– ...polatać?

Uśmiechnęła się szeroko. Miała rozszerzone źrenice. Te ciemne gwiazdy. Naćpała się czegoś. Być może po prostu życia.

– Jasne. Wyobrażasz sobie, jakie będą tam dryfy? z tymi wszystkimi wieżowcami dokoła? w takie popołudnie?

– Dryfy?

- Prądy powietrzne.
- Brzmi ciekawie. – Uśmiechnął się.

Jeden z tych momentów milczenia, powolny, ryczący rytm miejskiej ciszy, gdy jedna istota ludzka wpatruje się w drugą i zastanawia co teraz powie dzieć. w jaki sposób nawiązać kontakt – lub jak go odzyskać. To właśnie była tajemnica jakiej od zawsze poszukiwał Tom. i doznał wizji, niedorzecznej w tych okolicznościach, ujrzał pogodny, zimowy dzień na wysokim wzgórzu. Siebie i Terr...

– Wiesz, sukienka, którą kiedyś nosiłaś – usłyszał własny głos. – Ta niebieska...

– Udało ci się, Tom? – Na szczęście, przerwała ten bełkot. Poczul ulgę. – Wiesz, z pracą dla SETI? z tym, no... – Musnęła dłonią włosy, które zupełnie nie przypominały już włosów ani strug krwi, tylko celofan.

Zaszepotały i zaszeleściły pod jej palcami, po czym rozdzieliły się i Tom ujrzał w szkarłatnym cieniu miejsce u zbiegu jej szczęki i szyi, tuż pod uchem. Zaraz potem opuściła rękę i czar zniknął. Zaczął się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś je zobaczy; to miejsce, które – spośród wszystkich cudów wszechświata, mrocznych lat świetlnych, rozumnych oceanów, lodowych planet i wielkich bestii międzygwiazdnej pustki – chciał odwiedzić najbardziej. Terr przypomniała sobie zapomnianą nazwę, to, o czym Tom opowiadał jej, gdy tamtego pierwszego dnia szli przez angielską jesień nad kanałami.

– ...z równaniem Drake’ a?

– Nadal szukam.

– To dobrze. – Pokiwała głową i znów się uśmiechnęła, lecz już inaczej, jakby pojmując wszystkie implikacje, jakie pociągało za sobą to „dobrze” i co mogło pewnego dnia oznaczać dla całej ludzkości. – Bo nie zamierzasz chyba zrezygnować, co?

– Nie.

– Będziesz szukać?

– Oczywiście, że tak. To całe moje życie.

Wypowiadając te słowa, zastanowił się. Ale te stworzenia, lotnicy za Tomem i Terr, dygotali i ćwierkali, niecierpliwili się. a w jednym lub w dwóch ich zdaniach Tom wyłowił melodię angielskiego. Posługiwali się tak wieloma żargonowymi wyrażeniami.

– i dasz mi znać, prawda? Odezwiiesz się, gdy tylko odbierzesz tę pierwszą

wiadomość. – Język Terr zwilżył jej dolną wargę. – i nie chodzi mi o wieki potem, Tom. Chcę, żebyś do mnie zadzwonił natychmiast, kiedy to się stanie, gdziekolwiek będziesz, w którymkolwiek obserwatorium. Zrobisz to dla mnie? Chcę się dowiedzieć pierwsza...

Zawahał się i po chwili skinął głową. Zawahał się nie z powodu samej obietnicy – ta wydała mu się słodka i cudowna – lecz ponieważ udało się jej w jakiś sposób przeobrazić to przypadkowe spotkanie, tę krótką rozmowę, w niemal ostateczne pożegnanie. Lub całkiem ostateczne. Teraz już naprawdę wszystko zależało od rozwiązania równania Drake’a. Życie w kosmosie istnieje lub jest tam tylko nieskończona, jałowa pustka. Terr jest lub jej nie ma.

– Ja też dam ci znać, Tom – powiedziała i obdarzyła go pocałunkiem, który wylądował w połowie na policzku, w połowie na jego wargach. – Dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem...

Wszystko działo się zbyt szybko, by mógł zwrócić uwagę na te jej dziwne słowa. Trwał po prostu z gasnącym na ustach odciskiem jej warg, jej zapachu, z chłodnym, obcym doznaniem bliskości jej włosów.

– Lepiej już idź – powiedział.

– Tak! Trzeba korzystać z powietrza. Zanim nakryje nas rektor. a na ciebie czeka samolot...

Rzuciła mu ostatni uśmiech i musnęła jego twarz grzbietem dłoni, niemal w tym samym miejscu, gdzie go pocałowała, po czym powiodła wzdłuż jego szczęki szkarłatnym teraz paznokciem. Potem wróciła do znajomych. Tomowi, odprowadzającemu wzrokiem rozkołysane biodra Terr, wydało się, że zeszczupłała, a sposób, w jaki przypominający satyra prostak objął ją ramieniem, mógł być zwyczajnie przyjacielski lub niekoniecznie. w ramionach też była węższa. Prawie jak wychudzona ofiara współczesnej mody. Nie była już tą pełną, zaokrągloną Terr, którą kochał przez całą jesień i zimę, aczkolwiek miała chyba większe piersi. Jeszcze kilka miesięcy i pewnie z trudem ją rozpozna, co zresztą stanowiło swego rodzaju pociechę. Świat się zmienia. Życie toczy się dalej. Chcemy czy nie, rzeka przyszłości zawsze niesie nas naprzód.

Zdecydowany, by nie oglądać się za siebie, Tom ruszył żwawo naprzód przez New Street. Potem, gdy się zatrzymał i przełknął to coś gęstego, co utkwilo mu w gardle i co przypominało błotnistą i kwaśną flegmę, i kiedy

obrócił się, by po raz ostatni, z bólem, popatrzeć na Terr, okazało się, że dziewczyna wraz z kolegami zniknęła już za budynkiem sądu. „Dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem...”. Co za dziwaczny, nedorzeczny pomysł! Jednakże przynajmniej to spotkanie pozwoliło mu określić własne uczucia i odsunąć na bok pełną nadziei tęsknotę, która snuła się za nim krok w krok, niczym chmura w kreskówce. Gdy szedł ulicą, by złapać autotramwaj do Ervingdton i dokończyć się pakować, poczuł wyraźną, niemal biblijną pewność co do swego życia i kierunku w jakim miało go poprowadzić. Jego życiem było – jakże mógł kiedykolwiek w to zwątpić? – równaniem Drake’a.

* * *

– Więc jak to teraz wygląda? – spytała go teraz. – Ten cały Drake musiał pracować ponad sto lat temu. Tak wiele się zmieniło. Nawet odkąd byliśmy... od czasów Anglii, od Birmingham. Jako gatunek dokonaliśmy postępu, prawda? My, ludzie? Świat nie uległ zniszczeniu. Słońce nie zgasło. Teraz już musisz chyba wiedzieć coś więcej, co?

– Nikt nie wie niczego na pewno, Terr. Gdybym wiedział, nie siedziałbym tutaj. Równanie Drake’a to wciąż tylko zbiór niewiadomych i domysłów.

– Ale przecież my tu jesteśmy, na Ziemi, prawda Tom? Ludzie i małpy i robaki i karaluchy i delfiny. Od czegoś to musiało się zacząć.

Skinął głową. Nawet teraz Terr miała rację.

– Właśnie.

– i wciąż nasłuchujemy i chcemy usłyszeć... – Zachichotała. – a przynajmniej ty nadal nasłuchujesz, Tom. Musisz więc mieć nadzieję, że gdzieś w kosmosie, pośród gwiazd, znajdzie się drugi taki Tom Kelly. To takie proste, co?

– Umiesz to sobie wyobrazić?

Terr zastanowiła się. Myślała długo. Butelka wina była już pusta. Świeca dogasała, kopciała.

– Czy on musi mieć skórę tego samego koloru, ten obcy Tom Kelly? Czy może mieć czworo fioletowych oczu i skrzydła jak lotnik?

– To już zależy od ciebie, Terr.

Podniosła się z miejsca i podmucha powietrza, wzbudzony, gdy ku niemu ruszyła, zgasił świeczkę i rozjaśnił gwiazdy i przyniósł jej zapach – słodki, zakurzony i równie niezmienny jak smak jej ust, kiedy pochyliła się na tle rojnej nocy i pocałowała go.

– Myślę, że wystarczysz taki, jaki jesteś – powiedziała i powiodła palcem wzdłuż jego brody, jak dawniej, i w dół jego nosa, i po wargach, jakby był gliną, ziemią, a ona rzeźbiarką. – Jedyne taki Tom Kelly...

* * *

w latach po ukończeniu Aston i rozstaniu z Terr Tom odkrył, że jest w stanie odsunąć na bok wrodzoną nieśmiałość i wyruszyć na wyprawę do wielkiego, złego świata akademickiej nauki. Uśmiechać się i ścisnąć dłonie zarządzających i biznesmenów, i dinozaurów kierujących wydziałami. Rozwinął swego rodzaju specjalizację, stanowiącą połączenie analizy danych z radioastronomią. Był pewien, że jest dostatecznie uzdolniony – talent był jedyną jego cechą, w którą z jakiegoś powodu nigdy nie zwątpił – i ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że może przejść od komercyjnych zajęć do pracy teoretycznej, do czystej nauki, nieobciążonej wieloma problemami związanymi z bezpieczeństwem posady i późniejszym bezrobociem, jakie nękały wielu jego kolegów. a może po prostu zupełnie się tym nie przejmował. Był gotów przenieść się dokądkolwiek, robić cokolwiek. Prowadził swe życie wyłącznie we własnej głowie, jak to nazwała przelotnie zaprzyjaźniona z nim kobieta. Była to prawdopodobnie prawda, Tom bowiem wiedział, że nigdy nie był tak towarzyski. Nie martwił się tym, podobnie jak niepewnością pracy badacza. Często pomagał mu fakt, że na uczęszczanych przez niego konferencjach i seminariach czekały gotowe zapasy napojów – może nie na salach wykładowych, lecz potem w barach i salach, w których rozwijała się w najlepsze naukowa autopromocja. Pomagało mu również to, że poza tym wszystkim, pod warstwą ślepych uliczek, cięć rządowych funduszy i gwałtownie wydawanych grantów, miał jeden cel.

Tom poczuł się zaskoczony tym, jak negatywnie pierwsze załogowe lądowanie na Marsie wpłynęło na prace SETI. w końcu każda rozsądna interpretacja równania Drake’a od początku zakładała, że Ziemia jest jedyną planetą, na której w tym konkretnym układzie mogło rozwinąć się życie. Jednakże nawet on doznał zawodu, kiedy sonda Girouarda wreszcie wykluczyła jakąkolwiek możliwość istnienia życia w wodach Europy, księżycu Jowisza, uważanych dotąd za potencjalnie ciepłe i gościnne. Niemniej, Zasada Przeciętności – głosząca, że to słońce, ten Układ Słoneczny, ta planeta i nawet zamieszkujące ją istoty, nie są wyjątkowymi zjawiskami, a zatem istnieje prawdopodobieństwo, że powtarzają się w podobnym kształcie w innych miejscach ga-

laktyki – pozostawała przez te kolejne odkrycia zasadniczo nietknięta, przynajmniej zdaniem Toma. Jednakże zdaniem opinii publicznej (jakby opinia publiczna mogła mieć w tych kwestiach jakiegokolwiek zdanie) oraz zdaniem polityków i administratorów decydujących o budżetach naukowych (zastrzeżenie można powtórzyć) był to punkt zwrotny i stał się potwierdzeniem poglądu, w myśl którego poza Ziemią nie ma nic prócz bezkresnej pustki, usianej gdzieniedzie zbiorowiskami skał, wielkich temperatur i niebezpiecznych związków chemicznych.

Co w sumie zabawne, ten wyraźny odpływ pieniędzy z kasy SETI okazał się dla Toma zbawienny. Niczym kolekcjoner zbierający dzieła sztuki, które nagle stały się niemodne, mógł po okazjnych cenach dobrać się do danych, czasu pracy i sprzętu kilku zarzuconych projektów. Niekiedy korzystał przy tym z własnej kieszeni, innym razem ze wsparcia ostatnich wariatów z SETI, a czasami dokonując iście ezoterycznych sztuk z księgami. Teraz, gdy umieszczone na orbicie teleskopy były w stanie oglądać i analizować gwiazdy oraz odchylenia ich orbit z niesłychaną dotąd dokładnością, odnaleziono kilka zewnętrznych układów planetarnych, choć były zdumiewająco rzadkie i składały się przeważnie z rojów asteroid, chmur pyłu lub wielkich, niemal gwiazdnych skupisk materii, które musiały zniszczyć każdą formę organicznego życia. Zatem $f(p)$ w równaniu Drake'a – odsetek gwiazd, wokół których krążą planety – skurczyło się do wartości około 0.0001, a $n(e)$ – średnia liczba planet wokół danej gwiazdy, na których mogło rozwinąć się życie – spadła jeszcze niżej, w okolice 0.0000-z haczykiem. Chyba że uznało się, że życie było w stanie powstać w oparciu o chemię inną niż węglowa, jak oczywiście uważał Tom, wykarmiony niewiarygodnymi pomysłami międzygwiazdnych bestii. $F(l)$ – prawdopodobieństwo, że życie na sprzyjającej mu planecie faktycznie powstanie – także spadło – dzięki martwemu Marsowi i nieżywej Europie i potem, gdy za pomocą sond, próbników i analizy widma wykluczono istnienie życia we wszystkich niszach Układu Słonecznego, w jakich mógł spodziewać się go naukowiec optymistą. Akcje SETI spadły więc tak nisko jak jeszcze nigdy dotąd, a Tom zupełnie się tym nie przejmował. Prawdę powiedziawszy, cieszył się z tego.

Napisał i wysłał do „Nature” artykuł zatytułowany „Nowe spojrzenie na równanie Drake'a”. Następnie – jako że niedawno zamknięto ostatni dotyczący SETI periodyk – przesłał tekst do „Radio Astronomy Bulletin”, po

czym, bez większych sukcesów, a za to z kilkoma wdzięcznie kąśliwymi uwagami recenzentów, do wszystkich innych oczywistych i mniej oczywistych czasopism. Przeanalizował w artykule kolejno każdą zmienną równania i tłumaczył dlaczego to, co stało się powszechną interpretacją wyników, jest w istocie podejściem pesymistycznym. Obrął drogę w swej opinii wyważoną i, zatrzymując się jedynie po to, by wygłosić kilka znaczących sugestii na temat niedorzecznych pomysłów, że symulacje komputerowe są w stanie dostarczyć rzetelnych danych, jeśli chodzi o szanse na spontaniczne powstanie życia – czyli na $f(l)$ – stwierdził, że ostatecznym wynikiem, N równania Drake'a, jest – zachowując rozsądne proporcje – wartość w granicach 1000–10000 i że nawiązanie kontaktu stanowi tylko kwestię czasu. Że jeżeli tylko ludzie wciąż będą nasłuchiwać...

Nie dołączył tego do rozesłanej wersji tekstu, lecz planował poprosić redakcję, która wreszcie zdecyduje się artykuł opublikować, by zamieściła przed nim dedykację „Dla Terr”. Tak przynajmniej wyglądał najprostszy wariant tekstu, nad którym zastanawiał się przez długie godziny spędzone na wpatrywaniu się w ścianę, tekstu, który rozwijał, przycinał, poprawiał. Artykuł jednak nie doczekał się publikacji, aczkolwiek jego o wiele krótsza wersja, pozbawiona przez Toma części matematycznej, a następnie – już przez redaktora – większości sensu, została ostatecznie zamieszczona w popularnonaukowym komiksie, tuż obok artykułu o człowieku, który wyhodował z własnej tkanki nerwowej sznur o długości kilkuset stóp, tylko po to, by skorzastać z niego jak z liny bungee i skoczyć z Wodospadu Wiktorii. Niemniej, reakcje były pozytywne, mimo że wielu ludzi, którzy po lekturze tekstu skontaktowali się z Tomem, należało do tego rodzaju osób, którym niechętnie ujawniał swój adres e-mailowy, nie mówiąc o tradycyjnym.

Mijały lata. Dzięki ciężkiej pracy, rozwijaniu sieci znajomości i skromności połączonej ze świadomością własnej wartości, Tom stał się „panem SETI”. Zawsze udawało mu się znaleźć przynajmniej jednego członka wydziału astronomii, fizyki lub biologii, który żywił pewną słabość do tematu. i podobnie jak uczyniła to Sally Normanton, gdy powrócił tamtej jesieni do Aston – gdzie powietrze pachniało lepiej i inaczej, a jednak pod wieloma względami tak samo – ci ludzie znajdowali metody na zaopatrzenie go w skromne granty. z wolna Tom zdołał się elegancko wycofać ze swych pozostałych zobowiązań, aczkolwiek nie mógł przy tym nie zauważyć, iż niewielu

pracodawców podejmowało jakiegokolwiek próby powstrzymania go. Być może chodziło o to, że stracił swój młodzieńczy wigor, a może o zapach jego oddechu, w którym woń wypitego poprzedniej nocy alkoholu dawała się teraz wyczuwać jeszcze rano. Tak czy inaczej, znalazł się zaskakująco blisko wieku emerytalnego. Ten fakt i myśl, że przeżył na tej planecie taki szmat czasu, mocno go przeraziły i potrzebował czegoś, co pomogłoby mu przebrnąć kolejne lata. Jeszcze bardziej bał się jednak – niczym nałogowy gracz w totolotka, obawiający się, że jego liczby padną akurat w tygodniu, kiedy przestanie grać – tego co może się stać z SETI, jeżeli on przestanie nasłuchiwać. Czasami – gdy podnosił wzrok na nocne niebo, kiedy komputery wydziały, na którym akurat pracował, spędzały długie godziny przed świtem, trawiając najnowszą porcję danych spomiędzy gwiazd, gdy spoglądał na te wyśmiewające go wykresy z całą zawartą w nich tajemnicą i obietnicą – odnosił wrażenie, że wysiłkiem własnego umysłu podtrzymuje cały wszechświat i że same gwiazdy zgasłyby, jak to uczyniły w owym słynnym opowiadaniu Clarke’a, gdyby tylko odwrócił się do nich plecami. Właśnie w takich chwilach zaczynał myśleć o kolejnej szklaneczce, tylko po to, by przetrwać jeszcze jedną noc, by nie podupaść na duchu. Nic w tym przecież strasznego. Drink to drink. Wszyscy jego znajomi popijali.

Tak więc Tom zgromadził w końcu odpowiednie fundusze i dopracował stosowne blefy pozwalające mu uruchomić własny, wyspecjalizowany projekt SETI, po czym osiedlił się we Francji z powodów, których teraz nie był już sobie w stanie dokładnie przypomnieć, może z wyjątkiem tego, że nigdy jeszcze tam nie był, a mieszkańcy kraju nad Sekwaną nadal nie posługiwali się jeszcze angielskim. Wybrał krasowy rejon Masywu Centralnego, ponieważ znajdowały się tam rozległe, równe płaskowyże, gdzie mógł zainstalować siatkę swej drucianej anteny, i to na odpowiedniej wysokości oraz w sporej odległości od radiowego szumu wielkich miast. Decyzja była na poły symboliczna – podobnie jak antenę, planował pożyczać lub kupować potrzebne dane z wszelkich możliwych źródeł i przepuszczać je przez wszelki sprzęt jaki tylko zdoła zdobyć. a potem zobaczył wodopój – maleńką, błękitną plamkę na mapie tej pustej, górskiej krainy ponad małym miasteczkiem o nazwie St. Hilaire. To rozstrzygnęło. Przed podpisaniem wszelkich koniecznych papierów nie miał nawet pojęcia, że jest to miejsce chętnie odwiedzane przez lotników. Zresztą, nawet to na swój sposób – te tęczne motyle i żuki,

te mieniące się pryzmatycznie wyglądzone istoty, tłoczące się wokół modnych barów i drogich sklepów, stające co rano ze swymi szepczącymi skrzydłami przed stacją kolejki linowej, która miała je wynieść na wysokie, zalane słońcem południa szczyty – wydawało się odpowiednie. Ich sąsiedztwo skierowało jego myśli ku Terr, zastanawiał się, jak płynęło jej życie, i przypomniał też sobie – jakby mógł kiedykolwiek zapomnieć – o swojej obietnicy. Ich obietnicy.

Ale do jej spełnienia nigdy nie doszło. Nie miał jej o czym informować.

* * *

Tom zmagał się ze swymi wspomnieniami, z uczuciami. Terr dotknęła go, zamknęła jego dłonie w palcach tak chudych, jakby odeszło od nich całe ciało. Pochyliła się nad nim poprzez lata, pocałowała go jakby z niewiarygodnej odległości. Spróbował zamknąć oczy i wyczuł pod jej wargami nierówną krawędź zębów i kości. Spróbował je otworzyć i ujrzał na jej ciele smugi i zmarszczki, jakby dawna Terr nałożyła na siebie papierową maskę. a jej oczy zgasły. Burza w nich ucichła. Musnęła go tam, przelotnie, intymnie, lecz wiedział, że to na nic.

Podniosła się, cofnęła i westchnęła. Przypominająca stracha na wróble postać w obszarpanym stroju, z długimi włosami zwieszającymi się niczym pajęczyny wokół chudej, wiedźmowej twarzy.

– Przepraszam, Tom...

– Nie, nie ma za...

– ...sądziłam po prostu, że...

Tom doskonale wiedział kogo i co za to winić. Zbyt wiele lat poszukiwań, zbyt wiele lat picia. Siedział przed swą chatą, marząc na krześle w pobliżu połyskującej siatki anteny i patrzył za odchodzącą Terr. Usłyszał brzęk butelek, gdy zajrzała do jego kontenera. Usłyszał grzechot odpadków, kiedy przetrząsnęła wnętrze chaty. Powinien się zawstydić, lecz niczego takiego nie poczuł. Tę emocję miał już dawno za sobą, podobnie jak – właśnie to sobie uświadomił – miał za sobą możliwość spełnienia miłosnego aktu.

Gdy Terr wyszła z powrotem w światło gwiazd, niosła w rękę butelkę. Absynt.

– Tego właśnie chcesz? – spytała i otworzyła ją. Nalała alkoholu do swojego pustego kieliszka po winie, uniosła go do cienkich warg i upiła. Nawet w gwiazdnej poświacie jej twarz natychmiast się pomarszczyła, zbrzydła. –

Boże, jakie to gorzkie...

– Może właśnie dlatego tak mi smakuje.

– Wiesz, Tom, mógłbyś się tego nawyku pozbyć. Jak sam mi powiedziałeś, jeśli czegoś w sobie nie akceptujesz, wystarczy wziąć fiolkę.

Tom wzruszył ramionami i zaczął się zastanawiać, czy Terr naleje wreszcie nieco absyntu do jego kieliszka, czy będzie tak tylko stała, wymachując mu butelką przed nosem. Czyżby drażniła się z nim naumyślnie? Ale Terr miała – oczywiście – rację. Można było przyjąć fiolkę i się oczyścić. Pozbyć nałogu. Wszystko w człowieku zostałoby odnowione, z wyjątkiem faktu, że pacjent wciąż pozostałby sobą, osobą napędzaną tymi samymi potrzebami i sprzecznościami, które doprowadziły do powstania zgubnego nawyku. Wracalo się więc do okazjonalnego picia – w końcu było się już bezpiecznym. a ten jeden drink od czasu do czasu stawał się w końcu powtórnym nałogiem i wszystko zaczynało się od nowa, choć człowiek był już starszy i biedniejszy, oraz przepełniony większą jeszcze niż wcześniej pogardą do siebie. i poważniejszymi bólami głowy. Owszem, Tom i to zdążył już przerobić.

– Jak sama mówisz, Terr. Jesteśmy, kim jesteśmy. Kilka sprytnych związków chemicznych tego nie zmieni.

– Zaraz zaczniesz mi wmawiać, że masz osobowość nałogowca.

– w przeciwnym wypadku by mnie tu nie było. Robiłbym coś innego, nie sądzisz?

Skinęła głową i usiadła. Nalała mu nieco absyntu i Tom spojrział w kieliszek i na wciąż leżące obok na stole, lekko połyskujące karty z wiadomościami, których treści nadal nie poznał. Odczekał krótką chwilę i dopiero po niej wypił, po to tylko, by dać jej do zrozumienia, że jest w stanie się powstrzymać. Smak anyżku i piołunu – to ostatnie słowo, jak sobie przypomniał, było również nazwą gwiazdy, która według biblijnej Apokalipsy św. Jana spadła z nieba i zatrzała rzeki i źródła. w tamtych czasach wszystko było jeszcze po prostu kwestią wiary.

– Terr, nadal nie powiedziałaś mi niczego o sobie.

– U mnie wszystko w porządku. Raz lepiej, raz gorzej... – Zamyśliła się. Jej głowę skrywał cień, oblewało ją światło gwiazd. Tom napomniał się, że czaszka, którą teraz widział tak wyraźnie, była tam od zawsze, pod skórą, którą dawniej uwielbiał dotykać i smakować. Tak naprawdę nie zmieniło się nic. – Kilku rzeczy żałuję.

– Naprawdę wciągnęłaś się w latanie? Właśnie tak sobie ciebie zawsze wyobrażałem, gdzieś pod niebem. Zupełnie jak te dzieciaki, których tak teraz pełno w dolinie.

– Tak! Latałam, Tom. Nie do końca tak, jak to robią obecnie. Jestem pewna, że nasz dawny sprzęt uważają dziś za ciężki i nieporęczny. Ale i tak, dopóki to trwało, było wspaniale. Znalazłam wielu przyjaciół.

– Wróciłaś kiedykolwiek na studia?

Znów zaniosała się suchym chichotem; szelest wiatru w starych drutach telefonicznych.

– Nie wydaje mi się, bym w ogóle kiedyś naprawdę studiowała, Tom. Nie, dostałam pracę. Byłam specjalistką od public relations. Udało mi się całkiem ładnie podkreślić tę firmę. Sprzedawałam cudze projekty i pomysły, maskowałam błędy innych...

– ...Przydałabyś się w SETI.

– Myślałam o tym, Tom. a przynajmniej o tobie. Ale ty prowadziłeś własne życie. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że robię cokolwiek z litości. a potem zdudziło mi się bycie przymilną i udawanie, że czuję pasję do pomysłów innych ludzi. Zająłam się własnym projektem. w zasadzie była to galeria, taka gdzie wystawia się dzieła sztuki, tyle że eksponatami byli ludzie. Byłam...

– Byłaś jednym z nich?

– Oczywiście, że tak! a czego się spodziewałeś, Tom? Tyle że to po chwili robi straszne rzeczy z układem odpornościowym. Pojawiają się ciągłe bóle, krwotoki. To coś dla bardzo zdrowych, młodych osób, albo dla ludzi gotowych wiele poświęcić. Później spróbowałam znormalnieć i wyszłam za mąż, rozwiodłam się i wzięłam drugi ślub.

– Ale nie z tym samym mężczyzną?

– Och, nie. Aczkolwiek zaprzyjaźnili się ze sobą. To dość zabawne, prawda? Kiedy ostatnio z jednym z nich rozmawiałam, okazało się, że nadal utrzymują kontakt. Pewnie jest tak do dziś. a następnie zainteresowałam się religią. Wyobrazasz sobie? Ja i religia...

– Masz dzieci?

– Żaden moment nie wydawał się odpowiedni. Żałuję, że się nie zdecydowałam, ale pewnie zawsze byłam na to zbyt wielką egoistką.

– Nigdy nie byłaś egoistką, Terr.

– w takim razie nie potrafiłam się skupić na czymś konkretnym.
– To też nie. – Tom pociągnął kolejny łyk absyntu i dołał sobie do kieliszka. Czuł, jak gorzki spokój alkoholu przenika mu do krwi. Przyjemnie było tak siedzieć i rozmawiać. Smutno, ale przyjemnie. Dotarło do niego, że nie tęsknił po prostu za Terr. Przez kilka ostatnich, spędzonych na tej górze lat brakowało mu większości odcieni ludzkiego towarzystwa. – Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Nawet gdy jeszcze marzyłem o naszej wspólnej przyszłości, nie byłem w stanie sobie wyobrazić dzieciaków...

– Jak to możliwe, by dwójka ludzi różniła się od siebie tak bardzo i jednocześnie tak świetnie do siebie pasowała?

– Naprawdę tak myślisz?

– Tom, nikogo nie kochałam tak mocno jak ciebie. Od tamtej pory często miałam wrażenie, że mnie obserwujesz, że słuchasz. Jak na przykład tamtego popołudnia, gdy skoczyłam ze skrzydłami z wieży w Aston i zostałam aresztowana. i kiedy zajmowałam się sztuką ciała. Byłeś też kimś w rodzaju brakującego gościa na moich weselach. Cokolwiek robiłam, robiłam to w zgodzie z tobą lub na przekór tobie. Zawsze się zastanawiałam, co byś powiedział o tym czy owym. a potem, kiedy poleciałam na Księżyc, towarzyszył mi twój duch. Opuściłeś kiedykolwiek planetę?

Pokręcił głową. Nie opuścił Ziemi, a przynajmniej nie w najprostszym, fizycznym sensie. Podróżował za to z Kubrickiem ponad księżycowymi kraterami. Tysiące razy. Słuchając przejmującej muzyki Ligetiego.

– Tak myślałam. Nigdy na nic bardziej się nie wykosztowałam.

– Jak tam jest?

– z Księżycem jest właściwie tylko tak jak powiedziałam, Tom. Jest po prostu drogi. Mieszka się w miejscu przypominającym te dawne, tanie japońskie hotele. Zamiast pokoju dostajesz kapsułę, w której nie można nawet usiąść. Kto by pomyślał, że kosmos może być tak klaustrofobiczny!

– Robiłaś w życiu tyle rzeczy. To wszystko bardzo fascynujące.

– Prawda? Tak się wydaje, kiedy o nich teraz opowiadam. Ale prawdę mówiąc, przez cały czas miałam wrażenie, że tkwię w cudzym życiu. Zupełnie jakbym nosiła cudze ubrania. Bez przerwy szukałam własnych. a potem człowiek się starzeje. Boże, wiesz jak to jest, prawda? a w tych czasach jest tyle możliwości. Tak wiele rozmaitych sposobów na przedłużanie wszystkiego, rozciąganie lat. Tyle że, im bardziej je rozciągniesz, tym cieńsze się stają. Od

zawsze wiedziałam, że nie chcę dożyć jakiegoś mocno sędziwego wieku. Ci ludzie mający po sto pięćdziesiąt lat żyją jeszcze chyba tylko po to, żeby czegoś dowieść. Są jak żółwie biorące udział w niekończącym się wyścigu. Albo zwierzęta zamknięte w kiepskim ZOO. Umysły w poskręcanych, rdzewiejących klatkach...

– Nigdy nie myślałam...

– Ty będziesz tak ciągnąć, póki coś ci nie walnie, prawda, Tom? Póki woda nie zniszczy wreszcie jakiegoś ważnego organu lub nie rozsadzi ci naczyńka w mózgu. Lub dopóki nie wylądują tu Wezuwianie, na tych śmiesznych drutach. Przylecą swoim latającym talerzem i zabiorą cię ze sobą. Aczkolwiek pewnie im odmówisz, gdyż nie okażą się takimi kosmitami, jakich się spodziewałeś.

– Co to miało znaczyć?

– Nic, Tom. Taki już po prostu jesteś. i miałeś szczęście, serio, że wbrew wszelkim świadectwom udało ci się zachować marzenia. Czytałam twój artykuł. Wiele lat temu, w jakiejś zabawnej gazetce z migającymi reklamami transformacji ciał. „Nowe spojrzenie na równanie Drake’a”. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Pisałeś z takim przekonaniem. Ale czy naprawdę nie uważasz, że gdyby oni gdzieś tam istnieli, to już byśmy o tym wiedzieli? Pomyśl o wszystkich tych milionach gwiazd, o milionach lat i galaktycznych cywilizacjach, o jakich dawniej czytałeś. Tom, przecież to nie byłby szept, nic, do czego potrzebowałbyś tej całej wymyślonej technologii. Sygnały byłyby wszędzie dokoła, nie dałoby się ich przegapić. Gdyby kosmici chcieli się nam przedstawić, odbierałbyś potężny ryk...

Gwiazdy na skraju wschodniego horyzontu zaczęły powoli blednąć; migotały i gasły jedna po drugiej, dokładnie w taki sposób, jakiego zawsze obawiał się Tom. Taurus, Orion... Kiedy ta część planety zwracała swe oblicze ku słońcu, pierwsza sugestia świtu zawsze była szara – tu, na krasowym płaskowyżu – dziwnie blada i ponura. Miała barwę – jak często myślał, gdy noc się rozmywała, a rozbudzony alkoholem optymizm opuszczał go w strumieniach moczu i zdarzających się od czasu do czasu niepokojąco krwawych wymiotach – jaką przybrałby cały jego świat, gdyby stracił SETI. a argument, który tak przewidująco przyswoiła sobie kiedyś Terr, był – Tom zdawał sobie z tego sprawę – najpoważniejszym z argumentów przeciwko jego marzeniu. Dziwne było to, że w żaden sposób nie wiązał się z równaniem Drake’a

i zapewne dlatego nie było o nim wzmianki w tym jego dumnym artykule. Terr posłużyła się pewną wersją pytania, które ojciec założyciel współczesnych reaktorów jądrowych, Enrico Fermi, zadał niegdyś podczas debaty na temat istnienia pozaziemskiego życia. Bez mała półtora stulecia – jak ten czas leci! – temu. Pytanie brzmiało prosto: „No to gdzie oni są?”.

Istnieje coś takiego jak maszyny von Neumanna; być może Terr wiedziała także i o nich. Dawniej były bytami jedynie teoretycznymi, stałym elementem starych opowieści o przyszłości, którymi zaczytywał się Tom. Teraz jednak pracowały w pasie asteroid, na pomniejszych księżycach Jowisza oraz w głębokich ziemskich kopalniach i rowach oceanicznych, a także na Księżycu Terr i we wszelkich innych miejscach, z których ludzkość czegoś potrzebowała, lecz nie chciała ryzykować własnej skóry, by się do tego dostać. Maszyny te były w zasadzie robotami, lecz zdolnymi do produkcji nowych wersji samych siebie – do reprodukcji, jeśli komuś zależy na tak oczywistym porównaniu ze światem ożywionym – za pomocą dostępnych lokalnie surowców. Były przy tym inteligentne. Potrafiły się przemieszczać i dostosowywać do nowych środowisk. Potrafiły robić praktycznie wszystko, czego się od nich zażądało. z pewnością więc – brzmiał argument, który niekiedy zakradał się do głowy Toma wraz z porannym kacem – każdy inny gatunek inteligentnych istot również mógł dokonać podobnego wynalazku. Nawet biorąc pod uwagę oszałamiające dystanse, wiążące się z podróżami międzygwiazdowymi, wystarczyło wystrzelić nieco takich urządzeń w kosmos, odczekać kilka milionów lat – w końcu w dowolnej kosmologicznej skali to jedynie mrugnięcie boskiego oka – i maszyny skolonizowałyby całą tę galaktykę. Gdzie więc byli?

Odpowiedź brzmiała równie zwięzłe jak pytanie Fermiego: „Tutaj ich nie ma”.

a ludzkość stanowiła wynaturzenie; on i cała planeta byli fascynującą obrazą wszelkich praw prawdopodobieństwa. Reszta wszechświata była pusta albo też inne, nikłe przebliski życia powstały tak daleko, że nie dałoby się nawiązać z nimi kontaktu przez cały czas pozostały do momentu, gdy wszechświat ponownie się skurczy. Być może następnym razem pójdzie lepiej. Albo jeszcze potem. Tom przeczytał kiedyś, że wedle jednego z wyliczeń równania Drake’a, pewna forma życia miała szansę pojawić się we wszechświecie raz na 10^{10} Wielkich Wybuchów, i to jedynie przy założe-

niu, że prawa fizyki pozostałyby niezmiennie. Autor nie kłopotał się już z przeliczeniem szans na jednoczesne powstanie dwóch inteligentnych gatunków w tym samym zakątku jednej galaktyki. Zapewne nie chciał spalić komputera.

Poszarzała już połowa nieba. Gasła gwiazda za gwiazdą, za gwiazdą. Teraz mógł dokładniej przyjrzeć się Terr, a ona mogła obejrzeć jego, choć nie był pewien, czy któremukolwiek z nich akurat na tym zależy. Być może należało to jednak pozostawić w szarej mgle niepewności.

– Zawsze powtarzałam, że przyjdę do ciebie z wiadomością, prawda, Tom?

– i to ma być ona? Chcesz mi powiedzieć, że powinienem zrezygnować z jedynej rzeczy, która coś dla mnie znaczy?

– Spójrz na to z innej strony, Tom. Pomyśl o tym jak o...

Zerwał się lekki powiew, załazek wiatru, który miał wkrótce ponieść lotników, gdy tylko w dolinie zmieni się rozkład temperatur. Tomowi wydawało się przez chwilę, że na stole między nimi wciąż pali się świeczka, Terr nadal migotała i kołysała się, jakby skryta za płomieniem. Była jak dym. Jej włosy, jej twarz. Nalał sobie jeszcze absyntu, lecz postanowił, że go nie wypije.

– Rzecz w tym, Tom, że doprowadziłeś się do stanu, w którym to, że wciąż słuchasz, samo w sobie stanowi na coś dowód. Ale tak nie jest, Tom. Oni gdzieś tam są lub ich nie ma. Tak czy inaczej, to fakt. Obiektywny, prawda? Problem tylko w tym, że nie znamy rozwiązania... a czy nie byłoby szkoda, gdybyśmy poznali wszystkie odpowiedzi? Co by się wówczas stało z marzeniami?

– Nauka polega na odkrywaniu prawdy...

– ...no i ten twój tryb życia, Tom! Na przykład, dlaczego, do diabła, musisz schodzić po wiadomości aż na dół? Nie możesz komunikować się z ludźmi stąd? Masz w tej chacie dość sprzętu, by przemówić do całego świata. Choć akurat to cię pewnie nie interesuje.

– Osobista korespondencja jest... – Powiódł wzrokiem po wzgórzach na wschodzie. Podniosła się nad nimi pierwsza odważna włócznia światła. Spojrzał na karty, które mu przyniosła. – Wiadomości mnie rozpraszają.

– Przepraszam, Tom. Nie chciałam cię rozpraszać.

– Nie chodziło mi...

i znowu. Terr we łzach, jak dawniej, we wspomnieniu, które wytłumił na tak długo, w jego łóżku w Erlington, w noc lądowania na Marsie, gdy alko-

hol zaczął przejmować nad nim kontrolę. Teraz jednak było inaczej. Terr się przemieniała. Wiła się, skręcała. Podnosił się wiatr, wstawał świt.

– Zawsze w pewien sposób czułam się za ciebie odpowiedzialna, Tom. Zapewne jest to jakaś forma próżności, ale mam wrażenie, że to ja ostatecznie wepchnęłam cię na ścieżkę, na którą beze mnie być może byś nie wkroczył. Tom, byłeś czarujący. Przystojny i inteligentny. Mogłeś zbić fortunę i wieść szczęśliwe życie, zajmując się czymkolwiek poza SETI. Mam rację, Tom? Czy to według ciebie trzyma się kupy?

Nie odpowiedział, zdając sobie jednocześnie sprawę, że tym samym jej przytakuje. Prawda istniała zawsze, z nim czy bez niego. Czy zaprzeczanie czemukolwiek miało jakiś sens?

– a obietnica, na którą cię namówiłam, tego ostatniego dnia przed sądem, z tymi moimi głupimi znajomymi lotnikami. z jakiegoś powodu wydawała mi się sprytna. Wiedziałam jak mocno mnie mimo wszystko kochasz i chciałam odcisnąć na tobie swoje piętno. Po to tylko, żeby czegoś sobie dowieść. Przepraszam cię, Tom. To był jeden z moich dumnych, idiotycznych projektów...

– Terr, nie możesz czuć się odpowiedzialna za cudze życie.

– Wiem, Tom. Nie czuję się odpowiedzialna nawet za własne.

Tom odwrócił od niej wzrok i spojrzał na swoją nędzną chatę. Gdyby nie delikatne srebrne nici drutów anteny, gdyby nie nikła poświata komputerowych monitorów, gdyby nie wypełniony butelkami, stalowy kontener i stojący obok stary citroen, mogłoby to być siedlisko średniowiecznego pustelnika. Westchnął i popatrzył w dół zbocza. w tym wzbierającym świetle cały świat wydawał się delikatny niczym pajęczyna. a tam, na dole – ledwie to widział – znajdował się wodopój, gdzie, delikatnie migocząc, poruszały się płochliwe górskie koziorożce, które przychodziły wraz ze świtem, by się napić.

– Tom, słońce wschodzi. Niedługo będę szła...

– Ale jeszcze nawet nie... – Gdy zwrócił się z powrotem ku Terr, słowa zamarły mu w ustach. w miarę jak światło przybierało na sile, kobieta traciła konkretność. – Nie możesz zostać?

– Przykro mi, Tom. Powiedziałam już wszystko, co było do powiedzenia...

Wstała i podeszła, poszybowała ku niemu. Odmieniona i ta sama. Terr i

nie Terr. Kilka ostatnich gwiazd na niebie świeciło teraz na wskroś jej ciała. Tom jednak nie czuł strachu, gdy się do niego zbliżyła. Poczuł jedynie narastające w sercu dziecinne pragnienie, tęsknotę za mroczną słodyczą coca-coli, lodów i matczynych objęć. Poczuł jedynie wspaniały, nieskazitelny zachwyty.

Rąbek słońca ozłocił szczyty górskiego łańcucha. Terr rozpadła się i zamiotała. Cała była w tej chwili jak jej oczy; stała się piękną, gęstą mgławicą. Ale słońce świeciło coraz jaśniej, a wiatr wiał mocniej i mocniej. Niknęła, gasła. Tom wyciągnął rękę, by dotknąć tego, co z niej zostało, i musnął jedynie chłód porannego powietrza.

Pamiętaj, Tom.

Terr nie miała już głosu, nie miała już ciała. Stała się tylko wrażeniem, niewiele więcej niż smutnym i radosnym wspomnieniem, które przeniósł w sobie przez długie lata aż do tej chmurnej i odległej epoki. Wyczuł też jednak, że Terr się porusza, odwraca od niego, i uśmiechnął się, widząc ją w ciemnoniebieskiej sukience, piękną jak zawsze, schodzącą po srebrzącej się trawie ku wodopojowi. Terr ze swymi blond włosami. Terr ze swymi przepięknymi oczyma. Terr z przesłoniętym przez mgłę miejscem, gdzie jej szczeka zbiega się z szyją, tuż poniżej ucha. Odwróciła się i obdarzyła go uśmiechem. Pomachała dokładnie w chwili, gdy słońce posłało snop światła spomiędzy dwóch szczytów. Terr w ciemnoniebieskiej sukience, schodząca ku wodopojowi, gdzie wszystkie nieśmiałe istoty wszechświata mogły się zebrać o świcie lub wieczorem najdłuższego z dni. Zaraz potem zniknęła.

* * *

Tom jeszcze długą chwilę siedział w bezruchu. w końcu była to pora dnia, kiedy nie robił nic. a słońce wstawało, rozjaśniając świat, rozkręcając spirale powietrza nad wapiennymi krasami. Wydawało mu się, że dostrzega migknięcie skrzydeł, lecz światło, cały jego świat i wraz z nim góra, były rozmyte i tęczowe. Wydawało mu się, że płacze.

Karty leżące przed nim na stole straciły swój poblask. Kiedy je odwrócił, okazały się zimne i nieprzyjemnie wilgotne. Wybrał jedną, której nie rozpoznawał. Była niebieska i niemal gładka. Na jej grzbiecie widniał wzorek przypominający zmarszczoną toń. Teraz był już pewien, że to coś więcej niż reklama. Przesunął palcem po pasku odtwarzania, zamknął oczy i ujrzał przed sobą mężczyźnę. Stał w pełnym fontann ogrodzie, było ciepło, jasno jak popołudniu i niemal mauretańsko; mógł widzieć Maroko, Los Angeles, Hisz-

panię. Nieznajomy był przystojny, lecz już niemłody. Pozwolił zmarszczkom rozejść się po całej twarzy, a włosom posiwieć i wycofać się nad czoło. Tom odniósł wrażenie, że jest w tym człowieku, w jego oczach, coś, co sam widywał dawniej w lustrze. Mężczyzna stał jednak nieruchomo, twardo, jak ktoś, kto szykuje się na trudną chwilę. Na jego twarzy malował się niebывały smutek. Spoglądał ze śmiertelną powagą.

Tom cierpliwie przeczekał fragment wiadomości, który upłynął pod hasłem „pan nie zna mnie, ja nie znam pana”. Ptaki śpiewały, a pszczoły uganiały się za pyłkiem pośród intensywnie czerwonych i fioletowych tropikalnych kwiatów, gdy nieznajomy wreszcie się przedstawił i wyjaśnił co mają ze sobą wspólnego. Otóż obaj kochali Terr. Kochali Terr i oczywiście ją utracili, ponieważ jej nie dało się zatrzymać – taką miała naturę; właśnie dlatego przecie zdecydowali się na ten nieziemski skok w nieznaną i pokochali ją. Mężczyzna jednak miał świadomość istnienia Toma Kelly, czego Tom nie mógł powiedzieć o nim. Terr rzadko opowiadała o przeszłości, żyła głównie terażniejszością, lecz on wiedział, że Tom istnieje, i w pewien sposób mu zazdrościł, gdyż miłość do Terr była pierwszą i jedyną rzeczą, wspaniałą, kiedy trwała, a potem niemożliwą do uświadomienia, do przypomnienia sobie w ten sam sposób. Tak więc on i Terr w końcu się rozstali, a ich małżeństwo – jej drugie zresztą – dobiegło kresu tak jak mężczyzna od zawsze się – wbrew nadziei – spodziewał. Terr poszła swoją drogą, on ruszył swoją. Śledził ją niekiedy w eterze, jej nowych przyjaciół, nowe odkrycia i świeże obsesje, aż wreszcie dotarł do tej niedawnej wiadomości, straszliwej, a jednak dla niego nie do końca zaskakującej. w końcu Terr to Terr.

Istniała pewna grań na jednym z andyjskich szczytów, znanym jako Catayatauri. Ta nazwa wydała się Tomowi odpowiednia dla nowo odkrytej gwiazdy, była równie obca i wroga. Owa prowadząca na wierzchołek grań była niewiarygodna; od wschodu opadała przepaścią głęboką na niemal dziesięć tysięcy stóp. Dotarcie w to miejsce wymagało tygodnia ciężkiego marszu i kolejnych siedmiu dni wymagającej wspinaczki. o ile wiatry i zdradliwe seraki w ogóle pozwalały tam dobrze. Wśród pewnego typu lotników grań ta zyskała sobie reputację niemal mityczną. Reputację sięgającą w przeszłość po czasy Inków, którzy mieli stamtąd strącać ludzkie ofiary, ku zadowoleniu Wirakoczy, niebiańskiego starca.

Wyobraźmy więc sobie Terr wspinającą się samotnie, w trzaskającym mro-

zie, już nie tak młodą i sprawną jak dawniej, nadal jednak pełną determinacji. w wiosce, położonej w cieniu Catayatauri zostawiła wiadomości. Na wypadek gdyby nie wróciła, zabroniła komukolwiek ryzykować życie w poszukiwaniach. Inkowie traktowali Catayatauri z wielką religijną czcią, podobnie jak alpiniści, którzy pojawili się po nich. Tak samo musiała podchodzić do szczytu Terr, samotna wśród tych bożych wierzchołków. Pięła się ku górze bez wsparcia; bez skrzydeł, bez wspomagania płuc czy mięśni. Nie miała na stopach ani rękach przypominających raki szponów, nie posługiwała się linami, nie zabrała dodatkowego tlenu. Niewiarygodny wydawał się sam fakt, że w ogóle tam dotarła, że wspięła się na ową grań na dachu świata. Gdy już znalazła się na Catayatauri, kiedy stanęła nad ową przepaścią, niczego nie dało się z tym doznaniem porównać. a Terr była tam zupełnie sama, niemal stara kobieta na skraju wszystkiego. Wcześniej, w sklepie w Limie kupiła fiołki. Aby to uczynić, wyczyściła do reszty swoje bankowe konta. Nie były to bowiem fiołki, jakie można nabyć na Rue de Commerce w St. Hilaire. w zasadzie nielegalne, działały najszybciej, najbardziej radykalnie. i kosztowały majątek. w nanosekundę przedzierały się przez żyły i krew, spalały i wykręcały całe ciało od wewnątrz, niczym wiatr wyginający parasolkę podczas burzy. a Terr kupiła potrójną dawkę.

Zapewne dotarła do celu i skoczyła z grani na Catayatauri. Ten scenariusz wydawał się najbardziej prawdopodobny, aczkolwiek nigdy nie odnaleziono ciała. Terr rzuciła się w przepaść, gdy fiołki śpiewały w jej organizmie, kiedy zwiły się jej kości, a skrzydła wybijały spod jej skóry, jak wtedy, gdy motyl uwalnia się z poczwarki. Tylko że były zbyt wilgotne i kruche, by zrobić cokolwiek, nim brutalne prądy powietrzne rozdarły je na strzępy. a potem, wreszcie, ostatecznie, roztrzaskała się na skałach. Terr wybrała najbardziej ekstremalny ze sposobów umierania...

Czy to było do niej podobne? – zastanowił się Tom. Terr spadająca w dół, obracająca się, wijąca? Czy naprawdę zamierzała się zabić, czy może po prostu chciała podjąć ryzyko i działała w oparciu o kaprys chwili, nie troszcząc się, co będzie za moment? Mężczyzna z mauretańskiego ogrodu był również zagubiony i zadawał sobie te same pytania. w Terr jednak szczególne było to – co rozumieli obaj – że zmieniała się z chwili na chwilę, z godziny na godzinę, z roku na rok. Tom od zawsze zmierzał spokojnie, w jednym określonym kierunku i celu; trasę własnego życia wytyczył dawno temu. Terr była

inna. Od samego początku. Nigdy nie cierpiała jak Tom na lęk przed zapomnieniem o spotkaniach, niedoprowadzaniem spraw do końca, upływem czasu; przed tym, że przegapi wiadomość, która nigdy nie nadeszła. Terr zawsze parła naprzód, nie oglądając się za siebie.

Mężczyzna uśmiechnął się raz jeszcze i rozłączył. Zniknęły mauretański ogród i gęsta woń kwiatów. Tom Kelly wrócił do swego poranka, w którym cienie ściagały się ponad jego górą z chmurami. Niczym bohater bajki zastanawiał się, gdzie tak naprawdę był zeszłej nocy i co dokładnie przeżył, co takiego zobaczył. i gdyby ktoś mógł spełnić jedno jego życzenie – choć Terr, czymkolwiek była wczorajszej nocy, nawet mu tego nie zaproponowała – wciąż życzyłby sobie tego co zawsze. w końcu dobiegał już siedemdziesiątki. Nazywał się Tom Kelly. Był panem SETI. Bez względu na wydarzenia, bez względu na doświadczone cuda, ludzie w jego wieku się nie zmieniają. Był pewien przynajmniej tego jednego.

* * *

Tom Kelly zjeżdża pędem ze swej góry. Słońce grzeje mocno, wyciągi krzeselkowe czekają nieruchomo, a lotnicy odpoczywają, gdy cienie układają się obok siebie w oczekiwaniu na długie, senne popołudnie. Parkuje na niemal pustym Place de Revolution, wychodzi ze swego Citroena i macha do Jean-Benoita, który przeciera szmatką stoliki. Tom łomocze do drzwi poczty. Na tabliczce widnieje wyraźne *ferme*, lecz madame Brissac otwiera stare zamki. Widząc go, wygląda na niemal zadowoloną. Prawie się uśmiecha. Spędzają wspólnie godzinę, siedzą przy kontuarze, a muchy plujki bzyczą i wirują w ciepłym, mocno pachnącym powietrzu przy jej przegródkach. Tom dotarł aż do czasowników przechodnych i tutaj zaczęły się schody. Niemniej, francuski to przecież obcy język, a takich rzeczy ludzie nie uczą się z dnia na dzień – przynajmniej nie w taki sposób, w jaki poznawał go Tom. Stwierdził w duchu, że minie jeszcze kilka miesięcy, nastanie późna jesień – *l'automne* – a może nawet zima, jakkolwiek ją tu nazywają, nim zdoła zapytać kobietę o sposób, w jaki sortuje korespondencję. Podejrzewa też, iż madame Brissac i tak uzna pytanie za głupie. To przecież madame Brissac. Kto by pomyślał, że była kiedyś nauczycielką, jeszcze w tych czasach, gdy ludzi trzeba było uczyć? Tom zaczyna myśleć, że na każdą osobę, która w tej epoce przyszłości coś zyskała, przypada inna, która poniosła stratę.

Świat zaczyna wydobywać się z południowej drzemki i Tom wychodzi na

rozpalony Place de Revolution. Musi przestawić samochód i zaparkować go za rogiem, by zrobić miejsce dla wieczornych uroczystości. Dziś jest dzień Foire aux Sorcieres, co jeszcze kilka miesięcy temu nie znaczyłoby dla niego nic, a teraz oznacza niewiele więcej. Francuzi jednak uwielbiają festiwale – tyle Tom już rozumie. Organizują je tutaj w St. Hilaire regularnie – w zasadzie niemal co tydzień, jako że bez przerwy napływają strumieniem nowi lotnicy, których trzeba oskubać z franków. Dzisiejszy festiwal będzie jednak szczególny. Tom to wie.

Pijąc słodką, gorącą kawę przy swoim zwykłym stoliku, spędza godzinę, podczas gdy stragany i scena na wieczorne wydarzenia powstają pod okiem robotów-krabów, wśród brzęku prętów i okrzyków kilku, nie bardzo tu potrzebnych, rzemieślników. Miasteczko przeciąga się i drapie po brzuchu. Wyrusza się z otchłani długich posiłków i snu kochanków. Dziewczyna nosząca się w stylu Audrey Hepburn – Tom już wie, że ma na imię Jeannette – uśmiecha się do niego i podchodzi, by powiedzieć *bonjour*. Uważa, że to słodkie, że taki szalony, stary górski cap jak Tom stara się poznać jej mowę na trudny, okrężny sposób. Podobnego zdania jest Michel, jej chłopak, miejski i czarujący, obdarzony muskulaturą boga z kreskówki i zieloną, pokrytą łuskami gadzią skórą. Pomagają nawet Tomowi przenieść kilka kartonów z bagażnika Citroena na stragan, który dla siebie wynajął, życzą mu powodzenia i obiecują, że wieczorem przyjdą coś od niego kupić. Tom podejrzewa, że młodzi będą zbyt zaprzątnięci zabawą, by o nim pamiętać.

Okazuje się jednak, że sprzedaż na jego stoisku idzie zaskakująco żwawo. Ten stan trwa już od dwóch tygodni. Tom zaczyna myśleć, iż będzie musiał zamówić nieco nowych koszulek oraz kuchennych ściereczek z logo SETI, chociaż po tylu latach ciężko mu będzie zdobyć nowe ścierki, jako że ludzie nie mają już dla nich żadnego konkretnego zastosowania. Pytają go, do czego służą, te wielkie chustki do nosa z napisem SETI, po czym zawiązują je sobie na szyjach. Kto by pomyślał, że akurat ścierki do naczyń padną ofiarą przyszłości w której się znalazł? Ale targowanie się, ustalanie ceny towarów po to, by ją potem opuścić i ostatecznie coś sprzedać – z tym Tom nie ma problemu. Posługiwanie się liczebnikami obcego języka przychodzi mu niemal bez trudu; być może jego mózg zaczął sobie niejasno przypominać, że miał dawniej talent do matematyki.

Foire aux Sorcieres wydaje się dziwnym festiwalem jak na letnią porę, lecz

jeszcze nim zapada zmrok, pojawiają się dzieciaki przebrane za czarownice, duchy, gobliny. Wymachują latarkami, które – dzięki jakiejś technicznej sztuczce, jakiej Tom nie jest w stanie rozgryźć – rzucają na ich twarze ciemną poświatę nocy. Niemniej, te uroczystości – ze swymi słodkimi i upiornymi twarzyczkami, sunącymi prześcieradłami z wyciętymi otworami na oczy, z wrzeszczącymi, rozgadanyimi urządzeniami – wydają się Tomowi przyjemnie staroświeckie. Nawet lotnicy, kiedy się wreszcie pojawiają, nie starają się przeobrazić inaczej, niż nakładając na siebie dziwne stroje i makijaże, aczkolwiek w oczach Toma wielu z nich już wcześniej wyglądało jakby je nosili. Scena, gdy słońce wreszcie tonie za kamieniczkami, a na żywiołowym, rozgrzanym placu osiada coś przypominającego chłód, jest niewiarygodna. Niektórzy z przechadzających się pomiędzy straganami ludzi przebrali się nawet za staromodnie wyobrażonych obcych. Tom zauważa wielkogłowego Marsjanina, potem grupkę tych wysmukłych istot o skośnych oczach, które notorycznie porywały mieszkańców amerykańskiego Środkowego Zachodu, a nawet osobę przebraną za ową ośliźlą, szarą istotę, jaka na filmach rozsadzała ludziom brzuchy od środka. Aczkolwiek ten facet zdjął właśnie maskę z głowy i przeciera twarz jedną ze ściereczek Toma, ponieważ wewnątrz kostiumu jest nieznośnie gorąco. Tom myśli, że gdyby przymrużyć nieco oczy, naprawdę można się poczuć jak w dzień targowy na planecie Zarg, albo na którymkolwiek innym z miliona miejsc we wszechświecie, które – jak podejrzewa – ludzkość kiedyś wreszcie skolonizuje, gdy przestanie się już tak świetnie bawić na Ziemi. Pomyślcie o Kolumbie, o Cooku, o Einsteinie, pomyślcie o NASA. Pomyślcie o Terr: w głębi serca jesteśmy gatunkiem odkrywców i marzycieli.

Małe demony, chochliki i kilka duchów zbijają się wokół niego i pytają *quel est SETT?* Tom próbuje im to wyjaśnić po francusku. Kiwają głowami i spoglądają na niego poważnie. Już zaczyna podejrzewać, że coś osiągnął, gdy wszystkie wybuchają burzliwym chichotem i rozpierzchają się wśród tłumu. Odprowadza je wzrokiem, z uśmiechem, te duchy, ich łopocące prześcieradła. Kiedy się na powrót odwraca, przed stoiskiem materializuje się madame Brissac. Jest przebrana za staroświecką czarownicę. Wygląda jednak na zawstydzoną pod swymi doklejonymi krostami i zielonym makijażem, jest zażenowana oderwaniem od swego zwykłego, drewnianego kontuaru, który – nawet teraz, gdy próbują się porozumiewać w tym samym języku – wciąż

oddziela ją od Toma. Niemniej, uprzejmie pyta o cenę przycisków do papieru z logo SETI, po czym przetrząsa swą wiedźmową torbę i kupuje jeden z gadżetów. Następnie wygłasza uwagę na temat ciepłego i pięknego wieczoru, oraz o tym, że dzieci są śliczne i zabawne. Tom zgadza się z nią po francusku i nawet proponuje kobiecie prezent ze ściereczki, co spotyka się z odmową. Madame Brissac życzy mu dobrej nocy, odwraca się i odchodzi. Tom jednak wciąż jest dumny z siebie i wie, że i ona jest z niego zadowolona. To dla nich wielkie osiągnięcie, fakt, że mogą już odzywać się do siebie w jednym i tym samym języku, aczkolwiek madame Brissac to nadal madame Brissac i nie ma mowy, by dała po sobie cokolwiek poznać.

Zalewa go muzyka. Zebrani wołają i śpiewają. Kołyszają się latamie. w dole zbrocza, bliżej rzeki, obwieszone koronkami stragany wydają się niemal chłodne w lekkim wietrze, który spływa ze wzgórz i ponad kamienicami, podczas gdy Tom poci się w koszulce SETI. Tam na dole jest i Jean-Benoit, w czerwonym stroju upadłego Lucyfera, w otoczeniu pomniejszych demonów. To jego wolny wieczór i wygląda zarazem dziwnie i wspaniale. Nie ma jednak śladu po kobiecie w ciemnoniebieskiej sukience, którą Tom zauważył przelotnie w słońcu wiele tygodni temu. Wie, że Terr nie żyje, choć ta myśl wciąż przychodzi do niego pod postacią lodowatego, tępego szoku. Jak więc jest możliwe, by pozostał po niej choć ślad?

Tom spędza teraz swe dni w bardziej zorganizowany sposób. Ani razu nie upił się do tego stopnia, by stracić całą dobę i uważać czwartek za środę. Prawdę powiedziawszy, ostatnio Tom nie pije wcale. Miło byłoby powiedzieć, że dokonał tego wyłącznie dzięki sile woli. Jest jednak stary i kieruje się nawykami, nawet jeśli to złe nawyki. a to przecież epoka przyszłości. Tak więc Tom wziął fiolkę, jak to czynił już kilka razy przedtem. Pragnienie, pożądanie, wzbierająca pustka odeszły tak bez reszty, że przez kilka pierwszych dni dziwił się, o co był ten cały szum. To jednak stało się dwa miesiące temu i wciąż od czasu do czasu nachodzi go głupia myśl, że jeden drink dla towarzystwa, łyk tu i kieliszek tam, byłby dla kogoś takiego jak on zupełnie bezpieczny. Nawet w wieczór taki jak ten, gdy w powietrzu rozchodzi się zapach wina, potu, perna, kawy i gitanesów, i kiedy słyszy odgłosy otwieranych butelek, pobrzękiwanie szkła, a płynne chóralne śmiechy dolatują z całego placu, nie czuje zwykłej pustki. Albo bardzo nieznaczną. a może przynajmniej przestał się oszukiwać, że jest ona czymś, co można zapełnić alko-

holem, i postanowił resztę życia przejść bez jego pomocy.

Podczas długich, gorących popołudni spędzanych na lekcjach z madame Brissac zastanawia się czasami, czy kobieta w niebieskiej sukience, o siwych lub jasnych włosach, rzeczywiście weszła do *bureau de poste* w tamten magiczny czwartek i zapytała o starego Amerykanina nazwiskiem Tom Kelly. Czasami już ma zamiar przerwać kobiecie, prowadzącej go z mozołem przez niekończące się zawiłości i wyjątki francuskiej gramatyki, choć wie, że potraktowałaby to jako zbędną przeszkodę w edukacji. Myślał również o tym, by zapytać Jean-Benoita – gdy kelner nie będzie mieć na sobie stroju Lucyfera – czy pamięta kobietę, która mogła być młoda lub stara i która zajrzała do jego kafejki i podjęła się dostarczyć mu zapomniane karty. Czy pamiętają Terr? Czy może zaprzeczyliby, że ją kiedykolwiek widzieli? Najbardziej prawdopodobne jest, uznał Tom, że już dawno temu zapomnieli o tak trywialnym wydarzeniu, o tej jednej twarzy spośród całego strumienia ludzi i wypadków, jakie składają się na ich życie.

Tom podnosi wzrok ponad Place de Revolution i patrzy na kilka nikłych gwiazd, które zdołały się zebrać nad dachami i wieżami St. Hilaire. Podejrzewa, że, podobnie jak Terr – lub jej duch – pozostaną tajemnicą, którą zabierze ze sobą do grobu. Jednakże tajemnice nie są wcale takie straszne. w końcu to przecież tajemnica przywiodła go ku gwiazdom. Zdziwienie i zagadka. Uśmiecha się i macha do Michela i Jeannette przechadzających się wśród tłumu. Potem Jean-Benoit, wśród burzy wiwatów, łopoce szkarłatnymi skrzydłami, wznosi się ponad stragany i zalany światłem zawisa ponad iglicą kościoła, by ogłosić początek zasadniczej części wieczornych obchodów. Będą sztuczne ognie, wspaniałe konkursy, tańce...

Foire aux Sorcieres potrwa zapewne do wschodu słońca, lecz Tom Kelly wie, że to dla niego zbyt wiele. Stał się dla tego świata za stary. Ledwie jest w stanie nadążyć. Pozwala sobie jednak na jeszcze jeden uśmiech i zaczyna pakować swój stragan z gadżetami SETI, z koszulkami, przyciskami do papieru, znaczkami, na których widnieje małe równanie Drake'a, o którego wyjaśnienie nie zapytał ani jeden z klientów. Cieszy się na nocną jazdę starym citroenem, z powrotem na swoją górę, cieszy się na myśl o tym, jak wykwitną gwiazdy, kiedy wyłączy wreszcie światła samochodu i wyjdzie w chłodną ciemność przed chatą, gdzie pobłyskuje drucziana siatka anteny, gdzie pomrukuje i świecą urządzenia. Kto wie, jakie wiadomości mogą tam na nie-

go czekać?

w końcu nazywa się Tom Kelly.

a to może być ta jedna noc.

Wciąż czeka, wciąż nasłuchuje.

ISABEL OD JESIENI

Dawno, w epoce, która zawsze była bardzo dawno temu, żyła sobie pewna dziewczyna. Na imię miała Isabel i – w niektórych wersjach tej opowieści – możecie usłyszeć o urodzie jej oczu, westchnieniach jej włosów, opadaniu jej spojrzeń, które przypominały mroczny blask tysiąca studni, lecz Isabel taka nie była. z innych historii dowiecie się o tym, że miała usta wystające jak u morskiego mopsa, a jej głos przypominał skrzek miiwy o poranku. To jednak także nie Isabel. Isabel była pospolita. Miała brązowe włosy i takie również – prawdopodobnie – były jej oczy, aczkolwiek ten fakt nie został nigdzie odnotowany. Cieszyła się średnim wzrostem, typowym dla żyjących wówczas kobiet. Nie była zgarbiona ani zdeformowana w żaden inny, wyraźny sposób i była nieco mniej niż przeciętnie mądra. Isabel była nieinteligentna i niepiękna, choć zarazem niegłupia i niebrzydka. Spośród wszystkich oblicz istot wszelkich ras i gatunków, jakie zamieszkują każdy z naszych wszechświatów, jej twarz była tą, którą dostrzeżlibyście na samym końcu.

Isabel urodziła się i zmarła w Dżezirze, wspaniałym Mieście Wysp, leżącym u zbiegu wszystkich Dziesięciu Tysięcy i Jednego Światów. Dżezira była wtedy inna. Powiada się często, że w epoce, która zawsze była bardzo dawno temu, zwierzęta prowadziły rozmowy ludzkim głosem, bogowie spacerowali wśród nocy, a fontanny były pełne duchów. Dla Isabel jednak była to epoka kresu Wojny Lili.

Jej pochodzenie tonie w mrokach niepamięci. Mogła być dzieckiem jednej z żebraczek, które – wtedy jak i obecnie – wyglądają jałmużny pośród wiel-

kich kryształowych pałaców. Mogła również być córą jednej z wojowniczych kapłanek, walczących za swój Kościół. Mogła nawet być zaginioną dziedziczką jakiejś wielkiej matriarchy, jak często się w tego rodzaju opowieściach okazuje. Jediną pewną rzeczą jest to, że gdy Isabel przyszła w Dżezirze na świat, liczne niestabilne sojusze, za pomocą których od zawsze wiążą się ze sobą Kościoły, zawrzały i wybuchła wojna. Wówczas żyło też więcej mężczyzn i wielu z nich trudniło się wojaczką, więc istnieje również możliwość, iż Isabel urodziła się raczej w wyniku gwałtu niż świadomej decyzji. Sama także nigdy się tego nie dowiedziała. Pamiętała jedynie – co wiemy z najwcześniejszych przypisywanych jej fragmentarycznych urywków – rojny, potężny tłum, deptane, niszczone przedmioty i rozlegający się ponad nią świst i ryk czegoś, co mogło być jakiegoś rodzaju wojennym statkiem powietrznym. w tej atmosferze paniki i zagrożenia ścisnęła czyjąś rękę. Mgnienie potem niebo zapłonęło i dłoń się jej wymknęła.

w trakcie Wojny Lilii zginęło lub oszalało wielu ludzi. Sama Dżezira została poważnie zniszczona, aczkolwiek to miasto odmierza wszystko wedle skali własnych epok i priorytetów, i wkrótce rozpoczęło proces leczenia swych licznych wysp, które splatają się w koronkową sieć, obracającą się wokół gwiazdy zwanej Sabil. Życie, jak musi od zawsze, toczyło się dalej i światła wciąż co ranka mrużyły z minaretu do minaretu, do wtóru Pieśniarek Świtu, mimo że duża część piękna, które owe kobiety opiewały, leżała teraz w gruzach. Także Kościoły musiały się zaleczyć i – utraciwszy wiele członków wskutek śmierci i zdrad – rozpocząć poszukiwania nowych akolitek. Właśnie wtedy znalazła się pospolita Isabel, chodząca chwiejnie pośród dymiących zgliszczy, zbyt młoda, by samodzielnie o siebie zadbać. Musiał to być jeden z niewielu dni jej życia, kiedy została w ogóle zauważona. Wraz z wieloma innymi zabrano ją, by zasilila przerzedzone szeregi Kościoła Świtu.

Kościół Świtu posiada w Dżezirze własną wyspę, zwaną Dżerita, i Isabel mogła zostać tam wyszkolona w prostszych umiejętnościach sprowadzania światła i ciemności, aczkolwiek bardziej prawdopodobne jest to, że wstąpiła do niewielkiej lokalnej akademii i została wyznaczona do żmudnych, ręcznych prac przy odbudowie któregoś z uszkodzonych minaretów. Być może pchała taczkę lub machała kielnią. Mimo wielkich zniszczeń, jakie Wojna Lilii sprowadziła na Dżezirę, wszystkie Kościoły zdawały sobie sprawę, że zniszczenie minaretów, które sprowadzały świt na niebiosa, byłoby aktem

więcej niż szalonym. z tego właśnie powodu ze wszystkich Kościołów Kościół Świtu ucierpiał zapewne najmniej i stać go było na hojność. Być może również dlatego Isabel ze swym pospolitym wyglądem i brakiem talentów, dorastając do kobiecości, została przyjęta na nauki przyszłej Pieśniarki Świtu. a może – jak to się wciąż niekiedy zdarza – wdrapała się na takie szczyty, ponieważ nikt nie zwracał na nią uwagi.

w Kościele Świtu od zawsze najważniejsze jest czyszczenie zwierciadeł; zarówno tych wielkich luster, które zbierają i odbijają światło Sabil wysoko ponad dającym schronienie niebem Dżeziry, jak i tych poniżej, srebrnych talerzy wspaniałych minaretów, wyższych niż większość górskich szczytów; a także wielu, wielu mniejszych, które codziennie rzucają światło na całe miasto, do wtóru nawoływania Pieśniarek Świtu. Uczennice Kościoła Świtu dowiadują się jednak znacznie więcej. Muszą na przykład poznać zachowanie samego światła oraz skutki zastosowania soczewek, a także wiele sposobów, na które promienie Sabil muszą zostać przefiltrowane, nim bezpiecznie mogą osiągnąć oczu i ciał, zarówno ludzkich, jak i obcych. Są jeszcze kwestie związane ze skomplikowanymi mechanizmami, pozwalającymi każde z tych luster obracać, oraz z ukrytymi silnikami, które to umożliwiają. Uczennice Kościoła Świtu studiują też naturę samej Sabil, która okresowo maleje i przybiera, lecz bez przerwy jednostajnie obrzuca świat swym nieprzychylnym spojrzeniem. Dżezira, nawet pod koniec Wojny Lili, była miejscem, gdzie panowały tropikalne upały i niekończące się lato; miejscem, w którym kwiaty nigdy nie więdły, drzewa zachowywały listowie przez całe swe życie, a dokładna pora, o której dzień lub noc miały zalać miasto, wraz z głosami Pieśniarek Świtu, była ustalana w kaplicach Kościoła, za pomocą obrotów atomowego zegara. Niemniej, w pracy młodych uczennic doglądających minaretów najważniejsze zawsze było czyszczenie zwierciadeł.

Los, jaki przypadł Isabel, był ciężki, ale nie nieprzyjemny. Zaszła już co prawda bardzo wysoko w kościelnej hierarchii, lecz podobnych jej dziewcząt wciąż pozostawało wiele. Co wieczór, po modłach i nocnym śniadaniu, oraz po studiach nad fotonami i pryzmatami, Isabel wraz ze swymi towarzyszkami wybiegały, by wspiąć się po krętych schodach wyznaczonego minaretu. Niektóre oliwiły liczne tłoki i koła zamachowe mechanizmu, lub zajmowały się samą Pieśniarką Świtu, lecz większość brnęła wyżej, póki nie dotarła do tego wietrznego miejsca, z którego rozpościerał się widok na to, co zapewne było

całą Dżezirą, pobłyskującą w dole, miastem, którego horyzont wznosił się ku górze i nikał wśród nocy. Tam – przez wszystkie mroczne godziny, nim wielkie lustra wysoko nad nimi nie zwróciły się na powrót ku Sabil – Isabel naciągała na dłonie i stopy pokrowce z jeleniej skóry, rozkładała szmaty, wyciskała gąbki, rozwijała liny i uprząże i wraz z pozostałymi akolitkami polewowała zwierciadła. Isabel musiała robić to dobrze lub przynajmniej niezle. Niektóre z jej przyjaciółek spadały z minaretu, pozostawiając na szybach poniżej krwawe smugi, które musiała zmywać. Inne odsyłano z powrotem na ulice, do ich żebraczych miseczek. Te nieliczne, które pozostały, ścieżka prowadziła ku roli Pieśniarki Świtu.

Ceremonie inauguracji w tym i wszystkich innych Kościołach po dzień są w większości okryte tajemnicą. Teraz jednak, o ile nie zrobiła tego już wcześniej, Isabel udała się promem lub tunelem na należącą do Kościoła Świtu wyspę Dżerita i dotknęła niewielkiego serca zegara, który przynosił niezmiennie dzień i noc wiecznego lata całej Dżezirze. Tam musiały się rozleć pieśni pochwały i smutku, gdy została zaprezentowana starszym kapłankom Kościoła. Potem, kiedy wysłuchały już szeptu głębszych sekretów, towarzyszące Isabel uczennice zostały wszystkie rytualnie oślepione. Czymkolwiek w istocie jest Oko Sabil, musi ono filtrować moc gwiazdy w taki sposób, że pozostawia akurat dość promieni określonego typu, by zniszczyć zmysł wzroku, lecz oczy pozostawić pozornie nietkniętymi. Każda z uczennic Kościoła Świtu usilnie dąży do tej chwili, jako do momentu pozwalającego na dotknięcie spojrzeniem Wszzechmogącej, i zaiste trudno jest sobie wyobrazić, w jaki sposób Isabel zdołała tego uniknąć. Być może po prostu spuściła powieki. Bardziej jednak prawdopodobne, że została przeoczona w tłumie.

w ten oto sposób Isabel, której barwa oczu nie została nigdy odnotowana, została Pieśniarką Świtu, aczkolwiek nie była ślepa i – w jakiś sposób – udało się jej wkroczyć w tę nową fazę życia tak, że nikt się o tym nie dowiedział. Zapewne nigdy nawet nie pomyślała, że jest w jakiś sposób wyjątkowa. Będąc Isabel – dziewczyną nie całkiem głupią, lecz zdecydowanie nie bystrą – nie mogła poświęcać kwestii swego wzroku wielu głębokich rozważań. w tym nowym świecie ślepych, gdzie liczyły się jedynie dotyk, smak, dźwięk i myślenie czmychanie nowych akolitek, Isabel, korzystając ze swych ograniczonych talentów, wkrótce opanowała sztukę niewidzenia.

Pod kuratelę otrzymała minaret na wyspie Naszir, gdzie na wznoszącym

się horyzoncie, niczym błękitny klejnot, wisi Szybujący Ocean. Naszir jest piękną wyspą i wspaniałym ośrodkiem nauki, lecz zasadniczo stanowiła wówczas zaścianek. Minaret Isabel również był mały, dzień i noc przynosił blask cedrowej dolinie o oczywistej urodzie, lecz pozbawionej szczególnego znaczenia, z wyjątkiem może faktu, że na zachód od niej wznosiły się zbudowane z różanego kamienia zewnętrzne mury Katedry Słowa. Przed świtem, leżąc w swym wysokim pokoju, Isabel słyszała śmiechy i tupot stóp, gdy jej czyszczące zwierciadła uczennice kończyły swe obowiązki, i pozwalała kilku uprzywilejowanym sądzić, że zbudziły ją swym wejściem, a potem pomóc sobie w ablucjach i modłach. Zawsze patrzyła poza nie. Teraz już niemal nigdy niczego nie dostrzegała. Myślała o tych dziewczynach jak o dźwiękach, imionach, zapachach, różniących się od siebie sposobach stąpania i dotykania. Wyniesiona z ich pomocą na swą platformę, gdzie, nawet na tym niewysokim minarecie, powietrze i przestrzeń wirowały wokół niej, Isabel została przywiązana pasami do swego krucyfiksu w pełnej powagi ciemności i wsłuchiwała się w popiskiwanie modemu, który odbierał bicie atomowego zegara Dżerity. Wyczuła czyste, przejrzyste oczekiwanie świeżo wypolerowanych zwierciadeł dokoła i ponad nią. Uczennice – do wtóru ostatnich szeptów i błogosławieństw – oddaliły się do swych kwater nad rzeką, gdzie utulone ptasimi śpiewami miały przespać większą część jasnego dnia, jaki wkrótce sprowadzi ich pani.

Melodia pisków modemu uległa nieznacznej zmianie. Isabel zebrała się w sobie i zaczęła śpiewać. Zwierciadła miały wiele właściwości, a jedną z nich była zdolność do wzmacniania jej głosu, który niósł się w ciemną dolinę, ku odchodzącym uczennicom, i jeszcze dalej, w stronę farm i ponad murami Katedry Słowa. Był to przyporządkowany o dreszcz przenikliwy dźwięk, który budził osoby posiadające poranne obowiązki i który już dawno temu nauczyli się przesypiać ludzie od nich wolni. Daleko ponad Isabel, ze zgrzytem przypominającym odległy grzmot, wielkie zwierciadła unoszące się na orbicie Dżerity szykowały się, by zwrócić swe oblicza ku słońcu. Minęła kolejna chwila i cykanie modemu odmieniło się ponownie, a wraz z nim melodia pieśni Isabel. Jednocześnie oślepiające kolumny światła Sabil spłynęły ku wszystkim minaretom. Isabel spięła się na swym krucyfiksie i poruszyła kończynami tak jak ją tego nauczono; owe ruchy kierowały tłokami i blokami, które z kolei umożliwiały zwierciadłom minaretu rozciągnięcie nad ce-

drową doliną wachlarza światła. w ten właśnie sposób, z pieśni i światła, rodzi się na Dżezirze każdy nowy dzień, a Isabel nie różniła się od pozostałych Pieśniarek Świtu niczym, z wyjątkiem tego jednego, że w kluczowym momencie, gdy spłynęły ku niej pierwsze promienie gwiazdy, zacisnęła powieki.

Dzień był typowy i nie miała niemal żadnych więcej obowiązków, aż do momentu, kiedy nadchodziła pora, by wyśpiewać pieśni sprowadzające noc. Czasami, gdy pojawiały się przeciwności natury technicznej, lub chmury nadciągały znad Szybującego Oceanu, albo padał deszcz, Isabel musiała ponownie przypasać się do krucyfiks i z wysiłkiem utrzymywać światło w dolinie. Niekiedy przyjmowała gości lub wycieczki szkolne, lecz najczęściej czas po poranku należał wyłącznie do niej. Nie należało do rzadkości to, że Pieśniarki Świtu prosiły swe uczennice o pozostawianie każdej nocy jakiejś drobnej czynności do wykonania, by same mogły się czymś następnego dnia zająć. Isabel jednak bez trudu radziła sobie z bezczynnością. Posiadała częstą u osób o prostych umysłach smykałkę do przepuszczania czasu przez palce i robiła to z równą łatwością, z jaką przepuszczała między nimi wiatr i światło.

Pewnego ranka Isabel sprawdzała jedno z zewnętrznych zwierciadeł. Tego rodzaju pomniejsze zajęcia, polegające w gruncie rzeczy na doglądaniu, czy uczennice wykonały swą pracę należycie, stanowiły część jej życia. Każda ociemniała Pieśniarka Świtu warta swego miana była w stanie stwierdzić, czy lustro zostało odpowiednio wypolerowane w oparciu o drgania odbijającego się od szkła powietrza. Potem trzeba było jeszcze odpowiednio nastawić szyny i prowadnice. Dotknięcie zwierciadła, dotyk nagim końcem palca, byłby świętokradztwem, a wzrok – w takiej bliskości do oślepiającej tafli – był mało przydatny. Isabel, spędzając swe jasne dni w samotności minaretu, rzadko myślała o patrzeniu, a jeśli już, to widziała świat przesłonięty plamami, które jakiś czas temu zaczęły pływać jej przed oczyma. Za kilka kolejnych miesięcy – najwyżej lat – miała wskutek swej pracy oślepnąć. Wówczas jednak, tamtego konkretnego, nieokreślonego dnia, dokładnie tak jak podejrzewała, wyczuwszy wcześniej opór lewego ramienia krucyfiks, stwierdziła, że zwierciadło w kwadrancie zachodnim zostało źle ustawione. Isabel zbadała je i wyczuła niewłaściwe pływy powietrza. Lustro nosiło numer 28, a błąd był rzędu ułamka sekundy kątowej, więc wedle jej standardów był

błędem poważnym. Ustawione w ten sposób Zwierciadło 28 prawie wcale nie odbijało promieni Sabil i sprawiało, że róg minaretu, w którym stała, wydawał się względnie ciemny. Dlatego też – gdy Isabel zaczęła się zastanawiać, czy zająć się problemem od razu, czy pozostawić sprawę uczennicom – jej oczy ujrzały z tego miejsca nieco więcej niż zwykle.

Rozciągająca się pod nią dolina była już rozmigotana, w tych odległych czasach ciepła i nagłych poranków, a srebrzysta rzeka odbijała blask minaretu. Kilka rozsznanych dokoła domów lśniło białą terakotą. Kolejny idealny dzień, z wyjątkiem nieznacznego pasma cienia na zachodzie, wywołanego wadliwą pracą zwierciadła. Efekt, jak pomyślała Isabel, wyęzając bolące oczy, nie był wcale nieprzyjemny. Zewnętrzne, wzniesione z różanego kamienia, mury Katedry Słowa i główna jej budowla leżąca daleko poza wzgórzami doliny pobłyskiwały głęboko, miło. Cienie wydawały się pełniejsze. w obrębie murów znajdowały się wyłożone chodnikami ogrody, pełne drzew i fontann. Gołębie hałasowały, kwiaty rozpościerały płatki, owady pomrukiwały, posągi wyciągały palce. Tu i ówdzie, bez żadnego wyraźnego powodu, rozstawiono tam zbite z deszczulek białe pudła. Nie wydawało się, by cokolwiek lub ktokolwiek na dole zauważył, że Isabel zawiodła ich dzisiaj, niestannie wypełniając swe obowiązki. Uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko intensywnym, pachnącym pyłkami powietrzem. Niedociągnięcie nie było mimo wszystko poważne i wciąż mogła być ze swej pracy dumna. w pobliżu muru Katedry, w miejscu gdzie jego kamienie ugiwały się ku bramie, widniał otwarty, otoczony kolumnami placyk. Isabel już miała zamknąć oczy, by lepiej skupić się na widoku, gdy doleciał do niej niesiony wiatrem, cichy, lecz nieomylny dźwięk. Szmer stóp na rozgrzanym kamieniu. Ponownie pochylając się nad Zwierciadłem 28, spojrzała w dół i gdy lustro odbiło jej niemożliwą do zapamiętania twarz, zobaczyła idącą tym chodnikiem postać. Sądząc po sylwetce, musiała być to młoda dziewczyna. w jej włosach lśniły złote obręcze, podobnie jak na rękach i kostkach. Tańczyła, wirowała w jakiś dziwny sposób, który nie wydał się Isabel sensowny, aczkolwiek w pewnym niezrozumiałym sensie był pełen wdzięku.

Tej nocy, gdy już wyśpiewała ciemności, Isabel zapomniała wspomnieć uczennicom o wadzie w ustawieniu Zwierciadła 28. Następnego ranka, wdechając to samo ciepłe powietrze, na tym samym zachodnim rogu minaretu, ponownie zasłuchała się w szelest i stąpanie stóp. Oczy otworzyła dopiero po

długim czasie, a gdy już to uczyniła, odniosła wrażenie, że widzi lepiej. Tańcząca na różanym chodniku dziewczyna miała długie czarne włosy i była odziana w rozmigotane jedwabie, kojarzące się Isabel z obcymi krainami i świątyniami. Na palcach nieznajomej mrugały pierścienie. Czoło miała naczaczone błyszczącą kropką bindi. Isabel oddychała, obserwowała, zachwycała się.

Następnego rozplómiennego dnia Isabel znowu wyglądała ze szczytu minaretu, stojąc obok wadliwego Zwierciadła 28. To musiał być jakiś rytuał. Dziewczyna zapewne była uczennicą lub pomniejszą akolitką. Uczyla się fachu wykładanego w Katedrze Słowa. Isabel przypomniwała sobie, lub spróbowała sobie przypomnieć, swoje własne pochodzenie. Przelewający się tłum. Potem głód, pragnienie. Co by się stało, gdyby zamiast tutaj trafiła do owego miejsca za murem? Czy byłaby kiedykolwiek równie wdzięczna jak nieznajoma? Isabel dobrze znała odpowiedź, lecz pytanie pochłonęło ją tak czy inaczej. w snach dłoni, którą trzymała, gdy przelatywał nad nimi ryczący myśliwiec, przybrała ten sam kolor oliwek, jaki miała połyskliwa skóra dziewczyny. i czasami, zanim łomot stóp uczennic budził ją do kolejnego dnia pracy, Isabel miała niemal wrażenie, że sama także tańczy.

Pewnego dnia powietrze się odmieniło. Szybujący Ocean, wiszący na horyzoncie, był miejscem, z którego natury Isabel nie rozumiała wiele, aczkolwiek był pieszczony światłem Sabil przez kapłanów wyspecjalizowanego zakonu Kościoła. Niekiedy, najczęściej, wydawał się błękitny. Innym razem migotał i szarzał. Niczym gniewne myśli parowały z niego wówczas chmury i deszcz. w takie dni, gimnastykując się na swoim krucyfiksie, Isabel wyobrażała sobie sztormy niszczące statki, rozkołysane fale. Czasami zdarzało się, że nadciągające znad oceanu obłoki były lekkie i białe, chociaż i one wpływały na światło w swój subtelny, mocno irytujący sposób. Tego jednak konkretnego dnia Isabel obudziła się, czując na skórze wilgoć, śliską, lecz nie nieprzyjemną. Zmieniły się również wszystkie dźwięki i skrzypnięcia minaretu, dotąd tak przecież swojskie. Głosy uczennic, gdy już się wokół niej zebrały, wydawały się przytłumione, a ich włosy i ciała pachniały chłodem i wodą. Cały świat, ten małeńki fragment, jaki widziała, wspinając się na ostatnie schody i gdy przypasywano ją do krucyfiks, poszarzał. Drewno, na którym złożyła plecy, było oślisłe. Uprząż, którą wysuszyła i przepociła i już dawno przyzwyczaiła do kształtów swych kończyn, zwisała luźno. o tym, że

większość zwierciadeł minaretu pokryła się mglistą parą, wiedziała jeszcze zanim ostatnia z mamroczących starszych uczennic ją o tym fackie poinformowała i odsunęła się w ukłonach.

Przemoczone powietrze wchłonęło pierwsze dźwięki jej pieśni. Mechanizmy całego minaretu działały nieznacznie inaczej i aby sprowadzić dzień, Isabel musiała się wysilać tak bardzo, jak jeszcze nigdy przedtem. Kolumna promieni Sabil była nikła, a lustra dalekie od swej zwykłej sprawności w odbijaniu światła. Niemniej, właśnie do takich poranków została wyszkolona i schwytała nawet to słabe światło i rozpostarła je ponad swą doliną, mimo że miała wrażenie, że pływa w oceanach gliny. a jej pieśń, kiedy wreszcie zdołała osiągnąć równowagę, a wzbierające ciepło poranka zaczęło rozpędzać chmury, zabrzmiała niezwykle, triumfalną radością, tak przejmującą, że ludzie w dolinie wydrapywali sen ze swoich głów i myśleli – jak rzadko – „Ach, oto nasza Pieśniarka Świtu, sprowadza dzień!”. Wbrew zimnemu, białemu powietrzu zapewne zajęli się ablucjami, pogwizdując, utwierdzeni w przekonaniu, że pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy.

Kilka kolejnych godzin musiało upłynąć, by Isabel nabrała pewności, że mniejsze umysły i mechanizmy minaretu osiągnęły wreszcie swą zwykłą sprawność i można je pozostawić bez opieki. Świat jednak, gdy zesza z krucyfiksu, wciąż spoczywał pod całunem. Mgła – poznała to słowo jeszcze w trakcie nauki, aczkolwiek do dzisiaj uważała je za jedną z tych mitycznych aberracji w rodzaju uderzenia komety. Do dzisiaj. Spacerowała po zamglonych balkonach i bramach. Światło było tu rozproszone, lecz gorące. Uznała, że moc, którą sprowadziła ze słońca, już niebawem wypali ten mokry i biały świat. Na zachodzie jednak wciąż panował większy mrok, dzisiaj dodatkowo pogłębiany. Tutaj powietrze wciąż było niemal tak samo chłodne jak przed świtem. Isabel przygryzła wargę i roztarła dłonie. Przeklęła się w myślach za to, że do tego dopuściła. Co by powiedziała jej mentorka? Teraz było już zbyt późno, by próbować poprawić kąty Zwierciadła 28 – wszystkie tłoki ociekały wilgocią, a szklane tafle były pokryte kroplami wody. Wieczorem będzie musiała pomówić z uczennicami i zrobić wszystko co w jej mocy, by udać przed nimi surowość. Zauważyła, że tak właśnie najczęściej postępują nauczycielki: gdy nie potrafiły sobie z czymś poradzić, po prostu obwiniały klasę. Isabel spróbowała sobie wyobrazić scenę rozgrywającą się poniżej, na niewidocznym zachodzie. Tancerka za murami Katedry Słowa z pewnością

uzna tę niemal-ciemność za przeszkodę. Najprostszą, najbardziej oczywistą – i świadczącą o niewinności – rzeczą było zejść i ją przeprosić.

Isabel ruszyła w dół po licznych schodach swego minaretu. Znalazienie się poza nim, na zewnątrz, wydało się jej teraz dziwne – ziemia była tak blisko! – a zwłaszcza dziś, gdy niemal w naśladownictwie jej słabnącego wzroku wszystko poza świecącym nad nią minaretem stało się niewyraźne, zamazane i posrebrzone. Ruszyła między polami w kierunku murów z różanego kamienia i usłyszała – choć nie zobaczyła – pasące się zwierzęta. Ocierając się z nawyku o kolczaste żywopłoty, niemal po omacku poszła przed siebie i zanim poczuła zbliżającą się, nikłą dziś, gorącą poświatę muru, ręce miała podrapane i mokre. Kamienie również były mokre. Powietrze napuchło wilgocią. Świadoma tego, że wkracza do mrocznej krainy, która powstała przez jej własną nieuwagę, Isabel ruszyła dalej wzdłuż muru, aż wreszcie znalazła drzwi. Wydawały się stare i rzadko używane; takie drzwi, jakich można się spodziewać w baśni. Nie wiedziała czy powinna poczuć się zaskoczona, gdy przekreśliła zimną i śliską żelazną obręcz i poczuła, że ustępują.

Znalazła się w zewnętrznych ogrodach Katedry Słowa, w cieniu wadliwego Zwierciadła 28. Tutaj było, oczywiście, ciemniej, lecz zarówno jej wzrok, jak i reszta zmysłów wkrótce się dostosowały i Isabel uznała, że efekt nie jest wcale tak nieprzyjemny, na pewien nieokreślony i melancholijny sposób. w rozproszonym świetle drzewa stały się ciemnymi chmurami. Chodniki były czarne i długie. Niektóre z kwiatów zamknęły kielichy lub pokryły się koralami srebrnych pajęczyn. Przeleciało obok niej kilka bzyczących pszczół, lecz te w półświatle wydawały się nieporadne i na pół śpiące. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, rozbłysnęło pomarańczowe światło; blask, w który – patrząc nań na poły zniszczonymi oczyma – Isabel nie chciała uwierzyć. Kiedy jednak podeszła bliżej, światło rozdzieliło się na kilka rozedrganych kul, niosących ze sobą woń dymu. Usłyszała klaskanie bosych stóp na mokrym kamieniu.

Otwarty dziedziniec, który Isabel oglądała ze swego minaretu, okazał się w ten mglisty niewyraźny dzień niemożliwy do ogarnięcia wzrokiem, gdy stanęła na jego skraju, aczkolwiek otaczające go kolumny, maszerujące w dal i znikające wśród oparu, wyglądały na wielkie. Oświetlone były migocącymi i dymiącymi koksownikami ustawionymi pomiędzy filarami. Isabel ruszyła naprzód. Tancerka przez długą chwilę była tylko dźwiękiem, zakłóceniem we

mgłę. Potem, nagle, niczym zjawą, pojawiła się tuż przed nią.

– Ahlan ła sahlan... – Ukłoniła się na rozstawionych nogach, składając dłonie. Pachniała słodko potem i drewnem sandałowca. Włosy miała długie, czarne i wspaniałe. – Kimże, jeśli wolno, jesteś? i co cię tutaj sprowadza?

Isabel, zakłopotana w stopniu, jakiego nie zaznała od wieków, zachłysnęła się własną odpowiedzią.

– Minaret za murem... – Bezsensownie wskazała mgłę. – Ten mrok – nie, nie sama mgła, lecz brak odpowiedniego światła...

Podkreślone antymonowym proszkiem owalne oczy wpatrywały się w nią z rozbawieniem. Bindi między brwiami połyskiwało podobnie wesoło. Aczkolwiek tancerka stała w bezruchu, jej ramiona unosiły się i opadały wskutek niedawnego wysiłku. Okrągłe kolczyki pobrzękiwały.

– Czyli sprowadzasz światło z tej wieży?

Isabel, która być może wciąż nie rozjaśniła kwestii tak dobrze jak powinna, przytaknęła oszołomiona ulgą, że ta dziwna istota wreszcie zaczyna ją rozumieć.

– Tak bardzo przepraszam za tę dzisiejszą ciemność. Słyszałam z wieży jak tańczysz i pomyślałam... Pomyślałam, że to moje niedopatrzenie może ci przeszkadzać.

– Przeszkadzać? – Dziewczyna zastanowiła się, przy czym przechyliła głowę jak ptaszek. Płomienie wciąż tańczyły. Ich blask migotał czernią i oranżem na jej ramionach. – Nie, nie sądzę. Prawdę mówiąc, całkiem mi się to podoba. a przy okazji, nazywam się Genya, jestem pszczelarzą... – Roześmiała się i postąpiła krok naprzód, krok w tył, nieco nikiąc. – Chociaż dzięki tobie nie mam dzisiaj wielu pszczół do pilnowania.

– Jesteś pszczelarzą? Ale wydawało mi się, że jesteśmy w ogrodzie Katedry Słowa? Myślałam, że jesteś...

– Och, jestem również Bibliotekarką. a przynajmniej najstarszą uczennicą. Niemniej, niektóre z nas muszą się również nauczyć sprawować opiekę nad pszczołami.

Isabel skinęła głową.

– Oczywiście. Dla miodu...

Genya znów wybuchnęła śmiechem. Wydawało się, że bawi ją wszystko, co robiła Isabel.

– Och, nie! Za nic w świecie. Miód rozdajemy ubogim przy bramach w

dniach mouldid. Pszczoły hodujemy, ponieważ one uczą nas znajdować książki. Pokazać ci?

i pokazała. Tego pierwszego dnia zamglone ogrody stanowiły dla Isabel wyłącznie zagadkę. Rosły w nich kwitnące krzewy, o których Genya mówiła, że w każdej ze swych komórek zawierają całe biblioteki informacji o toczo-nych i przegranych wojnach. Były tam przypominające krypty miejsca, ukryte za skrzypiącymi, żelaznymi wrotami, gdzie za innymi drzwiami, otwierającymi się z sykiem na jedno skinienie Genyi, leżały oprawione księgi opowiadające historie o wydarzeniach, które nigdy nie nastąpiły w tym ani żadnym innym świecie. Stały – tłumaczyła szeptem Genya, sięgając po srebrzysty przedmiot w plastikowym pudełku – ledwie na najdalszym brzegu największych oceanów wszelkiej możliwej wiedzy. a jednak niektóre z tych jasnych, sztucznie oświetlonych katakumb były równie wielkie jak najwspanialsze sale w akademii Kościoła Świtu.

– Co to takiego?

Mieniały się tęczo dyski. Po chwili szarpania się z zamkiem Genya otworzyła jego przejrzyste opakowanie.

– Jak sądzę, w tym dysku zawarta jest muzyka.

Isabel nie mogła się nie zachłysnąć; powierzchnia, do której Genya przytknęła koniuszki palców, niezwykle przypominała zwierciadło. Palce tancerki, zaczęły się poruszać. Coraz prędeziej, pieśczośliwym, okrężnym ruchem. Na moment przymknęła oczy. Zaczęła nucić.

– Tak. To jest muzyka. Stara, popularna piosenka o głupcach na wzgórzach. Cudowna jest. Żałuję, że nie mam twojego głosu, by ją zaśpiewać.

– Ty ją dzięki temu dyskowi słyszysz?

Genya skinęła głową.

– Właśnie coś takiego robią nam, Bibliotekarkom. z naszymi palcami. Spójrz... – Uniosła je i pokazała Isabel. Tuż przy opuszkach ciało wydawało się świeże, zupełnie jak na niedawno zabliznionej ranie. – Otrzymujemy dodatkowe nerwy optyczne. Niewielkie sensory magnetyczne... przetworniki... i jeszcze inne usprawnienia... – Zatrzasnęła dysk w plastikowym pudełku. – Dzięki nim życie staje się o wiele prostsze.

Następnie spróbowała zademonstrować podobną sztuczkę, tym razem z wykorzystaniem brązowej taśmy, której szpula natychmiast jej uciekła i potoczyła się po posadzce długiego korytarza. Gdy ją dogoniły, zanuciła kolejną

melodię.

– To część powołania Bibliotekarki, posiadanie drapiących palców – oświadczyła Genya, wsuwając przedmiot z powrotem na jego miejsce na półce. – Tak przy okazji... – zwróciła się do Isabel. – Od zawsze żyłam w przekonaniu, że wy, Pieśniarki Świtu, jesteście poddawane znacznie poważniejszemu cierpieniu... – Genya pochyliła się i spojrzała swym wzrokiem tancerki prosto w zapomniany cień oczu Isabel, tak dokładnie jak nikt przedtem. – Powinnas być ślepa, prawda? Ale przecież nawet największa idiotka widzi, że nie jesteś...

Następnego ranka niebo było na powrót bezchmurne. Szybujący Ocean ponownie stał się spokojny, odległy i błękitny. Ci w dolinie, którzy w ogóle zwracali uwagę na pieśni Isabel, mogli usłyszeć, że dzisiejszego dnia melodia zabrzmiała raczej pobieżnie. Niemniej, zwyczajne świty, takie jak ten, przychodziły teraz Pieśniarce z łatwością. Zdołała się nawet już niemal przyzwyczaić do odmiennego zachowania i reakcji minaretu, spowodowanych wadliwym ustawieniem Zwierciadła 28. Pod błękitnym niebem – pod którym jedynie wyrafinowany koneser lub akolitka zauważyłoby nieznaczne przyciemnienie zachodniego kwadrantu – Isabel pośpieszyła przez pola ku wzniesionym z różanego kamienia murom Katedry Słowa.

Mimo że ich oskarżycielki zdołały przedstawić fakty w przekonująco odwrotny sposób, ani Isabel, ani Genya nie pomyślały nawet, że ich działania – dawno temu, w epoce wiecznego lata Dżeziry – równają się zdradzie. Zdawały sobie sprawę, że Kościoły, do których obie należały, strzegły swych tajemnic z paranoicznym lękiem, cechującym wszystkich potężnych, którzy mają wiele do stracenia, a bardzo niewiele do zyskania. Pamiętały również o niedawnej grozie Wojny Lilii. Ich własne życia jednak były małe, nieznaczne. Nieco dalej wzdłuż różanego muru, gdyby Isabel wyszła wzdłuż niego poza swą dolinę, zauważyłaby w pewnej chwili, że piękne, stare bloki są pokryte ospą śladów po kulach; jeszcze dalej sam kamień rozpływał się w lśniące sterty sennie rozlanej lawy, a ogrody wciąż słaniały się po ciosach zębów kretów-pułapek. Niemniej, Naszir ucierpiała podczas wojny znacznie mniej niż wiele innych wysp Dżeziry. w olbrzymiej koronce krążących wokół Sabil terenów mieszkalnych wciąż ziały wielkie dziury, w których szybowały wirujące gruzy. Siedemnaście lat to niewiele czasu, by podnieść się po wojennych zniszczeniach, lecz pokój, młodość i wieczne lato są trunkami mocno uderza-

jącymi do głowy, a lekcje włączane do głów w salach wykładowych Kościołów, którym wtóruje postukiwanie laski nauczycielki, odwiecznie są spowite chmurą nudy i kredowego pyłu. Jeden wspaniały dzień za drugim, na tej prowincji wszystkich prowincji, Isabel i Genya zagłębiały się coraz dalej w tajemnice krużganków i ogrodów Katedry Słowa. Dzień po dniu wyjawiały kolejne tajemnice swoich macierzystych Kościołów.

Katedra i jej okolice są rozległe, a farmy i wioski, miasteczka i kilka otaczających ją większych miast Naszir istnieją przede wszystkim po to, by w ten czy inny sposób zaspokajać jej potrzeby. Poza krawędzią doliny Isabel, stojąc na skraju tarasowych ogrodów, które ciągnęły się w dół tak daleko, że niknęły w niebieskim i przymglonym świetle, ujrzały na wznoszącym się horyzoncie odległe wieżycy z kamienia i szkła.

– Czy to właśnie jest Katedra?

Genya wybuchnęła śmiechem – nie po raz pierwszy tego dnia.

– Ależ skąd! To jedynie lokalna Biblioteka...

Szły dalej i dalej; przechodziły obok wodospadów, połyskujących w świetle minaretu o wiele potężniejszego niż ten Isabel. Następnego dnia, po wyjściu z tuneli katakumb, z których straciła już nadzieję na ucieczkę, Pieśniarka ujrzała kolejny wielki i piękny budynek. Ponownie zadała to samo pytanie. i ponownie Genya odpowiedziała śmiechem. Niemniej, ta okolica, pełna dzikich, białych altan, posągów i świątyń poświęconych Deweyowi, Blissowi i Ranganathanowi, potrafiła zrekompensować wiele.

w miarę jak ich codzienne wyprawy prowadziły dalej i dalej, konieczne stało się podróżowanie za pomocą szybszych środków. Isabel wciąż musiała wracać do minaretu w porę, by wyśpiewać noc. Katakumby książek były zbyt rozległe, by jakakolwiek Bibliotekarka mogła ich zawartość skatalogować – choćby ze ściśle zadanymi kryteriami – nie mając dostępu do metod błyskawicznej lokomocji. Tak więc, siedząc na jedwabnych fotelach kolas, które pobrzękiwały, unosząc się na poduchach ukrytej energii, mknęły wzdłuż korytarzy. Kolejne regały przemykały obok, tytuły gnały zbyt szybko, by można je było odczytać, niewyraźne stawały się same grzbiety tomów, a poszczególne kuliste lampy zlewały się w jeden biały pas nad głowami dziewczyn. Isabel i Genya śmiały się i pokrzykiwały, poganiając metalowe pojazdy, zachęcając je do coraz śmielszych wyczynów prędkości i zwrotności. Przykurzona mądrość zaginionych epok chłodziła ich oblicza.

Rzadko spotykały innych ludzi, a jeśli już, to jedynie pod postacią nikłych sylwetek opiekujących się jakąś odległą stertą książek lub śladów statków powietrznych, przypominających zadrapania na błękitnym dachu nieba Dżeziry. Szkolenie Genyi, nauka tańca, indeksowania – ćwiczeniem było na przykład spisanie subkategorii rzadziej używanych czasów gramatycznych czasownika „mrużyć” w sześćdziesięciu ośmiu martwych językach – odbywało się poprzez wiadomości dostarczane w sposoby znacznie bardziej enigmatyczne niż moderm Isabel. Niekiedy przemawiały do niej posągi. Czasami kwiaty wydawały z siebie szczególnego rodzaju woń lub włochate listki któregoś krzewu przekazywały informacje dotykiem. Najczęściej jednak Genya uczyła się od pszczół.

Pewnego dnia Isabel uległa powtarzającej się prośbie Genyi i zaprowadziła ją do najwyższych pomieszczeń swego minaretu. Genya śmiała się, spoglądając w dół z krętych schodów, którymi wspinały się na górę. Przepaść – twierdziła, wychylając się daleko poza podniszczone mosiężne poręcze – przyprawiała o zawroty głowy. Isabel również się wychylała. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, by myśleć o swym minarecie w ten sposób. Oglądana od wewnątrz budowla przypominała wielki pionowy tunel, przecinany niemi światła i kurzu, pełen powolnego cykania ogromnej maszynierii, biegnący w dół ku – zdawało się – nieskończoności.

– Właściwie, dlaczego wy, Pieśniarki Świtu, musicie być ślepe? – spytała Genya nieco zdyszczonym głosem, idąc stopień za stopniem.

– Jak sądzę, dlatego że i tak szybko byśmy oślepli. To rodzaj miłosierdzia. i jeszcze dlatego, że mamy dostęp do takich wysokich miejsc. My, Pieśniarki Świtu, wiemy jak łączyć ze sobą soczewki... – Isabel przystanąła na moment, uderzona nową myślą. Bibliotekarka wpadła jej na plecy. – Więc być może pozostałe Kościoły martwią się tym, co mogłybyśmy ze swych wież zobaczyć...

– To zaskakujące, że ludzie docierają na taką wysokość i nie padają z wyczerpania. Twoje uczennice muszą mieć nogi jak pnie drzew!

Wdrapały się jednak na szczyt i Isabel, jak zawsze, poczuła dumę z mocy i żaru zebranych przez jej minaret promieni, a Genya tymczasem, gdy doszła już do siebie, zaczęła szybko przechodzić od jednego srebrzystego balkonu do drugiego i wykrzykiwała z zachwytem nad widokami. Isabel nie była nawykła do oglądania czegokolwiek tu, na górze, lecz słabnące oczy ukazały jej

obrazy przyjaciółki pędzącej od lustra do lustra, ciągnącej za sobą poły jedwabii przypominających stada barwnych ptaków. Isabel rozciągnęła usta w uśmiechu. Czuła się szczęśliwa, szczęściem zupełnie innym niż to, jakiego zaznawała z każdym świtem. Po chwili uganiania się za odbiciami znalazła wreszcie prawdziwą Bibliotekarkę, która zatrzymała się ponad Zwierciadłem 28.

– Tutaj jest ciemniej.

– Tak, to zwierciadło jest nieco wadliwie ustawione.

– Na pewno stąd zobaczyłaś mnie po raz pierwszy... – Genya zachichotała.

– Wydawało mi się wtedy, że coś się stało ze światłem. Barwy nabrały nagle intensywności. Przez moment nawet pszczoły wydawały się zmieszane. Promienie słońca okazały się niemal chłodne, gdy wśród nich tańczyłam, bardziej kojące. Ale to zapewne było twoje spojrzenie...

Obie spojrzały w dół, na ogrody Katedry Słowa. Wyglądały jak zwykle przepyszenie, lecz plac z kolumnadą, ten gdzie tańczyła zwykle Genya, wydawał się bez niej dziwnie pusty. Isabel przetarła zbolale oczy, przed którymi zawirowały większe niż zazwyczaj ciemne plamy.

– Nie opowiedziałaś mi o tańcu – zauważyła.

– Dlatego że taniec jest objęty tajemnicą.

– Jak wiele innych rzeczy.

Stały tam bardzo długo, zalane drgającym w powietrzu światłem minaretu, wysoko ponad zieloną doliną i wijącym się murem z różanego kamienia. Dzisiejszy dzień był jakiś inny niż wszystkie poprzednie. Być może obie były już na takie schadzki za stare. Może coś musiało się zmienić... Owiewał je ciepły wiatr. Szybujący Ocean migotał. Drzewa poszeptywały. Rzeka rozbłyskiwała. I nagle, do wtóru narastającego bzyczenia przypominającego budzenie się niewielkiego urzędnika, pszczoła, która wzbijała się na taką wysokość, korzystając z prądów termicznych, błędnie oceniła lot i zderzyła się z twarzą Isabel. w jakiś sposób udało się jej usiąść. Pieśniarka poczuła kolczaste odnóża owada, a zaraz potem muśnięcie palców Genyi, która wzięła stworzonko do ręki.

– Jeśli chcesz, pokażę ci teraz taniec.

– Tutaj? Ale...

– ...po prostu patrz.

Genya otworzyła złożone dłonie i odłożyła owada na pełną szpar drewnia-

ną podłogę. Pszczoła siedziała przez moment na słońcu, z wolna poruszając skrzydełkami. Wyglądała na oszołomioną.

– Spójrz. To oczywiście robotnica, samica. One wszystkie pracują, zupełnie jak w Dżezirze. Najprawdopodobniej została wysłana dziś rano na zwiaady. Wiele z nich nie wraca, lecz te, którym się udaje, o ile odnajdą jakieś nowe i obfite źródło nektaru, informują o tym rój... – Genya się pochyliła. Zatała dłonie, przysunęła je do pszczoły i dmuchnęła na owada ich zapachem, wydając przy tym specyficzny dźwięk, rodzaj niskiego pomruku. Cofnęła się. – Patrz...

Pszczoła nastroszyła czułki, zadygotał jej tułów i poruszyła skrzydłami. Wykonała krok w tył i naprzód, zaczęła drobnymi ruchami kreślić rozedrgane ósemki.

– Korzystają z twojego minaretu jak z drogowskazu... – wyszeptła Genya, patrząc na tańczącą pszczołę. Isabel przymrużyła oczy; w ruchach owada było coś, co przypomniało jej Genyę na placyku z różanego kamienia. – z niego i z obrotów całej Dżeziry. To jest taniec wywijany. Tę umiejętność posiada większość gatunków społecznych pszczół i jest to w naszym Kościele świętość.

Zachwycona Isabel zachichotała.

– Wywijany?

– Cóż, są jeszcze inne rodzaje, obdarzone bardziej poważnymi nazwami.

– Nie, nie. Podoba mi się... Wiesz już gdzie była?

– Oczywiście poza murem. i nie rozumie, dlaczego jest tu twardy grunt. Tutaj, na górze, gdzie powinno być słońce. Myśli prawdopodobnie, że jesteście kwiatami, tyle że niedającymi nektaru.

– Naprawdę zrozumiałaś to wszystko?

– Czy jej taniec w przeciwnym wypadku miałby jakiś sens? z nami, Bibliotekarkami, jest podobnie. Nasz taniec to rytuał, za pomocą którego wskazujemy, gdzie znajduje się dana książka.

Isabel uśmiechnęła się do przyjaciółki. Myśl o tym, że ludzie wskazują tańcem położenie książki w należącym do Katedry Słowa labiryncie tuneli, budynków i katakumb, wydawała się cudownie niepraktyczna i bardzo pasująca do Genyi. Obie stały teraz w takiej pozycji, że Isabel widziała wyraźnie ich odbicia w beużytecznej, górnej wypukłości Zwierciadła 28. Jak zawsze uderzyła ją niewymuszona uroda Bibliotekarki – oraz własna nijakość. Isabel

była przeciętna niczym cień, zwyczajne były nawet szara skórzana kamizelka i szorty, które miała na sobie. Jej myszowate włosy zostały przycięte ze skutecznością niewidomej, a potem spętane spękaną, gumową opaską. Prawdę powiedziawszy, można ją było uznać za cień Genyi. To była przyjemna myśl – obydwie zjednoczone światłem, które Isabel codziennie sprowadzała w dolinę. Jednocześnie to odbicie przyniosło Isabel zmartwienie. Po pierwsze, Zwierciadło 28 wylewało z minaretu ciemność miast blasku. Nawet sam ten numer wydawał się zimny jak stal, jak złowrogie przeczucie...

Isabel powiedziała coś, bezgłośnie poruszając wargami. Wyrażenie „Wada Zwierciadła 28” miało stać się zwrotem popularnym we wszystkich Dziesięciu Tysiącach i Jednym Świecie, frazą oznaczającą niewielkie niedopatrzenie, pociągające za sobą poważne – często nieprzyjemne – konsekwencje...

– Co powiedziałaś?

– A... nie, nic...

Pszczola, wyniesiona na rękach Genyi z powrotem w powietrze, odleciała. Dwie młode kobiety siedziały na ciepłych deskach i rozmawiały, wymieniając się innymi tajemnicami. Isabel dowiedziała się, że istnieją inteligentne urządzenia, przeczesujące alejki biblioteki Katedry Słowa, poszukując, przepatrując, odczytując zakurzone stulecia w poszukiwaniu jakiejś mała istotnej prawdy. Napotkane zachowywały się przyjaźnie, mimo że przypominały ożywione trumny. Niekiedy, jeśli je ładnie poprosić, odkładały na bok swe obowiązki i zabierały ludzi na przejażdżkę na swym grzbiecie...

Modem cykał. Upływał kolejny dzień. Nadszedł czas, by Genya powróciła poza mur Katedry Słowa. Zazwyczaj obie dziewczyny żegnały się pośpiesznie, nie przykładając do tego większej uwagi. Tego jednak upalnego popołudnia Isabel poczuła wahanie, a Genya wyciągnęła rękę i przeciągnęła swymi zniszczonymi, wrażliwymi palcami po twarzy przyjaciółki, badając jej rysy. Isabel zrobiła to samo. Aczkolwiek jej ciało nie było w żaden sposób bardziej wyjątkowe niż ona sama, nauczyła się niczym niewidoma korzystać z dotyku jak ze wzroku.

– Jutro...?

– Tak?

Cofnęły się od siebie, zażenowane nagłą intymnością chwili.

– Zatańczysz dla mnie, na tym placyku? Teraz, kiedy już wiem do czego twój taniec służy, chciałabym go ujrzeć raz jeszcze.

Genya się uśmiechnęła. Ukłoniła się uroczyście, jak po ich pierwszym spotkaniu, po czym odwróciła się i podjęła długą wędrówkę po schodach minaretu. Zanim dotarła na dół, Isabel zdążyła już przypasać się do krucyfiks i odmawiała wstępne modlitwy, przygotowując się do odśpiewania końca kolejnego dnia. Całą Dżezirę zaala bezgwiezdna ciemność, piękna niczym sam świt, a Isabel już nigdy nie zobaczyła swojej przyjaciółki.

Spośród wielu sekretów przypisywanych Kościołowi Świtu, Isabel wciąż znała ich względnie niewiele. Nie wiedziała na przykład, że światło, modulowane w sposób, którego niepodobna było wyczuć jej ludzkimi zmysłami, jest w stanie przenosić niebывałe ilości danych. Śpiewając co dzień o świcie ze swego krucyfiks, nieświadomie wysyłała powodzie informacji, które niemal natychmiast pokonywały dolinę, by wreszcie – odbijane z minaretu do minaretu – powrócić do miejsca pochodzenia, czyli na rozmigotaną wyspę Dżeritę, na której rozpoczynają się i znajdują koniec wszelkie sprawy związane z Kościołem Świtu. Jeszcze zanim Isabel zauważyła to sama, część wielkiej Inteligencji kierującej poczynaniami Kościoła, odnotowała – podobnie jak genialny dyrygent odnotowałby rozstrojenie jednej ze strun w orkiestrze – pewną słabość informacji powracającej z tej odległej, lecz przecież ważnej wyspy Naszir, na której rozplatała swe olbrzymie korzenie i konary Katedra Słowa. Dla owej Inteligencji jasne było, że ten konkretny dysonans wiąże się z konkretnym minaretem i konkretnym zwierciadłem, numer 28. Inteligencja miała wiele innych trosk, lecz zaczęła uważniej obserwować działanie minaretu, zauważając więcej subtelnych zmian, których nie można było przypisać wyłącznie zmiennej pogodzie bądź rosnącemu doświadczeniu nowej akolitki. w odpowiednim czasie i trybie poinformowani zostali pewni ludzcy przedstawiciele Kościoła i przedsięwzięto rozmaite środki, by ustalić przyczynę niedociągnięć, z których najprostszym była przeprowadzona w południe wizyta w dormitoriach nad rzeką w dolinie Isabel. Uczennice zostały zbudzone i ich przesyłane. Wypytano je o zachowanie ich nowej pani, po czym zapytano, czy są gotowe zapomnieć o śnie i przyglądać się z pewnej odległości zachowaniu Pieśniarki, za pomocą delikatnych przyrządów, w które – rzecz jasna – zostałyby zaopatrzone.

Poranek dnia następnego po tym, podczas którego Isabel oglądała taniec pszczoły, wstał jasny i słodki jak zawsze. Ptaki zaniosły się swymi piosenkami. Cała dolina wyglądała w jej gasnących oczach jak zalana zielonym

ogniem. Wciąż była jednak pewna, że gdyby ostrożnie skorzystała ze swego wzroku i spojrzała tam, gdzie blask był nieco mniej intensywny, mogłaby ujrzeć taniec Genyi. Gdy wchodziła po ostatnich stopniach, przyśpieszył jej oddech. Czowała się jakby była przezroczysta, jakby płynęła wśród światła. I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, rozległo się – wzmacnione przez mechanizmy naśladujące działanie ludzkiego ucha środkowego – pukanie do wrót minaretu. Ktoś wystukiwał kod, oznaczający nagłą potrzebę innej z członkiń Kościoła. Okazało się, że u drzwi Isabel czekają dwie osoby. Jedna zachowywała się surowo i jakby ze smutkiem, druga tymczasem okazała się nową, świeżo oślepioną akolitką. Jeszcze zanim zetknęły się dłońmi i twarzami, Isabel zrozumiała, że akolitka przybyła, by ją zastąpić. I choć wciąż stała na twardym gruncie Dżeziry, poczuła się tak, jakby runęła w przepaść.

w odróżnieniu od wielu innych szczegółów dotyczących życia Isabel, jej proces został udokumentowany względnie dokładnie. Co dziwne – lub może wcale nie – Kościół Słowa jest mniej swobodny w publikacji sprawozdań ze swej działalności, aczkolwiek sporo można wydedukować ze źródeł trzecich. Ton doniesień prasowych – na przykład – był zdumiewająco gorączkowy. Jeszcze zanim otrzymały szansę przyznania się do błędów, Isabel i Genya zostały uznane za przestępczynię i zdrajczynię. Mówiono również, że zostały kochankami, w każdym możliwym sensie poza prawdziwym. Były lekkomyślne, niebezpieczne – wściekłe ulicznice, wyłowione zdnad żebraczych misek w rynsztokach Dżeziry, które odpłaciły Kościołom za ich miłosierdzie jedynie perfidią i oszustwem. Czy ludzie naprawdę mieli o nich tak złe mniemanie? Czy ktokolwiek naprawdę sądził, że to, co zrobiły, różniło się w jakiś sposób od niewinnych wybryków młodych ludzi, jakich przecież pełno w dziejach? Fakty są proste, lecz tego rodzaju kwestie, po tak długim czasie, pozostają niemożliwe do rozstrzygnięcia. Należy również pamiętać, że Dżezira wciąż podnosiła się po Wojnie Lilii i że Kościoły, w tym okresie szczególnie, musiały wzmacniać lojalność swych członków. Była to pora, kiedy należało uczynić przykład – i pokazać, że pokój jest w istocie chwiejny, niezupełny i wciąż niebezpieczny. I do tej roli wybrano Isabel i Genyę.

Istnieje zasada, w myśl której Kościoły nie zabijają swych błędzących akolitek. Zamiast tego wciąż je wykorzystują. Isabel, z początku, zwrócono pełen wzrok, a nawet wzmacniono go, wszczepiając jej pozbawione powiek, niemrugające kryształowe oczy. Zrobiono coś również z jej ciałem, przeszła

operację podobną tej, jakiej poddano koniuszki palców Genyi. Wreszcie, przywrócono ją obowiązkom Pieśniarki Świtu. Tym razem jednak w wielkim minarecie Dżerity, macierzystej wyspy Kościoła. i od tej pory świt stał się dla niej przeżyciem strasliwym, a uczennice, urzędniczki i pomniejsze akolitki, mieszkające i pracujące dla Kościoła na lesistych terenach Wietrznych Wzgórz, wracały z nocnej zmiany do wtóru pełnych cierpienia wrzasków. Isabel usiłowała wykonywać swą pracę, aczkolwiek światło spływało czystym bólem w diamenty jej niemrugających oczu, a słoneczny żar zalewał ciało – odczuwające teraz najłżejszy powiew niczym pustynny huragan – jak roztopiony ołów.

Niczyj umysł, nawet Isabel, nie zdołałby znieść takiej udręki bez końca. Zupełnie możliwe, że wraz z upływem lat obszary jej mózgu poddane największym torturom uległy zniszczeniu, choć czujniki w naznaczonym bliznami, lśniącym ciele działały nadal. Isabel, pod koniec życia, stała się pospolitym widokiem wśród lasów i dziedzińców pomniejszych akademii Wietrznych Wzgórz; zgarbiona postać, brodząca i mamrocząca w niosącym cierpienie blasku dnia, który sama sprowadziła, mimo niekończącego się upału lata spowita w szmaty i bandażę; pogładowa lekcja na temat zdrady. Jej migotliwe oczy zawsze były przesłonięte, odwrócone z bólem. Dawano jej jałmużnę. Wszyscy znali jej historię i czuli się tak, jakby cierpieli wraz z nią – a przynajmniej mieli wrażenie, że znosiła męki dla nich. Traktowano ją najczęściej ze smutkiem, uprzejmością, współczuciem. Noce z kolei stanowiły dla Isabel błogosławieństwo. o tej porze wędrowała pod czarnym niebem niemal bez trudu, muskając palcami stygnące kamienne posągi, nasłuchując wzdychających drzew.

Być może zrobiła to pod wpływem wspomnień o Zwierciadle 28 lub tym mglistym poranku, kiedy spotkała Genyę. Bardziej jednak prawdopodobne jest – w końcu Isabel była Isabel – że jej decyzja o tym, by z wolna, z dnia na dzień, z roku na rok, sprowadzać coraz mniej światła na stateczne dachy i zielone wzgórza tej części Dżerity, nie była świadoma. Zapewne kierowało nią jedynie pragnienie ulżenia swym mękom. Ludzie jednak zwrócili uwagę na świeży chłód powietrza, zauważyli różnicę w blasku padającym na zbocza wzgórz i – zupełnie jak dawniej Genya i Isabel – odkryli przyjemną melancholię tych zmian. Także Inteligencja Kościoła musiała na swój sposób sobie te wydarzenia uświadomić, aczkolwiek być może właśnie to planowała od sa-

meo początku. Na Wietrzne Wzgórza przybywało coraz więcej ludzi, właśnie z powodu tamtejszych głębszych cieni, dla szeptu liści opadających z umierających drzew, gnanych wiatrem po trawnikach i korytarzach. Popołudniami rozpalali ogniska, by się ogrzać, wyszukiwali grubsze ubrania. Możliwe, że niewielu z nich opuściło kiedykolwiek Dżezirę i niewielu było świadomych istnienia zjawiska zwanego zmianą pór roku. Jedynie rośliny, wbrew wszelkim modyfikacjom, jakim je poddano, rozumiały. Gdy Isabel, która już od dawna nie miała nic do stracenia, wykonała pewnego dnia ostateczny krok i pozwoliła ciemności ponad Wzgórzami trwać przez niewiarygodnie długie chwile poranka, podczas gdy cała reszta Jerity płonęła już świtem, drzewa zagrzecotały gałęziami i zrzuciły w chłodne mgły nieco więcej liści niż zwykle i przypomniały sobie. i czekały.

w ten właśnie sposób najczęściej opowiada się historię Isabel od Jesieni. Dni na Wietrznych Wzgórzach stawały się coraz bardziej ciemne, noce się wydłużały. Wynędzniała, pokurczona i artretyczna Isabel odkryła wreszcie – przypadkowo wsuwając dłoń w snop promieni Sabil, które padały na jej minaret – że blask powodujący tak wielki ból mógł również położyć kres wszelkim doznanom. Wiedziała już wówczas, że umiera. i wiedziała również, że jej zrujnowane, pokryte pęcherzami ciało – przypominała wtedy ożywiony stos zwęglonych patyków, niedopałków po jesiennym ognisku – stanowi ostatnią z przestróg, jakimi obarczył ją Kościół. Kuśtykając i cuchnąc, wybrała się pewnego dnia dalej w głąb należącej do Kościoła Świtu wyspy Dżerita. Będąc już niemal postacią mityczną, zaniedbała w tych krótkich, deszczowych dniach swe obowiązki do tego stopnia, że zapewne nie zauważyła, że odebrano jej minaret. Teraz jednak pragnienie pór roku rozprzestrzeniło się już na całą Dżezirę. Wkrótce, gdy akolitki Kościoła Zieleni nauczyły się reaktywować w roślinach geny, które dawniej radziły sobie ze zmiennością pogody, w Culgaith pojawiła się wiosna, a w Abuzeid mroźna zima. Wirujące wyspy Dżeziry odmieniły się na zawsze. I – nareszcie – w tym świecie radosnego smutku i melancholijnej uciechy, jaką może przynieść jedynie następstwo pór roku, groza Wojny Lilii stała się ledwie wspomnieniem.

Pewnego dnia Isabel od Jesieni taszczyła samą siebie i to, co pozostało z jej pamięci, przez okolicę usianą ogrodami i fontannami. Wiał chłodny wiatr. Drzewa miały tu barwę płomieni, lecz była niemal pewna, że olbrzymia, wy-

rastająca przed nią budowla jest Katedrą Słowa. Rozejrzała się w poszukiwaniu Genyi i aż burknęła pod nosem – tancerka zapewne się ukryła, bawiła się w chowanego. Isabel ruszyła chwiejnie dalej, ciągnąc za sobą stare szmaty, które przywarły do jej spalonego ciała. Wiele osób komentowało, że wyglądała teraz jak zwiędły liść; jak duch, ucieleśnienie nowej pory – jesieni. Nawet pachniała rozkładem i spalenizną. Wciąż miała jednak wzrok, którym została tak bezlitośnie obdarowana, a budynek przed nią... Wydawało się, że wieże tej konstrukcji rosną bez końca...

Zimne deszcze grzechotały o tafle jezior. z wolna, dzień za dniem, Isabel zbliżała się do ostatniej, wielkiej cytadeli swego Kościoła, która naprawdę wyciągała się aż po niebo i jeszcze dalej, poza nie. Zamieszkująca ją Inteligencja od dawna spodziewała się tej wizyty i otworzyła bramy i odświeżyła powietrze w korytarzach i na schodach, którymi Isabel – wciąż obdarzona instynktem Pieśniarki Świtu – ruszyła w górę bez zaproszenia. Wspinając się, a przez wąskie okna otworów strzelniczych wlewały się dzień i ciemność. Na zakrętach i półpiętrach pojawiały się potrawy i wina, chłodne i mdłe na jej zniszczonym podniebieniu. Niekiedy mijały ją posykurujące srebrne istoty. Mijały lub zatrzymywały się, by zapytać, czy jej nie ponieść. Isabel jednak pozostała wierna nakazom i próżności swego Kościoła i gardziła tak łatwą metodą wspinaczki. Droga była długa i mozolna. Niekiedy słyszała obok siebie chropowaty oddech Genyi, jej wołania i śmiech, jakim zanosila się, spoglądając w dół wielkich, otwierających się pod schodami studni. Innym razem była pewna, że jest zupełnie sama. Czasami też, choć jej poczemiała twarz utraciła zdolność czucia, a oczy miała z kryształu, Isabel od Jesieni wiedziała, że płacze. Wciąż jednak pięła się ku górze. Wyżej i wyżej.

Nieliczni ludzie i obcy, którzy wchodzą na przykrywający wyspy Dżeziry dach, robią to zazwyczaj za pomocą statków powietrznych i przypominających kolibry kolas. Niemniej, zapomniani architekci Kościoła Świtu uznali za stosowne, by istniała ta jedna ostatnia wieża i schody długie na owe kilka mil, które dzielą Dżezirę od nieba. Idąc bez przerwy ku górze, pozostawiając daleko pod sobą kolejne iglice i minarety, odnalazła właśnie tę drogę, tę najwyższą wieżę. Otwierały się przed nią kolejne drzwi. Inteligencja prowadziła ją dalej. Teraz już nawet przez chwilę nie czuła się sama i zostawiła za sobą ból. Wreszcie jednak stanęła przed wrotami, które nie chciały ustąpić. Były proste, okrągłe, z umieszczonym pośrodku niedającym się przekroczyć kołem.

Tuż nad nimi migotało światło. Być może w charakterze ostrzeżenia. Isabel zaczęła rozważać sytuację. Usiadła i siedziała tam przez wiele dni. Jedzenie pojawiało się i znikало. Mogła zejść z powrotem na dół, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że nie przeżyłaby takiej podróży. Mogła spróbować ruszyć dalej, ale to światło... z lewej strony, zauważyła to wreszcie, czekał kostium. Srebrzysty kapelusz, buty, peleryna. Były niezwykle wytworne i wyglądały na drogic. z pewnością nie dla niej. Przypomniała sobie jednak o jedzeniu, o obecności. Naciągnęła strój na swoje łachmany, a raczej to on ją oblepił, gdy tylko się zbliżyła. Teraz koło obróciło się bez trudu, jeszcze zanim złożyła na nim rękę. To, co ujrzała za drzwiami, przyniosło rozczarowanie; maleńka przestrzeń, niewiele większa niż wnętrze szafy. Rozległ się jednak syk i drzwi, podobne do tych, które poprzednio ją zatrzymały, obróciły swym kołem i się otworzyły. Isabel wyszła na zewnątrz.

Wielka wewnętrzna kula Dżeziry obracała się w powietrzu. Wszędzie, na całej powierzchni tej sfery, widać było zwierciadła szerokie jak oceany. Wszędzie widziała ciemność i światło. a w samym centrum owej sfery wisała Sabil, wystrojona w pióra białych płomieni; żywy ogień. Isabel aż się zachłusnęła. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak pięknego – temu widokowi nie dorównywał nawet taniec Genyi. Ruszyła dalej pod górę, przez kolejne portale. Szła wśród nagich cieni. Wykształcenie i wiedza Pieśniarki Świtu podpowiedziały jej, że zwierciadła są ustawione pod nocnym kątem, i że nawet mimo nieprzewidywalnej sukcesji nowych pór roku, lustro wkrótce sprowadzą nad Dżezirę świt. Podeszła do krawędzi jednej z olbrzymich tafli i przyjrzała się jej. w tej zarannej chwili, lustro było co prawda jasne, lecz jego płomień wciąż pozostawał nikłym węgielkiem. i wtedy, pochylając się nad nim, jak niegdyś pochyliła się z Genyą nad Zwierciadłem 28, Isabel zrobiła coś po raz pierwszy w życiu. Dotknęła szklanej płyty. Jej zniszczone ręce nie posiadały już zdolności czucia, lecz ta powierzchnia – nawet przez rękawice srebrnego stroju, nawet pod złym okiem Sabil, nawet w próżni – wydała się jej idealnie gładka. Zwierciadło było gigantyczne – rozmiarów małej planety – i wygięte w prawie nieskończoną parabolę. Isabel zrozumiała, że, by taki obiekt mógł się w ogóle poruszać, i to natychmiast po odebraniu polecenia, nie mógł zostać wykonany ze szkła czy jakiegokolwiek innej, znanej zwykłym ludziom substancji. Jednocześnie jednak lustro sprawiało wrażenie solidnego. Nie do końca wiedząc co robi, wyczuwając jednak, że kolejne sekundy

do świtu upływają gwałtownie, Isabel wyszła na brzeg tafli. w jednej chwili porwana przez jej śliskie energie, zaczęła się ześlizgiwać, spadać. Chwile mijały. Zwierciadło ją pochwyciło. Przytrzymało. Czekąca. Pomyślała o owadach, które ścierała gąbką z luster nocami, kiedy była jeszcze uczennicą. Małe truchelka usmażone żarem dnia. a świt nadciągał... Po raz ostatni – gdy wszystkie lustra poruszyły się zgodnie, żeby ponieść energię Sabil ku śpiącym poniżej wyspom Dżeziry – Isabel rozpostarła ramiona, by powitać słońce. i kiedy padło na nią światło, radośnie wyśpiewała świt.

w niektórych wersjach tej opowieści Isabel spada ku Sabil i dlatego niektórzy zwą ją również Isabel od Upadku. w innych nazywa się ją jednak po prostu Isabel od Jesieni, nie przykładając wagi bądź wręcz nie wspominając o jej ostatniej wspinaczce ponad niebo. w części historii ich bohaterka jest tragicznie piękna, lub wdzięcznie brzydka. Rzeczywista prawda zaginęła pośród wielu słów. Kościół Świtu jednak wciąż czci Isabel od Jesieni i pośród wielu jego tajemnic powiada się, że jedno z gigantycznych zwierciadeł Dżeziry wciąż nosi na sobie kontur jej odparowanego ciała – jedyną skazę na lustrze, której istnieniu Kościół się nie sprzeciwia. a w pewnym miejscu – jeżeli wiecie gdzie szukać pośród licznych wysp – w niewielkim ogrodzie, wznosi się mur, na którym, o odpowiedniej godzinie i porze roku widać ten zarys Isabel, niewielki cień rzucany przez promienie z wysokiego minaretu.

Co do Genyi, to pod koniec opowieści często się o niej zapomina. Dotyka oblicza Isabel po raz ostatni, uśmiecha się, kłania i znika, schodząc ku zatacnie po schodach minaretu. Niewątpliwy jest jednakże fakt, że ona również została ukarana przez swój kościół. i jej kara była równie okrutna i przemyślana jak ta, której poddano Isabel. Genya zachowała wszystkie swe zmysły, wyjątkowe koniuszki palców, a nawet przez krótki czas talent do tańca; Kościół odebrał jej za to zdolność rozumienia. a potem wyznaczono jej zadanie przełożenia wielu manuskryptów z jednego martwego języka na drugi. Dyktowała więc, nagrywała, czytała bez końca i recytowała w odpowiedzi na nieme sygnały swych oczu i ciała. Były tam pochodzące z urziemi legendy o księżniczkach i smokach, równania, nad którymi uroniliby łzę geniusze, lecz znaczenie tego wszystkiego przenikało dziewczynę bez śladu. Genya stała się głupim choć pożytecznym naczyniem. Żyjąc w ten sposób, w wyłożonej poduchami krypcie, głęboko pod Katedrą Słowa, stała się stara, skuteczna i gruba. Okna jej pomieszczeń wychodziły na wirujące gwiazdy. Prowadzano

do niej nowe akolitki – by ujrzały słynną Genyę, która niegdyś pokochała Isabel i zdradziła swój Kościół; teraz posiwała i wielką, zapracowaną i bezmyślnie niczym czerw przeżuwającą bezkresne fale słów. Los mógł jednak potraktować ją gorzej, a Genyi brakowało mądrości, by mogła cierpieć. i nie została pozbawiona duszy – gdzieś głęboko pod warstwami tłuszczu i pustki, pod wszystkimi tymi wirującymi słowami, nadal pozostała Genyą. a kiedy umarła, mamrocąc ostatnie zdanie epepei, której żadna inna Bibliotekarka bądź maszyna nie zdołałaby przełożyć, ta ostatnia część jej samej pozostała w manuskrypcie, by odbijać się już zawsze echem pośród wypełnionych książkami urwisk Katedry Słowa. i po dziś dzień, na kartach opowieści takich jak te, można Genyę odnaleźć – równie piękną jak niegdyś, tańczącą bosą na ciepłym, różanym chodniku, w poranek niekończącego się lata epoki, która już zawsze będzie dawno temu.

WYSPY LATA

JEDEN

w ten, podobnie jak niemal w każdy niedzielny wieczór zastaję wiadomość od swojego znajomego na ścianie trzeciej kabiny w męskiej toalecie publicznej w pobliżu Christ Church Meadow. w tym tygodniu są to dwa kciuki odciśnięte w śliskiej, zielonej farbie, co oznacza porzuconą szopę na działkach w pobliżu boiska do rugby. Za pół godziny. Na ścianie ubikacji widnieje szlak podobnych znaków; w obecnych czasach sprowadza się do nich całe moje życie seksualne. Tutaj na przykład – och, wy, dni szczęśliwe i niebezpieczne! – widać jeszcze wyjątkowy, potrójny symbol, który oznaczał pokoik na zapleczu hoteliku prowadzonego przez współczującego, choć – co zrozumiałe – ostrożnego właściciela. Oczywiście, tego człowieka już teraz nie ma. Larry Black zniknął podobnie jak wielu innych. Cichaczem zabrany pewnej nocy ku igłom i maszynom do elektrowstrząsów ośrodka korekcyjnego na Wyspie Man.

Szarpię za spłuczkę, odciągam zasuwkę i wychodzę w słodkie, pachnące środkiem do czyszczenia powietrze. Myjąc ręce, patrzę na wiszące przede mną na ścianie zdjęcie Johna Arthura. Osoba nieznaną tego kraju musiałaby to uznać za ironię lub prowokację. Polityk spogląda na biurko łagodnie, mimo siwizny nie wygląda na swoje czterdzieści dziewięć lat. Fotografia jest oprawiona w starannie wypolerowaną mosiężną ramkę. Oczywiście, nikt nie odważył się jej zbezczęścić.

Na zewnątrz, przy St Giles, zapadł już zmrok, choć wciąż jeszcze daje się wyczuć przyjemne ciepło wczesnego lata. Konwój ciężarówek terkoce na bru-

ku. Wewnątrz siedzą oszołomieni poborowi, zmierzający do wielkich obozów na południowym wschodzie Anglii. Kilka nowych bądź odremontowanych za spore pieniądze pubów huczy już patriotycznymi pieśniami.

Mijając St John's, zatrzymuję się, by rozniecić żar w przygasającej fajce, po czym zaczynam charczeć i zanoszę się kaszlem. Opieram się o mur i wyrzucam z siebie zdumiewającą ilość lepkiej flegmy. Przygląda się temu niewielki, lecz wyraźnie ze mnie niezadowolony gargulec. Dziwaczny, odrażający nawyk – odchrząkiwanie i plucie. Coś, co do niedawna kojarzyłem wyłącznie ze starymi mężczyznanami.

Na boisku wciąż tli się nieco życia. Spacerują studenci. Grupkami. Parami. Splecione dłonie. Rozkwita cichy śmiech. Co jakiś czas rozbłyskuje papieros. Gdy oglądam się za siebie i patrzę na wieże tego miasta, okryte mglistymi złotymi cieniami, na tle ostatnich przebłysków słońca, wszystko wygląda tak niewiarygodnie pięknie. Prawdę powiedziawszy, wygląda dokładnie jak na plakatach Sojuszu Imperialnego. OBUDŹ SIĘ, WIĘKSZA BRYTANIA! Uśmiecham się na tę myśl i przez moment zastanawiam, czy w tym dziwnym śnie, jaki w naszym kraju śnimy, nie pozostał jednak jakiś ślad rzeczywistości. Skręcam, wsuwam dłoń do kieszeni, by dopilnować zachęcająco twardej, wyczekującej już erekcji i przechodzę mostem przez Cherwell dokładnie w chwili, gdy dzwon Old Tom rozpoczyna swój długi, nocny zaśpiew.

Wbrew rozsiewanej przez ministra spraw wewnętrznych Mosleya propagandzie, wbrew hasłom powrotu do natury i zachętom do spożywania własnoręcznie wyhodowanych warzyw, zarówno szopa u przeciwnego kresu działek, jak i same ogródki, którym dawniej służyła, pozostają porzucone, spowite ciszą tajemnicy, utracone przez ludzi, którzy poszli na wojnę i już z niej nie wrócili. Uchylam drzwi i wchodzę do środka. Narzędzia i nasiona i słodki zeschnięty kompost. Krocząc ostrożnie po skrzypiących deskach, nie widzę jednak nawet śladu po swym znajomym. Kiedy na zewnątrz zapada noc, ciemność staje się tu niemal absolutna, nieprzenikniona nawet gdy moje oczy zdążyły już do niej przywyknąć. Odległy dźwięk dzwonu mąci słumiony, metaliczny grzechot okrętowych wraków. Nocny pociąg do Londynu stukocze gdzieś daleko, punktualnie wedle rozkładu.

Znajomy się spóźnia. Co więcej, powinien był dotrzeć tutaj pierwszy. Jego młodsze ramiona powinny zamknąć się wokół moich, gdy tylko wszedłem

do szopy. Zwykle się przy tym trzęsie, ten mój znajomy. w końcu ma znacznie więcej do stracenia. Otóż, mimo mroku i tajemnicy, w jakie udajemy, że spowijamy nasze spotkania, wiem dokładnie kim on jest. Przyglądałem się światłom jego domu, pobłyskującym poprzez żywopłot, który co dwa tygodnie tak starannie strzyże. Widziałem miłe twarze żony i dwóch córek, witających go z uśmiechem przy drzwiach.

Zerkając co chwila na radową poświatę zegarka, pozwalam przeminąć całą godzinie. Resztki wcześniejszej nadziei i lęku kisną i przeradzają się najpierw w rozczarowanie, a potem w jawny niepokój. Aczkolwiek, co ja w zasadzie mogę wiedzieć o zobowiązaniach ciążyących na mężu i ojcu? Albo o pracy w ponurym zakątku wydziału cenzury na Poczcie Głównej miasta Oksford? o dziesiątej ponownie otwieram drzwi szopy i wychodzę w letnią noc, daleko za sobą pozostawiając z dawna zapomniane libido. Gwiazdy niezłomnie świecą poprzez przypominające kształtem literę H bramki. Wracam, mijając kochanków, pijaków i ludzi wyprowadzających psy. Docieram do starych alejek. w pewnej chwili słyszę szept kroków i oglądam się za siebie. Czy kontur widoczny w mgiełce sączącego się z drzwi światła to ludzka postać? Mrugam jednak i kształt rozplywa się w nicość – ułuda starzejącego się mężczyzny: paranoje miłości i strachu.

Potem prędko wzdłuż Holywell, gdzie pohukuje sowa, i dalej pod drzewami do mojego college'u, na mój dziedziniec, w chłodną, czekającą pościel moich pokoi, ukrytych głęboko w spokojnym sercu tego starożytnego miasta.

* * *

Następnego dnia rano otwieram oczy i widzę Christlowa – mojego służącego – który wnosi tacę z parującym czajniczkiem herbaty „Assam”, grzankami i moim specjalnym słoikiem marmolady. Mimo że wciąż czuję rozczarowanie poprzednim wieczorem i wbrew reumatycznym bólom, które nagle podjęły atak na moje ciało, muszę się uśmiechnąć. Cieszę się, że tu jestem.

– Mamy cudowny poranek, proszę pana. – Christlow płynie przez diamenty słonecznego blasku i ustawia tacę nad moimi kolanami. Zakreślony kołem krzyż jego odznaki SI mruga do mnie porozumiewawczo. – Ach, przy okazji, proszę pana. Prosił pan, bym mu przypomniał o dzisiejszym spotkaniu.

– o spotkaniu?

– Tak. Jest pan umówiony ze swoim lekarzem, na dziesiątą rano. Chyba że, rzecz jasna, zdążył pan...

– Nie. Tak. – Kiwam głową. Jestem ubrany w piżamę. Pozostałości włosów sterczą mi ku górze siwą aureolą, strużka rozlanej herbaty ogrzewa brodę. Summa summarum, doskonale odpowiadam stereotypowi roztargnionego, oksfordzkiego profesora. – Dziękuję za przypomnienie.

Christlow skłania się przede mną niemal w pół, na ten swój przerażająco pełen szacunku sposób, po czym wycofuje się z pokoju i zamyka drzwi. Jego wózek toczy się po dębowej podłodze korytarza z dźwiękiem przypominającym daleki grzmot. i owszem, naprawdę zapomniałem o umówionej wizycie. Przeszywające pokój, usiane kurzem promienie słońca wydają się teraz bledsze, a w gardle zaczyna drapać. Do głowy napływają mi szeptu bólu i niepewności.

* * *

Godzinę później idę po High Street. Muszę się precyzyjnie przemieszczać przez kolejkę ludzi stojących przed kinem Regal. Tłoczą się w oczekiwaniu na pierwszy dzisiejszy seans „Henryka V” z Olivierem. Wielu – podobnie jak Christlow – nosi w kłapach znaczki SI. Zebrali się tu jednak przedstawiciele wszystkich wieków, typów, płci i każdego kalectwa. Najprzedziwniejsza mieszanina światów togi i miasta – studentów i robotników – dwóch oddzielnych sposobów życia, jakie zrędlawie znosi Oksford.

Tuż za skrzyżowaniem z Alfred Street przekraczam niewielkie drzwi, otwierające się obok zakładu jubilera, i wchodzę po schodach na piętro, do gabinetu. Recepcjonistka podnosi na mnie wyzute z uśmiechu spojrzenie, po czym wraca do atakowania jednym palcem klawiszy maszyny. Plakaty w ciąsnej poczekalni nie różnią się niczym od tych, które można zobaczyć już wszędzie. z TWOJĄ POMOCĄ MOŻEMY ZWYCIĘŻYĆ. TO JEST TEN DZIEŃ. DOŁĄCZ DO SOJUSZU IMPERIALNEGO – STAŃ SIĘ CZĘŚCIĄ MODERNISTYCZNEJ REWOLUCJI. Jest też ujmujący obraz przedstawiający rozświetlone zachodem słońca wieże i iglice tego wspaniałego, śniącego miasta – widok niemal identyczny z tym, jaki oglądałem wczoraj. i jest też – oczywiście – John Arthur.

– Panie Brook, doktor Parker pana przyjmie.

Mrugając, wchodzę za drzwi. Doktor Parker to dla mnie ktoś zupełnie nowy. Ma świeżą twarz, jest młody i obdarzony różowawą łysiną. w zasadzie

wygląda tak, jakby był nowy dla samego siebie. Oczywiście, sam jestem sobie winien, że podjąłem ryzyko skorzystania z usług publicznej służby zdrowia. Mogłem polecić się opiece doktora Richarda, który co środę odwiedza college, by doglądać stanu zdrowia nas, profesorów, i jest dostępny także w większości innych terminów. Te obowiązki stanowią jego jedyne źródło utrzymania, jest opłacany z funduszu ustanowionego jeszcze przez Jerzego i w roku 1715. Moje niedomagania – krótki oddech, ten kaszel, dziwne szumy, jakie niekiedy słyszę, narastający ból w kościach – sprawiają jednak wrażenie zwyczajnych skutków starzenia się. Ponadto żywię przesądny lęk, że wyszkolone oko medyka dostrzeże prawdę w kwestii moich seksualnych skłonności.

– Przepraszam za to... hmm... Ja dopiero co... – mówi, spoglądając przełotnie na swój kalendarz. CZWARTEK 13 CZERWCA 1940.

Litery wyglądają, jakby lśniły, tak jasne i tęcze są ich krawędzie. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie jest to jakiś dodatkowy objaw.

– Pan jest... ach... tym felietonistą, nieprawdaż? Jak się ten cykl nazywał? „Palce historii”?

– „Harce historii”.

– Oczywiście. w „Daily Sketch”, co sobota. Przydawały mi się w szkole... – Nagle uderza go nowa myśl. – i pan go znał, mam rację? To znaczy, znał pan Johna Arthura...

– To bardzo dawne dzieje.

– Ale jaki on jest naprawdę?

Otwieram usta, by udzielić tradycyjnej, niezobowiązującej odpowiedzi. Odnoszę jednak wrażenie, że nie warto.

– Co my tu mamy... – Przekłada i sortuje zdjęcia rentgenowskie, po czym pochyla się nad kartą. – Hmm... Griffin Brooke. Wydawało mi się, że ma pan na imię Geoffrey. a na nazwisko Brook. Bez „e”?

– To rodzaj pseudonimu literackiego – tłumaczę, aczkolwiek „Oxford Calendar”, tabliczki na drzwiach moich pokoi, a nawet wizytówki, które Christlow przysyła do moich tóg – wszystkie głoszą Geoffrey Brook. Griffin Brooke, nazwisko z jakim przyszedłem na świat, rezyduje obecnie jedynie w dziwnych zakamarkach świata, takich właśnie jak ten, gdzie pomimo ewentualności nieporozumień, niechętnie się go pozbywam.

Kiedy moje myśli ulatują ku wszystkim niebywałym przypadkom życia,

których koleje mnie tu sprowadziły – oraz ku temu, że „Palce historii” nie byłoby wcale złym tytułem kolumny – inną częścią siebie obserwuję doktora Parkera, który unosi okładkę mojej teczki i zagląda do niej, pochylając głowę nad zawartością.

w jego oczach zachodzi jakaś zmiana. Gdy odchrząkuje, wygładza dokumenty i wreszcie zdobywa się na wysiłek spojrzenia mi w oczy, jestem wciąż pewien, że przyszedłem tu gotów na najgorsze. w końcu, cóż może być gorszego od starości lub rozedmy, bronchitu, gruźlicy...?

– Wygląda na to – zaczyna lekarz – że w pana płucach rozwija się guz... Objawowo wciąż pozostaje pan w dobrym zdrowiu i szczerze wątpię, czy operacja ma w tym momencie jakikolwiek sens.

Ach, czyli nie ma nawet potrzeby operować! Głupia bańka radości podnosi się z mojego żołądka, po czym gwałtownie pęka.

Oblizuję wargi.

– Ile zostało mi czasu? – pytam.

– Powinien pan uporządkować swoje sprawy. Naprawdę bardzo mi przykro...

* * *

Ciśnięty na fale połyskujących linoleum rzek odnowionej państwowej służby zdrowia, jestem początkowo tak zajęty, że nie mam czasu na nic, co choćby nieznacznie mogło przypominać niepokój. w Radcliffe wykonuję dodatkowe prześwietlenia. Są tam cienkie ekrany, za którymi muszę się rozbierać i ubierać na życzenie obdarzonych zimnymi palcami sympatycznych mężczyzn w okularach z półkolistymi szklami. Pielęgniarki zaopatrują mnie w przesłodzoną herbatę i herbatniki „McVitie’s”. Portierzy wypytują mnie o zdanie na temat szans Arsenalu w pucharze Anglii.

Czuję się niemal jak bohater: i przez jakiś czas jestem niemal wdzięczny za ów świeży impet, którego choroba przydała mojemu z dawna planowanemu projektowi. Książka. Nie historyczna, ale traktująca o historii samej w sobie. Badanie – podobne temu, jakiemu naukowiec mógłby poddać powstawanie kultury – sposobów, w jakie rozwijają się wydarzenia, połączone z próbą uchwycenia kierujących nimi sił. „Palce historii”? To doprawdy niebywałe w jaki sposób przychodzi do nas niekiedy inspiracja, zwykle wówczas, gdy wcale jej nie szukamy. Być może mam już więc nawet tytuł; brzmi poważnie i pasuje do tematu, a przy tym nieco żartobliwie odwołuje się do przelotnego

okresu mojej sławy jako felietonisty „Daily Sketch”.

Po latach strawionych na zmaganiu się z poczuciem, że jestem zwykłym oszustem, że tylko kogoś udaję – a stan ten utrzymywał się w zasadzie przez większą część mojego życia – odkrywam nagle, że praca nad kluczowym rozdziałem o Napoleonie idzie mi wybornie. Czy Bonaparte był twórcą historii, czy też jej sługą? Oczywiście był jednym i drugim – a jednak, gdy spojrzeć na historię z tej perspektywy, często najważniejszymi okazują się drobne wydarzenia. Pojawiają się kwestie typu, co by się stało, gdyby jego rodzice, Carlos i Letizia, nigdy się nie spotkali? Tradycyjni historycy odrzuciliby te pytania bez chwili zastanowienia jako absurdalne, lecz to właśnie one stają się nagle sposobem na rzucenie nowego światła.

Jednakże pewnego poszpitalnego popołudnia, mniej więcej tydzień później – gdy garbiłem się nad swym biurkiem, a ciepłe, wpływające zza okna powietrze niosło ze sobą śpiewy i dudnienie kroków Christenlowa i jego towarzyszy z SI paradujących po starożytnym dziedzińcu college’u – cały proces wydaje mi się nagle pozbawiony znaczenia. Teraz nagle widzę próżność, pustkę wszystkich stron jakie zapełniłem. Widzę również, jak bezsensowna i łatwa do ponownego wypełnienia jest przestrzeń, którą niedługo zwolni moje życie. Kilka wiszących w szafie ubrań, stara walizka pod łóżkiem, parę symboli na ścianie kabiny w publicznej toalecie. Kimże w końcu jestem i jakie to wszystko ma znaczenie?

Wydrążony strachem naciągam marynarkę i wychodzę w nadciągający oksfordzki wieczór.

* * *

Urodziłem się w Lichfield – miejscowości, która już wtedy nosiła miano miasta – w roku 1880. To środkowa część Anglii, ani płaska, ani górzysta. Ni północ, ni południe. z wyjątkiem narodzin doktora Johnsona i paskudnego oblężenia podczas wojny domowej, nigdy nie wydarzyło się tu nic godnego uwagi. Ojciec pracował w Lichfield Corporation, po czym pewnego dnia zmarł na własnej działce na zawał serca. Zajmował stanowisko, które raz czy dwa zmieniał na wyższe, z wielką dumą i pośród gadaniny o bardziej ambitnych wakacjach. Zawsze jednak pozostawał asystentem-tego lub zastępcą-tamtego, jednym z wielkich, lecz niewymienianych z nazwiska („Cóż, trudno jest wyjaśnić co dokładnie robię, zwłaszcza osobie parającej się czymś innym”), którzy teraz opanowują ten kraj.

Matce i mnie nie wiodło się źle; mieliśmy jego emeryturę i ubezpieczenie na życie, a mama podjęła pracę w cukierni Hindleya, skąd przy każdej zmianie wystawy przynosiła okruchy lukru i kandyzowanej anizeliki. Już wówczas postanowiłem, że „chcę zostać nauczycielem”. Dopóki nie przeszedłem ze swojej szkoły elementarnej przy Stowe Street do gimnazjum, zawsze byłem najbystrzejszym uczniem w klasie. Nawet fundowane przez hrabstwo stypendium w Rugby pozostawało w moim zasięgu. a stamtąd, owszem, już marzyłem o parku jeleni Magdalen, o smukłych ciałach kąpiących się w wodach Cherwell przy Parson's Pleasure.

a jednak późniejsze szkolne lata okazały się prawdziwą mordegą. Po części z powodu wysiłków mających na celu dotrzymanie kroku najbardziej inteligentnym kolegom, zapadłem na chorobę, która mogła być – lub też nie – szkarlatyną. w trakcie mej przeciągającej się nieobecności w szkole, odwiedzał mnie codziennie chłopiec nazwiskiem Martin Dawes. Przynosił mi podręczniki i dotrzymywał towarzystwa. Gdy zostawaliśmy w pokoju sami, wsuwał mi niekiedy rękę za spodnie pizamy i zaspokajał mnie, jakby to również był rodzaj wiadomości, którą należało przekazać ze szkoły. Byłem mu oczywiście głęboko wdzięczny. Kiedy ozdrowiałem, zamknięty w toalecie na piętrze, w której okno zawsze było otwarte, gdy matka krzątała się po kuchni, z poczuciem obowiązku starałem się zaludnić postaciami kobiet różowe wyobrażenia, jakimi się – pod nieobecność Martina – stymulowałem. w rozstrzygającym momencie ich piersi zawsze się spłaszczwały, a krocza wyrzużały i podchodzili ku mnie krótko przystrzyżeni, czyści i lśniący.

i do tego właśnie sprowadza się cały mój rozwój seksualny w tym okresie osobistej historii, który nazywam epoką prefrancisowską. Byłem jedynie ja, mój naznaczony poczuciem winy, połowiczny celibat, pomaganie mamie w obowiązkach domowych, obserwowanie, jak szkolni koledzy dorastają, opuszczają domy, żenią się, zakładają rodziny. Kiedy miałem nieco ponad dwadzieścia lat, objąłem posadę nauczyciela drugiej kategorii w Burntwood Charity. w artykułach, jakimi bez mała trzydzieści lat później rozpocząłem swą krótką karierę w „Daily Sketch”, dałem do zrozumienia, że John Arthur był tam jednym z moich najzdolniejszych i najbardziej ambitnych uczniów, małą kometą, która nagle zajaśniała na przykurzonym niebie Burntwood. Dzięki licznym kwiecistym dopiskom zatrudnionego w „Sketchu” redaktora, oświadczyłem także, że był obdarzony bladą cerą, cichy, przystojny, skupio-

ny i że mówił z lekkim zachodnim akcentem, którym posługiwał się, zanim przyswoił sobie znany nam wszystkim miękki zaśpiew z Yorkshire. Wszystkie te cechy sprawiały, że na placu zabaw często padał ofiarą koleżeńskiej agresji. Dodałem również, że „po szkole, w letnie wieczory, gdy kopalniany gwizdek już przebrzmiał, a jaskółki zataczały koła na niebie”, przechadzał się wraz ze mną po „mglistych wzgórzach Staffordshire”, gdzie „zasiadaliśmy wśród fioletowych łąnów wrzosu i spoglądaliśmy na koła kopalni w Burntwood, wieże kościołów w Lichfield oraz kominy Rugeley”. Teraz, po wielu latach praktyki, stało się to moim popisowym numerem na przyjęciach. Tak więc, owszem, John Arthur naprawdę siedzi w tej klasie w Burntwood Charity, gdzie unosi się woń kredowego pyłu i niemytych ciał. Unosi rękę ze swego trzeciego rzędu ławek i zadaje bardziej niż zwykle trafne pytanie, zanim mam szansę rozgadać się na któryś ze swoich ulubionych tematów. Tak go właśnie wspominam.

* * *

Zbyt zmęczony, by się zatrzymać, ciągnąc za sobą szlak papierosowego dymu, wspomnień, abstrakcji, przechadzam się po nowych podmiejskich ulicach Oksfordu i mijam oświetlone ganki opatrzone tabliczkami z nazwami CHURCH HOUSE, DAWRIC, THE WILLOWS. Jest teraz cicho, chociaż ledwie minęła dziewiąta i dopiero chwilę temu zapadła prawdziwa ciemność. Domy wyglądają na senne. Zasłony w oknach są zaciągnięte. w wielu zaciemnionych salonach widzę mrugającą słabo niczym duch poświatę telewizyjnych ekranów.

Słyszę za sobą szumienie czyichś kroków i dźwięk jest tak ukradkowy i niespodziewany, że obracam się i rozglądam. Nie zauważam niczego. Dalej idę już żywiej. Za trawnikiem, gdzie ZABRANIA SIĘ GRY w PIŁKĘ, stoi dom mojego znajomego. Czarno-biały spadzisty dach, ligustrowy żywopłot i długi podjazd, który w tych czasach rosnącej prosperity zostanie wkrótce zapewne przystrojony wozem marki Morris Ladybird, „samochodem dla ludu”, a rower Raleigh zniknie. Okna budynku są jednak zaciemnione, zasłony nie zaciągnięte. Coś w nich wydaje mi się dziwne...

Kiedy podchodzę do frontowych drzwi znajomego, pod butami chrzęści mi coś ostrzejszego niż żwir. Wiele szyb w wykuszu zostało wybitych, można wyczuć wszechobecną letnią woń dziecięcego moczu, a zniszczone drzwi zamknięto na potężną żelazną kłódkę. Na samym końcu zauważam ogłoszenie,

które oksfordzka policja pozostawiła na ceglany ganku. NINIEJSZYM ZAWIADAMIA SIĘ... Niebo jest jednak niewiarygodnie, głęboko czarne i nie jestem w stanie odczytać niczego poza oznaczonym pieczęcią z koroną na główkiem. Roztrzając puste butelki na mleko, siadam ciężko na progu i kryję twarz w dłoniach. Nagle dociera do mnie wszystko. To. Śmierć. Wszystko.

Kiedy jakiś czas później podnoszę wzrok, widzę postać. Przygląda mi się z nocy przedmieścia ze splecionymi na piersi ramionami, pochyloną głową i stalowym pobłyskiem wałków do włosów.

– Nazywam się pani Stevens – przedstawia się, po czym podaje swą miękką, przyjazną dłoń, pomaga mi wstać i prowadzi za żywoplot, obok koszy na śmieci w jasność własnej kuchni w sąsiednim domu.

Opadam na krzesło przy stole i przyglądam się kobiecie, która wstawia czajnik i podgrzewa imbryczek na herbatę.

– Rozumiem – odzywa się. – To musiał być dla pana szok...

– Zabrali ich wszystkich?

– Wszystkich bez wyjątku. To jest właśnie najgorsze. – Pani Stevens miesza w swojej filiżance, podsuwa mi moją. – Te małe dziewczynki...

– i nikt nie spróbował temu zapobiec?

Kobieta spogląda na mnie ponad stołem i zlizuje brązowy ślad herbaty, który pozostał na jej nieznacznym wąsiku.

– Powiem panu jacy oni byli, panie Brook. Małżeństwo przyzwoite pod każdym względem. Jedynym dziwactwem, jakie pamiętam, było to, że czasami po zapaleniu światła nie zasłaniaли okien i można było zajrzeć do środka... Dziewczęta jednak były naprawdę miłe. w zeszłym roku, kiedy wybraliśmy się do Harrogate, karmiły naszego kota. Pan też dobrze ich znał, prawda?

– On był moim znajomym. Niezbyt bliskim. Ale kiedy po nich przyszli, czy było to RSJ, czy...

– Nikt by się nie domyślił, prawda? w ogóle nie było tego po niej widać.

– Po niej? To znaczy...

– Ach... – Pani Stevens uderza w blat płaską dłonią i pochyla się z błyskiem w oku. – Czyli pan nadal nie rozumie? Jej prawdziwe nazwisko miało polskie brzmienie. Same z i K. – Kobieta chrząka. – To zrozumiałe, że chcą tu przyjeżdżać, czyż nie? o ile nie stają się dla nas ciężarem, zarabiają na sie-

bie, rozmawiają w naszym języku, nie zaczepiają naszych dzieci i trzymają się we własnym gronie.

– Więc co się właściwie stało?

– Była Żydówką, prawda. Przez wszystkie te lata mieszkali tu z nami drzwi w drzwi, zachowywali się jak gdyby nigdy nic i ukrywali to przed wszystkimi. – Pani Stevens unosi ramiona i wstrząsa nią teatralny dreszcz. – Kto by pomyślał. Taka nieuczciwość. Taka brudna, mała Żydowa.

DWA

Nad Oksford nadciągają chmury – gęste i szare niczym wilgotny cement. Deszcz omiata niskie okoliczne wzgórza i zmywa całą nadzieję na to, co zapowiadało się jako kolejne fantastyczne lato. Na białym wapnem dziedzińcu miejskiego więzienia, w syczący, szary poranek powieszono dwóch mężczyzn, skazanych za udział w próbie napadu na pocztę. w Hondurasie krwawy zamach stanu przywraca brytyjski kod pocztowy, utracony po rewolucji z 1919. w Transjordanii, podłożona w samochodzie bomba-pułapka zabija piętnastu niemieckich żołnierzy Ligi Narodów. w Indiach, jak zwykle, wybuchają powstania i dochodzi do masakr. Pracując nad książką, wpadam w rozpacz i nie jestem już pewien, czy kiedykolwiek wyłowię z historii jakikolwiek sens. Wychodzi na to, że, by zacytować Gibbona, historia istotnie stanowi spis zbrodni, szaleństw i nieszczęść ludzkości.

Żydów w Brytanii od zawsze było niewielu i zazwyczaj wykazywali się wobec nich „tolerancją”. Przed nastaniem modernizmu mój znajomy i jego rodzina nie mieli się czego obawiać. Nie groziło im nic więcej niż wrzucenie od czasu do czasu przez otwór na pocztę zawiniątko z ludzkimi odchodami. w końcu Żydostwo różni się od homoseksualizmu, szaleństwa, przestępczości, komunizmu, a nawet irlandzkiego nacjonalizmu: Żydzi nie mogą wiele poradzić na to, że rodzą się chciwi i odrażający. Było z nimi jak z Cyganami, nie przeszkadzało nam samo ich istnienie, lecz woleliśmy, by nie mieszkali tutaj, wśród nas... Pod tym, podobnie jak pod wieloma innymi względami, jedynym, co modernizm zrobił po dojściu Johna Arthura do władzy, było uczynienie oficjalną polityką rządu tego, co ludzie od dawna powtarzali w sąsiedzkich, prowadzonych przez żywoplot pogawędkach.

Bardzo dobrze pamiętam kroniki filmowe opowiadające o „Ojczyźnie dla brytyjskiego Żydostwa”: myślę, że był to jeden z kluczowych momentów definiujących wczesną historię Większej Brytanii. Pokazywano ich w tych

materiałach, naszych Żydów. Całe rodziny, spoglądające z nadzieją w przyszłość, gdy przy pomocy uśmiechniętych prawdziwych Anglików gramolili się ze statków i wyciągali swoje walizki na żwirowe brzegi odległych szkockich wysp, na których poza kilkoma owcami nie mieszkał nikt od stu lat, od czasu Czystek. i trudno było oprzeć się wrażeniu, że naprawdę miło byłoby zacząć gdzieś od nowa, w podobnym miejscu. Przyjemnie byłoby malować, dekorować szare klocki tych betonowych domów, uczyć się pasterstwa, rolnictwa, rybactwa.

Od tamtej pory wydarzyło się tak wiele, że łatwo było zapomnieć o Żydach. Pamiętam jeszcze krótkometrażowy film wytwórni Pathe, wyświetlany przed disneyowską „Królową Śnieżką”, chyba w 1939 roku. Wtedy wyglądali już po chłopsku. Byli ogorzali, ręce mieli stwardniałe wskutek ciężkich zim, spędzonych na tkaniu i wznoszeniu kamiennych murów. Spoglądali oczyma rozjaśnionymi wiejącym znad morza wiatrem. Potem już nic. Pustka, przestrzeń, jaką niełatwo mi wypełnić, nawet kiedy uciekam się do pomocy wyobraźni.

Pewnego ranka, gdy trzaskają pioruny, z nieba spadają strugi wody, a cały budynek college’u skrzypi i kołysze się niczym statek szarpiący się w cunamiach, kiedy wciąż tkwię niczym rozbitek w swoich pokojach, chory i błądzący w ślepych zaułku książki, o jedenastej otwierają się drzwi i wchodzi Christlow, by zabrać się za sprzątanie.

– Christlow, ty znasz Żydów, prawda? – świergocę, odchrząknąwszy.

– Żydów, proszę pana? Tak, proszę pana. Ale nie osobiście.

Przerywa na moment ścieranie kurzu. Atmosfera całej rozmowy już teraz stała się wymuszona.

– Tak się zastanawiam, rozumiesz, w ramach pracy nad książką, co się stało z mieszanymi rodzinami. Takimi gdzie Żyd lub Żydówka wzięli się małżeństwem z gojami...

– Jestem pewien, że potraktowano je życzliwie, proszę pana. Chociaż nie umiem sobie wyobrazić, by podobnych przypadków mogło być wiele.

– Oczywiście. – Kiwam głową i zmuszam się, by spojrzeć na biurko.

Christlow wraca do obowiązków, składa usta do niemego pogwizdywania, wśród sznurów cieni z zalanych strugami deszczu szyb podnosi kolejno fotografie z kominka. Zdjęcie mojej matki, mojego ojca – i przystojnego, ciemnowłosego, młodego mężczyzny.

– Poradzi pan sobie ze wszystkim? – pyta, kiedy kończy. Bierze do ręki pudełko ze szmatami i środkami do czyszczenia. – Mogę pana zostawić?

– Dziękuję, Christlow. Świetnie się spisałeś – dodaję z jakiegoś powodu przesadnie, jakby łączyły nas jakieś poważniejsze zobowiązania. – Jak zawsze.

Gdy już wychodzi i jego kroki cichną pośród innych odgłosów college’u, zasuвам rygiel, po czym wchodzę do posępnej sypialni i wyciągam spod łóżka starą walizkę. Kluczyk do niej zawsze trzymam w kieszeni. Unoszę wieko. Skrzypią nieużywane, rdzewiejące zawiasy. Wewnątrz nic się nie zmieniło. Cynowe zabawki. Spodnie do tenisa. Zeszyt w tekturowej okładce, z wypisanym dziecięcym, grubym charakterem pisma nazwiskiem FRANCIS EVELEIGH. Szkolna tarcza. Maszynka do golenia „Gilette” – jego pierwsza? Owinięty w starą szmatę pistolet. Wciąż przyzwoita marynarka w jodełkę. Samotny but. Stalowa piersiówka. Wojskowa przepustka na dni od 14 do 26 września 1916, opatrzona stemplem „PRZETERMINOWANE”. Różne skarpety i staromodne koszule bez kołnierzyka, i wyglądająca na drapiącą bielizna. Egzemplarz „Więści znikąd” Morrisa. Oraz „Turystyczna mapa szkockich wyżyn” składana i rozkładana tyle razy, że grozi rozsypaniem przy pierwszym, najlżejszym dotyku.

Biorę jego ubrania w dłonie i kryję w nich twarz. Czuję woń oksfordzkiej wilgoci, oksfordzkich kamieni, lawendowej pasty do podłogi marki Mansion House i tytoniu fajkowego „Four Square”. Niewiele zostało z Francisa. Niemniej, ten delikatny zapach jego ciała, przypominający nieco woń przypalonej cytryny... Kilka ciemnych kosmyków jego włosów...

Jakimże stałem się pośmiewiskiem. Jedyным powodem, dla którego mogę pretendować do sławy, jest przelotna znajomość z wielkim człowiekiem, gdy ten był jeszcze dzieckiem, a moja wyłączna pretensja do szczęścia opiera się na wydarzeniach, jakie nastąpiły niemal tak samo dawno; na cudzie trwającym przez kilka krótkich dni bez mała trzydzieści lat temu. Jak sądzę, udało mi się potem przekonać samego siebie, że homoseksualiści nie są zdolni do prawdziwej miłości – w ten sposób jest łatwiej. a mimo to, przez cały ten czas Francis był zawsze ze mną.

– To naprawdę nie ma znaczenia, Griff – Słyszę jego słowa i czuję palce na karku.

Teraz nie pachnie cytryną, a deszczowym dębem, pod którym stał, patrząc

w moje okno z dziedzińca. Ale nie postarzał się. Nie zmienił.

– Nie, to nie ma żadnego znaczenia – szepce i odwraca mnie, by mnie pocałować. – Nic podobnego się nie liczy. Na tym polega sekret wszystkiego.

Uśmiecham się, znajdując go blisko siebie, i wciąż drzę, gdy czuję chłodny dotyk jego dłoni. Na moment, zanim zbliżająca się burza zagrzmi ponad Oksfordem, na chwilę, zanim otworzę oczy, wszelki ból znika.

* * *

Eric Svendsen, ze swoim podejrzanie obco brzmiącym nazwiskiem, z długim nosem i grubymi okularami wydaje się nieprawdopodobnym niedobitkiem mojego gatunku. On przypisuje to faktowi, że ma jakiegoś haka na zastępcę szefa miejscowej policji, chociaż ja skłaniam się ku opinii, że jest przez to raczej głównym kandydatem na ofiarę nieszczęśliwego wypadku samochodowego, którego sprawcy nie uda się ustalić.

Spotykamy się następnego popołudnia na parkowej ławce, akurat przestało padać.

– Myślisz, że pozwolą im zostać razem? – pytam, gdy Eric rzuca okruchy chleba z brązowej, papierowej torebki w kierunku dywanu kaczek, który rozłożył się dokoła. – Czy może jego wysłać na Wyspę Man, a dziewczynki z matką na Wyspy Zachodnie?

Eric patrzy na mnie z politowaniem i kręci głową.

– To tak nie działa, mój drogi. Och, już oni się za niego wezmą. Powie im wszystko, prawdę i kłamstwa. Ludzie pod groźbą zawsze gadają... Nie, nie martwiłbym się – dodaje, widząc wyraz mojej twarzy. – Gdyby miało cię spotkać coś złego, stałoby się to już dawno. Ale skoro jesteś, kim jesteś, nic ci nie zagraża. Jestem pewien.

– Nie jestem, kim jestem. Nie jestem nikim ważnym.

– Zatem masz podwójne szczęście.

– Nie mogę się opędzić od pytania, jaki w tym sens. To znaczy, dlaczego?

– Chyba już zapomniałeś jak to jest, mój drogi.

– Co?

– Jak wygląda życie takich jak my – pedalstwo, bycie ciotą. Poczucie winy. Głupie sceny. Pamiętasz te broszury? z obietnicami pomocy, możliwości wyleczenia? Nie mów mi, że nie przejrzałeś potajemnie choć jednej. – Wzdycha. – Gdyby można było ot tak, po prostu nacisnąć jakiś przycisk, wyciągnąć coś, co w nas tkwi. Nie uważasz, że wszyscy byśmy się zdecydo-

wali na kurację? Nie zaryzykowałbyś, mając tego rodzaju okazję? Czy John Arthur nie ma pod tym jednym względem racji? i czy Żydzi nie postąpiliby tak samo?

Tyle że zmiana oznaczałaby konieczność rozpoczęcia życia od nowa – stałbym się kimś innym niż jestem. Straciłbym Francisca. Dlatego kręcę głową. Poza tym słyszałem opowieści o tym, co spotyka takich jak ja. Chemikalia. Elektrody. Wulgarne zdjęcia. Pływanie w kałużach własnego moczu i wymiocin. Tego rodzaju terapia była dostępna jeszcze zanim modernizm uczynił ją obowiązkową.

– Problemem nie jest John Arthur – zauważam. – Tylko my wszyscy. Brytania.

– Teraz pewnie będziesz samotny, prawda? – Eric chichoce.

– Samotny?

– Pozbawiony towarzystwa. Bez kutasa do ssania.

Odwracam się na ławce i zastanawiam, czy Eric złożył mi właśnie propozycję. Jego ukryte za szklami okularów oczy są jednak równie odległe jak zawsze; ryba w dalekim morzu. Podejrzewam, że dla niego seks od zawsze był przede wszystkim sportem do oglądania. Dlatego tak świetnie się przystosował. Dlatego przeżył. Nie chce czuć na sobie prawdziwego, ciepłego ciężaru. Wystarczą mu jedynie ostre, podniecające wspomnienia tych, których zdradził. Ukrzyżowane ciała. Sperma z nitkami krwi.

– Słuchaj – mówię – pomyślałem po prostu, że możesz mieć jakieś informacje na temat tego, co spotyka... Żydów i takich jak my. Przecież ktoś musi wiedzieć?

– Mój drogi, ja wiem tyle, ile przeczytam w gazetach. i tyle, ile zobaczę w kronice filmowej. – Przesuwa spojrzeniem po srebrzącym się trawniku. – Rozumiem jak się czujesz. w końcu jesteśmy jedynie ludźmi. Strata bliskiej osoby zawsze pociąga ze sobą smutek...

Eric wstaje i wytrzępuje kaczkom ostatnie okruchy. Gdy odchodzi, odprowadzam go wzrokiem. Idzie skrótem, chlapiąc wodą na przesiąkniętym trawniku, omija przemoczone siatki kortów tenisowych. Nie mogę się nie zastanawiać, czy gdzieś wkrótce nie podjedzie do mnie czarny służbowy rover RSJ. Uprzejma prośba i ręka biorąca mnie pod ramię, czego przechodzący obok ludzie, zbyt zajęci swoim życiem, nawet nie zauważą. Podróż na mroczną polanę w lesie, dotyk zimnej lufy na czole... Nie jestem w stanie

powstrzymać egoistycznego strachu. Gdy jednak idę wzdłuż Holywell, poza stare mury miejskie, chmury na zachodzie rzadną, a wiatr zaczyna się bawić z okrawkami błękitnego nieba, przez które wygląda słońce. Wlokę się noga za nogą po wąskich, nieprzewidywalnych ulicach, wijących się za budynkami uniwersytetu, dzień się rozjaśnia. Pobłyskują wieże Wrena i kosze na śmieci. i Oksford! Oksford! Wszystkie te lata, gdy chciałem się ujrzeć właśnie w ten sposób, wśród tych college'ów i dziedzińców, pomiędzy bliźniaczymi, lśniącymi rzekami, na rozszepstanych korytarzach wiedzy.

Pracując nad książką, każdego wieczoru po szkole, w głównym salonie, gdy matka drzemała za mną nad robótkami, kiwając miarowo głową na krześle, zawsze wiedziałem, że to niemożliwie dalekie marzenia. Jednakże, pisząc swe jedyne wielkie dzieło, nigdy nie pomyślałem, by wyznaczyć sobie bardziej realistyczny cel i może wysłać jakiś esej traktujący o lokalnej historii do redakcji „Lichfield mercury” lub „Staffordshire life”. Wszystko albo nic i być może w głębi serca nic wystarczyło mi w zupełności. Pamiętam pewien wieczór, gdy praca przy stole w salonie szła mi wyjątkowo dobrze, a godziny mijaly niepostrzeżenie, póki nie strzepnąłem zmęczonymi palcami i nie odwróciłem się do matki, by zwrócić jej uwagę, że coś paskudnie cuchnie. Siedziała w niecodziennym bezruchu, w przyćmionym świetle pokoju. Głowa jej się kołysała, palce miała zacisnięte na drutach, a kłębek włóczki stoczył się z kolan, strącony jej ostatnim, śmiertelnym spazmem.

TRZY

Teraz, kiedy deszcz ustał i wyszło słońce, wydaje się, że cała Brytania szybuje, płynie unoszona tchnieniami mleczy i wanilii, oszałamiającym hukiem dęciaków z estrady. „Express”, „New Cross” i „The Mail” co rano konkurują ze sobą na gry słowne w nagłówkach, zdjęcia modernistycznych dziewoi w fontannach lub wysmarowanych lodami dzieci i mdlejących wartowników. Ze mną czy beze mnie, życie ma wyraźny zamiar trwać nadal – ja sam jednak stwierdzam u siebie niebywałą aktywność: z pomocą Christlowa, na przykład, udaje mi się zazwyczaj w pełni ubrać i wykaszleć płuca – oraz przyjąć tabletki, rozruszać zeszywniałe kończyny, skupić wzrok i niemal wyrównać oddech i puls – do wpół do dziewiątej lub najdalej do dziewiątej. w ten sposób pobudzony, ufortyfikowany, odbywam tego sierpnia zaskakującą liczbę wycieczek. w końcu to przecież moja ostatnia szansa, by cokolwiek zobaczyć, i spokojnie mogę trwonić oszczędności na podróże pierwszą klasą.

Wciąż jednak, gdy stoję w kolejce na poczcie głównej, by pobrać odpowiednie przepustki podróżne, które umożliwią mi wyprawę do Lichfield, nie jestem w stanie się nie zastanawiać, czy kobieta za szybą – niczym szronem pokrytą drobinkami śliny – знаła mojego znajomego oraz kto taki opróżnił jego biurko w urzędzie cenzury, kto skreślił jego nazwisko z listy członków klubu...

Następnego dnia rano, wdrapując się na pokład „Sir Galahada”, gdy pociąg zajeżdża już na Oxford Station, siejąc ze swojego opływowego pyska kłębamipary i przecuciem dalekich krain, wpadam na czterech wysokich oficerów RSJ – Rycerzy Świętego Jerzego. Przechodzę akurat wagonowym korytarzem, poszukując swojego miejsca. Wszyscy są lśniący i pulchni – foki pływające się w słońcu na brzegu, obmywane ciepłymi falami przyszłości. Moje siedzenie znajduje się nieco dalej, w części dla niepalących. Naprzeciwko zasiadają matka i córka. Poranne słońce oblewa ich jasne włosy i niewinne błękitne oczy. Przyglądają mi się. Mam wrażenie, że będąc zwiastunem śmierci, muszę wyglądać dziwnie i złowieszczo, a jednak obie zachowują się przyjaźnie i gdy pociąg rusza, wdajemy się w rozmowę – obojętną, swobodną, taką, jaką prowadzą nieznajomi. Mąż, ojciec dziewczynki, jest majorem Czarnej Straży, który wybił się w armii dzięki zasługom, jakie są możliwe jedynie podczas prawdziwych konfliktów, i służy obecnie na tradycyjnie niespokojnym pograniczu Indii i Afganistanu. Matka przyznaje, że sypia, trzymając pod poduszką fotografie jego i Johna Arthura. Uśmiecham się do ich promiennych twarzy, po czym wyglądam za okno. Obserwuję to wznoszące się, to opadające kable telegrafu, a świat przemyka, unosząc mnie ku Lichfield.

* * *

Mieszkając w domu, który wciąż nazywałem domem matki, jeszcze przed wojną, samotny i trwający w celibacie, nadal rozmyślałem o napisaniu książki. Niemniej, po wielu zwieńczonych niepowodzeniem próbach zacząłem się zastanawiać, czy nie brakuje mi czegoś jeszcze. w końcu historia jest wieczną zmianą i zawsze obserwuje się ją z perspektywy terażniejszości. Politycznie wciąż pozostawałem neutralny, podobnie jak sądziłem, że stałem się obojętny seksualnie, choć w swych wysiłkach, by traktować się jako poważnego historyka, uznałem, że polityka stanowi najprawdopodobniej siłę napędową tej epoki, i wstąpiłem do lokalnego oddziału Towarzystwa Fabiańskiego. i zapewne słusznie postąpiłem, zanurzając palec w nurcie życia politycznego,

nie nosząc w sobie żadnych wzniosłych ideałów. Niemniej, spoglądając teraz wstecz, widzę, że był to dla brytyjskiej lewicy interesujący okres. Młodszy i, najogólniej mówiąc, bardziej niesforni (do których bez wątpienia zaliczał się Francis Eveleigh) zawzięcie podkopywali bezpieczny, dziewiętnastowieczny libertarianizm Williama Morrisa – to znaczy, tego Morrisa, który istniał, zanim modernizm wymyślił go na nowo. Wszystko to jednak było naiwnie niewinne. Francis, na przykład, przez sześć dni w tygodniu pracował w Lichfield na stoisku z książkami należącym do sieci Johna Menziesa, mieszkał na stacji, unosił mały palec, pijąc herbatę, niewiele opowiadał o swoim pochodzeniu i mówił z akcentem podejrzenie zbliżonym do akcentu klas wyższych. Tak czy inaczej, coś mnie do niego przyciągnęło. Podobały mi się jego młodość, entuzjazm, wygląd.

Zaczęliśmy się od czasu do czasu spotykać, gdy kończył pracę przy sprzedaży książek, i odbywaliśmy ciche spacerunki po płaskich okolicach Staffordshire. Kiedy byliśmy sami, zniknęły gdzieś zwykła poza i polityczne dyskusje, niemniej nasze rozmowy wkrótce zostały zdominowane przez coraz wyraźniejszą perspektywę wojny w Europie. Francis, choć podobno pacyfista, fascynował się samą ideą konfliktu. w białej koszuli, z rozpiętym kołnierzykiem, siedł przedemną, gdy wieczorami przechadzaliśmy się po zamglonych ścieżkach nad kanałami i wśród błotnistych, wiosennych pól. Był smukły i kościstej postury, przepęniała go jednak energia. Włosy nosił nieco dłuższe niż było wówczas w modzie i uwielbiałem patrzeć – gdy tak kroczył przedemną – na miękkie gniazdo loków, które zwęzowało się, schodząc ku jego karkowi.

– Wiesz, Griff – powiedział pewnego razu, kiedy przystanęliśmy dla nabrania tchu pośród krów, pod drzewem. – Podczas tych naszych spacerów, wszystko mi się porządnie układa w głowie.

Zabolało mnie serce. Mogłem się jedynie uśmiechnąć.

Pomysł wspólnej wycieczki rowerowej do Szkocji wyewoluował naturalnie, stopniowo. To prawdopodobnie dobrze, ponieważ, gdybym planował, że wraz z Francisem znajdziemy się sami, dzieląc się myślami, ideami i pokojami w pensjonatach przez całe dwa tygodnie, jestem pewien, że miłość i groza skutecznie by tej wyprawie zapobiegły. w jakiś jednak sposób w pewnym momencie zaczęliśmy studiować mapy i rozkłady jazdy w ramach czysto teoretycznych – zasadniczo bawiąc się po prostu myślą – aż tu nagle zaczęliśmy

rozmawiać o konkretnych datach, dokonywać rezerwacji i wszystko się cudośnie zrealizowało. Płacić miałem ja. To również bardzo łatwo przepłynęło pod wysokim mostem mojej niepewności. Dzięki Bogu, w 1914 dwaj mężczyźni wybierający się na wspólne wakacje nie wzbudzali jeszcze większych podejrzeń. Francis, chwala mu za to, miał zapewne jaśniejszą wizję tego, dokąd mnie prowadzi i co miało się stać. Mimo wszystko jednak jestem bezbrzeżnie wdzięczny mu za to, jak i za wszystko inne.

Kiedy pociąg wyjechał z Birmingham, zjedliśmy w wagonie restauracyjnym, przyglądając się mapom. Do wspólnego przedziału sypialnego udaliśmy się, pamiętam, dość wcześnie, przepelnieni tym kojącym zmęczeniem, jakie przynosi jedynie początek długiej podróży koleją. Gdy Francis zaczął się obok mnie rozbierać, udałem, że zaprzęta mnie sortowanie zawartości walizki na dolnym łóżku. Kiedy wyszedł, by się umyć, drżący i samotny partryłem na swoją połowiczną erekcję, która niedorzecznie próbowała się wymknąć ze spodni piżamy, i zacząłem się przeklinać za to, że poddałem się pomysłowi tych wakacji. Gdy wrócił, przecisnąłem się obok niego, otworzyłem okno na korytarzu i zacząłem oglądać rozpalone zachodem słońca pola oraz druty telegraficzne, które unosiły się i opadały, unosiły i opadały. Kiedy wszedłem z powrotem do przedziału, krajobraz za oknem stał się już zlepkiem ziarnistych kwadratów, a Francis leżał na górnej kanapie i czytał „Wieści znikąd”. Wymamrotałem coś o tym, że czuję się zmęczony, i zająłem dolną kanapę.

Wpatrywałem się w widoczny na materacu powyżej odcisk ciała. Ruch wagonu i stalowy grzechot kół naprawdę niosły ukojenie. Wreszcie, kiedy Francis wyłączył światło i powiedział mi dobranoc, poczułem się szczerze senny i gdy – mniej więcej pół godziny później – zaczął się zsuwać z kuszетки, wyobraziłem sobie po prostu, że wybiera się po raz ostatni do toalety. Zamiast tego jednak wśliznął się obok mnie.

Koszulę piżamy miał już rozpiętą. Bił od niego lekki zapach mydła i proszku do zębów, spod którego dawała się wyczuć woń jego własnego ciała, przypominającą przypaloną cytrynę.

– Właśnie tego chcesz, Griff, prawda...? – powiedział, po czym objął mnie i pocałował. Potem nic już nie było takie samo.

* * *

Grzechot, stuk, stuk... Nawet tutaj, w drodze do Lichfield, panuje to samo

wrażenie przemijania. Wtedy i teraz, nieustanny pęd pociągu. Stacje przy mostach spinających brzegi kanałów. Stacje na farmach. Wybudowane pośrodku niczego stacje, pełne pustych baniek na mleko i worków na pocztę. i plakaty, plakaty. Plakaty przedstawiające wybrzeża i plakaty ukazujące wieś. Plakaty miejskie. JEZIORA TO DOSKONAŁE MIEJSCE NA PEŁEN WYOBRAŹNI, SPOKOJNY WYPOCZYNEK. WSIĄDŹ DO NIEDZIELNEGO POCIĄGU i ODWIEDŹ LAMBOURN DOWNS – na obrazku uśmiechnięta para wraz z dwiema córkami piknikuje pod bezchmurnym niebem, na którym szybują latawce.

* * *

Podczas całej naszej podróży przez Szkocję Francis zachwycał się nazwami. Mellon. Udrigle. Plockton. Grey Dog. Poolewe. Smirisary. Letnie Wyspy. Kiedy nie czytał gazet, które zdobywał codziennie, by śledzić reperkusje zabójstwa dokonanego na mało znanym arcyksięciu, przesuwał palcem po niewiarygodnie zarysowanej krętej trasie, po jakiej miały nas powieźć koła rowerów marki Northampton Humber z koszami na kierownicach. Wytyczał ją właśnie tak, by prowadziła przez jak najwięcej miejscowości o cudownych nazwach.

Sami w naszych wspólnych, zalanych żółtym światłem pokojach pensjonatów, z ich pięknymi, wielkimi szafami, pływaliśmy po skrzypiących morzach wygniecionych, podwójnych łóżek, z jego brodą opartą na dłoni i nagimi stopami w powietrzu, śmiejąc się z czegoś, nucąc pod nosem, wymachując palcami u nóg. Francis studiował zarówno mapy, jak i prasę. Potem kładł dłonie na moim ciele i przyciągał mnie gestem pełnym ciepłego erotyzmu i jednocześnie niemającym nic wspólnego z seksem.

– Griff, to właśnie jest prawdziwa historia – powiedział pewnego razu, gdy wyraziłem zdumienie na myśl, że ktoś może się poważnie przejmować wydarzeniami na Bałkanach. – Jak możesz udawać historyka i jednocześnie pozwalać historii przeciekać ci przez palce?

Pamiętam, że wieczorem 4 sierpnia 1914 roku, gdy Asquith obwieścił, że od północy znajdziemy się w stanie wojny z Niemcami, siedzieliśmy z Francisem w pubie. Wiedziałem, że mój towarzysz zgłosi się na ochotnika, i widziałem jego euforię. Jakikolwiek dyskusje były bezcelowe. Ja także poczułem ekscytację tą nową, czekającą nas przyszłością – tamtej nocy nie można było nie doznać uniesienia. Nagle, po latach prób, my, Brytyjczycy, mogli-

śmy pokochać siebie nawzajem i zienawidzić Niemców. Polityka i dyplomacja wydały się trywialne w porównaniu z surową pewnością wojny. Wkrótce tańczyliśmy wśród tłumu. Francis mnie nawet pocałował. Tej sierpniowej nocy nikogo to nie obchodziło. Stanowiliśmy jednolitą masę nadziei i człowieczeństwa.

Gdy wracaliśmy z gór Szkocji na południe, pozbawieni przez licznych chętnych do podróży przedziału sypialnego, robiłem co mogłem, by porozmawiać z Francisem poważnie. Chciałem zachować w pamięci tak wiele z niego, jak to tylko możliwe. On jednak, mówiąc o własnej przeszłości, bez przerwy się ze mną przekomarzał. „Owszem, chodziłem do szkoły, ale to przecież tylko miejsce. Jak inaczej zdobyłbym wykształcenie? Czy mam brata? Cóż, ty mi powiedz. No dalej, wiesz przecież jaki jestem, więc zgaduj...”. Zabawialiśmy się tą grą już wcześniej, lecz tym razem było to ostrzejsze, bardziej bolesne. i w końcu, gdy czekaliśmy na rojących się od ludzi peronach, kiedy przesiadaliśmy się do innego pociągu i szukaliśmy siedzeń lub staliśmy w ciasnych wagonowych korytarzach, to ja opowiedziałem Francisowi o sobie.

– Czyli, Griff.. – Uśmiechnął się, kiedy staliśmy nad naszymi walizkami, oparci o okno, za którym migały kolejowe podkłady. – Chcesz zostać profesorem? a czyś ty kiedykolwiek w ogóle był w Oksfordzie? Czy może wizyta zepsułaby ci urodę marzenia?

Pociąg toczył się dalej i, nie zważając na moje chcenia bądź niechcenia, wkrótce pojawiło się Lichfield. z Francisem rozstaliśmy się przed dworcem. Nie powiedzieliśmy sobie wiele ani nawet nie podaliśmy sobie rąk. Odszedłem w kierunku domu, który wciąż jeszcze nazywałem domem matki. Niemal cieszyłem się na nadchodzącą samotność w pokoju. Na placu Saint Martin grała orkiestra dęta. Mężczyźni, radośni jak na wycieczce zakładowej, rozmawiali i śmiali się swobodnie, jak rzadko czynimy my, Brytyjczycy. Stawali w kolejce, by zaciągnąć się do regimentu Staffordshire. Namawiali mnie, bym również dał się zwerbować, lecz na mój uśmiech i odmowny gest głowy reagowali bez goryczy. Taki wówczas panował w naszym kraju optymizm.

* * *

Idąc po raz kolejny po dziwnie skurczonych ulicach rodzinnego miasta, cięższy teraz brzemionami wieku i choroby, spoglądając ponad niskim mur-

kiem budynku, gdzie spędziłem większą część swego życia, zauważam kamyczkowy tynk, jakim nowy właściciel pokrył dom, oraz świeżo wymienione framugi. Cukiernia Hindleya wciąż działa gdzie działała, na wystawie widać zupełnie takie same jak dawniej ciasta, aczkolwiek sklep rzeźnika, nad którym mieszkał Francis, przeobraził się w zakład męskiego krawca, a okna jego pokoju są teraz opatrzone napisem WYPOŻYCZALNIA STROJÓW OFICJALNYCH

Wsiadam do autobusu w poszukiwaniu Burntwood Charity. Po szkole, w której rozpoczynałem karierę, nie ma jednak śladu – nie ma już nawet drogi, która prowadziła ku niej wzdłuż pól, nie ma też kół kopalnianych wind. Cała okolica składa się wyłącznie z domów i nowej, wielkiej „średniej” szkoły. Co ciekawe, kiedy się nad tym zastanowić, nie widać tu niczego, co upamiętniałoby postać Johna Arthura. Odwiedzam bibliotekę miejską, kolejne z miejsc, które dawniej często odwiedzałem, ale – podobnie jak w Oksfordzie – w Lichfield dane ze spisu ludności, listy wyborcze oraz archiwa parafialne, a także wszelkie dokumenty z okresu pomiędzy rokiem 1900 a wczesnymi latami trzydziestymi zostały zniszczone. Prawdę powiedziawszy, tutaj sierpy przeorały zapiski jeszcze głębiej. Zniknęły nawet rejestry rejestrów, wraz z miejscami, gdzie dawniej je przechowywano. Zupełnie jakby całe dziesięciolecie wyparowały bez reszty.

* * *

w Brytanii wojna była wydarzeniem dziwnym, czymś w rodzaju gorączki. Ludzie stali się bardziej towarzyscy, obcy odzywali się do siebie na ulicach i nawet ja częściej wychodziłem – do teatru, sali koncertowej lub jednego z nowych kinematografów. w szkole uczyłem podopiecznych o licznych w historii aktach niemieckiej agresji i polecałem im układać pełne oburzenia listy do kaisera, krytykujące naloty zeppelinów, zrzucających bomby na Great Yarmouth.

w początkowym okresie po wstąpieniu do wojska Francis co jakiś czas przysyłał mi listy. „Griff, teraz już mnie prawie nie znasz...”. Niemal widziałem, jak przymierza swą nową, żołnierską tożsamość. Jego korespondencja najpierw była pełna wyliczanek nowych znajomości i przejawów militarnej głupoty, na jaką napatrzył się, kiedy przenoszono go z jednego obozu szkoleniowego do drugiego, i potem, gdy wędrował po rozmaitych koszarach w południowej części Anglii. Kiedy znalazł się we Francji, na gwałtownie sta-

bilizującym się froncie zachodnim, listy stały się krótsze i bardziej zdawkowe. Zareagowałem podobnie jak miliony zdumionych krewnych i ukochanych, którzy otrzymywali przesyłki w podobnym tonie. Wyraźną szorstkość Francisca złożyłem na karb braku czasu oraz działalność wojskowej cenzury. Po niedługim czasie jednak, mniej więcej na początku 1915 roku, Francis zamilkł zupełnie.

Minęły dwa lata. o Francisie dowiedziałem się zupełnym przypadkiem, gdy, kupując w kiosku sieci Johna Menziesa swój egzemplarz „Post”, na peronie dworca kolejowego w Lichfield, nagle wydało mi się, że słyszę jego nazwisko. Natychmiast zrozumiałem, co się stało, z samych głosów, choć żaden z nich nie znał go zbyt dobrze. Echo jego imienia dolatywało mnie z ust nauczycieli i dzieci w szkole, oraz mijanych na ulicy przechodniów, rozmawiających o synu, mężu, bracie. Podobnie jak tak wielu innych, Francis Eveleigh zginął w bitwie nad Sommą.

Zobojętniały, lecz popchnięty do działania, badając ostrożnie fakty z życia Francisca w sposób, jakiemu opierałem się, gdy jeszcze żył, zdołałem odkryć, że jego rodzice mieszkali w dużym domu położonym wśród gruntów rolnych pod Louth w Lincolnshire. Stając przed ich drzwiami, w zabłoconych butach, pewnego zimnego dnia, gdy pytające światło wypłynęło wachlarzem z ich przedpokoju, przedstawiłem się pokojówce jako „przyjaciel z Lichfield”, po czym zostałem zaprowadzony do salonu, w którym pan i pani Eveleigh stali niczym porcelanowe figurki, zupełnie jakby czekali na mnie już od długiego czasu. Pan Eveleigh był kierownikiem banku, podczas gdy jego żona (miała oczy i bladą cerę Francisca, oraz jego gęste, ciemne włosy, które zawsze nosiła zaplecione w ciasny kok) oscylowała pomiędzy różnymi klubami brydżowymi i stowarzyszeniami obywatelskimi. Byli ludźmi solidnymi, godnymi zaufania i schlebilo mi i ujęło to, że chcieli mieć ze mną cokolwiek do czynienia. Oczywiście nie padła nawet sugestia, że Francis i ja byliśmy kochankami, w ogóle nie było mowy o tym, by prowadził jakiegokolwiek życie erotyczne. Przez cały czas jednak – przez wszystkie weekendy, kiedy korzystałem z zaproszeń państwa Eveleigh – panowała między nami atmosfera głębokiej, wrażliwej sympatii.

Światło w domu Eveleigh'ów zawsze było szare, a każdą część ciała, jakiej nie wystawiało się na działanie płomieni kominka, przesywały dreszcze chłodu. Siedząc w ich jadalni, gdy cykały zegary i trzaskały polana, spoży-

wając niekończące się posiłki z gotowanej kapusty, gotowanych ziemniaków i gotowanego bekonu, nietrudno było zrozumieć, dlaczego Francis opuścił swój dom. z drugiej jednak strony, ja dostosowałem się bez trudu i zawsze było mi przyjemnie móc spać w dziecięcym łóżku Francisca, na którego materacu wciąż wyczuwało się odcisk jego ciała. Lubiłem otwierać szuflady pełne wykrochmalonych mundurków rozmaitych szkół, do których zmuszono go, by uczęszczał, i chować twarz w ich fałdach.

Pan Eveleigh bez końca rozprawiał o polityce i wojnie. Wypytywał mnie o Żydów; czy nie uważam, że zawiązali spisek mający nastawić jedną połowę Europy przeciwko drugiej. Wydaje mi się, że wspomniał nawet o „przeniesieniu pejsatych na jakąś daleką, szkocką wyspę, po czym zapanowałyby wreszcie święty spokój”. Pytał mnie również, czy zgodzę się, że przeciętny robotnik jest w swej istocie leniem. Wątpił też, by każdy Tom, Dick czy Harry powinien posiadać prawo głosu, a Lloyd George’a uważał za zwykłego walijskiego gadułę – podczas gdy ten kraj potrzebuje prawdziwego, silnego przywódcy...

Ostatni raz spotkałem się z Eveleighami tuż po kapitulacji Francji. Pamiętam, że moja podróż pociągiem przez Peterborough i Lincoln przebiegała w atmosferze równie gorączkowej jak tamta, którą cztery lata temu odbyliśmy z Francisem ze Szkocji – a jednocześnie bardzo się od niej różniła. Nieznajomi znów zaczęli ze sobą rozmawiać, lecz w ich głosach pojawiła się niepewność, oblicza mieli rozgniewane i zacięte. Pojawiły się już plotki o rezygnacji Lloyd George’a i nadchodzących wyborach powszechnych, aczkolwiek – jako że wszystkie główne partie były prowojenne – nikt nie miał jasnego poglądu na główny temat kampanii. Kupiłem jedną z ostatnich w kiosku gazet i spojrzałem na nagłówek. KONIEC WOJNY. ALIANCI POKONANI. Był szósty dzień sierpnia 1918 roku; data, która jak mi się wydawało, nigdy nie będzie wyglądać dobrze na chłodnych kartach historii.

Frontowe drzwi domu Eveleighów były otwarte – co wyglądało na ostateczne potwierdzenie faktu, że oto zmieniło się wszystko. Ludzie wchodzili i wychodzili. Klienci z banku. Przyjaciółki z klubu brydżowego. Farmerzy i sąsiedzi. Czas płynął. Głosy najpierw przybrały na sile, potem zaczęły cichnąć. Gdy zostałem sam na sam z panem i panią Eveleigh, byłem już zmęczony i rozboleła mnie głowa. Niemniej, gospodarz uparł się, by rozłożyć na stole mapę Belgii i Francji, po czym poprosił, bym mu wytłumaczył, kto

dokładnie odpowiada za ten bałagan. Bez wątpienia mówiąc z sensem mniejszym niż podejrzewałem, wyjaśniłem, że gospodarki wszystkich krajów zostały poważnie nadwężone, że traktat podpisany przez bolszewików z Niemcami był kapitulacją i że obiecane amerykańskie posiłki okazały się zbyt nieliczne i przybyły za późno. Gdy tylko Niemcy dokonali wyłomu w liniach Aliantów, pewność wojny pozycyjnej prysła; w taktyce zaczęły się nagle liczyć przede wszystkim łączność, szybkość, zaskoczenie. a kiedy padł Paryż i brytyjskie oraz kolonialne wojska skupiły się chaotycznie wokół Cherbourga i Dieppe nie pozostało już nic innego poza poddaniem się Niemcom.

– Tego nie można tak zostawić – ogłosił pan Eveleigh, chwiejnym ruchem nalewając sobie kolejną szklaneczkę whisky. – Musi dojść do nowej wojny...

Później pani Eveleigh zaprowadziła mnie do mojego pokoju.

– Proszę, chciałabym, żeby pan to przyjął – powiedziała, wręczając mi dziecięcy zeszyt z widniejącym na okładce nazwiskiem Francisa oraz kilka podniszczonych cynowych zabawek. – Ach, mam jeszcze coś.

Usiadłem na łóżku i czekałem, a gospodyni przyniosła tekturowe pudełko z pieczątką ministerstwa wojny. Uniosła wieko i pokój wypełnił się jakimś nowym, nikłym zapachem. Błota? Śmierci? z pewnością był nieprzyjemny. Karton był do połowy pusty. Owo tanie wydanie „Wieści znikąd”. Para grubych, regulaminowych, szarozielonych wojskowych skarpet. Mniej codzienny dodatek stanowił pistolet. Wyglądał na dobrze utrzymany i – co budziło jeszcze większe zdumienie – obok niego spoczywało poźółkłe papierowe zawiniątko, w które zapakowano coś, co sprawiało wrażenie kilkunastu sztuk ostrej amunicji. Pani Eveleigh popatrzyła na mnie z góry i wręczyła mi wszystko.

– To również proszę zatrzymać – powiedziała. w jej tonie pojawiło się coś nowego, surowego. – Nie chcę tego.

Teraz stała bliżej. Myślę, że podobnie jak ja, na swój własny cichy sposób, wkroczyła do tej szarej krainy, jaka rozciąga się za przesadną ilością alkoholu. Rozejrzałem się dokoła. Popatrzyłem na znajomą tapetę, na cukierkowe obrazki. Spodziewałem się, że gospodyni odwróci się i wyjdzie. Ona jednak wciąż stała przede mną, na przemian splatając i rozplatając palce, przesuwając dłońmi wzdłuż długiego szeregu guzików czarnej sukienki.

– Dopiero teraz poczułam, że go straciłam – przyznała. – Zanim się dowiedziałam, że zaprzepaściliśmy wojnę, zawsze miałam wrażenie, że jakaś jego część może do mnie wrócić.

Skinąłem głowę, patrząc z góry na tę karykaturę Francisa jako kobiety w średnim wieku. Jej oczy tonęły w cieniu; były o ton ciemniejsze niż czerń.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zaznał kobiety. – Podeszła o krok bliżej. Zetknęliśmy się kolanami. Teraz spoglądałem prosto na nią, na fałdy jej podbródka, na gwałtownie unoszące się i opadające piersi. – Nie miałam pojęcia jaki jest... – powiedziała.

– Był... – Napiąłem ramiona. Poczułem się osaczony, zagrożony. Coś jednak pękło. – Kochałem go, pani Eveleigh. Po prostu go kochałem...

Cofnęła się i surowo skinęła głową. Szczerze przez moment myślałem, że w jakiś sposób podzielimy się swym bezfrancisowiem. Zamiast tego jednak doleciało mnie westchnienie jej sukienki i wyszła z pokoju przy wtórze cichego trzasku zamykanych drzwi.

Państwo Eveleigh nie napisali do mnie już nigdy potem.

i nigdy ich już nie widziałem.

* * *

Mając do zabicia pół godziny powstałe wskutek opóźnienia pociągu powrotnego do Oksfordu, kupiłem w tym samym dworcowym kiosku egzemplarz „Lichfield Mercury”, po czym usiadłem w poczekalni, gdzie zajęli już miejsca trzej członkowie Sojuszu Imperialnego Młodych. Ledwie wyrosli z wieku chłopięcego, a już udają dojrzałość i swobodę. Pałają pallasami i przeciągają się w swoich „skautowskich” mundurkach z długimi nogawkami. Dwóch z nich zaczyna nucić pod nosem jakąś melodię, co chwila kopiąc do rytmu w moją ławkę. Za oknem przystaje kobieta w kwiecistym kapeluszu. Rzucam jej zrozpaczone spojrzenie i decyduje się nie wejść. Robię co mogę, by zająć się gazetą, przeglądam ogłoszenia o pracy, w których Przyzwoita Wdowa szuka Czystej, Anglosaskiej Pary, mogącej zaopiekować się nią i jej Przytulnym Domem. Ogłoszenia drobne, w których oferuje się rozmaite modernistyczne i związane z SI kursy samokształcenia, wraz z ponoć zatwierdzonymi przez ministerstwo wojny ilustracjami Aniołów z Mons. Zdjęcie na ostatniej stronie – obok kolumny z dotyczącymi urządzania wnętrz poradami dla Młodych Modernistów – przedstawia starszą kobietę, zgarbioną w dybach na wiejskich błoniach. Została tam umieszczona – jak żartobliwie informuje

nas podpis – w ramach demonstracji „słusznego oburzenia miejscowej wspólnoty”. Redakcja zachęca czytelników do nadsyłania podobnych materiałów.

– Tak się właśnie zastanawiam – odzywa się z uśmiechem najlepiej wyglądający młodzik z SIM. – Dokąd się taki stary drań jak ty wybiera?

– Do Oksfordu – chrypię w odpowiedzi.

– Ale chyba nie jesteś jednym z tych jebanych jajogłowych dziadków, co?

– Cóż, prawdę powiedziawszy...

– Coś ci powiem. – Chłopak wstaje z ławki. Ma opaloną twarz. Jego brązowe włosy są przystrzyżone tak krótko, że gdyby je pogłaskać, okazałyby się w dotyku aksamitne. Podchodzi blisko i pochyla się. – Problem w tym... – Lekki deszczyk śliny opada mi na policzek. – Że skończyły mi się, cholera, zapaliki. Odpalisz mi fajka?

Nie odrywa ode mnie wzroku, gdy nieporadnie grzebię w kieszeni płaszcza. Jego koledzy obserwują, szczerzą się w uśmiechach. Chłopak ma intensywnie zabarwione tęczówki, bezchmurny błękit. Gdy na zapalce wykwita płomyk, mruży nieco oczy. Chwyta mnie za rękę i przyciąga ogień do papierosa. Kilka chwil później nadjeżdża mój pociąg i wychodzę z poczekalni – spocony wrak – unosząc ze sobą niewygodną, żenującą erekcję.

Do końca podróży wciąż jednak daleko. Letni żar wygiął szyny i trafiam na zbieleły od słońca peron jakiejś wiejskiej stacyjki z niejasną obietnicą innego połączenia do Oksfordu. Rozmawiam z zawiadowcą, mężczyzną o okrągłej twarzy, którego ciało łagodnie niczym drożdżowe ciasto wyrasta przez szczeliny uniformu.

– Wie pan – mówię, odchrząknawszy, podejmując ryzyko, do jakiego nakłania bliskość śmierci. – Od zawsze się zastanawiam, co spotkało ludzi, których wysłano na północ. Jeszcze jakieś pięć lat temu gazety bez przerwy pisały o Żydach. To znaczy... – waham się, bez powodzenia szukając lepszego sformułowania – o ich przesiedleniu.

Przygląda mi się spod zmrużonych powiek, ale stacja jest wyludniona, a tory ciągną się przez Leicestershire i Nottinghamshire pośród kołyszących się zagonów trybuli i dzikiego fenkułu. Powietrze dokoła łączy się z niebem. Jesteśmy tu bezpieczni, sami. Podejrzewam, że w innych czasach, w innym szczęśliwszym miejscu, mogłaby mnie i zawiadowcę połączyć rozmowa innego rodzaju. Dlatego też postanawiamy sobie zaufać.

– Teraz jest spokojniej – odpowiada. – Ale trzy, cztery lata temu przejeżdżało tędy wiele pociągów towarowych. Długie składy, wagony ze zbitymi z desek ścianami. Podobnymi farmerzy wożą zwierzęta na targ. Zawsze nocą. Jeden z nich się tu zatrzymał i żołnierz wyciągnął mnie z łóżka, bym nadał wiadomość dalej na trasę. Bił od tych wagonów paskudny śwąd i słyszałem wewnątrz poruszenie. Pomyślałem, że to po prostu bydło. Ale potem rozległy się głosy. i można też było zobaczyć ich oczy... palce dzieciaków wystawione pomiędzy deskami...

Zawiadowca wstaje i, szurając podszewkami, idzie przez upalny peron ku swej małej budce. Po chwili wraca, trzymając coś w dłoniach.

– Znalazłem to – mówi, rozwijając rulon, i podaje mi. – Później, na peronie.

Plakat reklamujący podróże, niemal identyczny jak te zachwalające Skegness i Barmouth, które uśmiechają się ku nam z murów. Rodzina spacerująca krętą drogą, wijącą się w kierunku rozmigotanego morza. Ojciec uśmiecha się szeroko, kiwa na nas, byśmy do nich dołączyli, a jego żona trzyma za rękę dwie córeczki, rozgadane i aż podskakujące z emocji. Kucyki dziewcząt tańczą w powietrzu. Na oceanie, bardziej zasugerowane niż ukazane, znajduje się centrum ilustracji, archipelag niewielkich wysepek. Jeżeli przyjrzeć się bliżej, okazują się jedynie kilkoma sprytnymi śladami pędzla, lecz udatnie podsuwają myśli o wzgórzach i łąkach, zalesionych dolinach, białych plażach i ładnych, bielonych wapnem, krytych kamiennymi dachami domkach; ciepłe i radosne miejsce do życia. Podpis głosi PRZESIEDLENIE NA LETNIE WYSPY.

Obiecany pociąg ostatecznie nadjeżdża i żegnamy się z zawiadowcą, przelotnie ściskając dłonie, delikatny dotyk ciała, które wkrótce stracę. Gdy koła wagonu już stukoczą, wyglądam bliski łoż przez okno. Oxfordshire. Potem sam Oksford. Przez Park End i George Street. Miasto jest ciepłe, ogamięte letnią ciszą; pogodziło się ze sobą, gdy pozbyło się już niechcianych, przeszkadzających studentów. Czuć słodką woń zakurzonych księgami, starego kamienia, psich kup, przystrzyżonej trawy.

– Coś do pana! – sapie Christlow, niemal potykając się o własne nogi, bym mnie przechwycić, kiedy kuśtykam po trawniku.

Odbieram list, którym wymachuję, wspinając się po starych dębowych schodach do swoich pokoi, po czym przyglądam się ozdobionej herbem ko-

percie. Opieram się o drzwi i zastanawiam, czy nie zabawić się ze sobą w pewną grę i nie otwierać od razu, zastanawiam się, jak bardzo niebezpieczny może się okazać jeden list... Moje ręce już jednak rozrywają woskową pieczęć i wyciągają samotną, grubą kartkę.

Pod herbową tarczą z lwem i jednorożcem czytam co następuje:

WHITEHALL

GABINET PREMIERA

8 sierpnia 1940

G B –

Wiem, że upłynęło wiele czasu, ale ja naprawdę nie zapomniałem.

Być może słyszałeś, że w Londynie odbędzie się Festiwal Narodowy, w okolicach 21 października, czyli Dnia Trafalgaru. Termin zapewne wciąż wydaje się odległy, ale naprawdę bardzo chciałbym Cię tam zobaczyć. Przrzekam, że nie będzie to żadna oficjalna uroczystość.

Mam szczerą nadzieję, że uda Ci się dotrzeć. Moi pracownicy doślą Ci szczegółowe informacje.

Jak zawsze, wszystkiego dobrego.

JA

* * *

Później, tego samego wieczoru, rozpalam w kominku niewielkie ognisko. Wrzucam do niego wszystkie napisane dotąd stronicie mojej książki. Tak czy inaczej, wszystko kończy w ten sposób. Napoleon. Piotr Wielki. Bismarck... tak się kończą wszystkie Harce Historii. Kartki się zwijają. Jaśniejące skrawki papieru tańczą, lecąc w górę komina. Wkrótce nie zostaje do spalenia już nic. Skończyło się tak szybko i cała reszta mojego życia – gdy otwieram steraną walizkę i tulę w dłoniach stary pistolet Francisa – od razu wydaje się o wiele prostsza.

CZTERY

Cumbernald, kierownik college'u, przychodzi pewnego wieczoru do moich pokoi, wyciąga się w jednym ze stojących przed kominkiem foteli i przyjaźnie zachęca, bym zasiadł obok. Cumbernald jest wysokim mężczyzną. Promieniuje od niego swobodna aura dostatku. Podobnie jak wielu innych przeciętnych naukowców, zajął się administracją. Niemniej, zaszedł niewiary-

godnie daleko i niewiarygodnie szybko. Niemal miło jest pomyśleć – gdy słońce połyskuje na jego łysej czaszce – że moja śmierć zapewne storpeduje jego plany na następny rok akademicki.

– Więc jeżeli chodzi o pierwszy semestr... – zaczyna, zakładając nogę na nogę, przy czym odsłania zdumiewająco brązową łydkę. – Myślałem, żeby dać ci dla odmiany zmierzch cesarstwa. Mam, widzisz, niewielki ambaras z Robertsem. Okazuje się, że w latach dwudziestych napisał książkę o gospodarce starożytnego Rzymu. Twierdził w niej, że kolonie wykorzystywały całą energię imperium. a potem wdał się w porównania z Brytanią. To się nawet pojawiło w pracy jego studenta. Chociaż nie możemy się przecież spodziewać, by kochana młodzież była mądra, jeśli sami jej tej mądrości nie wpoimy, prawda?

– Zdziwiłbym się, gdyby książkę Roberta można było jeszcze gdziekolwiek kupić.

– Tyle że nie w tym rzecz, nie uważasz? Pamiętasz Hobsona...? i Brookinga? Oczywiście, już ich nie ma. Historia się zmienia...

– a przy okazji – przerywam mu – przez pierwszy tydzień nowego semestru będziesz sobie musiał poradzić beze mnie.

– Ach, tak?

– Otrzymałem osobiste zaproszenie na obchody Dnia Trafalgaru. Od Johna Arthura.

Wyciągam rękę po plik obrębionych złotą obwódką papierów, które nadeszły niedługo po liście. Cumbernald przegląda je uważnie. Głośno przełyka ślinę.

– Jestem pewien, że przez tydzień damy sobie radę... – Uśmiecha się do mnie. – Tyle że, Brook, nie obraż się, że to powiem, ale wyglądasz nieco mizernie. a Eileen, dzieci i ja, cóż, mamy domek letniskowy pod Ross on Wye. Jest tam bardzo czysto, sympatycznie, elegancko. Bardzo modernistycznie. i ciągle sobie powtarzamy, że miejsca wystarczy tam dla co najmniej jednego interesującego gościa. Tak się więc zastanawiam...

* * *

Jajka z bekonem, jajka z bekonem, jabłka pieczone, jabłka pieczone, ser z ciasteczkami, ser z ciasteczkami, ryba z frytkami, ryba z frytkami...

Dwie córki Cumbernalda poruszają łokciami niby tłokami, szybciej i szybciej, udając, że daimler to pociąg. Jedziemy po A40 w kierunku Walii i Glo-

ucester. Christine ma jedenaście lat i jest starsza: pulchna dziewczynka, opisywana jako „mądra” i „dużo czytająca”. Barbara ma siedem lat, jest szczęśliwsza, bardziej pewna siebie i „szykowna”. Cumberland pstryka włącznik radia i zaczynają się z Eileen – jego żoną – spierać, czy słuchać programu Light, czy Trzeciego. z głośników porykują na przemian urywki piosenek Very Lynn, szumy i fragmenty Czajkowskiego – brzmi to niemal jak awangardowa, „europejska” muzyka, którą tak błyskawicznie potępili. Christina i Barbara tymczasem robią się niepokojąco zielone i apatyczne.

Gdy wreszcie przybywamy do Penrhos Park mam wrażenie, że jest później niż w rzeczywistości. Domek, obłożony z zewnątrz balami niczym chata jakiegoś bajkowego myśliwego, wznosi się na ocienionej przez sosny polanie. Cumberland przygotowuje kolację na zewnątrz, za pomocą prymitywnego, żelaznego urządzenia, które wypełnia węglem. Eileen rozpakowuje bagaże, a dzieci znikają między drzewami. Gdy spoglądam ponad koronę lasu, zauważam dymy innych palenisk. Wzbijają się niczym indiańskie sygnały. Zapada zmrok i Eileen ustawia na stole lampę. Przyglądamy się ćmom, które lecą ku czekającej je na gorącym szkle zagładzie.

– Od razu lepiej wyglądasz – zauważa Cumberland, opierając kieliszek wina na kolanie. w sandałach i workowatych szortach sprawia miłe, komiczne wrażenie. – Wspaniałe miejsce, nieprawdaż? Czuje się tu oddech prawdziwej Anglii.

Nagle zapada nocna cisza. Słysząc nikłe szelesty sosen, odległe pohukiwanie sowy. Niewiele trzeba wyobraźni, by pochwycić ryk niedźwiedzia, pofukiwanie ryjącego dzika, wilczy skowyt – powrót wszystkich tych dawnych bestii w rozległe Lasy Albionu. i wtedy słyszę piskliwy wrzask. Dźwięk tutaj tak dziwny, a przecież tak bardzo znajomy. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to po prostu przejeżdżający nieopodal pociąg.

– To tylko linia towarowa – tłumaczy Cumberland. – Nie mam pojęcia dokąd ani skąd prowadzi. Ale nie martwiłbym się, bracie. Ten powinien być ostatni. Nigdy nie słyszałem, żeby jeździły później, więc wyśpimy się spokojnie. a przy okazji, pomyślałem, że rano możemy się wybrać na kąpielisko. Co ty na to?

– Tak? Owszem, świetnie.

* * *

Rano jemy jajka na bekonie, po które to składniki dziewczynki wybrały

się z samego rana, by powracająca do swej tradycyjnej roli Eileen mogła je jak najwcześniej przyrządzić. Skwierczenie miesza się w mojej głowie z rykiem i stukotem pociągów, które poharatały mi noc.

Droga na kąpielisko jest doskonale oznakowana, lecz wymaga długiego spaceru poza wysokie żywopłoty i długie mury. Następnie stajemy w kolejce przed kołowrotem u wejścia. Wahadłowe drzwi za nim prowadzą do gorącego, drewnianego tunelu. Wzdłuż ścian stoją ławki: rodzaj przebieralni. Eileen Cumbernald zdejmuje bluzkę i wiesza ją na opatrzonym numerkiem haczyku. Nie ma na sobie stanika. Sam Cumbernald przeciwnie, najpierw zdejmuje szorty i szerokie slipy, a dopiero potem sandały. Dziewczynki, za sprawą jakiegoś natychmiastowego procesu, są już nagie i odbiegają, by dać się pochłonać jasnemu prostokątowi światła w wylocie tunelu.

Cumbernald naprawdę jest brązowy. Eileen także. Aczkolwiek zauważam, że nie do końca jest taką blondynką, na jaką pozuje. Rozpinam kilka symbolicznych guzików koszuli, zastanawiając się jednocześnie, jak mocno powinienem się uszczyptać, by się obudzić. „Och, miałem niesamowity sen. Byłem z kierownikiem college’u i jego żoną. Rozebrali się do naga i poprosili, bym uczynił to samo...”. Rozdziawszy się w jakiś sposób, wychodzę ciężkim krokiem na oszałamiające słońce. Obiecuję mieć oko na dzieci i siadam nad jeziorem, biorąc do ręki egzemplarz czegoś zatytułowanego „Future Past”, a Cumbernald z żoną odchodzą, by skompletować drużynę siatkarzy. w oddali obracają się białe żagle. Jakaś kobieta karmi piersią dziecko, siedzi na sąsiednim ręczniku i angażuje mnie w niepokojąco wiele urywków rozmowy. Po brzegu przechadza się Młody Adonis. Na jego ciele nie ma prawie jednego włoska. Niemniej, mimo tych wszystkich wspaniałości jego genitalia stanowią rozczarowanie – stwierdziłem to nawiasem – z drugiej jednak strony rzeczywistość sprawdza się co mówią; nadzy ludzie wyglądają niebywale przyzwoicie. Przez cały czas powinniśmy chodzić bez ubrań. Od razu to widzę: „Naturyzm – odpowiedź na wszystkie problemy świata”. Szkopuł w tym, że odnoszę wrażenie, że to tytuł książki, do jakiej kupna się nie posunąłem, wybierając w Blackwells publikacje na temat Johna Arthura.

Mrużąc oczy, spoglądam na książkę, której lekturze miałem się oddać. „Rozdział piąty. Wielkość brytyjskiego dziedzictwa – prawda czy mit?”. Czuję jednak owiewający mnie wiatr – nastraja dziwnie euforycznie – i układam się na ręczniku, pozwalając przerażającym stronicom wyciągnąć się na

piasku. Składam się po części z wody, z powietrza, z krzyków, z nawoływań... Południe przychodzi i odchodzi. Nadciąga popołudnie. Pływam. Jem lody i zapiekaną w cieście wieprzowinę. Pochłaniam całe galony napoju „Vimto”. Wieczorem, gdy zbieramy swój niewielki dobytek i wyruszamy z powrotem na wzgórze, skóra mnie swędzi, a fiut – nie da się tego nie zauważyć – przypomina nieco jedną z grillowanych kiełbasek Cumbernalda, przypieczoną tylko z jednej strony.

Tej nocy dygocę i piekę się w polewie miętowej maści. a pociągi wciąż nie próżnują, klekocą w tę i z powrotem, pobrzękując łańcuchami i sprzęgami, sycząc hamulcami. Potem rozlega się skrzypienie, wyraźnie słyszalne przez cienkie ściany domku i Cumbernaldowie zabierają się za własne sprzężenie. Słyszę też wołania dzieci: podzwanianie prysznic, spod którego wychodzą niczym topielice z oklapłymi włosami, chude i nagie, idące ku światłu, które ma je pochłonać...

o trzeciej nad ranem, zeszywniały i nękany mdłościami, idę przez półmrok salonu i otwieram drzwi na patio. Srebrzysta noc oplata drzewa wokół polany i słyszę posapywanie – niczym westchnienia wielkiego zwierzęcia – pociągu, który musi czekać niemal zaraz za działką. Bosy, owinięty wygniecionym prześcieradłem, ruszam w jego stronę.

Wielka lokomotywa niecierpliwie dyszy, po chwili porusza kołami, które spinają się i podejmują przerwany ruch, ciągnąc za sobą ogromny ciężar składu. Wagony są pozbawione dachów, przesłonięte cętkowanym kamuflażem, aczkolwiek bez trudu można wyłowić wielkie cielska bombowców lancaster. *Jajka z bekonem, jajka z bekonem, jabłka pieczone, jabłka pieczone, ser z ciasteczkami, ser z ciasteczkami, ryba z frytkami, ryba z frytkami...*

Powłócząc całunem prześcieradła, wracam do domku i kładę się, wpatrzony w szary, wirujący sufit pokoju. Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście jestem w stanie dokonać dzieła, do jakiego moje myśli, niczym tryby jakiejś niepowstrzymanej maszyny, raz po raz powracają: dzieła, które mogłoby sprawić, że moje życie nabrałoby sensu, i pozwoliłoby uregulować dług, jaki zaciągnąłem wobec swego znajomego i wobec Larry’ego Blacka i wielu innych, wobec palców błagalnie wystawionych przez szpary w ścianach wagonów kolejowych, wobec tych straconych, uśmiechniętych rodzin, zmierzających krętą drogą, by mógł je pochłonać blask Letnich Wysp. Ten sam dług zaciągnąłem nawet u Francisa, choć z powodów, które znacznie trudniej wy-

jaśnić.

Pif-paf. Tupot oficerów RSJ. Słonawe smugi kordytu i dymu. Jestem Charlottą Corday, która wbija nóż w ciało Marata, jestem Gawriło Principem i arcyksięciem Ferdynandem, jestem Johnem Wilkesem Boothem i Lincolnem... Jestem Palcem Historii.

Pif-Paf. Na długo po tym, jak bezruch i cisza znów objęły w posiadanie las, wciąż słyszę stukot kół pociągu.

* * *

Powszechnie uznane prawdy dotyczące młodości Johna Arthura przedstawiają się tak, że przyszedł na świat jako syn Williama i Mary Arthurów, 21 października 1890 roku, w stosownie uroczym (udostępnionym obecnie zwiedzającym) domku w Kornwalii. Mary Arthur zmarła w połogu, po czym William Arthur wraz z synem zaczął podróżować za pracą po całej Brytanii. Wedle popularnego wyobrażenia, John Arthur nie mieszkał w normalnym domu, dopóki nie osiągnął wieku około dwunastu lat. Sypiał w stodołach, na stogach siana, pod gwiazdami. Siadał na kamieniach milowych i wpatrywał się w przyszłość. w bardziej naciąganych książkach, na jakie się natknąłem w trakcie swych badań, można znaleźć fotografie kamiennych odcisków dłoni Johna Arthura, nazwanych jego imieniem krzewów głogu, chwiejących się na wietrze.

Krótkie wzmianki o Burntwood najczęściej wyglądają mniej więcej tak: „William Arthur nauczył się nowego fachu – górnictwa – w kopalni (obecnie nieczynnej) w południowym Staffordshire, gdzie John przez krótki czas uczęszczał do szkoły, zanim przenieśli się obaj do wioski Raughton w południowej części Yorkshire”. Słynna kopalnia w Raughton również została zamknięta – synowie i córki górników pracują teraz za kontuarami sklepów z pamiątkami, muzeów, pubów i pensjonatów. Jednakże, z tego co wiem, to właśnie tam chłopiec nazwiskiem John Arthur spędził swą młodość i tam także w kopalnianym wypadku zginął jego ojciec.

Podobno w wieku piętnastu lat John Arthur osobiście znalazł się na przodku. Gdy miał lat osiemnaście, podjął pracę przy budowie dróg. Ukończywszy dwudziestkę, wstąpił do szkoły wieczorowej w Nottingham. Kiedy osiągnął wiek lat dwudziestu trzech, w jego życie wtrąciła się wojna. Po raz pierwszy został ranny we Flandrii w 1915, a następnie w trakcie ofensywy nad Sommą. Na front wrócił w połowie 1917, awansował do stopnia kaprala,

pod Ypres dosłużył się Krzyża Jerzego i w jakiś sposób zdołał przetrwać wojnę, a także pełen niepewności okres po kapitulacji.

Wedle zgodnych obliczeń biografów, John Arthur miał wówczas dwadzieścia siedem lat. Jako były kapral – przywódca niewielkich grupek mężczyzn nawykłych do surowych decyzji i wojennej grozy – był znakomicie przygotowany do tego, by zaznaczyć swą obecności w dziwnym, brutalnym świecie peryferiów polityki lat dwudziestych. We Włoszech II Duce przejął już władzę, stawiał świątynie w stylu romańskim i bijąc się w piersi, przemawiał z balkonów. John Arthur tymczasem wciąż próbował dać się poznać w zakątkach barów na East Endzie, gdzie narzekał na niesprawiedliwość traktatu wersalskiego. Dla Brytanii była to jednak tylko jedna z wielu klęsk. Afryka Południowa pograżyła się w wojnie domowej, Rosjanie rozszerzyli swoje dominium w Afganistanie, niebezpiecznie zbliżając się do granic Indii, a potem nadeszło ostateczne, druzgoczące upokorzenie. w roku 1923 irlandzcy republikanie pokonali siły angielskie, ulica po ulicy zdobyli Dublin, a następnie zadali ciężkie straty wycofującym się na północ Brytyjczykom.

Wówczas nic nie przedstawiało większej wartości. Ja sam wystawiałem w kolejkach, by kupić zgniłą kapustę po dziesięć, pięćdziesiąt, a wreszcie sto funtów, jedne wybory powszechne następowały po drugich i MacDonald zastąpił Baldwina, po czym Baldwin powrócił do władzy. w Indiach doszło do klęski głodu. Na ulicach trwały walki i demonstracje. Kiedy podczas Trzeciego Strajku Generalnego z lat 1924-5 władzę objął Churchill, któremu udało się pokonać górników i maszynistów kolejowych, a także wypuścić na rynek „gwarantowanego funta”, walutę w jaką ludzie dziwnym trafem uwierzyli, wydawało się, że najgorszy okres powojennego koszmaru Brytania ma już za sobą. Wciąż jednak brakowało pieniędzy. Komuniści i faszyci nie zniknęli. Nie zniknęły również konieczność płacenia reparacji, poczucie porażki i atmosfera narodowego kryzysu, którą Churchill często tak umiejętnie wykorzystywał. w tym nowo urządzonym świecie Brytania stała się krajem trzeciorzędny; niewielką wyspą w cieniu potężnego kontynentu, czymś w rodzaju Ziemi Ognistej, Cejlonu, Madagaskaru.

w tamtym okresie spotkałem Johna Arthura tylko raz, chociaż wiem, że do podobnego zaszczytu przyznaje się obecnie wielu ludzi. Pracowałem jako nauczyciel w gimnazjum w Lichfield, aczkolwiek wraz z kolegami musieliśmy egzystować dzięki kredytom i połowie pensji. Znałem rozmaite przystanki

autobusowe i krzewy odwiedzane przez samotnych mężczyzn z okolicy, lecz zdawałem sobie również sprawę z istnienia policyjnych prowokacji, oczerniających artykułów w „Lichfield Mercury” po jakich często dochodziło do samobójstw wymienionych osób, długich wyroków więzienia, oraz pobić i gwałtów za pomocą pałek, które zazwyczaj spotykały osadzonych nocami. Mogłem oczywiście uczcić pamięć o Francisie, poszukując kogoś, na kim by mi zależało, lecz zamiast tego – w miarę jak lata dwudzieste przeszły od łupacza po pięćset funtów do churchillowego pustostłowia – stałem się częstym, weekendowym gościem Londynu. Po Francisie podjąłem decyzję, jaka staje się udziałem wielu homoseksualistów, gdy już raz zawiedzie ich miłość – odebrałem seksowi świętą moc i uczyniłem z niego sposób na upokorzenie i degradację samego siebie, parodię, komedię.

Pewnego razu, spacerując mniej więcej o północy w okolicy doków i mieszkań East Endu, gdzie policja już dawno przestała sprawować kontrolę, podszedłem do oświetlonego gazową latarnią zgiełku narożnego pubu. Ledwie pół godziny wcześniej stałem na czworakach na poczemiałym pogorzelsku, na pół zadławiony, gdy cudza pięść zaciskała się na moim kołnierzyku, a od tyłu wpychano mi nienawilżonego kutasa. Pub nosił nazwę „Cottage Spring”. Zaszło mi w gardle, więc ruszyłem do baru, lecz zaraz musiałem ulec rozpychającym się ramionom. Nagle uderzyło mnie panujące wewnątrz poczucie czegoś ważnego, co miało się zaraz wydarzyć.

Noce na East Endzie były niespokojne, niebezpieczne. Niemniej, seksualne poszukiwania absorbowwały mnie do tego stopnia, że nie uświadomiłem sobie innego ryzyka na jakie się wystawiłem. Nikt mnie nie zauważył, kiedy wchodziłem, lecz z pewnością zwrócono by uwagę, gdybym spróbował wyjść. Zerknąłem na stojącego najbliżej mężczyznę. Poruszył ustami. Zaczął szeptać czyjeś nazwisko, z początku ledwie słyszalnie, lecz coraz wyraźniej. Słowa wypełniły powietrze. a potem człowiek, którego wywoływali już wszyscy zebrani, wspiął się na bar. Miał bladą twarz, ręce zabrudzone krwią lub błotem, a jednak, balansując na tle rzędów zakurzonych szklanek, zdołał zachować niewymuszoną godność. Uniósł ręce i spojrział z uśmiechem na tłum poniżej. Mimo że zmienił się znacznie przez te jedenaście lat, które minęły, odkąd go widziałem ostatnio, to właśnie ów uśmiech mnie upewnił. Nie miałem żadnych wątpliwości, że ten człowiek – ten John Arthur, którego wzywali goście pubu – nosi w rzeczywistości nazwisko Francis Eveleigh.

Nie zamachałem rękoma i nie zacząłem wołać. Nie spróbowałem nawet pochwycić jego wzroku. Wyczołgałem się z wolna ku szerokiemu filarowi u drugiego końca baru. Pozostali pchali się naprzód, by stanąć jak najbliżej. Ja za to ukrywałem się przed jego spojrzeniem.

Owszem, John Arthur od tamtej pory znacznie udoskonał swoją technikę. Tym niemniej, jego przemówienie owej nocy było w istocie identyczne jak te, które wygłaszał potem przed budynkiem numer 10 na Downing Street, tudzież na ekranach krajowej telewizji. Ta stawiana na wstępie pauza. Ten swojski, autoironiczny uśmiezek, jakby pytał słuchaczy, dlaczego właściwie musiało paść akurat na niego? Wówczas człowiek nie spodziewa się już niczego ponad spokojną pogawędkę, lecz nagle któraś z jego anegdot sprawdzi nas ku jednej z narodowych porażek. Być może do wymuszonej ucieczki floty ze Scapa Flow w 1919, do odrzucenia wystosowanej przez MacDonalda petycji o zaliczenie kraju w poczet członków Ligi Narodów, bądź do sprawy Irlandii. Irlandia pojawiała się zawsze. John Arthur, teraz już wyraźniej kontrolujący tłum, spoglądał na zasłuchanych ze smutkiem. „Naprawdę” – mówiły jego oczy – „gdybyśmy tylko mogli się po prostu śmiać i bawić jak niewinne dzieci...”.

Nie daje się określić momentu, w którym podnosi głos, gdyż robi to zawsze na fali pobudzenia widowni. Wydaje się tak spokojny, w zasadzie tak niechętny, że słuchacza ogarnia pewnego rodzaju tęsknota. Dokładne słowa, które padły tamtej nocy, są równie mało ważne, jak jego niedawne mowy wygłoszone z okazji otwarcia olimpiady czy ku czci uwieńczonej wspaniałą klęską wyprawy Fordinghama na Everest. Jedynym, co pamiętam, jest fakt, że byłem wzruszony w dokładnie ten sam sposób, w jaki porusza mnie niekiedy dobra muzyka populama. I to jeszcze, że gdy John Arthur skończył mówić i zszedł z baru, zebrani ludzie szczęśliwie odpłynęli w ciemność, ku miejscom uchodzącym za ich domy. Przez wiele lat trzymałem się tego wizerunku Johna Arthura – raczej poskramiacza niż człowieka podżegającego do przemocy. Po części to właśnie pozwoliło mi zachować zdrowe zmysły.

Gdy tłum w „Cottage Spring” zaczął rzednąć, stwierdziłem, że nie mogę się zza swojego filara ruszyć. Ręka Francisa spoczywała na ramieniu tłustawego, nieco starszego mężczyzny, który jest teraz naszym wicepremierem Williamem Arkwrightem. Rozmawiał też ze swym ówczesnym zastępcą Peterem Harrisonem, który został stracony za zdradę w 1938. Gdy tak stałem,

zdumiało mnie, jak bardzo wciąż pragnę go tulić. i wtedy, doznawszy jak sądzę tego bezimiennego wrażenia bycia obserwowanym, powiódł wzrokiem ponad powalonymi stolikami i krzesłami, prosto ku mnie. Stałem po prostu z rękoma w kieszeniach uwalanego płaszcza i wyglądałem jak starzejący się frajer, którym się zresztą stawałem. Gdy oczy Johna Arthura spotkały się z moimi, pojawił się w nich na moment ślad uśmiechu, cień, który musiał oznaczać, że mnie rozpoznał. Potem się odwrócił.

* * *

Jajka z bekonem. Jajka z bekonem...

Wracam z Penrhos Park do Oksfordu i mijają kolejne dni. Zbliża się Złoty Tydzień. Kamienie i pola jaśnieją w oczekiwaniu. Starsi pracownicy uniwersytetu, my, profesorowie, doktorzy i doktoranci, posiadacze magisteriów z zawiłych dziedzin, autorzy bestsellerów, przestępcy seksualni, ukradkowi alkoholicy, sportowcy i esteci, krzczemy i łopoczemy jeden do drugiego w swych czarnych togach, gdy łodzie przepływają z wolna pod Magdalene Bridge.

Kiedy podjąłem moje wyprawy do Radcliffe, nowe prześwietlenia wykazały, że wielka, rozciągająca się w moim ciele sieć raka przestała rosnąć. Nie zniknęła i nadal jest niemal bez wątpienia śmiertelna, ale z praktycznego punktu widzenia, przystopowała. Czekać więc, a kolejne dni osuwają się w paszczę historii.

– Nie mogłem nie zauważyć, proszę pana – mówi pewnego ranka Christlow, szykując się, by spluć na szmatkę i przetrzeć niewielkie lustro nad półką z książkami – że otrzymał pan oficjalne zaproszenie. – Naprawdę mówi „oficjalne”. Osobom z klasy pracującej zawsze wydaje się, że to lepiej brzmi.

– To prawda. – Odwracam się znad mapy centrum Londynu, którą właśnie studiowałem.

– w sumie – ciągnie Christlow, czyszcząc szkło – sam też będę w Londynie z okazji festiwalu. Też będę świętował, na swój skromny sposób. Może na siebie wpadniemy...

– z pewnością będę cię wypatrywać – odpowiadam. Ale Londyn to wielkie miasto.

Christlow odkłada ścierkę i nagle patrzymy sobie w oczy. Nigdy dotąd nie zauważyłem, jak bardzo przypomina Mussoliniego: modernizm był mu za-

pewne przeznaczonej od urodzenia. Odchrząkuje. Prawdopodobnie zbiera się na śmiałość, by zapytać, dlaczego teraz zawsze siedzę w pokojach, kiedy sprząta, i dlaczego zabezpieczyłem swoją starą walizkę dodatkową kłódką. Potem zbiera swoje rzeczy z jakimś nagłym pośpiechem i zamyka za sobą drzwi, pozostawiając mnie moim własnym myślom, marzeniom, biurku i pracy.

Otwieram okno i chwytam potężny, rozedrgany haust oksfordzkiego powietrza. Dzisiaj rano wydaje się chłodniejsze. Drzewka cytrynowe ociekają wodą, nasiona sykomory wirują w locie, wieże, dachy i kopuły kąpią się w miękkim, jesiennym świetle. i rozlega się dźwięk dzwonów – wypełnia mi głowę, oczy, płuca, serce. Och, Oksfordzie! Oksfordzie! Nie zniosę rozstania z tobą.

Lecz historia wzywa.

Nadeszła moja chwila.

PIĘĆ

Narrator „Wieści znikąd” Williama Morrisa budzi się w Londynie i stwierdza, że nastąpi wreszcie lato. Powietrze ma słodszy zapach. Nurt Tamizy staje się bardziej przejrzysty, a budynki wznoszące się na jej brzegach przeobrażają się we wspaniałe dzieła sztuki. Ludzie noszą jasne ubrania i uśmiechają się do siebie, zaprzątnięci codziennymi obowiązkami. Bieda nie istnieje. Dzieci rozbijają obozy w Kensington Woods. Parlament został zamieniony w targ warzywny.

Wyśnione przez Morrisa marzenie o utopijnej krainie ziściło się okragłe półtora stulecia przed czasem. To miasto, myślę, sącząc gin i wyglądając ze sterowca pomrukującego ponad okazałymi parkami, gwamymi ulicami i spryskaną płatkami słońca rzeką, nigdy nie wyglądało bardziej urokliwie. Teatr Adelphi. Igła Kleopatry. Wijące się po Tamizie łodzie wycieczkowe... Dźwięk silników „Królowej powietrza i ciemności” staje się wyższy, gdy pojazd opada w dół na wskroś nieba, sunąc nad błyszczącymi jeziorami i kąpieliskami Hyde Parku. Wreszcie, po długiej chwiejnej chwili pełnej pisku podmuchów powietrznych, sterowiec bezpiecznie cumuje do wysokiej wieży i wraz z tuzinem pomniejszych dygnitarzy zostają odprowadzony rozkołysanym tunelem ku windzie, znoszącej nas wśród zawrotów głowy na ziemię.

Nieuprzejmie byłoby nie uśmiechnąć się i nie zamachać do obiektywu kamery Pathe News, która śledzi przejazd naszego autobusu z odkrytym gór-

nym piętnem. Kto wie, trąca mnie mroczniejsza myśl, być może właśnie to ujęcie twarzy mordercy przejdzie do historii. Przejeżdżamy przez Oxford Street, skręcamy w nową, przestronną architekturę Charing Cross Road. Następnie Trafalgar Square, z którego wznosząca się u kresu Park Lane Wieża Zwycięstwa wygląda jak jakaś rakieta z kart powieści Juliusza Verne'a lub nowa, tajna broń. w porównaniu z tym wszystkim, potężne rządowe gmachy Whitehall sprawiają wrażenie solidnych i ponurych. Po prawej ręce mamy Downing Street i – akurat kiedy patrzę – brama otwiera się na swych elektrycznych zawiasach i wytacza się z za niej rover z trzylitrowym silnikiem, w eskorcie – z przodu i z tyłu – policyjnych radiowozów. Nie słychać dzwonnów, nie błyskają światła. Gdy samochód skręca w Whitehall, zauważam twarz pogrążonego w myślach Johna Arthura, wyglądającego z za zwykłej, nieprzyciemnionej szyby samochodu. Czuję, jak zamiera mi serce.

Kiedy wysiadamy na południowym brzegu Tamizy przed wejściem do hotelu New Dorchester, megafon zarzuca nas niespójnymi poleceniami. Reeve-Ellis, podsekretarz, pod którego opieką się znajdujemy, kładzie mi dłoń na ramieniu i prowadzi przez kolejne drzwi, przez przestronne, główne atrium, gdzie kariatydy o nagich piersiach podtrzymują ramionami łuki szklanej kopuły dachu.

– Do wielkiej daty zostały już tylko dwa dni, Brook – mamroce tym swoim suchym głosem. – Najwyższa pora, byśmy sobie trochę porozmawiali...

Prowadzi mnie do drzwi z tabliczką WSTĘP WZBRONIONY, przed którymi tłusty policjant o numerze służbowym T3308 zrywa się z krzesła, kołysząc przypasany do boku pistoletem niczym fiutem. Dostaję gęziej skórki, lecz po drugiej stronie znajduje się jedynie długi korytarz, tętniący stukotem maszyn do pisania i trzaskaniem zamykanych szaf.

– Obawiam się, że mamy tu potężny bałagan. – Reeve-Ellis zdejmuje marynarkę w tymczasowym gabinecie i narzuca workowaty, szary rozpinany kardigan. Jego krótkie wąsy jeżą się, gdy próbuje uśmiechu.

Wiem już, że Reeve-Ellis ukończył Balliol College w Oksfordzie, studia rozpoczął w 1909, i pracował w radzie ministrów w chwili rezygnacji Lloyda George'a. To oznacza, że widział wszystko, że harował pod rozkazami rządów każdej maści.

– Chciałem zapytać – zaczynam – jak dokładnie...

– ...południową paradę na the Mall obejrzyście z miejsc honorowych.

Obawiam się jednak, że samo zakończenie będziesz musiał opuścić. Inaczej nie zdążymy odstawić cię na czas na Downing Street.

– Czyli... w ogrodzie numeru dziesięć będzie około... ilu? Dwudziestu ludzi i zapewne nieco... służby?

– Mniej więcej. To nieformalne spotkanie.

– a jeśli się rozpada?

– Jesteśmy szczęśliwym krajem, Brook. Nie będzie deszczu. – Ponownie się uśmiecha. – Jak mówię, proszę zachować w kalendarzu wolny termin na poniedziałek, godzina osiemnasta. Nie przejmuj się protokołem ani strojem. J.A. nie przykłada do tego rodzaju spraw najmniejszej wagi.

– Prawdę mówiąc, kupiłem nowy gamitur – przyznaję. – Dziś rano przywieźli mi od Hawkesa z Saville Row.

Ręcznie szyty, kosztował mnie prawdziwą fortunę. Czuję się w nim zupełnie inaczej niż w jakimkolwiek innym ubraniu. Dokładnie jak poprosiłem, marynarka została zaopatrzona w specjalnie wzmocnioną i pogłębioną lewą wewnętrzną kieszeń, w której zmieści się pistolet, spoczywający obecnie na starzejącej się wyściółce wiekowej walizki, którą ze sobą przywoziłem.

* * *

Gdy odkryłem, że mój Francis żyje, byłem już przekonany, że przeszedłem wszelkie możliwe etapy żałoby po nim. Przebrałem przez gniew. i przez niemal samobójcze nieszczęście. Wreszcie udało mi się wyobrazić, że moje życie przestało się toczyć w jego cieniu. Samo jednak wspomnienie spojrzenia, które mu rzuciłem, stojąc w tamtym pubie, sprawiło, że uświadomiłem sobie, iż w moim życiu wszystko sprowadza się do Francisa, do Francisa, do Francisa. Po co zresztą jeździłem do Londynu, jeśli nie po to, żeby unieważnić miłość, jaką do niego czułem?

Nawet w 1925 ten John Arthur, którym stał się Francis, nie był już zupełnie nieznaną osobą i wkrótce oszczędzono mi kłopotu przeglądania egzemplarzy „National Rights!” i „The Spitalfields Chronicle”, dzięki którym śledziłem jego poczynania. Należał do grupy kilku ludzi, jacy wkroczyli na szersze polityczne wody dzięki Churchillowi, który posłużył się pravicowymi ugrupowaniami do ukrócenia przeciągającej się sztafety strajków. Tyle że John Arthur zawsze wyprzedzał wszystkich pozostałych. Ze swoim akcentem oraz manierami, wydawał się człowiekiem wykształconym i jednocześnie dzieckiem klasy robotniczej. w epoce utraconej pewności stanowił doskonały

temat dla prasy. i miał smykałkę do głoszenia rzeczy oczywistych – mówił, że Brytania jest biedna, że zostaliśmy pohańbieni utratą Irlandii i Imperium. Tej zdolności brakuje większości innych polityków. w odróżnieniu od Williama Arkwrighta, Petera Harrisona i rodzącej się gwiazdy Jima Tollera, John Arthur nigdy nie był otwarcie rasistowski bądź nietolerancyjny. Jego staranne, kulturalne pochodzenie i wykształcenie, wędrówki, wojenne zasługi, czas łobuzerki i bezrobocia na East Endzie, powodowały, że człowiek ten miał tak wiele różnych twarzy, że można było wybrać sobie jedną i nie zwracać uwagi na pozostałe.

Zimą 1927 roku John Arthur wystartował w wyborach uzupełniających w Nottinghamshire jako pierwszy w historii kandydat z ramienia Sojuszu Imperialnego. Doskonale pamiętam chwilę, gdy podniosłem gazetę z wycieraczki, nazajutrz po jego inauguracyjnym przemówieniu w parlamencie. Co stosowne, gazetą tą był jak sądzę „Sketch” gdzie znalazł się również tekst „Kim jest GEOFFREY BROOK?”, wydrukowany à propos fragmentu przemówienia Arthura, w którym opowiadał, jak bardzo na jego rozwój wpłynął pewien nauczyciel z Burntwood nazwiskiem właśnie Geoffrey Brook. w końcu byłem już dla niego odległym wspomnieniem; nie istniał żaden powód, dla którego powinien dokładnie pamiętać moje nazwisko.

Po kilku dniach dziennikarze odszukali mój adres i przeżyłem swoją własną chwilę sławy. Nazywali mnie Geoffrey i bezustanne korygowanie omyłki wydawało mi się chamstwem, tym bardziej że nie byli dalecy od prawdy. Czy cokolwiek by się zmieniło, gdybym rozgłosił, że choć bardzo niewiele wiem o człowieku nazywającym się John Arthur, to wielce mi przypomina kogoś innego, osobę, z którą przeżyłem niegdyś homoseksualny romans? Poza zdradą zaufania i zagwarantowaniem sobie śmierci w jakimś paskudnym wypadku, raczej niewiele.

Rok potem, w 1928, gdy po wiosennych wyborach do Johna Arthura dołączyło kolejnych dziesięciu parlamentarzystów SI, a Churchill uporczywie trzymał się władzy, wydawca „Daily Sketch” zaproponował mi pisanie cotygodniowych felietonów. Wreszcie poczułem się jak ktoś znaczący. Churchill tymczasem wytrwał do października 1929 i krachu na Wall Street. Wówczas premierem rządu jedności narodowej został Ramsey MacDonald, a Oswald Mosley mozolnie próbował zjednoczyć na powrót Partię Pracy, po czym zrezygnował i sześć miesięcy później przystąpił do SI, doprowadzając tym sa-

mym do rozpisania jeszcze jednych wyborów. Tym razem John Arthur wybrał się w objazd od okręgu do okręgu – latał aeroplanem vickersa. Niebezpieczny powab SI był tak wielki, że nawet gruby zastępca Arthura, William Arkwright w swym nieodłącznym homburgu, okazał się zwycięzcą. Umundurowani członkowie SI maszerowali po ulicach wszystkich dużych miast, notując nazwiska ludzi wychodzących z lokali wyborczych. SI zdobyło siedemdziesiąt mandatów. w atmosferze narastającego kryzysu – bezrobocie, cięcia w budżecie pomocy społecznej, zamieszki i głód, zbrojne powstanie w Indiach, znaczne poparcie dla przeprowadzanych przez irlandzkich unionistów zamachów terrorystycznych – John Arthur odmówił nowemu premierowi, Neville’owi Chamberlaine’owi, przyjęcia teki w gabinecie.

Wprowadzona pod hasłem „Stańmy twardo” polityka indyjska Chamberlaine’a doprowadziła w ciągu kilku miesięcy jedynie do zwiększenia liczby ofiar. Także reszta Imperium zaczęła się chwiać. Nowy rząd Egiptu znacjonalizował Kanał Sueski. Walijscy i Szkoccy nacjonałiści przebąkiwali o deklaracji niepodległości. Kraj znalazł się w stanie zapaści. Chamberlaine miał prawdopodobnie słuszość, twierdząc, że kolejne bezcelowe wybory spowodują rozpad państwa. Powoli kończyły mu się pomysły, lecz pozostawała jedna postać, w którą wierzyły liczne masy społeczeństwa. Człowiek ów nie był co prawda tradycyjnym politykiem, oraz przewodził organizacji, jaka nigdy ostatecznie nie wyrzekła się stosowania przemocy. z pewnością można go było jednak opanować; mógłby się stać pożytecznym figurantem, który utrzymałby w ryzach proletariatusy i nie dopuścił do buntu osiłków, a tymczasem prawdziwie wielkie umysły zajęłyby się rozwiązaniem problemów kraju. w ten właśnie sposób, bez hałasu czy rozlewu krwi, dzięki umowie, w której zawarciu pozornie nie odegrał żadnej roli, John Arthur został wreszcie wezwany pod Numer 10, gdzie zaproponowano mu jedyną rządową posadę, jakiej przyjęcie mógł zechcieć rozważyć.

Tuż po godzinie osiemnastej, w mroźny wieczór 10 listopada 1932 roku, John Arthur wyszedł ze słynnych czarnych drzwi prosto w błysk fleszy. w tamtych czasach Downing Street wciąż była otwarta dla ruchu i musiał spojrzeć w lewo i prawo zanim przeszedł na drugą stronę, gdzie uniósł ręce i zezjrzał się dokoła z nieznacznym uśmiechem. Powiedział, że za kilka minut uda się do pałacu Buckingham i poszuka rady króla Jerzego w sprawie sformowania pierwszego modernistycznego rządu Większej Brytanii.

Kiedy następnego dnia szofer wiezie mnie przez Londyn na spotkanie z królem i królową, wszędzie wędrują ku górze flagi i chorągiewki. Jutro wypada wigilia Dnia Trafalgaru i w opactwie westminsterskim odprawiona zostanie dziękczynna msza. Oblepiające autobusy reklamy wody stołowej „Idris” zostały już zastąpione radosnymi hasłami skierowanymi do naszego przywódcy. WIĘKSZA BRYTANIA DZIĘKUJE. WZNIEŚMY TOAST ZA PRZYSZŁOŚĆ.

Mój czarny daimler włącza się w strumień innych samochodów, zakręca wokół Hyde Park Corner i przejeżdża przez wysokie bramy, by wreszcie zatrzymać się obok stalowych masztów przed Nowym Pałacem Buckingham. Brodzę z oszałamiającym poczuciem odrealnienia. Przechodzę obok gwardzistów w ich bermycach. Dziś na próbę włożyłem przeznaczony na poniedziałek garnitur, a do wewnętrznej kieszeni wsunąłem nawet „Wieści znikąd” jako przedmiot podobnej wagi, co pistolet.

Suknie szeleszczą, kolejka posuwa się naprzód. Jego Wysokość Książę Yorku wita mnie, lekko się przy tym jękając. Skłaniam się. Potem jego żona księżna i dwie przeciętnie wyglądające córki. Chwilę później stoję przed obliczami króla Edwarda i królowej Wallis. Pochylając głowę, rozglądam się dyskretnie na boki. w tym momencie bez trudu mógłbym sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki. Odbezpieczyć pistolet, wyciągając go. Dwa strzały, minimum, prosto w pierś, z najbliższej odległości. Mgnienie potem cały ten pałac implodowałby w brzęku tłuczonego szkła i stali, wsysany przez syczącą wicherę ku bajkowej krainie, gdzie jego miejsce.

Goście wychodzą pod łukowato sklepionymi drzwiami w miłe, popołudniowe ciepło. Chwilowe poruszenie, gdy pojawiają się srebrne tace z przygotowanym na toast słodkim merydown. Ogrody, gdy je zwiedzam, wciąż przypominają nieco dawny Green Park. Tarasowe sady i monumentalne posągi nie do końca tu pasują. Róże, które, o dziwo, wciąż kwitną i pokrywają się pączkami na kratkach, wydają się w tym jasnym październikowym słońcu zbyt czerwone, zbyt surowe. Prawie można wyczuć pokrywającą je farbę i usłyszeć donośne wołanie Królowej Kier: „Nie! Nie! Najpierw wyrok, potem werdykt”. Rozglądając się za czymś bardziej pożywным niż tartinki z wędzonym łososiem, czuję zawroty głowy, burczenie w brzuchu i pierwsze sugestie bólu, które zaczynają wokół mnie tańczyć. i wtedy rozpoznaję słynne obli-

cze.

– Osobiście nie lubię na stojąco balansować talerzami w rękach – odzywa się przyjaźnie. – To mi wygląda na zagraniczny zwyczaj.

Wicepremier Arkwright, oglądany w rzeczywistości, sprawia zwyczajnie wrażenie, jest niski, niemal identyczny jak na przedstawiających go fotografiach, nawet bez fajki i homburga. Prawdę powiedziawszy, prawie zupełnie się nie zmienił od owego dnia wiele lat temu, kiedy zobaczyłem go przelotnie w towarzystwie Johna Arthura w pubie „Cottage Spring”. Zapewne musiał się już urodzić ze swoją pulchnością cherubinka i tuż pod pięćdziesiątkę.

– Hmm, Oksford – mruczy, gdy mu się przedstawiam. – Wie pan, wciąż żałuję, że nie odebrałem uniwersyteckiego wykształcenia. a Johna zna pan od dawna?

– Przez krótki okres byłem jego nauczycielem. Był jeszcze mały – odpowiadam, zauważając tęczowe promyki słońca połyskujące na poprzecinanych krwawymi nitkami policzkach Arkwrighta, świadom dziwnej intensywności jego spojrzenia, niemającej nawet kiedy pochłania koktajlowe kiełbaski.

William Arkwright, element komiczny SI. Często widuje się go uwieszono na ramieniu tej czy innej biuściastej aktorki. Jest drugą pod względem populamości twarzą w kraju, chociaż do pierwszej brakuje mu bardzo wiele. Niemożliwe, by zaszedł tak wysoko czystym przypadkiem.

– John bardzo rzadko wspomina o przeszłości. Oczywiście, gdybym przeczytał o niej w prasie, tym bardziej bym nie uwierzył. – Arkwright przeżuwa kolejną garść kiełbasek. – Moje własne pochodzenie zupełnie nikogo nie obchodzi. To się chyba nazywa charyzma. Całej reszcie nas musi wystarczać ciężka praca.

– Czy na początku podejrzewał pan, że zajdzie tak daleko?

Arkwright przechyla lekko głowę. Woda szmerze za nami na zielonych mosiężnych delfinach.

– Jestem tym bezustannie zdumiony, panie Brook. Choć wiem, że raczej tego po mnie nie widać...

Kiwam głową. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno jest rozmawiać ze sławnymi osobami. Towarzyszy mi poczucie, że go znam, choć to przecież nieprawda, a Arkwright patrzy na mnie tak, jakby istotnie coś nas łączyło... i wtedy uświadamiam sobie, co się tu dzieje naprawdę – i natychmiast żałuję, że się domyśliłem. Widzę to w jego oczach. w tym jego

uśmiešku i sposobie w jaki mi się przygląda. Po tylu latach spotkałem wreszcie innego człowieka, który zna prawdę o Johnie Arthurze.

– Co pan sądzi na temat Johna Arthura, panie Brook? Wiem, że minął szmat czasu, ale czy lubi go pan osobiście?

– Zawsze darzyłem go... podziwem.

– Podziw. – Wicepremier William Arkwright obrzuca mnie uśmiechem. – Cóż, myślę, że żaden z nas nie może liczyć na więcej... – mówi, po czym udaje, że zauważa kogoś ponad moim ramieniem, i odchodzi.

* * *

Wiele z tego, co wydarzyło się po objęciu przez Johna Arthura urzędu premiera, wydawało się tak bardzo „tradycyjne”, że z początku nawet sceptycy poczuli się uspokojeni: marsze, orkiestry dęte, złoty, poprawa stanu dróg i kolei. Owszem, były też aresztowania. Kilku ostatnich komunistycznych i socjalistycznych posłów zostało natychmiast pozbawionych mandatów – co po latach zamieszek, strajków i generalnego zamętu wydawało się zupełnie sensownym środkiem ostrożności. w redakcjach lewicowych gazet w rodzaju „Manchester Guardian” wybuchały bomby. Żydzi i Irlandczycy padli ofiarą prześladowań. Niezmiennie dochodziło do pobić homoseksualistów. Pod wieloma względami, trzeba to przyznać, zmieniło się niewiele.

w tamtym okresie Brytania wciąż pozostawała teoretycznie krajem demokratycznym. John Arthur nie miał jednak czasu, by przejmować się szczegółami działania zdyskredytowanego systemu politycznego. Po kilku tygodniach od objęcia władzy doprowadził do uchwalenia Ustawy o Pełnomocnictwach, na mocy której mógł w zasadzie rządzić za pomocą dekretów. a w kraju nieposiadającym pisanej konstytucji nie potrzebował niczego więcej.

Była to epoka szeptów. w szkołach pojawili się modernistyczni dyrektorzy, którzy chętnie składali na kolegów donosy do zdominowanego przez SI kuratorium. Zdjęta obawą o utratę pracy, cała reszta nas niemal nie zdawała sobie sprawy, że przekroczyliśmy cienką granicę prawdy i zaczęliśmy nauczać kłamstw. Mimo dreszczu wywołanego świeżą, nową wizją, która ogamęła całą Większą Brytanię, jak nazywaliśmy już swój kraj, panowała atmosfera prawie bezustannego kryzysu. Kiedy zostałem wezwany do gabinetu dyrektora – w połowie wtorkowej, porannej lekcji w klasie 2 B – pewnego dnia w roku 1932, w głowie pojawiły mi się natychmiast wszystkie zwykłe podejrzenia. Być może chodzi o słabe wyniki uczniów w nowych egzaminach pod-

stawowych? a może o to, że obciągnąłem temu robotnikowi z odlewni, w Shenstone, przed pubem „The Bull” wieczorem zeszłej soboty? Albo o jakąś nową subtelność narodowego programu nauczania, której sobie nie przyswoiłem? Moja współpraca z „Daily Sketch” była już wówczas nieaktualna. Po raz kolejny stałem się nikim, dobiegałem emerytury i łatwo mogli się mnie pozbyć. a poza tym, poza tym wszystkim, wciąż dźwigałem przerażające brzemie wszystkiego, co wiedziałem o Johnie Arthurze.

– Kłapnij sobie, kłapnij...

Kiedy zajmowałem miejsce, dyrektor uśmiechnął się do mnie niepokojąco życzliwie.

– Dziś rano otrzymałem list. – Poglądził trzymaną między palcami grubą welinową kopertę, jakby wciąż nie mógł uwierzyć. – List od, uważasz, wicekanclerza Oksfordu. Wygląda na to, że zamierzają poszerzyć skład swojego... hmm... ciała pedagogicznego. Próbuja ściągnąć nieco świeżej, edukacyjnej krwi. Padło twoje nazwisko, Brook...

* * *

z powrotem w hotelu New Dorchester, otoczony bakelitowymi aniołami, miękkimi futrzanymi dywanikami, głębokimi skórzanymi fotelami, wielkim telewizorem i ozdobnym witrażem przedstawiającym świętego Jerzego podczas odpoczynku w lesie, nie będąc w stanie zasnąć, włożyłem płaszcz i wyszedłem w bezładną, potężną londyńską noc. Słyszac porykiwania samochodów, przechodzę przez Most Westminster, wzdłuż Embankment migocą sznury światel. Co zdumiewające, ludzie tu biegają, ubrani niczym sportowcy w szorty i kamizelki. Mijam akordeonistów, ulicznych handlarzy, pływające restauracje, spacerujących pod rękę zakochanych, przechadzających się turystów. Nagłówki ostatniego wydania „Evening Standard” krzyczą „FRANCJA i BRYTANIA ŚCIERAJĄ SIĘ o EGIPT”. Niemal namacalnie można wyczuć, że w miarę jak lato się ochładza, temperatura wiadomości rośnie.

w parkach urządzono wesołe miasteczka, z których na cały Londyn rozlewa się mdlący zapach waty cukrowej. Dzieci z umorusanymi tłustą słodkością i ekscytacją buziami namawiają rodziców na tę już naprawdę ostatnią przejażdżkę jedną z wielkich maszyn. Znajduję strzelnicę, gdzie celuję i strzelam, celuję i strzelam, podczas gdy stojąca obok mnie para smaruje sobie wzajemnie twarze ustami. *Pif-paf*. Moją nagrodą jest padnięcie kilku metalowych kaczek, ręka prawie wcale mi nie drży. Dalej, za namiotami i kolejkami, pło-

nie wielkie ognisko. Dwa spitfire'y wylatują z nocy, podrywając fontanne iskier i wstęgi dymu, a chłopcy o nagich, połyskujących torsach wspinają się jeden na drugiego, tworząc rozdygotane piramidy pod kierownictwem absurdalnych osobników w szortach koloru khaki i szerokoskrzydłych kapeluszy. Bawię się komizmem sytuacji i rozważam w myślach kwestię tego, co jeszcze może się dziać w rozstawionych szeregiem namiotach. Wtedy wyczuwam, że ktoś przypatruje mi się zza ognia. To Christlow. Ze śliską w blasku płomieni twarzą dowodzi jednym z zastępów połyskującej, modernistycznej młodzieży. Kiedy próbuję się do niego uśmiechnąć, odrywa ode mnie spojrzenie. Rozgląda się dokoła, jakby w panice, po czym, potykając się, znika za zasłoną drgającego od żaru powietrza.

Teraz wszystko i wszyscy wydają się zmęczeni. Chłopcy wykrzykują do siebie pieprzyć to i pieprzyć tamto, z zainstalowanych w specjalnych namiotach toalet bije paskudny fetor. Gdy kuśtykam z powrotem po bezpiecznych, wolnych od włóczęgów i zboczeńców ulicach w poszukiwaniu taksówki, cały Londyn staje się nagle niebezpiecznie milczący. Miasto na coś czeka. w New Dorchester nocna zmiana wyszła do holi i korytarzy z mopami i odkurzacza-
mi, wykonują swoje nocne obowiązki, a w moim pokoju wszystko jest nieskazitelne, niezmienione. Święty Jerzy wciąż modli się w swoim szklanym lesie. Prześcieradło na wielkim łożu jest napięte niczym skóra na bębnie. Niemal lunatykując, podchodzę do wysokiej jesionowo-hebanowej szafki i nalewam sobie drinka z pierwszej butelki jaka wpada mi w rękę. Popijam lekarstwa. Teraz, zauważam, dłonie drżą mi naprawdę. Sięgam do szeregu przycisków i przyciemniam światła. Święty Jerzy zanika, w lesie zapada mrok.

Wyciągam z szafy starą walizkę, wsuwam dłoń pod obszarpaną podszewkę i czuję gruzłowaty kadłub pistoletu, dociera do mnie waga metalu, moc wzywającej mnie historii, ciężenie grawitacji, przeznaczenia. i wtedy – pora jest równie dobra jak każda – zaczynam go nabijać. z dziesięciu kul, z którymi zaczynałem, zostało pięć. Wyglądają na nowsze i są bardziej czyste niż się spodziewałem. Pozostałe wystrzeliłem na próbę w pień drzewa, pewnego późnego wieczoru w lesie Readon, gdy nawet same gwiazdy podskakiwały w zdumieniu, że to stare żelastwo wciąż działa. Teraz każdy z pocisków układa się ze szczękiem w bębenu.

Gdy po raz pierwszy przybyłem do Oksfordu, było chłodno, pierwszy tegoroczny szron pokrył działki. Niebo lśniło bladym, angielskim błękitem, a pod nim czekało wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem lub czego się spodziewałem. Dzwony, rowery. Christlow. Wytarte kamienne schody. Splotowały luksus. Okna skrzydłowe. Kierownik college'u Cumbernald zabrał mnie na obiad do pubu „White horse”, wciśniętego pomiędzy Blackwells i Trinity, jakby miał naprawdę dobry powód, by mnie powitać. Zanim jednak zdecydowaliśmy się – tak, dlaczego by nie? – na trzecią szklankę pedigree, przestałem już czuć się oszustem. Czułem się za to tak, jakbym wreszcie szymbował w ciepłych prądach powietrza, ku którym od początku kierował mnie los.

Pamiętam, że gdy wracaliśmy po High Street, gazeciarze sprzedawali Specjalne Ekstra Wczesne wydanie „Oxford Evening News”. Cumbernald kupił egzemplarz, zatrzymaliśmy się i przeczytaliśmy razem. Inni ludzie robili to samo, zbijali się w rozemocjonowane grupki, niemal blokując przy tym ulicę. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny wylądował na północ od Dublina, a zespół okrętów, któremu przewodził HSM „Hood” przyjął kapitulację Belfastu. Miło było tamtego dnia być Brytyjczykiem.

a później nastąpiło wiele innych, dobrych dni. w Irlandii odnieśliśmy łątwo sukces. Upamiętniająca to wydarzenie londyńska Wieża Zwycięstwa rosła i rosła, a ja tymczasem drżałem w Boże Narodzenie z rozkoszy do wtóru wzniosłej muzyki chóru w Kings College. a dla tych kilku nowych i nerwowych studentów, którzy wkroczyli do moich pokojów, ściskając w dłoniach swe prace i listy lektur, stałem się tym, kim byłem od zawsze, czyli nauczycielem. Nastal czas zebrań, wyłożonych boazerią sal, pitego zimą grzanego wina z korzeniami, miętowej herbaty i japońskich tapet na wiosnę oraz miękkiego, chłodnego powietrza znad rzeki, owiewającego mnie podczas długich samotnych przechadzek. w Hiszpanii wojska Większej Brytanii pomogły generałowi Franco odnieść zwycięstwo nad komunistami. Cypryjska przygoda rozpoczęła się i skończyła. Ponownie podbiliśmy Rodezję. Kupiłem sobie nowy, drogi gramofon.

Całej reszcie świata łatwiej było uważać Johna Arthura za dobrego faszystę niż działa się to w przypadku Mussoliniego. Francja, Niemcy i Holandia były zbyt zajęte przekształcaniem się we Wspólnotę Wolnego Handlu, podczas gdy rządzone przez Roosevelta USA, o ile nie przejmowały się daleko-

wschodnim zagrożeniem ze strony odradzającej się Japonii, trwały w swoim upartym izolacjonizmie. Na Bliskim Wschodzie, przeprowadzone sprytnie przez Większą Brytanię przemodelowanie egipskiego króla Faruka na modernistyczną modłę i jego podbój Palestyny, dokonany pod okiem brytyjskich doradców wojskowych zostały uznane za coś, co i tak było w tym znękanym regionie do przewidzenia. w końcu Brytania nie zachowywała się bardziej agresywnie niż przez większą część dotychczasowej historii. Nawet teraz, gdy cały Kent został przeobrażony w wielki wojskowy obóz, w ramach zapobiegania jakiemś urojonemu, francusko-niemieckiemu zagrożeniu, świat z determinacją ma nas za lepszych niż jesteśmy.

Ja tymczasem pokochałem prawdziwy Oksford niemal tak samo mocno jak ten wyśniony. Regaty wioślarskie, pochod z okazji święta Encaenia, kuranty o północy. Deszczowy klimat. Uniwersyteccy strażnicy w melonikach, wyszukujący pijaczków śpiących w ogrodach college'ów. Stowarzyszenie Wspinaczy na Dachy i Wieże.

Historia toczyła się dalej. Żydzi zostali przesiedleni. Cyganie i włóczędzy zostali przymusowo „zadomowieni”. Homoseksualistów zachęcano do ujawniania się i poddania terapii. To oczywiście wpędziło mnie na jakiś czas w panikę – lecz miałem już wówczas swojego znajomego i nasze dyskretne wiadomości na ścianie kabiny w męskiej toalecie publicznej w pobliżu Christ Church Meadow, nasze pozbawione zobowiązań rżnięcie, kiedy on robił mi to jako pierwszy, a potem czasami ja robiłem też jemu – miałem swoje proste i przyjemne życie. Moje biurko, pracę, łóżko. Miałem swoje książki, herbacianie, dachy, wieżyczki, spojrzenia jeleni w parku przy Magdalen College, kwitnące kasztanowce, muzykę płynącą z okien budynków, którym promienie słońca przydawały widmowej aury, młode głosy w krystalicznym powietrzu wieczoru i woń starożytnych trawników.

Byłem oszołomiony. Olśniony. Nawet nie próbując, nauczyłem się zapominać.

SZEŚĆ

Ku porankowi ciągną mnie gładka pościel, czyste poczucie przestrzeni, które w Oksfordzie byłoby niemożliwe, oraz bolesne wycie. w głowie mi szumi, światło faluje. Londyn. Oczywiście, że Londyn. Hotel New Dorchester... Po omacku szukam leżących na nocnym stoliku lekarstw. Słyszę jęk syren. Mrugam, przecieram oczy i w tej samej chwili otwierają się drzwi po-

koju.

– Przepraszam cię za to, Brook. – Do środka wsuwa głowę Reeve-Ellis. Jest już w pełni ubrany i holuje za sobą funkcjonariusza T3308. – To straszny wstyd, że akurat dzisiaj wypadł próbny alarm bombowy. Wiesz jak się w takich sytuacjach zachowują nasze czarnuszki – myślą zapewne, że to Wielki Biały Bóg przychodzi zapłodnić ich córki. Bądź tak uprzejmy. Włóż tylko szlafrok...

Na korytarzach panuje istne pandemonium. Mijający mnie ludzie łopocą najróżniejszymi elementami strojów, na policzkach noszą odciski poduszek, sterczą naelektryzowane włosy. Reeve-Ellis sprowadza mnie głównymi schodami w dół, a potem wiedzie przez tłum wypełniający atrium.

– Tą drogą będzie o wiele łatwiej – wyjaśnia, gdy wraz z funkcjonariuszem T3308 przepychamy się pod prąd, aż docieramy do wiru, gdzie inny policjant – K2910, według odznaki – stoi na straży tych samych drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY, przez które prowadzili mnie dwa dni temu.

K2910 wchodzi za nami. Wycie syren, kroki biegnących gości hotelu, wszystko to naraz cichnie. o tak wczesnej porze w biurze za drzwiami nie dzwonią jeszcze telefony, nie stukają maszyny do pisania.

– Tędy, prosto – mówi Reeve-Ellis, wciskając dłonie w kieszenie kardiganu.

Funkcjonariusz K2910 trzyma się tuż za mną. T3308 kroczy przed nami i otwiera kolejne przejście, tym razem oznaczone napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Wchodzimy do wilgotnego, zalanego przyćmionym światłem, betonowego tunelu. Drzwi zatrząskują się za naszymi plecami. Tutaj, wreszcie, znikają dywany i luksusy New Dorchester. Droga wiedzie niżej, z maleńkich stalaktytów na powale kapie woda. w powietrzu czuć wilgoć i gaz.

Docieramy do bramki windy, która z brzękiem zwozi nas wzdłuż kłębowiska rur na coś przypominającego peron kolejowy. Pachnący ziemią wiatr muska nasze twarze. Czekamy. Po chwili szyny zaczynają śpiewać i podjeżdża automatyczny pociąg, pogwizdując i dzwoniąc niczym dziecięca zabawka, ciągnie za sobą szereg pustych wagonów pocztowych z opuszczanymi drewnianymi siedzeniami. Jako pierwszy wchodzi do środka funkcjonariusz K2910, który pomaga Reeve-Ellisowi. Kierując myśli ku ucieczce, cofam się o krok.

– Proszę, może pan wsiadać – odzywa się T3308, wyciągając do mnie

wielką dłoń z obgryzionymi paznokciami.

Skulony w wagonie, gdy wjeżdżamy w głąb tunelu, wstydę się własnych stóp w kapciach, piżamy pod szlafrokiem. Biegące wzdłuż ścian szare przewody unoszą się i opadają, unoszą i opadają. Korzystając ze słabego światła, przyglądam się obu siedzącym przede mną policjantom. T3308 jest większy i starszy, ma obwisłą, mięsistą twarz i ciało staroświeckiego gliniarza. Funkcjonariusz K2910 jest piegowaty, rudy i chudy, szczerze powiedziaławszy, wydaje się za młody na policjanta.

Wysiadamy na kolejnej stacji pocztowej i wjeżdżamy na górę kolejną windą. Wtedy, zmienacka, ściany stają się niemal nowe – pomalowane tą samą miejską zielenią, jaka pokrywa kabinę męskiej toalety przy Christ Church Meadow. Funkcjonariusz T3308 chwytą mnie zaamię. Liczne drzwi prowadzą do licznych biur, lecz cały budynek wydaje się pusty, wyludniony i wciąż znajdujemy się głęboko pod ziemią.

– To tutaj. – Reeve-Ellis otwiera drzwi gabinetu, w którym stoją trzy krzesła, biurko, jedna odrapana, metalowa szafka na dokumenty, a pod sufitem biegną grube rury.

– Możesz siadać, Brook. – Reeve-Ellis wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

K2910 zamyka za nami drzwi. Gdy zajmuję miejsce, zauważam, że od mojego ciała bije kwaśny, godny pożałowania zapach. w pomieszczeniu jest ciepło, niemal upalnie.

– o cokolwiek chodzi – odzywam się – powinieneś wiedzieć, że nie mam bliskich przyjaciół ani rodziny. Ponadto cierpię na śmiertelny nowotwór. Możecie to sprawdzić w archiwach służby zdrowia.

– Obawiam się – odpowiada Reeve-Ellis – że to w ten sposób nie działa.

Funkcjonariusz T3308 pochyla się ku mnie, podejmuje z oparcia krzesła moją prawą rękę i rozkłada ją na skraju blatu wnętrzem ku górze. Siada na przedramieniu, praktycznie wciskając mi w twarz swój gruby, umundurowany zadek. Słyszę szmer klamry u pasa i coś pobrzękuje. Spodziewam się, że lada moment zaczną mi zadawać pytania, na długo zanim zrobią cokolwiek, co sprawi mi ból.

– Jeśli chodzi o... – zaczynam dokładnie w chwili, gdy z cichym stęknieniem funkcjonariusz K3308 uderza mnie pałką w wyprostowane palce prawej dłoni.

Teraz jestem sam. Słyszę głos Reeve-Ellisa, który w sąsiednim pokoju rozmawia z kimś przez telefon. Tak. Nie. Jeszcze nie. Dokładnie tak... Ton jego głosu wskazuje, że rozmawia z przełożonym.

Ściskam prawą dłoń. To w tej chwili najcenniejsza rzecz na całym świecie. Mój palec wskazujący sterczy ku górze, wygięty tuż za pierwszym stawem pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. Na moich oczach puchnie i zmienia zabarwienie. Palce mały i środkowy również gwałtownie obrzmiewają, aczkolwiek te są raczej poranione i posiniaczone niż złamane.

To jest straszne – dokładnie tak okropne jak mogłem sobie wyobrazić. a przecież miałem ostatnio wiele okazji, by przywyknąć do bólu. Ale w torturach nie chodzi o ból, stwierdzam pomiędzy kolejnymi falami cierpienia, chodzi o doznanie czegoś, co absolutnie nie powinno nastąpić.

Brzęk kluczy. Do pokoju wracają Reeve-Ellis i obaj policjanci.

– Nie będę marnować twojego czasu, Brook – odzywa się Reeve-Ellis. – Zresztą i tak nie jestem w tych sprawach ekspertem...

Funkcjonariusz K2910 bierze do ręki notes i ołówki. Wciąż wydaje się zbyt młody z tą swoją piegowatą, wąską twarzą. T3308 opiera się plecami o ścianę i skubie zębami paznokcie. Przeszywa mnie mdlący dreszcz.

– Być może mógłbyś zacząć – ciągnie Reeve-Ellis – opowiadając nam dokładnie, co tu robisz. o co w tym chodzi...

– To wy mnie tutaj sprowadziście. Miałem być gościem honorowym, a potem ty...

Ledwie zaczynam, Reeve-Ellis wzdycha umęczonym, poirytowanym głosem. Kiwa głową na K2910, by ten znalazł klucze i wypuścił go z gabinetu. Kiedy wychodzi, obaj policjanci wymieniają się spojrzeniami, po czym podchodzą do mnie z obu stron biurka. Biorą mnie pod pachy.

– Nie sądziłem, że tego rodzaju rzeczami zajmuje się londyńska policja – mówię. – Zawsze sobie wyobrażałem, że obecnie zostawia się to RSJ.

– Och, proszę pana, ci gogusie zupełnie nie są nam potrzebni. z tego co słyszę, nie nadają się do niczego. Gdyby mógł pan wstać...

Próbuję chwycić palcami zdrowej ręki za oparcie krzesła i przytrzymać się, lecz wkrótce już jestem wyprostowany, a funkcjonariusze prowadzą mnie ku starej szarej szafce w rogu pomieszczenia. Gdy przyciągają moją uszkodzoną prawą dłoń ku otwartej szufladzie czuję palący ból ścięgien. a potem T3308

podnosi nogę i zatrząskuje szufladę kopnięciem.

* * *

– Takie sytuacje przebiegają według określonego schematu – tłumaczy Reeve-Ellis, ponownie siadając naprzeciw mnie. – Musisz się z tym pogodzić, Brook. Musisz zdać sobie sprawę z tego, że istnieje tylko jedno możliwe zakończenie. Takie, w którym powiesz mi o wszystkim.

Rozlega się cichy szcęk i na stole – co prawda rozciągnięty i rozmyty w moich oczach niczym na jakimś dekadentycznym, nierealistycznym obrazie – pojawia się pistolet, który w jakimś innym życiu odziedziczyłem po Francisie.

– Gdybyś mógł mi powiedzieć, w jaki sposób i po co to zdobyłeś, oraz co to robiło w twojej walizce.

– To pamiątka – odpowiadam. – Ten pistolet należał do mojego przyjaciela, który zginął na wojnie.

– Zdradzisz mi jego nazwisko?

Waham się. Ogarnia mnie czarna chmura cierpienia.

– Francis Eveleigh. i jak już powiedziałem, nie żyje.

– Gdzie mieszkał?

Podaję nazwę ulicy w Lichfield i dodatkowo – jakie to może mieć w tej chwili znaczenie? – tej, przy której mieszkali w Louth jego rodzice.

– Ta broń trafiła do mnie wraz z resztą rzeczy, jakie odesłano znad Sommy.

– a naboje?

– Również były w komplecie.

– Czyli otrzymałeś to... – Reeve-Ellis gładzi się po brodzie. – Ten pistolet, pociski, na pamiątkę po tym całym Eveleighu? i od tamtej pory je przechowujesz?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek tej broni używałeś?

– Nie... cóż, raz. Chciałem się przekonać, czy nadal działa.

– i działa?

– Nie jestem specjalistą. w każdym razie, pistolet wypalił.

– Rozumiem. i co chciałeś z nim zrobić?

– a jak pan myśli?

Reeve-Ellis marszczy brwi.

– Wydawało mi się, że ten etap mamy już za sobą, staruszku.

– Zamierzałem zabić Johna Arthura.

Reeve-Ellis kiwa głową. Nie wywarłem na nim specjalnego wrażenia. Stojący z tyłu funkcjonariusz K2910 ściąga czoło, obliczuje ołówek i coś notuje. Gdzieś rozlega się dzwonek telefonu.

– To Christlow, prawda? – pytam.

– Kto?

– Christlow, mój służący. To on wam powiedział o pistolecie.

– Coś mi mówi, że zapominamy, kto komu zadaje tutaj pytania. – Reeve-Ellis uśmiecha się.

Wyczuwam, że obaj stojący za jego plecami policjanci przyjmują luźniejszą postawę. Może to wszystko już niedługo się skończy. Wtedy on wstaje z miejsca, kiwa im głową i wychodzi, chociaż krzyczę, że przecież wszystko już powiedziałem.

Pojawiają się jednak kolejne pytania i powraca koszmar mojej ręki w szufladzie szafki. Ból to dziwna rzecz, bywają chwile, gdy wydaje się, że poza nim nie ma i nie było nic w całym wszechświecie, oraz momenty, kiedy jego ośrodek wypływa gdzieś na zewnątrz. Myślę o Chrystusie na krzyżu, o Torquemadzie i Matthew Hopkinsie. o wszystkich torturowanych ludziach. i nawet teraz. Nawet teraz. w Japonii. w Hiszpanii. w Rosji. w Brytanii. Nie zaginąłem. Nie jestem sam. Jest ze mną milion wijących się duchów.

Krzywię się na dźwięk zamka. Drzwi stają otworem. Reeve-Ellis, tym razem samotny, siada za biurkiem.

– Byłem dawniej kochankiem Johna Arthura. – Przelykam porcję wymiocin. – Założę się, że o tym nie wiedziałeś?

Reeve-Ellis marszczy czoło i patrzy mi w oczy. Naderwany strup pęka, gdy ciało na mojej dłoni rozsuwa się na boki. Efekt jest dość odrażający.

– Proszono mnie, bym pokazał ci to. – Kładzie na blat brązową, papierową kopertę i wysuwa z niej cztery ziamiste zdjęcia przedstawiające zbliżenia twarzy i torsów.

Wszyscy są nadzy. Zalani jaskrawym białym światłem na tle białego płótna; czwarty – mężczyzna, co uświadamiam sobie dopiero gdy dostrzegam nieco lepiej szczegóły tej chudej, niemal łysej, poplamionej i w zasadzie bezpłciowej sylwetki – stoi pod ścianą. Wszyscy trzymają w chudych jak pająki dłoniach tabliczki z numerami. Mąci mi się w oczach. Większa część mej duszy nie chce rozpoznawać tych ludzi.

– Jaką mam gwarancję – mówię – że oni jeszcze żyją?

– Żadnej.

Wpatruję się w fotografie. Oczy, które skupiają się na obiektywie, nie widząc, jakby wypełniły się już tyloma obrazami, że światło straciło do nich dostęp. Mój znajomy wygląda na młodszego, starszego, na człowieka poza czasem. Ma cienki grzbiet nosa, spadziste granie policzków, naciągniętą mocno skórę, rany. Jego żona i dzieci przypominają baśniowe elfy, prześwietlone niemal do zaniknięcia ostrym, oblewającym je światłem...

– Ci ludzie...

– Brook, mnie po prostu poproszono, żebym ci to pokazał. Nie wiem kim oni są ani ile dla ciebie znaczą.

Szczeka zamek w drzwiach. Obaj policjanci stają bez słowa pod ścianą. Przyglądają się mnie i Reeve-Ellisowi.

– Jesteście z tego dumni? – zwracam się do nich wszystkich. – Takich właśnie chcieliście Letnich Wypst?

– Skup się może na opowiedzeniu nam o wszystkim, staruszk. – Reeve-Ellis wygląda na zmęczonego, sfrustrowanego, zepchniętego do defensywy. Wbrew świadectwom, wciąż odnoszę to gorączkowe wrażenie, że istnieje jakiś element tego równania, którego jeszcze nie zauważyłem. – Naprawdę sądziłeś, że gdyby ktoś tego nie chciał, dotarłbyś z pistoletem tak blisko Johna Arthura jak ci się udało? Aczkolwiek przyznaję, ta duma eskapada musiała przynieść ci wiele radości. Dopóki trwała.

Zbiera zdjęcia, wyrównuje je i wsuwa z powrotem do koperty. Funkcjonariusze T3308 i K2910 podchodzą ku mnie, chwytają pod pachy i po raz kolejny ciągną ku szafce.

* * *

Gdy już powiedziałem im więcej niż podejrzewałem, że w ogóle wiem, kiedy opowiedziałem im o Francisie Eveleighu i o moim znajomym i o biednym Larrym Blacku z „Crown and Cushion”, i Ericu Svendsenie, któremu i tak się należało, i o wszystkich dzieciach, które uczyłem i które są teraz dorosłe, a zatem winne jak my wszyscy Brytyjczycy i zarazem zupełnie niewinne. Gdy opowiedziałem im o tym dniu z lat dwudziestych, kiedy ujrzałem Eveleigha ponownie w „Cottage Spring”, tylko że był już wówczas Johnem Arthurem. Kiedy opowiedziałem im już wszystko, dociera do mnie nagle lepkie skrzywienie krzesła, na którym siedzę, i uświadamiam sobie

wzbierającą dokoła mnie pustkę.

– Cóż... – odzywa się Reeve-Ellis. – Chyba musieliśmy w końcu dojść do tego momentu. – Odbiera notatnik od funkcjonariusza K2910.

Patrząc na sposób, w jaki chowa zeszytik do kieszeni, pojmuję, że go zniszczy. Obaj policjanci są tym razem ostrożni. Podnoszą mnie niemal łagodnie i, co zdumiewające, okazuje się, że moje kończyny wciąż działają. Idziemy chwiejnie przez korytarz. Docieramy do drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. K2910 manipuluje przy zamkach i otwiera je. Uderza mnie nocne powietrze. Gdy T3308 prowadzi mnie w ciemność, słyszę pomruk ulicznego ruchu, lecz dźwięki są odległe, oddzielone ode mnie ze wszystkich stron cegłami, szkłem i betonem. Skrawek nieba ma ten sam kształt i barwę, co ekran stygnącego telewizora – na samym środku widać nawet gwiazdkę przypominającą gasnący punkcik. Zawsze wyobrażałem sobie, że moje życie dobiegnie końca w ładniejszym miejscu. Jakaś leśna polanka pod Londynem, szczenie lisa, woń mchu i liści...

Rzucam przelotne spojrzenie przez ramię. Reeve-Ellis stoi w oświetlonych drzwiach, z dłońmi w kieszeniach kardiganu, swobodnie oparty o framugę. Naprawdę bardzo tu cicho. Przeminał już cały ten przedtrafalgarski dzień, skończyła się też uroczysta msza w opactwie westminsterskim, w której miałem wziąć udział. Funkcjonariusz T3308 puszcza mnie i opadam na kolana, wciąż chroniąc cenny ciężar rannej dłoni. Słyszę skrzyknięcie skóry, gdy policjant odpina i unosi klapkę kabury. Gdzieś, nagle, niewyraźnie, daleko w głębi biur, zaczyna dzwonić telefon. Jego oddech przyspiesza.

– Czeka! – woła przez podwórko Reeve-Ellis i słyszę odgłos jego cichnących kroków.

Noc rozpada się na kawałki, pulsuje, zrasta się na powrót. Oddycham zepsutym powietrzem, zbrukany przez moje własne ciało. Próbuję siłą woli oddalić od siebie całą tę chwilę, ten ból. Wreszcie dzwonek telefonu milknie. Gdzieś w innej części Londynu wrzeszczy gwizdek pociągu. Przypomina mi się rozkołysany wagon sypialny. Otaczające mnie męskie ramiona, jego usta ocierające się o moje. Wspaniała, bezwstydną otwartość...

Wracają kroki Reeve-Ellisa, kontury jego ciała ponownie odcinają się od tła jaskrawych drzwi.

– Nastąpiła zmiana planów! – woła.

* * *

Reeve-Ellis prowadzi triumpha imperiala, wielki, stary samochód z premodernistycznych, wczesnych lat trzydziestych, o zardzewiałych błotnikach, wypełniony zapachem warzyw bijącym ze splekanych skórzanych siedzeń. Pojazd grzechocze i skrzypi, niespokojnie miga kierunkowskazami, słaniając się z boku na bok na londyńskich ulicach.

– Kto zadzwonił?

– Po tym, co przeszedłeś, staruszkule... – odpowiada i gwałtownie wciska hamulec, gdyż przed maskę wpycha się nam taksówka. – Naprawdę nie chcesz wiedzieć. Wierz mi. Uznaj po prostu, że cholernie ci się poszczęściło...

Jaśniejące niebo rzuca na Tamizę szaro-różowe refleksy. Przejeżdżamy przez Most Westminsterki. Po hotelu snują się niedobitki eleganckiego balu przebierańców. Czarny Rycerz pobrzękuje resztkami zbroi, podczas gdy stojący przy recepcji Robin Hood prowadzi bez przekonania dyskusję na temat jakiegoś aspektu obsługi. Świetnie tu pasujemy, Reeve-Ellis i ja. On przebrał się za siebie, a ja za jakąś postać z czasów wojny – albo za ostatniego gościa z „Maski czerwonego moru”.

Reeve-Ellis wzywa przyciskiem windę.

– Wiadomość jest taka – odzywa się, patrząc na zapalające się, coraz wyższe numerki – że dalej postępujesz zgodnie z planem.

– Co?

– Dzisiaj, staruszkule. Spotkasz się z Johnem Arthurem...

Docieramy na moje piętro. Łóżko zostało posłane, lecz poza tym nic się nie zmieniło odkąd opuściłem ten pokój dzień wcześniej. Nimfy wciąż brykają po suficie. Święty Jerzy nadal modli się w lesie.

– Odpocznij – radzi Reeve-Ellis, po tym, jak już wezwał przez telefon hotelową pielęgniarkę i lekarza. – Obejrzyj sobie paradę w telewizji. Przypilnuję, żeby ktoś cię nareperował i przygotował na czas...

– Ci ludzie... ze zdjęć, które mi pokazywałeś.

– Nie wiem.

– a co z tobą? Nie boisz się?

– Czego, staruszkule?

– Tego... – Zataczam dziko ramieniem dokoła i niemal się przewracam. – Piekła.

– Jeżeli piekło istnieje – stwierdza Reeve-Ellis, chwytając klamkę – to

prawdopodobnie ani ty, staruszku, ani ja nie zauważylibyśmy większej różnicy. Nadal robilibyśmy te jedyne rzeczy, na których się znamy...

Zamyka za sobą drzwi i zostawia mnie samego w luksusowym pokoju hotelu New Dorchester. Leżący na nocnym stoliku zegarek przestał cykać, lecz elektryczny czasomierz na ścianie informuje, że dopiero co minęła szósta rano. z wysiłkiem rozsuwam lewą dłonią drzwi szafy i zaglądam do walizki. Ze środka wciąż unoszą się wonie Oksfordu, wszystko zostało ułożone z powrotem tak schludnie, że zniknięcie pistoletu stwierdzam niemal ze zdziwieniem. Prostuję się z trudem, połykam garść tabletek i przyglądam się napisowi na buteleczce, choć został sporządzony ręcznie i jest nie do odczytania. Ciekawe jednak, w jaki sposób zareagowałoby moje ciało, gdybym przyjął wszystkie naraz? Czy taka dawka byłaby wystarczająca? Mam jeszcze środki przeciwpalne. Je także mógłbym łyknąć wszystkie. Spoglądam na witrażowe okno ze świętym Jerzym. Dopiero teraz spostrzegam, że na jego złożonych do modlitwy, ukrytych w stalowych rękawicach dłoniach widać plamy smoczjej krwi. Zostawiono mnie samego – może więc właśnie tego się po mnie spodziewają: próby samobójczej. Ale czy w takim wypadku nie zostałbym zabity już wcześniej? Biorę lewą ręką niezdamy zamach i ciskam buteleczką przez cały pokój. w jakiś niesamowity sposób udaje mi się trafić w witraż, ale pojemniczek odbija się od niego z głuchym stuknięciem i rozsiewa deszcz pigułek. Łkając, czołgam się po podłodze, zbieram je, po czym padam na swoje wielkie łóżce.

Za oknem rozlega się syrena płynącej rzeką barki. Na powale romby światła łałują i tańczą z nimfami. Gdybym był w stanie, chętnie nacisnąłbym przycisk na zagłówku, który otwiera drzwi balkonowe. Chciałbym poczuć zapach Tamizy w ten, najprawdopodobniej, ostatni ze wszystkich dni. Chciałbym usłyszeć jej niewinny plusk. Tutaj, w Londynie, niańczyła handel, zarazki cholery, prosperity, była muzą tysiąca poetów. Za panowania królowej Elżbiety rozpalano na niej ogniska, tak grubym lodem się pokrywała...

Ponownie widzę siebie przed uczniami, wypowiadającego te słowa. Jest tam również Francis Eveleigh – jako młody chłopiec, z pewnością ma nie więcej niż dziesięć lat i z jakiegoś powodu trzyma ramię na temblaku. Są też Cumbernald i Christlow i Reeve-Ellis i mój znajomy i wiele innych twarzy, które wypełniały moje życie. Uśmiecham się do nich. Siedzą z pokrytymi strupami łokciami i kolanami, z umorusanymi buziami aniołków, na chwilę

zapomniawszy o zabawie, zasłuchani. Wiem, że to moje najwspanialsze chwile. Więc słuchajcie, po prostu słuchajcie. Chcę wam przekazać swą ostatnią powieść.

SIEDEM

Poniedziałek, 21 października 1940 roku. Dzień Trafalgaru. Pięćdziesiąte urodziny Johna Arthura, jego srebrny jubileusz. o dziewiętej, pod niebem, które wbrew wąpiącym prognozom zaczyna się przejaśniać, w całym kraju zaczynają bić kościelne dzwony. Pojawiła się plotka o deszczu nadciągającym znad Morza Północnego, pełnącym ku Londynowi przez Lincolnshire i niziny wschodniej Anglii. Obawa była jednak tylko przelotna. Po tak wspaniałym lecie, wypełnionym niekończącymi się obchodami, nikt ani przez chwilę nie wąpił, że ten jesienny dzień wstanie równie cudowny.

Około ósmej, gdy hotelowy lekarz nastawia i unieruchamia mi dłoń, a pielęgniarka wciska mi do ust kijek, bym w cierpieniu nie odgryzł sobie języka, w wiejskich salach zgromadzeń i na wilgotnych od rosy trawnikach rozstawiane są stoły – od Mablethorpe po Montgomery, od Treviscoe po Naim. Pęcznią balony, galaretki lądują na talerzykach. Wartownicy polerują klamry i wybielają paski mundurów, stajenni karmią i szczotkują połyskujące rumaki. My, Brytyjczycy, wciąż pozostajemy narodem w tego typu sprawach niedoścignionym.

Lekarz pracuje z werwą – jest tak mało zaskoczony, że nie wydaje się sensowne pytanie, gdzie zdołał do tego typu obrażeń przywyknąć. Zresztą, i tak jestem zbyt zaprzątnięty płaczem, póki doktor nie robi mi ostatniego, wspaniale potężnego zastrzyku. Szybujący, biali niczym aniołowie, pielęgniarka i jeden z hotelowych bojów pozostają pod ręką, by pomóc mi przebrnąć niełatwy proces mycia się i ubierania. Potem sadzają mnie przed telewizorem, który już jaśniej, roztaczając zapach rozgrzanego bakelitu i elektryczności. Podpierają mi głowę, układają wygodnie rękę. Przez resztę poranka dryfuje pomiędzy snem a jawą monochromatycznych wizji. Duchy imperium ruszają już z Horse Guards Parade, mijają Admiralty Arch, i wkraczają na Mall. Mieniające się odcieniami szarości skręcają przy Palace Gardens i maszerują z powrotem po drugiej stronie Mall. Czwarta dywizja piechoty. Gurkhowie. Młodzieżowy oddział Sojuszu Imperialnego z Northamptonshire. Weterani wojenni w melonikach. Policjanci. Rycerze Świętego Jerzego.

Gdy mija południe, nadjeżdża odziany w biały mundur król. Co znaczące,

krzesło między nim a wiceministrem Arkwrightem wciąż pozostaje wolne. To dla Johna Arthura typowe, że odwleka swoje wejście akurat dzisiaj. Prawdę mówiąc, doskonale umiem sobie wyobrazić, jaki to musi być przepyszny luksus – siedzieć w zastawionym książkami spokoju gabinetu przy Downing Street, przeglądając w ciszy dokumenty, gdy zza otwieranych pionowo okien dobiega tęskny szum całego narodu i imperium. Trudno wymyśleć wspaniałszą, bardziej naznaczoną poczuciem władzy chwilę. i co potem, Francis? Och, Francis, mimo wszystko, mam niemal wrażenie, że potrafię zrozumieć...

i wtedy przybywa. John Arthur, ubrany w prosty, szary garnitur. Zajmuje miejsce u boku monarchy i oczy wszystkich, każda kamera, a wraz z nimi uwaga całego świata, skupiają się właśnie na tym człowieku. Dalsza część parady ma już bardziej wojskowy charakter. Trudno nie być pod wrażeniem szaro-czarnych, potężnych czołgów, zostawiających za sobą rozgrzane ślady. i artylerii, i nisko sunących bombowców; dźwięk ich silników doleciał mnie najpierw z góry, wraz z wpływającym przez balkon rozdygotanym, ciepłym powietrzem. Jednakże przez cały czas, nawet kiedy nie widać go na ekranie, moje myśli wciąż trwają przy tej jednej, odległej osobie. Nadal zadaję pytanie, jak to możliwe, by jeden człowiek mógł zmienić wszystko. Czy naprawdę bym go zabił? Nie wiem. Nie wiem. To marzenie już wydaje się równie stracone i dalekie jak Letnie Wyspy, na które nie udało się nam z Francisem dotrzeć.

Wpół do piątej parada dobiega wreszcie końca do wtóru ostatniego, potężnego huku i w wyziewach kordytu i czołgowych spalin. w moim pokoju zrobiło się chłodniej, balkonowe drzwi 'zaczynają ciemnieć.

– Oto garnitur, proszę pana. Czy...

Przebieranie mnie w nowy strój przypomina proces zamykania średnio-wiecznego rycerza w zbroję, wszystko przebiegałoby znacznie sprawniej, gdybyśmy mieli bloki i wyciągarki. Niemniej odnosimy sukces, ludzie z hotelu i ja; z powodzeniem pokonujemy kręte aleje bólu, zalani telewizyjną poświatą. Wtedy triumfalna muzyka cichnie i John Arthur zasiada za swoim biurkiem w gabinecie przy Downing Street. Przez moment, w chwili gdy tańczące w kamerze elektrony nie zdołały się jeszcze dostroić, jego oczy przypominają czarne studnie; srebrne włosy lśnią niczym mokry piasek.

– Jak większość z was zapewne wie – zaczyna, trzymając dłonie na białej;

przed nim leży cienki stosik papierów – dzień dzisiejszy to data szczególna dla mnie osobiście. Świątując z całą pompą, na jaką stać nasz naród, słynne zwycięstwo odniesione przez admirała Nelsona pod Trafalgarem, muszę również celebrować własne pięćdziesiąte urodziny...

a zatem na początek nostalgiczna, osobista nuta. Trzeba jednak przyznać, że John Arthur nie wygląda na pięćdziesiąt lat. Nie wygląda na żaden określony wiek. Szofer dotyka mej zdrowej ręki, mego zdrowego ramienia, lecz gdy wyprowadza mnie na korytarz, wciąż oglądam się na ekran, próbując – podobnie jak cała reszta świata – pochwycić dla siebie nieco blasku Johna Arthura. Idziemy na zewnątrz, w szary londyński zmierzch. Wsuwam się na miękką skórę kolejnego daimlera i New Dorchester znika za nami. Mimo wszystko czuję rosnącą ekscytację. Głos Johna Arthura płynie ciepło tuż obok, z samochodowego radia.

– Według pewnych świadectw, świadectw wielce niepokojących, musimy się w Brytanii, tutaj, na tej wyspie, przygotować na nadchodzące problemy. Ledwie dziś rano dotarło do mojej wiadomości, że prezydenci De Gaulle i Von Papen podpisali traktat wiążący jeszcze ściślej niż dotąd ich gospodarki, wraz z gospodarką Holandii, a także jednoczący siły zbrojne tych krajów w twór stanowiący praktycznie jedną, potężną armię Europy...

Francusko-niemieckie zagrożenie od jakiegoś czasu było ulubionym tematem prasy brukowej, lecz teraz powagę tych obaw podkreślił sam John Arthur. Wpatruję się w kark szofera, gdy samochód mruczy na pustej nawierzchni Mostu Westminsterkiego, i zastanawiam się, czy on słyszy te same dźwięki i zgrzyt tego samego miażdżącego mechanizmu historii, który wypełnia w tej chwili moje kości? My, Brytyjczycy, zawsze co prawda cieszyliśmy się na groźby nowych wojen, lecz za każdym razem, gdy ogłasza się świeżego wroga, dochodzi do pewnego przesunięcia wartości. a teraz naszym głównym sprzymierzeńcem może być jedynie stalinowska Rosja, być może w towarzystwie Hiszpanii i prawdopodobnie Włoch. Tak szeroki konflikt wciągnąłby też Amerykę, kolonie, Chiny, ekspansjonistyczną Japonię...

Gdy mowa dobiega do typowo smętnego finału, jedziemy przez Whitehall. Kiedy wjeżdżamy na Downing Street, cała ta gadanina o wojnie wydaje się już tylko snem. Dawne Whip's Office stało się obecnie krajową kwaterą główną Sojuszu Imperialnego, a samochody i turyści trzymane są za żelazną bramą, lecz poza tym nadejście modernizmu nie zmieniło tu wiele. Wypole-

rowanych, czarnych drzwi numeru 10 wciąż pilnuje londyński policjant, podobnie jak to czynili w dniu wprowadzenia owego zwyczaju przez Peela. Nie jest nawet uzbrojony. Powietrze wewnątrz pachnie rozczarowująco miejsko – nieco jak w Oksfordzie – woskiem i pastą do podłóg, tostami i cygarami; można nawet wyczuć lekką woń wilgoci. Słyszę głosy. Przechadzają się tu inni ludzie. Rozglądam się i dostrzegam jedną czy dwie nieistotne osoby, które zapamiętałem z pobytu w New Dorchester. Czyli naprawdę realizują wcześniej zaplanowany rozkład – godzina 18 przywitanie z premierem – zupełnie jakby pistolet i ta ręka nigdy się nie wydarzyły. Przechodzę do eleganckiego, wyłożonego drewnem i obwieszanego lustrami pokoju, skąd wychodzę do ogrodów Downing Street.

Oglądany od tyłu, ze swymi wysokimi oknami, kolumnami, kutym żelazem i kopyłami, numer 10 wygląda jak niewielki, dostojny dom ukryty w cichej, bocznej uliczce w sercu Londynu. Kontrast z typowym dla bliźniaków frontem tak bardzo przypomina wszystkie inne oszustwa modernistycznej Brytanii, że muszę sobie przypominać, że ten budynek wygląda tak od lat trzydziestych XVIII wieku. Wierzyby w ogrodzie spuszczają bezwładnie szare gałęzie, różane krzewy przypominają zgniecione w pięści kartki. Na zewnątrz wyniesiono lampy naftowe, oświetlające zebranych, przechadzających się pomiędzy omszałymi urnami i posągami. Światła połyskują w czarnym zwierciadle ozdobnej sadzawki. Słuchając prowadzonych ścisłym tonem rozmów gości tego świętego budynku, ruszam żwirową ścieżką, która prowadzi w głębszą ciemność pod otaczającym ogród murem.

Wybucho niewielkie zamieszanie, flesze trzaskają niczym błyskawice i siwowłosy mężczyzna o nieco skromniejszym niż przeciętny wzroście przechodzi swobodnie pośród zgromadzonych; od jednego ku następnemu, wita się uściskami dłoni. Głosy dolatują mnie pod postacią nieartykułowanych okrzyków, zawołań, pomruków, jęków. Koszula Johna Arthura jest niewiarygodnie biała. Latamie, kiedy je mija, rozbłyskują silniejszym blaskiem. Wyobrażam sobie ostatnią chwilę własnej historii. Wychodzę ku niemu z cienia. Uśmiecha się uśmiechem polityka rozpoznającego znajomą osobę. a potem dotyk i dźwięk pistoletu. *Pif-paf*. Krew zakwita czernią na białej koszuli. Wpatruje się we mnie, rozumiejąc i nie rozumiejąc. Upada.

Wciąż stoję ukryty pod ciemną masą gałęzi ostrokrzewu. John Arthur zerka ku mnie przelotnie. Dyskretni funkcjonariusze RSJ zaczynają już zapędzać

gości z powrotem do budynku. Ogród z wolna pustoszeje. Głosy rzędą, cichną i zagęszcza się wilgotny mrok. Zobaczyłem już niemal wszystko co chciałem, gdy John Arthur, z rękoma splecionymi na plecach, demonstrując białe mankiety i sprawiając wrażenie nieco zmęczonego, szykuje się, by za nimi podążyć. Wtedy się odwraca. Wykonuje krok w kierunku ciemniejszej części ogrodu. a ja – czując, że popycha mnie jakaś siła – robię krok naprzód. Zupełnie jakby to palce historii popchnęły mnie ku tej chwili.

Spotykamy się na samym skraju tego, co zostało ze światła.

– To ty, prawda? – John Arthur kręci głową. Głos, cała postawa, należą do o wiele młodszego mężczyzny. Jego ręce trzepoczą bielą, a potem zerka na mój temblak.

– To się stało wczoraj – odzywam się głosem bardziej niepewnym niżbym sobie życzył. – Twoi ludzie mi to zrobili, kiedy odebrali mi broń.

– Nie. – Kręci głową i wpatruje mi się w oczy spojrzeniem tak intensywnym, że przeszywa mnie dreszcz. – To nie byli moi ludzie, Griff. Zostałeś aresztowany bez mojej zgody...

Griff. Kos odzywa się w krzewach, ale poza tym panuje ziemista ciemność i nieprzejeżdżalna cisza.

– Dowiedziałem się, że nie jesteś zdrow, i chciałem się z tobą spotkać. To wszystko. Nikt mi nie powiedział o... – Przechesuje dłonią gładkie, siwe włosy. – Nikt mi nie powiedział o pistolecie. Gdy tylko doszło do mnie, że zostałeś aresztowany, natychmiast kazałem cię zwolnić.

Przyglądam się mu uważnie. Co powinienem powiedzieć?

– Nie mogę teraz dłużej porozmawiać, Griff. – John Arthur wskazuje kciukiem budynek za sobą. – Niedługo będę tam potrzebny.

– Wydawało mi się, że jesteś panem własnego losu.

Wybuchą śmiechem. Wzrusza ramionami i wciska ręce do kieszeni marynarki. Jego typowy gest; widzieliśmy to już wszyscy, milion razy.

– Ale wiesz, myślałem o tobie przez kilka ostatnich miesięcy... – Stoimy teraz ledwie krok od siebie, a jednak on wydaje się szary i ziemisty z tym wielkim budynkiem jarzącym się za jego plecami. Nadal nie do końca rzeczywisty. – Chciałbym, żebyśmy dziś wieczorem porozmawiali, napili się. Moglibyśmy się dokądś wybrać na drinka, Griff. Tylko ty i ja. Mógłbym to załatwić...

To powiedziałwszy, odwraca się i idzie z powrotem do środka. Nade mną

rozpaliło się już wiele gwiazd; noc będzie pogodna i jasna. Cienie, których nie zauważyłem wcześniej, odklejają się od starych murów i ruszają prosto ku mnie. Prawie rzucam się do ucieczki.

* * *

John Arthur milczy. Prowadzi samochód wzdłuż Horse Guards Parade, i dalej przez luźne, zabarykadowane alejki. Nikt nie patrzy. w końcu pędzący samochód z przyciemnianymi szybami nie jest w modermistycznej Brytanii niczym szczególnym.

– i jak się bawiłeś swoim przedstawieniem?

– Przedstawieniem?

– Oczywiście. – Mocniej naciska na gaz. – Przyjechałeś tu, żeby mnie za-
bić...

Pijani, weseli chłopcy siedzą obok lwów na Trafalgar Square. Wszędzie widać flagi, ludzie niebezpiecznie wychylają się z okien. z pewnością ktoś dzisiejszej nocy zginie. Inni zostaną poczęci. Dalej, przez Covent Garden, przez the Strand i poza Inns of Court. Gdy stajemy w korku, by dostać się do Cheapside, obok zatrzymuje się taksówka. Dwie ubrane w wieczorowe stroje kobiety zżywieniem rozmawiają na tylnym siedzeniu.

– Powiedz mi jedno, Griff – podejmuje, na przemian zaciskając i rozluźniając palce na obitej skórą kierownicy. – Skąd u ciebie przekonanie, że bez Joh-
na Arthura świat stałby się inny?

– a kto miałby cię zastąpić? Jim Toller jest zbyt młody i nikt mu nie ufa. Ludzie w typie Smitha i Mosleya to politycznie drugi gamitur. Owszem, był Harrison, ale ten został dogodnie stracony. a z Williama Arkwrighta wszyscy śmiejemy się od lat...

– Nie powinieneś lekceważyć Billa. Trzymam go blisko siebie, ponieważ to jedyna osoba, której nie mogę zaufać. Prawdę mówiąc, mylisz się od początku do końca, Griff. Armia, cały cholerny establishment. Wszyscy chcą się mnie pozbyć. Jak sądzisz, dlaczego wygłosiłem to dzisiejsze przemówienie? Jak myślisz, dlaczego ten kraj musi iść na wojnę? Oni się boją, Griff. Wszyscy się boją.

Wkrótce docieramy do Whitechapel. Samochód skręca i opony piszczą na mokrym bruku, po czym trą hałaśliwie o krawężnik ślepego zaułka. Trzymając się kurczowo własnej godności, nie chcąc, by mi pomagał, wysiadam z wolna na zewnątrz. Jest ciemno i zimno. Podłoże lepi się od śmieci, a w po-

wietrze unosi się lekki, nadmorski zapach węglowego dymu i rzecznego mułu. John Arthur otwiera tylne drzwi i zabiera z siedzenia kapelusz – zwykły, filcowy – następnie sięga po płaszcz, który zaraz wkłada. Stawia kołnierz.

– i proszę – mówi, prezentując mi się z rozpostartymi ramionami – kto mnie teraz pozna?

Przeobrażenie jest, oczywiście, całkowite.

Idę powoli i z trudem. Mijamy kolejne bliźniaki. John Arthur pomaga mi, obejmując mnie od tyłu ramieniem, podtrzymując lekko, popychając, gdy przechodzimy ponad wybojem i wkraczamy na luźne początki chodnika. w dziwnych przeblyskach przypomina prawie Francisa. Jego oddech i kroki są niemal identyczne, a skóra mimo wszystko nadal lekko pachnie przypaloną cytryną.

Wkrótce dochodzimy do bocznic, do torów i urwistych ścian magazynów w dokach, gdzie zebrali się okoliczni mieszkańcy, by obejrzeć pokaz sztucznych ogni nad Tamizą. Matki w kapciach, z wałkami, z przewiązаныmi chustkami włosami. Mężczyźni z papierosami za uchem i świątecznym zarostem pokrywającym brody. Wydają z siebie „ochy” i „achy”, gdy niebo pęka i kolory lśnią w rynsztokach, rozpalając miliony szyb w magazynach. Gdy się między nich wślizgujemy, nikt nie zauważa Johna Arthura. Jest zwykłym szczupłym facetem w średnim wieku, pomagającym niedołącznemu ojcu.

Nieco z dala od tłumu, pod ścianą, stoją skrzynie na herbatę. Osuwam się na jedną z nich, mimo że powietrze jest tu kwaśne. John Arthur siada obok mnie. w cieniu decyduje się zaryzykować i zdejmuje kapelusz. Wskazuje na ludzi.

– Wyglądają na takich szczęśliwych – zauważa. – Kilka piwek, łóżko, jedzenie, ciepłe ciało do przytulenia, te cholerne fajerwerki...

– Oni cię uwielbiają, czczą cię...

– Doprawdy? Ty mi to powiedz, Griff. To ty jesteś historykiem.

Rzuca mi wyzywające spojrzenie, ten mój były kochanek, ten John Arthur, i coś strasznego i lodowatego przemyka mi wzdłuż kręgosłupa. Teraz bezbronny nabieram pewności, że miałem rację, chcąc go zabić.

– To nie wystarcza, prawda? Mimo wszystkiego, przez co przeszliśmy. Myślałem, że to wystarczy, gdy po raz pierwszy po zwycięstwie odwiedziłem Dublin. a potem ponownie, gdy nadeszła wiadomość z Rodezji. – Kręci gło-

wą, a nad Londynem płyną pióropusze siarczanego, czerwonego dymu. – Nie wiesz jak wyglądała wojna, Griff. Nie wie tego nikt, kto tam nie był...

Pochyla się ku mnie, wpatruje się w nicłość. Rozbłyśki światła malują fragmenty jego twarzy i gasną, podkreślają siwiznę włosów, łokcie oparte na kolanach i kapelusz, który bez przerwy obraca.

– Gdy się zaciągnąłem, wszystko było bardzo proste – ciągnie. – Jechaliśmy pociągiem do takiego wielkiego obozu na północ od Birmingham. Sami mężczyźni toczący ze sobą wesołe pogawędki. Nagle staliśmy się równi, szefowie i robotnicy... Zostałem strzelcem, Griff. Gdy wreszcie przysłano nam lee enfieldy, byłem trzecim najlepszym strzelcem w batalionie szkoleniowym. Do Francji pojechaliśmy w grudniu, jako część pierwszej armii Kitchenera... i nie wierz w żadne cholerne bzdury o królu, regimencie i kraju, Griff. Walczy się dla kolegi, który stoi tuż obok. To dla kumpli znosi się błoto, wszy, oficerów i absurdu regulaminu.

– Musiało być strasznie.

– Nie było strasznie. Nie współczuj mi. Wcale nie było strasznie. Nigdy w życiu się częściej nie śmiałem ani nie czułem się bardziej potrzebny, bardziej na miejscu. Deszcz. Szczury. Błoto. To wszystko sprawiało wrażenie jakiegoś głupiego dowcipu. Przez długi czas panowała cisza, były też puste pola, na których można się było wieczorem położyć i zagapić w idealne niebo. a potem do miasta, większość z nas już wtedy była na pół pijana, a tam czekały grube, białe *mademoiselles* spluwające na palce i mówiące *laver vous*. Tak, Griff, to też robiłem. Miałem również przyjaciół, kumpli, przelotne znajomości. Były takie miejsca. Nikogo to nie obchodziło...

Spuszcza wzrok, pochyla srebrną głowę, a rakiety swymi ogonami z sykem rozcinają niebo.

– Nad Sommę posłano nas w czerwcu tysiąc dziewięćset szesnastegoroku. To miała być wielka ofensywa, która pozwoli wygrać wojnę, ale my wiedzieliśmy, że osłaniamy jedynie Francuzów, którzy dopiero co stamtąd spieszyli. Ostatniej nocy nie mogłem zasnąć. Wszyscy wiedzieliśmy, że rano będziemy musieli wyjść z okopów. Nie dlatego, że cokolwiek nam powiedziano, ale słyszeliśmy działa. Bezustanne wybuchy. a potem ciężka artyleria umilkła, i ta cisza była najgorsza ze wszystkiego. Przeniesiono nas bliżej linii frontu. Były nas tysiące. i wciąż ta cisza, słychać było tylko ludzkie oddechy i stukot kroków, skrzypienie i pobrzękiwanie plecaków. i po raz pierw-

szy poczułem, że wariuję. Bałem się panicznie. Rozległ się gwizdek i pierwsi żołnierze zaczęli wychodzić z okopów. Wielu zaraz spadało i pomyślałem, że są po prostu niezdarni, ale po chwili dotarło do mnie, że zostali od razu trafieni. a ja po prostu stałem. Była to najgorsza chwila mojego życia, ale wiedziałem, że nie mam odwrotu, więc wszedłem na drabinę. Na górze moi koledzy już obiegali wielki krater przed nami, ale ja szedłem jak w koszmarze i szukałem tylko kryjóWKi... Nie wiem, kiedy dostałem, Griff, ani ile czasu na to czekałem. w pewnej chwili jednak poczułem w boku gorąco i zeszliżnąłem się do długiego rowu. Wiedziałem, że to nic poważnego... Powinienem był pójść dalej. Mogłem wygrzebać się z tego wykopu i ruszyć przed siebie. Ale nie zrobiłem tego. Kuliłem się tam przez cały dzień. Co chwila słyszałem wybuchy i świst przelatujących nade mną pocisków artyleryjskich. Grzechot kul. Zostałem sam ze swoim strachem, Griff. Zupełnie sam. Zapadła ciemność i pod niebo wystrzeliły flary. Znaleźli mnie ludzie z noszami i wyciągnęli z rowu. Wyglądałem dostatecznie mamie, by być przekonującym. Zabrali mnie do polowego punktu opatrunkowego. Dostałem trochę wody, zastrzyk z morfiny, chininę, a kiedy nastał świt, zaniecono mnie przez pola na pokład wielkiej barki rzecznej. Pośród innych feterów wciąż dało się tam wyczuć zapach węgla, który usunięto, by przewozić rannych. Słysząc było śmiech wody. Wreszcie odbiliśmy od pomostu. Kilku ludzi płakało i jęczało. Wielu trwało w śpiączce, inni po prostu spali. Na noszach tuż obok moich leżał facet bez połowy głowy. Wydawało się, że nie ma prawa żyć, a jednak zaczął przeraźliwie zawodzić. Próbował coś powiedzieć, ale szczękę miał w tak koszmarnym stanie, że nie rozumiałem ani słowa. Coś na z i coś na M. Dygotały mu wszystkie kończyny i nie ustawał ten obrzydliwy charkot. Dźwięk z piekła rodem. Wtedy spojrzałem na niego jeszcze raz, na tę czaszkę rozłupaną jak skorupka jaja, i zrozumiałem w końcu, co on chce powiedzieć. Mówił: „Zabij mnie”... Zdołałem się podnieść, i wtedy na moment umilkł i spojrział na mnie swoim jedynym okiem łypiącym ze zmasakrowanej twarzy. To mi dodało sił, zrozumiałem, że zrobiłbym to dla każdego człowieka w takiej sytuacji. Ranny miał przy pasie pistolet, ale wiedziałem, że jest już za późno, by go tam użyć. a ja wciąż byłem zagubiony, wciąż zdjęty strachem. Prawdę powiedziawszy, miałem wrażenie, że to jego siła pozwoliła mi podnieść koc, którym opatulono mu nogi, przycisnąć do jego twarzy i przytrzymać. Oczywiście, po chwili zaczął kopać i szarpać się – zabicie człowieka

wymaga więcej czasu niż sobie wyobrażasz – ale wreszcie przestał walczyć. Ucieszyłem się, że stać mnie było chociaż na ten jeden, ostatni żołnierski uczynek. i wiedziałem, że ten człowiek, ten żołnierz, umarł prawdziwą śmiercią bohatera. Być może dlatego właśnie zrobiłem to, co zrobiłem potem. Albo z powodu prochów, jakimi mnie nafaszerowali. Nie wiem. Odszukałem po omacku wodoodporną kopertę, którą w punkcie pierwszej pomocy przywiązali mu do bluzy. Nazywał się John Arthur i podobnie jak ja był szeregowcem z regimentu Staffordshire, tyle że służył w innym batalionie. Uderzyło mnie to jego nazwisko. John Arthur. Dobre nazwisko dla żołnierza i dla człowieka. a ja od urodzenia nie cierpiałem nazywać się Francis Eveleigh. Wszystko dokonało się właśnie w tamtej chwili, na tej cuchnącej krypie, płynącej po wciąż roześmianej wodzie. Zamieniłem się z nim nazwiskami, po to tylko, żeby poczuć, jak to jest stać się nim. i wiesz, od razu, gdy położyłem się z powrotem na noszach i podskoczyła mi gorączka, poczułem się lepiej...

John Arthur na moment milknie, niebo nad Londynem pieni się światłem, napierającym na nas niczym wiatr.

– i nikt się niczego nie domyślił?

– Reszta mojego plutonu została wybita do nogi. To samo spotkało pluton Johna Arthura. a ja nabawiłem się zapalenia płuc, Griff, i odesłano mnie z powrotem do Anglii. Zanim wydobrzałem na tyle, by cokolwiek ze sobą zrobić, mogłem być w zasadzie każdym. Żadna różnica. Wróciłem więc na front jako strzelec Arthur, S4538, kompania D siódmego batalionu wsparcia, brygady strzelców. i już w pierwszej chwili, kiedy tylko usłyszałem działa, wiedziałem, że tym razem będzie lepiej, że nie poczuję strachu. Awansowano mnie nawet na kaprała i dosłużyłem się Krzyża Jerzego... ale o tym wszyscy wiedzą.

– a co się działo po wojnie?

– Pojechałem do Raughton, pod ostatni adres Johna Arthura. Okazało się, że akcent z Yorkshire, który nauczyłem się naśladować w wojsku od jednego z kucharzy, brzmi zupełnie inaczej niż myślałem, ale to nie miało znaczenia. Byliśmy jak duchy. Wtedy nikt nie miał nigdzie swojego miejsca. Wioska była mała, gómicza, a pod wskazanym adresem znalazłem tani pensjonat. Jedna czy dwie osoby twierdziły, że go pamiętają, ale nie mam pewności, czy tak było. John Arthur był ode mnie nieco starszy, ale nie wyglądało na

to, by zdążył odcisnąć na świecie jakieś piętno. Jego ojciec wędrował po kraju za pracą i zginął w kopalnianym wypadku... Czuję też jednak, że muszę z tym nowym życiem, tym, którym obdarzył mnie John Arthur, zrobić coś więcej. Rozumiesz to, Griff? Wskoczyłem więc do bydłęcego wagonu i pojechałem pociągiem do Londynu. Tamta zima była bardzo ostra i szalała epidemia grypy. Co rano pod mostami i przed sklepami znajdowano kilka osób, które już się nie obudziły. a panowie w garniturach i kobiety w kapeluszach, ludzie, którzy poza narzekaniem na kartki żywnościowe niczego dla kraju nie zrobili, przechodzili nad ich zwłokami, marszcząc nosy. Były też cioty, takie jak ty, Griff. Zmuszali mężczyzn do wszystkiego za równowartość obiadu. i grube ryby, i Żydzi. i młodzi, zdolni. i pułkownicy, którzy wrócili z wojny z tłustymi emeryturami, pobrzękując medalami. Wciąż pamiętałem, że jestem Johnem Arthurem. Zaczęłem spotykać się z ludźmi, którzy pojmowali, że z kłamstw, jakie przedtem utrzymywały ten kraj na powierzchni, nie zostało już nic. Sam widziałeś, Griff, jak wyglądała ta noc piętnaście lat temu. Widziałeś, jak łatwo jest być Johnem Arthurem. On zawsze na to czekał. Prowadzi mnie także i teraz.

Wspaniały pokaz dobiega kulminacyjnego momentu. Nawet stąd, z odległości około dwóch mil, czuć słodko-kwaśny swąd prochu. Na niebie rozkwitają flary. John Arthur wkłada swój filcowy kapelusz, prostuje go, sprawdza, czy kołnierz płaszczu wciąż sterczy ku górze, i podaje mi rękę.

– Chodź, Griff, postawię ci to piwo...

Godzę się na to, by pomógł mi wstać. Spogląda ku nam starsza kobieta w szlafroku i z siatką na włosach. Jej dłoń, w dzieciennym geście zdumienia, podskakuje do ust. Czy to...? Ale nie, nie... to przecież niemożliwe. z ulgą zwraca wzrok z powrotem ku niebu.

John Arthur oddycha spokojnie obok mnie, pomaga mi po drodze, a ja tymczasem zastanawiam się, co powinienem zrobić – czy mogę mu opowiedzieć o jakichś okropnościach, o których jeszcze nie wie? Co za pytania mógłbym zadać? Sytuacja jednak przypomina te listy, których nigdy do niego nie napisałem. i miłosne obietnice, jakich – nawet w tym krótkim, cudownym, wspaniałym okresie, gdy byliśmy z Francisem sami – sobie nie złożyliśmy. i moją nienapisaną książkę. i całe moje życie.

Niebo staje w płomieniach. Domy wyglądają jak oświetlone fleszami, przeobrażone we własne szkielety. Przeszywa mnie świeży ból i potykam się.

Nasze dwa splecione cienie skaczą wypalone przed nami na chodniku i odno-
szą wrażenie, że płyniemy na grzbiecie wielkiej fali, która niebawem uderzy,
niszcząc i zatapiając wszystko. i wtedy, po ostatnim, końcowym ryku, pokaz
fajerwerków dobiega końca i znów idziemy przez East End, przez zwykły
londyński East End, nocą 21 października 1940 roku, pod posiniaczonym
niebem, wśród wstrząśniętej, poplamionej ciemności.

Pub znajduje się u trójkątnej zbiegu dwóch ulic. Zwrócony jest frontem
ku Mudchute i Isle of Dogs. Szyld został pomalowany ciemnymi kolorami i
nie jest oświetlony. Gdybym nie znał tego miejsca, nie zdołałbym odczytać
słów „Cottage Spring”. Sala wewnątrz jest mniejsza niż ta, do której zabłą-
dziłem piętnaście lat temu. Poznaję jednak kontuar, na który wskoczył John
Arthur, i wzór pokrywający wiszące za barem, splekane teraz lustro; znajduje
nawet filar, za którym się wtedy ukryłem.

Chwila, kiedy John Arthur zdejmuje kapelusz, opuszcza kołnierz płaszcza i
podchodzi do baru, wydaje się perwersyjnie normalna. Dwóch mężczyzn w
szmacianych czapkach gra w rzutki, trzech wyrostków siedzi, niańcząc
szklanki w dłoniach, a jakiś staruszek wpatruje się w swego wieczornego
portera. To jedni z niewielu ludzi, którzy nie chcieli oglądać sztucznych ogni
nawet w telewizji i zabawnie jest widzieć ich reakcje, kiedy uświadamiają so-
bie, kto właśnie wszedł do pubu. Pojawia się zafrasowanie, zwątpienie – jak
u tej kobiety w dokach – po czym zaczyna działać typowo brytyjska niechęć
do wszczynania zamętu.

– Stawiam wszystkim następną kolejkę – mówi John Arthur ze swoim
miękkim akcentem z Yorkshire.

Stanowi doskonały wizerunek siebie samego i nagle już wszyscy się wo-
kół niego tłoczą, zdyszani i rozemocjonowani jak dzieciaki, gdy wreszcie po-
jawia się Święty Mikołaj. John Arthur składa autografy na podstawkach pod
piwo, śmieje się i przerzuca dowcipami. Teraz naprawdę jest Johnem Arthu-
rem, a to są jego ludzie. Staruszek osusza swoją szklaneczkę, wylewając
większość na koszulę, i drżącym głosem oświadcza, że ma ochotę na kolejne-
go portera. Wyrostki proszą o małe imbirowe piwka. John Arthur ze śmie-
chem zamienia je na duże pełne, które pili przedtem.

Wiadomość o tym, kto zajrzał do pubu, musiała wyciec na zewnątrz, gdyż
rozlegają się głosy dzieci i kobiet, a za matowymi szybami widać cienie
uniesionych dłoni i kołyszących się głów. a ja po prostu stoję, zmęczony i

obolały. Wyzuty z gniewu. Wyzuty z nadziei. Wiem, że niedługo będę też wyzuty z życia. Ruszam powoli do tej kolumny przy końcu baru, po raz kolejny poszukując w jej cieniu kojącej anonimowości. John Arthur i tak już o mnie zapomniał. Tam są teraz jego ludzie. Tam jest jego miejsce. Ja jestem tylko nazwiskiem z przeszłości, którego nie zapamiętał nawet na tyle dobrze, by wymienić je bezbłędnie w wystąpieniu przed parlamentem, który potem rozwiązał. Na zapleczu dzwoni telefon, nikt nie odbiera. Na zewnątrz ryczy silnik pędzącego samochodu.

Głosy mężczyzn są teraz swobodniejsze. Tak, dociera do nich, on naprawdę jest taki jak wszyscy o nim mówią – to zwykły facet, z którym można wałnąć piwko. Kiedy uliczkę wypełnia warkot nadjeżdżającego wozu, John Arthur podnosi wzrok i zauważa mnie, zupełnie jak wtedy, wiele lat temu. Zupełnie jakby nic się nie zmieniło. Tylko że tym razem jego uśmiech jest w jakiś sposób bardziej szczerzy. a gdy podchodzi z nieco rozchylonymi ramionami, nie mogę nie odpowiedzieć mu własnym uśmiechem.

Rozlega się ostry huk i przez głowę przelatuje mi myśl – zbyt szybko, by mogła się w pełni ukształtować – że wznowiono pokaz sztucznych ogni. Zrazem potem jednak, jedno po drugim, mlecze okna „Cottage Spring” zaczynają wpadać do środka. Rozpryskują się w lśniące woale. Drzazgi z framug rozcinają powietrze, a sala eksploduje odblaskową mgłą rozlatujących się luster. Stojący przy barze mężczyźni drgają, rzuca ich w tył, unosi. Szkło przypomina wielką falę, unoszącą się, toczącą. Gdy wybucha ostatnie okno, John Arthur wykonuje piruet i lśniące powietrze wokół niego rozkwita srebrem i czerwienią, filar, przy którym stoję, pokrywa spływająca wilgoć, a potem wszystko zamiera i zapada nagle, straszliwa cisza.

Kiedy rozglądam się po tym zniszczonym, roztrzaskanym lokalu, kiedy patrzę na zepsute lalki leżące na szkarłatniejącym linoleum, rozlega się niespodziewany trzask, na podłogę spada ostatnie z wielkich luster i – na skraju wszystkiego – słychać nikłe odgłosy płaczu, jęki, szlochanie. i znów ryczy silnik tego samochodu. Słychać skrzypnięcie skrzyni biegów i czekam na kolejne kule. Zamiast nich jednak przez ziejący otwór po oknie wlatuje coś dużego i metalicznego. Grube pudło z zaokrąglonymi rogami, z którego wystaje pojedynczy drut. Trafia w przewrócony stolik i z sykiem toczy się po iskrzących szczątkach, by zatrzymać się tuż przy ciele Francisa.

Wtedy samochód odjeżdża z piskiem opon. w ostatniej chwili, zanim

świat wybuchnie ciemnością.

OSIEM

Każdego ranka budzę się, nie wiedząc kim ani gdzie jestem; przepelniony niejasnym poczuciem grozy i bezradności. Nie wiem nawet, czy jestem człowiekiem, ani czy posiadam jakąś własną tożsamość. Potem przez chwilę znów leżę pod gruzami, a obok mnie leży Francis. Trzymam go za rękę i kiedy umiera, jego dłoń dygoce niczym owad. Od tamtej chwili moje życie jakby płynęło w dwóch kierunkach. Przypomina to trochę otwieranie zawile opakowanego prezentu; rozrywanie kolejnych srebrnych kokard przyszłości i przeszłości, chociaż wiem, że to po prostu jakaś sztuczka – imprezowy żart – i w końcu w dłoniach zostaną mi tylko pomięte papiery, pustka.

Rozklejam powieki i patrzę na świat, godząc się z dziwnym faktem, że wciąż istnieję. Proces jednak jest przewlekły, chociaż poznaję ten sufit i belki pod nim; doznaję niepokojącego przeczucia następstw tego widoku. Nazywam się Brook, tak, Geoffrey Brook. Jestem wykładowcą, nauczycielem – obecnie nawet prawdziwym profesorem historii. i Oksford, tak, Oksford!

Po omacku szukam szklanki, pigułek, które leżą bardzo daleko za chińskimi bażantami dokazującymi na mojej puchowej kołdrze. Wyczuwam, że jest wcześniej, za oknem nadal panuje ciemność, chociaż z dziedzińca bije dziwna jasność, a powietrze, którego nie rozgrzał jeszcze ogień kominka, jest lodowate. Gdzieś poza dachami i wieżami wybija godzinę odległą, lecz wyraźnie słyszalny dzwon. Kiedy powracają cisza i równowaga, cał po calu przesuwam się po prześcieradle, aż moje stopy spadają ze skraję łóżka. Chyba jestem stary. Jestem stary. Być może to ten ostatni wstrząs, na jaki jeszcze czekałem.

Boso, z haluksami, próbując nie wykończyć się kaszlem, brnę przez igrzącą światło z paleniska, podchodzę do okna. Wycieram szybę reumatyczną prawą dłonią, para natychmiast skrapla mi się na palcach, i wyglądam na niecodzienną biel. Nocą spadł śnieg. Oczywiście. To przecież Oksford, a w nocy znowu padał śnieg... Muszę zamknąć oczy, gdyż ukłucie bólu i suchość w gardle przywołują inne paskudne wspomnienie.

Teraz pamiętam już wszystko. Jestem tutaj. Żyję. To ostatni dzień 1940 roku. John Arthur nie żyje.

Wciąż opieram się o parapet, wciąż wyglądam z okna college'u w wywołanej lekami półdrzemce, gdy pod drzwi podjeżdża wózek ze śniadaniem. Pu-

kanie wydaje się niepewne, ma dziwny rytm, lecz wciąż z jakiegoś powodu spodziewam się ujrzeć Christlowa. Klamka się obraca i moją skórę muska zimne powietrze z korytarza. To Allenby.

– Dzień dobry, profesorze. Jak pan bez wątpienia zauważył, w nocy napadało okropnie dużo śniegu. Gdy pan jeszcze spał, rozpałiłem przyjemny ogień w kominku.

Zdejmuje mój pikowany jedwabny szlafrok z haczyka przy palenisku, gdzie się do tej pory grzał. Kiedy pomaga mi go włożyć, czuję na karku jego oddech; chłodny jak śnieg. Pochyla się, by nasunąć mi na stopy kaptcie z owczej skóry. Jest młody i przystojny, ten Allenby. Mówi dokładnie to co trzeba i nie nosi nawet odznaki SI. a jednak przez cały czas wydaje mi się słabo utalentowanym aktorem, bez przerwy i bez powodzenia próbującym odczytać istotę odgrywanej postaci.

– Tak przy okazji, ma pan dziś spotkanie.

– Spotkanie?

– o dwunastej, w hotelu George. z panną Flood, przedstawicielką pana londyńskiego wydawcy.

Następnie rozkłada przede mną poranne gazety. Jedną szeleszczącą płachtę za drugą. Czuję rześki zapach farby drukarskiej i świeżo ściętych drzew; historia w trakcie tworzenia. Korci mnie poprosić Allenby’ego, by zabrał te diabelstwa, ale wiem, że wydałbym się wtedy niewdzięcznikiem. Poza tym jest coś – teraz sobie przypominam – co wciąż mnie interesuje, choć nie jestem sobie w stanie uzmysłwić, co dokładnie.

Wyciągam ręce w stronę stołu, prawą dłonią popycham „Timesa” ku lewej, sprawniej działającej. PREMIER OGŁASZA WSZCZĘCIE NATYCHMIASTOWEGO DOCHODZENIA w SPRAWIE SKANDALU z PRZESIEDLENIEM ŻYDÓW. RAF URUCHAMIA MOST POWIETRZNY z POMOCĄ. Zdjęcie pod spodem ukazuje grupę ludzi kulących się przed zgrzebną chatą. Są chudzi niczym szkielety, odziani w łachmany. Podnoszę gazetę bliżej do oczu, tak blisko, że ich twarze zamieniają się w zbiory drukowanych kropek.

* * *

Mój uniwersytecki daimler sunie przez mokry śnieg na High Street, Cattedown i Broad. Parkujemy na rogu George Street i Cornmarket, gdzie kierowca pomaga mi wysiąść na pokryty ostrymi lodu chodnik i prowadzi do restaura-

cji Ivy. Kolory, które śnieg do spółki z zimnem przegnały z ulic Oksfordu, zbiegły wszystkie do tego wnętrza. Sufit jest różowy, ściany uginają się pod ciężarem lusterek w złotych ramach, wszystkie stoliki ozdobiono świeżymi kwiatami. Jak to się często ostatnio dzieje, plotka o moim przybyciu znacznie mnie wyprzedziła i muszę czekać i uśmiechać się i unosić drżącą rękę w geście pozdrowienia, gdy cała jadalnia wybucha oklaskami. Chwila jednak nie przeciąga się ponad miarę i podchodzę do najlepszego stolika przy oknie, gdzie czeka na mnie panna Flood.

Sączy wino, pobrzękując bransoletkami. Jej niespokojne palce skubią bułkę, tęskniąc za nieodłącznymi papierosami, których – odkąd podczas jednego z poprzednich spotkań dostałem ataku kaszlu – nie chce palić w mojej obecności.

– Geoffrey, ledwie wczoraj rozmawiałam z działem promocji – oświadcza – i mamy potwierdzenie, że twoja książka będzie zdecydowanie najważniejszym z naszych wiosennych tytułów.

– Dobrze wiedzieć... – świszczę. – Dopiero przedwczoraj dostałem list z... hmm... korektą.

– Próbuje nie myśleć o tym jak o korekcie czy poprawkach, Geoffrey. Myśl raczej jak o... – panna Flood wymachuje ręką, w której trzyma wyobrażonego papierosa – ...lekturze uzupełniającej. – Uśmiecha się.

Kiwam głową. Chodzi jej o to, że nie chce, bym się wtrącał do poprawek swych własnych nieścisłości, niegramatycznych zwrotów.

Panna Flood nurkuje w swojej teczce i pokazuje mi błyszczący projekt okładki. Pierwszy nakład ma wynieść trzydzieści tysięcy, a drukarnia szykuje się już do dodruku drugiego, identycznego. Patrząc na tę książkę, zupełnie nie można się domyślić, że pozostali ważni autorzy panny Flood piszą poradniki i kryminały. Naprawdę nie mam na co narzekać.

– Co do tytułu... – ciągnie, stukając szkarłatnym paznokciem w celuloid – widzisz, że zostaliśmy przy naszym początkowym pomysle. a ta, hmm, druga sugestia... Owszem, była dobra, ale obawiam się, że nie do końca zachwyliła naszych speców od marketingu. „Palce historii”, to trochę zbyt dosłowne, jeśli rozumiesz co mam na myśli. Poza tym jest wielu ludzi, którzy wciąż pamiętają twoją wcześniejszą pracę i z przyjemnością kupią książkowe wydanie najlepszych artykułów...

Geoffrey Brook

– Ach, i udało się doprowadzić do końca sprawę praw autorskich. Oczywiście nie podejrzewałam, by „Sketch” się opierał. Jesteś w końcu liczącą się postacią. Będziemy jednak musieli pana pośpieszyć – dodaje ciszej panna Flood, podrzucając słowa w chwili, gdy sądzi, że nie jestem ich do końca świadomy, kiedy wyglądam przez okno na zmiękczone przez śnieg wieże, kopyły, i dachy miasta. College Balliol, All Souls, Queens... litania moich marzeń... – jeżeli mamy zmieścić ten dodatkowy rozdział, o którym wspominałeś.

– Postanowiłem już – piszczę – o czym chcę napisać. Temat pasuje do badań, jakie prowadziłem na temat historii Żydów. – „Żydów”... Mój głos pod koniec zdania brzmi słabiej niż kiedykolwiek i jestem pewien, że toczona przy sąsiednich stolikach rozmowa cichną. – Skoro przez ostatnie kilka dni sprawa Szkocji nie schodzi z czołówek dzienników... – Coś zatyka mi gardło, chrząści w nim. – Myślałem... myślę, że to dobry czas, by przypomnieć ludziom...

– Geoffrey, to faktycznie zapowiada się pasjonująco. – Chwila ciszy. – Aczkolwiek wszyscy są głodni szczegółów twojej znajomości z Johnem Arthurem.

– Oczywiście.

– Rzecz jasna, nie zamierzam popychać profesora w żadnym konkretnym kierunku.

Łzawią mi oczy. Cieknie mi z nosa. z trudem znajduję czysty róg chusteczki i zaczynam kasłać, a dźwięk dzwonów, brzęk obiadowych sztućców, szepty kelnerek, smak wina, zapachy potraw i kuchenny gwar i ciche rozmowy na starych korytarzach i woń starożytnych murów i świeżego śniegu, śniące wieże i przypominające królicze nory pokoje – cały Oksford – rozpada się wokół mnie na kawałki.

* * *

Geoffrey Brook urodził się w Lichfield, Staffordshire w 1880. Większość życia poświęcił nauczaniu historii, najpierw w swym rodzinnym mieście i jego okolicach, gdzie wpłynął na młodego Johna Arthura, a później w jednym z najbardziej dystyngowanych i wiekowych college'ów uniwersytetu oksfordzkiego...

Przeciągam piórem po słowie „wiekowych”, stawiam znak zapytania po-

nad „dystyngowanymi” i zamykam teczkę z materiałami reklamowymi. Uniwersytecki daimler szumi, sunie powoli przez High Street. Zapada już mrok i w sklepowych wystawach palą się światła. Ceny poszły ostatnio w górę – podobnie jak podatki – i można by pomyśleć, że ludzie mają już dość zakupów po gwiazdkowej gorączce. Reklamy jednak zachęcają do wzięcia udziału w **NAJWIĘKSZEJ WYPRZEDAŻY w DZIEJACH** i skorzystania z **OLBRZYMICH POŚWIĄTECZNYCH PROMOCJI**, chociaż Trzech Króli wypada dopiero w niedzielę.

Wieża college’u góruje nade mną, mroźne powietrze kęsa. Zwalniam kierowcę i bez niczyjej pomocy brnę przez zaśnieżony dziedziniec. Świszcząc, opadam na jeden ze skórzanych foteli przy kominku, stawiam sobie na kolanach telefon – mój najnowszy przywilej – wbijam palec w tarczę i obracam, wbijam i obracam, wybierając numer z ostatniej strony „Timesa”, modląc się do wszystkich duchów historii, by obdarzyły mnie siłą. Próbuję sobie wyobrazić gwamą redakcję, pachnącą czystością i determinacją, identycznie jak gazety, które przynosi mi Allenby...

Dzisiaj jest jednak Sylwester i jutro prasa się nie ukazuje. Telefon dzwoni i dzwoni.

* * *

Gdy wyciągano mnie z gruzów pubu „Cottage Spring”, świat już wiedział o śmierci Johna Arthura. Usłyszałem to w łkaniu tłumów, dolatującym do mnie przez hurgot osuwających się cegieł i gniewne głosy strażaków.

Jeden z piwošy przeżył dwie noce w szpitalu, wewnątrz żelaznego płuca. Inny pozostaje przy życiu po dziś dzień, choć jest obłąkanym kaleką. Zginęło lub odniosło poważne obrażenia również wielu gapiów zebranych wtedy pod lokalem. Jedynie ja, Geoffrey Brook – osłonięty przez filar i być może w pewien paradoksalny sposób przez fakt, że już wcześniej byłem bliski śmierci – przeżyłem naprawdę. Miałem ranę na policzku, którą zamknięto pięcioma szwami, wybity obojczyk i dwa pełne tynku płuca. Oczywiście, prawą rękę miałem uszkodzoną wcześniej, chociaż o tym fakcie zapominam równie często jak cała reszta świata.

Już kiedy niesiono mnie do karetki, błyskały flesze i jarzyły się złowrogo światła telewizyjnych ekip. Trzy dni później usadzono mnie w szpitalnym łóżku, wygładzono i doprowadzono do porządku, po czym słodko nafaszerowano prochami, i odwiedził mnie nowy premier, William Arkwright. Lam-

py błyskowe licznych dziennikarzy, jakich ze sobą przyprowadził, migotały i trzaskały, gdy uściśnął moją zdrową, lewą rękę i uśmiechnął się wokół fajki. Już wówczas wydawał się większy od człowieka, którego spotkałem w ogrodzie Nowego Pałacu Buckingham.

– i od tej pory, profesorze Brook – powiedział, podnosząc z łóżka swój nieodłączny homburg – och, czyżbym się wygadał? Nic nie szkodzi. Jutro i tak ogłoszą to wszystkie gazety.

Śmierć Johna Arthura stała się takim samym elementem jego mitu jak wszystkie wydarzenia z życia. Tym razem – w odróżnieniu od sprawy podpalenia starego pałacu Buckingham – i jeśli Jim Toller wraz z kilkoma wysokimi oficerami RSJ nie popełnią samobójstwa w celach – odbędzie się nawet proces. Znakomita część narodu pogrążyła się w smutku i poczuciu rozczarowania. Rzadziej widać odznaki SI, a z patrolujących ulice funkcjonariuszy RSJ kpią sobie nawet dzieci, jako że właśnie tę organizację kojarzy się ze śmiercią naszego wielkiego przywódcy. Okazuje się również, że nasza brytyjska gospodarka jest znacznie słabsza niż sądziliśmy, pokonana przez dziesięć lat rozrzutności. Wycofuje się obowiązkowy pobór do wojska, a w lutym ma dojść do negocjacji rozbrojeniowych z Niemcami i Francją. Mówi się nawet – jak dotąd w nieokreślony sposób – o przyznaniu Indiom pewnego stopnia autonomii i rozpisaniu wyborów do nowego zgromadzenia ludowego.

Cała reszta, to ostatnie wspaniałe lato nadziei i ekspansji, już teraz wydaje się ledwie snem. w końcu świat staje się coraz bardziej niebezpiecznym miejscem – Japonia zaatakowała Chiny, Stalin dokonał aneksji wschodniej Polski – i stało się jasne, że kraje Europy Zachodniej muszą się zjednoczyć, gdyż inaczej zostaną zmiecione przez komunizm i agresywną ekonomicznie Amerykę. Tymczasem, wygłaszane przez Johna Arthura groźby wobec Francji i Niemiec, oraz jego szczwany sojusz ze Stalinem, dały nam po prostu lepszą pozycję w nadchodzących rozmowach.

Podczas swej niedawnej pożegnalnej wizyty w publicznej toalecie w pobliżu Christ Church Meadow zauważyłem, że zniknęło z niej jego zdjęcie, chociaż wciąż widać ślady paznokci, jakie pozostawialiśmy z moim znajomym w trzeciej kabinie. z jakiegoś powodu, gdy dotykałem tych nieznaczących rowków, wydały mi się świadectwami nadziei i ludzkiej przyzwoitości.

* * *

Dom Cumberalda, pod który zajeżdżam wieczorem, lśni w mgiełce świa-

teł samochodów.

– Wiem, strasznie to kiczowate – przyznaje Eric Cumbernald, gdy kuśtykam po werandzie wśród migających lampek choinkowych. – Wszyscy na ciebie czekamy...

Po kilku chwilach zostaję otoczony, jestem dotykany, uśmiechają się do mnie, przypominają o poprzednich spotkaniach i obietnicach wspólnego obiadu. Wdzięczny za zbroję moich tabletek idę po dywanie ku największemu i najbardziej zachęcającemu fotelowi. Cumbernald przynosi mi słodką sherry i porcelanowy talerz z bułką z kiełbasą. Tłum wokół mnie rzędzie, gdy tylko staje się jasne, że nie odpowiadam na ich pytania. z poziomu żywego łącznika z Johnem Arthurem zostaję zdegradowany do starego reliktu przeszłości, który można dotknąć na szczęście, a potem spokojnie zapomnieć. Gra muzyka. w kominku trzaska ogień. Świąteczne dekoracje kołyszają się i obracają. Do północy i nastania 1941 roku czeka nas jeszcze wiele godzin.

Eileen Cumbernald przysiadła na chwilę na oparciu mojego fotela. Jak zawsze brązowa, ubrana w suknię z głębokim dekoltem na plecach. Nadchodzący awans męża na stanowisko wicekanclerza uniwersytetu zupełnie jej nie odmienił.

– Świetnie się bawiłam, kiedy byliśmy razem w Penrhos – oświadcza. – w przyszłym roku znowu musisz z nami pojechać...

Nie mogę się nie uśmiechnąć. To zabawne, jak ludzie ignorują mój oczywisty schyłek. Podejrzewam, że wyobrażają sobie, że to naturalne. Zapewne nie byłoby nawet dobrze, gdybym wydawał się zbyt zdrowy i pełen sił. w końcu przeżyłem eksplozję, która zabiła Johna Arthura.

– Wyglądasz teraz jeszcze bardziej jak świętej pamięci wujek Freddie! – zachwyca się Barbara Cumbernald i wiąże mnie w swych gorących ramionach, podczas gdy Cristine nieco się cofa. Jest równie blada i rozgryzana jak jej siostra, ale teraz widać wyraźnie, że jest tą starszą. – Opowiesz nam jedną ze swoich zabawnych historyjek?

– Może tym razem wy mi coś opowiecie? – proponuję. – Na przykład, chętnie usłyszę, co wiecie na temat Johna Arthura.

– John Arthur – recytuje melodyjnie Barbara, wciąż mnie obejmując. Pachnie winem, potem i toffi. – Zginął śmiercią bohatera, gdy cały kraj świętował Dzień Trafalgaru. Żli ludzie, którzy chcieli...

w tym jednak momencie zaczyna ją łaskotać Christine i obie dziewczyny padają na podłogę w rozpiszczanej płataninie rąk i nóg.

Zastanawiam się, czy Cumbernaldowie pozostaną w tym domu przy Raglan Street, kiedy Eric zostanie awansowany i – co raczej pewne – otrzyma dodatkowo arystokratyczny tytuł. Zwiedziłem już przelotnie tutejszą salę bilardową, oranżerię, ogromnie kosztowną kuchnię i widać było, że urządzili wszystko zgodnie ze swymi upodobaniami. Ale oczywiście przeniosą się, wespną się wyżej i osiądą w jakiejś półrezydencji. Wciąż będą pływać w ciepłym nurcie Anglii, póki nie dogonią ich wreszcie wiek i kruchość. Zapewne nawet śmierć przyjmą pogodnie – podobnie jak ja, nie będą mieli powodu, by narzekać na sposób, w jaki potraktowały ich historia i nasze Letnie Wyspy.

Ja naprawdę zostałem teraz profesorem. Zwyczajnym. Oraz magistrem historii współczesnej na własnym college'u. Jak starannie wyjaśnił Cumbernald, na magisterium można patrzeć jak na tytuł honorowy lub de facto, w zależności od perspektywy. a te często się zmieniają, w tę i z powrotem, w moim przytępionym umyśle – trwam w dziwnym stanie istnienia, który, jak podejrzewam, naukowcy, o jakich było głośno kilka lat temu, rozpoznaliby ze swoich badań nad cieniami i rozbłyskami, stanowiącymi ponoć prawdziwy budulec naszego wszechświata. Wychodzi na to, że jeżeli przyjrzeć się nam z bliska, jesteśmy ledwie konkretni; jesteśmy zaledwie energiami i cząsteczkami, które nie mają nawet swego miejsca w czasie i przestrzeni. Gdyby zbyt intensywnie przyjrzeć się światu, dmuchnąć na niego ze złej strony, mógłby się rozpaść. Wybuchnąć.

* * *

Christlow został znaleziony martwy na błotnistym brzegu Tamizy, na wysokości Isle of Dogs, rankiem po „Cottage Spring”. Utonął. Prawdopodobnie samobójstwo. w Oksfordzie pojawiła się plotka, że w jego pokojach znaleziono dowody na upodobania, jakimi nie powinien się cechować nikt pracujący z dziećmi.

Prawdę mówiąc, nie wątpię, że mnie śledził. Gdzie i w jaki sposób się zaczęło i czy od początku wiedział o moich seksualnych podbojach – tego nie dowiem się już nigdy. Jestem jednak pewien, że znalazł pistolet ukryty w walizce pod moim łóżkiem. Bez wątplenia uważał, że donosząc o tym – oraz o moich innych czynnościach – nie robi nic ponad wypełnienie patriotyczne-

go obowiązku. Tutaj jednak obraz staje się niewyraźny, nienaukowy, niehistoryczny...

Bez przerwy wracam myślami do człowieka, który na śmierci Johna Arthura skorzystał najbardziej. Teraz – bardziej niż kiedykolwiek przedtem – jest oczywiste, że nie docenialiśmy Williama Arkwrighta. Jest on doskonałym lawirantem, handlarzem, kombinatorem, zdrajcą: politykiem w sensie, w jakim John Arthur – który mimo wszystkich swych wad żył sercem, płomieniem, ogniem – nie był nigdy. Arkwright musiał sobie już dawno temu – znacznie wcześniej niż cała reszta – zdać sprawę z kryzysu toczącego modernizm, uwiedziony przez własny mit, zagrożony dobrowolnym skokiem w zapieść ekonomiczną i katastrofalną europejską wojnę. Być może więc Arkwright zdołał przekonać resztki dawnego establishmentu – odradzającego się obecnie z nową siłą – że już dość. Aresztowania Jima Tollera i jego kolegów ze szczytów RSJ świadczą o tym, że zamach na Johna Arthura został przeprowadzony zbyt profesjonalnie, by można podejrzewać zwykłych fanatyków.

i z tego miejsca wzbijam się do najdzikszych lotów, o jakich nie pomyślałbym nawet, układając najbardziej karkołomne, spekulatywne fragmenty mojej z dawna planowanej książki. Historia – a przynajmniej ten jedyny rodzaj historii, jaki kogokolwiek obchodzi – zawsze sprowadza się do twardej faktów, które studenci mogą poznawać podczas godzinnych sesji, by potem zwracać je podczas egzaminów, albo które można wykorzystać do ubarwienia telewizyjnych seriali lub przyozdobienia eskapistycznych powieści. Czy jednak cokolwiek byłoby bardziej na rękę niż jakiś umierający wariat, który zabije Johna Arthura w pojedynkę, bez niczyjej pomocy? Dlatego właśnie nie zostałem aresztowany od razu. Pozostałem kuszącą ideą – taką, jakiej nie można skreślić, przynajmniej do ostatniej chwili. Nawet gdy już przechadzałem się po ogrodach Nowego Pałacu Buckingham, wciąż istniała realna możliwość, że zostaną dopuszczony z bronią do Johna Arthura. w końcu nie istniał żaden konkretny powód, dla którego miałoby mi się nie powieść – poza postawionym nad moją osobą znakiem zapytania. i kogo musiałem tam, wśród fontann, spotkać? Kogo innego niż Williama Arkwrighta?

Właśnie wtedy – tak teraz myślę – zostałem ostatecznie oceniony i uznany za pełnego niedostatków. Arkwright rozkazał swym ludziom, by mnie aresztowali, pobieżnie przesłuchali, by sprawdzili, czy nie ukrywam czegoś jesz-

cze, po czym rozstrzelali. Sam zamierzał skorzystać z innych możliwości, bardziej godnych zaufania. i jedynie przypadkowe pytanie zadane przez kogoś z biura Johna Arthura, jego ciekawość na temat miejsca mojego pobytu – ten telefon rozlegający się o północy echem między budynkami – ocalił moje życie.

Czy John Arthur wiedział, że ktoś może się pokusić o próbę zabójstwa? Czy to ja przyprowadziłem go do zabójców w „Cottage Springs”? Ale nie, nie. To wszystko jest nazbyt fantastyczne – gorsze nawet niż te okropne, modernistyczne książki, do których czytania się zmuszam. Prawda wygląda tak, że nigdy się tego nie dowiem. Być może w przyszłości, gdy fakty stracą już swą dzisiejszą wagę, jakiś pismak lub naukowiec sformułuje teorię kwestionującą rolę Jima Tollera i RSJ w zamachu. Może ktoś nawet natknie się na wzmiankę o tym, że pewien mało znany, populistyczny profesor nazwiskiem Brook został aresztowany z bronią. i co jeszcze dziwniejsze, ów Brook został następnie zwolniony i przebywał w towarzystwie Johna Arthura w chwili jego śmierci – a nawet przeżył ostrzał i wybuch. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakie wnioski wyciągną z tych luźnych faktów. z samej swej definicji, prawdziwe spiski są na ostatnim miejscu w kolejności tych, które odkrywa przyszłość. Prawda, ostatecznie, zawsze jest niema. a nam zostaje jedynie historia.

* * *

– Ach, tutaj się chowasz, Brook! – Cumberland wynurza się spod zawieszonych na suficie ozdób i składa mi dłoń na ramieniu. – Wiesz, nie możesz sobie tak po prostu drzemać. Jest do ciebie telefon. Niejaka panna Flood.

Moje kolana trzaskają i strzelają niczym małe fajerkierki. Cumberland pomaga mi wstać. Gdy idziemy przez korytarz, podtrzymuje mnie prawym ramieniem.

– Możesz odebrać tutaj, w gabinecie – oświadcza, otwierając pchnięciem drzwi i przez kilka chwil przygląda się, jak opadam na nowy, skórzany fotel. Sprawdza, czy będę umiał posłużyć się jego nowoczesnym aparatem.

– Ach, Geoffrey, jesteś wreszcie! – w głosie panny Flood słychać ekscytację. – Dostałam ten numer od takiego okropnego człowieka, który pracuje dla ciebie w college’u.

– Od Allenby’ego?

– Zapewne tak. Tak czy inaczej, mam cudowne wiadomości, Geoffrey...

Czekam, słuchając terkotania panny Flood, przyglądam się pojemnym regałom stojącym pod ścianami gabinetu (w większości poradniki i kryminały, kilka biografii, parę cienkich prac historycznych; niewielka szpara, w której swobodnie zmieści się moja nadchodząca publikacja) i jak mogę staram się przepędzić posępne przeczucie, które ogarnia mnie za każdym razem, gdy ktokolwiek oznajmia, że ma dla mnie jakiegokolwiek wiadomości.

– ...więc szef kancelarii Arkwrighta zapytał, czy nie będzie to niestosowne. Jakby mogło nam to przeszkadzać. Oczywiście, trzeba zmienić projekt okładki, by odpowiednio wyeksponować jego nazwisko...

– To znaczy, że Arkwright...

– Tak, napisze wstęp do twojej książki! Wiem, wiem. Sama jeszcze nie przetrzymałam tego do końca. Nie zaczęłam się nawet zastanawiać, w jaki sposób wpłynie to na sprzedaż! Oczywiście oznacza to również, Geoffrey, że będziesz mógł odpocząć. Nie będziesz już musiał napisać w życiu ani linijki...

Gdy patrzę na telefon, jakaś część mnie spada w otchłań. Przychodzi mi do głowy, że istnieją dwa sposoby na zagwarantowanie sobie czyjegoś posłuszeństwa i milczenia. Można mu odebrać życie i zatrzeć wszelkie ślady jego istnienia. i można też obdarzyć go wszystkim.

– Czy to wszystko?

– Tak, to cudowne. i szczęśliwego nowego roku! Ach, Geoffrey... teraz to nie ma już znaczenia w kontekście książki, ale znalazłam kontakt w sprawie tych badań, o jakich wspominałeś. Ktoś z rządu, kto zajmuje się koordynacją akcji pomocy Żydom.

Wsuwam słuchawkę pomiędzy ramię i policzek, przeszukując skórzano-jesionowy bezkres biurka Erica Cumbemalda, wypatruję czegokolwiek przypominającego pióro lub ołówek. Zaczynam zapisywać, niezdarnie lewą ręką, numer i nazwisko, które dyktuje mi panna Flood, lecz przerywam w pół słowa i bez pożegnania odkładam słuchawkę.

– Wszystko w porządku? – pyta Cumbemald. Opuszcza wzrok na mój świstek papieru. – Jeżeli chcesz zadzwonić...

– Chyba nie ma już takiej potrzeby.

– w takim razie... – odsuwa front szafki, odsłaniając otoczony płataniną sprzętu ekran telewizora – bardzo chciałbym ci coś pokazać.

Zgniatam kartkę w dłoni. Pokój wypełnia kojąca woń rozgrzewających się lamp. Nazwisko, które podała mi panna Flood, nazwisko urzędnika minister-

stwa spraw wewnętrznych, nadzorującego operację dostarczania żywności, lekarstw i budowy schronienia dla Żydów, brzmi Reeve-Ellis. Telewizor śnieży. Widać widmowe postacie, które kojarzą mi się z moim znajomym i jego rodziną, kulącymi się przed prymitywną chatą lub okutanymi kocami gdzieś w smaganej huraganowym wiatrem dżiczy. Oczywiście, teraz rząd pośpieszył im z pomocą. Straszliwa sytuacja została poświadczona przez wydział prasowy ministerstwa informacji i gazety podchwyciły materiał bez zbędnych pytań. Wkrótce wszystko zostanie załatwione, a my, Brytyjczycy – nieco bardziej smutni, trochę mądrzejsi i mniej ufni – obejrzymy rezultaty w wiadomościach BBC. Ten żydowski skandal wybuchł w samą porę. Ukazuje Arkwrighta jako człowieka uczciwego, gotowego do walki z wypaczeniami mącącymi reputację modernizmu w oczach reszty świata. Możliwe, że dzięki temu odzyskamy swoje miejsce w Lidze Narodów. Za kilka miesięcy – a może lat, w zależności od aktualnej sytuacji politycznej – podobnie ostre światło padnie na obozy reedukacyjne na Wyspie Man. Tyle że – jeżeli nawet mojemu znajomemu i jego rodzinie udało się przetrwać – wiem, że jestem aniołem śmierci i nie wolno mi się z nimi kontaktować.

Cumbemald kładzie na obrotowym talerzu duży srebrny dysk.

– Kazałem kinowe nagranie przepisać na wideo – tłumaczy, gdy przyglądam się skaczącym, białym konturom Eileen, Christine, Barbary i siebie samego siedzącego przed domkiem letniskowym w Penrhos Park. Poza tym wszystkim słychać hurgot i trzaski. *Jajka z bekonem, jajka z bekonem, jabłka pieczone, jabłka pieczone...* – Tak przy okazji, zastanawiałem się – mówi, oparty o regał, podziwiając swe operatorskie dzieło – nad tym, kto powinien mnie zastąpić na stanowisku kierownika college’u. Potrzebujemy osoby z reputacją, nie sądzisz? Kogoś obdarzonego sprawnym umysłem... i nie sądzę, Brook, że cię zaskoczę, mówiąc, że twoje nazwisko przyszło mi do głowy w pierwszej kolejności.

– Jestem zdecydowanie za stary – mruczę, wciąż wpatrzony w ekran, na którym podbiegają do mnie Christine i Barbara, z wyciągniętymi językami, niczym wspaniałe gargulce, mające całą przyszłość przed sobą. – i zdecydowanie zbyt schorowany...

– Wielka szkoda – stwierdza Cumbemald, na powrót splatając ramiona, ze stosownie odmierzoną dozą żalu w głosie. – Choć to przecież nieprawda. – Nie naciska jednak. w zasadzie odnoszę wrażenie, że mu ulżyło. – w każdym

razie – pochyła się i przygotowuje do podniesienia igły z płyty, gdy cienkie postacie tańczą i drgają, szare na białym tle – czas wracać do gości, mój staruszkę. – Christine i Barbara rozpuszczają się w ostatnim błysku, po czym kurczą do jasnej plamki wielkości główki od szpilki na czarnym tle. – Już prawie północ.

w głównym salonie gasną światła. Dzwony Big Bena wybijają swą słynną melodię. Dzyń – i to już. Dzyń – rozpoczyna się nowy rok. Usta i dłonie przyciskają się do moich, w szeleście tweedu i wiskozy, w brzęku biżuterii, w oparach perfum. Potem, kiedy sączę słodki, musujący alkohol i myślę o powrocie do swych tabletek i swoich pokoiów, w holu rozlega się dźwięk dzwonka. Ruszam ku niemu w nadziei, że to mój kierowca przybywa na rautunek. Uświadamiam sobie, że pomagają mi silne ręce, pełne emocji głosy zachęcają. Dzwonek znów się odzywa. To zapewne jakiś sąsiad zagląda z pierwszą w nowym roku wizytą, z kruchymi ciastkami i kawałkiem węgla. i kto bardziej się nadaje, by go powitać, jeśli nie ja, słynny Geoffrey Brook?

Frontowe drzwi Cumbernaldów otwierają się do środka i spodziewam się, że na progu ujrzę jakąś postać, może nawet tradycyjnie przystojnego, mrocznego znajomego. Ale próg jest pusty, a ja – popychany – podróżuję ku czerni i straszliwemu, samotnemu zimnu.

DZIEWIĘĆ

Czytam – być może po raz kolejny, nie jestem już pewien – ten poplamiony egzemplarz „Wieści znikąd” Williama Morrisa. Pozwijane kartki, szorstkie od zaschniętego błota i kurzu zbieranego przez niemal pół wieku, nie mówią o niczym, co mogłoby przypominać faktycznie zrealizowaną wizję Większej Brytanii. Morris nienawidził wielkiego przemysłu, nie znosił niczego co wielkie, sprzeciwiał się terrorowi i niesprawiedliwości. Jak to więc możliwe, że jego nazwisko zostało tak silnie powiązane z prądami modernizmu, do tego stopnia, że księgarnie jeszcze teraz próbują się pozbyć po obniżonych cenach stert „Wód Wysp Cudownych”? Jedyne, co kiedykolwiek łączyło Morrisa i modernizm, to otwartość na marzenia i miłość do jasnej, czystej, wspaniałej przeszłości, która nigdy nie istniała. Być może jednak to wystarczyło; być może marzenie, każde marzenie, zawsze staje się w końcu nasieniem, z którego wyrastają koszmary.

John Arthur błędnie. Pamięć o nim jest wypaczana i naginana do aktualnych potrzeb z równą łatwością jak te nieczytane stronicę Morrisa. Jest tak,

jakbym był jedyną osobą w całym kraju, która go oplakuje i która wciąż chce zrozumieć. a tamta ostatnia, zabójcza noc, gdy byliśmy razem, nie odstepuje mnie nawet i teraz. Wszystkie pytania, które powinienem był zadać, wyzwania, jakie powinienem postawić. Myślę, że albo pokochałem wcielenie czegoś złego, albo John Arthur był identyczną jak ja marionetką, kierowaną kaprysami jakiejś niezrozumiałej, większej woli. Wciąż próbuję znaleźć jakiś szlak pomiędzy obiema tymi grozami, ścieżkę, którą mógłby podążać każdy przyzwoity człowiek, by w końcu niespodziewanie i nieodwołalnie się zagubić. Francis nie był potworem, mimo że przez ten krótki czas, jaki spędziliśmy razem, bardziej mnie wykorzystał, niż kochał.

Zamiast tego myślę więc o pani Stevens, sąsiadce mego znajomego, która poczęstowała mnie herbatą i jasnym ciepłem swej kuchni i o Cumberaldzie i o kobiecie za ladą na poczcie i o lekarzach i policjantach i – tak – o Christlowie, a nawet o Reeve-Ellisie i twarzach, które widuje się z okien pociągu, i o bawiących się na ulicy dzieciach. Jest również moja własna twarz w lustrze, aczkolwiek wychudzona teraz jak sama śmierć, coraz bardziej wygląda jak to obce ciało, które wkrótce będzie jedynym, co po mnie zostanie. Tutaj jest miejsce Francisca, z nami. On nie zatrząskiwiał drzwi celi własnoręcznie, nie ciągnął za sznurki, nie dotykał drutów, nie zamykał kopniakami szuflad.

My wszyscy robiliśmy to za niego.

* * *

Przez kilka krótkich dni naszych szkockich wakacji mieszkaliśmy z Francisem w sypiącym się domku z kamienia. Była tam nierówna podłoga z łupkowych, wyglądających jak wyrzucone przez fale płyt, grube mury z maleńkimi oknami, przez które było widać plażę. Podczas sztormów i zimą cienki torfowy dach wpuszczałyby morze, wiatr i deszcz. w trakcie naszego pobytu pogoda jednak była wspaniała i słodka jak miód. a morze przypominało wino. Samotni, oddaleni o całe mile od świata, kąpaliśmy się nago i łowiliśmy przezroczyste krewetki w kałużach słonej wody.

Czas się zatrzymał. Cały wszechświat kręcił się wyłącznie wokół nas. Morze i słońce pokryły skórę Francisca białą-brązową koronką i smakował jak te krewetki, słodko-słono. Gdy pewnej nocy leżałem pod kocami w naszym skromnym mieszkaniu, ze skórą zeszywniałą od słońca i piachem przyklejonym do stóp, jakieś poruszenie pustki sprawiło, że wyciągnąłem rękę i otwo-

rzyłem oczy. Francis, który wcześniej leżał obok, zniknął i stał teraz nago w otwartych drzwiach chaty. Wyglądał na blade morze i usianą gwiazdami noc.

– Widzisz tam...? – zapytał, wyczuwając, że nie śpię, po zmianie w rytmie mojego oddechu. – Tam, Griff, prawie na horyzoncie...?

Podniosłem się na łokciu i wyjrzałem za jego spojrzeniem ponad białą, kamienistą plażę, ponad niski murek, ponad blade wydmy, które schodziły ku połyskującym falom. Być może miał rację. Może rzeczywiście coś tam było, lśniąca, szare grzbiety ławicy wysp, które w dziennym świetle zanadto lśniły, by je dostrzec.

– Myślę, że powinniśmy się tam wybrać, Griff – stwierdził. Stał w drzwiach, a gwiezdna poświata obrębiała jego ramiona i kończyny. – Pamiętasz? Tę cudną nazwę...?

– Tam nie ma nic do oglądania. – Roześmiałem się i padłem z powrotem na koce. – i nie znajdziemy promu.

Teraz jednak, kiedy zamknąłem oczy i zaczęła ogarniać mnie ciemność, zobaczyłem te wyspy bardziej wyraźnie. Porośnięte wrzosem wzgórze, spływające w dół ku ciemnozielonym zagajnikom sosen. Upstrzone owcami doliny. Skrząca się latem obwódka morza. Poczułem nawet wyjątkowo mleczną woń letniej trawy i kwiatów, którą przyniosła mi atlantycka bryza. Tak, pomyślałem, wybierzemy się tam.

Rano, gdy się obudziliśmy, pogoda się zmieniła. Nad wydmami zawisły nisko szare chmury, spotkały się z morzem. Nigdy więc nie dotarliśmy na Letnie Wyspy, a gdy wyszliśmy z naszej chatki pod niebo, które groziło jedynie deszczem, Francis narzucił spore tempo i jechał jak zawsze, prąc naprzód. Bałem się nawet, chwiejnie pracując swymi starszymi nogami, z walizką przypasaną do pleców, że nigdy go nie dogonię. Myślę, że to właśnie wtedy – gdy wjechał na szczyt wzgórze i zniknął mi z oczu, zjeżdżając prędko, swobodnie ku farmie na cyplu, gdzie mieliśmy oddać klucze – straciłem swojego Francisca. Wtedy połknęła go historia i rozpoczęło się wszystko, co miało się stać.

* * *

Mocno zakotwiczony w swym wózku inwalidzkim na rozkołysanym pokładzie parowca, spoglądam na znajome białe klify, równie szare w ten późny styczniowy poranek jak samo morze, wypełnione jękiem silników, dymem i solą. Dociera do mnie, że nie będzie żadnego ostatniego spojrzenia na An-

glię, tylko stopniowe zanikanie.

Podobnie jak wiele innych spraw w moim życiu, wyjazd okazał się zaskakująco łatwy. Nie wyczuwałem żadnego oporu, gdy kierowca woził mnie po Oksfordzie, kiedy wycofywałem oszczędności oraz czyniłem wszystkie inne przygotowania do podróży. Co więcej, liczba pieczętek i dokumentów wymaganych od osób opuszczających kraj uległa znacznej redukcji. Podejrzewam, że Allenby w Oksfordzie znalazł już mój list i przekazał go Cumbemaldowi, który sprząta właśnie biurko i szykuje się do wyjścia. Także nadany dzień wcześniej do Londynu list czeka już na pewno na pannę Flood. Oczywiście przejmą się moim na poły tajemniczym zniknięciem, lecz wkrótce troskę zastąpi zmęczone kręcenie głowami i rozbawione zdumienie na myśl, że zdołałem spłatać im jeszcze tego jednego figla.

Tak więc podróżuję, chory, bogaty i samotny. Moje plany – w miarę, jak poszerzają się w mym umyśle mapy i możliwości – pozostają niejasne. Przystałem się już obawiać długich wędrówek: jeśli jest się odpowiednio zamożnym, zawsze znajdą się ludzie, którzy zapewnią nam to, co akurat wydaje się potrzebne. Wiem tylko, że chcę dokonać żywota gdzieś z dala od Anglii, gdzieś, gdzie panuje suchy i ciepły klimat, gdzie na murach wygrzewają się jaszczurki, a na niebie migocą inne gwiazdy. z Calais udam się dalej na wschód i południe, tak daleko, jak pozwoli mi moje ciało. Pierwszą klasą, najchętniej pociągiem. w miarę możliwości sypialnym.



OBUDŹ SIĘ I ŚNIJ



Scenariusz i reżyseria:
Ian R. MacLeod

*Pamięci Peg Entwistle
i Jimowi Goddardowi*

*Żyjemy w złotym wieku emotyków.
Czego można chcieć więcej?*

JEDEN

Doskonały poranek pod koniec czerwca. Słońce wypaliło resztki mgły, a smog nie zdążył jeszcze opaść. Zdezelowany ford rocznik '36 zjechał z nowej Olympic Parkway i poterkotał na północ przez Hollywood. Przed wyświetlającymi emotyki kinami rosły już spragnione gwiazd kolejki, widzowie czekali na pierwsze dzisiejsze seanse. w „Aladdinie” leciała „Zdradliwa żonka” z Trudy Rester – kimkolwiek ona, do diabła, była – a „Classic” oferował łączoną projekcję „Cudownej prerii” i „Północnego pyłu”. w obu tych filmach występowali Saffron Knowles i James H. Pack, aktorzy, o których również dotąd nie słyszał. Nie po raz pierwszy stwierdził w duchu, że może jednak powinien poświęcić trochę więcej uwagi branży, dzięki której to miasto rozkwitło.

Dzisiaj miał otrzymać swoją szansę. Jechał przez Franklin wzdłuż wysokiego płotu otaczającego siedzibę nowej wytwórni Paramount-Shindo. Mijał budki, gdzie sprzedawano bilety na wycieczki, chłopców oferujących mapy z zaznaczonymi rezydencjami gwiazd i dziewczyny handlujące sobą. Przejeżdżał obok witryn butików i barów, otwartych już od rana lub działających bez przerwy od zeszłej nocy. Samochód piął się pod górę. Na wzgórze.

Sosny. Białe chmury. Powietrze tak czyste, że pachniało niczym woda kolońska Pana Boga. w miarę jak ford pokonywał coraz wyższe serpentyny, silnik coraz częściej wydawał z siebie złowieszcze kasznięcia. Nie był przyzwyczajony do takiego świata. Podobnie jak jego kierowca.

Wyjechał na stromą szosę ponad Stone Canyon. Szlak podskakiwał i skręcał, ukazując jadącym piękne widoki, ciągnące się aż po Ocean Spokojny. Kierowca zmagał się właśnie z łopoczącym na siedzeniu pasażera przewodnikiem, kiedy zawyła za nim syrena. Zaklął, odbił od przepaści i zatrzymał się po drugiej stronie drogi, dokładnie w chwili, gdy samochód wyjechał z za niego i przyhamował tuż przed tablicą z nazwą dużego, prywatnego osiedla – Woodsville.

Nie był to policyjny radiowóz, chociaż, żeby to stwierdzić, trzeba się było naprawdę dobrze przyjrzeć. Stróże prawa w Los Angeles korzystali z identycznych, czarnych sedanów mercury. Miał nawet zamontowaną syrenę i niebieskiego koguta, ale widniejący na drzwiach symbol głosił, że pojazd należy do firmy „Gladmont Securities”. Zarządy ekskluzywnych osiedli często zatrudniały prywatną ochronę, by mieszkańców nie niepokoili ciekawscy ani inny niepożądany element.

By dowieść dobrych intencji, wyskoczył z forda i wyszczerzył się w swym najlepszym uśmiechu, oznaczającym „o cholercia, czyżbym znowu coś zbroił?”. Podeszedł ku niemu wysoki i smukły ochroniarz z pistoletem wiszącym w skórzanym kaburze u pasa. Poranne promienie zamieniały taflę widniejącego w dolinie pod nimi zbiornika retencyjnego w połyskujące złoto. Słońce w tej okolicy jak zwykle odwalowało kawał dobrej roboty.

– Przyjechał pan tutaj w interesach? – Ochroniarz miał na sobie przeciw-słoneczne awiatory i mundur, mocno przypominający te, jakie się widywało na zdjęciach z niemieckich parad. Identyczny był nawet krój czapki z daszkiem. Także na opasce na jego rękawie mogłaby widnieć swastyka, chociaż na razie był to tylko herb „Gladmont Securities”.

– Inaczej by mnie tu nie było.

Ochroniarz zmierzył go od stóp do głów wolniejszym, bardziej uważnym spojrzeniem. Przyjrzał się bacznie garniturovi zatrzymanego. Zbyt częste pranie chemiczne sprawiło, że kanty i rąbki przybrały bladożółtą barwę. Postrzępiony krawat wysmyknął się spod kołnierzyka koszuli, także postrzępionej i luźnej. Wreszcie buty, które zdecydowanie nie dorównywały swym blaskiem przetartym prawie na sito kolanom spodni. Następnie przesunął wzrok ku przykurzonemu, dwudrzwiowemu, czarnemu fordowi tudor, który najwyraźniej pamiętał nie tylko lepsze dni, ale i lata.

– Może to nam pomoże... – Kierowca gruchota sięgnął do zewnętrznej kie-

szeni marynarki i wyciągnął list. Kiedy podawał przeproconą kopertę, ta smętnie oklapła.

Ochroniarz przeczytał pobieżnie i ściągnął wąskie wargi.

– Czyli to pismo jest adresowane do pana? Clark Gable?

„Pismo”, „adresowane”? Jak miło. Widać lubimy okrągłe słówka.

– Tak, zgadza się.

– i przyjechał pan do Woodsville na spotkanie z panią April Lamotte?

– To ona napisała ten list. i sama mnie zaprosiła. Jak pan widzi, byłem umówiony na dziesiątą rano.

– Ale wie pan, że jest już piętnaście po?

– Im dłużej będziemy tu stali, tym bardziej się spóźnię.

– Ma pan przy sobie jakikolwiek dowód tożsamości?

Clark odebrał list, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. Przyglądając się badającemu ją ochroniarzowi, stwierdził, że powinien się wykosztować na druk nowej partii. Miał już dość przekreślania starego numeru telefonu i ręcznego dopisywania aktualnego.

– Czyli jest pan prywatnym detektywem? – Ochroniarz zgiął róg wizytówki i schował ją do kieszeni.

– Tak jak jest tam napisane. Licencję mam w samochodzie.

Ochroniarz nie uniósł brwi, w każdym razie Clark nie zauważył tego przez okulary. Zmiana w wyrazie jego twarzy była bardziej subtelna.

– Ma pan przy sobie broń?

– Nigdy nie była mi specjalnie potrzebna. – By zademonstrować chęć współpracy, rozłożył ramiona. – Może mnie pan obszukać.

Widoczna pod ciemnymi szklami część pociągłej, opalonej twarzy pozostawała śmiertelnie poważna. Facet nie przypominał ochroniarzy, jakich Clark dotąd spotykał. Jak na byłego policjanta, był stanowczo zbyt młody i szczupły, a cała reszta pracowników ochrony była po prostu etatowymi goryłami. Miał też przyjemny głos i zachowywał się jak człowiek wykształcony, co również nie pasowało do stereotypu – aczkolwiek Clark uznał, że wyjaśnienie było najprawdopodobniej identyczne jak w przypadku wszystkich mieszkańców tego miasta, którzy imali się pozornie niepasujących do nich zajęć. z takimi kształtnymi kośćmi policzkowymi, gładką cerą i wąskimi, pełnymi wyrazu ustami, ochroniarz należał zapewne do rzeszy czekających na angaż i szansę aktorów.

Umundurowany chłopak uśmiechnął się wymownie, po czym odwrócił od Clarka, i zgrzytając o asfalt podbitymi metalem podszwami przeszedł na drugą stronę szosy. Wchłonął w siebie panoramę i zaczął pogwizdywać jakąś nieokreśloną melodię.

– Piękny mamy poranek, prawda, panie Gable? – podjął po chwili.

– Właśnie to samo sobie pomyślałem.

Znów rozległo się pogwizdywanie. Ptaki śpiewały. Ochroniarz stał i spoglądał na widniejący w dolinie zbiornik retencyjny. Clark odniósł wrażenie, że to jedna z chwil, które potrafią się ciągnąć w nieskończoność.

– Tak przy okazji – zapytał – może wie pan, którą dokładnie powinienem pojechać, żeby trafić do klientki?

– Którą dokładnie? – Na obliczu chłopaka zamajaczyło coś zbliżonego do rozbawienia. Odwrócił się i wsunął kciuki za lśniący pas. – Niestety. Szczerze mówiąc, panie Gable, mogę podpowiedzieć tylko, że powinien pan jechać dalej tą drogą.

DWA

Woodsville. Ekskluzywne osiedle, z rodzaju tych, jakie często widuje się na reklamach w kolorowych czasopismach, lecz nigdy w rzeczywistości. Minął ciężko stąpającego wzdłuż gęstego żywopłotu faceta z taczka. w takich okolicach nawet pobocza obsadzano wspaniałymi, starannie utrzymanymi i przyszczyżonymi roślinami.

Nie natknął się na żadną bramę. Nie widział też psów. z oczywistym wyjątkiem tych, które zwykle siadają na kolanach swych pań i zlizują śmietankę z ich kawy. Po kolegach ochroniarza także nie było śladu. Clark zaczynał właśnie żałować, iż nie zatrzymał się przy mężczyźnie z taczka i nie zapytał go o drogę, kiedy pod rzędem wysokich fuksji ujrzał wysoką płytę z oszlifowanego kamienia z wyrytym napisem „Erewhon”. Przyhamował i skręcił na stromy, wiodący w górę zbocza podjazd.

Przegrzewający się ford pokonał jeszcze kawałek zwirowej drogi i zatrzymał się. Wokół rosły okazałe, ukwiecone krzewy. w powietrzu czuć było chłodną wilgoć, która przyjemnie osiadła mu na twarzy, kiedy wysiadł z samochodu i odkleił garnitur od pleców i z krocza. Willa przypominała chińską łamigłówkę z cegły i szkła, podczas gdy Clark spodziewał się raczej podróbki gotyku lub francuskiej, wiejskiej rezydencji. Coś takiego jednak zapewne dałoby się znaleźć nieco dalej, zaraz obok domu udającego grecką lub rzymską świątynię.

Przy schodach zaparkowano dwa samochody. Pierwszy był ciemnoczerwonym cadillakiem z serii 90 – najnowszy model z silnikiem V16 – a drugi

okazał się rzadkim i pięknym cackiem, śmietankowym, francuskim sportowym coupe marki Delahaye. Jego własny ford tudor, który stygł, posapując i cykając niczym rozregulowany zegar, nie wydawał się przy tych wozach maszyną zaprojektowaną i stworzoną w tym samym celu. Szczególnie wspaniałym był delahaye. Miał opuszczony dach. Na desce rozdzielczej widniało tak wiele rozmaitych przycisków i przełączników, że przypominała konsolę samolotu.

Frontowe drzwi Erehon wykonano z mleczonej szyby. Okalające je futryny również były szklane i składały się z nachylonych pod różnymi kątami fasetek. Kiedy wspiął się po ostatnich marmurowych stopniach i zaczął szukać dzwonka, kołatki lub czegokolwiek, co mogło służyć za klamkę, wyszło ku niemu kilkunastu Clarków. Nagle rozległ się nikły elektryczny szum i drzwi stanęły otworem. Nie uchyliły się na zewnątrz ani do środka, lecz usunęły w bok, w ukrytą dotąd szczelinę.

Wszedł i zawołał „halo”. Drzwi, jakby kierując się własną wolą, zasyczały i zamknęły się za nim. w wielkim, wypolerowanym na wysoki połysk holu ciemne odbicia migotały jak milczące ptaki. Przyszło mu do głowy, że powinien był zrobić to, co często robił przy pierwszej wizycie u klienta – okrążyć dom i wejść od tyłu, udając, że nie jest w stanie znaleźć głównych drzwi – tutaj zresztą byłoby to zupełnie naturalne. Mógł też wcześniej porozmawiać z sąsiadami. Albo ze służbą. i z ogrodnikiem. Powinien był zrobić cokolwiek, a nie łądować się prosto do środka. Pozwolił się rozproszyć temu pięknemu krążownikowi, igrającym na wodzie i krzeszącym skry promieniom słońca oraz ochroniarzowi roztaczającemu wokół siebie wonną aurę wody kolońskiej.

Hol przechodził w rodzaj atrium. Clark znów zawołał „halo”, usłyszał echo własnego głosu i poczuł się zagubiony. Szkło miał również nad głową. Chmury pękały w miejscach łączenia szyb, jakby stanowiły wielkie, ruchome puzzle. w pustych pokojach widział mgnienia antycznych sof i starych dywanów. Wszędzie kwiaty. Niektóre z nich prawdziwe. Niektóre na obrazach. Co do niektórych – nie umiał stwierdzić.

Dotarł do korytarza. Był długi, szeroki i wysoki. Po lewej stronie otwierały się dziesiątki wyglądających na ogród okien. Białe zasłony falowały, wpuszczając zapach świeżo skoszonej trawy. w połowie długości przejścia coś się poruszało, aczkolwiek w pierwszej chwili pomyślał, że to po prostu

lśniące w lustrze odbicie zasłon.

Kiedy podszedł bliżej, uświadomił sobie, że to coś innego. Na włoskach dłoni, przedramion i karku poczuł zimny, przedburzowy dreszcz, w którym nawet Clark – rzadko chodzący na emotyki – rozpoznał skutek działania pola Bechmeira. Tutejsze urządzenie nie przypominało jednak zakurzonych krat, które byczyły za ekranami w tysiącach kin w każdym mieście i miasteczku kraju. Tutaj pole zwijało się niczym szarpany wiatrem tuman śniegu – lub trąba powietrzna – pomiędzy czarną kolumną i rurą wijącą się sześć lub siedem stóp powyżej. Utrzymywana pomiędzy zamocowanymi do tej konstrukcji – samej w sobie eleganckiej – dwiema naładowanymi elektrycznie płytami, cicho trzaskała i tańczyła migocąca zjawia emotyczna. Cokół wyglądał na wykonany z litego marmuru, chociaż Clark uznał, że to niemożliwe; gdzieś przecież trzeba było upchnąć cały ten sprzęt. w kamieniu widniała mosiężna – lub złota – płytka. Wygrawerowano na niej tylko jedno delikatne słowo: „Muza”.

Pomyślał, że tak się właśnie pewnym ludziom żyje. Takie rzeczy kupowało się oczywiście dopiero wtedy, gdy wcześniej nabyło się już dom, cadillaca, delahaye’a i wszystkie te ogrody oraz szafy wnękowe, w których można było zabłądzić.

Gdy podniósł wzrok i przyjrzał się zjawie dokładniej, poczuł ucisk w gardle i narastające ciśnienie w uszach. Odkąd ostatnim razem oglądał film emotyczny, minęły już całe lata i zdążył zapomnieć, jak potężne jest wrażenie, jakiego doznaje widz stojący przed plazmą pola Bechmeira. Potężne i niepokojąco dziwne. w takiej chwili nie było nawet sensu myśleć o kablach i przetwornikach. a tutaj, bez towarzyszących mu zwykle ruchomych obrazów i ścieżki dźwiękowej, uczucie wydawało się – paradoksalnie – dodatkowo wzmocnione.

Zamiast ukazywać się pod postacią bezkształtnego, niewyraźnego kłębu, istota, wir zjawy przybierał kształt mglistego amalgamatu. Uśmiechały się ku niemu z góry przezroczyście usta. Ramiona wyciągały się do chłodnych objęć. Dostrzegł przebłyśki wygasłego śmiechu, mroczne szepty utraconych żyć. Gwałtownie zamrugał. Wiedział, jak łatwo jest dać się pochłonąć jarmarcznemu czarowi pola Bechmeira. Tylko że wcale nie było tandetne. Nie tym razem. To było, cholera, wspaniałe.

– Zachowuje się pan jak wszyscy moi goście, panie Gable...

Odwrócił się. Coś zbliżało się ku niemu z drugiego końca korytarza. Przez moment było ciemne i pozbawione kształtu. Ogarnął go lęk. Zaraz potem rozpoznał jednak ludzką postać. Kobiętę z krwi i kości.

– ...to cholerstwo zatrzymuje przy sobie każdego. Nazywam się April Lamotte. a pan, co raczej oczywiste, otrzymał mój list. – Wyciągnęła dłoń. Pachniała drogimi perfumami i zupełnie niedawno użyła jakiegoś kremu do rąk, ale uścisk okazał się mocny i zdecydowany. Podobnie jak spojrzenie, którym go otaksowała. – Muszę przyznać, że nie wygląda pan tak, jak to sobie wyobrażałam, panie Gable. Zupełnie nie. Ale cóż, będę się musiała zadowolić i tym.

– Pani Lamotte... – Clark odchrząknął, gdy wreszcie uwolniła jego rękę. – Ma pani bardzo piękny dom.

Rozejrzała się dokoła, jakby podobna myśl nigdy nie przyszła jej do głowy.

– Nie sądzi pan, że to wewnątrz jest nieco nazbyt ostentacyjne?

– Nie wydaje mi się, bym potrafił to ocenić.

– Ale nie chciałby pan tutaj mieszkać, prawda?

– Chybabym nie potrafił...

– Do tego rzeczywiście potrzebna jest pewnego rodzaju umiejętność. – Zaśmiała się przenikliwie. Wciąż stali blisko zjawy i Clark próbował powstrzymać dreszcze. – Umiejętność, którą wciąż próbuję osiągnąć... – April Lamotte odwróciła się i ruszyła przez korytarz, z powrotem w stronę pokoju, z którego przed chwilą wyszła.

Kiedy za nią poszedł, odwróciła się i zerknęła na niego z miną, jaką w dowolnej innej sytuacji uznaliby za zalotną. Tutaj nie miał pewności. Naprawdę znalazł się w innym świecie.

TRZY

– Proszę spocząć.

April Lamotte była pełna wdzięku i młoda na sposób dostępny wyłącznie zamożnym, dojrzałym kobietom. Miała na sobie bladozielony jedwabny kostium ze spodniami i chyba nic pod spodem. Była szczupła, prawie chuda – zdecydowanie nie w jego typie – i chodziła boso. Jej rude włosy, rozdzielone pośrodku przedziałkiem, lśniły. Kiedy wskazała Clarkowi miejsce na długiej sofie, zdążył już ocenić klientkę jako ostrą i zdeterminowaną sztukę.

Tyłek zapadł mu się głęboko w siedzisko, kolana wyskoczyły wysoko do góry.

April Lamotte wciąż jednak stała. Obracała na palcu złotą obrączkę i uciechył się, widząc to nieznaczne świadectwo zdenerwowania.

– Zrobił pan, jak prosiłam? Przywiózł pan ze sobą list? i nikt nie ma pojęcia o pańskiej wizycie u mnie?

Skinął głową. Klienci często wpadali w obsesję na punkcie tajemniczości. Stwierdził w duchu, że nie ma powodu, by wspominać kobiecie o ochroniarzu, który zatrzymał go po drodze.

– w mojej pracy dyskrecja to absolutna podstawa, pani Lamotte.

– Jak pan zauważył, dałam wolne całej służbie. z naszej rozmowy nie może wyjść na zewnątrz choćby jedno słowo. Nigdy. Rozumie pan? a teraz poproszę o list. Czy mogę? i kopertę...?

Przyglądał się jej, kiedy zapaliła dużą srebrną zapalniczkę, przytknęła papiery do płomyka i złożyła płonące, czerniejące resztki w masywnej kryszta-

łowej popielniczce. Patrząc na to, po raz kolejny zastanowił się, w jaki sposób list wraz z zachęcającym pięćdziesięciodolarowym banknotem trafił do jego skrytki pocztowej w Venice, skoro nie było na nim znaczka i stempla.

– Może – zaczął – mogłaby mi pani zdradzić parę szczegółów więcej. Najlepiej będzie, jeżeli zaczniemy od początku.

– Jestem bardziej niż świadoma natury pańskiej pracy, panie Gable. Nim zacznie pan zadawać niestosowne pytania, powinnam chyba powiedzieć, że nie chodzi mi o rozwód. Także mój mąż nie przeżywa romansu. Chociaż to w pewnym sensie mogłoby pomóc.

– Mówi pani, że wie, czym się zajmuję, pani Lamotte – odparł. – Myślę jednak, że powinna pani również wiedzieć, czego nie robię. Nie param się przemocą ani przymusem. Nie używam broni. Nie licząc mandatów za złe parkowanie, które reguluję zawsze terminowo, staram się nie łamać prawa. Mogę pomóc w zbieraniu dowodów, ale nie zajmuję się ich fabrykowaniem. Prawdę powiedziawszy, większość moich zleceń polega na tym, że sprawdzam, co robią wskazane mi osoby, a potem fotografuję to tak wyraźnie, jak tylko zdołam. Koszt moich usług to trzy dolary za godzinę.

April Lamotte wykonała drobny, lekceważący gest; nie poruszyła jej nawet potrojona stawka. Trudno było określić barwę oczu kobiety, aczkolwiek, gdyby Clark musiał zgadywać, postawiłby na zieleń. Na koniuszku nosa miała niewielkie wgłębienie, które na swój sposób wyglądało nawet atrakcyjnie. Po panującej na korytarzu jasności, przyćmione światło w salonie wydawało się dziwne. Wpadało zza półokrągłej, częściowo przesłoniętej zasłonami wnęki okiennej i pochwycone przez tak wiele mieniących się przedmiotów – wliczając w to tę odzianą w jedwab kobietę – nabierało specyficznej, własnej faktury. Zupełnie jak warstwa świeżej farby, połysk deski rozdzielczej delahaye' a czy emotyczna zjawa.

– Napije się pan? – Gospodyni przesypała kruszony lód ze srebrnego wiaderka do dzbanka z rżniętego szkła.

Clark, który zdążył się już zapaść w kanapę tak głęboko, że przybrał pozycję niemal embrionalną, spróbował wykonać gest, który powiedziałby jej, że zazwyczaj o tej porze nie pije, ale dla towarzystwa nie odmówi.

Naląła szybko i swobodnie. z trudem wychylił się z siedziska i odebrał szklaneczkę, ciężką, zimną i kryształową. Na powierzchni płynu pływały drobinki czegoś, co mogło być miętą, ale w smaku okazało się tak lodowate i

ostre, że nie dało się bliżej określić. Jak zwykle w kontaktach z klientami, zwrócił uwagę na sposób, w jaki April Lamotte pije. Krótki łyk i tyle. Nie była pijaczką.

– Mogę zapalić? – Postukał skrzętem o papierośnicę.

Potaknęła i wyjęła z lakowego japońskiego pudełeczka własnego – jasnoniebieskiego – papierosa. Podzielili się płomieniem zapalniczki. Wypuściła z ust kłęb dymu. Na zewnątrz zamożną dolinę wypełniały ciche odgłosy poranka. Ptaki, pszczoły i odległe kosiarki do trawy ćwierkały, bzyczały i warczały. Coś w postaci stojącej, spowitej w blask jedwabiu April Lamotte, skojarzyło mu się z emotywnym widmem w korytarzu. Szybko odsunął od siebie tę myśl.

– a więc, panie Gable – podjęła – chcę, i zamierzam zapłacić za to wedle pańskich standardów iście królewsko, by zagrał pan mojego męża. Chcę, żeby stał się pan Danielem Lamotte'em.

CZTERY

Jeżeli dotychczasowe doświadczenie zawodowe nauczyło go czegokolwiek, to z pewnością wycucia odpowiedniego momentu na wycofanie się. Mógł dokończyć drinka, rzucić jakiś głupi, zupełnie nieprzepraszający tekst; wygrzebać się z tej sofy. i wyjść. Pięćdziesiątkę oczywiście by zatrzymał dla siebie.

– Przykro mi, pani Lamotte. Jestem w stanie odczytać pani propozycję na co najmniej kilka sposobów i chociaż nie mogę powiedzieć, by niektóre z nich mi nie schlebiały, to żaden nie pasuje do mojego profilu zawodowego. Jeżeli szuka pani przyzwoitki, mam kilku znajomych, którzy, gdy nie grają w filmach, zajmują się właśnie podobnymi zleceniami. a jeśli zależy pani na... Cóż, na kimś więcej niż męskiej przyzwoitce, to również znam facetów i...

– Nic z tych rzeczy, panie Gable. w ogóle nie chodzi mi o nic, co może pan sobie wyobrażać.

– Cóż... – Uniósł na nią spojrzenie i zastanowił się jednocześnie, dlaczego, u diabła, jeszcze tu siedzi. – Rozumiem i to. Nie przyjechałem tutaj, by panią oceniać. Ale nie chcę również marnować pani cennego czasu.

– Zaraz, jak sądzę, usłyszę, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

Ten ton, ta swada były czymś nowym. April Lamotte nie była przeciętną osobą. Bez dwóch zdań. w zasadzie nie przypominała żadnego klienta, dla jakiego przyszło mu dotąd pracować. i był już niemal stuprocentowo pewien, iż pod tym jedwabnym, zielonym kostiumem, gospodyni nie nosi niczego

więcej.

– Proszę, by pan nie wychodził, panie Gable. Więcej niż proszę. Jeżeli pan teraz wyjdzie, nie obejdzie się bez konsekwencji. Na przykład pańska licencja. Ten dokument, o którym mówi pan zawsze, że został w samochodzie albo w biurze, tudzież w kieszeni drugiego garnitur. Jakby w ogóle posiadał pan drugi garnitur. – Zachichotała złośliwie. – Albo prawdziwe biuro. Albo jakby płacił pan podatek drogowy od tego rdzewiejącego gruchota. Może mi pan wierzyć lub nie, panie Gable, ale kazałam się panu przyjrzeć, dodam, że bardzo dyskretnie, i wiem, że jest pan dokładnie taką osobą, której pomocy potrzebuję. Spełnia pan większość wymagań, choć może nie aż tak dokładnie, jak miałam nadzieję...

April Lamotte podeszła do komody. Wróciła z oprawionym w ramkę zdjęciem.

– Proszę.

Ramka była ciężka, złocona. Musiał zmrużyć oczy i przekręcić fotografię, nim zdołał się dokładnie przyjrzeć widniejącemu na niej facetowi, stojącemu przed niskim murkiem, z ramionami zgarbionymi w sposób typowy dla wielu wysokich mężczyzn. Miał gęstą brodę i nosił okulary w sztykretowych oprawkach oraz zamszowe półbuty, spodnie w kant i białą, zapinaną na guziki koszulę z krótkim rękawem. Ciemne włosy zaczesał niestarannie do tyłu i sterczały mu wokół wyraźnie odstających uszu. Nie uśmiechał się, a ręce trzymał w kieszeniach. Nie był szczególnie zachwycony faktem, że ktoś robi mu zdjęcie.

– Na tej fotografii tego nie widać, ale Dan ma zbyt wydatne górne zęby, dokładnie takie jak pańskie. Nigdy nie chciał się tym zająć. Twierdzi, że krzywy zgryz stanowi część jego osobowości. Jest też niemal dokładnie pańskiego wzrostu i budowy. No i obaj macie te radary zamiast uszu. – Zaniósła się ostrym śmiechem. – Może więc nie powinnam była czuć na pański widok takiego rozczarowania. w końcu, jak bardzo można być podobnym do innego człowieka? Co prawda, Dan nosi też brodę. a sztuczne zawsze wyglądają na sztuczne. Ale wystarczy, że będzie pan mówił, że ją zgolił. Sam pan wie, jak bardzo zmienia się twarz, kiedy mężczyzna pozbędzie się zarostu. Będzie pan też mógł dorzucić jakiś akcent w rodzaju okularów Dana.

Wyprzedzała go coraz bardziej.

– Czyli... – ramka głucho stuknęła, gdy odłożył fotografię na szklany blat

stolika – ...czego dokładnie pani się po mnie spodziewa?

– Jak już powiedziałam, chcę, by stał się pan moim mężem. Jedyne na kilka godzin. Ryzyko jest na tyle niewielkie, że nie warto o nim wspominać. a nagroda, cóż... co pan powie na tysiąc dolarów?

– Powiem, że takich sum nie płaci się ludziom, którzy nie zarobią na nie. i dodam ewentualnie, że oferująca takie pieniądze osoba musi być zdesperowana.

– Zdesperowana... – Zastanowiła się nad tym słowem. Przechyliła głowę. – w ten sposób bym tego nie ujęła. Aczkolwiek, istotnie, pańska pomoc jest mi potrzebna. a jeżeli pan stąd teraz wyjdzie, będę w stanie wybitnie uprzykrzyć panu życie.

– Gdzie pani mąż jest w tej chwili?

– Dojdziemy do tego.

– i chce pani, bym...

– Do tego również dojdziemy. Na wstępie jednak pozwoli pan, że powiem coś o sobie i Danie... Nie będę pana zanudzać historią swego życia, panie Gable, ale powinien pan wiedzieć, że dorastałam na prowincji w jednym ze stanów w głębi kraju, a od zawsze byłam kobietą ambitną. Zdawałam sobie sprawę, że nie wyglądam najgorzej, lecz już w młodym wieku przekonałam się, że zajęcie drugiego miejsca w lokalnym konkursie piękności nie gwarantuje praktycznie niczego. Rozmawialiśmy o tym z siostrą. Kiedy kładłyśmy się wieczorami do łóżka, snułyśmy plany. Postanowiłam uczyć się na pielęgniarkę, ponieważ wydawało mi się, że to najprostszy sposób na wzbogacenie się. Stwierdziłam też, że Los Angeles jest najlepszym miejscem na podjęcie próby. Wie pan, chciałam zmieniać pościel i podcierać tyłek jakiemuś bogatemu starcowi w wielkiej rezydencji, który widuje własną rodzinę tylko od wielkiego dzwonu. Szalony romans, może kilka cudownych miesięcy małżeństwa, a potem...

– Szczwany plan.

– Prawda? Jedyne problem polegał na tym, że nie ja pierwsza wpadłam na ten pomysł. Nie uwierzy pan, panie Gable, ale w Los Angeles, nawet żeby dostać pracę prywatnej pielęgniarki należy przejść przez casting. i kanapę.

– Chyba jednak uwierzę. – Musiał się uśmiechnąć.

– Nadal miałam plany, wciąż żywiłam nadzieję, ale akurat wtedy rozpułtał się Wielki Kryzys i osoby z moim wykształceniem mogły znaleźć pracę tyl-

ko w Metropolitan State Hospital. Zna pan ten szpital? Met?

Skinął głową. Oczywiście, że znał działający w Norwalk miejski zakład dla obłąkanych. Nawet dzieci na ulicy wyzywały się przy użyciu tej nazwy.

– Tam więc trafiłam. Byłam w zasadzie bez grosza, więc zajęłam się opróżnianiem kaczek i zaciskaniem kaftanów bezpieczeństwa po szesnaście godzin dziennie, by móc cokolwiek włożyć do garnka. Nie wiem, czy może pan sobie wyobrazić, jak taka praca wygląda.

– Szczerze powiedziawszy, pani Lamotte, nie jestem wielbicielem tego rodzaju przybytków.

Urwała i przyjrzała mu się.

– a kto jest? Niektórzy pacjenci i całkiem spora liczba pracowników to osoby, przez które można zwątpić w istotę człowieczeństwa. Kiedy kończyłam zmianę i wracałam pociągiem do miasta, byłam tak zmęczona, że nie mogłam usnąć. Późnymi wieczorami wpadałam coś przekąsić do takiej obskurnej knajpki na Bunker Hill, „Edna’s Eats”. Właśnie tam spotkałam Dana. Zwyczajny facet, siedzący bez słowa nad swoją kawą. Było w nim jednak coś szczególnego. Zaczęliśmy rozmawiać i po jakimś czasie zdradził, że jest pisarzem. Nie był w zasadzie dumny z żadnego ze swoich utworów, ale zdołał mnie zaciekawić...

Podeszła do stojącej na drugim końcu pokoju szafki. Drzwiczki odstłoniły półkę zastawioną starymi książkami o przebarwionych grzbietach. Wyjęła kilka tomów.

– Proszę spojrzeć.

Brukowe powieści. Przejrzał je. Miały żółtawe kartki i pachniały tanim klejem. „Diablice w ciemności”. „Śmierć zachodzi od tyłu”. „Żądza o północy”. „Wojna z kosmiczną grozą”. „Piękna i gnijąca”. Okładki były cudownie krzykliwe i drastyczne. Noże i pistolety. Naprężone biusty i rozchylone, pociągnięte szminką wargi. Miasta przyszłości i dziwne, pulsujące maszyny.

– Już wtedy miał je wszystkie na koncie – powiedziała, gdy Clark zwrócił uwagę na widniejące na okładkach nazwiska. Sid Tulla. Frank F. Freeman. Najbardziej spodobała mu się Luella Stand. – Naprawdę nazywał się Daniel Hogg i sam przyznawał, że produkuje kicz, ale kupiłam kilka i przeczytałam je w pociągu, wracając z Met. i te książki, jak na swój gatunek, okazały się oszałamiająco dobre. Powiedziałam o tym Danowi i chyba nie widziałam nigdy nikogo bardziej ucieszonego.

– i wówczas uznała pani, że ten gość to bilet do lepszego życia?

– Zakochaliśmy się w sobie, panie Gable. Wiem, że w pana uszach musi to brzmieć niedorzecznie, i z całą pewnością niczego takiego nie planowałam, ale co począć. Zakochaliśmy się w sobie i zamieszkaliśmy razem w taniej, wynajętej norze. Po niedługim czasie uświadomiłam sobie, że Daniel Hogg trwoni swój talent.

– Zaraz, czyli nie nazywał się Lamotte?

– a wyobraża pan sobie robienie w tym mieście kariery z takim nazwiskiem jak Hogg? To właśnie była jedna z pierwszych zmian, na jakie się zdecydowaliśmy. Imię Daniel bardzo mi się podobało, a moje własne nazwisko, Lamotte, stanowiło jedyny element wcześniejszego życia, z jakiego mogłam być szczerze dumna. Tak więc jeszcze przed ślubem stał się Danielem Lamotte'em. Nakłoniłam go też do pisania scenariuszy, które nawet przed epoką emotyków pozwalały mieć nadzieję na prawdziwe pieniądze. Kazałam mu również zwolnić agenta.

– Mam wrażenie, że sama pani nieźle się w tej roli sprawdzała, pani Lamotte.

Te oczy, które, jak wreszcie uznał, naprawdę były zielone, rozbłysły.

– Nie sprowadziłam tu pana, żeby się z czegośkolwiek tłumaczyć. Może pan odbierać moją opowieść, jak pan uważa za stosowne...

Opowieść, pomyślał, która sama w sobie stanowiłaby kanwę zupełnie przyzwoitego scenariusza. a prawdopodobnie nawet nim była i krążyła w swej dwudziestej wersji od wytwórni do wytwórni. Pielęgniarka (w filmie zapewne powinna być również pragnącą się wybić aktorką; w końcu nikt nie uwierzy, że nieźle wyglądająca lalunia chciałaby być w tym mieście kimkolwiek innym) spotyka autora tanich powieści, nocą w podrzędnym lokalu. On być może gryzmoli zaciekle w notesie. Ona może nawet czytała jedną z jego produkcji. a może po prostu rozlewa mu kawę na kolana...

– Wiem, że to brzmi aż nazbyt pretensjonalnie, ale Dan naprawdę żył po to, by tworzyć. Wcześniej nie napisał ani jednego scenariusza, a potem zaczęły się z niego po prostu wylewać. i były dobre. Między nami mówiąc, on po prostu pisał, a ja rzuciłam pracę w szpitalu i robiłam wszystko, co było konieczne, dosłownie wszystko, by odpowiedni ludzie zauważyli jego teksty. i wreszcie zaczęliśmy dostawać pracę. Szczególnie dobrze szły mu zwroty akcji i zakończenia – były to wszystko wydarzenia, które, kiedy już nastąpią,

wydają się nieuniknione, ale takie, jakich przedtem nikt nie był w stanie przewidzieć. Widział pan „Miasto wolności”? To jeden z pierwszych scenariuszy Dana. a potem nastąpiły czasy emotyków...

– Nie jestem wielkim znawcą kina emotycznego, pani Lamotte.

– Ale rozumiem, że słyszał pan o „Królowej dziewicy”?

Skinął głową. Oczywiście nie oglądał, ale nawet on o tym filmie słyszał. Epopeja z czasów kryzysu i sączków na genitalia. Weszła na ekrany mniej więcej w 1933 lub 1934 roku i między innymi to ona dowiodła światu, że pole Bechmeira stanowi przyszłość przemysłu rozrywkowego.

– Prawda, że to zabawne? Jeden z najbardziej znanych emotyków, a nikt nie pamięta faceta, który stworzył scenariusz. Nawet ci idioci z Akademii zbyli go milczeniem. Nam jednak ten film pozwolił wieść życie, o jakim marzyłam odkąd tylko przyjechałam do tego miasta. Dan sprzedawał kolejne teksty, wiodło mu się dobrze i przez kilka lat byliśmy szczęśliwi. Oboje...

Pozwolił spojrzeć błędnie powoli w kolumnach słonecznego światła, które sunęły wąskimi, jaśniejszymi plamami po parkiecie, w miarę jak dzień zmierzał do południa. Po chwili podniósł wzrok na powrót ku gospodyni. Nawet pomimo jej dziwnej prośby, i chociaż Daniel Lamotte był podobno artystą, człowiekiem wyrastającym ponad tego typu sprawy, Clark wciąż spodziewał się jednego ze standardowych zakończeń. Nowa, jasnowłosa sekretarka z nogami po samą szyję. Ta dziwka z domu naprzeciwno, która zawsze opalała się nago na balkonie. Czyściciel basenów. Słyszał już większość typowych opowieści o końcu szczęśliwego pożycia.

Zaryzykował i uniósł pytająco brew.

– Wszyscy są przez jakiś czas szczęśliwi, pani Lamotte. To niepisane prawo wszechświata. a potem każdy staje się trochę mniej szczęśliwy. To druga z ogólnych zasad. i zazwyczaj właśnie wtedy zaczyna się moja rola.

– Ma pan zapewne rację. – April Lamotte teatralnie westchnęła. Zrobiła to tak udatnie, że zaczął się zastanawiać, czy naprawdę nie zajmowała się w swoim czasie aktorstwem. Zaraz potem kobieta i jej bosa odbicie podjęli przerwany spacer po lśniącej posadzce.

– Po sukcesie „Królowej dziewicy” Dan mógł pisać takie scenariusze, na jakie miał ochotę, i wiedział, że się sprzedadzą. Ale może właśnie to stanowiło część problemu. Przedtem zawsze tworzył pod presją. Teraz jednak miał czas, możliwości, swobodę. Kupiliśmy Erewhon i sosnowy letni domek w

górach Sierra Madre. Wiodło nam się świetnie i odnieśliśmy kilka prawdziwych sukcesów – „Kiedyś, zapewne nigdy”, „Poszukiwacz złota”, „w piątek, czyli dzisiaj”... Ale każdy nowy pomysł przychodził mu z większym trudem niż poprzedni. w 1938 upływał rok, od kiedy Dan wydał coś nowego.

– Przestał pisać?

Kolejny papieros. Świeży kłęb dymu.

– Rozczarowuje mnie pan, panie Gable. Gdybym nie wiedziała, ile lat spędził pan w tym mieście, zaczęłabym się zastanawiać, gdzie się pan przez ten czas podziewał. Jest pan taki sam jak ja, przybył pan tu w pogoni za bogactwem i sławą. i niemal udało się to panu osiągnąć, nieprawdaz? Pracował pan jako aktor, podpisał kontrakt z jedną z dawnych wytwórni. Grał pan w filmach dźwiękowych. i był pan już w pół drogi do pięknego miejsca, a jednak w efekcie okazało się ono tą dziurą, w której tkwi pan teraz.

– Cóż, dzięki.

– Wspominam o tym dlatego, że akurat pan powinien wiedzieć, że pisarze nigdy nie przestają tworzyć, a przynajmniej próbować. Dan robił wszystko. Obywał się bez snu lub całymi dniami nie wstawał z łóżka. Zamykał się w naszym domku w górach. Potem zaczęły się te jego ciągi. Pewnego razu znalazłam go w tunelu Trzeciej Ulicy pod Bunker Hill. Kulił się i wył jak małe dziecko. – Pokręciła głowę. – To go powoli zniszczyło. Wie pan, Dan zawsze był nieśmiały i nerwowy, ciężar załatwiania spraw w prawdziwym świecie od początku spoczywał na mnie. Wtedy jednak stało się coś zupełnie innego. Po prostu zamierał. Nie chciał się odzywać, prawie się nie ruszał i trwał w takim stanie godzinami, a nawet całymi dniami. Leżał w łóżku lub siedział w fotelu. Niekiedy zastygał w jakimś miejscu, jakby czas przestawał dla niego płynąć. To były naprawdę przerażające momenty. Albo dostawał szału. Dopadał go straszliwy lęk. Świat napawał go strachem. Wydaje mi się jednak, że w pewnym sensie od zawsze przeczuwałam tę stronę osobowości Dana. Nawet kiedy na samym początku mieszkaliśmy na ostatnim piętrze taniej czynszówki, musiałam niekiedy... cóż... – Strzepnęła popiół. – Musiałam go pielęgnować. Uspokajać. Namawiać, by się zebrał w sobie i zaczął ponownie żyć, radzić sobie z rzeczywistością. Oczywiście wiedziałam, gdzie zdobyć konieczne do tego środki. Tyle że teraz Dan dodatkowo pił. Wysyłałam go na odwyki do prywatnych klinik, sprowadzałam szamanów od psy-

chiatry, by rozgryźli źródło problemu. Wszystko na nic. a potem Dan kupił tę zjawę, tego pieprzonego ducha w korytarzu, który ponoć – da pan wiarę? – miał być urodzinowym prezentem dla mnie. Namówił jakieś podrzędne studio, by zmontowało aury wszystkich jego ulubionych aktorów w jedno nagranie, które potem zapętlono. Kosztowało to fortunę, której już wówczas nie mieliśmy. a Dan po prostu stał i godzinami wpatrywał się w tę rzecz, jakby to naprawdę była jego muza, chociaż oboje wiedzieliśmy, że jedynie się przez to denerwował. Bóg jedyny raczy wiedzieć, dlaczego to dzisiaj włączyłam. Może chciałam się podrażnić sama ze sobą. Danowi jednak wciąż zależało jedynie na pisaniu. a ja nadal robiłam wszystko co w mojej mocy, by mu pomóc. Proszę mi wierzyć. Naprawdę robiłam wszystko. Chciałam go odzyskać. Tęskniłam do swojego Dana, do mojego Daniela. i rozumiałam, że jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest sprawienie, by znów zaczął pisać scenariusze.

– Tej wiosny – ciągnęła – sprawy przybrały pomyślny obrót. Przeszał pić, ja ograniczyłam tabletki. Dan zaczął oglądać wiele emotyków w naszej sali kinowej i zapowiadał nowy tekst w sposób, jakiego nie słyszałam od wieków. Nie brzmiało to jakby drążył go jakiś demon, lecz jakby czekało go proste zadanie do wykonania. Stwierdził jednak, że w Erewhon źle się czuje i że musi się cofnąć do najlepszych czasów, przez co rozumiał okres, kiedy nie mieliśmy grosza przy duszy. Wynajął więc takie mieszkanie, tanią norę w centrum. Nazwał to powrotem. Przeniósł się tam wraz ze swoją maszyną do pisania. Zabrał też kilka ryz papieru i jakieś stare ubrania. Puściłam go, panie Gable. Pozwoliłam mu na to nie po to, by stracić nadzieję, czy przestać go kochać. Zrobiłam to właśnie dlatego, że miałam nadzieję i że go kochałam...

Uśmiechnęła się łagodnie, ze smutkiem, i Clark nie miał już pojęcia, czy powinien poczuć wzruszenie, czy podziw dla jej aktorskiego talentu.

– Nie zamierzałam go porzucić. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, w tej samej knajpie, w której się poznaliśmy. Naprawdę prawie jak za dawnych czasów. Dan wydawał się szczęśliwy. Oczywiście nie mówił mi wiele o tym, co pisze. Pisarze nigdy nie opowiadają o pracy, kiedy wszystko idzie dobrze. Oświadczył tylko, że ma dobre przeczucia. Że to wszystko żyje wokół niego, w tym mieście. a potem, kiedy mi wreszcie pokazał tekst, zrozumiałam że się nie mylił. Kiedy za pierwszym razem przeczytałam szkic „Obudź się i

śnij”, panie Gable, popłakałam się. Naprawdę.

Pokiwał głową. Potrafił sobie wyobrazić April Lamotte w wielu sytuacjach, ale akurat nie lejącą łzy nad zarysem scenariusza emocyjnego filmu.

– Tyle że Dan zaczął odlatywać. Poznałam symptomy. Zadręczał się wątpliwościami, jak większość pisarzy. z powrotem pojawiły się pigułki i alkohol, czego nie byłam w stanie kontrolować. i z poziomu najlepszego tekstu od czasów Biblii scenariusz przerodził się w kupę oślego gnoju. Może umie pan to sobie wyobrazić. Może i nie. Tak czy inaczej, Dan znów się rozpadł.

– Czyli domyślałam się, że jest teraz w jakiejś klinice?

– Od mniej więcej tygodnia. w górach. Nie miałam wyboru.

– i ma pani scenariusz filmu, który chciałaby pani sprzedać, oraz męża, który nie jest w stanie się pokazać przy negocjacjach?

– Mniej więcej tak to się właśnie przedstawia. – Zduśiła w popielniczkę papierosa. – Choć nie do końca. Dan jest szanowanym autorem. „Królowa dziewica” okazała się wielkim hitem i wytwórnie wciąż czują zapach pieniędzy, gdy ktoś wymienia jego nazwisko. Wysłał tekst w ciemno, nie racząc mnie nawet poinformować, ale udało mi się wynegocjować umowę – mówimy tu o Senserami, nie o żadnych neptkach. i wszystko jest już dopięte prawie na ostatni guzik, panie Gable. Umowa została dogadana i spisana, i czeka u prawnika wytwórni tylko na podpis i poświadczenie. Ale papier musi podpisać Dan. Osobiście.

– Nie może pani odwlec sprawy? a poza tym, czy nie może pani złożyć podpisu jako jego pełnomocnik? w końcu występuje pani w charakterze jego agentki.

– Wytwórnia nie chce o tym słyszeć. Wiedzą, że Dan jest odludkiem, ale istnieją pewne granice. Kontrakt musi podpisać sam Daniel. a wie pan, jacy są producenci. Jeżeli teraz odpuścimy, okazja może przepaść na dobre.

Skinął głową. Wiedział, że czas skupienia przeciętnego szefa wytwórni filmowej jest niewiele dłuższy od chwili koncentracji bawiącego się klockami dziecka.

– a przy tym, nie owijajmy w bawełnę, panie Gable, Dan i ja potrzebujemy pieniędzy. Całe to życie, ten dom, samochody, jakie widział pan na podjeździe, ogród, o klinikach odwykowych już nie wspomnę... Nic z tego – zacytowała dokoła ręką – nie przychodzi za darmo.

– a może mogłaby pani po prostu doprowadzić męża do stanu używalności

na te kilka godzin? w końcu przecież chodzi tylko o złożenie parafki.

– z Danem jest bardzo źle, panie Gable. Przeżywa wyjątkowo trudny okres. Przez cały czas ma ograniczoną swobodę. a nie będę ukrywać, ile warta jest ta umowa z Senseramą, zresztą i tak się pan przekona, jeśli zgodzi się mi pomóc. Chodzi o pięć tysięcy dolarów z góry, a potem dodatkowe dwadzieścia, po zatwierdzeniu ostatecznej wersji scenariusza. Panu proponuję uczciwy, okrągły tysiąc. Mogłabym umówić spotkanie na jutro, pojutrze zrealizuje pan czek.

– Naprawdę uważa pani, że jestem do niego tak bardzo podobny? To znaczy, mimo wszystkich tych komplementów, jakimi mnie pani obdarzyła...

– To nie jest istotne. Dan nigdy nie brylował publicznie, a żaden z prawników nigdy się z nim nie spotkał osobiście. z brodą nie widzę problemu. Po prostu zgolił pan i wie, jak to zmienia człowieka. Dan nosi inną fryzurę, ale na to zaradzi żel. Mam też okulary zerówki, wie pan, takie ze zwykłymi szklami, niemal identyczne jak te Dana, i one również pomogą. Poza tym, kto mógłby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia, skoro będzie pan wyglądać jak Dan, przyjdzie pan w jego ubraniu i na dodatek ze mną u boku?

– Musiałbym przećwiczyć jego podpis, no i dowiedzieć się czegoś o jego głosie, sposobie zachowania...

– To oczywiste. Domyślam się zresztą, że nie będzie to pierwszy podpis, jaki pan w życiu podrobił.

– Poza tym chciałbym zapoznać się z tym scenariuszem, skoro mam udawać jego autora...

w tej chwili jednak grał już tylko na czas. Prawdę mówiąc, teraz, gdy poznał całą sprawę, poczuł dziwną ulgę. Po wysłuchaniu mrocznych gróźb kobiety i jej dziwnej opowieści – tutaj w wyjątkowej atmosferze Erewhon – myśl o podszyciu się na kilka godzin pod scenarzystę, a nawet o ewentualnym oszustwie, świadomym wprowadzeniu w błąd, fałszerstwie, wyłudzeniu i być może nawet kradzieży, nie wydawała się Clarkowi niczym wyjątkowym. Poza tym kusily go pieniądze i wyzwanie, które choć na moment przypomniałoby mu o zaprzepaszczonej karierze. a na koniec – i z pewnością nie była to zachęta najmniej istotna – pozostawała jeszcze sama April Lamotte.

PIĘĆ

KR LO WA DZI W CA
W ROL GŁ WNEJ PE ENTW STLE

Czysty przypadek, pomyślał.

Próbując zebrać myśli, jeździł bez celu po mieście i w pewnej chwili zauważył te litery, krzywo zawieszono ponad kolumnadą jakiegoś obskurnego, małego kina w Watts. Ignorując kakofonię klaksonów i okrzyki „Ej, koleś!”, zjechał na bok i zaparkował na pierwszym wolnym miejscu.

– Parter czy balkon?

Korzystając z zaliczki, kupił bilet w wilgotnym foyer i znalazł miejsce wysoko z tyłu sali, z dala od smrodu łazienek. Światła, przez cały czas dosyć ciemne, przygasły jeszcze bardziej. Rozległo się terkotanie projektora, który przeszył jaskrawym palcem zaduch papierosowego dymu i wymierzył w kurtynę. Ta drgnęła zupełnie jak żywa istota, po czym rozsunała się na boki.

Ten srebrny ekran. Ucieleśniona w jego pustce czysta, niczym niezmacona aura oczekiwania. Tak, pamiętał to – świętą możliwość, że majaczące na płótnie cienie pochłoną widza, wyżmą go i zostawią z uczuciami, o jakich już dawno zapomniał.

Najpierw jednak kronika filmowa – jak za dawnych czasów, po prostu dźwięk i obraz. Pole Bechmeira nie zostało jeszcze włączone. Joe DiMaggio zdobywa bazę w każdym kolejnym meczu, są Red Sox i Dodgersi, Hitler przygląda się Paryżowi ze szczytu wieży Eiffela, a niemiecki minister spraw zagranicznych Ribbentrop przylatuje do Lakehurst na pokładzie „Hindenburga”, by wygłosić serię przemówień na temat „Pokoju między dwoma konty-

mentami”, i to wbrew Rooseveltowi, który chciał wizycie zapobiec. Wszystkie to do wtóru energicznej muzyki i z komentarzem Harry’ego von Zella.

Podczas reklam zmieniło się wszystko. Teraz – wraz z elektrycznym brzęczeniem i charakterystycznym morsko-słonym zapachem naładowanej plazmy – uruchomione wreszcie generatory rozlały energię po rozciągniętej za ekranem delikatnej, metalowej siatce. Jeszcze zanim widoczne stało się samo pole, zmęczone powietrze w kinie przeszło odmianę i zapłonęła w nim dodatkowa poświata, pewna nieokreślona obecność, w której Jo-Ann Corkish wyjechała ku widzom konno ze swego rancza na prerii. Nie to, by Clark kiedykolwiek to wrażenie polubił, nigdy nie czuł się z nim komfortowo, lecz kiedy aktorka zeskoczyła z siodła, gdy wyciągnęła paczkę lucky strike’ów z kieszeni na swej wyprężonej, dżinsowej piersi, kiedy zapaliła i zaciągnęła się, jego płuca wypełniło coś chłodnego, intensywnego i przenikliwego. Kiedy się uśmiechnęła, poczuł ciepło, jakby na twarz padły mu nagle promienie letniego słońca.

Filmy emotyczne pozwalały nie tylko widzieć i słyszeć. Przekazywały uczucia – i zanim ostatnia reklama gumy „Wrigley’s Doublemint” załapała Clarkowi usta bezużyteczną śliną, był już gotów płynąć statkiem Matson Line na Hawaje w koszuli marki Arrow, popijając rum „Ron Marito” i paląc papierosy kilku różnych producentów. Poza tym naprawdę przydałby mu się nowy chevrolet. a co więcej – przemknęło mu przez myśl, gdy rozległy się pierwsze tony ścieżki dźwiękowej „Królowej dziewicy” – dzięki pieniądзом, jakie oferowała April Lamotte, byłoby go w zasadzie na ten samochód stać.

* * *

Kiedy wyszedł z kina, blask późnopopołudniowego słońca wydał mu się słaby i blade.

April Lamotte miała rację. „Królowa dziewica” rzeczywiście okazała się niesamowitym emotykiem. Nawet dreszcze i swędzenie nie były tak dolegliwe, jak się wcześniej spodziewał. Były w zasadzie dokładnie takie, jakie powinny, by utwierdzić widza w przekonaniu, że całe to medium nie jest jakąś szemraną sztuczką. Nie to, by Clark – facet spokojnie mogący całą swoją znajomość angielskiej historii zawrzeć na odwrocie bardzo skromnego znaczka pocztowego – dał sobie wmówić, że prawdziwa królowa Elżbieta zachowywałaby się wobec hiszpańskiego monarchy równie zalotnie, ani że jakkolwiek europejski władca zaangażowałby się w walkę z wrogą armadą tak bar-

dzo i osobiście jak ekranowa władczyni na pokładzie statku. To jednak nie miało żadnego znaczenia – podobnie jak nie miał go fakt, że oglądał jakąś starą i trzeszczącą kopię z przytłumionym dźwiękiem i przetartą taśmą emocyjną, przez którą fale zblakanej plazmy kłębiły się wzdłuż skrajów brudnej kurtyny niczym szmaragdowe płomienie.

Wszystko wydawało się tak bardzo prawdziwe! Sposób, w jaki wielobarwna aura radości Elżbiety tańczyła w szarym promieniu projektora, gdy w początkowych scenach filmu królowa bawiła się w pałacowym ogrodzie. Jej cuchnący strach, gdy kuliła się w brudnej celi. Chytrność i arogancja, którymi aż ociekała aura Hanka Gunna, znakomicie wcielającego się w postać Walsinghama, przebiegłego sekretarza i szefa wywiadu królowej. Egzekucja Marii, królowej Szkotów, była arcydziełem gatunku. Sposób, w jaki muzyka przycichła i umilkły wszystkie śmiechy, pozostawiając widza jedynie ze straszliwą, odtwarzaną ze ścieżki emocyjnej żądzą krwi tłumu, wyraźnie odczuwalną z tyłu gardła niczym przecucie choroby. i dźwięk kroków Marii wchodzącej po kolejnych stopniach na szafot, chłodny ucisk w sercu, jaki czuło się, gdy ogarniała ją bezrozumna groza... a potem nagłe cięcie i twarz płaczącej Elżbiety. Clark również załał się łzami – oczywiście, że tak; nie potrafił się powstrzymać. Podobnie jak cała reszta widowni. Sekwencja była absolutnie wspaniała i zaczął się zastanawiać, czy była już taka w scenariuszu Daniela Lamotte'a. Jeżeli tak, facet był geniuszem. Jeśli nie, i tak był niezły.

No i sama Peg Entwistle. Ponownie ujrzeć jej twarz, lecz tym razem mającą na wielkim ekranie. Olbrzymią i bardziej odległą niż Księżyc, a przecież wystarczająco bliską, by jej dotknąć, i równie śliczną. Jej duże, szare oczy. Sposób, w jaki pochylała głowę. Łuki warg. Ani przez chwilę nie można było wątpić, że ma się do czynienia z żywą, oddychającą istotą. Taka właśnie musiała być Elżbieta. i pomyśleć, że dawniej ludzie powiadali, że Peg jest w stanie grać wyłącznie role najlepszych przyjaciółek w głupawych komedijskich. z tym wyrafinowanym, brytyjskim akcentem, z piękną, bladą cerą i nieznaną, lecz zawsze wyczuwalną domieszką smutku i stali była do roli Elżbiety po prostu stworzona.

Tak, zupełnie skutecznie udało mu się zapomnieć, jak to jest oglądać emoty – podobnie zresztą, jak zapomniał o wielu innych rzeczach – i barwy zwykłego świata wciąż wydawały mu się teraz dziwnie wyblakłe. Włączył się do gęstniejącego przed wieczorem ruchu i pojechał na zachód, w kierunku

Venice, zerkając co jakiś czas w lusterko, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

SZEŚĆ

Venice to nie Los Angeles. w Venice znikało nawet wrażenie przebywania w Kalifornii. i była to jedna z cech, które sprawiały, że tak bardzo mu się tutaj podobało.

Marzenie Abbota Kinneya – kanały, pałace, betonowe gondole – stało się rzeczywistością jeszcze w latach dwudziestych, chociaż nowe i eleganckie centrum życia artystycznego, które wyobraził sobie pomysłodawca, bardzo szybko, pod presją ekonomicznej konieczności, przeobraziło się w hałaśliwe wesołe miasteczko. Większość bardziej ambitnych atrakcji zniknęła już dawno. Kanały zatkał szlam. Trasy wodnych przejazdów wyschły. Sztuczny wulkan, który swego czasu dwa razy na noc wybuchał ogniami fajerwerków, zapadł się w sobie i dogorywał teraz za butwiejącym płotem.

Odkąd niedaleko stąd, kawałek na południe, odkryto złoża ropy naftowej, kołyszące się kiwony i płonące wieże odprowadzające nadmiar gazów wypełniły powietrze kwaśnym, przypominającym smród zepsutych jaj fetorem siarkowodoru. Ale cóż, można było przywyknąć – Clark pracował kiedyś przy odwiertach – a skoro w efekcie tych zmian mieszkało się obecnie w Venice taniej, niż gdyby historia potoczyła się inaczej, nie miał nic przeciw temu.

* * *

Fronton budynku Doge's Apartments wciąż nosił pewne podobieństwo do swego włoskiego oryginału. Przynajmniej za ostatnim razem, kiedy Clark świadomie się mu przyjrzał. Część pokrytej różowawym wzorem terakoty nadal uparcie trzymała się cegieł, a niektóre z niżej otwierających się okien cią-

gle były zwieńczone gotyckimi łukami. Przechodząc przez wahadłowe drzwi, miał jednak inne rzeczy na głowie. w ręku niósł tanią, tekturową walizkę z rzeczami należącymi do Daniela Lamotte'a.

Zajrzał do skrzynki pocztowej – nic poza brązowymi kopertami z rachunkami, które widział już wczoraj – i ruszył w stronę schodów. Zatrzymało go jednak wołanie dochodzące zza pleców.

– Hej, panie Gable...! Mam dla pana wiadomość...

Glory Guzman wytarabaniła się ze swojej kanciapę. Kobięcina należała do tych grubych osób, jakie sprawiają wrażenie, że osiągnęły ostateczne, święte stadium, apogeum otyłości. Clark cierpliwie czekał, gdy wycierała chusteczką swoją wielką, aztecką twarz. Poza tym, że ponoć sprzątała pokoje – istnienie owej usługi zauważało się przede wszystkim poprzez jej niedostatek – Glory nasłuchiwała dzwonka wspólnego telefonu, znajdującego się w holu na dole, i od czasu do czasu przekazywała lokatorom wiadomości. Nigdy jednak nie należało jej ponaglać.

– ...kobieta, pytała o pana. Mówi, że zmartwiona o swego męża, bo to dobry człowiek i zdolny. Chce z panem mówić, ale nie dała swojego nazwiska.

– a może numer?

– Tego mi nawet nie powiedziała. Po prostu mówi, że zmartwiona i jakoś znalazła pana nazwisko.

Wiadomość nie była wcale nietypowa. Podobnie zaczynało wiele klientek. Nie tak łatwo z siebie wydusić, że chce się, by ktoś obcy sprawdził, kogo lub co rznie ukochany. Niektóre z nich pamiętały nazwisko Clarka jeszcze z dawnych czasów. Zupełnie jakby stare filmy nie wyszły z mody wieki temu, przez pół godziny opowiadały, jakimi to są zagorzałymi wielbicielekmi, a dopiero potem przechodziły do rzeczy. Część nawet – i przez krótki moment sądził, że April Lamotte zmierza właśnie w tym kierunku – chciała tak naprawdę jedynie spełnić jakieś na poły pogrzebane szkolne marzenie i po prostu się z nim przespać.

– No dobra. Dzięki, Glory. Jeżeli znowu zadzwoni, ona albo ktokolwiek inny, przetrzymaj ją, dobrze? Powiedz, że pracuję teraz nad ważną sprawą, ale że za dzień czy dwa będę wolny. a gdyby przyszła, niech wpłaci zaliczkę. Jeśli uznasz, że wygląda na majątną, dziesiątaka. Koniecznie gotówką, żadnych czeków. Wiesz, jak to jest...

Glory zareagowała skinieniem, które świadczyło, że rozważy spełnienie

prośby, ale że nie powinien specjalnie na to liczyć. Była jedną z najbardziej zrzędlivych i marudnych osób, jakie przyszło mu w życiu poznać, lecz mimo to bardzo ją lubił. Żyła podobnie jak większość mieszkańców Venice – próbowała uciec przed tym, co przegnało ją z Los Angeles. w jej przypadku była to obawa, że Julio – jej syn – skończy tak samo jak jego ojciec: zabity w jakimś zaułku, w meksykańskim stroju i tanich francuskich butach. Clark, co prawda, nie spotykał Julia często, ale to, co widział, nie nastrojało optymistycznie. Odkąd władze stanowe wprowadziły nowe przepisy dotyczące rejestracji i repatriacji imigrantów, życie Latynosów nie stało się łatwiejsze.

Już miał się odwrócić, ale coś go tknęło i zatrzymał się.

– Powiedz, ten list, o który cię wcześniej pytałem. Ten, który nie przyszedł z poczty. Nie przypomniłaś sobie niczego więcej? w jaki sposób tu dotarł? Kiedy? Kto go przyniósł?

Glory pokręciła wolno głową.

– A, hmm... Nie zauważyłaś czasem czegoś innego, Glory? Może ktoś o mnie wypytywał lub po prostu kręcili się w pobliżu jacyś obcy?

Glory znów pokręciła głową. Jeszcze wolniej.

* * *

Na górze, w swoim pokoju, podgrzał zaparzoną rano kawę i przygotował kanapki ze starego chleba i wołowiny z puszki, i posmarował tym, co wygrzebał z dna słoika musztardy. Po jedzeniu sięgnął po tytoń „Bull Durham”, zwinął papierosa i walnął się na łóżko, żeby wypalić, co jakiś czas zerkając na wciąż nieotwartą walizkę, którą zostawił na podłodze obok.

Jego własny kibelek, własny palnik gazowy, własny prysznic i własne kałuchy. Jeden wygodny fotel i prywatne brudne talerze, zebrane w stos w małym zlewku. i okno z pięknym widokiem na jaśniejące w oddali płomienie i kiwające się niczym ptaki pompy na polu roponośnym. Wszystko to pasowało mu tak samo, jak cała reszta Venice.

Lubił też swoją pracę. Przynajmniej większą jej część. Zeznania pokojówek, ziarniste zdjęcia, brudna pościel, zużyte prezerwatywy w koszach na śmieci, hotelowe księgi gości, zagubione elementy bielizny, niewłaściwego koloru włosy łonowe... Pewnie, nie było to może to samo co aktorstwo, ale na tle jego dotychczasowego życia – po dwóch rozwodach i Bóg jedyny raczy wiedzieć ilu kochankach i wykonywanych zawodach – przygoda w cha-

rakterze nielicjonowanego detektywa zajmującego się sprawami małżeńskimi wydawała się modelowym przykładem stabilizacji.

Ile to lat minęło? Sześć? Siedem? Nie, cholera, dobijał już do dychy. Pewnie, nie było to zajęcie ładne. i jasne, było nieprzewidywalne. Tyle że właśnie to podobało mu się najbardziej. Clark nigdy nie miał pewności, co czeka go nazajutrz, i w tym sensie – oraz w paru innych – obecna praca wcale tak bardzo nie różniła się od aktorstwa. Zdarzało mu się nawet wykorzystywać te same co dawniej kontakty. Wciąż czekające na swoją wielką szansę laleczki, które za odpowiednią kwotę chętnie przysiadły się w barze do obserwowanego przez Clarka typka, likwidowały jego opór, a potem czasami nawet przenosiły się z nim do pobliskiego pokoju hotelowego, gdzie nadarzała się okazja do wykonania tego jednego, najważniejszego zdjęcia. Sam również – wbrew temu, co, udając święte oburzenie, próbował wmówić April Lamotte – zajmował się podobnymi rzeczami, na zlecenie facetów, którzy wątpili w wierność swych żon.

Niemniej, aktorstwo – cały ten dumny biznes polegający na udawaniu kogoś, kim się nie jest i co Peg zrobiła w tym emotyku tak genialnie – przypominało narkotyk, którego można było nie zażywać przez całe lata, a jednak nadal nie było się do końca wolnym od nałogu. Westchnął, zapalił wiszącą pod sufitem nagą żarówkę i sięgnął po walizkę. Uniósł wieko i odetchnął nikłym imbirowym zapachem potu obcego mężczyzny.

Wymięty jasnobeżowy letni gamitur z metką Janviera, drogiego krawca z Washington Boulevard. Klucze, portfel i brudna chusteczka do nosa wypychały kieszenie marynarki... To musiały być ciuchy, które Daniel miał na sobie, tuż zanim żona odwiozła go na odwyk. Niezbyt przyjemna konstatacja. w portfelu znalazł banknoty – dziesiątak i dwójka – które przyjął w ramach dodatku do zaliczki. Prawo jazdy i stanowy dowód osobisty – „mężczyzna rasy nordyckiej-białej; upośledzenia: brak” – wystawione na nazwisko Daniel Harold Lamotte. Wiśniowe buty jazzówki. Miękka, biała koszula. Złote pióro „Parker”. i te szylkretowe okulary, które wyglądały jakby ich oprawki zostały wykonane z prawdziwej skorupy żółwia. Założył je i przejrzał się w lustrze. Nie wyglądał po prostu inaczej: odniósł wrażenie, że stał się nieco niewyraźny. Podniósł je do światła, by sprawdzić czy naprawdę są zerówkami. Nakręcił drogi zegarek „Longines”, ustawił godzinę i zapiął pasek na nadgarstku; udało mu się nawet użyć tej samej dziurki. Do diabła, co teraz miał

na sobie prawdziwy Lamotte? Kaftan bezpieczeństwa? Bielizny na szczęście nie było – czystej, brudnej czy jakiegokolwiek. To uznałby już za lekką przesadę. Walizka jednak dawała mu poczucie intymnej bliskości – po części zapachu, po części obecności. Prawie aura.

Wyglądało na to, że April Lamotte pomyślała o wszystkim. Oto jeszcze jeden podpis męża, na kawałku kartki oderwanej od starej umowy, na wypadek gdyby wersja z prawa jazdy okazała się niewystarczająca. a w opasłej, szarej kopercie na samym dnie walizki znalazł – dokładnie tak, jak poprosił – egzemplarz scenariusza „Obudź się i śnij”.

SIEDEM

Scenariusze – zanim ostateczna wersja scenopisu zostanie wydrukowana na potrzeby pracy na planie – powstają zazwyczaj w kilku odmianach kolorystycznych. Oczywiście, zmiany często wprowadza się nawet i potem. Ta konkretna – spięta spinaczem, wystukana na taniej maszynie i odbita na kalce – kopia, którą dostarczyła mu April Lamotte, była biała. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z przyjętym w branży obyczajem, następny szkic byłby niebieski. Adres na pierwszej stronie nie był adresem Erewhon, ale mieszkania na ulicy Blixden Avenue, które Clark uznał za wynajętą w centrum nore Daniela, o jakiej wspominała April Lamotte. Pominął listę postaci i otworzył na pierwszym ujęciu.

OBUDŹ SIĘ I ŚNIJ – BIOGRAFIA LARSA BECHMEIRA

SCENARIUSZ – DANIEL LAMOTTE

Żadnych napisów. Pierwsze, co widzą zasiadający w kinowych fotelach widzowie, to rzędy twarzy, młodych i starych, ładnych i brzydkich. Takich samych jak ich własne, tyle że na ekranie. Niektóre ziewają, inne patrzą z wyczekiwaniem. Niektóre są śliczne, inne paskudne. Typowa scena. KAMERA obejmuje coraz więcej i więcej oblicz. POLE początkowo generuje jedynie ogólny nastrój wyczekiwania. Zupełnie jakby widzowie w kinie i ci na ekranie byli tymi samymi. Potem, w tle, do wtóru TEMATU DANIELA LAMOTTE'a ze ŚCIEŻKI DŹWIĘKOWEJ pojawia się mieszanka podziwu i napięcia, KAMERA skupia się na twarzy młodego chłopca. Jest blade, niechlujnie ubrany. Ma szeroko otwarte usta i oczy. Nagle werble

grają tusz. Słysząc oklaski. w szeroko otwartych oczach widać odbłask niezbyt odległego reflektora. PUNKT WIDZENIA KAMERY zmienia się na perspektywę z oczu dziecka. Pojawiają się NAPISY.

Zaczyna się przedstawienie.

z dna na szczyt. z ubóstwa ku sławie. z Europy do Ameryki. Ze wschodu na zachód. Ta historia zawiera tak wiele elementów świetnego emotyku, że aż dziwne, że nie nakręcono jej już wiele lat temu. Zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, kto jest jej bohaterem.

Lars Bechmeir urodził się w Niemczech na przełomie wieków, w rodzinie wędrownych artystów cyrkowych. Występując obok poskramiaczy lwów, atletów i brodatych kobiet, rodzice Bechmeira wykonywali numer polegający na telepatycznym odczytywaniu myśli i byli w tym zaskakująco dobrzy. Do tego stopnia dobrzy, że ich jedyny syn sam dziwił się temu, jak często udało im się trafnie odgadywać, nawet kiedy zawodził ich zwykły system umówionych znaków i sygnałów. Lars był dzieciakiem bystrym i ciekawym świata. Gdyby nie wybuch pierwszej wojny światowej, być może nawet zrzuciłby z siebie brzemień marnego urodzenia i wstąpił na uniwersytet.

Podobnie jak wszyscy inni młodzi i zdrowi Niemcy, Lars Bechmeir został powołany do wojska. i jak większość, trafił do tej konkretnej odmiany piekła zwanej frontem zachodnim. Jedynym nietypowym elementem wojennej kariery Bechmeira był fakt, że przeżył. To i skutek, jaki wywarły na nim straszliwe doświadczenia. Po wojnie jeszcze intensywniej niż dotąd zaczął się zastanawiać nad sposobem, w jaki ludzie reagują na siebie nawzajem; jak atmosfera strachu, wymieszana z chwilami radości, łatwo i szybko rozchodziła się pomiędzy jednostkami. Rozmyślał nad sposobem, w jaki wybuchy dzikości, miłosierdzia, odwagi lub tchórzostwa przechodziły z żołnierza na żołnierza niczym zakaźna choroba.

a może, zastanawiał się Bechmeir, ludzie porozumiewają się ze sobą nie tylko dzięki powszechnie znanym zmysłom, lecz jeszcze innymi drogami? Zdawał sobie oczywiście sprawę, że nie jest to idea oryginalna. Wiedział również, że zawiodły wszystkie wcześniejsze eksperymenty, mające dowieść istnienia bezpośredniej komunikacji pomiędzy umysłami. Ale myśl Bechmeira nie szła w kierunku ludzi siedzących za ekranami i wpatrujących się w karty, w jakimś jasno oświetlonym laboratorium.

Wszystko, czego doświadczył i co zobaczył w okopach, a co najbardziej istotne, co tam poczuł, doprowadziło go do przekonania, że ów ukryty zmysł

jest zdolnością prymitywną, pierwotną, niemającą dostępu do wyższych, abstrakcyjnych funkcji umysłu w rodzaju przetwarzania słów, obrazów bądź myśli, lecz obrabiającą surową materię podstawowych uczuć.

Na każdego z nas, stwierdził, w nieznacznym sposobie wpływa aura spowijająca spotykane osoby. To wyjaśniało masowe działania tłumu. To wyjaśniało nagle doświadczane fale pożądania, odrazy bądź strachu. To wyjaśniało nawet uczucie spokoju, jakiego często doznaje się w kościołach, swojskość w domu szczęśliwej rodziny i poczucie grozy ogarniające ludzi w miejscach, gdzie wydarzyło się coś okropnego. Mogło to nawet wyjaśniać doniesienia o spotkaniach z duchami zmarłych.

Lars Bechmeir uciekł z wyniszczonej przez wojnę Europy i udał się do Ameryki, dokąd przywiózł ze sobą wizję metody pozwalającej ludziom dzielić się uczuciami. Gdybyśmy potrafili zajrzeć w głąb umysłu bliźnich – tłumaczył – gdybyśmy mogli naprawdę poczuć to, co czują inni, poznać ich radość i cierpienie – z pewnością nigdy więcej nie doszłoby do wojny. Przez kilka lat mieszkał w Chicago, gdzie zamiatał posadzki uniwersytetu, od czasu do czasu korzystając z biblioteki. Potem, podobnie jak miliony innych, wyruszył na zachód. Pracował, żebrał, ale wciąż obsesyjnie rozwijał swoją ideę, która wówczas zawierała się w pliku notatek i obliczeń, wciśniętym do tylnej kieszeni roboczych spodni. Właśnie podczas tej podróży poznał Betty – swoją żonę – której rodzina straciła ziemię w czasach Kryzysu.

Wreszcie w pewnej stodole w Minnesocie – Clarkowi przypomniało się, że budynek udostępniono teraz zwiedzającym – Bechmeirowi udało się wykonać na specjalnie przygotowanym papierze fotograficznym owe słynne, pierwsze zdjęcia przedstawiające aurę żony. Niewyraźne i rozmazane plamy przypominające nieco kształtem nitkę, szare skrzydła łopocące wokół zarysu kobiecego ciała, ale we wszystkim zgodne z jego dotychczasowymi przewidywaniami, włącznie z tymi głoszącymi niewielką intensywność i zmienność ludzkiej aury. w końcu miał w ręku dowód. a skoro, myślał, owa aura jest w zasadzie po prostu słabym polem elektromagnetycznym, które nazwał plazmą, to nie tylko można tę plazmę ukazywać na fotografiach, lecz najprawdopodobniej także zapisywać – a jeżeli da się ją zapisywać, to te nagrania można odtwarzać, wzmacniać i przerabiać. Jednym zamaszystym krokiem Bechmeir przeszedł od teorii słabego, nieznanego zmysłu do projektu, który miał zrewolucjonizować cały świat.

Lars i Betty ruszyli dalej na zachód. w nieunikniony sposób dotarli w końcu do Los Angeles. Tutaj, w licznych wynajętych pokojach i porzuconych garażach, odkrywca pracował nad sztucznym wytworzeniem swojego pola. w Los Angeles miał na szczęście dostęp do rozmaitego sprzętu elektrycznego, porzucanego przez osoby kupujące coraz to nowsze modele. Korzystał więc z odzyskiwanych po śmietnikach części i z wiedzy dostarczanej mu przez napotykanych w barach techników. Przewidywał dla swojego odkrycia wiele różnych zastosowań, lecz po niedługim czasie zdał sobie sprawę, że najszybszy postęp będzie możliwy dzięki temu, co wówczas nazywano przemysłem filmowym.

Do kogo jednak mógł się zwrócić? Na pewno nie do żadnego z głównych graczy na rynku – ci nie chcieli nawet rozmawiać z krążącym po mieście z torbą podrózną wariatem, który opowiadał niestworzone historie o falach myślowych. i właśnie dlatego Lars Bechmeir trafił ostatecznie na ostatnie piętro Taft Building, gdzie miał umówione spotkanie z Howardem Hughesem. Hughes był zamożnym producentem filmowym, lecz już wtedy bardziej znany był z powodu swego ekscentryzmu i gorącego zainteresowania lotnictwem. Mimo licznych sukcesów, uważano go za lekko szurniętego, więc osoba poszukująca kogoś, kogo mogła zafascynować idea urządzenia będącego w stanie zapisywać emanacje umysłu, po prostu nie mogła trafić lepiej.

Hughes poczuł się przekonany, zanim jeszcze na dobre rozgrzały się lampy próżniowe kruchego i prymitywnego urządzenia, zmontowanego na jego biurku przez niskiego, nerwowego mężczyznę z niemieckim akcentem, który wsunął się niepewnie do gabinetu w znoszonych butach. Kiedy po trwającym wieki nastawianiu i zachęcaniu maszyny połyskliwe pole plazmy rozciągnęło się między dwoma metalowymi prętami, a wpływające przez okna codzienne odgłosy ulicy zostały na moment przyćmione przez wyraźnie wyczuwalne poczucie grozy, przekonanie producenta było całkowite.

Bechmeir miał już wówczas patent na swoje odkrycie i – jak od początku – zamierzał udostępnić je całemu światu bez ograniczeń. Niemniej, przyjął wsparcie Hughesa, dzięki któremu opracował prototyp komercyjnej wersji urządzenia w starej szkole w Willowbrook, gdzie wówczas pracował i która stała się w późniejszych latach jego muzeum i siedzibą fundacji. Niebawem pojawiły się plotki o dziwnej, nowej formie rozrywki, jaką ponoć opracowywała korporacja Hughesa, a potem już o pierwszym filmie, czuciowym? –

nie, planowano to nazywać filmem emotywnym – w którym niecodzienna technologia miała mieć swoją premierę.

Reakcje po początkowych seansach „Pękniętego zwierciadła”, wyświetlanych w Chińskim Teatrze Graumana były mieszane. Pierwsze śliwki – robaczywki. Psuły się emotywne taśmy. Przegrzewały się projektory. Wybuchł nawet niewielki pożar. Wiele osób narzekało na mdłości wywołwane przez tę rozpostartą za ekranem dziwną, trzeszczącą zorzę. Inni twierdzili, że nie poczuli zupełnie nic. Związek zawodowy aktorów i pozostałe wytwórnie filmowe potraktowały pionierów z wrogością. Pewien katolicki biskup potępił przedsięwzięcie za igranie z samą istotą ludzkiej duszy. Ponadto, co stanowiło swego rodzaju tradycyjny element filmów Hughesa, scenariusz nie był najlepszy.

Niemniej, prasa nowy wynalazek pokochała. Gazety uwielbiały Howarda Hughesa, podobnie jak były zachwycone wszelkimi szalonymi pomysłami i premierami. a ponad wszystko, zadurzyły się w Larsie Bechmeirze z jego starannie przystrzyżoną brodą, przypominającymi sobie oczy okularami, dwurzędową kurtką w stylu safari, nieodłączną fajką z morskiej pianki i miękkim niemieckim akcentem. Dziennikarzom podobały się jego cudowne nagrania odtwarzane dzięki sprytniej maszynie, wywołującej jakby za pomocą magii zjawy tańczące niczym błędne ogniki na bagnach, wyciągające swe widmowe ramiona, by dotykać ludzkich umysłów i wypełniać je prostymi, surowymi emocjami. Uwielbiali też przystojną, przedwcześnie posiwiąłą Betty Bechmeir. Małżeństwo tworzyło wdzięczną parę – byli fotogeniczni na swojski, domowy sposób – i prasa wkrótce zaczęła przedstawiać historię ich życia jako najnowszy i najlepszy przykład na spełnienie amerykańskiego marzenia. Od pucybuta do milionera. Od tamtej pory nic już nie było takie samo. Lars Bechmeir znalazł się wkrótce na tej samej półce co Thomas Edison, chociaż w oczach wielu ludzi znacznie wyżej, ponieważ Edison zatrzymał zarobione pieniądze dla siebie, podczas gdy niemiecki odkrywca obiecał przekazać zyski ze swych praw patentowych na fundusz dobroczynny.

w połowie lat trzydziestych wszystkie kina w kraju wyposażały się w generatory pola Bechmeira, a zwykłe filmy dźwiękowe, które ledwie pięć lat temu wydawały się tak rewolucyjnym pomysłem, trafiły do lamusa. w końcu, kto chciałby po prostu oglądać i słuchać rozgrywających się na ekranie wydarzeń, skoro można je było naprawdę poczuć? Mimo że obiecano przez

Bechmeira inne zastosowania odkrycia – w dziedzinie edukacji, nauki, zrozumienia podstawowych zasad działania umysłu i poprawy zdrowia psychicznego ludzkości – poniosły fiasko lub wciąż nie zostały wdrożone i mimo że biedny, stary Howard Hughes oszalał do reszty – publika ledwie to zauważała, a przejmowała się jeszcze mniej. Wszyscy byli zbyt zajęci chodzeniem na emotyki oraz wyliczaniem błogosławieństw nowej gałęzi rozrywki, która pomogła Ameryce wydostać się z otchłani Wielkiego Kryzysu.

i w tym momencie – pomyślał Clark – historia dobiegłaby końca, gdyby była scenariuszem. Lars i Betty Bechmeirowie przekazali co prawda większość majątku na cele charytatywne, lecz tak czy inaczej byli autentycznie bogaci i stali się prawdziwymi ludźmi sukcesu. Mieszkali w pięknym domu w Los Angeles; czego można więcej chcieć? Niewiele otworzyć i premier, w mieście i okolicy – biblioteki, zapory, nowe elektrownie, a nawet premiery w szybko umierającym teatrze, i rzecz jasna, pierwsze pokazy filmów emocjonalnych – odbywało się bez udziału tego małżeństwa.

i nagle, pewnego ranka w maju 1936 roku, znaleziono ciało Betty Bechmeir. Kołysało się na linie uwiązanej do przęsła mostu Colorado Street w Pasadenie. Mimo drobiazgowego dochodzenia, prawdziwy powód jej samobójczej śmierci nigdy nie został ujawniony. Niedługo potem Lars Bechmeir, dotąd mężczyzna w sile wieku, doznał czegoś, co gazety nazywały najpierw „nieszczęśliwym upadkiem”, a potem „poważnym udarem”. Kiedy następnym razem pokazał się publicznie, mówił niewyraźnie i poruszał się na wózek. Bez zaskoczenia powitano więc wiadomość o tym, że wspaniała rezydencja w Beverly Hills została wystawiona na sprzedaż, a sam naukowiec usunął się w cień. w późniejszych latach widywano go równie często jak Wielką Stopę. Ktoś zobaczył go w drewnianej chacie w głębi lasów Maine, ktoś inny widział wynalazcę na obiedzie w Paryżu. Pojawiały się również doniesienia, że doszedł do pełni zdrowia i pracuje nad jakimś nowym, wręcz magicznym urządzeniem, lub też, że ponownie się ożenił, stał się ludzkim wazrywem, czy wręcz umarł.

Tragedia i zniknięcie Bechmeira wyniosły go z poziomu amerykańskiego bohatera na poziom prawdziwego mitu. Problem jednak, z punktu widzenia twórcy opowiadającego o jego życiu filmu – i zapewne przyczyny, dla której nigdy nikt się tego nie podjął – polegał na odpowiednim ujęciu wydarzeń tak tragicznych jak samobójstwo Betty Bechmeir oraz późniejsza choroba i

odosobnienie jej męża. Trudno było je pogodzić z wymogiem szczęśliwego zakończenia.

i to właśnie – mimo sprytnych zwrotów akcji i generalnie sprawnego pióra, jakim napisany został scenariusz – stanowiło według Clarka największe osiągnięcie Daniela Lamotte’a. Za życia uważano żonę odkrywcy za kogoś w rodzaju całorocznej odmiany żony Świętego Mikołaja, ale kobieta ze skryptu okazała się osobą znacznie bardziej poważną i skomplikowaną. Podobnie jak sam Bechmeir, zaznała w życiu cierpienia, śmierci i ubóstwa. i co więcej, przeżywa wszystko przynajmniej równie głęboko jak on. Właśnie dlatego od samego początku zaczyna wspierać wizję Larsa i trwa przy nim nawet w najgorszych momentach. Wszystko to zgrywa się świetnie z powodzeniem pierwszych eksperymentów z rejestracją aury, które Bechmeir przeprowadził właśnie na żonie, a potem – i to jest naprawdę elegancka część scenariusza – z niepokojem Betty, który nie gaśnie nawet po osiągnięciu wielkiego sukcesu. Ta kobieta jest aż nazbyt uwrażliwiona na uczucia innych. Za bardzo się przejmuje i zbyt wiele widziała, by jakikolwiek sukces mógł wymazać to z jej duszy.

Kiedy więc tej kulminacyjnej nocy wyjeżdża w burzę, nie ma się poczucia rozczarowania ani taniej sztuczki scenarzysty. Można w pełni zrozumieć, że – niczym poddający się ukrzyżowaniu Chrystus – Betty Bechmeir kocha nas za bardzo, żeby dłużej żyć. Gdy Clark skończył czytać, musiał mrugać, by powstrzymać łzy. Przynajmniej w trakcie lektury naprawdę wierzył, iż Betty Bechmeir rzeczywiście zabrała ze sobą część zła tego świata i wywiozła je na ten most w Pasadenie.

OSIEM

Postanowił się przewietrzyć, włożył więc sportową kurtkę i zszedł tonącymi w półmroku schodami Doge's Apartments. Po drodze minął zwykle odgłosy nocnych kłótni i pomruki radia, po czym ruszył na północ w kierunku mola imienia Abbota Kinneya.

Trwała cicha noc. Sala taneczna była już zamknięta. Diabelski młyn – nieruchomy, ze zgaszonymi światłami – stał się wielką, czarną pajęczyną rozpostartą na tle bezgwiazdznego, mglistego nieba. Porozrzucane papiery łopotały Clarkowi pod nogami. Spod desek mola miarowo dolatywały westchnienia Pacyfiku.

Oparł się o barierkę. Skręcił papierosa i wydmuchnął w ciemność kilka pióropuszy dymu. Przebiegł w myślach wszelkie możliwe wytłumaczenia dziwnej prośby April Lamotte. Najbardziej niepokoiło go to, w którym kobieta zabiła Daniela Lamotte'a i zamierzała teraz, przy jego pomocy, zbudować sobie alibi. Niemniej, mimo że April wydawała się lalunią zdolną do wielu rzeczy, nie był w stanie uwierzyć, że dopuściła się morderstwa na własnym mężu. Jeżeli intuicja – od dawna ćwiczona w odczytywaniu stanu ducha zestresowanych małżonków – podpowiadała mu na jej temat cokolwiek, to właśnie to, że pani Lamotte szczerze próbuje naprostować życie swoje i męża. Tylko czy powiedziała o wszystkim? Ta sama intuicja twierdziła, że zdecydowanie nie.

Przeszył go chłodny dreszcz – taki, za który płaciło się, idąc do kina na emotyki, ewentualnie dostawało się za darmo pod postacią przeczucia własnej

śmierci. Rozejrzał się po molu. w pobliżu nie było nikogo. Ale, przez jedną dziwną chwilę, odniósł wrażenie, że jednak coś się ku niemu zbliża pomiędzy pustymi i ciemnymi atrakcjami. Nie do końca postać – kształt ani przez moment nie był na tyle konkretny. Uznał, że to po prostu porwany wiatrem kłęb kurzu, aczkolwiek nigdy wcześniej czegoś takiego w Venice nie widział. Zwykły wir ciepłego powietrza i mroku, podnoszący piasek i drobne śmieci. Sunął ku niemu z dziwną determinacją. Ale zdecydowanie nie była to ludzka postać. a jeżeli była, to składała się z postrzępionych fragmentów i cieni, nie miała jednego kształtu, lecz wiele, i biegła ku niemu jakby z głębi niewiarygodnie długiego tunelu, do wtóru niesamowitego posykiwania.

Clark zamrugał i wrażenie zniknęło. Powiał wiatr i na molu ponownie nie było już nic. Została tylko noc i morze. Złożył wszystko na karb działania połączonych sił odgłosów fal, morskiej bryzy i wirujących dokoła papierowych odpadków oraz zmęczenia, widoku zjawy w Erewhon i obejrzenia emotyku z Peg Entwistle...

Kiedy wrócił do Doge's Apartments, w kanciapie Glory było już ciemno. Umilkła również większość odbiorników radiowych. Meble skrzypiały i ludzie krzyczeli teraz w zupełnie innym rytmie.

Wszedł do mieszkania, rozebrał się i położył do łóżka. Przez długi czas po prostu leżał i wpatrywał się w sufit.

DZIEWIĘĆ

Następnego dnia, 27 czerwca, zatrzymał swojego forda na parkingu przed Equitable Building tuż po trzeciej. Idąc na południe, zerknął w oszkloną witrynę i zobaczył tyczkowatego mężczyznę z wielkimi uszami i zaczesanymi do tyłu kasztanowymi włosami, ubranego swobodnie, z niewymuszoną elegancją, w okularach z ciemnobeżowymi oprawkami i z niewielką tekturową teczką w ręku. Ubrania były drogie – Daniel Lamotte nosił się z wystylizowanym niechlujstwem – i świetnie leżały. Pasowały nawet buty.

z April Lamotte umówił się naprzeciwko Taft Building na skrzyżowaniu Hollywood Boulevard i Vine Street, o wpół do czwartej. Przemknęło mu przez myśl, że miejsce jest historycznie stosowne, jako że właśnie tutaj znajdowały się biura Howarda Hughesa, zanim jeszcze trafił do wariatkowa. Kancelaria miała siedzibę dwie mile dalej w stronę centrum, na Sunset Boulevard. Spotkanie tutaj jednak było zupełnie sensowne. Zerknął na należący do Daniela Lamotte’a zegarek marki Longines i okazało się, że przybył dziesięć minut przed czasem.

Okulary zaczęły mu się zsuwać po spoconym nosie. Clark poszukał w kieszeni chusteczki. Była świeża i widniał na niej monogram DL, lecz wyczuł pod palcami twarde osad. Na koniuszkach zabłysły drobinki piachu. Strzepnął je, przykazał sobie, by się nie rozpraszać, przetarł szkła i ponownie wsunął okulary. Znowu stał się aktorem, a to była po prostu kolejna rola. Wystarczyło sobie wyobrazić, że całe Los Angeles jest jedną gigantyczną sceną. Na okrągłym jak pączek straganie kupił kawę w papierowym kubku i zapłacił

banknotem z portfela Daniela Lamotte'a. Według pierwszej strony gazety na stojaku, Mussolini wypowiedział właśnie wojnę Anglikom, a Rosjanie napaśli jakąś Łotwę. z ciekawszych wiadomości – na rynek miały niebawem wejść pończochy z tkaniny zwanej „nylonem”. Ledwie zdążył dopić kawę, gdy zauważył jadącego na wschód ze spuszczonym dachem delahaye'a. Nawet pośród drogich wozów, których na tym konkretnym skrzyżowaniu zawsze było pełno – cadillaków, buicków i bentleyów należących do pracujących w okolicy grubych ryb związanych z produkcją emotyków – ten krążownik wyraźnie się wyróżniał.

April Lamotte zatrzymała się przy krawężniku i obdarzyła Clarka uśmiechem o wiele cieplejszym niż którakolwiek z wczorajszych min, po czym przechyliła się nad skórzanym fotelem i zaprosiła go gestem do środka. Miała na sobie ciuch w kolorze burgunda, z watowanymi ramionami, szerokimi klapami i bufiastymi rękawami. Strój był przepasany paskiem i tulił się do jej bioder i niżej, do ud obleczonych beżowymi pończochami. Miała także wysadzany brylancikami pierścionek zaręczynowy oraz pasujące do niego złote, ozdobione szmaragdami naszyjnik i bransoletkę. Clark usłyszał pomruk rury wydechowej delahaye'a, poczuł w dłoni ekskluzywny ciężar drzwiczek. Zatrzasnął je i usiadł obok kobiety. Walizkę rzucił na kanapę z tyłu.

– Punktualna co do minuty.

– Pan za to musiał być wcześniej. – Nadal się uśmiechała.

Oderwała ręce od kierownicy, pochyliła się, delikatnie zsunęła mu okulary, które odłożyła na deskę rozdzielczą, po czym objęła go. Wargi kobiety gładko, swobodnie, odnalazły jego usta. Poczul mocny napór języka. Wciąż pachniała „Cuir de Russie” od Chanel i okazała się mniej chuda niż dotąd myślał. Gdy wreszcie się odsunęła, przeciągnęła palcami po grzbiecie jego uda. Kiedy odjeżdżali, zauważył, że stojący przy stoisku z kawą goście odprowadzali ich, gapiąc się znad rozdziawionych ust. Jeżeli chodziło jej o świadków, zadanie zostało wykonane.

– Niczego sobie powitanie.

Roześmiała się.

– w końcu jest pan teraz moim mężem. Tylko proszę nie zapominać o okularach. Dan nigdy ich nie zdejmował.

Wykonał polecenie.

– Chyba że się całowaliście?

– Tak, z tym jedynym wyjątkiem.

Prowadziła dokładnie tak, jak Clark to sobie wyobrażał: sprawnie, ale bezcelnie przy tym lekceważąc innych użytkowników jezdni. a samochód naprawdę był wyjątkowy. Nawet przy opuszczonym dachu czuło się ciałem i nosem pomruk ośmiocyndrowego silnika, wyraźny wśród woni skóry, orzecha włoskiego, wykładziny „Kidderminster” i perfum „April Lamotte”.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła papierosa, po czym wcisnęła przycisk na desce rozdzielczej, który po chwili wyskoczył z powrotem. Jarząca się metalowa końcówka przypaliła papierosa.

– Zmyślna zabawka.

– Prawda? Mam tam papierosy, jeżeli chce pan zapalić. – Pociągnięty zielonym lakierem paznokieć wskazał schowek. – Zapomniałam wczoraj powiedzieć. Lucky strike, ulubiona marka Dana.

Otworzył schowek i znalazł paczkę. Wysunął papierosa stuknięciem. Samochód przyśpieszył, wyprzedzając szereg ciężarówek.

– Zapalniczkę wystarczy wcisnąć. w innych sytuacjach musi pan korzystać z zapalek. Dan nie lubi kieszonkowych zapalniczek. Twierdzi, że zbyt często przeciekają, chociaż dostał ich ode mnie całkiem sporo. z wygrawerowanym napisem „Kocham cię”. Leżą teraz zapomniane w jakiejś szufladzie. Był pan żonaty, prawda? Więc wie pan, jak to jest.

Paląc prawdziwego lucky strike’a, nie poczuł niczego nawet w połowie zbliżonego do wrażeń, jakich doznał wczoraj, oglądając emotyczną reklamę z Jo-Ann Corkish. Ale nie było też źle.

– Coś jeszcze?

– To znaczy?

– Czy czegoś jeszcze mi pani nie powiedziała?

– Ćwiczył pan podpis?

– Mhm. Dziś rano, okrągłą godzinę.

– Przeczytał pan scenariusz?

– Naprawdę nie wciskała mi pani kitu, mówiąc, że to dobra rzecz. Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał zbyt wiele o nim opowiadać.

– Proszę się nie martwić. Umowa jest dogadana i gotowa. Wystarczy, że złoży pan podpis... – Patrzył na jej zęby, kąsające lekko dolną wargę. Szminkę też miała w kolorze wina. – Pomyślałam, że po wszystkim mogliśmy pójść coś zjeść. Zarezerwowałam stolik w „Chateau Bansar”.

– Dziękuję. – Pomyślał, że chyba powinien wykazać wdzięczność i poczuć odpowiednio silne wrażenie. – a potem koniec? Po wszystkich? Żadnych powtórek?

– Dokładnie. Nie zostawił pan niczego w domu? Ubrania? Scenariusz? Wzory podpisów Dana?

– Wszystko mam albo na sobie, albo w walizce.

Uśmiechnęła się.

– Wie pan, naprawdę przypomina pan Dana. Aż dziwnie się jedzie. Czuję się tak, jakby siedział tuż obok.

– a jak on się czuje?

– Coraz lepiej.

– Kiedy się ostatnio widzieliście?

– Dwa dni temu. – Delahaye nieco zwolnił, zdjęła nogę z gazu. – Skoro już musi pan wiedzieć.

– Czy on wie cokolwiek o tym, co się ma dzisiaj stać?

– Proszę sobie wyobrazić, jak na osobę w jego stanie wpłynęłoby, gdybym mu powiedziała, że wynajęłam faceta, by się pod niego podszył.

– Przecież w końcu i tak będzie się musiał dowiedzieć.

– Zapewne tak. Tymczasem to pan jest Danielem Lamotte'em. Naprawdę pan sobie poradzi, panie Gable?

– Jasne. Ale może dalibyśmy sobie spokój z panowaniem? w końcu nie mamy szansy na próbę kostiumową.

– Zgoda. – Poprawiła włosy, których wiatr wcale nie potargał. – Masz rację.

– Dan?

– Tak, Dan.

– a ty jesteś po prostu April? Żadnych misiaczków, pysiów i tym podobnych?

– Ma pan dziwaczne poczucie humoru, pa... – Uśmiechnęła się i wyrzuciła papierosa na ulicę. – Dan.

Przy bliźniaczych masztach radiowych Angelus Temple^[1] zatrzymała ich parada. Orkiestra dęta Amerykańskiego Legionu otwierała pochód umundurowanych typów w długich płaszczach. Najgrubszy i najbardziej znaczący maszerowali przepasani niebiesko-czerwonymi szarfami Ligi Wolności. Ludzie w każdym wieku. Wszystkich rozmiarów. Mężczyźni i kobiety. Bez wyjątku

biali. Zatrzymujący ruch gliniarze także się uśmiechali. Clark zauważył, że oni również noszą w klapach znaczki Ligi Wolności. Jeszcze kilka lat temu publiczny funkcjonariusz w jakikolwiek sposób demonstrujący polityczne sympatie zostałby natychmiast zwolniony. Koniec temu położyła jednak kadencja gubernatora Herberta Kisberga.

April Lamotte pogładziła skórzane obicie kierownicy i zerknęła na zegarek. Parada wciąż wlokła się naprzód. Niektórzy z przymusowych widzów zaczęli się denerwować, lecz uśmiechy gliniarzy sugerowały, że lepiej będzie szczerzyć się jak oni. To w końcu Kalifornia. Tutaj trzeba się uśmiechać.

Clark też się uśmiechnął w sposób, jaki wytrenował, przygotowując się do roli jednego gościa – straszego ćwoka – którego grał w obskurnym, alternatywnym teatrze. Bohater uważał, że świat to świetne miejsce, aż w końcu porwali go handlujący przemycanym alkoholem gangsterzy. Tyle że on i wówczas nie umiał przestać się uśmiechać i nadal sądził, że życie jest piękne i w gruncie rzeczy dobre. I właśnie dlatego szmuglerzy go w końcu zastrzelili, a w ostatniej scenie sztuki nawet widzowie byli głęboko przekonani, że ten głupi dureń sam był sobie winien.

Teraz maszerowały same dzieciaki. Młodzi Skauci. Ogniskowa Młodzież. Pocahontaski i Hiawathowie. Pionierzy. Wielu z nich niosło transparenty. NEUTRALNA AMERYKA. PRZECIW TRZECIEJ KADENCJI FDR^[2]. PODDAJ SIĘ, WINSTON. ZAKOŃCZYĆ POBÓR. POPIERAMY NOWĄ EUROPEĘ. LIGA WOLNOŚCI PRZECIWKO WOJNIE.

Napisy płynęły przed jego oczami.



1 Angelus Temple, Świątynia Anioła – wzniesiona w 1923 roku, mieszcząca początkowo 5300 osób świątynia zielonoświątkowego Międzynarodowego Kościoła Poczwórnej Ewangelii.

2 FDR – Franklin Delano Roosevelt.

DZIESIĘĆ

Biura kancelarii „York and Bunce” znajdowały się w nowym i eleganckim, szklano-betonowym średniej wielkości biurowcu, wznoszącym się na Main, przecnicę od ratusza.

April Lamotte udało się zaparkować tuż przed frontowymi drzwiami budynku.

– Zaraz, zaczekaj – powiedziała, gdy wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwiczki delahaye’a i wyjść na chodnik. – Niech ci się jeszcze porządnie przyjrzę.

Złożyła mu dłonie na ramionach i przyciągnęła blisko. Omiotła Clarka spojrzeniem. z bliska jej oczy okazały się dokładnie tak zielone, jak to sobie wyobraził. a nawet jeszcze zieleńsze. Białe zęby raz po raz kąsały bordową dolną wargę.

Poprawiła mu okulary, jakby nie poprawił ich chwilę temu sam, po czym delikatnie wygładziła włosy, zakładając je za uszy.

– Od razu lepiej. – Dłonie April powędrowały w dół ramion Clarka. Kiedy spoczęły na udach, poczuł, że sztywnieje mu fiut. – Dobrze. Wyglądasz jak trzeba. Gotów?

Przełknął ślinę. Skinął głową.

– Tak.

Wysiadła z samochodu.

– Jeżeli nie podnosisz dachu... – skinął na kartonową walizkę, wciąż leżącą na tylnym siedzeniu – ...to lepiej wrzucić to do bagażnika.

Wahała się przez moment, ale zaraz przytaknęła. Przyglądał się jej, kiedy

przeszła na tył samochodu i pochyliła do skrzyni pod klapą, wyłożonej dywanikiem i puste, jeśli nie liczyć grubego gumowego węża. Wygładziła spódnicę.

– No dobrze, weźmy się wreszcie do roboty.

* * *

Wnętrze nie przypominało biur adwokatów, do jakich był przyzwyczajony. Brakowało wydeptanego linoleum i odrapanych szafek z aktami. Nie było też kartki sugerującej, że jeżeli nikogo akurat nie ma, należy zajrzeć do baru na przeciwko. Ten gabinet był wypełniony świeżym drewnem i starymi obrazami, aczkolwiek atmosfera była zimna i sterylna, w sposób charakterystyczny dla wszystkich pomieszczeń z klimatyzacją. Taka sama była również recepcjonistka.

Sprawdziła nazwiska na liście, po której przeciągnęła czerwonym pazurkiem.

– Państwo przyszli na spotkanie z panem Amdahlem...

– Tak, zgadza się – powiedziała April Lamotte, nim Clark zdążył odezwać się słowem. – Gdyby była pani tak...

Dziewczyna już wykreciała numer. Biorąc pod uwagę długość wspomnianych pazurków, był to wyczyn nie lada. Kiedy słuchawka zamruczała jej do ucha, paznokcie zatańczyły na blacie biurka. Przyglądając się miodowym kaskadom włosów, Clark uznał, że recepcjonistka jest w zasadzie piękną kobietą. W zasadzie jak większość kobiet pracujących w prestiżowych biurach tego miasta. Piękne i młode. Już nieraz zastanawiał się, jaki spotyka je los, kiedy kończą trzydziesty rok życia. Pod brodą dziewczyny zauważył nieznaczny woreczek i uznał, że ona również musi zadawać sobie podobne pytania.

w telefonie zatrzeszczał czyjś głos. Wywiązała się rozmowa, składająca się głównie z tak i nie.

– Za momencik do państwa zejdzie – oznajmiła recepcjonistka, odkładając słuchawkę. – Może zechcą państwo spocząć... – Zaprosiła gestem.

Zanim jednak Clark i April zdołali rozejrzeć się po skórzanych kanapach, otworzyły się drzwi.

– Pan i pani Lamotte! Państwo zapewne w sprawie umowy? – Amdahl miał naturalną opaleniznę i nosił sztuczną siwą czuprynę.

– Miło pana poznać – rzucił Clark tonem, zgodnie z wcześniejszą sugestią April Lamotte, nieco lżejszym i szybszym niż zwykły.

– Tak, oczywiście. – Amdahl skinął głową. Wyglądał na faceta, który baczniejszą uwagą obdarza wyłącznie ludzi niepłacących mu należnych pieniędzy.

Poszli za nim przez korytarz obwieszony wielkimi sepiowymi zdjęciami zapomnianych gwiazd epoki kina niemego i dźwiękowego. Mary Astor. Herbert Marshall. Rudolph Valentino. Zupełnie jakby szefowie kancelarii „York and Bunce” chcieli przekazać klientom pewną prawdę na temat branży, której obsługą zwykle się zajmowali.

Biuro Amdahla znajdowało się zaraz za pierwszymi szerokimi schodami i wyglądało dokładnie tak, jak można sobie wyobrazić gabinet znanego prawnika prowadzącego sprawy ludzi mediów. z szerokich okien roztaczał się piękny, przyćmiony miękką popołudniową mgiełką widok na Echo Park i w kierunku Edendale. Adwokat wyciągnął grubą teczkę i zaczął rozkładać na biurku kolejne wyjmowane z niej dokumenty.

– Oto ostateczne wersje. Pięć egzemplarzy. Wszystko zostało sprawdzone. w zeszłym tygodniu wysłaliśmy kopię pani Lamotte. Ale oczywiście sygnatariuszem jest pan, panie Lamotte. w końcu to pańską ciężką pracę tu sprzedajemy. Chętnie wyjaśnię wszelkie ewentualne wątpliwości i odpowiem na każde pytanie.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. – Wysunął złotego parkera z wewnętrznej kieszeni. – w końcu, gdybym nie mógł ufać April, to komu?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nawet biorąc pod uwagę, że umowa została sporządzona w pięciu egzemplarzach, wymagana liczba podpisów okazała się zdumiewająca. Na kremowych kartach welinowego papieru widniały rozmaite, niekończące się „w powyższym piśmie”, „z zastrzeżeniem wykluczającym” i „uszczerbki”. Dla Clarka cały tekst mógł równie dobrze zostać spisany po grecku, aczkolwiek z zadowoleniem stwierdził, że jego dłoń postanowiła zrezygnować z drżenia.

– Do ostatecznej przysięgi potrzebna będzie Biblia... – Uśmiech Amdahla skwaśniał, zepsuty przelotnym cieniem paniki. – Nie jest pan Żydem, prawda?

– Mmm... – Clark zerknął ku April, która zaprzeczyła niemal niedostrzegalnym ruchem oczu. – Nie.

– Niepotrzebnie pytam. – Uśmiech wrócił na twarz prawnika. – Kalifornijskie prawo oczywiście zezwala zarejestrowanym pejsatym zawierać wiążące

umowy, ale z dnia na dzień więcej z tym zamieszania niż to wszystko warte. Ach, pamiętam, że wspominała pani, że żadne z państwa nie posiada dzieci, które musielibyśmy powoływać na świadków, czy to prawda, pani Lamotte?

Gdy April Lamotte potwierdziła swą bezdzietność, Clarkowi przebiegło przez myśl, że nawet Faust, dobijając targu, nie musiał przedzierać się przez tyle formalności.

Wreszcie dobrnęli do końca.

– Gratuluję. – Amdahl uściśnął muskularną ręką ich dłonie. – Egzemplarze umowy odesłałem kurierem. Jutro z samego rana trafią do podpisu na biurka Senseramy. To znaczy, że najdalej za tydzień całą sprawę będziemy mieli z głowy. To wielki zaszczyt, móc dla pana pracować. Jestem zagorzałym wielbicielem pańskiej twórczości, panie Lamotte. Miejmy nadzieję, że ten film nigdy nie zejdzie z ekranów.

– Oby.

– Wszyscy sobie tego życzymy – dodała April Lamotte, wsuwając rękę pod ramię Clarka. – Dan przeżył ostatnio nieco wzlotów i upadków. Szczerze mówiąc, był to bardzo trudny okres, prawda, kochanie? Ale jesteśmy przekonani, że teraz uda się zostawić to wszystko za sobą i śmiało spojrzymy w przyszłość.

Clark przytaknął skinieniem, ścisnął ją lekko za pośladek i rzucił „pewnie”, chociaż wciąż nie rozumiał, dlaczego akurat w tej chwili uznała za stosowne roztrząsać jego problemy ze zdrowiem psychicznym.

– To... cudownie. – Amdahl odchrząknął. – a może by tak, skoro zbliża się już odpowiednia pora na małe co nieco...? – Wskazał na przeszkłony barrek.

– Cóż, ja... – zaczął Clark.

– To bardzo miło z pana strony – April Lamotte rzuciła bordowy uśmiech – ale Dan i ja zaplanowaliśmy już małe obchody. Zarezerwowaliśmy stolik w „Chateau Bansar”.

– Ach, „Chateau Bansar”...? – Amdahl spojrzął z uznaniem.

JEDENAŚCIE

Żadnych trudniejszych momentów. Żadnych zasadzek. i ani jednej niemiłej niespodzianki – nie licząc chwili wahania przy kwestii ewentualnego żydostwa. Wychodząc z chłodnego biura kancelarii „York and Bunce” w żar i hałas miasta, Clark czuł swego rodzaju rozczarowanie. Przebranie się w cudze ciuchy i podrobienie cudzego podpisu dla żadnego aktora nie było wyzwaniem, które mogło się równać odtwarzaniu postaci z Szekspira, ale komu potrzebne całe to zamieszanie i poczucie odrzucenia, kiedy można było zarobić tysiąc zielonych za coś tak prostego?

– Więc... Gdzie jest to całe Chateau...? – spytał, kiedy April Lamotte zrobiła coś skomplikowanego z kluczami, by ożywić silnik delahaye’a.

– Kawalek za Silver Lake. – Nim wjechała w gęstniejący popołudniowy ruch, spojrzała na niego z uśmiechem. – Świetna robota. Chyba się nam udało, prawda?

– Chyba tak.

* * *

Początkowo, gdy jechali po Sunset, a potem przez Hollywood, przedzierali się przez korki. o tej porze zawsze tak było. Przesłonięte welonem smogu góry Santa Monica wydawały się ledwie realne. Podobnie jak – w upale bijącym od chodników i wypełnionych samochodami asfaltowych ulic – niknęli migocący przechodnie i pobliskie budynki.

Korzystając ze zmyślnej zapalniczki, Clark zapalił lucky strike’a dla siebie i pastelowego papierosa dla April. Kiedy go jej podawał, przytrzymała pola-

kierowane na kolor wina paznokcie na jego dłoni moment dłużej niż to było konieczne. Przystając co chwila w korku, zademonstrowała mu kilka innych sztuczek delahaye'a. Najnowsze radio od Motoroli. Okna, które same podnosiły się lub opuszczały po naciśnięciu odpowiedniego przycisku. i elektryczne zamki. Regulowane nawiewy, z których biło to, co w Los Angeles uchodzi za świeże powietrze.

Kiery minęli Bamsdall Park i skręcili na północ w przełęcz Cahuenga, ruch się wreszcie przzerzedził. Silnik delahaye'a zaryczał.

* * *

Restauracja „Chateau Bansar” znajdowała się u końca nieoznaczonego podjazdu, wijącego się tak długo i przez ogrody tak wspaniale, że Clark zaczął się zastanawiać, czy wyobraźnia ich projektanta miała w ogóle jakieś granice.

Widzieli jeziora i chińskie pagody. Widzieli greckie świątynie oraz wielki i wyglądający zupełnie jak prawdziwy wodospad, szumiący na wyglądających jak prawdziwe głazach. Ze skalnego występu przyglądał im się jelen. Ledwie Clark zdążył uznać, że jest to figura z malowanego gipsu, gdy zwierzę podniosło łeb i umknęło.

Samo chateau składało się z baśniowych wieżyczek i balkonów, szybujących na tle zachodzącego słońca w mgiełce świateł reflektorów punktowych. Przebrany w strój średniowiecznego pazia chłopak odprowadził delahaye'a po rampie wiodącej na podziemny parking, by nowoczesny samochód nie psuł nastroju. Przeszli pod altanami i wokół fontann. Pawie skrzeczały i stroszyły piórka. w fosie pływały łabędzie.

– Bywacie tu z Danem regularnie?

– Nie. – Szli ręka w rękę.

– Czyli nikt nas nie rozpozna?

– Nie ma takiej możliwości. Jak myślisz, dlaczego wybrałam właśnie to miejsce? Ale nie zapominaj, że dzisiejszego wieczoru wciąż jesteś Danem. – Poczul, że kobieta wzrusza ramionami. – Uznałam po prostu, iż oboje zasługujemy na coś specjalnego.

* * *

Kandelabry z artystycznie kutego żelaza, najprawdziwsze kominki i rozległe, drewniane posadzki. Minstrele grający na galerii minstrelowe utwory. Podświetlone zielonym blaskiem, pełne karpi oczko. Kobieta, która sprawdziła rezerwację i poprowadziła ich pomiędzy wyłożonymi mozaiką kolum-

nami do stolika, miała na głowie średniowieczną chustę.

Pozostali goście byli jedynie niewyraźnymi sylwetkami – wszystkie alko- wy były ocienione bluszczem i oświetlone jedynie żywym ogniem – ale jeże- li zmrużyło się oczy, można ich było dostrzec. Znaleźli się w rajach pismaka z plotkarskich szmatławców i Clark ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że wszystkie te piękne twarze szepczące do siebie ponad kieliszkami drogiego wina należały do osób, o których powinien był słyszeć. Mogli tu być Trudy Rester i Saffron Knowles i James H. Pack, a także wszystkie inne pojawiają- ce się na billboardach nazwiska, jakie przez kilka ostatnich lat przestał już za- uważać. Zaraz, ale to musi być Monumenta Loolie. Nikt inny na całym świecie nie ma takich piersi, a o nich słyszał nawet on.

Zamyślił się nad dawnymi nazwiskami – nad tymi cieszącymi się dawniej chwilową nieśmiertelnością obliczami, które oglądał na korytarzu kancelarii. Mary Pickford. William Desmond Taylor. Colleen Moore. Kilkoro nadal mieszkało w tym mieście, a przynajmniej tak podawały gazety. Wciąż mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by zachować jakąś część marzenia, nawet teraz, gdy nikt już ich nie pamiętał i zupełnie się nimi nie interesował. Lecz byli też inni. Ludzie, którzy, kiedy to wszystko nagle zniknęło, dopiero zaczynali się przyzwyczajać do limuzyn, łatwych dupeczek i luksusowych hoteli. Lu- dzie tacy jak on.

Wielkie, ręcznie wypisane menu nie wymieniało cen. Poczłł niejasną oba- wę, że April Lamotte może potraćć jego połowę rachunku z zarobionego ty- siąca, ale postanowił przynajmniej przez tę jedną noc grać według jej reguł. w końcu dokonali dzisiaj wspólnie czegoś zupełnie niecodziennego.

Szampań zaszumił w kieliszkach. Stuknęli się.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie. – Upił łyk alkoholu, po czym wyjął butelkę z wiaderka i dołał obojgu. – Jak myślisz, kiedy Dan... hmm... kiedy wrócę do siebie na tyle, by zabrać się z powrotem do pracy?

Spojrzenie kobiety nieco zhardziało.

– Nie wiem.

Przyjrzał się bąbelkom. Zdziwił się, że osoba tak bystra jak ona nie pomy- ślała o tym wcześniej.

– Wiesz, April, chodzi mi o to, że umowa to dopiero krok numer jeden. Gdy projekt wkroczy w fazę realizacji, studio zacznie się domagać tego, co

zwykle. No wiesz, spotkania, poprawki. Następne spotkania, dodatkowe poprawki. Próby i przepisywanie roli pod dyktando jakiejś gwiazdy, która uważa, że umie pisać scenariusze. Mam na myśli cały ten gnój, w którym muszą się zwykle babrać scenarzyści.

– Pewnie masz rację. – Obracała obrączkę na palcu, lecz gdy pochwyciła jego spojrzenie, znieruchomiała.

– a skoro Dan nie jest... Jeżeli nie jestem... Cholera, April, przecież nikt nas tu nie podsłuchuje... Próbuję powiedzieć, że mógłbym pomóc tobie i Danowi nieco bardziej. Mogę chodzić na te spotkania, podlizywać się decydentom i tak dalej. i to nie tylko w przypadku tego emotyku. Nie, jeśli będziemy mieć kolejne teksty równie dobre jak „Obudź się i śnij”. Dan mógłby zajmować się wyłącznie pisaniem i trzymać z dala od całego bagna tego miasta. Tego w końcu chciał. a gdyby kiedyś mimo wszystko wyszło na jaw, że Danów jest dwóch, wytwórciom zupełnie by to nie przeszkadzało. Wybacz słownictwo, ale ni chuja by ich to nie obeszło. Pod warunkiem, że dostawaliby dobre scenariusze. Bo spójrz, czy ktokolwiek jest na tym stratny? o wiele bardziej prawdopodobne, że z całej tej afery powstałby po prostu kolejny emotyk.

– Więc nie jesteś takim zatwardziałym cynikiem, za jakiego cię miałam. Jesteś znacznie gorszy. Jesteś skończonym romantykiem, prawda?

– Winny, wysoki sędzie. – Uśmiechnął się do niej i uniósł kieliszek. – Więc? Co o tym myślisz?

– Myślę, że powinniśmy zamówić. Jesteś głodny, prawda? Bo ja bardzo.

Clark, który nawet w takich knajpach lubił jeść prosto, wybrał stek z frytkami w sosie z brandy. Ona poprosiła o jakąś rybę, którą podano wraz z głową. Kiedy kelner zniknął, spróbował wyciągnąć z April coś więcej.

– Wiesz, czego nadal nie rozumiem? Nie mam pojęcia, w jaki sposób mnie znalazłaś. Pewnie, reklamuję się, ale głównie pocztą pantoflową. Przynajmniej jeśli chodzi o zwykłe zlecenia. Ale ty już przyznałaś, że kazałaś mnie szukać jakiegoś detektywowi. Znam ich całkiem sporo. No i to, jak dotarł do mnie twój list i rzeczy, których się na mój temat dowiedziałaś. Coś takiego wymaga pewnych umiejętności. Zastanawiam się więc...

– Masz rację. Wynajęłam kogoś. Ale cała nasza umowa opiera się na dyskrecji.

– Nie powiesz mi?

– a chciałbyś, żebym zaczęła rozgłaszać po mieście, co zrobiłeś?

– Nie, ale...

– Sam widzisz. Ale tak, jak zauważyłeś, wiem o tobie to i owo. w większości z wycinków z gazet. Nazwisko i twarz. i nadal jestem ciekawa. Bo widzisz, nie pamiętam żadnych twoich filmów. Ani niemych, ani dźwiękowych. i wątpię, by wiele osób je pamiętało. Ale byłeś bardzo blisko, правда? Prawie ci się powiodło. Więc? Co się właściwie stało? i nie mów, że to wyłącznie przez te zęby i uszy. Gdyby o nie chodziło, mógłbyś je przerobić.

Teraz to ona próbowała wyciągnąć coś z niego. i szukała tam, gdzie bardzo nie chciał, by zaglądała, zwłaszcza teraz, po obejrzeniu emotyku z Peg, kiedy odżyło tak wiele wspomnień. Zamówił więc jeszcze szampana i opowiedział April Lamotte o początkach swojej przygody z aktorstwem. o tym, jak to jest dorastać w podupadającej dziurze w rodzaju Hopedale, w Pensylwanii. (Nadzieja w nazwie miasteczka pojawiła się – jak twierdzili miejscowi – dlatego, że gdzie indziej było o nią raczej trudno). Mówił o czasach, gdy był zwykłym, przeciętnym Billym Gable'em, a szczytem jego życiowych marzeń było pójście w ślady ojca, poszukiwacza ropy, lub podjęcie pracy w Akron, gdzie mógłby zdzierać pleśń z opon dla Firestone Rubber Company. Od zawsze jednak czuł, że gdzieś tam czeka coś lepszego, chociaż nie miał bladego pojęcia, co to może właściwie być ani jak to, do diabła, osiągnąć. Najbliżej znalazł się w dzieciństwie, gdy Jenny, jego macocha, czytała mu „Wielkie dzieła światowej klasyki” tym swoim pięknym głosem, który później odebrała jej gruźlica. Najważniejsze jednak okazało się obejrzenie „Rajskiego ptaka” w wykonaniu Akron Players w teatrze muzycznym na Exchange Street. Najbardziej uderzyło Clarka to, że scena okazała się bramą wiodącą do innego świata. Mimo że było widać, że księżniczka nie jest tak naprawdę Hawajką, deski pod nogami aktorów okropnie skrzypiały, a wulkan w tle wydawał się mało wulkaniczny, przeniósł się tam wraz z nimi. Po prostu czary.

Na tę samą sztukę wybrał się następnego wieczoru. i znowu dzień później. Potem czekał w alejce na wychodzących aktorów. Hawajska księżniczka Luana wyglądała wtedy już raczej jak jedna z tych kobiet, które widuje się za ladą pobliskiego warzywniaka, ale on miał pewność, że ci ludzie mają coś, czego pragnie i on. Kiedy usiadł z nimi w zakątku baru ze szklaneczką w rękę, zapytał, czy nie znaleźliby dla niego jakiegoś zajęcia. Dowiedział się, że tak, owszem, mógłby im pomóc przy budowaniu scenografii. Wsiąkł na

dobre.

Główne dania pojawiły się i zniknęły. Podobnie jak druga butelka szampa. April Lamotte zamówiła trzecią, zanim zdołał się zastanowić, czy to aby najlepszy pomysł. Mimo że znacznie częściej napełniała jego kieliszek niż swój, była już na rauszu, pochylała się nad stołem, raz po raz przeciągała dłońmi po szyi i wsuwała palce we włosy.

– Wszyscy wsiąkli w to miasto na dobre. Ci ludzie tutaj... – Wskazała gestem i jeszcze bardziej się pochylała. – i dziwki na przystankach autobusowych. Ja. w końcu gdyby nie sny, nie byłoby mnie tutaj, prawda? Nikogo z nas tu by nie było. a sny mogą być marzeniami albo koszmarami. Wiesz, tak się czasem zastanawiam... Nawet dzisiaj... Po kiego diabła to wszystko?

Zauważył, że kobieta strąciła mrugnięciem rozbłysk, który pojawił się w kąciku jej oka. Po kiego diabła to wszystko? w tym biznesie, w tym mieście nie zmieniało się nic i nigdy. o tej porze wieczoru, to samo pytanie musiało już paść przy wielu innych, oświetlonych żywym ogniem stolikach „Chateau Bansar” oraz w tysiącach tanich pokoików do wynajęcia, a także – zadane przez kurewki – na przystankach autobusowych.

– a Dan w swoim obecnym stanie niespecjalnie może pomóc. Jest słodki. Jest genialny. Ale, mój Boże, ileż się trzeba z nim naużerać. Nikt nie ma pojęcia, jak wygląda życie z pisarzem... To znaczy, po ich tekstach nigdy tego nie widać, prawda? Ani nawet w biografiiach... Kto pamięta o pani Szekspir, co? Albo, kurwa, o pani Dickens? Siedziały w domu, znosiły całe to gówno, obierały ziemniaki, słały łóżka, stawiały obiad na stole i uciszały bawiące się na podwórku bachory, bo przecież ich genialni mężowie pisali. Albo próbowali pisać. Albo, co też całkiem możliwe, nie pisali w ogóle...

Rozbłysk znowu zakręcił się jej w oku. Spłynął i wsiąkł w puder na policzku. Wytarła go dłonią.

– Przepraszam, mieliśmy tu świętować.

Wziął ją za rękę.

– Nie, nic się nie stało.

Zaszlochała głośniej. Potrąciła łokciem kieliszek i szampan załśnił na stole.

Clark podniósł wzrok i zauważył, że kelner już czai się na skrajach ich alko- wy z głupio przejętą miną na twarzy. Przyciągnął April nieco bliżej siebie i kazał mu przynieść kilka świeżych chusteczek i rachunek.

DWANAŚCIE

Był już środek nocy. Delahaye czekał z włączonym silnikiem, a granatowe jak atrament niebo odbijało się opalizującymi strumykami na jego długich śmietankowych bokach. Clark zdjął okulary w szylkretowych oprawkach i przetaił je chusteczką z monogramem DL, jakby próbował odzyskać jasność widzenia. w rzeczywistości jednak myślał zupełnie trzeźwo. Każdy by wytrzeźwiał, gdyby zobaczył rachunek tej wysokości.

– Może ty poprowadzisz? – Bardziej już opanowana April Lamotte uwolniła jego ramię. – Mówiłam ci przecież, Dan. To twój samochód.

* * *

Moc silnika. Sposób pracy zawieszenia. Już na krętym podejździe Chateau Bansar leciał pięćdziesiątką.

– Dokąd?

– Nie ma pośpiechu. Twój wóz stoi przy Los Felice, prawda? Więc może spróbujemy przez Mulholland? Moglibyśmy przejechać przez góry, a potem ściąć Venturą. – Zatrzymali się na zakręcie i złożyła dłoń na jego rękę, trzymającym dźwignię zmiany biegów. – To dobra noc na przejażdżkę.

Lekki, wiejący znad oceanu wiatr przegnał smog. Miasto pod nimi wyglądało jak wysypane z pudełka klejnoty.

Zdążył już zapomnieć. Naprawdę. Mieszkał i pracował w Los Angeles – a przynajmniej na jego przedmieściach – tyle lat, a zachowywał się, jakby przez cały czas spał. Baśniowa kraina nie kończyła się z ostatnimi mgnieniami wieżyczek „Chateau Bansar” we wstecznym lusterku. Tutaj, jadąc taką

maszyną ponad Hollywood, człowiek czuł się tak, jakby nigdzie na świecie nie można było zejść wyżej i dalej.

Odnalazł Cahuengę i ominął większość korków, skręcając na wschód po szerokim objeździe Mulholland Drive. Strzałki na desce rozdzielczej dygotały. Dłonie Clarka swobodnie kręciły kierownicą. Delahaye pokonywał ostre zakręty niczym łoś skaczący przez bystrza w drodze na tarło.

Zerkał na wschód, ponad wąwozem Cahuenga, w kierunku parku Griffitha. Ten wielki napis. HOLLYWOODLAND. Szary w ciemności. Przez ostatnie dziesięć lat bez przerwy pojawiały się pogłoski o tym, że mają go rozebrać, a jednak wciąż stał. Clark prowadził potężną maszynę naprzód. Teraz mieli przed sobą już tylko ciemność. Nad nimi tylko gwiazdy. Kilka razy zauważył we wstecznym lusterku światła innego samochodu, zwolnił nieznacznie, zaniepokojony, jaki to wóz dotrzymuje im kroku. Światła jednak wciąż trzymały się z tyłu.

– Podoba ci się delahaye?

– Pewnie. Komu by się nie podobał? Myślisz, że mogę je już zdjąć? – Nie czekając na odpowiedź, wcisnął okulary do górnej kieszeni marynarki.

– Prowadzisz zupełnie inaczej niż Dan.

– a jak on to robi?

– Jak pisarz. Ryzykuje wyłącznie w wyobraźni.

Wziął kolejny zakręt. Góry były czarne, poniżej rozciągało się migotliwe miasto.

– Zatrzymajmy się gdzieś. – Przynęła się bliżej niego. Złożyła mu dłoń na udzie. – Tam będzie taki punkt widokowy. Widzisz zjazd z przodu?

Zakręcił, nie zwalniając, spod opon strzelił kurz. Koła przestały się obracać tuż przed cienką, strzegącą przepaści drewnianą barierką.

– Od razu lepiej, prawda? – Sięgnęła przez Clarka do stacyjki, wyłączyła silnik i światła.

Zapadła cisza. Miasto leżało pod nimi. Czuł zapach letniego tymianku, perfum Chanel „Cuir de Russie” i rozgrzanej gумы. Nie cofnęła się, kiedy objął ją i musnął jej włosy.

Na występie było pusto. Tylko oni, delahaye i rozświetlone nocą Los Angeles. Aczkolwiek, gdy wzrok przywykł mu bardziej do ciemności, zauważył coś, co wyglądało jak zarys drugiego samochodu, stojącego w samym narożniku piaszczystego parkingu. Reflektory miał jednak wyłączone, nic się nie

poruszało. Jedynymi dźwiękami były ich oddechy, granie cykad i pomrukiwanie miasta w otoczonej górami nieczie.

– Zabrałam coś z domu. – Oderwała się od niego na moment i przetrząsnęła torebkę.

Metaliczny błysk. Gdy odkręciła korek, poczuł ostrą woń bourbona.

– a nie wyglądasz... – Zachichotał.

Ona również cicho się zaśmiała.

Alkohol okazał się słodki i mocny. Otarł usta, przełknął dziwny, metaliczny posmak i zwrócił jej piersiówkę. Przytknęła ją sobie do warg, po czym znów przekazała Clarkowi. Na chłodnej stali wciąż czuło się ciepły odcisk jej dłoni.

– No więc – wymamrotał Clark, czując, jak bourbon szmerze mu we krwi pospołu z szampanem. – Co teraz?

– Tej nocy? Czy ze mną i Danem?

Pozwolił pytaniu przebrzmieć. Jego palce igrały z włosami April Lamotte. Dotknęły ozdobionego drogą błyskotką ucha. Wciąż, na ile zdołał, starał się zgrywać obojętność. w końcu nadal była klientką, a on nie odebrał jeszcze tego wielkiego czeku.

– To miasto nie jest dobre dla nikogo z nas – podjęła. – Ono wsysa ludzi. Zobacz, co zrobiło z Danem. – Poprawiła się nieco na siedzeniu i złożyła głowę na ramieniu Clarka. Odetchnął zapachem jej loków. Wciąż trzymał w dłoni niemal już pustą piersiówkę. Ciało kobiety, z powodu bliskości, wydawało się spięte i sztywne. – Kiedy ludzie zaczęli tu przyjeżdżać, by kręcić filmy, twierdzili, że to z powodu jakości miejscowego światła. Tyle że słowem nie wspomnieli o jakości ciemności... o tym, co czai się pod powierzchnią...

Zamrugał. Piekły go oczy. Znowu pomyślał o miniętym jakiś czas temu wielkim napisie i o wszystkim, co zrobił i czego nie zrobił. April Lamotte miała co do Los Angeles rację. Jemu to miasto również wydawało się czymś potężnym, czarnym i wygłodniałym, skradającym się z głuchym pomrukiem.

Kobieta nadal mówiła:

– ...więc myślę, że jeżeli uda nam się zrealizować ten nowy emotytek, może będzie to dobra okazja, byśmy z Danem wyjechali. w końcu on zawsze powtarzał, że chce tylko pisać. a pisać można w innych, lepszych miejscach niż

Los Angeles. Prawdę mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić gorsze...

– Moglibyśmy uciec, odciąć się od porażek, pozbyć się nękańcych nas duchów i zamieszkać gdzie indziej. Rozmawialiśmy już z Danem o przeprowadzce do Anglii. Tam mógłby tworzyć prawdziwe książki, normalne powieści opowiadające o czymś prawdziwym. Oczywiście, to udałoby się tylko wtedy, gdyby Anglię zajęli Niemcy, a Dan nie cierpi nazistów. Może więc powinniśmy spróbować w Argentynie. Tam jest zupełnie jak tutaj sto lat temu, gdy wszystko było jeszcze nowe i świeże. Sprzedalibyśmy Erewhon i kupili ranczo. On mógłby pisać, a ja... Dobrze się czujesz?

Skinął głową, przełknął ślinę. Już zbyt wiele razy słyszał ludzi snujących plany ucieczki z tego miasta. Marzenie równie wielkie jak to, które ich tutaj przygnało. a właściwie nawet większe, ponieważ nigdy nie udawało się go zrealizować. Suchy pomruk w jego uszach nie milkł.

– Chyba tak.

– Może nie powinnam częstować cię tym bourbonem. – Wyrwała mu pierśiówkę z ręki. – z powrotem mogę poprowadzić sama. Nie śpieszymy się, prawda?

Niewyraźne w mroku kontury wnętrza samochodu – tarcza prędkościomierza, drewno, chrom, przełączniki, jej nogi w pończochach, skórzana kanapa, jakby traciły konkretność. Pochyliła się nad nim i wyciągnęła rękę ku kluczykom. Zabrzęczały, rozrusznik zawarczał i silnik – chór tłoków, przypominający mruczenie głaskanego tygrysa – podjął swój swobodny warkot. Potem nacisnęła coś jeszcze i skórzany dach z wolna zabrzączał nad nimi niczym czarne skrzydło. Przesłonił gwiazdy.

– Odrobina prywatności – szepnęła w szumiącym ciepłe, gdy dach zakończył swą podróż kilkoma ostrymi szczęknięciami – Zresztą i tak robiło się zimno.

Poczuł jej palce, badały kształt guzików jego koszuli.

– Dan odgrywał w moim życiu wiele ról, ale rzadko bywał mężem w cielesnym sensie... – Teraz w kabinie było o wiele ciemniej. Zamknięty dach i warkot silnika zagłuszyły szum w uszach Clarka. Kiedy palce znalazły przesmyk między guzikami, zamrugał. – Nie masz podkoszulki? – Oddech kobiety przyśpieszył.

– Nigdy ich nie nosiłem.

Bordowy kostium był teraz czarny i Clark ujrzał, jak bladość jej ciała roz-

lewa się dokoła. Zsunęła strój z ramion. Został uszyty tak, że nie musiała wkładać pod spód stanika.

Nachyliła się przez niego. Wyjęła mu z kieszeni okulary, przy czym niemal siadła na nim okrakiem. Jej zapach uderzył go oszałamiającą falą.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Miała pełne piersi i bardzo pragnął ich dotknąć, lecz sposób, w jaki go dosiadła, i mroczna waga wszystkiego, co mu w tej chwili poza nią ciążyło, unieruchomiły Clarkowi ramiona. Otoczyły go jej dłonie, gładziły zewnętrzną i wewnętrzną stronę marynarki, zanurzyły się w kieszeniach spodni, lecz ich cel nie wydawał się wyłącznie seksualny. Kiedy uniosła palce do jego szyi i dotknęła, jakby sprawdzając puls, przypomniał sobie, że ta kobieta była kiedyś pielęgniarką.

– Jak się czujesz?

Ledwie zarejestrował, że April Lamotte zsunęła się z jego kolan i zaczęła zapinać na sobie ubranie. Ledwie zarejestrował ruch i pobrzękiwanie, kiedy zbierała rzeczy.

– w porządku? Clark? Dan? Panie Gable? Słyszysz mnie?

Otworzył usta. Gardło miał wypchane czymś suchym i ziemistym, czego nie mógł wykaślać. Dotknęła jego powiek. Spróbował zamrugać, odsunąć ją, lecz zgubił gdzieś ramiona. Wyczuł kołysanie resorów, usłyszał trzask drzwiczek. Inne drzwi się otworzyły i zamknęły. Domyślił się, że to prawdopodobnie bagażnik. Zamontowany w delahaye’u silnik V8 mruczał ciepłym, mdłym pulsem przypominającym rytm jego serca, który zmienił się nieco, gdy ciemny owal, jakiś gumowy wąż, został wciśnięty w szparę okna obok niego.

Znowu poruszenie. Kroki. Nieokreślony odgłos silnika innego samochodu, blask świateł. i wtedy – próbując wygrzebać się ku przytomności, gdy sięgnął do kluczyka, który nawet nie drgnął, podobnie jak nie zadziałały przyciski otwierające okna i drzwi – wiedział już tylko, że siedzi w samochodzie z włączonym silnikiem i że został zupełnie sam.

TRZYNAŚCIE

Ciemność została z nim na długi czas. Potem, mgliście, gdy osunął się naprzód, dotarło do Clarka, że włączyło się radio. Przez dławiacą mgłę ujrzał jaśniejącą skalę, rozległy się kojące smyczki orkiestry Freda Waringa i południowy akcent Wallisa Beekinsa zapowiadającego w NBC „najnowsze informacje, wywiady i stare, dobre plotki na żywo z Krainy Gwiazd...”. Słowa i rozpostarte pod nim miasto rozplynęły się w spazmach bólu i zniknęły w czarnym, cuchnącym tunelu.

To naprawdę zabawne, że można zejść tak daleko i jednocześnie donikąd. Pomyślał, że trafił w tę samą pustkę, w jakiej kończą wszyscy. Odpływał coraz dalej w ciemność; ostre pieczenie w płucach i gardle traciło na intensywności. Zwykły facet, siedzący nocą w samochodzie w punkcie widokowym, umierający powoli z braku tlenu. Oglądał siebie samego z intrygującą obojętnością. Widział wciśnięty za szybę pompujący spaliny czarny szlauch. Rurę, której jego sparaliżowane, wiotkie ramiona nie były w stanie usunąć. Stał się bezwładnym ciałem, zaczynał podrygiwać. Wargi mu szarzały, oczy wywracały się w jakimś ostatnim odruchu. Był ciałem, które ktoś znajdzie rano, gdy ze zwłok ujdzie już wszelkie życie, i przelotnie zastanowi się, jak i dlaczego. Bez większej ciekawości...

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że wiedział, że nie jest sam. W wozie było z nim coś jeszcze. Uniosło się z cuchnącego, czarnego powietrza niczym wynurzający się z wody pływak i uformowało falujące ręce i twarz, która nie chciała znieruchomieć. Ze straszliwymi oczyma, w których pobły-

skiwały iskry silnika, z chmurami spalin bijącymi z oleistych ust, pochyliło się, by dokładniej go obejrzeć. Istota składała się jakby jedynie z oparów. Język napuchł mu w gardle, próbując znaleźć powietrze. Spróbował krzyknąć, ale wszystko na nic, bez szans...

Ta istota, ten kształt, ta obecność, nie chciała zniknąć. Być może patrzył na samą śmierć. Bo wiedział, że jest w tej chwili bliska. Tak bliska, że czuł jej dotyk. Widział własne ręce, zapomniane i odległe, leżące daleko poniżej w mroku. Poczul też mocniejsze dłonie, parzące i pulsujące, zamykające je w uścisku. Uścisku niemiłosiernie silnym. Za dłońmi przyplęły ramiona, wciągające go w coraz głębsze objęcia. a przez to wszystko czuł okropny nacisk, nieskończony ryk.

Przestał się opierać. Pomoc była nieosiągalna. Ale istota ze spalin naprawdę go trzymała, unosiła, poruszała jego kończynami, jakby był marionetką. Poczul, jak jego głowa uderza o kierownicę, poczul, jak jego ostre zęby zatraskują się na języku. Ujrzał przed sobą własną, wijącą się dłoń, płonąca strzępami ciemności. i potem szarpnęło jego ramieniem w bok i z łokcia popłynął ostry ból, dziwaczny w swej przeciętności. Ból rozognił się raz jeszcze, gdy ten sam ruch się powtórzył. Tym razem jednak nastąpił po nim błyszczący trzask i poczul nadzwyczajny przyplływ powietrza.

Na moment poszarzało mu w oczach. Zadławił się, zachłysnął. Gdy spaliny zaczęły buchać na zewnątrz, żołądek ściągnął mu się w ciasny węzeł. Ale oddychał. Naprawdę oddychał. Szyba obok została strzaskana, a czarna rura, z której rzygała śmierć, wypadła na żwir. i znów był, kurwa, Clarkiem Gable'em, wciąż żył i czuł pieczenie w gardle oraz cholernie intensywny ból w lewym łokciu.

Silnik nadal pracował. Raz jeszcze sięgnął do kluczyka i spróbował cholerstwo przekręcić to w jedną, to w drugą stronę. Nadal bez rezultatu. Wszystko w tym samochodzie działało w oparciu o przemyślnie elektryczne ustrojstwa, zbyt przemyślnie jak na jego gust. Obadał stacyjkę po omacku. w szczelinie, wraz z kluczykiem, tkwiło coś jeszcze. Chwycił to odrętwiałymi palcami i pomanewrował, aż wreszcie ustąpiło. Ułamana w połowie zapalnika. Zwykła zapalnika. Ponownie przekręcił kluczyk. Silnik delahaye'a wydał z siebie ciche, uprzejme kasznięcie i umilkł. Radio wciąż świeciło. Kojące, nocne dźwięki orkiestry Freda Waringa grającej „a Cigarette, Music and You” nadal płynęły z drogich głośników Motoroli. Wyciągnął rękę przez drobiny słu-

czonego szkła i nacisnął klamkę od zewnątrz. Tym razem drzwi ustąpiły bez trudu.

Wysiadł chwiejnie z samochodu i osunął się na kolana wśród okruchów szkła. Przez jakiś czas stał na czworakach, kaszląc i wymiotując, póki wysiłek nie okazał się zbyt duży i Gable nie padł na twarz. Potem, niepoznawalną ilość czasu później, odzyskał wreszcie pełnię przytomności i – z wolna, ostrożnie – podciągnął się, przytrzymując się otwartych drzwi delahaye’a. Oparł się niepewnie o wóz i rozejrzył po ciemnym parkingu. Była tu z nim jakaś mroczna istota. Nie miał żadnych wątpliwości – było to równie pewne jak to, że szyby nie wybił żaden ostatni spazm umierającego ciała. Nadstawił uszu. Wciąż słyszał jedynie cicho pomrukującego w radiu Wallisa Beekinsa, ćwierkanie cykad i łomotanie własnego serca. Uniósł ręce, lecz za słabość i brak ostrości wzroku odpowiedzialne były jedynie jego wysuszone, zmęczone oczy. Nie przesłaniało ich nic poza krwią i brudem.

* * *

Noc. Cykady. Szemrząca muzyka. Samochód przejechał nad nim, po Mulholland Drive. Zaczął nasłuchiwać następnego, ale po chwili stwierdził, że może tak czekać bardzo długo. Miasto migotało już znacznie słabiej. Było późno i ciemno.

Clark rozluźnił krawat, po czym, spluwając i charcząc, strzepując z siebie okruchy szkła i żwir, obszedł delahaye’a, wyciągnął szlauch, który tkwił naciągnięty na jedną z dwóch rur wydechowych wozu, po czym wyrzucił go daleko za barierkę. Zajrzył do bagażnika. Pusto. Tekturowa walizka zniknęła. Następnie pokuśtykał w narożnik parkingu, tam gdzie przedtem wydawało mu się, że widzi zarys samochodu. On także zniknął.

Osunął się z powrotem na siedzenie delahaye’a i ciężko dysząc, chwycił kierownicę. w głowie mu łomotało, a w ustach czuł smak podłogi warsztatu samochodowego. Odszukał jedną z chusteczek Daniela Lamotte’a i przetrął sobie twarz i dłonie. Usunął też kolejną porcję szkła. Zerknął do podświetlonego schowka na rękawiczki i spojrzął na paczkę lucky strike’ów, która wciąż tam leżała. Papieros był jednak ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę. Lśniąca skala radia przypominała zachód słońca nad jakimś bajkowym miastem.

– ...i to już wszystko czego warto było dzisiaj wysłuchać. Z Tinseltown^[3] mówił do państwa Wallis Beekins, życząc dobrej nocy wam, a Ameryce i jej

wszystkim dzielny sojusznikom bożego błogosławieństwa.

a potem już tylko szum. Clark wyłączył odbiornik, uruchomił silnik delahaye'a, wycofał z parkingu nad urwiskiem i skręcił w Mulholland Drive.



3 Tinseltown – dosł. Miasto Blichtru, metaforycznie o Hollywood.

CZTERNAŚCIE

Wjeżdżając w Stone Canyon od strony gór, a nie od miasta jak wczoraj, nieco zmylił drogę. Kiedy minął przydrożny parking i ujrzał za sobą połykający w blasku sierpa księżycy zbiornik retencyjny, zrozumiał, że wypuścił się za daleko. Zawrócił i ruszył z powrotem pod górę; niemal wypadł przy tym z szosy. Zewnętrzne przednie koło zawirowało w pustce urwiska. Przetarł ciemność z oczu, przykazał sobie zwolnić i skupić się. Mimo że świeże powietrze swobodnie wpadało przez stłuczone okno, samochód wciąż cuchnął spalinami. Clark nie chciał przeprowadzić skuteczniejszego zamachu na siebie niż uczyniła to April Lamotte. Nie chciał też, by zatrzymała go policja.

Tutaj, na gorze, panowała cisza, jaka zapada nawet w dolinach ponad Hollywood. Pora była zbyt wczesna, by nazywać ją późną, i zbyt późna, by stwierdzić, że jest wczesnie. Przyjęcia i domowe prywatne seanse dobiegły wreszcie końca, gwiazdy i sportowcy zażywali kilku cennych dla urody godzin snu, przed kolejnym bardzo ważnym śniadaniem lub zawodami.

Clark dotarł do celu. Woodsville. Tym razem wjechał na teren osiedla ostrożniej, rozglądając się w prawo i lewo po obsadzonych ozdobnymi roślinami uliczkach, wijących się niczym srebrne rzeki pomiędzy tonącymi w mroku podjazdami, aż wreszcie zobaczył na lewym poboczu jodłowy zagajnik, który, jak pamiętał, rósł około dwustu jardów od Erewhon. Zjechał z jezdni, przesunął wóz naprzód i w tył, aż wreszcie niemal całą karoserię pokrył cień, po czym wyłączył silnik.

Siedział. Czekał. Nadstawił uszu. Słyszał było wyłącznie wiatr szumiący

w wierzchołkach drzew. Clarka bolał łokieć, wciąż czuł się fatalnie, a oblepiający ubrania śwąd i wyraźny w ustach smak spalin wydawały się jeszcze bardziej paskudne teraz, kiedy oddychał czystym, górskim powietrzem. Otworzył drzwiczki, zazgrzytały. Ogarnęła go najsilniejsza jak dotąd fala mdłości. Skulił się obok samochodu i odczekał, póki nie wylały się z niego kwaśną strugą resztki drogiego posiłku z „Chateau Bansar”.

Co planował zrobić po dotarciu do Erewhon? Nie miał pojęcia. Nie było najmniejszych wątpliwości, że April Lamotte próbowała go zamordować. Tylko dlaczego? Samo zastanawianie się nad tym przyprawiało go o zawroty głowy. Starła się upozorować samobójstwo, tak? Ale skoro zamierzała zabić Daniela Lamotte’a, to chyba powinna była zabić właśnie swojego męża, a nie kogoś tylko podobnego...?

Otarł usta. Cały ten interes od początku wydawał się zbyt piękny. Powinien był wszystko przemyśleć wcześniej i bardziej dokładnie. Cóż, na szczęście przeżył, i to dawało mu nad April Lamotte przewagę. Żył, a ona była przekonana, że go wykończyła. Dzisiejszej nocy nie będzie się pilnować. Podda się uldze, odpocznie i zrobi to, co zaplanowała. a on prawdopodobnie miał nawet w kieszeni klucze do Erewhon, razem z kluczykami do delahaye’a. i wiedział, że nie ma zbyt wiele do stracenia. Nie, kiedy wziął pod uwagę wszystko, co zdążył stracić i roztrwonić wcześniej. w tym właśnie – wąskim – sensie Clark Gable uważał się za realistę.

* * *

Powietrze było tutaj bardziej gęste, pachniało nocnymi roślinami. Kiedy biegł skulony poboczem, wilgotne paprocie chwytaly go za nogi. Coś duże- go i uskrzydłonego przelotnie załopotalo mu na twarzy. Po chwili ujrzał prowadzącą do rezydencji drogę. Zwolnił. Jak rozległy jest ten ogród? Jak długi był podjazd? Trzeba ci było wczoraj porządnie się rozejrzeć, Clarkie. Zachowałeś się jak dzieciak, choć z drugiej strony, nie mogłeś się spodziewać tego, co spotkało cię tej nocy, nie miałeś szansy odpowiednio się przygotować. Poza tym to, co właśnie robił, nie wydawało się mu dziwne czy nietypowe. Podkradanie się przez krzaki do cudzych domów stanowiło zwykłą część jego pracy. Oczywiście, w normalnej sytuacji miałby ze sobą aparat załadowany superczułym filmem. Ubrałby się też w coś ciemniejszego, chociaż garnitur, który miał na sobie, był już o wiele bardziej szary i poplamiony niż kilka godzin wcześniej.

Przemknął chyłkiem przez szosę, pod marmurowy znak przy fuksjowym żywo płocie. Koniuszkami palców obadał kształt tego dziwnego słowa. Erewhon. Zaraz potem, kiedy okrążył głaz, by zerknąć w górę podjazdu, zamarł. w cieniu po przeciwnej stronie drogi, tuż pod willą, stała mroczna postać. Zalała go fala grozy. Ta istota z samochodu... Ale nie. Ta sylwetka się poruszała. Trzymała ręce w kieszeniach, poruszała nogami i zabijała ramiona – gesty człowieka próbującego się rozgrzać, rozruszać. Obcy był szczupły i wysoki, ubrany w jakiś mundur. Clark pochwycił nawet złoty odblask odznaki. z wolna, tak bezszelestnie, na ile zdołał, wycofał się wokół żywo płotu. Ukrył się w krzewach i przeciągle odetchnął. Wciąż słyszał drobiazgowo, dolatywało go szuranie butów na mokrej od rosy trawie. Pogwizdywanie. Dźwięk był równie słaby i wyzuty z melodii jak świst wiatru w pobliskich drzewach, lecz znacznie bardziej mrozący krew w żyłach. Cokolwiek robił tu ochroniarz z „Gladmont Securities”, nie mogło to mieć wiele wspólnego z pilnowaniem granic Woodsville przed najazdem akwizytorów.

Clark cofnął się jeszcze dalej. Powróciły mdłości, przyspieszył mu oddech. Zaczął się zastanawiać. Mógł zaczekać tutaj. Albo uciec. Do Venice? Tyle że April Lamotte i wszyscy inni ewentualnie zamieszani w sprawę dokładnie wiedzieli, gdzie mieszka. Może więc dalej, w bardziej bezpieczne, anonimowe miejsce. Ale dokąd? i przed czym właściwie powinien się mieć na baczności? Tej nocy nie ufał już nawet własnemu rozsądkowi. Zdawał sobie sprawę, że jego reakcje są przytępione i surowe. o co tu, do cholery, chodzi? Co tak naprawdę chciała osiągnąć April Lamotte?

Wynajął więc takie mieszkanie, tanią norę w centrum. Nazwał to powrotem. Przeniósł się tam wraz ze swoją maszyną do pisania. Zabrał też kilka ryz papieru i jakieś stare ubrania. Puściłam go, panie Gable. Pozwoliłam mu na to...

PIĘTNAŚCIE

Pojechał pustą Wilthisre, minął Brown Derby i hotel „Ambassador”, po czym skręcił na północ i pod górę, oddalając się od reprezentacyjnych dzielnic miasta. Latarnie przygasały. Niebo na wschodzie zaczynało już szarzeć. Gdy delahaye piął się stromymi ulicami centrum, bezpańskie koty czmychały z zapuszczonych ogrodów.

Na kilku wzgórzach, począwszy od Bunker Hill ku północy i wschodowi, w kierunku Pound Cake, bogaci Angelinos^[4] z poprzedniego stulecia wznieśli enklawę wspaniałych domów, nadali swym nowym ulicom tchnące nadzieją nazwy typu Spring, Flower czy Olive i wiedli życie, na jakie we własnej opinii w pełni zasługiwali. Minęło sto lat. Nowe Centrum stało się Starym Centrum i teraz wypadało już mieszkać tylko w dzielnicach typu Santa Monica, Beverly Hills, Północne Hollywood, Malibu, tudzież w nowych osiedlach w górskich dolinach, takich jak Woodsville.

Zatrzymując się na moment, by odświeżyć dawne wycucie kierunku, skręcił z New High Street w lewo. Bladen? Barden? Nie, Blixden Avenue. Gdy tylko zobaczył tabliczkę z nazwą ulicy, był już pewien, że to właśnie ten adres widniał na pierwszej stronie scenariusza „Obudź się i śnij”. Jakiś apartamentowiec – pokój 4A. i tu właśnie, na samym końcu ślepego zaułka wznosił się budynek, który według liter wykutych w kamiennym zwieńczeniu bramy nazywał się dawniej Appleton Manor, a teraz nosił nazwę Blixden Apartments, o czym Clark dowiedział się z napisu niezgrabnie wymalowanego farbą na ceglanej ścianie. Tak, to tutaj: mroczna, stara rezydencja w ciemnym

zaułku uliczki, która pamiętała nie tylko lepsze lata, lecz i całe stulecia. Została podzielona na małe mieszkania w sposób typowy dla tych niegdyś dumnych budynków. Front z brunatnego piaskowca znaczyły krosty już od dawna nienowych okien i marniej jakości rur kanalizacyjnych. Po przeciwnej stronie ulicy otwierała się zarośnięta chwastami działka, na której jeden z innych większych budynków dał ostatecznie za wygraną i rozsypał się niczym przeżarty próchnicą ząb.

Jak to nazwała April Lamotte? Powrotem? Tak, powrót w takie miejsce z pewnością musiał ukazać facetowi świeżą perspektywę, pomyślał Clark, wychodząc w chłód wczesnego poranka. Cicho zamknął drzwiczki delahaye'a. Gdzieś zaszczekał pies, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było. z tego co pamiętał, mieszkańcy okolic takich jak Bunker Hill nie mieli raczej w zwyczaju wstawać przed południem. Obejrzał kółko z kluczami Daniela Lamotte'a. Większość była nowa i lśniąca, ale jeden, spracowany Yale, pasował do tej dzielnicy. Clark otworzył skrzypiącą bramę i przeszedł przez zarośniętą ścieżkę. Obok drzwi zamontowano kilka mosiężnych tabliczek z nazwami firm, aczkolwiek metal był tak spatynowany, że wątpliwe było, czy wymienione instytucje wciąż jeszcze działają. Zobaczył też sznurek dzwonka, którego nie miał nawet zamiaru dotykać. Zamka nie zauważył. Chwycił starą, masywną klamkę. Ustąpiła z luźnym brzęknięciem.

* * *

Wokół Clarka zawirował oddech wieków.

Skrzypiące podłogi. Ludzkie chrapanie. Męski kaszel. Kapiąca z kranów woda. Rybiki i karaluchy pierzchające po kafelkach we wspólnej kuchni. Warzywny fetor czegoś, co pewnie nie było wcale warzywem. Spróbował sobie przypomnieć, dlaczego właściwie uważał swoje Doge's Apartaments za nędną i zaśmieconą norę. Stare budynki naprawdę konserwowały atmosferę – wchłaniały w siebie długie lata uczuć, które potem, nieśpiesznie, wyciekały z powrotem na zewnątrz.

Zamrugał i odczekał, by korytarz z wolna ukazał mu się we wpadającym przez półokrągłe okienko nad drzwiami blasku przedświt. Gazowy kandelabr – kłębowisko żelaznych rur i pajęczyn – wisiał pod niebezpiecznie splekaną rozetą na suficie. Szerokie i niegdyś wspaniałe schody wiły się po lewej stronie. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że lokal 4A nie będzie pierwszym napotkanym, lecz Clark dla pewności sprawdził dwa wejścia po prawej. Do

jednych drzwi przypięto zardzewiałą pinezką wizytówkę wróżki oferującej czytanie z tarota i ręki. Drugie nie zdradzały niczego. Dalej, na końcu korytarza, kolejne wejście prowadziło – jak się domyślał – do starej kuchni lub piwnicy. Zamknięte na klucz.

Pierwsze kilka stopni ogłosiło jego obecność rozdygotanymi skrzypnięciami, ale potem szedł już ciszej, dzięki latom doświadczenia we wchodzeniu i wychodzeniu z cudzych domów, z powodów nie zawsze wyłącznie zawodowych. Na piętrze balkon skręcał w jedną stronę, z drugiej otwierał się korytarz. Omszały świetlik w dachu rzucał na wszystko dokoła zielonkawą, podmorską poświatę. Tutaj, na górze, drzwi opatrzone numerami, ich piękny stary mahoń został byle jak pomazany, prawdopodobnie tą samą, niezbyt utalentowaną ręką, która wykonała na zewnątrz napis Blixen Apartments. Przeszedł kawałek i w końcu stanął przed numerem 4A. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym rozejrzał się w obie strony korytarza. Gdzieś zaśmiała się kobieta. Skrzypnął materac. Rozległ się męski okrzyk. Klucz wsunął się do zamka luźno, jakby mechanizm był wyrobiony wskutek długotrwałego używania. w pierwszej chwili stawiał opór, ale już przy następnej próbie obrócił się bez trudu.

Ostrożnie zamykając drzwi, Clark zaczął po omacku szukać światła – co właściwie spodziewał się zobaczyć? Gnijące zwłoki Daniela Lamotte'a? April Lamotte czekającą z gotowym do strzału pistoletem? Kiedy jednak naga żarówka roztoczyła swój cherlawy blask, jego oczom ukazały się jedynie wysoka, pomalowana śmietankową farbą szafa i skotłowana pościel na łóżku, które w istocie nie było wiele więcej niż materacem. Niemal całą pozostałą przestrzeń, w tym podłogę, zajmowały sterty pokrytych maszynowym pismem papierów. Poczemiała umywalka trzymała się ściany na słowo honoru pod równie czarnym lustrem. Przy oknie stało tanie biurko. w powietrzu unosił się kwaśny zaduch.

Przeszedł wśród pustych, porzuconych butelek po bourbonie „Cream of Kentucky” i puszek po zupie pomidorowej „Campbell's”. w pokoju nie było żadnych trupów. Żadnych kałuż krwi. Ani dziur po kulach czy wisielców. Nawet jednej odrąbanej kończyny. Także w szafie znalazł po prostu ubrania.

Zdjął marynarkę, zawiesił ją na oparciu i ciężko opadł na krzesło przy biurku. Na blacie, wśród chybotliwych stosów notesów i niedopałków – same lucky strike' i – stała przENOŚNA maszyna do pisania. Przejrzał kilka z licz-

nych zapisanych stron. Wszystkie wyglądały na wprawki do białej wersji scenariusza „Obudź się i śnij”.

Raz jeszcze rozejrzył się dokoła, próbując przywołać zawodową część swojego umysłu do porządku i ocenić pomieszczenie jak należy. Pewne było tylko to, że mieszkał tu pisarz. Sam oceniłby lokatora jako przeżywającego trudny okres splukanego kawalera, ale może Daniel Lamotte starał się o ten efekt z rozmysłem, by zachęcić swą muzę do zejścia z tego piedestału, na którym sam ją umieścił w Erewhon. Pokój był tak zagracony i brudny, że nie dało się stwierdzić, czy odwiedzał go ktokolwiek przed Clarkiem, a jeśli tak, to nie istniała najmniejsza nawet szansa, by zauważył, co zabrano.

Na wałku maszyny nie było papieru. Sięgnął po czystą, bladoniebieską kartkę ze stosu wznoszącego się w lewym narożniku biurka i wkręcił ją. Nacisnął „n”. Rozejrzył się za dyngsem, który sprawiał, że małe litery stawały się wielkimi. Po chaosie dzisiejszej nocy wydało mu się to przyjemnie schludne – sposób, w jaki połyskujące trzewia maszyny uniosły się ku górze – a stukot czcionek przyniósł mu dziwne ukojenie i natchnął pewnością. Dźwięk wypełniał pokój znacznie bardziej skutecznie niż obecność samego Clarka.

n Naz ywamsi ę dDani eel Lamo

Przestał pisać. Mroczne kąty pomieszczenia, gdy się rozejrzył, jakby się cofały i kurczyły, falowały. Podniósł nawet rękę do twarzy, by sprawdzić, czy nie ma na nosie okularów, ale nie. Doleciał go cichy syk. Pokręcił głową. Gaz? Nie, po prostu zmęczenie. Albo przeciąg. Lub duch z czasów świetności tego budynku – wąsaty patriarcha znamienitego rodu, który przeniósł się tu ze wschodniego wybrzeża, wraz z projektami, jakie zamierzał w tym nowym mieście zrealizować... i damy ze swymi parasolkami i wizytówkami... i tykające zegary, szepczące pokojówki, i wszyscy ci ludzie, jacy musieli tu umrzeć lub przyjść na świat... Clark poczuł wokół siebie chłodne tchnienie nagromadzonych przez lata wspomnień...

Wyciągnął kartkę z maszyny i zmiął ją w kulkę, po czym rozejrzył się, by odrzucić papier gestem znanym wszystkim sfrustrowanym pisarzom świata. Nie znalazł kosza. Blisko biurka jednak zauważył leżący na innych papierzyśkach, ciemniejszy kształt. Zwykła kalka, lecz gdy wziął ją do ręki, okazała się wciąż śliska i tłusta. Najwyraźniej arkusz wykorzystano tylko raz; wśród świeżego, czarnego tuszu nadal było znać kontury poszczególnych liter.

Podniósł kalkę do zaplamego lustra nad umywalką i mocno wyteżył wzrok.

Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis tThrasis
Thrasiss Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis.

Thrasis Tthrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis yThrasis Thrasis Thrasis Thra

Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis THrasis Thrasis
Thrasis
sis aaa aa Thrasis

Thrasis

t THRASIS

Thrasis

Thrasis

Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis
Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis Thrasis.

Ogarnęło go jeszcze silniejsze niż przedtem wrażenie kołysania, rozmycia rzeczy. Nie, tym razem były to prawdziwe mdłości. Wypuścił kalkę z dłoni i odkręcił kran. Odległe rury poskarżyły się i zawyły. Ledwo ciepła woda buchnęła strumieniem. Ochlapał twarz i napił się. Zdjął i odrzucił krawat i koszulę, po czym sięgnął po płatek wyschniętego mydła i umył się.

Bolało go całe ciało. Miał podrażnione gardło. Lewy łokieć pulsował. Na szczęście, jednak żył. Przynajmniej nie zdechł w tym pieprzonym samochodzie. Osuszył się wiszącym na umywalce zapleśniałym ręcznikiem i ponownie przejrzał w zapaskudzonym lustrze. Zobaczył jedynie niewyraźne, rozmażane plamy. Spróbował przeczyścić szkło ręcznikiem, ale tylko pogorszył sprawę.

Widział kształt twarzy, który uparcie nie chciał znieruchomieć. Skaczące

ruchy odbicia skojarzyły się Clarkowi z oglądaniem starego filmu, którego taśma zapętleła się w projektorze. Nie, bardziej przypominało to ruchome obrazki, jakie rysował na rogach szkolnych zeszytów, kiedy twarz na każdej kartce miała nieco inny wyraz. i wciąż słyszał ten syczący pomruk.

Zamrugnął i, by uspokoić wzrok, odwrócił się od lustra. Gdy spojrzął ponownie, z ulgą stwierdził, że rozmyte oblicza uspokoiły się i zestaliły w coś przypominające jego twarz. Trwało to jednak ledwie chwilę. Oblicze kołyszące się przed Clarkiem miało podobne do jego własnych oczy, usta i uszy. Podobne, lecz nie takie same. Nos był szerszy, a policzki i żuchwę porastała niechlujnie przystrzyżona broda. Gdy sięgnął do podbródka, dłoń w lustrze uczyniła to samo. Palce dotknęły gęstych, sztywnych włosów.

Nie wiedział, czy krzyknął. Syk jednak przybrał na sile. a w tle rozległo się coś przypominającego echo jęków. Pojawiło się też straszliwe wrażenie bólu. a potem, jakby powietrze uszło z balonu, jakby zatrasnęły się drzwi, jakby wichur umilkł po burzy, wszystko nagle zniknęło.

Clark uchwycił się krawędzi umywalki. w pokrytym smugami brudu szkle widniała jego normalna twarz. Owszem, wyglądał na zmęczonego i chorego, ale to wszystko. Był przekonany, że przed chwilą było tu z nim coś innego, lecz z równą pewnością wiedział, że teraz już odeszło. Za otwieranym pionowo oknem nadciągał kolejny piękny kalifornijski świt. Opadł z powrotem na krzesło przy biurku i ukrył twarz w dłoniach.



SZESNAŚCIE

Czyjś stłumiony głos. Pukanie.

Drgnął. Pod oknem widniała brudna plama żółtego światła.

Pukanie się powtórzyło.

– Panie Lamotte...

Panie La... i wtedy sobie przypomniał. Wraz z pamięcią powróciło drapanie w gardle, a z nim cała powódź niemal niewiarygodnych wydarzeń wczorajszego dnia. Jęknął i dźwignął głowę z zagraconego biurka. Długopisy i papiery posypały się na podłogę. Obity łokieć strzyknął ostrym bólem.

– Tak?! – zawołał, nim zdążył stwierdzić, że lepiej byłoby siedzieć cicho.

– Przepraszam, że przeszkadzam...

Spojrzał na wciąż tkwiący na nadgarstku zegarek marki Longines. Już wpół do dziewiątej. Był w pokoju tego gościa i zapewne się zdrzemnął – nie, zasnął. Wstał chwiejnym ruchem z krzesła i przeszedł po zasłanej papierami podłozę, zawahał się, wrócił do marynarki, w której znalazł okulary, i włożył je. Niepewnym krokiem dotarł do drzwi i nieznacznie je uchylił. Przez szparę zobaczył kobietę, młodą i dość atrakcyjną.

– Usłyszałam w nocy, że pan wrócił – powiedziała młoda i dość atrakcyjna kobieta. Mówiła przyjaznym tonem, aczkolwiek przyglądała mu się raczej dziwnie. – Pomyślałam, że jak zwykle będzie pan rano pracować. Dlatego stwierdziłam, że przeszkodzę panu muzie teraz. Lepiej niż potem. Jestem więc trochę jak ten gość z Porlock.

– z Porlock?

– No wie pan. Coleridge? „Kubilaj chan”?

– Ach tak, jasne. – Pamiętał wiersz z książki, którą kiedyś czytała mu Jenny. Otworzył drzwi nieco szerzej.

Kobieta – w jego oczach niemal dziewczyna, aczkolwiek uznał, że musiała już przekroczyć dwudziestkę – była średniego wzrostu. Miała na sobie męskie ciuchy i włosy strzygła w ten męski sposób, który w swych teatralnych czasach kojarzył zwykle z lesbijkami. Brązowe spodnie, półbuty na niskim obcasie, bez skarpet, pasiasta niebieska koszula z dłuższymi tyłem i przodem. Nie używała makijażu.

– Wiesz, kim jestem?

– D. Lamotte. Lokal 4A. D oznacza Daniela. Miał pan brodę i w ogóle wyglądał pan jak Walt Whitman. Bez zarostu chyba lepiej. – Uniosła trzymany w dłoni plik korespondencji. – To do pana.

Odebrał koperty i wcisnął je pod pachę.

– Dzięki...hmm...

– Nie pamięta pan, jak się nazywam?

– Przepraszam.

– Cóż, nie można powiedzieć, byśmy się często widywali. Barbara Eshel, spod 3A. To pokój obok. – Podała mu rękę przez szparę w drzwiach. w odróżnieniu od większości kobiet w tym mieście, nie lakierowała paznokci.

Zawstydził się, czując na sobie uważne spojrzenie dziewczyny. Ubranie w nieładzie i poplamione. Pod oczyma na pewno miał ciemne półksiężyce. i musiał też wciąż cuchnąć wymiocinami i spalinami.

– Ja... Przez jakiś czas mnie nie było.

– Teraz rozumiem, dlaczego ostatnio było tu tak cicho...

Zauważył, że kiedy Barbara zerknęła do środka, zmarszczyła nos.

– No właśnie. To w zasadzie całe wytłumaczenie.

– Ale tylko w zasadzie, prawda?

– Rozgryzła mnie pani.

– Chodzi mi o to – ciągnęła dziewczyna – że jest pan słynnym scenarzystą. „w tył zwrot” należał do moich ulubionych emotyków, kiedy byłam jeszcze mała. Powinien być pan stanowczo bardziej znany niż teraz. Zasługuje pan.

– Ach, tak? Dzięki.

– No i „Magia przeszłości”. To zdaje się też pańskie?

Nie miał pojęcia. Burknął coś wymijająco i lekko przymknął drzwi.

– A! Jeszcze „Królowa dziewica”.

– Tak, o tym pamiętają chyba wszyscy.

– Chociaż założę się, że raczej nie o autorze scenariusza?

– w życiu nie wszystko jest kolorowe.

– Wiem, w końcu sama jestem pisarką. a przynajmniej osobą, która produkuje słowa... Przez te wszystkie ostatnie miesiące słyszałam pana maszynę. Mieszkanie po sąsiedzku z panem stanowiło dla mnie rodzaj towarzystwa, więzi. Był pan kimś w rodzaju przyjaznego ducha. a potem, w zeszłym tygodniu, nagle zapadła cisza. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. – No, ale teraz dostał pan już swoją pocztę.

– Jeszcze raz dziękuję – odpowiedział Barbarze z uśmiechem, zamknął drzwi, po czym przez chwilę nasłuchiwał odgłosu jej kroków. Zastanowił się, o co mógł tę dziewczynę zapytać. Może jednak lepiej, że tego nie robił. w końcu nie wędrował nawet po krainach oznaczonych białą plamą. Zabrnął już daleko poza kraniec mapy.

* * *

Listy były tylko dwa i prawie nic poza nimi. Notka z firmy wodociągowej informująca o wizycie inkasenta, chociaż Clark był dotąd przekonany, że tego typu koszty opłacane są z czynszu. Kilka ulotek reklamujących dziwne kościoły, sposoby na błyskawiczne wzbogacenie się i wizytówki łowców talentów. Zwykłe śmieci, jakie można znaleźć na każdej wycieracze w Los Angeles. Sięgnął po ogryziony ołówek i otworzył nim pierwszą kopertę.

SZPITAL METROPOLITAN

21 czerwca 1940

Szanowny Panie Lamot,

dyrektorzy i członkowie zarządu upoważnili mnie, bym p odziękował Panu za list w sprawie umożliwienia odwiedzin u jednego z naszych pacjentów.

Pańska prośba została ponownie w pełni rozważona, lecz niestety, wciąż jesteśmy zmuszeni udzielić odpowiedzi odmownej. Zdajemy sobie co prawda sprawę, że osoba pana H owarda Hughesa wciąż budzi zainteresowanie opinii publicznej, lecz umożliwienie mu kontaktu z e światem zewnętrznym pozostaje wbrew in teresom jego, jak i naszego szpitala, ze względów zarówno medycznych, jak i humanitarnych.

Mam nadzieję, że uzna Pan tę informację za wyczerpującą.
z poważaniem, etc

J. Kilbracken

J. Kilbracken

Dyrektor Kliniczny

Clark postukał końcówką ołówka w zęby i ponownie odczytał list. Swego czasu Met gościł w swych progach kilka znanych osobistości, ale obecnie ich najsłynniejszym pacjentem musiał być właśnie Hughes. Fakt, że Daniel Lamotte próbował się z nim skontaktować – mimo szaleństwa producenta – wydawał się sensowny. Scenarzysta chciał zapewne wypełnić luki w tekście „Obudź się i śnij”. Clark pomyślał jeszcze chwilę, po czym złożył papier, wsunął go z powrotem do koperty i odłożył na bok.

Druga koperta była cięższa i bardziej śmietankowa. Tego rodzaju papeteria kojarzyła mu się głównie ze znanymi kancelariami prawniczymi. Próbując ją rozerwać, niemal złamał ołówek. List został schludnie napisany na maszynie, a nagłówek FUNDACJI BECHMEIRA tworzyły grube, wypukłe, elegancko czerwone litery. Adres nadawcy wskazywał Willowbrook – dawną szkołę – służącą obecnie za siedzibę fundacji i muzeum.

MUZEUM BECHMEIRA

WILLOWBROOK

20 czerwca 1940

Szanowny Panie Lamotte,

NINIEJSZE PISMO NIE MOŻE STANOWIĆ MATERIAŁU PROCESOWEGO

Dziękuję za Pański list z dnia 16 b/m, który trafił do moich rąk jako Dyrektora Zarządzającego.

Jak Pan wie, nasz Fundator od kilku już lat nie działa na niwie publicznej. Jednakże po raz kolejny odnotowujemy Pańskie zainteresowanie projektem dotyczącym jego życia i nie wyrażamy wobec owego zamiaru żadnego zasadniczego sprzeciwu.

Kopię tego listu przesyłamy naszemu prawnikowi, na adres podany poniżej, i sugerujemy, by skontaktował się z nim Pan lub Pańska wytwórnia, celem ustalenia dogodnego terminu spotkania. Ponadto przypominamy, że będziemy wdzięczni za każdy stosowny datek na jedno z licznych dzieł dobroczynnych naszej fundacji.

Złączam wyrazy szacunku
z upoważnienia

P. Losovic

dr P Losovic (panna)

Nie była to co prawda gorąca zachęta, w dodatku na list nie odpowiedziała

bezpośrednio panna dyrektor, ale fundacja przynajmniej zebrała po prostu o pieniądze i nie groziła procesem. Clark znał się na prawie cywilnym na tyle dobrze, by wiedzieć, że ani Bechmeir ani jego fundacja nie mogli powstrzymać produkcji biografii, o ile nie zawierałaby zniesławiających treści, których nie sugerował ani jeden akapit scenariusza. Niemniej, poparcie fundacji – uzyskane dzięki pieniądзом lub bez nich – byłoby dla filmu niezmiernie korzystne. Clark wyobraził sobie Larsa Bechmeira, zmartwychwstałego w blasku reflektorów, z jego dobrotliwym uśmiechem, nieodłączną fajką i laską, sunącego po czerwonym dywanie w noc premiery „Obudź się i śnij”. Lepszej reklamy nie można było sobie wymarzyć.

Przeszukał kilka szuflad biurka i w prawej górnej znalazł wymiętą paczkę lucky strike'ów, wraz z reklamowymi zapalnikami z nadrukiem „Edna's Eats”, która to nazwa wydała mu się dziwnie znajoma. Zapalając papierosa, zauważył, że trzęsie mu się ręka. w drugiej od góry szufladzie po prawej stronie odkrył plik papierów i przejrzał je, zaciągając się dymem. Rachunek z korporacji „RTS Taxi” opiewający na dwanaście dolarów sześćdziesiąt centów – sumę ogromną jak na podróż taksówką – z dnia 20 czerwca, czyli z zeszłego czwartku. Normalnie nikt nie przechowywał tego rodzaju dokumentów, ani nawet o nie nie prosił, aczkolwiek to akurat nie wydało się Clarkowi dziwne. w końcu sam również pracował jako wolny strzelec i doskonale wiedział jak wyglądają rozliczenia z urzędem podatkowym. Natknął się też na inny rachunek, z jakiegoś studia montażowego przy Pacific Boulevard, o nazwie „Feel-o-Reel” – osiemdziesiąt dolarów, z 27 marca. Poważna kasa. Przypomniawszy sobie zjawę, którą oglądał w Erewhon. Clark nie mógł nie poczuć dla scenarzysty podziwu – facet zamierzał odliczyć sobie od podatku własną żonę. Następnie znalazł pomiętą zieloną kartę wstępu do czytelnicy w Bibliotece Publicznej Los Angeles. Tego także można się było spodziewać u każdego szanującego się pisarza.

Resztę stanowiły wyłącznie listy. w większości datowane od maja do początku czerwca, były odpowiedziami na prośby o wywiady bądź informacje. Okazały się mniej więcej równie przydatne, jak oba, które dopiero co przeczytał. „z żalem” to i „niestety” tamto. Okazało się, że nie tylko aktorzy musieli sobie często radzić z poczuciem odręczenia.

Świeżą korespondencję odłożył na stos starej, po czym zajrzał do kolejnych szuflad. Nic poza zwykłymi biurkowymi śmieciami i drobiazgami –

gumki recepturki, spinacze do papieru, temperówki, kawałki sznurka, puste i wyschnięte już kałamarze. Ostatnia szuflada – dolna po lewej stronie – okazała się zamknięta albo zaklinowana. Po chwili zmagania ustąpiła i w środku stuknęło coś twardego i ciężkiego. Krótkolufowy colt, kaliber .38

Wyjął rewolwer, sprawdził bezpiecznik i otworzył bębenek naładowany pięcioma pociskami. Powąchał lufę; pachniała świeżym metalem. Obok w szufladzie czekała paczka amunicji, również wyglądająca na nieotwieraną. Ten model colta był bardzo popularny – dzięki skróconej lufie bez trudu mieścił się w kaburze pod pachą lub nawet w kieszeni płaszcza. Do czego jednak broń potrzebował ktoś taki jak Daniel Lamotte, scenarzysta?

Odłożył rewolwer na blat i lekko zadrżał; jego wstręt do pistoletów graniczył niemal z fobią. Po co ten facet kupił sobie spluwę, i to, sądząc po wyglądzie, zupełnie niedawno? Czyżby w ramach przygotowań i zbierania materiału do scenariusza? Bardziej prawdopodobne było jednak, że zrobił to w obawie o własne życie. Wczoraj Clark zdecydowanie odrzucił myśl, by April Lamotte była zdolna uśmiercić męża, ale to było, zanim jeszcze przekonał się, do czego była zdolna w ogóle.

Cała ta dziwna sprawa przypominała mu chwile, gdy jako dziecko próbował złożyć układankę. Jenny przyniosła ją z kiermaszu dobroczynnego – sami raczej niewiele mogli sprzedać lub kupić – niemniej, uwielbiał te stare puzzle przedstawiające stany USA, a elementy układanki przechowywał w jeszcze starszym pudełku po herbatnikach. Oczywiście, wtedy nie było jeszcze Nowego Meksyku, stanu Arizona, Kolorado i Arkansas gdzieś się zawieruszyły, a Alabama, Missisipi oraz Teksas straciły swoje barwne drukowane etykiety.

Złożenie układanki w pasującą do siebie całość okazało się zadaniem tak frustrującym, że mały Billy Gable czuł pokusę przyniesienia z warsztatu ojca piły i przycięcia najbardziej zatwardziałych stanów. w końcu jednak wraz z Jenny doszli do tego, że w zestawie znalazło się z jakiegoś powodu kilka klocków z innego kompletu. Teraz, siedząc przy biurku Daniela Lamotte'a, poczuł identyczną, obezwładniającą wręcz potrzebę złożenia bałaganu niedawnych wypadków w jedną, w miarę sensowną całość.

April Lamotte. Sposób, w jaki go przebrała, poinstruowała – przekupiła i wykarmiła, a potem jeszcze niemal uwiodła, z najzimniejszą z możliwych krwią. i wszystkie te drobne szczególiki. Detale, które nadal co chwila wybu-

chały mu w głowie z siłą bomby. To, jak wspomniała – och, jakże przelotnie i tylko przy okazji – w kancelarii, że mąż przechodzi właśnie ciężki okres. a potem łączy w „Chateau Bansar” – one również pasowały do planu. Jeżeli oczywiście planem było stworzenie wizerunku faceta umęczonego problemami własnymi i małżeńskimi, osoby, dla której nawet podpisanie nowego, lukratywnego kontraktu mogło się okazać wystarczającym powodem do zagazowania się na punkcie widokowym na Mulholland Drive w drogim francuskim samochodzie.

Zmierzyć się z tą dziwką. Innego wyjścia nie ma. i nie tylko sobie jest to winien. Jest to winien również Danielowi Lamotte'owi.

SIEDEMNAŚCIE

Te ciuchy naprawdę cuchnęły. Raz jeszcze zajrzał do szafy. Oba wiszące w środku garnitury z jasnego lnu wyglądały na niemal tak samo wygniecione jak ten, w którym przyszedł. Podobnie jak koszule. Ale przynajmniej były wyprane. Rozebrał się do bokserek, ściągnął skarpety. Wtedy zauważył, że w szafie czekają też świeże majtki, zdjął więc i bieliznę.

Zsunął z nosa okulary i umył je w rozchybotanej umywalce, ryzykując przy tym spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, które teraz było już tylko zwykłą brudną taflą posrebrzonego szkła – utrzymaną na ścianie przez zardzewiałe śruby, wkręcone w trzy z czterech rogów – która ukazywała twarz przypominającą jego własną. Przez moment rozglądał się za brzytwą, po czym przypomniał sobie o niechlujnej brodzie Daniela Lamotte'a.

Klucze, portfel i dokumenty przełożył ze starego garnituru do nowego, ray-bany zawiesił na kieszeni na piersi. Schował również resztę lucky strike'ów i zapalki. Przez długą chwilę przyglądał się coltowi. Wreszcie ponownie sprawdził bezpiecznik, i wrzucił broń do zewnętrznej kieszeni marynarki.

* * *

Idąc korytarzem starego budynku, usłyszał dochodzący z któregoś z pokoiów stukot maszyny do pisania. Pomyślał o tej dziewczynie, o Barbarze Eshel spod 3A i jej opowiadce o przyjaznym duchu. Na progu spojrzął na zegarek marki Longines. Kilka minut po dziesiątej. Wsunął rękę do kieszeni, by wyjąć okulary w szylkretowej oprawie, ale okazało się, że ma je już na nosie.

Nie można było uczciwie powiedzieć, że Blixden Avenue przebudziła się do życia, lecz nie była też już zupełnie wymarła. Stary, zaprzężony do wózka z lodami koń jadł owies z worka na pysku. Jakiś facet nurkował pod maską rdzewiejącego na ceglach samochodu. Kilku wyrostków kopało metalową puszkę. Wyglądali na równie dzikich i bezdomnych jak koty, które Clark widział zeszłej nocy.

Mniej więcej w połowie długości ulicy, w cieniu przerośniętych wierzb, stała budka telefoniczna. Podeszedł do niej i otworzył oporne drzwi. Wewnątrz śmierdziało tak, że zostawił je otwarte. Cud nad cudami, aktualna książka telefoniczna wciąż wisiała na łańcuchu. Dźwignął ją i przerzucił kartki, zatrzymując się na G. Bez większego zaskoczenia stwierdził, że firma o nazwie „Gladmont Securities” nie występuje w spisie.

w poszukiwaniu drobnych pogrzebał w kieszeniach, sięgnął po słuchawkę, wrzucił monetę do szczeliny, poprosił o przełączenie do centrali w Venice i podał numer telefonu Doge’s Apartments. Odczekał kilka sygnałów. i kilka kolejnych. Wyobraził sobie Glory krzywiącą się z niezadowolenia w kanciapie. w końcu, po dwudziestu dzwoneczkach, w słuchawce rozległ się krótki trzask. Ktoś odebrał.

– Halo?

– Clark z tej strony.

– a co się stało?

– Chciałem tylko dać znać, że ze mną wszystko w porządku.

– Ja się nie martwię.

– Nikt się tam nie kręcił? Jacyś goście? Wiadomości?

Chwila ciszy dłużyła się niemal tak bardzo jak przed chwilą sygnał.

– No proszę cię, Glory...

– Ta kobieta. Znowu dzwoniła. Mówi, że nie ufa mężowi.

– Podziała numer?

– Chyba tak.

– Masz go?

– Ja tu nie jestem sekretarką.

– Glory...

Odeszła i zanim raczyła powrócić, musiał wrzucić do automatu kilka kolejnych monet. Wyrwał kartkę z książki telefonicznej, zanotował numer, wcisnął papier do kieszeni i obiecał, że tak, oczywiście, na pewno zadzwoni.

– i nic poza tym? Nikt nie zaglądał? Nie wypytywał?

– Jedynym pytaniem, jakie ostatnio słyszę, to dlaczego ja to wszystko dla ciebie robię.

Podziękował Glory i odwiesił słuchawkę. Gdy wyszedł z powrotem na ulicę, w przedni błotnik delahaye'a trafiła puszką. Odbiła się z brzękiem

– Hej! – krzyknął. – Co wy, do diabła, wyprawiacie?

Dzieciaki obrzuciły go milczącymi spojrzeciami. Po chwili jeden z nich – nie najwyższy, lecz w oczywisty sposób przywódca grupy – ruszył ku Clarkowi swobodnym, nonszalanckim krokiem człowieka, który normalnie nie przeszedłby na drugą stronę ulicy dla nikogo i niczego, lecz dzisiejszego ranka był gotów uczynić rzadki wyjątek. Wyrostek zmrużył oczy i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Miał na sobie krótkie spodenki i szary sweter, z którego dziur wyzierały jeszcze bardziej szare, gołe żebra. Na nogach miał tenisówki z klapiącymi podeszwami, bez skarpet. Mierzył sobie mniej więcej metr siedemdziesiąt. Clark uznał, że chłopak musi mieć około dwunastu lat.

– Wiesz, to drogi wózek.

Dzieciak – z takim samym wysiłkiem, z jakim przed momentem pokonał ulicę – wzruszył nieznacznie ramionami.

– Szkoda trochę, że to okno panu wywalili. Teraz wystarczy, że ktoś naszcza do środka i ta droga tapicerka idzie na śmietnik.

– Wiesz kim jestem? – spytał Clark.

– Skoro musisz o to pytać, gościu, to masz ze sobą poważny problem. – Chłopak mówił szybko i niewyraźnie. – Wiem tylko, że wyszedłeś właśnie z tej farmy termitów. – Wskazał dłonią budynek. – Mój stary mówi, że tam mieszkają same cioty i pedały.

– Nazywasz się jakoś, mały?

– a ty?

Clark wahał się tylko przez moment.

– Daniel Lamotte. Do niedawna nosiłem brodę. Może już mnie widziałeś w okolicy...?

– Znaczący, jesteś tym kolesiem, który wychodzi późnymi wieczorami w brudnym, śmietankowym gajerku, a potem wraca z baterią butelek? Kilka dni już go nie widziałem... Poza tym, coś nie wyglądasz podobnie.

Clark postukał się palcem w szczękę.

– Jak mówiłem, to przez brodę. a ty nie powinieneś być teraz w szkole?

– a ty w pracy?

Musiał się uśmiechnąć.

– Znasz już moje nazwisko, mały, a ja nadal nie poznałem twojego.

– Po co miałbym ci się przedstawiać?

– a dlaczego nie?

Wyrostek się zastanowił. Jego kumple wciąż śledzili rozwój sytuacji.

– Roger Preston – rzucił w końcu, przeciągając samogłoski. – Jeśli następnym razem będziesz mieć jakieś pytania, wiesz do kogo się zwrócić. – Mówił, posługując się kiepsko naśladowanym niemieckim akcentem, jaki Clark znał z radiowych reklam najnowszych emotyków.

– Znaczący, jesteśmy umówieni. Trzymaj, Roger... – Sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięć centów. – Może to pomoże naszej znajomości?

– Na pewno nie zaszkodzi. – Chłopak schował monetę jednym płynnym ruchem.

– Ach, ostatnia sprawa...

– Wał pan.

– Mówisz, że od paru dni mnie tutaj nie było. Kojarzysz, kiedy dokładnie zniknąłem?

– Już mówiłem, skoro sam nie wiesz...

– Okej, okej. Ale czy zauważyłeś wtedy może coś nietypowego?

Roger wsunął palec przez dziurę w swetrze i podrapał się po brzuchu.

– Znaczący, w jakim sensie nietypowego?

– No nie wiem. Samochody, ludzie. Może karetka? Radiowozy? Cokolwiek.

– Ach, łapię. Byłeś tak nagrzany, że film ci się urwał? Jak zwykle mojemu staremu?

– Cóż, może i tak.

– Niczego dziwnego nie widziałem. Normalnie było. Nawaliłeś się pan w tej swojej pedałami, a potem zniknąłeś.

– Rozumiem, dzięki, Roger. Do zobaczenia.

– Podejrzewam, że wątpię.

Clark otworzył drzwiczki delahaye'a i odpalił silnik. Dzieciaki stały i gapiły się na samochód. Kiedy wycofał ze ślepego zaułka i ruszył ulicą, przyglądał mu się nawet stary koń przy wózku lodziarza.

OSIEMNAŚCIE

i znowu błękit nieba. Gdy wiatr odegnał smog ku połyskującej kresce Pacyfiku, w mieście nastął kolejny pogodny i rzeński poranek. Wszystkie załomy dachów i lśniące dekle samochodów wyglądały tak niebywale ostro i wyraziście, że przypominało to jakiś efekt specjalny z wysokobudżetowego emotyku. Nie wydawały się jednak prawdziwe.

Clark przypomniał sobie syk świecącego radia i głos Wallisa Beekinsa. Mimo że wciąż piekło go w gardle, łokieć pulsował bólem, na wykładzinie delahaye'a nadal pobłyskiwały okruchy szkła, a cała kabina cuchnęła spaloną benzyną, wszystko, co wydarzyło się wczoraj, wydawało się czymś z jakiejś dawno minionej epoki. a zwłaszcza jego prawie ostatnie chwile na parkingu.

Ludzie często popełniają samobójstwa, szczególnie – jak sądził – w tym mieście. Wystarczyło podjechać w jakieś miejsce z ładnym widokiem, wsadzić sobie przez okno szlauch ze spalinami i tak po prostu pozwolić unieść się czerni. Stanowczo lepiej w ten sposób niż pistoletem; bardziej nowocześnie i znacznie mniej krwawo. Kobiety z kolei nadal przeważnie wybierały prochy i wódę. Ewentualnie wonną, gorącą kąpiel i kilka głębokich cięć żyletką. Można też było założyć sobie na szyję pętlę i skoczyć z mostu, dokładnie tak, jak to zrobiła Betty Bechmeir.

Pojechał przez Sunset, mijając Bamsdall Park i coś, co budowano teraz na wypalonej działce, na której stał dawniej Chiński Teatr Graumana – zapewne kolejne sklepy. Wszędzie dokoła tętniło życie. Piękne kobiety. Tramwaje, samochody, zaprzężone w konie wózki i autobusy i zamiatacze ulic, stoiska z

kawą, wszystko w ruchu, skąpane w promieniach słońca. Niemniej, kiedy teren się podniósł, a Clark dotarł dalej na północ – w ten pogodny dzień bez smogu – i kiedy całe miasto rozpostarło się już pod nim, Los Angeles zaczęło przypominać skomplikowaną szachownicę, a okoliczne góry stały się bóstwami o fioletowych głowach, pochylonymi w namyśle, rozważającymi, w jaką grę za chwilę zagrać z tymi krzątającymi się w dole maleńkimi stworzeniami.

Gdy jechał przez Stone Canyon, w lusterku nie pojawił się ani jeden inny pojazd, lecz pomny tego, co zobaczył zeszłej nocy, nie zamierzał zajeżdżać do Woodsville główną drogą. Zamiast tego zrobił to, co powinien był zrobić już za pierwszym razem – o drugim nie wspominając. Zbliżając się do celu, zwolnił, i po chwili zauważył szeroki, lecz niepozorny leśny trakt, prowadzący w bok i pod górę. Tego rodzaju osiedla zawsze miały drugi podjazd, dla handlowców i śmieciarzy. Clark przejechał kawałek wzdłuż wysokiej siatki, zjechał na pobocze i zatrzymał delahaye'a w krzakach. Czekał. Słońce zdążyło się już rozgrzać. Opadający kurz dygotał na szybach samochodu. Ściskając ukryty w kieszeni rewolwer, Clark wysiadł, zamknął drzwiczki i wszedł przez otwartą bramę na teren Woodsville.

Nie ujrzał nic, czego by się z góry nie spodziewał. Żywopłoty, kopce skoszonej trawy, pętle kabli telefonicznych i zasilających. Po chwili ujrzał zgarbionego typka, idącego z taczka przez wysadzaną wawrzynami aleję. Clark prawie nie musiał przyśpieszać, by się z nim zrównać. Kiedy go dogonił, stwierdził, że to ten sam facet, którego widział przy pierwszej wizycie w Erewhon. Również taczka była zapewne ta sama. Sposób, w jaki się poruszał, cała jego aura, były bardzo charakterystyczne.

– Witam.

Mężczyzna, choć tak naprawdę niewiele starszy niż przerośnięty chłopiec, zatrzymał się, odstawił taczkę i odwrócił. Miał owalną twarz, obwisłą dolną wargę i przyciętą jakby do krawędzi gamka fryzurę, noszoną zwykle przez osoby obdarzone tym, co Jenny nazywała „błogosławieństwem nieskomplikowanego umysłu”.

– Właśnie wjechałem od tyłu. Szukam rezydencji o nazwie Erewhon – dodał Clark.

– a kto pan jesteś? – Gamnek nie wydawał się w zasadzie wrogo nastawiony. z drugiej strony, ciężko było stwierdzić.

– Ja, hmm, mieszkam tam. Daniel Lamotte. Może mnie znasz? Albo April Lamotte?

Dolna warga wysunęła się jeszcze dalej.

– Znaczą się, panią Lamotte z Erewhon?

– Właśnie. To moja małżonka. Znasz ją?

– Czasami robię dla niej to i owo – wymamrotał. Pogrzebał sobie w uchu, po czym przyjrzał się koniuszkowi palca.

– To ty pilnujesz, żeby w Woodsville było ładnie i czysto, prawda?

Skinięcie głową.

– Przepraszam, nie wiem jak ci na imię?

– Evan.

– No więc, Evan, jestem mężem pani Lamotte. Pewnie nie widywałeś mnie tutaj zbyt często...?

Evan odpowiedział milczącym spojrzeniem, sugerującym, że najchętniej poprowadziłby już dalej swoją taczkę.

– Powiem ci coś, Evan. – Clark wskazał palcem między żywopłoty. – Erewhon jest tam, prawda? Pójdę za tobą.

Po chwili dotarli do wewnętrznego skrzyżowania, na którym spotykały się wszystkie czarne ścieżki pozwalające służbie obsługiwać osiedle. Stały tutaj kosze na śmieci, kosiarki, szopy z narzędziami, stara półciągarówka. Gniły sterty kompostu. Słychać było leniwe pobrząkiwanie much.

– Słuchaj, Evan, widziałeś może ostatnio moją żonę?

– Jak mówię. Czasami robię dla niej różne rzeczy.

– w ogrodzie? w Erewhon? Ale zazwyczaj pracują dla niej inni ogrodnicy, prawda?

Chłopak wzruszył ramionami.

– a co na przykład robisz?

– Dwa dni temu paliliśmy ognisko. Pomagałem jej spalić różne rzeczy.

– A... To znaczy, że ona też miała coś do spalenia?

– Takie tam, papiery. – Kolejne wzruszenie ramion. – Zapytała, czy nie mam czegoś, co chcę spalić razem z nią. a ja zawsze mam co palić...

– Papiery. Jasne. Czy, hmm... Jak myślisz, jest ktoś teraz w Erewhon? Pani Lamotte albo ktokolwiek?

– Raczej nie. Ostatnio było tam cicho. No i widziałem, jak wyjeżdżał jej samochód.

- To znaczy...
- Czerwony cadillac. Jakąś godzinę temu.
- Ona prowadziła? Była sama?

Evan przytaknął skinieniem. Rzucił tęsknym spojrzeniem ku czekającej stercie gnoju, a potem powiódł wzrokiem ku taczce. Oczy zaczynały mu się szklić.

– No dobra. Dzięki, Evan. Bardzo mi pomogłeś. Którą z tych drózek dojdę do Erewhon? Przepraszam, ale rzadko tu zaglądam...

– O, tą tutaj... – Evan obrzucił Clarka spojrzeniem wyraźnie mówiącym „jakiś głupi”. – Kawałek dalej będzie strzałka z nazwą.

Clark już miał się odwrócić, lecz zmienił zdanie

– Wiesz, Evan, mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Nie wiesz przypadkiem, kto zajmuje się ochroną Woodsville? w końcu, skoro tu pracujesz, musisz ich znać...?

– To pewnie pan Hugens.

– a jak on wygląda?

– Pan Hugens? Och, on jest... – Evan wydał policzki i zatoczył rękoma szeroko wokół pasa.

– Jasne, nasz potężny pan Hugens. Oczywiście. a nikogo innego w okolicy nie widziałeś? Faceta w czarnym sedanie mercury, ze znakiem firmy „Gladmont Securities”?

– Poza panem widziałem ostatnio tylko montera telefonów...

– Jasne, fachowiec od telefonów... – i znowu Clark miał odejść, ale gdy zmrużył oczy w ciepłych promieniach słońca, zauważył, że nad placykiem krzyżuje się wiele linii telefonicznych. Zbiegały się na ostatnim, grubszym od pozostałych słupie i jedną wiązką znikwały w betonowej budce, mniej rustykalnej od pozostałych. – To znaczy, że coś było nie tak z telefonami i ktoś to musiał reperować?

Evan pokiwał głową. Na jego twarzy malowało się już tylko głębokie znużenie.

– Majstrował przy kablach tam na górze? Na drabinie?

– ...Nie.

– Załatwił problem tutaj? w tej centralce?

– Pewnie tak.

– a jak ten monter wyglądał? Szczupły? Przystojny? Wysoki?

Evan nieznacznie przytaknął.

Jeszcze jeden nowoczesny akcent w ach-jakże-nowoczesnym Woodsville: nowa, automatyczna centrala telefoniczna. Wystarczyło wziąć do ręki słuchawkę, wykręcić numer i szast-prast, uzyskiwało się połączenie, bez konieczności rozmowy z drugim człowiekiem. Clark spróbował zajrzeć przez okienko ze zbrojonego szkła. Na ciężkich drzwiach wisiała tabliczka z logo Ma Bell^[5] i zakazem wstępu osobom nieupoważnionym oraz skobel z maszyną kłódką. Gdy lekko ją pociągnął, poczuł zadziwiający brak oporu. Szarpnął trochę mocniej i kłódką po prostu została mu w rękach. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Evan zajął się wbijaniem taczki w parujący kompost. Clark otworzył drzwi i wśliznął się do centrali.

Pomieszczenie było wąskie, mroczne, wypełnione pomrukami elektryczności. Nagła seria szczęknięć sprawiła, iż sięgnął do kieszeni po pistolet. To jednak tylko przekazniki – właśnie po to stał tutaj ten domek. Clark nie znał się co prawda na elektryczności, nie licząc wnętrzości samochodów, ale kilka miesięcy temu rozmawiał z pewnym akwizytorem, który próbował mu wmówić, jak powinien pracować nowoczesny detektyw: należało zapomnieć o brudnej pościeli w tanich hotelikach, o rachunkach za kolacje i zdjęciach – nowoczesnemu detektywowi wystarczył telefoniczny podsłuch. FBI korzystało z tej metody od lat – Clark niejasno kojarzył, że właśnie w ten sposób dopadli Ala Capone – teraz jednak, w sporej części dzięki gwałtownie rosnącej populacji emotyków, odpowiednia technologia nagrywania stała się dostępna dla każdego chętnego, o ile tylko ów chętny nie przejmował się za nadto kwestiami prawnymi i był w stanie wykosztować się na zaliczkę w wysokości piętnastu dolców oraz dwanaście comiesięcznych rat po dziesięć.

Ponownie rozległ się grzechot i centrala zrealizowała kolejne połączenie. Zauważył, że grupy przełączników zostały opisane nazwami rezydencji. Przeciągnął palcem po zakurzonych obudowach, aż znalazł przyklejoną karteczkę z odręcznym napisem „Erewhon”. Przyjrzał się uważniej temu konkretnemu zbiorowi pokrytych szarą emalią elektrycznych podzespołów. Potem obejrzał sąsiednie. Nie było wątpliwości. Jedyne śrubki w automatyce centrali Erewhon pobłyskiwały w miejscach, gdzie metal został niedawno zadrapany śrubokrętem.

Zatrzasnął z powrotem ciężkie drzwi i nim zamknął skobel, przyjrzał się popsutej kłódce. Wewnętrzna, okrągła część zamka została starannie usunięta

Szklane dachy Erewhon zamigotały ku niemu sponad rozkołysanych wierzchołków drzew. Otworzył skrzypiącą bramkę i wszedł tylnym wejściem do ogrodu. Nie oddalając się zbyt od granic posiadłości, obszedł ją z wolna dokoła. Na terenie tego rodzaju willi można by się spodziewać jakiejś aktywności, nawet pod nieobecność pani domu. Czyściciele basenów, ogrodnicy, pokojówki, masażyści, florystki, złote rączki – całe te legiony mamie opłacanych pracowników, którzy umożliwiali funkcjonowanie podobnych rezydencji nawet w tych nowych, zautomatyzowanych czasach, kiedy samochody zapalały ludziom papierosy, a telefony same łączyły rozmowy. w Erewhon wszystko jednak wydawało się puste. Za oknami nic się nie poruszało. Kiedy stanął z boku budynku, zauważył, że na podjeździe nie ma ani jednego wozu.

i wtedy pochwycił nieomylny zapach. Uważając na trujący bluszcz, przecisnął się przez niedawno naruszone gęstsze zarośla i dotarł do szerokiego, oczyszczonego z krzewów i trawy kręgu spalonej ziemi. Miejsce wyglądało trochę jak po lądowaniu jednego z tych latających spodków, które ostatnio ludzie zaczęli widywać. Clark wziął do ręki zwęglony na końcu patyk i pogrzebał w pozostałościach ogniska. Kilka delikatnych płatków czegoś, co mogło być kartkami, przywarło do gleby, lecz zniszczył je padający deszcz. Obszedł popioły dokoła i już miał zrezygnować, kiedy zauważył mgnienie czegoś niebieskiego. Roztrzącił kijkiem zeschniętą trawę i podniósł wciąż spięty spinaczem róg pliku niebieskich papierów. Na ocalałej lewej krawędzi każdej z kartek widniały wypisane na maszynie słowa:

Obudź się...

Clark wrzucił znalezisko do zewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie skulił się i przemknął szybko między krzewami w stronę Erewhon. Dom lśnił. Okna były zamknięte, we wszystkich pokojach, do których zaglądał, panowały mrok i bezruch. Dopiero teraz przybrał swobodną postawę człowieka mającego wszelkie prawo tu być i ruszył ku wysypanemu żwirem podjazdowi. Tym razem, gdy wszedł na stopnie, drzwi się nie rozsunęły, lecz błyszczący srebrny klucz z jego breloczka wszedł w inkrustowany czarnym marmurem zamek gładko i bez trudu.



5 Ma Bell – dosł. Mamuśka Bell – pieszczotliwe określenie konglomeratu korporacji pod przewodnictwem American Bell Telephone Company, w latach 1877 do 1984 posiadającego monopol na usługi telekomunikacyjne w USA i Kanadzie.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Absolutna cisza. Najłżejszego tchnienia, żadnego ruchu. Kręte schody, pozornie podtrzymywane tylko przez cienie. Posadzki o połysku tak intensywnym, że chodzenie po nich przypominało sunięcie po tafli jeziora. Clark włożył dłoń do kieszeni i pomacał żebrowaną, drewnianą kolbę colta. Wszystkie drzwi na korytarzu, poprzednio otwarte na ogród, teraz były zamknięte. Przy takiej ilości szyb, w dzień tak ciepły, powietrze wewnątrz niemiłosiernie się nagrzało. w całej willi panował kwaśny zapach stęchlizny; wielkie bukiety, które podczas ostatniej wizyty wywarły na nim tak ogromne wrażenie, teraz już więdyły. Woda z wazonów wyparowała, pozostawiając po sobie gęsty osad.

Nie działała również emotyczna zjawa. Został zwykły, pusty postument z wystającymi z tyłu drutami i przełącznikiem na boku, który wcześniej Clark przeoczył, aczkolwiek teraz nawet przez moment nie pomyślał, by urządzenie uruchamiać. w przestronnym salonie, gdzie przyjęła go April Lamotte, z jego nagrodami i dekoracjami, snuł się identyczny zaduch jak na korytarzu, z tą różnicą, że było tu chłodniej. Wchodząc do Erewhon, Clark czegoś się spodziewał – nie miał pojęcia czego. z pewnością jednak czegoś. Tymczasem, gdziekolwiek się zwrócił, widział jedynie odbicia, iluzje, cienie.

* * *

Willi była niemal przytłaczająco pusta. a jednak wszystko było schludne. Akuratne. w taki sposób schludne i akuratne, pomyślał, jak wówczas, gdy ktoś próbuje gwałtownie wyszorować swe życie, aż pozostaje z niego tylko

powierzchnowy połysk.

Zajrzał do pozostałych pomieszczeń na parterze i niżej, do kuchni i pokoi służby – równie puste jak wszystkie inne: materace nagie, w szafach pozostało ledwie kilka wieszaków. Sprawdzał zawartość wielkich lodówek i zamrażarek: w nich również prawie nic. Wąchał odpływy umywalk i pozostawione na barku drinki. Szukał za ramami obrazów i zerkał do spluczek w toaletach. Nic, zero, null...

a potem gabinet, pokoik mały i stanowczo zbyt uporządkowany, by mógł w nim kiedykolwiek pracować człowiek w typie Daniela Lamotte'a. Biurko puste, nie licząc nowego, czarnego bakelitowego telefonu, noża do papierów i kilku symetrycznie rozłożonych piór. w szufladach jedynie przybory do pisania. Wyciągnął je wszystkie, po czym dla pewności obmacał wewnątrz i od spodu, ale i tym razem niczego nie znalazł. Drewniana szafka na dokumenty okazała się otwarta. Dwie głębokie szuflady kryły w sobie zbyt wiele rachunków i faktur, by mógł przejrzeć je dokładnie, aczkolwiek i tak był przekonany, że wszystko, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie, zostało spopielone w ognisku. Tylko co właściwie? i gdzie się podziała April Lamotte?

Uważnie przejrzał wyciągi z kont bankowych, wyłącznie niedawne i zapisane sumami, do jakich oglądania nie był przyzwyczajony. Sporych rozmiarów uznania i niedawne obciążenia. Od wiosny licząc, dziesiątki tysięcy dolarów. Czyżby kolejne dowody na to, że ktoś szykował się do dalekiej drogi? Po raz drugi przetrząsnął dolną szufladkę, w której, wydawało mu się, widział jakieś prawne dokumenty, i natknął się na pożyczki, hipoteki, umowy. Przypomniał sobie April Lamotte, stojącą w dziwnym półmroku tamtego pokoju – „nie owijajmy w bawełnę, panie Gable, Dan i ja potrzebujemy pieniędzy...”. Nie do końca taki obraz sytuacji wyłaniał się dzisiejszego dnia. Jasne było za to to, że kobieta skorzystała ze znacznej wartości Erewhon, by otrzymać świeży zastrzyk kapitału, a potem zrobiła coś, co wymagało przelania znacznej ilości gotówki.

Szantaż? Czyżby o to chodziło? a może ukrywała pieniądze przed oficjalnym ogłoszeniem bankructwa? Pozostawienie dokumentów, z których tak wiele dawało się wyczytać, mogłoby się wydawać dziwne, ale Clark zauważył, że wszystko, co znalazł, było i tak łatwe do sprawdzenia lub po prostu dostępne w publicznych archiwach, podczas gdy ewentualny brak tych papierów wzbudziłby wyłącznie dodatkowe podejrzenia. Brakowało za to reszty

elementów układanki. Bez względu na to, jaki obrazek miał się z niej wyłonić.

Obie szuflady zamknął, nie zabierając z nich ani jednego dokumentu. Miał w końcu klucz i coraz bardziej utwierdzał się przy tym w przekonaniu, że April Lamotte nie zamierzała w najbliższym czasie wracać do Erewhon. Przemysłał to jednak, kucnął i otworzył szafkę, po czym obadał po omacku jej plecki i kąty. Wyczuł coś samymi koniuszkami palców. Wcisnął ramię głębiej i skrzywił się, czując ból stłuczonego łokcia. i chwycił. Wyciągnął.

Oddarty skrawek gazety. Na jednej stronie widniało tylko wydrukowane niebo. Po drugiej znalazł reklamę.

NERO – DETEKTYWI

Pełna licencja stanowa.

Dyskrecja i profesjonalizm

„Udzielamy odpowiedzi – Bez zbędnych pytań”

Huntingdon 1799c

Wiele spraw przed nim ukryła, ale przyznała, że odszukała go, korzystając z usług prywatnego detektywa, i agencja Nero pasowała jak ulał. Problem polegał na tym, że znał prowadzącą ją osobę. Abe Penn siedział co prawda na drabinie brązowej hierarchii o kilka szczebli wyżej – miał prawdziwą licencję, biuro, działający telefon i być może nawet sekretarkę – ale Clark nie był w stanie uwierzyć, że Abe bez ostrzeżenia wystawiłby go komuś takiemu jak April Lamotte. Ludziom parającym się tym fachem faktycznie nie pozostało wiele honoru. Ale jakiś na pewno.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer Penna. Kiedy rozległy się szczęknięcia i brzęczenie wyobraził sobie pracujące w centralce przekładniki. Wreszcie pojawił się sygnał. i kolejny. Po dziesiątym odłożył słuchawkę z powrotem na widełki.

Przyjrzał się jednemu z wiszących na ścianie zdjęć. Błyszcząca fotografia ukazywała w wyrazistych, tandetnych barwach sosnowy domek rodem z katalogu agencji nieruchomości, otoczony drzewami, za którymi majaczyły górskie szczyty. Złote litery głosiły „Larch Lodge, Bark Rise, Sierra Madre”. Nie było to miejsce, w jakim mógłby mieszkać typowy leśny odludek, ale Clark przypomniał sobie, że April wspominała o jakimś siedlisku w górach, dokąd Dan udał się w jednej ze swych nieudanych prób „powrotu”. Zdjął zdjęcie ze ściany, wyjął je z ramek i schował wraz z reklamą agencji Nero do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Na piętrze wszystko było równie puste i sztywne jak na dole. Poza salą bilardową, która wyglądała tak, jakby nigdy nie rozegrano w niej ani jednej partii, i poza kilkoma nieskazitelными sypialniami dla gości, natrafił na salę kinową, z kompletem sprzętu do odtwarzania emotyków. Pomieszczenie – ze skórzanymi, mosiężnymi i drewnianymi meblami – służyło również za bibliotekę, aczkolwiek brakowało tu choćby jednej książki. Ciągające się pod ścianami wysokie, starannie odkurzone regały zostały wypełnione pudełkami z filmami i metalowymi taśmami emotycznymi. Cóż, w końcu, czy współczesny autor musi w ogóle czytać? Clark przez kilka minut oglądał taśmy i odczytywał tytuły z przyklejonych do opakowań karteczek. Niewiele mu jednak powiedziały – przy jego poziomie zainteresowania emotykami było to do przewidzenia. Chociaż, proszę, wreszcie znalazł coś choć trochę odbiegającego od normy. Gdzieś tam pomiędzy pudełkami ziały dziwne szpary. Puste miejsca po usuniętych filmach, które były dla niego równie oczywiste i równie świeże, jak wybite pięścią zęby. Jeden z brakujących tytułów nawet oglądał. Etykieta pod szczeliną głosiła „Królowa dziewica”.

Wyszedł na wyłożony grubym dywanem korytarz i ruszył ku ostatnim podwójnym drzwiom, prowadzącym – jak się okazało – do głównej sypialni rezydencji. Przed zamkniętym wyjściem na niewielki balkonik wisiały granatowe, aksamitne zasłony, teraz na pół zaciągnięte. Białe dywany z owczego runa i niskie, jasne sofy szybowwały wśród swoich odbić w posadzce niczym letnie, puchate chmury. Łóżko miało intarsjowany zagłówek, wzór przedstawiał płomień i ptasie skrzydła. Tutaj przynajmniej natrafił na ślady niedawnej aktywności. z popielniczki na szklanym stoliku przy łóżku wysypywały się pastelowe niedopałki, a na krawędzi materaca znać było niewielkie wgniecenia, jakby ktoś kilkakrotnie energicznie siadał i wstawał. Samo łóżko jednak nie sprawiało wrażenia używanego. Niemniej, uniósł kołdrę i przyjrzał się pościeli. Świeżo wyprana. Nie wykrył też żadnych typowych zapachów czy plam.

Wanna w przyległej do sypialni łazience była tak wielka, że na pierwszy rzut oka można było w niej pływać. Podobnie – bez mała – przedstawiała się toaleta. Na ścianie wisiała szafka z emaliowanej stali. Jej półki były zastawione buteleczkami, strzykawkami i pipetami. Obejrzał etykiety i poczuł znajomy zapach domowej apteczki. Nie był co prawda wybitnym znawcą medycznej łaciny, ale wiedział, czym jest luminal. „Musiałam go pielęgnować.

Uspokajać. Namawiać, by się zebrał w sobie i zaczął ponownie żyć, radzić sobie z rzeczywistością. Oczywiście wiedziałam, gdzie zdobyć konieczne do tego środki...”.

Wrócił do sypialni i zajął do wnękowych szaf. Ubrania Dana zajmowały znacznie mniej miejsca niż stroje jego żony – Clark jednak nigdy nie widział małżeńskiego domu, w którym byłoby inaczej. Spróbował sobie wyobrazić April Lamotte w tym pokoju. Wyobrazić sobie ją z zeszłej nocy, siedzącą na tym łóżku, wpatrzoną w ten telefon, raz po raz wstającą i przechadzającą się niespokojnie, wypalającą te wszystkie papierosy w oczekiwaniu na telefon z policji, z którego dowiedziałyby się, że jej mąż został znaleziony martwy w samochodzie, na punkcie widokowym przy Mulholland Drive. Próbował też wyobrazić ją sobie z innych nocy. Próbował wyobrazić ją sobie z Danielem Lamotte’em.

Wysunął szufladki nocnych szafek. Żadnych gumek, francuskich pocztówek, niemieckich kajdanek czy szwajcarskiej wazeliny. Czy April nie wspominała, że w jej małżeństwie nie ma wiele seksu? a może był to jeszcze jeden podstęp? Schował do kieszeni pełną do połowy paczkę lucky strike’ów, którą znalazł po stronie Dana. U April nie było nic, poza rzeczami, jakie lubią mieć nocą przy sobie wszystkie kobiety. Trochę biżuterii. Przybory higieniczne. Kilka pastylek aspiryny luzem. Tutaj również obmacał plecy szuflady, by mieć pewność, że niczego nie przeoczył. Wyczuł coś papierowego i wyciągnął niewielką, biznesową kopertę. Znaczka nie było, ale ktoś napisał na niej starannie, na maszynie, adres i nazwisko April Lamotte. Przesyłka została już otwarta i wyglądała na pustą. a jednak nie. w każdym razie nie do końca. Gdy Clark poruszył kopertę, coś w środku zaszczało i przesypało się. Rozchylił nieco otwór, tworząc rożek, i przechylił nad złożoną dłońią. Cienka strużka piasku zamigotała i zaszepotała. Otrzeptał rękę, pomyślał o odłożeniu koperty na miejsce, po czym zmienił zdanie i schował ją do kieszeni. Nie dlatego, żeby widział w tym jakiś sens. Tutaj w niczym nie widział większego sensu.

Erewhon był jak ślepy, kończący się ceglany murem zaułek. Najlepiej by zrobił, wracając na Blixden Avenue. Tam zebrałby jak najwięcej dowodów, po czym wyjechał dokądś, gdzie mógłby na jakiś czas przycupnąć i zobażyć, co się stanie. Wtedy, rzecz jasna, mógł się nigdy nie dowiedzieć, na czym polegał plan April Lamotte, ani czy jej mąż żyje czy nie. Tylko czy to

naprawdę było aż tak istotne?

Przyjrzał się szerokiej toaletce. Opakowania drogich kremów i perfum tworzyły na niej miniaturowe miasto ze szkła. Podniósł jedną z buteleczek, zdjął nakrętkę i powąchał. Chanel. „Cuir de Russie”. Obok leżała szminka w ulubionym przez April odcieniu bordo. Miała stępiony czubek. Wysunął ją i wsunął z powrotem. i w tej samej chwili doleciał go odgłos opon szurających na żwirze podjazdu.

Clark wyciągnął z kieszeni pistolet i szybko ukrył się za na pół zaciągniętymi zasłonami. Odchylił rąbek palcem i wyjrzał na zewnątrz. Pod drzwiami Erewhon wtoczył się samochód – zielony Bentley kabriolet. Zatrzymał się tuż przed wejściem. Ze środka wysiadł spory facet. Wziął się pod boki i zmierzył dom spojrzeniem z góry na dół. Miał na sobie to, co w tym mieście uchodziło za elegancki garnitur, lecz gdziekolwiek indziej zostałyby uznane za krzykliwe strój na weekend. Odważna była już sama szkocka krata, ale mimo niezliczonej liczby wchodzących w jej skład barw, jasnomusztardowy krawat nie współgrał z żadną z nich.

Facet podszedł do drzwi rezydencji i zniknął Clarkowi z oczu. Zadrzały elektryczne dzwonki. Pauza. Dzwonki zadrzały ponownie. Po chwili nieznamy ukazał się z powrotem. Raz jeszcze rozejrzał się z dołu do góry i z boku na bok. Był młody, wysoki i dobrze zbudowany, wyglądał tak, jak wyglądają młodzi, zamożni mężczyźni, zanim się roztyją.

– Halo? Jest tu kto?

Popatrzył na trawnik.

– Pani Lamotte? Halo? Panie Lamotte...? – Wyraźnie zdumiony pokręcił głową. Gęste pasma jasnobrązowych włosów, kiedy przecesał je dłonią, zaśliznęły jak jakieś nowoczesne, połyskliwe, sztuczne włókno.

Clark opuścił podtrzymujący zasłonę palec i schował broń do kieszeni. Mógł typkowi pozwolić odejść. Tylko czy nie spędził właśnie całego poranka, próbując się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Postanowił za ryzykować, a wraz z decyzją pojawiła się też dziwna, dość przyjemna ekscytacja. Poprawił na nosie okulary w szylkretowych oprawkach, przekręcił klucz w drzwiach balkonu i wyszedł na zewnątrz.

Nieznamy, słysząc hałas, podniósł głowę i przesłonił oczy dłońmi.

– w czym mogę pomóc? – spytał Clark lżejszym, szybszym tonem.

– Tak, cóż, ja właśnie... – Facet nadal mrużył oczy w słońcu, zadzierał

głowę. – Pan Daniel Lamotte... Naprawdę to pan?

– Na to wygląda.

– Hej. No to wspaniale. Próbowałem się dodzwonić. Rany... – Zarzucił błyszczącymi włosami. – Nie do wiary! To naprawdę pan Daniel Lamotte! To po prostu takie... takie... Jestem pańskim największym fanem. Największym z wielkich. Kiedy rozmawiałem z pana żoną, udało mi się ją prawie na śmierć zanudzić wyznaniem uwielbienia dla pańskich dzieł. Przepraszam. Przepraszam. Pan przecież nie może mieć pojęcia, kim jestem... – Rozłożył szeroko ramiona. – Nazywam się Timmy Townsend i jestem starszym kierownikiem produkcji w Senseranie. Moim zadaniem jest sprawić, by „Obudź się i śnij” pojawiło się w jednym kawałku na ekranie. Ależ fantastyczna robota, co? – Wykonał na podjeździe żwawy piruet, ani na moment nie opuszczając rąk. – Ależ kurewsko fajna robota!

DWADZIEŚCIA

– Dan, Dan, Dan... – Na podjeździe przed domem, Timmy Townsend zmiądzzył dłoń Clarka w mocnym uścisku. w jego klapie pobłyskiwała odznaka Ligi Wolności. – To naprawdę zaszczyt. Zarazem przywilej i honor.

Timmy Townsend aż tryskał radosną pewnością siebie. Oczy mu błyszczały. Jego uśmiech rozbijał chłopięcnością o wiele skuteczniej niż wyszczerzone twarze prawdziwych nastolatków. Mówiąc, często zanosił się chichotem. Zachowywał się tak, jakby połączenie zamożności, wyglądu i uroku – z którymi się niemal na pewno urodził – co chwila przypominało mu o swoim istnieniu.

– Ładne gniazdko tutaj macie. No, ale do rzeczy. Dziś rano zadzwoniła do mnie sekretarka z informacją, że nadszedł podpisany kontrakt. a ja mieszkam kawałek dalej w dolinie i miałem pański adres, więc pomyślałem, że nie tracąc czasu, wpadnę się przywitać. Zostałem może April? a pan nie ma jakiegoś mieszkanek w mieście? Miejsca do pracy?

Zanim Clark miał choć szansę zastanowić się nad w miarę wiarygodną odpowiedzią, Timmy Townsend podjął:

– Byłem normalnie poruszony, panie Danielu. a właściwie to mówmy sobie po imieniu. Więc mogę Dan, prawda? Tak, Dan? z jakiegoś powodu wyobrażałem sobie ciebie z brodą. No, w każdym razie byłem poruszony tym ostatnim scenariuszem do głębi. Moja sekretarka, uwielbiam ją po prostu, ta kobieta, to, kurwa, ideał, wiedziała jak bardzo podobał mi się ten film z królową... no, ten... – Wycelował palcem w Clarka jak z pistoletu i uniósł

kciuk.

– „Królowa dziewica”.

– Właśnie! Dzieło absolutnego geniusza. Ten obraz to, bez kitu, jeden z głównych powodów, dla których robię akurat w tym mieście... Padłem na mordę, kiedy zobaczyłem go w sali projekcyjnej w naszym weekendowym domku w Nassau County, gdy byłem jeszcze gnojkiem. Bo wiesz, my, Townsendarze, trzaskaliśmy wcześniej szmal na ropie, ale teraz liczą się emotyki. Muszę ci pokazać obiekt Senseramy, Dan. Naprawdę trzeba, żebyś to zobaczył.

Obiekt? Clark uświadomił sobie, że Timmy Townsend mówi po prostu o siedzibie studia.

– Cóż, pewnie. Byłoby miło. Któregoś dnia, gdy...

– Hej! a czemu właściwie nie teraz? Ja wiem, wiem, wy pisarze zawsze jesteście zarobieni, a przecież nie chcę odrywać cię od pracy, zwłaszcza teraz, odkąd zależy od tego kasa naszego studia, ale hej, Dan... – Timmy zachichotał, rozpostarł ramiona i obrócił się, obejmując gestem nie tylko Erewhon z przyległościami, lecz również Woodsville i całą, rozmigotaną w pięknym świetle poranka nieckę miasta – ...dlaczego nie, cholera?

* * *

Clark obiecał, że pojedzie za Timmym Townsendem delahaye'em. Wcisnął mu historyjkę o wybitej przez chuliganów szybie i o tym, że zaparkował od tyłu po to, by April nie zobaczyła szkody.

Stwierdził w duchu, że zaczyna ten wóz wyczuwać. Zamykając dach, nacisnął od razu właściwy guzik, dogonił zielonego bentleya nad zbiornikiem rencyjnym i pojechał za nim serpentynami do miasta. Podobało mu się, jak samochód daje się prowadzić. Podobało mu się, że – kiedy już włączyli się w gęsty ruch – inne pojazdy ustępowały mu z drogi, a przechodniom opadały szczęki. Drzwiczki od strony kierowcy grzechotały i brzęczały przy otwieraniu, ale kiedy były zamknięte, ledwie było można dostrzec nierówną obwódkę stłuczonej szyby.

Teraz, kiedy jechali szerokimi alejami Hancock Park, łatwo byłoby po prostu skręcić w boczną uliczkę i zgubić Timmyego Townsendarza. Clark jednak trzymał się go przez cały czas. Ekscytacja – którą poczuł już wczoraj, przed biurem kancelarii „York and Bunce”, a jeszcze bardziej intensywnie, kiedy wyszedł dziś rano na balkonik w Erewhon – wciąż go nie opuszczała. Poza

tym, co mam do stracenia? – ta myśl powróciła do niego, gdy zerknął we wsteczne lustro i zobaczył pomiędzy budynkami wielki, odwrócony napis HOLLYWOODLAND.

Siedziba studia Senserama rozłożyła się na skraju Baldwin Hills. Nieopodal znajdowały się pozostałości kompleksu MGM, ale zostały już przeznaczone na sprzedaż albo czekały na przebudowę. Reszta tej części miasta wypełniła się nowymi osiedlami, klubami golfowymi i towarzyskimi oraz otoczonymi zieloną trawą posiadłościami. Wysoka siatka przed studiem stała w cieniu gigantycznego billboardu reklamującego ich ostatnią produkcję, biblijną epopeję zatytułowaną „Tron wieczności”, ze standardowo skąpo odzianą Monumentą Loolie w roli głównej. Obok widniała również wielka tablica, przedstawiająca twarz prezesa Senseramy i równocześnie obecnego gubernatora, Herberta Kisberga. z brązową cerą, niebieskimi oczyma, jasnymi włosami, białymi zębami i zmarszczkami wokół ust wypielęgnowanymi stosowną ilością kosmetyków, sam niezbyt odbiegał od wizerunku typowej gwiazdy kina.

Ochroniarz przy wjeździe podniósł szlaban i, salutując, wpuścił ich na teren. Clark, jadąc za Timmym Townsdenem, wyminął strzałki wskazujące drogę do przypominających hangary hal zdjęciowych i ruszył za drogowskazem z napisem PRODUKCJA. w pewnej chwili musiał zwolnić, by przepuścić pędzone przez jezdnię stado długorogiego bydła. Wreszcie zaparkował przed dwupiętrowym biurowcem, pomiędzy innymi bentleyami, rolls-royce’ami, lincolnami i cadillacami. Delahaye, rozparty wygodnie pomiędzy superszerokimi białymi pasami oznaczonymi napisem TYLKO DLA GOŚCI STUDIA, wyglądał, jakby odnalazł nareszcie swą duchową ojczyznę.

– Piękna maszyna. – Timmy zajrzał do środka. – Ale z tymi drzwiami i szybą to nie żarty, na twoim miejscu zgłosiłbym sprawę na policję. – To powiedziałwszy, wykonał jeden ze swoich piruetów. – No cóż, witamy w kopalni!

* * *

w porównaniu z kobietami, które paradowały korytarzami działów rachunkowości i produkcji, recepcjonistka z „York and Bunce” wyglądała jak skawcowany Lon Chaney. Na ścianach wisiały plakaty dokumentujące rozliczne sukcesy Senseramy. Lada moment, pomyślał Clark, ktoś podejdzie i zapyta, kim naprawdę jestem. Nic podobnego jednak się nie stało. Wciąż czuł się

jak na scenie. Jak we śnie.

Przedstawiano go wiceprezesom i zastępcom kierowników, osobom zarządzającym tym bądź tamtym. Oczywiście, jeśli wierzyć słowom Timmy'ego, wszyscy oni byli w firmie nieodzowni, stanowili „absolutnie żywotną” część zespołu Senseramy. Stary czy młody, kobieta czy mężczyzna, bez wyjątku cechowali się muskularnym uściskiem ręki i równie umięśnionymi uśmiechami.

Biuro Timmy'ego okazało się przestronne i zupełnie pozbawione tradycyjnych elementów wystroju w rodzaju przepelnionych szafek na akta, tudzież regałów, z których sypałyby się nieprzeczytane scenariusze. Poza opartym w kącie kijem golfowym, nic nie sugerowało, czym gospodarz mógł się tutaj całymi dniami zajmować. Znacznie więcej poszlak wskazywało, co pochłaniało go poza Senseramą. Na ścianach wisiały fotki na kredowym papierze. Timmy Townsend przekonująco kowbojski na grzbietach co najmniej kilku drogich koni. Timmy Townsend w lesie, z martwą zwierzyną wielu gatunków u stóp.

– Wiesz, może pokażę ci, gdzie odchodzi prawdziwa robota? – zaproponował Timmy po tym, jak kilka razy, niczym dzieciak, zawirował w swym obrotowym fotelu.

* * *

Dokładnie tak jak Clark pamiętał, droga z jednej części studia do drugiej, była daleka. Dręczeni gorącym słońcem, przemierzali kolejne jezdnie i place. Obok przemknęła trupa dzieci przebranych w kostiumy elfów. Jakaś kobieta w stroju średniowiecznej księżniczki niosła pod pachą żywą gęś.

– Nie jestem w stanie ująć w słowa, jak bardzo uwielbiam twoją pracę, Dan. – Timmy złożył dłoń na ramieniu Clarka. – Na przykład, scena w tym twoim historycznym filmie...No wiesz, ta z gadającą jakby po francusku lalunią, tą, której obcięli łeb...

– Mówisz o Marii, królowej Szkotów?

– No właśnie. Sposób w jaki to ująłeś. Skończenie genialne. Absolutnie, bez dwóch zdań. Oczywiście „Obudź się i śnij” to po prostu film biograficzny, co mi się od początku w sumie spodobało...

Clark, który sam zainteresował się scenariuszem, zaczął się zastanawiać, do czego rozmówca zmierza. Wiedział, że zwykle „spodobanie” oznacza w tej branży reakcję identyczną jak na widok kupy psiego gówna. a co dopiero z

– dodatkiem „w sumie”.

– Wiesz, Dan, ile firm zastanawiało się nad podejściem do historii Larsa Bechmeira? Przede wszystkim jakieś pięć lat temu, nim zabiła mu się żona? Dziesiątki, kurwa! Ale co zrobić, skoro zakończenie wyszło jakieś takie... co? No i, szczerze mówiąc, taka też była moja pierwsza reakcja, kiedy zobaczyłem, o czym jest twój szkic. Pomyślałem sobie „Oho, nowe dzieło geniusza i w ogóle”, w końcu musiało tak być, bo na okładce widniało twoje nazwisko, „ale co będzie na końcu?” i to, co żeś wymyślił, okazało się wspaniałe. Widzę to nawet w kinie w najbardziej zapadłej dziurze w Idaho. – Ścisnął Clarka za ramię.

– Dzięki.

– No i w dodatku napisałeś, że to jakby taka ofiara z jej strony, że ta lalunia robi to dla nas wszystkich – jak, no wiesz, Jezus? Mistrzowskie pociągnięcie. Parę lat temu mówiło się o filmie biograficznym, o Thomasie Edisonie z jakimś nieznanym gołowąsem nazwiskiem Tracy w roli głównej. Ale nie nakręcili nawet minuty, dzięki czemu cały pomysł na film opowiadający o życiu wynalazcy jest wciąż wolny. To dziewicza połać śniegu, Dan. My pierwsi tam nasikamy.

Clark spotykał już wielu ludzi w typie Timmy’ego Townsenda. Mimo całego towarzyszącego produkcji filmom gówna, mimo rozmaitych nieudanych interesów i ręcznych obciążanek na tylnych siedzeniach limuzyn, facet najwyraźniej wciąż wierzył w podtrzymujące całą branżę marzenie równie żarliwie, jak najpośledniejsza, początkująca aktoreczka, która dopiero co wysiadła z pociągu na Union Station bez grosza przy duszy, za to z nową parą majteczek i świeżą fryzurą.

– z Edisonem jest taka różnica, że on nie żyje. Bo chyba nie żyje, co? Poza tym, gdyby żył, podałby nas do sądu. Żywy Bechmeir to zupełnie inna para kaloszy. Niby nie potrzebujemy osobistej zgody faceta, ale wyobraź sobie, jak cudnie by było mieć go na premierze.

– Dziś rano dostałem list z jego fundacji – przyznał Clark. – Twierdzą, że nie widzą zasadniczych przeciwwskazań do projektu. Ale podali kontakt do swojego adwokata.

– Masz ten list przy sobie?

Pokręcił głową.

– Dopilnuj, żeby nasi prawnicy rzucili na to okiem. Chociaż naprawdę nie

sądze, byśmy się mieli czym przejmować. Herbert Kisberg siedzi w zarządzie Fundacji Bechmeira. Nie dałbyś wiary, gdybym ci powiedział, jak my tu, w Senseramie, wszyscy na ten film czekamy. Atmosfera jest taka, jakby już go nakręcili. Wszystko zaczyna się składać...

Nazwanie hali zdjęciowej, ku której właśnie zmierzali, po prostu budynkiem, nie byłoby sprawiedliwe; wewnątrz wielkiego hangaru zmieściłby się „Hindenburg”. Chociaż – co Clark stwierdził, kiedy przeszedł przez wąską szparę między olbrzymimi, suwanymi wrotami konstrukcji – po tym wnętrzu spokojnie mogłoby latać nawet kilka takich sterowców.

Kobiety w strojach z epoki, zakuci w kajdany niewolnicy i członkowie Ku-Klux-Klanu odpoczywali, gawędzili, pocili się, palili i wachlowali się scenariuszami. Grzechotały sztankiety. Pomrukiwały transformatory. Punktowe reflektory zapalały się i gasły. Zafrasowani technicy zbierali się grupkami i toczyli ożywione dyskusje.

Timmy, przekrzykując wszechobecny jazgot, wyjaśnił, że trwają właśnie zdjęcia do nowego filmu. Miał to być dramat rozgrywający się na głębokim Południu, w czasach sprzed wojny secesyjnej. Pośród propozycji tytułu pojawiły się „Białe dachy” lub „Bawełniany dom”. Mimo że „Przeminęło z wiatrem” poniosło spektakularną klępkę, Senserama wciąż uważała, że z tematu konfliktu konfederatów z Jankesami da się wycisnąć trochę pieniędzy.

Clark został przedstawiony reżyserowi, tłustemu, rozkojarzonemu facetowi z rozczochraną brodą, od którego biła silniejsza wersja odoru zmęczonego ciała, jakim była przesiąknięta cała hala zdjęciowa. Reżyser wydał się mu znajomy – miał niemal pewność, że był u niego kiedyś na castingu – niemniej, szansa, że ktokolwiek tu rozpozna scenarzystę-pustelnika, a co dopiero gościa, który ostatnim razem pracował jako aktor w zamierzchłej epoce filmu dźwiękowego, była doprawdy niewielka. Reżyser ogłosił przez megafon początek ostatniego ujęcia przed przerwą na lunch. Clark pamiętał, że oznacza to, że prawie na pewno nakręcą kilka ujęć. Niektóre rzeczy w branży zmieniały się często. Inne nigdy.

* * *

w dwóch trzecich scenariusza „Białych dachów”, tudzież „Bawełnianego domu”, nasza południowa piękność, dzięki pomocy kilku mężnych rycerzy Ku-Klux-Klanu, umykała z niewoli zbuntowanych niewolników. Samotna i bez środków do życia powracała wreszcie do rodzinnego domu. w tej scenie

aktorka – której nazwisko Timmy wyszeptał z należytą czcią – miała przejść chwiejnym krokiem po ścieżce wiodącej do drzwi wzniesionej z tektury i kitu posiadłości. Jej ciężki oddech i emocje były śledzone przez kilka kamer, zawieszony na żurawiu mikrofon oraz rejestrujący emocje ikonoskop.

z twarzą przeobrażoną już w stosownie pobladałą maskę, którą oświetlenie i czarno-biała taśma filmowa miały niebawem uczynić wcieleniem cierpiącego piękna, ubrana w odpowiednio podartą i ubrudzoną balową suknię, aktorka odłożyła egzemplarz magazynu „Harper’s Monthly” i podeszła na oznaczone przyklejonym do podłogi kawałkiem taśmy miejsce. Ekipa techniczna zgłosiła gotowość. Nie licząc głuchego, elektrycznego szumu i cichego warkotu silniczków kamer, na planie zapadła całkowita cisza. Reżyser zawołał „akcja”.

Sam moment pracy nad ujęciem – faktyczny proces kręcenia aktorki wlokącej się po sztucznej ścieżce ku sztucznym schodom, na których szczytce osuwała się na sztuczne frontowe drzwi – jak zwykle okazał się rozczarowujący. Scena miała szansę wypaść wspaniale, ale wymagała przebitok ukazujących drzwi i łyż lśniące na policzkach bohaterki, wymagała też dodania narastającej stopniowo muzyki w tle i prawdopodobnie ponownego nagrania wstępnich i jęków, nie wspominając o podrasowaniu ścieżki emotywnej. Dopiero potem można było mieć nadzieję, że szanująca się widownia da się porwać.

Clark stał za operatorem ikonoskopu, ale kiedy zaczęto ujęcie, cofnął się o parę kroków. Zanim jeszcze urządzenie zostało rozkręcone na pełną moc, poczuł w dołku znajome mrowienie. Nigdy nie przepadał za tymi maszynami. Rejestratory pola Bechmeira były urządzeniami delikatnymi i skomplikowanymi; montowanymi na specjalnych wózkach ustrojstwami z miedzi i stali, w których przedniej części widniały wyłupiaste ślepie z pokrytego srebrem szkła, wpatrujące się niewidomym spojrzeniem w nagrywaną scenę. Pod ich powłoką znajdowały się miotacze elektronów, zwoje elektromagnesów oraz przetworniki przekazujące aurę płataniną kabli do potężnej nagrywarki taśmowej marki Uher, oraz rzucające na lampę katodową nikłe odzwierciedlenie rejestrowanego materiału na użytek operatora. Tak czy inaczej, urządzenia te stanowiły w zasadzie szczyt technologicznych możliwości gatunku ludzkiego. Clark jednak zawsze w ich pobliżu czuł specyficzne dreszcze, podobne wrażeniu, jakiego doznaje się, gdy ktoś przejedzie gwoździem po stalowej

płyce. Tutaj, na planie, przypomniwały o sobie ze zdwojoną siłą. Szczególnie niepokojący wydał mu się ów niewyraźny zielony obraz wyświetlający się na monitorze operatora. Na jego ekranie, w rytm ruchów aktorki, poruszał się – drgał i migotał – niemal ludzki kształt, płomień oglądany przez mleczną szybę.

Wreszcie rozległ się kończący ujęcie okrzyk. Urządzenia zostały wyłączone, gwiazda powróciła do swojego czasopisma, a reżyser wdał się w dyskusję z technikami. Następnie, aczkolwiek wciąż niezadowolony – jak wszyscy filmowcy, jakich Clark poznał – poprosił o kopię, co oznaczało, że studio zainwestuje teraz kilkaset dolarów, wymaganych do przetworzenia klisz i taśm w zsynchronizowany, nadający się do obejrzenia fragment filmu. w takich chwilach – widząc cały ten drogi sprzęt, świetnych fachowców, którzy brali pieniądze za to, by przez większość czasu stać beczynnymi i czekać – zwykłe, skrajne marnotrawstwo – można było zrozumieć, gdzie podziewają się wykładane na produkcję emotyków fortuny.

* * *

– Dymka? – Townsend wyciągnął złotą papierośnicę. Wraz z kilkoma przebranymi za Eskimosów, rozgadany miksykańskimi statystami stali przy obwoźnym barku.

Clark pokręcił głową.

– Mam swoje. – Stuknięciem wysunął z paczki lucky strike’a.

– To naprawdę coś pięknego, no nie?

– Tak. – Czuł się niemal zrelaksowany. Wypili przed chwilą kawę i zjedli bułki z bekonem. Dobrze też było wyjść z powrotem w ciszę i chłód otwartej przestrzeni.

– Nie chcę się wtrącać, ale coś nietego mi wyglądasz, Danny.

– Późno się położyłem.

– Oblewałś na mieście podpisanie kontraktu? Znaczą, świętowaliście z żoną?

– a żebyś wiedział, że tak.

– Koniecznie muszę się spotkać z wami obojgiem. Jutro wieczorem jest wielka biba u Herberta Kisberga. Musicie wpaść. Zdecydowanie. a tak przy okazji – dodał, ścierając z policzka plamkę tłuszczu chusteczką pasującą kolorem do musztardowego krawata – to, co napisałeś w liście kilka tygodni temu...

List?

– Tak?

– No wiesz, wspominałeś, że przyślesz mi kolejną wersję scenariusza „Obudź się i śnij”, z zupełnie nowym ujęciem tematu.

– Tak właśnie napisałem?

– w zasadzie tak. Słowo w słowo.

– Mam pytanie, Timmy, nie chcę się po prostu pogubić. Jakiego koloru była wersja, którą dostałeś?

Timmy Townsend przez chwilę głęboko się zastanawiał. Widać było, że nie jest do tej czynności przyzwyczajony.

– Wydaje mi się, że biała. Tak, na pewno biała.

– i nigdy nie miałeś w rękach niebieskiej kopii, którą miałem ci wysłać?

– Nie. Zdecydowanie nie. a z rozkoszą rzuciłbym okiem na inne ujęcie sprawy. Bo wiesz, i tak musimy wprowadzić kilka przeróbek... – Timmy Townsend pokiwał palcem. – Chociaż ja was znam, pisarze. Nigdy nie jesteście z siebie zadowoleni. a wierz mi, Dan, to, co już masz, to i tak jest, kurwa, dynamit. Jeśli teraz zaczniesz przepisywać jak wariat, możesz wszystko spieprzyć.

* * *

Zaprowadzono go przez zakurzone placyki do działu postprodukcji. To tutaj ścieżkę dźwiękową, emocjonalną i obraz składano w ostateczną, zwartą iluzję.

w jednym z pomieszczeń zamknięta w dźwiękoszczelnej budce kobieta śpiewała operowym głosem. Ktoś inny się śmiał. Akustycy za szklanymi ekranami gmerali przy pokrętłach, i podawali taśmy do rejestratorów. Piętro wyżej widok był w zasadzie identyczny, przynajmniej pozornie. Technicy od zapisywania emocji dumali nad lampami katodowymi, konsultowali się z tabelami przedstawiającymi zakresy częstotliwości ludzkich uczuć. Clark po raz kolejny poczuł na skórze ciarki. Tutaj, wciąż jeszcze pod postacią mglistego odzwierciedlenia sygnału na lśniącej szybie, można było zobaczyć aurę Bet Doonsday. Nieco dalej wyświetlano emocje Slowly Simpson. Clarkowi kojarzyły się z roztrzepotanymi zielonymi motylami, które uciekły z niezbyt przyjemnego snu. Prawdziwe gwiazdy roztaczały oczywiście aurę mocną i spójną – to niemal namacalne poczucie obecności, jakiego doznaje się, gdy niektórzy ludzie wchodzią do pomieszczenia – aczkolwiek było w branży ta-

jemnicą poliszynela, przyznał Timmy, że czołowi aktorzy otrzymywali nieco technicznego wsparcia podczas nagrywania, podobnie jak wsparciem były do-
tąd wypchane staniki, podwyższone obcasy i dodawane na ścieżce dźwięko-
wej echo. Ostatnimi czasy coraz częściej korzystano też z usług specjalistów
od wywoływania szczególnie wyrazistych doznań szczęścia lub grozy, dzięki
którym najlepsze emotyki stawały się naprawdę rzeczywiste.

Clarkowi pokazano również miejsce, gdzie montowano te dodatkowe
ścieżki. Tutaj, w eliminującej zewnętrzne zakłócenia klatce Faradaya, zanosi-
ła się śmiechem kobieta, jak nikt inny emanująca radością. Co z tego, że jej
twarz przypominała maskę autobusu? a obok, brodaty facet, którego dzieciń-
stwo wypełniało bicie w domowej piwnicy, wrzeszczał przed przesłoniętym
bielmem okiem ikonoskopu tak przejmująco, że miało się wrażenie, że zaraz
pękną mu wargi. To była prosta emocja, uczucie w stanie czystym, świetnie
nadające się do sprzedaży, obowiązkowy dodatek do każdego wymagającego
podkreślenia emotyku. Wiele z tych nagrań – tłumaczył Timmy – zostanie
sprzedanych innym wytwórciom. Albo, co zdarzało się coraz częściej, przed-
stawicielom innych profesji. Popyt rósł tak szybko, że studio z trudem nadą-
żało.

– My i Motorola rozmawiamy już z Searsem. Pomyśl, jak by się to
sprawdziło w delikatesach, nie mówiąc już o sklepie z bielizną, co? – Tim-
my porozumiewawczo trącił Clarka łokciem w żebra. – Pomyśłów na zasto-
sowanie ścieżki emotycznej w handlu jest bez liku. Mamy już nieco zapisów
emocji z restauracji Howarda Johnsona. To działa trochę jak zapach świeżo
pieczonego chleba w piekarni, tylko sto razy lepiej... Ale nie mogę cię stąd
wypuścić, póki nie posmakujesz gotowego produktu.

Salka projekcyjna emotyków była wyposażona standardowo w pluszowe
fotele i – równie typowo – unosił się w niej, jak we wszystkich kinach, fetor
zastalego dymu tytoniowego. Brakowało jednak głośników, ekranu oraz bud-
ki na projektor z tyłu. Pomiędzy rozsuniętymi czerwonymi zasłonami stała
jedynie szeroka siatka z cienkiego drutu. Pod nieobecność ekranu, który nor-
malnie wisiaby przed nią – i mimo narastającego brzęczenia przetworników
oraz widoku grubych kabli – można było pomyśleć, że generator pola Bech-
meira jest po prostu gigantycznym grillem.

Timmy dał komuś znak, pstrykając palcami. Światła przygasły w trady-
cyjny sposób. Clark wrócił myślami do zjawy tańczącej pomiędzy dwiema

naładowanymi elektrycznie płytami w Erewhon. Tutejsze pole rozpostarło się jednak na całą salę. Jeszcze zanim przedburzowe buczenie wzmogło się na dobre i zanim czarna przestrzeń zaczęła jaśnieć, otarło się o niego coś dziwnego i zimnego. Jeżeli takie doznanie naprawdę istnieje, to – miał niezbitą pewność – poczuł się dokładnie tak, jakby ktoś przeszedł po jego grobie.

Sprzęt był, rzecz jasna, najnowocześniejszy: nowe zawory, wysokie napięcia, maksymalna moc. Gdyby podkręcić generujący pole sygnał bardziej – tłumaczył Timmy, który zasiadł obok Clarka wśród falujących nerwowych emanacji tak jasnych, że wydawało się, że lada chwila sam zacznie świecić – widzowie zaczęliby doznawać mdłości i bólu głowy. Kolejny stopień natężenia skutkowałby oparzeniami, a następny usmażyłby ludziom mózgi. „Królowa dziewica” była względnie starym emotykiem i Clark oglądał ją w kinie starego typu z antycznym sprzętem. Tutaj miał do czynienia z absolutnymi nowinkami.

Do wtóru cichych trzasków powietrze przed nim wypełniło się mglistą zasłoną – rzeczą pozbawioną początkowo jakiegokolwiek barwy, tańczącą i rozkołysaną, jakby targaną niewidzialnym wiatrem. Potem wiatr przybrał na sile – poczuł jego chłód – i zasłona zamigotała barwnymi pasmami, które sięgnęły do czegoś głęboko w jego wnętrzu. Tak właśnie, pomyślał, gdy widmowe krajobrazy plazmy pulsowały i gasły na jego oczach, Bóg musiał wyobrażać sobie wszechświat przed jego stworzeniem. Pod postacią czystego ducha, czystej emanacji duszy.

Clark obserwował kolejno całe spektrum emocji. Od zieleni szczęścia i błękitów zadowolenia, po najciemniejszą czerwień gniewu i czerni żałoby. I nie dotyczyło to jedynie ludzi. W tym innym sposobie istnienia, w tym nowym sposobie oglądania świata, świeciły wszystkie żywe istoty. Drzewa kołysały się liściastymi wodospadami. Zwierzęta lśniły niczym węgle w paleńniku. Ale prawdziwym szczytem stworzenia była migotliwa złożoność aury człowieka. Nie jesteśmy po prostu ćmami czy motylami, uświadomił sobie Clark. Wszyscy jesteśmy aniołami.

Widział latarniany blask dziecka otwierającego w bożonarodzeniowy poranek prezenty. Widział przygasające światełko starej kobiety, której zmarła właśnie ostatnia przyjaciółka. Widział żal matki i skrzące się muchy nienawiści. Widział radość wesołego miasteczka, która gwałtownie przeszła w przepyszne ogniste korony bezwarunkowej miłości. Ale ten festynowy po-

smak jazdy elektrycznymi samochodzikami wciąż pozostał mu na języku, swędziały go włosy, a skóra pod ubraniem wydawała się dziwna i śliska. Kolory pojawiały się i znikaly z sykiem i trzaskiem przypominającym huk dalekich fajerwerków, z kwaśnym, ognistym zapachem i tym wrażeniem w głębi brzucha, jakiego doznaje pasażer pociągu, który, choć wydaje się, że już ruszył, wciąż stoi w miejscu. Zielenie, czerwienie i przebłyski najczystszej biele, tak, lecz również bledsze odcienie codzienności – owa papierowa żółć, sprany róż i błękit dnia powszedniego. Widział, jak te barwy cisną się, wirują dokoła dziwnymi lawinami, i znów pomyślał o Danielu Lamotcie, o facecie, którego życiem zaczął nagle żyć, i zaginionej opowieści, za którą z jakiegoś powodu gnał.

Projekcja wciąż trwała i Timmy nadal płonął entuzjazmem.

– Spójrz na to tutaj, Dan. Nad tym uczuciem biedziliśmy się co niemiara. Nasi inżynierowie pracowali przez kilka miesięcy i cholerstwo wciąż się nam wymykało, zanim wreszcie udało się je zarejestrować jak należy. Wiesz, co to jest? Zgadłbyś? Oczywiście, że tak! To czysty i prosty patriotyzm. Wystarczyło w odpowiednich proporcjach połączyć dumę, nostalgię, doprawić je szczyptą ambicji, a wszystko podlać sporą dawką jawnej wściekłości. Większą, niżbyś się spodziewał. Widzisz to? Czujesz? Nie czujesz mrowienia jaj i dławienia w gardle, takiego jak wtedy, gdy mama obdarzała cię najczulszym uściskiem? Nie zdradzę tu żadnej tajemnicy, stary, jeśli powiem, że Herbert Kisberg za dwa dni ogłosi, że będzie kandydować na prezydenta z ramienia Ligi Wolności. i to nagranie puścimy na wszystkich wiecach. Bez dwóch zdań. Nasi przyjaciele zza oceanu też zaczęli się tym interesować. Wiesz jacy oni są, już w tej chwili. Wojskowe pozdrowienia i mundury. Wyobraź sobie, jak oszaleją tłumy, gdy Adolf czy Benito pojawią się na mównicy i odtworzy się tę ścieżkę. i pomyśl, ile za to będziemy mogli sobie policzyć...!

Wreszcie nadszedł ostatni powiew słonego powietrza – jakby zafalował podziemny ocean – i generator pola zbladł do statycznej szarości. Oszołomiony Clark zamrugał niczym człowiek budzący się z przydługiej drzemki. Timmy wyprowadził go na słońce, ale ten inny świat, który jeszcze przed momentem szybował na jego oczach, nie chciał zniknąć. Czuł aurę uspionych w mieście emocjonalnych kin, podobnie jak czuł smog wzbijający się znad autostrad i znaczący późne popołudnie mgłą. w gardle miał kwaśny, ni-

klowy posmak, a pod paznokciami drapało go, jakby próbował wygrzebać się spod ziemi.

Wokół niego od jakiegoś czasu powstawał nowy świat, a on ledwie to zauważył. Świat, w którym każdy biały Amerykanin mógł kupić najnowszy model cadillaca i opływową lodówkę – świat, w którym wszyscy czarni, brązowi i żółci stali się posłusznymi służącymi. Armie szczęśliwych Aryjczyków wkrótce będą zasiadać w swych domach, relaksując się w aurze buddyjskiego mnicha, lub śmiać się do rozpuku, albo płonąć słusznym gniewem na to, co wypłyje z siebie ich nowy, emotyczny odbiornik radiowy. Zawsze będą z apetytem jeść w samochodowych restauracjach i zawsze będą z pasją kupować nowe rzeczy, Do kościoła pójdą z prawdziwym nabożeństwem, a letnie fale upałów przeczekają w błogosławionym wrażeniu chłodu. Wkrótce będą mogli przez całe życie gzić się jak nastolatki zainfekowane pierwszą miłością, nie czując wcale bólu czy zmartwień, póki nie umrą z uśmiechem na ustach, w otoczeniu wciąż kochającej rodziny...

– Odezwiesz się niedługo, co? – spytał Timmy, gdy dotarli na parking przed działem produkcji i Clark wsiadł do delahaye'a. – Gdzie cię najlepiej łapać? w domu w Woodsville czy... – przez twarz producenta ponownie przemknęła mina, mówiąca „ja was znam, pisarze” – tam na Bunker Hill?

DWADZIEŚCIA JEDEN

Kiedy Clark skręcił w Blixden Avenue i ujrzał w mroku migocącego niebiesko koguta na dachu czarnego sedana, najpierw pomyślał, że odnalazł go ochroniarz z Gladmont Securities. Potem – gdy rozpoznał na drzwiach samochodu symbol policji – że Timmy Townsend zgłosił wybitcie szyby w delahaye’u, sądząc, że wyświadczy scenarzyście przysługę. Trzecią: że jest już za późno by zawrócić.

Umundurowanych funkcjonariuszy było dwóch. Jeden rozmawiał z tym wyrostkiem, Rogerem. Drugi stał na stopniach Blixden Apartments pośród zbiegowiska lokatorów. Stali tam również Barbara Eshel, dwóch chudych mężczyzn i zgarbiona staruszka z cygańską chustą na głowie.

Zatrzymał delahaye’a, wyjął kluczyki ze stacyjki, wysiadł i sprawdził, czy wciąż ma na nosie okulary. Pierwszy gliniarz skończył rozmowę z Rogerem i podszedł. Mimo zamaszystego kroku, na jego twarzy malował się wyraz powagi, mina, jaką Clark rzadko widywał na obliczach stróżów prawa w Los Angeles.

– Pan Daniel Lamotte?

Schowwał kluczyki do kieszeni. Pistolet policjanta wciąż spoczywał w kaburze. Przyglądali się im wszyscy na ulicy.

– Tak, to ja. w czym mogę pomóc?

Gliniarz był pulchny i różowy na twarzy. Wyraźnie było słyhać jego sapanie. Kolega gliniarza, który zszedł ze schodów i stanął przy nich, był młody i dobrze zbudowany. Pary policjantów często wyglądały właśnie w ten spo-

sób, aczkolwiek ci konkretni wydawali się przy tym dziwnie zdenerwowani. Clark miewał już do czynienia z władzą w najrozmaitszych sytuacjach, ale teraz wciąż nie potrafił wyczuć, co się właściwie dzieje.

– Funkcjonariusz Doyle. Mój kolega to funkcjonariusz Reynolds. Musimy zamienić z panem dwa słowa. Ma pan miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

– a nie możemy tego zrobić na ulicy?

Zamiast syknąć na Clarka, żeby sobie nie pogrywał, Doyle po prostu skinął głową. Dał Reynoldsowi znak, by został z tyłu, złożył mięką dłoń na barku Clarka i odprowadził go kawałek dalej po Blixden Avenue. Usiedli na murku obok skrzynki pocztowej. Gliniarz popatrzył na spękany chodnik, pociągnął się za ucho. Wreszcie podniósł wzrok.

– Próbuje się z panem skontaktować już od kilku godzin. Na pewno nazywa się pan Daniel Lamotte, tak? Ten dom na wzgórzach...

– Erehwon? Ponad Stone Canyon? Tutaj tylko czasami pracuję. Jestem scenarzystą...

– Tak – zaszemrały płuca gliniarza. – To już ustaliliśmy. – Oblizął pot z ust. – Chodzi o pańską żonę. Przykro mi, ale tego nie można powiedzieć delikatnie. Rzecz w tym, że znaleziono ciało. Kilku turystów poinformowało nas o czerwonym cadillacu serii 90, zaparkowanym na punkcie widokowym w górach San Bernardino. Wewnątrz zauważyli martwą kobietę. Silnik był na chodzie, a spaliny z rury wydechowej dostawały się do środka przez gumowy wąż. Tablice rejestracyjne i dokumenty wskazują na to, że ofiarą jest April Lamotte.

DWADZIEŚCIA DWA

Funkcjonariusz Reynolds wyprowadził radiowóz z Bunker Hill. Clark siedział z tyłu z Doyle'em. Reynolds – podobnie jak Timmy Townsend – nosił w klapie munduru znaczek Ligi Wolności, ale starszy, grubszy glina nie. Radio ustawili na zwyczajną rozgłośnię – co więcej, na NBC, chociaż na audycję Wallisa Beekinsa było jeszcze ociupinę za wcześnie. Clark słyszał je w tle swych mglistych myśli. Leciała piosenka „Three Little Fishes” Kaya Kysera. Tytułowe rybki podpływały do zapory i spadały z niej dokładnie tak samo jak on w tej chwili. Potem nadano wiadomości – francuski marszałek Petain łąsił się do nazistów. Republikanie na konwencji wyborczej w Filadelfii wybrali jakiegoś nieznanego czarnego konia nazwiskiem Wilkie. Wielką tajemnicą pozostawało, kogo nominuje Liga Wolności – zagadką, na którą – jak sobie Clark uświadomił, spadając jeszcze szybciej – znał już odpowiedź.

Czyżby to właśnie była prawdziwa pułapka, jaką zastawiła na niego April Lamotte – czy chciała zamieszać go we własną śmierć? Tyle że to nie miało sensu. Ciało, które teraz mieli zidentyfikować, równie dobrze mogło należeć do kogoś innego. Właśnie. Może z jakiegoś powodu próbowała go zrobić w morderstwo... Ale to również nie brzmiało specjalnie sensownie. Na szczęście, jechał ze zwykłymi, umundurowanymi policjantami, a nie z tajniakami z wydziału zabójstw. Dostali to zlecenie, ponieważ pracowali akurat w rejonie Stone Canyon i zależało im na złowieniu przyjemnych nadgodzin.

Zapadł już wieczór. Tramwaje na Broadway sypały fontannami iskier. Nad

wszystkim górował budynek ratusza. Jego okna przypominały podświetloną mozaikę, białe plamki kilku mew wciąż szybowwały w słabnących prądach termicznych. Dozorcy i gliniarze dryfowali w wielkim marmurowym holu. Wiele wydziałów miejskiej policji – narkotykowy, zabójstw, polityczny, obyczajówka – miało swe siedziby poza ratuszem i na tutejszych korytarzach panowała atmosfera tłoczego posterunku. w powietrzu czuło się woń biurowego korektora, taniego wina Thunderbird i wymiocin. Policjanci w koszulkach z krótkim rękawem i z kaburami pod pachami przeganiaли do pokoiów przesłuchań i cel dziwki, ćpunów, politycznych dysydentów i transwestytów.

Biuro koronera i kostnica znajdowały się w piwnicy, do której schodziło się po schodach. Tutaj nie było już okien, wyłączono również połowę lamp pod sufitem, przez co część korytarza była naznaczona czarnymi plamami. Gdzieś rozlegał się stukot maszyny do pisania. Uparcie dzwonił ignorowany telefon.

– Tędy proszę...

Kiedy funkcjonariusz Doyle otworzył ostatnie drzwi, powietrze natychmiast ostygło o kilka stopni.

* * *

Nie było jak na filmach. Nie zaprowadzili go do wyłożonej kafelkami sali i nie wyciągnęli zwłok na wysuwanych ze ściany noszach. Zabrali go natomiast do małej salki. Na ścianach wisiały plakaty reklamujące kredyty dla rolników i ostrzegające przez chorobami drzewek pomarańczowych oraz wołkiem zbożowym. Ubrany w fartuch pracownik kostnicy przecisnął się przez zasłonięte gumową płachtą drzwi i wprowadził za sobą nakryte prześcieradłem łóżko na kółkach.

– Okej, panie Lamotte? – Clark poczuł na ramieniu dłoń starszego z policjantów. – Jest pan gotowy?

Skinął głową.

– Odsuniemy prześcieradło tylko na tyle, by zobaczyć pan twarz, zgoda?

Doyle dał znak młodszemu koledze, który z miną mówiącą o tym, że stanowczo wolałby teraz być zupełnie gdzie indziej, okrążył łóżko i – koniuszkami palców – uniósł białą płachtę.

To była April Lamotte. Wargi pod resztkami bordowej szminki przybrały niebieskawy odcień, a zielone oczy były zamknięte i zaczynały się zapadać. Rude włosy zostały zaczesane gładko do tyłu. Niemniej, to była ona. Bił od

niej mięsny zapach, który – wiedział – wkrótce stanie się bardziej wyrazisty, a także nikła woń samochodowych spalin i wymiocin, jakiej nie zdołało usunąć pobieżne obmycie ciała. Przeważającym zapachem wciąż jednak pozostawała woń perfum „Cuir de Russie” od Chanel. To była April Lamotte i jak na martwego człowieka wyglądała zaskakująco pięknie. Nie napuchła od gnilnych gazów. Tylko ten delikatny zapaszek padliny.

Dłoń funkcjonariusza Doyle’a nieco mocniej zacisnęła się na ramieniu Clarka.

– Muszę zapytać, czy poznaje pan tę osobę?

– Tak. To April Lamotte.

Palce ścisnęły ponownie.

– Może chce pan zostać sam na sam z żoną?

– Nie, wszystko w porządku.

Cofnął się o krok. Młody gliniarz szykował się, by z powrotem nakryć zwłoki prześcieradłem, jednakże cała ta scena nadal nie wydawała się rzeczywista. Clark wyciągnął rękę i dotknął przejrzystego ciała na ramieniu April Lamotte. Podświadomie spodziewał się, że przeniknie ją palcami na wylot. Poczul tylko zwykłe, zimne mięso.

DWADZIEŚCIA TRZY

Posadzili go w pomieszczeniu z weneckim lustrem. Spod skrzyżowanych flag, amerykańskiej i Ligi Wolności, uśmiechało się do Clarka to samo zdjęcie Herberta Kisberga, które widział już na billboardzie pod Senseramą. Na ścianie wisiał też plakat przedstawiający kobietę ubraną w kilka skąpych szmatek, zamierzającą się mieczem z wrytym napisem „Prawda i demokracja” na małpę, na której czaszce widniał podpis „Światowy komunizm”. Jakiś utalentowany rysownik przydał małpie negroidalnych rysów i domalował komiksowy dymek ze słowami „Przykro mi, paniusiu, nawet nam, czarnuchom, czasami nie staje”.

Zapalił ostatniego lucky strike’a z paczki. Funkcjonariusz Doyle usiadł po drugiej stronie odrapanego drewnianego biurka. Reynolds zajął miejsce w najdalszym kącie pomieszczenia, z ołówkiem i notesem w ręku. Obaj policjanci także palili. Clarkowi przyszła do głowy dręcząca myśl, że jeżeli kiedykolwiek mogła nastać dobra pora, by przyznać się do tej całej maskarady, to właśnie teraz.

– Widzi pan, panie Lamotte – zaczął Doyle, pochylając się i składając na blacie wałek umundurowanego brzucha – muszę przygotować raport, który przedstawię śledczemu z biura koronera. Zostanie wszczęte dochodzenie. Z przykrością informuję też, że musimy przeprowadzić sekcję. Należy ustalić przyczynę zgonu, chociaż zdaje się, że fakty w zasadzie mówią tu same za siebie.

Clark skinął głową. Usłyszał przy tym skrzyknięcie własnego karku.

– Po pierwsze, informacja nadeszła przez radio z biura strażnika leśnego w Arrowhead, wczoraj około południa. Jak już mówiłem, samochód wraz z ciemną pańską żoną znaleźli turyści. Silnik wciąż był na chodzie, choć pracował już na oparach. Podejrzewamy, że musiała się tam zatrzymać godzinę lub dwie wcześniej. Powiedzmy, około dziesiątej lub dziesiątej trzydzieści. Sprawa trafiła do nas z powodu wstępnej identyfikacji denatki. – Policjant odchrząknął. – Wraz z funkcjonariuszem Reynoldsem pojawiliśmy się na miejscu mniej więcej w tym samym momencie co wóz pomocy drogowej i fotograf od koronera. Chodzi o punkt widokowy nad Running Springs. Sosnowy lasek i tak dalej. Śliczne miejsce. Ma pan może jakikolwiek pomysł, dlaczego żona pojechała akurat tam...?

– Wydaje mi się, że mamy w okolicy domek letniskowy.

– Wydaje się panu? – Doyle rzucił swemu koledze przelotne spojrzenie.

– Nie, przepraszam. Mam. To znaczy...

– Jasne, rozumiem, że to wszystko niełatwe. Spokojnie, nie ma pośpiechu. Nic się nie stało. Ale wracając, tożsamość i adres żony ustaliliśmy natychmiast, ale kiedy po południu pojawiliśmy się w... hmm... domu państwa Lamotte, nie zastaliśmy nikogo poza ogrodnikiem, który zajmuje się terenem całego osiedla.

– Evan.

– Tak. – Gliniarz przerzucił kilka kartek notesu. – Pan Evan Brinton. Dziwny facet, jeśli mogę sobie pozwolić na taką uwagę. Niespecjalnie nam pomógł. a pański dom był zamknięty na cztery spusty. Ani pracowników, ani lokatorów. Spróbowaliśmy u sąsiadów, dodam, że dyskretnie, ale to również niewiele dało. Wreszcie dotarliśmy na Blixden Avenue, dzięki pańskim zeznaniom podatkowym, panie Lamotte. Ach tak, pan Evan Brinton poinformował nas jeszcze, że rozmawialiście dzisiaj rano. Powiedział, że nadszedł pan tylną bramą osiedla, tam, gdzie on zwykle pracuje. Czy to się zgadza?

– April i ja zeszłej nocy byliśmy na mieście. Jestem scenarzystą i my, to znaczy ja, dopiero co podpisałem nowy kontrakt na obiecujący film emotywny. w ramach świętowania wybraliśmy się na kolację. w takiej knajpie nad Silver Lake, nazywa się „Chateau Bansar”.

– Mógłby pan przeliterować?

Clark przeliterował. Policjant zanotował.

– Potem podrzuciłem ją do Erewhon... Mogło być około północy. No, a

potem wróciłem do centrum. Nie wyobrażałem sobie nawet, że...

– Czyli nie spędził pan ubiegłej nocy z żoną?

– Nie.

– z jakiegoś konkretnego powodu?

– w tym mieszkaniu w mieście spędzam wiele czasu. Znacznie łatwiej mi się tam pisze.

– i sypia?

– Owszem. Tak po prostu wygląda nasze małżeństwo.

– Rozumiem. – Stary glina pokiwał głową. – Oczywiście, ja mieszkam razem z panią Doyle i tak dalej, ale to przecież nie moja sprawa.

Clark zamknął oczy i potarł grzbiet nosa. Zobaczył w duchu April Lamotte wychodzącą z „Chateau Bansar”. Ujrzał ją w swych ramionach, szlochającą. Przypomniał sobie świadków – kelnerów i chłopaka odprowadzającego samochód.

– Pokłóciliśmy się w tej restauracji.

Wzruszył ramionami gestem, jaki – miał nadzieję – wyrażał zasadniczą niemożność wytłumaczenia osobom z zewnątrz powodów dowolnej małżeńskiej sprzeczki świata.

– a potem, rano, wrócił pan do Erewhon, żeby z nią porozmawiać?

– Tak.

– i wszedł pan do domu o...?

– Jak mówił Evan. To było dzisiaj rano, około dziesiątej. i jak sam już wspominałem, pokłóciliśmy się poprzedniego wieczoru. Pozostawała też sprawa tego dużego kontraktu. Chciałem się z nią dogadać... – Spróbował przysunąć się bliżej biurka, ale krzesło było przyśrubowane do podłogi. – Skorzystałem z tylnej bramy, ponieważ dzieciaki w centrum wybiły mi poprzedniej nocy szybę w aucie i nie chciałem, by April to zobaczyła. Ale oczywiście nie zastałem jej.

– Zauważył pan rano w domu cokolwiek niezwykłego?

– Nie. Zupełnie nic.

– Czyli, panie Lamotte, gwoli ścisłości, żonę widział pan po raz ostatni, kiedy odwiózł ją zeszłej nocy po kolacji?

– Tak. – Clarkowi drgnął mięsień w kąciuku oka. – Zgadza się.

– i potem już się pan z nią nie kontaktował?

– Nie, i zanim pan zapyta, dzisiaj większość dnia spędziłem w studiach

wytwómi Senserama, na zaproszenie ich dyrektora produkcji, który kupił ode mnie scenariusz. Zajęło mi to od około południa aż do chwili, gdy spotkaliśmy się na Blixden Avenue. Producent nazywa się Timmy Townsend. Może pan u niego wszystko potwierdzić. Mógłby pan też porozmawiać z kobietą nazwiskiem Barbara jakoś tam, która mieszka ze mną po sąsiedzku w centrum. Chyba że już to panowie zrobili? Dziś rano wpadła do mnie podrzucić korespondencję... – Otarł usta. Oburzenie i szok zaczynały się wydawać rzeczywiste nawet jemu. – Proszę posłuchać, na dole w kostnicy leży ciało mojej żony, a pan zadaje mi pytanie za pytaniem. Czemu to ma właściwie służyć?

– Przepraszam, panie Lamotte. – Twarz Doyle’a połyskiwała niczym różowy marmur. – To po prostu zwykła procedura. Człowiek stracił życie i musimy zebrać na jego temat jak najwięcej informacji, i to w jak najkrótszym czasie. I... – Pociągnął się za ucho, po czym rzucił okiem na Reynoldsa, który z wolna skinął głową. – Mam jeszcze inne, mniej zręczne pytanie, panie Lamotte. Czy istniał jakikolwiek powód, dla którego mógł pan myśleć, obawiać się czy podejrzewać, że pańska małżonka może się targnąć na własne życie?

Obrazy April Lamotte. Piękna i rudowłosa, gdy przechadzała się po Erehwon w tym zielonym kostiumie ze spodniami. Jeszcze piękniejsza i bardziej ruda, kiedy podjechała w delahaye’u, żeby go odebrać z Sunset Boulevard. Miał wrażenie, że to wszystko działo się sto lat temu. Jej pocałunki. Zapach perfum „Cuir de Russie”. Smak szminki na jej ustach. Wilgotny nacisk języka. Determinacja i skrupulatność, z jaką próbowała go zabić.

– Nie – odpowiedział po chwili. – April była... Lubiła mieć nad wszystkim kontrolę. Nie jest skłonna przyznawać się do porażek. Chyba że... – Ale co właściwie? Znow ujrzał ją w Erehwon. a potem przed tą ekskluzywną restauracją. Oczy go zapiekły, jakby sypnął w nie kurz. w uszach rozległ mu się szum...

– Rozumiem. – Stary gliniarz po raz kolejny, jakby w oczekiwaniu na sygnał, zerknął na młodszego kolegę. – Czy pani Lamotte lubiła piesze wędrówki? Przyrodę?

– Nieszczęśliwie.

Policjant pokiwał głową.

– Miała na sobie zwykłe buty na niskim obcasie i spodnie. Poza mapą

drogową i kilkoma skrętami z tytoniem, samochód był w zasadzie całkiem pusty. Znaleźliśmy jednak to...

Reynolds podniósł się z miejsca. Podeszedł i położył na stole mały notatnik ze sprężynką. Obrócił go przodem do Clarka. Wrócił na miejsce. Pierwsza strona notesu została zapisana tym samym schludnym charakterem pisma, jaki widział na niektórych dokumentach w gabinecie Erehwon.

Nie mogę po tym wszystkim, co się stało...

Przepraszam. Sądziłam, że dam radę.

Obawiam się, że jestem tchórzem. Przepraszam za wszystko

Gdybym zrobiła to dawno temu, ocaliłoby to wiele

i oto znalazłam się w tym martwym, pustym miejscu.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Policjanci wyprowadzili Clarka na korytarz i wskazali drogę do łazienki. Gdy szukał w kieszeniach odpowiedniej ilości drobnych, by kupić z automatu paczkę lucky strike'ów oraz kubek letniej, smakującej tekturą kawy, który osuszył jednym haustem, poczuł rozkołysany ciężar krótkolufowego colta. Rzucił okiem na zegarek, ale wskazówki trwały w bezruchu; ostatnio nakręcił go ponad dobę temu, daleko stąd, w Venice.

Kiedy pchnął drzwi, uderzyła go silna woń ubikacji. Toaleta wyglądała na intensywnie używaną, za to niesprzątaną co najmniej od paru dni. Albo i tygodni. Zepsute drzwi kabin smętnie wisały na zawiasach. z kilku muszli i biegnącego pod ścianą rynnowego pisuaru wylewało się na podłogę. Posadzka była usłana stertami przezroczystego, mokrego papieru, kostkami zapachowymi, niedopałkami, gazetami i żółtymi jeziorami moczu, na których wznosiły się strzeliste wyspy kup. Mimo że toaleta była męska, zauważył kilka przemoczonych i zakrwawionych strzępów, wyglądających na zużyte podpaski. Znacznie bardziej higienicznie byłoby zapewne odlać się na zewnątrz, Clark wybrał jednak drogę przez kilka mniej mokrych skrawków posadzki i ruszył do kabiny sprawiającej – mylnie, jak się okazało – wrażenie sprawności.

Sikając do niemal przepelnionej muszli, zastanawiał się nad wszystkimi ludźmi, którzy odwiedzali ratusz, i nad sprawami, jakie tutaj załatwiali. Narodziny i zgony. Podatki i zwłoki. Zbrodnie i kary. Pogróżki i pobicia. Nic dziwnego, że łaskoczące poczucie grozy i zwiędzonego rozczarowaniem

oczekiwania zdążyło już wsiąknąć w ściany tego budynku, choć przecież oddano go do użytku tak niedawno. Przy budowie gmachu wykorzystano piach ze wszystkich pięćdziesięciu ośmiu hrabstw Kalifornii i wodę z jej dwudziestu jeden misji – miejscowi często powtarzali, że kolejne większe trzęsienie ziemi wyraźnie pokaże, jakim szaleństwem jest ta konstrukcja. Odruchowo pociągnął za spłuczkę i gwałtownie odskoczył do tyłu. Niepotrzebnie, instalacja i tak nie działała.

w drodze powrotnej znalazł samotną umywalkę. w porównaniu z jej spływającymi po bokach brązowymi plamami i zardzewiałym stalowym, krzywo wiszącym lustrem, umywalka zamontowana w klitce Daniela Lamotte'a wydawała się szczytem luksusu. Clark jednak musiał zrobić cokolwiek, by się choć trochę odświeżyć. Zmiał w dłoni chusteczkę, odkręcił kran i z zaskoczeniem powitał strumień gorącej wody. Mydła – oczywiście – nie było, ale z wdzięcznością zwilżył dłonie, po czym zdjął okulary, by przemyć twarz. Ta chwila była pierwszym przyjemnym doświadczeniem, jakie spotkało go w ratuszu. Woda oczyściła mu umysł – niemal pozwoliła coś sobie uświadomić – aż wreszcie przypomniał sobie połowiczne piękno zwłok April Lamotte. Gwałtowną falą wróciły do niego jej słowa.

„Proszę, by pan nie wychodził, panie Gable. Więcej niż proszę...”

„Więc nie jesteś takim zatwardziałym cynikiem, za jakiego cię miałam. Jesteś znacznie gorszy. Jesteś skończonym romantykiem, prawda?...”

„Wiesz, tak się czasem zastanawiam... Nawet dzisiaj... po kiego diabła to wszystko?”

„Kiedy ludzie zaczęli tu przyjeżdżać, by kręcić filmy, twierdzili, że to z powodu jakości miejscowego światła. Tyle że słowem nie wspomnieli o jakości ciemności...”

Słyszał wręcz kadencję jej głosu. Odchrząknął i zachłysnął się. Kiedy na powrót włożył okulary i, mrugając, spojrzął w przekrzywione lustro, na moment ogarnęła go groza, lecz oblicze, jakie ku niemu wyglądało, wciąż należało w zasadzie do niego. Odgłosy ratusza, które słyszał wcześniej – echa krzyków, trzaskanie drzwi, ten dziwny szum w uszach – były tutaj głośniejsze. Życie toczyło się naprzód nawet w obliczu śmierci... a jednak zrobiło się dziwnie zimno, jakby ktoś otworzył okno, mimo że łazienka była zupełnie ślepa. i ten szum... Spróbował dokręcić mocniej kran, w nadziei że to pomoże. Dźwięk nie ustał.

Gdy znowu spojrzął w lustro, wydało mu się, że za jego plecami łopocą czarne chorągwie. Zupełnie jakby powiał niewidzialny wiatr, chociaż w sensie fizycznym nadal nic się nie poruszało. Nie licząc włosów na jego karku i skóry wzdłuż kręgosłupa. Odwrócił się, oczekując – sam nie był pewien czego... Nic poza brudnymi kabinami. Jedna ze świetlówek w suficie raz po raz migotała. Właśnie na to miał nadzieję.

Szum jednak znów przybrał na sile, przynosząc ze sobą głucho wycie głosów, stukot i trzaskanie drzwi, dolatujące przez ciemne przestrzenie. i hałas ten nie dobiegał z żadnej innej części ratusza. Teraz był już tego pewien. Do stał gęsiej skórki. Zakręciło mu się w głowie. Coś kwaśnego, paskudnego i pozbawionego zapachu pokryło mu język.

i wtedy ujrzał to ponownie. z początku tylko bezcielesne zakłócenie – przypominające kłęb kurzu, jakie niekiedy latem wirują nad polami. Potem – co było jeszcze bardziej niepokojące – rzecz naprawdę zaczęła się zachowywać jak niewielki wir powietrza, podrywając z podłogi mokre śmieci i zmuszając je do powolnych, ale wyraźnych obrotów. Wreszcie pojawił się pewien kształt, najpierw nogi, potem tułów, a wreszcie wzbierająca sugestia ramion. Nie przypominało to już kłębu kurzu. Jeżeli w ogóle kojarzyło się z czymkolwiek, to z wykonaną przez uczniaka krzyżówką mumii i niewidzialnego człowieka – zbita, wirująca masa papieru toaletowego, szczyń i łajna. i było straszne – grozą, która, gdy wreszcie zaczęła się formować twarz, nie miała nic wspólnego z ohydą budulca. Od istoty emanowało doznanie niewysłowionego bólu. Clarkowi przyszyły do głowy połamane członki, zniszczone ciało, usta, oczy, twarze, wszystkie zniekształcone w odmienny sposób, lecz równie zbolale.

– Czym ty, do diabła, jesteś?

Nie uświadomił sobie nawet, że mówił na głos, ale stworzenie zwróciło na to uwagę. Przez moment wydawało mu się, że zmagające się wewnątrz wiru kształty spięły się, skuliły. i wtedy, w jaskrawym wrzasku światła, rozpadły się. Nie po prostu zniknęły, lecz rozdeły się, wybuchnęły i zderzyły ze ścianami, pozostawiając po sobie jedynie wstrząśniętą ciszę i przechodzące od patosu do trywialności mlaśnięcia opadającego na posadzkę, przemoczonego papieru toaletowego. Ku Clarkowi popłynęły kwaśne fale. Cokolwiek przed chwilą zobaczył, było to prawdziwe.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Kiedy wyszedł z łazienki i ruszył korytarzem ku solidnej, konkretnej sylwetce czekającego na drugim krańcu funkcjonariusza Doyle'a, ratusz ponownie pachniał już tylko potem i starą kawą.

– Dobrze się pan czuje?

z braku lepszej odpowiedzi, skinął głową.

– Mogę pana podzucić do domu. Na wzgórze?

Szklane ściany Erewhon. Niekończące się, pochłaniające odbicia. Szafka z lekarstwami w łazience. Łóżko April Lamotte.

– Wołałbym chyba na Bunker Hill.

– Żaden problem.

– Co teraz?

– Jeszcze się zastanowię, panie Lamotte. Chciałbym też panu podziękować za gotowość do współpracy, zwłaszcza w tak trudnej chwili. Powinien pan też wiedzieć, że zanim biuro koronera wyda ciało, minie zapewne kilka dni. Trzeba, żeby się pan potem skontaktował z kaplicą spoczynku.

– z czym?

– z kaplicą spoczynku. Od jakiegoś czasu wielu przedsiębiorców pogrzebowych w naszym mieście tak właśnie nazywa swoje biznesy.

– Ach, jasne.

– Obawiam się też, że na jakiś czas zatrzymamy samochód i inne rzeczy pańskiej żony. To potrwa do ogłoszenia raportu koronera. Samochód stoi na naszym parkingu. z tego co wiem, jest zupełnie sprawny, ale może zechce

pan pokazać go swojemu agentowi ubezpieczeniowemu. Reszta przedmiotów, ubrania i tak dalej, trafiła do depozytu. Do momentu formalnego zamknięcia sprawy stanowią materiał dowodowy, aczkolwiek klucze, pieniądze i tym podobne możemy panu wydać. Chciałby pan to załatwić od razu?

Wahał się tylko ułamek sekundy. Zgodził się.

Stary gliniarz wyłączył się zupełnie i zostawił go samego z pocztowym workiem, wypchanym rzeczami należącymi do April Lamotte. Clark nigdy nie lubił elementu własnej pracy, polegającego na grzebaniu w cudzych ubraniach. Zwłaszcza, jeśli właścicielem stroju był nieboszczyk. Teraz jednak stanął twarzą w twarz ze wszystkimi częściami garderoby, jakie zapewne włożyłaby na siebie każda kobieta wybierająca się na poranną przejażdżkę wśród wzgórz, aczkolwiek metki świadczyły o tym, że ciuchy były ponadprzeciętnie drogie. Stanik i figi. Skarpetki i buty. Starannie wyprasowane spodnie. Lniana bluzka, sztywna jakby świeżo odebrana z pralni. Wszystko cuchnęło spalinami znacznie bardziej niż jej ciało. Clark musiał cofnąć rękę, gdy natrafił palcami na skorupę zaschniętych wymiocin. Zmącił mu się wzrok. Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu – popatrzył na połamane krzesło, na korkową tablicę z przypiętymi datami spotkań Policyjnego Klubu Wędkarza, z których ostatnie odbyło się w roku 1938 – jakby wzywając coś, by się pojawiło, by stało się cokolwiek. Bez skutku.

Pokonując niechęć, wsunął dłonie do kieszeni April Lamotte. Znalazł tylko chusteczkę i klucze. Porównał je z tymi na własnym breloczku. Nie licząc kluczyków do cadillaca i Blixden Apartments, wszystkie wyglądały identycznie. Była też niewielka portmonetka. Otworzył zatrzask. Spięte razem banknoty, około trzydziestu dolarów, srebrna zapalniczka, zapasowa chusteczka do nosa, te same okulary przeciwsłoneczne, które miała na sobie u adwokata oraz srebrna papierośnica na sześć pastelowych papierosów. No i jeszcze ołówek. Końcówka wciąż była ostra – nie mogła nim zapisać więcej niż kilku zdań. Nie miał pojęcia, dokąd April Lamotte planowała wyjechać, ale faktycznie nie należała do osób zabierających w podróż nadmiar bagażu. Może więc do tego domku w lesie? Tylko dlaczego w takim razie postanowiła po drodze zatrzymać się, zanotować te kilka linijek i dopełnić samobójstwo?

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki; wracał funkcjonariusz Doyle. Clark zamknął portmonetkę i szybko obmacał dno worka. Aha! – pomyślał z ekscytacją, kiedy natrafił dłonią na coś, co wydawało się plikiem papierów. Oka-

zało się jednak, że jest to tylko składany plan Los Angeles wraz z okolicami, jaki zwykle dostawało się gratis na stacjach benzynowych, po zatankowaniu do pełna. Plan wyglądał na niemal nieużywany, lecz był dziwnie zapiaszczony, ubrudzony... z braku lepszego pomysłu, wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

* * *

Wioząc Clarka przez miasto, Doyle – zwyczajem wszystkich starych policjantów – zaczął narzekać na życie.

– Dawniej spędzaliśmy czas na łapaniu przestępców. Ale teraz zajmują się tym ci wszyscy gówniarze z Gwardii Młodzieżowej, których gubernator zaprzysięga na masowych zlotach. Włóczą się po ulicach w tych swoich mundurkach, jakby miasto należało do nich. Wie pan, chodzi mi o to, że jeżeli komuś faktycznie należy przemodelować facjatę, to chciałbym to robić ja...

– No jasne...

– ...zbyt wiele wysiłku idzie teraz na ściganie komuchów, pedałów, aborcjonistów i wszelkiej innej hołoty. Nie ma kiedy biegać za prawdziwymi bandytami. i co to ma znaczyć, że po trzech strajkach wylatuje się z roboty? Kurwa, przecież zbrodnia to nie baseball, pardon za język. No a ustawa Comstocka^[6]? Szkoda gadać. Jeśli ktoś chce zobaczyć lubieżność i sprośność, wystarczy przejechać się około północy po Vine. Tyle że pastorzy i Liga Zatraskanych Małżonek zupełnie nie zwracają na to uwagi. O, albo w zeszłym tygodniu mieliśmy urządzić nalot na taką socjalistyczną księgarnię, ale na miejscu okazało się, że wyprzedzili nas strażacy. – Zachichotał z rozczarowaniem. – Jacyś goście z Ligi Wolności zdążyli już ten interes podpalić. Mnie tam nic do tego, żyj i daj żyć innym, ale starej, dobrej policyjnej roboty prawie już nie ma. Jesteśmy teraz potrzebni głównie do pilnowania demonstracji...

Kawałek za torami Angels Flight^[7] szła brudna, bosa kobieta, w połatanym futrze i czymś co wyglądało jak diadem. Ciągnęła za sobą stary wózek bagażowy, wyładowany po brzegi jej dobytkiem. Tabliczka na postoju taksówek głosiła „ZAKAZ WŁÓCZĘGOSTWA – TYLKO DLA BIAŁYCH”. Obok przemknął nieostroźnie rolls-royce, jego szyby przypominały magiczną latanię wypełnioną beznadziejnie pięknymi twarzami. Gdy zakręcali, butelka po szampanie wypadła na asfalt i rozbiła się w deszczu zielonych iskier. Clark zaczął się zastanawiać, czy to miasto naprawdę się zmienia, czy może

po prostu bardziej odważnie demonstruje to, czym było od zawsze.

– Ostatnio wymyślili kolejny nowy projekt. Kapitan mówi, że będziemy używać tych ustrojstw rejestrujących Bechmeira, jak one się nazywają?

– Ikonoskopy.

– Właśnie. Więc te iko... skopy trafiają do wszystkich pomieszczeń, gdzie są prowadzone przesłuchania. Prokurator okręgowy ma udziały w jednej z produkujących je firm, więc sam pan rozumie... Jakbyśmy potrzebowali jakiejś dużej maszyny. Sami wiemy, kiedy przestępcy kłamią, a kiedy nie. Prawda jest taka, że do porządnej policyjnej roboty potrzeba tylko mózgownicy. – Postukał się w czapkę. Skręcili w Blixden Avenue. – i to jest jedyna rzecz, która się nigdy nie zmienia.

Doyle zaparkował na drugim końcu ulicy, wysiadł i okrążył radiowóz, by wypuścić Clarka.

– a przy okazji, wspominał pan o wyrostkach i szybie. Domyślam się, że to te same gnojki, których widzieliśmy tu dziś wieczorem. Mogę szepnąć komu trzeba. Szczyłe dostaną łomot i następnym razem nie będą kozakować.

– Nie, nie. Nie trzeba.

– Na pewno? – Gliniarz złożył tłustą rękę na ramieniu Clarka i przelotnie je uściśnił. – Tylko żeby nic pan nie kombinował, dobrze? Porządny z pana gość. Jeżeli niebo istnieje, to jestem pewien, że pańska żona patrzy teraz z uśmiechem, jak my się tu frajerzy motamy...

Clark stał i patrzył na blednące w oddali światła policyjnego wozu. Po chwili zauważył, że do szyby delahaye'a ktoś przylepił stary papierek po gumie do żucia. Podniósł wycieraczkę i przeczytał.

PSZYKRO MI S POWODU

ŻONY PANIE KIEPAS

ROGER

Dzisiaj, nawet w ciemności, Clark zdołał ominąć pierwsze, skrzypiące stopnie na schodach Blixden Apartments. Dopiero gdy zamknął drzwi lokalu 4A, ściągnął buty i skarpety, przyszło mu do głowy, że mógł przecież pojechać do siebie do Venice. Albo po prostu znaleźć jakiś tani hotelik. a jednak wrócił tutaj. Zanurzył się w sprawę tak głęboko, że nie miał nawet pojęcia, jak daleko nad nim znajduje się powierzchnia. Poza tym, w życiu jeszcze nie czuł się tak bardzo zmęczony.

w pokoju nie zmieniło się nic. Nikt niczego nie przestawił, lecz bałagan wydawał się znacznie większy niż rano. Puste puszk. Butelki. Tanie, śmie-

ciowe meble. Sterty strąconych z blatów zeszytów i papierzysek. Brodząc wśród tego wszystkiego, odłożył krótkolufowego colta między kartki przy maszynie do pisania, po czym podszedł do okna i uchylił je, by wpuścić trochę powietrza. Wyjrzał na zewnątrz i zauważył jakąś postać. Przed zniszczonym budynkiem po drugiej stronie ulicy ktoś stał na samym skraju kręgu światła latarni. Clark odniósł wrażenie, że nieznajomy patrzy prosto na niego. Po chwili jednak, jakby wyczuwając czyjś wzrok, obcy cień rozplynął się w mroku.

Clark został na miejscu. Stał oparty o parapet okna pokoju 4A i oddychał miejskimi woniami kurzu, śmieci i eukaliptusa. Słuchał zwyczajnych dźwięków nocy – kocich wrzasków, szczekania psów, spokojnego, rytmicznie narastającego i gasnącego szumu samochodów, przelotnego wycia policyjnej syreny. Wreszcie zatrzęsnał okno, zaciągnął cienkie zasłony i zdjął resztę ubrań.

Nagi wyłączył światło i położył się na wymiętoszonym materacu, nie spodziewając się, mimo zmęczenia, zaznać niczego zbliżonego do snu. Obrócił się raz i drugi. Pokój pulsował i zaciskał się wokół niego ciemnymi falami. Dokoła rozległy się szepty minionych głosów, zawiedzionego zaufania i straconych okazji. I wreszcie usłyszał morze oraz jasne przebłyski śmiechu. Ujrzał zaginione twarze wszystkich, których kiedyś kochał.



6 Ustawa Comstocka – wprowadzona w USA w 1873 roku zabraniała przesyłania pocztą materiałów „wulgarnych, lubieżnych i/lub sprośnych”, czyli pornografii oraz informacji dotyczących aborcji.

7 Angels Flight – kolejka linowo-naziemna w śródmieściu Los Angeles. Oddana do użytku w 1901. Wpisana na listę narodowych zabytków historycznych USA.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Ranek. Pólsen. Dawne czasy, dawne twarze. Wielkie limuzyny, promocyjne zdjęcia, jego nazwisko w „Variety” i pijaństwo po świt w „Marmont”. Sukces – czekający nie gdzieś za zakrętem, lecz tuż przed nim, spoczywający w jego rękach. Miękki jak szczeniaczek. Ciepły, czysty i jasny niczym kalifornijskie słońce. i jazda ukochanym ciemnogrnatowym pierce-arrowem.

Clark się uśmiechnął. Przewrócił na plecy. Gorący blask rozlał mu się po twarzy. Burknął niezadowolony. Podniósł rękę, by przesłonić oczy. Ujrzał otaczające zarys ludzkiej postaci światło, wyglądało trochę jak rozmigotana aureola świętego.

- Kim ty, do diabła, jesteś? – warknęła kobieta. – i co tu w ogóle robisz?
- Ja? – Podsunął się ku górze, trąc lepkimi plecami o ścianę. Jego penis, wciąż zwiedziony po tych wszystkich snach, otarł się boleśnie o pościel.
- Pamiętasz mnie w ogóle? – spytała.
- Przytaknął skinieniem. Teraz pamiętał już wiele rzeczy.
- Tak, Barbara u... Usher.
- Eshel. Nazywam się Barbara Eshel.
- Właśnie.
- Przyglądał się jej, kiedy usiadła wygodnie na wysuniętym spod biurka krześle. Przyglądał się jej, gdy wycelowała pozostawionym tam krótkolufowym coltem prosto w środek jego piersi.
- a ty nazywasz się...?
- Wczoraj już się chyba przedstawiałem. Nazywam się Daniel Lamotte.

– Musisz mnie chyba mieć za skończoną kretynekę. Ale tak naprawdę moja jedyną głupotą jest to, że tu siedzę i proszę o wyjaśnienia, zamiast od razu zadzwonić na policję.

– Jak się tu dostałaś?

– Przez drzwi. Twój zamek albo za Chiny nie da się otworzyć, albo wystarczy pchnąć i już się jest w środku. Identycznie działa połowa zamków w tym budynku. Oczywiście, gdybyś tu mieszkał, wiedziałbyś o tym doskonale.

– Słuchaj... – Wciąż musiał chronić oczy przed bijącym z okna światłem i nadal bolała go głowa. Cierpiał na najwyraźniej permanentną odmianę kaca, jakiej nabawił się, kiedy April Lamotte próbowała go zagazować. Był też świadom, z jakim wstydem, że tkwi nagi w łóżku, że jego fiut nie dźwiga już namiotu z kołdry i że okulary Daniela Lamotte' a leżą porzucone na biurku – Gdybyś przestała we mnie celować, moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

– Mnie ten pistolet zupełnie w niczym nie przeszkadza – odparła.

– Słuchaj, Barbaro. Panno Eshel. Mam taką dziwną fobię, nie cierpię siedzieć we własnym łóżku, gdy ludzie mierzą do mnie z naładowanej broni. Tym bardziej, jeśli istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie potrafią się z nią obchodzić.

– z tą poprawką, że to nie jest twoje własne łóżko, co? Zaraz pewnie usłyszę, że ten pistolet nie jest odbezpieczony

– Prawdopodobnie nie. – Skinął głową, po czym uznał, że to nie czas i miejsce na wstydlivość, pochylił się. – Pozwól, że go wezmę...

Jaskrawy płomień. Głośny huk.

– Widzisz? – rzuciła zza pióropusza dymu. – Był jednak odbezpieczony. a ja umiem się obchodzić z bronią. w przeciwnym wypadku, panie Anonim, moglibyśmy zacząć zbierać twój pieprzony mózg ze ściany.

Opadł ciężko do tyłu. Ze świeżej dziury w ścianie nad jego głową posypały się płatki gipsu.

– Nie wolno ci tak... Ludzie...

– Chyba zapomniałeś, że w odróżnieniu od ciebie, ja tu mieszkam naprawdę. Wiem, że Kitchenerowie zawsze w piątek rano wychodzą i że ta uroczą pani Bruch z naprzeciwka jest głucha jak pień. Poza tym, nie jestem miastową dziewczynką. Strzelałam do kojotów i oposów w Fingerpost, Missouri,

równie często, jak tutejsi rozdeptują termity. a więc. Skoro już wiesz, kim jestem, może zechciałbyś powiedzieć co nieco o sobie?

– Skąd ta nagła pewność, że nie jestem Danielem Lamotte’em? Wczoraj...

– Już wczoraj wiedziałam, że nim nie jesteś, tłuku! Uznałam po prostu, że to nie moja sprawa i że przynajmniej poczekam i zobaczę. Tyle że potem, wieczorem, pojawili się gliniarze i stwierdzili, że chcą pomówić z Danielem Lamotte’em, gdyż jego żona prawdopodobnie nie żyje. Bo nie żyje, mam rację? Czytałam w porannej prasie. Wyskoczyłam rano i kupiłam. – Odwróciła się, podniosła leżący na biurku egzemplarz „Los Angeles Examiner” i rzuciła mu na łóżko. Lufa colta ani na moment nie przestała mierzyć w nagą pierś Clarka. – Otworzyłam na odpowiedniej stronie.

ŻONA ZNANEGO SCENARZYSTY ZNALEZIONA MARTWA WE WŁASNYM SAMOCHODZIE

Artykuł zajmował pół kolumny. Brzmiał mniej więcej tak, jak można się było spodziewać.

– Wiesz, jak to mówią – mruknął, odkładając gazetę. – Skoro piszą o tym w gazetach, to musi być prawda.

Prychnęła.

– Masz pan tupet, panie Anonim. Zwłaszcza jak na typka, który siedzi w cudzym łóżku goły jak święty turecki.

– Nadal uważasz, że nie jestem Danielem Lamotte’em?

– a jesteś?

Sytuacja stawała się niedorzeczna. Musiał wzruszyć ramionami.

– Więc coś ty za jeden? – nacisnęła.

– Czy, jeżeli powiem, odłożysz tego gnata, a przynajmniej przestaniesz do mnie strzelać?

– To zależy.

– Nie zabiłem April Lamotte, jeśli to cię martwi.

– Tyle że dokładnie to samo powiedziałabyś, gdybyś ją jednak zabił.

Pokiwał głową. Trudno było odmówić dziewczynie racji.

– Ale ja naprawdę nie jestem aż takim idiotą. Wierz mi.

– Czy idiota ma jakieś nazwisko?

Stwierdził w duchu, że gdyby ta lalka chciała go zabić, zrobiłaby to już dawno. Chyba że faktycznie próbowała, tylko – szczęśliwie dla niego – chybiła. Tak czy inaczej, miał serdecznie dosyć udawania.

– Nazywam się Clark Gable.

Drgnęły jej usta.

– I? Powinno mi to coś mówić?

– Nie.

– Dlaczego więc udajesz kogoś innego? i co się stało z prawdziwym Danielem Lamotte'em?

– Zbyt wiele pytań naraz. Jeżeli chcesz, żebym ci wyjaśnił, musisz wykazać się cierpliwością...

Od zawsze uważał się za na poły przyzwoitego narratora, ale ta historia wypadła wyjątkowo chaotycznie. Mamrocząc rwanymi zdaniami, przyznał, że jest prywatnym detektywem, opowiedział o swojej przerwanej karierze aktora i o specjalizacji w sprawach małżeńskich. Dodał, że właśnie takiego zlecenia spodziewał się początkowo po April Lamotte. Mówił o Erewhon, gdzie pokazano mu zdjęcie krzywiącego się do aparatu wysokiego faceta – który, nie licząc brody i okularów, był do Clarka nieco podobny i który do tego stopnia popłynął, pisząc scenariusz emotyku o życiu Larsa Bechmeira, że został ponoć umieszczony w jakiejś ekskluzywnej, prywatnej klinice odwykowej. Potem opowiedział o umowie, podpisaniu kontraktu, o łabędziach na fosie i kolacji w „Chateau Bansar”. i o wnętrzu tego samochodu, tego delahaye'a, które najpierw wydawało się bajkowe, a potem już tylko koszmarnie. i o facecie, który być może pracował dla pewnej firmy ochroniarskiej i który go być może śledził... Wszystko to faktycznie brzmiało dziwnie, lecz nie tak bardzo, jak dziwaczny był fakt, że siedział tutaj w tej kanciapie na Blixden Avenue, opowiadając swoją historię młodej kobiecie, która wciąż trzymała go na muszce, podczas gdy April Lamotte zdążyła już wystygnąć.

Mimo chaosu wiadomości, Barbara Eshel wysłuchiwała Clarka uważnie. Jedynym pytaniem, jakie padło z jej ust, to ile zaproponowano mu za wykonanie zlecenia. Pod koniec, o dziwo, lufa colta opuściła się nieco i mierzyła teraz prosto w jego krocze.

– i spodziewa się pan, że w to wszystko uwierzę, panie Gimble?

– Bez większej nadziei. Ale nic więcej nie wiem. i nazywam się Gable.

Pochyliła się.

– Ta cała Lamotte mogła mieć wiele różnych powodów, by wynająć kogoś do podszycia się pod jej męża. To znaczy, nie tylko taki, żebyś podpisał umowę, sądząc, że prawdziwy Daniel siedzi u czubków. Przyszło ci to do

głowy?

– Owszem.

– Ale i tak się zgodziłeś?

Wzruszył ramionami. Przecież siedział w tym mieszkaniu.

Przygryzła wargę.

– Myślisz, że Daniel Lamotte, ten prawdziwy, jeszcze żyje?

– Nie mam pojęcia. April mówiła, że odwiedziła go kilka dni temu. Wspominała coś o klinice w górach. Nie powiedziała tylko, gdzie dokładnie... Jak dobrze go znałeś?

Dziewczyna westchnęła i dmuchnęła sobie w grzywkę.

– Był cichy, nieśmiały, nerwowy. Zdecydowanie typ samotnika. Otaczała go taka specyficzna aura, i nie mam tu na myśli niczego związanego z emocjami, która nie zachęcała do bliskości. To, co mówiłam wczoraj, o stukocie maszyny, który traktowałam jak odgłosy przyjaznego ducha, to była prawda. Aczkolwiek duchem była raczej sama maszyna niż on.

– Chyba rozumiem.

– To musi być dziwne. Czy jestem pierwszą jego znajomą, którą spotkałeś? Poza żoną?

– a zatem mi wierzysz?

– Nawet ktoś tak naiwny jak ty wymyśliłby kłamstwo lepsze od tego nieдорzecznego bełkotu.

Pistolet powędrował o kolejny cal w dół. Teraz celował już tylko w łóżko.

– Może mógłbym coś na siebie włożyć?

– Nie widzę przeciwwskazań.

– Ale nie wyjdiesz?

– Zaczekam.

– Pozwól, że zgadnę – podjął, wstając i pociągając za sobą prześcieradło w odruchu skromności, który spalił na panewce, gdy tkanina zaczęła o drzazgę w starej podłodze i rozdarła się. – Wychowałeś się na farmie... i jesteś przyzwyczajona... to znaczy w Fingerpost, Missouri, często widywałeś...?

– Różne rzeczy, owszem. Choć głównie bydło. Ale mieliśmy też kilka wieprzków.

– Jasne.

Głupio nagi, zaczął motać się z ubraniami najszybciej jak potrafił, podczas gdy Barbara Eshel wciąż siedziała na krześle, kierując pistolet mniej więcej

w jego stronę. Znalazł koszulę bez kołnierzyka. Szelki. Kiedy otworzył szufladę i wkładał znaną tam bieliznę, uważał, by nie pochylić się do dziewczyny tyłem. Nie był w stanie oprzeć się myśli, że w filmie cała ta sytuacja skończyłaby się zgoła inaczej.

– No dobrze... – wrócił do łóżka i usiadł na skraju – skoro mi podobno wierzysz, może opuściłabyś już tę armatę? Bardzo proszę.

– Jest coś, czego mi jeszcze nie powiedziałeś?

– z całą pewnością. – Był potargany i rozpaczliwie chciał się ogolić.

Popatrzyła na broń.

– Twój?

– Daniela Lamotte’ a. Znalazłem go tutaj, w szufladzie biurka. Nie cierpię gnatów. Zawsze zwiastują kłopoty.

– Nie wygląda na często używany. – Wykonała jakiś bajerancki gest, odciągnęła i zwolniła kurek, po czym zakręciła bębenkiem i wysunęła go na zewnątrz. Zupełnie jak kobieca, żydowska wersja rewolwerowca z dzikiego zachodu. Wreszcie odłożyła colta na blat. – Skoro go kupił, to pewnie czegoś się bał.

– Też tak myślę.

– Chyba że zamierzał palnąć sobie w łeb.

– To również przyszło mi do głowy.

– a ty co, Clark?

– o czym ty, do diabła, mówisz?

– Pytam, co zamierzasz?

Zerknął na poczemiale lustro. Ponownie usłyszał syk, który mógł być szumem kabli telefonicznych lub morza.

– Nie wiem... Uciekłbym. Gdybym tylko wiedział dokąd. i przed czym.

– a skoro już nie uciekasz?

Wzruszył ramionami. Odniosł wrażenie, że omiatają go przebłyski światła ze skraju jego snów.

– Wiesz, co ja właściwie piszę?

– Założyłem, że...

– Założyłeś, jasne. Jak wszyscy w tym mieście uważasz, że jedynym wartym zachodu rodzajem pisarstwa jest tworzenie scenariuszy. Ale nie wiem czy wiesz, że słowami można robić inne rzeczy. Na przykład, mówić prawdę. Na dobry początek.

- To faktycznie byłyby ożywcze.
- Prawda? Faszyści zadeptali już całą Europę, a teraz dotarli i tutaj. Kisberg i jego kolesie z Ligi Wolności robią co mogą, by przekształcić Kalifornię w modelowy stan tylko dla białych...
- Dość radykalna ocena.
- Serio? Zdajesz sobie sprawę, ilu Latynosów zostało już przesiedlonych? Wiesz, jakie kary grożą za to, co nazywa się dzisiaj czynnościami dewiacyjnymi? z tą różnicą, że nie mówią o tym nawet jako o karze, teraz nazywają to po prostu kuracją. – Wyjęła z kieszeni bluzki stanowy dowód osobisty. – Wiesz do czego to służy?
- Pewnie, że wiem. Każdy ma taki. Dzięki tym dokumentom gliniarze mogą ustalić tożsamość. Potrzebne są też do wstępu do biblioteki albo do skorzystania ze stanowej służby zdrowia.
- No przestań. Ile razy poproszono cię o wylegitymowanie się tym dowodem? Założę się, że nigdy, mimo że pracujesz w takim zawodzie.
- Fakt. Niezbyt często. – Wzruszył ramionami. Policjanci nie poprosili o okazanie dokumentu, nawet wioząc go na identyfikację zwłok żony.
- Widzisz. Zabawne jest to, że mnie bez przerwy każą to wyciągać. Podobnie jak wszystkim żółtym i brązowym. Także tym, którzy wyglądają na Żydów czy Latynosów. Właśnie taki staje się cały ten kraj, a Kalifornia jest w awangardzie.
- Wiesz, nie za bardzo interesuję się polityką.
- Jak większość ludzi. Dopóki nie stwierdzą, że nie mogą spokojnie przejść ulicą lub dopóki jakiś umundurowany facet nie powie, że złamali przepis, o którego istnieniu nie mieli nawet pojęcia. Ale ja zamierzam coś w tej sprawie zrobić.
- To znaczy... – nie udało mu się ukryć niedowierzania w głosie – ...pisanie?
- Skinęła głową.
- Wydajemy biuletyn. Rodzaj antidotum na spisak Hearsta^[8], którego uczestnicy kontrolują już niemal wszystkie media w stanie.
- Jak się nazywa?
- „Prawda Los Angeles”. Choć wiem, że to brzmi jak oksymoron.
- Oksy... Ach, tak. Chyba nie słyszałem.
- Niełatwo go rozpowszechnić. Można albo płacić nowy stanowy podatek

od druku, albo działać pod ziemią...

Urwała. Clark odniósł wrażenie, że kolejne numery „Prawdy Los Angeles” niezbyt często trafiają do kiosków.

– Według mnie, to, co spotkało Daniela Lamotte’a i jego żonę, stanowi część większej historii. i nie sądzę, by fakt, że dopiero co napisał scenariusz o Larsie Bechmeirze, stanowił tylko zbieg okoliczności. – Rozejrzała się dookoła. – Klucz do sprawy musi być gdzieś tutaj. Tutaj albo tam, gdzie przebywa teraz prawdziwy Daniel Lamotte. a może w tej wymuskaney rezydencji w kanionie. Jak myślisz, od czego powinniśmy zacząć?

* * *

Pokój 4A pękał w szwach – niezliczone maszynopisy scenariuszy, szkice, listy i jeszcze większa liczba niemal niemożliwych do odczytania odręcznych notatek – Daniel Lamotte miał charakter pisma godny pijanego lekarza – a każdy z tych papierów mógł zawierać przydatne informacje. z tego jednak, co Clark wiedział o April Lamotte, i sądząc po tym, co zobaczył już w Erehwon, wydawało się to wątpliwe. Czy zdążyła tu przyjechać i rozeznac się w tym bałaganie? Pobieżne przeszukanie nie pozwoliło odnaleźć kopii spalonej niebieskiej wersji tekstu „Obudź się i śnij”. Zapewne więc zdążyła.

Barbara Eshel również nie pamiętała niczego niezwykłego. Niczego nie słyszała, nic nie widziała, aczkolwiek często wychodziła w sprawach związanych z wydawaniem „Prawdy Los Angeles”, a ludzie przychodzący, wychodzący, lub wydający dziwne dźwięki o niechrześcijańskich porach nie byli w Blixden Apartments niczym odbiegającym od normy. Dziewczyna nie umiała także przypomnieć sobie, kiedy dokładnie po raz ostatni słyszała stukot maszyny do pisania, zanim pobawił się nią wczoraj Clark. Była natomiast pewna, że było to przed zeszłym weekendem. Możliwe, że w ubiegły piątek, wcześniej rano.

Podczas wstępnej rozmowy klienci często wyznawali Clarkowi, że dobrze jest móc po prostu porozmawiać. Teraz zrozumiał, co mieli na myśli. Co prawda, Barbara Eshel w oczywisty sposób próbowała zrealizować jakiś własny, ukryty plan, a co więcej, wtargnęła do jego życia, biorąc go na muszkę, ale już przez sam fakt, że przetrząsał to wszystko w jej towarzystwie, poczuł się tak, jakby spadł mu z barków olbrzymi ciężar. Kiedy udało mu się wreszcie ubrać, uzgodnili, że dziewczyna przejrzy jeszcze trochę papierów, porozmawia z innymi mieszkańcami budynku, sprawdzi miejsca, w których Da-

niel Lamotte mógł poszukiwać inspiracji czy materiałów, spróbuje się nieco więcej dowiedzieć w publicznych archiwach na temat małżeństwa Lamotte'ów, a potem może ustali adresy bardziej ekskluzywnych klinik zajmujących się chorobami psychicznymi. Dzięki temu Clark miał ją z głowy i mógł się samotnie wybrać na przejażdżkę w góry, gdzie zamierzał odszukać ten domek – Larch Lodge – który podobno dzielili ze sobą małżonkowie.

– Niech zerknę. Ten plan wygląda na zupełnie nowy. Mówisz, że znaleźli go w jej samochodzie?

Mimo że Barbara pachniała bardzo przyjemnie, nie był do końca przekonany, czy podoba mu się sposób, w jaki pochyliła się nad jego ramieniem, by pomóc odnaleźć cel wyprawy.

– Sprawdziłeś, czy nie ma żadnych zaznaczonych punktów? Albo, no wiesz, czy nie widać miejsc często dotykanych palcem?

– Oczywiście, że tak. – Robił to w miarę, jak mówiła.

– Dobrze. Ta szosa tutaj to miejsce, w którym się podobno zabiła. a tu... Popatrz, popatrz... Bark Rise! April Lamotte zginęła w drodze do chaty, Clark! Nie może być inaczej. Pamiętasz, co napisała w tym liście pożegnalnym? w gazetach nie wspomnieli o nim słowem...

Wyprostowała się i poprawiła włosy, kasztanowo lśniące we wpadającym przez okna świetle. Clark opowiedział, co zapamiętał z tekstu pozostawionego w zatrzymanym przez policję notatniku.

– Czyli tylko fragmenty? – zapytała. – Niedokończone zdania? Nie masz przypadkiem wrażenia, że to były wprawki, a nie gotowy list pożegnalny?

– Próbujesz znaleźć sens, uzasadnić czyn, który nigdy nie jest sensowny. Znam się na samobójcach. Pracowałem już z...

– Czyli myślisz, że April Lamotte naprawdę zabiła się sama?

Podniósł się z miejsca. Mimo, że w zagrożonym pokoju było już jasno, wszystko na moment przygasło, skryło się w cieniu.

– Nie wiem – przyznał. – Chciałbym, ale... – Zaczął gmerać w kieszeni, jakby mógł w niej znaleźć jakieś wstrząsająco jasne i proste wytłumaczenie. Znalazł tylko kopertę, którą zabrał z nocnej szafki April Lamotte. i kiedy nią potrząsnął, z wnętrza wysypało się kilka ostatnich ziarenek piasku.



polityk, założyciel Hearst Corporation, spółki prasowej, po dziś dzień pozostającą jedną z największych światowych firm tej branży.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Rewolwer zostawił w pokoju 4A, w rękach Barbary, aczkolwiek zmusił ją, by wyjęła z bębena wszystkie naboje, a broń schowała do szuflady w której ją znalazł. Zszedł do holu i odebrał dzisiejszą pocztę. Korespondencja czekała w drucianym, zawieszonym na ścianie koszyku. Przejrzał ją pobieżnie. w zasadzie żadnych osobistych przesyłek i tylko jeden, jedyny list adresowany do Daniela Lamotte'a. Koperta – gładka, ciężka i śliska – nie zdążyła jeszcze przesiąknąć wilgocią i stęchlizną Blixden Apartments.

Wewnątrz znalazł dwa zaproszenia i kartkę nadesłaną z biura niejakiego Timothy'ego Townsenda, dyrektora produkcji wytwórni Senserama. Na nocce widniało wielkimi, pośpiesznie napisanymi literami:

Do zobaczenia wieczorem! Czekam na Was oboje!

Tłoczone złote, kręte litery na zaproszeniach informowały, że Herbert Kisberg z najwyższą przyjemnością zaprasza Daniela i April Lamotte'a, by do-trzymali mu dzisiejszej nocy towarzystwa pod niżej podanym adresem w Beverly Hills. Dziwnie było patrzeć na te nazwiska, zupełnie jakby oboje byli wciąż prawdziwi i żywi.

Przystanął na moment na chodniku przed budynkiem. Zza otwartego okna doleciały uderzenia zegara – już dziesiąta – co przypomniało Clarkowi o potrzebie nakręcenia i wyregulowania zegarka marki Longines. Po chwili wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu drobnych i ruszył ku budce telefonicznej. Wewnątrz cuchnęło, było gorąco. Obcas Clarka pośliznął się na leżącej na asfalcie, zużytej prezerwatywie. Kiedy szukał w kieszeniach reklamy biura

detektywistycznego Nero, poczuł dziwny dreszcz. Co w zasadzie zamierzał zrobić? Za telefonem wisało przytwierdzone śrubami lustro, zbytnio naznaczone bliznami gum do żucia, śliny i brudu, by mógł ujrzeć w nim cokolwiek poza anonimową, niewyraźną męską twarzą.

Porównał numer agencji Nero z książką telefoniczną, po to, by się przekonać, czy nadal jest aktualny. Był, i dziewczyna z centrali połączyła go bez żadnych problemów. i znowu w słuchawce rozległ się tylko przeciągły sygnał.

Rozłączył się i zadrżał, słysząc ostry brzęk wpadającej w głąb automatu monety. Złajał się w duchu. Zapomnieć. Skupić się. Nie wypaść z roli. Co zrobiłby pracujący w tym mieście scenarzysta w dzień po samobójczej śmierci żony? Wybrałby się na długi spacer? Spróbowałby napisać łzawy wiersz? Nawalił się do nieprzytomności? Najprawdopodobniej wszystko naraz. Po pierwsze jednak, zadzwoniłby do swojego agenta. o ile tym agentem nie byłaby zmarła małżonka, a tak przedstawiała się sytuacja. Clark głęboko odechnął i spojrzął na zegarek. a potem na numer telefonu widniejący na dołączonej do zaproszeń kartce.

Głos obdarzony akcentem sekretarki, która powitała ich wczoraj w wytwórni, zapowiedział połączenie z gabinetem Timmy'ego Townsenda.

– Dan? Jezu! To naprawdę ty?

– Tak, Tim. Słyszałeś może...

– Kurwa. Jezu. Gazetę mam tuż przed sobą. Stary, jak się trzymasz? Jak to się, kurwa, w ogóle stało?

– Sam nie wiem. To... – Przez chwilę naprawdę nie wiedział, jakich słów użyć. – Gliniarze znaleźli mnie na Blixden Avenue zaraz po tym, jak się rozstaliśmy.

– Musiało być ciężko. Boże, tak bardzo mi przykro. Gdzie teraz jesteś?

– Jeszcze w centrum.

– Dostałeś zaproszenie?

– Tak...

– ...Teraz to pewnie głupia myśl, co Dan?

– Chyba głupia.

Chwile ciszy wydłużały się po każdej wypowiedzi.

– Słuchaj, Danny, wiem, że to pewnie najgorszy moment na składanie podobnej propozycji... Cóż, może wiesz, a może nie... Chodzi o to, Dan, że

także wodzowie Senseramy czytali dzisiejsze doniesienia. No i ja, ale wiesz, ja w tym plemieniu jestem tylko starą squaw. Jasne, że to straszne, co powiem, ale tu nie chodzi o mnie... Bo wiesz... Od jakiegoś czasu nie byłęś na topie. I... No cóż, sygnały dymne, które widzę ze swojego wigwamu mówią, że wodzowie chcą wiedzieć, czy naprawdę jesteś wojownikiem i czy dasz radę dokończyć scenariusz, który zamierzamy skrócić już tej jesieni.

– Tim, pisarz jest od pisania. Tak już jest. Nic tego nie zmieni.

– Cieszę się, że to mówisz, Dan. i wierzę ci. Aczkolwiek mogłoby trochę pomóc... Jezu, takim chujem się teraz czuję, ale muszę to powiedzieć...

– Chcesz, żebym się pokazał wieczorem na tej imprezie? Żebym pokazał, że Daniel Lamotte nie stracił swojej magii?

– Paskudnie to brzmi. Ale tak.

Clark głęboko zaczerpnął tchu.

– Okej, Timmy. Rozumiem. Zobaczą, co się da zrobić.

– Dan, jesteś zdecydowanie...

Clark odwiesił słuchawkę na widelki, zastanowił się, po czym zanotował numer automatu. Kiedy wyszedł, zauważył Rogera, który manipulował z kumplami przy skrzynce pocztowej.

– Serwus! – zawołał. Większość wyrostków natychmiast się rozpierzchła, a Roger ukrył coś w spodniach. – Dzięki za kartkę na szybie. To naprawdę coś. Nie poznałeś mojej żony, co?

– Nie, nigdy w życiu – odparł dzieciak. – i wygląda na to, że już nie poznaję.

Koniec współczucia. z drugiej strony, odgrywający twardziela chłopak był o milion razy lepszy niż wykastrowane, indiańskie kondolencje Timmy'ego.

– Dzięki za dopilnowanie wozu.

– Spoko.

– Pomoże ci kolejny dziesiątak?

– Nie zaszkodzi. Aczkolwiek pół dolca nie byłoby od rzeczy. – Roger przyjął dwie dwudziestopięciocentówki, przetaił je, jakby obawiał się fałszywek, po czym schował w kieszeni. – Masz pan kłopoty, co? w końcu gliny i żona, i w ogóle?

– Sam nie wiem.

– Cóż, brachu, skoro nie...

– Wiem, wiem. Brachu. Ale tego nikt nie wie. Mógłbym za to mieć dla

ciebie inne zadanie...

Czujny jak ptaszek chłopak przekręcił głowę, uniósł jedną nogę.

– ...to nic takiego. Ale widzę, że dość często się tu kręcisz, może mógłbyś dla mnie zwrócić uwagę, czy ten automat nie dzwoni?

– i co potem?

– Wiesz, w budynku mieszka pewna dziewczyna. Zleciłem jej taką... dokumentację. Być może będę chciał jej coś przekazać. Kojarzysz ją? Nazywa się Barbara Eshel.

– Ta żydówka? – Wyrostek mrugnął znacząco. – Lecicie w ślinę, czy co?

– Skąd znasz taki język?

– Pewnie stamtąd co i pan.

– No, rozumiem. – Clark dał za wygraną.

Młodziak wciąż się szczyrzył, ukazując ostre jak brzytwa zęby.

– Zobaczę, co się da zrobić, stary. a i kolejny pięćdziesiątak nie zaszkodzi.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Wygłodniały, pojechał na poszukiwanie pobliskiego sklepu lub jadłodajni. Centrum miasta, nawet w ten jasny poranek stanowiło płataninę ślepych zaułków i starych cieni. Nigdy nie zdołał się dokładnie w tej okolicy rozeznać. Człowiek, nieważne czy pieszo, za kółkiem, czy upodlony, sądził, że poznaje ten budynek z wieżyczką, że zбочzył za ledwie o przecznicę czy dwie. Potem jednak, tuż za zakrętem ukazywał się jeszcze jeden tunel, wąwóz lub cały zrujnowany kwartał, którego nigdy wcześniej nie oglądał.

Clark minął pensjonaty o przebrzmiałej świetności, po czym ostro przyhamował i skręcił w uliczkę, na końcu której ujrzał wypłowiły od słońca szyld „Edna’s Eats”.

Knajpa nie działała w tradycyjnym, przerobionym wagonie kolejowym czy tramwajowym – buda była za ledwie ubogą krewną szlachetnego rodu lśniących chromem i stalą wagonów restauracyjnych Fodero, jakie widywało się dalej na wybrzeżu. Wewnątrz, pod dyktat skrzypiącego wiatraka, falowały przyklejone na ścianach ulotki. Na kartce zawieszanej ponad zapisaną kredą tablicą ze specjalnościami zakładu widniał napis: „PONIŻEJ 5 CENTÓW TYLKO SAMOOBSŁUGA”. Usiadł przy stoliku pod oknem, w głębi lokalu. Korzystając ze znalezionych u Daniela Lamotte’a firmowych zapalek „Edna’s Eats”, zapalił lucky strike’a i zmrużył oczy, starając się przez szkła okularów odczytać zafajdane resztkami potraw menu. Skwierczało smażone mięso. Snuł się dym. Kilka pustych stolików dalej dwóch facetów dogadywało jakiś ubezpieczeniowy interes. Staruszka z pieskiem w koszyku popija-

ła kawę. w najdalszym i najbardziej ciemnym zakątku knajpy dobrze ubrana para rozprawiła o czymś cicho, ale z ożywieniem.

– Co będzie dla pana...? – Wokół oka szczupłej, wysokiej kelnerki bledły pozostałości sińca. Plakietka na klapie przedstawiała MARY HAMILTON.

– Dzień dobry, Mary. Jak tam?

– Ech, w porządku – odpowiedziała z cienkim, wysokim kelnerskim westchnieniem.

– Mógłbym ci zadać głupie pytanie?

– Na krechę nie podajemy.

– Nie, nie o to mi chodzi.

– i nie, nie zderzyłam się z szafką. – Wytarła palce o fartuch, musnęła twarz. – a typ, który mi to zrobił, ma teraz jaja bardziej napuchnięte niż ja gębę. Okej?

– Nie, też nie o to chciałem... Zastanawiam się po prostu, czy pamiętasz może faceta, który był trochę podobny do mnie. Wysoki, w takim samym gajkerku i w tego typu okularach. Uszy i zęby też zbliżone. Tyle że mógł nosić brodę... – Zauważył, że dziewczyna uniosła brew. – No co? Uprzedzałem, że pytanie będzie głupie.

– Słyszałam już głupsze. – Zamyśliła się. a może po prostu patrzyła przed siebie. – Wiem, o kogo panu chodzi. Był tutaj jakieś pięć dni temu. Może wcześniej. Powiedzmy, w zeszły piątek. Tak. Na pewno w zeszły piątek. Mniej więcej o tej porze. Ale pana zupełnie nie przypominał. i nie mam na myśli brody.

– Tak, już to słyszałem. Często do was wpada?

– Można tak powiedzieć. Ale przez te parę miesięcy nie rozmawiałam z nim dłużej niż z panem. Napiwków też nie dawał. Tyle że ja pracuję tylko rano, więc w południe wychodzę. Aha, i ten gość zwykle coś pisał w notesie.

– Przychodził sam?

– Zazwyczaj tak. Ale ostatnim razem był z taką damulką. To co? Koniec pytań? Może coś zamówimy? Nie chcę tracić czasu.

– a kobieta, z którą był? Ruda, szykownie ubrana?

Gdy wyciągał dolara z portfela Daniela Lamotte'a, Mary Hamilton śledziła jego palce wzrokiem. Położył banknot na stole. Wtedy skinęła głową.

– Pewnie mówimy o tej samej. Pomyślałam nawet, że z takim wyglądem

mogła trafić znacznie lepiej.

– To znaczy?

– Przecież to pijak. Kiedy tu byli w ten piątek, wszedł tu zupełnie trzeźwy, ale wyjść już nie dał rady. Trzeba go było nosić. Normalnie szmaciana lala. Lalunia musiała mu pomóc, a proszę mi wierzyć, ja dobrze wiem jakie to trudne. Pewnie też zeszczął się w gacie.

– Naprawdę było z nim aż tak źle?

– Nie moja sprawa. Kobieta powiedziała, że mają na ulicy samochód. Niczego więcej nie słyszałam, a z policją gadać nie będę...

Przemyślał wszystko jeszcze raz. April Lamotte opowiadała, że poznała się z Danem właśnie w tej knajpcie, gdzie zajrzała, wracając z pracy w Met, i że potem bywali tu oboje i rozmawiali o jego pracy. Clark z kolei na własnej skórze przekonał się, że kobieta doskonale wiedziała, jak nafaszerować człowieka prochami. z opowieści kelnerki wynikało, że April Lamotte uśpiła i porwała swojego męża w ten sam piątek, kiedy Barbara Eshel po raz ostatni słyszała maszynę do pisania w pokoju 4A. i najdziwniejsze było nie to, że ta wersja wydawała się niewiarygodna, lecz fakt, że pozwalała złożyć historię w jedną, sensowną całość.

– a gdy rozmawiali ze sobą, jeszcze przed wyjściem, jak się zachowywał?

– Był mocno pobudzony. Jakby chciał jej przekazać coś bardzo ważnego i ekscytującego.

– a nie usłyszałaś przypadkiem o czym mówił? – Zdusił papierosa w aluminiowej popielniczce i wyciągnął kolejny dolarowy banknot.

Mary Hamilton przyjrzała mu się uważniej, ściągnęła usta. Zerknęła na pieniądze i znów na Clarka.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Jak już powiedziałam, był poruszony. a ona z początku starała się go uspokoić. Wie pan, próbowała mu przemówić do rozumu, jak to zwykle kobiety, kiedy wy, faceci, robicie to, co w czym jesteście najlepsi, i zachowujecie się po kretyńsku. Tak to przynajmniej wyglądało. z drugiej strony, gdybym przez cały czas słuchała tego, co ludzie w tej knajpie wygadują, skończyłabym jeszcze bardziej zwichrowana niż oni.

– a czy coś nietypowego działo się potem? Może ktoś już o nich wypytywał?

Pokręciła głową.

– Cóż, dziękuję, Mary. Poproszę śniadanie firmowe plus szklankę świeże-

go soku z pomarańczy i dużą kawę.

– Alleluja! – Mary Hamilton kilkoma ruchami zanotowała zamówienie. – Ja już pana widziałam – dodała, zgarniając notes do kieszeni fartucha.

– Gdzie?

Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała w wypełniającą wnętrze mgiełkę. Jakieś uczucie zmiękczyło ostre rysy jej twarzy.

– Na ekranie... – Złożyła rękę na biodrze. – Zaraz, jak się pan nazywał...?

– Ja kiedyś...

– Nie, nie, nie. Proszę nawet nie zaczynać! Chciałabym, żeby wszystko zostało po staremu. Spotyka się kogoś, rozmawia. a potem okazuje się, że brzydko pachnie mu z ust, handluje zmywkami i niezbyt często obcina paznokcie. Nie trzeba mieszać dziewczynom w głowach. Pójdę lepiej po tę kawę... – Odwróciła się, by odejść.

– Hm, Mary, jeszcze tylko jedno.

Obejrzała się.

– Ci dwoje, o których pytałem. Gdzie wtedy siedzieli?

– Tam. – Wskazała brodą najdalszy, najciemniejszy zakątek „Edna’s Eats”.

– Czyli tam, gdzie ta parka teraz?

– Jaka parka?

– No ci, jeszcze przed chwilą się sprzeczali... – Urwał. Siedzenia były puste.

– Nie było tu dzisiaj żadnej parki, proszę pana. Przez całe rano nie miałam ani jednego klienta. Jest pan pewien, że chce ten sok...?

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Pojechał wzdłuż Arroyo Seco, mijając schludne, słodziutkie domki w stylu Arts and Crafts, przez most Colorado Street, na którym powiesiła się Betty Bechmeir. Zatrzymał się na moment na granicy Pasadeny, w miejscu, gdzie stała masa tablic wskazujących drogę na nowe osiedla, rzucił okiem na plan April Lamotte, po czym znalazł malowniczą szosę prowadzącą wśród zielonych wzgórz na północny wschód. Niebawem wjechał na kręte serpentyzny. Widoki były coraz bardziej fantastyczne. Myszołowy. Mieniające się wodospady. Orły. Po raz dziesiąty zerknął dla pewności w lusterko i nacisnął guzik składający dach delahaye'a.

Rustykalny drogowskaz, deska z wypalonymi literami, sugerował skręt w prawo na punkt widokowy. Clark zjechał na bok, wyłączył silnik i wysiadł z wozu. w pobliżu nie było żywej duszy. Drogą nie jechał ani jeden samochód. Miejsce rzeczywiście robiło wrażenie. Szum wiatru, drzewa, słońce, szmer wartkiego połyskującego w dolinie strumienia. Otwierające się za starą barierką z drewna i żelaza urwisko przyprawiało o zawrót głowy. Bez względu na to, czy April Lamotte wybrała ten punkt świadomie, czy nie, było to doskonale miejsce na śmierć.

Pogrzebał w żwirze. Rozejrzył się. Wiele świeżych, zdeptanych niedopałków. Paczki po chesterfieldach, brudne grudki wyplutej gumy do żucia, niedojezione kanapki, kilka trzepoczących na wietrze kartek wczorajszej „Van Nuys News”. Gliniarze są tacy niechlujni. w płątaniu świeżych śladów opon zauważył kilka większych – zapewne karetka i pomoc drogowa. Ostroż-

nie wychylił się ponad niepewną poręczą i spojrzął w przepaść. Oderwane od zbrocza skały tworzyły rumowisko ciągnące się w dół, pomiędzy modrzewiami, aż ku migocącej strudze. Zauważył też coś długiego i czarnego. Leżało zwinięte i paskudne jak wąż, mniej więcej trzydzieści stóp poniżej. Serce zbiło mu mocniej. Wicher zahuczał w uszach. Gumowy szlauch, który zakończył życie April Lamotte. Zapewne wyrzucili go tam turyści, którzy znaleźli zwłoki, lub może faceci z pomocy drogowej. Dowód czy nie, policjanci nie zamierzali ryzykować niebezpiecznego zejścia w dół. Clark też nie.

Pospacerował jeszcze chwilę dokoła. Natknął się na niewielki strumyczek. Obmył twarz i napił się. Woda rzadko miała tak słodki smak. Potem udał się ku linii nachylonych ku górom drzew i wysikał się. Kończył już, kiedy wśród ścielących się na ziemi sosnowych igieł zauważył jakiś odblask. Podniósł. Strzykawka ze szkła i stali. Tłok nie był wciśnięty.

* * *

Pojechał szosą głębiej w góry, w kierunku Bark Rise. Minął niewielkie osiedle bungalowów i zobaczył stację benzynową, przy której działał mały sklepik. Zatrzymał się. Chudy, parszywy kundel na łańcuchu zaczął na jego widok warczeć i ujadać. Zgarbiony staruszek, który wyszedł z chaty, miał bielmo na tym samym oku co jego psisko i podobnie zepsute zęby.

– Elegancki wóz – mruknął, gdy zaterkotał licznik dystrybutora i do baku delahaye’a popłynęła benzyna. – Szkoda tylko tego okna. Gówniarstwo z miasta?

– Tak. Słyszał pan może o tym, co się wczoraj stało kawałek dalej? o tej samobójczyni?

– Niewiele. Wiem tyle, że policjanci wykupili cały mój zapas chesterfiel-dów.

– Ludzie często kończą ze sobą w tamtym miejscu?

– Nic o tym nie słyszałem. To ładny widok i na mój gust człowiek nabiera tam raczej ochoty zacząć wszystko od nowa, niż kopnąć w kalendarz.

– Też mi się tak wydaje. – Clark przypomniał sobie te krótkie, ponure urywki zdań z notesu April Lamotte. Jak brzmiał ostatni? Coś o „martwym i pustym miejscu”...

– Pan to pewnie z prasy, nie?

– Nie. Tak się akurat składa, że ją znałem.

Licznik ucichł.

– Będzie trzy pięćdziesiąt. – Staruszek zamachał ociekającym benzyną pistoletem.

– a proszę powiedzieć, nie widział pan w okolicy faceta trochę podobnego do mnie? Wysoki. Taki sam jasny gamitur. Mógł mieć brodę, ale za to uszy i zęby identyczne jak moje.

– a co? Krewny jakiś?

– w pewnym sensie.

Staruszek pokręcił głową, przyjął pieniądze i zawiesił pistolet na dystrybutorze.

– Pan na pewno nie z gazety?

– Na pewno. Ja tylko...

– Słyszałem, że ta cizia była całkiem, całkiem. a bryczkę miała prawie tak piękną jak ta tutaj. i już po niej. Wielka szkoda. Prędzej niż w samobójstwo uwierzyłbym, że ktoś źle wjechał w tamten zakręt i wyleciał do wąwozu. Te barieryki muchy by nie zatrzymały. Najwyższy czas, żeby ktoś się tym zajął. Powiedziałem o tym wczoraj rano policjantom.

– Tym, którzy przyjechali w sprawie samobójstwa?

– Nie. Wcześniej był tu inny glina. Zauważyłem go, kiedy tamtędy jechałem. Montował jakąś blokadę drogową. Mówił, że to do badań ruchu, czy coś.

– Kiedy to było?

Staruszek obrzucił go tym pustym – mówiącym „jakiś głupi chyba” – spojrzeniem, do którego Clark powoli zaczynał się przyzwyczajać.

– No, mówiłem, wczoraj rano.

– Ale o której godzinie?

– Dziewiąta trzydzieści, może o dziesiątej. Mgła utrzymuje się tam czasami aż do południa.

– Jak ten policjant wyglądał?

Staruszek potarł swój trzydniowy zarost.

– Powiedziałbym, że wysoki gość. Prawie taki jak pan. i też w średnim wieku. Tyle że szczuplejszy. Miał taką pociągłą facjatę, wie pan, jeden z tych, co wyglądają na smutnych, nawet kiedy nie są. i miał na nosie te nowomodne okulary, co to je ludzie od słońca noszą. Czapki też nie zdjął.

– Mówił z jakimś szczególnym akcentem?

– Ja to nazywam kościelnym głosem.

- To znaczy, jak? Melodyjnie?
- Nie, skądże znowu. Po prostu jak ci wszyscy po szkołach. Zupełnie nie dało się poznać skąd pochodzi. Wie pan, taki niby wykształcony.
- a widział pan, czym przyjechał?
- No nie inaczej. Normalny policyjny radiowóz. Stał w poprzek drogi i ustawił obok znak stopu. Zwykła, czarna fura. No i powiedział, że robi jakieś badania bezpieczeństwa.
- a marka tego radiowozu?
- Taka, co to się jej nie zapamiętuje. Mówiłem już...
- Standardowy, czarny sedan, może mercury? z symbolem na drzwiach i kogutem na dachu?
- Staruszek pokiwał głową.
- i potem już go pan nie widział?
- Tym razem dziadek zaprzeczył gestem.
- w tej okolicy nieczęsto widuje się policję. Mało tu mamy przestępców. Za to więcej karettek. Zimą zjeżdżają do nas miastowi, do domków w górach. Bawią się w pionierów. i jeżdżą na śniegu tymi... no... – Skrzywił się i zamachał chudymi ramionami.
- Na nartach?
- Właśnie. a potem pogotowie zwozi ich z połamanymi nogami. To pewnie taki nowoczesny sposób na zabicie czasu.
- a pan często bywa w Los Angeles?
- Raz byłem. Ale ponoć wiele się tam teraz zmieniło. Słyszałem, że w kinematografach mają takie diabelstwo, które miesza ludziom we łbach. a aktorki podobno skaczą wtedy pod czaszką jak chochliki. i zmieniają ludziom myśli. To raczej nie po bożemu.
- Święta racja – zgodził się Clark. – To zupełnie nie po bożemu.

TRZYDZIEŚCI

Dalej pojechał zgodnie ze wskazówkami staruszka ze stacji. Bark Rise stanowiło raczej nazwę całej okolicy, a nie pojedynczej osady, i wszystkie jej leśne podjazdy były starannie ukryte, przesłonięte roślinnością. Mieszkało tu zamożne Los Angeles, przeplancowane z nadbrzeżnej niecki w podnóże gór San Bernardino bez utraty choćby jednej kropli drogiego, miejskiego eliksiru. Wyminęła go jadąca z naprzeciwka rowerzystka. Opalona blondynka z długimi nogami, niebywale piękna. Zresztą, tutaj wszystko wyglądało jak z reklamy.

Drogę oznaczono tabliczkami z polerowanego brązu i zakręt prowadzący do Larch Lodge znalazł bez większego trudu. Zaparkował pod drzewami, nieco przed skrzyżowaniem. Zaczął się zastanawiać, jak daleki spacer go czeka i dlaczego właściwie nie zabrał ze sobą colta. Nie szedł jednak zbyt długo, przechadzka zajmowała akurat tyle czasu, by wytworzyć złudzenie, że budynek z pni i rzecznych kamieni jest jedynym ludzkim siedliskiem w promieniu pięćdziesięciu mil. Trakcja elektryczna została poprowadzona pod ziemią. Nie było słycać niczego poza szumem rozkołysanych sosen. Larch Lodge był przysadzisty, bardzo starał się wyglądać przytulnie i sprawiał wrażenie, że pochodzi z kart niezbyt udanej bajki. Za chatą stał udający stodołę garaż na cztery samochody i mniejszy domek dla służby lub gości.

Najpierw sprawdził właśnie tam. Zajrzał do niewielkiego wnętrza przez okna. z zewnątrz zabezpieczono je kratami, a pomieszczenia w środku raczej nie były intensywnie używane. Clark odwrócił się i rzucił okiem na falujące

drzewa. Ktoś przecież mógł się w tej chwili kryć w lesie. Właściwie gdziekolwiek. Mógł obserwować. Czekać. Bardziej prawdopodobne jednak było, że z lasu wyskoczą zaraz stworzenia z emotycznych kreskówek – śpiewające chórem drozdy, obdarzone seksownymi głosami samy lub promieniejące życzliwością, roztańczone króliczki.

w ścianach garażu nie było okien, lecz znalazł boczne drzwi, zabezpieczone skoblem, ale bez kłódki. Na betonowej podłodze stał mdło pobłyskujący samochód. Plymouth coupe P9 roadking w kolorze brudnej zieleni. Maszyna zdecydowanie niższej klasy od cadillaca czy delahaye'a. Zerknął na siedzenia, powąchał rurę wydechową, dotknął opon, pomacał maskę. Ten wóz nie jeździł zbyt często. Może zapasowy, kupiony z myślą o wyprawach do Pasadeny po alkohol? Poza plymouthem, garaż okazał się pusty. Nie było w nim nawet narzędzi.

Clark przeszedł do głównego budynku. Tutaj okna również były zakratowane. w kuchni zauważył masę niepozmywanych naczyń. w sypialni niezasłane podwójne łóżko. Oparł się o drewnianą ścianę i spróbował zmusić umysł do bardziej wytężonej pracy. Oczywiście znaki czyjegoś niedawnego pobytu, ale poza tym domek wydawał się opuszczony. Sięgnął do kieszeni po klucze Daniela Lamotte'a, przejrzał je i wybrał ten, którym się jeszcze dotąd nie posłużył.

Wzmocnione żelaznymi nitami drzwi otworzyły się cicho i wypuściły zastale powietrze. Meble wyglądały na zakupione w komplecie z całym siedliskiem – ciężkie, drewniane, próbujące udawać wyposażenie sklecone przez prawdziwego pioniera, a nie przez meksykańskie dzieciaki harujące w stolarskim warsztacie. w salonie nad żelaznym piecem wisiał łeb łosia. Clark zerknął do kominka, by sprawdzić czy ktoś ostatnio nie próbował czegoś spalić, ale wewnątrz było fabrycznie czyste. w kuchni panował bałagan. Mimo lśniących blatów i kraciastych zasłon w oknach, unosił się w niej identyczny fetor alkoholu i zupek „Campbell” jak w pokoju 4A w Blixden Apartments.

Sypialnia jeszcze bardziej kojarzyła się z prawdziwym Danielem Lamotte'em. Na krześle przy stoliku wisiała jasna marynarka, bardzo przypominająca tę, którą miał na sobie Clark. w powietrzu snuł się imbirowy zapaszek, ten sam, który poczuł, otwierając w Venice tekturową walizkę. Gestem wytrawnego bukinisty badającego stronicę białego kruka, kciukiem i palcem wskazującym potarł prześcieradło. Gdyby April Lamotte nadal była jego

klientką, mógłby jej przekazać, że małżonek niedawno tu nocował. Nie zeszłej nocy, ale może przedwczoraj i kilka razy przedtem.

w popielniczce na stoliku piętrzyła się sterta zgaszonych lucky strike'ów. Pogrzebał w nich i znalazł cztery pastelowe niedopałki, noszące ślady bordowej szminki. Raz jeszcze spojrzął na łóżko, lecz było już dla niego oczywiste, że ostatnio spała w nim tylko jedna osoba, i to niespokojnie. Na stoliku stała też szklaneczka. Poza beżową warstewką czegoś, co wyglądało i pachniało jak wyschnięty bourbon, na ściankach widać było kredowy osad. Zajrzał do stalowej szafki obok prysznicza w łazience. Poza szamponami i pastą do zębów znalazł w niej – podobnie jak wcześniej w Erehwon – wiele pudełek i buteleczek ze środkami uspokajającymi.

Odnosił wrażenie, że elementy składają się powoli w jeden obrazek. Daniel Lamotte został tu przywieziony przez żonę – oszołomiony prochami w „Edna's Eats” – w zeszły piątek. Zamknęła go tutaj, w domu o zakratowanych oknach i z ciężkimi, wzmocnionymi drzwiami. Być może odwiedziła potem męża raz lub dwa, planując jednocześnie upozorowanie jego samobójstwa. Przy każdej wizycie zapewniała, że wszystko będzie w porządku, że zdoła sprawić, że złe sny odejdą, i sugerowała zapewne, by może napił się jeszcze i połknął do tego kilka tabletek. Tak jak zawsze.

* * *

Zaglądał do kolejnych szuflad. Znalazł jedynie kilka połamanych, wypisanych niemal do cna ołówków, buteleczkę zaschniętego atramentu i pióro z uszkodzoną stalówką. Większość szafek była pusta; Clark stwierdził w duchu, że Lamotte'owie kupili Larch Lodge kilka lat temu i potem nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem począć. Ach, problemy zamożności...

Otwarcie oparła się jedynie szuflada rustykalnie pomalowanej skrzyni; pojemnik był wykonany z cienkiej sklejki i tkwił tutaj, by wypełnić puste miejsce pomiędzy dwiema rycinami Remingtona^[9]. Clark wrócił do kuchni, przyniósł z niej nóż i siłą otworzył tani zamek. Nie spodziewał się wyjątkowych odkryć – chcąc ukryć coś ważnego, każdy skorzystałby z pewniejszego schowka – w środku znalazł jednak książeczkę czekową i kluczyki. Kluczyki nie kryły w sobie żadnej tajemnicy; na breloczku widniało logo Plymoutha i z pewnością pasowały do P7 z garażu. Podobnie – choć tylko w pewnym sensie – nie kryła sekretów książeczka. Nikt z niej jeszcze nie korzystał, a wystawiono ją do rachunku założonego w banku Great Western na nazwisko

państwa Richarda i Elizabeth Tudor.

Elizabeth Tudor – żona autora „Królowej dziewicy”... a czy Richard nie był czasem jednym z kochasiów władczyni? Próbujący zmienić tożsamość ludzie rzadko opierają się pokusie wymyślenia fantastycznych nazwisk. Dotyczyło to nawet osób tak inteligentnych jak April Lamotte. Opowiadała mu przecież o wyjeździe i nowym początku w Argentynie, gdzie życie obojga małżonków miało odzyskać utracone barwy. Dzięki doświadczeniom z błyskawicznymi rozwodami, Clark wiedział, że mimo usilnych starań gubernatora, granica z Meksykiem wzdłuż rzadziej uczęszczanych dróg była dziurawa jak ser, a granice bardziej oddalonych państw, na południu kontynentu, były strzeżone jeszcze mniej starannie. Wizy, paszporty, prawa jazdy, akty małżeństwa nie miały tam żadnego znaczenia. o ile miało się pieniądze, które April najwyraźniej gromadziła na swoim nowym koncie, pod fałszywym nazwiskiem. Czego więcej potrzebowała do rozpoczęcia życia z pozornie zmarłym mężem, poza solidnym, lecz nierzucającym się w oczy samochodem i książeczką czekową?

To aż tak proste. Bez odpowiedzi pozostało jedynie kilka pytań. Na przykład: przed czym April uciekała, oraz w jaki sposób i dlaczego zginęła? No i co, do diabła, stało się z jej mężem?

* * *

Podczas swego odosobnienia w chacie Daniel wciąż pisał – to było jasne. Clark rozejrzał się po domku. Jedną ścianę salonu przesłaniał zabudowany regał. Na półkach stały szeregi oprawionych w skórę katalogów i roczników, które wyglądały na zakupione wyłącznie z powodu atrakcyjnych grzbietów. w nadziei, że znajdzie coś za nimi, wyciągnął po kilka z każdego rzędu, lecz bez powodzenia.

Niektórzy zapewne zdziwiliby się, że pisarz nie posiadał żadnych prawdziwych książek – nie było ich tutaj w Larch Lodge, ani w Erewhon, ani w pokoju 4A – Clark jednak nie był zaskoczony. Swego czasu poznał kilku autorów. Większością cech się między sobą różnili, ale jeżeli cokolwiek ich ze sobą łączyło, to właśnie fakt, że nie cierpieli innych ludzi pióra; ich fizycznej obecności, wieści o sukcesach bądź porażkach, a ponad wszystko nie znosili cudzych utworów.

Dotarł do najniższej półki, teraz już po prostu odrzucał kolejne tomy na bok – oprawione w okładki z tłoczonymi złotymi literami roczniki „Los An-

geles Examiner” od 1911 do 1938 – i wciąż nic. Jedna książka jednak dziwnie załopotała. Podniósł ją z podłogi i okazało się, że z tego egzemplarza powrywano fragmenty wielu stron. Starannie przejrzał pozostałe. w ten sam sposób potraktowano roczniki z lat od 1928 do 1933. Clark usiadł w rustykalnym fotelu, plecami do regału. Na szczęście, Daniel Lamotte usuwał głównie zdjęcia i nie było trudno się domyślić, czego brakowało.

z książek zniknęły wszystkie co do jednej fotografie Larsa Bechmeira. Wyrwane zostały również wizerunki Howarda Hughesa – w tym zdjęcia dokumentujące jego przygody z awiacją. Clark nie znalazł też Herberta Kisberga, będącego w owych czasach w zasadzie zwykłym naiwniakiem; przybyłym ze wschodu młokosem, który, zakładając swoje liche studio pod nazwą Senserama, rzucił wyzwanie uznanym gigantom branży. Tak, to również pasowało do całości. Ale wyrywanie informacji dotyczących szpitala psychiatrycznego Metropolitan? Artykuły o ucieczkach pacjentów, inspekcjach, zmianach w składzie zarządu? Przejrzał resztę almanachów, lecz niczego więcej nie znalazł. a przynajmniej niczego, o co mogłyby się zaczepić jego skołowane myśli.

Skup się, Clarkie. Kombinuj. Nie wypadnij z roli.

April Lamotte niemal na pewno zostawiła Dana tutaj, a sama wróciła do miasta, by przygotowywać się do realizacji planu. w tym czasie zajrzała zapewne raz lub dwa do chaty, żeby utrzymać męża we względnym spokoju oraz zapewne, by zabrać i zniszczyć cokolwiek napisał. Tylko że do ostatniej wizyty nie doszło. April skończyła martwa kilka mil wcześniej we własnym cadillacu. Być może tego dnia przyszedł po Daniela ktoś inny. Clark musiał pamiętać o tak wielu rzeczach. Układanka zaczynała się rozsypywać i zmieniać kształt, tworząc konfiguracje, które, jak się wydawało, nie miały sensu.

Ale myśl – myśl, jak zwykle myślisz. Potraktuj tę sprawę jak zwykły małżeński problem. Ktoś pieprzy kogoś innego. Pozostaje więc jedynie kwestia znalezienia zdradzieckich płam na pościeli, odpowiednich dowodów. Gdzie jeszcze mógłbyś poszukać?

Zerknął pod łóżko, wsunął rękę pod materac. Potem – bo właściwie czemu nie – przewrócił całość na bok. Nic, poza kotami kurzu i zagubioną skarpetą. Wrócił do łazienki. Usiadł na toalecie, rozejrzał się na boki, za i nad siebie. w rogu za nim stał niewielki metalowy kosz na śmieci. Widywał już takie w oddalonych od cywilizacji miejscach, gdzie szamba nie radziły sobie z dużą

ilością papierowych odpadków. No więc, Clark, jesteś przecież detektywem od spraw małżeńskich, gdzie indziej miałbyś szukać? Odwrócił się ponownie i końcem buta Daniela Lamotte'a uniósł wieko.

Już pierwsza rzecz, jaką zobaczył, sprawiła, że poczuł radość. o ile radość była w tej sytuacji odpowiednim słowem. Strzykawka, dokładnie taka sama jak ta, którą znalazł na punkcie widokowym. Albo cholemie do niej podobna. Leżała na stosie zmiętego różowego papieru. Tłoczek był wciśnięty. Clark wstał i raz jeszcze otworzył wiszącą na ścianie szafkę, chciał potwierdzić, że zupełnie nic nie świadczyło o tym, by April Lamotte przyjmowała jakiegokolwiek zastrzyki. Słyszał, co prawda, że tego rodzaju sprzętem zaczynali się ostatnio posługiwać niektórzy narkomani, ale gdyby chodziło o nałóg, w przypadku Daniela Lamotte'a bez wątplenia natknąłby się na bardziej oczywiste poszlaki.

Ponownie usiadł na muszli, podniósł wieko kosza na śmieci i z pewną niechęcią pogrzebał wśród zmiętych listków papieru toaletowego. Niektóre czynności śmierdzą nawet nielicencjonowanym detektywom małżeńskim. Nic nie zapowiadało, by głębiej miała czekać kolejna strzykawka, ale... ale... Clarkie, kochany, wiem, że nie chcesz w tym nurkować, ale niektóre ślady na tych różowych listkach wyglądają przecież dziwnie...

Wyciągnął jeden za koniuszek. Tak, ślady były faktycznie wyraźne, chociaż nie tego rodzaju, jakiego można się spodziewać. Papier pokrywały nagryzmolone słowa, niektóre podkreślone. w większości pisane ołówkiem, aczkolwiek niektóre skrawki z głębszych warstw kosza zapisane były granatowym atramentem. Pełno kleksów. Część papieru na wierzchu, ta, której nie chciał z początku dotykać, była brązowa, lecz również nie w standardowy sposób. Jezu – ten facet pisał najprawdziwszą krwią!

a co do treści notatek... Przede wszystkim papier był cienki i delikatny. Należał co prawda do drogiej, dwuwarstwowej odmiany, ale nie został pomyślany jako materiał biurowy. Odczytanie dodatkowo utrudniał charakter pisma Daniela Lamotte'a, trudny do odcyfrowania nawet na zapiskach, jakie Clark oglądał w pokoju 4A. Miejscami zresztą tekst nie wyglądał na angielski. Niemniej, niektóre słowa były wyraźne. Na przykład „Obudź się” oraz „i śnij”. Często powtarzało się też nazwisko Larsa Bechmeira. Większość natomiast pozostawała zupełnie nieczytelna. Przypominało to swego rodzaju szyfr, który można było zrozumieć jedynie pod warunkiem, że z góry wie-

działo się, czego dotyczy tekst. z drugiej strony, nagryzmołone pośpieszenie „Howard Hughes” znaczyło sporo. Często powtarzały się też „Met” i „szpital Metropolitan”, co miało równie mało sensu, jak brak dotyczących placówki fotografii w rocznikach, zwłaszcza że facet trafił tam dopiero po tym, jak postradał zmysły. Pojawiało się również – prawdopodobnie wymyślone przez autora – słowo „Thrasis”, które wydało się Clarkowi dziwnie znajome. Wiele fragmentów zostało zamasyżycie podkreślonych, do innych Daniel Lamotte wracał po wiele razy, aż w końcu darł się papier. Razem wzięwszy, było to bardzo dziwne. Aczkolwiek nie najdziwniejsze ze wszystkiego.

a oto i pierwsza scena ostatniej wersji scenariusza – wersji różowej, jak sobie nagle uświadomił – tej, która w standardowym kodzie poprawek następowała zwykle po kopii niebieskiej. Na samej górze widniały słowa, które mogły brzmieć „Scena pierwsza Obudź Się i Śnij”. Przeglądając kolejne skrawki, niektóre wciąż połączone perforacjami, inne przedarte na mniejsze kawałeczki, zdołał wyłowić co nieco sensu. Nie dlatego, by Daniel Lamotte niespodziewanie poprawił swoją kaligrafię, lecz ponieważ Clark tę scenę już znał.

Marna knajpa. Po północy.

Panorama.

Daniel Hogg siedzi w mroku, przy ostatnim stoliku. Popijają kawę z kubka. Jest wysoki, brodaty, dość przystojny, lecz wyraźnie przeżywa kiepski okres. Do środka wchodzi kobieta. Ubrana w fartuch pielęgniarki ze szpitala Metropolitan. Zauważa mężczyznę i

Podchodzi.

Cześć. Nazywam się April Lamotte. Kilka razy już tu pana widziałam. Co pan tam pisze...?

Panorama.

Ja? Ja tylko próbu...

Po tych słowach scena eksplodowała w konfetti gwiazdek, skreśleń, wykrzykników, pentagramów, dziwacznych symboli oraz plam z gówna i krwi.



życia Dzikiego Zachodu, Indian, kawalerzystów etc.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Wracając z Bark Rise, skręcił w złą drogę i koła delahaye'a prawie utknęły w koleinach na polanie pozostawłej po wyrębie drzew. Szpony górskich szczytów wybijały się ponad korony otaczających go drzew. Po chwili odnalazł właściwą trasę i ruszył dalej. Widział wąskie rozpadliny i pokryte śniegiem zbocza. Potem krajobraz się otworzył. Tutaj góry znikwały i kraina dalej na północ zamieniała się w położoną na płaskowyżu pustynię. Wjechał na przełęcz.

Wiatr smagał mocnymi, zimnymi biczami. Clark wysiadł, odetchnął, zapalił. Przyszło mu na myśl, że mógł zostawić Daniela Lamotte'a w chacie. Zakopanego pod ziemią, powieszzonego na gałęzi lub spalonego w kolejnym ognisku. Był jednak dziwnie przeświadczony, że gdyby scenarzysta rzeczywiście tam był, znalazłby go na pewno. Ta refleksja niewiele wносиła. Oznaczała bowiem, że podążał fałszywym, podrzuconym tropem.

Pustynia rzucała nieprzyjemne rozbłyski pod burzowymi chmurami. Zamrugała błyskawica. Cienie się ścigały. Drobinny piachu uderzały go w twarz. Wsiadł z powrotem do auta i zerknął na mapę April Lamotte.

* * *

w drodze powrotnej do Pasadeny znowu zatrzymał się na stacji benzynowej – tej, w której mieszkali ślepi na jedno oko staruszek i pies – i skorzystał w niewielkim, zaciemnionym sklepiku z automatu telefonicznego. Po raz kolejny wybrał numer agencji Nero. Po raz kolejny nikt nie podniósł słuchawki. Następnie Clark poprosił dziewczynę z centrali, by połączyła go z

budką telefoniczną na Blixden Avenue. Musiał zaczekać mniej więcej pół minuty. Wreszcie usłyszał brzęk podnoszonej słuchawki.

– Tak?

– To ty, Roger?

– a kogo innego się spodziewałeś, przyjacielu? – Tym razem chłopak naśladował akcent filmowego cwaniaka.

– Coś się tam dzieje?

– Niby co?

– Nie widziałeś nikogo obcego? Na przykład wysokiego, szczupłego koleś, prawdopodobnie w czarnym sedanie mercury z herbem na drzwiczkach? Mógł mieć na nosie awiatory i nosić mundur. Policyjny albo funkcjonariusza służb miejskich.

– Że czego?

– No wiesz, gazowni, elektrowni, wodociągów. Albo firmy ochroniarskiej. Rozumiesz?

– Tak. Ale poza gliniarzami, którzy tu ostatnio węszyli, jedynym facetem, który nosi mundur w okolicy jest Schmidt, listonosz. a Schmidt to wariat.

– Okej. Jeżeli zobaczysz kogokolwiek innego, trzymaj się od niego z daleka, dobra Roger? Ty i twoi kumple. Mówię poważnie. Chciałbym też, żebyś to powtórzył mojej przyjaciółce na górze. Dobra? Będzie albo u mnie, albo w pokoju obok.

– Znaczy, chodzi o tę żydowską dupę?

– Przystań tak mówić. Nazywa się Barbara Eshel. Przekaż jej też, że jadę teraz do szpitala Metropolitan.

– Do wariatkowa? – Roger wybuchnął śmiechem. – Coś mi mówi, przyjacielu, że wreszcie znalazłeś sobie odpowiednie miejsce.

TRZYDZIEŚCI DWA

Zjeżdżając z gór, zjadł w sklepie spożywczym lunch – butelka coca-coli i bułka z paskami suszonej wołowiny – a potem z powrotem: Arroyo Seco, wzdłuż Brooklynu, obok zakładów przemysłowych i magazynów otaczających Western Lithograph Building. Zaparkował przy ogrodzeniu bocznic kolejowej w pobliżu Boyle Heights. Przez jakiś czas siedział w samochodzie. Powinieneś być tam pojechać lata temu, Clark, powiedział sobie, kiedy chodziło jeszcze o coś więcej niż mrzonkę. Ale, podobnie jak na większość rzeczy w jego życiu, na to również było już stanowczo za późno. Przeszedł kawałek i kupił na stacji powrotny do Norwalk za pięćdziesiąt centów, zupełnie jak zwyczajny podróżny, jakby jechał gdzie indziej. Było parę minut po pierwszej.

Szpital Metropolitan, znany również jako Met, tudzież Metro, leżał wśród terenów rolniczych, na południowy wschód od miasta. Większość jego pracowników dojeżdżała z Los Angeles, dokładnie tak, jak opowiadała April Lamotte. Met obsługiwały dwie zmiany – pierwsza od wczesnego popołudnia do wczesnego poranka i na odwrót. Dzięki temu najtrudniejsze pory „pobudki” i „gaszenia świateł” obsługiwały różne zespoły. Większość oczekujących teraz na peronie wyglądała właśnie na pracowników szpitala; kobiety w spłówiących czepkach i pelerynach, mocno zbudowani mężczyźni w poplamionych kombinezonach.

Udając ogromne zainteresowanie plakatami rozlepionymi na ścianach z blachy falistej – GŁOSUJ NA LIGĘ WOLNOŚCI POMÓŻ CHRONIĆ CZY-

STOŚĆ AMERYKI; Wuj Sam mierzący palcem w przechodnia z pytaniem CZY JESTEŚ LOJALNY? – ruszył w kierunku grupki facetów w brązowych strojach roboczych, stojących na drugim krańcu peronu. Kiedy nadjechał pociąg, wszedł wraz z nimi do wagonu „Tylko dla Białych” i zajął miejsce naprzeciwko mężczyzny w mniej więcej jego wieku i jego wzrostu.

– Ile się dzisiaj zarabia w Met?

Współpasażer zmarszczył brwi i odłożył gazetę. Nosił cieniutki wąsik, nad jakiego zapuszczeniem Clark sam się często zastanawiał. – a jak sądzisz, kolego? Pięćdziesiąt centów za godzinę, lunch we własnym zakresie...

– a te eleganckie uniformy...? – Clark już sięgał po swój portfel. – Założę się, że też sami za nie płacicie.

* * *

Idąc wraz z tłumem, dotarł przed Norwalk Junction, gdzie wieża zegarowa strzelała spomiędzy grupy budynków zajmujących rozległy, otoczony wysoką siatką teren. Wielka, żelazna, łukowato sklepiona brama, na której widniało jakieś łacińskie motto, była już otwarta. Pracownicy jednej zmiany wchodziłi, inni wychodzili. z postawionym kołnierzem i spuszczoną głową, w podartym kombinezonie z odznaką „Wydziału Utrzymania Czystości Departamentu Zdrowia Hrabstwa Los Angeles” w klapie i jedyną rzeczą, jaka mogła sprawić, by ktoś wziął go za Daniela Lamotte’a – okularami, bez których zaczynał się czuć dziwnie nagi – przeszedł przez kołowrót przy wejściu i ruszył dalej spękana betonową ścieżką.

Ochrona Met okazała się jeszcze słabsza niż się spodziewał, a instytucja nie przypominała typowego szpitala tak bardzo, jak się tego obawiał. Mijał pola, sady, skupiska domków. Zrozumiał, jak to możliwe, że krewni pacjentów byli w stanie sobie wmawiać, że jest to wiejska odmiana rajy – aczkolwiek betonowe domki przypominały raczej wojskowe koszary, a większa budowla przed nim spokojnie mogłaby zagrać w emotycznym horrorze o zamku hrabiego Draculi.

Skierował się ku względnie bardziej gwarnemu, głównemu budynkowi z wieżą. Wciąż nie widział nawet śladu pacjentów, w powietrzu nadal nie unosił się szpitalny zapach. Po szerokich stopniach wchodziłi i wychodzili ubrani w gamitury pracownicy administracji, pielęgniarki i mniej ważni funkcjonari w uniformach takich jak ten, który miał na sobie Clark. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przekroczył wahadłowe drzwi i znalazł się w wysokim holu,

gdzie ktoś szczęśliwym trafem zostawił mopa i wózek z kubłem pod starym portretem jakiegoś faceta w upudrowanej peruce.

– Przepraszam – zapytał, blokując drogę zażywej pielęgniarce maszerującej żwawo po wyłożonej kafelkami posadzce – podobno w archiwum mieli jakąś awarię i trzeba posprzątać. Mogłaby mnie pani pokierować?

Kobieta wzniosła oczy ku niebu, jakby pytanie przepełniło czarę jej dzisiejszego zabieganego dnia, lecz zanim odeszła, wskazała ku windzie i wymamrotała coś o piwnicy. Clark odsunął kratę windy, wciągnął za sobą wózek z mopem, opuścił zakrzywioną mosiężną dźwignię na pozycję oznaczoną literą „P” i zatrzasnął kratę. Tuż zanim stracił piętro z oczu, zauważył wielkiego, ciemnoskórego faceta, stojącego pod portretem i patrzącego prosto na niego.

Ruszył podziemnymi tunelami. Kółka wózka skrzypiały, a podeszwy butów Clarka stukwały na podłodze. Zapalił światło i sprawdzał wszystkie drzwi po kolei. a było ich wiele. Znalazł stopy popsutych maszyn do pisania, masywne beczki z detergentami, karaluchy zdychające lub przemykające wśród kałuż tworzących się dokoła wielkich kotłów jakiejś bezimiennej zupy... Znalazł nawet sterty poplamionych, splątanych pasami strojów, które w pierwszej chwili wziął za wojskowe mundury, lecz po chwili uświadomił sobie, że to kaftany bezpieczeństwa.

Tunele prowadziły niżej i zrobiło się ciemniej, ale przynajmniej woń owej upiomej zupy przestała być dominującym fetorem otoczenia. w końcu dotarł do ostatnich drzwi. Podobnie jak wszystkie poprzednie, nie były zamknięte. Pociągnął elektryczną dźwignię i światła w pomieszczeniu po drugiej stronie niechętnie zamigotały wśród całunów pajęczyn, oświetlając wysokie wąwozy zastawionych skoroszytami półek.

Zniechęcająca perspektywa. Jednakże – dzięki niech będą Wszechmogącemu – biurokracja jest przewidywalna. Każda z półek została starannie opisana datą i kategorią. Zobaczył „Zamówienia, 1936”, „Inwentarz, 1930” – napisy wydały mu się tytułami nigdy nienakreconych musicali. Nie wspominając nawet o „Lobotomiach, 1935” i „Sterylicacjach, 1938”. Kiedy wyciągał ciasno stłoczone, sklezione wieloletnim brudem skoroszyty, by obejrzeć je w słabym świetle, w jego głowie rozległ się dziwny pomruk. Stłumił kichnięcie i rozejrzał się, czekając, aż któryś z cieni drgnie. Jednakże jedynym, co wyczuł i zobaczył, była jego własna obecność, oraz te długie, ciasne przejścia, wy-

pełnione zapomnianą historią Met.

Przeciągnął dłońmi po uginających się rzędach „Danych kadrowych”. Strącając powłoki kurzu i mysie odchody, dotarł do „Pensji”. Jeżeli April Lamotte rzeczywiście tu pracowała, musiało to być – kiedy? – pod koniec ubiegłej dekady? Znalazł styczeń 1928. Wygięty od wilgoci zeszyt otworzył się z cichym jękiem. Wówczas wszystko jeszcze zapisywano ręcznie, kolumny wnielen i ma oznaczano odmiennymi kolorami atramentu.

Przeszedł ze znaleźnikiem ku kałuży słabego światła, rzucanego przez najbliższą żarówkę. Nazwiska zanotowano w porządku alfabetycznym, nowo zatrudnionych w każdym miesiącu dodawano na końcu. PGKA musiało oznaczać pielęgniarkę. PRLN mogło opisywać pracownika pralni. SPRZT oznaczało takich jak on sprzątaczy. „Wyobraża pan sobie robienie w tym mieście kariery z takim nazwiskiem jak Hogg? Moje własne nazwisko, Lamotte, stanowiło jedyny element wcześniejszego życia, z jakiego mogłam być szczerze dumna. Tak więc, jeszcze przed ślubem stał się Danielem Lamotte’em...”. Jeżeli nie kłamała, Lamotte musiało być jej panieńskim nazwiskiem, ale w archiwach roku 1928 nie znalazł go w ogóle... Natknął się na nie dopiero tuż powyżej dolnych kolumn marca 1929, zapisane czerwonym, kaligraficznym pismem. „Lamotte, April, PGKA”.

Clark zaczął szybciej oddychać, przerzucił szeleszczące strony. Premie za nadgodziny i dodatkowe zmiany. Potrącenia za strój roboczy i pranie. Gwiazdki oznaczające poprawki. Zatwierdzające pieczątki, pozostałe po jakiejś kontroli urzędu skarbowego. Naprawdę tu pracowała. Informacje o niej urywały się w listopadzie tego samego, 1929 roku. Cofnął się do października i nachylił kartkę, by padło na nią trochę więcej światła. Na samym dole widniała notatka, niemal zupełnie zatarta przez panującą w archiwum wilgoć. Wyraźne jednak było kółko i skierowana w dół strzałka. „Przen...” – coś tam. Przez moment próbował odgadnąć znaczenie zapisu.

„Przeniesiona do...”.

Ostatnie słowo było zniekształcone tak bardzo, że nie dało się go odczytać. Clark przejrzał dalsze miesiące i lata danych o płacach. Chciał sprawdzić, czy April Lamotte pojawia się później. z tego jednak, co zobaczył, kobieta nie wróciła już do Met z miejsca, dokąd ją oddelegowano. Cofnął się więc do ważniejszych stron, wyrwał je i wcisnął do tylnej kieszeni.

Jeszcze przez jakiś czas przedzierał się przez zakurzone uliczki archiwum,

ale danych o pacjentach nie znalazł. Zapewne przechowywano je gdzie indziej, być może na górze, w biurach poszczególnych oddziałów – po co jednak szukać starych papierów, skoro facet, na punkcie którego Daniel Lamotte miał obsesję, wciąż jest pacjentem Met?

* * *

Potoczył wózek z powrotem, dotarł do windy i ustawił dźwignię na „Do góry”. Parter ominął – odniósł wrażenie, że zajmują go przede wszystkim biura. Na pierwszym piętrze jednak zobaczył wyłożoną linoleum podłogę korytarza, ciągnącego się pod rzędem świetlików ku stalowym drzwiom. Clark zatrzymał windę, odsunął kratę. Zaglądał do pustych pokojów pielęgniarek i salek wypełnionych kwaśno pachnącymi stosami prania. Wciąż prowadził ze sobą wózek z mopem. Zielone niczym wymiociny, błyszczące drzwi okazały się imponująco grube. Podobne wrażenie robił zamek. Clark obejrzał się za siebie, w nadziei że zaraz nadejdzie z pękiem kluczy jakaś pielęgniarzka lub inny pracownik. Miał też cichą nadzieję, że znajdzie jakiś powód, by mimo wszystko nie wchodzić głębiej. w pobliżu jednak nie było żywej duszy. z braku lepszego pomysłu nacisnął ciężką, mosiężną klamkę. Drzwi uchyliły się do wewnątrz.

Szpitalna woń, która już od jakiegoś czasu podkradała się w jego podświadomości, nagle stała się równie oczywista jak biały dzień. Fetor środków dezynfekujących. Zapach kurzu, kwaśny odór ciał i moczu oraz ta półczysta woń, jaka uderza do nosa, gdy otwiera się szafkę z lekami – wszystkie zmieszane. Pojawił się też dźwięk. Clark zdążył już o nim zapomnieć. Niegasnące echo, które – chociaż obecnie jakby falowało nad linoleum pod postacią najzwyczajszego szmeru kół wózka i jego własnych kroków – nadal zawierało w sobie wrzaski z przeszłości. Korytarz za drzwiami był prawie pusty, nosze na kółkach stały wzdłuż ścian niczym wagony kolejowe na tej koszarnej stacji, gdy po raz ostatni odwiedził swoją macochę Jenny. Wszędzie też zauważał przelotnie rzeczy, których lepiej było nie oglądać. Ciało wyciekające jak łyzy spomiędzy poluzowanych szarych bandaży. Plastikowe rurki znikające w nieokreślonych miejscach pod skórą. Ludzkie jęki i pokasywania, zmagające się o pierwszeństwo z nieustępliwym podkładem echa dawnych krzyków.

– Cześć, Billy... – Głos należał do Jenny, lecz twarz z jakiegoś powodu była zupełnie inna. Ciało przeobraziło się w szarą masę papierową, luźną i cienką. Pozbawiony dziąseł uśmiech i czerwień na zębach, którą w pierwszej

chwili wziął za źle nałożoną szminkę. Ale nie taka była Jenny, nie mogła taka być. Zawsze przecież była nieskazitelna. Zawsze zadbana. Pachniała mydłem, praniem i gotowaniem. Plamki krwi widniały też na pościeli – równie szarej jak jej cera. Obok siebie czuł zażenowaną, nieporadną obecność ojca. Czuł piekielny żar jej palców, kiedy dotknęła jego twarzy.

Clark zmusił się, by powrócić do Met. Zmusił się, by iść dalej po tym szpitalu, który teraz był już przecież inny. Na przykład, zapach zupy, wyraźny już w piwnicy, wypełniał cały korytarz, stał się tak intensywny, że maskował woń wybielacza i niemytych ciał. Nie rozlegały się też żadne wrzaski. Przy najmniej nie poza głową Clarka. w lśniącym, zielonym powietrzu niosły się jednak wołania, które skojarzyły mu się z tym fragmentem „Odysei”, kiedy Odyseusz spotyka syreny. To dziwne, lecz dźwięki naprawdę brzmiały słodko. Pulchna kobieta we wzorzystej koszuli nocnej przepłynęła obok w mglistym, metalicznym świetle. Uśmiechnęła się szeroko, rzuciła „Cześć, przystojniaku” i nucąc pod nosem, poszła dalej. Odpowiedział jej uśmiechem, powiedział „Cześć, piękna” i dalej poprowadził wózek, zanim przyszło mu do głowy, że mógł ją zapytać o drogę.

Przyciągany zaśpiewem, minął kolejne otwarte drzwi. Met nie był miejscem, którego się spodziewał. Gdzie te zakratowane cele i wrzaski udręczonych jestestw? Nawet woń zupy nie była najgorsza – prawdę powiedziawszy, Clark zauważył, że zaczęła mu ciec ślinka. Nad jego głową, pod sufitem, biegły grube rury i słyszał – czuł – ich pomruk. Co do innych zapachów, dźwięków – trzaskania i stłumionych stęknąć towarzyszących walce, którą w pewnym momencie zauważył: trzech wielkich facetów w wyłożonym białymi kafelkami pomieszczeniu trzymało innego, o wiele drobniejszego, leżącego na skórzanej ławce, podczas gdy czwarty rozwijał gumowy wąż – były tutaj równie naturalne jak piosenka ptaków...

Koła wózka pogwizdywały i Clark pogwizdywał wraz z nimi, próbując odnaleźć melodię pasującą do tego, co śpiewało mu w głowie. Nigdy wcześniej nie pomyślał, że radość może mieć jakiś właściwy sobie kolor, lecz tutaj wisiała migotliwą różową chmurką ponad i wokół wszystkiego. Wrażenie przypominało nieco oglądanie dwóch, nałożonych na siebie miejsc. z jednej strony, przemierzał przestronne, długie pomieszczenie z oknami, w których wzmocnione metalową siatką szyby wpuszczały szare światło padające na stalowe krzesła i stoły, na kilka pomarańczowych pudeł z układankami i czaso-

pismami oraz parę rzuconych na kupę materaców. z drugiej jednak, scenę cechowało piękno, kojarzące mu się z tymi frymuśnymi włoskimi malowidłami, na których centaury i skrzydlate bobasy brykały przy dźwiękach fletni. Tyle że tutaj wrażenie było lepsze. Było prawdziwe.

Met wyglądał dokładnie tak, jak wyglądać powinien. Taki szpital rozkazałby stworzyć sam Pan Bóg – gdyby tylko Pan Bóg był psychiatrą w białym kitlu, z zawieszonym na szyi zamiast stetoskopu szlauchem z brązowej gumy i może z kołyszącymi się w uzdrowicielskich rękach kablami elektrycznymi podłączonymi do generatora.

Różnica, ocenił, brała się z ludzi. Byli tak szczęśliwi, że dosłownie świecili niczym chińskie lampiony. Clark spojrzął po sobie i stwierdził, że również łśni. Emanowały z niego radosne protuberancje zielonkawej poświaty.

– Przepraszam, czy może ktoś z was wie, gdzie mogę znaleźć gościa nazwiskiem Howard Hughes..? – Jeszcze zanim skończył pytać, uświadomił sobie, że prośba jest niedorzeczna. Wybuchnął śmiechem, jakby opowiedział właśnie najbardziej zabawny dowcip w dziejach, roześmieli się wszyscy w pobliżu.

Skądś z zewnątrz mgły, spoza całego Met, zauważył, że obok niektórych z tych osób nie chciałby siedzieć w tramwaju. Żuchwy zwiślały im luźno, mieli wykrzywione ciała i nosili obszerne, odsłaniające tyłki koszule, które nie pozostawiały wiele miejsca wyobraźni. Jeden facet – jakby w ramach rekompensaty – miał na nogach parę kaloszy. Inny – w pasiastej czapce kolejarza – wyciągał swojego pokaznego futra prosto w stronę Clarka. Zbliżali się coraz bardziej.

Poczuł na sobie ręce. Wszędzie. Pachnące papierem, mięsem – zupą – zaroily się na jego twarzy, przekrzywiły okulary, pociągnęły go ku sobie i w dół. Poddając się ich objęciom, spojrzął na ciemniejący sufit i, widząc ponownie te wielkie rury, uświadomił sobie, że to, co w nich pulsowało, wcale nie jest zupą. z pewnością płynęła nimi czysta radość – musieli ją tutaj, w Met produkować, a potem wypuszczać na zewnątrz jak wodę wodociągami. Radość nie była brązowa jak zupa, nie miała żadnego określonego koloru, ale stanowiła mieszanekę wszystkich barw tej rojnej, łaskoczącej poświaty. Radość była ciepła i kłująca i gładka i zimna; radość była wszystkim tym naraz – i wieloma innymi rzeczami, jakich nie był w stanie wyrazić. Kończyny i jasne, chętne usta połączyły się z nim w pojedynczej, syreniej pieśni...

– Co wy wyprawiacie?! – huknął ktoś. – Ten facio nie jest jak wy. To ważniak. Ma mopa i wózek. a teraz musi iść gdzie indziej...

Chwyciły go szerokie dłonie, wyciągnęły z powrotem przez wahadłowe drzwi do korytarza, w którym różana poświata była tak słaba, że opierając się ciężko o ścianę, poczuł, że mógłby za nią zapłakać.

– Czemuś mi ukradł mopa i wózek? – Nieznajomy był wielki, czarny i łyсы. Kiedy się uśmiechnął, okazało się, że w dziąsłach nie ma ani jednego zęba, a jego lewa brew zastygła w górze, przez co wyglądał na wiecznie zdziwionego.

– Przepraszam, ja tylko... – Clark czuł smutne, gorzkie resztki radości. Poprawił okulary. Żołądek zrobił fikołka. Sięgnął ręką do głowy i drapaniem spróbował pozbyć się dziwnego swędzenia pod czaszką. – Pożyczyłem na chwilę, żeby coś zrobić.

– Zastępujesz kogoś?

– Niezupełnie. Co się tam do diabła działo?

– Widzę, że niewiele wiesz o Met, skoro nie słyszałeś o czuciakach.

– o czuciakach?

– Wy, tam, na zewnątrz, nazywacie je emotykami. – Wielki czarny facet pomachał grubym palcem. – Ale to słowo nie jest dość mocne na to, co się dzieje tutaj. To nie jest jakaś zwykła emocja. To wprawia cię w nowe uczucie.

Clark zajrzał przez szybę w drzwiach do sali. Wciąż czuł dźwięczny posmak radości, która go tam opanowała, ale teraz wydawała się już tylko chłodnym echem jakiegoś widmowego dzwonu. Wrażenie, wcześniej jednoznaczne go z tymi smutnymi wyrzutkami człowieczeństwa, którzy przechadzali się po wielkim pomieszczeniu w niejasnym, mrocznym świetle, zniknęło zupełnie. Pewna kobieta zastanawiała się nad zjedzeniem jeszcze jednego klocka układanki. Inna zaplatała supelki na splątanej kuli włosów, którą powoli przeżuwała. Trzecia, skulona w kącie, kołysała się miarowo w przód i w tył, i w przód i w tył. Mężczyzna w czapce kolejarza wciąż trzymał fiuta w dłoni. Ale wszyscy byli tak bardzo szczęśliwi. Wszyscy się uśmiechali, śmiali, śpiewali. Teraz Clark wyraźnie zobaczył mgiełkę plazmy, wiszącą, snującą się niczym nadmorska mgła. z jakiegoś powodu ostatnim, co zobaczył na sali, były stojące pod dwiema przeciwległymi ścianami druciane przykurzone kraty. Nawet tutaj dolatywało ich elektryczne bzyczenie.

– Jak, do diabła, udaje się wam tu nie... – urwał.

– Nie zwariować? To chciałeś powiedzieć? Tak, przy okazji, jestem Mały Joe. Nie chcę być nieuprzejmy, ale nadal nie wiem, coś ty za jeden. Ani dlaczego zabrałeś mój wózek.

Clark wciąż był nieco oszołomiony. Znowu podrapał się po głowie.

– Nazywam się Daniel Lamotte. Jestem scenarzystą i zbieram materiały do pracy. Wiesz, jak to pisarze.

Przez stale uniesioną brew i całkowity brak uśmiechu, wyraz twarzy Małego Joe był trudny do odczytania i, co prawda, może się nie uśmiechnął, ale nie zmarszczył też czoła.

– Pracuję nad scenariuszem opowiadającym o życiu Larsa Bechmeira i macie tutaj pacjenta, z którym nie pozwala mi się zobaczyć wasze kierownictwo. Dlatego pomyślałem, że jeśli pożyczę kombinezon sprzątacza i rozejrzę się dokoła, znajdę go sam. Ale cóż, wyszło na to, że się pomyliłem.

– To wielki budynek. No i nikt tutaj specjalnie nie przejmuje się oznaczeniami.

– Tak, zdążyłem zauważyć.

– Poza tym są czuciaki.

– Ich również ciężko nie zauważyć.

– Jak się nazywa ten gość, którego szukasz?

– Howard Hughes.

– How... – Prawa brew na moment dołączyła w górze do lewej. – Ach, chodzi o Howiego, tak? Howie jest tam gdzie zawsze. Bez niego Met by się chyba zawalił.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Mały Joe powiódł Clarka przez labirynt szpitala trasami, których detektyw nigdy by sam nie odnalazł. Po drodze widzieli i wyczuwali inne światlice: wypełnione zadowoleniem przystanie śmiechu i podskoków, oraz miejsca, gdzie pacjenci leżeli zatopieni w syczących fioletowych falach biemego spokoju. Korytarz, do którego wreszcie trafili, był wypełniony węzłami i rozgąłżeniami jeszcze gęstszej masy rur oplatających cały Met. Wzmagające się pomruk i bzyczenie zwiastowały, że zbliżają się do źródła.

Za potężnymi gotyckimi wrotami znajdowała się katedra siłowni. Stały w niej wielkie – przypominające czajniki – kotły z błyszczącego mosiądzu. Niekończące się rury i pomosty wisiały wysoko w górze.

– Dalej lepiej idź sam – zawołał Mały Joe, przekrzykując nagły ryk. – Howe nie lubi tłumów.

Wysoko, na jednym z pomostów, pracowała samotna postać w splamionych ropą ogrodniczkach, równie zabrudzonej koszuli, brązowym kaszkiecie i ciężkich buciorach. Clark wspiął się po drabinie. Potem po jeszcze jednej.

– Hej!

Postać nie przerwała swego zajęcia. Okrągłe zegary i zawory cykały i dygotały.

– Przepraszam...?

Howard Hughes uparcie ignorował gościa. Clark przeszedł po ostatniej stalowej kładce. Mężczyzna wciąż był wysoki i wyglądał zupełnie normalnie; nadal był wystarczająco przystojny, by zagrać w niektórych własnych fil-

mach, właściwie tylko kaszkiet leżał mu na głowie nieco dziwnie, zbyt płasko.

– Panie Hughes? Howie...?

Hughes wyprostował się i odwrócił dopiero, gdy dokręcił śrubę, która go dotąd zajmowała. Klucz dynamometryczny schował do kieszeni.

– Pan do mnie? – spytał z tym samym powolnym, teksańskim akcentem, jaki Clark pamiętał z kronik filmowych.

Pamiętał go również z tego nieudanego castingu, na którym został przez Hughesa odrzucony; producent stwierdził wtedy, że uszy aktora wyglądają jak otwarte drzwi taksówki. w miękkim, brązowym spojrzeniu mężczyzny nie pojawił się jednak nawet cień rozpoznania. Howard Hughes wyglądał na zubożonego – bardziej znudzonego niż zaskoczonego. Może też nieco zniecierpliwionego; widać było, że marzy tylko o tym, by wrócić do swoich maszyn.

Dziesięć lat temu ten człowiek nie schodził z łam gazet. Howard Hughes na premierze kolejnego ze swych filmów, z uwieszoną na ramieniu cynamonową lalunią. Howard Hughes wykonujący nową akrobację jednym ze swych samolotów. Zarówno filmy, samoloty, jak i cycki stawały się w miarę upływu czasu coraz większe, aż wreszcie pojawiły się emotyki – co większość ludzi uznała za pomysł koronujący wszystkie szaleństwa Hughesa. Pierwszym filmem emotycznym, mamą jakościowo produkcją zatytułowaną „Pęknięte zwierciadło” Hughes otworzył bramę nowej branży. i brama pozostała otwarta, aczkolwiek to nie sam Hughes na tym skorzystał.

Rynek przejęły nowe studia w rodzaju Senseramy, zasilane świeżą falą pieniędzy ze wschodu. Dawne, prowadzone przede wszystkim przez Żydów, wytwórnie zaczęły podupadać. Podobnie jak – w myśl coraz dziwniejszych, krążących po świecie plotek – podupadło zdrowie psychiczne Hughesa. Pojawiły się opowieści o kłótniach i opuszczonych w gniewie spotkaniach. Pogłoski o śmiesznie niedofinansowanych lub przeinwestowanych projektach, które nie trafiały na ekran. o tym, że odmawiał jedzenia czegokolwiek poza jedną porcją jednego konkretnego produktu. o tym, że na całe tygodnie zamykał się w szkafach i zbierał niezliczone butelki z własnym moczem. Wszystko to były dobre powody, by facet trafił do Met. Ale jeśli nawet Howard Hughes rzeczywiście oszalał, w tej chwili nie sugerowały tego ani jego wygląd, ani zachowanie.

– w czym mogę pomóc? – zapytał, wycierając dłonie w zatłuszczoną szmatę.

– Nazywam się Daniel Lamotte, jestem scenarzystą.

Hughes pochylił się i zmrużył oczy, jakby patrzył przez gazę.

– Coś mi to mówi. Napisał pan coś, co mogę znać?

– Może taki emotyk, „Królowa dziewica”.

– Oczywiście! – Wciąż przystojna twarz Hughesa rozciągnęła się w uśmiechu. – Świetna rzecz. Żałuję, że nie ja ten emotyk produkowałem, a to naprawdę spory komplement. – Nagle zrobił zafrasowaną minę. – Ale co pan robi akurat tutaj?

– Pracuję nad czymś i szukam informacji. Myślę, że pan może mi pomóc.

– Ma pan kontrakt?

– Tak, z Senseramą. Podpisaliśmy ledwie dwa dni temu.

Hughes zagwizdał.

– Poważna sprawa. Już od dawna nie spotkałem nikogo pańskiego zawodu, chociaż mamy tu w Met chyba jednego czy dwóch pisarzy aktualnie przeżywających twórcze zawieszenie... – Zachichotał. Nadal miał tę swoją niewymuszoną swobodę, i wciąż wycierał ręce w tę samą brudną szmatę. – a więc? o co chodzi? o czym jest ten scenariusz?

– Biografia Larsa Bechmeira.

– Rozumiem. – Hughes rozważył odłożenie ścierki, lecz po chwili podjął wycieranie rąk. – i dlatego postanowił pan przyjść do mnie?

– Najogólniej, tak.

– Nie jestem pewien, czy będę w stanie wiele pomóc. Rozmawiał pan już z samym Bechmeirem?

– Nie, jeszcze nie.

– Tak właśnie myślałem. – Hughes pokiwał głową. Wciąż szczerzył się w uśmiechu, lecz znaczenie tego grymasu z każdą chwilą było coraz trudniejsze do odczytania. – Nigdy nie było łatwo się z nim skontaktować, oczywiście, jeżeli komuś nie wystarczały powszechnie dostępne materiały. i to jeszcze za nim stracił żonę.

– Ale na początku pracowaliście razem i byliście ze sobą blisko. Wie pan, jednym z kluczowych momentów, nie tylko mojego filmu, ale i historii całej branży filmów emotycznych, jest dzień, kiedy pozwolił mu pan zademonstrować urządzenie w swoim gabinecie w Taft Building.

– Pewnie. Wmaszerował do środka i usiadł przede mną z tą swoją słynną torbą, w której tasczył dziwaczne ustrojstwo. Wtedy naprawdę wydawało się dziwaczne...

– Jak do tego dokładnie doszło? Dlaczego zgodził się pan na to spotkanie?

Hughes wykonał niecodzienny gest. Jakby próbował zadygotać, wzruszając jednocześnie ramionami.

– Pomyślałem sobie po prostu: czemu, do diabła, nie? Proszę posłuchać, panie... hmm, Dan, prawda? Dan, opowiadałem już o tym w wielu wywiadach. Wszystko można znaleźć w prasie i starych kronikach filmowych. Doceniam wysiłek, zadałeś sobie wiele trudu, żeby mnie tu znaleźć i w ogóle, ale ta część mojego życia to już przeszłość i nieczęsto mam ochotę do niej wracać. – i znów ten szczególnego rodzaju ruch ramion. – Naprawdę nie wiem, co mógłbym dodać.

– Liczyłem na kilka głębszych obserwacji. Na przykład, jaki naprawdę jest Lars Bechmeir?

– Zwyczajny gość. Interesuje się tym, jak działają różne rzeczy, zupełnie jak ja. No i wiesz, niemiecki akcent, okulary, broda, te jego dwurzędowe garnitury. Nie jestem pewien, co chcesz, żebym powiedział. Na twoim miejscu nie komplikowałbym sprawy i napisał tę historię tak, jak wszyscy ją znają. Nie wchodziłbym zbyt głęboko. Po co się babrać? Aczkolwiek przyznaję, że pomysł jest interesujący. Trzeba to było zrobić wiele lat temu i sam chciałbym mieć w tym swój udział, znaczy dawniej... – Hughes wciąż wycierał ręce, sztywny uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Wszystko dokoła zaczęło się przesuwac, wirowac i rozciągać w pozbawionej źródła poświacie. – Jak pan widzi, mam teraz innego rodzaju zajęcia. To wszystko... – zamachnęła się szmatą – ...pozwala szpitalowi działać. Ciepło, woda, elektryczność. Mamy tu pięć wielkich turbin.

– To świetnie, Howie, ale, jak już mówiłem, musi być coś, co...

– i dwie zapasowe. Dwieście kilowatów. Poza tym para i ciepło zasilają naszą pralnię. Nielicha zabawka, nie sądzisz?

Clark pokiwał głową. Na elektrociepłowniach znał się tak samo jak wszyscy. a rozmowa zaczęła zmierzać donikąd. Postanowił spróbować innego podejścia.

– Ale to musiały być dla ciebie dobre czasy. No wiesz, praca przy produkcji tego pierwszego emotyku. Przecież początkowo wszyscy uważali całe

przedsięwzięcie za coś w rodzaju kiczowatego cyrkowego oszustwa. a potem...

– Oczywiście, tu na dole nie mamy generatorów pola. – Tym razem Hughes przerwał mu bardziej zdecydowanie, chociaż nadal uśmiechał się jak zwykły, przystojny facet. – Tutaj można się cieszyć jedynie czystym poczuciem mocy. – Rozejrzył się po swojej świątyni maszyn, poświęta rozjaśniła mu oczy. – Nie da się zbudować niczego bardziej czystego i wydajnego.

– Na pewno nie.

– Wiesz, dlaczego tak bardzo lubię siedzieć tu, na dole? Bo tutaj nic mnie nie rozprasza, wiesz? Nie dostają mi się do głowy żadne rzeczy, których nie powinno w niej być.

– Jasne.

– Wiesz, jak to działa, to znaczy fale, które odkrył Bechmeir? Są przetwarzane w układzie limbicznym, a następnie nadawane bądź odbierane jako impulsy elektromagnetyczne niskich częstotliwości, poprzez układ limfatyczny. To właśnie dlatego można niekiedy zobaczyć aurę w przypominającym człowieka kształcie, kiedy przepuści się emanację przez siatkę lub z powrotem przez lampę katodową. Oczywiście są też miejsca o zwiększonej intensywności, punkty głuche, wszelkiego rodzaju zakłócenia i inne czary-mary. Czasami to zupełny mętlik. Niemniej, cała ta dziedzina jest fascynująca. Sposób, w jaki myśli i idee, kompleksy pojęciowe mogą być przez ludzki umysł przyswajane i rozpowszechniane. By posłużyć się przykładem, nie uwierzyłbyś, jak wielu komunistów trafia ostatnimi czasy do Met. Oczywiście, ich choroba jest prosta do uleczenia. Chirurgzy potrafią po prostu wyciąć im cały ten socjalistyczny śmietnik prosto z mózgu. – Dotknął swojej dziwnie spłaszczonej czapki. – Sam kazałem sobie to zrobić. To porcja szarych komórek nie większa od żołądź. Nie chodzi o to, że stawałem się komunistą, ale to może się rozrosnąć w człowieku niepostrzeżenie niczym guz, a nie warto ryzykować, nie? Widziałem, jak te fragmenty wyglądają u innych. Leżały na tacce zakrwawione, niektóre wielkie jak pięść.

Hughes wciąż mówił swobodnie, ale ręce wycierał sobie już tak intensywnie, że szmata rozpadła się na kilka skrawków. Cisnął je do stojącego obok wiaderka, po czym wyjął z kieszeni czystą ścierkę i podjął wycieranie. Dopiero w tej chwili Clark uświadomił sobie, że brązowe plamy na materiale, to nie olej, a krew.

– Mózg niczym nie różni się od innych mechanizmów. Jeśli już dojdzie się do tego, gdzie leży problem, nie ma niczego, czego nie da się naprawić. Komuchy, pedały, mordercy, wszystko to bierze się stąd, że jedna czy druga część nie działa jak powinna. To samo jest z higieną, sprośnymi myślami czy brudem. Jeśli do tłoku dostaną się zanieczyszczenia, to chyba jasne, że trzeba je usunąć. z mózgiem jest identycznie. Zupełnie jak przy podkręcaniu silnika, zwiększanie wydajności polega na redukowaniu wszystkiego co zbędne, co niepotrzebnie pochłania moc. Popatrz na mnie, na to, co kazałem sobie zrobić. Każdy zabieg dodawał mi więcej koni mechanicznych, tylko zyskiwałem dzięki nim. Widzisz...?

Hughes przestał wycierać swoje zakrwawione dłonie i zdjął czapkę. Swobodny uśmiech wciąż majaczył mu na ustach i w oczach, lecz jego właściciel nie był już tym samym człowiekiem. Pośród ropiejących blizn i szwów na szczycie i bokach jego głowy sterczały nieregularne kępki włosów. Jednakże to nie niezdrowa, poraniona skóra wywoływała największy niepokój. Ten brał się z kształtu czaszki. Przypominała krzywo wyrosnięte w piekarniku ciasto, w miejscach, gdzie brakowało kości, widać było dołki i wgniecenia.

Hughes wciąż dźgał swymi długimi paznokciami to jeden, to drugi fragment zniszczonej skóry, nadal mówił o kraniotomiach, lobotomiach i psychografach – o tym, że skórę należało odciągnąć, przeciąć kość i odsunąć na bok inne kawałki mózgu, by usunąć ten niepożądany – lecz Clarka ogarnęło przerażenie i poczucie zagubienia.

– Tak, tak – wymamrotał Hughes, po czym znowu się uśmiechnął i sprawnym ruchem naciągnął czapkę na głowę – usprawnienie mózgu to było najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem. Oczywiście, proces nie dobiegł jeszcze końca. To trochę jak z tą moją elektrownią. Gdy tylko człowiek się na chwilę odwróci, jakaś część natychmiast zaczyna się luzować albo zgrzytać.

– Aha.

– Najważniejsze jednak dla każdej maszyny jest utrzymywanie jej w czystości, prawda? Czy to generator, pompa czy ludzki mózg. Gdy tylko zauważy się zanieczyszczenia, brud, trzeba się ich pozbyć. Najgorszy jest piasek. Piasek w jednej chwili paskudzi olej, i to bez względu na to, jak starannie się go potem przefiltruje. Wtedy trzeba rozebrać całe urządzenie i dokładnie je przemyć. O, tak! – Hughes kiwał głową, uśmiechał się szeroko. Kaszkiet zsunął mu się na bok. – To cholerstwo wszystko zatyka. Czuć, jak ociera,

jak syczy. Ma się ochotę wydrapać go z głowy, ale on i tak dostaje się wszędzie. Do uszu. Za oczy. Tak, piasek jest zdecydowanie najgorszy. w zasadzie... – przeciągnął dłońmi po twarzy, pozostawiając na skórze czerwone smugi – ...czuję go teraz.

Piasek...? Clark poczuł dziwne poruszenie własnych myśli, jakby coś z zewnątrz przejmowało nad nimi kontrolę. Zupełnie jakby oglądał emotyka, siedząc zbyt blisko ekranu, lub jakby po raz kolejny trafił do jednej ze świetlic Met.

– Howie, ale co właściwie teraz czujesz? – spytał. – Co się dzieje?

– To przypomina... – Hughes pochylił się ponad barierką pomostu i otworzył szeroko usta, jakby próbował coś wykaszleć. – Przypomina... Jest jak...

– Jak co, Howie? Co chcesz powiedzieć?

Mięśnie twarzy Howarda Hughesa na przemian spinały się i rozluźniały, pomiędzy warg pocięły mu strugi śliny. Czapka ostatecznie spadła z głowy i poszybowała pomiędzy pracującą w dole maszynierę.

– Jak co, Howie?

Całe ciało mężczyzny zaczęło się konwulsyjnie wyginać. Targały nim suche mdłości, jak epileptykiem lub kotem próbującym zwrócić kłęb sierści. Nie wydawało się, by zdołał powiedzieć cokolwiek. Po chwili jednak udało mu się wydać z siebie pojedynczy dźwięk. i kolejny, wywołany ostrymi torsjami. Mimo spazmów języka i dygotania całego ciała zabrzmiało to jak T.

i powtórzyło się. Bez wątpienia.

– T...

– Dasz radę to powiedzieć, Howie?

– Thr...

Sytuacja przypominała upiomy poród. Moment później jednak słowo dostało się w całości, rozciągając szczęki Hughesa tak szeroko i wypychając mu język tak daleko, że Clarka obleciał lęk, że zobaczy zaraz strzelające, wilgotne zwoje krtani i flaków.

– Thrasis.

Howard Hughes osunął się w dół.

Howard Hughes oderwał dłonie od barierki i skulił się na pomoście w małą, łkającą kulę.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

– z Howiem jest jak z większością nas – mruknął Mały Joe, prowadząc wózek z powrotem do windy. – Miewa gorsze chwile, ale wyjdzie z tego. Potrzeba mu tylko trochę czuciaków, nic więcej...

Clarkowi myśli roily się w głowie. Wciąż miał przed oczami tę zgarbioną, zniszczoną postać na drugim końcu metalowego pomostu. Przez moment wydawało mu się, że ogląda nie jednego Howarda Hughesa, lecz wielu, słabą, niewyraźną płataninę drżących, udręczonych głosów i szukających czegoś po omacku rąk.

– Joe, od jak dawna tu jesteś?

– Och, wciąż jestem nowicjuszem. Ledwie pięć czy sześć lat. Zaufanym pacjentem zostałem dopiero dwa lata temu.

– To może dziwne pytanie, ale czy moje nazwisko nie wydaje ci się znajome? Lamotte? a może słyszałeś o facecie, który nazywał się Hogg?

Mały Joe zastanawiał się przez moment, po czym wezwał windę, wciskając guzik dziwnie krótkim palcem. Zaprzeczył, kręcąc głową.

– Nic mi to nie mówi.

– a słyszałeś o czymś, co nazywa się Thrasis?

– Co takiego?

– Thrasis.

Mały Joe ponownie pokręcił głową.

* * *

Dotarli do głównego holu Met i Mały Joe ustawił wózek z mopem w tym

samym miejscu – pod tym samym surowo spoglądającym portretem jednego z ojców miasta – skąd zabrał go Clark.

– Wróć, kiedy tylko zechcesz – powiedział. – o ile będziesz potrzebował się dowiedzieć czegoś więcej. Zwłaszcza że masz już ciuchy i w ogóle.

– Dzięki. z przyjemnością się jeszcze z tobą zobaczę, Mały Joe. Co do reszty to jednak nie jestem pewien. Zresztą, ty też nie powinienes tutaj dłużej tkwić. Powinienes poprosić, by cię jeszcze raz przebadali, ocenią twój stan i...

Nierówno rozmieszczone brwi Małego Joe ułożyły się w coś przypominającego zmarszczkę.

– o brak czuciaków nie musisz się martwić – dodał Clark. – Jeśli tylko zechcesz, całe dni będziesz mógł spędzać w kinach. a dla faceta, który potrafi obchodzić się z mopem, praca znajdzie się zawsze.

– Żałuję, ale to nie takie proste, panie Lamotte. – Spojrzenie miał łagodne i smutne. – Prawda jest taka, że miejskie powietrze źle wpływa na moją skórę. Mam taką chorobę. Zaraz zaczyna mnie swędzieć i muszę się bez przerwy drapać. Właśnie dlatego tak bardzo obgryzam sobie paznokcie. – Wyciągnął swe wielkie dłonie. z paznokci zostały mu tylko guzy lśniących blizn. i dlatego musiałem wyrwać sobie zęby i w ogóle. Dzieciaki i żona mają identyczny problem. Dlatego zrobiłem im to samo. – Mały Joe zacisnął pięści i mocno objął się ramionami. – Lepiej więc będzie, jeżeli tu posiedzę, przynajmniej dopóki nie przestanie mnie swędzieć, a oni tam nie naprawią powietrza.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Światła klubów pokerowych i sal bilardowych jaśniały wśród wczesnego zmierzchu. Zachodzące słońce lśniło na skrzyżowaniach wściekłą czerwienią. Roger i jego kumple uganiający się za aluminiową puszką rzucali na Blixden Avenue coraz dłuższe cienie. Clark wysiadł z delahaye'a i mrużąc oczy, popatrzył w niebo. Piętrzyły się na nim chmury. w powietrzu unosił się nowy, nieznanym zapach.

– Aleś mnie pan ubawił tym telefonem. – Roger podbiegł, łopocąc obdartymi ubraniami. – Najpierw tajemniczy kolesie w mundurach, a teraz pan sam w takim wdzianku. Pan tak na poważnie, panie Lamotte, czy może wydaje się panu, że gra w jakimś emotyku?

– Sam się czasem zastanawiam. Ale uprzedziłeś Barbarę Eshel?

– Rozkaz to rozkaz. – Dzieciak zasalutował. Po europejsku.

– i wszystko okej? Nadal nic się nie działo?

– Niewiele. – Wyrastek wydawał się rozczarowany. Powiódł spojrzeniem wzdłuż ulicy, w kierunku skrzynki pocztowej.

Clark popatrzył tam, gdzie on. Przyszło mu coś do głowy.

– Dlaczego powiedziałaś, że wasz listonosz to wariat?

– No bo jest. Ten facio to...

Ale Clark już szedł przed siebie.

– ...idzie o to – podjął Roger, kiedy go dogonił. – No cóż, kiedy coś samo wpada w ręce, to się bierze, nie?

Skrzynka wisiała na latarni stojącej obok przykurzonej wierzby. Była stara,

bura farba odchodziła z niej płatami. Na boku widniał wypukły napis US MAIL. To jednak musiała być skrzynka, z której skorzystał Daniel Lamotte, wysyłając niebieską wersję scenariusza „Obudź się i śnij” – tę, która nie dotarła do Timmy’ego Townsenda. Clark przykucnął i przyjrzał się, a Roger tymczasem nadal mamrotał usprawiedliwienia tego, co robili z kolegami. Jedyną nowszą częścią skrzynki był zamek, na którym połyskiwał świeżo rozwiercony metal. Kiedy Clark nacisnął na przednią ściankę, ta po prostu zakrzypiała i się uchyliła.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Wewnątrz Blixden Apartments unosił się dym ze smażenia i woń przypalonego kabaczka. Clark wszedł po schodach. Słyszał było szmer włączonego radia. Obok niego przycisnęła się idąca do łazienki gruba damulka, ubrana tylko w ręcznik. Drzwi lokalu 4A czekały lekko uchylone.

– Oto powraca wędrowiec. – Barbara Eshel siedziała ze skrzyżowanymi nogami na środku pokoju, otaczały ją papiery. – Swoją drogą, twarzowy ciuszek. Naprawdę dostałeś się do Met?

– Rozmawiałeś z tym dzieciakiem z ulicy?

– z Rogerem? Tym, który bredził coś o czarnych wozach i facetach w mundurach?

Clark odstawił na podłogę kosz na śmieci, który przywiózł ze sobą z łazienki w Larch Lodge, i usiadł na krześle przed maszyną do pisania. Wcisnął do połowy T, po czym dopchnął czcionkę do końca. Zdjął okulary. Skubnął się w nos. Pomieszczenie wyglądało i pachniało inaczej – panowała w nim inna atmosfera. Dokumenty spoczywały teraz w schludnych stosach. Barbara Eshel pomyślała nawet o tym, by pozbyć się wszystkich starych puszek po zupie i butelek po bourbonie, na które Clark tylko patrzył z odrazą. i starannie ułożyła na materacu poszarzałą pościel.

– Ale mnie nic nie grozi. – Wzięła do ręki colta i zakręciła nim na palcu niczym Annie Oakley^[10]. – Każdy drań, który stanie w drzwiach mojej haćjendy, spotka się z tym. Wszystko w porządku, Clark? Czego się dowiedziałeś...?

Opowiedział jej o kelnerce z „Edna’s Eats”, która widziała Daniela i April Lamotte’ów rankiem w zeszyły piątek, i o tym, że scenarzysta opuścił knajpę z pozoru pijany, lecz najprawdopodobniej oszołomiony prochami. Opowiedział o wyprawie w góry i o tym, że markowane samobójstwo April Lamotte nabrało sensu, kiedy dowiedział się, że jakiś przebrany za policjanta facet rozstawił w okolicy fałszywą blokadę drogową. i jeszcze o tym, co znalazł w Larch Lodge...

– April Lamotte sama mi wspominała o rozpoczęciu nowego życia – powiedział. – To jedyne, co pasuje do reszty. Nagle przestraszyła się czegoś związanego ze scenariuszem, nad którym pracował Dan. Może zresztą wcale nie tak nagle... Możliwe, że dostała jakieś ostrzeżenie, że coś od kogoś usłyszała. Cokolwiek się jednak wydarzyło, wymyśliła, że jeżeli wykorzysta mnie do upozorowania śmierci Dana, oboje zdołają uciec i zacząć od nowa, pod zmienionymi nazwiskami. Gdzieś, gdzie nikt nie zdoła ich odnaleźć. Wiesz, może nie jestem do niego aż tak podobny, ale jeżeli policja oparłaby się na dowodzie osobistym, prawie jazdy i ogólnym opisie, mój trup wystarczyłby z nawiązką. Poza tym, kogo, jeżeli nie April, gliniarze poprosiliby o identyfikację zwłok?

– a rankiem, kiedy już zostawiła cię martwego na Mulholland Drive i nie otrzymała spodziewanego telefonu z policji, spanikowała i pojechała do Larch Lodge?

– Tak.

– Clark, nie rozumiem tylko, co zamierzała zrobić, gdyby jej plan wypalił. w porządku, mąż niby nie żyje, kwestia pieniędzy załatwiona, ale co z nią?

Przypomniał sobie rzadko używaną mapę i piasek, jaki wyczuł na niej za pierwszym razem. Oraz notatnik, który pokazali mu policjanci. Nagle przyszło mu do głowy, że urywki zdań sprawiały wrażenie wprawek dlatego, że tym właśnie były...

– Podejrzewam, że zamierzała upozorować również własną śmierć. Może tylko bez podrzucania ciała i nie tak, jak to się stało w rzeczywistości. Ale mogła na przykład pojechać za góry i zostawić samochód gdzieś na pustyni. Tam czekałby na znalezienie całymi miesiącami, a po upływie tak długiego czasu już nikt nie kłopotałby się poszukiwaniem ciała. Zostawiłaby list, a poza tym, pamiętajmy o sębach i kojotach. To sensowne. w końcu wszyscy

wiedzieliby że straciła męża, zatem, po co dłużej żyć? Dlaczego nie pojechać w jakieś odosobnione miejsce i nie wyruszyć piechotą donikąd? Kto by mógł wątpić?

– Tyle że wczoraj rano nie dotarła do Larch Lodge.

– Nie.

– Czyli myślisz, że dopadł ją ktoś inny, upozorował jej samobójczą śmierć, dokładnie taką, jaką sama planowała dla męża, a potem pojechał po Dana i wstrzyknął mu jakiś środek?

– Owszem.

– Zatem Daniel Lamotte został porwany, bez śladów oczywistej walki, przez nieznanego sprawcę lub sprawców, najprawdopodobniej poruszających się czarnym sedanem mercury, posługujących się na poły oficjalnym mundurem? i teraz albo żyje, albo nie? i to wszystko z powodu czegoś, co napisał w scenariuszu „Obudź się i śnij”?

– Może ty wymyślisz inny motyw. Nie sądzę, by to coś znalazło się w białej wersji. Nie w tym szkicu, który Dan wysłał do Senseramy i który pokazała mi April, lecz w tym, który powstał potem i który spaliła za domem. Coś się wydarzyło. Zupełnie jakby odkrył coś nowego i niesłychanie istotnego. Jakby ogarnęła go gorączka. i właśnie to odkrycie tak bardzo przestraszyło April Lamotte.

Dziewczyna przysunęła się na kolanach do metalowego kosza na śmieci. Skrzywiła się.

– i mówisz, że reszta scenariusza jest tutaj? w tym? Następna, różowa wersja? – Uniosła wieko. – Fuu...

– Uważaj na strzykawkę.

– Jezu, Clark! – Pogroziła mu palcem. – Mogłeś mnie uprzedzić. Rany, jaki syf... – Gdy wyciągała długie, poszarpane zwoje papieru toaletowego, Clarkowi przypomniała się istota, która powstała z odpadków w męskiej ubikacji ratusza. – Jesteś pewien, że on się tym nie...?

– Byłbym ostrożny.

– Udało ci się cokolwiek z tego odczytać...?

– Wystarczająco wiele, by wiedzieć, że Dan z jakiegoś powodu uznał, że prawdziwy początek historii nastąpił, kiedy się spotkali. Gdy on sam wciąż był szarym Danielem Hoggiem, a ona pracowała w Met. Tak przy okazji, naprawdę tam pracowała. Wiem jeszcze, że z jakiegoś powodu Howard Hughes

jest dla scenariusza postacią równie ważną jak sam Lars Bechmeir.

– a może Dan słyszał głosy, widywał duchy, może faktycznie oszalał... Ale czy udało ci się dotrzeć do Howarda Hughesa? w tym stroju sprzątacza?

– Tak, udało się... Ten szpital to dziwne miejsce. Gdyby nas tam zamknęli, też byśmy wkrótce zwariowali. Howard Hughes pracuje. Obsługuje generatory i siłownię. Mówią na niego Howie i wygląda na szczęśliwego. w zasadzie, póki się go nie przyciśnie, jest zupełnie normalny. Przeszedł rozmaite operacje na głowę. Próbowałem go wypytać o wczesny okres po odkryciu pola Bechmeira, podejrzewam, że tak postąpiłby prawdziwy Daniel Lamotte, ale na pytania odpowiadał, jakby niczego nie wiedział.

– Zapomniał?

Clark pokręcił głową.

– Nawet nie o to chodzi. Mówił, jakby to wszystko spotkało kogoś innego. Wspomniał też coś o tym, że z Larsem Bechmeirem trudno się było skontaktować, jeśli ktoś chciał czegoś innego niż oficjalne dane. i wiesz, oni tam utrzymują pacjentów w ryzach, posługując się generatorami pola Bechmeira. w zasadzie to wszystko wydawało się nierealne... Ale zdobyłem to...

– Wyciągnął z kieszeni dane pracowników szpitala.

– Dobra robota – pochwaliła z uśmiechem, przeglądając zapisy. – Prawie zrobiłeś na mnie wrażenie, Clark. Gdybyś nie spędzał życia na wachaniu cudzej pościeli, mógłbyś zostać przyzwoitym dziennikarzem. Czyli April naprawdę pracowała w Met i Dan z jakiegoś powodu uznał, że ten szpital jest istotny dla scenariusza. Zatem wracamy do osoby April Lamotte... i tego, co ją spotkało.

– Wiem też, dlaczego nowy scenariusz nie dotarł do Senseramy. Skrzynka na tej ulicy ma rozwiercony zamek. Nie wiem, kiedy to się stało dokładnie, ale Roger i kumple przeglądają pocztę w poszukiwaniu pieniędzy od początku zeszłego tygodnia. Oczywiście, nikogo nie widzieli, a listonosz zauważył uszkodzenie dopiero teraz. Wygląda też na to, że skrzynkę otwarto tym samym narzędziem, którym posłużono się, by wejść do centrali telefonicznej w Woodsville. April Lamotte była obserwowana, śledzona, a telefon miała na podsłuchu. Dan podobnie, ktoś przechwytywał i czytał jego korespondencję. Wszystko do siebie pasuje.

– a co z nami, Clark? – Barbara podciągnęła kolana pod brodę, objęła je ramionami i spojrzała na niego, lekko przechylając głowę, z miną zarazem

porozumiewawczą i niespokojną. – Czy my do tego wszystkiego pasujemy?

* * *

Poszli do niej i Barbara zaparzyła kawę. Pokój wyglądał identycznie jak wynajmowany przez Daniela Lamotte'a, ale Clarka uderzyły panujące w nim czystość i porządek. w oknie wisiały prawdziwe zasłony, na podłodze leżał wzorzysty dywan. Wyposażenie sprawiało co prawda wrażenia zakupionego w sklepie z używanymi meblami, ale wybrane zostało przez osobę, której nie było obojętne, jak mieszka.

Wszędzie były książki – i gazety – ustawione oczywiście w schludne stosiki. Ołówki obok maszyny do pisania leżały równiutko niczym żołnierze w szeregu. Nie przypominało to pokoików wynajmowanych przez kobiety, z jakimi miał dotąd do czynienia. Żadnych lasów halek i gorsetów ani rozwieszonych do schnięcia pończoch. Nigdzie nie walały się też przepelnione popielniczki, pokryte zaskorupiałą warstwą pudru i szminki.

– Tak przy okazji, nie ma wątpliwości, że byli małżeństwem. – Barbara posadziła Clarka z kawą na krześle z wytartym obiciem, a sama zajęła się przeglądaniem przyniesionych z pokoju obok szpargałów. – Nie myśl sobie, ja też co nieco sprawdziłam. Zaczęłam w archiwum hrabstwa. Ślub wzięli szóstego maja, o dziewiętnastej trzydzieści trzy. Nic szczególnego. Poza tym, że jak sam mówiłeś, April Lamotte została przy panińskim nazwisku, a Daniel musiał swoje zmienić już wcześniej. i to w tej kobiecie wydaje mi się najbardziej godne podziwu, bez względu na całą resztę.

Pokiwał głową i upił łyk kawy. Domyślił się, że dziewczyna sprawdziła również informacje na temat działającego bez licencji prywatnego detektywa, tudzież aktora, który niegdyś otarł się o sławę, czyli Clarka Gable'a. Sam zrobiłby to samo.

– Zeznania kelnerki o tym, kiedy po raz ostatni widziała Daniela Lamotte'a w „Edna's Eats”, pasują do tego, co sama pamiętam. Zastanowiłam się i jestem już pewna, że słyszałam stukot jego maszyny jakoś na początku zeszłego tygodnia. Powiedzmy, w poniedziałek i wtorek. Prawdę mówiąc, pisał tak szybko i zaciekle, że, patrząc na swoją maszynę, sama mu zazdrościłam. a potem nagle zrobiło się cicho. Może nie w czwartek. Raczej wcześniej. Najpóźniej w środę. To jednak też się zgadza, skoro z żoną spotkał się, by porozmawiać o odkryciu, dopiero w piątek. – Westchnęła. – Szkoda, że nie mam lepszej pamięci.

– a może popytamy innych lokatorów, co widzieli?

– Myślisz, że na to nie wpadłam? Jedną z rozkoszy mieszkania w takim miejscu jest fakt, że nikt niczego nie zauważa. Niemniej, jestem prawie pewna, że ktoś w pokoju Daniela był i przetrząsnął jego rzeczy. Nie brakuje niczego w sposób oczywisty, nie ma żadnych podartych papierów, ale nie znalazłam żadnych nowych tekstów. Niczego niedokończonego. Wszystko jest tam stanowczo zbyt kompletne. Dziwne natomiast wydało mi się to.

Podawała mu jasnoniebieską kartkę pokrytą maszynowym pismem.

Energia jądrowa?

Podróże kosmiczne?

Złoto z morza?

Kontrola umysłów?

Teleportacja?

Silniki odrzutowe?

Telewizja?

– On to napisał?

– Chyba że ty.

– Może po prostu spisywał pomysły do nowego projektu? Jakiś futurystyczny scenariusz?

– Kto wie? Tyle że wszystkie pozostałe skrawki, książki i zeszyty w pokoju obok są zapełnione jednym i tym samym słowem. Pewnie mogłabym sprawdzać dalej – powiedziała – ale jest granica tego, jak długo można to czytać i zachować zdrowe zmysły. Naprawdę musimy się dowiedzieć, gdzie on teraz jest i czy żyje.

Rozwinęła spisana na długim kawałku papieru listę sporządzoną schludnym charakterem pisma, w którym Clark rozpoznał jej rękę.

– To nazwy i niekiedy adresy przynajmniej części bardziej ekskluzywnych prywatnych klinik w Los Angeles i okolicach.

– Aż tyle? – Clark zagwizdał pod nosem.

– To naprawdę tylko ułamek. Nie zapominaj, że mieszkamy w Los Angeles. Jeszcze dziś rano myślałam, że to może się nam przydać. Ale teraz widzę, że szkoda mojego wysiłku... – Westchnęła i przeczesła palcami grzywkę. Widząc ten gest, domyślił się, że cały wysiłek Barbary poszedł na marne. – Niemniej, z archiwum hrabstwa pojechałam tramwajem do Willowbrook. Wiesz, do tej starej szkoły, gdzie Lars Bechmeir pracował nad wynalazkiem. Teraz działa tam muzeum. Zapytałam kobiety ze stoiska z pamiętką-

mi, czy widziały może gościa pasującego do twojego – to znaczy, Daniela Lamotte’a – rysopisu. Pamiętały. Pokazały mi nawet nazwisko w księdze odwiedzin. Był tam dwa razy, mniej więcej trzy miesiące temu. Przeglądał archiwa. Wrócił jeszcze trzy tygodnie temu. Ale to nie dlatego go zapamiętały.

– Te wcześniejsze wizyty zapewne...

– Clark, daj mi dokończyć. Zapamiętały go z ostatniej wizyty, ponieważ rozmawiał z dyrektorem fundacji, doktor Penny Losovic. Ona ma tam swoje biuro. Ale raczej nie umówili się specjalnie, tylko po prostu wdali się w pogawędkę w czytelni.

– Spróbowałaś z tą kobietą pomówić?

– Nie mogłam. Nie było jej. Co więcej, nikt tam nie widział doktor Losovic od początku ubiegłego tygodnia. Zazwyczaj przychodzi i wychodzi. Jej zadanie nie polega na zarządzaniu muzeum ani na księgowaniu wpływów ze sprzedaży praw do korzystania z pola Bechmeira. Ona zajmuje się datkami, które rozdaje zarząd fundacji. Tak naprawdę nie odpowiada przed nikim. No, ale teraz przepadła jak kamień w wodę. Pracownicy zaczynają się już niepokoić.

– Czy to nie jej nazwisko widziałem w liście, który Daniel Lamotte dostał z fundacji? Tym, w którym radzili mu skontaktować się z prawnikami?

– Tak, ale to było pismo *per procura*. Nie podpisała go osobiście.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę nikt jej nie widział od czasu rozmowy z Danielem Lamotte’em?

– Cóż, nie zniknęła od razu, ale myślę, że jest tu jakiś związek.

– i czy ktokolwiek to zgłosił?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą nie chciałam im tego pomysłu podsuwać. Kiedy zorientowałam się, co i jak, wycofałam się.

– Ale, Jezu, to przecież kolejna zaginiona osoba!

– Słuchaj dalej. Tak naprawdę wybrałam się do Willowbrook, żeby sprawdzić, czego tam właściwie szukał Dan. Szczerze mówiąc, niewiele mają do oglądania. w zasadzie to tylko zbiory artykułów prasowych i te same zdjęcia, które wszyscy widzieliśmy w czasopiśmie. No i jeszcze kilka prototypowych generatorów pola w szklanych witrynach, sala sensoryczna, niewiele lepsza niż w każdym przeciętnym kinie, i oprawione w ramki reklamy z początkowych etapów rozwoju branży, kiedy jeszcze promowano pole jako

„przełomową nowość”. Aż dziwne, że był tam aż trzykrotnie. No, ale udało mi się podwędzić to...

z pełną zadowolenia miną i teatralnym szelestem, wyciągnęła kartkę pożółkłego papieru, gęsto pokrytą zapisanymi na maszynie wyblakłymi kolumnami nazwisk.

– To datowana na 12 maja 1931 lista gości premiery „Pękniętego zwierciadła”, pierwszego emotyku w dziejach. Był tam Hughes. – Wskazała palcem. – To jasne, w końcu on produkował ten film, znaczy emotyk. Mamy też producentów, aktorów, znanych krytyków i zwykłych pismaków. Te same sępy, które pojawiają się wszędzie, gdzie pachnie spektakularną klapą. Niemniej, są też inne osoby. Widzisz? Herbert Kisberg. Cóż, zapewne od początku interesował się technologią, dzięki której się potem wzbogacił. Lars i Betty Bechmeirowie, to też oczywiste, prawda? i Cy Edgerton, były burmistrz, dyrektor masy instytucji i członek zarządu Fundacji Bechmeira. Potem Jerry Lock. Właściciel połowy terenów budowlanych na południe od Baldwin Hills. Sławy i ludzie sukcesu. Przynajmniej na dzień dzisiejszy. a Peg Entwistle znamy wszyscy.

– Tak. – Skinął głową. – Wszyscy znamy Peg.

– Ta lista to w zasadzie spis ludzi, którym w latach trzydziestych się w tym mieście powiodło. Ale to dopiero połowa historii. Słyszałeś może o Williamie H. Frooneyu?

– Williamie H...?

– Niezbyt często czytujesz gazety, co?

– Przyznaję, zdarzają mi się chwile przestoju.

– Otóż Will Frooney prowadził firmę budowlaną. Jedną z największych w branży. z tego, co wiem, nadal działa. Zresztą, chyba właśnie ta firma pracuje teraz nad przebudową dawnego Chińskiego Teatru Graumana. Wszędzie widać tam ich szyldy. Ale sam Frooney powiesił się jakieś cztery lata temu. a Carel Srodzinski... Jego pewnie też nie kojarzysz?

Zaprzączył ruchem głowy.

– Więc Srodzinski miał firmę elektroniczną. Nazywano go Czarodziejem Kabelków, i to jeszcze zanim stał się powszechnie znany dzięki sposobowi, w jaki zginął. „Usmażony własnym prądem”; naprawdę nie pamiętasz tych tytułów? Gazety w tym mieście kochają samobójców z ironicznym poczuciem humoru. Zresztą, na tej liście nie brakuje osób, które odebrały sobie ży-

cie. w zasadzie jest ich więcej niż można się racjonalnie spodziewać. o Betty Bechmeir wiemy oczywiście wszyscy. Niektórych z gości premiery spotkały jednak znacznie gorsze rzeczy. Na przykład Gabriel Halon. Wzbogacił się na produkcji chemikaliów i samolotów. Miał piękne ranczo w Santa Monica. Nazywało się Happenstance.

– Chcesz powiedzieć, że te zabójstwa z Happenstance...? Boże, to naprawdę było straszne.

– Wszyscy dziennikarze z miasta wybrali się tamtego dnia na wycieczkę, Clark. Cała sześćoosobowa rodzina wraz z psami. Torturowano ich przez wiele dni, jak... właściwie cholera wie jak. Sprawcy oczywiście nigdy nie znaleziono. Podobnie jak w przypadku zabójstwa Theoboldów, do którego doszło rok lub dwa później. Kojarzysz?

– Niespecjalnie.

– Więc masz szczęście, w przeciwieństwie do Theoboldów. On był znanym i poważanym lekarzem, pionierem w dziedzinie neurochirurgii. w skrócie, razem z żoną zostali zgłodzeni na śmierć we własnym domu w 1938. Samo w sobie już paskudne, prawda? Gorzej, że wszyscy ich znajomi byli przekonani, że Theoboldowie wyjechali na wakacje do Europy. Tymczasem ktoś ich trzymał w łańcuchach, przez całe miesiące. i nie dreńczono ich tylko głodem. Byli zmuszani do jedzenia... Według raportu koronera jedli siebie nawzajem.

– To chore.

– Prawda? Ale jest pewna regularność. Wszyscy ci ludzie pojawili się na premierze „Pękniętego zwierciadła”. a potem zginęli u szczytu swojego sukcesu. Ci, którzy zdążyli go osiągnąć. Albo sami odbierali sobie życie, albo spotykało ich coś znacznie mniej przyjemnego.

– Dlaczego nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi?

– Dlatego że tak naprawdę nie ma jej na co zwracać, póki nie przejrzy się tej listy. z tego co wiem, wymienione na niej osoby nie mają ze sobą innych powiązań. Faceci w rodzaju Frooneya, Srodzinskiego i Halona mogli się znać, jak to bogacze, ale ich śmierć potraktowano jak inne pospolite w Los Angeles zabójstwa czy samobójstwa. a kto zwraca na nie teraz uwagę? Tym bardziej że naprawdę głośne morderstwa zdarzają się u nas częściej niż gdzie indziej. – Wciąż patrzyła na niego z przchyłoną głową i miną, która była jednocześnie porozumiewawcza i niespokojna. – Chciałabym jednak, żebyś

zwrócił uwagę na jeszcze jedno nazwisko...

Podawała mu listę. Kartka była niemiłosiernie wymięta. Musiał to być oryginał, wykorzystywany podczas premiery do sprawdzania zaproszeń gości.

– Widzisz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, dziewczyna wskazała na sam dół listy, gdzie niemal zupełnie zatarte widniało nazwisko „A. Lamotte (Panna)”.

– Clark, to gruba sprawa. Coś bardzo poważnego. i to znakomita okazja, by umieścić „Prawdę Los Angeles” na prasowej mapie miasta... – Barbara Eshel przechadzała się tam i z powrotem po pokoju. Emocje różowiły jej policzki. Zaproszenia na bankiet u Kisberga zdążyła już mu wyrwać...

– Ale...

– Musimy tam pójść. Sekretem poliszynela jest, że Kisberg ogłosi jutro swoją kandydaturę na urząd prezydenta z ramienia Ligi Wolności, a te zaproszenia to świetna okazja, by dostać się do jego domu. Na miłość boską, przecież facet jest członkiem zarządu Fundacji Bechmeira i znalazł się na naszej liście gości tyle lat temu, kiedy jeszcze nikt nie znał jego nazwiska. Nie rozumiesz jaka to szansa, Clark? Nie widzisz tutaj zarysu większej całości?

– Spójrz na nas.

– Oczywiście nie możemy się tam pokazać tak jak teraz, ale czy nie wspomniałeś, że w Erewhon widziałeś całe szafy pełne drogich fatałaszków?

Odstawił na stolik kubek z niedopitą resztką zimnej już kawy. Jego wzrok powędrował z powrotem ku liście. Barbara miała rację – nawet on, z rzadka przeglądający gazety, znał część tych nazwisk.

– Będziemy bardzo spóźnieni... – mruknął.

Machnęła ręką i roześmiała się.

– Masz pojęcie, jakie to teraz modne?



10 Annie Oakley (1860–1926) – amerykańska mistrzyni strzelecka, występująca między innymi w widowisku rozrywkowym Buffalo Billa „Wild West Show”. Oakley była pierwszą w historii USA kobietą gwiazdą ogólnokrajowego formatu.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

– Niezła chata.

w Erewhon nie było żadnych wyraźnych śladów włamania, nie zauważyli policyjnych taśm, brakowało świadectw przemocy czy krwawych plam. Gdy weszli do holu, światła zapaliły się automatycznie.

– Stań tam, przy schodach. Chcę, żeby czytelnicy mogli sobie wyobrazić rozmiary tego domu. i włóż okulary. – Barbara Eshel przykręciła nową żarówkę błyskową do aparatu „Graflex”, który zajmował większość miejsca w jej torebce.

Trzask migawki. Flesz.

– Jeżeli chcesz, możemy powiedzieć, że to stare zdjęcie Daniela Lamotte’a, z czasów, zanim wszystko się pokomplikowało. Wciąż jeszcze dużo zależy od rozwoju historii, ale fotki będą potrzebne na pewno. Zwłaszcza gdyby udało mi się opublikować materiał w którymś z lepszych czasopism.

– Wydawało mi się, że wspomniałaś o „Prawdzie Los Angeles”?

Dziewczyna opuściła graflexa i przewinęła film.

– Owszem, ale im dłużej się nad tym zastanawiam i im więcej się dowiadujemy, tym bardziej jestem przekonana, że ten tekst może być kawałkiem dynamitu wielkim jak Long Island.

Żarówka flesza raz po raz syczała i błyskała. Barbara rozglądała się, co chwila przeklinając, zdumiona rozmiarami i przepychem pomieszczeń.

* * *

Kiedy weszli na górę poszukać ubrań, zobaczył w przyćmionym świetle te

same drogie meble, jasne dywany i ciemne zasłony. Telefon w sypialni April i Daniela Lamotte'ów wciąż stał na szklanym stoliku przy łóżku. Podobnie jak popielniczka, nadal wypełniona niedopałkami pastelowych papierosów. Clark zauważył nawet wgniecenie na łóżku, w miejscu, w którym dwa dni temu kobieta siedziała i czekała na telefon z wiadomością o śmierci męża.

– Wiesz – mówiła Barbara – ta lalunia nosiła bardzo podobny rozmiar do mojego. Może nawet identyczny. Ale komu potrzeba aż tyle ciuchów? Marowanie pieniędzy... – Wyciągała z szaf całe lejące się, szeleszczące naręczą sukienek, kostiumów i spódnic. – Swoją drogą, Clark, naprawdę myślisz, że było ich na to wszystko stać jedynie dzięki forsie za scenariusze emotyków? Okej, napisał kilka naprawdę głośnych przebojów, ale żeby aż tyle? Mówiłeś chyba, że znasz tę branżę?

* * *

Apartament dla gości, dokąd poszedł się przebrać, nie okazał się wielkim rozczarowaniem. Mimo, że bojler w łazience był wyłączony i z kranu leciała tylko zimna woda, prysznic przyniósł mu słodsze doznania niż te, do których Clark był przyzwyczajony. w dodatku nie zauważył ani jednego karalucha.

Tak, mógłbym do tego przywyknąć, odezwała się część jego duszy, kiedy usiadł na skraju łóżka i zaczął się wycierać. Meble z orzecha. Dywany. Lustra. Samochód przed domem. Buteleczka wody kolońskiej, kosztująca tyle, ile robotnik zarabia przez miesiąc. i młoda kobieta w pokoju na końcu korytarza – która zapewne w tej chwili stoi naga pod prysznicem – do niej też byłbym w stanie przywyknąć.

Nic jednak nie miało być trwałe. Ani to dziwne nowe życie, które wiódł obecnie, ani poprzednie, dawno już utracone. Zmusił się, by spojrzeć w wysokie zwierciadło toaletki, i oblicze, jakie się w nim pojawiło, nie przyniosło mu większej ulgi.

Pokręcił głową. Przejrzał przygotowany zawczasu komplet ubrań obcego mężczyzny. Kołnierzyk ze spinkami ze szczerego złota. Garnitur w tym głębokim odcieniu czerni, którego nigdy nie widuje się w zwyczajnych sklepach i rzadko tylko na nocnym niebie. Półbuty wygodne niczym puenty baletnicy. Jedwabny krawat malowany w tak piękne kwieciste wzory, że wydawał się dziełem sztuki. z góry wiedział, że wszystko to będzie leżeć i wyglądać doskonale.

Ubrał się, po czym zszedł na dół i zaczekał w holu na Barbarę Eshel. Zapalił lucky strike'a. Przyjrzał się stojącemu w niszy aparatowi telefonicznemu. Gdy zgasił papierosa, przeszedł się długim korytarzem. Zjawą wciąż była wyłączona. Zatrzymał się i obejrzał urządzenie. Po chwili obmacał cokół i znalazł ukryty z tyłu przycisk.

z początku nic poza cichym szmerem, jakby jedwab ocierał się o skórę. Domyślił się, że to metalowa taśma zapętlonego nagrania raz po raz przesuwana się nad głowicami. Potem coś zabrzęczało i dał się wyczuć nieznacznie koci zapach ciepłych zaworów i lakieru. Wzmacniacze zaczęły działać. Teraz, pomiędzy naładowanymi elektrycznością płytami, pojawiło się coś przypominającego drobiny kurzu wirujące w snopie słonecznych promieni. Zrobiło się chłodniej, jakby gdzieś w pobliżu ktoś otworzył drzwi. Widział już nieomylną poświatę plazmy pola Bechmeira, tak piękny dla oka taniec światła.

Zjawą unosiła się w powietrzu tuż przed nim i odniósł wrażenie, że wyobraźnia płata mu figle, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że przecież właśnie doświadcza – z samej definicji – sztuczek płatanych jego umysłowi. Co o tym nagraniu mówiła April Lamotte? Że Daniel zamówił w jakimś studiu montaż aury wszystkich jego ulubionych aktorów, a potem ją zapętlili? Teraz zrozumiał, co kobieta miała na myśli. Bo czyż nie wyczuwał igrasze monarszej aury Peg Entwistle, a czy ta nie należała do tego utykającego faceta, któremu nigdy nic nie wychodziło? Naprawdę czuł się tak, jakby smakował destylat z nieskończonej, spędzonej w kinie nocy. Pojął też, po co Daniel Lamotte sobie tę rzecz zamówił oraz dlaczego zaczęła go dręczyć. Było jednak coś jeszcze. Jakiś ukryty pod powierzchnią prąd, w dziwny sposób próbujący porwać jego duszę – coś ponurego, potężnego i niezwykłego...

Zadrżał i wyłączył urządzenie. Zjawą pobladła i zniknęła. Usłyszał coś w korytarzu, obejrzał się i zauważył, że w pokoju, gdzie rozmawiał z April Lamotte, pali się światło. Przebrana Barbara Eshel stała przy długiej sofie.

– Co cię zatrzymało, Clark? – zapytała.

Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że już wie, do jakiej kategorii tę kobietę przypisać, ona robiła coś takiego. w jaki, na przykład, sposób zdążyła się wystroić i zejść na dół? Znacznie szybciej niż on? i jak to możliwe, by wyglądała aż tak...?

– Wcale nie wyglądasz źle – oceniła, przyglądając się mu. – Jak na niedo-

szłą gwiazdę.

– Ty też nie. Jak na pismaka z nieznanej gazety.

– To... – wskazała ręką na swą długą, ciemną suknię, mieniającą się turkusowymi błękitami – ...jest jedyna rzecz w garderobie April Lamotte, w której mogę chodzić jak normalny człowiek.

Luźna suknia spływała z jej bioder, w piersiach była głęboko wycięta i dopasowana. Fryzurze Barbara nie poświęciła wiele uwagi, lecz to, co jednak zrobiła, spowodowało zupełną przemianę. a może to przez kolczyki? Lub ten srebrny, ciasno opinający szyję naszyjnik?

– Zupełnie nie rozumiem – podjęła – jaki jest sens wbijania się w kawałki błyszczącej tkaniny, tak ciasne w udach i tyłku, że ledwie da się postawić krok?

– Chyba mógłbym ci to wytłumaczyć.

– Szkoda czasu. Już teraz czuję się jak jakaś komiczna dziwka z wielkiego świata. a to przecież ja machałam flagami, protestując przeciwko złotom Ligi Wolności, póki nie zaczęła nas łać policja.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Wyjechali z kanionów w kierunku Beverly Hills. Niebo ciemniało chmurami i błyskało. Hotel Beverly Wiltshire. Elektryczna Fontanna^[11]. Plakaty, plakaty, plakaty. JUDASZ – FILM EMOTYCZNY KTO CHCE WYGLĄDAĆ STARO CIEPŁE WINO LEWATYWY CZY WDYCHASZ HOT DOGI KUPUJ SPRZEDAWAJ ZJEDZ UMRZYJ OSTATNI NAJLEPSZY NAJNOWSZY NOWY NOWY ODŚWIEŻONY NOWY MŁODY.

Budynek widoczny za uniesioną chromowaną kratą bramy strzegącej rezydencji Herberta Kisbera był tak wielki, i jednocześnie tak delikatnie utrzymywał się na zalanych światłem pasach trawnika, że ciężko było uwierzyć, że wzniesiono go z kamienia.

– Ale nie zaczniesz wmawiać ludziom, że jesteś moją zmarłą żoną, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Niemniej, przyszedłeś ze mną, Barbaro. a wyglądasz tak, że ktokolwiek, kto słyszał o tym, co się stało, pomyśli, że to trochę szybko, jak na nawiązanie nowego romansu.

– Po pierwsze, to jest Hollywood i nikt tak nie pomyśli. Po drugie, jeszcze mniej osób się tym przejmie. a po trzecie, Clark, po prostu powiem, kim jestem naprawdę.

– To znaczy...

– Powiem, „Cześć, żyję z pisania”. a kiedy spytają, czy cokolwiek mojego trafiło do produkcji, wyjaśnię, że nie o takie pisanie chodzi. i dadzą mi spo-

Część osiłków z ochrony miała na sobie wieczorowe stroje, inni nosili mundury służby bezpieczeństwa Ligi Wolności. Wszyscy za to byli jednak wielcy i barczyści; w niczym nie przypominali faceta z Gladmont Securities, raczej drugoplanowych goryli z emotyków. Nie poprosili Clarka o okazanie zaproszeń, nie zapytali nawet, kim goście są, aczkolwiek Barbara wyglądała na chętną, by z nimi porozmawiać, póki nie pociągnął jej za sobą. Ruszyli trawiastą ścieżką, otoczoną szpalerem płonących pochodni i masą drogich samochodów; szli w kierunku namiotów, muzyki piszczałek, flag i maszerujących żołnierzy. Rozbłyskujące lufy dział i padające na ziemię wierzchowce stanowiły część bitewnej inscenizacji, zorganizowanej przed rezydencją w rozległej niecce pomiędzy jeziorami.

– Dan, Dan, Dan. Więc jednak udało ci się dotrzeć... – Podskoczył ku niemu Timmy Townsend, puszający się w swym krawacie w szkocką kratę, takim samym płaszczu i równie szkockich spodniach. – Tak, tak bardzo się cieszę, że cię widzę.

Kiedy Timmy zajął się szarpaniem jego dłoni, Clark rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu Barbary, lecz dziewczyna zniknęła już gdzieś wśród szynkowego tłumu.

– Uznałem, że powinienem.

– i jesteś. – Timmy zaczerpnął tchu z prychnięciem, na poły śmiechem, na poły wyrazem niedowierzania. – Wiadomość o twojej żonie... – Wyglądał wesoło, nawet kiedy usilnie się starał zrobić smutną minę. – To tak bardzo, bardzo straszne. Musisz poinformować moją sekretarkę o dacie i miejscu pogrzebu. Obiecujesz? Koszmarna sprawa. Ale, ale co z tobą, Dan? Jak się czujesz? Trzymasz się? Myślisz, że dasz radę zmierzyć się z nowym dniem, z nowym terminem i w ogóle działać dalej?

– Tak – przytaknął ze skinieniem głowy. – Myślę, że dam.

– To... – zatroskany i przygnębiony wyraz twarzy po raz kolejny przegrał batalię z uśmiechem, bez przerwy dominującym na szerokiej twarzy Timmy'ego – ...cudnie.

– Timmy, mogę cię o coś zapytać? Chodzi o moją żonę. Na pewno się z nią kontaktowałeś, żeby dogadać szczegóły kontraktu, prawda?

– Chyba że dwa razy rozmawialiśmy przez telefon. – Dolna warga dyrekto-

ra do spraw produkcji wydeła się jak zwykle w podobnych sytuacjach u osób niezbyt często zmuszanych do rozważań nad przeszłością. – Kiedy przyszedł szkic i sekretarka rzuciła mi go na biurko, od razu, oczywiście, zwróciłem uwagę na twoje nazwisko, usiadłem, przeczytałem, i to było najbardziej...

– Czyli April skontaktowała się z tobą dopiero, gdy dostałeś już scenariusz?

– Wiesz, Dan, musiałbym sprawdzić z sekretarką. Ale tak, pamiętam, że miałem w ręku genialny tekst, a zaraz potem zadzwoniła April. Pytała czy dostałem, czy się zapoznałem i co myśle.

– Czyli to ja wysłałem ci „Obudź się i śnij”, nie April? Tekst przyszedł z mojego adresu na Bunker Hill? a potem pojawiła się ona i dogadała warunki umowy?

– Tak to przynajmniej zapamiętałem.

– Przepraszam, że tak drązę. Ale wiesz, Tim, jestem podobny do ciebie. Zwracam uwagę na ogólną sytuację i pamięć czasami mnie zawodzi, gdy przychodzi do detali. a samej April nie mogę już o nic zapytać.

– Cudowna, cudowna kobieta. – Zagrały werble. Działa splunęły ogniem.

– Pewnie. a jakie wrażenie wywarła na tobie jako agentka? To znaczy, jak się zachowywała, dopinając interes?

Dotąd po prostu zdumiona mina Timmy’ego przeszła naraz w zaniepokojoną.

– Interes to interes, wiesz jak jest, stary. Nieważne, kto żyje, a kto nie. i to raczej nie najlepsza pora, żebyś się przejmował takimi sprawami, mój drogi Danny. Chociaż jasne, jesteś wstrząśnięty, znaczy, nie miałem pojęcia...

– Masz rację. Ja też nie. Byłem po prostu, nie wiem, ciekaw, jak do tego biznesu podeszła...

Timmy Townsend złożył mu rękę na ramieniu. Uśmiech prędko powrócił na jego twarz.

– Twoja żona była przyzwoitym człowiekiem. Na pewno nie była lejącą na kasę, nadmiernie ambitną supersuką, z tych, co to ma się wrażenie, że przed uściskiem dłoni z nimi należy włożyć żelazne rękawice, bo mają tak ostre szpony. Swoją drogą, tak *entre nous*, z tego rodzaju agentami mam do czynienia coraz częściej. Śmierć April Lamotte nie jest tylko twoją stratą, Dan, ale stratą dla całej branży, dla nas wszystkich. Mogę uczciwie powiedzieć, że współpraca z nią przypominała powiew świeżego powietrza.

„Przywoita...”. „Powiew świeżego powietrza...”. Innymi słowy, choć była dobra, przyjęła pierwszą złożoną jej propozycję. Tak nie powinien działać żaden agent, a co dopiero April Lamotte.

– Ale teraz musisz pozwolić, bym przedstawił cię kilku osobom...

* * *

Nawet producenci emotyków muszą być w czymś dobrzy, a Timmy Townsend był tego wieczoru w szczytowej formie. Ręka na ramieniu, ciepły uśmiech, przyjazne „hej”, obietnica krótkiej rozmowy, buziak w policzek, odwrócenie spojrzenia jasno mówiące „spieprzaj”, wymijające lub zachęcające skinienie dłoni, zalotne klepięcie w tyłek.

w dawnych czasach Clark bywał na podobnych bankietach. Niewiele się zmieniło, poza tym, że rąbki sukni uniosły się wyżej, a wycięcia w dekoltach nieco się opuściły. Odmieniona była jednak cała branża – o ile w ogóle pozostała tą samą. Ludzie pokroju Thalberga, Goldwina, Meyerów, Wallace’ów zostali pożarci i zniknęli wraz ze swymi wytwórniami. Teraz liczyli się Senserama, Arc-Plasm i TTL. Nawet marka Paramount – stanowiąca obecnie element nazwy Paramount-Shindo – została zachowana przez Japońców jedynie po to, by ludzie mieli wrażenie, że studio nie jest wyłączną własnością Azjatów. Oczywiście, za czasów Clarka wszyscy prominenci w branży byli Żydami. Jasne, tutaj nie traktowano ich teraz tak, jak podobno traktowano Żydków w Europie – nawet nie w wiodącej Kalifornii. Ależ skąd. Do tego wiele brakowało. Tutaj mogli przecież zachować swoje stanowiska, otwierać rachunki bankowe i prowadzić interesy jak wszyscy, o ile tylko grzecznie pozwolili się zarejestrować, a ich liczba nie przekraczała naukowo określonego progu dla mniejszości etnicznych. Podobnie jak Meksykanie, Chińczycy i Czarni, mogli nawet korzystać niekiedy z tych samych co biali autobusów, szkół, kranów z pitną wodą i publicznych toalet; rzecz sprawdziła się do kwestii sprawiedliwego podziału ograniczonych ilościowo zasobów. Ukryty przekaz głosił: przywyknij, pogódź się, albo wypieprzaj z naszej ziemi. w końcu, wciąż był to kraj wolnych ludzi.

Zupełnie tak samo jak wcześniej w wytwórni, przedstawiając się kolejnym osobom, oczekiwał podświadomie, że w pewnej chwili zobaczy kręcącą się głowę i usłyszy: „Nie, nie jesteś Danielem Lamotte’em, a gdybyś zdjął z nosa te inteligentkie okulary, przypominałbyś trochę tego gościa, który nazywał się Clark Gable i w pewnym momencie otarł się nawet o sławę...”. Mar-

twił się jednak niepotrzebnie. Ci ludzie nie byli tacy jak Mary z „Edna’s Eats”, niektóre z jego smutnych klientek, tudzież przechodnie przyglądający mu się niekiedy na ulicy. Tutaj, wszystko co się kiedykolwiek wydarzyło lub mogło wydarzyć, zostało przerobione, przefiltrowane przez olśniewający pryzmat wiecznego teraz. w miarę jak przedstawiano go coraz to nowym osobistościom i prowadzono dalej, uświadamiał sobie, że wyraz twarzy pod tytułem „Czy ja cię przypadkiem nie kojarzę?”, z jakim często go witano – oraz ciepłe skinienie głowy następujące zaraz po wyjaśnieniach Timmy’ego – stanowią po prostu standardowy sposób obchodzenia się z nieznanymi. Oczywiście było, że każdy, kto się tu w ogóle pojawił, był kimś. Następnie wkraczał Timmy – dyrygujący sytuacją niczym Karajan prowadzący orkiestrę podczas ostatniego tournée Filharmoników Berlińskich – i opowiadał o niedawnej, straszliwej stracie. „Dan dobrze się trzyma, Dan sobie poradzi; Dan jest autorem tego gatunku, który potrafi podobne historie przekuć na cudowne zyski przy kasie” – to właśnie słyszeli wszyscy w ciepłym głosie Timmy’ego. Kobiety tuliły Clarka i szeptały mu na ucho słodkie słówka. Mężczyźni spoglądali ze łzami w oczach i szczególnie długo ściskali mu dłoń. Dostawał wizytówki od prawników, propozycje od nowych agentów – „Zadzwoń, gdy tylko dojdiesz do siebie, albo lepiej ja do ciebie zadzwonię” – ktoś nawet zaoferował mu wypożyczenie jachtu. Stojąc tam z nimi, czuł się jak prawdziwa gwiazda i wiedział, że zaraz, gdy tylko odejdzie, zostanie zapomniany jako ten anonimowy pisarz, którego żona źle wjechała w zakręt i wyleciała prosto w przepaść.

Przypomniał sobie tę pożółkłą listę gości; nazwiska i ludzi – tych, którzy zginęli u szczytu swego sukcesu, chyba że nie zdążyli go osiągnąć. Rozmawiał z facetem zarządzającym koleją żelazną w Los Angeles i Salt Lake. Czyż nie widział tam jego nazwiska? a czy ten gość w czerwonej sutannie nie był dawniej ojcem Geraldem skądś tam, piastującym teraz urząd biskupa Los Angeles? a ów gruby aparatczyk Ligi Wolności, obecnie najwyraźniej sędzia sądu najwyższego Kalifornii, mający na koncie rekordową liczbę wyroków śmierci, czy i jego nie było na tej liście?

Clark, jak wszyscy pozostali, pił szampana i cały bankiet powoli zasnuwała złota mgiełka. Mężczyźni odrzucali głowy w tył i śmiejąc się, demonstrowali idealne uzębienie. Kobiety tak niezmiennie chude i blond, że wydawało się, że lada chwila rozplyną się w czystą aurę. Pod kandelabrami, w lustrza-

nych odbiciach, w refleksach na srebrnych tacach i topniejących lodowych rzeźbach oraz połyskujących kryształowych łakach rżniętego szkła, wszystko się powiększało i mnożyło, a jednak wydawało się tak bezwzględnie prawdziwe, że impreza przypominała sen utkany z czegoś znacznie bardziej konkretnego niż zwykłe ciała, starania, pieniądze lub nawet samo życie.

– Wspaniałe miejsce, co? – mówił Timmy Townsend. – Właśnie o tym ci opowiadałem! Herbert kupił tę ruinę zamku w Szkocji, kazał ją przewieźć aż tutaj i odbudowano ją kamień po kamieniu. Dzisiaj o północy zostanie zaprezentowana towarzystwu po raz pierwszy. Słyszałem nawet, że ma tam prawdziwego, sprawdzonego, staroświeckiego ducha. Żeby na czas dostać ten gamitur w szkocką kratę, dręczyłem sekretarkę od kilku tygodni. i cieszę się, że go zdobyłem. w końcu, kto chciałby w taki wieczór wyglądać jak prostak?

Gdzieś obok muzycy grali na dudach. Nieco dalej produkował się zespół jazzowy. Stojąc w połowie drogi między obiema grupami, słyszało się je naraz. Głównym celem misji Timmy'ego, powodem, dla którego ciągnął Clarka przez wiry i skrzyżowania bankietu, był sam Herbert Kisberg, ale gospodarz wciąż pozostawał nieuchwytny. Widzieli go wszyscy. Każdy z nim rozmawiał, lub przynajmniej utrzymywał, że rozmawiał z kimś, kto zamienił z nim słowo. Jego samego nie było jednak nigdzie.

Clark zauważył, że mimo bliskich omdlenia reakcji na samą wzmiankę o Kisbergu, o polityce mówiono niewiele. Owszem, Franklin Delano Roosevelt był dla nich „tym kaleką” i z trudem byli w stanie wymienić nazwisko nowego kandydata Republikanów, lecz myśl, że – nosząc w klapach i dekoltach partyjne znaczki, tudzież wrzucając studolarowe banknoty do roznoszonych przez służbę srebrnych skarbonek – naprawdę czynnie wspierają ideały Ligi Wolności, raczej do nich nie docierała. Przecież Herbert był człowiekiem branży, był jednym z nich, był graczem. Wyprodukował – a przynajmniej sfinansował – wszystkie te cudowne emotyki, które każdy tak dobrze pamiętał, rządził Kalifornią, jego oblicze spoglądało z billboardów i był tak szalenie przystojny, a ponadto zaprosił ich na to fantastyczne przyjęcie, znał ich po imieniu, a jeśli nawet nie, to było mu z tego powodu przykro. Co najważniejsze, był sławny i bogaty, nieprawdaż? a to liczyło się tak samo, jak bycie dobrym człowiekiem. Nie, jednak bardziej. Clark już widział oczywiście wyobraźni moment, gdy po ustąpieniu Kisberga, gubernatorem będzie

mógł zostać jeden z tych napakowanych, komunikujących się monosylabami osiłków z parkingu. Gubernatorem lub kimś jeszcze ważniejszym.

* * *

Wraz z Timmym dotarł wreszcie do mniejszej sali, ozdobionej tylko kilkoma perskimi dywanami i rozstawionymi wzdłuż ścian wazami z epoki dynastii Ming. w skórzanych fotelach siedziało kilku mężczyzn. Rozmawiali, paląc cygara. Paru innych stało. Podobna liczba kobiet, przyjmując rolę dodatkowych dekoracji, zajęła miejsca między wazami.

Clark był przez moment przeświadczony, że znaleźli się na peryferiach dzisiejszej uroczystości. Jednakże ton, jakim szeptali zebrani, i oceniające spojrzenia, którymi go obdarzyli, sprawiły, że zrozumiał pomyłkę.

Jeden ze stojących mężczyzn mówił z lekką ekscytacją. Wydawało się, że skupia na sobie uwagę wszystkich w pomieszczeniu. Clark rozpoznałby tę twarz, nawet gdyby nie widział plakatu przed studiami Senseramy. Było coś szczególnego w tym monarszym uśmiechu, w tych młodych, lecz mądrych oczach, i niemal chłopięcej czuprynie ciemnoblonde włosów.

– Herbert, Herbert... – wyjąkał Timmy, łopocąc ramionami, kiedy Kisberg umilkł i skierował się w ich stronę. – Chciałbym ci kogoś przedstawić.

– Oczywiście. – Pod urokiem tego spojrzenia trudno było nie poczuć się wyróżnionym.

– Poznaj Daniela Lamotte’a. Dopiero co kupiliśmy jego scenariusz. Biografia Larsa Bechmeira.

– Jak się masz, Dan? – Kisberg przełożył szklaneczkę whisky do drugiej ręki i przywitał się z Clarkiem uściskiem dłoni. – Bez „Królowej dziewicy” emotyki nie byłyby dzisiaj tym, czym są.

– Dzięki, panie Kisberg. i dziękuję za kupienie mojego tekstu.

– Mów mi Herbert. Żałuję, że nie jestem w stanie bardziej zaangażować się w proces twórczy, ale w dzisiejszych czasach całą ciężką robotą muszę obarczać Timmy’ego i jego kolegów.

Timmy uśmiechnął się szeroko. Gdyby był psem, zapewne przewróciłby się w tej chwili na grzbiet i odsłonił podbrzusze.

– Naprawdę jestem wielce zobowiązany, że się tu dzisiaj pokazałeś – mówił dalej. – Zwłaszcza po tak niedawnej tragedii. Sam jednak uważam, że lepiej patrzeć w przyszłość. Wiem również, jak wielkie ukojenie może przynieść praca, zwłaszcza w trudnych momentach.

Clark przytaknął skinieniem. Usilnie starał się pamiętać o lotnych brygadach, o pobiciach, o krzepkich pielęgniarzach z gumowymi szlauchami, których widział w Met, o wszystkich mrocznych rzeczach, jakie przytrafiły się jemu i tak wielu innym w słonecznej ciemności tego dziwnego, nowego świata. Leżące w kostnicy ciało April Lamotte. Nazwiska z listy Barbary Eshel.

– Czytałem „Obudź się i śnij” – ciągnął Kisberg – i chcę ci powiedzieć, że dzięki takim chwilom czuję dumę z tego, że pracuję w tej branży. Znacomiecie oddałeś ducha tamtych czasów. Jestem pewien, że ostateczny produkt okaże się arcydziełem.

– Cóż, raz jeszcze dziękuję. Aczkolwiek, panie Kisberg, zastanawiam się, z jakiego powodu Senserama uznała, że to właśnie jest dobry moment na nakręcenie emotyku o Larsie Bechmeirze. Chodzi mi o to, że wybrałem temat na tyle oczywisty, że na pewno dostaliście już wiele podobnych scenariuszy i szkiców.

– Czasami coś po prostu wydaje się dobrym pomysłem. Ty, jako autor, sam na pewno to poczułeś.

– Tak. Od jakiegoś czasu próbuję też porozmawiać z kilkoma osobami. Między innymi z kobietą nazwiskiem Penny Losovic. Domyślam się, że pan ją zna?

– Oczywiście. Penny wykonuje wspaniałą i stanowczo niedocenianą robotę dla Fundacji Bechmeira. Bez niej ta organizacja miałaby zupełnie inny kształt, a wielu ludzi byłoby znacznie biedniejszymi.

– Dzisiaj jej tu nie ma, prawda?

– Nie wydaje mi się. – Trudno było odczytać ze stalowych oczu, co naprawdę myśli Herbert Kisberg. – Penny nie przepada za tłumami. Ale skoro masz problem z dotarciem do niej, zobaczę co da się zrobić... – Zwrócił się do Timmy’ego, który już zawzięcie kiwał głową. – a może ty, Tim?

– Pozostaje jeszcze kwestia Howarda Hughesa – brnął dalej Clark. – Prawdę powiedziawszy, nadal mam kłopot z dobrym ujęciem sceny, w której Lars Bechmeir stawia się w jego korporacji z prototypem urządzenia.

– Howard był wspaniałym przyjacielem. – Przez cały czas przyglądali się im inni. Mimo że nie podnosił głosu, słowa Kisberga bez trudu wypełniały salkę. – Wciąż jest, a przynajmniej zachowuję go w życzliwej pamięci. Bez niego nie osiągnęlibyśmy niczego. Żaden z nas.

– Dla mnie istotne jest to, że uwierzył w pomysł Bechmeira. Facet był zupełnie nikim, a jego wynalazek musiał się wydawać mrzonką szaleńca. Jeśli wolno zadać osobiste pytanie, panie Kisberg, co właściwie sprawiło, że wybrał się pan na premierę „Pękniętego zwierciadła”?

Kisberg upił z wolna łyk whisky.

– Być może wszyscy byliśmy wówczas trochę młodszy i trochę głupszy. – Rzucił rozmówcy chłopięcy uśmiech. – Tak, nieco głupoty i gotowości do podjęcia ryzyka. Prawdopodobnie nikt nie powinien tych cech wykluczać ze swojego życia.

Zebrani pokiwali z powagą głowami. Wydawało się, że rozmowa dobiegła końca, ale Kisberg nagle odstawił szklaneczkę i przysunął się tak blisko, że Clark poczuł słodki, kwiatowy zapach jego wody kolońskiej.

– Rozumiem, Dan, że chcesz dotrzeć do sedna wydarzeń – wyszeptał z tak niewielkiej odległości, że jego oddech wydawał się muśnięciem pola Bechmeira. – Cóż, chyba będą ci w stanie pomóc.

* * *

– Jak ci się podoba mój dom, Dan? Za duży i zbyt pretensjonalny, jak sądzę? Widzisz, należy uczestniczyć w przedstawieniu. To jeden z niezmiennych wymogów władzy. Wyobrażam sobie, że dawni władcy, tacy jak królowa Elżbieta, o której napisałeś ten wspaniały scenariusz, czuli podobnie.

Clark Gable i Herbert Kisberg szli przez wyłożone czerwonymi dywanami korytarze, mijali wiszące na ścianach piękne malowidła i stojące pod nimi delikatne meble, o których gospodarz opowiadał z niedbałą miną osoby, która nie chce zdradzić, jak rozległą posiada wiedzę.

– Nie jestem aż takim dumniem, by wierzyć, że jesteś zwolennikiem Ligi Wolności – powiedział cicho, po chwili spędzonej na wychwalaniu wyśmienitych detali postaci psa na obrazie Vermeera.

– Zazwyczaj nie chodzę na wybory, panie Kisberg. Aczkolwiek nie myli się pan. Nie popieram pańskiej partii i nigdy nie będę.

– z jakiegoś konkretnego powodu? – Gospodarz spojrzął na Clarka niemal nieśmiało, spod jasnych rzęs.

– z kilku. Na przykład, dowiedziałem się od Timmy’ego Townsenda, że zawarliście z nazistami umowę na dostarczanie emotycznych nagrań na wiece Hitlera.

– Ach, to. Tim to buc, jak zdążyłeś zapewne zauważyć. Ale jest poczciwy

i ma dobre oko w niektórych kwestiach. Może nawet w tej doboru przebojowych scenariuszy. Miejmy taką nadzieję. Gdy tylko usłyszałem, że jeden z szefów Senseramy wykonał to nieprzemyślane podejście do Niemców, natychmiast zamknąłem sprawę. Cały sens istnienia Ligi Wolności zawiera się w tym, że my nie, absolutnie nie, podkreślam, nie popieramy nazistów. Musimy jednak pozostawić Europę jej własnym kłopotom i przeciwdziałać prawdziwemu zagrożeniu, pochodzącemu z jej drugiego krańca.

– To znaczy?

– Światowemu komunizmowi, rzecz jasna. Gdybyśmy podjęli walkę z obecnym niemieckim ekspansjonizmem, skutkowałoby to jedynie wsparciem Rosji Radzieckiej. Powiedzmy, że wypowiedziemy wojnę Niemcom, do czego nieuchronnie prowadzi polityka Roosevelta, założmy, że zaciągniemy naszą młodzież do wojska oraz zmarnotrawimy narodowe bogactwo na pancerniki i samoloty, by amerykańska krew mogła wsiąknąć w pola Francji. Czy sądzisz, że Rosjanie będą się temu biernie przyglądać? Oni i Japończycy? Dan, ja znam wojnę. Walczyłem w okopach w stopniu kapitana i widziałem straszliwe rzeczy. Nie wierzę w iluzje ani półśrodki. Musimy zrozumieć, gdzie znajduje się prawdziwy ośrodek naszych interesów. a znajduje się tutaj, w kraju. Zależy mi na kwitnącej, pokojowej ojczyźnie, w której obywatele rozumieliby, co znaczy być Amerykaninem. – Wzruszył ramionami. – To właśnie program mojej partii.

– a co z facetami, jakich widuję na ulicach? z tymi, którzy noszą czarne koszule? z idiotami domagającymi się, by Żydzi nosili odznaki, a czarni zostali przesiedleni do rezerwatów jak Indianie?

– Idioci. Ale to amerykańscy idioci i głęboko wierzą w swój kraj, a przy tym mają dobre wyczucie tego, co jest złe. Stracili miejsca pracy, domy, firmy i wszystko spadło na nich na przestrzeni ostatnich trudnych dziesięciu lat. To są prawdziwi Amerykanie – nie przyplłynęli tu dziesięć minut temu – a teraz chcą odzyskać kontrolę nad własnym życiem i szacunek dla samych siebie. Owszem, mają swoje uprzedzenia, ale kto ich nie ma, Dan? Niebezpieczni mogliby się stać dopiero, gdybyśmy zostawili ich samym sobie i zignorowali ich głos. a jeżeli ich przyjmujemy, i położymy kres zagranicznym wpływom oraz imigracji, a potem pogodzimy się z prawdą na temat istoty naszego kraju...

* * *

Po jednej stronie korytarza poblýskiwał złotem jakiś wielki, przesłaniający ścianę skarb – być może ołtarz ze starej, włoskiej kaplicy; trudno było powiedzieć. Naprzeciwko otwierało się wejście do niewielkiego, zalanego przyćmionym światłem pokoju.

Wewnątrz znajdowało się łóżko i radio, odtwarzające zapewne coś klasycznego i symfonicznego, choć nie dało się tego stwierdzić, gdyż muzyka grała zbyt cicho. Obok, ukryte za wiszącą na szynie zasłoną, stały przenośna toaleta i zastawiony drogimi lekarstwami stolik na kółkach. Przeznaczenie pomieszczenia było w oczywisty sposób medyczne, lecz nie pojawił się żaden ze zwykłych sygnałów, które w podobnych miejscach napawały Clarka silnym lękiem. z wyjątkiem atmosfery wytłumionego bólu. Na ścianach wisiało kilka obrazów, lecz były to same tanie reprodukcje. Malowane, gipsowe ozdoby zamontowane ponad wygaszonym kominkiem można było zdobyć dzięki kilku szczęśliwym trafieniom na strzelnicy w dowolnym wesołym miasteczku. Po wszystkim, co do tej pory widział w tym domu, wstrząsnęła nim bezbarwność pomieszczenia, zanim jeszcze zdążył się dokładnie rozejrzeć.

Zobaczył też dwie pielęgniarki, obie odziane w uniformy podkreślające ich kształty tak starannie, że człowiek zaczynał się zastanawiać nad innymi kwalifikacjami dziewczyn. Jedna z nich siedziała i przeglądała katalog wysyłkowego domu mody. Druga paliła papierosa i wyglądała przez szparę między zasłonami, obserwując trwające na zewnątrz przyjęcie. Kiedy Clark z Kisbergiem weszli do środka, kobiety obróciły się, poprawiły włosy i zmieniły wyraz znudzenia na uśmiechy.

– Jak on się czuje? – spytał gospodarz.

– Hmm... – Pałaca pielęgniarka wrzuciła papierosa do chromowanej popielniczki z zamykanym wieczkiem, podczas gdy druga podniosła się z miejsca i wygładziła spódniczkę na udach – ...dobrze... – obie nosiły tak bardzo podobne fryzury i makijaże, że ciężko było stwierdzić, która się właściwie odzywa. – ...Spała... Przez ostatnie pół godziny lub coś koło tego... – Mogły być bliźniaczkami.

Długie zajmujące środek pokoju łóżko miało szarą metalową ramę i unoszone po bokach barierki, zabezpieczające przed wypadnięciem. Clark widywał takie w szpitalach, lecz to było puste, a jedna z barierek została opuszczona. Człowiek, na którego wszyscy teraz patrzyli, siedział obok kozetki w

fotelu inwalidzkim. Drobne ciało garbiło się pod stertą kraciatych koców, z której fałd wychodziła brązowa gumowa rurka, prowadząca do przypominającego słój naczynia pod łóżkiem. Spod koców wystawały też czubki kapci i przebłysk nagiej, kościstej, poznaczonej niebieskimi plamkami kostki. Mężczyzna miał na sobie krzywo zapięte koszulę i sweter. Szczeka zwisała mu bezwładnie, a podbródek nikał w rozchełstanym kołnierzyku. Po wejściu gości drgnął na dźwięk głosów i z wolna wyprostował żylastą szyję. Zamrugał gwałtownie i zaczął na przemian otwierać i zamykać usta, zupełnie jak budzący się z zimowego snu zółw, wysuwający głowę ze skorupy.

Jedna z pielęgniarek podskoczyła i wytarła mu z kącika ust kropelkę śliny. Mężczyzna odpowiedział ostrym młasnieniem i poirytowanym spazmem, który poderwał jego ptasie ramiona. Wydał z siebie serię wilgotnych dźwięków. Druga dziewczyna skinęła głową; wyglądało na to, że rozumie zawarte w tych cmoknięciach słowa. Podeszła do szafki, otworzyła szerokie rączki okularów o okrągłych szklach i zaczęła je o uszy i niewielki, zadarty nos pacjenta. I, zupełnie jakby pokój odzyskał nagle ostrość. Znienacka nie było już żadnych wątpliwości, kim jest ten kruchy starzec, spoglądający na nich spod bezustannie mrugających powiek. Owszem, brodę miał teraz przeredzoną i posiwiąłą, zniknęła też dwurzędowa marynarka, ale Clark wiedział, że patrzy na Larsa Bechmeira. Zauważył nawet stojącą na szafce, z której pielęgniarka podniosła słynne okulary, jego nieodłączną fajkę z morskiej pianki.

Gestem młodego krewnego, przybywającego w odwiedzinie do podstarzałego wuja, Herbert Kisberg pochylił się i z uśmiechem ujął jedną z trzęsących się dłoni.

– Przepraszam, że cię budzę, stary druhu. Wiem, że musisz oszczędzać energię. Ale przyprowadziłem kogoś, kogo powinieneś poznać. To scenarzysta, Daniel Lamotte...

– ...S...? – z cienkich warg pociekła ślina.

– Właśnie tak, Lars. Jest scenarzystą. I pisze emotyki opowiadający o twoim życiu.

Lars Bechmeir patrzył teraz prawie bezpośrednio na Clarka. Wciąż poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć. a może po prostu łąpał powietrze.

– Witam, panie Bechmeir. – Clark usłyszał własny cichy głos. – To dla mnie prawdziwa przyjemność.

– Innym razem, drogi staruszku, kiedy będziesz w lepszej formie, umówi-

my was na rozmowę. w porządku?

– W... porządku...? – Były to pierwsze wyraźniej artykułowane słowa, jakie Clark usłyszał z ust Larsa Bechmeira. w spojrzeniu, które go wreszcie pochwyciło, pojawiła się coraz bardziej intensywna ostrość, niemal ożywienie.

Ten gość, pomyślał, nie odleciał jeszcze zupełnie. Wciąż tkwi w nim, gdzie głęboko, coś żywego i bystrego... w sposobie, w jakim patrzył na niego odkrywca, dało się wyczytać coś jeszcze. Coraz gwałtowniej poruszał dłońmi – do tego stopnia, że Herbert Kisberg musiał się cofnąć i ustąpić miejsca pielęgniarce. w jednej chwili przeobrażone w szepczące czule usta i obleczone w wyprasowany len tyłki zaczęły ocierać wilgoć z ust pacjenta, przytrzymały rozszalałe ręce.

– W...? Porządku...? – Lars Bechmeir wciąż był poruszony. Kiedy goście wychodzili z pokoju, nadal wpatrywał się prosto w Clarka.

* * *

– Oczywiście, wszystkie doniesienia o spotkaniach z nim były fałszywe. – Kisberg westchnął. – Przynajmniej te, które nie opowiadały o nim na ranczu w Orange County, gdzie wiedzie spokojne życie w towarzystwie kilku specjalnie dobranych pomocnic w rodzaju Adeline i Marie-Louise. Jestem przekonany, że uda się doprowadzić do prawdziwej rozmowy, ale nie wolno go przemęczyć. Zgodził się na pierwsze od lat publiczne wystąpienie, jutro wieczorem na balu Ligi Wolności w hotelu Biltmore. Kto wie, może nawet uda się wydusić z niego parę słów.

Lars Bechmeir wspiera Ligę Wolności! To byłaby reklama stulecia, zupełnie jakby Bóg oświadczył, że jest kibicem Nicksów, lub że woli Avis od Hertza. o ile oczywiście mały staruszek rzeczywiście był w stanie złożyć jakiegokolwiek oświadczenie.

– Czyli naprawdę będzie pan kandydować?

Herbert Kisberg rzucił mu jeden ze swoich wstydliwych uśmiezków.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Zerknął na zegarek. – Ale teraz muszę cię już przeprosić, Dan. Obawiam się, że mam coś do zrobienia. Straszne nudy. Ale zbliża się północ i jak sądzę, większość gości zbierze się zaraz na zewnątrz...

* * *

Ryczała muzyka. Światła reflektorów przebijały niebo. Deszcz ustawał, ale wiał silny wiatr – porywał w ciemność kapelusze i tupeciki – aczkolwiek

trudno było stwierdzić, czy za wicherą odpowiada pogoda, czy może to wytwórnia sprowadziła maszyny do wytwarzania sztucznego huraganu.

Clark już kilka razy dziś słyszał, że o północy, na blankach malowniczej – przewiezionej z gór Szkocji i odbudowanej kamień po kamieniu – ruiny zamku Balaig ma się pojawić duch. Skrzywdzona kobieta, zaszytetylowany mąż, złożony w ofierze mnich, pogrzebana żywcem bądź utopiona zakonnica... Na razie jednak – podświetlony kolorowymi punktowymi reflektorami, świecącymi przez mgłę suchego lodu – zamek był przytłoczony otaczającym go widowiskiem; niczym megalityczny relikwiarz jakiegoś indiańskiego plemienia, na moment odsłonięty podczas robót ziemnych przy budowie nowego centrum handlowego.

Ścieżkę przez ruiny wyznaczały aksamitne sznury, ubrani w kraciaste stroje stewardzi rozlewali do szklaneczek szkocką whisky i wskazywali gościom drogę. Kilku cyników, wspinających się po świeżo odmurowanych stopniach, zastanawiało się, czy duchy znają pojęcie różnicy czasu, czy też może po śmierci trwają w strefie czasowej miejsca swych narodzin lub śmierci. a co z okresową zmianą czasu?

Nadciągnęła północ, a wraz z nią niezemska ciska, gdy po raz pierwszy tego wieczoru, lub może w całej historii Hollywood, zebrany na murach tłum tuzów show-biznesu przestał głądzić i marudzić. i wtedy, wraz z wybiciem zegara na wieży – oświetlonej pojedynczym reflektorem rzucającym snop światła z dachu domu Kisberga – niebo rozpadło się na świetliste żyły. Trzasnęła grzmot. w mgnieniu oka wszystko zasnuły kotary deszczu.

Kobiety pizczyły, suknie nabierały przezroczyści, łamały się obcasy. Goście zaczęli zbiegać z murów. Rozpętała się burza. Clark jednak został na murze i oglądał z góry w świetle lamp nieporadnego węża podpitych, ślizgających się w błocie ludzi. Ogród pustoszał błyskawicznie. Wkrótce na zewnątrz, na tych wykorzenionych, starych kamieniach, pośród wzbierających grzmotów, pozostał już tylko on. Gdy patrzył na przebłyski światła zamrażające w powietrzu krople deszczu, przyszło mu do głowy, że gdyby kiedykolwiek miał się tutaj pojawić duch, to właśnie teraz. i aż krzyknął, kiedy zimna, mokra dłoń spoczęła mu na ramieniu.

– Ależ noc, co? – Timmy Townsend rozpostarł ramiona i odchylił głowę, wystawiając twarz na deszcz. – Cóż to, kurwa, za noc! No dalej, Boże, ty draniu! Wykończ mnie! No już! – Na górnej wardze producenta pobłyskiwała

gruba warstwa białego śluzu. – Lepiej już nie będzie. Czujesz się kiedykolwiek aż tak szczęśliwy, mój drogi Danny? Kiedykolwiek w swoim całym, kurwa, życiu? Wiem, że twoja żona popełniła samobójstwo i tak dalej. Ale spotkałeś się z nim, prawda? Kurwa, Lars Bechmeir jest tutaj, a jutro pojawi się w Biltmore!

Niebo ponownie rozbłysło. Zagrzało, tym razem tak potężnie, że wydało się, że zadygotał cały zamek.

– i posłuchaj, Danny! Załatwiłem dla ciebie specjalny wywiad na żywo, jutro, kurwa, prosto z Biltmore. Zareklamujesz „Obudź się i śnij” w programie Wallisa Beekinsa „Star Talk”. Może nawet pozdrowi nas sam Bechmeir, o ile wytrzyma, bo z tego co słyszałem, na olimpiadę to on się raczej nie nadaje. Ale z pewnością wspomni o nas inny bohater chwili, przyszły, kurwa, prezydent, Herbert Kisberg! Kto by w to uwierzył, jeszcze wczoraj, kiedy się poznaliśmy? Kto by w to, kurwa, uwierzył pół godziny temu? Że ta chwila okaże się tak kurewsko idealna? Sam film będzie katastrofalny. Rozumiesz to, prawda Dan? Teraz, kiedy będzie o nas głośno i wszystko się jeszcze rozpędzi, przestaniemy się koncentrować i zapomnimy o naszym śnie, ha, „Obudź się i śnij”, no nie? Zapomnimy o marzeniu, dzięki któremu rozpoczęliśmy ten projekt. Wyprodukujemy kupę gówna. i wiesz co? Wiesz co jest, kurwa, najlepsze? Nikt nie zwróci na to uwagi... – w tej chwili Timmy Townsend już tańczył. Wymachiwał rękoma. Jego stopy ślizgały się na mokrych kamieniach, na skraju dziesięciometrowego urwiska. – Tłumy zaczną walić do kin, krytycy będą się onanizować naszym dziełem, a my będziemy trącać się kieliszkami, pieprzyć dziwki i wysyłać dziewczyny na zakupy do Rzymu, Berlina, Madrytu, i przełknimy przy tym każdą kropelkę spermy, która wystrzeli z powodu ogólnego zachwytu. a „Obudź się i śnij” okaże się farsą, nie arcydziełem, jakim miało szansę być. i to, mój drogi Danny – zamachnął się w kierunku Clarka, na pół uderzył pięścią, na pół wymierzył palcem – jest ze wszystkiego najśmieszniejsze. Stąd, po sam kres naszego pieprzonego życia mamy już tylko z górką i zupełnie się tym nie przejmujemy.

Kolejny dziki wymach i zatoczył się w tył, w stronę przepaści, zatrzepotał ramionami. Clark chwycił go odruchowo i przez moment obaj mężczyźni kołysali się niebezpiecznie na krawędzi muru. Po chwili Clark złapał mocniej i wyprostował Timmy'ego.

– Mało brakowało, co? Chwila prawie doskonała. – Producent wciąż zanośił się śmiechem, aczkolwiek jego zazwyczaj sprężysta fryzura przypominała teraz oklapłe, czarne skrzydła, z których spływały strużki farby. – Ty i Lars Bechmeir, kurwa, jutro w „Star Talk”, podczas zlotu Ligi Wolności w Biltmore. Przekonasz się, Danny, kurwa, zobaczysz, tylko poczekaj...

Timmy wywinął komicznego orła, jakiego pozazdrościłby mu nawet biedny świętej pamięci Harold Lloyd, i zsunął się po schodach zamku.

* * *

Clark odprowadził go wzrokiem. Deszcz osłabł. To naprawdę zdumiewające, że podczas tej burzy nikomu nie stała się poważna krzywda. z drugiej strony, po tym wszystkim, co ostatnio zobaczył, może nie powinien tak łatwo poddawać się zdumieniu.

Ruszył błotnistą ścieżką. w pewnej chwili, gdy rzucił przelotne spojrzenie na zamek, wydało mu się, że w pobliżu miejsca, gdzie przed chwilą stali, widzi niewyraźny kształt. Coś majaczyło na ciemnych blankach. Czyżby ktoś tam jeszcze został, niezauważony? a może to po prostu odbłask księżycowej poświaty przebijającej się przez rzędzące chmury? Kształt był jednak jasny, na poły konkretny i poruszał się, szybował. Przez chwilę wyglądał niemal na ożywiony. Clarka przeszył dreszcz, a wraz z nim nadeszło poczucie podziwu. Uświadomił sobie, że wyteża wzrok, wstrzymuje oddech i z jakiegoś powodu pragnie, by ta chwila trwała i stała się bardziej prawdziwa. Po-tem jednak wiatr powiał mocniej i przyniósł ze sobą nową porcję ciężkich, wirujących kropel. Ciemność zapulsowała i kształt zniknął, zgasł niczym czarny płomień świecy. Przeminał jeszcze jeden moment i Clark był już pewien, że nie widział niczego.



11 Electric Fountain – wzniesiona w 1931 roku, upamiętniająca założenie Los Angeles fontanna, której strumienie wody podświetlone są różnobarwnymi reflektorami.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Po burzy, na bankiecie Herberta Kisberga zapanował dziwny rodzaj demokracji. Kilka plamek błota. Zgubiona sztuczna rzęsa lub spinka do mankietu. Zniszczone barwy jedwabnego szala. Ci goście nie byli nawykli do tego typu niewygód i wymachując mokrymi ramionami, pośpiesznie poprawiali makijaże, układali włosy, ciesząc się tym, że na chwilę stali się niemal tacy sami jak wszyscy.

Wielu udało się na poszukiwania Herberta Kisberga, by osobiście pogratulować gospodarzowi organizacji tak spektakularnej burzy. Niektórzy rozpowiadali plotkę o pojawieniu się Larsa Bechmeira, lecz na tej klasy przyjęciach było to do przewidzenia. Grupki się rozpadały, niektórzy podobno wyszli, chociaż ta myśl wkrótce wydała się niedorzeczna – bo dokąd można było się stąd przenieść i kto wie, co mogli przegapić ewentualni wychodzący? Wciąż panowało oszałamiające wrażenie, że następne pięć minut może się okazać kluczowe dla wieczoru, wóz albo przewóz.

i pytanie, na przykład, czy trzymać się z pijakami, czy z osobami, które były po prostu dobre w udawaniu oszołomienia? Albo zadowolić się służącymi i poderwać kelnerkę lub pokojówkę? Zgodnie z tradycją, w kilku salach projekcyjnych Kisberga odtwarzano emotyki: fragmenty nowych produkcji oraz przezabawne urywki z planu ukazujące kapryśne fochy którejs z wielkich gwiazd. w mniej oficjalnych grupkach oglądano innego rodzaju atrakcje – legendarne, otoczone plotkami filmy, które nigdy nie miały trafić do kin. Zapętlony dźwięk, filmowa i emotywna ścieżka przedstawiająca orgazm słyn-

nej aktorki. w pokoiku obok, równie słynny film ukazujący prawdziwą gwiazdkę duszoną na śmierć paskiem od szlafroka. Tylko kwestią czasu było, nim ktoś zasugeruje odtworzenie obu nagrań jednocześnie.

Clark przechadzał się po rezydencji. Rozmowa z Kisbergiem, spotkanie z Larsem Bechmeirem, jutrzejszy wywiad na żywo w „Star Talk”... Uznał, że w zasadzie nie poszło mu źle, że to samo zrobiłby na jego miejscu prawdziwy scenarzysta, czy to Daniel Lamotte, czy ktoś inny. Niemniej, dzień był długi i Clark czuł się na tyle zmęczony, że przestawał się już czymkolwiek przejmować. Chciał po prostu wrócić do Blixden Apartments i przespać mniej więcej dwadzieścia godzin. a w ogóle to gdzie podziała się Barbara Eshel?

– Clark?

Stał w pustym pokoju. Otwarte drzwi balkonowe kołysały się i skrzypiały. Zapach kawioru i truskawek, oraz to poburzone drżenie powietrza – jak w emotycznym kinie – mieszały się ze sobą i falowały. Nie od razu rozpoznał własne imię.

– Clark Gable? To ty?

Wieczorowa suknia Peg Entwistle była przemoczona, a jasne włosy kleiły się jej do głowy, tworząc pośrodku wyraźny przedziałek. Wciąż jednak była piękna ową monarszą urodą z „Królowej dziewicy”, którą nadal pamiętał.

– Tak, to ja.

– Już wcześniej wydawało mi się, że cię widzę – powiedziała, podchodząc kilka kolejnych kroków – nie byłam jednak pewna. Zmieniłeś się.

– To przez okulary. Ale ty Peg... wyglądasz jak dawniej.

– Moi skretyniali reżyserzy są innego zdania. – Uśmiechnęła się. – Ale i tak miałam szczęście. Prawie na szczycie przez niemal dziesięć lat.

Nawet mówiła w ten sam sposób, z charakterystycznym śladem miękkiego, angielskiego akcentu, który – co Clark wiedział – był naprawdę walijski.

– Kilka dni temu zebrałem się wreszcie i obejrzałem „Królową dziewicę” – przyznał. – Byłaś genialna. Wszyscy tak mówią. Co prawda, niezbyt śledzę nowe emotyki... Zwłaszcza odkąd... cóż, od tamtej pory. Ale scenarzysta „Królowej”, Daniel Lamotte, jest w pewnym sensie moim znajomym.

– Naprawdę? – Peg znów się uśmiechnęła. Czy była to może sugestia zrozumienia? Czegoś innego? a może zupełnie nic istotnego. Tak czy inaczej, szybko zmieniła temat. – Czyli nadal działasz w branży?

– Zupełnie nie. Zajmuję się dochodzeniami.

– Ach. – Teraz był pewien, że jej słynne szarozielone spojrzenie stało się nieco bardziej ostrożne. – a czego takiego dochodzisz?

– Niczego specjalnego. Dostarczam wezwania do sądu. Śledzę ludzi. Dowiaduję się, gdzie bywają naprawdę, kiedy w sobotni wieczór wychodzą niby na partyjkę pokera. Zawsze chciałem grać takie role i w zasadzie jest tak samo. Różnicą jest mniejsza sława. i pieniądze.

– a jednak jesteś tutaj.

– Mieszkam w Venice. Mam, cóż, mnóstwo zajęć. Nadal co jakiś czas wpadam na kogoś z dawnych czasów. Oczywiście, coraz rzadziej. Wiesz, jak to jest. Ale masz rację. Dzisiaj wieczorem przyszedłem tu zawodowo, aczkolwiek nie ma to nic wspólnego z tobą. Dlatego wolałbym, żebyś nikomu o mnie nie wspominała.

Zadarła brodę.

– Więc tak to wygląda?

Oboje wiedzieli, że nie ma sensu, by pytał co u niej. Podobnie jak jej oblicze, życie Peg stanowiło dobro ogólnodostępne. Trzy małżeństwa, rozstania z gwiazdoram i ten wypadek samochodowy, po którym pewien dzieciak został kaleką, a ona niemal stanęła przed sądem. Mimo że Clark rzadko czytał plotki z życia miasta, wszystkie te informacje o Peg Entwistle w jakiś sposób do niego trafiały.

– Często wspominasz dawne czasy? – zapytał.

Westchnęła teatralnie, kpiąco.

– a jak sądzisz?

– Tak. – Czekał. Patrzył na nią. Po chwili zdjął okulary i nieporadnym ruchem schował je do kieszeni. – Słuchaj, Peg... Przepraszam cię za wtedy. Za to, co przeszłaś. Wiem, że cię zawiodłem.

– Być może zawiodłeś. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ale byli też inni, którzy mogli pomóc. Nawet ja sama. Zresztą, to nie tak, że byliśmy w sobie zakochani.

– Ale byliśmy blisko?

Teraz oboje musieli się uśmiechnąć, po prostu dlatego, że powiedział prawdę. Może rzeczywiście nie łączyła ich miłość, niemniej, z pewnością byli kochankami. Bliskimi. Tak, bliskość była chyba najlepszym słowem. Wszystko popsuło się, zanim jeszcze Peg popadła w tak kiepski stan, że

aresztowano ją za wtargnięcie na teren prywatny, po czym trafiła do wariatkowa, ale nie było na tyle kiepsko i źle, by nie mógł zawczasu przewidzieć, na co się zanosi. Cała ta jej gadanina o sukcesie lub ostatecznej klęsce. Brednie, jakie wygadywała o skoku z jednej z liter wielkiego napisu, które wcale nie były – jak się okazało – bredniami. Czy jego niechęć do wszelkiego rodzaju szpitali mogła stanowić wymówkę – choćby marną – usprawiedliwienie faktu, że ani razu nie odwiedził jej w Met? Zdawał sobie sprawę, że nie. Prawdziwym powodem, dla którego zignorował jej błagania o pomoc – tak przynajmniej sądził – było to, że zanadto zaprzętało go bycie – a przynajmniej próby – Clarkiem Gable'em. i proszę, dokąd go to przywiodło. Jego i ją.

Peg, zupełnie jakby słyszała te myśli, nieznacznie pochyliła głowę w geście częściowej zgody. Mimo że poruszyli temat katastrofalnej części jej życia, wydawała się w tej chwili mniej aktorką, a raczej po prostu zrelaksowaną kobietą. Uświadomił sobie, że tak niewiele osób znało prawdę o tamtych wydarzeniach, że prawdopodobnie nieczęsto miała okazję o nich porozmawiać.

– Podejrzewam, że zawsze zbyt rozpaczliwie pragnęłam sławy – podjęła. – Ale pytałam sama siebie, czy nie jest tak ze wszystkimi? Przyglądałam się otaczającym mnie ludziom, znajomym, i wmówiłam sobie, że to po prostu normalne. – Uśmiechnęła się. – a w Los Angeles tego typu podejście nigdy nie wychodzi na dobre. Tak więc, nie twoja wina, Clark, że świat mnie przerósł. a ta afera z napisem Hollywoodland... w pewnym sensie chodziło o obietnicę, jaką sobie złożyłam. – Zaczerpnęła tchu. Jej ramiona uniosły się i opadły. – i jak każde bajkowe przyrzeczenie, tak i to zaczęło żyć własnym życiem. Nie wiem, czy naprawdę bym to wtedy zrobiła, gdyby ci robotnicy nie ściągnęli mnie na dół i nie powiadomili policji. Na pewno jednak chciałam się przekonać.

– a teraz nikt już nawet nie wie, że coś takiego się wydarzyło.

– Wytwórnice filmowe, stare i nowe, zawsze były świetne w wyciszaniu pewnych spraw. Ale wątpię, by kogokolwiek to interesowało, Clark. Nie jestem już tą Peg Entwistle, którą znałeś. Jestem tylko postacią, głosem, twarzą. Zawsze przed mikrofonem, przed ikonoskopem, przed kamerą, a potem w druku i pochowaną w myślach i marzeniach ludzi, których nigdy nie poznam. Czasami czuję się tak jak podobno członkowie prymitywnych plemion – jakby coś ze mnie wysysano. Wszyscy wiedzą kim jesteś, ale...

– Zły rodzaj nieśmiertelności?

– Owszem. Może. Chociaż zawsze wiedziałam, że tego rodzaju sprawy mają swoją cenę. i nie chciałam zrezygnować. Tak, wtedy byłam zrozpaczona. Ale wiesz, mam wrażenie, że w końcu zdobyłam to, za czym goniłam... Nawet jeżeli okupiłam to... – Spojrzenie kobiety odplynęło w dal. Szarozielone iskierki przygasły. – Wędrowką dłuższą i trudniejszą niż kiedykolwiek podejrzewałam. – Zachichotała, a Clark przeszył dreszcz, gdyż jej śmiech zabrzmiał niesłychanie smutno. Peg wciąż miała w sobie dawną rzewność, chociaż obecnie nauczyła się chyba lepiej ją kontrolować. Nadal tkwiła w niej ta mieszanka radości i tragizmu, która tak go wtedy wabiła. Jego i, przyszło mu do głowy, miliony ludzi chłonących w kinach jej aurę. – Ale może na tym właśnie polega cena sławy, może dlatego czuję się prawdziwa tylko wtedy, gdy reżyser na planie zawoła „akcja”. – z uśmiechem wzruszyła ramionami. – Niemniej, to nie jest najgorsze życie, Clark. Oczywiście, że nie.

– a dzisiaj, Peg? Jesteś tutaj szczęśliwa? z tymi wszystkimi ludźmi na bankiecie u człowieka takiego jak Kisberg?

– To wpływowa osobistość. Moja obecność wynika z kontraktu, z tego najważniejszego warunku, którego nigdy się nie spisuje. i nie stać mnie na głębsze rozważania. w Anglii już w tej chwili nazywają mnie zdrażczynią i kurwą, za to, że wciąż pracuję w Hollywood. z mojego powodu nie wyświetlają tam nawet „Królowej dziewicy”. Mina mówi...

– Mina? Pracujesz z Miną Wallace?

– Mina przejęła wszystkie talenty ze stajni Hilly’ego. Przynajmniej tych, którzy jeszcze grają. Ale pracuje nam się dobrze. Mimo, że jest...

– Żydówką?

– Tak, mimo to.

– Dzisiaj jej tu nie ma, prawda?

– Wiesz, jaka ona jest. Nie pokazuje się nigdzie, gdzie na stole nie czeka gotowa do podpisania umowa. Ale powinieneś do niej zajrzeć.

Clark przytaknął skinieniem. Mina Wallace była również jego agentką – w tych mitycznych czasach niespełnionych możliwości. z fragmentów plotek, jakie do niego docierały, wiedział już przedtem, że poprzedni agent Peg, Hilly Feinstein, palnął sobie w łeb we własnym gabinecie, jeszcze w 1935. i teraz ta informacja przepłynęła przez jego myśli w dziwny sposób. Niczym lodowata kropla rtęci.

– Mina wciąż pracuje w dawnym biurze... – Peg urwała. Znowu odniósł wrażenie, że śledzi jego myśli. – Clark, co ty tutaj właściwie robisz? Mam nadzieję, że nic głupiego, co?

– Całe życie spędziłem, robiąc głupstwa, Peg. Ale nie. Nic takiego, co myślisz. Chciałbym cię jednak o coś zapytać.

– Wydawało mi się, że twoja obecność nie ma ze mną żadnego związku?

– To naprawdę nic szczególnego. Ciekawi mnie po prostu, czy byłaś na premierze pierwszego emotyku na świecie.

– Masz na myśli „Pęknięte zwierciadło”? – Zasłony za nim załopotwały w silniejszym podmuchu wiatru. Peg Entwistle zerknęła w bok, jakby spodziewała się, że ktoś wejdzie. Po chwili pokiwała głową. – Tak, zdaje się że tak. Wtedy stawałam już powoli z powrotem na nogi. Wydaje mi się, że to Hilly załatwił mi zaproszenie... – Znowu skinęła, nieco zbyt energicznie, zupełnie jak kiepska aktorka, jaką przecież nie była. – Tak, na pewno Hilly.

– Który teraz nie żyje, a ty jesteś sławna.

– Clark, co to, do cholery, miało znaczyć?

– Nie wiem, Peg, naprawdę nie wiem.

Krople deszczu na jej skórze zdążyły już wyschnąć, lecz zastąpiła je lśniąca warstewka potu. Prawie zaczął się o nią martwić. i prawie był gotów się wycofać. Ale jeszcze nie do końca.

– Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. w zasadzie nawet nie pytanie. Widzisz, Peg, byłem dzisiaj w Met...

– ...Clark, ty...

Uciszył ją podniesioną dłonią.

– i rozmawiałem z Howardem Hughesem. Pamiętasz go? Teraz, co prawda, wydłubali mu połowę mózgu i wszyscy mówią na niego Howie. Nieważne. Użył dziwnego słowa i ciekawy jestem, czy je kiedykolwiek słyszałaś. To słowo...

Nie musiał jednak kończyć. Peg pobladła. Bezgłośnie poruszając wargami, wypowiedziała je za niego. Thrasis.

– ...Chcesz... – Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Przełknęła. – Porady?

– Mam wrażenie, że usłyszę ją tak czy inaczej.

– Trzymaj się od tego z daleka. z bardzo daleka. Jeśli nadal będziesz wsadzać łapy pod stare kamienie, co chyba właśnie robisz... to w końcu... w końcu... – Zamachała drżącą ręką.

- Trafię na gniazdo grzechotników?
- Tak. Właśnie. Dokładnie.
- Słuchaj, Peg, nie chodzi mi o ciebie. Po prostu chcę zrozumieć kilka spraw.

Ona już jednak rozglądała się dokoła, jakby wyczuła czyjąś obecność. Nie wydawało się, żeby go słyszała.

– Powinnam iść – szepnęła. – Rozumiesz, nie porozmawiałam jeszcze z paroma osobami i...

Odwróciła się i uciekła przed nim prawie biegiem, trzymając w dłoniach mokre poły spódnicy.

CZTERDZIEŚCI

Kiedy naprawdę zaczął się rozglądać za Barbarą Eshel, okazało się, że nie trudno ją znaleźć. Błysk flesza. Krótki trzask. Podekscytowane okrzyki. Gwiazdki, byłe flamy i może nawet kilka osób faktycznie będących kimś – wszyscy stroszyli piórka przed cennym obiektywem jej graflexa. Clark przez chwilę stał i przyglądał się temu, rozbawiony, ale też rozczarowany. Pomyliła się, mówiąc, że ludzie przestaną się nią interesować, gdy powie, że zajmuje się pisaniem innego rodzaju. w jakiś bowiem sposób udało się dziewczynie wmówić gościom Kisberga, że jest najcenniejszym i najbardziej niebezpiecznym towarem Hollywood – dziennikarką zajmującą się show-biznesem.

– a kimże jest ten przystojniak? – zagała, gdy wreszcie zauważyła Clarka. – Proszę, to przecież Daniel Lamotte, ten genialny scenarzysta, który dopiero co sprzedał nowy tekst, podobno za pięciocyfrową sumę.

Musiał z powrotem włożyć okulary i szczyryć się i pozować jak cała reszta idiotów. Dopiero potem Barbara pozwoliła mu zaciągnąć się do samochodu.

* * *

– Dan, jaki to fantastyczny materiał! Po prostu bomba. Mam dość informacji na piętnaście numerów „Prawdy Los Angeles”!

– Nie nazywam się Dan. – Dywaniki delahaye’a były przemoknięte, świeże fale deszczu wpadały przez wybite okno. – Poza tym nie miałem pojęcia, że ta twoja gazetka zajmuje się plotkami.

– Clark, cholera. Nie wiem, co robiłeś przez cały wieczór, ale nastroju ci

to raczej nie poprawiło.

– Nie poprawiło. Ale właśnie dlatego, że ta historia naprawdę jest gruba.

– Cóż, ja chyba zaczynam ją sobie układać...

Poleciała mu, by pojechał objazdem przez Western Avenue, w kierunku Inglewood, a potem przez Manchester ku South Park. Ostatnio był w tej okolicy tylko raz, by posłuchać murzyńskiej muzyki w „Topsy’s Night Club”. Okazało się jednak, że to właśnie tutaj miała swą siedzibę redakcja „Prawdy Los Angeles”. Wycieraczki szumiały, Barbara Eshel mówiła, a on wciąż myślał o rozmowie z Peg.

– ...pomyśl, jeżeli się nad tym zastanowić, wszystko wydaje się sensowne. Kisberg, no dobra, on i jego kumple z Wall Street to ludzie, którzy dzięki emotykom dorobili się prawdziwych pieniędzy. Zastanów się, jakże wygodnie było doprowadzić stare wytwórnie filmowe do bankructwa i przejąć rynek za pomocą nowej technologii, na którą dawnych graczy nie było stać, tym bardziej że Kryzys szalał wtedy w najlepsze. a teraz są w stanie wkładać ludziom do głów, co tylko zechcą. Jasne, może nie są to same śmieci, ale tendencja jest wyraźna. Ta głośna przeróbka „Narodzin narodu” z udziałem członków starego dobrego Ku-Klux-Klanu. i te wszystkie poruszające filmi-dła o starym, dobrym Południu. Ruszają nawet klasykę. Kiedy robią Dickensa, to wybierają „Olivera Twista”, gdzie czarnym charakterem jest Żyd Fagin. a jeżeli Szekspir, to tylko „Kupiec wenecki”. No a „Biały legion”? Mój Boże, cóż to była za produkcja! a teraz dochodzą jeszcze te wszystkie postacie przemitych Niemców. Ci faceci są w stanie wmówić wszystko każdemu, pod warunkiem, że dostarczą to pod postacią rozrywki. Za chwilę dowiemy się, że dinozaury to tak naprawdę smoki ze Starego Testamentu.

– Widzę, że chodzisz do kina trochę częściej niż ja.

– Ale rozumiesz, co chcę powiedzieć, tak? Nic dziwnego, że Liga Wolności odnosi takie sukcesy. Nic dziwnego, że Herbert Kisberg startuje w wyborach. Chociaż wystarczająco wredni byli już sami Republikanie. Tak przy okazji, teraz na lewo. i uważaj na dziurę.

– Jasne. – Delahaye podskoczył w dziurze, rozchlapując strugi wody.

– a teraz dostali jeszcze twój, to znaczy Daniela Lamotte’a, scenariusz biograficzny i on przyniesie im kolejną dawkę popularności.

– Wystarczy – mruknął – że jutro na balu w Biltmore pojawi się osobiście Lars Bechmeir. Wtedy Kisberg będzie mieć prezydenturę na talerzu. Cały

kraj dla niego.

– Dokładnie! Bo widzisz, ludziom ulży, że to on wygra. Rozumiesz? Zamiast tego ćwoka z Chicago, który nawet wygląda jak gangster. i tego śliskiego neptka Pickensa – nikt nie zapomniał, że rzucił się na tę babkę. Albo... zaraz Clark, coś ty właśnie powiedział o Bechmeirze?

– Spotkałem się z nim.

– z kim?

– a jak myślisz? Kisberg osobiście mnie do niego zaprowadził. Siedział w pokoju zamkniętym dla reszty gości, pod opieką dwóch pielęgniarek. Jest mocno schorowany, to praktycznie inwalida. Okazuje się, że wszystkie te lata spędził w ukryciu gdzieś w Orange County. Teraz jednak planują pokazać go ludziom jutro wieczorem w Biltmore i może nawet nakłonić do wygłoszenia krótkiej mowy. Najlepsza reklama dla Ligi Wolności.

– Cholera.

– Tak. Cholera. Facet ledwie się trzyma i nie sądzę, by pociągnął dużo dłużej. Pewnie właśnie dlatego chcą go wykorzystać w tej chwili... i dlatego tak bardzo zależało im na scenariuszu Dana. Jeśli wierzyć Timmy’emu Townsendowi, powstał też pomysł przeprowadzenia wywiadu na żywo z Danielem Lamotte’em, dla „Star Talk”.

– Ale to przecież fantastyczna wiadomość! Dostaniesz szansę na jawne potępienie Ligi Wolności przed pięćdziesięcioma milionami słuchaczy. Wiesz, wielki pisarz występuje w obronie prawdziwej wolności i...

– Barbaro, na litość Boską, jesteś zupełnie jak Timmy Townsend, tylko na odwrót. Nie, zdecydowanie nie. Kogo niby miałbym otwarcie potępiać? i za co?

– Na przemyślenie tego wszystkiego mamy jeszcze cały dzień. i lepiej zwolnij. Zaraz będzie kolejna dziura... No i proszę, przejechałeś zakręt.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

„Prawda Los Angeles” mieściła się w kompleksie budynków pod wynajem, które w typowym dla tego miasta miszmaszu, rozłożyły się pomiędzy wysokimi ceglanymi wieżowcami Firestone Rubber Company i białym frontonem Angels’ Abbey, powstającego właśnie mauzoleum. Clark spodziewał się kilku pokojów redakcyjnych, lecz prędko uświadomił sobie własną naiwność. Został bowiem, owszem, kilka maszyn do pisania, stoły i krzesła, lecz pomieszczenie było jedno i przypominało raczej warsztat urządzony na podłożu z bitej ziemi, zastawiony maszyną, której większość wyglądała na dawno już nienadającą się do użytku – z wyjątkiem jednego urządzenia, które działało, aczkolwiek ledwie ledwie. Mężczyzna zajmujący się tą hałasującą, rozgrzechotaną maszyną, pracujący dwiema oliwiarkami, które dzierzył niczym sześciostrzałowce, zabawnie podskoczył, zaskoczony ich wizytą. Miał na sobie roboczy kombinezon, był bardzo młody i chudy. Niechlujna broda na jego twarzy jedynie potęgowała wrażenie młodości i chudości.

– Barbara? To naprawdę ty...? – Odczekali, aż dopełni czynności pozwalających maszynie znieruchomieć. – Prawie cię nie poznałem. – Spojrzał ciekawie na Clarka. – Co jest?

– Można powiedzieć, że zbieramy materiały. a przy okazji, to jest Clark Gable. Clark, poznaj Dale’a. Dale jest naszym drukarzem, jak się zapewne już domyśliłeś. Chociaż tutaj, w redakcji „Prawdy Los Angeles”, zajmuje się też wieloma innymi rzeczami.

– Redakcja, skład, dystrybucja...

Oboje zachichotali. Najwyraźniej mieli tę prezentację świetnie przećwiczoną.

* * *

Deszcz wciąż bębnił o dach i kapał do przelewających się już wiader. Usiedli przy chybottliwym stole i Barbara wręczyła Dale'owi osiem rolek filmu ze zdjęciami wykonanymi na bankiecie u Kisberga – okazało się, że kolejnym z zajęć chłopaka jest obróbka fotografii. Dziewczyna wyjaśniła, że Clark jest prywatnym detektywem, który wpadł na ślad dziwnych wydarzeń mających jakiś związek z odkryciem pola Bechmeira. Nie powiedziała jednak wiele więcej. Może, pomyślał Clark, po prostu chciała go ochronić. Albo, co bardziej prawdopodobne, chroniła jak zwykle swoje źródła.

– Jutro spodziewamy się kilku ciekawych wydarzeń i mamy nadzieję zdobyć parę informacji, które mogą tę sprawę zmienić w najbardziej wybuchowy materiał w Kalifornii od czasów skandalu Julian Petroleum^[12]. Chcę przez to powiedzieć, Dale, że musisz wstrzymać pracę nad następnym numerem i przygotować się do zamieszczenia w nim tego, co zdobędę, i to szybko. Nawet, jeżeli będzie to jedna, kiepsko złożona kolumna.

Dale pokiwał głową. Podczas rozmowy jego wzrok błędził po objawieniu, jakim tego wieczoru stała się Barbara Eshel. Potem popatrzył na Clarka i znów na Barbarę. Dale był przystojnym chłopakiem – jeżeli pominąć brodę – i musiał mieć mniej więcej tyle samo lat co ona. Nie trzeba było prywatnego detektywa, by stwierdzić, że Barbara ma go – jak zapewne określiłaby to swym słodkim głosem Peg Entwistle – jak na widelcu.

Clark jednak nie chciał opowiadać dziennikarce o spotkaniu z Peg. Przy najmniej jeszcze nie teraz. Bez względu na wszystko co zaszło i nie zaszło między nim a Peg, nie paliło mu się, by to przez niego ponownie trafiła na pierwsze strony gazet, i to w negatywnym kontekście. Wbrew upartym twierdzeniom rekinów z branży, coś takiego jak zła prasa naprawdę istniało. i wbrew temu, co powiedziała sama aktorka, gwiazdy emotyków były tak naprawdę zwykłymi ludźmi. Przynajmniej niektóre.

* * *

z powrotem w samochodzie Clarkowi wydawało się przez chwilę, że widzi na ulicy za nimi światła dwóch samochodowych reflektorów. Po chwili zniknęły. Uruchomił silnik i ostrożnie wyminął dziury w jezdni. Następnie ostro skręcił w prawo i pełnym gazem pojechał na północ do Central Avenue, mi-

nęł sklep sieci Sears Roebuck i przemknął Dziewiątą obok „Cabrillo Club”, gdzie zatrzymał się z piskiem opon.

– Co ty wyprawiasz?

– Nic. – Znowu zerknął w lusterko. Albo rzeczywiście nikt ich nie śledził, albo prześladowca był naprawdę dobry. Wyjechał z powrotem na opustoszałą ulicę. – Powiedz, ty i Dale, jest coś między wami?

– a dlaczego tak myślisz?

– Raczej bez powodu. Albo z tego samego co zawsze. Czy on, pracując w tej norze, jest w stanie zarobić na życie?

– Trochę zarabia, ale niewiele. Jutro rano będzie targał wózki na targu warzywnym.

– a ty, Barbaro?

– Co ja?

– No wiesz. Czym się zajmujesz, kiedy nie zmieniasz świata?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jasne, jestem ciekawy.

– Wiele młodych dziewczyn – zaczęła z wykwintnym akcentem – cierpi, nawet nieświadomie, straszliwe męki związane z przemijaniem nastoletniego okresu życia. Stając u bram kobiecości, stwierdzają, że siła szczęśliwego dzieciństwa gdzieś się już ulotniła, a opanowanie i moc dorosłej kobiecości wciąż mającą zwodniczo daleko. Zaczynają się garbić. Spuszczają głowy. Robią się ospałe, niekomunikatywne i często posępne. Przypadłością, z powodu której owe delikatne kobiety cierpią, jest Kobięca Słabość. a tym, czego potrzebują, jest „Żelazny środek przeczyszczający” firmy Tablon... Ewentualnie kopniak w delikatną dupę – dodała, gdy skończyła recytować.

– i niczego innego nie piszesz?

– Nie masz pojęcia jak bardzo bym chciała. Ale chyba ktoś musi produkować tego rodzaju bzdury – teksty reklamowe udające rzetelne artykuły. Nikt się nigdy nie zastanawia, kto je pisze, prawda? Dopóki nie trafia na niego. Środek Tablona. To ja. Tak samo jak „Kobięta, która zapomniała wyprać obrusy”. Bez tego świat przestałby się kręcić, co nie? Prawdę powiedziawszy, praca nad tym ostatnim bardzo mi się podobała. Szkoda tylko, że wycięli ostatni akapit. Napisałam, że bohaterka skończyła, pracując pod latami, tylko dlatego, że na jednym z obrusów pozostała plama sosu.

Śmiała się, on też się roześmiał. Dotarli już na Bunker Hill. Przejechali

obok zamkniętego i zaciemnionego „Edna’s Eats” i wzięli ostatni zakręt. Wysiadając z delahaye’a, nadal się śmiali i Clark zaczął się zastanawiać – biorąc dziewczynę pod ramię – czy nie wypił czasem tego niekończącego się, darmowego szampana więcej niż podejrzewał. a może to ona wypila za dużo? Znaleźli drzwi i razem, ramię przy ramieniu, weszli po schodach. Kiedy potknęła się na zawiniętym dywanie, podtrzymał ją i obrócił w ten sposób, że oparła się plecami o ścianę przy drzwiach pokoju. Nadal chichotała. Pachniała deszczem, kobiecością, radością i szampanem. Była tak piękna, że nawet w tym małym pensjonacie niemal jaśniała. To nie była już Barbara Eshel, która mierzyła do niego z pistoletu. Nie była już nawet tą wymachującą ciężkim aparatem fotograficznym, spoczywającym w torbie, której teraz pozwoliła upaść na podłogę. Clark jednak od dawna wiedział, że kobiety potrafią być wieloma osobami naraz, często nawet kilkoma jednocześnie. Była to ta sama tajemnica, którą wraz z milionami innych mężczyzn próbował rozwikłać przez całe życie. Oczywiście bezskutecznie. Co jednak nie oznacza, że należało przestać się starać.

Poczuł, jak ciało Barbary unosi się ku niemu. Poczuł słodką gorycz jej oddechu. Kobiety to inna rasa, zupełnie odmienny gatunek. Musnął jej policzek, powiódł palcem wokół ucha, po czym podciągnął ku górze usta dziewczyny i nakrył je swoimi. Zaraz potem się cofnął.

– Dobranoc – wymamrotał i niezgrabnie poszukał kluczy w kieszeni.



12 Skandal Julian Petroleum – związany z jednym z największych w latach 20. XX wieku oszustw, przeprowadzonym na zasadzie piramidy finansowej. Główną osobą odpowiedzialną był Kanadyjczyk, C.C. Julian.

CZTERDZIEŚCI DWA

Sen nie tyle przyszedł do Clarka szybko, ile zagamął go potężną falą. Wraz z nim przyszło wspomnienie równie jasne i wyraziste jak kalifornijskie słońce, które zwabiło go na zachód. Albowiem to miasto nie było Akron, Tulsa, nie było alternatywnymi scenami Nowego Jorku czy nawet teatrem Lurie w Houston. To było Los Angeles, wymagające zupełnie innej gry, która zapewniała odmienny rodzaj rozrywki zmieniającemu się światu. Zaczynał, wcielając się w gangsterów, brutalni bijących swe żony, przestępców i wszystkie inne odmiany ludzkiego śmiecia typowe dla kina przełomu lat trzydziestych. Kiedy, po jakimś czasie, wszystko było już ustalone i miał wrócić na wschód, by wziąć udział w nowej produkcji „Pożegnania z bronią”, odebrał telefon od swej nowej agentki, Mины Wallis, która poinformowała go, że MGM proponuje mu długoterminowy kontrakt. Nie inaczej, kurwa.

i nagle zaczęto na niego chuchać i dmuchać, szykować do roli gwiazdora. a chuchać i dmuchać jest tu naprawdę odpowiednim sformułowaniem. Garnitury szyto dla Clarka w najmodniejszym kroju litery V, który podkreślał jego barczyste ramiona i smukłe biodra. z saskiej wełny, lub w szkocką kratę z jedwabnymi wstawkami. Zazwyczaj dwurzędowe. Przynajmniej raz na tydzień odwiedzał zatrudnionego w wytwórni fryzjera – który sam siebie nazywał stylistą. Otrzymał stosowne porady na temat diety i towarzystwa, w jakim powinien się obracać. Odbił nawet wyprawę do ortodonta, w próżnym wysiłku naprawienia zgryzu, oraz idiotyczną rozmowę na temat tego, czy nie powinni zoperować mu odstających uszu. Był jednak, kim był – Clarkiem

Gable'em. a przynajmniej, kurwa, miał się nim wkrótce stać. Gdy przecinał wstęgę na otwarciu nowego supermarketu, ludzie wiwatowali, jakby własnoręcznie ten sklep zbudował i wyposażył. Latał monoplanem w granatowym swetrze i spodniach z kremowego lnu oraz w koszulce polo od Lacoste i beżowych półbutach.

Masowa produkcja filmów dźwiękowych, trzaskanych równie sprawnie jak samochody w fabrykach Henry'ego Forda, wydawała się Clarkowi przyzwoitym sposobem zarabiania na życie. Co prawda, w tym samym okresie mieszkańcy Oklahomy uciekali na zachód, gnani przez głód i suszę, a potem umierali w wagonach kolejowych, sypiali na bocznicach, ale hej, ci, których było stać na bilet do kina, otrzymywali porządną porcję rozrywki.

Zapowiedzi i recenzje jego pierwszej dużej roli w „Susan Lennox” nie były zbyt zachęcające. Garbo, owszem, była lesbijką o ramionach byka, na dodatek obdarzoną głosem betoniarki, który nie pozwolił jej wyjść poza filmy nieme, lecz była też prawdziwą gwiazdą. Dlatego winą za klępkę filmu obarczono Clarka Gable'a. Reakcje na przedpremierowe pokazy następnego filmu – „Opętanej” – również były co najwyżej mieszane i Mina otwarcie przyznała, że to jeden z tych tytułów, których losu nie da się przewidzieć. Clark Gable był nową twarzą i sprawiał, że siedzące na widowni kobiety – a także znaczna część mężczyzn – czuły pewnego rodzaju dreszczyk, lecz był to dreszczyk, z jakim ludzie nie czują się do końca komfortowo. Czy był zatem po prostu zwykłym tyczkowatym ćwokiem z odstającymi uszami i fatalnym zgryzem, zbyt nieporadnym, by pojawić się na planie, a co dopiero grać? Czy był raczej zbawcą, człowiekiem mającym ponownie napełnić kasy MGM, tym, kogo wytwórnia w nim zobaczyła, proponując kontrakt?

Clark doskonale wyliczył moment przybycia na czerwony dywan przed kinem „Carthay” w noc premiery „Opętanej”, miał odpowiednio wiele czasu, by się przywitać z tłumem i jednocześnie odpowiednio mało, by nie sprawić wrażenia, że czeka na Joan Crawford. Cała impreza została przeniesiona do „Carthay” wyłącznie dlatego, że u Graumana Howard Hughes urządził akurat jakiś jarmarczny, cyrkowy pokaz obrazu pod tytułem „Pęknięte zwierciadło”, który w zasadzie nie był nawet filmem. z dywanu jednak nie było widać różnicy. Błyskały flesze. Światła reflektorów przesłaniały niebo swą mgiełką. Potem pojawiła się Crawford i tłum oszalał, a Clark, podając partnerce rękę, uśmiechnął się znacząco do pismaków. Ona złożyła mu na policzku pocału-

nek, który trwał tylko o mgnienie dłużej niż powinien. Tamtego wieczoru, na czerwonym dywanie, zagrali równie dobrze, jak przedtem w filmie.

– Ciesz się chwilą, Gable – powiedziała półgłosem. – Nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa.

* * *

Telefon z wytwórni odebrał jakiś tydzień lub dwa później. Poprosili go, by zajrzał w wolnej chwili pomiędzy zdjęciami. Mieszkał wówczas w jednym z bungalowów hotelu Marmont. Niski budynek o ceglanych ścianach, z dachem zgarbionym pod holenderską dachówką i oknami unoszącymi brwi łuków. Zarówno ten, jak i sąsiednie, podobnie wiejskie w stylu domki, tworzyły corral wśród krętych podjazdów, krzewów hibiskusa i palm. Milczący Meksykanie w białych piżamach zajmowali się podlewaniem i przycinaniem roślin. Za każdym razem, kiedy wychodził na zewnątrz i wsiadał do aktualnie objeżdżanego samochodu, stwierdzał w duchu, że tak właśnie – nie licząc Meksykanów – musi wyglądać raj.

Pojechał na południe w kierunku Culver City, nie myśląc w zasadzie o niczym. Spotkanie miało zapewne dotyczyć jakiejś kwestii reklamowej. a może chcieli, by poznał nowego reżysera lub partnerkę do kolejnego filmu. Minął hotel „Beverly Wiltshire”, minął restaurację „Brown Derby”, minął „Cotton Club” i dotarł do przypominającej fortecę siedziby MGM, pojechał wzdłuż murów aż do strzeżonej przez greckie kolumny bramy, przy której wartownik uśmiechnął się, zasalutował i podniósł szlaban. Clark odpowiedział radosnym machaniem, przez cały czas próbując sobie przypomnieć imię faceta. Walter? a może Willy?

MGM zajmowała kilka rozsznanych po Culver City działek, ale ta, największa z głównych siedzib, stanowiła miasto sama w sobie. Poza chaosem zamkniętych w hangarach hal zdjęciowych, które zastąpiły otwarte lub przeszklone przestrzenie z epoki kina niemego, była tam szkoła, niewielki szpital, kilka przyzwoitych knajp, a nawet wąskotorowa kolejka służąca do przewożenia sprzętu.

Zatrzymał się na wyznaczonym miejscu, na głównym parkingu przed biurami. Uśmiechnął się do siebie i sprawdził w lusterku przedziałek. Kolejny piękny dzień, bez dwóch zdań.

Recepcjonistka niezupełnie wstała na jego widok – to było zarezerwowane dla prawdziwych gwiazd – ale wykonała falujący gest, prawie dygnęła za

swym połyskującym szkłem i chromem biurkiem. Wtedy skądś pojawiła się inna cizia, jedna z tych atakujących piersiami asystentek, które trzepoczą rzęsami tak gwałtownie, że czuje się delikatną bryzę. Prowadząc Clarka korytarzami w kierunku nieznanego celu, przypominała mu o bankiecie w Laurel Canyon, na którym – była pewna – bawili się oboje, on jednak, zamiast słuchać, skupiał się głównie na jej rozkołysanym tyłku.

Sądził, że jak zwykle czekają go powitania i uściski rąk w gabinecie dyrektora, ale tym razem poprowadzono go głębiej, bardziej mrocznymi trasami jednego z działów technicznych. w głowie rozległo mu się ciche „oho!”. Jeżeli chcieli, by ponownie nagrał którąś ze swoich kwestii, prośbę powinien do niego skierować odpowiednimi kanałami sam reżyser, lub przynajmniej jego asystent. Ktokolwiek inny stanowiłby pomniejszenie statusu. Może powinien porozmawiać o tym z Miną. Może powinien być jej o tym spotkaniu powiedzieć. a może Mina już o wszystkim wiedziała, tylko uznała, że nie trzeba go tym kłopotać. Kalifornijskie słońce, które od rana ze sobą nosił, zaczęło z wolna zasnuwać się mgiełką.

Jakby wyczuwając niepokój Clarka, śliczniutka asystentka zatrzymała się i odwróciła, muskając go przy tym wydatnym biustem. Zapewniła go swym lekko przydymionym głosem, że to jest coś, przez co przechodzą wszyscy pracujący dla MGM aktorzy. Zwykły, krótki, mało istotny test. Drobnostka, chociaż wielce ekscytująca.

Umieszczono go w pomieszczeniu, którego ściany – z wyjątkiem okna otwierającego się na większy, lepiej oświetlony pokój – były przesłonięte jakąś drucianą siatką. Biorąc pod uwagę ilość oprzyrządowania, a także gdyby nie owa siatka i brak mikrofonu, mogłoby to być zwyczajne studio nagrań. Spojrzał jednak na wiszące przed nim, przypominające kształtem korkociąg dziwactwo z drutu i szkła i domyślił się, że to wszystko nie ma nic wspólnego z rejestrowaniem dźwięku. Samo patrzeć na ustrojstwo sprawiło, że poczuł swędzenie zębów, a w jego głowie rozległo się dziwne, rezonujące brzęczenie.

Wąłesający się za szybą, naciskający rozmaite przyciski faceci nie nosili białych fartuchów. To w końcu wciąż było Los Angeles i mieli na szyjach wzorzyste chustki oraz gamitury marki Palm Beach. Jeden z nich pochylił się do mikrofonu i odezwał z głośnika. w klapie miał zamasyżycie wypisaną plakietkę anonującą Hiramą P. Jakiegoś tam Trzeciego. Zanim wydukał

„Clark... hmm... ach, tak Gable” musiał, mrużąc oczy, skonsultować się z notatkami. Dopiero wtedy przyjrzał mu się uważniej, może nawet poznając w nim aktora z jakiegoś filmu. Uśmiechnął się, ukazując zupełnie niehollywoodzki garnitur krzywych zębów i oświadczył, dokładnie jak przedtem dziewczyna, że przeprowadzą jedynie serię kilku krótkich testów i najlepiej będzie, jeżeli pan Gable potraktuje to po prostu jako zwykłą próbę, lub – rozwiązanie idealne – próbne zdjęcia.

Drgnęły pokręta. Zajaśniały lampy. Urządzenia zaczęły brzęczeć i bzyzczeć. I wtedy wisząca przed nim krucha spirala ze szkła i metalu również wydała z siebie szum. Test – zaczęło do niego powoli docierać – musiał mieć coś wspólnego z nowomodnym hokus-pokus związanym z odkryciem tego, no – jak on się nazywał? – Larsa Bechmeira, w które tak wiele pieniędzy zainwestował niedawno Howard Hughes.

– Chcemy po prostu, panie Gable – zatrzeszczał w głośniku głos Hiram P. Jakiegoś – by zrobił pan dokładnie to, w czym pan jest tak dobry. Chcemy, by spróbował pan dla nas zagrać. Umowa stoi?

Mógłby sobie odpuścić ten tekst o „próbowaniu”. Co więcej, nie ma nic gorszego od znalezienia się w nowej sytuacji bez szans na przygotowanie. Clark jednak przełknął ślinę i skinął głową. I wtedy, po odliczeniu do trzech, wściekłe brzęczenie nagle się wzmogło, w powietrzu uniosła się woń palonej gumy, a Hiram z kumplami przez kilka minut wymachiwali ramionami, próbując naprawić usterkę.

Faceci zza szyby nie wyglądali na pracowników MGM, aczkolwiek, jak na wynajętych wolnych strzelców, byli również przedziwni. Wykorzystując czas oczekiwania, Clark zadał im kilka pytań. Otrzymał nawet parę odpowiedzi. Nie, ten sprzęt nie stanowił nawet własności MGM – Bechmeir założył już rodzaj fundacji, w której pracowali wszyscy technicy i która wydawała zezwolenia na wykorzystywanie jego patentów. Urządzenia nie należały również do Hughes Corporation, aczkolwiek sam Hughes nakręcił już i wypuścił ten pierwszy film emotyczny, który otrzymał, można rzec, mieszane opinie. Wszystko to wydało się Clarkowi dziwne. Zapewne kolejna skazana na klępkę technologia w rodzaju kina trójwymiarowego czy zapachowego, aczkolwiek rozumiał, że MGM musiało przeprowadzić testy, by nie zostać w tyle za konkurencją.

– Chcę, by poczuł pan szczęście, panie Gable. Zwykłe, prostolinijne szczę-

ście. Gdy tylko będzie pan gotów...

– Teraz?

– Nie, nie. Przepraszam, ale nie. Nie teraz. Musi nam pan powiedzieć, że jest pan gotów. a potem uruchomię maszynę. Nie uwierzyłby pan, ile kosztuje stopa bieżąca takiej taśmy magnetycznej. Następnie odliczę raz, dwa, trzy, jakbyśmy mieli zagrać jakąś piosenkę, i dopiero wtedy poczuje się pan szczęśliwy. w porządku?

– w porządku.

Clark uważał się za radosnego faceta, przynajmniej poza planem, zdawał sobie jednak sprawę, że zdecydowanie lepiej wypada w mrocznych, ponurych rolach. Do niedawna, jeżeli w ogóle musiał grać szczęście, to jedynie dlatego, że jego postać dopuściła się szczególnie paskudnego uczynku. Na przykład zgwałciła główną bohaterkę tudzież poddała torturom przybyłego jej na ratunek śmiałka.

– Na czym mam się, hmm, oprzeć?

Hiram wymienił się spojrzeniem z kolegami.

– Chodzi nam po prostu o... szczęście. Nie mamy żadnych przygotowanych założeń. Sugerowałbym, by posłużył się pan wyobraźnią.

a zatem nie było sensu robić tego, co zazwyczaj robią aktorzy, czyli po prostu zagrać szczęścia. Nie przed tym lodowato brzęącym, obracającym się ustrojstwem, które zwieszało się z oplatającej sufit siatki, gotowe rozorać wnętrze jego głowy niczym czubek góry lodowej, która wykończyła Titani- ca. Nie było sensu zmieniać pozycji, ruszać się, ani korzystać z uśmiechów, spojrzeń czy głosu. To były tylko objawy uczuć, wykalkulowana gra. Jasne, odgrywając szczęście, czuło się je także, lecz od prawdziwego szczęścia różni- ło się to tak, jak dzieciaki grające w baseball na zakurzonym podwórku róż- nią się od Waltera P. Johnsona^[13]. Biedna Peg Entwistle tłumaczyła mu kie- dyś koncepcję Stanisławskiego, ale według Clarka, aktorstwo było rzemio- słem, tylko i po prostu, i nie kupił tych bzdur o „graniu za pomocą wne- trza”. Skoro wnętrze było ukryte, takie powinno pozostać.

– Jest pan gotów, panie... hmm... Gable?

– Pewnie.

Może powinien sobie wyobrazić zachody słońca? Albo samochody. Tak, samochody. Albo jeszcze lepiej seks. Nie, nie, nie, nie. Seks nie. To przecież emocja zupełnie innego rodzaju. a co z kociećtami? Przecież dzięki nim po-

dobno wszyscy czują się szczęśliwi. Właśnie, koty lub Boże Narodzenie. Lub wigilijny seks w samochodzie pełnym kotków. Albo jeszcze...

Tyle że cholerny aparat zepsuł się po raz kolejny. Stwierdził to sam, dzięki ponownie wyczuwalnej woni spalenizny i bólu, który wykwitł dokładnie w jego kroczu. Wreszcie jednak, po wielu skomplikowanych zabiegach Hiram P. i jego sług, technicy zdołali urządzenie uruchomić. Wrażenie wciąż było dziwaczne. Choć to bardzo złe słowo. Clark czuł się wcielany, rozciągany, pochłaniany. Nie. Też nie tak. Wydawało mu się – i nie miało to nic wspólnego z facetami po drugiej stronie szyby – że nie jest sam. Łaskotały go koniuszki palców. Moszna mrowiła. Rozejrzał się w lewo, prawo i w tył, na wypadek gdyby ktoś w jakiś sposób naprawdę zdołał się do niego podkraść. Szczerze mówiąc, zachciało mu się też srać.

– Wygląda na to, że mamy dzisiaj więcej zamieszania niż zwykle. Cóż, ta technologia dopiero raczkuje. Mam nadzieję, że pan wytrzyma, panie... hmm... Jestem pewien, że zaraz się uda.

i udało się. Albo prawie. Kazali mu poczuć strach, co było akurat cholernie łatwe. i euforię – choć czy to nie jest czasem szczęście podlane jakimś ekstra sosem? – kiedy to zdobył się jedynie na jakieś kalekie, zagubione uczucie. i kolejna usterka z dodatkową porcją dymu. w żaden sposób nie potrafił, obserwując reakcje facetów ze scentrowanym zgryzem i wycuciem mody, stwierdzić, jak mu idzie, oczywiście jednak było, że niezbyt dobrze. Gdyby Hiram P. nie ogłosił wreszcie końca sesji, Clark był pewien, że doznałby niezwykle żenującego wypadku osobistego lub po prostu by zemdłał.

– Zapewne chciałby pan zobaczyć rezultaty?

Wzruszył ramionami.

Już w tej chwili był przekonany, że cały ten wynalazek spełnia na niczym. Proces nagrywania był zbyt skomplikowany, zbyt niewygodny. Zbyt – cóż, po prostu nie taki jak trzeba. Niemniej, poczuł niejaką ciekawość, chciał ujrzeć efekt, więc zaprowadzili go do swej świątyni z bakelitu, szkła i ciężkich przypadków trądziku, gdzie rozsnuli przed nim opowieść o długościach fali, woltach i amperach. Następnie zademonstrowali mu wielką szklaną żarówkę, w której unosił się zielony duch. Wyjaśnili, że tak wygląda on sam, w oczach odbiornika. Nawinęli metalową taśmę na głowice odczytujące i po raz kolejny przypomnieli, jak drogi jest to materiał. Przeciagnęli przewód przez krokodylki jakiegoś wzmacniacza aż do przypominającej kształtem kopułę

siatki, która wyglądała jak duże, stojące dnem do góry sito umieszczone na biurku na gumowych pierścieniach. Sito zaczęło iskrzyć i syczeć. Dokoła poniosł się ten kojarzący się z burzą i czystymi pachami zapach, który już niedługo miał poznać cały świat. Wreszcie urządzenie zajaśniało i Clark poczuł się tak, jakby sam diabeł wsadził mu w tyłek najdłuższy i najbardziej lodowaty ze swych palców.

– Dobrze się pan czuje, panie... hmm..? z naszych eksperymentów wynika, że niektórzy aktorzy są szczególnie uwrażliwieni na własne emanacje.

– Bywało już lepiej. – Zauważył, że lekko się chwieje w krześle, na którym go usadzili. Musieli być przekonani, że przyszedł na ten test prosto z nielegalnego baru z alkoholem.

– To właśnie jest pańskie... hmm... szczęście.

Pole zatańczyło i rozbłysło. Nie było to szczęście, ale, cholera, coś jednak poczuł.

– Jeezu...

i nagle dotarło do niego, że wyciąga dłoń ku tej trzaskającej jamie nonsensu, zupełnie przy tym nie myśląc. i najdziwniejsze było to, że ta cholerna zjawa jakby odpowiadała – przybrała kształt widmowych palców, gotowych go uścisnąć. Hiram P. jednak złapał go, dźgnął wyłącznik i zaczął mamrotać o tym, że Clark zgotował sobie niemal porażenie elektryczne. Gdy wreszcie odprowadzano go przez korytarze, poczuł, że musi wreszcie odwiedzić ubikację, i to natychmiast. Kiedy panna Czy Myśmy Się Już Nie Spotkali, prężąc cycki, czekała na zewnątrz, on pochylił się nad należąca do wytwórni muszlą i zaczął zwracać. Wymiotował długo, gwałtownymi, głośnymi spazmami.

Zatem pierwsze spotkanie z nową technologią – która, mimo że wyniki kasowe były koszmarnie, w ciągu roku stała się obowiązującą modą we wszystkich studiach – przebiegło niepomyślnie. Kontrakt Clarka został jednak przedłużony, i jak mógł najemniej, zniósł występy w „Wietrznym sierpniu” i „Wściekłości króla”, aczkolwiek technicy wciąż nie opanowali swych maszyn, a opłaty za wynajem sprzętu i prawa, jakich chytra Fundacja Bechmeira domagała się od MGM, oznaczały ogromne zwiększenie kosztów produkcji.

Żaden z aktorów nie wyrażał zadowolenia z tego nowego zwrotu w branży i mimo że wymagania w owych wczesnych czasach ograniczały się do podstawowych emocji – wszelkie emocjonalne niuanse postaci, jakie pojawiały się w co lepszych filmach dźwiękowych, natychmiast zniknęły – także Clark

traktował wynalazek z wyjątkową antypatią. Pierwszy kontakt z emotykiem, w towarzystwie Hirama Krzywozębego w tym drucianym kumiku, obłożył go swego rodzaju kłutwą, która nie odstępowała go potem na krok. Przyzwyczaił się do iskier, do trzasków, do padających z ust reżyserów przekleństw i zapachu spalenizny. Niemniej, w zasadzie niemal wołał tamte czasy od późniejszych, kiedy ikonoskopy naprawdę zaczęły działać. Nie podobało mu się uczucie, jakie wzbudzały w nim ich zimne, szklane ślepie – robiło mu się niedobrze, ale dodatkowo powstało w nim wiele różnych, nieprzyjemnych doznań. Jakby coś go wsysało. Nie, nawet nie to. Odnosił wrażenie, że prawdziwy facet, jakim dotąd się czuł, w jakiś sposób zniknął, niczym resztką wczorajszego mydła, spływająca przez rurę do... czego? Do jakiegoś innego miejsca, czasu, wymiaru? Clark nie zwykł snuć podobnych rozważań i wcale nie było mu z nimi lepiej niż w towarzystwie ikonoskopu. Gdy próbował to wszystko tłumaczyć kolegom aktorom, niektórzy z nich częściowo się z nim zgadzali, potem jednak zwykle wzruszali ramionami i stwierdzali, że jak we wszystkim, chodzi tu o wprawę. Że należy się przyzwyczaić, jasne, ale że to zupełnie jak z wodą, czy chorobą morską lub paleniem zioła, słowem, jak ze wszystkimi nowymi rozrywkami, jakie wówczas poznawała branża, i że cały problem polega po prostu na odpowiednim przyłożeniu się.

Dotąd rzadko urządził na planie sceny pod hasłem „dlaczego ja, do cholery, gram w tym gównie?”, stanowiące zresztą normalną część wszystkich poważniejszych produkcji. Nowe czasy jednak dały mu się we znaki, a że aktorstwo od zawsze opierało się na emocjach, Clark wkroczył wkrótce w etap, kiedy najlepsze sceny odgrywał dopiero po kończącym zdjęcia okrzyku reżysera. Czara przelała się, kiedy poproszono go, by wybuchnął rzewnym płaczem, okrągłe, kurwa, piętnaście razy, nim technicy zdołali wreszcie zarejestrować na taśmie coś, co choćby przypominało sygnał. Zresztą, nawet wtedy nie byli z jego mocy zadowoleni. Opowiadali o amplitudach i sposobie, w jaki maszyna odbierała jego emocje. On również to czuł. i właśnie o to chodziło. Szlochał niczym, kurwa, dziecko, naprawdę płakał za czymś, czego straty nie miał nawet świadomości. Przy piętnastym podejściu cały proces emocjonalnej zapaści stał się tak absurdalnie łatwy, że ledwie był w stanie się powstrzymać. a wciąż nie było tak jak trzeba.

Dla niego to właśnie oznaczało koniec. Dla Clarka nie było to już aktorstwo, tylko jakieś nowe, bzdurne, cyrkowe sztuczki, w które dał się wma-

newrować, a Louis B^[14] i cała reszta mogli je sobie wsadzić głęboko w swoje żydowskie dupy. Osuszył oczy, wydmuchał nos, wyszedł z planu i pojechał do swego apartamentu w hotelu Ambassador wynajmowaną dla niego przez MGM limuzyną. Na miejscu zjadł kilka czekoladek z bombonierki z podziękowaniami i zaczął czekać na błagalny telefon od reżysera, który jednak nie zadzwonił. Za to reżysera zaczęła błagać Mina – kilka godzin później, kiedy dowiedziała się o incydencie – lecz nawet ona wyczuła zapach porażki. Clark poczekał jeszcze trochę – w tym każdy aktor musiał być dobry. Następnego dnia zadzwonił nawet do reżysera osobiście, tylko po to, by się dowiedzieć, że cały projekt został zamknięty i że to nie jego wina, że takie rzeczy są zupełnie zrozumiałe i nie powinien się martwić. Przez kilka kolejnych dni Clark więc wypoczywał, czekając na kuriera z następnym scenariuszem. Zamiast przesyłki, na jego progu pojawił się hotelowy maitre d', który szalenie uprzejmym tonem, wspólnym dla przedstawicieli jego fachu na całym świecie, zapytał o powód, dla którego wystawione na okres ubiegłych dwóch tygodni rachunki za apartament, nie mówiąc o obsłudze i barze, nie zostały uregulowane. Po cichu, lecz z tym szczególnym ociąganiem, z jakim ludzie opuszczają miejsca, co do których mają podejrzenia, że już ich nie zobaczą, Clark zebrał te kilka rzeczy, jakie mógł istotnie nazwać swoimi, oraz kilka innych, które w ścisłym sensie zupełnie do niego nie należały. i wyszedł. Przez jakiś czas myślał, że to koniec Clarka Gable'a. Dopiero potem uświadomił sobie, że tak naprawdę obserwował po prostu koniec MGM.

Życie w Los Angeles toczy się szybkim tempem – powinien był na to zwrócić należytą uwagę, kiedy jeszcze wspinał się po brązowej drabinie. Clark był w stanie wymienić najrozmaitsze powody swego gwałtownego upadku, lecz w głębi ducha wiedział, że prawdziwy upadek dokonał się gdzieś w nim samym. a po drodze, która przez moment wydawała się złotą, zawędrował już tak daleko, że teraz nie potrafił się zmusić, by wrócić do występów w teatrze. Zresztą, reżyserzy i producenci niechętnie spoglądali na kogoś skażonego dawnym kinem dźwiękowym, zwłaszcza na faceta, który bez mała został gwiazdą, i którego wszystkie główne role okazały się klapami.

Było to jedno z wydarzeń, jakie można oceniać ze stu różnych perspektyw, przy czym żadna z nich nie sprawiała najmniejszej różnicy. Clark odkrył to już dawno temu. Jasne, mógłby winić Minę lub wytwórnię. Pewnie, mógłby – i tak robił – obwiniać samego siebie. Mógł nawet obarczyć odpowiedzial-

nością tego kretyna reżysera lub parszywego pecha w doborze scenariuszy, marne występy ekranowych partnerek lub zbyt rzadkie oblizywanie odpowiednio wysoko postawionych tyłków. a może powinien był bardziej się przykładać, z większą cierpliwością podejść do nowej technologii, co do której wszyscy byli zgodni, że sprawia wiele kłopotów. Nic z tego jednak nie miało znaczenia i Clark uznał, że większość elementów życia wcale nie jest tak skomplikowana, jeśli przypatrzeć im się oddzielnie, zetrzeć z nich smar i starannie ułożyć. Kiedy ludzie pytali go, co właściwie poszło nie tak – z biegiem lat zdarzało się to coraz rzadziej, a ostatnio już niemal wcale – wybierał zwykle najprostszą odpowiedź, jako, według niego, najbardziej prawdziwą. Niektórych aktorów kamera od zawsze lubiła bardziej niż pozostałych i podobnie miała się sprawa z ikonoskopami.

Tłumaczył ludziom, że nie przepadał za emotykami, a emotyki nie polubiły jego.



13 Walter P. Johnson (1887–1946) – jeden z najsłynniejszych amerykańskich baseballistów w historii. Ustanowił wiele rekordów, z których część pozostaje niepokonana do dziś.

14 Louis B. Mayer (1884–1957) – jeden z założycieli wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Następnego dnia obudził się chwilę przed dziewiątą. Gdy wyszedł na korytarz w poszukiwaniu łazienki, rury syczały, radia grały, jakaś piosenkarka ćwiczyła skale. Kiedy wreszcie znalazł to pomieszczenie, wyglądało ono mniej więcej tak, jak się tego spodziewał. Pełne nadziei, zgrubiałe od wilgoci kartki namawiające do zachowania szacunku dla innych lokatorów. Na parapecie przykurzonego okna szereg rdzewiejących puszek po krecie i słoiczków ze środkiem przeczyszczającym „Sal Hepatica”. Czyjeś skarpety i bielizna marynujące się w skorodowanej wannie na lwich łapach. Jeszcze dzień lub dwa dłużej w tym budynku, a sam robiłby tak samo. Wiedział jednak, że to nie może trwać zbyt długo. Zęby umył, korzystając z palca i cudzej puszczyki pepsodentu. Wilgotną dłonią przetaił kawałek lustra i uderzyło go, jak dziwnie wygląda facet po drugiej stronie, kiedy nie ma na nosie okularów.

Zanim się ubrał, Barbara zaparzyła mu kawę i przygotowała miskę płatków „Cream of Wheat”. Usiadł w jej pokoju, zapalił lucky strike’a i po raz kolejny pomyślał o zaniepokojonej twarzy Peg – o chwili, gdy uciekła przed nim zeszłej nocy – a śliczna żydowska cizia, ledwie kobieta, bez końca opowiadała o jakimś Wielkim Cholemych Spisku. Nie w tym rzecz nawet, by wątpił w jej rację, ale czy naprawdę nie widziała, że są o włos od bardzo realistycznego odegrania roli następnych ofiar?

Pokój wkrótce zasnuła mgiełka papierosowego dymu, Barbara więc podeszła do okna i podniosła je. Przystanęła tam na chwilę. Pochwycone w tyto-

niowe opary promienie słońca otoczyły ją niczym aurą. Wreszcie odwróciła się i wzięła do ręki coś ciemnego i dziwnego.

– Znalazłam jeszcze to.

Prawie się skrzywił, gdy rzuciła w jego stronę. Zafurkotało.

– Żebyś mógł przeczytać, będzie ci potrzebne lustro...

Była to ta kalka, z jednym i tym samym słowem odbitym mniej więcej tysiąc pięćset razy.

– Tak. Wiem. Thrasis. Widziałem to już.

– i nie uznałeś za stosowne o tym wspomnieć?

– Jezu, Barbaro! Przecież mieliśmy na głowie tyle wszystkiego.

– To słowo pojawia się też raz po raz w szkicu na papierze toaletowym, który znalazłeś w koszu na śmieci w ich domku. – Teraz przyglądała mu się bardziej przenikliwie. – a może o tym też już wiesz?

– Nie do końca. Ale nie powiem, by mnie to zaskoczyło. Widzisz, to słowo usłyszałem od Howarda Hughesa. Wymówił je, jakby to była kropka na końcu wszystkiego. Jakby nie mógł się powstrzymać przed wypowiedzeniem go, choć za żadne skarby nie chciał tego zrobić.

– i o tym też mi nie wspomniałeś?

– Dobrze, wyprowadź mnie na podwórko i zastrzel. To po prostu jakieś zapísane słowo, którym posłużył się jeszcze ktoś inny. Co miałem ci, do diabła, powiedzieć?

– Tyle że to wcale nie jest słowo. – Skinęła głową na półki, gdzie stały rzędy encyklopedii i słowników. – Sprawdziłam. Nigdzie nie ma takiego hasła. a z jakiegoś powodu wydaje się ważne, prawda?

Wzruszył ramionami. Przez moment słyszał dziwne syczenie i przeczuł niejasno powrót tej istoty, którą widział już wcześniej.

– Pewnie tak.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Wciąż jednak pozostawało wiele pytań.

Wyszli z Barbarą na ulicę, wcisnęli się do budki telefonicznej i Clark po raz kolejny spróbował się dodzwonić do agencji detektywistycznej Nero. Nadal nikt nie odbierał. Jeżeli to Abe był facetem, którego April wynajęła, by znalazł mężczyznę podobnego do jej męża, musieli się o tym przekonać w inny sposób. Korzystając z tej samej dziesięciocentowej monety, połączył się z recepcją Doge's Apartments. Zanim Glory podniosła słuchawkę, telefon dzwonił niemal tak samo długo jak przed chwilą w Nero.

- Halo?
- Cześć. Tu Clark. Pomyślałem, że sprawdzę, czy coś słychać.
- Słychać?
- Jakaś poczta? Goście? Tego typu sprawy.
- Gość, który chciał zająć twój samochód, nie przyszedł, jeśli o to chodzi.
- Świetnie, a... hmm... poczta?
- Szukam... – Kroki. Długa chwila ciszy. Znów kroki. – Ostateczne ponaglenie ze skarbówki. Rachunek za mieszkanie. i coś, co wygląda na rachunek za...
- Czyli same rachunki? – Mimo że widział jedynie tył jej głowy, był pewien, że Barbara się śmieje. – Nic poza tym?
- Nie, a ty się ukrywasz czy coś? Gdzie byłeś?
- Po prostu pracuję nad sprawą. To może potrwać jeszcze jakiś dzień.
- Mam nadzieję, że ona jest tego warta.

- Naprawdę bardzo bym chciał, żeby o to chodziło, Glory.
- Ach, i ta kobieta, o której ci mówiłam. Znowu dzwoniła. Nadal nie zostawiła nazwiska, ale mówi, że martwi się o męża. Dać ci numer jeszcze raz?
- No tak – mruknął. Dobrze wiedział, jaka potrafi być Glory, jeżeli ktoś nie spełnia jej zachcianek.

* * *

– Proszę, proszę, Clark – odezwała się Barbara, wciąż rozchichotana, kiedy odwiesił słuchawkę. – Nie miałam pojęcia, że rzut oka w twoje życie może być tak ekscytujący.

– Ej, to nie ja mieszkam w tej zapchlonej dziurze. – Wskazał palcem.

– Rozumiem, że twoje mieszkanie to szczyty luksusu...

Powietrze po wczorajszej burzy pachniało tego ranka świeżością, w rynsztokach stały kałuże, ale Roger z kumplami jak zwykle uganił się za tą samą aluminiową puszką.

– Popatrz pan... – rzucił chłopak przeciągle, żując wyimaginowaną gumę.

– Moje gwiazdy we własnej osobie! Normalnie Tim Cookson i Frederica West. Twój wózek nadal wymaga opieki, wiesz. w okolicy kręcą się różne nieciekawe typki.

– Bo i okolica nieciekawa. – Clark wręczył wyrostkowi dwadzieścia pięć centów. – Zauważyłeś tu może coś nowego?

– Nie tutaj. – Roger puścił oko i zmierzył Barbarę, która powróciła do swych zwykłych męskich spodni i dzianinowego swetra w szkockie wzory, spojrzeniem stanowczo zbyt znaczącym jak na osobę w jego wieku.

Dziewczyna westchnęła.

– a ty nie powinieneś być czasem w szkole? Albo w poprawczaku?

– Tam się niczego nie nauczę, paniusiu. Ulica kształci dziesięć razy szybciej.

Kiedy w jego kieszeni zniknęła kolejna ćwierćdolarowa moneta, chłopak zgodził się nadal nasłuchiwać telefonu.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Wnętrze delahaye'a jeszcze nigdy tak bardzo nie cuchnęło wilgocią. Zupełnie jakby coś w samochodzie zaczęło gnić. w drzwiach po stronie kierowcy pojawiło się wgniecenie, za które – jak założył Clark – odpowiedzialny był Roger z kolesiami. Silnik również zaczął wydawać nie do końca normalne dźwięki. Przejechali obok sztucznych palm i wykonanych z masy papierowej hawajskich dziewcząt, mijając nową „Clifton Cafeteria” na rogu Broadway i Pierwszej.

Biuro Abe Penna znajdowało się w dwupiętrowym budynku stojącym pomiędzy niższymi magazynami i pustymi działkami. Stała tam też nieczynna pompa ropy naftowej i kilka innych oznak życia.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że on działa na trochę wyższym szczeblu od ciebie, Clark – mruknęła Barbara, przyglądając się połataniem gipsem frontowi.

Wisiąły tam szyldy wszelkich możliwych rozmiarów, anonsujące wszelkie możliwe rodzaje firm. Kręgarz. Agencja matrymonialna. Siedziby spółek o najdziwniejszych nazwach, między innymi agencji detektywistycznej Nero. Żadna z tabliczek nie wyglądała na nową. Szyba w wahadłowych drzwiach pękła i szramę zaklejono taśmą klejącą. Gdy drzwi przestały już skrzypieć, okazało się, że wewnątrz panuje zupełna cisza. Jedyne dźwiękami były odgłosy wydawane przez ich odklejające się od linoleum podeszwy i brzęczenie kilku much. Obok schodów zamontowano tablicę z wsuwanymi literami, jedną z takich, jakimi anonsuje się tytuły nowych filmów lub numery hym-

nów do odśpiewania w kościele. Powtarzały się na niej niektóre z nazw widocznych na szyldach na zewnątrz, plus kilka innych. Abe Penn pracował na ostatnim piętrze.

Windy nie było. w miarę, jak wspinali się po schodach, robiło się cieplej. Oraz jeszcze ciszej – oboje niemal wstrzymali oddech – nie licząc oczywiście stałego szmerania much. Idąc korytarzem, zauważyli, że większość nazw firm na przeszklonych drzwiach kolejnych pokoiów została zaklejona brązowym papierem, tudzież po prostu przekreślona. Słowa „Agencja Detektywistyczna Nero” wybiegły ku nim z najdalszego krańca i kiedy Clark, odganiając natrętną plujkę, spróbował dostrzec coś przez przydymione szkło, pomyślał, że w tym miejscu skupiło się tyle rozmaitych rodzajów aury, że powinni wykorzystywać je w emotykach – oczywiście, tylko w tym nieprawdopodobnym przypadku, gdyby zawód prywatnego detektywa stał się kiedykolwiek w tym mieście modnym fachem.

Przez szklane drzwi nie zobaczył niczego. Był też przekonany, że są zamknięte na klucz. Owalna klamka jednak ustąpiła, gdy tylko ją przekręcił, i kiedy otworzył, jego zmysły natychmiast zaatakowało coś koszmarnego. i świeża fala much.

– Jezu, zamknij! – Zaczął gwałtownie szukać chusteczki. – Nie, nie z zewnątrz, Barbaro – syknął. – Musisz wejść do środka...

Zwłoki, które mogły należeć jedynie do Abe’a Penna, kołysały się na linie zawieszanej pod sufitem na starym, metalowym wiatraku. Odkopnięty obrotowy fotelik stał nieco z boku. Muchy były wszędzie. Na ścianach. w powietrzu. Zaciemniały osadzone w żelaznych futrynach okna. Wcisnęły się im do oczu i ust. Trzymając się jak najbliżej ścian pokoju, Clark przeszedł na drugą stronę biurka. Chwytnąjąc haczyk przez chusteczkę, otworzył pierwsze okno, przez które wyleciało kilka tysięcy much, cała reszta jednak z zadowoleniem nadal dotrzymywała towarzystwa Abe’owi. Drugie okno było już uchylone.

– Co to ma być, do diabła? – Barbara zasłoniła twarz dłonią, drugą rękę wsunęła do torebki.

– a na co ci wygląda? Niczego nie dotykaj, dobrze?

– Nie mam zamiaru...

Chóralne brzęczenie zaniepokojonych much stało się tak głośne, że musieli prawie krzyżeć. Abe wyglądał jak wielka, pęknięta torba. Głowę miał tak

rozdętą i zniekształconą, a szyja została tak rozciągnięta przez ciężar ociekającego wilgocią ciała, że wydawało się, że lada chwila zwłoki rozlecą się na dwie części. Clark widywał już wcześniej samobójców. Jednego lub dwóch. Tak to już jest, jeżeli ktoś się zajmuje separacjami i rozwodami. Nigdy jednak nie był świadkiem czegoś równie okropnego. Abe musiał umrzeć wiele dni temu. Nie, raczej kilka tygodni...

Robiący wrażenie biurowy kalendarz był otwarty na stronie z datą piątku, 21 czerwca, czyli siedem dni wcześniejszą. Jedyne zapiski to prosty rysunek kobiecych piersi i samotne słowo „Fryzjer?”. z jakiegoś powodu ten znak zapytania mocno Clarka poruszył. z palcami wciąż owiniętymi w chusteczkę, przejrzał poprzednie strony kalendarza. Zdołały je kolejne rysunki przedstawiające niemożliwie obdarzone przez naturę lalecзки, lecz nic poza tym, aż na stronie z datą piątku 14 czerwca, mniej starannym charakterem, takim, jakim mógł pisać ktoś notujący podczas rozmowy telefonicznej, Abe nabazgrał „Lamotte. Erehwon – Stone Canyon – Podobni facyci?” wraz z numerem telefonu.

Barbara stanęła obok niego. Jediną inną rzeczą na biurku – poza muchami – była samotna żółtawa teczka. Otworzył ją. Muchy natychmiast oblaży stare wycinki – pomięte, pożółkłe zdjęcia twarzy Clarka pochodzące z artykułów w „Variety” z czasów, kiedy był prawie sławny. Było też jedno większe, na kredowym papierze, które zostało wykonane za spore pieniądze Miny i z którego nigdy nie był do końca zadowolony. Abe zdobył też jedną z wizytówek Clarka i – sądząc po przekreślonym, nieaktualnym numerze i maleńkim rysunku kobiecych piersi – próbował się do niego dodzwonić. Na odwrocie zapisał inny numer, w którym Clark rozpoznał telefon firmy, jaka przez krótki czas przyjmowała do niego wiadomości, nim jeszcze uznał, że to strata pieniędzy. i wreszcie, świeższy, spisany bardziej zdecydowanie numer Doge’s Apartaments i tchnące frustracją słowa „Glory Guzman?!!!!”. Clark dobrze rozumiał powód tej frustracji.

– Wygląda na to, że chciał się z tobą skontaktować – szepnęła dziewczyna.
– Czy Glory zawsze jest taka jak dziś rano?

– Nie. Dziś miała wyjątkowo dobry humor.

– a zatem wytypował ciebie, nie udało mu się dodzwonić, a potem... Myślisz, że to naprawdę samobójstwo?

– Nie. – Abe kołysał się łagodnie w świeżych powiewach z okna. Spora

jego część spłynęła już na podłogę, gdzie utworzyła wokół fotelika czarną, z wolna rozlewającą się kałużę. Muchy darzyły ją szczególnie mocnym uczuciem. Poczuł, że powinni się pośpieszyć, bo w przeciwnym wypadku będzie musiał znaleźć miejsce, gdzie mógłby zwymiotować. – Ale ktoś chciał to upozorować.

– Co ty powiesz?

Pożegnalnego listu nie było, podrobionego lub prawdziwego. Tylko czy tego rodzaju faceci musieli tłumaczyć, dlaczego postanowili ze sobą skończyć? Clark miał poważne wątpliwości. Gliniarze, gdyby ktoś wreszcie zwrócił uwagę na smród, zadowoliliby się raportem o kolejnym samobójcy i zamknęli sprawę. Abe'em nie zająłby się nawet wydział zabójstw, nie bardziej starannie niż śmiercią April Lamotte.

Clark zamknął teczkę i wydlubał muchę, która wpełzła mu do kącika ust. Czy to dziwne, że Abe – poproszony o znalezienie faceta gotowego przez kilka godzin odgrywać cudzego męża – wybrał akurat jego? Raczej nie. w końcu, o kim mógł Abe pomyśleć, szukając wysokiego gościa z odstającymi uszami, niezbyt wieloma skrupułami, wprawą w sprawach małżeńskich i niejakim doświadczeniem aktorskim? Raz jeszcze przejrzał kalendarz. Po zeszłym piątku nie było już żadnej notatki. Czyli później Abe Penn prawdopodobnie już nie żył. w przeciwnym wypadku, mimo całej związanej z rozmową z Glory frustracji, nadal próbowałby się z nim kontaktować.

Zajrzał do szuflad biurka. Nie znalazł nic poza kilkoma wizytówkami agencji detektywistycznej „Nero”. w koszu leżało kilka zasuszonych skórek pomarańczy i nadgryziona kanapka, zignorowana przez muchy, zadowolające się znacznie większym kąskiem pod wiatrakiem. Był tam także egzemplarz „LA Timesa” z tego samego ubiegłego piątku. Abe'owi nie udało się rozwiązać krzyżówki.

Coś trzasnęło i pokój zalał gwałtowny błysk. Muchy w jednej chwili zerwały się z resztek Abe'a, odsłaniając na moment szczegóły jego anatomii, pełne wijących się, białych, młodych czerwi.

Barbara naciągnęła film graflexa. Zamarła i spojrzała na Clarka.

– No co?

* * *

Kiedy wychodzili z budynku, w pobliżu wciąż nikogo nie było. Panujący na zewnątrz miejski smród – mieszanka zapachu końskiego łajna, spalin, go-

rażej smoły i tamaryszku – nigdy jeszcze nie pachniał tak słodko. Clark przystanął na kilka chwil. Zadał głowę. Okna biura Abe’a wychodziły właśnie na tę stronę. Widać było uchylone okno i łączące po nim muchy. Stał tuż pod nim. Nie było tu chodnika, tylko żwir i ubita ziemia. Rozgarnął kamyki czubkiem buta i niejasno przypomniał sobie powiedzenie, że w tym mieście trotuary lśnią niczym złoto. i wtedy rzeczywiście coś błysnęło. Pochylił się i podniósł stłuczoną strzykawkę z ostrą igłą.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

– Jedziemy na policję?

– Oczywiście, że nie.

– Czyli kolejne samobójstwo. Tylko wiesz, tutaj nie mam żadnego Abrahama Penna. – Siedzieli w delahaye’u i Barbara przeglądała listę osób zaproszonych na premierę „Pękniętego zwierciadła”.

– Podejrzewam, że Abe był po prostu... – Pokręcił głową. – Jak to mówią wojskowi? Ofiarą cywilną?

– Złą osobą w złym miejscu?

– Właśnie.

Biedny stary Abe Penn. Nie znali się dobrze – Abe’ a raczej nikt dobrze nie znał. Był to jeden z wielu podejrzanych typków w zbyt obcisłym garniturze i nawet za życia nigdy nie pachniał zbyt przyjemnie. Clark pamiętał go przede wszystkim ze sprawy, kiedy zostali wynajęci przez przeciwne strony rozwodu. Załatwili rzecz bez żadnych problemów. Po wszystkim poszli się razem upić, i to zapewne wtedy wymienili się wizytówkami. z tego, co słyszał, Abe pracował później głównie jako wolny strzelec i zajmował się badaniem przeszłości kandydatów na rozmaite ważne stanowiska oraz dochodzeniami dla firm ubezpieczeniowych. Zwykła, prosta harówka. Abe miał co prawda licencję, ale nie mógł – jak Clark – posłużyć się kwestią „a pamięta mnie może pani ze starych filmów?”, która wydatnie pomagała znajdować klientki w sprawach małżeńskich.

a teraz został wessany w tę historię i dał się zabić, prawdopodobnie jedy-

nie dlatego, że April Lamotte znalazła w którejś z tanich gazet ogłoszenie agencji „Nero” i skusiła ją obietnica stuprocentowej dyskrecji. z tym, że Clark nie sądził, by Abe choć raz spotkał się z April osobiście. To musiał być ktoś inny – osoba, która zainstalowała w centralce podsłuch i która zainscenizowała samobójstwo detektywa, posługując się substancją ze strzykawki, a potem pojechała na spotkanie, podszywając się pod Abe’ a, po czym zapewne dostarczyła list bez znaczka do skrzynki pocztowej w Doge’s Apartments. i prawie na pewno poruszała się czarnym sedanem mercury.

Clark po raz kolejny doznał tego nieprzyjemnego wrażenia bycia śledzonym, bycia celem. Najbardziej dziwiło go, że wraz z Barbarą zaszli tropem April i Dana Lamotte’ów tak daleko i wciąż pozostawali przy życiu. a także, że nadal żyli inni zamieszani w tę historię. Kisberg. Kobieta z fundacji – o ile faktycznie jeszcze nie zginęła. Nawet Lars Bechmeir. Oraz, oczywiście, Peg Entwistle. Po raz kolejny przypomniawszy sobie filmy, których brakowało w bibliotece Erewhon. Była wśród nich „Królowa dziewica”.

– Barbaro, co jeszcze masz w tej swojej torbie?

– Clark, mówiłam ci już. Po prostu zbieram istotne dowody. Przecież ty sam...

– Nie, nie o to mi chodzi. Masz może rachunek? Ten z zeszłego roku, na sporą kwotę, wystawiony przez wytwórnię emotyków?

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Siedziba „Feel-o-Reel Inc.” znajdowała się tylko kilka przecznic od biura Abe’a Penna. Ledwie chwilę jazdy po Pacific Boulevard. Był to już jednak zupełnie inny świat.

Ze swymi przestronnymi parkingami, olśniewającymi budynkami z aluminium i stali, kompleks biurowców Nueva Vision wyglądał tak, jakby pracowano tam nad technologiami, o jakich Daniel Lamotte pisał dawniej w swych tanich, „fantastycznonaukowych” powieściach. i tak w pewnym sensie było. Może nie opracowywano tu promieni śmierci, raketowych płetw, skutecznych lekarstw na raka ani posiłków w pastylkach, lecz działali za to producenci ubrań dla psów marki Precious Poochie i automatycznych kruszarek do lodu „T.C. Coolo” („Już nigdy nie zadławisz się kostką”), a także wytwórcy maszyn „SeaSloosh!” do wytwarzania sztucznych fal w basenach. w tak wykwintnym towarzystwie działalność studia Feel-o-Reel wydawała się bez mała przyziemna. Za podnoszonymi szerokimi drzwiami wytwórni mężczyźni w białych strojach pchali wózki i doglądali maszyn przypominających zaawansowane technicznie kołowrotki. Jeden z nich zauważył Clarka i Barbarę, po czym – nie zdejmując z twarzy bawełnianej maseczki – dał gwałtownym gestem znak, że powinni zostać na miejscu. Po chwili, z przeszklonego biura wyszedł jakiś facet.

– Przepraszam, ale musimy uważać na zanieczyszczenia. Wystarczy najmniejsza ilość brudu w nagrywarkach lub ładowarkach i cała rolka idzie do śmieci. Chyba nie dosłyszałem państwa nazwisk...?

Pete Peters – jego rodzice musieli być osobami obdarzonymi niepoślednią wyobraźnią – miał na sobie drogi rozpięty garnitur, z rodzaju tych, które udają swobodnie narzucony, pierwszy z brzegu ciuch. Był zrelaksowany i witał się suchym, krótkim uściskiem dłoni.

– To jest Barbara Eshel, a ja nazywam się... hmm... – wersję ustalili jeszcze na zewnątrz, lecz Clark i tak głupio się zawahał, nim wymienił własne nazwisko – Clark Gable. Pracujemy dla człowieka nazwiskiem Lamotte. Jesteśmy prywatnymi detektywami i przyjechaliśmy tutaj, ponieważ...

– Oczywiście! Oczywiście! Aż dziwne, że zajęło to wam aż tyle czasu. Pracujecie również dla ich firmy ubezpieczeniowej, czy tylko prywatnie dla pana Lamotte? – Peters zaprosił gości skinieniem do swego szklanego gabinetu. – Może wejdziemy...

w biurze, podobnie jak w całym budynku, pachniało olejem maszynowym. Wnętrze było ciasne, ale wyposażone w drogie, nowoczesne meble. Okna na zewnątrz brakowało, lecz wszystko zostało wypolerowane tak starannie, że Clark poczuł tęsknotę za ciemnymi okularami.

– Jak wiele wiecie o naszej działalności? – spytał Peters, kiedy już usadził gości na twardych, małych krzeselkach.

– Cóż, hmm... – zaczęła Barbara.

– Rzecz w tym – Peters pochylił się nad szklanym blatem biurka – że wielkie wytwórnie emotyków mają własne zaplecze technologiczne, ale większość ich sprzętu pochodzi przynajmniej sprzed pięciu lat. a ich pracownicy... – zachichotał – ...są jeszcze starsi. My oferujemy znacznie krótszy czas realizacji i lepszy, bardziej dopracowany produkt. Ostrzejsze pole. Silniejsze oddziaływanie ścieżki emocyjnej. Poza tym, z naszych usług często korzystają podmioty niezależne. Poproszę sekretarkę, żeby znalazła dla was ulotkę. Realizujemy również zamówienia indywidualne, ale o tym już wiecie.

– Chodzi panu – spytał Clark – o prace w rodzaju zlecenia Daniela Lamotte'a?

– Najróżniejsze. Zamówienia od osób prywatnych wciąż nie są dla nas chlebem powszednim, ale technologią emocyjną interesuje się coraz więcej firm. Oraz ludzie i instytucje, o których nigdy byście nie pomyśleli.

– R.H. Macy? Howard Johnson^[15]? Liga Wolności? Faszyci?

– Otóż to! – Peters pokiwał głową z energią godną Timmy'ego Townsenda. – Aczkolwiek konkretne nazwiska objęte są tajemnicą handlową... –

Urwał, i kiedy ani Clark, ani Barbara nie nacisnęli, w jego spojrzeniu pojawiło się lekkie rozczarowanie. – Tak przy okazji, naprawdę nie jesteście z polacji? Muszę mieć całkowitą jasność. Inaczej zamorduje mnie mój prawnik.

– Nie – odparł Clark. – Nie jesteśmy.

– Zdecydowanie nie – dodała dziewczyna.

– No to w porządku. Pytam, ponieważ niektóre nasze zlecenia bywają nie-co... dwuznaczne moralnie, jeśli wiecie co mam na myśli.

Peters przesłuchiwał sam siebie. w kontakcie z prywatnymi detektywami wielu ludzi zachowywało się w ten sposób. Oboje ponownie pokiwali głowami. Clark doskonale wiedział, jak pozbawione smaku bywają najnowsze emotyki dla mężczyzn, i absolutnie nie chciał poznawać niczego jeszcze bardziej dwuznacznego moralnie.

– a zatem – podjął Peters – pewnie chcecie poznać szczegóły włamania?

Włamanie?

– Tak, to by nam bardzo pomogło – przytaknął Clark, żałując, że nie zabrał ze sobą notesu. Zauważył za to, że Barbara sięga do torebki po własny.

– Własnymi słowami, panie Peterson – poprosiła, wymachując ołówkiem.

– Zacznijmy od samego początku.

– w zasadzie nie ma wiele do opowiadania. Wasz klient, pan Lamotte, zgłosił się do nas ...hmm... wiosną. Chyba w marcu. – Przerzucił kilka fiszek obrotowego wizytownika. – O, mam. Dwudziestego szóstego. Przywiózł nagrania, które chciał przemontować i zmiksować. Powiedział, że to niespodzianka z okazji urodzin żony.

– Pamięta pan może, jakie dokładnie były to nagrania? – zapytała Barbara.

– Oczywiście, prowadzimy archiwum. Chyba wiecie, że wszystko, co dotyczy technologii emocyjnej, podlega licencji?

– Oczywiście. Taka jestem niemądra. a więc...?

– Proszę bardzo. – Wyjął kartkę z wizytownika i podał dziewczynie. – Aczkolwiek tego moglibyście się dowiedzieć też od klienta...

Clark i Barbara przyjrzeni się liście. Starannie, odręcznie zapisana kartka zawierała numer zamówienia i dane kontaktowe Daniela Lamotte'a. Tytuły odpowiadały mniej więcej rolkom, których brak Clark zauważył w Erewhon. Zasadniczo były to wszystkie emotyki, których autorem scenariusza był Dan Lamotte. Była „Magia przeszłości”. Było „Kiedyś, zapewne nigdy”. „Poszukiwacz złota”, „w piątek, czyli dzisiaj”, „Miasto wolności”, „w tył zwrot”. i

oczywiście „Królowa dziewica”.

– To zlecenie stanowiło dla nas ciekawe wyzwanie. Rzecz w tym, że Lamotte chciał, byśmy wyizolowali z nagrań aury jego ulubionych gwiazd i zmiksowali je w jedną ścieżkę. – Pokręcił głową. – Trochę to dziwne. Ale w końcu nie jestem od oceniania. Ja tu tylko pracuję.

– a ta pozycja na dole? – Barbara postukała w kartkę ołówkiem. – Ta oznaczona samym numerem?

– a tak, to było takie starsze nagranie. Pan Lamotte tłumaczył, że to z jego prywatnej kolekcji. a może ze zbiorów żony? Jakoś tak. Naprawdę zabytkowa rzecz. Na taśmie nie było tytułu ani niczego. Naprawdę wam o tym nie opowiadał? Jezu, ten emotyki był naprawdę starożytny. Musieliśmy go oczyścić i odtwarzać z podwójną prędkością, aczkolwiek, kiedy już doszliśmy do tego, co właściwie przedstawia, nie było tak źle.

– a co było na tym nagraniu?

– Cóż, w zasadzie był to zapis różnych anonimowych aur. Zapewne jakieś demo z dawnych czasów czy coś w tym stylu. w sumie dwadzieścia oddzielnych sekwencji. Tyle że kończyło się grudką stopionego metalu, jakby taśma została nadpalona. To się czasem zdarza, zupełnie jak z filmami celuloidowymi. Aczkolwiek, żeby uzyskać taki efekt na głowicy magnetycznej, trzeba sporej energii.

– Wiadomo skąd miał to nagranie?

Peters wzruszył ramionami.

– Jak już powiedziałem. Starożytny zabytek. Nie widziałem na taśmie żadnych standardowych oznaczeń. Właśnie dlatego musieliśmy jej nadać nowy numer katalogowy. Gdybyśmy tego nie zrobili, Fundacja Bechmeira natychmiast by się do nas dobrała. a że pracujemy w branży, niespecjalnie nam na tym zależy. Tłumaczyłem już, że wszystko podlega opłatom licencyjnym.

– Jak właściwie działa ten system?

Wzruszył ramionami.

– Mało to skomplikowane. Pat, dziewczyna z biura naszego zarządu, wysłała im informacje o każdym zrealizowanym nagraniu, a fundacja wprowadza je do archiwum i odsyła do nas rachunek.

– Dokąd wysyłacie te dane? Może ma to przypadkiem związek z kobietą nazwiskiem Losovic?

Peters zastanowił się, po czym zaprzeczył ruchem głowy.

– Musielibyście zapytać Pat. Ja wiem tylko, że kontaktujemy się z jakimś biurem w Compton, oni wszystko tam sprawdzają i rejestrują, a my potem płacimy.

– w Compton? Nie Willowbrook?

– a to nie tam jest muzeum?

– Może ma pan rację. Przejdźmy już do włamania...

– To było w nocy. Oczywiście, wszystko tutaj było zamknięte i odpowiednio zabezpieczone, z tym, że nie zatrudniamy nocnego stróża. To znaczy, wtedy nie zatrudnialiśmy. Nagranie dla pana Lamotte'a czekało już zmontowane i gotowe. Sam pan wie, że je dostarczyliśmy, więc tu chyba nie ma problemu, prawda? Dziwne jednak było to, że z całej firmy, gdzie mamy przecież sprzęt wart dziesiątki tysięcy dolarów, nie mówiąc już o cennych rolkach stalowej taśmy emotycznej, zginęły jedynie te jego filmy.

– Filmy? To znaczy skradziono nagrania, które przywiózł wam do przerozbięcia Daniel Lamotte? i nic poza nimi?

– Dokładnie tak.

– Jakieś inne ślady? Może złodzieje coś zostawili, zmienili, zniszczyli?

– Absolutnie nie. Dlatego właśnie wydaje mi się to takie dziwne.

– Czysta, zawodowa robota?

– Można tak powiedzieć, chociaż nie jestem przecież ekspertem.

– Jak łatwo było złodziejowi odnaleźć rzeczy naszego klienta? Gdy już dostał się do środka?

Peters wzruszył ramionami.

– z pewnością dużych kłopotów nie miał. Wszystko dokładnie opisujemy. i nie jesteśmy Fortem Knox. w każdym razie wtedy nie byliśmy...

– Poinformowaliście policję?

– Owszem, ale... – Kolejne wzruszenie ramion, tym razem takie, które musiał zrozumieć każdy mieszkaniec Los Angeles, mający w ciągu ostatnich lat jakiegokolwiek doświadczenia z policją.

– w jaki sposób pan Lamotte zareagował na informację o kradzieży?

– Był... Cóż, w zasadzie był tak samo zdziwiony jak ja. Aczkolwiek jego żona... Jezu... – Peters zagwizdał i pokręcił głową. – Kilka dni potem zadzwoniła z koszmarną aferą. Wypytywała o różne rzeczy zupełnie jak wy, a przecież to miała być dla niej urodzinowa niespodzianka... To znaczy, w nagraniu nie było niczego złego. Przynajmniej żaden z nas niczego takiego nie

zauważył. Na pewno nie pracujecie w policji? a może jesteście jakimiś prawnikami?

Barbara przywołała na twarz wyraz poważnego oburzenia.

– Panie Peters, po prostu działamy w imieniu klienta, ale mamy również zobowiązania wobec jego ubezpieczyciela.

– Tak, przepraszam. – Początkowy entuzjazm Petersa, związany z rozmową z prywatnym detektywem, zaczął przygasać. Większość ludzi reagowała w ten sposób. – Po prostu nie jestem nawykły do...

– Czyli to już koniec? Ktoś ukradł wam filmy pana Lamotte’a i już? Po tem nie działa się nic? Żadnych kontaktów z policją? Nie odzywali się Lamotte’owie? Zupełna cisza?

– Tak. – Peters wstał. – Może pokażę wam miejsce włamania... To i tak po drodze do wyjścia... Jesteście choć trochę bliżej ustalenia sprawców?

Barbara uśmiechnęła się.

– Pracujemy nad tym, panie Peters, proszę mi wierzyć.

Poszli za nim z powrotem przez główną halę produkcyjną. Stalowe taśmy sunęły po wirujących bębnach. Rolki rozwijały się i zwijały. Na miedzianych siatkach majaczyły białe przebłyski. Poza wonią oleju do maszyn i mimo braku klimatyzacji oraz wbrew panującemu tego dnia upałowi, było tu zimno jak w chłodni.

– Tutaj. To jedyne wejście. Oczywiście, po włamaniu wzmocniliśmy system zabezpieczeń. Mamy teraz stałego stróża nocnego i znacznie mocniejszą kłódkę. Tamtą rozwierconą wyrzuciliśmy od razu.

Pete Peters podniósł z grzechotem łożysk drzwi. Słońce na zewnątrz oszalało.



15 Rowland Hussey Macy (1822–1877) – założyciel sieci sklepów „R.H. Macy and Company”; Howard Deering Johnson (1897–1972) – założyciel sieci hoteli i restauracji „Howard Johnson’s”.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

– Więc posłuchaj, Clark, co powiesz na taką wersję? Na początku lat trzydziestych April Lamotte zrobiła w tajemnicy coś, co miało związek z rozwojem technologii emotycznej. Zarobiła dzięki temu masę pieniędzy, a to stare nagranie zachowała w charakterze ubezpieczenia. a gdzie lepiej mogła ukryć taką taśmę, jeśli nie tam, gdzie naprawdę ją schowała? Zupełnie jak z książkami w bibliotece, zresztą, ta sala w Erewhon to też rodzaj biblioteki... Potem, wiele lat później, jej mąż zupełnie niewinnie wymyśla, że uchwyci swą muzę w tej kosztownej zjawie, jaka pozornie ma być prezentem dla żony, lecz której tak naprawdę potrzebuje sam. Faceci często tak robią. Wybiera więc oczywiste, własne tytuły, a przy tym ten jeden dziwny, który April upchnęła gdzieś z tyłu. Wiezie to wszystko do naszych przyjaciół w Feel-o-Reel i tam dochodzi do włamania, a filmy znikają. To właśnie, gdy sprawa dociera do April Lamotte, wpędza ją w przerażenie. Trzyma się kupy, prawda?

Nie, pomyślał.

Zaparkowali na Piątej przed Biblioteką Publiczną Hrabstwa. Wysokie figury – uosabiające wodę, światło i energię – na szczycie Budynku Edisona przyglądały im się uważnie.

– Najlepiej będzie, Barbaro, jeżeli sprawdzisz, czy uda ci się znaleźć cokolwiek na temat tego słowa... „Thrasis”. Nadal nie lubił wypowiadać go na głos. – Potem zajmiemy się sprawą doktor Losovic, dyrektorki z fundacji Bechmeira, której nikt od jakiegoś czasu nie widział. Jeżeli zdołamy ustalić,

gdzie ona jest...

– o ile jest gdziekolwiek. Trzeba było na Blixden sprawdzić jej domowy adres w książce telefonicznej. Nigdy nie wiadomo. Zagadka może być naprawdę prosta.

– Tak, ale tego też możesz się dowiedzieć tutaj. – Skinął głową w kierunku biblioteki, która wydawała mu się w tej chwili najbardziej bezpiecznym miejscem dla Barbary. – Pokaż mi jeszcze na chwilę listę gości...

– Co ty właściwie...?

– Cicho. Daj pomyśleć.

Wciąż czuł się dziwnie, odczytując z pożółkłej kartki wszystkie te nazwiska. Na premierze pojawiła się połowa obrzydliwie bogatych mieszkańców miasta – z której połowa już nie żyła. Na liście rzeczywiście znalazł biskupa, którego spotkał na bankiecie u Kisberga. i rozpolitykowanego prawnika, któremu gazety nadały przydomek „Sędzia Śmierć”. Nie mówiąc o samym Kisbergu. Był na niej również dawny agent Peg Entwistle, Hilly Feinstein.

Peg należała wówczas do kręgów miejskiej bohemy. z Walii przyплыnęła do Stanów z ojcem, gdy była jeszcze tak mała, że ledwie to pamiętała. Stanowiła ucieleśnienie show-biznesu. Była przy tym mądra w sposób, jakiego nie da się wynieść ze szkoły. Wierszy przeczytała w życiu więcej niż on, znała się na muzyce klasycznej. Miała też dziwacznych przyjaciół, co w tym mieście stanowiło pewnego rodzaju potwierdzenie statusu. Znała na przykład tego małego łańcuszka z haczykowatym nosem i całkowitym brakiem perspektyw, który, jak Clark pamiętał, mieszkał w pokoju obok niej i tłukł miotłą w cienkie ściany, gdy włączała gramofon. Otto Frings, tak się nazywał. Lubił ją podglądać. Clark nakrył go pewnej nocy, gdy Frings stał w ciemności i patrzył w jej oświetlone okno. Klasnął w dłonie i zahuczał. Typek podskoczył jak pchła.

Wielu znajomych Peg, w tym Otto, pracowało – choć częściej na pracę czekało – dla Hilly’ego Feinsteina. Podobnie jak z większością agentów, z Hillym były nieustanne problemy. Clark pamiętał tylko jedno spotkanie z tym gościem. Bawili się wtedy z Peg na nielegalnym, pływającym kasynie. Hazard nieszczególnie go pociągał, podobała mu się jednak teatralność sytuacji – alkohol i tania nowa farba, która przeobraziła starą krypę w coś, co miało przez kilka tygodni pięknie błyszczeć na wodach zatoki, do czasu nalotu glin, lub dopółki statek po prostu nie zatonie.

Była ruletka, kości, oczko i jednoręcy bandyci. Clark bawił się przez chwilę widowiskiem, po czym Peg zaciągnęła go do salki, gdzie rozgrywano poważniejsze partie. Przy pokerowym stoliku siedział właśnie Hilly Feinstein, wielki niczym ropucha i mniej więcej tak samo zielony na twarzy. Przywołał Clarka skinieniem, poprosił go, by usiadł i przegonił Peg; rozgrywka była wyłącznie męska. Pozostali gracze stanowili niewyraźne kształty, majacyli w oparach dymu po drugiej stronie zielonego blatu. w pewnej chwili z morza nadciągnęły większe fale i jachtem zaczęło kołysać. Przyglądając się Hilly'emu – długiemu z boku gigantycznego podbródka, niemal niewidocznym oczom i gęstej, mlecznej substancji, którą popijał zamiast whisky – Clark poczuł się niemal tak obleśnie i ślisko, jak agent wyglądał.

Karty zostały rozdane. Clark zagrał. Postawił niewielką sumę. Przegrał. Potem partia dobiegła końca i Hilly, niczym jakiś diabelski magik, potasował nową talię tak prędko, że karty wciąż jeszcze były rozmyte, gdy podsunął je Clarkowi pod nos i przykazał wybrać jedną. Zamiast asów, króli i trefli Clark ujrzał sekwencję dziwnych obrazków. Szkielety, wisielcy. Wyciągnął tę z wizerunkiem nagiej kobiety, wylewającej pod rozgwieżdzonym nocnym niebem wodę do sadzawki. Hilly wyjaśnił swym świszczącym, astmatycznym głosem, że ta karta nosi nazwę „Gwiazdy” – dość ironiczne, biorąc pod uwagę, jak potem wszystko się potoczyło – lecz Hilly odebrał mu talię i zanim Clark zdążył się zorientować, co się w ogóle stało, rozpoczęło się nowe rozdanie pokera. Przeprosił partnerów, wyszedł chwiejnie na pokład i zwymiotował. Ton Feinsteina nie podobał mu się już wcześniej, tym razem również go nie polubił.

i właśnie to kwaśne, dziwne uczucie, z jakim pozostał po spotkaniu z agentem, było jednym z powodów, dla których pozwolił, by sprawy między nim a Peg przybrały kiepski obrót. a przynajmniej tak sobie tłumaczył. Wmawiał sobie również, że nigdy nie należy się spodziewać, by tego rodzaju historie trwały zbyt długo. a kiedy dotarła do niego wiadomość o tym, co Peg zrobiła przy wielkim napisie – i o tym, że trafiła do Met – nie pojechał jej odwiedzić, przez co sprawy miały się jeszcze gorzej. i w ten sposób się skończyło. a potem – kilka lat później, gdy jego kariera dobiegła już końca – ponownie ujrzał jej twarz. Na plakacie. Znienacka stała się PEG ENTWISTLE. a On przestał być CLARKIEM GABLE'EM – o ile był nim kiedykolwiek. Ale tak po prostu toczy się życie w tym mieście. Nikt nie zwraca

uwagi na gorszych od siebie, nikt nie ogląda się przez ramię. a przynajmniej nie wtedy, gdy może tego uniknąć. Tylko w ten sposób udaje się zachować pozory psychicznej normy.

– Jezu! – Barbara poprawiła się hałaśliwie na siedzeniu. – Ileż można myśleć?

– Jeszcze tylko chwileczkę. Ale... – Zastanawiał się jeszcze przez chwilę. Pomysł nie chciał odejść. – Chcę z kimś pogadać.

– z kim?

– Wolabym nie mówić.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że gość jeszcze żyje. w każdym razie nie słyszałem, by to się zmieniło.

Zmarszczyła czoło.

– Długo ci to zajmie?

– Zależy. Nie sądzę.

– Ale nie zrobisz niczego głupiego?

– Mówisz jak moja macocha.

– i wrócisz potem prosto tutaj?

– Daj mi tylko dwie godziny.

– Dobrze. – Pokiwała głową. – Naprawdę chcę wypuścić jutro nowy numer „Prawdy Los Angeles” i ktoś musi się zająć porządnym dochodzeniem. Może powinniśmy spróbować w biurze fundacji w Compton. Chyba po prostu podjadę tam i powiem, że dzieje się coś dziwnego. a jeśli to nic nie da, zawsze możemy ponownie przejrzeć ten papier toaletowy... Znajdziemy więcej szczegółów... – Zdmuchnęła grzywkę z oczu. – Hmm, jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłabym, że powiem coś takiego.

Przyjrzał się jej. Odpowiedziała równie uważnym spojrzeniem.

– Okej.

– Dobra.

Gdy Barbara chowała do torebki listę gości na premierze, Clark zauważył, że obok graffexa nosi w niej krótkolufowego colta.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Wystarczyły mu dwa telefony z budki. Przedtem spodziewał się, że będzie musiał pojechać aż na Sunset Pier lub na plażę Hermosa i że sprawa zajmie mu dłużej, niż obiecał Barbarze. Przejechał jednak tylko kilka przecznic. Mimo że był w Los Angeles, w zasadzie mógłby nawet nie wsiadać do delahaye'a.

Przed Biltmore działo się tak wiele, że musiał odjechać sprzed głównego wejścia i zaparkować na Hill Street, po drugiej stronie placu Pershinga. Potem przeszedł między posągami i śpiącymi w małym parku pijaczkami; teraz nie witali go już tutaj podenerwowani przedstawiciele wytwórni, ani hotelowi boje, gotowi odprowadzić wóz, lecz kiedy zadarł głowę i spojrzął na trzy wielkie wieże hotelu, poczuł się tak, jakby powrócił do świata, który smakował przez krótki okres swej nie do końca spełnionej kariery. I ten świat poszedł naprzód – przynajmniej w Kalifornii. Budowlańcy i elektrycy szykowali scenę na wieczorne wielkie wydarzenie, partyjny zlot, na którym Herbert Kisberg miał ogłosić, że jest człowiekiem na tyle silnym, by stać się pierwszym prezydentem kraju wybranym z ramienia Ligi Wolności. Na oczach Clarka po ścianach budynku spłynęły narodowe flagi i sztandary Ligi. Przed hotelem stało też kilka furgonetek radia NBC. Technicy przygotowywali sprzęt do dzisiejszej edycji nadawanego na żywo programu „Star Talk”. Clark po raz kolejny postanowił, że nie ma najmniejszej, kurwa, możliwości, by uległ sugestii Barbary i powtórzył wieczorem swój występ w roli Daniela Lamotte'a, tym razem przed Wallisem Beekinsem.

„Clipper Bar” działał w piwnicy, nieco z boku hotelowego gmachu i w dół po schodkach. Aczkolwiek słowo piwnica nie było tu najszybsze. Zaraz za drzwiami uderzył go panujący wewnątrz chłód. To i dziwny posmak na języku. Zwykle efekty działania klimatyzacji, lecz Clarkowi skojarzyło się to z chwilą wejścia do kina emotycznego, w którym pełną parą pracuje generator pola Bechmeira. Zresztą, sam bar także wyglądał jak z filmu. Wszędzie lśnił mahoń, na podłodze stały się grube dywany, światła były odpowiednio stonowane. Czarny mężczyzna stylowo brzdąkał na pianinie. Głównym motywem wystroju Clippera – zauważył to dopiero teraz, kiedy skóra przestała go mrowić, a oczy przywykły do mroku – była tematyka morska. Pod sufitem rozwieszono sieci, które nigdy nie widziały trawlera. Do ścian przykręcono całą stocznię nieużywanych mosiężnych okuć i innych części statków. Klientów prawie nie było.

Osoba siedząca samotnie przy kontuarze zwróciła ku niemu smutne brązowe oczy. Gdy Clark przysunął sobie stół, mężczyzna zajrzał z powrotem do swojej szklaneczki.

– i co, kapitanie, bierze ryba?

Facet pokręcił głową.

– Nic nie bierze. – Przed nim stała niemal pełna popielniczka. Mówił, nie wyjmując kołyszającego się w kąciku ust papierosa.

– Jeszcze kolejkę?

– Tak. Czemu nie. Stawiasz?

Otwierając portfel, Clark zauważył, że wzrok przyjaciela, lekko zmałowany tytoniowym dymem, skupia się na jego zawartości. Nie był pewien, czy w barze jest dość światła, by ktokolwiek mógł się zorientować, że nosi przy sobie cudze prawo jazdy i dowód osobisty.

Barman zrobił im dwa świeże bourbony z miętą – szybko i sprawnie, jak to barmani w tego typu knajpach. Smak chłodnego, wyśmienitego napoju podanego w ciężkiej szklaneczce uderzył Clarka niczym kolejne utracone wspomnienie. Pianino wciąż grało.

– Ile to już czasu? – zapytał.

Facet obok wzruszył ramionami.

– Dwa lata. Może więcej... Dlaczego odezwałeś się akurat teraz? Po stroju wnoszę, że rejs wycieczkowy raczej cię nie interesuje?

– Zgaduj dalej. – Humphrey Bogart miał na sobie pasiasty marynarski

sweter. Obok niego leżała na barze stara kapitańska czapka. w przeciwnym zakątku, na ścianie, wisiał nawet plakat, przedstawiający go na molo z łodzią w tle. Napis powyżej głosił „Kapitan Bogey – rejsy, wycieczki”. – Swoją drogą, nie cumujesz przypadkiem za daleko w głąb łądu?

– Nie. Widzisz, zależy mi na dzianych klientach. Mam umowę z konsjerżem w Biltmore. Kolesie z pieniędzmi, jeśli zamarzy im się świeże powietrze i chwila wędkowania, nie chcą jeździć do Playa del Rey, tylko po to, żeby zarezerwować łajbę. Pytają jego, on przysyła ich tu na dół, ja zgrywam wilka morskiego i inkasuję forszę za rejsik... a jeżeli przychodzą się po prostu napić, odwalam w zasadzie tę samą sztukę. – Bogart pokręcił głową. – Większość tych gości nie ma nawet pojęcia, jak daleko stąd nad morze. a jedyną interesującą ich bryzą jest dobywająca się z głębi ich tyłków.

– Łapię. Czyli stałeś się stereotypowym sędziwym marynarzem?

Bogart zdusił papierosa i popatrzył na Clarka.

– Skoro tak, to ty musisz być gościem z błyskiem w oku, chociaż widywałem już bardziej błyszczące^[16]...

Clark wyjął to, co zostało z jego paczki lucky strike'ów. Kiedy wyciągnął papierosa w stronę sąsiada, Bogart pokręcił głową.

– Palę swoje. Wydawało mi się, że ty też paliłeś skręty?

– Tak, ale...

– Jasne, zmieniłeś się. Ten gajerek i odlotowy zegarek na rękę. Widzę, że niezłe się zarabia, strzelając fotki siebie samego pieprzącego cudze żonki, by ich mężowie mieli podstawy do rozwodu.

Zagranie było nieuczciwe. w końcu coś takiego zrobił tylko dwa razy w życiu. Poza tym, tych konkretnych żon wcale nie musiał długo namawiać. Clark jednak odpuścił. Rozmowa przeszła na temat wspólnych znajomych – przyjaciół i rywali. Tych, którzy właśnie zaczęli się przyzwyczajać do limuzyn, łatwego seksu, apartamentów, gdzie zawsze czekały bukiety świeżych kwiatów, i tych innych, którzy od nastania epoki emotyków wystawiali w kolejkach przed jadalniami dla bezrobotnych. o kobietach, takich jak Garbo, która za czasów kina niemego ledwie mogła przejść ulicą i która uciekła z powrotem do tego europejskiego kraju, skąd przyjechała. o facetach, jak Spencer Tracy, który wciąż – choć z trudem – zarabiał na życie, grywając epizody w emotykach klasy B. Aczkolwiek Clark słyszał o tym jakieś pięć lat temu. Naprawdę byli kumplami, takimi z prawdziwego zdarzenia. Sława,

albo jej utrata, lub przynajmniej świadomość, że popularność nigdy nie nadejdzie, wyczyniała z przyjaźnią zabawne rzeczy, podobnie jak z psychiką.

– Następną kolejkę?

– Czemu nie?

Gdy tak siedzieli – dwóch anonimowych facetów w średnim wieku, którym nikt nie poświęciłby drugiego spojrzenia – bardzo łatwo było zatracić się w dawnych czasach.

– Zupełnie – podjął Bogart, krzywiąc się w sposób uwidaczniający bliznę na jego wardze – jakby we wszystko, co wydawało nam się, że osiągnęliśmy, nagle pieprznięła bomba.

– Tak. Bomba... Ale wiesz, chciałbym ci zadać kilka pytań.

– Fantastycznie, bo już nie mogłem się doczekać, kiedy powiesz, co cię tu naprawdę sprowadza. – Bogart uniósł ręce. – Więc nie wiem, o kogo ci chodzi, Gable, ale ja jej nie przeleciałem.

– Nie, nic z tych rzeczy. Widzisz, rzecz w tym... Właśnie w tamtych czasach. Pamiętasz Hilly'ego Feinsteina?

– Jasne, że pamiętam.

– Co słyszałeś na temat jego śmierci?

– Cóż... – w tej chwili Bogart przyglądał mu się bardziej uważnie – wiem tyle, ile wyczytałem w gazetach. Kiedy to się stało, nie miałem z nim kontaktu już od dwóch lat. Znaleźli go w biurze, z odstrzelonym łbem. Prosta sprawa.

– Czyli samobójstwo?

– a niby dlaczego nie? Pistolet miał w rękę. Mózg ściekał po tych jego ukochanych, dziwacznych obrazach na ścianie, a reszta cielska jak zwykle przelewała się z fotela. w końcu Hilly nigdy nie był przeciętnym gościem, co zresztą można było lubić albo nie. Jedynym człowiekiem bardziej żalnym od aktora bez roli, jest przecież agent bez klientów.

– a wcześniej, powiedzmy w trzydziestym lub dwudziestym dziewiątym, należałeś do jego stajni?

– Powiesz mi w końcu, o co tu chodzi?

– Powiedziałbym, gdybym miał chociaż blade pojęcie. Przykro mi, Bogy, ale tym razem będziesz mi musiał po prostu zaufać.

Bogart zgasił kolejnego papierosa. w powietrzu wciąż snuły się dźwięki pianina. Upił łyk alkoholu.

– No więc tak, Hilly był moim agentem. a przynajmniej tak utrzymywał. Pamiętasz jaki to był facet. Umiałby namówić nosorożca, żeby mu oddał swój róg, sproszkować go, a potem odsprzedać z powrotem, tłumacząc że to narkotyki. Prawdziwy szaman.

– Mhm. a pamiętasz cokolwiek związanego z premierą pierwszego emotywu? Tego filmu Hughesa, „Pękniętego zwierciadła”?

Bogart przez chwilę myślał. Wsunął rękę do kieszeni spodni. Clark poczuł podświadomie nadzieję, że towarzysz wyjmie zaraz jakiś nowy, kluczowy dowód. w dłoni Humphreya pojawiła się jednak tylko następna wymięta paczka chesterfieldów. Niewiarygodnie elegancka maniera, z jaką zapalił i cisnął dymiącą zapałkę do popielniczki, przypomniała Clarkowi, jak świetnym aktorem był Bogart – a przynajmniej jakim mógł zostać, gdyby świat potoczył się w innym kierunku.

– Niewiele. Ale fakt, Hilly niesamowicie się tym wszystkim ekscytował, więc może był to kolejny biznes, w którym maczał swoje tłuste paluchy. Opowiadał, że to koniec dla gości w rodzaju Wamera, Thalberga, D.W. Griffitha... – Bogart zachichotał. – z drugiej strony, mówił też, że zrobi ze mnie kolejnego Lionela Barrymore’a. i tutaj się, kurwa, jednak trochę pomylił, nie? No, ale Hilly to Hilly. Ze wszystkich ludzi na świecie sam najbardziej wierzył we własną gadaninę i inne bzdury, tarota i Bóg wie co jeszcze. i to go pewnie w efekcie zgubiło. w jego przypadku nic nie było proste. i jeszcze te magiczne historie o aurach i kręgu czegoś tam, które ciągle mi wmawiał. Twierdził, że niektórzy ludzie rzucają wyjątkowy rodzaj cienia na wszelkie możliwe światy. Tego typu nonsensy.

Clark zaczynał sobie przypominać. Na moment zamilkł nad drinkiem.

– Możesz powiedzieć coś więcej? Na przykład, jakie fuchy załatwił ci Hilly?

– z tego co pamiętam, to prawie żadnych. Był jaki był i prawdopodobnie łatwiej mu szło organizowanie pracy kobitkom. Wiesz, pozowanie nago studentom malarstwa, tuzin dziewcząt wyskakujących z tortu, te rzeczy. Domyślałem się zresztą, że nie tylko do tego je zatrudniał.

– Czyli zupełnie nic?

– Trudno mi sobie przypomnieć. Byłem wtedy w notatnikach kilku agentów, chociaż pewnie nie zdawali sobie z tego sprawy i roboty szukałem dość rozpaczliwie. Zdarzały się takie dni, że gdyby tylko Hilly poprosił, sam wy-

skoczyłbym z tego cholernego tortu i zatrząsł cyckami.

Obaj się roześmiali.

– Wiesz na co mi to wygląda, Gable?

– Na co?

– Mam wrażenie, że zarzucasz wędkę na jakieś niebezpieczne, głębinowe stworzenie, chociaż sam nie masz nawet pojęcia, co to dokładnie za bestia.

– Ciepło, ciepło.

– Okej. Więc chyba nadszedł właśnie ten moment, kiedy zaczniesz się zbierać do wyjścia, a ja powinienem powiedzieć „Ach, właśnie przypomniałem sobie coś jeszcze...”.

– Tak, Bogey, znów masz rację.

– Ale ja naprawdę coś sobie przypominałem.

– Serio?

– Bóg jeden raczy wiedzieć, czy to rzeczywiście istotne, ale tak. Jaki Hilly był, wiemy obaj. Maczał łapy w wielu sprawach, z których część była bardzo dziwna. Nie widzę innego powodu, dla którego przekonywałby swoich klientów, żeby zaczęli pracować w budowlance.

Clark skinął głową, aczkolwiek nie rozumiał, do czego Humphrey zmierza. Pomysł zatrudniania bezrobotnych aktorów do prac budowlanych nie był wcale dziwny. Wielu z nich trafiło do zawodu w podobny sposób jak on – zostali odkryci, kiedy pomagali przy konstrukcji scenografii. Potrafili więc pomachać młotkiem czy kielnią. Poza tym, aktorzy nie mieli związku zawodowego. a pieniądze potrzebowali jak każdy.

– Hilly namawiał i mnie. Wciskał mi kit, że dzięki temu zdołam jakoś utrzymać się na powierzchni. Ale cała rzecz polegała na tym, żeby pojawić się o piątej rano na rogu Trzeciej, skąd autobus miał mnie zawieźć na pustynię, gdzie tyrało się do upadłego. To było jakoś, hmm, w okolicach połowy dwudziestego dziewiątego.

– No i? – Clark próbował zachować spokojny, swobodny ton. – Zgodziłeś się?

Bogart się nie śpieszył. Odpalił od niedopałka następnego papierosa.

– Nie, no aż tak zdesperowany nigdy nie byłem, nawet w dwudziestym dziewiątym. Ale znałem kilku gości, którzy się zgodzili. Pamiętasz Wilfreda Birda? Taki wielki facet, tyle że ciota? On przepracował tam ze dwa tygodnie. Frankie Smott. i jeszcze ten dziwaczny facio z zajęczą wargą, który zni-

kał po każdej próbie czytanej. On też, i paru innych. Często się wtedy z nimi widywałem. Wiesz jak było. No więc opowiadali, że stawiali budynki i wylewali beton na pełnym pustkowiu, tyle że nigdy się nie dowiedzieli, co właściwie budują. Może nic w tym dziwnego, ale wszyscy powtarzali, że mieli poczucie, że coś jest nie w porządku. Zwłaszcza Frankie.

– a czy Frankie się nie...

– Tak, zabił się mniej więcej rok lub dwa później. Skoczył pod pociąg. w każdym razie tak to wyglądało, kiedy zdrapali go z torów. Wilfred Bird nie przeżył go szczególnie długo. Podobno atak serca. Jakiś zator czy inny diabeł. Trudno powiedzieć.

– Chcesz powiedzieć, że po prostu znaleziono go martwego?

– Tak się o tym mówiło. Ktoś natknął się na niego, gdy leżał martwy w rynsztoku i patrzył w gwiazdy. w tym mieście skończyło w ten sposób wielu ludzi, więc nikt się nie dziwił, że trafiło i Wilfreda. Ale był wtedy w kiepskim stanie. Pod koniec życia parę razy do mnie dzwonił i opowiadał niestworzone historie. Twierdził, że coś wie, ale nie może powiedzieć, co takiego, i że boi się jak diabli, a gdyby się wygadał, to jacyś faceci zaczęliby go szukać i byłoby po nim. – Bogart wypuścił kłęb dymu. – No a potem faktycznie kipnął. Tyle że to pijus był. Możliwe, że próbował też czegoś mocniejszego niż wódka. Poza tym nie byliśmy kumplami od serca, pewnie zresztą możesz to sobie wyobrazić. Wilfred miał swoje kółko. Poza tym nie możesz wierzyć we wszystko, co wygadują ludzie w tym mieście. Dlatego nie twierdę, że to miało jakiś związek z budowlanym zleceniem Hilly'ego. a przynajmniej nie twierdziłem, dopóki nie zobaczyłem teraz twojej miny.

– Te roboty, ta budowa na pustyni, wiesz może, gdzie to dokładnie było?

– Zupełnie nie. Podejrzewam zresztą, że i oni nie wiedzieli. Frankie opowiadał, że okna autobusu były tak brudne, że nie dało się nawet wyjrzeć.

– Czy ktokolwiek wymienił jakąś nazwę?

– Jaką niby nazwę?

– Thrasis... Lub coś zbliżonego.

Bogart zmarszczył brwi.

– Gable, ty jednak chyba powinieneś dalej zajmować się pościelówkami. a ja powinienem zajmować się rozpieszczaniem dzianych gości, bawiących się na mojej łódce w żeglarzy.

– No ale to słowo...?

– Mogło paść... Jak powiedziałem, kiedy ostatnim razem rozmawiałem z Wilfredem, nie był w najlepszej... Thrasis? Dziwnie brzmi... Zupełnie jak... Sam nie wiem.

Clark stłumił przeszywający go dreszcz. Nie przyzwyczał się jeszcze do klimatyzacji, a pianista grał zbyt swobodnie i zbyt głośno, jak to mają w zwyczaju muzycy, gdy wiedzą, że nikt ich nie słucha.

Bogart pokręcił głową.

– Zupełnie jak za dawnych czasów, co, Gable?

– Tak. – Trącili się szklaneczkami. – Jak za dawnych czasów.

– o ile wiem, na znajomości z Hillym dobrze wyszła tylko jedna osoba. Peg Entwistle. Jej naprawdę się udało. Może więc odbiła sobie za nas wszystkich, wiesz, w takim szerszym sensie.

– Tak, w szerszym sensie.

Wybuchnęli śmiechem i znowu się stuknęli.

– Gable, pamiętasz może takiego małego kolesia? Otto? Przez jakiś czas mieszkał obok Peg, twierdził, że jest klasycznie wykształconym aktorem i że grał wszystkie wielkie role w sztukach Szekspira, a jednak w Los Angeles nie dostał angażu przez bite trzy lata. Jedynym jego osiągnięciem było to, że ktoś go tak naprał po pysku, że kiedy go ostatnio widziałem, był cały w bandażach, normalnie jak Niewidzialny Człowiek.

– No cóż. – Clark dopił drinka do dna. Łódź zdążył się roztopić i bourbon był prawie ciepły, ale i tak wywołał wrażenie, że coś zimnego i oślizłego niczym cienie tego baru podkradło się od tyłu i przebiegło mu palcami po żebrach. – Teraz chyba wszyscy staliśmy się niewidzialni.

– Może jeszcze po razie?

– Lepiej już pójdę.

– Swoją drogą, mylisz się.

– w jakiej sprawie?

– To, za czym wędzysz, nigdy nie nabierze sensu. Jak zwykle, bo nic nie ma sensu. Wiesz o tym, prawda?

– Chyba tak. – Clark uśmiechnął się do starego przyjaciela. – Ale teraz wiem przynajmniej, gdzie cię znaleźć, kapitanie. Tutaj, albo na tym plakacie.

– Jasne. Zajrzyj kiedyś. Popływamy sobie, zabierzemy w morze kilka flaszek. Spróbujemy złapać parę tuńczyków. Będzie jak dawniej, tylko bez

dziewczyn. Wystarczy, że się postarasz, żeby to tuńczyki nie złowiły ciebie.
Clark podniósł się ze stołka. Pożegnali się uściskiem.
Usłyszał jeszcze, jak Humphrey Bogart krzyczy do pianisty:
– Ej, Sam, przestań wreszcie hałasować!
Wyszedł z Clippera z powrotem w miejski upał.



16 Nawiązanie do poematu „Rymy o sędziwym marynarzu”, autorstwa Samuela Taylora Coleridge’a (1772–1834).

PIĘĆDZIESIĄT

Przeszedł na drugą stronę Olive Street i ruszył z powrotem przez Park Pershinga w stronę samochodu. Miał do przemyślenia wiele spraw. Na przykład, Thrasis, słowo, które wciąż nie wydawało mu się nazwą rzeczywiście istniejącego miejsca, a raczej wyrazem nieokreślonej grozy. z tym, że – jak podejrzewał – właśnie na wywołaniu takiego odczucia mogło komuś zależeć, tym bardziej jeżeli chciał, by to, co się tam działo, pozostało tajemnicą. Dochoowaną nawet – nie, zwłaszcza – przez bezpośrednio zaangażowane osoby.

Jezu... Znów ten syk. Odwrócił się gwałtownie i rozejrzał między zalany mi południowym światłem drzewami, rosnącymi pośrodku betonowego skwerku. Tym razem jednak były to tylko zraszacze utrzymujące przy życiu geometryczne skrawki trawy o barwie zieleni Los Angeles. Wodne kurtyny rozpościerały się niczym tęczowe wachlarze. Stado wróbli ćwierkało, ptaki czyściły sobie piórka. Clark się uśmiechnął. Kiedy te ustrojstwa zaczynały działać, zawsze przez moment odnosił wrażenie, że zagląda do jakiejś bujnej podziemnej krainy. Zapewne zresztą był to właśnie efekt, jaki starali się wspólnie uzyskać ogrodnicy i architekci w swych nieskończonych wysiłkach, by zepchnąć pustynię kalifornijskiego wybrzeża z powrotem do morza.

Woda migotała, kropelki tryskały wokół. Trawa pobłyskiwała, szmaragdowe morze. Przykurzony park stał się na krótką chwilę pięknym miejscem, aczkolwiek kloszardzi i nieroby wylegujący się w bezpiecznej suchości swych ławek nie podjęli nawet trudu, by zdjąć z twarzy wczorajszą gazetę lub poruszyć dłonią ściskającą dzisiejszy odcinek biletu do zatracenia, ukryty w

brązowej papierowej torebce. Widok doceniły jedynie wróble i on. Chociaż ktoś jednak stał w pryzmatycznym cieniu pod szeroko rozpościerającą się koroną jakiegoś europejskiego drzewa. Wydawało się przy tym, że prysznice zraszaczy zupełnie tej osoby nie poruszały. Co więcej – w miarę, jak Clark się jej przyglądał, i w miarę, jak docierała do niego głupia konstatacja, że nieznamy również patrzy na niego – odniósł wrażenie, że słoneczny blask i błyski kropelek wody ściekających z niższych gałęzi drzewa są jedyną materią, z której sylwetka została utkana. Choć postać miała swego rodzaju kształt, nie było widać żadnych jej wyraźnych granic ani cech – brakowało konkretnej twarzy, postawy, stroju czy czegokolwiek indywidualnego. Zupełnie jakby mokra mgiełka pochwytiła i skonkretyzowała wir składający się z wielu pojedynczych tożsamości. a zaraz potem, gdy tylko wachlarze zraszaczy umilkły, kiedy powróciły wszechobecne dźwięki ulicy, a wróble wzleciały na swoje konary, pod drzewem nie stał już nikt.

Clark przetarł okulary. Rozejrzał się. Cała ta sytuacja stawała się powoli nedorzeczna. Gonił za cieniami, za zjawami. Albo bardziej precyzyjnie – aczkolwiek precyzja wydawała się tu wybitnie nietrafionym terminem – to cienie i zjawy ściagały jego. a wszystko rozgrywało się w spokojnym słońcu tego jasnego, gwarnego miasta, określanego na tysiącach skrzynek z pomarańczami mianem rajy, miasta, które obrzucało swą poświatą cały świat na milion innych sposobów. Ponownie przypomniała mu się uwaga, jaką April Lamotte poczyniła na temat światła w Los Angeles i jakości tutejszego mroku. z drugiej strony, to przecież logiczne, że im jaśniej świeci słońce, tym ciemniejsze i bardziej intensywne wydają się cienie.

Zaczynasz myśleć o bzdurach, Gable. o takich samych czarach, przez które Wilfred Bird – Clark pamiętał go niejasno jako wielkiego, uśmiechniętego, pełnego życia gościa, stanowczo poprawiającego reputację ciot – padł trupem w jednej z odchodzących od Sunset przecznic. Jeżeli ktoś zabnął tą drogą odpowiednio daleko, wystarczyło go trącić, rzucić jedno słowo bądź sugestię, i dalej leciał już bez trzymanki. a przecież w bibliotece miejskiej czekała wraz ze swymi równiutko ułożonymi ołówkami Barbara, planująca całą sprawę ułożyć w jeden, nieurągający zdrowemu rozsądkowi ciąg wydarzeń. Była to jakaś nadzieja, ale poczuł też wobec dziewczyny przyływ tego samego tkliwego instynktu opiekuńczego, jaki przez całe życie gnał go ku z góry przegranym sprawom, za które rzadko kiedy otrzymywał zapłatę w gotówce.

Albo choćby w naturze.

a jednak, tuż za wieżyczkami Biltmore widniały wielkie litery znaku Hollywoodland, błyszczące w tej chwili tak mocno, jakby zostały wykonane nie z tandetnego, pordzewiałego metalu i obłazącej płatami farby, ale z anielskich tchnień. Kiedy tak patrzył na ten napis i kiedy powrócił spojrzeniem w pustą już przestrzeń pod owym wielkim, starym drzewem, z wolna coś sobie uswiadomił. Po chwili powolne uswiadomienie przeszło w pośpiech.

Trzasnął grzechoczącymi drzwiczkami delahaye'a, przez chwilę zmagał się ze stacyjką, po czym ruszył po Wiltshire, a potem przez Hollywood, mijając Glen Oak, za którym skręcił w ciasną i krętą Beachwood Drive, przejechał pod pretensjonalną, kamienną bramą osiedla reklamowanego dawniej przez ten dumy, gigantyczny napis. Wielkie kaktusy rosły pięknie w fali-
stych, niewielkich ogrodach bogatych domów, a po lewej stronie ostro wznosiło się porośnięte zaroślami wzgórze znane jako Mount Lee. Zaparkował przy bramie z drucianej siatki, w miejscu gdzie droga okolica ustępowała wreszcie stertom porzuconych tabliczek „Na sprzedaż”, i starych śmieci. Płot nie stanowił wielkiej przeszkody. Pokonał go, opłacając wyczyn tylko jedną dziurą na łokciu lnianej marynarki, i ruszył jak jakiś idiota prosto pod górę, przez kolczaste krzewy. Kalifornijskie słońce straciło nieco ze swej łagodności i Clark zaczął myśleć o skorpionach, czarnych wdowach i innych paskudnych stworzeniach, jakie można było napotkać w tej dziczy, wciąż niebezpiecznej, wbrew temu, co sugerowały przypominające ciasteczka dachy i błękitne baseny w dolinie.

Zdyszany, z kolejnymi rozdarciami w gamiturze, dotarł wreszcie na szczyt wzniesienia, na którym trwały olbrzymie, brudne, wysokie na pięćdziesiąt stóp litery. Teraz, skoro już dopełnił tę głupotę i dotarł w to miejsce, spodziewał się, że będzie przynajmniej sam. a jednak nie był. Przed literą H, na wyschniętej ziemi, siedziała kobieta. Drobna, niewysoka, o bardzo jasnych włosach i otoczona aurą, jaka zwykle towarzyszy jedynie prawdziwym gwiazdom. Peg Entwistle spoglądała na miasto, ale kiedy przebłął przez ostatni spleciec piachu i skał i ruszył w jej stronę, obejrzała się na niego. i znów odwróciła się ku miastu. Jego obecność nie zdziwiła aktorki ani trochę.

– Czyli ty to naprawdę zrobisz, Clark? – wyszeptwała przez wiatr. – Akurat ty przychodzisz mnie zabić?

– Peg... – opadł obok niej i próbował złapać oddech – ...nie o to tutaj

chodzi.

Uśmiechnęła się gorzko i rzuciła kamyk w rosnące poniżej krzaki.

– Naprawdę tak myślisz?

– Ja sam ledwo wiem, o co w tym, do diabła, chodzi. Wiem tylko... – Znowu musiał urwać. Drapało go w gardle, a pokryte warstwą kurzu okulary raz po raz zsuwały mu się z nosa. Wyczyścił je i włożył ponownie. Naprawdę odniósł wrażenie, że lepiej widzi. Powoli zbliżał się do punktu, w którym potrzebował te cholerstwa nosić. – Cóż, w zasadzie znam tylko tę nazwę, którą ode mnie wczoraj usłyszałaś... i wiem, że to może być nazwa miejsca. i że ma coś wspólnego z Hillym Feinsteinem, a także całą masą innych osób, które brały udział w premierze pierwszego emotyku. i że większość z nich albo odniosła spory sukces, jak ty Peg, albo już nie żyje. – Wzruszył ramionami i stał z warg drobinę piasku. – Niektórych spotkało jedno i drugie.

Peg powoli skinęła głową. Miała na sobie proste ubranie. Brązowe spodnie i krótką dzianinową kamizelkę, narzuconą na białą, chłopięcą bluzkę. Także buty – na niskim obcasie – były zwyczajne i rozsądnie dobrane. Mimo że Ameryka wciąż uparcie trwała w pokoju, wojskowa, praktyczna moda zdążyła już tu dotrzeć z Europy.

– Podszywasz się pod Daniela Lamotte’a, prawda?

– Jak do tego doszłaś?

– Nic trudnego. w końcu wczoraj u Kisberga wymieniłeś jego nazwisko. Po naszym spotkaniu przejrzałam więc listę gości i ciebie nie było, znalazłam za to oboje Lamotte’ów. Dana poznałam osobiście. Spotkaliśmy się raz czy dwa. Niezle też poznałam jego żonę. Ale April nie żyje, prawda? Chyba że wszystkie gazety się mylą.

– Nie, Peg. Nie mylą się.

Zamrugła powoli, ściągnęła usta. w oddali, pośród brązowo-zielonej, rzadkiej roślinności migotała tafla zbiornika retencyjnego. a jeszcze dalej teren opuszczał się ku wielkiemu amfiteatrowi miasta. Los Angeles wyglądało wspaniale, choć poblądło i stało się nieco nieostre za zasłoną dziennego smogu. Przypominało zbyt długo stojące na wystawie zakładu fotograficznego panoramiczne zdjęcie na filmie Kodachrome.

– a co z Danem? Czy on też już nie żyje?

– Sam chciałbym wiedzieć. To jedna z wielu spraw, które próbuję ustalić.

Zachichotała.

– Jak zwykle nieustępliwy, Clark. Jak zwykle. i naprawdę nie zostałeś tutaj przysłany, by mnie zabić?

– w mojej pracy kontakt z przemocą mam głównie wtedy, gdy mąż jakiejś cizi rzuca się na mnie z nożyczkami do paznokci. Ona zazwyczaj występuje w tej scenie w przejrzystym negliżu.

– a więc to taki z ciebie detektyw.

– Cóż, przynajmniej taki byłem. w tę historię zostałem wplątany, ponieważ April Lamotte wynajęła mojego kolegę po fachu, by znaleźć gościa podobnego do jej męża. Wystarczyły mój wzrost i odstające uszy. Podejrzewam, że planowała upozorować samobójstwo Dana. Chciała mnie za niego przebrać i zagazować w jego samochodzie, a następnie udąć własną śmierć i uciec. Nie udało się. Zginęła. Podobnie jak ten drugi detektyw.

Peg znowu rzuciła kamień przed siebie.

– Musiała być naprawdę zdesperowana.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Clark zerknął na Peg. Wiatr mierzwił jej sypkie, jasne włosy które zapewne ułożyła w tę pierzastą fryzurę z myślą o swojej ostatniej roli. Luźne kosmyki sprawiały, że rysy jej twarzy wyglądały jak rozmazane. Clark po raz kolejny pomyślał, jak ciężko musi być osobom takim jak ona. Bez przerwy kryć się za nową woalką, wkładać kolejne przebrania. Nawet kiedy dochodziło do poważnych wypadków samochodowych czy rozwodów, zawsze należało grać kogoś innego.

– Sam wiesz, jak ze mną było – podjęła. – Całe życie wiedziałam, że mogę być tylko aktorką. Chyba przez tatę i jego wychowanie. Dobrze czułam się ze sobą jedynie na scenie lub przed kamerą... No i jeszcze tuż przed i tuż po, patrząc w lustro w garderobie, nakładając bądź zmywając makijaż. a potem pojawił się Hilly z całą masą obietnic, którymi chciał mnie zwabić do Los Angeles. Opowiadał, że to miasto to przyszłość całego świata. i raczej się nie pomylił. Przyjechałam więc z Nowego Jorku pociągami, chodziłam na te wszystkie przyjęcia, brałam udział w castingach i poznawałam facetów podobnych do ciebie, Clark. Przez jakiś czas miałam wrażenie, że szybuję, ale potem poczułam się, jakbym spadała. Pamiętam... – Zaśmiała się. – Pamiętam pierwszy dzień, chwilę, kiedy wysiadłam na dworcu Union i spojrzałam na ten wielki napis. Już wtedy przemknęło mi przez myśl, że jeśli mi się nie uda, będę mogła się z jednej z tych liter rzucić. a Hilly... – Pokręciła

głową. – Cóż, Hilly w jakiś sposób się domyślił, chociaż nigdy mu tego świadomie nie powiedziałam. Kiedy wróżył mi z tych swoich kart – nazywają je chyba „tarotem”, prawda? – bez przerwy pojawiał się rysunek człowieka spadającego z wysokiej wieży. Opowiadał mi jakieś niedorzeczności o kręgu światów, o tym, że wydarzenia mogą dziać się na różne sposoby i rozmaicie kształtować nasze życie, ale że pewne miejsca i ludzi zawsze będzie cechować pewien rodzaj magnetycznego przyciągania. Kiedy więc przestały pojawiać się propozycje... Cóż, uczciwie mówiąc, w zasadzie nawet nie zaczęły się pojawiać, a ten napis bez przerwy nade mną majaczył, jakby mi się przyglądał. Wreszcie czułam już, że to tylko kwestia czasu, zanim... Nie wiem, czy chcę powiedzieć: zanim się rzucę. To nie takie proste, zapewne nigdy nie jest. Tamtego wieczoru, gdy przeszłam przez Beachwood, potem przez tę siatkę i wdrapałam się tutaj, na górę, po części byłam po prostu ciekawa. Idąc wśród tych skał, miałam wrażenie, że oglądam samą siebie. Zupełnie jakbym brała udział w jakimś eksperymencie. Jakbym chciała udowodnić, jak daleko zdolam się posunąć, i czy w ogóle dam radę, a potem miałam chyba po prostu szczęście. o ile to dobre słowo. Tak czy inaczej, przyjechała policja i aresztowali mnie, zanim w ogóle rozpracowałam, jak wejść na górę. a kiedy pytali, co tu robię, powiedziałam po prostu prawdę. i dlatego trafiłam do Met. Nie było nawet tak strasznie. Jasne, nie ma tam przyjęć nad basenem ani spotkań z producentami, którzy chcą ściągnąć z ciebie majtki. Za to w Met, jeżeli ktoś już coś mówi, to zazwyczaj jest w tym szczerzy, nawet kiedy opowiada o wizytach małych zielonych ludzików z Marsa. Więc w zasadzie polubiłam to miejsce. Zupełnie jakbym jednak skoczyła z którejś z tych liter. Po prostu inna forma rezygnacji, kapitulacji. April Lamotte pracowała tam jako pielęgniarka. a Penny Losovic – o niej też już słyszałeś, prawda? – była w Met stażystką. w takich miejscach, jak wszędzie, ludzie nawiązują ze sobą przyjaźnie, a ja pod wieloma względami byłam mniej szalona niż pozostali pacjenci. Wkrótce zostałam zaufaną na oddziale. Kiedy więc zapytano mnie, czy byłabym zainteresowana pomocą przy pewnym projekcie badawczym, na prawdę nie mogłam odmówić. Mówili, że prace trwają w nowym obiekcie i że mogą doprowadzić do wielkich odkryć w dziedzinie działania ludzkiego umysłu. Działo się to pod koniec 1929 i siedziałam już w tym szpitalu od kilku miesięcy. Najbardziej ze wszystkiego obawiałam się wówczas chyba powrotu na zewnątrz. Oczywiście był też Hilly. On również mnie namawiał.

Więc się zgodziłam. Zabrali nas do takiego ośrodka. Niskie, świeżo ogrodzone siatką budynki. Nazwaliśmy je Thrasis, na pamiątkę starej górniczej osady, która dawniej się tam znajdowała. Byliśmy tak głęboko na pustyni Mojave, właściwie nigdzie, i musieliśmy coś wymyślić, aczkolwiek brzmienie tego słowa nigdy nie przypadło mi do gustu. Chociaż pod niektórymi względami Thrasis nieszczególnie różniło się od Met. Byłam tam jasną iskierką, pomocną pacjentką, dobrą małą Peg Entwistle, na której można było polegać, rozsądną i posłuszną. Pracował tam taki lekarz, chyba dość sławny z powodu swoich badań nad ludzkim mózgiem.

– Facet nazwiskiem Theobold?

Pokiwała głową.

– Teraz już, oczywiście, nie żyje. Ale wraz z innymi ekspertami twierdził, że stanowią szczególnie interesujący obiekt badań, ponieważ jestem aktorką i ponieważ próbowałam popełnić samobójstwo. Wówczas to wydawało mi się dziwne, chociaż teraz aż tak bym się nie dziwiła, ale poprosili mnie, bym usiadła w takim ekranowanym pomieszczeniu i spróbowała wprowadzić się ponownie w nastrój z tamtej nocy. Spróbuj sobie wyobrazić, mówili, że wspinasz się na tę literę H i chwilę decyzji, moment skoku, akt rezygnacji, spadania... Poczuj to wszystko. Podali mi to pod pozorem oczyszczania ducha, ale, prawdę mówiąc, wszyscy wiedzieliśmy, że chodziło o sprawdzenie, jak działa ludzki umysł poddany najbardziej krańcowym doznaniom. Najczęściej przetrzymywano mnie oddzieloną od pozostałych pacjentów. Mieszkaliśmy w... cóż, nie chciałabym posłużyć się słowem cele. Nie było nam wolno się ze sobą zadawać. Ale wiedziałam wystarczająco wiele. Sporo słyszałam. Czasami, mimo że ściany były grube, betonowe, dolatywały mnie krzyki. a będąc dobrą, pomocną Peg, pomagałam też przy praniu. i wiesz, Clark, na ciuchach, które do mnie trafiały, było stanowczo zbyt wiele krwi... Dlatego nie chcę się tłumaczyć. Wiedziałam, co naprawdę się działo w tych ekranowanych, dźwiękoszczelnych pomieszczeniach w Thrasis, i w pewien drobny sposób brałam w tym udział. Uznałam po prostu, że zamknę na to oczy, uszy i serce. Wydaje mi się, że miliony osób w Europie zachowują się teraz dokładnie tak samo...

– Czyli Thrasis to naprawdę konkretne miejsce na pustyni?

– Tak, ale nie pytaj mnie, gdzie to dokładnie jest, Clark. To było i będzie nigdzie. Wiesz jak brzmi wiatr, który gna niezatrzymywaną przez całe mile?

Wydawało mi się, że powtarza to słowo. Zupełnie jak jakaś istota. a potem Thrasis zamknęto, osiągnęliśmy co osiągnęliśmy, a ta istota poszła w ślad za tymi z nas, którzy powrócili do swych ponoć zwyczajnych żywotów. Oczywiście, wszyscy zobowiązaliśmy się dochować tajemnicy. Interes wydawał się tego wart, a za milczenie sownie nas opłacano. Za Thrasis stały, Clark, niewiarygodne pieniądze i wpływy. w moim przypadku nagrodą była kariera. w przypadku April chodziło o umożliwienie Danowi okresów odpoczynku, których potrzebował, by pisać dobre scenariusze. Dla Penny była to praca, dzięki której mogłaby pomagać innym. To był po prostu... – Wrzuciła ramionami i wytarła oczy.

– Pakt z diabłem?

– i wciąż wszyscy płacimy jego cenę. Oczywiście, nikt nigdy nie powiedział tego wprost. Nigdy nie zostało to wytłumaczone. Ale dało się zauważyć w gazetach i rozmowach ze znajomymi, którzy także pracowali w Thrasis. Śmierci, samobójstwa, zniknięcia. Przesłanie było jasne. Jeżeli pęknieś lub choćby zasugerujesz, że rozgłosisz sprawę, zginiesz. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Mnie oświecił Hilly. On w Thrasis był dostawcą wszystkiego, co tylko było potrzebne – ciał, pacjentów, siły roboczej. w pewnym sensie dostarczył im i mnie. Aczkolwiek wtedy zaczęło mu już odbijać. Pewnie przez zajmowanie się tymi absurdami dotyczącymi duchów i innych światów. Pewnej nocy zadzwonił do mnie, powiedział, że dostał list wypełniony piaskiem i że wie, że teraz nic już nie może zrobić.

– List z piaskiem? – Mimo że Clark wiedział, że kieszeń marynarki jest pusta, jego dłoń mimowolnie ku niej powędrowała.

Przytaknęła.

– Rodzaj sygnału, zwiastuna, i właśnie to było w całym systemie najsprytniejsze. Widzisz, te śmierci o których mówimy, były w większości samobójstwami. Ale jeżeli ktoś nie zabił się sam i nie zakończył wszystkiego schludnie i po cichu, nie ginął tylko on, ale zniszczeniu ulegało również wszystko, co dla niego drogie. To właśnie spotkało doktora Theobolda. Zginął wraz z rodziną... w okropny sposób. Podobnie jak wielu innych. z kilkoma osobami utrzymywałam kontakt, między innymi z April. i z Penny. Ale od tamtej pory minęły lata... Za bardzo się bałam.

– Więc właśnie dlatego tutaj przyjechałaś? Pomyślałaś, że ja...? Wczoraj w nocy...?

– a co miałam pomyśleć, skoro pojawiłeś się zupełnie znieenacka i wspomniałeś o Thrasis? Słuchaj, Clark, Ja naprawdę nie mam pojęcia, w jaki sposób ci ludzie ginęli ani dlaczego zabijali się sami. Wiem jedynie, że nie żyją.

Clark popatrzył na miasto. Wydawało się niewyraźne, odległe. Nie miał już pewności, czy Los Angeles jeszcze kiedykolwiek będzie dla niego prawdziwym miejscem – w okularach czy bez.

– a te bzdury o odkryciu Bechmeira? o polu?

– To jeszcze jeden sposób zacierania śladów po Thrasis. No i wybieg marketingowy. Lars Bechmeir nie jest teraz niczym więcej niż zwykłą reklamą produktu. Jest wcieleniem postaci z firmowego logo. a przynajmniej był. i zastanów się, w jaki sposób stracił żonę... Teraz już rozumiesz, Clark. Właśnie w coś takiego się wplątałeś. a jeśli nawet dotąd nie wiedziałeś wystarczająco wiele, by cię zabili, to teraz już wiesz.

– Peg, ta twoja dawna przyjaciółka, doktor Losovic. Przykro mi, ale podejrzewam, że ona również zaginęła. Może to nic takiego...

Zamrugała powoli. Nie odpowiedziała. Clark pomyślał, że gdyby to był emotyk, a Peg była przyzwoitą aktorką, na pewno by się w tej chwili rozpląkała. Oczy kobiety były jednak równie suche i szkliste jak obiektyw ikonoskopu.

– Rzecz w tym – podjął – że dzięki temu, co od ciebie usłyszałem, wiem już na pewno, że nie można pozwolić, by to trwało dalej. Musimy wszystko ujawnić. Nie ma innego sposobu. – Pomyślał o „Star Talk”. Pomyślał o drukarni Barbary. – Nieważne, jak to się skończy, ale spróbować trzeba.

– To tylko znaczy, że zupełnie mnie nie słuchałeś – odparła beznamiętnym tonem. – Zrobisz coś głupiego, ja cię znam Clark.

– To przecież żadna nowość.

Dotarło do niego, że siedzą w cieniu. Odwrócił się i stwierdził, że słońce skryło się za wielkim napisem.

– Peg, co teraz zrobisz? Chyba nie...

– Nie, tego nie zrobię. Zresztą, może nigdy nie byłam dostatecznie odważna. Chyba po prostu jeszcze chwilę tu posiedzę. To nie najgorsze miejsce. Stąd widać, że to miasto ma jakiś koniec, że nie ciągnie się w bezkres. a potem wrócę na dół. Zamówię taksówkę, sprawdzę u Miny, czy przyszły jakieś nowe scenariusze, pojadę do domu i wcześniej położę się spać. Wiesz jak to

jest. Rano mam czytanie roli, ponieważ reżyser i scenarzysta spierają się o przecinek. a jeżeli stanie się coś innego, jeśli przyjdzie tu jeszcze ktoś... – Podmuch wiatru przyniósł ze sobą tuman kurzu. Peg zadrżała i wzruszyła ramionami. – Nie robi niczego, na co bym nie zasługiwała. Czy teraz zostawisz mnie już w spokoju...?

Chciał odpowiedzieć „nie”. Chciał jej powiedzieć, że dawniej było tak pięknie i że znowu mogłoby tak być. Że marzenie nie zostało stracone na zawsze, że jeszcze nie umarło. Chciał jej powiedzieć tak wiele. Zamiast tego jednak po prostu wstał i ruszył w dół zbocza.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Pojechał z powrotem do Los Angeles, zaparkował samochód, wysiadł, wyminął tłum pieszych na Piątej i biegiem pokonał schody biblioteki. Dochodziła druga. Bywał już tutaj, zbierając informacje potrzebne przy wcześniejszych sprawach. Uwite z kurzu kolumny słonecznych promieni. Wielkie fryzy opowiadające dzieje miasta, jakby ich kluczowe momenty i aktorzy – Hiszpanie, wyrżnięci w pień Indianie, hodowcy cytrusów i rozmodleni mnisi z misji – wszystko to prowadziło ku jakiemuś ideałowi. Wśród wysokich alej regałów cuchnęło jednak ciałami niepanującymi nad swą fizjologią.

Gorączkowo szukał Barbary. Zaczął od głównej czytelni. Potem, czując narastający niepokój, spróbował w mniejszych salkach. Nie znalazł nikogo poza chrapiącymi bezdomnymi. Poprosił przechodzącą kobietę, by zajrzała do damskiej toalety, a następnie wrócił drogą, którą przyszedł, powtarzając sobie w duchu, by się nie denerwować. Jaki diabeł go podkusił, że w ogóle uznał, że tak publiczne miejsce jest bezpieczne, zanim nawet usłyszał opowieść Peg? Otwierał biura. Wbiegał po schodach. Jak burza wpadł przez obrotowe drzwi do pomieszczenia oznaczonego jako „Czytelnia kartograficzna” i tam ją wreszcie znalazł. Siedziała sama, najzupełniej spokojna, przy wielkim stole na środku sali.

– Hej, Clark. Gdzie byłeś? Wyglądasz, jakbyś...

Przysunął sobie krzesło i usiadł, zdyszany. Nagle zachciało mu się palić.

– Rozmawiałem z paroma osobami. Mówiłem ci.

– Nie mów, że nagle zacząłeś chronić informatorów?

– Nie w tym rzecz, ale... Cóż, dowiedziałem się, czym jest to całe Thrasis. To...

– Wiem, Clark. To nazwa miejsca. Na pustyni.

Dokoła pod ścianami czytelni kartograficznej stały szerokie regały z płytkami szufladami i rzędami przegródek, które wyglądały jak otwory w gołębniku, do których ktoś powkładał rolki papieru.

– To było dosyć oczywiste – ciągnęła. – Przypomniałam sobie, że Dan miał kartę biblioteczną, co zresztą sensowne. Jest pisarzem i musi gdzieś zbierać materiały. Sama tu często pracuję, dlatego spróbowałam pogadać ze swoim starym znajomym, Maxem z rejestracji. Po nazwisku Dana nie pamiętał, ale skojarzył go z opisu. i to on mnie tutaj przyprowadził. w księdze odwiedzin znalazłam informację, że Daniel Lamotte był tutaj dwa razy w zeszłym tygodniu. We wtorek i środę. Udało mi się nawet ustalić, które mapy oglądał... To właśnie one...

Stół był pokryty pomarszczonym morzem żółtych, szeleszczących płacht. Wiele z nich rozkładano i składano już tak często, że rozpadały się na części. Wszystkie były na tyle stare, że trudno było ocenić, gdzie kończą się plamy, a gdzie zaczynają prawdziwe oznaczenia.

– To są mapy pustyni Mojave i w większości zostały sporządzone w ubiegłym stuleciu przez poszukiwaczy złota i ropy. Nikt ich nigdy porządnie nie skatalogował i niewiele można z nich wyczytać. Nie po to zresztą powstawały. Wiesz, jeżeli ktoś znalazł żyłę minerałów lub złożę ropy, to nie rysował map w ten sposób, by inni mogli je bez trudu odcyfrować. Dlatego też nie są spójne ani dokładne. Wiele tu szyfrów, lustrzanych odbić, załamowań skały. Te plany miały wprowadzać w błąd, lub nawet doprowadzać do śmierci konkurentów. Ale to miejsce się tutaj pojawia, to znaczy Thrasis. Spójrz...

Przysunęła niewielki kwadrat, który wyglądał na oderwaną część większej mapy. Stary papier był w dotyku ziarnisty i wyslizgany. w jednym rogu ciemniało brązowe przebarwienie, być może plama zaschniętej dawno temu krwi. Pokrywające plan pismo było delikatne i gęste, i okazało się, że Clark ma gorszy wzrok od niej, ponieważ Barbara musiała mu pokazać palcem odpowiednie miejsce. Kiedy jednak już zobaczył to słowo zapisane drżącą ręką i obrębione ramką, nie miał żadnych wątpliwości. Thrasis. i znowu, innym charakterem pisma, na kolejnej mapie, rozrysowanej na odwrocie plakatu reklamującego jakiś szarlatański środek medyczny.

– Na newszych mapach i atlasach Thrasis nie pojawia się ani razu. Ale stanowi geodeci interesują się wyłącznie ukształtowaniem terenu. Nie zwrócili by uwagi na opuszczoną osadę górniczą. Na pustyni istnieją dziesiątki podobnych miejsc. Może nawet setki. a te mapy są wyjątkowo nieskładne...

– Zupełnie jak układanka.

– Lub kilka układanek, których klocki zostały wymieszane. Ale Thrasis istnieje naprawdę, Clark. To jest miejsce, którego lokalizację możemy z pewną dokładnością określić, a potem wsiąść do samochodu i tam pojechać. Dan również musiał dojść do tego wniosku. Więc raczej nie ma wątpliwości, co zrobił po wyjściu z biblioteki. – Sięgnęła do stojącej na podłodze torby, poszukała przez chwilę i wyciągnęła rachunek z korporacji RTS Taxi. – Zastanawiało mnie to od samego początku. Nie byłam w stanie zrozumieć, z jakiego powodu ktokolwiek mógł zapłacić za jeden kurs ponad czternaście dolarów. Ale spójrz na datę. Czwartek, dwudziesty czerwca, nieco ponad tydzień temu, dzień po wizycie Dana w bibliotece. Delahaye stał w Erewhon, a poza tym być może Daniel zaczął podejrzewać o coś żonę, więc po prostu zamówił taksówkę. Prawdopodobnie tego samego dnia kupił pistolet. a w piątek spotkał się z April w „Edna’s Eats”, by jej opowiedzieć, co ustalił. Aczkolwiek ona już większość z tego wiedziała, ponieważ sama była w to zamieszana. i dlatego zaczęła się bać.

– a potem Daniel zniknął.

– Właśnie. Zupełnie jak wszyscy inni, którzy zanadto zbliżyli się do prawdy.

* * *

Zaprowadziła go z powrotem do głównej czytelni, gdzie rozłożyła na stole opasłe tomy gazetowych roczników.

Był pewien finansista nazwiskiem Hilton Edwards, który zginął w 1933 roku na Sunset, potrącony przez nieznanego sprawcę. Był Sol Hayden, inżynier i kawaler orderu za wybitną służbę na frontach pierwszej wojny światowej, który przepracował w Los Angeles wiele lat, ale potem został pustelnikiem i w jakiś sposób udało mu się umrzeć z głodu w rybackiej chatce na brzegu kanadyjskiej zatoki Fundy w 1935. i był też Ralph Kilbrack, którego ciało znaleziono w zeszłym roku w jednym z hoteli w Tijuanie. AKTOR i KIEROWCA LIMUZYNY OBDARTY ZE SKÓRY. TAJEMNICZY MORD W MEKSYKU – głosił krwawy nagłówek „L.A. Timesa”. i jedyną

sprawą, jaka łączyła wszystkie te osoby – poza faktem, że już nie żyły – było to, że brały udział w premierze pierwszego filmu emotycznego w dziejach.

– z wymienionych na liście gości nie żyje już co najmniej osiemnastu. Kilkoro innych uznano za zaginionych. – Postukała palcami o blat i uśmiechnęła się do niego. – Ale teraz twoja kolej, Clark. Możesz mi wmawiać co chcesz na temat tego, gdzie i z kim się spotkałeś, ale ma to jakiś związek ze znajomym nazwiskiem, które zobaczyłeś na liście. Sam zresztą byłeś przecież kimś, prawda? Albo prawie. Pan Clark Gable, bohater filmów dźwiękowych. Hollywood to mała wiocha, a wtedy była jeszcze mniejsza. Prawdopodobnie znałeś więc przynajmniej niektórych. a skoro jesteś jaki jesteś, domyślam się, że twoi najlepsi znajomi to były młode i ładne kobiety... Czy zeszłej nocy u Kisberga nie pojawiła się czasem Peg Entwistle? Która również figuruje na liście? – Barbara wciąż się uśmiechała. – i jak, Clark? Ciepło? – Znów zastukała w stół. – Blisko jestem?

Była inteligentna, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Najbardziej jednak przerażał go fakt, że Barbara traktowała sprawę niczym salonową gierkę.

* * *

Opowiedział jej o Thrasis wszystko, czego się dowiedział. o budynkach zapewne zbudowanych w miejscu, które pokazała mu na mapie, choć do tej pory zostały najprawdopodobniej rozebrane. Opowiedział jej nawet o Peg oraz historię o Wilfredzie Birdzie i tej wypełnionej piaskiem kopercie, którą otrzymała również April Lamotte. Siedź cicho, bo zginiesz. a właściwie, zabij się sama, skoro już i tak wygadałaś. a jeżeli nie popełnisz samobójstwa, zostaniesz zamordowana w okrutny, powolny sposób wraz ze wszystkim co jest ci bliskie. Lub wszystkimi.

– Mówisz, że Peg Entwistle jest taka wrażliwa? No proszę, tej jej cechy prasa nie zdołała wywęszyć.

– a jeżeli nawet, to dziennikarze wykazali się zrozumieniem i nie rozgłosili wszem wobec.

– i ty w to naprawdę wierzysz?

Musiał pokręcić głową.

– Ale, Barbaro, nie chciałbym jej w to jeszcze bardziej mieszać. Jest przerażona.

– Strach chyba też łączy ich wszystkich, prawda? To znaczy, nic dziwnego,

że April próbowała upozorować samobójstwo Dana, kiedy zrozumiała, o czym opowiadał jego scenariusz... – Pstryknęła palcami na tyle głośno, że obejrzało się kilka innych korzystających z czytelni osób. – Oczywiście. Jechała przecież do tego domku, w którym był Dan, tuż zanim się zatrzymała lub została zatrzymana. a stamtąd wystarczy przejechać przez góry i jest się już na pustyni, prawda? Mogłaby zostawić wóz z którąś wersją pożegnalnego listu i nikt nawet nie próbowałby odnaleźć ciała. a ci, którzy mieli zrozumieć ten przekaz, uznaliby, że odeszła umrzeć na pustyni z powodu Thrasis. To zupełnie jak sygnał: rezygnuję, poddaję się. w końcu przecież miała już pozornie stracić męża. Potem oboje mogliby się ulotnić i rozpocząć nowe życie. z tej perspektywy plan nie wydaje się wcale taki głupi, prawda?

– z wyjątkiem tej części, w której ginę.

– a skoro nie zginąłeś, Clark, kiedy udało ci się wydostać z samochodu, a April nie odebrała spodziewanego telefonu z policji, spanikowała i tak czy inaczej ruszyła do ich domku. Zapewne wymyśliła, że odbierze Dana i dadzą nogę natychmiast. Tyle że ktoś ją po drodze zatrzymał i zginęła. Jej samobójstwo, metoda również stanowiła sygnał. Ten, kto je upozorował, zajął się też zapewne Danem. Wszystko jasne i proste.

Roześmiałyby się, gdyby chodziło o coś zabawnego.

– w sądzie byś tego raczej nie obroniła.

– Za to na pierwszej stronie gazety wyglądałoby świetnie.

– Fundacja Bechmeira zniszczyłaby cię procesami.

– Proszę bardzo. Kiedy kot wyskoczy już z worka, zaczniesz biegać po kuchni, tłukąc porcelanę i rozlewając mleko, a rozlanego mleka nikt nie zdoła na powrót pozbierać.

– Może i tak.

– Ale masz rację. w całej tej historii jest pełno dziur i wiele informacji zasłyszanych od informatorów, których nie chcesz, bym wymieniała. Nadal musimy zdobyć więcej dowodów, zanim cokolwiek wydrukuję. Na przykład, gdybyśmy mogli pokazać, gdzie dokładnie znajdowało się Thrasis, i w jakiś sposób udowodnić, że Dan rzeczywiście tam pojechał. Pozostaje też kwestia tej Penny. Mówisz, że znała i Peg, i April. Potem dostała pracę w Fundacji Bechmeira, a teraz zniknęła. To nie może być zwykły zbieg okoliczności. Trzeba ustalić, co się z nią stało. Może porozmawiać. Musimy wyłożyć karty na stół i powiedzieć jej, że jest kluczowym świadkiem.

- o ile wciąż żyje.
- Podejrzewam, że z nią nie będzie tak łatwo. w biurze wciąż się nie pojawiła. Zadzwoiłam tam jeszcze raz z automatu w bibliotece. Ale nie myliłam się, mówiąc, że powinniśmy byli sprawdzić jej adres w budce. Mieszka w Edendale.
- Próbowełaś się dodzwonić?
- i zgadnij. Nikt nie odbiera. Więc co robimy?

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Ustalili, że Barbara skontaktuje się z korporacją RTS Taxi, która według książki telefonicznej miała siedzibę na dawnym terenie łowieckim Clarka, czyli w starych budynkach wytwórni MGM. On tymczasem miał spróbować ustalić, co tak naprawdę spotkało doktor Penny Losovic. Tym razem zabrał ze sobą broń.

Pojechał na północ. Przed kinami już ustawiały się kolejki chętnych na popołudniowe seanse emotyków. Nie byli to wyłącznie fanatycy, którzy poza filmem świata nie widzieli, lecz także matki z dziećmi, wagarujące nastolatki i stare panusie, tak pomarszczone i z tak skwaszonymi minami, że powinno się wydawać, że wyrosły już z podobnych fantazji. Pojawiali się też biznesmeni w eleganckich garniturach, sekretarki w lśniących czarnych szpileczkach oraz murzyńskie pokojówki w wykrochmalonych czepkach i grubi sklepikarze, wciąż w swych fartuchach.

Edendale było niegdyś sercem branży ruchomych obrazków. Po tych stromych ulicach pędzili Mack Sennette i Keystone Cops^[17]. Po tej wieży zegarowej mógł się wspinać Harold Lloyd. To jednak zamierzchłe czasy niemych filmów. Potem wytwórnie przeniosły się na zachód i Edendale popadło w zapomnienie, podobnie jak i samo MGM. w tym mieście nic nie było trwałe. Teraz w miejscach, gdzie niegdyś przechadzały się bóstwa minionej ery, widać było jedynie stacje benzynowe, parkingi i kościoły dla zmotoryzowanych.

Odchodzące od głównego traktu ulice prowadziły stromo pod górę ku ma-

sie nowych, eleganckich osiedli mieszkaniowych tylko dla białych. Clark skręcił w jedną z takich alejek i zaparkował delahaye'a tuż za zakrętem.

Aurora Avenue była zataczającą łuk ulicą, przy której stały przestronne piętrowe domki pokryte białym sidingiem. Śpiewały ptaki. Zraszacze wypełniały powietrze deszczowym zapachem. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, od rodzinnych samochodów na podjazdach począwszy, na wykonanych z kutego żelaza karmnikach dla kolibrów skończywszy. Obrazek wyglądał jak z okładki „American Home”. Prawdziwi żywi ludzie jednak wydawali się tutaj gatunkiem równie rzadkim, jak wśród bardziej ekstrawaganckich rezydencji Woodville. Budynek pod adresem Aurora Avenue 16 nie odróżniało od sąsiednich nic, aczkolwiek brakowało przed nim samochodu, a trawnik – który w innym otoczeniu uchodziłby za nieskazitelny – wydawał się nieco zaniedbany. Clark zatrzymał się i pochylił, udając, że zawiązuje sznurowadło. Obrzucił spojrzaniem okna i stwierdził, że są zamknięte, zasłony rozsunięte, a dzisiejszego ranka albo nie przyszła żadna gazeta czy korespondencja, albo ktoś wniósł je już do środka.

Poszedł dalej do końca uliczki, po czym skręcił w prawo. Wciąż stawiano tu nowe budynki i teren był oczyszczonym pustkowiem, poprzecinanym rowami fundamentów, odgrodzonych od ogrodów za domami na Aurora Avenue jedynie drucianą siatką. Starając się wyglądać, jakby miał tu coś do załatwienia – jakby był na przykład ewentualnym kupcem lub pośrednikiem z biura nieruchomości – przeszedł przez piach i błoto, po czym przyglądał się tylnym ścianom budynków, aż nabrał pewności, że zatrzymał się na zapleczu właściwego. Prędko wdrapał się przez siatkę i zeskoczył do ogrodu posesji numer 16.

Nie było tutaj ujadających psów ani bawiących się dzieci. Było za to więcej rozśpiewanych ptaków. Usłyszał też syk zraszacza, ale dolatywał z sąsiedztwa. Podobnie jak od frontu, wszystkie okna były zamknięte, a zasłony rozsunięte. i podobnie jak od przodu, na schludnie obrębionych kamieniami grządkach rosły piękne krzewy fuksji, bugenwilli i wiele innych roślin, których nazw nie znał, ale trawnik był nieco zbyt gęsty i zachwaszczony.

Zajrzał przez okna. Wewnątrz wszystko wyglądało zwyczajnie, chociaż brakowało śladów zamieszkania. Sprawdził kosz na śmieci. Pusty i pachnący czystością. Otworzył moskitierę, nacisnął klamkę po czym zajrzał przez dziurkę, by się przekonać, czy klucz tkwi w zamku. Nie tkwił. Doktor Loso-

vic nie wydawała mu się kobietą, która zostawiałaby klucz pod wycieraczką. Mimo to przeszukał wszystkie oczywiste schowki. Bez skutku. Podniósł średniej wielkości kamień z ogródka i mocno stuknął w najbliższe okno. Posługując się koniuszką kluczyka od delahaye'a, wydłubał kit dokoła pęknięcia – w tak nowym budynku zadanie było dodatkowo ułatwione – aż wreszcie udało mu się obluzować i wyjąć trójkątny kawałek szkła. Wsunął rękę do środka, przekręcił gałkę i wszedł.

Meble w jadalni przyjrzały mu się z tym samym chłodnym zdumieniem, jak wyposażenie wszystkich domów, do których się włamywał. Nie, to spojrzenie było jeszcze bardziej lodowate niż zwykle; wszystko tu było tak bardzo czyste. Doleciał go dziwny, łopocący odgłos. Po skórze Clarka przebiegł dreszcz. Wyjął z kieszeni colta, okrążył lśniący stół i przeszedł korytarzem, zmierzając w stronę źródła dźwięku. Gdy pchnął lufą rewolweru drzwi, rozśmiał się na głos. w kuchni stała nowa pralka marki Bendix. Przez okienko zobaczył pianę i wirujące rękawy. Czyli ktoś tu jednak niedawno był. Choć Clark nie był jeszcze pewien, co z tego wynikało.

Doktor Losovic lubiła drogie, nowe gadżety, ale nie miała smykałki do dekoracji wnętrz. Błyszczący szybkowar „Presto” oraz opływowe kształty lodówki „Electrolux” dziwacznie zmagaly się z abażurami w tandetne wzory i różową, kwiecistą tapetą. Tak przynajmniej ocenił to Clark. Identycznie wyglądał cały dom. Ozdobne żelazne kinkiety. Zasłony z celofanu. Urządzenia elektryczne w chromie i jadeicie, nowoczesny sprzęt gospodarstwa domowego rozsiany na poduszkach i wzorzystych dywanach. Wybitnie brzydki był gramofon w salonie. Wielki, przypominający katedrę – lub raczej grobowiec – najeżony bakelitowymi gałkami, połyskującymi pokrętłami i zygzakującymi zdobieniami. Obejrzał leżące obok na stercie płyty. Głównie kościelne melodie. Msza, requiem. i ci wszyscy wielcy niemieccy kompozytorzy, których nazwiska zaczynały się najczęściej na B i o których Peg mówiła, że wyszli z mody. Do całości pasowały jedynie niektóre obrazy na ścianach – wykonane w sepii reprodukcje średniowiecznych religijnych malowideł.

Gdy pralka rozpoczęła z hurgotem kolejny etap pracy, wszedł na górę, zastanawiając się jednocześnie, co w zasadzie spodziewa się znaleźć. Kiedy rozmawiał z Barbarą, związek doktor Losovic z Thrasis wydawał się ewidentny, lecz tutaj...

Lokatorka lubiła proste, bezpretensjonalne spódnice i bluzki, oraz jeszcze

prostsza bieliznę. Do mycia używała jedynie dwóch środków, z których żaden nie był bardziej luksusowy od mydła „Palmolive”. Rozmiar buta – duża ósemka. Druga sypialnia została przerobiona na gabinet. Pióro i papier czekały pod szklanymi płatkami biurkowej lampy w kształcie lilii. Wszystko wyglądało na zupełnie nieużywane. Na biurku stało kilka oprawionych w ramki wycinków z gazet. Pożółkłe fotografie uśmiechniętych dzieci, rozpromienionych emerytów. a nawet sfera psów przed nowymi budami. Nagłówki świadczące o tym, że wszyscy są szczęśliwi. Na każdym ze zdjęć – z dłońmi na ramionach zadowolonych pracowników, z puchatym szczeniakiem w rękach lub kłęcząca przy stadku maluchów – widniała ta sama wysoka kobieta o szerokich ramionach i krótko przyciętych ciemnych włosach. Nakryty koronką regał za fotelem przy biurku mieścił książki traktujące o badaniach nad zrozumieniem ludzkiego umysłu, naturze bólu i snów. Wszystkie wyglądały nieskazitelnie, wciąż w obwolutach. Wziął jedną do ręki i przejrzał kilka stron wypełnionych oszałamiającymi diagramami, łacińskimi terminami i niepokojącymi rycinami przedstawiającymi przekroje czaszek. Clark pomyślał, że tego typu treści powinny wydawać się nie na miejscu tutaj, w świątyni nowoczesnej Ameryki, lecz z jakiegoś powodu tak nie było.

Żadnych przywiezionych z wakacji muszelek. Żadnych listów miłosnych. Brakowało piwnicy zastawionej kartonami czekających na przejrzenie gratów. Na jakże czystej pościeli nie zobaczył ani jednej ludzkiej plamy. Wszystko do siebie pasowało, lecz wyglądało na to, że doktor Penny Losovic nie ma życia osobistego, i trudno było nie współczuć tej kobiecie. Nawet szczoteczka do zębów wydawała się prawie nieużywana.

z powrotem w korytarzu znalazł kolejną fotografię lokatorki, tym razem na półeczce obok telefonu. Spoglądała w obiektyw zza biurka w swym gabinecie w fundacji. Miała jasne, nordyckie oczy, sporą szczękę. Innej twarzy mogłoby to przydawać urody, lecz ona wyglądała na surową i zdeterminowaną. Postawił zdjęcie z powrotem obok okularów „Ray Ban Aviator”, które doktor Losovic najwyraźniej w tym miejscu porzuciła – co wydało się nieco nietypowe – i otworzył szufladę pod spodem. Nic poza zwykłą garścią wizytówek i kartek „nie zastaliśmy pani w domu” pozostawionych przez pracowników gazowni, elektrowni czy wodociągów. Zamknął ją i raz jeszcze spojrzął na zdjęcie – na te prawie uśmiechnięte usta – i znów na ray-bany.

Ponownie odsunął szufladę. Jego palce przebiegły po wizytówkach fachow-

ców. Elektrycy, hydraulicy. Znalazł też wizytówkę korporacji RTS Taxi i taką z napisem „Clark Gable, Specjalista od dociekań osobistych” z zagiętym rogiem i przekreślonym starym numerem telefonu. Piekielna maszyna w kuchni wciąż jęczała i szumiała. Podbiegł do niej i przez chwilę szarpał się z klamką, która w końcu ustąpiła i wokół jego stóp rozlała się mokra plama mydlin. Spod piany wychynęła przyszyta do granatowego materiału koszuli, odznaka GLADMONT SECURITIES.



17 Keystone Cops – grupa filmowych policjantów-nieudaczników z początków XX w., bohaterowie komedii produkowanych przez Macka Sennette’a.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Wycofał szybko samochód i wziął zakręt tyłem, uderzając przy tym błotnikiem w drzewo. Skrzynia biegów zaskrzypiała, gdy pędem zjechał ze wzgórza Edendale, przez Silver Lake, z trudem wymijając przechodniów i ledwie unikając ciężarówki z warzywami na skrzyżowaniu z Alvarado. Wiedział jedno – wiedział, dokąd ma pojechać.

Palmy fruwały nad głową Clarka, który, ignorując sygnalizację świetlną, wyprzedzał marudzących kierowców i mknął w stronę Culver City. Dziesięć lat temu w tych okolicach – nawet u szczytu prohibicji – znajdowało się wiele nocnych gniazd rozpusty; z dziewczynami dowolnych rodzajów – szatniarkami, sprzedawczyniami papierosów, dziewczynami cykającymi fotki gościom i panienkami gotowymi zrobić cokolwiek sobie klient zażyczył. Lecz „Green Mill” i „Kings Tropical Inn” oraz „Fatty Arbuckle’s Plantation” spotkał dokładnie ten sam los co biednego Fatty’ego^[18] i obecnie modnymi lokalami stały się knajpy na West Sunset. Tak przynajmniej słyszał Clark. Teraz mijał tutaj lądowiska sterowców, kluby golfowe i liczne place budów, które bez końca połykały przeszłość miasta, przeobrażając ją we wszechogarniającą terażniejszość. Następnie skręcił na wschód ku granicom Baldwin Hills, gdzie przygięty drogowskaz, którego nikomu nie chciało się zdjąć ani ukraść, wciąż kierował do dawnej wytwórni MGM.

Zatrzymał delahaye’a w bocznej alejce, pełnej zabitych deskami sklepów, czekających wraz z całą okolicą na przebudowę. Teraz jedyny obok działki MGM szyld reklamował usługi pośrednika w handlu nieruchomościami, a

długi – dawniej lśniący – zewnętrzny mur, stał się polem, na którym wyra-
stały plakaty, graffiti i plamy moczu.

Brama wjazdowa z greckimi kolumnami pozostała, aczkolwiek szlabanu
nie było już od dawna, a w miejscach, z których odpadł gips, sterczał żela-
zny szkielet konstrukcji. Clark rozejrzał się po znajomym, opustoszałym te-
raz placu, próbując się zastanowić, co zrobiła Barbara. Zapewne zadzwoniła
pod numer z wizytówki RTS Taxi, porozmawiała z dyspozytorem, a nastę-
pnie zamówiła taksówkę i kazała się tutaj przywieźć, by wypytać kierowców,
co pamiętają z kursów z ubiegłej srody. Dziewczyna jednak wydawała się
równie odległa, jak ten facet imieniem Walter lub Willy, który niegdyś witał
go przy wjeździe. Clark wyjął z kieszeni rewolwer, odbezpieczył i ruszył
przez długie plamy cienia ku rzędom gigantycznych hal zdjęciowych.

Betonowe rynsztoki już się rozpadały, porastały je chwasty. Zaglądając
przez zabite dechami wejścia, łatwo było sobie wyobrazić zalegające we-
wnątrz resztki starych ulotek reklamujących metody na błyskawiczne wzboga-
cenie się, cudowne kosmetyki i encyklopedie. Niektóre z budynków, ofiary
wieku i trzęsienia ziemi, przeobraziły się w sterty gruzu, azbestu i żelaza. Na
kilku widniały dawne szyldy. „Doskonałe antyki”. Jakaś firma o nazwie
„Abdel Acoustics”. Stosy drewnianych skrzyń i przeżartych przez rdzę pół-
ciężarówek.

Hangar zdjęciowy 1A był największy ze wszystkich i przetrwał w stosun-
kowo najlepszym stanie, aczkolwiek jego potężne główne wrota były za-
mknięte. Stojący przed nimi samochód – czarny sedan mercury – dziwnie nie
pasował do tego pustkowie. Na dachu wozu widniał żółty sygnalizator
„Wolny”, a do drzwiczek przymocowano oznaczenia korporacji RTS Taxi.
Clark chwycił colta oburącz i złożył palec na spuście. Serce waliło mu jak
młotem.

Zgięty w pół wbiegł w wiodącą obok hangaru alejkę. Rozglądał się za
bocznym wejściem. Jaki film tutaj kręcił? „Swobodną duszę” czy „Tajną
szóstkę”? Którą roześmianą gwiazdeczkę zaciągnął do tej alejki po bankiecie
z okazji zakończenia zdjęć? Znalazł zardzewiałe drzwi. Nie zauważył kłódki
ani zamka. Pchnął je i otworzyły się ze skrzypnięciem.

Prawie zupełna ciemność. Jeżeli RTS Taxi naprawdę miało tu siedzibę, to
świetnie swą działalność maskowali. Zatrzymał się i czekał. Słyszał jedynie
bicie serca. Dostrzegął tylko – w miarę, jak oczy z wolna przyzwyczajały się

do mroku – fragment gęstego lasu. Wielkie dęby chyliły swe mocne ramiona. Niektóre leżały powalone. Inne zostały zniszczone. Bił od nich tak dawniej znajomy zapach kurzu, farby i płótna. Clark podniósł wzrok i ujrzał niki odbłask łańcuchów, bloków i lamp.

Ruszył naprzód przez zmieniające się jak w kalejdoskopie otoczenie. z chińskich gór unosił się kamienny smok. Mijał weneckie gondole, piękne ogrody, przedpotopowe bagna. Budynki wewnątrz budynków. Tabliczki wskazujące drogę do garderoby i działu księgowości. Długie szeregi pięknych kiecek, które pod jego dotykiem rozsypywały się jak pajęczyna. Mundury okazały się nieco bardziej wytrzymałe i czuć je było potem – tę woń również pamiętał z czasów swej błyskawicznej kariery. Za nimi znalazł lustro. Oparty o jego ramę stał szereg przedmiotów, które w pierwszej chwili uznał za tarcze. i owszem, były to tarcze, lecz nie takie, z jakimi ruszali do boju filmowi żołnierze. Na dwóch widniał herb Departamentu Wody i Elektryczności Los Angeles. Na innych pojawiało się logo firmy „Orkin Dezynsekcja”. Były też tabliczki poczty, rozmaitych wydziałów policji oraz ochroniarzy Gladmont Securities. Wszystkie miały identyczne rozmiary i w każdej zobaczył dwa otworki, umożliwiające zamocowanie ich do drzwiczek samochodu. Obok leżało coś, co wyglądało jak niebieska kopuła policyjnego koguta. a także otwarta skrzynka z narzędziami, w której czekał śrubokręt oraz dobrej jakości ręczna wiertarka. Właśnie się ku niej pochylał, kiedy usłyszał ciche stuknięcie i poczuł na karku nagłe ukłucie. Sięgnął odruchowo i zamknął palce na czymś sztywnym i szklanym. Spróbował to wyciągnąć, lecz zaraz potem zapomniał kim i gdzie jest.



18 Roscoe „Fatty” Arbuckle (1887–1933) – aktor, scenarzysta i reżyser z epoki kina niemego. Jeden z pionierów komedii. w 1921 roku został oskarżony o gwałt i nieumyślne zabójstwo modelki i aktorki Virginii Rappe. Po trzech procesach uniewinniono go, lecz wcześniej poddano publicznemu ostracyzmowi, a dystrybucja jego filmów została zakazana, co zakończyło karierę aktora.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Clark siedział na skraju urządzonego na podestach planu filmowego, otoczony konstelacjami reflektorów na sztankietach i gąszczem sprzętu do rejestracji dźwięku, obrazu i emocji. Wysoko przed nim wisało zakurzone płótno z namalowaną panoramą miasta, zapewne Los Angeles. Lampy świeciły jednak mocno i poszczególne budynki oraz inne cechy charakterystyczne – gwarne ulice, gmach ratusza, park Griffitha, napis Hollywoodland – zaznaczalne płatami odchodzącej, wyblakłej farby, były trudne do rozpoznania.

Jęknął, wyprężył się. Siedzenie skrzywnęło i ugięło się, lecz nie uwolniło go. Co dziwne, jego kształt i dotyk wydał się Clarkowi znajomy. Dotarło do niego, że siedzi w składanym fotelu reżysera, jakich setki można znaleźć w każdej wytwórni, i że jest do niego przymocowany za ręce i kostki starannie splecioną liną.

– Cholemie dobra robota, Clark.

Bolał go kark, lecz z wysiłkiem obrócił głowę w lewo i zobaczył Barbarę. Związana podobnie jak on, siedziała kilka jardów obok.

– Naprawdę nie rozumiesz, że powinieneś mnie z takich sytuacji ratować, a nie samemu się w nie pakować? – syknęła.

– To się dzieje tylko w emotykach.

– a na co ci to wygląda? – Skinęła brodą.

Jedna strona sceny była zastawiona splątanymi kablami i oprzyrządowaniem. Rozpoznał mikrofony, wylupiate, szklane oczy ikonoskopu i wiele nagrywarek taśmowych oraz coś, co musiało być płytami generatora pola

Bechmeira. Ktoś musiał na ten sprzęt wydać prawdziwą fortunę, przyszła mu do głowy absurdalna myśl... i wtedy, patrząc poza gałęzie tego dziwnego lasu, zauważył, że wśród urządzeń siedzi ktoś jeszcze. Również związany. Broda, twarz, nie mógł go nie poznać, nawet bez okularów. Szczeka Daniela Lamotte'a zwisała bezwolnie, miał zamknięte oczy i poza czymś, co wyglądało na pieluchę dla dorosłych, był zupełnie nagi. Dygotanie klatki piersiowej świadczyło, że scenarzysta żyje, ale albo jest nieprzytomny, albo pogrążony w głębokim śnie.

Clark ponownie odwrócił się ku Barbarze.

– Co się stało? Jak ty...

Uciszyła go ostrym spojrzeniem. Ktoś wyszedł z za namalowanego tła i zmierzał przez elektryczny las. Gdy w milczeniu sprawdzał więzy i kable – zupełnie jak zwyczajny oświetleniowiec czy technik – rozległo się ciche, niemelodyjne gwizdanie. Światła jednak jaśniały tak intensywnie, że poza ciemną sylwetką nie widzieli praktycznie niczego. Brzęczenie i jęki, oraz towarzyszące im nieprzyjemne uczucie, które dręczyło go od początku, lecz które uznał za swoje własne – dodatkowo się wzmogły. I wtedy cień skończył to, co robił, po czym podszedł bliżej, zdradzając swoją tożsamość.

Jeżeli doktor Penny Losovic różniła się czymś od kobiety, którą Clark oglądał na zdjęciu, to tym, że spojrzenie miała bardziej uprzejme i mniej kwadratową szczękę. Przyjrzała się im ze smutną ciekawością – być może nawet rodzajem obojętnego współczucia. Było to dokładnie takie spojrzenie – stwierdził w duchu Clark – jakiego pacjent oczekuje po dobrym lekarzu. Miała na sobie niebieską koszulę z wyszytym na kieszonce symbolem RTS Taxi, parę jasnoszarych, starannie wyprasowanych spodni i błyszczące męskie półbuty. Krótkie jasnobrązowe włosy związała w małeńki koński ogon, jaki z łatwością mógł się zmieścić pod mundurową czapkę. Jak na kobietę, miała szerokie ramiona i Clark zaczął się zastanawiać, czy porywaczka nie nosi pod koszulą jednego z tych spłaszczających piersi gorsetów, tak popularnych w latach dwudziestych.

– Przykro mi, że tu trafiliście – powiedziała. Teraz mówiła łagodniej, niż kiedy spotkała się z nim po raz pierwszy, w przebraniu ochroniarza, aczkolwiek akcent i tembr pozostały bez zmian.

– Skoro ci przykro... – Zakaszła, odchrząknęła. – Skoro ci przykro, to mogłabyś... – Zerknęła na Barbarę, która przyglądała się Penny Losovic z nie-

skrywaną pogardą.

Zrozumiał, że dziewczyna próbowała już rozmowy, jaką właśnie rozpoczął – próbowała przekonać doktor Losovic, by ich wypuściła, że nikomu przecież nic się nie stało i że nikt nie ma potrzeby informować policji... a może po prostu błagała o litość – podejrzewał, że to również mogło być grane... Na szczęście, dziennikarka nie wyglądała na ranną. i na szczęście, w odróżnieniu od Daniela Lamotte'a, oboje wciąż byli przytomni i w pełni ubrani. Nie mógł się jednak nie zastanowić, jak długo te luksusy jeszcze potrwać. Umrzemy tutaj... Ta myśl uderzyła go niczym lodowaty podmuch wiatru. Spokojne oczy Penny Losovic zabłyśły nowym blaskiem. Ona też o tym myślała.

– Rozumiem, że wiecie kim jestem – podjęła łagodnie. – Zapewne też włamałeś się wreszcie do mojego domu. To właśnie dlatego tu przyjechałeś? Domyślam się, że wkraczanie na zakazany teren stanowi część twojej pracy.

w pierwszej chwili Clark chciał milczeć, stwierdził jednak, że dobrze będzie, jeżeli podtrzyma rozmowę. Podobno tak właśnie postępowali bohaterowie emotyków, aczkolwiek w brzuchu nieprzyjemnie mu pulsowało, kark bolał i nie czuł się w tej chwili szczególnie bohatersko.

– Czyli dowiemy się w końcu czym jest Thrasis?

– To chyba niczemu nie zaszkodzi... – Pochyliła głowę, jakby rozważała propozycję. – Wyjaśnienia są zawsze pomocne, nawet, gdy nie są konieczne. Oczywiście konieczne było również wszystko, czego się dopuściłam, chociaż przyznaję, że owa konieczność zmusiła mnie do kroczenia po nieznanym mi wcześniej drogach...

Mówiąc tym swoim cichym głosem, Penny Losovic przechadzała się po scenie, sprawdzając i ustawiając różne urządzenia. w kieszeni miała nawet szmatkę, którą ścierała kurz z przyrządów. Co dziwne, jej zachowanie wydało się Clarkowi znajome; widywał je już u dziesiątek klientów. Zazwyczaj chodziło o jakiś głupi szczegół dotyczący zdrad, ich własnych bądź partnera. Na przykład: „Mogłam się spodziewać, że będzie nagi, ale dlaczego, do diabła, miał na sobie te okropne skarpety?”. Albo: „i tak miałem z nią skończyć i zupełnie nie rozumiem, dlaczego żona wybrała sobie akurat ten wieczór, żeby odwiedzić mnie w biurze”. Rok później dzwonił, zlecając ponownie sprawę, i kiedy mówili, było trochę tak, jakby po prostu kontynuowali rozmowę, jaka nigdy się nie skończyła w ich głowach. Penny Losovic – obojętne, kim

była lub nie była, i wbrew temu, co opowiadała – robiła teraz mniej więcej to samo.

– Domyślam się, że wiecie, że byłam w Met stażystką...? Aczkolwiek miałam już wówczas opublikowaną pracę o psychologii bólu i myślałam, że czeka mnie poważniejsza kariera. Kiedy więc otrzymałam propozycję przeprowadzenia dobrze opłacanych badań na nieokreślonym, nowym polu, zainteresowałam się od razu. Na rozmowę kwalifikacyjną pojechałam pociągiem aż na wschodnie wybrzeże. Odbyła się w jednym z tych wyglądających na Central Park zamków z brunatnego piaskowca, w których są obecnie tylko hotele i drogie mieszkania. Mężczyźni, z którymi się spotkałam, nie przedstawili się, byli już wyraźnie starzy i rozdygotani, ale rozumiałam, że mam do czynienia z kolosami podtrzymującymi filary Wall Street. a był akurat, nie wiem czy już o tym wspomniałam, rok 1929. Lato. Projekt, przy którym chcieli mnie zatrudnić, był objęty ścisłą tajemnicą. Nie widziałam w tym żadnego problemu. Na miejsce wyznaczili starą osadę górnictw w Kalifornii i budowa już wtedy trwała. Co do dokładnych celów projektu, wypowiadali się zwięźle, lecz najogólniej rzecz ujmując, chodziło o ostateczne potwierdzenie bądź zaprzeczenie istnienia tak zwanych parapsychologicznych możliwości ludzkiego umysłu i – gdyby rzecz okazała się prawdziwa – rozważenie ich ewentualnych zastosowań komercyjnych. Byliście w Thrasis, prawda? Oboje lub jedno z was? Choć w zasadzie teraz niewiele jest tam do oglądania. Po zakończeniu prac buldożery zrównały wszystko z ziemią, a pustynny wiatr zrobił pewnie resztę...

Penny Losovic zakreśliła korbą wyciągu i nad planem opuścił się na linach spomiędzy podtrzymujących reflektory rusztowań jakiś przedmiot. Lekko się kołysał i skrzypiał. Wyglądał bardzo dziwnie. Przez jeden niepokojący moment skojarzył się Clarkowi z gigantyczną klatką na ptaki. Potem jednak ujrzał, że siatka i pręty są oplecione kablami, i zrozumiał, że skrzydlaty kształt wewnątrz jest naelektryzowaną plazmą pola Bechmeira.

– Pod względem liczby pracowników projekt Thrasis nigdy nie był szczególnie rozbudowany – podjęła, kiedy wytarła ręce i zablokowała sznury. – Większość personelu i samych badanych rekrutowano albo przez Met, albo za pośrednictwem pewnego agenta teatralnego. Co do reszty, w Kalifornii związała się grupa wpływowych osób, nazwijmy ich komisją nadzorującą. Oni zajmowali się finansową stroną przedsięwzięcia. Nie będę was zanudzać

nazwiskami, choć kilku zapewne już się domyśliliście.

Istota w emotycznej klatce przeciągała się, nuciła. Clark z trudem przełknął ślinę, zbierało mu się na wymioty.

– Mówisz o ludziach pokroju Herberta Kisberga i Howarda Hughesa?

– Nie, Hughes nie. On był tylko narzędziem, które zostało wykorzystane, gdy nadszedł czas na wprowadzenie wyników naszej pracy na rynek. Był osobą, dzięki której powstała wiarygodna legenda produktu. Ale Herbert tak. Można powiedzieć, że dawniej faktycznie był wizjonerem. Walczył w okopach i widział wiele niepotrzebnej śmierci, tak jak w micie Larsa Bechmeira. I naprawdę szczerze wierzył, że świat stałby się lepszy, gdyby ludzie mogli dzielić się ze sobą uczuciami. Ten projekt był ważny, najważniejszy. Od samego początku wiedzieliśmy, że wszystkie zwykłe ograniczenia, które hamują większość medycznych i naukowych badań, muszą zostać unieważnione. Nikt przed nami nie posunął się w badaniu możliwości ludzkiego umysłu tak daleko. z wyjątkiem, być może, sług kilku chińskich cesarzy i pewnych średniowiecznych władców...

– Czyli torturowaliście ludzi, żeby sprawdzić, czy da się zmierzyć poziom ich bólu?

– To bardzo wulgarne sformułowanie. Musicie zrozumieć, że sygnały były na początku słabe i niebywale trudne do wykrycia. Wskazówki detektorów ledwie drgały. Ale udało się nam, oczywiście. Na początku 1931, nieco ponad rok od rozpoczęcia projektu Thrasia, dysponowaliśmy już prototypami urządzeń pozwalających zapisywać i nadawać to, co z początku nazywaliśmy po prostu polem myślowym. a reszta, to już, jak pewnie moglibyście powiedzieć, historia... – Urwała na moment, wysuwała metalową taśmę z rolki i nawinęła ją na głowicę urządzenia. – Ewentualnie historia przepisana na nowo. Szczerze mówiąc, nadmierny nacisk na zastosowania rozrywkowe okazał się dla mnie rozczarowaniem. Choć osobiście nigdy nie pchałam się na świecznik. Wszyscy zaangażowani w projekt – ci, którzy przeżyli – zostali sowicie wynagrodzeni i nie mają powodów do narzekań. Podjęłam się sprawowania nadzoru nad dystrybucją olbrzymiego majątku Fundacji Bechmeira. To dla mnie praca niemal idealna. Zawsze jednak istniała też druga strona tego zajęcia i równie konieczna. z powodów, które, jak sądzę, już zrozumieliście, prawda na temat Thrasia nie może trafić do wiadomości opinii publicznej. Początkowo wystarczyło monitorować plotki i prasę, ewentualnie upew-

nić się, by znające tajemnicę osoby pamiętały, że nie mogą jej nikomu wyjawić. Niemniej, ludzie miękną i słabną zaskakująco prędko. Dlatego pogrożki bywają niekiedy niezbędne... – Zaczęła na przemian włączać i wyłączać jakiś przełącznik, aż coś zaskoczyło. w miarę, jak pracowała, niepokojące uczucie przez cały czas się wzmagało. – a oczywiście jest, że kiedy człowiek ucieknie się już do gróźb, powinien być gotów je zrealizować. Początkowo, gdy zachodziła potrzeba usunięcia słabnącego ogniwa, próbowałam się posługiwać podejrzanymi indywiduami w twoim typie, Clark. Nigdy jednak nie byłam z ich usług w pełni zadowolona. Niestety, powiedzenie, że jeśli chcesz mieć coś zrobione porządnie, musisz zrobić to samemu, sprawdza się niezwykle często. Naturalnie, niewiele osób wiedziało, że to ja przeprowadzam owe konieczne działania. Poczucie strachu i niepewności są szalenie ważnymi elementami. Nawet Herbert i jego biznesowi przyjaciele, ludzie z Wall Street, którzy uruchomili ten projekt, tudzież ich następcy, dawno przestali się mną interesować. Nigdy nie otrzymałam też za swoje wysiłki specjalnie wylewnych podziękowań. Wydaje mi się niekiedy, że wszystkim zależy jedynie na świętym spokoju.

– Podczas gdy ty z konieczności przebierałaś się za faceta, wkładałaś mundur i udawałaś pracownika gazowni czy elektrowni?

– Sądziłam, że jako były aktor zrozumiesz wagę wyzwania... – Zmieniła postawę. – Piękny mamy poranek, prawda, panie Gable? – Jej głos obniżył się o oktawę. Wrażenie przemiany kobiety w ochroniarza z Gladmont Securities było wręcz upiorne. – Aczkolwiek z wykonywania tych obowiązków czerpałam również intelektualną przyjemność. Włamania, śledzenie, nasłuchiwanie plotek, szantaże...

– i zabijanie ludzi?

– Tak zwane pole Bechmeira okazało się wielkim gospodarczym, naukowym i artystycznym sukcesem Ameryki, a zdarzają się w życiu momenty, kiedy nie można sobie pozwolić na sentymenty. Więc tak, zabijałam ludzi.

– Na przykład April Lamotte?

– z April poznałam się jeszcze w czasach przed Thrasis. Niemniej, jak wszystkie zaangażowane osoby, wiedziała, że tych, którzy próbują wyjawić prawdę, spotykają nieprzyjemne rzeczy. Być może jednak sądziła, że jest bezpieczna, ponieważ posiadała pewne wczesne nagranie, które wykradła, kiedy projekt dobiegł końca, i które znalazł potem Dan. Oczywiście, sam fakt, że

jej mąż napisał scenariusz o tym, co uchodzi za biografię Larsa Bechmeira, nie był w najmniejszym stopniu szkodliwy. Prawdę powiedziawszy, wiele mogliśmy dzięki temu zyskać. Lecz kiedy Dan zaczął zmieniać koncepcję... Cóż, April zadzwoniła do mnie, jako do jednej z niewielu osób, z którymi mogła szczerze pomówić, i zwierzyła mi się z niepokojem. Opowiedziała mi nawet o planie upozorowania ich śmierci i ucieczki...

Penny Losovic odeszła od wijących się taśm emocjonalnych, minęła obracające się rolki i przeszła przez bramkę projektora. Teraz, gdy pociągnęła w dół główną dźwignię zasilania, zaczęło grzechotać kilka naraz. Były skierowane prosto na klatkę i zmienne cienie ich emanacji precyzyjnie się do jej wnętrza, aczkolwiek Clark nie był w stanie powiedzieć, ile z tego, co widzi, jest projekcją, a co naprawdę znajduje się między prętami. Nogi i ramiona falowały niczym w tańcu derwisza. Ciała migotały jak płomienie świec.

– Myślę, że od pierwszych dni wyczuwaliśmy w Thrasie pewną... obecność. – Teraz musiała mówić głośniej. – Zapewne jednak każde z nas nazywało ją inaczej. Duch? Zjawy? Nie wiem. Przecież i tak często mieliśmy wrażenie, że pracujemy z duchami i zjawami. a potem, gdy świat potoczył się naprzód i projekt został zamknięty, wielu z nas czuło, że owa obecność pozostała. Podejrzewam, że to właśnie ona popchnęła niektórych ku tej czy innej odmianie szaleństwa. Ja jednak uważam, że jest piękna, nie sądzicie?

Conęła się o kilka kroków i podziwiała skręcającą się w wiszącej nad nimi klatce szybującą istotę. Stopniowo nabierała jasności, tchnęła aurą ryczącą mocy. Clark jeszcze nigdy nie czuł tak silnego i tak nieprzyjemnego pola emocjonalnego, lecz jednocześnie nie mógł oderwać wzroku i był pewien, że widzi najbardziej niesamowite zjawisko. Nie były to już niejasne kształty, nie sugestie aur, lecz prawdziwe kończyny, rzeczywiste twarze – jakby coś pełnego energii i życia próbowało się wyrwać na wolność. Jedyne jednak, co niezmiennie trwało, podczas gdy postacie drgały i przeobrażały się w nieustannych spazmach, było wrażenie krzywdy i bólu. Wiele z tych rąk było złamanych. w innych ziały krwawiące rany. Pękały kości. Skóra gotowała się, krwawiła i ropiała. Ciało odchodziło od czaszek. a usta, oczy, twarze, wszystkie były odmiennie wykrzywione, lecz wszystkie cierpiały. Kiedy z głośników popłynęło dźwiękowe tło wycia i wrzasków, Clark wreszcie zdał sobie sprawę, że tym właśnie było Thrasie. Nie jakimś opuszczonym miejscem na pustyni, lecz istotą, czymś.

– Zapobieżenie realizacji planów April nie stanowiło szczególnego wyzwania. Biedaczka nawet zatrzymała samochód, kiedy zobaczyła mnie przy tym punkcie widokowym. Jechała właśnie do ich domku w górach i wyobraziła sobie, że chce ją przed czymś przestrzec. Ale Dan – on był ciekawy. Jestem pewna, że proces był w dużej mierze podświadomy, uważam jednak, że to właśnie Thrasis sprawiło, że zaczął w ogóle pisać o Larsie Bechmeirze, a potem znalazł ukryte nagranie April. Wydaje mi się nawet, że zamawiając tę swoją dziwną zjawę, próbował nieporadnie odtworzyć to, czego wtedy doznał... Nasze wielkie odkrycie to znacznie więcej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać przez całe życie. Ale odkryliśmy też coś zupełnie innego. Sądzę, że Thrasis jest obdarzone swoistym rodzajem inteligencji, pewną świadomością, a jednak, mimo posiadania ludzkich elementów, nie jest to człowiek. w dawnych czasach, być może, nazwano by tę istotę aniołem. Naprawdę nie mam pojęcia, z powodów, jakich nie rozumiem i nie zamierzam nawet tego udawać, Thrasis łączy do Dana, i to najsilniej wówczas, gdy on znajduje się w stanie halucynacji. Jak sami widzicie, istota pojawia się jedynie, kiedy skieruję na nią całą energię projektorów. To praktycznie seria zapętlonych sprzężeń. i spojrzcie, co się stanie, jeżeli zmniejszę moc...

Przeszła przez scenę, trąciła kilka przełączników. Istota z klatki, niczym gaśnąca świeca, natychmiast pociemniała.

– Widzicie, w kontrolowanych warunkach nie potrafi się sama podtrzymać. – Kobieta wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – i jak dotąd, wiem w zasadzie tylko tyle. – Powoli, ostrożnie obeszła trójnogi i kable, po czym zatrzymała się na przeciwległym krańcu sceny. Stał tam niewielki metalowy stół, którego Clark wcześniej nie zauważył. Zastawiony był całą kolekcją buteleczek i niewielkich szklanych pojemniczków. Penny Losovic podniosła ampulkę, postukała w nią i napełniła dwie strzykawkami. z jej ust ponownie popłynęło ciche pogwizdywanie.

– Ja to widziałem – odezwał się Clark.

– Co widziałeś? – Wciąż była pochłonięta strzykawkami.

– Tę istotę, to cholerstwo z klatki.

– Widziałeś... – Odwróciła się powoli, odłożyła strzykawkę i podeszła. Jej poza, gdy się pochyliła i przyjrzała mu, z dłońmi na kolanach i kilkoma pasemkami włosów luźno opadającymi na czoło, wciąż tchnęła raczej ciekawością i współczuciem niż groźbą. – Wierzę ci. – Wyprostowała się. Zasta-

nowiła. Zaraz potem, typowo dla siebie sprawnym ruchem wyjęła okulary w szylkretowych oprawkach, które sama musiała wcześniej włożyć Clarkowi do kieszeni, i włożyła mu je na nos, zaczęła za uszami. – To w zasadzie ma sens. – Po raz kolejny nieznacznie pochyliła głowę i uważnie go obejrzała. – w końcu podszywałeś się pod Dana. a skoro tak... – zerknęła na scenę, uniosła dłoń i zakręciła palcami, jakby chciała wyłowić z powietrza uciekającą myśl – ...to może, zanim z wami skończę, moglibyśmy czegoś spróbować. w końcu łagodnością nie zdobywa się królestw, prawda?

Clark nie był pewien, czy rzeczywiście cokolwiek zyskał dzięki swemu wyznaniu. Penny Losovic rozłączyła sprzęt i ustawiła go w innej konfiguracji. Ślepe, białe oko jednego z kilku ikonoskopów skierowało się prosto na niego. Cóż, być może zarobił dodatkową godzinę męki. Usłyszał, jak Barbara mruczy „To jakiś, kurwa, absurd”. Gdy doleciało go przekleństwo dziewczyny, poczuł dziwne ukłucie smutku. Tak słodko potrafiła mówić. i była naprawdę wystrzałową lalunią. Bóg jedyny raczy wiedzieć, dlaczego zeszedł nocy, kiedy przycisnął ją do ściany przed drzwiami pokoju, nie zrobił tego co powinien... Zaraz potem – gdy Penny Losovic zaczęła na powrót wciskać kable w złącza i naciskać przełączniki – zniknęły nawet te głupie, rwane myśli i żale, jakie pewnie przebiegają przez myśl wszystkim facetom w ciągu kilku ostatnich minut na ziemi.

Okropne wrażenie wywoływane przez pole Bechmeira stało się powalające, a Clark zaczął się zapadać, jakby wciągany w głąb kolejnych warstw własnych wspomnień. Te głupie kłótnie i niekończące się awarie sprzętu, które zrujnowały jego aktorską karierę, a potem pierwsza sesja z krzywozębem Hiramem i jego kolegami w czeluściach budynku MGM. Stamtąd przeniósł się na pokład pływającego kasyna, z Hillym Feinsteinem. Zamigotały karty, symbole i stał się Gwiazdą, a Peg była Wieżą, i mgnienie potem znowu siedział z nią pod owym przeklętym, wielkim napisem, lecz tym razem rozpościerające się przed nimi miasto było zbudowane jedynie z taniego płótna i farby.

a potem, powracając do świata nieco bardziej rzeczywistego, Clark miał już przed sobą ten sam widok, zawieszoną na linach klatkę emocyjną i zamkniętą w środku istotę, płynną, olbrzymią. Jeżeli tego rodzaju stworzenia rzeczywiście kiedykolwiek istniały, to naprawdę mogły być aniołami. Otańczające ich maszyny wciąż pracowały, a zjawia jakby wsysała – wraz z elek-

trycznym szmerem i innymi hałasami – cały kurz i wypełniające plan światło. Przypomniawszy sobie, co zobaczył na mołu w Venice, potem na punkcie widokowym i w ubikacji ratusza, oraz w cieniu drzewa na placu Pershinga, uświadomił sobie, że istota zawsze powstaje z tego, co ma dookoła. To samo działo się tutaj. Tyle że tym razem wrażenie obecności było znacznie bardziej intensywne. Klatka się kołysała. i nagle jeden z podłączonych do niej kabli oderwał się ciemnym zygzakiem i syknął iskrami. Uderzył w parawan po drugiej stronie sceny i przewrócił go. Zaraz potem odpadł kolejny kabel i tym razem snop iskier padł na linę – wyschniętą w tym gorącym i pustym hangarze na wiór – która natychmiast zajęła się ogniem.

Wszyscy tu spłonęli – przemknęło Clarkowi przez myśl. Penny Losovic, która z pewnością była w stanie odłączyć zasilanie, przeciąć linę i zadepnąć płomień, wciąż tylko patrzyła. a jej usta poruszały się, kontynuując tę samą cichą rozmowę, jaką prowadziła już od dawna, aczkolwiek teraz, kiedy coraz to kolejne przewody smagały z sykiem powietrze, powstał tak duży hałas, że nie było słycać, co kobieta mówi. Wydawała się szczęśliwa. Zupełnie spokojna. Jej słowa, na ile Clark potrafił je wyłowić, brzmiały „cudownie”, „wspaniale” oraz „osiągnięcie”...

Runęło kolejne przepięcie i w stronę klatki posypały się płaty farby, całe płachty butwiejącego płótna, wraz z dymem i kurzem. Wstęgi podartej dekoracji musnęły pręty i natychmiast zostały wessane do środka, niczym śmieci do studzienki. w następnej chwili płonęło już całe malowane Los Angeles. Zaraz potem w płomieniach stanęły sznury, na których wisiła klatka. Zakolęsała się, po czym gwałtownie spadła, wzbijając wokół tomado światła i pyłu, niszcząc kolejne elementy sceny.

Istota wewnątrz rozpostarła ramiona i wydała z siebie głośny, brzmiący jak sprzężenie zwrotne, ryk. Teraz tworzyły ją przede wszystkim kłęby dymu i ognia, lecz Clark widział w niej również miejski smog, migające światła i cienie Los Angeles. z projektorów i ikonoskopów wysmyknęły się rozkręcone już taśmy z celuloidu i metalu, zjawia wessała je także. Teraz była większa od jakiegokolwiek człowieka. Jej głowa sięgała niemal dachu hangaru. Wszystkimi dookoła zatrzęsło i posypał się deszcz fragmentów podtrzymujących oświetlenie rusztowań. Clark upadł na bok i poczuł przy tym, że pęka coś w krześle, do którego był przywiązany. Zaczął kopać i się szarpać, aż wreszcie rozpadło się zupełnie. Podniósł się niepewnie na równe nogi i ze-

rwał z nadgarstków ciągnące się kawałki sznurów i płótna.

Rozejrzał się. Barbara wciąż siedziała skrepowana, ale zauważyła, że płomień oblizują podłogę coraz bliżej i zaczęła się kołysać w przód i w tył. Ruszył ku niej i natychmiast wyciągnął się jak długi – potknął się na linie, która nadal oplatała mu kostki.

– Jezu, Clark! Nie mógłbyś już przynajmniej zacząć mnie ratować...?

a przecież właśnie to robił! w każdym razie próbował, choć miał zdrętwiałe palce i ledwie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Wreszcie jednak liny ustąpiły i już pomagał Barbarze, czy raczej zmagął się z nią, by wreszcie oderwać cholerne krzesło od jej rąk i nóg. Wraz z podmuchem iskier przeleciało obok nich coś wielkiego – być może żuraw mikrofonu.

Mimo że trudno było sobie wyobrazić jeszcze wyższą temperaturę, powietrze nagrzewało się z każdą chwilą coraz bardziej. Wstrząsana torsjami i kaszlem dziewczyna dźwignęła się z podłogi.

– Tędy! – krzyknął, chociaż poczucie kierunku stracił już jakiś czas temu.

Barbara splunęła, pokręciła głową i, bezgłośnie poruszając wargami, powiedziała tylko „Dan”.

Przebrnęli przez labirynt wymachujących we wszystkie strony kabli i płonącego sprzętu. Powietrze falowało. Wszystko rozplątywało się w płomieniach.

Daniel Lamotte wciąż jednak siedział na scenie i nadal był nieprzytomny. Nie mieli czasu, by zrobić cokolwiek więcej, więc pociągnęli go wraz z reżyżerskim fotelem po podłodze. Ale zaraz, zaraz... Za nimi był ktoś jeszcze. Penny Losovic rozłożyła ramiona i w jakiś sposób wciąż słyszeli jej ciche okrzyki zachwytu, kiedy szła jakby na powitanie, ku istocie z żywego ognia. Wtedy jednak, wraz z ostatnim katastrofalnym wstrząsem, pękł jakiś główny element konstrukcji hangaru i cofnęli się natychmiast.

Gdy odciągali Dana, wszystkie sztuczne lasy, gipsowe góry i jeziora z folii aluminiowej stały już w płomieniach. Udało im się dotrzeć pod ścianę i po omacku ruszyli wzdłuż niej – w dymie nie było widać zupełnie nic. Zaraz potem rozpadł się cały budynek i wyrzuciło ich na zewnątrz.

Później Clark miał się często zastanawiać nad tą chwilą; dlaczego właściwie, kiedy płomień zrobiły to, co mają w zwyczaju, czyli zaczęły wsysać więcej powietrza, nimi cisnęło w drugą stronę. Wtedy jednak, gdy wraz z Barbarą pobierali się z betonu i obejrzeli na wzbijające pod niebo galwani-

zowane ściany Hali Zdjęciowej 1A, był w stanie myśleć tylko o kolejnym hańsacie powietrza i odczłoganu się od pożaru.

Mimo że na plecach wciąż czuli żar płomieni, noc okazała się cudownie chłodna. Clark pomógł dziewczynie rozwiązać nogi i ręce Daniela Lamotte'a. Mężczyzna jęknął, z ust pociekła mu ślina. Poruszył oczyma. Przez twarz przemknął mu wyraz zdumienia. Dzwony i syreny były już dość głośne. Pierwszy wóz straży pożarnej pojawił się, gdy przenieslii ocalonego na spłacheć trawy. Kiedy go ułożyli, ujrzeli armadę białych karet i czarnych policyjnych radiowozów.

– Hej! – krzyknęła Barbara do wysiadających z samochodów mundurowych. – Mamy tu rannego!

– Nie możemy...

– Tak, Clark. Nie możemy go tutaj zostawić – przerwała mu z naciskiem.

Kiedy sanitariusze ruszyli w ich stronę, oboje wycofywali się już w cień. Hala 1A była nie do uratowania – rozszalałe, jęczące piekło – i strażacy trzymali się od pożaru w znacznej odległości. Przymykając wokół tego, co do niedawna stanowiło front budynku, Clark zauważył czarnego sedana mercury, samochód Penny Losovic. Barbara go wyprzedziła i zanim ją dogonił, otworzyła już drzwiczki i usiadła za kierownicą.

– Umiesz prowadzić? – spytał.

– a jak myślisz, po kiego diabła tu siadam?

Przez tylną szybę widać było niesamowitą scenę. Na niebie pulsowało światło z płonącego hangaru. Kiedy dziewczyna poprowadziła wóz alejką ku bramie, Clark zauważył na tle ognia sylwetkę tłustego gliniarza. Facet nie miał na głowie czapki i patrzył prosto na nich.

– Gdzie zostawiłeś delahaye'a?

Wymijając pierwszą falę gapiów i pismaków, wypadli na Overland Avenue.

– Na wschód. Nie, nie tutaj... Następnym zakręt.

Samochodem zarzuciło.

– Nadal mamy czas, Clark. Jeżeli uda mi się zmusić Dale'a, by zaczął drukować, a ty zdołasz dotrzeć do Biltmore, nie ma powodu, żebyś nie...

– Barbaro! To nie jest zwykła sensacyjka na pierwszą stronę, to coś...

– Clark, Jezu! Musisz pojechać do Biltmore. Nie możesz, po prostu nie wolno ci tak...

– Nie, nie. Zrobię co mogę. a ty faktycznie powinnaś spróbować wydać tę

swoją gazetę. Kto wie. Może dzięki temu w Los Angeles pojawi się choć trochę autentycznej prawdy. Ale chodziło mi o to, że nie widzę możliwości, by ta historia dobrze się dla nas skończyła.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Skrzynia biegów delahaye'a zgrzytała jakby dostały się do niej okruchy porcelany. Dzisiejszej nocy miasto miało stalowy połysk – mieszanka morskiej mgły, smogu i dymu z płonącego hangaru 1A. Opar pochłaniał palmy, przyćmiewał skrzyżowania, kręcił piruety wokół latarni, przeobrażając wszystko i wszystkich – zygzaki nowoczesnych budynków, kobiety wyprowadzające na spacer psinki w wysadzanych brylantami obrożach, bosych włączków próbujących sprzedawać scenariusze – w mgłę, w plazmę, w sen.

Okolice hotelu Biltmore były niemal tak jasne jak dawna wytwórnia MGM. Niebo przecinało tak wiele promieni szperaczy, że wyglądało to zupełnie jak kronika filmowa z Londynu. Brakowało jedynie bomb i wyjących samolotów. Clark zaparkował z tyłu na South Broadway i ruszył, zmęczony i nieufny, ku czekającemu już ognisku sławy.

Impreza przypominała największe premiery. Po obu stronach skrzyżowania Olive i Piątej ustawiono trójpoziomowe trybuny, po których przelewały się fale ekscytacji za każdym razem, gdy podjeżdżała kolejna limuzyna. Pojawiły się wszystkie gwiazdy Senseramy, oraz większość miejskich notabli. Harmsworth Fowley w swym tradycyjnym fularze i z fajką. Mark Crave i Peyton Jones, nadal pod rękę, mimo plotek o znalezieniu w ich basenie trupa młodego Portorykańczyka. Potem nadciągnęła Monumenta Loolie, która moment wysiadania z cadillaca miała opanowany lepiej niż dowolną ze swych zazwyczaj sztywno odgrywanych ról. Największą gwiazdą tego konkretnego wieczoru był jednak Herbert Kisberg. Kiedy wysiadł z limuzyny, gdy popra-

wił mankiety i rozejrział się wokół spojrzeniem jak zwykle pytającym: „Wy wszyscy naprawdę do mnie?“, kiedy uśmiechnął się tym uśmiechem małego chłopca, wydawał się aż zbyt rzeczywisty, by być prawdziwym, jak zwykle są ludzie stojący u progu wielkości. w tej chwili pole Bechmeira nie było potrzebne – tłum już teraz stanowił rozkołysaną zbitkę potu, oddechów i pragnienia. Pod warstwą smrodu pach, tanich papierosów i jeszcze tańszych perfum, dało się wyczuć woń naturalnej plazmy ich fal myślowych. Przypominała zapach wyrzuconego na plażę wypalonego wraku.

Clark pamiętał, w jaki sposób należało sobie radzić z tymi wszystkimi światłami i spojrzeniami. Odgarnięcie włosów, przelotnie rzucony uśmiech, odwieczne wyzwanie niezmiennych pytań, zadawanych z taką ekscytacją, jakby były zaskakująco nowe. Anakondy przewodów elektrycznych zasilają las świateł, obiektywów i mikrofonów. Na miejscu byli reporterzy rozgłośni KFI i KJH, oraz kamerzyści Pathe i Movietone. Wszystkie stacje zdeklasowała NBC, która miała z hotelu na cały kraj emitować na żywo swój najpopularniejszy program, „Star Talk”.

Clark zdawał sobie sprawę, że nie wygląda najlepiej, a jednak nazwisko Daniela Lamotte’a sprawiło, że na liście gości odhaczono kolejną pozycję, a oprychy z ochrony pozwoliły mu wejść. Twarz miał poczerniałą od sady, ubranie równie brudne – zapewne wyobrazili sobie, że jest już przebrany do jednego z tych numerów o Murzynach, na których tak świetnie zarabiali biali komicy. Oczywiście nie pozwolono mu wejść na czerwony dywan, niemniej, gdy usunięto ostatnią aksamitną linę i wszedł przez szklane drzwi do holu Biltmore, poczuł echo dawnych czasów.

Dzisiaj jednak skala była znacznie większa. Nie chodziło przecież tylko o filmy, nawet nie tylko o emotyki, tu rozgrywano politykę – o ile wciąż istniała jakaś różnica. Ludzie zmierzający do słynnej sali balowej hotelu rozmawiali głośnymi, zziąjanymi głosami, przystając jedynie po to, by sięgnąć po wysoki kieliszek szampana i zerknąć na plan rozmieszczenia gości, z uśmiechem sugerującym, że lokalizacja nie ma dla nich żadnego znaczenia.

– Dan, Daniel...!

Zbyt wolno zareagował na wołanie Timmy’ego Townsenda.

– Dan, gdzieś ty był? No nic, dzięki Bogu, już się znalazłeś. Tylko w coś ty się kurwa, wystroił? Co się stało...?

– Samochód mi się rozkraczył.

– Posłuchaj dobrej rady, mój drogi Danny, i nigdy nie tykaj się niczego, co jest zarazem mechaniczne i francuskie. Żabojady może i wiedzą, co podać na obiad, ale poza tym... sam rozumiesz. – Promienny jak zawsze, z rozpalonymi oczyma i policzkami, z wilgotnym i czerwonym koniuszkiem nosa, Timmy Townsend pokręcił głową. – Po prostu nie mają tego we krwi. To zupełnie tak, jakbyś oczekiwał od czarnucha, że rozegra z tobą partyjkę szachów. Oczywiście, kiedy Niemcy zrobią z nimi porządek, wszystko się zmieni. Wtedy Francuziki będą jak ta dziwka, która daje przez całą noc, a rano jeszcze zmienia pościel. Schludni i rozrywkowi zarazem, wiesz co mam na myśli. a skoro o tym mowa, to musimy cię jakoś doprowadzić do porządku...

Blitmore zapewnił większość potrzebnych rzeczy. w długiej piwnicy hotelu czekało dość wieczorowych sukni, smokingów, koszul, krawatów i wszelkich innych elementów odzienia, by można było wyposażyć sporych rozmiarów sklep. Timmy Townsend czekał, gdy Clark rozbierał się i mył parującymi rękami, po czym zaczął się przebierać. Producent wciąż opowiadał o różnych cudownych osiągnięciach, jakie miały stać się udziałem narodów Europy, gdy tylko Niemcy ustawią je do pionu. Zupełnie jak wcześniej na Barbarze Eshel, choć z innych powodów, widok nagiego tyłka Clarka nie zrobił na Timmym najmniejszego wrażenia. Dziwnie było pomyśleć, jak bardzo wpływowi goście są przyzwyczajeni do oglądania swych ciał w negliżu: w łaźni tureckiej, pod prysznicem, po meczu polo, tudzież wspólnie zabawiając się z kilkoma laluniami w hotelowym apartamencie. Zupełnie jakby posiadali dodatkową powłokę luksusu, której nagość nie była w stanie usunąć.

– Czasami się zastanawiam, dlaczego Herbertowi w ogóle chce się bawić w Amerykę – mówił, wręczając Clarkowi obramowany czerwonym jedwabiem smoking. – Kalifornia jest na tyle potężna, by stać się samodzielnym państwem. w końcu, komu, do cholery, jest potrzebna Iowa? Albo takie zaszczarne wiochy jak Arkansas? Kurwa, gdybyśmy tylko zechcieli, to nawet jutro moglibyśmy sami podbić Meksyk...

Clark skończył wkładać wart sto dolców smoking, po raz ostatni – był tego pewien – wsunął na nos okulary Daniela Lamotte'a i wrócił za producentem do głównej części Biltmore. Kiedy szli przez kolejne, rozmaicie wystylizowane sale, przypomniał sobie historię z Biblii, którą opowiedziała mu niegdyś Jenny. o takim facecie – zdaje się miał na imię Samson – któremu

obcięto włosy, po czym został przywiązany do jakiejś kolumny w złotym pałacu, zupełnie takim jak ten, i który rozwalił w puch całą budowlę, wraz ze wszystkimi sofami, kanapami i całą resztą.

– Opowiem ci, kochany, jak będzie wyglądać wieczór. Pierwsza połowa przedstawienia to po prostu program rozrywkowy. Następnie przerwa, kiedy Wallis Beekins przeprowadzi z tobą wywiad na żywo, a w drugiej części na scenę wejdzie Herbert, który poprosi o skierowanie światła na Larsa Bechmeira. Wtedy tłum oczywiście zwariuje, a on ogłosi...

– Co mam powiedzieć, Timmy?

– Co masz powiedzieć? – Timmy spojrział w zdumieniu. – Dan, powiesz, co zechcesz. Opowiesz o „Obudź się i śnij”. Dlaczego to napisałeś i jaka to była dla ciebie wielka przygoda i odkrycie. Ten sam kit co zwykle. Chyba nie masz nic przeciwko, co?

– Raczej nie.

– Hej! – Producent objął Clarka ramieniem. – Nie masz się czym martwić. Słuchacze połkną wszystko, cokolwiek od ciebie usłyszą. w końcu, kurde, czy oni wiedzą coś, czego my nie wiemy?

Stanęli na skraju sali balowej – szumiącego morza szkła, obrusów i oblicz. Uwaga Timmy’ego Townsenda zaczęła odpływać. Jak wszyscy, sprawdzili szybko rozmieszczenie miejsc i ruszyli do swych oddzielnych stolików, dokładnie w chwili, gdy orkiestra Freda Waringa odegrała pierwsze takty „Devil got my woman”, a światła zaczęły ciemnieć.

* * *

Wszystko się uspokoiło. Podano jedzenie. Kiedy Clark podniósł do ust pierwszy kęs musu z łososia, zauważył, że trzęsą mu się dłonie. Na nadgarstkach zaczęły się pojawiać wywołane przez więzy sińce. Obciągnął mankiety i uśmiechnął się do sąsiadów przy stoliku. Nie posadzono go z nikim znaczącym i kiedy oświadczył, że jest zaledwie scenarzystą, odpowiedziały mu pełne zawodu miny. Towarzyszyli mu facyci produkujący winogronowe cukierki, odświeżacze powietrza, stelaże kabin prysznicowych – przyszli tu dzisiaj wraz ze swymi drugimi żonami, by wchłonąć nieco blasku sławy, a na konto Ligi Wolności przelali sumy, za które spodziewali się usiąść z kimś, kto byłby prawdziwą hollywoodzką osobistością – gwiazdą, lub przynajmniej aktorem charakterystycznym – a nie typkiem, który tylko pisał im teksty. Niemniej, rozchmurzyli się nieco, gdy rozpoczęła się część artystyczna wieczoru,

i z zadowoleniem gawędzili pomiędzy kolejnymi numerami o tym, że przeciętny robotnik nie nadaje się do niczego, o tym, że dowiedziono już naukowo, że czarnuchy nie posiadają prawdziwych dusz („Tak, widziałem nawet zdjęcia. Uwierzcie mi, typowy asfalt ma aurę mniej więcej taką samą jak kostka mydła”) oraz o tym, że następną fabrykę planują otworzyć w Tijuanie, ponieważ koszty pracy za granicą są znacznie niższe.

Na scenie produkowała się orkiestra Freda Waringa, a potem wystąpiła kobieta szeroko znana z tego, że umiała jednocześnie śpiewać i pływać. Później pojawił się pewien stary komik, co do którego Clark był do dziś przekonany, że już nie żyje, oraz całe szwadrony tancerek wystrojonych w niewiele więcej niż cekiny i uśmiechy. Program nie wydał mu się szczególnie interesujący, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że to jedna ze starych sztuczek branży. „Jeśli chcesz zrobić wstrząsające wrażenie w drugim akcie, w pierwszym powinieneś zanudzić widzów na śmierć...”. Po chwili zapalały się już światła, sala balowa eksplodowała świeżą falą oklasków, a jakaś przeciętnie powalająco piękna blondynka w czarnej wieczorowej sukni z głębokim dekoltem stuknęła Clarka w ramię i, posługując się wonnym szeptem, powiedziała coś o „Star Talk”, po czym zapytała, czy zechciałby pójść za nią...

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Wokół aż roiło się od osiłków. Faceci tak nabici pod swymi watowanymi marynarkami, że wyglądali jak ekskluzywne wersje maskotki Michelina. Go-ryle z prywatnych firm ochroniarskich, obdarzeni tym rodzajem spojrzenia, które – nawet gdy nie mieli na sobie ciemnych okularów – przesywało człowieka na wylot, a także bardziej ostentacyjny rodzaj osiłków – krótkie fryzury, mundury Ligi Wolności w kolorze khaki. No i zawodowi gliniarze, którzy nigdy nie widzieli chodnika. Oraz inni, zupełnie nieostentacyjni, ci, których zapewne nawet nie zauważał.

Tak właśnie, stwierdził w duchu, idąc za kołyszącą biodrami, przeciętnie powalającą piękną blondynką, prowadzącą go przez zalany fluorescencyjnym światłem korytarz, będzie wyglądać przyszłość. Hotele w rodzaju Biltmore rozrosną się jeszcze bardziej, zrosną się z galeriami handlowymi i nowi Amerykanie będą całe życie spędzać w zamkniętych pomieszczeniach i pod ziemią, omamieni sączącą się z ukrytych głośników muzyką i polem Bechmeira. Zupełnie jak już w tej chwili w Met, tyle że z towarzyszeniem eleganckich dywanów, nieograniczonych możliwości wydawania pieniędzy i pod plastikowymi palmami. Nie będzie też żadnych przymusowych lobotomii; po prostu przestaną być potrzebne.

NBC nadawało z pomieszczenia składającego się z kilku tymczasowo połączonych pokoiów. Clark zobaczył jeszcze więcej uroczych kobiet, przystojnych facetów i kolejnych mięśniaków. Byli także chuderlawi technicy dłubiący przy drogim sprzęcie elektrycznym. Sceneria w zasadzie nie odbiegała

zbytńio od tego, do czego oglądania ostatnio przywykł. z głośników leciały najnowsze reklamy środków czystości. w najdalszym z pomieszczeń, oddzielonym od reszty studia przepierzeniem, królował Wallis Beekins. Tuląc w dłoni dużą whisky, wypluwał z siebie kolejne polecenia. Gdy Clark wszedł, początkowo nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Beekins, jak wszyscy, miał na sobie smoking, z trudem ukrywający rozepchaną wydatnym brzuchem kraciastą i poplamioną jedzeniem kamizelkę. Nosił również koszmare, dwukolorowe półbuty, lecz Beekins był jednym z tych dziwnych stworzeń show-biznesu, których wygląd nie miał znaczenia. Liczył się wyłącznie ten głos, który tak dziwnie było usłyszeć na żywo, dobywający się z ust pulchnego, niskiego gościa z nażełowaną, fircykowatą fryzurą, przechadzającego się w tę i z powrotem. Wrażenie było tym bardziej dziwne, że facet kłął jak pijany szewc.

Stojąc tam, na kilka chwil przed szansą, by zmienić bieg historii, Clark czuł się równie skupiony jak za dawnych lat tuż przed wyjściem na deski teatru. Nie dojdzie do beładnej sceny, jaką sobie wyobrażał wcześniej. Nie będzie niewyraźnie bełkotać. Będzie mówić precyzyjnie. Będzie mówić spokojnie. Będzie, kurwa, skoncentrowany. Jeszcze jedna piękna kobieta – tym razem brunetka – cichym szeptem informowała go, jakie usłyszy pytania, ale Clark miał wrażenie, że już od dawna zna je wszystkie, podobnie zresztą jak odpowiedzi. Oczywiście – jak tłumaczyła ta cizia, kiedy w tle leciała deklamowana przez Johnny’ego Roventiniego^[19] reklama papierosów „Philip Morris” – miało paść pytanie o powód, dla którego uznał, że to dobry moment na stworzenie scenariusza biograficznego o życiu Larsa Bechmeira, o jego start od zera, o to, w jaki sposób cały świat, bo przecież nie tylko rozrywka, został odmieniony przez to tak zwane odkrycie, i może nawet mógłby powiedzieć parę słów o niedawnej, tragicznej śmierci swej żony April? Tak, owszem. Mógł opowiedzieć o wszystkim. Wystarczy udzielać prostych odpowiedzi na zadane pytania. Jedynym wyzwaniem było pozostać w roli Daniela Lamotte’a przez kilka kolejnych minut.

– Wszystko w porządku, panie Lamotte? – Piękna kobieta uśmiechnęła się do niego. – Jest pan gotów?

Wallis Beekins odstawił szklaneczkę i przywitał się z nim uściskiem dłoni, oceniając jednocześnie – jak robią wszyscy prowadzący – czy nie widać żadnych tików, oznak nerwowości lub innych zwiastunów kłopotów.

– Czyli to pan jest Danielem Lamotte’em. – Głos teraz wyraźnie zwolnił; miód i czekolada na gorąco. – a ja, cóż, jak sądzę, nazywam się Wallis Beekins. Podejrzewam to, ponieważ za każdym razem, kiedy chcę posłuchać tego faceta w radiu, okazuje się, że siedzę w robocie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Gość był prawdziwym zawodowcem. Po tem wymieniono się okrzykami i umówionymi sygnałami, osoby postronne i ciekawscy zostali wyproszeni i zamknęły się drzwi studia. Wewnątrz zostali jedynie Wallis Beekins, Clark i typek w słuchawkach, siedzący przed pulpitem realizatora. Cała pozostała przestrzeń była zajęta przez wyciszające ekrany oraz stół, na środku którego unosiła się metalowa pięść mikrofonu „Shure”.

– No dobra, kochanieńki. Mamy delikatne opóźnienie. Przeciągnął się serwis informacyjny. Na terenie jednej ze starych wytwórni filmowych wybuchł spory pożar i wiele się tam dzieje. Ale cóż, tak też bywa. Wchodzimy za minutę. Najpierw sam powiem kilka słów, a potem zadam ci parę sympatycznych i prostych pytań. i to wszystko. Nic łatwiejszego. Nie musisz się pochylać ani podnosić głosu. Rozmawiaj ze mną tak samo, jak byśmy gawędzili sobie przy piwku w barze na rogu. Aha, jeżeli lubisz dla podkreślenia swych słów walnąć grabą w stół, to się powstrzymaj, bo efekt byłby taki, jakby Los Angeles nawiedziło wreszcie to zapowiadane apokaliptyczne trzęsienie ziemi. Eddie, z głośnością wszystko okej?

– Będę wiedział, jeżeli pan Lamotte zechce coś powiedzieć.

– Cieszę się, że tu jestem.

Eddie uniósł kciuk.

Wallis Beekins uśmiechnął się szeroko.

– Widzę, że ma pan naturalny talent, panie Lamotte. a może robił pan to już wcześniej? Lub coś podobnego?

– Tylko troszeczkę.

– To świetnie. – Jak wszyscy zawodowcy, w miarę jak zbliżał się moment występu, Wallis Beekins wydawał się coraz bardziej swobodny i rozluźniony. z doświadczenia Clarka wynikało, że tego rodzaju faceci, jeżeli mają kłopoty, to nie w pracy, a z całą resztą życia. – Eddie, odlicz nam, kiedy będziesz gotów...

Eddie skinął głową i nagle zrobiło się bardzo cicho. Clark oparł się potrzebie odchrząknięcia. Zamiast tego przyjrzał się mapie splekanych naczynek na nosie Beekinsa i pomyślał o milionach rodzin tłoczących się w domach wo-

kół radioli, o Glory słuchającej w swojej kanciapie w Venice, o sprzątaczkach machających mopami w pustych biurach, o kierowcach ciężarówek mknących po asfaltowych szosach, o dzieciakach chowających się pod kocami z niewielkimi odbiornikami, o zapomnianych starych kobiecinach w mieszkaniach na szóstym piętrze, które poza radiem nie słyszały innego ludzkiego głosu.

Wreszcie Eddie uniósł dłonie i rozprostował wszystkie dziesięć palców, po czym zaczął je kolejno zaginać. Wallis Beekins rozruszał szczękę, pomasaował twarz. Kiedy realizatorowi zostały już tylko trzy palce, przycisnął do ucha słuchawkę, po czym pokręcił głową i przeciągnął wskazującym palcem po gardle.

Wallis Beekins westchnął. Wyglądał, jakby miał ochotę cisnąć mikrofonem przez studio, lecz zwyciężył w nim zawodowiec.

– Jeszcze nie wchodzimy? Ileż mogą trwać wiadomości?

– Nie o to chodzi. – Eddie zmarszczył brwi. – Tylko...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadło dwóch goryli w smokingach, którzy dotąd stali na zewnątrz. Za nimi nadciągnęło kolejnych trzech.

– No cóż... – Beekins cicho westchnął, kiedy faceci chwycili Clarka pod pachy i podnieśli z krzesła – ...wygląda na to, że mamy niewielką zmianę planów... Lepiej z nimi idź, kochanieńki...

Kiedy Clarka wyciągano za drzwi, Beekins pytał już Eddiego, w jaki sposób wypełnią lukę w programie.

* * *

Ochroniarze mieli wielkie łapy ze starannie obciętymi paznokciami i pachnieli czystą szatnią siłowni. Wyprowadzili Clarka z zajmowanych przez NBC pomieszczeń. Nie zwróciła na to szczególnej uwagi żadna z wielu powalająco pięknych kobiet, ani żaden z pozostałych mięśniaków czy techników.

– Proszę z nami, panie Lamotte, tędy... – powtarzali porywacze niczym mantrę.

Próbował kopać i się szarpać, lecz ich ramiona przypominały skórzaną uprzęż.

– Ja nie jestem Danielem Lamotte'em. Słuchajcie, jeśli mnie puścicie... Tylko na...

Wymierzone z wprawą uderzenie pięścią stłumiło resztę zdania, po czym futryna drzwi z impetem zderzyła się z jego plecami. Stało się jasne, że nie

są skłonni do współpracy.

– Proszę z nami, panie Lamotte...

z jednej strony korytarza, w którym się znaleźli, słychać było orkiestrę Freda Waringa, akompaniującą Irene Bosener śpiewającą „Don't Mess With My Mister”, ale Clarka prowadzono gdzie indziej. Podwójne drzwi otworzyły się gwałtownie pod naporem jego twarzy. Okulary przekrzywiły mu się na nosie. Teraz widział już tylko rozmyte lampy na suficie. Nagle jednak goryle zamarli. Jeden z nich szepnął coś kolegom. Clark – którego rzucili na ziemię i odsunęli na bok jak worek ziemniaków – odniósł wrażenie, że ktoś się ku nim zbliża.

i faktycznie. Osłabiony wzrok ukazał mu dwie pielęgniarki w mundurkach bardziej odsłaniających niż zakrywających uda i dekolty, oraz starego faceta na wózku. Była to zapewne najdziwniejsza procesja, jaką korytarze Biltmore widziały przez cały wieczór, chociaż Clark zauważył że Lars Bechmeir został odpicowany bardzo starannie. Miał na sobie nowy smoking, lśniące buty, wykrochmaloną koszulę i elegancko zawiązany krawat. Wystające z tego stroju szyja i dłonie wydawały się jednak jeszcze bardziej gadzie i wysuszone niż wczoraj. Tylko oczy ukryte za sowimi okularami spoglądały jasno. Kiedy mierzące prosto przed siebie wzrokiem i piersiami pielęgniarki doprowadziły wózek na wysokość siedzącego pod ścianą Clarka, Lars Bechmeir obejrzał się na niego, aż oprawki jego wielkich szkieł trąciły biodro jednej z kobiet i zsunęły mu się z nosa. Bez soczewek wyglądał zupełnie inaczej, a niezwykła przenikliwość jego spojrzenia raczej się wzmogła niż przygasła. Gdy zaczął się oddalać, nadal wykręcał głowę ku Clarkowi, który odpowiadał mu teraz podobnie intensywnym spojrzeniem. Nagle się rozpoznali.

Otto! To był Otto Frings, ten, który mieszkał za cienką jak papier ścianą w pokoju obok mieszkania Peg. Otto, który uciszał ich, stukając miotłą. Otto, którego Clark nakrył na gapieniu się w okno Peg. Otto, o którym Bogy opowiadał, że widział go ostatnio z zabandażowaną twarzą. Otto, jeden z klientów Hilly'ego Feinsteina. Otto, który mimo swego klasycznego, aktor­skiego wykształcenia, całymi latami nie mógł znaleźć zajęcia. Chociaż nie, znalazł. Dorwał najtłustszy z tłustych kąsków. Otrzymał rolę Larsa Bechmeira.

– Otto, to ja! Clark Gable, pamiętasz? Pamiętasz Hilly'ego i Peg? Pamiętasz... – Tylko co właściwie mógł jeszcze pamiętać? Nigdy nie byli bliskimi

znajomymi. – Thrasis, kurwa. Otto, pamiętasz Thrasis? i wszystkich, którzy zginęli...

Goryle musieli być przekonani, że zdołali go już zupełnie zgłuszyć, ponieważ zareagowali z zaskakującym opóźnieniem. Jednakże skutecznie. Kolejne celnie wymierzone uderzenie pozbawiło go tchu, ale znikający za zakrętem Otto wciąż na niego patrzył. Ostatnie, co ujrział Clark, to szeroko otwarte zaskoczenia oczy i słabe usta – wiele się w nim zmieniło, lecz nie to – potwarzające bezgłośnie „Thrasis”.

Ochroniarze pociągnęli Clarka dalej. Przez kolejne drzwi i następne – bardziej brudne i lśniące – korytarze, wypełnione pobliskimi dźwiękami kuchni. Potem w dół po schodach na zewnątrz i w noc wirujących gwiazd i cuchnącego śmieciami powietrza. Czekał na jeszcze jeden cios, lecz ten nie nadchodził, mimo że dwóch osiłków wciąż go trzymało, natomiast trzeci zaczął grzebać pomiędzy koszami na śmieci i kartonami, jakby coś zgubił. Po chwili podniósł z ziemi długi na jard żelazny pręt, uderzył nim w swoją dłoń, po czym gruchnął o śmietnik, na tyle mocno, że powstało okazałe wgłębienie. Zrobiło się jeszcze ciszej niż przedtem w studiu NBC. Clark odniósł wrażenie, że wszyscy przestali nawet oddychać, i uświadomił sobie, że tu nie chodzi o jakieś standardowe pobicie. Ci faceci zamierzali go wykończyć. Od jakiegoś czasu wiedział, że to wszystko musi się gdzieś i kiedyś skończyć. Dotąd miał jednak nadzieję na przyjemniejsze okoliczności.

Goryl chwycił sztabę niczym Babe Ruth ściskający kij baseballowy, podszedł kilka kroków bliżej, rozstawił szeroko nogi i wziął zamach.

– Hej, hej, chłopcy... – z ciemności wypłynął głos, za którym pojawiła się pulchna sylwetka w mundurze. – Wiem, że macie swoją robotę, ale ja też mam co nieco na głowie. Na przykład, powinienem dopilnować, żeby na mojej zmianie nikomu nie rozwalono łba. Przynajmniej dopóki nie wrócę do domu... – Funkcjonariusz Doyle wcisnął kciuki za pas, na którym wisiał pistolet. – Łapiecie, koledzy?

Rzucili Clarka na beton. Żelazny pręt brzęknął gdzieś obok. Osilki pośpiesznie zniknęły.



tował przez ponad 40 lat.

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

– Chyba mogłem cię aresztować i nadal mogę, jeśli bardzo chcesz. Mogłem też zostawić cię tym oprychom. Ale odkąd zabraliśmy cię do ratusza i pokazaliśmy ci ciało kobiety, która podobno była twoją żoną, czułem, że coś jest nie tak. a dzisiejszego wieczoru to wrażenie jest silniejsze niż kiedykolwiek.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedzieć? – Doyle zachichotał. Pomagał Clarkowi iść przez korytarz Biltmore. – Nie jestem pewien, czy chcę, byś mówił cokolwiek. a w zasadzie wiem, że nie chcę, bo jestem przekonany, że cokolwiek mi powiesz, to nie będzie to, co chciałbym usłyszeć. Za to ja mogę cię poinformować o paru sprawach; uważaj na krew, leci ci z nosa. i przykro mi, że zdeptali ci okulary. No więc dopiero co przywieźli do szpitala faceta, który jest gotów przysiąc, że nazywa się Daniel Lamotte. z tego pożaru. i nie ma pojęcia o śmierci żony. Poza tym, wcale nie jest do ciebie podobny. Ale kiedy włączyłem NBC, zapowiedzieli, że ten cały Daniel Lamotte ma właśnie wystąpić u Wallisa Beekinsa w programie nadawanym na żywo z Biltmore. Aha, czy wspomniałem już, co jeszcze znaleźliśmy w tej starej wytwórni? Chociaż ty tam byłeś. Jestem pewien, że widziałem, jak uciekałeś z jakąś panienką skradzioną taksówką.

– Nie była skradziona. Ten samochód...

– Zamknij się, kurwa, dobrze? w pracy gliniarza jest pełno spraw, których lepiej nie wiedzieć. Bywają też takie chwile. Na przykład, kiedy świecisz la-

tarką do zaparkowanego na poboczu samochodu i widzisz burmistrza ze ściągniętymi do kostek gaciami. Albo gdy w biurze prywatnego detektywa zaczyna potężnie śmierdzieć. Życie jest pełne zakamarków, do których lepiej nie zaglądać, i myślę, że to właśnie tego rodzaju sytuacja. Uważaj na stopień. Szkoda, że tak ci zapaskudzili koszulę. Oho, kolejny stopień... – Wchodzili po służbowych schodach Biltmore. – Tak więc trafiłem tutaj jako jedyny policjant, który może kogoś zamknąć, ale głowa mnie boli na samą myśl o wypełnianiu papierów. Mam jeszcze na głowie przynajmniej dwa inne trupy i kilku innych ludzi w kiepskim stanie, tutaj tymczasem odbywa się ten wyborczy spęd, ci gnoje szykowali się, by zrobić ci coś paskudnego, policyjne radio szaleje, a ja nie wierzę, że to wszystko jest dziełem przypadku.

Clark wreszcie poczuł się pewniej na własnych nogach. Przed nimi, za częściowo zaciągniętą zasłoną tłoczyła się grupka ludzi. Obejrzeni się na Clarka i funkcjonariusza Doyle'a, po czym szybko popatrzyli w dół z balkonu, na którym stali. Wszyscy byli pracownikami hotelu, ani jeden nie był biały i zapewne powinni w tej chwili pracować. z ich galerii jednak rozciągał się świetny widok na salę balową Biltmore.

– Tak więc... – mruknął funkcjonariusz Doyle, gdy przecisnęli się między nimi w poszukiwaniu wolnego miejsca. – Może zaczekamy i zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie?

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Trwał jeden z tych najważniejszych wieczorów. Taki moment, o który wy-
pytują potem wszyscy w mieście. Reakcja wywołana pojawieniem się męż-
czyzny na wózku inwalidzkim przerosła standardową, tak zwaną burzę okla-
sków. w ostrym świetle reflektora wyglądał niezwykle krucho, a jednocześnie
był wręcz niewiarygodnie obecny. Ogólny szok byłby z pewnością mniejszy,
gdyby na sali pojawił się Chrystus, dzieciak Lindbergha^[20] czy nawet Świę-
ty Mikołaj. Po chwili wszyscy obecni – z oczywistym wyjątkiem Larsa
Bechmeira – wstali i z dłońmi na sercach odśpiewali „Boże, pobłogosław
Amerykę”. Chwila była niezwykle podniosła, ciarki przebiegały po plecach i
melodię podjęła także większość służących na balkonie, oraz Clark i Doyle.
Wszystko to mimo faktu, że Irving Berlin, kompozytor tej pieśni, był żyd-
kiem i jakiś czas temu wyemigrował do Kanady. Na srebrnym ekranie wy-
świetlono obrazy złotych, amerykańskich prerii, śnieżnobiałych amerykań-
skich gór i białych amerykańskich rodzin. Gdy zebrani umilkli, przez chwilę
zamajaczył wśród nich drugi snop światła, po czym znieruchomiał na postaci
Herberta Kisberga.

Do tego momentu siedział – jak wszyscy – przy zwykłym stoliku, teraz
jednak wstał i goście raz jeszcze zaczęli bić brawo na widok tych jasnych
włosów i szczęki godnej upamiętnienia na górze Rushmore. Herbert Kisberg
pomachał im, uśmiechnął się i wyprostował. Odsunął krzesło i ruszył ku
drugiemu oświetlonemu człowiekowi. w wielkiej sali znowu zapadła wypeł-
niona szeptami cisza. i wtedy promienie reflektorów zwały się ze sobą, rozle-

gły się okrzyki zachwytu, ponieważ spotkali się, byli wreszcie razem – geniusz, który odkrył pole Bechmeira, i ów dostojny mąż, który miał niebawem zostać prezydentem. Clark zauważył, że Kisberg stanął w taki sposób, by wszystkie zdjęcia i filmy wyraźnie ukazały wraz z nim rozpostartą w tle na ścianie flagę Ligi Wolności. Przypomniawszy sobie coś, co Penny Losovic powiedziała o daremności tego, co zamierzał zrobić wraz z Barbarą. Czym to tak naprawdę było? Paroma niejasnymi słowami? Kilkoma plamami drukarskiej farby na tanim, gazetowym papierze? Kisberg wyglądał jak odlany z brązu lub złota. Już teraz wydawał się pomnikiem, który zapewne powstanie za jakieś dwadzieścia lat w Waszyngtonie staraniem wdzięcznych obywateli.

o ile obecność Herberta Kisberga była wyrazista, o tyle Lars Bechmeir, wtulony w swój fotel, z okularami na powrót nasuniętymi na nos, wyglądał tak delikatnie, że można się było obawiać, że jakikolwiek dodatkowy snop światła, fala oklasków bądź po prostu uwagi, zdmuchnie go lada chwila w nicość. Jakby wszystko, co stało się do tej pory, już teraz zdążyło go wycieńczyć i zaczął się zastanawiać nad odwrotem. Wtedy jednak coś się zmieniło. Lars Bechmeir poruszył się. Najpierw uniósł drżącą rękę, dotknął monarszej dłoni, którą Kisberg złożył mu na ramieniu, i wymamrotał coś, na co polityk zmarszczył czoło. Zaraz potem obie ręce Larsa Bechmeira wsparły się na poręczach fotela i kilka razy zadygotały z wysiłku. Wszyscy obecni na sali zrozumieli wreszcie, że odkrywca próbuje wstać.

Szmer zaskoczenia. Lecz proszę, Lars Bechmeir wysunął się już do połowy z siedzenia i zagrażało mu, że runie naprzód, przed czym uchroniła go jedna z pielęgniarek, które dotąd trwały czujnie z tyłu, niczym obdarzone wielkimi cyckami anioły. z zamieszania wyniknęła przedziwna scenka rodzajowa, aż wreszcie – wśród cichych okrzyków niedowierzania i głośno wyrażanych zachęt – Herbert Kisberg nie miał innego wyjścia, jak chwycić Larsa Bechmeira mocno za ramiona i dźwignąć go w górę.

Obie sławy stały, kołysząc się razem niczym wahadło, i zdawało się, że losy wieczoru chwieją się i ważą razem z nimi. Czy był to tylko jakiś spazm sędziwego wieku, czy może starzec naprawdę wiedział, co robi? Zaraz potem, gdy Lars Bechmeir podreptał w bok, stało się jasne, że tak, owszem, jest zdolny do pewnego stopnia się poruszać, a co więcej, wszyscy zrozumieli, czego chciał. Chciał wejść na scenę.

Oklaski, niczym ulewny deszcz, szumiały przez całą długą chwilę, gdy

Herbert Kisberg prowadził Larsa Bechmeira. Każdy stopień w drodze na podwyższenie został okupiony walką i kiedy Bechmeir dotarł na proscenium przed orkiestrą Freda Waringa, pod sztandarem Ligi Wolności wydawał się wyczerpany. Czuło się jednak również jego determinację. Wola wszystkich gości, a także każdego ze słuchaczy, wygłaszana osłupiałym głosem, mająca przejść niebawem do historii relacja Wallisa Beekinsa, a nawet przyciąganie obu punktowych reflektorów, wszystko to popychało starszuka naprzód. Podróż do ustawionego pośrodku sceny mikrofonu stanowiła dramat sam w sobie, a osoby, które potem oglądały wydarzenie w kronikach filmowych, relacjonowały, że chociaż z góry znały wynik, i tak nie były pewne, czy mężczyzna dobiegnie do celu.

Dobrnął. Lars Bechmeir – wciąż na pół podtrzymywany przez Herberta Kisberga – stanął za mikrofonem. Chwycił go jedną dłonią, po czym wykonał kilka dziwnych, rozedrganych gestów wolną ręką. Wszyscy zrozumieli, że odpycha swego dotychczasowego pomocnika, i Kisberg cofnął się, a oświetlający go reflektor zgasł, pozostawiając na scenie jedynie starszuka.

Lars Bechmeir ściągnął okulary z uszu gestem niecierpliwym, a nawet rozgniewanym. Odrzucił je na deski, gdzie głośno zagrzecotały. w spojrzeniu, jakim teraz powiódł wśród gości, pojawiło się coś ostrego, zupełnie nowego, odświeżonego.

– Nie powiem... – zaczął. Mikrofon się zachwiał. Starzec odchrząknął i mocniej chwycił statyw. – Nie powiem wam tego, co spodziewacie się usłyszeć. a to dlatego, że nie jestem tym, za kogo mnie macie...



20 Charles Lindbergh Jr – syn słynnego lotnika Charlesa Lindbergha, w wieku 20 miesięcy porwany 1 marca 1932. Ciało znaleziono dopiero po dwóch miesiącach, 12 maja. Zbrodnia odbiła się szerokim echem w społeczeństwie amerykańskim. Sprawcę, Bruno Hauptmanna, ujęto po ponad dwóch latach i stracono w 1936.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Pogrzeb April Lamotte odbył się tydzień później, kiedy eksperci koronera przeprowadzili powtórny sekcję zwłok, podczas której poszukiwali śladów podanego dożylnie środka zwiotczającego mięśnie. Clark nie sądził, by ktokolwiek powitał go na uroczystości z otwartymi ramionami, czuł jednak, że powinien pojechać. Przybył wcześniej i zaparkował rozklekotanego starego forda w najdalszym krańcu parkingu przy cmentarzu Forest Lawn. Zapalił papierosa i wchłonął widok, nadal ciesząc się powrotem do własnych ciuchów, do własnej skóry.

Ze schludnie przyszyżonymi sosnami, jeziorami o regularnych kształtach i krętymi ścieżkami, miejsce to stanowczo bardziej przypominało pole golfowe niż nekropolię. Minął sklep z pamiątkami, Salę Zmartwychwstania i Wee Kirk o' the Heather – jak powiadano, wianą rekonstrukcją wiejskiego kościoła ze szkockiego Glencain. Rozsypane na schodach konfetti sugerowało, że Forest Lawns stanowi też scenię ślubów oraz wielu innych uroczystości prywatnych i firmowych.

Zdecydowanie bardziej intrygująca była jednak najnowsza atrakcja cmentarza, Kaplica Wieczności. Wzniesione stosownie pośród licznych grobów zapomnianych sław, niezwykle mauzoleum zostało zaprojektowane tak, by z zewnątrz przypominać budynek kina emotycznego. Pełno w nim było krzywych, obłych linii; dziób okrętu przyszłości rozcinający fale teraźniejszości. Wewnątrz, po drugiej stronie bezszelestnie obracających się drzwi, światło przybierało wodnistą, zieloną barwę. Poza stojakami z pocztówkami, biur-

kiem recepcjonistki i szeregiem wiszących na ścianie telefonów, z których można było wysłuchać nagranych głosów przewodnika, powietrze syczało i falowało przed sześcioma okazałymi kaplicami w stylu egipskiego baroku, w których mieniła się szóstka równie olbrzymich, emocyjnych zjaw.

Nie trzeba było podnosić słuchawki ani czytać ulotek zachwalających cmentarne abonamenty i przedśmiertne konsultacje w domu klienta, by zrozumieć, że ma się do czynienia z najwyższą formą uczczenia pamięci współczesnych zmarłych. Nagranie aury ukochanej osoby mogło być – w zależności od opłaty – odtwarzane co miesiąc, co tydzień lub nawet co godzinę. Panująca we wnętrzu atmosfera – przynajmniej dopóki nie wkroczyło się w zasięg działania jednego z generatorów pola – stanowiła mieszanekę klimatu buddyjskiej świątyni i ultramodernistycznego dworca kolejowego. Mniej więcej co dziesięć minut rozlegał się pełen powagi dźwięk dużego gongu powleczonego wiekową patyną, a literki na tablicy pod witrażem obracały się z szeptem, układając się w nowy zestaw nazwisk. To z kolei powodowało poruszenie wśród dziesiątek osób – kim byli? ciekawskimi? żałobnikami? wiernymi? – z którymi Clark dzielił kolosalną przestrzeń. Tłumek rozpadał się na mniejsze grupki, ludzie pochylali głowy lub klękali, albo nawet padali krzyżem przed wybranym ołtarzem.

Po chwili Clark ruszył wreszcie do kaplicy upamiętniającej aktualnie Robina Jamesa Calhooona, w którego aurze najwyraźniej nie chciał się skąpać nikt inny. Zapach kwiatów uderzał do głowy, a postument ukrywający sprzęt elektryczny podtrzymujący zjawę, mógłby stanowić samodzielne mauzoleum. Wygięta rura wynurzała się z podstawy i wiła między złożonymi cherubinkami. Wznosiła się na wysokość przeciętnego domu, a szybująca pomiędzy dwiema naładowanymi płytami zjawa przytłoczyłaby nawet mużę, którą oglądał pierwszego dnia w Erewhon. Pan Calhoon nie był może wielkim człowiekiem, ale dysponował gigantyczną aurą. Wielką i wyraźnie niezadowoloną. Co chwila buchała niewyraźnymi płomieniami o barwie czerwieni wściekłości i oranżu zniecierpliwienia. Clark poczuł obecność zmarłego o wiele bardziej intymnie, niż gdyby siedzieli obok siebie w barze. Musiał się też uśmiechnąć na myśl o tym biznesmenie w ciepłej tweedowej marynarce, stojącym przed ikonoskopem z tym samym nastawieniem – „miejmy to wreszcie z głowy i zajmijmy się czymś poważnym” – z jakim podchodził do spotkań z rodziną lub zarządem swej firmy. Clark zdawał sobie spra-

wę, że ogląda najbardziej spektakularne osiągnięcie technologiczne swych czasów, lecz z jakiegoś powodu cały ten interes wydawał mu się w wyjątkowo złym guście.

* * *

Rozgłoszenie radiowe raz po raz emitowały mowę człowieka, o którym wszyscy już wiedzieli, że nie jest Larsem Bechmeirem, zupełnie jakby był to jeden z modnych, doo-wopowych przebojów. Całość trwała ledwie sześć minut – i to wliczając liczne pauzy i zająknięcia – lecz nie przeszkadzało to nikomu, ponieważ dzięki temu przemówienie doskonale wypełniało przerwy między reklamami.

Utrzymywany na scenie sali balowej hotelu Biltmore w dużo mniejszym stopniu przez patykowate nogi czy też statyw mikrofonu niż przez uwagę wstrzymujących dech słuchaczy, kruchy stary człowiek mówił przede wszystkim nie o sobie, lecz o zmarłej żonie. o tym, że zaczęło się od zwykłej roli, którą przyjęli – wówczas dwie obce sobie osoby – ponieważ rozpaczliwie potrzebowali pracy i pieniędzy. o tym, że oboje pozbyli się swej nic nieznaczącej przeszłości, poddali się operacjom plastycznym i zaczęli jeździć w trasy reklamowe, udzielali wywiadów prasowych i żyli takim życiem, jakiego się po nich spodziewano. Jednocześnie jednak, w najgłębszym sekrecie, zawiązała się między nimi nić porozumienia, która przerodziła się w prawdziwą miłość. a wszystko to z powodu marketingowego chwytu, mającego wypromować jakieś nowe, przemysłne urządzenie. Cała reszta – mroczniejsze kłamstwa, groźby, tuszowanie faktów i śmierć – przyszała potem.

„Niszczące prawdę zakłamanie...”, „Najokrutniejszy spisek w dziejach...”. Trudno było sobie wyobrazić, by ten stary mężczyzna nie pracował nad przynajmniej niektórymi fragmentami swej mowy od wielu lat – możliwe, że korzystał ze swych szekspirowskich doświadczeń, zebranych w trakcie wędrówek z trupą teatralną. Przemawiał łamiącym się szeptem, co jedynie dodawało mocy kolejnym słowom. i wreszcie nadszedł moment, kiedy rozcapierzył dłoń i wymierzył trzęsącym się palcem w Herberta Kisberga, a cicha burza jego gniewu stała się niemal namacalna. Wyrażał to sposób, w jaki szklily mu się oczy, i to, jak ciało ledwie zdawało się trzymać jego twarzy, gdy opisywał miejsce, w którym dopuszczano się straszliwych uczynków nie w imię wiedzy bądź nauki, a nawet nie w imię zysku, lecz z czystej żądzy władzy i zwodzenia mas...

Wówczas już gasł. Kolejne zdania brzmiały słabiej i ciągnęły się dłużej. Wiele z tego co powiedział – powtarzane po wielokroć słowo Thrasis, przez wielu obecnych na sali uznane wówczas za spazm starczej krtani, oraz wymieniane obok Herberta Kisberga nazwisko doktor Penny Losovic – nabrało sensu dopiero później. Tamtego wieczoru najważniejsza stała się historia dwójki samotnych aktorów, których zatrudniono do odegrania postaci Larsa i Betty Bechmeirów i którzy – gdzieś pomiędzy uroczystościami otwarcia nowych supermarketów, uczestnictwem w premierach nowego rodzaju filmów, zwanych emotykami, odsłanianiem tablic w wypełnionym fałszykatami muzeum, które pozornie dokumentowało ich przeszłość – zaczęli się bać. Żyli jedynie dzięki temu, że trwali w kłamstwie, i to kłamstwo oraz groza, którą było podszyte, zaczęły coraz bardziej nękać umysł Betty Bechmeir. „Kochałem tę kobietę ponad wszystko...” – wymamrotał z cichnącym westchnieniem. „Zabiła się, ponieważ nie była w stanie dłużej znosić fałszu, w jaki przeobraziło się nasze życie. Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego sama, zniszczy ją kłamstwo. i spójrzcie, mnie zniszczyło... Popatrzcie na mnie... Ale jestem tym, kim teraz mówię, że jestem. Przynajmniej to jedno jest prawdą...”.

To powiedziawszy, padł na scenę. a jedynym kluczowym nazwiskiem, o którym człowiek poznany niebawem przez wszystkich jako Otto Frings nie mógł wspomnieć, lecz które dodała Barbara Eshel – słuchająca mowy na żywo dzięki radiu w drukarni, gdzie wraz z Dale’em próbowali zamknąć specjalne wydanie „Prawdy Los Angeles” – było nazwisko odważnego scenarzysty, pogrążonego w żałobie męża, nieustraszonego śledczego i jednym słowem bohatera, Daniela Lamotte’a.

* * *

Clark odwrócił się od barwnego wiru zjawy pana Calhoona i odruchowo zerknął na nadgarstek, na którym nie nosił już zegarka marki Longines. Ponownie jednak zabrzmiał gong, zmieniły się podpisy oraz zjawy i zrozumiał, że czas już pożegnać April Lamotte.

Wcześniej na głównym parkingu było wiele wolnych miejsc. Teraz wypełnił się już całkowicie i dwóch facetów – jeden niski jak karzeł, a drugi wysoki, przez co połączenie ich w parę wydawało się czymś mamym żartem – kierowali nadjeżdżające wozy na inny plac, za budynkiem biur kadr i łączności. Msza miała się odbyć w Świątyni Westchnień, największej i najdroższej

z podrobionych w Forest Lawns europejskich kaplic, choć nawet przy jej rozmiarach wyglądało na to, że nie wszyscy zmieszczą się w środku. Pojawili się dzisiaj poprzednio zupełnie niewidoczni sąsiedzi z Erewhon. a wraz z nimi mniej więcej połowa Los Angeles. w rzadkiej demonstracji ponadpartyjnego porozumienia stawili się również republikańscy i demokratyczni kandydaci do Izby Reprezentantów. Wszyscy jednak, nawet gwiazdy i gwiazdeczki, czekali na największego bohatera ostatnich dni, i ten ich nie zawiódł.

Daniel Lamotte zajechał przed olbrzymią świątynię zupełnie nowym, karnarkowożółtym rolls-royce'em z otwartym dachem. Obok niego siedziała kobieta przypominająca nieco April Lamotte, chociaż była bardziej pulchna, starsza i pozbawiona cechującego siostrę smaku w doborze ubrań. May Lamotte, która kilka dni temu, zupełnie znikąd, trafiła na czołówki gazet, roztaczała wokół siebie aurę statecznej małżonki radiowego kaznodziei, tudzież sekretarki, którą mógłby zatrudnić jakiś bogaty facet, do wykonywania w biurze prawdziwej pracy. Wyglądało na to, że jej obecność postawiła Daniela Lamotte'a na nogi. Oboje ubrali się stosownie na czarno i mieli stosownie ponure miny. Kiedy wysiedli z rollsa i eksplodowały flesze, okazali się również stosownie sławni.

Stojący daleko z tyłu Clark obserwował Daniela Lamotte'a urabiającego tłoczących się wokół żałobników. Nie mógł nie zauważyć tików i nawykowych dziwactw scenarzysty – te długie dłonie z obgryzionymi paznokciami, ten uśmiech niebędący dostatecznie naznaczony bólem ani przekonująco szczęśliwy, posuwisty krok, bezustanne manewrowanie rękoma przy szyi. Za to brodę miał wreszcie starannie przystrzyżoną, nie był też szczególnie błądy i przybrał nieco na wadze. Zaopatrzył się również w nowe okulary, w zupełnie innym stylu. Te miały stalowe okrągłe oprawki, były bardziej profesorskie. w końcu był poważnym pisarzem, żyjącym w poważnych czasach. Prawdę powiedziawszy, w okularach czy bez nich, on i Clark nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego poza uszami, wzrostem i niedoskonałym uzębieniem. Clark nie umiał się jednak wyzbyć uczucia podobnego temu, jakiego doznawał dawniej w teatrze, obserwując innego aktora, wcielającego się w graną wcześniej przez niego rolę. i nie w tym rzecz, że następca radził sobie fatalnie, ale czuł, że sam zrobiłby to znacznie lepiej.

– Dan, Dan... – Obecności i głosu Timmy'ego Townsenda nie można było zignorować. Przepychał się przez tłum ku bohaterowi dnia ze sprawno-

ścią rozgrywającego w drużynie futbolu amerykańskiego.

Słynny autor i odnoszący sukcesy producent uściśnił sobie dłonie, czemu towarzyszył świeży łopot migawek. Widać było wyraźnie, że Timmy z większym niż zwykle trudem próbuje opanować twarz, by nie rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Fakt, że Senserama wyraziła gotowość nakręcenia radykalnie przerobionej wersji „Obudź się i śnij”, został uznany – mówiąc słowami dziennikarza „Variety” – za „rzadki i podnoszący na duchu akt skruchy wielkiej korporacji” i Timmy raczej zupełnie się nie przejmował tym, że potrząsa dłonią Daniela Lamotte’a zupełnie innego od tego, którego poznał tydzień temu. Nie zwracał na to uwagi do tego stopnia, że Clark przez moment rozważał możliwość, iż producent w ogóle nie zauważył zamiany. Prawda jednak, jak większość spraw w tym mieście, była zarazem prostsza i bardziej brudna; zarówno Timmy’emu, jak i Danowi, oraz mieszkańcom Los Angeles, ta sytuacja po prostu bardzo odpowiadała.

Herbert Kisberg ustąpił już ze stanowiska gubernatora i z fotela członka zarządu Senseramy. Zrezygnował również z kandydowania na urząd prezydenta z ramienia Ligi Wolności i swych licznych pozostałych etatów, tworząc tym samym miejsce dla nowych ludzi. Jako osobą zaangażowaną w to, co nazwano Spiskiem z Thrasis, zainteresowały się nim już urząd podatkowy, federalny sąd najwyższy, sekretarz stanu Kalifornii, prokuratorski rejestr fundacji charytatywnych, a nawet urząd patentowy. w kolejce do przesłuchań czekali również inni, w tym najpotężniejsze osoby Los Angeles. Doszło też do pierwszych samobójstw. Być może Kisberg mógł jeszcze znaleźć w sobie odwagę, by postąpić tak samo, chociaż Clark nie był w stanie wymyślić lepszej kary niż powolna śmierć przez konfiskatę mienia, do której zadania szykowały się stanowa i federalna maszyny prawne.

Policja wciąż pracowała nad ustaleniem rzeczywistego zakresu działalności Penny Losovic. Fundacja Bechmeira – jak się okazało – posiadała na terenie hrabstwa Los Angeles wiele położonych na uboczu, na poły zrujnowanych nieruchomości. w niektórych znaleziono zwłoki. w innych świadectwa tortur. w większości odkryto dziwaczne urządzenia i sprzęt elektryczny. Zdjęcia doktor Losovic pojawiały się bez przerwy w gazetach – stojącej z uśmiechem w muzeum za uczestnikami szkolnej wycieczki, wręczającej czek na jakiś szczytny cel. Rodzice już teraz zaczęli posługiwać się jej nazwiskiem – zamiast Lizzie Borden^[21] – do straszenia dzieci odmawiających jedzenia bro-

kułów, a prawdziwi, rzetelni faceci z miejskiej elektrowni i gazowni przyznawali, że wielu ludzi nie chce ich wpuszczać do domów. Jej matka – stwierdzono – umarła przy porodzie, a ojciec, zubożały marszand, starał się zapewnić małej Penny najlepsze wychowanie. z pozoru wszystko świadczyło o tym, że mu się udało, a osoby, które spotkanie z doktor Losovic przeżyły, zeznawały, że miały do czynienia z niezwykle uzdolnioną lekarką i oddaną sprawie kierowniczką instytucji charytatywnej. Zadawano również pytanie, co to wszystko mówi o tak zwanym *American dream*?

Żałobnicy zaczęli wchodzić do kaplicy. Clark wciąż trzymał się z tyłu, w cieniu. Świątynię wypełniło szmerzące morze głów i kapeluszy. Teraz, gdy już się tu znalazł, podobnie jak na większości pogrzebów i wszystkich ślubach, w jakich brał udział, zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie tu przyjechał. Słowa, nabożne pieśni, drogie importowane kościelne meble – zupełnie nic to dla niego nie znaczyło. a teraz celebrowano życie, współczucie, dobrosąsiedztwo oraz „gorące oddanie pacjentom” (pastor – prowadzący zresztą w radiu regularne audycje – wiele czasu poświęcił jej pracy w charakterze pielęgniarki) kobiety, która próbowała go z zimną krwią zamordować. Ostatecznie jednak wszystko, co robiła, robiła, próbując ratować życie swoje i męża. Clark poczuł, że jest to coś, co mimo swego głęboko zakorzenionego cynizmu, może jej niemal wybaczyć. w porównaniu z niektórymi innymi osobami, jakie spotkał w życiu, April Lamotte potraktowała go względnie uczciwie. Pamiętał zapach jej włosów i to, co powiedziała, kiedy siedzieli w delahaye’u na punkcie widokowym. „To miasto nie jest dobre dla nikogo z nas. Kiedy ludzie zaczęli tu przyjeżdżać, by kręcić filmy, twierdzili, że to z powodu jakości miejscowego światła. Tyle że słowem nie wspomnieli o jakości ciemności... o tym, co czai się pod powierzchnią...”. Mówiła prawdę. Podobnie jak wielu innych, podjęła próbę ucieczki z Los Angeles i poniosła klęskę. a on wciąż żył i wciąż tu mieszkał. Czyli może jednak, pomijając wszystkie inne bzdury, miał co opłakiwać.

Jeszcze jedna pieśń, po czym powieszono trumnę między ławkami, na przystrojonym w kwiaty wózku, prosto w czekające na zewnątrz słońce, ku wykopanej przez jakąś maszynę dziurze ziejącej przy kilku rozstawionych dla wygody gości daszkach. Potem kilka ostatnich słów i tłum – wśród delikatnych dreszczy ulgi i westchnień odzyskiwanej koncentracji, jakie stanowią zwieńczenie wszystkich pogrzebów – zaczął się rozpraszać. Rozmowy, przy-

najmniej te fragmenty, które zdołał wyłowić, dotyczyły w większości wyboru najlepszego miejsca na obiad. Zasadniczy pochówek odbył się do wtóru bzyczenia elektrycznego silniczka, co zauważył dopiero, gdy wszyscy odwrócili się już plecami. Clark został i popatrzył na zasłaną kwieciami trumnę opuszczającą się do wyściełanej aksamitem jamy; ostatni czerwony dywan. Pochylił się i pogrzebał palcami w trawie, szukając grudki ziemi. Żdźbła rosły tu jednak zbyt gęsto i były dobrze podlane. Wsunął więc dłoń do kieszeni i znalazł w niej kilka ziaren piasku. Wydobył je i sygnął na to, co zostało z April Lamotte.

* * *

Na poszukiwania Thrasis wybrał się kilka dni wcześniej i gdy wyjeżdżał o poranku z Los Angeles uderzyło go swego rodzaju nowe, świeże poruszenie. Odniósł wrażenie, że na chodnikach pojawiło się więcej przechodniów niż zwykle, a kolejki przed kinami są dłuższe. Największe tłumy gromadziły się jednak na rogach ulic, wokół sprzedawców, którzy zazwyczaj oferowali turystom mapy z oznaczonymi rezydencjami gwiazd. Zauważył przelotnie jedną z ich klientek – dorodną damę w różowym kostiumie z dopasowaną kolorystycznie torebką w rękę, pieskiem i parasolką. Wyrwała się ze skłębionej cizby i triumfalnym gestem zamachała swą cenną zdobyczą, wydrukowaną na marnym papierze gazetą. Najnowszym numerem „Prawdy Los Angeles”.

Przejechał obok strusiej farmy Cawstona, minął hotel Raymong i całą rozległą Pasadenę, potem pokonał sosnowy las i ruszył dalej w góry. Tutaj było miejsce, w którym zginęła April Lamotte, i gdzie wielu turystów składało teraz bukiety kwiatów, a tutaj był sklep, przed którym jednooki parszywy kundel obszczekiwał limuzyny, a ten zakręt prowadził do ukrytego w górach domku. Jak on się nazywał? Pamięć zaczynała Clarka zawodzić, podobnie jak wszystko inne. To jednak nie było ani trochę ważne – nazwę można było sprawdzić w brukowcach, a drogę i tak blokowała pasiasta policyjna taśma.

Jechał, wyciskając z silnika forda ostatnie poty. Powietrze rzedło, a krajobraz stawał się coraz bardziej płaski, aż wreszcie zostały jedynie przestrzeń, piach i pustka. Niebawem nawet droga i góry rozplynęły się w rozdygotanym upale. Wkrótce zaczął się zastanawiać, po co tu przyjechał. i nagle zobaczył: zniszczony przez wiatry drogowskaz z napisem tak spłowiałym, że prawie nieobecnym. Clark zatrzymał wóz przy niewielkim pagórku usypanym z kopalnianego żużlu, i wysiadł. Parzący żar uderzył go w twarz i przedarł się

przez podeszwy butów.

Miejsce pełne niczego. Trudno było stwierdzić, które z tych rozsypujących się ruin i sterczących z ziemi fundamentów powstały za czasów górniczej osady, jaką było dawniej Thrasis, a które zostały wzniesione i zniszczone w już nowszych czasach. Zardzewiałe łańcuchy skrzypiały w blokach. Wiadro kołysało się nad czarną dziurą, do której nie miał zamiaru zaglądać. Czy pojawiała się tu kiedyś jakaś istota? Czy krew składanych przez Indian ofiar, ciała zasypanych górników i groza stworzona przez Penny Losovic i jej kolegów, w jakiś sposób ożywiły samą tę okolicę? Cokolwiek to było, teraz już zniknęło.

Zaczerpnął do ręki garść piasku i pozwolił ziarenkom przesypać się przez palce. Wrócił do samochodu, wszedł i przekręcił kluczyk. Silnik milczał. Spróbował raz jeszcze, po czym wyszedł na zewnątrz i zajrzał pod maskę. Powietrze dygotało nad suchą, gorącą chłodnicą. Rozejrzył się. Przyjechał sam. Nie istniała też możliwość, by zdążył dokądkolwiek dojść przed zmrokiem.

Usiadł. Wargi już w tej chwili miał spierzchnięte, usta mu napuchły, a ubranie lepiło się do ciała od traconej stopniowo wilgoci. i wtedy coś zobaczył. Być może była to fatamorgana. Albo wirujący na wietrze kłęb kurzu. Ale było to za duże, zbyt prawdziwe i zmierzało prosto ku niemu. Podniósł się i poczuł, że trzęsą mu się nogi. Zaczął się zastanawiać, dokąd można uciec, jeżeli jest się dokładnie nigdzie. Kształt jednak pozostał, szybujący, rozmigotany. i chwilę później doleciał z niego warkot silnika.

Clark stał i czekał, a wycieczkowy autobus terkotał ku niemu z głębi pustyni. Wreszcie się roześmiał.

* * *

Barbara Eshel i Dale tak doskonale wmieszali się między wszystkich tych przystojnych i pięknych ludzi kręcących się na cmentarnym parkingu pośród swych drogich samochodów, że kiedy ruszyli w jego stronę, dobrą chwilę zastanawiał się, kim są. Dale zainwestował w nowy, przyzwoity garnitur, odwiedził fryzjera i zgolił niefortunną brodę. Barbara z kolei stanowiła żywy dowód niezmiennego faktu, że nic nie wygląda na ładnej kobiecie lepiej niż proste, czarne żałobne ciuchy, o ile oczywiście są dobrze skrojone. Clark wychwycił też między nimi nowy poziom intymnej zażyłości, idąc, niemal stykali się dłońmi. Oboje wydawali się bardziej szczęśliwi niż przedtem. Żało-

wał, że nie jest w stanie zobaczyć ich aur, gdyż te na pewno jaśniały. a może, pomyślał, kiedy Dale uściśnił mu dłoń, a Barbara pochyliła się i dała mu buziaka, może po prostu wracał jego instynkt prywatnego detektywa i wyczuwał oznaki niedawnego seksu.

– Świetnie wyglądasz, Barbaro.

– Tobie też niczego nie brakuje, Clark.

– Tak czy inaczej, żyję. a przynajmniej żyje ktoś, kto wygląda jak ja.

Pokiwała głową i przygryzła wargę.

– Słuchaj, Clark, już się zgodziliśmy, a przynajmniej tak mi się wydawało, że nie ma mowy, bym komukolwiek wspominała, że April Lamotte próbowała sfiingować śmierć męża. To byłoby za bardzo... – Próbując dobrać odpowiednie słowo, zamachała ręką.

– Realne?

– Skoro chcesz ująć to w ten sposób. Zrozumiałam, jak to by zadziało, kiedy z Dale'em przygotowaliśmy wydanie, słuchając transmisji z Biltmore i tego, co mówili o pożarze w dawnym MGM. Żeby mieć Daniela Lamotte'a w centrum wszystkiego, próbującego odkryć prawdę o Thrasis i poznać powody zabójstwa żony... Nie może być was dwóch, Clark. To był jedyny sposób.

„Aczkolwiek” – chciał powiedzieć – „udało ci się jednak wcisnąć do relacji postać nieustraszonego dziennikarza, który szczęśliwym trafem mieszkał drzwi w drzwi z tobą”.

– Cóż, zyskałaś dla swojej gazety reklamę. Potrzebowałaś tego. Oboje musicie być z siebie bardzo dumni. Najbardziej wstrząsająca afera od lat, i to wy ją nagłośniliście. Jedynym waszym problemem jest pewnie, co zrobić dalej...? Chociaż jestem pewien, że coś znajdziecie – dodał, widząc, że Barbarze rzędnie mina. – To znaczy, nie chciałem...

– Prawdę mówiąc, Clark – przerwała mu – negocjujemy z kilkoma ewentualnymi kupcami. Chcemy sprzedać gazetę. i nie, nie ma wśród nich korporacji Hearsta. Wbrew pozorom istnieje jeszcze kilka etycznych korporacji, które zgodzą się dochować wierności ideałom „Prawdy Los Angeles”, a zarazem udostępnią ją szerszej rzeszy czytelników.

– Niech zgadnę, tobie i Dale'owi zaproponowano stanowisko konsultantów zarządu. – z przyjemnością spojrzął na jej rumieniec. – a zawsze myślałem, że chodzi o...

– Chodzi o to, Clark... a przy okazji, „zawsze” to niezręczne słowo, ponieważ znamy się ledwie kilka dni, jeżeli jeszcze pamiętasz. Więc chodzi o to, że ja przyjechałam do tego miasta, żeby zająć się pisaniem fikcji.

– To znaczy... – naprawdę próbował nie mówić z niedowierzaniem – ... powieść?

– Owszem, powieść. Od zawsze tego pragnęłam, a teraz, gdy wraz z Dale’em pozbędziemy się „Prawdy Los Angeles”, będę wreszcie mieć czas i pieniądze, by usiąść do pisania.

Być może Barbara Eshel i Daniel Lamotte stanowili lepiej dobraną parę niż sobie dotąd wyobrażał. Scenarzysta opowiadał teraz przedstawicielom prasy głośnym, drżącym głosem o tym, jak bardzo tęskni za żoną, o tym, jak wielkim wsparciem okazała się pomoc szwagierki, i o tym, jak widzi teraz przyszłość. Ostatecznie oboje, on i Barbara, byli pisarzami, czyli innymi słowy ludźmi egocentrycznymi i aroganckimi.

– Nie rozumiem tylko – Clark zwrócił się ponownie do Barbary – jak, do cholery, zamierzasz wymyśloną fabułą przebić to, co się właśnie stało.

Pokiwała głową, zmrużyła oczy i spojrzała na miasto, które niczym fatamorgana falowało w upale wczesnego popołudnia.

– Do tej pory myślałam, że dobry pisarz powinien opierać się na rzeczywistości. Teraz jednak rozumiem, że rzeczywistość jest iluzją. Skoro można dotknąć tego, co ludzie myślą, albo jeszcze lepiej, skoro można sięgnąć aż do ich snów, to prawda nie ma już żadnego znaczenia. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. – o ile oczywiście coś takiego jak prawda w ogóle jeszcze istnieje. Popatrz choćby na nas. Kto może powiedzieć, że właśnie tak musiało być? Równie dobrze moglibyśmy już nie żyć lub wieść zupełnie inne życie. Spójrz na siebie, Clark. Mogłeś zostać królem Hollywood, prawie nim zostałeś, i zasługujesz na to o wiele bardziej od reszty tych ćwoków...

To miał być komplement, ale gdy Clark odprowadzał wzrokiem idących pod rękę Dale’a i Barbarę, przeszył go dziwny dreszcz. Znowu to nieprzyjemne wrażenie towarzyszące oglądaniu emotyków. Po raz kolejny ktoś przeszedł po jego grobie.

* * *

Odjeżdżały samochody. Trzaskały drzwiczki. Ludzie żegnali się, cmokając powietrze nad policzkami lub wykrzykiwali słowa pożegnania. Pośród rzednących grupiek spostrzegł stojącą samotnie kobietę. Była wyjątkowo ładną

blondynką, ale nikt do niej nie podchodził, choć wielu rzucało jej przelotne spojrzenia. w prawdziwym życiu, zupełnie jak na ekranie, Peg Entwistle emanowała aurą niezależności i rezerwy.

Zdjęła okulary i podała mu rękę.

– Nie byłam pewna – wymamrotała – czy chcesz się ze mną przywitać.

– Oczywiście, że chcę. – Uśmiechnął się do tej idealnej twarzy, patrząc prosto w te lśniące, błękitnoszare oczy. – Ale czy świat wie, że znałaś się z April Lamotte?

– w tym mieście wszyscy znają wszystkich. – Zbyła pytanie wzruszeniem ramion. – Znają się albo o sobie słyszeli. Aczkolwiek nasze ścieżki przecięły się oficjalnie, kiedy grałam w „Królowej dziewicy”.

– Czyli to już koniec?

– Chciałabym, ale wiem, że to niemożliwe.

– Za to możesz wreszcie oderwać się od Thrasis.

Tym razem wzruszenie ramion przeszło w dreszcz.

– Nie sądzę, by mi się to kiedykolwiek udało. Ale Otto, cóż, wiedziałam, że on nie wymieni mojego nazwiska. a co do tej twojej ładniutkiej przyjaciółki, wiem, że jest dziennikarką, ale być może niektórzy z nich są jeszcze przyzwoici. No i jest jeszcze on. – Oboje spojrzeli w kierunku niedobitków tłumu, wciąż kłębiących się wokół Daniela Lamotte’a. – Chociaż podsłuchiłam, jak ktoś się dziwił, że udało mu się tak błyskawicznie zapuścić nowy zarost. Ale mam już dość tajemnic. a całe to miejsce... – Peg rozejrzała się dokoła i ściągnęła usta. – Przestało być sobą. Dlatego wyjeżdżam.

– Wyprowadzasz się z Los Angeles? Czy nie wszyscy to w pewnym momencie mówią?

– Nie tylko z miasta. Wyjeżdżam z Ameryki. i nie patrz tak na mnie, Clark. Mam już bilety, a Mina za dwa dni wyda oświadczenie dla prasy. Wymyśliłam to, kiedy zostawiłeś mnie pod tym napisem na Mount Lee. Jeszcze zanim... stało się to wszystko. Poczułam się, jakbym nagle odzyskała wolność, albo jakbym obudziła się nagle z koszmarnego snu. Po prostu zrozumiałam, że muszę wyjechać. a teraz muszę tylko mieć nadzieję, że mój statek nie zostanie storpedowany i że za trzy tygodnie będę już w Anglii. i nie robię tego tylko dlatego, że wiem, iż moja kariera może się teraz potoczyć już tylko w jedną stronę, ani dlatego, że nagle poczułam silną potrzebę zagrania Szekspira na deskach Adephei, zanim spadną tam niemieckie bomby. –

Uśmiechnęła się. – a przynajmniej nie tylko z tego powodu. Nie sądzę, by poza Miną tęskniło za mną wiele osób. w każdym razie nie za prawdziwą mną. i chcę, żeby zapamiętali lub zapomnieli tylko to, co zrobiłam na ekranie.

– Wiesz, co się stanie, jeżeli pokażesz się w Anglii?

– w tym cały sens. Chcę, żeby Anglicy wykorzystali mnie jako narzędzie propagandowe. Bóg wie, że przez ostatnie lata używano mnie do o wiele gorszych i mniej wartościowych celów. Chcę się wreszcie po którejś stronie opowiedzieć. Rzecz w tym, że większość Amerykanów tak naprawdę wcale nie popiera Ligi Wolności. Po prostu Liga Wolności utrzymuje iluzję, że nikt poza nimi nie jest w stanie podjąć żadnej decyzji i zacząć czegokolwiek aktywnie bronić, że jeśli im się pozwoli działać, to wszystko będzie dobrze. To samo kłamstwo Hitler wpoił Niemcom i zobacz, dokąd ich to zaprowadziło. i to samo kłamstwo wmówiono mnie. Ostatnie kilka dni to tylko jedna wygrana potyczka, Clark. Wojna toczy się dalej, w każdym sensie. Teraz jednak wiem przynajmniej, po której stronie barykady walczę.

Miała rację. Upadek Herberta Kisberga był ciosem dla Ligi Wolności, lecz partia zaczęła już odrabiać straty. Kisberga przedstawiano jako człowieka, który zwiódł organizację równie skutecznie, jak omamił wszystkich innych. Również do wyborów pozostało na tyle dużo czasu, by wytypować nowego kandydata, tym razem bardziej przyziemnego, na jakiego zaistniało w tym odmienionym klimacie zapotrzebowanie. a co do facetów ze wschodu, o których wspominała Penny Losovic – mężczyzn z wielkich kamienic przy Wall Street, z ich planami i intrygami, wykraczającymi daleko poza moralność i zwykłą politykę – to pozostali równie potężni i anonimowi jak zawsze.

– Cóż... Powodzenia, Peg. Połamania nóg.

– Tak to się pewnie skończy.

Pochyliła się i pożegnała z Clarkiem zimnym jak zawsze pocałunkiem, po czym włożyła ciemne okulary i przeszła przez parking. Patrzyli za nią inni. Peg zawsze miała to w sobie, atmosferę – coś, czego nie zdołały jeszcze uchwycić ikonoskopy. Była najwyższą kapłanką. Prawdziwą gwiazdą.

* * *

Większość samochodów już zniknęła. Za kilka minut mieli zacząć się zjeżdżać uczestnicy następnego pogrzebu. Clark zwinął sobie papierosa i ruszył po rozgrzanym asfalcie w stronę przykurzonego forda.

– Pan Gable?

Odwrócił się. Ze wszystkich innych ludzi, zaczęła go akurat May Lamotte. Stosowała grubszą warstwę makijażu niż jej siostra i na pudrze zaczęły się już pojawiać smugi i kropelki potu. Zatrzymała się kilka kroków od niego i zmarszczyła nos, jakby od Clarka bił wyjątkowo paskudny zapach.

– Jestem zaskoczona pana obecnością. – Mówiła z akcentem ze środkowego zachodu. Podobnie jak April.

– Sam się dziwię.

– Musiał pan być jedną z ostatnich osób, które widziały moją siostrę przy życiu. – To nie było pytanie.

– Być może właśnie dlatego się tutaj pojawiłem. Czułem, że jestem coś komuś winny. Chociaż nadal nie mam pewności co i komu...

Znów poruszyła nosem. Zmrużyła oczy.

– Panie Gable, jeżeli myśli pan o tej umowie, którą podpisał pan, podszycając się pod mojego szwagra, to proszę się nie przejmować. Zasięgnęliśmy porady prawnej i nie ma absolutnie żadnego problemu, o ile oczywiście obie strony zgadzają się co do poprzednich ustaleń.

– To znaczy, co do wynagrodzenia za tekst?

– To już nie pańska sprawa. Działał pan na prośbę April, praktycznie więc był pan jej pełnomocnikiem. a co do całej reszty... Cóż, sama nie wiem, od czego zacząć, tyle przestępstw pan popełnił, od oszustwa poczynając. Jeżeli więc wydaje się panu...

– Nie, nie. – Clark uniósł rękę. – Proszę mi wierzyć, nie mam najmniejszego zamiaru wtrącać się w życie pani i Daniela. Jeżeli o mnie chodzi, to...

– Zaciągnął się dymem z papierosa, po czym odrzucił niedopałek na bok. Nie chciało mu się nawet powiedzieć „krzyżyk wam na drogę”.

– Cóż, skoro rzeczywiście tak to wygląda... – May Lamotte spróbowała uśmiechnąć się uroczo. Promienny grymas wyjątkowo do niej nie pasował. – i skoro mowa o długach... Rozumiem, że siostra umówiła się z panem na pewną sumę, której, nie licząc zaliczki, pan nie otrzymał. – Zdążyła już sięgnąć do portfela i trzymała w ręku świstek papieru. – Chcę, by przyjął to pan w ramach ostatecznego rozliczenia. Jak sądzę, pokryje to umówioną wcześniej kwotę oraz to, co ludzie pana fachu nazywają zdaje się kosztami dodatkowymi.

– Kupuje pani moje milczenie?

– Panie Gable, ustaliliśmy już, że to akurat mamy zapewnione tak czy inaczej. Co więcej, jesteśmy gotowi nie pozywać pana za zniszczenie ukochanego wozu Daniela. Nie wydaje mi się więc, bym musiała cokolwiek w tej chwili kupować. Chyba że.. – uśmiech zniknął bez śladu, zastąpiony znacznie bardziej przekonującym, wrogim spojrzeniem – ...jest pan jeszcze większym głupcem niż myślę.

Czek nadal trzymała w dłoni. w filmie Clark po prostu by odszedł. To jednak było prawdziwe życie – a przynajmniej jego najlepsze możliwe przybliżenie. Potrzebował pieniędzy, a poza tym – bo dlaczego, do diabła, nie? – czuł, że zasłużył na nowy samochód.

Wyrwał czek z palców May Lamotte i odmaszerował z całą godnością, na jaką było go w tej chwili stać.

* * *

Dwóch typków w garniturach, których widział już wcześniej, wciąż pomagało opuszczać parking ostatnim samochodom. Gdy niższy ruszył w jego stronę, Clark uświadomił sobie, że karłowaty wzrost wynika po prostu z tego, że jest to jeszcze dzieciak.

– Roger? Co ty tutaj robisz?

– Mógłbym zapytać o to samo, panie Anonim.

Wyrostek zmierzył go od stóp do głów spojrzeniem, w którym pojawiło się coś bliskiego zniesmaczeniu. Clark miał co prawda na sobie swój garnitur, który zwykle wkładał z okazji pierwszego spotkania z klientem, ale ten w niczym nie przypominał modnego ubioru chłopaka. Roger, zamiast jak zwykle splunąć, podał Clarkowi rękę. Miał umytą, odświeżoną i niemal niewinną teraz – niezastonętą warstwą brudu – twarz. Połysk wybrylantynowanych włosów pasował do marynarki.

– Nazywam się Clark Gable. Jestem prywatnym detektywem.

– No i? – Dzieciak nie musiał się nawet wysilać, by na jego twarz wypłynął wyraz szczerzego znudzenia.

– No i chyba nic. Pomyślałem, że może cię to zainteresować. a tak przy okazji, nie możesz tak wyłudzać od ludzi pieniędzy za opiekę nad samochodami. Jeszcze cię aresztują.

– Jest pan w mylnym błędzie, panie Gooble. w takich miejscach ludzie zawsze płacą za opiekę nad wózkami. Różnica jest tylko taka, że gliniarze nie nazywają tego wymuszeniem. Ale nie dlatego tu jestem, chociaż mój funfel

Pablo i owszem. Pan spojrzy... – Sięgnął do bocznej kieszeni marynarki. Przez jeden, pełen niepokoju moment, Clark spodziewał się ujrzeć pistolet. Jednakże zamiast broni chłopak wyciągnął aparat fotograficzny, niewiele większy od paczki papierosów. – Śliczności, co? Minolta, od naszych kuzyńców w Reichu.

– i to naprawdę działa?

– Jezu, Google, powinieneś częściej bywać w kinie! Szpiedzy nazioli używają ich już od dawna. w razie potrzeby można go nawet wsunąć za pas do pończoch. Ja w każdym razie nie narzekam. – Podrzucił aparat, który zawirował w powietrzu. – Kupiłem go za pierwszą zaliczkę. Zostałem ulicznym reporterem „Prawdy Los Angeles”. Już zdążył się spłacić z dziesięć razy. Ledwie wczoraj sprzedałem fotkę Toniego Bartoleto, który wychodził z „Company and Co” z kimś, kto nie wyglądał ani na jego żonę, ani na obyczajną ciżbę.

– „Prawda Los Angeles” nie kupuje takich rzeczy.

– Jeśli nie oni, to zawsze znajdzie się ktoś inny. Najłatwiejsza robota na świecie. i pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu szlajałem się po ulicach i nic z tego nie miałem, chyba że ktoś taki jak ty wcisnął mi parę centów. a w Beverly Hills można robić zdjęcia gwiazdkom na zakupach... Pstryk, pstryk... – Nacisnął wyimaginowaną migawkę. – a redaktorzy najbardziej sobie cenią ujęcia, na których sławy wyglądają jak psu z gardła wyciągnięte. Wystający brzuszek, podwójny podbródek, żyłak... to się najlepiej sprzedaje.

– Naprawdę ktoś chce oglądać coś takiego?

– Zdziwiłbyś się pan.

– No, nie wiem. Ale Roger, skoro jesteś tak świetnie rokującym dziennikarzem, to powinieneś się uczyć, na przykład tego, jak porządnie pisać artykuły.

– Nie przesadzajmy z tymi rokowaniami. – Wyrostek raz jeszcze podrzucił aparat gestem rewolwerowca bawiącego się sześciostrzałowcem, po czym wcisnął go do kieszeni. – Słowo pisane nie jest już główną metodą komunikacji gatunku ludzkiego... – Naśladował akcent niemieckiego naukowca. – Wszystko opiera się, jak by to powiedzieć, na obrazie... Ale fakt, parę godzin w bibliotece nie zaszkodzi. Trzeba wiedzieć, jak podpisywać umowy, żeby mnie nie wykiwali. Świat to podobno bardzo niebezpieczne miejsce.

– Tak, też o tym słyszałem. Ale coś mi mówi, że akurat ty świetnie sobie

poradzisz. – Clark się uśmiechnął. Potar mosiłby czuprynę chłopaka, ale nie miał ochoty brudzić sobie rąk brylantyną.



21 Lizzie Borden (1860–1927) – kobieta oskarżona, i po głośnym procesie uniewinniona, o zamordowanie za pomocą siekiery swego ojca i macochy.

SZEŚCZDZIESIĄT

Gdy jechał z powrotem przez miasto, zobaczył – obok gazetowych tytułów anonsujących, że Australia odmówiła przyjęcia uciekających z Holandii Żydów, obok wszystkich zwykłych szyldów „Czarnym wstęp wzbroniony” oraz innych rasistowskich gryzmołów – plakaty Ligi Wolności, przedstawiające faceta mającego zastąpić na stanowisku gubernatora Herberta Kisberga oraz inne, zachwalające nowy film biograficzny o życiu Richarda Wagnera. Peg miała rację. Wygrali, i to cudem, jedynie drobną bitwę w wojnie toczonej przeciwko... komu właściwie? Paradującym w mundurach gościom z Europy, czy może przeciwko typom kryjącym się za wielkimi interesami i dyplomami najlepszych uniwersytetów? Roosevelt przegrał właśnie w kongresie kolejne głosowanie uchwały o udzieleniu pomocy Churchillowi, a Japończycy zajmowali coraz to nowe połacie Oceanu Spokojnego. Nawet jeżeli wiedziało się już, którzy bohaterowie są tymi dobrymi, to i tak nigdy nie wygrywali. Coś takiego zdarza się tylko w kinie.

Przed szpitalem świętego Wincentego zebrały się jak zwykle tłumy. Czuli dzień i noc, odkąd mężczyzna, którego wciąż nazywali Larsem Bechmeirem, został tu przewieziony po doznanym na deskach sali balowej Biltmore ataku. Opowieść o oszustwie i cierpieniu, jeżeli w ogóle zmieniła poziom uwielbienia dla tego człowieka, to tylko na plus. a co do nazwiska, w końcu, czy nazwano by jego nazwiskiem pole, gdyby nie odegrał kluczowej roli w odkryciu? Cokolwiek Daniel Lamotte zamierzał napisać w końcowej wersji „Obudź się i śnij”, musiał stworzyć co najmniej równie sprytną mieszanke

prawdy i mitu jak w poprzednich podejściach. w przeciwnym wypadku świat za nic mu nie uwierzy.

Clark musiał zaparkować spory kawałek od Zachodniej Trzeciej i przeciągnąć się między rozmodlonymi, zapłakаныmi turystami, sprzedawcami pamiątek i przedstawicielami rozmaitych mediów. Wreszcie dotarł do drzwi szpitala.

* * *

Wewnątrz panowała atmosfera bardziej zbliżona do normalnej. Ostatecznie, życie toczyło się naprzód. Życie i śmierć. Wokół snuły się zakonnice w habitach. Clark wyminął świecką pielęgniarkę prowadzącą wózek z rozmiarowanym noworodkiem. Obok na ławce szlochała para starszuchów. Zauważył też sporą liczbę policjantów. Chętnie odwiedziłby starego Otto, ale „LA Times” zawarło umowę na wyłączność i ochrona świadka – uznanego zarówno przez stanowe, jak i federalne władze za kluczowego – była niezwykle ścisła. Poza tym, prasowe doniesienia wskazywały, że biedak i tak umiera.

Zapytał o drogę i odpowiedziało mu dziwne spojrzenie sanitariusza, który posłał go wyglądającym na rzadko używany korytarzem, a potem tylnymi schodami na górę. Na przeciwnym krańcu źle oświetlonego przejścia drogę zablokowała Clarkowi zakonnica. Poważną od początku minę zastąpiło zaskoczenie, gdy usłyszała prośbę.

– Jest pan pewien, że chce ją zobaczyć...?

– Tak, chyba tak.

– Nikt jej nie odwiedza. Cóż, w każdym razie nie prawdziwi znajomi. Tylko policja, chociaż i oni bardziej interesują się naszym sławnym przyjacielem ze wschodniego skrzydła. Znał ją pan? w końcu musiała mieć jakichś przyjaciół, nawet mimo...

– Nie, nie byliśmy przyjaciółmi. Można powiedzieć, że zetknęliśmy się raczej przelotnie.

– Ale nie jest pan czasem z prasy, prawda?

– Nie. Przychodzę zupełnie prywatnie. Nazywam się Clark Gable. Jak już powiedziałem, ledwie ją znam...

Zakonnica dłuższą chwilę spoglądała mu w oczy, po czym wreszcie skinęła głową

– Chyba nigdy nie widziałam nikogo, kogo można by nazwać beznadziejnym przypadkiem – powiedziała, gdy ruszyli przez korytarz. – Zawsze jest

coś, co możemy zrobić. Ale tu księża mówią o opętaniu, technicy o zaburzeniu plazmatycznym, lekarze o samopodtrzymującym się szoku pourazowym. a psychiatrzy o obłądnie.

– a pani w co wierzy?

Obejrzała się na niego przelotnie. Ładna, obrębiona czarno-białym czepekciem twarz młodej kobiety naznaczona była głębokim zmartwieniem.

– Panie Gable, jako osoba wierząca, wierzę oczywiście w Boga. Ale wierzę również, że istnieje diabeł.

Ta część szpitala musiała być przeznaczona do remontu lub wyburzenia, ponieważ w żadnej z mijanych przez nich sal nie zauważył nic poza kurzem i pustką. Światła również wydawało się za mało. Clark zerknął na zamontowane pod sufitem korytarza lampy. Chociaż paliły się wszystkie, dokoła panował płamisty półmrok.

– To tutaj. – Zakonnica wskazała drżącą dłonią drzwi. – Chyba powinnam wejść z panem do środka. a może chce pan, bym wezwała kogoś innego?

– Nie. Myślę, że sobie poradzimy.

Przekraczając próg, Clark nie miał pojęcia, czego się spodziewać. w pierwszej chwili stwierdził, że stoi w zupełnie zwyczajnej, chociaż mamie oświetlonej i starej, szpitalnej sali. Sufit był zawieszony wysoko, a okna niewielkie, w dodatku wychodzące prosto na mur sąsiedniego budynku. w powietrzu unosiła się intensywna woń jodiny. Na środku pomieszczenia mogącego pomieścić ich dziesiątki, stało samotne metalowe łóżko, a w tym łóżku, chociaż w dziwny sposób nie do końca na nim, leżała jedyna w tej sali – w całym skrzydle – pacjentka.

Gdy ruszył w jej stronę, przez głowę przemknęła mu idiotyczna myśl, że powinien był przynieść ze sobą jakieś owoce i może ze dwa kolorowe czasopisma – cały ten chłam, jaki przynosi się zazwyczaj leżącym w szpitalu znajomym – lecz zaraz potem, kiedy zobaczył ją wyraźniej, zrozumiał po części milczące przerażenie pielęgniarki i ogólny bezsens swojej wizyty.

Powodem, dla którego doktor Penny Losovic nie do końca leżała na łóżku, był fakt, że wisiała nad nim, podtrzymywana stalową pajęczyną prętów i drutów. Widok skojarzył mu się najpierw ze schwytanymi w pułapkę muchami, a potem ze strachem na wróble, którego widział kiedyś w dzieciństwie na polu w Ohio. Jesienią farmerzy wypalili pola, a strach z jakiegoś powodu ocalał. Teraz niekiedy powracał do Clarka w snach, stojący pośród zwęglonej

ziemi, z dymiącymi ramionami, wciąż wyciągniętymi, jakby próbującymi pochwycić czyjaś niewidzialną rękę. w tej chwili też do niego wrócił. z miejsca, w którym się zatrzymał, Clark nie widział na skórze doktor Penny Losovic ani jednego wolnego od poparzeń fragmentu.

– Ta uprząż ma na celu zminimalizowanie kontaktu skóry z podłożem i przyśpieszenie gojenia – szepnęła zakonnica. – Staramy się wystawiać ciało jedynie na działanie powietrza i jodiny. w normalnej sytuacji lekarze próbowaliby przeszczepów w najbardziej zniszczonych miejscach, ale tutaj nie ma zdrowej tkanki, na której przeszczep mógłby się przyjąć. Tak rozległych oparzeń nie widziałam nigdy wcześniej, nie na żywym człowieku. w zasadzie nie powinna przeżyć podróży do szpitala... Nie mówiąc o dożyciu...

Clark zrobił kolejny krok naprzód i odniósł wrażenie, że kąty sali zaczęły się związać. Jakby skręcił w niewidzialny korytarz. Nagle też usłyszał cykanie i skrzypnięcia, i to, co zostało z Penny Losovic, drgnęło. Poruszyły się bloki. Metalowe pręty się naprężyły. Ociekające, odchodzące płatami ciało zaślusło, rozdzieliło się.

– Pacjentka na pewno okrutnie cierpi. – Głos zakonnicy doleciał z innego świata. – Oczywiście podajemy jej morfinę. Najmocniejsze dopuszczalne dawki, a nawet większe. Wystarczające w zasadzie, by... Ale ona nie umiera...

Wraz ze skrzypnięciami doleciał go niebывały swąd. Mieszanka woni zgnilizny i spalonego mięsa, połączona z wrażeniem nieznośnego i nieustającego bólu. Fetor zatkał mu usta, oblepił język. Jeżeli piekło ma jakiś konkretny zapach, to właśnie się z nim zapoznał.

– Słyszysz mnie? – Zaskoczyło go, że się odezwał. Jego własny głos jakby dobiegał z daleka.

Istota w kokonie jednak lekko się obróciła. Głowa, lub coś, co było głową kiedyś, zwróciło się ku niemu, do wtóru dźwięku rozrywanego ciała. w miejscu ust ziała wypalona jama, jedno z oczu wyglądało jak ropiejący krater, ale drugie spojrzało prosto na niego. Usłyszał szept tysiąca głosów.

Czym ty jesteś? – pomyślał.

Wiedział, że nie musi wypowiadać pytania na głos, by istota go zrozumiała. Wiedział również, wytrzymując to usiane czerwonymi żyłkami spojrzenie, że odpowiedź na nie nie istnieje, a przynajmniej nie taka, która pozwoliłaby mu opuścić szpital o zdrowych zmysłach.

Wycofał się przez ohydne warstwy smrodu i bólu i stwierdził, że znowu stoi w dziwnym półmroku niemal pustej sali.

* * *

Wyszedł z budynku i pojechał przez Los Angeles. Wkrótce mijał już pasma ziemi uprawnej między szaroniebieskimi przebłyskami Pacyfiku i kiedy zobaczył wreszcie w lusterku, że odbicie brudnego, wielkiego napisu zaczyna znikać, poczuł zwykłą falę ulgi. Najnowszy plan przebudowy, o jakim słyszał, nie przewidywał rozbiórki, ani nawet umycia liter, tudzież usunięcia części LAND, by pozostało jedynie HOLLYWOOD. Jakiś przedsiębiorca dysponujący większą ilością gotówki niż rozumu, zamierzał zastąpić dawno wygasłe lampy oświetleniem nowego typu. Świeże ogrodzenia i spory projekt budowlany miały sprawić, że owe słynne litery zostaną wypisane nad miastem w rozedrganych, wiecznie zmieniających się smugach pola Bechmeira. Jakiś czas potem, gdy Clark mijał „Culver City Kennel Club” i „King’s Tropical Inn”, uświadomił sobie, że wydarzyło się coś jeszcze. Mimo wszystkiego, czego doznał w szpitalu, nie przeszkadzały mu ani zapach, ani atmosfera samej instytucji.

Znikały też powoli jego inne lęki i gwałtownie atakujące wspomnienia. Coś, jakaś więź niepozwalająca mu dotąd oderwać się od przeszłości, pękła w noc dziwnego eksperymentu, jaki Penny Losovic przeprowadziła na scenie w hangarze 1A. Jeżeli cokolwiek go jeszcze dręczyło, to powód, dla którego istota z Thrasis śledziła akurat jego, i dlatego jego obecność wywołała tak gwałtowną reakcję uwięzionej w klatce zjawy. Przecież był nikim, prawda? i teraz, i zawsze. No, może prawie zawsze. Tak właśnie było i ta myśl – co stanowiło dla niego najważniejszą i najlepszą część wszystkiego – wcale już nie bolała jak dawniej. Może więc tak miało wyglądać życie w tym nowym dziesięcioleciu. Należało pomachać na pożegnanie starym duchom i przywitać się z nowymi.

* * *

w miarę jak oddalał się od smogu i gwaru, powietrze pachniało coraz przyjemniej. Teraz wyławiał w nim już ciężką woń krowiego łajna i słodki aromat pomarańczowych gajów. Niedługo potem wypadł na nadmorską autostradę i powitały go ostrzejsze zapachy Venice. Wanilia, słodczyce i smażona cebula toczyły bój o prymat z oceaniczną solą i rozgrzanymi słońcem ciałami, tłoczącymi się na głównej promenadzie. Diabelski młyn się obracał, mewy

skrzeczały, chłopcy jeździli nowymi samochodami, a dziewczęta pyszniły się, demonstrując letnie sukienki. I wtedy doleciał go jeszcze jeden, bardziej kwaśny zapach. Zaczął już myśleć, że to po prostu smród siarkowodoru z pól naftowych jest dziś szczególnie wyraźny, kiedy dotarło do niego, co się stało naprawdę. Tak wiele czasu spędził w mieście, że dopiero teraz odzyskiwał węch. Wodorosty i olejek do opalania. Woń płonącej ropy i piwa. Dla wszystkich przyjezdnych tym właśnie w ciepłe popołudnia pachniało Venice.

Miejsce na forda znalazł kilka jardów od Doge's Apartments, uciekł przed słońcem, wchodząc przez wahadłowe drzwi i ruszył szybko ku schodom.

– Ej, ej...

Nie zdążył. Glory go zauważyła i wygrzebywała się już z kanciapy w swej własnej wersji pośpiechu.

– Cześć, Glory. – Musiał się na jej widok uśmiechnąć, choć zapewne niosła mu wieści o wizycie komornika. – Świetnie się spisałaś, strzegąc naszego fortu. Naprawdę, mówiłem ci już...

– Ja tylko odbieram telefon. – Zmarszczyła brwi jak zawsze i wyciągnęła ku niemu jakiś papier. – Jak jakaś cholerna kretyńka, na każde dzyń, dzyń odbieram...

Kiedy wziął kartkę i przeczytał, mina kobiety nie zmieniła się w żaden wyraźny sposób. Był to tylko numer telefonu, choć wydał mu się dziwnie znajomy.

– Dzięki, Glory. Czy była przy tym jakaś... hmm... wiadomość?

Kobieta wydała z siebie imponujące westchnienie i wzniosła błagalne spojrzenie ku krążącym pod sufitem muchom.

– Ta sama wiadomość co zawsze i od tej samej biednej damulki. Wciąż mówi, że nie ufa mężowi, on robi rzeczy, które się jej nie podobają. – Glory wzruszyła ramionami. – Tylko ona nie wie, co to dokładnie za rzeczy.

Clark pokiwał głową. Jasne, pamiętał. w zasadzie tak brzmiała większość wiadomości, jakie przekazywała mu Glory.

– Faceci...! – Glory okazała się zbyt dobrze wychowana, by splunąć, lecz sposób, jakim wyrzuciła z siebie to pojedyncze słowo był niewiele mniej wyrazisty. – Dzwonisz do niej czy nie?

– Jasne, jasne, Glory. Zadzwoń.

– Teraz?

– Okej. Teraz.

Staęła z ramionami zaplecionymi na wzbudzającej szacunek piersi i patrzyła, złowieszczo tupiąc nogą w kapciu. Clark podszedł do telefonu.

Raz jeszcze zerknął na numer, po czym podniósł słuchawkę automatu i wrzucił w szczelinę znaną w kieszeni spodni monetę.

Dziewczyna z centrali połączyła go z klientką.

O AUTORZE

Ian R. MacLeod opublikował pięć powieści i cztery tomy opowiadań. Poza innymi dowodami uznania otrzymał nagrody Arthura C. Clarke’a, Johna W. Campbella, World Fantasy i Sidewise. Urodził się na przedmieściach angielskiego Birmingham, a obecnie mieszka, pracuje i marzy w nadrzecznym miasteczku Bewdley w hrabstwie Worcestershire. Adres strony internetowej pisarza to www.ianmacleod.com. Aktualnie nie planuje napisania żadnego scenariusza filmu biograficznego – przynajmniej do chwili otrzymania sensownej propozycji...